BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.
NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.
1852.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

WARSZAWA.

4764/46

BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1852.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM XLVI.

WARSZAWA.

W Drukarni Stanisława Strąbskiego,
przy ulicy Daniłowiczowskiéj Nr. 617, w dawnéj Bibliotece Załuskich.

—

1852.

4620. 1852. 2
II
X-14145
4620/ II 2.
/.1852

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Biblioteka Sejmu Śląskiego
Biblioteka Śląska
30.000,-

SZAHIN GIRAJ I KOZACY.

PRZEZ

Seweryna Gołębiowskiego.

Rozważając dzieje rodu ludzkiego w całym ogromie i w pojedynczych szczegółach, Salomon powiedział wielką prawdę: próżność i wszystko próżność. Następujące pokolenie zapomina o tém co nas żywo zajmowało, rozgłośne imię ginie razem z życiem; a potém z pyłu zbutwiałych papierów wyrastają znakomite dziejowe postacie, a potém otchłań wieków pochłonie wielkie dzieła i wielkich ludzi. Do odtworzenia jednéj z takich postaci, udało mi się zebrać kilka szczegółów z pomników drukiem ogłoszonych i z relacyj zostających w rękopiśmie. Szahin Giraj, dzielny najezdnik, dziki jak Tatar a wierny danemu słowu, krymską ordę prowadził w ścisłe przymierze z narodami składającemi dawną Polskę. Życie jego było ciągłą walką: bronił brata, któremu z prawa należało zasiąść na stolicy, usiłował strącić jego przeciwnika, wygnany z murów zamkowych Bakczysaraju tułał się po stepie, pobratał się z Zaporożcami i zaprzysiągł wierne poddaństwo królowi. Gdyby Zygmunt IIIci umiał korzystać z pomyślnéj chwili, Krym i stepy tatarskiemi hordami zasiane, przeszłyby pod jego panowanie.

Po śmierci Seadet Giraja hana krymskiego, tłukli się z sobą o następstwo Dżanibeg z Muhamedem synem Seadeta. Oba starali się o względy Wysokiéj Porty, i zwykle ten je odbierał, który lepiéj wezyrowi zapłacił. Dżanibeg wielki koszt na to ważył, a więc pojmano Muhameda i posadzono do Jedykuły; brat jego Szahin schronił się do Persyi. Dżanibeg zasiadł na stolicy, ale

stracił u sułtana łaskę, kiedy nie chciał wyjść na wojnę przeciw Persom, wymawiając się częstemi napadami Kozaków. Zrzucony z haństwa udał się do Carogrodu na nowe praktyki, a miejsce jego zajął Muhamed uwolniony z więzienia. Zaledwie powrócił z Persyi Szahin Giraj, wnet w silne ręce ujął rząd nad krymską ordą. Mianowany przez brata kałgajem (1), nie miał czasu nacieszyć się rodzinnym krajem i pozyskaną władzą, kiedy ze Stambułu trzynastego dnia po jego powrocie nadeszła wieść, że Dżanibeg został wyniesiony na haństwo, i że wyprawiono go do Kaffy z 40 galerami i z 10,000 janczarów. Muhamed chciał ustąpić, ale Szahin oparł się temu, zwołał panów wojennych starych i młodych, Czerkiesów, Nogajców, Tumanów, Siewkałów, złożył radę i rzecz całą opowiedział. Tatarzy do nóg Muhameda głowy położywszy, wołali: „My nie chcemy innego nad ciebie hana i sułtana, innego kałgaja nad Szahina; pójdziemy z wami przeciw Osmańczykom: dosyć już nad nami przewodzili. Pójdziemy z wami i pierwéj w boju zginiemy, niż uznamy Dżanibega za hana.“ Tymczasem Turcy Kaffę ludem swym zaleli; przez trzy miesiące szły wojska ze Stambułu, czwartego miesiąca całą siłą wystąpili z Kaffy. Na czele tureckiego wojska był Redżeb pasza, a pod jego rozkazami było dwóch drugich wezyrów: Hasan pasza i Ibrahim pasza. Tatarzy zrazu rwali ich podjazdami zwodząc harce i próbując siły. Na rękę im było, że w téj porze Kozacy wracali z morza złupiwszy tureckie nadbrzeże; krew węchem poczuli, więc posłali do Szahina, zapytując, czy nie zechce zaciągnąć ich na służbę. Szahin przystał z wielką ochotą i sprowadził ich do swego taboru. Trzystu ich tylko było, ale trzystu takich, co wśród bojów, mordów i łupieży żyli jak w swoim żywiole, co z rusznic pluli wrogom między oczy, a szablami rąbali znakomicie. Właśnie tych trzystu przeważyło na jego stronę zwycięztwo, jak sam Szahin wyznawał. Byłato granitowa skała, o którą rozbijały się uderzenia janczarów. Hura ha! grzmiał okrzyk po polu, a głośniéj grzmiały wystrzały. Zginął Hasan pasza i Ibrahim pasza; Redżeb pobity ustąpił z Dżanibegiem. „Bodaj zdrowi byli te trzysta Kozaków, którzy w pomoc nam przyszli“ zawołał Szahin. Zajął

(1) Według relacyi wydanéj przez Przyłęskiego w Ukraińnych sprawach, kałgajem był Czoban Giraj; dopiero kiedy zginął w bitwie z Turkami, Szahin jego miejsce zastąpił. Pewniejszem zdawało mi się świadectwo samego Szahina w liście do Zygmunta IIIgo.

Kaffę, miasto i zamek, galery z portu armatami wypłoszył i ustalił w Krymie swoje panowanie. Kozacy hojnie obdarowani, wrócili za poroby ze złotem, z końmi, z jedwabnemi materyami, sławiąc odwagę i hojność Szahina. To był początek przyjaźni między nimi; Szahin nabrał żywności, gorzałki, wina, i pojechał na Zaporoże żeby przyjaźń utwierdzić i zaciągnąć do swéj służby mołojców.

Do króla Zygmunta IIIgo napisał list pełen przyjacielskich oświadczeń. „Chcemy trzymać z wami przyjaźń i braterstwo, żeby wasi i nasi ubodzy poddani w pokoju mieszkając, za was i za nas modlili się Bogu. Z dawnych czasów, za dziadów i pradziadów, bywaliśmy sobie bracią i przyjacioły: wojska nasze wespół za jedno chadzały, ludzie nasi do was, a wasi do nas przyjeżdżali, i dokąd idziesz, nikt nie pytał; najmniejszemu też dziecięciu ani ubogiéj wdowie przykrości nie było. Osmańczykowie między nas się wmieszali, i brat podniósł rękę na brata, a oni cieszą się z waśni i zdradliwie starają się o to, żeby narody nasze wytracili. Odnówmy przyjaźń i braterstwo, królu Zygmuncie; od Turków ani wam ani nam dobrego spodziewać się nietrzeba: nie ma w nich wiary, ani prawdy. Patrzcie, przeszłego roku o wasze złe starali się—Pan Bóg nie dał; tego roku o nasze—Pan Bóg równie nie poszczęścił. Dajcie nam dnieprowych Kozaków, a łatwo złamiemy ich potęgę. Granicą między nami niechaj będzie po staremu Dniepr i Owcza Woda. My Tatarów z Białogrodu na tę stronę Dniepru przeniesiemy, zamki Białogród, Kilią i Tehinią wam oddamy, tylko z nami braterstwo uczyńcie. A Tatarów krymskich i nogajskich zatrzymamy, że z państw waszych i kokosz nie będzie wzięta. Niechaj będzie zgoda, miłość i jedność za dni wielmożności waszéj króla Zygmunta, i za dni Szahin Giraja sułtana brata waszego; niechaj ubodzy poddani w pokoju siedząc wczasów swych zażywają. Więc i dobra sława o was i o nas aż po wieki wieków trwać będzie, a ojcowie dzieciom o tém powiadając, wdzięcznie wspominać nas będą. Dajcie nam Kozaków dnieprowych, rozprawimy się z Turkami za pomocą Bożą, potém pójdziemy nad rzekę Adyl... Kozaków nie dlatego potrzebujemy, żebyśmy mało wojska mieli: mamy go chwała Bogu dosyć; ale na janczarów rusznicznego też wojska potrzeba. Dajcie nam téj zimy tysiąc Kozaków, prochu i ołowiu; nad proch i ołów innych upominków nie potrzebujemy. Najjaśniejszy Szach Abbas król perski przysłał nam szablę w podarunku, żebyśmy tą szablą Turków bili;

my też posyłamy wam szablę sadzoną drogiemi kamieniami, żebyście tą szablą Turków bili:—tak wiadomo niech będzie.“

Dzieje Szahina ściśle się łączą ze współczesnemi najazdami Kozaków i Tatarów; nie od rzeczy więc będzie zdać o nich bliższą sprawę. Kiedy flota sułtana znajdowała się w Kaffie zajęta sprawą tatarskich hanów, Kozacy w 150 czajek spuściwszy się na morze Czarne, 7 października 1624 r. zrabowali i spalili wieś Jeni Kioj, niedaleko od Stambułu. W następującym roku w 300 czajek chodzili na morze. Redżeb pasza główny dowódzca tureckiéj floty, we 43 galer i galiot przez półtora miesiąca strzegł ujścia Dniepru, czekając ich powrotu; potém bojąc się, żeby zuchwalcy nie uderzyli na ciaśninę Carogrodzką ogołoconą z morskiéj straży, popłynął wzdłuż brzegu ku południowi. Na wysokości miasteczka Kara-harman dały się widzieć czajki kozackie. Kozacy śmiało uderzyli na galery; statek kapudana paszy był w największém niebezpieczeństwie. Dwieście Kozaków wdarło się na statek i pokład trupami zasłali; wioślarze przestali robić wiosłami: bylito jeńcy kozaccy, którzy jak zbawienia wyglądali pomyślnéj chwili, żeby razem z braćmi mordować wroga. Pomimo zaciętéj odwagi, Kozacy zostali na głowę porażeni. Naim Efendi kronikarz turecki opisując tę bitwę, oddaje im sprawiedliwość, że nie ma narodu mniéj dbającego o życie.

Muhamed Giraj dopóty sprzyjał Kozakom, dopóki ich potrzebował. Jeden z pułków kozackich pozostałych w Krymie przebojem drogę sobie otworzył, za jego wiedzą otoczony przez Tatarów. Kozacy chcieli się pomścić: w końcu października 1625 r. zebrali 30000 wojska żeby wtargnąć do Krymu, ale tymczasem nadeszły do króla z Carogrodu skargi z domaganiem się przykładnego ich ukarania. Król miał w świeżéj pamięci gwałty popełnione przez Kozaków w Kijowie, gdzie wójta i księdza unickiego zamordowali; kazał więc hetmanowi polnemu Koniecpolskiemu powściągnąć i ukarać Kozaków. Hetman stoczył z nimi bitwę pod Krytowem. Kozacy nie probowali więcéj szczęścia w polu i cofnęli się taborem w lasy, na uroczysko Niedźwiedzie-łozy nad jeziorem Kurukowem. Po kilku szturmach w których od dział kozackich wiele piechoty niemieckiéj poległo, zawiązano układy. Kommissarze polscy zarzucali Kozakom napady na ziemie tureckie, związki z Szahin Girajem i z samozwańcami carzykami, którzy znajdują gościnne przyjęcie na Zaporożu, gwałty popełnione w Kijowie, w Korsuniu i w Bohusławiu, podburzanie

poddanych i najazdy na domy szlacheckie. 6 listopada 1625 r. nastąpiła ostateczna umowa. Przeszłe winy puszczono w niepamięć, wojsko kozackie ograniczono do sześciu tysięcy spisanych porządnie w rejestra, z oznaczeniem w którém starostwie każdy obiera sobie mieszkanie; w dobrach szlacheckich i duchownych tym tylko pozwolono mieszkać, którzy panom swoim będą posłuszni i których panowie cierpieć zechcą. Koniecpolski mianował hetmanem obranego przez Kozaków Michała Doroszenkę i wyraźnie zastrzegł, że podawanie hetmana jest przywilejem korony. Żołd dla Kozaków przeznaczono 60.000 zł., które w Kijowie w dzień ś. Ilii odbierać będą; prócz tego naznaczono jurgielt dla starszyzny: dla starszego nad wojskiem zł. 600, dla obożnego zł. 100, dla dwóch assawułów po 150 zł., dla pisarza zł. 100, dla sześciu pułkowników po 100 zł., dla sześciu assawułów pułkowych po zł. 50, dla sotników po zł. 50. Tysiąc Kozaków zawsze miało stać na Niżu dla dawania wiadomości o nieprzyjacielu; czółna mieli popalić, na morze nie chodzić, ani przymierza z postronnemi zawierać.

Kozak żyć nie mógł bez rozboju: 60 czajek znowu puściło się Dnieprem na morze. Posłano ze Stambułu kilka galer, które zachwyciły ze 30 czajek, reszta rozsiała się po morzu. Tatarzy chcieli korzystać z tego zdarzenia i dopominali się, żeby im pozwolono najeżdżać lechską krainę; sułtan odrzucił ich żądanie, z królem polskim na dawnych warunkach zawarł przymierze, i kopią traktatu posłał do Krymu dla wiadomości hana.

Podczas krymskich rozruchów, Kantemir sławny z odwagi i ciągłych na Polskę najazdów został paszą białogrodzkim. Zebrał potężne wojsko i puścił się do Polski wołoskim szlakiem, z chorągwią przysłaną od cesarza tureckiego, z muzyką i pompą wielką. Stanisław Koniecpolski rozesłał uniwersały ostrzegając o grożącém niebezpieczeństwie, a sam z wojskiem kwarcianém szedł drugim brzegiem Dniestru, prawie równo z Tatarami, aż do Martynowa, gdzie Dniestr przebyli. Tatarzy rozpuścili zagony; hetman dla małości wojska nie mógł dać im wstrętu, nie mógł za nimi w kopyto następować; zatrzymał się i czekał na posiłki. Szlachta ze zbrojnemi oddziałami wciąż się do niego garnęła; komu dom spalono, w obozie miał pewny przytułek.

Hetman dowiedziawszy się od Odrzywolskiego, który w 200 koni ustawicznie się nad Tatarami wieszał, że już wracają obciążeni łupami i prosto idą na bród martynowski, nastąpił ku brodo-

wi i stanął w miejscu obronném ściśnionym taborem; wozy ciężkie do zamków odesławszy. Pokazali się Tatarzy i stanęli koszem za górami o dwie mile. Kilkuset nadbiegło wieczorem, a widząc mały taboreczek i lekce go sobie ważąc, ustąpili. Obawiał się hetman, żeby go nieprzyjaciel harcami nie zabawiał, plon za górami uwodząc; ustąpił więc od brodu, a idąc przez noc całą zatrzymał się pod Bełzowcem, między Haliczem a Boliszowem. Uczynił to dlatego, żeby Tatarów zachęcić, i wywabić w szerokie popławnickie pola. Podstęp szczęśliwie mu się powiódł; Kantemir w kilkanaście tysięcy ordy puścił się za nim w pogoń, a widząc na drodze porzucone wozy z beczkami i szmatami, tém bardziéj utwierdził się w przekonaniu, że Polacy ze strachu ustępują, i z całą siłą zapalczywie przypadł. Hetman sprawił tabor w ośm rzędów i zaczął szykować wojsko; ledwie godzina na dzień była, kiedy się pokazali Tatarzy (20 czerwca 1624 r.); miasto przespania i odpoczynku, chętnie wysypało się wojsko z taboru. Przed bitwą nasi mieli dobrą wróżbę, bo gdy Tatarzy wioskę w blizkości zapalili, z płomieni i z dymów na powietrzu krzyż się uformował, i ku temu krzyżowi przebijało się wojsko; hetman trzymał je w kupie, na harc nie wypuszczając, a w szerokie pole szykiem i taborem dobrze sprawionym powoli ustępując. Kantemir uderzył całą potęgą; nasi wzięli na szable według rozkazu hetmańskiego, strzelbę na ostatni wypadek zachowując. Środek szyku zajmowały konne chorągwie, na skrzydłach stał tabor, którego rogi równały się z czołem wojska, a działa w taborze ustawione krzyżowym ogniem otwierały drogę w pogańskim tłumie. Godzinę bitwa trwała; nieprzyjaciel potężnie rażony z dział i od wojska, ustąpić musiał. Hetman puścił w pogoń dwanaście chorągwi kwarcianych z Odrzywolskim i Chmieleckim, a sam za niemi w szyku następował; nasi wsiedli na karki Tatarom i do Dniestru ich napędzili. O milę od Dniestru na polskim brzegu był kosz, a w nim niezliczona moc bydła i owiec, stada koni, tłumy więźniów. Część Tatarów uciekając wpadła do kosza, a pogoń tuż za nimi. Ludzie w jassyr zabrani, jak gdyby znowu na świat się porodzili, krzyżem padając dziękowali Bogu. Było też kilkaset chłopów ściętych, lecz lepsza śmierć, niż przez wiele lat co godzina umierać. Tatarzy uchodzili ciasnemi miejscami na las bednarowski, nie wiedząc o tém, że w lesie przed kilkoma dniami hetman kazał porobić zasieki. O ośm mil od pola bitwy padł ostatek tego pogaństwa; kiedy ludzie na zasadzce zostawieni rzucili

się na nich z okrzykiem, Tatarzy jak kto mógł poszli w rozsypkę, a chłopi bili rozpierzchłych po lesie. Nie kazał hetman żywcem ich wodzić, żeby się wojsko więźniami nie zabawiało, ale spiesznie naprzód postępowało. Trzy chorągwie wzięto, z czwartą cesarską uciekli. Kiedy już konie przez 26 godzin bez pokarmu i bez odpoczynku dłużéj iść nie chciały, i noc ciemna zapadła, hetman ze starszyzną zgłodzeni także i zmorzeni, upatrzywszy w lesie polanę, rozłożyli się na niéj, a napiwszy się trochę wody z błotem skłóconéj, zasnęli twardym snem na niekoszonéj trawie. Nazajutrz pojechali do Halicza i tam złożyli Bogu powinne dzięki.

Kantemir wyprawił znowu na Ukrainę Selman szah Mirzę z niemałą kupą ludzi; w polach zabiegł mu drogę posłaniec Szahina z rozkazem, żeby ziemie koronne zostawił w pokoju, a raczéj zwrócił się na Wołoszczyznę albo do Multan. Selman szah posłuchał rozkazu i rozpuścił zagony w ziemiach będących pod opieką sułtana tureckiego. Sułtan z gniewem rozkazał Kantemirowi żeby więźniów wolno puścił; odebrał więc kilka tysięcy, resztę Tatarzy zagnali do Krymu, a tam z rozkazu hana naładowano niemi sześć okrętów i odesłano do Białogrodu.

Król polski powściągnąwszy Kozaków nalegał o przeprowadzenie Kantemira z Kilii i Białogrodu. Sułtan wydał rozkaz do hana, żeby Kantemira z budżackiemi Tatarami dobrą wolą czy gwałtem przeniósł do Krymu. Pasza białogrodzki niebardzo chciał słuchać; dopiéro kiedy Szahin do Białogrodu przybył, rozmówiwszy się z nim spalił domy i zagnał Tatarów z całym dobytkiem na nowe siedziby i koczowiska.

Szahin starał się o utrzymanie dobrych stosunków z Polską. Pomimo jego woli Muhamed Giraj han w 1626 r. wybrał się do Rusi, o czém Szahin zaraz dał znać na Zaporoże. Wtenczas pobito hana pod Tarnopolem i na Dniestrze. Przez trzech jeńców: Kąckiego, Ujejskiego i Zaliwskiego, han pisał do króla (w końcu listopada 1627 r.), że otrzymał od sułtana szablę oprawną w drogie kamienie i szaty kosztowne, a zarazem rozkaz postawienia zamku nad Dnieprem na przeprawie Dywan, naprzeciw Tawani, dla wstrzymania łotrostwa kozackiego. Prosił o przysłanie upominków za lat siedm: trzy dawne, i cztery od swego wstąpienia na tron, zapewniając, że jak tylko upominki odbierze, wyśle wielkich gońców, wielkiego posła i list przymierny złotem pisany. „Ubodzy ludzie będą żyć w pokoju, i za nas panów swoich będą

modlić się do Boga, a ludzie kupieccy bez obawy handel prowadzić będą."

Na wiosnę 1627 r. han poszedł na Czerkiesów, a Kantemir z Szahinem zostali w Krymie. W czasie pochodu, kiedy Tatarzy w rzece konie poili, Selman Szah Mirza z pistoletu zabił Czerkiesa, który był agą u hana, a który przedtém zabił mu ojca. Wielki rozruch powstał w wojsku; Selman Szaha sam han gonił, aż Ali Mirza wuj hana konia za cugle chwycił i zatrzymał. Zabójstwo przez zemstę krwi popełnione, było powodem rozerwania między Tatarami. Selman Szah uciekł do Małéj Nogai i dał znać swemu krewnemu Kantemirowi. Han też przewidując dalsze rzeczy, posłał do Szahina, żeby Kantemira pojmał lub zgładził. Szahin wziął z sobą dwór swój i wiernych sobie szremskich mirzów i skoczył do Kantemira, który na godzinę przedtém ostrzeżony odbiegł wszystkiego i w jednym kaftanie uciekł w pole, a za nim mirzowie z rodu Kantemirowego. Szahin kazał pozostałym tak mężczyznom jak i kobietom z głów i z bród włosy obciąć, nakładł tego dwa wory, i posłał do wojska Kantemirowego nogajca Musai Kałmuk Kara. Ten przyjechawszy do Kantemira włosy z worów wysypał, powiadając, że to są włosy ojców, braci, żon i dzieci waszych; jeśli się do domu nie wrócicie, Szahin pozostałych dziwnemi mękami wytraci. Część Tatarów żalem zdjęta téjże nocy do Krymu uciekła, reszta z Kantemirem za Dniepr przeszła do Turków.

W 1628 r. na wiosnę Kantemir z Szahinem spotkali się za Dunajem na dobruckiém polu. Szahin stracił siłę ludzi i uciekł do Krymu, a w ślad za nim następował Kantemir, który po bitwie dwóch co najprzedniejszych mirzów wziętych w niewolą kazał zatłuc kijami. Zpod Białogrodu, gdzie do niego zbiegli się Nogajcy, Kantemir wyprawił posłów do Stambułu, oznajmując, że „Szahina który skozaczał pogromiłem, przysyłajcie co prędzéj na haństwo syna Ghazi Girajowego." Kantemir otrzymał w nagrodę sandżak, a do Krymu pociągnęli z liczném wojskiem: wezyr Banałukały Husein pasza i Kienaan pasza, a Hasan pasza udał się z flotą do 95 różnéj budowy galer, prowadząc z sobą Dżanibeg Giraja dawnego hana, z którym Kantemir żył w nieprzyjaźni. Szahin wezwał na pomoc Kozaków.

Kantemir obległ Muhameda i Szahina w Bakczysaraju, lecz porzucił oblężenie gdy się dowiedział, że Michał Doroszenko z czterema tysiącami Kozaków wtargnął do Krymu. Przez sześć dni

Kozacy uganiali się z Kantemirem; Doroszenko poległ, a na jego miejscu wybrali starszym Mojrzenicę. Szahin obiecał im stada i sto tysięcy czer. zł. Bili się po swojemu, jak wcielone djabły, i rozgromili Kantemira. Wnet do Szahina zbiegli się mirzowie szremscy i badraccy i poszli pod Kaffę. Kantemir nie zamknął się w mieście jak baba, wyszedł w równe pole i stoczył bitwę; pobity w kilka koni uciekł do Kaffy. Szahin w téj potrzebie dostał syna Kantemirowego Działan Timira, którego ściąć kazał w oczach ojca patrzącego z muru. Pilnowali Kaffy przez półtora miesiąca, rokując o wydanie Kantemira, który nie ufał mieszczanom i zwykle noc przepędzał na tureckim okręcie. Przybył wreszcie Dżanibeg han z wojskiem tureckiém. Kantemir wcale nie prosił o Dżanibega, odłożył jednak nieprzyjaźń na stronę; oba razem stoczyli bitwę i pobili Muhameda i Szahina. Muhamed w nocy porzucił swoich i uciekł. Kozacy ustąpili z Krymu; zamek Islam Kiermen nad Dnieprem dobrze opatrzony armatą i ludźmi, przemyślnym sposobem zdobyli, zburzyli go ze szczętem, a kilkadziesiąt dział uprowadzili na Zaporoże. Za nimi przyciągnął Szahin Giraj w kilkadziesiąt koni; uciekali do niego szremscy mirzowie, których Dżanibeg jak psów zabijać kazał, za to, że się wiązali z Szahinem.

Kozacy widząc pomyślną porę do zakłócenia ordy, wyprawili do króla swoich posłów: Kusenika Prokopowicza, Jacka Sawicza i Stefana Mikiticza, razem z posłem Szahin Giraja, Isajem, przekładając, że za jednę jesień Krymców zniosą, a Rzpta wieczny pokój mieć będzie, byleby król JM. przyłączył do wojska zaporoskiego wojsko kwarciane pod dowództwem Stefana Chmieleckiego. (Od wojska zaporozkiego do króla JM. 28 lipca 1628 r.). Janusz Zbaraski kasztelan krakowski (w liście do kanclerza Zadzika, w sierpniu 1628 r.) chwalił rozum i politykę Zaporożców, którzy chcieli wynieść na państwo Szahin Giraja: „Lepszéj rady nie dałby nieboszczyk Juliusz Cezar. Ale trzeba robić sekretnie, w pisma się nie wdawać, żeby w ręce Turkom nie wpadły; nawet przed Kozakami nie ze wszystkiém się zwierzać, bo chłop po pijanemu może się wygadać. Posłać między nich kogo sprawnego, coby rzeczy umiał pokierować. Całą wyprawę odbyć Kozakami; pójdą taborem, ruszniczno, z armatą dobrą, i dadzą radę. A choćby téż i nie dali, bez krwi rozlewu obejść się nie może; będziemy mieli na czas jakiś spokój od Tatarów i od Kozaków. Jeśli Szahin się

utrzyma, będzie nam sprzyjać, bo w każdéj przygodzie nie ma się gdzie przytulić, jedno do nas.' Niech Bóg broni żeby Chmielecki miał się łączyć z Kozakami na tę wyprawę, boby to było otwarte zerwanie przymierza. Turcy będą się nam mostem kładli, Szahin Giràj dla nich solą w oku, zwłaszcza teraz, kiedy Persom nie mogą dać rady. List Kienaan paszy do Chmieleckiego tak łaskawy, tak przyjaźni pełen, nie zkądinąd pochodzi jedno ze strachu. Niechaj król JM. puszcza Kozaków w imię Boże, nie wchodząc w długie deliberacye."

Miron Bernawski hospodar mołdawski radził Polakom, żeby Szahinowi nie żałowali chleba, który siła ludzi niepotrzebnych jedzą. Za przyjęciem do łaski Szahina, który bez wszelkiéj pokrywki szczérze tego żąda, wielki pożytek dla korony polskiéj urość może. „Bardzo bez niego tęskni pogaństwo i wielce to ich frasuje, że pozbyli rycerskiego i tak zacnego człowieka, któremu nie wiem żeby się mógł w tym wieku równy we wszystkim świecie znaléźć." Szahin Giraj i Bernawski do stóp kłaniali się królowi, żeby ich przygarnął pod skrzydła swojéj potężnéj opieki; król zwlekał, rozważał, wspierał ich tajemnie i bojaźliwie. Minęła chwila i zmieniła się postać rzeczy.

Muhamed i Szahin Girajowie wyprawili do króla w poselstwie swego siostrzeńca Urazły Murzę, przyrzekli że zostaną jego hołdownikami, jeśli Polacy dopomogą im wrócić na carstwo i zatrzéć *duszmanów* (nieprzyjaciół). Szahin dodał, że z Tatarami pójdzie za Dunaj, i co zawojuje rzuci pod nogi królewskie. Król odpowiedział, że Muhamed Giraja i Szahin Giraja chce miéć za życzliwe sąsiady i przyjacioły, a hołdu od nich nie potrzebuje, gdyż jest tak możnym panem, że co jednego dnia rozda, wszystek Krym dorocznéj intraty nie ma. Rejestrowym Kozakom będzie pozwolono żeby odbyli wyprawę; a jeśli przybiorą sobie ochotników nie zapisanych w rejestrze, o tém król nie chce wiedzieć. Dziwuje się jednak górnéj myśli Szahina Giraja, że na powietrzu ptaka skubie; wprzód niechaj Krym odzyska, a do sułtana posła pośle prosząc o chorągiew i przywrócenie na państwo.

Kienaan paszy, który domagał się o wydanie Szahina, Chmielecki namiestnik hetmana Koniecpolskiego odpowiedział, że go nie ma na ziemi polskiéj, a jeśli się tuła po dzikiém polu albo ukrywa między Dnieprowemi ostrowami, chyba ptak z góry wyśledzi go i porwie. Jeden jest tylko sposób dostania Szahina: niechaj go łapie Dżanibeg han i Dewlet kałgaj, kiedy się wynurzy

z kryjówek. W podobny sposób pisał do Hasan paszy (31 października 1628 r.). „Uważaj sam przyjacielu mój, jako wielki człowiek, czyto słuszna, żebym ja był u nich siepaczem? Ja im życzę, żeby ich wszystkich ziemia żywcem pożarła, bo Tatarzy zawsze psuli między panami naszemi starą i ugruntowaną przyjaźń."

Kozacy 1 listopada 1628 r. powrócili z morza. Trzymali się tylko tatarskiego brzegu, Turkom mało szkody zrobili; to najważniejsza, że złupili dwa okręty i przedali zdobycz Grekom do Kozłowa. Tym łotrom morskim niebardzo chciało się iść do Krymu; ale Łuszczyński, którego do nich posłał chorąży Chmielecki, porządnie koło tego chodził. (Chmielecki do kanclerza Zadzika 27 listopada 1628 r.). Za jego staraniem Muhamed i Szahin zaciągając wojsko taką wykonali przysięgę, stanąwszy wśród rady kozackiéj: „Przysięgamy J. K. M. panu naszemu miłościwemu za osiągnieniem stolicy wierne poddaństwo, które za najmniejszém J. K. M i Rplitéj rozkazaniem odprawować ochotnie gotowi będziemy, i nietylko ordę swoję na posługę króla J. M. i Rplitéj posyłać, ale i sami przeciw każdemu nieprzyjacielowi przybywać będziemy. Zrzekamy się zwyczajnych upominków, do państw J. K. M. poddanym naszym bronić napadów i surowo za nie karać będziemy, niewolników z Krymu wydać obiecujemy. Tak niech nam Pan Bóg dopomoże, a ta przysięga od nas wcale dotrzymana będzie." Potém Szahin Giraj przysiągł wojsku zaporozkiemu za siebie i za brata, że jakkolwiek szczęście padnie, złe i dobre dzielić z wojskiem będzie.

8 listopada 1628 r. wyruszyli Kozacy do Krymu; dwa dni przeprawiali się przez Dniepr od Mikityna-rohu do Kamiennego-zatonu, ale na brzegu wielu Kozaków zostało. Starszy wezwał na radę towarzystwo, zapytując: dlaczego tak nieochotnie idą? Na to odpowiedzieli mu ci, którzy zostać chcieli, że w kozactwie z ochoty tylko każdy na wojnę idzie nie z przymusu, a pod zimę strasznie się puszczać nieprzyodzianym w taką ziemię, gdzie nie ma się przy czém ogrzać, ani wody, ani żywności nie można dostać; drudzy odpowiedzieli, że pójdą ochotnie, życie ważyć będą. Jednym starszy pójść lub nie pójść zostawił do woli, drugim podziękował za dobrą ochotę, naznaczył pułkowników, piechotę posłał czółnami, a z konnemi poszedł polem. U Kisienki tatarskiego meczetu, naprzeciw Nosakowskiego Ostrowu spisało się wojsko; było tam 2,000 jazdy, 2,000 piechoty i 350 Tatarów. Ztamtąd do Kajeru mieli pół dnia drogi; przyciągnąwszy złożyli

radę. Szahin Giraj radził i prosił, żeby nie czekać aż nieprzyjaciel ostrzeżony w potęgę urośnie, ale przez dzień i przez noc spiesznie idąc podpaść pod Perekop; przekładając, że kiedy go wezmą niespodzianie, orda jego *duszmana* odstąpi, a do niego kupić się będzie. Kozacy krzyknęli, że pole bezwodne i droga daleka, odpocząć potrzeba. Tam przenocowawszy 14 listopada polami ruszyli, i koło północy zbliżyli się do Perekopu; a że trzeba było języka, starszy puścił się naprzód z kilkunastu Kozakami i z kilku Tatarami, a wojsku kazał taborem następować. O milę od miasta napotkali stado Kantemirowe do kilkunastu tysięcy koni; zatém wrócili do wojska i weszli w radę, czy stado zająć, czy dawszy pokój stadu na Perekop uderzyć? Szahin Giraj radził, żeby dać pokój stadu, wpaść w ziemię i ciągnąć prosto do Bakczyseraju. Kozacy powiadali: czego mamy nieprzyjaciela żałować, zajmujmy stado; konie zdadzą się pod piechotę, a co Pan Bóg naznaczył, to nas nie minie. Zatém rozdzielili się na trzy pułki, Szahin Girajowy był czwarty, i czekali żeby rozświtało. Nade dniem ruszyły się pułki, tabor zwolna szlakiem następował, a zbliżywszy się pod stado, skoczyli co w koniach siły. Szahin Giraj uderzył od lewego skrzydła, Kozacy od prawego, zagarnęli do 5000 stadnych i wojennych koni, i rozgromili *ulusy*, w których orda koczując, trzymała niewolników. Zdobycz zapędzili do taboru, a starszy z Szahin Girajem w trop poszedł za Tatarami, którzy uganiali ostatek stada. Doszedłszy uderzyli się z ordą; Pan Bóg zdarzył szczęśliwie, gdzie Szahin Giraj z Tatarami swemi najeżdżając, Nogajców znacznie raził. Tymczasem Dżanibeg Giraj han i Dawlet Giraj kałgaj ostrzeżeni wieczorem do Perekopu przybyli i kazali bić z dział, żeby się orda kupiła. Kozacy sprawiwszy tabor zbliżyli się do zamku, zwodząc harce i następując wstępnym bojem od poranku do wieczora; potém stanęli w takiém oddaleniu, żeby ich działa razić nie mogły i złożyli radę, na której stanęło, żeby wracać na Zaporoże. Szahin Giraj przyszedł na radę zafrasowany i tak przemówił: „Panowie mołojcy! nie chcę wojska na zgubę prowadzić, ale raczéj na sławę i przysługę. Darujcie mi noc jednę; mam ja takich przyjaciół, którzy mi znać dadzą o zamysłach i potędze nieprzyjaciela. Jeżeli o niedostatek wody i paszy idzie, staniem na futorach miejskich, na Kosarannach nad limanem, i wody zasięgniem i konie choć potrosze pożywić możem.“ Na co Kozacy nie pozwalali, i owszem ku Dnieprowi na odwrót wołali. Starszy zgodził się z Szahin Girajem i przeciw woli i nieochocie

wojska kazał następować. Szahin Giraj zachęcał nieochocze wojsko, a nie ufając tak dalece sercu chorążego swego jako samemu sobie, wyrwał mu z rąk chorągiew, rezolutnie skoczył na ordę, która pod Kosaranami obsypała mogiłę i spędził ją aż za wały perekopskie. Tatarzy ustępując spalili futory, a Kozacy w polu stanęli taborem; potém we trzy godziny w noc odciągnęli na Zaporoże. Dżanibeg posłał za nimi część wojska, sam został zbierając większą potęgę. Tatarzy ciągłemi harcami opóźniali pochód; było téj zabawy aż do Kalancaku, cztery mile od Perekopu, gdzie orda zwykła stada swoje zapędzać dla paszy i dla wody słodkiéj, która jest po jeziorkach. Tam zatrzymali się Kozacy, napoili konie, zaspokoili palące pragnienie, i ledwie chwilę wytchnęli, kiedy o wschodzie słońca nadciągnął Kantemir z Dżanibeg Girajem i Dewlet Girajem w 10,000 ordy, z janczarami i z działami. W równém polu ze wszystkich stron na tabor potężnie uderzył, raz, drugi i trzeci; Kozacy spieszywszy się dawali dzielny odpór, tak ich rażąc dobrze, że plac tameczny zagęścili trupem nieprzyjacielskim, gdzie i mirzów znacznych niemało poległo. Zajuszony Kantemir spieszonych janczarów i Tatarów jeszcze raz przeciw nim puścił, i z tyłu sam ich przyganiał; odparty odstąpić musiał. Z dział już tylko i z janczarek sięgając zdaleka Kozaków, odprowadzała ich orda do samych Kackarów, dziesiątek mil od Perekopu. Potém orda uczyniła odwrót, a Kozacy przyciągnęli ku Tawani pod Islam Kiermen, gdzie przez dzień cały odpoczywali po pracy, dzieląc się końmi i zdobyczą. Zpod Islam Kiermenu Szahin wyprawił jeszcze swoich 20 Tatarów, którzy przeprowadzili półtrzecia sta wojennych rumaków i 16 jeńców. Kozacy Dniepr przebyli pod Kamiennym-zatonem i zatrzymali się na stanowisku nazwaném Wołczą Witką; tam przybył poseł do Muhamed Giraja i Szahin Giraja od siostrzeńca ich, który był hanem Wielkiéj Nogai, dając im znać, że sułtan i nogajska orda chce z nimi wespół trzymać przeciw ordzie krymskiéj. Muhamed Giraj puścił się do nogajskiéj ordy, żeby na wiosnę razem z Kozakami poprowadził ją do Krymu, a Szahin Giraj został na Zaporożu i przez całą zimę szarpał ustawicznemi podjazdami nieprzyjaciela, nie dając mu się wychylić w step ze stadami i z dobytkiem. Na odwet w maju 1629 r., 4,000 Tatarów wpadło na Ukrainę, ale nie odnieśli korzyści za czujnością pana Chmieleckiego, i owszem zostawili trupem dobrą dziesięcinę.

W końcu maja zebrało się Kozaków tyle albo i więcéj, jak było pod Chocimem, 40000 podług obrachowania Naima Efendego, pod dowództwem znakomitego i dzielnego hetmana. Ze swojéj strony Dżanibeg zebrał wojsko, przyszedł mu na pomoc Kantemir z nogajskimi ujmakami i bracia jego stryjeczni Selman szah mirza i Urak mirza. Stoczono walną bitwę w któréj poległo mnóstwo Tatarów. Zwycięztwo ważyło się na dwie strony, a noc przerwała bitwę. Zebrani na radę mirzowie postanowili jeszcze raz silnie uderzyć. Na drugi dzień zwycięztwo przeważyło się na stronę Dżanibega. Muhamed Giraj padł trupem ugodzony kulą w piersi, hetman kozacki zginął, a głowę jego zatknięto na murach Kaffy.

Kozacy wspierali Muhameda za wiedzą króla, teraz król wysłał do Stambułu posła Koryckiego. Dywan przyzwoicie odpowiedział, a Tatarom pozwolił w Polsce poszukać Szahina.

Tatarzy w ostatnich dniach sierpnia 1620 r. przeszli przez Dniestr i zmierzali ku Czarnemu szlakowi; ale kiedy spotkali silny podjazd z rotmistrzem Bajbuzą, postrzegli, że jest na tym szlaku gotowość i zmienili kierunek. 21 września między Bielocza a Kamienicą, rzekami, stanęli w głowie kuchmeńskiego szlaku. Chmielecki przestrzeżony o tém ruszył wojsko zpod Stefanowskiéj. Dowiedział się o tém chytry nieprzyjaciel, a wojując podstępem i prędkością znowu zmienił kierunek i puścił się wołoskim szlakiem. Chmielecki z kwarcianemi pospieszył ku Dniestrowi i ciągnął z drugiéj strony polskim brzegiem. 28 września Dewlet Giraj i Kantemir przebyli Dniestr pod Kołodrubką i rozpuścili zagony w obwodzie czortkowskim. Tatarzy bachmaty mieli schudzone, bo szli dniem i nocą, żeby im Chmielecki nie zabieżał z boku. Kałgaj o nim powiadał: „Chmielecki gdzieś pod Barem z małém wojskiem leży: wrócimy z plonem nim się o nas dowié.

Chmielecki przeszedł Zbrucz i stanął na górze oczekując na wojsko Stanisława Lubomirskiego wojewody ruskiego; rzucił przed sobą miecznika bracławskiego z dwiema chorągwiami i z dwoma stami Zaporożców na podjazd pod te dymy, które się ukazywać zaczęły. Napadł pan miecznik uszedłszy od wojska dwie mile na dobry zagon tatarski, za łaską Bożą rozgromił go, odbił kilkaset więźniów, języków dobrych dostał, z których powziął pewną wiadomość o kałgaju i o ordzie. Zatém Chmielecki nie czekając dłużéj pospieszył z kwarcianemi i z Zaporożcami i stanął o dwie mile od kosza, który był natenczas pod Jagielni-

cą. Tatarzy przestrzeżeni od uciekających Tatarów o pogromie zagonu przez jakąś czatę, wyruszyli ku Białobożnicy. Chmielecki patrzał na kosz, ale natrzéć nie śmiał, bo miał rozkaz wyraźny od wojewody ruskiego żeby bez niego nic nie poczynał; zatém musiał czekać, żeby wszystkie siły złączyły się w kupę. Jakoż 30 września Lubomirski nadciągnął. Chmielecki przed północą ruszył z wojskiem kwarcianém i zaporozkiém, napędził Tatarów, i już przednia straż ścierała się z nimi. Trwoga padła na pohańców, Chmielecki naglił przez gońców, że już straż ze strażą się ściera; lecz nim wojewoda nadciągnął, Tatarzy porzuciwszy bydło i owce, z lekkim plonem uszli; z czego bardzo był żałośny Chmielecki, bo kosz upuścili za sprawą wojewody. Kiedy wojsko zeszło się do kupy, dość było wielkie i ozdobne. Nie tracąc czasu poszli w pogoń za Tatarami, przednia straż rozgromiła potężny zagon, w którym był Kantemir, starszy syn Kantemira, tak, że ledwie w kilkadziesiąt koni uszedł. Popędził ten pogrom tém spieszniéj kałgaja ku Dniestrowi. Szła za nim straż wojskowa szarpiąc go z tyłu aż do Dniestru, który przeszedł 1 października u Ścianki, w miejscu przykrém i brzeżystém, odbieżawszy wszystkich zagonów na téj stronie. Wpadł do Polski w 60,000, i ledwie 4 dni gościł, czujność i pośpiech Stefana Chmieleckiego zegnały go z pola. Chmielecki ze swoimi poszedł nad Dniestr; pan wojewoda dodał mu 4 chorągwie kozackie, dragonów swoich i 200 usarzów; sam został w Monasterzyskach. Po górach za Dniestrem stały straże tatarskie; na odwiedki Chmielecki wyprawił w kilkadziesiąt koni pana Bajbuzę, który dość długo i dobrze Tatarów na sobie trzymał, a wsparty wielością pogaństwa, przez Dniestr do swoich uszedł. Na radzie zgodne były głosy rycerstwa i ochota wielka, żeby przejść przez Dniestr i na kosz uderzyć; ale pan starosta tarnogórski i pan podczaszy bracławski oświadczyli, że nie mają pozwolenia od pana wojewody, żeby z ludźmi jego za Dniestr iść mieli. Chmielecki porachowawszy się ze swojemi siłami nie śmiał się na to odważyć. Znoszono więc pojedyncze oddziały.

Chmielecki jak zwykle dziarsko się zwijał; 4 października pod Uściem rozbił mocny zagon; Mambet sułtan Bej syn Kantemira dostał się do niewoli, a ponieważ panowie towarzysze zgodzić się nie mogli, czyim ma być więźniem, zabili go w ręku. Z 6 na 7 drugi oddział tatarski rozłożył się na nocleg w Koniuszkach. Kozak od wojska zapędził się za żywnością; schwytali go Tatarzy i wzięli na męki, ale na mękach nie wyznał że wojsko jest w blizko-

ści. Dzielna wiara! Chmielecki kazał koniom wytchnąć, ogni nie rozniecać i dobrze przed północą stanął nad karkiem Tatarom. Stanął w szyku i czekał świtu, żeby więźniów nie rąbać. O świcie dał się widzieć ruch w obozie tatarskim; wiązali juki i tłumoki, sadzali więźniów na koń. Nasi huknęli im dzień dobry witaném kopytem i pognali przed sobą nie dając oddechu. Szło rycerstwo ochotnie póki sił i tchu stawało, i na 3 mile było téj pogoni. Gdy Chmielecki zobaczył że konie słabieją, pchnął zpod chorągwi towarzysza Komorowskiego do wojewody ruskiego, żeby Tatarom od brodu zachodził. Komorowski przyjechał na godzinę przed Tatarami, którzy tak byli zaślepieni, że gdyby nie trochę namiotów, które stały nad brodem, wpadliby w sam obóz. Lubomirski dał im dobrą chłostę i do reszty rozgromił, tak, że z tego zagonu mało co uszło; a było, jak więźniowie powiadają, do 7,000 wyborowego ludu. Islam Giraj dostał się do niewoli; ten, co później w Polsce z Chmielnickim wojował. Plon wielki, samych więźniów 10,000 odbito, a zacnych białychgłów liczbę niezmierną. O Chmieleckim, który takiemi posługami imię swoje wsławił, pieśni w Polsce śpiewano; jedna z nich zaczyna się od tych słów:

Cny Chmielecki, mężu sławny,
Jakiego czas nie miał dawny;
Nie jeden wiek, ni dwa minie,
A twa sława nie zginie.

Wróćmy do Szahin Giraja, któremu równego w owym wieku nie było na całym świecie, jak powiada Miron Bernawski. Szahin schronił się do Persyi, potém udał się do Carogrodu, i za naleganiem Dżanibega został zesłany na wyspę Rodos. Oto jest ostatnia wzmianka, jaką znalazłem o nim we współczesnéj inkwizycyi z 1620 r., która odprawiła się w obozie pod Uściem przy wielu ludziach zacnych wojskowych, nad zdrajcą Kamieńskim szlachcicem z województwa podlaskiego, który psu zaprzedawszy oczy, a djabłu duszę, razem z Tatarami najeżdżał kraje koronne, i został pojmany w zagonie tatarskim wracającym od Bełza. Pytany o Szahin Giraja powiedział, że jest pewnie w Kuzielbasiech (Kesulbas) i przysyłał teraz do swoich żon, które żyją w nędzy w Bakczysaraju, młynkiem jednym tylko się żywiąc. O wojnie téj z któréj Szahin Giraj uciekł do Persyi powiedział: „Kiedyby byli Kozacy ubiegli wodę, która tylko w ćwierci mili była od nich, zaraz miała się orda oddać.“

Szahin Giraj do Zygmunta IIIgo.

Między narody Jezusowemi możnemu, między chrześciańskiemi pany wielkiemi najwyższemu, bratu naszemu królowi J. M. polskiemu, litewskiemu, ruskiemu, pruskiemu, mazowieckiemu, inflanckiemu, żmudzkiemu, smoleńskiemu, czernichowskiemu księciu, szwedzkiemu, wandalskiemu własnemu królowi, bratu naszemu królowi J. M. Zygmuntowi.

Po przyjaznem pozdrowieniu i przyjaznéj chęci naszéj ofiarowaniu, i zaczętéj miłości oświadczeniu Wielkiéj Ordy prawéj i lewéj strony i Wielkiéj Nahai, Krakowych, Szydakowych, Muniajowych, Mensurowych, Jusufowych synów, i wielu Czerkiesów, Kabartajów, Abazów, Tumanów, Temunów, Temuków, Siewkałów, Jatów i wielu inszych niezliczonych i nieporachowanych Tatarów, i pól Kipciak nazwanych, i stolice krymskiéj wielkiego i potężnego cara i chana teraźniejszego najaśniejszego i potężnego Mechmet Giereja hana brat, który jest gałgą, brat Jasności Waszéj Szahin Gierej sułtan za pomocą Bożą, który wszystkiemu światu panuje.

Wielmożny i zacny starszy brat nasz Mechmet Gierej chan, którego nic złego niech się nie tyka, na stolicy krymskiéj będąc; a tego czasu rozkazujący gałga sułtan my brat Jasności Waszéj Szahin Gierej sułtan téż będąc; zamyśliliśmy aby jako z początku dziadowie i pradziadowie nasi, którzy z dawnych przodków swych idąc wielkim narodom rozkazywali, a z temi, którzy z nimi zdawna w zgodzie, w braterstwie i przyjaźni mieszkali przyjaźń i braterstwo trzymali; tak my Szahin Gierej brat Jasności Waszéj królu Zygmuncie jeszcze większą przyjaźń i braterstwo trzymać chcemy, aby wasi i nasi ubodzy poddani w mieszkaniach swoich uspokoiwszy się, wam i nam dziękując, Bogu modlili. To tedy w sercu postanowiwszy, od króla perskiego przyszedłszy, wam bratu naszemu Zygmuntowi królowi polskiemu, na znak dobrego i szczerego braterstwa ten list miłości i zgody pełen napisawszy, oznajmując posyłamy. Naprzód na dziedziczną ojca naszego stolicę krymską przyszedłszy, i 12 dni posiedziawszy, urząd mój co na gałgę należy odprawując, po tak dawném się z bratem naszym Mechmet Gierejem niewidzeniu, ciesząc, zabawiliśmy się, i jeszcze prawie niżechmy się z sobą nabyli, jakoby trzynastego dnia z Stambułu okręty przyszły i nam tę wieść przyniosły, że hańtwo krymskie Dzianibeg Gierejowi chanowi dano, z którym 40 galer

z 10,000 janczarów i ze trzema wezyrami, jeden kapudzi basza co jest starszy nad odźwiernemi cesarskiemi, wyprawiony. Tych do Kaffy wysadziwszy, do Krymu na państwo inszego prowadzić chcą, dostatecznie nam oznajmiono. Co my usłyszawszy, ileby to było w państwach naszych i w stolicy krymskiéj starszych panów wojennych, a wrotom naszym posłusznych, dawnych nam życzliwych, starych i młodych, więc Czerkiesów, Nahajców, Tumanów, Siewkalów i wielu inszych, obwieściwszy. Ci do wrot naszych zbieżawszy się, do nóg brata naszego starszego i do naszych także głowy położywszy. „My nie chcemy inszego nad was hana i sułtana, pójdziemy przed wami obiema bracią, wprzód pomrzemy;" mówiąc przysięgali i przysięgę strzymać obiecali. Tymczasem Osmańczykowie Dzianibeg Gierej chana ze 40 galer, ze trzema baszami i janczary do zamku Kaffy przywieźli. Całe trzy miesiące wojska szły z Konstantynopola, tak, że Kaffę wszytką napełnili. Czwartego miesiąca z Kaffy wyszedłszy z nami się ujeżdżali. Kozaków dnieprowych waszych Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz, nam Szahin Gierejowi sułtanowi bratu Waszemu w towarzystwo przyszło trzysta Kozaków. Pan Bóg Wszechmogący się zmiłował, a nam w bitwie poszczęścił, tak, iż janczary i dziebediów pobiwszy, z wezyrów co z niemi byli Hasan baszę i Imbram baszę zabiwszy, kapudzi baszę także nie żywiliśmy. Bodaj długo zdrowi byli ci trzysta Kozaków, którzy od was Szahin Gierejowi bratu Waszemu ku pomocy w towarzystwo przyszli, wedle myśli i serca się naszego sprawując, o nas się zastawowali. Rozgromiwszy onych janczarów i dziebedziów, co chana inszego stanowić mieli, i galery odstraszywszy, Kaffę, zamek wziąwszy, osiedliśmy, i w mocy i w ręku naszych jest. A tak Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz, z dawnych czasów, dziadów, pradziadów, bywaliśmy sobie bracią i przyjacioły, i my Wam, a Wy też nam zawsze pomagaliście; i za przodków naszych wojska nasze wespół za jedno chadzały, ludzie nasi do was, a wasi do nas przyjeżdżali, i dokąd, albo zkąd idziesz, nikt nie pytał: najmniejszemu też dziecięciu ani ubogiéj wdowie przykrości nie było. Aż to niedawnemi czasy nalazszy sposób albo okazyjkę Osmańczykowie wmieszali się między nas, którzy nas od Was, a Was od nas odłączywszy, nieprzyjacioły poczynili; mało jeszcze na tém mając, aby nas zwadziwszy narody nasze wytracili, zdradliwie się z nami obchodząc starali się i starają się. A tak Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz, przyjaźń i braterstwo, które były między

przodkami naszemi, wspomniawszy, tém mocniéj teraz ja brat Wasz Szahin Gierej sułtan trzymać chcę, i to, co jest dobrego w sercu mém, oznajmuję. Od Turków i Wam i nam przyjaźni się spodziewać nietrzeba, bo gdyby się im okazya podała, i Was i nas jednegoby dnia nie żywili. Pan Bóg Wszechmogący niech im sposobu i okazyi żadnéj nie daje. Przeto jako oni nam dobrego życzą, tak i my im życzyć chcemy, i poruczywszy się Bogu, za złe złém oddawać będziemy. Patrzcie, przeszłego roku o Wasze złe starali się, Pan Bóg nie dał; tego roku zaś o nas się starali, oto im Pan Bóg nie poszczęścił. Dlatego Najaśniejszy królu Zygmuncie bracie nasz z Szahin Gierejem bratem Waszym, abyście jedność i zjednoczenie uczynili, a obietnicom i przysiędze naszéj abyście wierzyli i braterstwa doświadczyli. Dajcie nam dnieprowych Kozaków, tych my z sobą wziąwszy z Turki łacno postępować będziemy. A jako za przodków naszych było, że cokolwiek po naszéj stronie Dniepru jest, to niech nasze będzie aż dotąd, gdzie Owcza woda się poczyna. A cokolwiek zaś po tamtéj stronie Dniepru, to Wasze niech będzie; od téj zaś wody Owczéj, aż do początku wody Bocznk po samy Dun i moskiewska strona niech Wasza będzie, a co za Dunem do nas, to téż nasze niech będzie. My wojsko tatarskie, które się kolwiek znajdzie w Białogrodzie za pomocą Bożą na ową stronę Dniepru przeniesiemy. Zaczém te trzy zamki: Białogród, Tehynią i Kilią już puste i próżne zostawią. Jeśli tych zamków pragnąć będziecie, wojsko posławszy weźmijcie i trzymajcie. Jeśli téż Najaśniejszy bracie nasz, wojska swego posłać nie zechcecie, dajcież nam Kozaków dnieprowych, a w tém nam braterstwo ukażecie. My Białogród, Tehynią, Kilią, te trzy zamki wziąwszy wam oddamy, tylko w tém nam braterstwo uczyńcie, aby Kozacy dnieprowi do nas przyszli, którym rozkażcie, bo oni zdobyczy chciwi, iż my téj zimy stada i bydła nasze zabrawszy za Dniepr zagnać chcemy, aby tego nie ruszali. A my tak krymskich i nahajskich Tatarów zatrzymamy, że z państw waszych i kokosz nie będzie wzięta Niechaj i wasi przychodzą, a nad Dnieprem z dobrami i stadami swemi niechaj chodzą, a tak będzie zgoda, miłość i jednota, za dni wielmożności Waszéj króla Zygmunta brata naszego i za dni Szahin Giereja sułtana brata Waszego. Za którą ubodzy poddani w pokoju siedząc i wczasów swych zażywając, póki jeno żywota im stanie, tak za was jako i za nas Boga modlić nie przestaną. Więc i dobra sława do sądnego dnia o Was i o nas ztąd będzie, bo ojciec dzieciom o tém powiadając, aż do skończenia wieków wspominać

nas będą. Gdy tedy braterstwo i stała jednota między Wami Najaśniejszy królu Zygmuncie, a między nami Szahin Gierejem sułtanem nastąpi, a Kozaków dnieprowych gdy do nas poślecie, za pomocą Bożą z nimi się wziąwszy, a z Turki się rozprawiwszy, między nami także postanowienie i przymierze ślubem i przysięgą utwierdzone niech będzie. A iż moskiewski król posła swego przez ziemię naszę do Turków posyłał, aby wojsk swoich mu dawszy, z jego wojskiem się złączyli i Was wojowali, obiecując im za to Astrachań i Kazań, a państwa Wasze zwojowawszy i o nas by się kusili. Rozprawiwszy się tedy z Turki za błogosławieństwem Bożém, z wami wespół poszedłszy, przodków naszych niekiedy będące państwa i zamki, które są nad wodą Adyl tojest Wołgą, sobie weźmiemy..... Te rzeczy i obietnice abyśmy między sobą trzymali, potrzeba. Kozakom dnieprowym do nas przyjść rozkażcie, których nie dlatego abyśmy wojska naszego mało mieli pragniemy. Mamy go chwała Bogu dość, ale u Osmańczyków, iż janczarów z rusznicami niemało, na rusznice téż rusznicznego wojska trzeba. Dlategoż od Was brata naszego Najaśniejszego Zygmunta Kozaków potrzebujemy, i żądamy, abyście nam téj zimy tysiąc Kozaków dnieprowych przysłali, a drugich po święcie wielkiém Waszém (tojest po Wielkiéjnocy) w piętnaście dni przysyłajcie. Więc od Was Najaśniejszy bracie nasz, nam przedtém upominki zwyczajne syłane były, na miejsce ich nam bratu swemu prochów i ołowów poślijcie. Nad proch i ołów większego podarku u nas nie będzie, bo przedtém prochy i ołowy od Turków kupowaliśmy; teraz Turcy nam nieprzyjaciołom więcéj tego przedawać i przynosić nie będą, gdyż i okrętom przystępować zakaz uczynili. Jeśli tedy nam przyjaźń i braterstwo oświadczyć chcecie, prochów i ołowu nam na pewne miejsce przyślijcie. To będzie od Jasności Waszéj nam wielka przyjaźń. Zatém pokój Boży nad dobrze czyniącemi. Pisan dnia 5 miesiąca zylkadde nazwanego, roku od Mahometa 1033.

(Na pieczęci napis: Szahin Giraj sułtan z synów Saadet Giraj hana).

Cedula.

My gałga Szahin Gierej brat Wasz przy liście naszym zgody i miłości pełnym królowi J. M. Zygmuntowi bratu naszemu, szablę sadzoną kamieniami posłaliśmy, za wdzięczne przyjmijcie. Jeszcze wiadomo niech będzie bratu naszemu Najaśniejszemu

Zygmuntowi królowi, że obiema nam król J. M. perski Szach Abbas pismo swe posłał, który Wam bratu naszemu i z szablą sadzoną przez wiernego naszego Aju Bega posyłamy. Z téj szabli tak z wierzchu jako i ze spodu 13 kamieni zginęło, żeby Jasności Waszéj było wiadomo. Najaśniejszy Szach Abbas król perski nam Szahin Gierejowi sułtanowi bratu Waszemu, przedniego żelaza szablę posłał, abyśmy tą szablą Turki bili. Tą też, którą Jasności Waszéj królowi Zygmuntowi bratu naszemu posyłamy, Turki bić macie: tak wiadomo niech będzie.

Relacya teraźniejszéj wojska zaporozkiego imprezy do Krymu.

Mahmud Gierej han z Szahin Gierejem sułtanem bratem swym, zaciągając Kozaków do Krymu, taką przysięgę w pośrodku rady kozackiéj stanąwszy wykonali: „Przysięgamy J. K. M. panu naszemu mił., za osiągnieniem przez wojsko nasze ojczyzny naszéj, wierne poddaństwo, życzliwość i poddaństwo wszelakie, które za najmniejszém J. K. M. i Rplitéj rozkazaniem, odprawować ochotnie gotowi i powinni będziemy, i nietylko ordę swoję na posługę J. K. M. i Rplitéj posyłać, ale i sami przeciw każdemu nieprzyjacielowi J. K. M. i Rplitéj przybywać będziemy, upominków zwyczajnych od J. K. M. i Rplitéj wyrzekamy się, i pilnie tego przestrzegać mamy, aby żadne inkursye do państw J. K. M. nie bywały, i swawolników takowych poskromić i surowie karać obiecujemy: niewolników wszystkich z Krymu powydawać wojsku i u Tatarów odbierać pozwalamy. Czego niech Pan Bóg nam dopomoże, a ta przysięga od nas wcale zachowana będzie." To skończywszy, Kozakom Szahin Gierej przysięgał i za hana brata swego, wszedłszy do Krymu jakożkolwiek szczęście posłuży, od wojska nie odstępować, i owszem i złe i dobre przy wojsku zaporozkiém ponosić; a nie przyszłoby państwa osieść, z niemi się na zwykłe miejsca wrócić, a na dalsze szczęście i łaskę Bożą oczekiwać. Po wykonaniu téj przysięgi pozwolili Kozacy z nim iść do Krymu i dzień ruszenia się wojska 8 *novembris* naznaczyli, którego się czasu ruszywszy od Mikitina rohu, do Kamiennego zatonu przez Dniepr przeprawowali dwa dni; jednak barzo wiele na brzegu pozostało się Kozaków, dla zazdrości starszemu téj sławy, iż nie z ramienia J. K. M. podany był. Co starszy postrzegłszy,

miał radę upominając się u nich tego, czemuby nie ochoczy na takową przysługę byli, iż tak małe barzo ściągnęło się wojsko. Krzyknęli wszyscy, iż w kozactwie z ochoty tylko każdy idzie na wojnę a nie przymuszony; a teraz przeciwko zimy każdy z nas i z towarzystwa naszego, wzdrygać się musiał nieprzyodziany a w takową ziemię iść, w któréj ani się przy czém ogrzać, ani żywności dostać, tak dla siebie jako i dla koni, wojennikom straszno. Ci jednak którzy zostali, chcąc iść, temi się słowy ofiarowali: iż my ochotnie idziemy, niechcących przymuszać nie będziemy, aby tylko sławy wojska swego nie utracić, a na zwykłe miejsca wrócić się. Co im za takową ochotę starszy podziękowawszy, tém bardziéj animował ich, i ochoty do zawziętego przedsięwzięcia dodawszy i pułkowników naznaczywszy, poszedł z wojskiem polami do Kajera, piechotę czółnami posławszy, która się tam z kommunikiem skupić miała. Trzeciego potém dnia, 12 *novembris* u Kisienki meczetu tatarskiego, który tu *antiquitate* jako orda na tych miejscach przemieszkiwała, u Nosakowskiego nad Dnieprem ostrowu położony, stanęli i wojsko przepisowali, kazawszy i czółnowéj piechocie do brzegu przywrócić. Przepisało się wojska komunika tysięcy dwa, piechoty dwa, ordy z Szahin Gierejem półczwarta sta, i ciągnęli do Kajera, gdzie pół dnia chodu, i piechota tamże się skupić miała, czółny swoje zostawić, a ztamtąd już jednym cugiem za dzień i noc pod Perekop spieszno idąc, podpaść potrzeba było. Do Kajera przyszedłszy radę mieli, jeśli nie spoczywając wojsku tego dnia iść. Na co Szahin Gierej radził i prosił, aby się nie bawić, konsyderując to, iżby się nieprzyjaciel nie ostrzegł, a lubo wziął wiadomość o nas, nie zbierze się w potęgę tak prędko, zaczém nam odporu nie będzie miał dać jako; do tego w takim razie prędkości potrzeba, żeby w nocy doszedłszy do Perekopu niewiadomie zarazem go wziąć; tam orda rada nie rada duszmana mego odstępując do mnie kupić się będzie, a gdy czasu nieprzyjacielowi pozwolimy, zmocni się na nas niepotężnych, i sposoby do obrony sobie i dania odporu wynajdzie. Na co Kozacy krzyknęli, iż pole bezwodne i cug daleki, odpocząć potrzeba, a tym małym czasem do dobrego nic się zagrodzić nie może. Tamże przenocowawszy, 14 *novembris* polami ruszyli się przychodząc *circa mediam noctem*, i zbliżając się już ku Perekopowi iż było języka potrzeba wpadłszy bez wieści pod miasto dostać, zastanowił starszy wojsko; w czém nie dufając inszemu i téj przysługi sobie u wojska życząc, sam starszy z kilkąnasto człowieka,

z kilką Tatarów Szahin Gierejowych się puścił, kazawszy wojsku taborem następować. Nie dochodząc miasta w mili, na stada kilkanaście tysięcy perekopskiéj ordy Nahai Kantemirowy samego natrafili, którego przepatrzywszy jako i Tatarów i murz przy stadzie koczujących, wrócili się do wojska, w radę cicho wezwawszy, jeśli stadu dawszy pokój na Perekop prosto uderzyć, W czém taka Szahin Gierejowa rada, aby pominąć stado, w ziemie za Perekop wpaść, i do samego Bakczysaraju ciągnąć, to upatrując, iż wojsko zdobycz tę otrzymawszy, nie zechce się daléj ważyć, ale zarazem wracać się będą chcieli (jakoż i tak się stało). Kozacy na takowéj radzie nie przestawając na stado zezwolili, powiadając, co się opiece ukroić, czemu nieprzyjaciela żałować i tych sposobów, które mogą być do zniszczenia jego zaniechiwać; stado wziąwszy pod piechotę koni przysposobim i pójdziemy do Perekopu, a co Pan Bóg nam naznaczył, to nie minie. Uszykowawszy tedy komunika na trzy pułki, Szahin Gierejowy czwarty, czekali ażby świtało, żeby snadniéj uderzyć i widzieć na co natrzéć. W tym téż czasie znać, że się orda ostrzegłszy przy stadzie zatrwożyła. Ku dniowi ruszyły się pułki, tabor po lekku szlakiem następował, a zbliżywszy się pod stado oraz skoczyli. Szahin Gierej lewe skrzydło trzymając zagarnął stada, a Kozacy także prawém skrzydłem uderzywszy, do pięciu tysięcy wojennych koni i z stadnemi zagarnęli, i ułusy na których orda koczując niewolników naszych trzymała, rozgromili, Tatarów tamże niemało zaskoczywszy, i wszystkie dostatki, których odbiegli, do taboru zapędzili. Starszy z Szahin Gierejem w tropy za Tatarami i za ostatkiem stada, które uganiali, szedł, a doszedłszy ich uderzyli się z ordą. Pan Bóg zdarzył szczęśliwie, z wielką szkodą ich a naszych z małą, gdzie i Szahin Gierej z Tatarami swemi najeżdżając, tak żywcem dostając jako i na placu pokładając, Nahajców znacznie raził, a przed tym czasem już wieczorem Dżanibeg Gierej han i Dawlet Gierej sułtan gałga do Perekopu przybyli, i wziąwszy wiadomość o tém z dział kazali bić, aby się orda kupiła. Przybierało się potém ordy z poranku aż do wieczora, z którą Kozacy tabor sprawiwszy, przez wszystek czas tak harcami jako i wstępnym bojem potykali się, następując spieszno pod Perekop. Przychodząc ku miastu i zbliżywszy się pod mury zamku perekopskiego, zkąd tylko co z dział nie dosięgali, stanęli. Kozacy radę uczyniwszy krzyknęli, aby się już z tego miejsca na Zaporoże, w ziemię w małéj potędze nie wchodząc, wrócić się, aby zaś za

wzmocnieniem się nieprzyjaciela i téj zdobyczy nie utracić, i w samych sobie szkody wielkiéj nie odnieść. Co Szahin Gierej usłyszawszy, frasowliwy barzo przyszedł do rady, aby odmieniwszy zamysły swoje takowe nie trwożyli się, i owszem to co umyślili wykonywali, tych słów zażywając: „Panowie mołojcy, nie jestem ten, któryby wojsku niesławy życzyć miał i na zgubę prowadzić, ale raczéj na sławę i przysługę; a ladajako odchodzić nie spróbowawszy się z nieprzyjacielem i serca onemu na się dodawać, wojennikowi azali przystojna? Darujcie mi noc jednę, a ja mam takich przyjaciół tam swoich, że mi dadzą znać o zamysłach i potędze nieprzyjaciela mego, jeślibym się kusić miał albo nie miał, i dopiéro odstąpić. Jeżeli o niedostatek wody i paszy idzie, staniem na wiosce miasta tego, tojest na futorach nazwanych Kosarany nad limanem morskim, i wody zasięgniem, i koni choć po trosze pożywić możem, a w tym czasie mam nadzieję w Bogu, iż przy sprawiedliwości mojéj, przeciwko duszmanowi memu dopomoże“ (jakoż za Szahin Gierejem nad Dniepr przyszła ta wiadomość, że już tamci carowie z Kantemirem uchodzić z Krymu mieli, byliby Kozacy do odwrócenia nazad nie pospieszyli). Na co Kozacy nie pozwalali i owszem ku Dnieprowi na odwrót wołali. Ochota jednak starszego iż zgadzała się z wolą i z radą Szahin Gierejową, przeciwko woli i nieochocie wojska kazał następować. Szahin Gierej sam animując nieochotne wojsko i nie dufając sercu tak dalece chorążego swego jako sam sobie, chorągiew wziąwszy sam na ordę, która pod temiże Kosarany mogiłę obsypała rezolutnie skoczył, że aż na wały perekopskie zagnani dusili się, i tę wioskę Kosarany w któréj folwarki perekopskie, samiż zapalili, iżby wojsko kozackie bez żywności dla koni i wody znędzniéć mogli, a tém prędzéj odstąpiło i w ziemię wchodzić nie ważyło się. Nie dochodząc tedy téj wioski pod wałami taborem stanęli Kozacy bez wody i bez paszy; Tatarowie więcéj nie nacierali. Szahin Gierej radził, aby za Perekop zajść, spodziewając się iżby się orda kupić do niego, a duszmanowie jego szwankować musieli. Na co Kozacy nie pozwalając we trzy godziny w noc ruszyli się do Perekopu na Zaporoże ciągnąc. Postrzegłszy tamci carowie, część wojska swego wysłali zabawiając tabor kozacki, a tymczasem sami na większą się potęgę zdobywając; lecz Kozacy dawali odpór rażąc tych, którzy nacierali na tabor, ale i z tamtéj strony janczarowie podsuwając się blizko pod tabor i armatę podwożąc, szkodzili. Takowéj zabawy było

aż do Kalancaku mil cztéry od Perekopu, gdzie orda stada swoje z Krymu na paszę i dla wody słodkiéj, któréj jest w jeziorach potrosze, zapędzać zwykła; tamże wojsko kozackie koni spracowanych i siebie samych pragnących wody trochą pocieszyli. Podczas wschodu słońca na toż miejsce Kantemir dobrze przygotowany z Dzianibeg Gierejem chanem i z Dewlet Gierejem gałgą, przybywszy w dziesięć tysięcy ordy z janczarami i z działami, w równém polu ze wszytkich stron na tabor potężnie raz, drugi i trzeci, bez przestanku nie dając się poprawić, nacierali. Zdarzył Pan Bóg, iż Kozacy spieszywszy się z koni wszyscy, a blizko ordę nacierającą przypuszczając, dawali znaczny odpór tak ich rażąc dobrze, że plac tameczny zagęścili trupem nieprzyjacielskim, gdzie i murzów znacznych niemało poległo. Czém barziéj żalem zwiedziony i zajuszony Kantemir, janczarom się swoim z koni spieszyć kazał, pułki komunikiem sam przewodząc z tyłu przyganiał; lecz że ochynąwszy się z piérwszego razu Kozacy tém lepiéj i mężniéj nacierając się z nimi nabili wielu janczarów i Tatarów, ze wstydem i z żalem Kantemir odstąpić musiał. Z dział już tylko i z janczarek sięgając zdaleka do samych Kackarów mil dziesiątek od Perekopu odprowadzali Kozaków, ztamtąd więcéj nie nacierając odwrót uczynili, a Kozacy ku Dnieprowi na Tawani pod Aslangród przyciągnęli, i tam dzień z téj pracy spoczywali, i zdobyczą końmi się dzielili; zkąd Szahin Gierej nieprzyjaciela swego wszelakiemi sposobami gnębiąc, posłał znowu zpod Aslangrodu 20 swych Tatarów pod Perekop, którzy półtrzecia sta rumaków wojennych i 16 Tatarów przyprowadzili. A wojsko kozackie z Szahin Gierejem i chanem na Zaporoże do téjże przeprawy Kamiennego-zatonu przyciągnęli. Gdzie już przeprawując się na stanowisko swoje nazwane Wołczą Witką, poseł przyszedł do Mechmet Giereja chana i Szahin Giereja gałgi od Wielkiéj Nogai, która za Ohonem koczuje, siostrzeńca ich sułtana za pana swego mając, który takowe odprawował poselstwo do carów: „Siostrzeniec Wasz a sułtan nasz i orda wszytka nogajska, dowiedziawszy się żeście spędzeni będąc z państwa swego, udali się do wojska zaporozkiego J. K. M., przysłali mię dając znać wam, iż sułtan nasz i wszytka orda, chce zarówno z wami trzymać i wespół przeciwko temuż nieprzyjacielowi być, gdyż tamta Nogaj z krymską ordą w nieprzyjaźni wielkiéj ustawnie.“ Chan tedy upatrzywszy, iżby mu to na wielkiéj pomocy było, chcąc ich sam przez się do siebie przychęcić, za pozwoleniem

od Kozaków poszedł do Nogai, aby tę ordę nogajską przyprowadził na wiosnę, i za pomocą Bożą do Krymu ich zażył. Szahin Gierej zaś na Zaporożu między Kozakami został, i nie chcąc dać odpoczynku nieprzyjacielowi, ustawicznemi podjazdami szarpał, zażywając na to Tatarów swych i Kozaków ochoczych, tak, iż na tę stronę ze stady iż dobytkami swemi wychylić się na paszę nie mogą, a inszych też pasz oprócz tych w Krymie nie mają i wczesnych mieć nie mogą.

Inkwizycya z 1629 roku.

Inkwizycya odprawowała się w obozie pod Uściem, przy wielu ludziach zacnych wojskowych, nad zdrajcą Kamieńskim szlachcicem z województwa podlaskiego z powiatu grodzickiego, którego byli wzięli Tatarowie pod Ostrogiem, kiedy służył p. Walentemu Kosakowskiemu, co się działo roku 1617, tojest pojmanie, a teraz jest od wojska polskiego pojmany; który był przy Szahin Giereju sułtanie, przy synie Gani Girajowym w zagonie, który się od Belza wracał.

Pytany wiele wojska wszystkiego w Polsce było, powiedział: sześćdziesiąt tysięcy. Pytany wiele ludu w Krymie zostało przy caru, powiedział dziesięć tysięcy, a drugie dziesięć po różnych miejscach być może. Pytany ze strony Bernawskiego jeżeli wiedział o tém wtargnieniu, powiedział że wiedział i miał drogę pokazać, i upominki wielkie obiecywał sułtan: gałdze trzydzieści tysięcy talarów, Kantemirowi piętnaście, innym sułtanom i murzom po kilka tysięcy, a to dlatego, żeby go na hospodarstwo wprowadzono do Jas; co obiecowali onemu wracając się z Polski, ale nie szczerze, albowiem gałga mówił: dałby mi go Pan Bóg z Chocinia wywabić, zarzekłby się hospodarstwa. A chcąc mu uczynić otuchę dobrą, zakazano wojsku pogańskiemu, aby w ziemi wołoskiéj najmniejszéj przykorzyzny nie czynili krom wzięcia żywności; dlaczego w miasteczkach i wsiach gałga ludzi zostawiał, żeby przestrzegali, aby jakie gwałty i krzywdy nie były. Pytany jako się gałga z Kantemirem przeprawiał przez Niestr, powiedział: wprzód Kantemir się przeprawił i stał dwa miesiące w polach konie pasąc, na przyście gałdzyne czekając, do którego gałga miał się za trzy dni przeprawić. Przeprawił się pod Oczakowem w uczujkach; tam Kantemirowi przysłano konia, buławę i szablę,

rozkazując mu, żeby Polskę plondrował ogniem i mieczem, czego się z chęcią podjął. Pytany jeżeli wiedział o p. Chmieleckim i o naszém wojsku, powiedział żechmy dostali języka, że p. Chmielecki pod Barem z małém wojskiem; na co rzekł gałga: wrócim się nazad z plonem nim się Chmielecki o nas dowié. A kiedy o naszém wojsku powiedziałem Kantemirowi, rzekł: Ladaco to, miał Żołkiewski kilkadziesiąt tysięcy wojska, a przecieśmy go znieśli. Pytany czemu chude bachmaty macie, powiedział: żeśmy dniem i nocą szli, a to gwoli Chmieleckiemu, żeby nas nie zabieżał z strony. O Szahin Giereju powiedział, że jest pewnie w Kuzielbasiech, i przysyłał teraz do swoich żon, które żyją w nędzy w Bakczysaraju, młynkiem jednym tylko się żywiąc. O wojnie téj z któréj Szahin Gierej uciekł do Persyi, powiedział: kiedyby byli Kozacy ubiegli wodę, która tylko w ćwierci mili była od nich, zaraz miała się orda oddać.

WYCIECZKA ARCHEOLOGICZNA

W NIEKTÓRE STRONY GUBERNII RADOMSKIÉJ

odbyta w miesiącu wrześniu r. z.

PRZEZ

F. Max. Sobieszczańskiego.

(Z mappą i dwoma drzeworytami).

(Dokończenie).

VI.

Droga do Chęcin — Zakłady w Białogoniu.— Miasteczko Chęciny.— Historya tego miejsca i ruin zamku.—Stan obecny.—Kościoły i ich opis.—Góry marmurowe i historya ich łomów.— Wyliczenie wszystkich kopalń pokładów i odmian znajdujących się tu marmurów.—Powrót do Warszawy. — Kilka słów o popielnicach znalezionych we wsi Brzoza i o zgonie artysty w Kunowie.

W jednym z tych prześlicznych dni jesiennych, coto często lato u nas przedrzeźniają, wybrałem się zwiedzić Chęciny i sławne tameczne marmury. Wabiła mnie wprawdzie zewsząd cudowna ze swojemi widokami góra Karczówka z klasztorem Bernardynów, ale przyznam się, że na ten raz sprzykrzyły mi się już klasztory, a potém o Karczówce podobno niewieleby można więcéj powiedzieć nad to, co już wiadomo. Piękną zatém drogą, bitym gościńcem, zajechaliśmy do osady fabrycznéj Białogoń zwanéj, o 5 wiorst od Kielc oddalonéj; lecz także nie dlatego, abym ją szczegółowo opisał, bo szczęściem dla mnie, już to dawno i dokładnie zrobiono, ale trzeba jednak widzieć koniecznie ten ósmy cud świata w Kieleckiém, aby mieć wyobrażenie o istotnie wzorowym tym zakładzie.

Niedaleko od zabudowań białogońskich zastanowił mnie na drodze krzyż niezwykłego u nas kształtu: tak jest piękny i wytworny, a wystawiony na pamiątkę, że panująca po całym kraju w latach 1848 i 1849 cholera nie dotknęła tutejszéj osady. Jest-to pomnik wdzięczności urzędników i robotników białogońskich, którzy sposobem składki go wznieśli, według projektu i rysunku p. Bolesława Podczaszyńskiego budowniczego warszawskiego, zaszczytnie z prac swoich piśmiennych i z rzadkiego gustu znanego. I myśl doskonała, i trafne wykonanie bardzo mi się podobały; takie dzieło zasługuje na rysunek, lecz w braku tego przynajmniéj jak wygląda opiszę.

Na szerokim stopniu kamiennym stoi naprzód murowana kwadratowa podstawa, daszkiem blaszanym przykryta, w któréj umieszczony jest kamień z napisem. Na téj podstawie wznosi się krzyż z żelaza lany w Białogoniu. Krzyż ten w średniowiecznym (gotyckim) stylu składa się ze spodu w postaci ośmiościennego słupa na kwadratowéj podstawie; z czterech stron przy słupie na konsolach umieszczone są posągi świętych patronów górnictwa krajowego: N. Panna, św. Barbara, św. Antoni, św. Konegunda. Pomiędzy posągami umieszczone są na rogach podstawy słupki utrzymujące daszki z gwiazdą na frontonie, a gotyckim głąbiem na szczycie każdego. Nad samemi słupkami umieszczone są podobnież ale znacznie mniejsze szczyty (pinacula). Takim jest bogaty spód, niejako podstawa krzyża samego, który osadzony na kapitelu słupa wspomnionego, z ramion ośmiobocznych złożony, końce tych ramion na sposób średniowieczny liśćmi ma przyozdobione. Na krzyżu umieszczony jest wizerunek Zbawiciela ukrzyżowanego, odlany podobnież jak i inne posążki tego pomnika podług wzorów z pracowni p. Pawła Malińskiego b. professora rzeźbiarstwa w b. uniwers. Alexandryjskim. Wysokość zaś jego całkowita jest od ziemi do wierzchu łokci 7 ½.

W Białogoniu, w miejscu gdzie była dawniéj huta zwana hutą Alexandra, do wytapiania rudy miedzianéj służąca, wznoszą się teraz liczne budowle zakładów fabrycznych, które z zadziwieniem oglądałem, i z uwielbieniem, ze schyloną głową przed przemysłem ludzkim wyszedłem. Co tu za porządek, jaka czynność, jak tu wszystko śliczne, wzorowe! Powiadano mi, że wyroby tutejsze przewyższają wszystkie inne w kraju co do piękności, gładkości, doboru i rysunku, w co bardzo łatwo uwierzyłem, przypatrując się tu wszystkiemu, jakkolwiek oczyma niewiadomości. Główną czę-

ścią zakładu są warsztaty mechaniczne, i te wybornie mają być urządzone. Warsztatów tokarskich i heblarni jest do 40; najbardziéj jednak zwrócono moję uwagę na tokarnią prostopadłą do wytaczania we środku cylindrów dużego rozmiaru; pokazywano mi także tokarnią obrotową do wiercenia dziur w różnych miejscach blachy, bez jéj poruszania; machiny do narzynania kółek, i narzynania śrub, tudzież machinę, która sama tnie blachę i robi z niéj rozmaitego rodzaju wyborne gwoździe. Wszystkie te warsztaty poruszane są kołem wodném z żelaza, prześlicznie urządzonem, lub machiną parową o sile 12 koni, podobnież wytwornie zrobioną. W zakładzie tym wykonywają machiny parowe, rolnicze wszelkiego rodzaju, których skład w osobnym gmachu znajduje się; robią tu blachę pobielaną żelazną, na sposób angielski, rozmaite odlewy według obstalunku, których ogólnie wartość roczna w przecięciu do 400,000 rub. sr. wynosi.

Oprócz budowli zakładu, szereg prześlicznych domków nad kanałem wystawionych dla robotników, nadaje téj osadzie postać małego miasteczka; wszystko zaś odznacza się szczególnym porządkiem i systematycznością fabryczną.

Wyjeżdżając z Białogonia zaraz za tym zakładem najpiękniejszy pokazał się nam widok: wyobraźcie sobie stromą górę lasem okrytą, która zdaje się zupełnie zamykać drogę. Zbliżywszy się spostrzedz się daje wąwoz, przez który płynie rzeka dostarczająca wody dla Białogonia; po jéj brzegach jest wązkie pasmo łąki, i las z jednéj strony cały świerkowy, z drugiéj lipowy, wznoszący się na bardzo znacznéj spadzistości. Jednego jasna, drugiego ponura zieloność odbijały się wzajemnie, wśród drogi zrobionéj, a raczéj wyrąbanéj w skale, u spodu góry idącéj. Dodajmy do tego promienie jesiennego słońca, które wierzchołki lasów świerkowych pozłacały, kilka chatek i młyn na rzece, a będziemy mieli wyobrażenie o cudownym tym krajowidzie, któregoby nam Szwajcarya pozazdrościła.

Zdaleka o parę mil widzieliśmy już zczerniałe baszty zamku chęcińskiego i wyniosłą górę, ze wszech stron coraz to inaczéj szczerby ruin przedstawiającą. Nareszcie po krętéj i z wielkim nakładem wybudowanéj drodze zbliżyliśmy się do miasta.

Właściwie cała pierwiastkowa historya Chęcin odnosi się do zamku na szczycie skały marmurowéj zbudowanego, co obecnie w gruzach leży, a który najodleglejszéj sięga starożytności. Miasteczko zaś leżące pod górą, dawniéj na inném miejscu, tam, gdzie

dziś wieś Stare Chęciny zwana, będące, tylko o tyle występuje na widownią, o ile dzieje zamku na niego wpłynęły. Byłato albowiem w swoim czasie niezdobyta twierdza, którą panujący na wszelkie ważniejsze zdarzenia zachowywali, i w któréj skarby koronne chowano: tak była uważaną za bezpieczną i pewną. Władysław Łokietek przygotowując się na otwartą i walną wojnę z Krzyżakami w r. 1318, jeszcze przed swoją koronacyą, skarby kościoła archidyecezalnego z Gniezna do zamku chęcińskiego przeniósł, tak jak skarby koronne i znamiona królewskie z tegoż Gniezna do Krakowa. W kilkanaście lat potém, tojest w roku 1331, kiedy tenże sam monarcha, aczkolwiek przyciśniony laty, przyrządzał wielkie do wojny siły, zaś publiczne sprawy chciał urządzić: zwołał na dzień św. Trójcy, w dniu 14 czerwca przypadającéj, powszechne i wielkie wiece czyli sejm do Chęcin. Byłto piérwszy raz wydarzony w państwie i jego historyi zjazd wszystkich ziem małopolskich i wielkopolskich, na który wszyscy wojewodowie i kasztelanowie zebrali się. Byli tam pomiędzy innymi Spicimir kasztelan krakowski, Mszczug sandomierski, Mikołaj krakowski, Wojciech brzeski, wojewodowie. Byli Adam kasztelan wiślicki, wielkopolskich i innych ziem panowie, oraz tychże ziem kanclerze, wicekanclerze, między niemi Piotr kanclerz wielkopolski a dziekan poznański, Piotr kanonik wicekanclerz krakowski, i inni, a nadto znaczna liczba dostojnych i godnych mężów, prałatów i baronów, których wymienia przywiléj wówczas w Chęcinach wydany, a w *Miechovii* Nakielskiego na str. 257 ogłoszony.

Na zwołane obrady z obozów, kurzem polowym pokryty, pospieszył 70-letni Władysław Łokietek i zasiadł na czele rady, senatu, biskupów, baronów, szlachty i rycerstwa, po raz piérwszy w jedno grono przez niego zebranych, aby przed śmiercią w chylącém się a złamaném strapieniami życiu swojém, wspólnie z niemi, dawne prawa do porządku przywieść, grożącemu niebezpieczeństwu zaradzić, a stosowne do potrzeb nowe ustawy wydać. Dzielny ten monarcha był już wtedy starcem wątłéj i suchéj postawy, lecz nikłe ciało pokrywało wielką duszę, a na czole wiekiem i nieszczęściami pooraném, w zapadłych oczach jeszcze tchnął umysł niepospolity i rozum przenikliwy. Wpośród tego licznego grona król zasiadł na majestacie, i w krótkiéj przemowie, przebiegając historyą swego życia, przypomniał zgromadzonym co w ciągu panowania zdziałał, do czego ich powołał, i co dla dobra

państwa potrzeba było koniecznie wykonać. Radził i prosił, aby prałaci i baronowie myśli swoich udzielali, jak wojnę z Krzyżakami prowadzić, jak publiczne pozałatwiać sprawy, które z dawnych powrócić, a które nowe utworzyć prawa.

I w skutek tego ważne na tym zjeździe stanęły ustawy, które chociaż w całości do nas nie dochowały się, stanowią przecież zasadę dawnego prawodawstwa polskiego, którego ślady w najważniejszych pomnikach zostały. Wtedy zgodzono się powszechnie, że gdy pod jednym panem jeden lud zostaje, wspólnego i tego samego powinien zażywać prawa, jednako być sądzony i jednę miéć monetę. Za tém poszło, że skoro jedno prawo być ma, a zatém i sądownictwo jednostajnie urządzić się winno; do czego wszystkiego odnowiono starodawne ustawy, lub nowe zupełnie w tym celu utworzono. Na wiecach chęcińskich podniesiono także do politycznéj działalności stan szlachecki, chociaż w owe wieki jużto był dawny zaszczyt i znamię służby rycerskiéj, ale Łokietek, który za jego pomocą wrócił na tron ojców swoich i kraj ocalił, przez wdzięczność wprowadził go rzeczywiście dopiéro na pole działalności, do większych zaszczytów posunął, a więcéj i zupełnie od innych oddzielił.

Nakoniec z tegoż sejmu ogłoszono także wielkorządcą Wielkiéjpolski królewicza Kazimierza, dając pomoc w synie wiekiem przyciśniętemu ojcu. Ważną tedy epokę w dziejach krajowych zajmuje sejm w Chęcinach odbyty, zwłaszcza, gdy obradujący prosto z swoich krzeseł siedli na konie, a król przemieniwszy uroczystą szatę monarszą na zbroję, zagrzani gotowością i męztwem rycerzy, udali się zaraz na pole przeciw nieprzyjacielowi i wydając walną pod Płowcami bitwę, potęgę krzyżacką tak starto, iż łatwiéj już było następcom zupełnie ich pokonać. Zdarzenia zatém w Chęcinach i pod Płowcami nowy naród, nowy stan, nowe państwo utworzyły, i były ostatniém dziełem wielkiego króla, który nawet tą jedyną pomyślnością nie mógł się cieszyć, gdy niebawem w r. 1333 zszedł z tego świata, zostawiając bogate myśli i dzieła rozpoczęte, które syn jego wykonywając, na imię Kazimierza Wielkiego zasłużył.

Te atoli wypadki w Chęcinach nie w samém mieście miały miejsce; sejm albowiem podług Kromera na obronnym tutejszym zamku odprawiał się, co doskonale się zgadza z przytoczonemi miejscami z listu Kazimierza W. w bulli Urbana Vgo papieża z Awenionu, pod dniem 5 marca 1367 wydanéj, w którym król

ten wyraził się, iż wśród skał i gór, w miejscach pustych i ponuremi lasami, gdzie tylko sam dziki i drapieżny zwierz przemieszkiwał, zarosłych, budując zamki, miasta i wsie; prosił zatém téjże stolicy apostolskiéj, aby mu dozwoliła w nowo założonych siedzibach, jakoto w Chęcinach, w Skawinie, w Szydłowie i Opocznie zaprowadzić i ufundować nowe kolonie Franciszkanów, którzyby swoją nauką, roztropnością i przykładem, wiernych Chrystusowi utwierdzali, a niewiernych do tejże wiary doprowadzali. Przychylił się do jego prośby papież Urban, i w skutek téj stanął tu w r. 1368 kościół XX. Franciszkanów, o którym później powiemy. Wielkie jest tedy podobieństwo, że miasto Chęciny wzrost swój dopiéro od Kazimierza W. poczyna, a przynajmniéj teraźniejsze; gdyż jak wiadomo, niedaleko ztąd leży wioska, która się Staremi Chęcinami zowie: ztąd bez wątpienia, iż była ona właściwie niegdyś dawném tém miasteczkiem. Są także dowody, iż Chęciny były jednym z piérwszych grodów, co prawem niemieckiém czyli magdeburskiém rządziły się, gdy w przywileju z r. 1465 Kazimiérz Jagiellończyk po spaleniu dawnych tutejszych akt odnawia te prawa tylko i wspomina, iż takowe były oddawien Chęcinom nadane. Za panowania albowiem tego monarchy, w tymże samym roku, Chęciny do szczętu spaliły się, a król na sejmie w Kaliszu w lipcu we środę przed św. Piotrem w Okowach, na prośby rajców tego miasta, wszystkie im prawa odnowił i potwierdził. Następnie chcąc jeszcze bardziéj podupadłe miasto podźwignąć, przywilejem wydanym w Krakowie w maju we czwartek po św. Zofii w r. 1487, nadał mieszkańcom prawo do kopalń tutejszych i inne niemniéj ważne swobody. Powiększył takowe Jan Olbracht przywilejem wydanym w Krakowie w dzień św. Agnieszki w r. 1494, urządzając prawa górnicze na sposób olkuskich i uwalniając od wszelkich opłat, ceł, targowego i t. p. Wszystko to zaledwie poczęło miasto podnosić, aliści w roku 1507 znowu całe Chęciny spaliły się, i Zygmunt I przywilejem w tymże roku wydanym w Krakowie, bacząc, iż po zgorzeniu miasta wszystkie jego dawniejsze prawa i ustawy od ognia zniszczone zostały, takowe im powraca i poprzednie odnawia. Tenże sam monarcha w r. 1525 urządził także górnictwo tutejsze co do podżupków, gwarków, praw i zwyczajów górniczych; podobnież syn jego Zygmunt August przywilejami, jakoto: jednym wydanym w Krakowie we czwartek po św. Franciszku Wyznawcy w r. 1550 ponowił da-

wne prawa i bliżéj takowe określił; drugim wydanym w Wilnie dnia 16 lipca 1555, oraz trzecim wydanym w Warszawie we wtorek po Wniebowzięciu N. Panny w r. 1571, kopalniami chęcińskiemi zajmował się. Niemniéj także i samém miastem, gdy dekretem wydanym w Piotrkowie w r. 1559 w niedzielę przed św. Agnieszką, oraz przywilejem z Warszawy pod dniem 10 grudnia 1565 r. przysądził mu wieś Polichno, którą starostowie odjąć starali się. Król Stefan Batory wydał przywilej w Krakowie w dniu 27 lipca 1583 r. na założenie tutaj szkółki i fundusz na nauczyciela przeznaczył, a Stanisław Karnkowski arcybiskup gnieźnieński na ten sam cel odstąpił dziesięciny, przywilejem z Łowicza 11 sierpnia 1583 r. Zygmunt IIIci na prośby Mateusza Post proboszcza chęcińskiego, przywilejem z Warszawy dnia 5 listopada 1611 r. zaprowadził tu jeden doroczny jarmark w dzień św. Doroty Panny i Męczenniczki, zaś Władysław IV uchwałą w skutek wyznaczonéj kommissyi co do urządzenia komor i cła, w r. 1643 dnia 27 maja zapadłą, pomiędzy miastami w Małéjpolsce i Chęciny na miejsce komory przeznaczył.

Atoli zniszczyła to wszystko piérwsza wojna szwedzka, gdy w r. 1657 wojska Jerzego Rakoczego księcia siedmiogrodzkiego i Bogdana Chmielnickiego w dniu 1 kwietnia wpadły do Chęcin, miasto zrabowali i spalili, a co oni nie dokończyli, okropnie szerząca się tu morowa zaraza przez lat cztéry do reszty miasto zgubiła, tak, że lustracya w roku 1660 uczyniona, z 341 domów przedtém miasto to składających, zastała tylko osiadłych domów 34, domków na górkach 14, czyli razem 48. Zaradzając tym klęskom Jan Kazimiérz przywilejem wydanym w Warszawie 24 kwietnia 1666 roku, ustanowił pięć jarmarków, aby z upadku go podnieść; ale to niewiele pomogło. Jan IIIci Sobieski pragnął także podźwignąć Chęciny, kiedy w uchwale sejmowéj roku 1677 dnia 14 stycznia oświadczył, że chcąc temu miastu nadać od napadów nieprzyjacielskich zniszczonemu, wzrost, i przywrócić go *ad pristinam integritatem*, aby do swéj przyjść mogło poprawy, dozwala wszystkim ludziom wszelakiego narodu w kraju znajdującym się budować się w Chęcinach z tém zapewnieniem, że przyjmujący prawa miejskie, mogą wszelkie prowadzić handle, trunki szynkować, one robić i zkądinąd sprowadzać. Uchwała ta w dalszéj osnowie, pozwoliła staroście puste place, do których właściciele do roku się nie zgłoszą innym odbudować się chcącym, oznaczyć, zastrzegając prawa starostom oddawna służące. Ale

na nieszczęście właśnie to zastrzeżenie, zamiast dopomódz, jeszcze bardziéj przyczyniło się do upadku miasta. Starostowie albowiem prawa swoje tak daleko rozszerzyli, że niemal od każdego rodzaju zarobku musieli mieszczanie i powinni byli starostom opłacać się. Aby ten wypadek zrozumiéć, potrzeba miéć wyobrażenie, coto byli starostowie po miastach dawnéj Polski. Przedmiot to ciekawy i zasługujący na osobne studyum, bo ci panowie ogromny wpływ na losy wszystkich miast w kraju wywarli. To co nam piszą o dawnych plantatorach murzynów, o uciskach jakich biédni niewolnicy doznawali, o nadużyciach wszelkiego rodzaju, jest niczém w porównaniu do postępowania polskich starostów. Onito właściwie zgubili miasta, zniszczyli przemysł i rzemiosła, a gruzami najpiękniejsze niegdyś grody zawalili. Jakoż nie można było dowcipniéj, a razem tak prawdziwie określić starostów, jak kasztelan Jezierski na pokojach Stanisława Augusta, gdy razu jednego mówiono o usiłowaniach, jakie na zburzenie Bastylii Paryżanie podejmowali; wesoły kasztelan rzekł wtedy do króla: „Prawda, że milion ludzi długo się mozoli z tym gmachem, ale racz im posłać W. K. Mość w pomoc kilku starostów, a oni wkrótce nietylko Bastylią, ale i cały Paryż zrujnują."

A jednak z zasad i pierwotnego swego przeznaczenia, urząd starosty byłato władza poważna i nader użyteczna, prawdziwie słowiańska i od wyrazu *starzec* pochodząca. Wiadomo bowiem, iż prawie wszyscy Słowianie przed chrześciaństwem, a mianowicie zakarpaccy ulegali władzy starców czyli starostów. Podobnież miało być i u Czechów, a nawet i na Rusi przed przybyciem Waregów. W właściwéj Polsce nie znano tego urzędu, aż dopiéro od panowania Czechów; ci bowiem używając go oddawna u siebie, i do Polski zaprowadzili. Piérwszą wzmiankę o starostach ma przywilej z roku 1295, dany przez Wacława króla Miechowitom, w Nakielskiego *Miechovii* wydrukowany. Gdy władza Czechów ustała w Polsce, zachowali królowie ten urząd, który pierwiastkowo wyższe jak późniéj miał znaczenie. W żadnym jednak narodzie słowiańskim nie miał takiéj powagi starosta, jaką miał w Polsce. Za Kazimiérza Wielkiego rozdrobiono władzę starościńską, powiększając ich liczbę i oddając im władzę w przedmiotach mniejszéj wagi, jakoto: w sprawach sądowych i administracyjnych niższego rzędu. Zatém odtąd należało do starostów sądzić, strzedz kraju i nim rządzić; ztąd powstali starostowie grodowi, graniczni i dzierżawni. Obowiązkiem ich było ściągać należytości skar-

bowe w obrębie swego starostwa, i wnosić je do kass publicznych, sądzić mieszkańców powiatu, tojest nieszlachtę na prawie polskiém osiadłą, szlachtę zaś tylko wtenczas, kiedy starostwo leżało w obrębie grodu, gdzie sąd grodzki zasiadał. Podobało się królom starostów i do tego upoważniać, aby nadto różne polecenia publiczne dopełniali. Oni też wybierali nietylko podatek, ale i wszelką daninę, ścigali przestępców, czuwali nad wszelkim porządkiem, bezpieczeństwem dróg, utrzymaniem w dobrym stanie miast i zamków; poprawianie tychże do nich należało. Starostom też ferowanie różnych krwawych wyroków poruczano, a zawiadujący grodem całe prawie do nich sądownictwo kryminalne należało. Wzrost zatém, ich znaczenie i władza, tak stała się potężną, a razem i zyskowną, iż do starościńskich zaszczytów najwięksi cisnęli się panowie. Z czasem atoli ta najzbawienniejsza instytucya, jak to zwykle na tym świecie, licznemi nadużyciami skrzywioną została. Starostowie zaś zamiast opieki i sprawiedliwości, burzyli i łupili co któremu się tylko podobało z niesłychaną bezkarnością, bo gdzież skarżyć się mieli uciśnieni? Starosta więc zapłaciwszy pewną bardzo niewielką summę podatków, był sobie panem życia i śmierci nad wszelkiemi istotami pod władzą jego zostającemi; i nie dziw, że o taki urząd każdy się ubiegał. Dzieje też nasze przedstawiają liczne przykłady kłótni i wielu zgorszeń pomiędzy możnowładcami polskiemi, którzy całe swoje staranie na to obracali, aby się zyskownemi starostwami obłowić, a potém obsadziwszy w nich podstarościego, ciągnąć zyski wszelkiemi możliwemi sposobami, bez względu na ludzkość, smutne następstwa i szkody całego kraju. Takiemito byli wszyscy dawni starostowie polscy, z małemi wprawdzie wyjątkami.

Do niepoślednich a bardzo zyskownych należało starostwo grodowe chęcińskie. w którém od najdawniejszych czasów aż do upadku kopalń tutejszych starostowie pobierali tak zwaną olborę z kopalń czyli dochód skarbowy z kopania kruszców w obrębie starostwa znajdujących się; ztąd posiadali go niemal zawsze bardzo możni panowie, chociaż z prawa, byłto chleb tylko zasłużonych. Najdawniejszemi starostami chęcińskiemi była niegdyś potężna rodzina Szafrańców: w roku 1508 był takim starostą Stanisław Szafraniec herbu Starykoń, a w końcu panowania Zygmunta Igo, Hieronim Szafraniec z Pieskowéj Skały. Za Zygmunta Augusta był nim już Stanisław, a potém Walenty Dębiński, który piastował oraz podobnież zyskowny urząd żupnika chęcińskiego

nad kopalniami. Zawakowane to starostwo po śmierci ostatniego było powodem do głośnie wrzących niechęci pomiędzy Janem Zamojskim hetm. kanc. wiel. koron., a Andrzejem Opalińskim marszałkiem wiel. koron. w r. 1587, gdy piérwszy chciał je wyrobić u króla dla rycersko zasłużonego Stanisława Przyjemskiego, drugi zaś dla Piotra Myszkowskiego, za to tylko, że się z jego córką ożenił. Zawiść i zazdrość znaczenia i potęgi hetmana rozdmuchnęła te niesnaski, a chociaż stało się według woli Opalińskiego, gdyż Myszkowski dostał starostwo chęcińskie, odtąd przecie rozdwojenie z Zamojskim i sprzeciwianie się jemu nawet z dobrem kraju było cechą postępowania marszałka. Ileżto razy błahy powód był podobnych następstw przyczyną!

W piérwszych latach XVIIgo wieku był starostą chęcińskim Stanisław z Ruszczy Branicki miecznik królestwa; od Branickich przeszło w posiadanie sławnego Stefana Czarneckiego, któremu Jan Klemens hrabia z Ruszczy Branicki marszałek nadworny i starosta chęciński, konsensem z dnia 20 sierpnia 1663 r. takowe odstąpił, jak o tém przekonywa akt téj cessyi w księgach metrycznych pod n. 203 na str. 287 znajdujący się. Ale waleczny ten hetman nagradzając zasłużonych pod bokiem swoim rycerzy, z własnéj woli obdarzył starostwem chęcińskiém aktem z dnia 25 stycznia 1665 r. Stefana Bidzińskiego herbu Janina, który był późniéj kasztelanem, a następnie wojewodą sandomierskim, o czém są dowody w aktach zwanych Sigillaty, księga 9 str. 14. Daléj Stefan Dominik Scibor z Marchocic Marchocki, a ostatnim emfiteutycznym tutejszym starostą na lat 50 od roku 1775 Bogumił Załuski; possessorem zaś niejaki szambelan Niewieściński. Starostwo chęcińskie od dawnych czasów składało się z miasteczka i zamku Chęciny, ze wsi Stare Chęciny, Korzeczko, Bratkowic, Bolechowiec, Murowana Wola z młynami, Wierzchowiec i Baranek, z których w roku 1789 czysta intrata wynosiła zł. 16764 gr. 19, denarów 12. Ci więc panowie powoli co tylko mogli, od miasta odejmowali; i tak są ślady w aktach miejscowych, iż Chęciny posiadały niegdyś wieś Polichno, przedmieściem chęcińskiém zwane, o ćwierć mili ztąd położone, a która przez samowolność i arbitralność starostów zabrana została. Jest także tradycya, że wójtowstwo we wsi Woli Murowanéj, które podobnież starosta posiadał, dawniéj należało do wójta chęcińskiego w mieście mieszkającego i to było jego pensyą; że karczma stara Bugaj zwana, pod klasztorem panien Franciszkanek istniejąca, oraz zarośla i krzaki

gdzie dawniéj były lasy, wszystko to było własnością tutejszego magistratu, który jeszcze za rządu austryackiego w roku 1803 o takowe upominał się i prawa swoje przedstawiał.

W roku 1764 uchwałą na konwokacyi warszawskiéj, Chęciny przeznaczono na drugie miejsce sądów ziemstwa radomskiego co do powiatów radomskiego, opoczyńskiego i chęcińskiego, dla obszerności województwa sandomierskiego ustanowione; przedtém bowiem było tylko jedno takie miejsce. Największy atoli cios zadał miastu temu dekret rady nieustającéj z dnia 17 czerwca 1777 r., mocą którego dozwolone zostało prawo osiedlania się tu starozakonnym na téj zasadzie, iż już za starostwa Bidzińskiego kilku żydów miało pozwolenie handlowania i budowania się tutaj, którzy zyskali także na to przywileje Michała Korybuta, Jana III, i Stanisława Augusta z r. 1760. Ale początkowo było tylko dwóch starozakonnych w Chęcinach, z czasem zaś doszło do tego, iż w roku 1796 już w rynku tylko dwa domy były w posiadaniu chrześcian, a żydzi zająwszy nietylko cały rynek, lecz rozsypawszy się po mieście wszędzie, uspili przemysł, zgubili rzemiosła, mianowicie snycerstwo i kamieniarstwo, które tu niegdyś kwitnęły, a rozpoiwszy mieszczan przymusili ich do tego, iż żyjąc tylko z rolnictwa, w brudnych chatach mieszkali, i do nędzniejszego od włościan przyszli stanu.

Dziś miasteczko to jest własnością rządową. Mieści w sobie sąd poprawczy dla powiatów olkuskiego, miechowskiego, stopnickiego i kieleckiego. Nad traktem warszawsko-krakowskim położone, odległe od miasta gubernialnego mil 14, od powiatowego mil 2. Ludność jego w r. 1820 wynosiła chrześcian 1000, żydów 1086, razem 2086; w r. 1827 chrześcian 1117, żydów 1740, razem 2857. Teraz zaś liczą chrześcian mężczyzn 487, kobiét 554, razem 1041; starozakonnych mężczyzn 1396, kobiét 1402, razem 2798; czyli ogólnie liczą tu mężczyzn 1883, kobiét 1956, razem 3839, zatém już prawie trzy razy tyle starozakonni przewyższają. Główny sposób utrzymania się mieszkańców jest rolnictwo, jednak pomiędzy niemi są: aptekarz 1, bednarzy 2, billarzysta 1, brukarz 1, cieśli 4, cukiernik 1, księży chrześciańskich 2, duchownych starozakonnych 4, dystrybutorów tabaki 1, felczerów i cyrulików 5, furmanów najemnych 2, garbarzy 3, górników 14, grzebieniarz 1, handlarz drzewa 1, handlarzy świéc łojowych 3, introligatorów 5, kamieniarzy 14, kapeluszników 5, kołodziéj 1, kominiarzy 6, kotlarz 1, kowalów 4, krawców 26, kupców i kramarzy 25, kuśnierzy 8, lekarz 1, mosiężnik 1, mularzy 7,

piekarzy 8, piernikarz 1, powroźników 2, przekupników 20, gospodarzy rolnych 12, muzykantów 2, mydlarz 1, nauczyciel 1, rymarz 1, rzeźników 17, szklarzy 2, stolarzy 6, szewców 24, szynkarzy soli 15, szynkarzy wódki 11, tokarzy 2, traktyernik 1, urzędników i officyalistów rządowych 40, waciarzy 4, zakonnic 8, złotników 4.

Domów murowanych znajduje się tu 83, drewnianych 189, razem 272; kościół 1, klasztor 1, bóżnica 1, sklepów 25, szlachtuz 1, więzienie 1, szpitalów 3. Dochody miasta w r. 1846 wynosiły rs. 2916, kop. 34 1/2.

Dawny herb miasta przez Augusta II w r. 1723 nadany, wyobraża jak zwykle trzy wieże, z tą różnicą, iż w murze jest brama z otwartemi drzwiami; na wierzchu wież umieszczone są korony, a pod niemi herb domu królów saskich, i na dole rok 1723. W otoku napis naokoło: Sigillum Consularis civitatis S(acrae) R(egnae) M(ajestatis) Chęcinensis.

Tojest: *Pieczęć rajców miasta J. K. Mości Chęcin.* Wizerunek téj pieczęci jest taki:



W skrzyni magistratu przechowują dotąd następne akta:

1. Przywiléj Kazimierza Jagiellończyka z r. 1465 w Kaliszu wydany.

2. Zygmunta Augusta z r. 1550 w Krakowie, potwierdzenie praw do kopalń tutejszych.

3. Tegoż z r. 1559 w Piotrkowie, dekret przysądzający wieś Polichno miastu Chęcinom.

4. Tegoż z r. 1564 z dnia 10 grudnia z Warszawy o tęż samę wieś.

5. Stefana Batorego z r. 1583 dnia 27 lipca w Krakowie przywiléj na szkółkę.

6. Przywiléj arcybiskupa Karnkowskiego z tegoż roku dnia 11 sierpnia w Łowiczu wydany: uposażenie téjże szkółki zawierający.

7. Zygmunta III z r. 1611 z Warszawy, nadanie jarmarku.

8. Jana Kazimierza z roku 1666 dnia 24 kwietnia z Warszawy, nadający nowe pięć jarmarków.

9. Stanisława Augusta z roku 1775 dnia 13 listopada z Warszawy, na inne sześć jarmarków.

Chęciny położone są pomiędzy dziewięciu marmurowemi górami, obfitującemi w piękne kamienie, o których następnie cokolwiek powiemy, w kruszce ołowiu i farby różne. O ćwierć mili płynie rzeka Czarna, dotąd niespławna. Rozległość miasta nateraz od wschodu słońca na zachód rachować można na milę 1; szerokość od północnéj góry zamkowéj do granic Zgórskich i Szewskich pół mili.

Największą atoli jego ozdobą są ruiny zamku na wyniosłéj nad miastem panującéj górze, które już z góry Michałowskiéj o wiorst 86 od Chęcin odległéj widzieć się dają. Na górę tę z trudnością dojść można, ale widok z niéj niewypowiedzianie jest wspaniały. Zamek chęciński budowany jest na opoce czyli skale litéj marmurowéj; mury same częścią z kamienia marmurowego, częścią z cegły wzniesione, są jeszcze dlatego, że trudny do nich przystęp, niezbyt zrujnowane i bardzo mocne. Dwie wieże okrągłe nader wysokie, a trzecia czworokątna ukośna, także dobrze się trzymają, tylko jedna część murów oraz kawałek ściany jest zupełnie prawie rozwaloną. Zamek ten jak już wspomniałem był mieszkaniem książąt i królów polskich; jest wielkie podobieństwo, iż dał on nazwisko miastu i był przyczyną jego powstania. Mówiłem już, że pierwszy sejm na zamku tutejszym odbył się; teraz dalszą jego historyą opowiem. W końcu XIV wieku jako miejsce bezpieczne na więźniów stanu był przeznaczony. Tak w roku 1386, kiedy brat przyrodni Władysława Jagiełły Andrzéj Wingold książę litewski niechętny za to, że Jagiełło zmienił wiarę przodków swoich, podniósł broń przeciw niemu: pokonany i wzięty w niewolą, jako jeniec odesłany został do Polski do nowego króla, który osadził go w zamku chęcińskim, gdzie przez trzy lata całe, jak powiada Stryjkowski, w ciemnéj wieży pod strażą siedział w więzieniu; potém był czwartego roku ztąd do Wilna przewieziony, i dopiéro na prośby Witolda i innych książąt za ich poręką został puszczony. W roku 1409, w czasie wojny z Krzyżakami, gdy Ulryk wielki mistrz z tego zakonu wypowiedziawszy temuż królowi wojnę, pustoszył koronne

włości, zamek zaś Bobrowniki zwany oblegał i dostał go nad wszelką nadzieję przez dobrowolne poddanie się Warcisława z Gotardowic, którego król do téj twierdzy z załogą dla obrony posłał, a który nie będąc do tego kroku niczém zmuszony, bramy Krzyżakom otworzył, za co Warcisław oskarżony, długiém więzieniem był ukarany; a byłto pan bardzo możny, o którego uwolnienie wielu u króla starało się. Napełnił się zamek chęciński więźniami wojennemi po sławnéj bitwie pod Tannebergiem, w dniu 15 lipca 1410 zaszłéj i szczęśliwéj nadzwyczaj dla oręża Jagiełły, po któréj tylko znakomitszemi jeńcami napełnione były zamki chęciński, łęczycki, sieradzki, lubelski, sandomierski, lwowski, przemyślski i dalsze królewskie twierdze. Niebawem przybył także do piérwszego wódz najwyższy Krzyżaków, Michał Kuchmejster von Sternberg wójt Nowéj Marchii. Kiedy zakon ten po przegranéj bitwie pomnożywszy swoje siły wznowił wojnę, i znowu pod Koronowem w dniu 10 października na głowę pobity został: wtedy pomiędzy wielu jeńcami dostał się wspomniony wódz w niewolą, a tryumfujący Jagiełło gdy wszystkich innych uwolnił, tylko jego pod strażą na zamek chęciński odesłał. Tu także był więzionym Jerzy Langwinowicz synowiec królewski, wzięty w niewolą w bitwie pod Oszmianą w roku 1432, za to, że pomagał Swidrygielle utraconą władzę orężem odzyskać.

Lecz zamek ten nietylko przeciw potędze ludzkiéj służył, ale w zdrowéj okolicy położony, nieraz samowolnie w czasie grasującego powietrza bywał napełniony. Nawet Władysław Jagiełło syna swego pierworodnego Władysława, niespełna rok mającego, tu w r. 1425 w czasie panującéj choroby schronił, a sam na Litwie będąc, kiedy zaraza i tam się wkradła, wraz z bratem całą zimę po lasach błąkać się musiał.

W roku 1554 tu na czas niejaki były przechowane skarby królowéj Bony pod strażą Włocha Brancaccio, kiedy ta za niemi do Włoch wybierała się. Bona w tym zamku także przez krótki czas mieszkała; nawet ztąd Walenty Dębiński kasztelan sądecki, starosta chęciński, z naznaczenia od króla odprowadzał ją do granic Polski. Następnie na mieszkanie starostów grodowych przeznaczony, mieścił sądy i kancelaryą grodzką, a wtedy już był zniszczony, gdy lustracya w r. 1569 została go zrujnowanym i poprawy potrzebującym; albowiem piszą lustratorowie: „Rysy są szkodliwe, a poprawa z trudnością w zamku ma być, póki wody nie będzie tamże; jakoż stu-

dnią łamią w górze twardego marmuru kosztem niemałym, około któréj studni w lecie robić się niegodzi, jedno w zimie. Nad tą studnią zbudował pan starosta na kowalnią i ze wszystkiemi potrzebami kowalskiemi dla hartowania żelaz, któremi łamią kamień twardy marmurowy." Mieszkali wtedy na zamku oprócz starosty pan podstarości, który z dochodów miejscowych pobierał rocznie złp. 56, pisarz grodzki złp. 20, sędzia grodzki złp. 32, burgrabia złp. 16, klucznik złp. 5 gr. 18, nadto dostawał co rok nowy kożuch; wrotny na téj saméj pensyi bez kożucha, i kucharz, który pobierając rocznie 4 złp. obowiązany był dla wszystkich tych panów najwyborniejsze potrawy gotować. Znać to więc dla zrujnowanego tego zamku obywatele powiatu chęcińskiego wyrobili sobie na sejmie w r. 1588 ustawę, iż księgi ziemskie tegoż powiatu, które przedtém na zamku były, pozwolono aby w kościele w mieście tamże były chowane, za pozwoleniem księdza biskupa krakowskiego. I dobrze się stało, albowiem w lat kilkanaście potém w czasie rokoszu Zebrzydowskiego, dumny ten możnowładca mając nienawiść osobistą przeciw staroście tutejszemu, spalił zamek, zniszczył wsie okoliczne, które uchwała sejmu warszawskiego w r. 1607 lustrować i oszacować nakazała. Podźwignął go i umocnił swoim własnym kosztem Stanisław Branicki miecznik koronny, starosta miejscowy; sejm zaś w r. 1613 wyznaczył rewizorów do oszacowania wyłożonych nakładów „Bacząc, iż tak Rplitéj jako i obywatelom tamecznym siła na tém zależało, gdyż po tém zgorzeniu księgi sądowe w mieście nie z całém bezpieczeństwem chowane być musiały." Naznaczeni rewizory byli: Jan Świętosławski referendarz koronny, Zbieguiew Lanckoroński podkomorzy sandomierski, i Zbigniew Brzychwa, którzy powinni byli na miejsce do tego zamku zjechać, wszystko rewidować i nakład na to podjęty zrachować, a na następny sejm na piśmie oznajmić. Jakoż wedle tego rozkazania uczyniono, a summa obrachowana wynosiła 5446 złp. i gr. 15, którą konstytucya z r. 1616 przyznała Janowi Klemensowi z Ruszczy Branickiemu staroście chęcińskiemu, i zapewniła tak jemu jako i jego potomstwu na dobrach do tegoż starostwa należących.

W całości zatém i w dobrym stanie została zamek chęciński lustracya w r. 1627 odbyta, która tak go nam opisuje. „Wchodząc do zamku jest most nowy tarcicami położony na filarach trzech murowanych Najprzód jest brama sklepista, obok téj bramy jest izdebka dla wrotnego. Postępując daléj na prawéj stronie jest sklepik nowo zasklepiony; podle tego sklepiku piwnic dwie. Nad szyją

piwniczną znowu sklepik murowany, w którym księgi chowają. Naprzeciwko bramy jest izba dolna, gdzie na ten czas kancellaryą odprawiają; okien w niéj dwie ku miastu, a trzecie w zamek. Tam piec malowany, ławy naokoło i stół jeden dębowy; z téj izby wchodzi się do drugiéj mającéj podobneż ławy naokoło, dwoje okien i piec polewany. Daléj znowu trzecia izba, z któréj jedno wychodzi okno kratą żelazną opatrzone. Pod tą izbą jest trzecia izba niesklepista, drzwi w niéj nie masz, a kratę ma drewnianą. Obok niéj jest kuchnia, za tą sklepik nowo murowany, dla chowania rzeczy o jedném oknie. Za tą kuchnią jest przygródek, w którym kuchnia dachem pobita. Ten przygródek ma stare mury i w końcu wieżę kwadratową, która potrzebuje naprawy. Obok tego przygródka jest znowu izba o dwóch oknach z drzwiami na zawiasach, z piecem do pieczenia chleba; ztąd wchodzi się do małéj komnaty. Niedaleko tego gmachu jest sklep górny nowo restaurowany o jedném oknie; pawiment w nim posadzką położony, a pod nim są piwnice."

„Do gmachów górnych wchodzi się przez dwa wschody murowane, jednym od przygródka zatylnego, a drugim od bramy. Z tego wschodu jest sala wielka o dwóch dużych oknach, posadzka w niéj kamienna; z téj sali idzie się do kaplicy, mającéj drzwi dwoiste: zamczyste i malowane, oraz trzy okna. Za kaplicą jest sklep, naprzeciwko zaś izba stołowa o trzech oknach, mająca komin murowany. Podle téj izby jest pokój dolny o jedném oknie z piecem malowanym i kominem murowanym. Z tego pokoju wchodzi się do alkierza nowo zmurowanego o trzech oknach, daléj jest komnata o jedném oknie i izba na południe o dwóch, z któréj drzwi prowadzą na ganek. Za tą znowuż alkiérz nowo zmurowany o dwóch oknach i komnatka podobnaż i wyjście znowu na ganek. Z ganku idzie się na schody, które są na przygródku i na wschody na wieżę pod sam dach, którym cały zamek jest pobity."

Ta sama lustracya wyliczając ludzi w zamku zamieszkałych, a obowiązki miejscowe pełniących, przekonywa o podniesieniu stopy mennicznéj i powiększeniu płacy tychże. Podstarości już bowiem brał rocznie złp. 140, burgrabia 50. Zresztą klucznik, wrotny i kucharz zarówno po złp. 12. Co zapewne przy wszelakiéj redukcyi na teraźniejszą stopę, zawsze nadzwyczaj była licha nagroda, która tylko to jedno dowodzi, że ceny produktów musiały być stosowne, kiedy ludzie przy tak szczupłéj płacy utrzymać się mogli.

W trzydzieści lat potém, kiedy zamek chęciński zaledwie był wyrestaurowany, powtórnie spalony został od Szwedów; a chociaż

nadwerężone mury znowu nieco naprawiono, coraz większemu podlegał zniszczeniu, i nigdy już do dawnego stanu nie był przyprowadzony, zwłaszcza, gdy wyznaczona rewizya uchwałą sejmu grodzieńskiego w roku 1678 już tylko samém starostwem zajmowała się. W roku zatém 1778, w czasie kiedy uczony mineralog Jan Filip Karozy dyrektor górnictwa, pod panowaniem Stanisława Augusta zwiedzał Chęciny, zamek ten był już zupełnie zrujnowany i od ludzi opuszczony. Według opisu w szacownem jego dziele pod tytułem: *J. P. von Carosis Reisen durch verschiedene polnische Provinzen, mineralischen und andern Inhalts. Leipzig* 1781, w tomie I na str. 56, jeszcze kilka lat przedtém mieściła się tutaj kancelarya i archiwum grodzkie, mieszkali officyaliści, sługy i t. p. Ale Karozy z tego wszystkiego zastał tylko gołe mury, około 100 łokci długie, a czterdzieści szerokie, bez dachu i okien; dwie okrągłe wieże były tak jak są teraz zrujnowane, a na ich wierzchu dzikie krzewy rosły: snadź więc od czasów szwedzkich nie były podźwignięte. Tylko jedna wieża czworokątna miała zniszczone wiązanie na swoim dachu, ale jeszcze w całości, z którego malutkie teraz tylko szczątki pozostały. Cała budowla była o dwóch dziedzińcach: jeden mniejszy od wjazdu do którego murowany most prowadził, drugi za nim był wewnątrz zamku daleko obszerniejszy, a w środku miał wykutą w skale studnią na 100 łokci głęboką. Zresztą były jeszcze całe bardzo piękne podziemne w skale kowane sklepienia, o których lud wówczas przechowywał podanie, jakoby jeden z tych sklepów miał niegdyś ściany całe lazurem wykładane. Karozy zrobił jeszcze lepiéj niż opis tego zamku, bo zostawił nam w dziele swojém dwa jego wizerunki, z których możemy jeszcze przy teraźniejszych ruinach odgadnąć stan jego dawniejszy. Porównywając z pozostałemi szczątkami, najdokładniéj przedstawiał się zamek chęciński od strony Podzamcza: wjeżdżało się do niego przez most na arkadach wystawiony od strony czworokątnéj wieży, który już był zrujnowany, a dziś z niego nie ma żadnego śladu. Część muru wystającego od téjże wieży z jedném oknem jest miejscem gdzie była kaplica, a daléj ściana dotąd pozostała, miała wtedy jeszcze 17 okien pochodzących z rozmaitych mieszkań zamkowych, z których zewnętrzna tylko i to przy ziemi zburzona ściana została. Piérwsza zatém okrągła wieża prowadziła na wyższe piętra zamku, daléj zaś znowu równa ściana muru wtedy szkarpami jeszcze podparta, obejmowała w sobie dziedziniec ze studnią, która dziś kamieniami przez ciekawych jéj głębokości jest zarzuconą; naostatek narożna druga okrągła wieża miała nieco opo-

dał podziemny wchód, z którego dziś śladu nie zostało, lecz wieża w takim jest jak wówczas stanie.

Powiadano mi za pewną rzecz, iż dokładnie malowany wizerunek zamku chęcińskiego z czasów kiedy był jeszcze zupełnie cały, ma znajdować się dotąd na ścianie w kościele panien Franciszkanek w Chorku; wartoby, aby miłośnicy podobnych zabytków wiadomość tę sprawdzili, i jeżeli tak jest, to zasługuje aby go ztamtąd przerysować i ogłosić, coby było nad wszelkie opisy pożyteczniejsze.

Schodząc z góry, piérwszą budowlą jest starożytny parafialny kościołek. Był on niegdyś filialny, a niewiadomo kiedy założony został; z budowy jego tylko domyślać się można, że w końcu XIV lub początku XV wieku powstał. W roku 1571 przerobiony na zbór aryański, w r. 1603 powrócony został katolikom i na nowo poświęcony. Przy końcu zeszłego stulecia piorun strzaskał jego sygnaturkę, którą następnie, równie jak dach i facyatę o trzy łokcie zniżono. Jestto gmach pięknéj budowy gotyckiéj, a wewnątrz ma bardzo piękny marmurowy ołtarz Ukrzyżowanego Zbawiciela.

Lecz daleko dawniejszym był kościół niegdyś księży Franciszkanów z klasztorem, teraz zwinięty i na więzienie obrócony, z którego tylko kaplica św. Leonarda pozostała. Wystawił go jak wyżéj wspomniałem Kazimiérz Wielki około roku 1368; w r. 1581 zajęty przez aryanów nietylko był ogołocony ze wszystkich sprzętów i ozdób służbie Bożéj poświęconych, ale nadto mury tegoż kościoła i klasztoru w gruzy obrócono. Powrócił je piérwotnym właścicielom Zygmunt IIIci, tak jak i wiele innych, i nowemi przywilejami wzbogacił. Gdy zaś z powodu zrujnowanego klasztoru mała tylko liczba zakonników mieścić się mogła, w roku 1605 Stanisław z Ruszczy Branicki starosta tutejszy, kosztem swoim kościół i klasztor oraz kaplicę św. Leonarda z gruntu wyrestaurował i nowemi funduszami uposażył. Wdzięczni Franciszkanie po śmierci tego dobroczyńcy wznieśli mu pomnik z pięknego marmuru dobrze robiony, z tym skromnym napisem, który nad furtą klasztoru umieszczony, dotąd czytać się daje:

Pio benefactori Illustri ac Magnifico Dno (Domino) Stanislao a Ruszcza Branicki Ensifero Regni, Chęcinensi et Leloviensi Capitaneo, qui hunc ambitum, ex fundamentis erexit, Ecclesiam restauravit, multaque alia beneficia Conventui praestitit A(nno) D(omini) 1620 Oretur pro eo.

Tojest: *Bogobojnemu dobroczyńcy Jaśnie Wielmożnemu Panu Stanisławowi z Ruszczy Branickiemu miecznikowi koronnemu, chocińskiemu i lelowskiemu staroście, który to ogrodzenie z fundamentów wzniósł, kościół odnowił i wiele innych dobrodziejstw zgromadzeniu wyświadczył. Roku Pańskiego 1620. Poleca się modłom.*

Kościół ten stawiany był pod tytułem Matki Boskiéj Wniebowzięcia i poświęcony w r. 1628. Zrujnowany i sprofanowany przez Szwedów w r. 1657, wtedy bowiem trzej kapłani tutejsi śmierć nawet ponieśli za to, że skarbów ukrytych odkryć nie chcieli, ani pieniędzy żądanych nie dostarczyli. Ciała tych zakonników przez pobożnych którzy byli świadkami ich męczeństwa, w kaplicy św. Leonarda pochowane zostały; dla uwiecznienia zaś ich pamięci, późniéj, tojest w r. 1720 umieszczony został pomnik z marmuru, w ścianie zewnętrznéj téjże kaplicy umieszczony, z takim napisem:

Corollarium:

Trina recens nato prompserunt munera Christo Reges, trina etenim Trinus et ipse cupit. Trinus et ipse Deus, tamen est is trinus et unus, et qui trinus erat, semper et unus erit. Hostia trina etiam hic Francisci fune ligatur, corpore sed trino spiritus unus ovat. Passi sunt praedicti Patres A(nno) D(omini) 1657 ipsa die paschae quae fuit 1. Aprilis. Occisi hic jacent a Suecis.

Co znaczy: *Wieniec. Potrójne nowo narodzonemu Chrystusowi złożyli dary królowie, gdyż i on sam potrójnym będąc, potrójnych żąda ofiar. Potrójny i Pan Bóg także; jednakże jest potrójny i jeden, a który był potrójnym zawsze będzie i jednym. Potrójna także ofiara tutaj skrępowana jest powrozem Franciszka, ale w potrójném ciele duch jeden tryumfuje. Umęczeni zostali pomienieni ojcowie roku Pańskiego 1657 w sam dzień Wielkiejnocy, która przypadała dnia 1go kwietnia. Zabici przez Szwedów tu spoczywają.*

Naprzeciwko tego nagrobku, na drugiéj stronie ściany, zawieszony był wielki obraz na płótnie olejno w r. 1751 malowany, a przedstawiający śmierć tych trzech kapłanów. Po zwinięciu klasztoru obraz ten jest dziś w klasztorze Panien Franciszkanek, na górnym korytarzu nad wschodami, idąc do chóru, umieszczony.

Po tém zrujnowaniu kościoła w większéj części znowu nakładem Stefana Bidzińskiego tutejszego starosty był odbudowany; mianowicie zaś korytarz klasztoru wraz z mieszkaniami dla zakonników i ogród przez niego były wystawione. O czém świadczy kamień

marmurowy ozdobiony herbem Janina, a wmurowany w ścianie nad schodami idąc na górny korytarz, z takim napisem:

D. O. M.

Perennis gloria et Illmo (Illustrissimo) ac Magnifico D(omino) Stephano a Bidziny Bidziński Castelano Sandomiriensis supremo et vigilantissimo excubitori Regni, pro tunc Chencinensi, Scalensi etc. Capitaneo, munificentissimo Conventus nostri benefactori immortales gratiae, cujus liberalibus impensis haec pars conventus a fundamentis erecta est, tempore Gvardianatus A(dmodum) R(everendi) P(atris) Symeonis Boratinski patris conventus, qui hoc monumentum ob gratitudinem poni curavit quatenus grata familia tanto Benefactori viventi faustam salutem, est post sera fata aeternam precetur felicitatem.

Tojest: *B. N. N.*

Wiekuista chwała Jaśnie Wielmożnemu panu z Bidzin Bidzińskiemu kasztelanowi sandomierskiemu, najwyższemu i najczujniejszemu strażnikowi koronnemu, naówczas chęcińskiemu, skalskiemu i t. d. staroście, najszczodrobliwszemu zakonu naszego dobrodziejowi nieśmiertelne podzięki, którego hojnym nakładem ta część klasztoru z fundamentów została wzniesiona, za gwardyaństwa przewielebnego Szymona Boratyńskiego ojca zgromadzenia, który ten pomnik na znak wdzięczności wystawił, iżby wdzięczna czeladka modliła się o pomyślność i powodzenie dla tak wielkiego dobroczyńcy za jego żywota, a o wieczną szczęśliwość po najpóźniejszym zgonie.

Po trzeci raz poświęcony był ten kościół w roku 1685; nakoniec w r. 1817 pozostałe mury z kościoła i klasztoru na więzienie dla całéj gubernii zajęte zostały. Teraz tylko jedna kaplica, ciasna, ciemna, zarzucona kościelnemi staremi sprzętami zwiedzaną być może. Kilka nagrobków tkwi w ścianach z płyt marmurowych wyrobionych. Jeden z nich brzmi jak następuje:

D. O. M.

Dzień szósty maja skończył wiek sławnego,
Pod pełnią samą w cnoty dostatniego,
Anno Domini 1724
Umarł Baltazar Januszek nazwany,
Wójt miasta Chęcin wszystkim ukochany.
Pamiątka jego na sercu zostaje,
Anna małżonka ten nagrobek daje.

Czytaj zdrów każdy, o śmierci pamiętaj,
Pozdrów Maryą tą jeszcze ofiarą,
Lub też zmów paciérz, duszy jego daruj.
Żył lat 55, miesięcy 4 i dni 6.

Drugi ku pamiątce Mikołaja Monwida wojewody połockiego, z napisem w części zniszczonym, te tylko wyrazy odczytać pozwala:

Pie.....
ac sancte defuncti
Nicolai Monvidi Palatini Polocen
w.....
.....
viri
.....
Patriae since.....
corpus
Hac continetur urna.
Qui anno.
.....
Pr.....
.....
.....
cu.....
Mens vita vivet corpus istud adhuc
Vivet perpetuo mortali labe carente
Vita cum justi praemia digna ferent.

Któreto wyrazy tak wytłumaczyć się dadzą: *Pobożnie i świętobliwie zmarłego Mikołaja Monwida wojewody połockiego, męża ojczyznie szczerze życzliwego, ciało w téj zamyka się urnie, który zmarł roku.... Duch będzie żył życiem, ciało to jeszcze żyć będzie wiecznie życiem wolném od śmiertelnéj skazy, gdy sprawiedliwi zasłużone odbiorą nagrody.*

Co robił ten wojewoda w Chęcinach, wynaléźć mi się nie udało. Niesiecki niewiadomo dla jakich jezuickich przeszkód opuścił go umyślnie w swoim Herbarzu, ale wcześniejszy i bezstronniejszy Bartosz Paprocki nietylko obszerne o téj znakomitéj familii litewskiéj podaje wiadomości, ale dodaje, że za jego czasu, tojest w roku 1584, Mikołaj Monwid kuchmistrzowicz litewski był wojewodą połockim i wiele a znacznie Rplitéj służył; wielkie koszty kwoli jéj podejmował, a w potrzebach wojennych przez wszystkie czasy niemały poczet kosztem swoim trzymał i t. d.

W samym kościele są tu także piękne marmurowe nagrobki: Piotra Tęgoborskiego, zmarłego 10 lutego 1660, i Eleonory Katarzyny z Pilicy Korycińskiéj. Jana kasztelana oświecimskiego córki a jego małżonki, zmarłéj dnia 8 stycznia 1642, któréj syn Jan Tęgoborski cześnik nowogrodzki, późniéj kasztelan żarnowski, wystawił. Nadto przed wielkim ołtarzem od strony ewangelii jest bardzo wspaniały nagrobek marmurowy z następnym napisem:

M(agnificus) Stephanus Dominicus Stiborius de Marchocice Marchocki Capitaneus Chencinensis, Michaelis Marchocki Ensiferi Premisłensis et Constantiae de Konary Słupecka Castelanae Radomiensis filius: defunctus A(nno) D(omini) 1686, aetatis suae 28.

Tojest: *Wielmożny Stefan Dominik Scibor z Marchocic Marchocki starosta chęciński, Michała Marchockiego miecznika przemyślskiego i Konstancyi z Konar Słupeckiéj kasztelanowéj radomskiej syn, zmarły roku Pańskiego 1686, wieku swego* 28.

Jest jeszcze w Chęcinach kościołek św. Magdaleny z klasztorem panien zakonnych Franciszkanek, tutaj Klaryskami od ich założycielki zwanych, a których początek miał być taki: Przy końcu XVI stulecia zawiązało się tutaj towarzystwo pobożnych niewiast, które przyjąwszy habit tercyarek, pod zwierzchnictwem jednéj, żyły przez lat kilkadziesiąt przy kościele Franciszkanów, bardzo przykładnie i bogobojnie, utrzymując się z pracy rąk swoich i edukacyi dziewcząt. Zgromadzenie to zyskawszy powszechny szacunek, w krótkim czasie zaczęło się powiększać przybywaniem nowych towarzyszek, wraz z znacznemi funduszami; co widząc przełożona tych tercyarek niejaka panna Klara Grędoszewska, umyśliła formalny założyć klasztor ze zwykłą klauzurą pod regułą św. Klary, na co też pozwolenie od wyższéj władzy duchownéj zyskała. Errekcya tedy tutejszego klasztoru wydana i podpisana została w dniu 30 marca 1643 roku w Warszawie, przez Macieja Łubieńskiego prymasa arcybiskupa gnieźnieńskiego, która dotąd religijnie szanowana znajduje się w aktach klasztoru. Atoli po założeniu klasztoru i zaprowadzeniu tutaj panien Franciszkanek nie miały one własnego kościoła, tylko oratoryum, aż dopiéro w roku 1673 przez komplanacyą z miastem i proboszczem szpitalnym pozyskały kościołek św. Maryi Magdaleny, ten zaś powiększony został o drugą większą część kosztem wyżéj wspomnionego starosty Bidzińskiego, którego córka Teressa po kilka razy

urząd ksieni w tym klasztorze sprawowała. W kościele tym jest teraz sześć ołtarzy: wielki, pod wezwaniem św. Magdaleny, jest piękną snycerską robotą z czterema kolumnami złoconemi. Nad obrazem téj świętéj jest drugi Matki Boskiéj Rożańcowéj, z kościoła Franciszkanów przeniesiony. Trzeci ołtarz Matki Boskiéj Bolesnéj, w którym jest umieszczony obraz Przemienienia Pańskiego; z tegoż kościoła także pochodzi. Czwarty św. Józefa i Najświętszéj Maryi Panny, częścią złocony. Piąty św. Antoniego z Padwy z dwiema złoconemi kolumnami, i ostatni podobnyż św. Klary.

Klasztor tutejszy, gdy coraz więcéj panien do zakonu przybywało, był kilkakrotnie rozszerzany, a po dwakroć od pożaru niszczony, tojest w roku 1700 i 1731. Piérwszą jego dobrodziejką była pani Maryanna z Łukowa Wilczewska cześnikowa drohiczyńska, która mając zamiar przyjąć habit Franciszkanek, sprzedawszy wszystkie swoje nieruchomości, osiadła w klasztorze, hojnie go wspierała, placów i domów dla rozprzestrzenienia dokupiła, i w budynki gospodarskie zapomogła. Nawetjuż miała odbyć obłóczyny, gdy nagle zakończyła życie z wielkim żalem, a jeszcze większą stratą dla panien Franciszkanek, które jednak na jéj pamiątkę wystawiły pomnik, dotąd nad drzwiami zakrystyi znajdujący się, z następnym napisem, dowodzącym, że zakonnice kiedyś nawet wiersze składały:

D. O. M.

Rozumiała, że tu co wskóra śmierć zajadła,
Lecz daremno, gdyż na kosę herbową napadła
Wielmożnéj Maryanny Wilczewskiéj z Łukowa,
A ta była drohicka sławna cześnikowa.
W tysiąc sześćset trzydziestym piątym urodzona,
Wieku swego czterdziestym trzecim przeniesiona
Tysiąc sześćset siedmdziesiąt ósmym do wieczności,
Maja siódmego, gdzie krzyż znalazła światłości
Za jałmużny, co hojnie ubogim rozdawała,
Osobliwie ten konwent wielce ratowała.
Za co pobożne siostry tu ją pochowały,
Z żalem jak dobrodziejkę miłą opłakały.
Kto czytasz za jéj święte westchnij pobożności,
A w niebo duszę zaleć Bogu do wieczności.
R(oku) P(ańskiego) 1683 dnia 12 czerwca.

Niemniejsze położył zasługi i starosta Bidziński, który klasztor z drugiéj strony kościoła wymurował, ogród owocowy zakupił, i całe zabudowanie wysokim murem opasał, oraz kościołek św. Magdaleny przez niego domurowany i upiększony, z tymże klasztorem połączył.

Ogólnie teraźniejsza postać miasta Chęcin przypomina starożytne jego pochodzenie. Rynek otoczony murowanemi kamienicami, z których kilka odległych sięga czasów. Ruch handlowy pomiędzy starozakonnemi dość tu jest znaczny, a płyty marmurowe polerowane, w drewniane domy jak szyldy wstawione, z złoconemi napisami, mieszkanie rzeźbiarzy i handlarzy marmurów wskazują. Ale omyliłby się każdy, ktoby sądził, że u tych handlarzy i majstrów można w lecie lub jesieni co dostać, albo że oni potrafią co zrobić, gdyż jak już wspomniałem, tylko w zimie kamieniarstwu i snycerstwu tu się poświęcają, w innych zaś porach idą do roli, która ich łatwiéj niż sztuki piękne wyżywić potrafi. Atoli najznaczniejszy zapas i najlepiéj handel ten prowadzi starozakonny Mosiek Silberberg, niegdyś majtek na okrętach angielskich, potém żołnierz, który miał udział w wielu wypadkach zeszłego stulecia, był w Ameryce, a dziś jest starcem poważnym z długą siwą brodą i bardzo ujmującą postacią, tak że zdaje się, że ten żyd musi być poczciwy. Wywiózłszy sobie od niego kilka wyrobów z tutejszego marmuru niewypowiedzianie tanio nabytych, słyszałem także anegdotę, za któréj prawdziwość nie ręczę, ale ją powtarzam. Lat temu kilkanaście dwaj Anglicy usłyszawszy, czy gdzieś w jakimś przez cudzoziemców opisie Polski wyczytawszy, że Chęciny całe z marmuru są wystawione, wyobrazili sobie, że to musi być z marmuru polerowanego jak na stoliki i tym podobne wyroby. Dla obejrzenia więc tak wielkiéj osobliwości umyślnie tu w r. 1839 czy w 1840 zjechali. Udali się najprzód do zamku, który obejrzawszy, pytali Silberberga jako mówiącego po angielsku, gdzie jest to miasto marmurowe? A gdy on pokazał im z góry Chęciny, spojrzeli zdziwieni na liche chaty i brudne ulice, splunęli i grubo zakląwszy, jak to potrafią Anglicy, wnet nie czekawszy ani chwili, i w mieście nie wstrzymując się, do siebie odjechali, aby, jak mówili, wywieść swych współziomków z błędu.

Inną powszechną tutaj gadką jest powieść o dwóch posągach, dziadem i babą zwanych, które już miały ten zaszczyt, że o nich osobną rozprawę p. Tomasz Ujazdowski napisał, dowodząc bardzo głębokiéj starożytności tych zabytków. I był czas, że nie-

mi na seryo zajmowano się, rysowano, litografowano, i więcéj jeszcze jak dziś o Światowidzie krakowskim mówiono. Nawet drzémiące byłe Towarzystwo Przyjaciół Nauk jeden, tojest babę sprowadziło do Warszawy. Cóż, kiedy podobno pokazało się późniéj, że baba byłato sobie figura z igraszki kamieniarzy wyciosana, a dziad to już niezawodnie był pomnikiem grobowym Stanisława z Gorzkowa Gorzkowskiego, który przy boku hetmana Chodkiewicza pod Chocimem walczył, a zmarł sobie spokojnie w dniu 28 października 1649 roku. Biedni więc uczeni zmistyfikowani byli najokropniéj, co im się bardzo często zdarza.

Opuściwszy wspomnienia antykwarskie, chciałbym jeszcze co powiedzieć o tutejszych kopalniach rud kruszcowych, przedewszystkiém zaś o marmurach, bo o piérwszych dokładne już zebrał wiadomości p. Hieronim Łabęcki w szacownem swém dziele o Górnictwie w Polsce. Przekonałem się o tém zwłaszcza teraz, gdy miałem sposobność za uprzejmém pozwoleniem autora przejrzéć to dzieło przygotowane do drugiego wydania, w którém tak obszerne, ważne i wielkie poczynione są zmiany, poprawki i pomnożenia, że nie zostaje nic do życzenia, jak tylko, aby p. Łabęcki co rychléj zechciał je drukować.

Wiemy zatém, że od dawnych czasów góry i kopalnie chęcińskie należące do dóbr królewskich, stanowiły dochód panujących i urządzane były pierwotnie na wzór innych kopalń gwareckich, mianowicie olkuskich, że w nich znaczne tu bogactwa wydobywano. Kopano zielenice (malachity), lazury, srébro, miedź i ołów; miedzią prowadzono handel z zagranicą, a rudy wożono do Anglii i t. d. Nie będę więc tego wszystkiego powtarzał, bo ciekawy pod tym względem czytelnik łatwo sobie da radę. Pisali o tém dawniéj Kromer, Starowolski, Cellaryusz, Opaliński, Gwagnin, Łubieński, Rzączyński i t. d. zgadzając się z sobą lub powtarzając jedni za drugiemi, jak to dziś jeszcze ma miejsce.

Najdawniejsze wzmianki w aktach archiwalnych o kopalniach tutejszych, które p. Łabęcki pracowicie do drugiego wydania swego dzieła odszukał, dochodzą do roku 1396; wtedy bowiem był Mikołaj Bochner żupnikiem olkuskim i chęcińskim, co może służyć za dowód, że kopalnie te od dawnych czasów były z sobą porównane i jednéj natury. Atoli pod rokiem 1487 już Jan Karaś był tylko żupnikiem chęcińskim. W XVI wieku sławna i znana rodzina Bonerów z Krakowa była podobnież żupnikami olkuskiemi

i chęcińskiemi: tak po Janie Bonerze zmarłym 15 kwietnia 1523 roku otrzymał oba te żupnictwa Seweryn Boner, po którego śmierci w roku 1549 przypadłéj, dostał je Jan Lutomirski podskarbi nadworny koronny, kasztelan brzeziński, starosta łęczycki, burgrabia zamku krakowskiego; jak z tytułów przekonać się można nie tak górnik, jak wielki pan, zmarły w roku 1554. Po nim był Jost Ludwik Dycz z Woli Chełmskiéj znany historyk piérwszych dziewięciu lat panowania Zygmunta Igo, żupnikiem olkuskim i chęcińskim, karbarzem wielickim, wielkorządcą zamku krakowskiego i sekretarzem królewskim, zmarły 1567 r., a wszystkie te urzędy i godności otrzymał syn jego Ludwik, zmarły dnia 1 września 1576 roku. Daléj rozmaicie: to starostowie chęcińscy byli oraz żupnikami tutejszemi, jak Stanisław Dębiński. Prosper Prowana zmarły dnia 20 września 1587 roku, Jan Branicki zmarły 1605 roku i t. d.; to znowuż w latach od 1624 i 1630 wymieniony jest Stanisław Gorzechowski podżupkiem, a w r. 1633 niejaki Stanisław Łowczyk possessorem olbory i gór chęcińskich.

Zatém te dziewięć gór, wśród których spokojnie sobie leżą dziś ubogie Chęciny, kryją w swojém łonie skarby, które oddawna znane, miały czasy świetności; późniéj zaledwie nakład wracały, lub też zupełnie były opuszczone, z téj podobno jednéj tylko przyczyny, że natura tutejszych kopalń nie była dotąd gruntownie rozpoznaną. Najdawniejszy opis tych kopalń znalazłem w lustracyi starostwa chęcińskiego z r. 1569, który że ciekawe szczegóły zawiera i dotąd był nieznany, pozwalam sobie za wysokiém pozwoleniem moich czytelników w całości takowy przytoczyć. Pomieniona lustracya tak góry chęcińskie wylicza:

Piérwsza góra jest nad miastem kamienia marmurowego dzikiego, na któréj zamek zbudowany; na téjże górze jest szybów bardzo wiele, co kruszce brano zdawna, przy którym kruszcu jest srébro, ale dzisiejszych czasów tam nie robią.

Wtóra góra jest naprzeciwko zamku, niedaleko, którą zowią Rzepką; w téj też wiele bardzo zrobisk i dziś jeszcze potrosze robią; tam okwitszy kruszec i srébra więcéj ma.

Trzecia góra jest daléj; ta przy polu miejskiém, którą zowią Sosnówką; tam też zrobisk wiele i kruszec dobry ołowiany, ale tam dziś nie robią.

Czwarta góra jest za wioską miejską Polichnem, którą zowią Miedzianką, i tamże są huty miejskie. W téj górze kruszec mie-

dziany bardzo dobry, srébra ma niemało. Lazur przy nim bardzo kosztowny i zielenica bardzo cudna. Z téj góry za inszych czasów bardzo wiele skarbów wychodziło, i dziś ich jest wiele, ale trzeba robić, jednoby trzeba nakładu wielkiego.

Piąta góra jest kruszcu ołowianego, która idzie ode wsi zamkowéj Załęzie nad Skibami ku miastu, którą zowią Żakową, w któréj bardzo wiele zrobisk i kruszec dobry srébra ma przy sobie nad insze góry. Tam i dziś skibscy ziemianie robią sami, a inszym nie dopuszczają robić, chociaż jest góra własna króla Jego Mości.

Szósta góra jest z drugiéj strony miasta, w któréj też zrobisk wiele, kruszec też w niéj dobry ołowiany i glinka czerwona; ma ta góra przezwisko Zelejowa.

Siódma góra za tą Zelejową jest niedaleko, która idzie nad polem miejskiém, i tę zowią Szewską. Tam pamiętnika nie masz kiedyby robiono, tylko jest tam dosyć zrobisk.

Ośma góra którą zowią Jerzmaniec, pod wioską księdza biskupa krakowskiego; tam też kruszec dobry ołowiany i srebro ma, i jeszcze tam potrosze robią.

Dziewiąta góra którą zowią Bolechowską; tam zrobisk wiele, ale dziś nie robią.

Widzimy tedy, iż stan tutejszego górnictwa już w XVI wieku był w upadku, a przytoczone słowa lustracyi bardzo znaczące zawierają zdanie, iż jest tu wiele skarbów, ale potrzebaby robić i nakładu nie żałować; snadź więc byłato już odwieczna tego stanu przyczyna.

Czy królowa Bona z swojemi Włochami miała jaki wpływ na kopalnie tutejsze, bardzo wątpię, bo śladów o tém nie ma. Ale w czasie bezkrólewia, przed koronacyą Stefana Batorego, Walenty Dębiński starosta chęciński wnosił, żeby z odkrytych tutaj drogich kruszców bić monetę; więc być może, że kopalnie były wtedy znowu czynne. Jakie zaś były dalsze ich koleje, rzecz dobrze znana, i to już nie podlega wątpliwości, iż coraz bardziéj upadały, dopóki zupełnie nie zaginęły, tak, iż ołów, miedź, srébro, a jak Starowolski chce, przez szczególną życzliwość dla kraju upatrując to, czego nigdy nie było, nawet i złoto niegdyś tu znajdujące się, nietylko w kopalniach, ale i w pamięci ludzkiéj zniknęły. Cóż mówić o owéj cudnéj zielenicy (zieleni czyli malachicie) i lazurze (błękicie miedzi) bardzo kosztownym, o których istnieniu w tych stronach znam mineralogów co o tém wątpią i zaprzeczają. Piękne jednak okazy zieleni i błękitów miedzi z Miedzianogóry

wielu krajowych zbiorów stanowią ozdobę, a znane są płyty malachitowe szlifowane, które upiększały niegdyś pokoje króla Stanisława Augusta, za generała Soldenhof wydobyte. Podobnież według Rzączyńskiego, który między wielu bajkami i szacowną źródłową prawdę umieszczał, za Jana IIIgo tylokrotnie przezemnie wspominany Stefan Bidziński starosta, z lazuru wydobytego z kopalni tutejszéj wyrobiony stolik, przesłał w darze Innocentemu XI papieżowi (1).

Ale dam pokój rudom kruszcowym, bo zresztą mógłbym się wdać nie w swoję rzecz i sprowadzić na siebie zarzut tak często słyszany: po co jemu się wtrącać do tego, czego sam nie rozumié. Pozwólcie mi tylko, o uczeni mineralogowie, z mniejszą lub większą zarozumiałością przedmiot swój dobrze znający, abym pożalił się nad marnowaniem darów Bożych. jakiemi są liczne i piękne tutejsze marmury, które tu nogami wszyscy depcą, a które wydobyły ze mnie zapleśniałego archeologa i smutek, i chęć napisania co o nich, chociażby to był głos wołającego na puszczy i słowa pełne grzechów mineralogicznych.

Czy marmurołamy w Chęcinach znane i używane były w dawnych czasach—powiedzieć tego nie umiem. Nie wspominają o nich najdawniejsze lustracye; ale to pewna, że nie w środku XVII wieku, gdy kopalnie kruszcowe ustawały, zaczęto marmury wydobywać. Lustracya bowiem z r. 1602 przekonywa, iż za czasów Zygmunta IIIgo kopalnie marmurowe były tu czynne i wydobywano takowe z gór tutejszych „nakładem i na potrzebę J. K. Mości, na ozdobę kościołów i zamków kosztem jego wznoszonych." Atoli w tych wszystkich górach, mówi taż lustracya, „chociaż marmury są ozdobne, różnéj maści, jednak z nich do tych czasów żaden pożytek nie idzie skarbowi J. K. Mości, ani staroście." Pod tém wyrażeniem się rozumiano dochody pieniężne, gdyż istotnie były one pożyteczne, zważając, iż wszystkie dotąd dotrwałe gmachy tak kościelne jako i świeckie, przez Zygmunta III stawiane, przechowały dotąd dowody, iż je używać umiano, gdy schody, odrzwia, futryny u okien, ołtarze i tym podobne części bubowli jeżeli ocalały, są tam zawsze z marmuru chęcińskiego, nawet

(1) Regnante Joanne III Steph. Bidziński, Palatinus Sandomiriensis, Capitaneus Chenetnensis, ex effossa ibidem tabula lazuli mensulam elaboratam Innocentio XI Summo Pontifici muneris loco obtulerat. *Rzączyński, in Auctuario Hist. Nat. p.* 65.

częstokroć z umiejętnością rzeźbiarstwa wykonane. Starowolski pisze, że za jego czasów słynęły marmury chęcińskie mianowicie w kolorach czarnym i zielonym, których teraz nie wydobywają; jeżeli tylko szanowny ten polihistor nie omylił się. Wedle świadectwa Opalińskiego w dziele napisaném przeciwko zarzutom Barklaja, użytek marmurów tak był w Polsce upowszechnionym, iż król Zygmunt IIIci kazał wykuć w jednéj z gór chęcińskich, przedtém Wierzmoniecką zwanéj, dwie kolumny 38 stóp wysokie, na których chciał jakieś posągi w Warszawie stawiać; ale nie przyszło do tego, a syn jego Władysław IVty kazawszy je wydobyć, gdy jedna z nich pękła, drugą sprowadził do Warszawy i na niéj dotąd stoi od roku 1643 posąg Zygmunta IIIgo na Krakowskiém-Przedmieściu; góra zaś na tę pamiątkę dotąd także Zygmuntowską się nazywa. Później z upadkiem wszystkiego w kraju i marmurołamy były zaniechane; wszelako Rzączyński za Augusta IIIgo piszący, wyliczając odmiany tutejszych marmurów, domniemywać się każe, iż nie były one zupełnie zaniedbane. Ale gdy uczony Karozy w r. 1778 zwiedzał Chęciny, i piérwszy raz dokładnie opisał wyliczając wszystkie znane wtedy odmiany marmurów, łomy ich znalazł w zaniedbaniu i zniszczeniu, kamienie zaś powierzchownie tylko niekiedy wydobywano. Dopiéro w końcu panowania Stanisława Augusta, gdy monarcha ten łomy tutejsze oglądał, pomyślano o wzniesieniu tego przemysłu w kraju; a król sprowadziwszy usposobionych potemu i biegłych majstrów z Włoch do Czerny i Dębnika, jakiemi byli w sztuce dobywania Dominik Schianta; dłutem wyrabiania Leonardo Galli i polerowania Gigli Edward; ci pod kierunkiem nadwornego malarza królewskiego Marcellego Bacciarelli i w Chęcinach nauczyli wydobywania i wyrabiania różnych z niego przedmiotów, król zaś ozdobił nim nawet jednę salę zamkową, którą z tego powodu marmurową nazwał. Potém znowuż wszystko upadło, aż dopiéro w r. 1817 po ustanowieniu głównéj Dyrekcyi górniczéj, w któréj prezydował mąż światły i wysokich zasług, minister Tadeusz hrabia Mostowski, za jego szczególném staraniem urządzono fabrykę marmurów w Chęcinach, składającą się z pilarni o czterech piłach do rznięcia takowych i polerowni. Otworzono wtedy główne łomy w Słopcu, w górach Zygmuntowskiéj, Żelejowéj i Okręglicy, i wyrabiać poczęto rozmaite przedmioty. Projektowano także w roku 1820, aby tu założyć szkołę rysunków i snycerzy, sprowadzić do wydobywania z gór ukrytych skarbów ludzi po-

temu usposobionych i t. p. Wtedy także uczony i gorliwy ten minister rozkazał zdjąć plan z tutejszych kopalń, który u dostojnéj jego rodziny przechowany, teraz do niniejszéj pracy łaskawie udzielony mi został. Wszelako Kommissya Rządowa Spraw Wewnętrznych zarządzająca górnictwem, w r. 1823 straciła nadzieję wzrostu fabryki marmurów, pod zawiadywaniem ówczasowéj Dyrekcyi górniczéj w Kielcach zostającéj, ciągle będąc narażaną na ponoszenie wydatków dla jéj utrzymania, a żadnéj nie mając korzyści; chcąc więc takową utrzymać koniecznie, bez potrzeby wydatkowania co rok zasiłków pieniężnych, połączyła owę fabrykę z więzieniem chęcińskiém i zaprowadziwszy warsztaty w obrębie samego więzienia, wydzierżawiła ją na lat 12 Wincentemu Sokołowskiemu nadzorcy tegoż więzienia, pod temi głównemi warunkami, aby fabrykę utrzymywał ciągle czynną, nietylko w stanie w jakim się wówczas znajdowała, lecz owszem starał się o jéj udoskonalenie, aby w niéj wyrabiane były rzeczy gustowniejsze, więcéj sztuki i przemysłu potrzebujące; nadto aby starał się młodych ludzi krajowców doskonalić, utrzymując ich przy zdatnych potemu majstrach i t. d. Kommissya oddała temu dzierżawcy lokal na fabrykę, zapasy materyałów z wszelkiemi rekwizytami górniczemi, narzędziami, modelami, machinami, rysunkami, i nietylko nie żądała żadnego czynszu dzierżawnego, ale nadto oddając ówczasowych majstrów pod dowolny zarząd przedsiębiercy, przydała mu jeszcze 150 więźniów chęcińskich na lat 6 do robót kamieniarskich, z obowiązkiem płacenia 5,000 złp. co rok do kassy tegoż więzienia. Ale przedsiębierca nie dotrzymał kontraktu, robił nie to co mu umowa przepisała, cena wyrobów była zbyt wygórowana i dla kraju nieprzystępna; skutkiem tego fabryka coraz bardziéj upadała, a nareszcie w roku 1833 zupełnie zamkniętą została.

Odtąd przemysł ten prawie znikł w Chęcinach lub przeszedł w ręce starozakonnych, którzy największą z niego produkcyą nad 1000 rubli srébrem rocznie podnieść nie potrafili. I teraz kilku kamieniarzy majstrów zaledwie utrzymać się potrafią; wyroby zaś muszą być niezgrabne przy braku wszelkich wzorów, a jeszcze bardziéj gdy są bez odbytu. Wprawdzie wyrabiają tu, rozumié się kiedy kto zamówi naprzód, schody, posadzki, niezgrabne nagrobki, płyty na stoły, niezręczne patery, a najwięcéj przycisków do papiéru. Ale to wszystko nie ma należytego poloru, nie ma

dobrego kształtu, nie ma stosownéj formy. Jeszcze gdyby nie władze rządowe, możeby i ten użytek jaki jest dotąd z marmurów chęcińskich, zaginął. Tak przy budowie okazałéj katedry św. Trójcy w Warszawie, korzystano i używano marmurów krajowych; chodniki warszawskie, radomskie, kieleckie w większéj części są z niego wyrobione; teraz zaś wznoszący się wspaniale Instytut szlachecki przy ulicy Wiejskiéj, o ile mi wiadomo, nietylko posadzki, schody, ale i wewnątrz w kaplicach kolumny, kapitele i t. p. części budowli wszystkie będzie miał z chęcińskiego marmuru wyrobione. Ileżbyto podobnych rzeczy możnaby tu robić, gdyż nic tu nie brakuje, tylko dobrych chęci, umiejętnego wzięcia się do rzeczy, błahéj summy pieniężnéj! Wszakże i dziś budują się lub odnawiają kościoły, stawiają pomniki grobowe, ozdabiają zamożne domy, do których marmurowe przedmioty, i użyteczne a trwałe, i piękne stanowiłyby dodatki. Trzeba nieszczęsnéj na to naszéj obojętności, abyśmy o tém wszystkiém nie wiedzieli lub o to nie dbali. Piérwszy lepszy szarlatan włoski z wapieniami, które za agaty nam podaje, znajdzie u nas więcéj wiary, zaufania i odbytu, niż najlepsze krajowe wyroby.

Może mi kto na to odpowié: gdzie szukać tych marmurów, kto nam wyrobi zręczne i zgrabne przedmioty, bez których dzisiejsza wytworność nie obejdzie się, a dlatego tylko że krajowe, trudno jest bałwanami pokoje zapychać lub niezgrabiaszami domy swoje oszpecać; wreszcie, gdzie ich kupić można, kiedy ani składu ich nigdzie nie ma, ani nie wiadomo jak, i przez kogo je sprowadzić? Marmury chęcińskie, powiedzą mi inni, na posadzki są kruche, na ozdoby zablade, na figury smutne. Prawda wszystko, w części prawda, ale któż jeżeli nie my sami moglibyśmy temu zaradzić? Potrzeba tylko, jak mi powiadali ludzie dobrze znający się na rzeczy, 1000 rubli na założenie fabryki, tyleż na zaprowadzenie szkoły rysunków i rzeźbiarstwa, potém ułatwić kommunikacyą z Warszawą, otworzyć skład wyrobów gotowych lub w materyałach, a wszystko pójdzie jak najlepiéj: pieniądze nakładcy się wrócą, publiczność zaś wiele i bardzo wiele z tego skorzysta. Cóż przyjemniejszego naprzykład i trwalszego jak stolik z wierzchem marmurowym, który teraz nawet na miejscu i trzech rubli nie kosztuje. Niechby nasze liczne kawiarnie, traktyernie, garkuchnie, bawaryc i t. d. zdobyły się na takie stoły, mało co więcéj nad zwykłe drewniane kosztujące, czyliżby na tém porządek i czystość nie zyskały? Albo stoliki marmurowe zaprowa-

dzone po sklepach, magazynach, szynkach, nie byłybyż trwalsze i ochędożniejsze niż są teraz? Przedewszystkiém zaś w jatkach mięsnych, w składach wędlin i t. p., takie stoliki nietylko czystościąby się zalecały, ale zdrowie publiczne wieleby na tém zyskało. Przynajmniéj tak jest wszędzie za granicą, a my przecież naśladując ją ciągle, jeszcze do tego nie przyszliśmy.

Otoż jest jedno źródło odbytu na marmury, nie wspominając o innych równie użytecznych i korzystnych. Niech mówią co chcą, że najlepsze schody są żelazne; doświadczenie przekonywa, że marmurowe równie trwałe, są zawsze lepsze i ozdobniejsze. A kominki? czy może być co piękniejszego jak w pokojach ładne z marmuru wyrobione, trwałe i tak wygodne w naszym klimacie, a które nie wiedzieć za co wyszły z powszechnego użycia. Cóż dopiéro, gdy dojdziemy do tego, że potrafią nam wyrabiać przedmioty do ozdoby, zabawy i t. p., co wszystko może być bardzo ładne, a co więcéj—że nasze.

Nie mogę zaprzeczyć, że w marmurach chęcińskich, jak we wszystkich północnych krajach, farby są niejasne, nieczyste i cokolwiek brudne; gdy przeciwnie marmury w krajach południowych mają barwy zawsze czyste, świetne i żywe. Natura nam pod tym względem uskąpiła jakiémś dziwném zdarzeniem, gdy nasze północne agaty, jaspisy, opale, porfiry, i t. p. w niczém południowym nie ustępują. Ale pomimo to, takie marmury jakie mamy są jeszcze prześliczne; można z nich robić cudowne rzeczy, są mocne, trwałe, przyjmują dobry polor, dają się łatwo obrabiać i łamać w takich, jakich tylko potrzeba rozmiarach. Nie sąto próżne słowa, zaręczam, bo chcąc i siebie i drugich przekonać o téj prawdzie, zebrałem na miejscu potrzebne szczegóły, i te w zbiorach tutejszych uzupełniwszy (1), nadto osobnemi umyślnie ztamtąd

(1) Wiele pod tym względem winienem uprzejmości p. Karola Frycze b. urzędnika Górnictwa, dziś obywatela warszawskiego, który nietylko mi wszelkich udzielił objaśnień i stosownych szczegółów, ale nadto pozwolił do korzystania z bogatego swego zbioru mineralogicznego. Zbiór to prawie kompletny oryktognostyczny i geognostyczny, składający się przeszło z 8000 exemplarzy w formatach jak zwykle w wielkich gabinetach. Jest on szczególnie w klassie metali obfity, ma dużo rzeczy krajowych, np. minerałów znalezionych przy poszukiwaniu soli przez Bekkera, bogaty w skamieniałościach, których kilkaset exemplarzy liczy tak odznaczających się, iż mogłyby być pierwszych gabinetów ozdobą i t. d. O nabycie tego szacownego zbioru właśnie teraz stara się nowo założona akademia medyczna w Stambule; byłabyto strata dla kraju i szkoda niemała, a i wstyd także, że Turcy prędzéj na wartości naszych zbiorów poznali się, niż my sami!...

przesłanemi wiadomościami wsparty, sporządziłem i podaję opis tutejszych i w okolicy marmurołamów, wyliczenie odmian marmurów co do ich barwy, objętość takowych, a nareszcie użytek; kto wié zresztą, może się to na co przyda, a przebaczcie mi zawsze jeżeli błądzę.

Formacya gór przechodowych sylurska i kambryjska zajmująca okolice Bodzentyna, Kielc, Daleszyc, Chęcin, Iwanisk, Łagowa, Klimuntowa, Koprzywnicy, aż prawie pod Sandomiérz, zawiera wapień różnokolorowy, który szczególniéj w okolicy Chęcin i pod Słopcem tworzy marmur. Łomy takowego osobliwie około Chęcin, istnieją w wychodniach czyli wysterczających skałach, znaczne góry tworzących, których położenie załączony plan objaśnia.

Między wsią Szewce i Zawada, ku południowi zaczyna się wapień utworu sylurskiego (dawniejszy przechodowy); rozciągając się ku stronie południowo-wschodniéj, zajmuje górę pod wsią rządową Zawada, południową część gruntów do wsi Szewce należących, górę Okrąglicę, Szewską, Malik, Zygmuntowską, w obrębie Chęcin. Daléj następuje zlepieniec wapienia sylurskiego, który zajmuje tu małą przestrzeń, i jak z jednéj strony, tojest od północy, służy za podstawę piaskowca kambryjskiego, tak z drugiéj strony, tojest od południa, opiera się na wapieniu sylurskim czyli przechodowym, który tworzy góry ciągnące się równie jak wyżéj wymienione od strony północno-zachodniéj ku stronie południowo-wschodniéj, zajmując część północną wsi prywatnéj Skiby, a w dalszéj rozległości ku wychodowi tworzy górę Zelejowską. Daléj ku południowi wapień ten wydźwignieniami swemi tworzy najwięcéj w kierunku swym przerywane, lecz równie jak poprzednio wzniosłe wychodnie skał, stanowiące niejako pasmo gór. Rozciągające się ku stronie południowo-wschodniéj góry Sosnówka, Zamkowa pod Chęcinami i inne pomniejsze, do tego pasma należą. Opisany tu ogółowo utwór wapienny, wraz z należącemi doń marmurami, służy za podstawę dalszych utworów warstwowych w stronie południowéj, w obrębie Chęcin. I tak: góry kozeczkowskie, które należą już do utworu wapienia tryasowego muszlowego, daléj ku południo-zachodowi pokryte są wapieniem ikrowcowym, już do następnéj formacyi juraskiéj należącym, mianowicie w zbliżeniu i ponad samą rzeką Nidą od Małogoszczy do Sobkowa pasmem rozwiniętéj.

Co do pokładów, wapień sylurski i marmury do tegoż należące są w téj okolicy podstawą wszelkich innych mass. Główny kierunek jego pokładów jest smuga od strony północno-zachodniéj, ku stronie południowo-wschodniéj. Nachylenie pokładów względem poziomu jest ku stronie południowo-zachodniéj, nawet dość pionowe, bo niektóre pokłady, jakoto pod zamkiem chęcińskim, w górze Zelejowéj do 70 stopni upadu okazują, i z tego powodu massy jego w tych miejscach, szczególniéj w górze Zelejowskiéj, sterczącemi odznaczają się skałami.

Zlepieniec wapienia ze strony północnéj jest pokładem piaskowca czerwonego (new red Sandstone Anglików), z drugiéj zaś, tojest od wschodu i południa, złożony jest, jak już wspomnieliśmy, na wapieniu sylurskim.

Części wapienia w tym zlepieńcu, spojone są lepiszczem do wakki podobném, a w części spatem wapiennym przerośnięte, stanowiąc jednę massę, któréj części mniéj więcéj silnie są z sobą spojone. Zlepieniec ten zdaje się należéć do tak zwanych w tych stronach okruchowców wapiennych (czyli brekcyi), tworzących górę Karczówkę pod Kielcami i inne około téjże. Ztąd marmur w górze Zygmuntowskiéj także okruchowców ma postać.

Wapień sylurski téj okolicy w głębszych pokładach zdaje się być więcéj zbitym i w massie jednostajniejszym; złam jego muszlowy, w ciepłéj wilgoci wydaje zapach glinki; przerośnięty bywa cienkiemi żyłami spatu wapiennego, a niekiedy kryształy brzemienia czyli siarczanu baryty. Wśród mass wapienia tego zdarzają się rozpadliny, wypełnione w swych częściach wierzchnich gliną czerwoną, która się do nich dostała przez napłynienie, jednakże pomieszana z piaskiem. Różnobarwność tych glin i krzemionkowych niekiedy ziarnek piasku, przerośnięcie żyłami spatu wapiennego, stanowi cechę marmuru, w który wapień sylurski istotnie się tu tym sposobem przemienia. Góry zawierające marmur, znane są w téj okolicy następujące:

1. *Zamkowa*, kopalni teraz tutaj nie ma, marmur atoli jest tak twardy, jak Zelejowski: polor przyjmuje bardzo dobrze i wydobywa się w dwóch odmianach: jedna jest koloru wiśniowo-różowego, żyłkowanie równoodległe i niebardzo rozmaite; druga podobnéj barwy, tylko nieco jaśniejszéj i przechodzi w popielato-wiśniowo-brunatny. Podobny on jest zupełnie do włoskiego marmuru zwanego *Caroline*, tylko nie ma tak żywéj barwy.

2. *Podzamcze*, podobnież nie ma teraz kopalni; marmur tu jednak znajduje się tak twardy, jak w poprzedniéj, różni się zaś barwą bardziéj w różową wpadającą, mało ma żyłkowań i kolor jednostajny. Można z niego prześliczne rzeczy wyrabiać.

3. *Sosnówka* pod Chęcinami daje marmur w kolorze popielato-wiśniowym, z żyłkami białemi i ciemnemi; jest on twardy do wydobycia, obrobienia i poloru trudny. Dobywają go tu jednak łamami długiemi na łokieć 1, szerokiemi na łokieć 1, grubemi na $^1/_4$ łokcia.

4. *Zelejówska*, czyli Zelejowa, w obrębie miasta Chęcin znajdująca się, o dwie mile na zachód od Kielc położona, ma w jednéj wielkiéj górze trzy łamy marmurów, różniące się odmianą kolorów; i tak: od południa na tle ciemném są pasy białe i żyłki koloru różowego i białego; dobywają téj odmiany łamami długości na łokci 3, szerokości na $1^1/_4$, grubości na pół łokcia. Od wschodu na tle cielistém pasy i żyłki czerwonawe i białe; tego wydobywają także na łokieć długości, tyleż szerokości, a pół grubości. Nareszcie od zachodu na tle jasno-popielatém ma plamki różowe i szare; dobywa się w mniejszych łomach najwięcéj długości i szerokości na pół, a grubości na $^1/_3$ łokcia. W ogóle marmur ten wydobywa się w bryłach, jest zbyt twardy i trudny do obrobienia dlatego, że łatwo pryska pod dłutem, z powodu spatu wapiennego, który jest bardzo kruchy do wydobycia, ale daje się dobrze polerować. Wyroby z niego są kosztowniejsze jak z innych tutejszych marmurów, a barwą swoją celują.

5. *Okręglica*, góra w obrębie miasta, mieści marmur, który na tle ciemno-popielatém ma plamy ciemniejsze tegoż koloru i jakby muszelki białawe. Twardość ma niewielką, spat wapienny w nim przeważa i tworzy główne tło. Do obrobienia trudny, ale łatwo polerować się daje; dobywają tu łamy długości łokci 4, szerokie na 3, a grube na łokci 2.

6. *Dobrzączka*, góra obok powyższéj znajdująca się; w jednéj obszernéj górze ma łam marmuru koloru lila z ciemniejszemi plamkami. Twardość tego marmuru jest znaczna i ma dwie odmiany: jedna koloru ciemno-popielatego, z plamkami białego spatu wapiennego, druga lila. Dobywają tu łamami długości na łokci 4, szerokości na 3, a grubości na 2.

7. *Szewce*, wieś rządowa o dwie mile na zachód od Kielc położona, ma w jednéj górze trzy kopalnie marmurów różnych kolorów; i tak: od strony południowéj na tle koloru ciemno-brunat-

nego narzucone skamieniałości pierściennic (annelidae), a mianowicie nereid i rurówek (serpulae), jaśniejszą swą barwą i połyskiem od tła wydatniejsza. Łamy mają długości łokci 4, szerokości łokci 2, grubości 1 ½ łokcia. Od zachodu jest marmur koloru popielato-różowego, na którym podobnież są plamy muszelkowe; długość łamów łokci 3, szerokość łokci 2, grubość łokieć. Od północy znowu marmur jest różowo-popielaty, z żyłkami białemi i znaczkami muszelkowemi. Ta ostatnia odmiana zbliża się bardzo do włoskiego marmuru zwanego *Duhamel*. Wszystkie te trzy gatunki marmurów są bardzo twarde, do wydobycia trudne, łatwo polerować się dają. Piękne z nich wyrabiają naczynia, kolumny, posadzki i t. p.

8. *Zygmuntowska*, pół mili od Chęcin odległa góra, dawniéj Wierzmoniecka zwana, w któréj części różnokolorowe wapienia sylurskiego ściśle z spatem wapiennym są skrystalizowane, tak, iż stanowią jednę massę nakształt zlepienia. Zawiera marmur twardy do wydobycia, obrobienia i poloru, kolorów bardzo rozmaitych, na tle zawsze mniéj więcéj ciemno-wiśniowém, na podobieństwo marmuru włoskiego *Seracolin* zwanego. Główniejszych odmian jest cztery. Piérwsza koloru ciemno-wiśniowego z żyłkami koloru krwawego i białemi spatu wapiennego. Z tego jest kolumna pod posągiem Zygmunta III w Warszawie. Druga ma kolor krwawy, żyłki ciemno-wiśniowe w jaśniejsze nieco przechodzące; podobna do włoskiego marmuru zwanego *Rose*. Trzecia podobna do poprzedniéj, tylko w nim więcéj spatu wapiennego, tworząc tło, na którém porozrzucane są w różnych kształtach nieregularne plamki koloru brunatno-wiśniowego. Nakoniec czwarta jaśniejszą tylko barwą od poprzedniéj różniąca się. W ogóle we wszystkich tych odmianach łamom dają długości łokci 15, szerokości łokci 6, grubości łokci 4.

9. *Starochęciny* ma marmur zupełnie podobny do Zygmuntowskiéj, różni się tylko większą jednostajnością barwy; odmian zaś ma dwie.

10. *Rzepka*, góra w obrębie Chęcin. W górze obszernéj mieści marmur na tle ciemno-popielatém, mający plamy koloru wiśniowego i żyłki białe; jest on twardy, a polor przyjmuje z łatwością. Dobywają tu łamami długiemi na łokci 3, szerokiemi na łokci 2 i grubemi na tyleż łokci.

11. *Sitkówka*, wieszcz[illegible] pod Chęcinami na zachód, ma trzy kopalnie w dwóch obszernych górach: z tych od północy marmur

jest koloru plamistego, orzechowo-różowego, z żyłkami spatu wapiennego; dobywają z niego łomami łokci 4 długiemi, łokci 3 szerokiemi, a łokieć grubemi. Od południa marmur ten barwę ma jaśniejszą niż poprzedni, i w tychże rozmiarach dobywa się. Od zachodu więcéj jak piérwsze dwie odmiany jest ciemny. Przymioty tego marmuru we wszystkich trzech łomach są te same, jak w kopalniach Szewce.

12. *Skiby*, wieś prywatna, pół mili od Chęcin. W górze obszernéj mieści marmur koloru popielatego, z żyłkami białemi spatu wapiennego, różowemi i ciemno-czerwonemi. Odmiana tu jest tylko jedna. Własności te same jak marmurów z góry Zelejowéj. Dobywają łomy długie i szerokie na łokci 3, grube na 2.

13. *Miedzianka*, kopalnia niedaleko Chęcin, w któréj dawniéj wydobywano rudę kruszcową miedzianą, dziś zarzucona. Mieści w sobie marmur koloru jasnego białawego, z czerwono-brunatnemi żyłkami, przerośnięty częściami malachitu i lazuru miedzi, który po szlifowaniu w kształcie gwiazdek wydobywa się. Prześliczny ten marmur naturalnie zielonemi i błękitnemi gwiazdkami i złamkami upstrzony i urozmaicony, niestety w bardzo małych kopie się kawałkach.

14. *Dębska Wola*, wieś prywatna, o 14 wiorst od Chęcin odległa, ma kopalnie marmuru przedzielanego cienkiemi warstwami gliny. Kolor tego marmuru jest orzechowo-wiśniowy, z żyłkami białemi spatu wapiennego. Jest on twardy i dobrze polor przyjmuje. Jednę ma tylko odmianę, ale bardzo ładną. Dobywają łomy długie i szerokie na łokci 5, grube na $^3/_4$ łokcia.

15. *Korzecko*, wieś donacyjna o 5 wiorst od Chęcin odległa. W wielkiéj tutejszéj górze znajdujący się tu wapień tryasowy muszlowym zwany, dla szczelnéj spojności części jego składowych, tojest wapienia z skamieniałościami i spatem wapiennym, używany tu jest pod nazwiskiem marmuru żółtego. Daje się on równie dobrze jak inne polerować. Właściwie marmur ten jest koloru kawowego, narzucony białemi punkcikami, jakby zasiany ikrą lub drobnemi muszelkami. Łupać i obrabiać daje się łatwo, posadzkę z niego można miéć dwa łokcie w kwadrat. Łamią zaś kawały długie na łokci 4, szerokie na łokci $2^1/_2$, grube na łokieć.

16. *Morawica*, wieś prywatna nad Nidą, dwie mile od Kielc ku południowi, ma kopalnią marmuru w górze znacznéj wielkości; kolor jego jest także kawowy, napryśnięty ciemniejszemi i jaśniejszemi centkami; twardość jego jest niewielka, polor trudny

w robocie pod dłutem łatwo rozpryska się. Używany na posadzki i inne wyroby. Dobywają łomy szerokie na 3/4 łokcia, a grube na 1/4 łokcia.

17. *Małogoszcz* miasto rządowe na zachód od Kielc, o mil 4 odległe. Na przejściu od utworu tryasowego w juraski, ma kopalnią w obszernéj górze, w któréj marmur prawie z nic nieznaczącą odmianą jest koloru i téj saméj natury jak w Korzecku. Dobywają tu łomy długie na łokci 3, szerokie na łokci 2, grube na pół łokcia.

18. *Brody*, wieś prywatna mil 2 1/2 na południe od Kielc odległa, ma kopalnie marmuru w górze znacznéj wielkości; jest on koloru ciemno-kawowego, niekiedy w jasno-orzechowy przechodzącego, po którym są jaśniejsze i bledsze w różnych kształtach upryśnienia. Marmur to twardy i łatwo obrabiać i polerować się daje. Łamią go w sztukach długości łokci 6, szerokości 4 1/2, a jeden łokieć grubemi.

19. *Jaworznia*, wieś prywatna o milę na zachód od Kielc położona. W ogromnéj górze ma dwa łamy marmurowe, z których począwszy od wierzchołka do połowy góry mieści marmur białawy przezroczysty, pomieszany kolorami blado-różowym i żółtawym; dobywają z niego łamy łokieć długie, szerokie i grube. W części dolnéj ma kolor blado-różowy, żyłkami buraczkowemi poprzedzielany i w mniejszych łamach dobywa się. W ogóle marmur jaworznicki jest twardy, pęka przy obrabianiu i do polerowania jest trudny. Marmur ten jestto wapień sylurski, przez częste zbliżenie do krystalizacyi w spat przechodzący, i spatem przezroczystym i różnokolorowym, lecz jasnym, urozmaicony i upiększony. Mogliby go nam cudzoziemcy pozazdrościć, ale nie poważyliśmy się tego daru Opatrzności tak użyć, jakby się dał z łatwością.

20. *Słopiec*, wieś rządowa, o dwie mile na wschód od Kielc położona, zaś o 20 wiorst od Chęcin; ma dwie kopalnie marmuru w poziomie poprzedzielanego cienkiemi warstwami spatu wapiennego. Kolor marmuru jest ciemno-orzechowy, czasem w różowy przechodzący, żyłkowany spatem; znajdują się w nim jakoby skamieniałości roślin, istotnie zaś pierściennic, jak i powyżéj to uważaliśmy w Dobrzączce; czasem jakieś muszle których rodzaj i gatunek nie umiemy oznaczyć. Jest on twardy należycie, daje się obrabiać żelazem bez rozpryskiwania i przyjmuje

polor z łatwością. Wyrabiają z niego wazony, kolumny, naczynia gospodarskie i aptekarskie i lizy na posadzki. W ostatnich latach kilkanaście tysięcy łokci liz wzięto ztąd na trotoary do Warszawy, Kielc i Radomia. Łamy od wschodu są tu długie łokci 6, szerokie łokci 3, grube 1 1/3; od północy długie łokci 5, szerokie 3, grube pół łokcia.

21. *Kajetanów*, wieś rządowa 2 mile od Kielc, a 23 wiorst od Chęcin odległa; pod powierzchnią ziemi rodzajnéj, na przestrzeni mili kwadratowéj ma kopalnią marmuru czarnego w stalowy wpadającego, który do wydobycia łatwy, dość twardy, z trudnością polor przyjmuje. Łamy mają długości łokci 4, szerokości 3, grubości pół łokcia.

Otóż jest gałąź przemysłu krajowego bogata i tysiączne mogąca dać korzyści. Mamżeli jeszcze co więcéj nad to powiedzieć?—Nie. Puszczam na świat na próbę i to, na co się zdobyłem: bodajby ona zachęciła znawców do zrobienia czegoś lepszego, a myśli i nadzieje nie spełzły na niczém, lub zamknęły się w kilku sercach niemożnych do czynu, do wpływu niezdolnych!

Z krainy marmurów, wróciłem do Kielc. Wprawdzie miałem jeszcze po drodze dawny dwór na Podzamczu, w piękne wspomnienia obfitujący, śliczną okolicę, cudne widoki, a naokoło miejsca, o których tyle możnaby napisać, żeby i czytelników zabrakło. Ale powiedziałem sobie, niech to będzie na ten raz dosyć. Przyznam się także, iż obawiałem się, aby nauka starożytności maluczkie jeszcze u nas łaski mająca, nie znudziła nowych swoich zwolenników. Wątpiłem, aby opis chociaż swego kraju obudził zajęcie. Zwinąłem więc wszystkie notatki i wróciłem do Warszawy. Doświadczenie przekonało, iż się omyliłem: dobra to więc otucha na przyszłość, zachęcenie dla drugich.

Jeszcze porządkowałem owe notaty, do druku je przygotowując, gdy zacni miłośnicy tych stron obdarzyli mnie nowemi wiadomościami, zachęcając do powtórnéj w tym rodzaju podróży. Jedni donosili mi o kopcach szczególnych, pełnych legend i tradycyi, inni o gotowych i licznych popielnicach, które tylko oczekują, aby je z łatwością na pożytek nauki wydobyć; a byli tacy, co przysłali mi je nawet do Warszawy. Osobliwym nabytkiem archeologicznym jest nowy wykop w gminie Brzoza powiatu radomskiego, w dobrach należących do JW. generała jazdy Ożarowskiego. Przysłane ztamtąd dwie popielnice wydobyte zostały w blizkości wsi Brzozy, w miejscu płaskiém, rozległém, w głęboko-

ści około pół łokcia pod powierzchnią ziemi. Pokryw od nich nie znaleziono i zdaje się, że te zniszczeniu uległy; mieściły zaś w sobie, jak inne tego rodzaju zabytki, kości i popioły. Przestrzeń na któréj je wydobywano jest dosyć obszerną; znaleziono ich tam nierównie więcéj, ale przez nieostrożność w odkopywaniu zaledwie kilka wydobyto. Kształt tych popielnic jest nieco odmienny od tych, jakie w Nietulisku znajdowano; jedna zaś mianowicie jest szczególną, nosi bowiem na sobie ozdoby, które dotąd nie były znane. Sąto oprócz zwykłych na bokach centków w tym samém miejscu kilka wystających ząbków, w pewnych od siebie odstępach naokoło popielnicy, które albo stanowiły upiększenie, albo też jakieś ważniejsze miały znaczenie.

Przyłączam wierny wizerunek téj popielnicy, wstrzymując się od wszelkich domysłów.



Dzieje piśmienne wsi Brzoza sięgają roku 1369; była ona kiedyś królewszczyzną dzierżawną, a wypuszczaną rozmaitéj szlachcie w nagrodę ich zasług, za pewną małą opłatą. W XVII wieku posiadali ją Lubomirscy, późniéj została dziedzictwem Adama Ponińskiego podskarbiego wiel. koron., nakoniec przeszła na własność Ożarowskich, u których dotąd zostaje. Zresztą o pamiątkach tego miejsca ciekawi znajdą wiele interesujących szczegółów w pięknéj rozprawie ks. Józefa Gackiego proboszcza i dziekana w dyecezyi sandomierskiéj, zamieszczonéj w Pamiętniku Religijnym na r. 1850, w tomie 19, na str. 381.

Doniesiono mi także smutną wiadomość, iż ów rzeźbiarz Jan Duchnowski uczeń Schwanthalera, o którym na początku swéj pracy wspomniałem, umarł z nędzy w Kunowie dnia 8 grudnia 1851 roku.

Pokój twojéj duszy biédny artysto! Nie spodziewałem się, abym przed twoim grobem odkrył promyk nadziei lepszego dla ciebie losu, któregoś nie mógł się doczekać przez tyle lat zawodów. Oby śmierć twoja była ostatnim wyrzutem obojętności ziomków, a nauką dla podobnych tobie ludzi. Po coś się przywiązał do kąta, o którym nikt nie wiedział; czemu nie obrałeś sobie miejsca widoczniejszego, nie zgłosiłeś się do ludzi co mają jeszcze serca, miłość dla sztuki i przywiązanie do swoich! Czyżby zupełnie takich już u nas brakło? Los twój byłby niezawodnie jeżeli nie świetnym, przynajmniéj nie tak smutnym i tak prędko skończonym. Tyś zamknął swój zawód z goryczą i rozpaczą w sercu, zostawując jeszcze sieroty w nędzy i niefortunną towarzyszkę twego nieszczęśliwego życia. Któż im teraz poda rękę na pamięć tylko męczennika sztuk pięknych u nas? Kto przytuli dzieci artysty, którego jedyną tylko było winą, że nie umiał żyć na teraźniejszym świecie i nosił nazwisko nie po włosku zakończone?

Przykro mi, że takiém wspomnieniem kończę moję pracę, bo istotnie z téj wycieczki wywiózłem wiele innych przyjemnych i nauki pocieszających, a zostawiłem nierównie więcéj, o czémby i napisać i ogłosić wypadało.

Pięknaboto ta gubernia radomska, dziwnie we wszystko bogata, co nie miara archeologiczna! Ludzie tu są dobrzy, postęp tu widoczny i co krok przedmiot oczy i serce wabiący. Pożegnałem więc ją jeszcze z nadzieją, że kiedyś dopełnię to, co opuściłem, powtarzając z dawnym poetą:

Zacna strono! tobie gwoli,
Jeżeli Bóg życia pozwoli,
Nie żal mi będzie téj drogi,
Odwiedzieć jeszcze twe progi.
Co obaczę, co usłyszę,
Wtenczas dokładniéj opiszę.

O POWIEŚCIACH ARABSKICH.

SKREŚLIŁ

Kazimierz Puchała.

W poezyi Arabów, tym kwiecie ich literatury, powieści najwybitniéj odzwierciadlają ducha Wschodu, i po gazellach i kassydetach (1) najwięcéj mają oryginalności. Zamiłowanie w słuchaniu dziwnych przygód sięga najodleglejszych czasów, i pochodziło ze zwyczaju ludu wiodącego życie koczujące w stepach, zasiadania wspólnie wieczorem pod gwiaździstém niebem, i opowiadania kolejno, lub przez umówionego opowiadacza, *Essamir,* to-jest *przywodzcę gwiazdzistéj nocy* nazwanego.

Prowadzona rozmowa przy blasku księżyca, zowiąca się *Semer*, jest główną częścią życia Arabów, a szczególniéj Beduinów, niemających stałych siedlisk, przebiegających ogromne pustynie, i utrzymujących się z chowu koni i wielbłądów. Wynika to z właściwéj przyrody kraju, gdzie w dzień pasąc swe trzody, lub uganiając za zdobyczą, wieczorem gromadzą się około swoich namiotów, i dla gorącego klimatu część dnia na sen poświęciwszy, za to noc przepędzają na czuwaniu. Ten zwyczaj wypływający z stanu przyrody i oświaty, przeszedł z namiotów do *Hadesi*, mieszkańców miast trudniących się handlem i rzemiosłem, z wielobóstwa do Islamu, którego zakaz w koranie używania wina, gry, muzyki i tańców, nie zostawia innéj rozrywki jak rozmowę, co swoją

(1) Rodzaje poezyi arabskiéj: gazella jest pieśń treści erotycznéj lub allegorycznéj, składająca się nie mniéj jak z pięciu, a nie więcéj jak siedmiu dwu-wierszy, różniąca się tém od kassydeti, że ta zwykle jest dłuższą, po większéj części na pochwałę ułożoną.

cichą jednostajnością wszystko zastępując, musi być szczególniéj cenioną. Muhamed wprawdzie uznając szkodliwém opowiadanie powieści, szczególniéj z Persyi pochodzących, jako w świat bałwochwalczy marzeń przenoszące, wzbronił takowych w koranie; lecz natomiast dla wzniesienia i krzepienia odwagi narodowéj, zalecał starodawne podania o czynach sławnego wojownika i razem poety arabskiego *Antara*, a tym sposobem upowszechnił ten pochlebiający wyobraźni wschodniéj i przypadający do smaku narodowego, rodzaj poezyi. Gdy ta następnie pielęgnowana na dworze kalifów, ożywiana promieniami ich względów, rozwijała się sztucznie, wysilona jak w cieplarni roślina pozbawiona rosy i słońca, blask okupując utratą świeżości i siły, które odznaczają nieokrzesaną, ale pełną życia pierwotną poezyą; powieści zachowały swoję oryginalność, w któréj odbija właściwe piętno ducha arabskiego, i stały się ulubioną zabawą ludu.

Ztądto Arab i dziś jeszcze czas najmiléj przepędza na słuchaniu powieści: czyto wśród rozległych stepów, pod niebem oświetloném od księżyca wypoczywa z pielgrzymami, do świętéj Mekki spieszącemi, lub z karawaną przewożącą na wielbłądach towary z Bassory i Damaszku; czy wieczorem siedząc pod namiotem wśród oazy rozpiętym, lub téż nareszcie po miastach po dziennych zatrudnieniach w obszernych kawiarniach. To dało początek do zbiorów licznych powieści. Osnową ich było jużto zdarzenie prawdziwe, które niespisane, tylko z ust do ust przechodząc, przytém dodatkami wzbogacone i upięknione, stawało się nakoniec fantastyczném; jużto była całkiem zmyśloną, niekiedy nawet przyswojoną z krainy duchów, i w samym swoim pierwiastku, w treści i formie, miała urok cudowności.

Budząca się wyobraźnia skłonną jest wymarzać świat, który nie istnieje: otaczający znajduje zaciasny, zdarzenia zapowszechne; chętnie goni za cudownością, przenosi się w czasy upłynione, w krainy nieznane; nadaje wypadkom nadzwyczajnym wielkość olbrzymią, lub przyozdabia barwami świetnemi. Tak téż i lud Arabów jeszcze w kolébce cywilizacyi zostający, unosił myśl swoję na skrzydłach bujnéj wyobraźni w dziedzinę cudów, i splatał uroczy wieniec powieści, zpomiędzy których najwięcéj znane są *Elf Leila* czyli *Tysiąc i jedna nocy*; gdzie wszystko poplątane jak na kobiercach ozdobionych arabeskami, składającemi się z postaci ludzkich, zwierząt, kwiatów i liści.

Dawno już dostrzeżono zachodzące powinowactwo między architekturą a poezyą; bo sztuki są z nią jednéjże rodziny, jednaki je duch ożywia. Posępny gieniusz Egiptu zbudował *Serapeum* w Memfis (1) i ryt grobowe napisy; wesoły, pełny harmonii duch grecki wzniósł *Partenon* w Atenach, jak Lamartine nazwał, najdoskonalsze poema wypisane w kamieniu na powierzchni ziemi. To powinowactwo najjaśniéj wykazuje się u Arabów. Jak meczetów stropy, słupy, odrzwia ozdabiali postaciami zwierząt, plącząc je z wijącemi się liściami roślin; tak w powieściach swoich splatają żywotną z martwą przyrodą. A jak wyrabiali minaretów ozdoby fantastyczne, w dziwne, lecz pięknością zachwycające arabeski wyrznięte, nietłoczące swoim ciężarem, tylko lekkie, użyczające chłodu miłego, odpowiedne skwarnemu i pogodnemu niebu; tak swoje powieści tworzyli lekko, zdobiąc całém bogactwem wyobraźni, nie obciążając zbytecznie przepychem fantazyi, tylko rozrzucając świeżość i powaby, jak wymagał ich gieniusz narodowy i sposób życia.

Lecz jak w budowlach Arabów, łuki wspierając się wzajemnie gmach utrzymują, nie przeszkadzając oczom objąć widoku jego całości; tak w ich powieściach wiąże się zamęt osób, wypadków i obrazów, a z tego wszystkiego, pomimo najrozmaitszéj fantasmagoryi, nie mącąc uwagi słuchacza, składa się nauka.

Powieści *Tysiąc i jedna nocy* przyrównaćby można do bazaru wschodniego, gdzie w pozornym nieładzie znajdują się jedwabie z Aleppo, kandiary dziwerowane w Damaszku, obok różnobarwnych dywanów z Ispahanu, i tkanin w wielkie ptaki i kwiaty wyrabianych w Bagdadzie. Tak też i w tych *Tysiąc i jednéj nocy* przechodzimy od powieści o czterdziestu wezyrach, do historyi młodego króla czarnéj wyspy; od wypadków Alego z Kairu, do przygód Hassana z Bassory.

A jednakże wszystko to ma związek, i łączy się cudownie, by utworzyć całość noszącą na sobie oddzielne piętno. Sąto jakby drobne zwierciadła, co razem spojone, odbijają rozliczne odcienia ducha wschodniego. Wszystko tchnie urokiem jak w *Amarat Sepuchet*, tym słynnym kiosku powabnéj ustroni, przeznaczonym na tajemne rozkosze szachów perskich (2).

(1) Serapeum było miejscem grobów, jak u Greków Nekropolis.

(2) Flandin malarz należący do poselstwa francuzkiego, w latach 1840—1841 wysłany do przekopiowania napisów i pomników perskich, w opisie swojéj podróży wydanéj świeżo r. 1851, mówi o Amarat Sepuchet:

Ale przy całém wrażeniu, jakie te miłe i tak urozmaicone obrazy wywierają na naszę wyobraźnią, niedostaje nam przecież pojęcia ducha wschodniego; przeto powieści te, nie mogą rozbudzić w nas tego zajęcia, jakie w synach Arabii wznieca ta jedyna ich rozrywka. Aby je słusznie ocenić, potrzeba znać społeczność wśród której się zrodziły, ludzi którzy je wymyślili, i tych, co się im przysłuchują. Należy przenieść się myślą wśród poważnych od słońca ogorzałych wychowańców stepów, z twarzami pełnemi wyrazu. z ognistym i błyszczącym wzrokiem, koczujących przy cysternie w blasku księżyca, pod gwiaździstym namiotem wyiskrzonego nieba, otoczonych od wielbłądów, co liche pożywienie znaleźli na oazie wśród oceanu piasków. Lub widzieć tychże Arabów wieczorem zgromadzonych w kawiarni w Aleppo i Kairze, siedzących poważnie na dywanie z założonemi nogami, puszczających kłęby dymów z wspólnéj *nargileh* (1), popijających małemi czarkami mokkę, i nie mó-

„Wszystko w tym pałacu oddycha wdziękiem życia wschodniego, takim, o jakim poeci marzyli i niekiedy opisali. Wchodzi się do małego ogrodu pełnego wonnych kwiatów, zawsze pięknych, zawsze odświeżanych miłą rosą, którą rozrzuca nigdy nieustający wytrysk wody. Tam bluszcz i róża „rozkoszny kielich z którego pije słowik" splatają długie girlandy i spadają na alabastrowe wazony. Woda przezroczysta w wannie, wzbiera nad brzegi i spływa w kapryśnych festonach, by kąpać w kryształach hyacynty i narcyzy, napełniające powietrze wonią. Posadzka marmurowa zawsze biała jak śnieg odbija jak w zwierciadle lilie i mirty. Mniemaćby można, że wróżka przeniosła nas do jednego z zaczarowanych gmachów powieści arabskich. Jeszcze krok dalej, a jesteśmy wśród cudów fantastycznych Wschodu. Wstąpmy na te schody, odchylmy tę zasłonę: wchodzimy do gmachu, gdzie oczy olśnione, zaledwie otworzyć się mogą. Światło dzienne nie przeciska swych słabych promieni jak tylko przez szkła różnobarwne w kształcie kwiatów. Stopa depce w cichości po miękkich i bogatych kobiercach. Wszystko w téj uroczéj ustroni wzywa do snów rozkosznych. Odsuwa się kryjówka, spostrzegać się daje sala nawpół oświetlona światłem błękitném: jestto ustroń najtajemniejsza odalisek. Sybaryta zakładający ten *ermitaż*, w którym ukrywało się dla niego tysiąc rozkoszy, wymyślił najpowabniejsze utwory, wymarzył najżywsze uciechy. Pałac ten jest świeżéj daty, wystawiony został przez syna Feth-Ali-Chah, który dostał w udziale rządy Ispahanu. Nie chciał on ubiegać się z wspaniałością ani z wielkością i przepychem innych sułtanów, lecz pełen smaku i chciwy rozkoszy Epikurejczyk ze szkoły Hafisa, powziął ideę raju ziemskiego i takową urzeczywistnił."

(1) Nergileh jestto rodzaj fajki z któréj wspólnie palą tytuń, a którą Niebuhr opisał w swéj podróży do Arabii.

wiąc jeden do drugiego, nadstawiających ucha biegłemu opowiadaczowi. Czy też znajdować się w haremie, gdzie odaliski na kaszmirowych kobiercach i sofach z tkanin perskich, przysłuchują się dziwnym powieściom; a wówczas pojmiemy niezmierną różnicę miedzy tamtejszemi a naszemi słuchaczami.

Chcąc zasmakować w powieściach arabskich, potrzeba (jak to o jednym pisarzu niemieckim pismo czasowe angielskie powiedziało) (1) „pewnéj delikatności w dotknięciu, by zrywając róże z tego bujnego krzaku, nie zadrasnąć palców kolcami." Nienależy być drażliwym na wybryki fantazyi wschodniéj, która nie znosząc wędzidła pędzi jak Farys (2) szranek nieznający; lecz owszem wypadałoby na czele dziwnych powieści *Tysiąca i jednéj nocy* umieścić wyrazy sybilli kumejskiéj:

Procul o procul este profani!

gdyż to dziedzina uroku, jak Ispahan najwspanialsze miasto Wschodu, które zwiedzając wędrownik marzy, że *dischny*, te gieniusze napowietrzne, uniosły go na swoich szarfach w siódme niebo Muhameda.

Aby dać wyobrażenie nieznającym *Tysiąca i jednéj nocy*, skreślę treść powieści *O czterdziestu wezyrach*, stanowiącéj piękny ustęp przez pięć nocy opowiadany.

Pewien szach perski miał syna, będącego rozkoszą wszystkich i nazywanego *Nurgehanem*, tojest *światłem świata*. Jaśniał on pięknością, odznaczając się przytém roztropnością i przymiotami ciała. Po śmierci jego matki, szach powtórnie pojął za małżonkę *Chansade* córkę sąsiedniego króla, która pokochała swojego pasierba. Ten zagłębiając się w astrologii, miał objawione przez mądrego swego nauczyciela, że z powodu biegu gwiazd nieprzyjaznego, dla uniknienia nieszczęścia, *Nurgehan* musi milczéć przez dni czterdzieści. Ten przyrzekł to, a mędrzec nakreśliwszy *amulet*, zawiesił na jego szyi. Szach, gdy syn nie odpowiadał, mniemając, że tajony smutek musi być tego przyczyną, zaprowadził go do *Chansady* aby się jéj zwierzył. Lecz ta korzystając ze sposobności, wynurzyła swoję miłość dla *Nurgehana*, żądając przysięgi że ją pojmie za żonę, a ona śmierć ojca jego przyspieszy, by ulubiony od niéj wkrótce został władcą Persyi; a gdy pomimo naj-

(1) O Janie Pawle Rychterze, (Blackwoods, Edinbourgh Magazin).

(2) Farys arabskie słowo znaczy jeździec, odpowiednie słowu *Fers* koń.

tkliwszych próśb milczał, myśląc że nią wzgardza, miłość przemieniła w zemstę, i postanowiwszy go zgubić, oskarżyła go przed ojcem.

Szach uwierzył, i powodowany gniewem, rozkazał sprowadzić kata, i przygotować wszystko do śmierci *Nurgehana*. Czterdziestu wezyrów powziąwszy o tém wiadomość, pospieszyli do szacha, i jeden z nich opowiedział historyą, z któréj wypływała nauka, *że nienależy być skorym w prześladowaniu niesprawiedliwém*. Szach usłyszawszy to, odłożył śmierć syna do dnia następnego; lecz wieczorem *Chansada* opowiedziała mu powieść, któréj było treścią *że nie wszystkim dogodzić można;* i nalegała, ażeby wykonał piérwsze swoje postanowienie. Gdy znowu z porankiem szach zasiadł na tronie, i kata przywołać rozkazał, wezyr opowiedziawszy powieść *O małżonku i papudze*, rzekł: „nie każ syna twego zabijać, dopóki nie przybędzie jego nauczyciel, gdyż pewnie w tém wszystkiém ukrywa się coś dziwnego; a jakążbyś popełnił zbrodnię, gdybyś twe ręce splamił krwią niewinną!“

Za nadejściem wieczora, *Chansada* rzekła do szacha: „nie kazałeś zabić syna, jeszcze masz do niego nierozsądne przywiązanie: posłuchaj historyi *Sułtana Machmuda i jego wezyra*,“ i opowiedziawszy to porównanie, nagliła na przyspieszenie śmierci *Nurgehana*. Szach przyrzekł, iż jéj zemście zadość uczyni z najbliższym porankiem. Gdy ten nadszedł, trzeci wezyr opowiedział przygodę Bramina, mającą podobieństwo z historyą szacha i *Chansady;* i błagał, by *Nurgehan* nie ginął *„gdyż jeżeli jest niewinnym, to ciebie niebo ukarze jako wspólnika mordu.“* Tak przez dni czterdzieści i tyleż nocy panowali nad umysłem szacha, jużto wezyrowie, już przebiegła sułtanka, opowiadając naprzemian powieści, w których ukrywała się nauka. Nakoniec zjawił się nauczyciel *Nurgehana*, wyjaśniając rzecz całą. Wówczas szach żałując to, co dotąd uczynił, rozkazał synowi zasiąść na tronie po swojéj prawicy, dozwolił wezyrom ucałować monarsze ręce i kolana, a *Chansada* ściętą została. Na tém kończy się opowiadanie o czterdziestu wezyrach, które pochodząc z obcego źródła, w zbiorze *Tysiąca i jednéj nocy* zamieszczone zostało.

W tych powieściach urozmaiconych gazellami i kassydetami, przeplatanych jużto krótkiemi *Rabjat*, tojest czterowierszami (Quatrains), już dłuższemi, *Mesnewi*, rodzajem poezyi dwuwierszem ułożonéj, ulubionym od Arabów; wyobraźnia mogła rozwinąć swe

skrzydła w smaku wschodnim, czyto w poemacie piękność opisującym, *Nesib* zwanym, wystawiając:

„Jak na tronie siedziała z uroczemi oczami, okolonemi łukami brwi ciemnych, a jéj oddech napełniał gmach cały jakby wonią ambry."

„Mniemano, że jéj uśmiéch wychodzi z pięknéj perły; włosy okalające jéj skronie podobne do nocy, a czoło zawstydza blask wschodzącego słońca."

Lub na inném miejscu mówiąc:

„Jest giętką jak gałązka drzewa, którą wiatr porusza; przy jéj uśmiechu błyszczą zęby, tak, że je brać można za błyskawicę przyświecającą przy gwiazdach. Jéj włosów kruczych spadające sploty, podobne do nocy trosk, co rozciągają się nad dniem radości, i otulają jasne południe w ciemne obłoki; a gdy okaże swoje oblicze w ciemności, to oświetla wszystko ze wschodu aż do zachodu."

Czy czerpiąc w *Dywanie*, tym zbiorze lirycznych powieści, opisując rozstanie:

„Jéj serce było podzielone między miłością i rozpaczą; płakała świéżemi perłami, a z oczu moich płynęły łzy krwawe jak karniol, i tworzyły razem jéj naszyjnik"....

Lub wspominając chwile szczęścia:

„Spędziłem w Damaszku dni i nocy. Zasypialiśmy pod skrzydłami cieni, aż wesoły poranek rozłączał mnie z kochanką. Jasne punkta pośród ciemnych drzew przez powiéw wiatru sprawiane, błyszczały podobne do pereł rozrzuconych od wiatru; zwierciadło wody było jakby kartą, na któréj tenże swém skrzydłem pisał"..... Wszędzie objawia się duch Wschodu, lubiący obrazy barw jaskrawych i śmiałe porównania, brane z otaczającéj przyrody. Jak wieszcz grecki przyrównywał piękną dziewicę do drzewa oliwnego wieńczącego wesołe wzgórza Jonii, a śpiewak śnieżystych szczytów Morwenu, do księżyca wychylającego swe światło z obłoków na wschodzie; tak wojowniczy Arab przyrównywa wzrost kochanki do dzirytu, jéj wysmukłość do drzewa rosnącego w puszczach Iraku, jéj oczu spojrzenie do błyskawicy, do księżyca w pełni, oblicze rozszerzające miłe wrażenia jak to światło wśród ciemnéj nocy; i gromadząc porównania jakby nawlekając perły, mówi: „Cztéry rzeczy połączyły się, ażeby serce moje zranić i oczy moje łzami napełnić: słońce czoła, noc włosów, róże lica, i ust uśmiechających się perły."

Przeplatające te powieści piosenki miłosne, zwane u Arabów *Sedschal*, tojest dzwoniące, któreto nazwanie przeniesiono do włoskich sonetów, nie mogąż z temi równać się w tkliwości, gdy poeta arabski śpiewa: „Tęsknota maluje twój obraz w mojém sercu, chociaż widzieliśmy się już tak dawno. Nadzieja zbliża ciebie do mnie, podobnie jak błyskawica w oko wzdziera się i znika. O! nie spóźniaj się dłużéj! Tyś dla mnie światłem; dopóki jesteś nieobecnym, otacza mnie ciemność dokoła. Jeżeli raduje ciebie rozdział ze mną, to cieszę się twoją radością. Milcz moje serce! i wstrzymaj się czynić mu wyrzuty, gdyż w dniu w którym się znowu znajdziemy, musiałobyś samo siebie oskarżać. Wszakże on mnie o to nie obwinia, a przecież rozumieją się nasze serca!“

Porównywając *Tysiąc i jedna nocy* z tak sławnym *Dekameronem*, który Boccacio ułożył, lub z *Nowellami* Małgorzaty królowéj Nawarry, dostrzeżemy, że powieści arabskie więcéj zostają w szrankach przyzwoitości; i jakkolwiek nie można ich w zupełności przyswoić naszemu wykwintnemu społeczeństwu, zawierają jednakże zdania i porównania, które dziś zastosowaćby można; jak np.: „Człowiek w dniach szczęścia podobny do drzewa: dopóki w owoce obfituje, gromadzą się ludzie koło niego, lecz gdy te oberwą, wówczas odchodzą zostawiając je na kurz i burze.“

Arabowie oddani zmysłowym rozkoszom, obojętni na wyższe cele życia, tchną zasadami zarazem stoików i Epikurejczyków w swoich powieściach; gdzie wszędzie przebijają się ich narodowe przymioty i szczodrość, o któréj mówi poeta:

„Pokaż skąpca, któryby swojém skąpstwem pozyskał sławę, lub szczerego, coby zmarł w pogardzie.“

„Jeżeli szczęście ci sprzyja, to z całym światem jego dary podziel, zanim uleci. Gdy ci jest chętném, szczodrość nie wyczerpnie, a gdy odwróci się, nie obroni ciebie skąpstwo.“

Cóż w tym względzie wznioślejszego powiedzieć można?

Nie pogardzajmyż więc powieściami *Tysiąc i jedna nocy* jakoby czczemi baśniami; piękność ich, jak wiosna, rozwesela serce i duszę, blaskiem barw przynęca zważających tylko na powierzchowność, wonią nagradza szukających wewnętrznych zalet; bo jak *Kremer* w swych Listach powiedział (1):

„W każdém dziele sztuki dwa różne schodzą się pierwiastki: jeden zmysłowy, materyalny, drugi duchowy; piérwszy dla zmysłów przystępny, drugi dla samego ducha istnieje.“

(1) Listy z Krakowa, napisał Józef Kremer. Kraków, 1843 r.

Dlatego też mając na pamięci zdanie *Goethego*: „Kto chce zrozumieć poetę, musi przenieść się myślą w poety krainę" obeznawszy się z duchem, sposobem myślenia i życia Wschodu, odkrywajmy pod obsłonami *zmyślenia* prawdy moralne, i piękności poetyckie, które były wzorem dla Boccacia, w których Ariosto czerpnął pomysł swojego *Orlanda szalonego*, a Southey w bieżącém stuleciu przedsięwziął przyswoić poezyi północy.

Jeżeli tym powieściom zarzucają cudowność, duchy, i zaczarowane gmachy, zwrócić należy uwagę na właściwość obyczajów, przesądów i zwyczajów Arabów.

Ich poetycka wyobraźnia, zaludnia, jak wiadomo, nietylko niebo aniołami i piekło złemi duchami, lecz nawet pustynie i skały gieniuszami: męzkie *Gule*, żeńskie *Solas* zwanemi. Ta wiara w nadziemskie istoty zakorzeniona na całym Wschodzie, jak podobnież w średniowiekowéj epoce panowała i na Zachodzie, jest charakteryzującą ten naród. Lecz obok tego, czyż pałac Alcyny Ariosta, ogrody Armidy Tassa, lub wyspa Kalipsy Fenelona byłyż rzeczywiście?

Miranda w Śnie nocy letniéj Shakespeara; *Titania* w Oberonie Wielanda, *Królowa wróżek* Spensera, *Peri* Moora, nie mają więcéj cudowności, a przecież są pięknemi utworami poezyi.

Domniemywać się można, że powieści *Tysiąc i jedna nocy* powstały w rozmaitych stronach z ustnego opowiadania. Najdawniejsze mogą niewątpliwie pochodzić z Indyi, inne przypominają dość wyraźnie Persyą, i zdaje się, że za panowania trzech sławnych kalifów: Mansura, Harun-al-Reschida i Almanzora Mamun, wielkich miłośników nauk, po raz piérwszy przetłumaczone, po części na sposób arabski przerobione i wkrótce rodzinnemi dodatkami pomnożone zostały. Za miejsce zaś ostatniego ich przekształcenia uważać można Egipt, gdzie po upadku kalifatu, bogaciéj niżeli gdziekolwiek kwitnęła literatura arabska. Piérwsze zapoznanie z tém dziełem Europa winna Antoniemu Galland, ur. 1646 r., a zm. 1715 r., który za sekretarza dodany posłowi francuzkiemu w Konstantynopolu, obeznawszy się z językami wschodniemi, mógł z zapałem poświęcać się ulubionéj od siebie nauce. Najznakomitszym owocem długiego jego pobytu na Wschodzie był przekład z arabskiego *Tysiąc i jednéj nocy*, z któremi nic porównać nie można w nowoczesném piśmiennictwie.

Długi czas praca Gallanda była jedyném źródłem dla następnych tłumaczy, aż w XIX stuleciu nowy popęd do języków

wschodnich, wydał z oryginału nowe przekłady, któremi zajmowali się najznakomitsi oryentaliści: we Francyi Silvestr de Sacy, Caussin de Perseval, Gautier; w Anglii Scott; w Niemczech Voss, Habicht, Fleischer i inni. To ubieganie się w tłumaczeniu tych powieści, dowodzi, jak ważnemi być muszą w literaturze arabskiéj. Nakoniec w 1838 r. młody uczony niemiecki Gustaw Weil, nieprzezwyciężonym pociągiem zawiedziony do Kairu, tam wiele lat przeżywszy, po raz piérwszy przetłumaczył na język niemiecki zbiór powieści *Tysiąc i jedna nocy* całkowicie i wiernie, tak, jak je Arabowie po kawiarniach opowiadane słyszą, w milczeniu zwracając oczy ku niebu, niejako dziękując za cuda w tych powieściach zesłane, na które jakby sami patrzeli. Najpóźniejsze tłumaczenie francuzkie uskutecznione przez Petit le Croix, zamieszczono w *Pantheon Litteraire*. Rozbiór zaś krytyczny historyi *Tysiąc i jedna nocy* uczynił znakomity oryentalista francuzki Chéry w piśmie czasowém *Hermes*, jak również wiadomość o nich powziąć można z dzieła *„Podręczna historya powszechnéj literatury"*, wydanego przez Graesse bibliotekarza w Dreznie. Przedmiotu do wielu innych powieści dostarczył sławny *Asmaj*, zebrawszy w drugiém stuleciu *hegiry* (Hedschret) podania dawnych Arabów i powiązawszy je z nazwiskiem *Antara*, znanego z śmiałych wypraw i słynącego na całym Wschodzie poety a razem wojownika, o którym te podania mówią.

Antar, syn pięknéj Schedady, wsławiony dźwiękami pieśni: jedną którą sam wyśpiewał, drugą co o nim wciąż brzmiała, stał się bohaterstwa światłem; ale miał nawpół czarną twarz, gdyż czarną była ta niewolnica, która go ojcu zrodziła. Ztąd nie nadał mu praw syna, zowiąc go tylko wiernym sługą. Stryj idąc za zdaniem ojca, nie chciał mu dać córki Abli, która pokochała Antara. To nastąpiło w tym roku, kiedy ojciec i stryj jego, uciekając przed napadem, wpośród trwogi nań wołali: sługo przychylny, uderzaj! Wówczas odrzekł mężny Antar: sługa nie rwie się do boju, on nie chwyta jak za kubło: i nie podniósł swojéj ręki. Jednak ojciec party tłumem, zawołał: uderzaj synu! Wtedy Antar wzniósł prawicę, któréj ciężko wróg doświadczył; ale wśród wrzawy bojowéj, stryj był jeszcze zbyt daleko, i w trwodze również zawołał: synu! na wroga uderzaj. To dopiero cud sprawiło: dla ojca Abli uczynił więcéj, niż własnemu ojcu. Odtąd nie zwał się już sługą. Ojciec dał mu prawa syna, lecz stryj nietyle przyjazny, pozostał mu dłużnym, gdyż nie dał mu swéj córki."

O sobie zaś Antar sam wyśpiewał:

„Pytaj innych jeśli nie wiész, niech cię o tém zawiadomią, żem postrachem jest silnego, dla słabego zaś puklerzem. Ostrym mojéj włóczni końcem niejednegom skarcił smoka, i przywiódł świeże ofiary w paszcz roztwartą srogiéj wojny. Władam koniem w boju wrzawie, jak żeglarz łodzią wśród burzy, ciesząc się kiedy dziryty gruchoczą się o pierś moję. Najpóźniejszym do spoczynku, a najraniéj się przebudzam, i za wrogiem jak wiatr pędzę. Kiedy inni zdobycz łowią, wówczas śmieję się z chciwości, co szydzi z mego ubóstwa."

Takiegoto bohatéra wyprawy i przygody połączono w jednę powieść, którą wielu perłą romantyczności nazywa. Zbiór ten pod tytułem: *Życie Antara*, więcéj zajmujący nad *Tysiąc i jedna nocy*, dostarczający na całym Wschodzie treści do rozmaitego opowiadania po kawiarniach, wprzódy nawet nieznany w Europie, zakupił był dla biblioteki cesarskiéj wiedeńskiéj sławny Józef Hammer-Purgstal, jeden z największych żyjących oryentalistów. Powieść ta, jestto właściwie arabski romans rycerski, bez przymieszania nadzwyczajnych wypadków, wystawiający przygody bohatéra, takiego, jakiego ten lud wojowniczy pojmował, mowiąc:

„Trzy cnoty właściwe Arabom goszczą w szlachetnéj ich duszy: wymowa, szczodrość i męztwo. Komu z ust mowa jak złoto, to zaś z ręki jak zdrój płynie, a włócznia ogniska strzeże: ten jest wzorem bohatéra, i stepy są pełne pieśni o nim."

Wypadki opowiadane dzieją się przed przyjściem Muhameda, tojest w złotych czasach Arabów, a *Asmaj* poeta żyjący na dworze Harum-al-Reschida miał je osnuć w jednę całość. Po głębszych jednakże śledzeniach, szczególniéj wspomniony Hammer wyjaśnił w opisie zamieszczonym *w Kopalniach wschodnich* (Fundgruben des Orients), że te powieści dopiéro w VI stuleciu hegiry, sławny poeta *Ibu-ess-Saigh* ułożył, korzystając z dawnych podań Arabów. Gdy *Tysiąc i jedna nocy* pochodzące z czasów kalifów mowią o *życiu Antara* jak o dalekiéj przeszłości, ztąd wypływa o ile są późniejsze, i jak musi być ważném dzieło przedstawiające wierny obraz obyczajów, zwyczajów, i mniemań Arabów przed przyjściem ich proroka.

Hamilton przełożył te powieści na język angielski (1819 r.); we Francyi znane są tak, jak je Lamartine zamieścił w swéj *Podróży po Wschodzie*, i z wyjątków, które ogłosił Dugat w dzien-

niku francuzkim towarzystwa azyatyckiego. Delatre mówi o nich w kursach języka arabskiego, wykładanych przez Caussin de Perseval w szkole przy bibliotece paryzkiéj.

Jeżeli *Tysiąc i jedna nocy* otwierają niewyczerpaną kopalnią wschodniéj fantazyi; to Harirri, urodz. 440 r. w Bassorze, zmarły 515 r. hegiry (1054 i 1121, ery chrześ.) w swoich przeobrażeniach zwanych *Makamet* t. j. *posiedzenia*, sławnych na całym Wschodzie, odsłania jakby panoramę wszystkich okolic rozległego państwa arabskiego. Czytając te powieści przebywamy z karawaną stepy, znajdujemy się w bibliotece w Bassorze, spędzamy noc wśród opowiadaczy powieści, jesteśmy obecnemi sądom w *Meragetch*; przenosimy się do miejsca zkąd pochodził poeta perski *Ferdusi*, i do miasta Kafy, gdzie się urodził słynny *Motenebbi*, oglądamy przepych *Bagdadu* przezwanego *Medinet Isselam*, t. j. miastem pokoju; zwiedzamy rozkoszne okolice *Damaszku*, liczone do czterech ziemskich rajów, i świętą *Mekkę i Medynę*; zapuszczamy się od miłych, różami uwieńczonych brzegów *Eufratu*, do szczątków staréj *Niniwy*; odbywamy wędrówkę do *Egiptu*, zatrzymujemy się w *Kairze* i przebiegamy pustynie *Sahary*.

W téj powieści *Harirri* występuje pod przybraném nazwiskiem *Hareth-Ben-Hemmam*, i opowiada pełne dziwów podróże, przygody i przeobrażenia *Abu Sejda* z miasta Serug, który 50 razy zmieniając swoję postać, prawdziwy Proteusz, przybiera wszystkie postaci, i staje się przedmiotem do tyluż odmiennych powieści, które jakby Odyssea satyryczna, trafnie wyszydzają przesądy lub wzbudzają zamiłowanie cnoty.

Urokiem téj powieści jest zręczność i przyjemność, z jaką opowiada poeta; formą zaś ulubiona powszechnie od Arabów proza rymowana, przeplatana dwuwierszami zwanemi *Mesnewi*, używanemi do wszelkiego rodzaju poezyi.

Harirri zawiadamia na wstępie, że czterdzieści i kilka *makamenów*, wedle swojéj zdolności i obarczenia troskami, uwił z przestróg i żartów, ulał ze złota i innych kruszców, osnuł z cienkich i grubych nici, splótł z pstrych i wiotkich powiastek, pełnych porównań, urozmaiconych igraszką słów i dwuznacznikami, nasadzonych drogiemi kamieniami wyrazów, wyszytych perłami myśli, wzbogaconych zagadkami i przysłowiami, poezyą i mową pospolitą, przeplatanych wybrykami wesołości i uroczystemi zdaniami, farsami i nauką, dowcipem pobudzającym do śmiéchu,

i mową karcącą, łzy wywołującą. To wszystko przeniósł na osobę *Abud-Seida* z Serug, i przez usta *Hareth Ben Hemmam* opowiedział, a temu podał się z wszelką pracą, ażeby czytelnik zabawę i naukę osiągnął, i słuchaczowi służyło za rozrywkę i rozszerzenie jego wiadomości. Nie chciał on postępować drogą utorowaną, nie pożyczał z obcych skarbów, lecz całe swoje gospodarstwo sam urządził. Tak są wszystkie jego pieśni, poziome i wzniosłe, właściwemi dziećmi jego ducha, i nie stawia na stół jak tylko własną swoję sól, i własne swoje przyprawy, tak kwaśne jak słodkie. Ztąd zachwyca stylem, już pełnym liryczności lub płynącym elegijnym strumieniem, znów zwięzłym i treściwym, a wszędzie włada mową z taką biegłością, jak Kątski skrzypcami.

Zwroty od komiki do patos również są nagłemi jak zmiana scen.

Zaledwie *Hareth-Ben Hemmam* znajdował się przy grobie jako pielgrzym pokutujący, by głosić znikomość ziemskich rzeczy; to znowu, gdy wiosna światu nowego blasku udziela, zanuca w wesołém kole pochwały wina i rozkoszy biesiad, a uniesiony uczuciem ich niestałości, kończy w elegijnych dźwiękach. Pomimo ustawicznych igraszek słów, błyskotkami przeładowanych obrazów, prozy rymowanéj, co zakrawa na częstochowską poezyą; jedném słowem pomimo tego, co nazwać można fałszywym smakiem wschodnim, istnieje pod tą dziwaczną formą duch, jaki tylko pod taką formą mógł się uwydatnić.

Podstawę historyczną téj powieści stanowi zdobycie przez Greków z czasów byzantyńskich miasta Serug, rodzinnego *Abu-Seida*, który pozbawiony dobrego bytu, zmuszonym jest zostać włóczęgą, czego pojedyncze wypadki przedstawiają kolejno makameny. Lecz wspomnienie stanu pierwotnego towarzyszy mu przez wszystkie jego przemiany, i odzywa się tu i owdzie, częstokroć wśród najkomiczniejszego lub najniegodniejszego przebrania w tkliwéj piosnce, jak to objawia 24ty makamen, gdzie na weselu żebraków będąc ich naczelnikiem, pamięć swoję z tęsknotą zwraca na ubiegłe lepsze czasy, na ciche, wygodne życie, z którego gwałtownie został wyrwanym.

Następny makamen zawiera jego testament. Znudzony włóczęgą przekazuje swoje zasady, zalecając stosować się do nich swojemu synowi, którego poświęca na króla żebraków. Nakoniec następuje nawrócenie *Abu Seida*. Występuje zpod wszyst-

kich zasłon pod któremi ukrywał się, i wraca do kraju, gdzie spędził swoję młodość i za którym przez całe włóczęgowskie życie wzdychał; a wyjaśniając ludowi Bassory powody swojego tajemniczego postępowania, zrzekłszy się wszelkich uciech, zostaje pobożnym pokutnikiem.

Tak *Harirri* przypominając w pewnym względzie Donkiszota Cerwantesa, obznajmia najprzyjemniejszym sposobem ze Wschodem, a fantasmagorya którą przesuwa, tak przynęca, że kto w nią raz zajrzy, ma chęć znowu jéj się przypatrywać i podziwiać. Ze wstępu tego powieścio-pisarza dowiadujemy się, że poprzednikiem jego, czyli piérwszym który wykształcił ten rodzaj powieści arabskiéj był *Abulfaddi Achm ed Hamedani*, t. j. rodem z miasta Hamedan, zmarły przed nim na lat 300, niegdyś towarzysz cechu i zgromadzenia, którego światło za czasów Harirrego już było zagasło; lecz gdy fale poezyi z potokiem czasu spłynęły, usłyszano nazwisko i chwałę makamenów, które ułożył *Bedi elseman*, tojest *Nowy cud czasu*, zaszczytne miano nadane poecie Hamedanu.

Już w XVII stuleciu J. Fabricius w *Specimen arabicum* (Rostock 1658 r.) zamieścił piérwszy makamen Harirrego; następnie Erpinius (1656), Sultens (1731), Reiske (1734), niemieccy oryentaliści zajmowali się zwanemi od nich *Consensus Harirri*, które Uri wydał w części w Oxfordzie (1774). Alcharisi przełożył na język hebrajski, Chappelów na angielski (Cambridge 1767), a Jahn professor języków wschodnich wsparty pomocą uczonego Aryde archipresbitera z Tripolis w Syryi, któremu język arabski był ojczystym, ogłosił drukiem r. 1804 po raz piérwszy wszystkie makameny Harirrego. Następnie, prawodawca dla Europy grammatyki arabskiéj Silvestr de Sacy wydał na nowo w Paryżu r. 1822 (ze wszystkiemi objaśnieniami, które poczynił był Montarezzi) całkowity oryginał téj powieści, któréj tłumaczeniem zajmowali się najsłynniejsi tegocześni oryentaliści, uskuteczniając wielokrotne na rozmaite języki przekłady, mianowicie: Garcin de Tassy professor w Paryżu szkoły szczegółowéj języków wschodnich, członek towarzystwa azyatyckiego, Paryża, Londynu i Kalkuty, zamieścił jéj przekład w dzienniku azyatyckim (Journal Asiatique), w poszycie 16, 17, 18; Caussin de Perceval professor literatury arabskiéj w *Collège de France*, wykładał ją na swoich kursach. W Niemczech Rosenmüller prof. języka arabskiego przy uniwersytecie w Lipsku uczynił wielką przysługę, udzielając do-

kładną wiadomość o tém dziele, wedle całkowitego odpisu znajdującego się w tamecznéj bibliotece. Niezmordowany w przekładach z wschodnich języków Fryd. Rückert wydał w wolném naśladowaniu *Przemiany Abu Seida z Serug* czyli *makameny Hariřrego* (trzecie wydanie, Stuttgard, 1844 r.) brakujące zaś trzy makameny Ph. Wolf, Stuttgard, 1837).

Gdy na początku XIX stulecia szkoła literatury arabskiéj pod zwierzchnictwem wielkiego znawcy Silvester de Sacy w Paryżu założona, i w Niemczech oddziaływać zaczęła; Wacław hr. Rzewuski biegły w języku arabskim, współwydawca pisma *Kopalnie Wschodu* (Fundgruben des Orients), przez sławnego Hammera w Wiedniu od 1809 do 1820 r. wydawanego, zamieścił w VI poszycie swoje tłumaczenie 1go makamenu, lecz w języku francuzkim, w jakim wspomnione dzieło wychodziło. Gdyby był tę pracę swoję w polskim języku przedsięwziął, byłby się przysłużył rodakom, dając im przynajmniéj wyobrażenie o Hariřrim i o powieściach arabskich u nas prawie nieznanych, których potrójny jest sposób opowiadania.

Tysiąc i jedna nocy są zbiorem w różnych miejscach zrodzonych i przez różnych poetów ułożonych powieści, jedne z drugich wypływających, a łączący je węzeł stanowi *Schehersada*, nadobna córka wezyra, opowiadająca szachowi. Jestto jakby kępa rozkwitłych obok siebie wschodnich tulipanów, które pyłkiem nasiennym zapładniając nawzajem siebie, stwarzają rozliczne barwy kielichów swych kwiatów, a ujęte w jednę grzędę, przedstawiają uroczą całość. Chociaż te powieści przypisują pod ogólnym wyrazem poecie Rasti, co znaczy opowiadacz, jednakże nazwiska tych co je wymyślili są niewiadome, i tylko znana jest *Schechersada*, która te w smaku wschodnim utwory fantazyi opowiadała. Jéj wspomnienie miesza się w tym zbiorze jakby w kryształowém naczyniu sorbetem napełnioném; woda różana dodana dla nasycenia wonią przyjemnego napoju.

W powieści, któréj osnową są wyprawy i przygody Antara, poeta zebrał dawne narodowe podania arabskie, i szykując je jakby perły Omanu (1), ułożył z nich opowiadanie snujące się jednem pasmem, gdzie kolejno następuje wypadek po wypadku, czyn po czynie. Jestto jakby potok spadający z wierzchołka Horebu, co

(1) Omman nad zatoką perską, sławna połowem i handlem najpiękniejszych pereł.

pieni się, szumi; napotkawszy zaś równinę, łagodniéj bałwan po bałwanie tocząc, płynie jedném korytem. Tak i poeta opowiadając młodość swego bohatéra szumnemi wyrazami przedstawia jego wojenne wyprawy, daléj łagodniejszemi rysami maluje miłość jego do Abli; lecz wszędzie życie Antara i połączone z niém wypadki, rozwijają się jakby różnobarwna wstęga.

Makameny zaś Harirrego, każdy stanowi odrębną całość, którą z innemi sprzęga łącząca osoba *Abud Seida*. W każdym zaczyna się i kończy przygoda, i następna wypływa z poprzedzającéj, lecz z wspólnego ogniska, z charakteru głównego bohatéra, który znowu znajduje całkowite swe rozwinięcie w uzupełnioném kole makamenów. Nie widać akcyi postępującéj, a przecież na końcu cel jest osiągnięty; opowiadanie nie idzie naprzód, tylko obraca się w koło. Porządek więc makamenów jest jakby planet, odbywających bieg około słońca; lub rozwija się jakby liście palmy, które od środka jéj wierzchołka wyrastając, składają wieńczącą koronę; a jak nie pod każdym liściem jest owoc, tak nie każdy makamen zarówno jest ważny do rozwikłania całości: jedne stanowią istotne okresy, drugie są przydatkiem, dopełnieniem. Lecz wszystkie opowiadają, jak *Haret Ben Hemman* przejęty żądzą podróżowania i przybywszy tu i owdzie, był świadkiem tego lub owego zdarzenia. W urozmaiceniu tych obrazów w jednych jednostajnych ramach, Harirri jest niewyczerpanym, zawsze nowym, bawiącym i zadziwiającym.

Gdy taki rodzaj powieści i ten sposób ich opowiadania ulubionym był u Arabów, przeto mieli jeszcze makameny pod tytułem: „*Szach* i *Derwisz*." Bohaterem czyli raczéj opowiadaczem, który przez dobre nauki i porównania uczy szacha mądrości, jest pokutujący pustelnik. Derwisz ten, nie jestto wesoły, dowcipny, przebiegły *Abu Seid*, którego nazwaćby można *Gil-Blasem* arabskim, ale jestto więcéj stoik, którego postępowanie częstokroć graniczy z cynizmem; lecz za to jest pełen honoru, na czém lekkomyślnemu Abu-Seidowi zupełnie zbywa. Duch w téj powieści jest prawie wszędzie podobny temu, jaki w nas powstaje, gdy częste odczarowanie w życiu, połączone z gasnącém czuciem do zmysłowych rozkoszy, wzbudza pewne odrętwienie ku rzeczom światowym.

Powieść ta przeszła od Arabów do ludów mieszkających z nimi; jakoż *Abraham-Ibu-Chisduis*, uczony żyd z Barcelony, na początku XIIIgo stulecia zrobił wolny przekład w języku

hebrajskim, z którego W. A. Meissel swoje tłumaczenie wydał w Szczecinie 1847 r. Mieli Arabowie jeszcze i powieści, których główną treścią była miłość; między temi odznacza się pod tytułem: *Leila i Mendschnu*, gdzie szalony z miłości (*Orleando furioso* Wschodu), przypomina Aryosta. Chociaż powyższa powieść wykształconą została w Persyi, pochodzi jednakże od Arabów, pomiędzy któremi wielu probowało układać powieści filozoficzne. Z tych jedna tylko jest dotąd drukiem ogłoszona pod tytułem: *Człowiek natury*, w której *Ebu Tofail* zapewne z Korduby, (współczesny Awerroesa sławnego filozofa maurytańskiego), zmarły 1190 ery chrześ. w Sewilli, chciał okazać jak człowiek bez pomocy obcéj, własną myślą przechodząc z jednéj do drugiéj, wznieść się może aż do idei Bóstwa; co autor z taką biegłością wykonał, że go sam Leibnitz z współczuciem i przyjemnością czytał, a Arabowie jako klassyczne dzieło wysoko cenili. Treść w krótkości jest następująca: *Hai Ebu Thokdan* na bezludnéj wyspie przez sarnę wykarmiony, przychodzi sam do rozmaitych wynalazków, uczy się rozważać przyrodę, poznawać kształty rzeczy, swoję własną istotę, dochodzi na téj drodze do zbadania bóstwa i nakoniec, że sam ma z niém podobieństwo; jako myśląca istota usiłuje coraz więcéj być mu podobnym, i przez tę dążność i oddalenie od wszelkiéj zmysłowości, wznosi się do stanu kontemplacyi i poglądu duchowego. Sławny XVIIgo stulecia oryentalista angielski Edw. Pocoske wydał tę powieść po arabsku i po łacinie (Oxford, 1671), zaś na język angielski przetłumaczył Szymon Ockley (Lond. 1708), na niemiecki Pritius (Frankf. 1726), a wprost z arabskiego J. J. Eichorn (Berl. 1783). Powieści arabskie przez Krzyżowców ze Wschodu do Europy przeniesione, stały się obfitém źródłem, w którém wielu późniejszych pisarzów czerpało, jak tego są ślady w francuzkich tak zwanych *Fableaux i Contes*, zdradzających swoje pochodzenie wschodnie, przez wprowadzenie czarodziejstw, karłów, olbrzymów i t. p. Również imię Alexandra W. było ogniwem łączącém Wschód z Zachodem przez powieść rycerską. Jak w Europie w wiekach średnich licznie opiewano wyprawy tego greckiego bohatera, tak również w Azyi czyny jego dostarczały przedmiotu do wielu powieści, którym, przez Arabów obrobionym pod tytułem: *Siret Iskender* t. j. żywot Alexandra, podobnież jak przygodom Antara przysłuchują się po *kawiarniach*. W ich opowiadaniu poznać można bogate żyły złotego kruszcu, co

w powieściach średniowiekowych czasów, przeszły do wiadomości Zachodu. Tak dwunastu rycerzy stołu okrągłego Karola W. mieli wzór w rycerskiéj powieści o Antarze na dworze *Nurchirwana* wielkiego króla perskiego, *Morgana* Bojarda w arabskiéj królowéj Korali; a miecz Alego również był sławnym jak Rolanda. Zastanawiając się nad poezyą romantyczną wieków średnich, jéj kolebkę dostrzeżemy na Wschodzie.

Rękopisma powieści arabskich znajdują się po wielu bibliotekach, a nadewszystko w Eskuryalu, gdzie po Maurach nagromadzone spoczywają skarby literatury arabskiéj. Przekład ich na języki europejskie stawia trudności prawie niedające się pokonać: dwóch skał bowiem unikać potrzeba. Gdy dawniéj mniemano, że najlepiéj dopiąć celu przez ścisłe zastosowanie się do obcéj formy, czyniono rzecz prawie niezrozumiałą; z drugiéj zaś strony, wolny przekład jest raczéj naśladowaniem, gdzie ginie właściwy charakter.

Wiadomości obszerniejsze o powieściach arabskich i w ogólności o wschodnich, znaléźć można w uczonych dziełach Russela Historyi naturalnéj Aleppo (Lond. 1795), w Masciera Podróży do Egiptu i Niebuhra do Arabii; w Murra Dodatkach do literatury arabskiéj (Erlangen, 1803 r.), w Hartmana „O tłumaczonych i naśladowanych w językach europejskich powieściach wschodnich" i „o ideałach piękności kobiecych u narodów Wschodu"; w Eichorna Historyi powszechnéj literatury, nakoniec u Weila (1837 r.) i w najświeższéj Hammera Historyi literatury arabskiéj (1851 r.).

Co zaś do bibliograficznych o tych powieściach szczegółów, obfituje w nie dzieło podręczne *Powszechnéj literatury*, napisane przez Grässe bibliotekarza w Dreznie.

Aby zapoznać z kwiatami literatury Wschodu, tak mało u nas pielęgnowanemi, wspierałem się na wiadomościach wyczerpanych z pism wspomnionych; i jakkolwiek w tym ogrodzie Islamu, bukiet przezemnie związany może być niebogatym, miałem na pamięci zdanie arabskie: „Jeżeli wszystkiego objąć nie można, nie należy wszystkiego opuszczać, gdyż poznanie choć w części, lepszém jest nad zupełną niewiadomość."

ANNIBAL Z KAPUI

NUNCYUSZ PAPIEZKI W POLSCE,

I LISTY JEGO W CZASIE BEZKRÓLEWIA PO STEFANIE BATORYM, DO RZYMU PISANE.

PRZEZ

Alexandra Przezdziecklego (*).

W bibliotece *Brancacciana* w Neapolu znalazłem był w 1846 r. rękopis *in folio* pod tytułem: *Primo tomo del Negotiato dell' Ill. et Rev. Monsignor Annibal di Capua, Arcivescovo di Napoli, legato residente nel regno di Polonia nell' anno* 1587. Wśród trzechset z górą listów do kardynałów Azzolino i Montalto, pisanych od 23 listopada 1586 do 29 maja 1589 r., znalazłem wiele ciekawych, tyczących się stosunków polskich w czasie bezkrólewia po Stefanie Batorym; tudzież o podwójnéj elekcyi Zygmunta IIIgo i Maxymiliana, więzieniu arcyksięcia w Krasnymstawie, i uwolnieniu jego w skutek paktów będzyńskich. Pospieszyłem z przepisaniem tych szczególnie listów, które ze względu na dzieje nasze zajmować nas mogły; tém bardziéj, że Annibala z Kapui wystawiają nam historycy nasi jako główną sprężynę elekcyi Maxymiliana, a zatém listy jego byłyby autentyczném świadectwem wypadków ówczesnych ze stanowiska rzymsko-rakuzkiego.

Mamy wprawdzie historyą owego czasu pisaną przez autorów do przeciwnego stronnictwa należących, mianowicie przez *Heiden-*

(*) Artykuł niniejszy o Annibalu z Kapui, służyć będzie za wstęp do *Listów* jego, których rękopis już jest do druku przygotowany.

steina i *Solikowskiego;* a zpod gładkiego pióra łacińskiego, stronnika Maxymilianowego, opisanie bezkrólewia po Batorym, które wydawca *Ciampi*, *Michałowi Bruti* przypisywał, a Wiszniewski (mojém zdaniem mniéj trafnie), *Krzysztofowi Warszewickiemu* (1). Z późniejszych, biskup *Piasecki* ostro i zwięźle, a *Bielski* (w nowo odkrytym i wydanym przez p. Sobieszczańskiego *Dalszym ciągu* kroniki swojéj) obszerniéj, i w potocznéj, naiwnéj mowie, ważniejsze wypadki ówczesne opisali. Brakuje nam jednak dotąd pamiętnika spółczesnego do téj epoki dziejów naszych, takiego, jakie mamy do panowania Zygmunta Augusta w *Listach królowéj Barbary* przez Michała Balińskiego, i *Radziwiłłów* przez Lachowicza wydanych; a zwłaszcza w świéżo obrobionéj przez biegłego kommentatora źródeł naszych, Mikołaja Malinowskiego, *Korrespondencyi kardynała Commendoni;* jakiemi do bezkrólewia po Zygmuncie Auguście będą przygotowane już do druku *Pamiętniki Świętosława Orzelskiego* (2). Do panowania Henryka, Batorego, Zygmunta III, a tém bardziéj do późniejszych czasów, mamy ich wielką obfitość.

Piérwsze miejsce zajmuje tu drogocenny *Pamiętnik hetmana Żółkiewskiego* wydany przez dzisiejszego Kuratora O. N. Warszawskiego, Rz. R. St. Muchanowa; któremu historya XVIIgo wieku tyle szacownych materyałów zawdzięcza; i te złote *Pamiętniki Paska*, którym druk, pędzel, rylec sztycharski i litografia w dzisiejszych czasach nową żywotność nadały. Pan K. Wł. Wojcicki obiecuje nam wprędce *Pamiętniki Jerlicza*, i nowe wydanie nieznanego prawie *Wydżgi*.

Niniejszy zbiór listów Annibala z Kapui ma swój charakter właściwy. Cudzoziemiec piszący o kraju mało mu znanym, na który zapatruje się z wysokiego wprawdzie stanowiska, ale z obcego, nie może wzbudzić tego zajęcia, jakiebyśmy w rodzinnych pamiętnikach znaleźli. Jednakże przez bliższe stosunki z kardynałem Radziwiłłem, z Solikowskim arcybiskupem lwowskim, i przez pilną uwagę zwracaną na najmniejsze wydarzenia krajowe, których napróżno szukalibyśmy gdzieindziéj tak szczegółowego opisu; a zwłaszcza przez pogląd na stosunki kościelne nietylko w Polsce, ale i w sąsiednim

(1) Rerum polonicarum ab excessa Stephani Regis ad Maximiliani captivitatem, liber singularis, in lucem editus cum additamentis ab Sebastiano Ciampi. Florentiae, 1827, in 8-vo. Ob. też *Historyą literatury polskiéj*. T. VIII, str. 445.

(2) Tłumaczone z łacińskiego języka przez tak wcześnie zgasłego Stanisława Lisowskiego.

wołoskim kraju, Annibal z Kapui wielką ma dla nas zasługę; a listy jego zajmą stanowisko niepoślednie w dziejach wewnętrznych owego czasu.

Staraliśmy się uzupełnić ten zbiór, czerpanemi i z innych źródeł materyałami, zpomiędzy których spółczesne raporta agentów toskańskich, i list komtura *Pucci*, dworzanina kardynała *Aldobrandini*, żywcem schwytane szczegóły miejsc i czasów podają. Największą zaś okrasę stanowią dwa listy wielkiego kanclerza i hetmana Zamojskiego, przed samą potrzebą byczyńską do króla pisane, nigdzie niewydane dotąd, a które uprzejmości uczonego professora krakowskiego, p. Zygmunta Helcla zawdzięczamy. Obszerniejsze, lub w texcie łacińskim materyały, umieszczone będą w *dodatkach*, dla nieprzerywania wątku saméj korrespondencyi. Znajdzie tam swoje miejsce nieznany dotąd wiérsz *Jana Karczewskiego* podczaszego czerskiego, pod tytułem: *Uczknieniek, lubo przestrożnik na seym blizko przyszłéy electiey króla nowego*, który nie pod względem poetycznéj wartości, ale jako obraz spółczesny ma swoje znaczenie. Nakoniec w związku ze stosunkami Wołoszczyzny, list agenta toskańskiego *Filipa Talducci*, podaje nam w malowniczych rysach krwawy obraz śmierci *Podkowy*, któréj opis szczegółowy i bezstronny, rzuca niestety cień mniéj korzystny na wielką postać Stefana Batorego.

O autorze samych listów szczegóły biograficzne, jakie mogliśmy zebrać, są następujące:

Annibal di Capua był synem Wincentego, księcia *(Duca) di Termoli*, ze starożytnéj rodziny neapolitańskiéj. Nauki odbył w Padwie i w Pawii; następnie został referendarzem i komornikiem *(Camerario)* Grzegorza XIIIgo papieża. W imieniu jego jeździł winszować Rudolfowi II korony cesarskiéj (r. 1576); późniéj został nuncyuszem w Wenecyi. Zasługi w téj nuncyaturze położone, otworzyły mu drogę do arcybiskupstwa neapolitańskiego, które mu papież Grzegorz XIIIsty oddał, *pomimo*, a może być *dla* zabiegów kardynałów *Orsini* i *Arragońskiego*, starających się o nie każdy dla siebie (1). Cokolwiekbądź, *Annibal z Kapui* odbył wjazd do Neapolu w dniu 22 lutego 1579 r. i „jak najuroczyściéj (powiada autor spółczesny), przyjęty został w katedrze, którą zdobiły od dołu do góry obicia z axamitu i brokateli" (2).

(1) *Zedler*, Grosses Universal Lexicon, pod wyrazem *Capua*.

(2) Compendio dell' Istoria del regno di Napoli, di *Pandolfo Collenuccio* etc. In Venetia, 1613. Parte III, str. 80.

Grzegorz XIIIsty przez sprawnego posła swego *Antoniego Possewina*, pogodziwszy Stefana Batorego króla polskiego, z W. ks. moskiewskim, chciał potężną ligę tych mocarzów północnych, wraz z cesarzem i Wenecyą, przeciw Turkom utworzyć; ale śmierć jego zamiary przerwała. Syxtus Vty, który po nim (1585 r.) na stolicę apostolską obrany został, przez tegoż Possewina i kardynała Batorego, o planach poprzednika swego z królem Stefanem traktował, obiecując nawet subsydya na koszta wojenne. Jakoż własnoręczny list o tém do Stefana Batorego napisał, i 25,000 szkudów rzymskich (1), jako stypendyum miesięczne, miał oddać nowemu nuncyuszowi, którego w r. 1586 do Polski na miejsce *Hieronima Bovio, biskupa di Camerino* posyłał (2). Tym nuncyuszem był arcybiskup neapolitański *Annibal di Capua* „mąż zacnego rodu (pisze spółczesny autor historyi Neapolu), wielkiego rozumu i nauki, i nie mniejszego doświadczenia w sprawach publicznych. Wybrał się w tę podróż z Neapolu 28 października tegoż roku."

W Rzymie odebrać musiał instrukcyą od kardynała sekretarza stanu *Montalto*, synowca panującego papieża, któremu miał o wszystkich czynnościach swoich donosić. Piérwsze jednak listy z drogi, z Florencyi, a nawet z Krakowa pisze nuncyusz do kardynała *Azzolino*. (3) W Bononii dał mu legat miejscowy rękopis korrespondencyi polskiéj kardynała *Bolognetti* (*Un libro del negotiato di Polonia del S. Card. Bolognetti,*) zawierający listy od 9 lipca 1581 do 6 marca 1582 r., które nuncyusz starannie przejrzał (4). W Wiedniu dopiéro dowiedział się o nieodżałowanéj śmierci Stefana Batorego, zaszłéj w Grodnie 12 grudnia tegoż roku; tam musiał zatém na nowe polecenia i instrukcye oczekiwać. Stolica apostolska miała wielki i konieczny interes w nowéj elekcyi polskiéj, aby ta na katolickiego księcia padła; wybór nuncyusza mającego wpływać na przyszłą elekcyą był zatém nader ważnym. Nie zdało się Syxtuso-

(1) Szkud rzymski wart był 1 dukata (bez 1 grosza papiezkiego), czyli dzisiejszych półtora talara.

(2) *Heidenstein* str. 238, *Compendio* etc. str. 124.

(3) Kardynał *Azzolino* był jednym z tych, którym papież powierzył późniéj interes elekcyi nowego króla polskiego.

(4) *Albert Bolognetti* biskup Massy (późniéj kardynał) był nuncyuszem w Polsce w latach 1581 i 1582. Relacya z jego legacyi, przez sekretarza jego *Horacego Spannocchi* pisana, znajduje się w Mss. w bibliotece książąt Chigi w Rzymie (Ob. *Przezdzieckiego* Wiadomość bibliograficzną str. 93 i 173, oraz *Wiszniewskiego* Hist. lit. polsk. t. VIII, str. 19—23).

wi V komu innemu ten urząd powierzyć, jak Annibalowi z Kapui, już w drogę wybranemu, a którego przezorności i gorliwości zupełnie zawierzał (1).

Piérwszych dni lutego 1587 r. przebył nuncyusz granicę polską; ale zaraz na wstępie oświadczono mu, że wedle przyjętéj ustawy, jako poseł obcego mocarstwa, nie może być do Krakowa puszczonym bez szczególnego pozwolenia senatorów z Warszawy. Pomimo protestacyi i posunięcia się przebojem pod sam Kraków, musiał nuncyusz na przedmieściu téj stolicy w przygotowaném dlań naprędce mieszkaniu pozostać; i w miesiąc późniéj dopiéro, za otrzymaną odpowiedzią z Warszawy, na sejm elekcyjny pojechał. Tam starała się królowa wdowa, Anna Jagiellonka, przeciągnąć go na stronę siostrzeńca swojego, Zygmunta królewicza szwedzkiego; a posłowie szwedzcy odwiedzili go, lubo sami luterskiego wyznania, z zapewnieniem o katolickich zasadach swojego królewicza. Nuncyusz politycznie odpowiadał, że papiéż pragnie jedynie katolickiego księcia na tronie polskim widziéć, za zgodą powszechną obranego; a tymczasem zawiązując ścisłe stosunki z kardynałem Radziwiłłem, przez niego Litwinom i Zborowskim oraz innym naczelnikom stronnictwa kalwińskiego, gorliwie zalecał rakuskiego arcyksięcia Maxymiliana. W mowie publicznéj jednak, na sejmie elekcyjnym mianéj. (14 sierpnia) tylko katolickiego księcia, i zgodną elekcyą zalecał (2). Gdy w pięć dni późniéj (19 sierpnia) prymas Stanisław Karnkowski, przeszedłszy do stronnictwa królowéj i kanclerza Zamojskiego, Zygmunta królem ogłosił, i *Te Deum* za niego w kościele św. Jana odśpiewał, nuncyusz nie był przytomnym téj uroczystości. Nie zrywał jednak stosunków z królową, ani z prymasem; i gdy stronnictwo któremu potajemnie sprzyjał, przygotowywało elekcyą Maxymiliana, Annibal z Kapui pracował nad biskupami, aby się opierali rozszerzaniu swobód religijnych różnowierców, chociaż na nich spoczywały całe nadzieje Maxymiliana!

Gdy arcyksiążę zbliżył się do Polski dla utrzymania przemocą swojéj elekcyi, nuncyusz, którego pobyt w Warszawie niezbyt był przyjemnym, dla ciągłéj styczności z dworem królowéj wdowy, wyjechał do Bodzencina, dóbr biskupa krakowskiego Piotra Myszkowskiego, z którym w zażyłych stosunkach zostawał; ztamtąd w imieniu papieża do obu stronnictw pisał, ofiarując się za pośrednika pomiędzy naj-

(1) *Compendio* etc. str. 142.
(2) Mowa *Annibala di Capua*, drukowana w Rzymie 1587 r.

jaśniejszemi elektami. Ale wkrótce zwycięztwo Zamojskiego pod Byczyną, i wzięcie Maxymiliana w niewolą, uczyniły pośrednictwo niepotrzebném, i nuncyusz w imieniu papieża uznał Zygmunta królem, w Niepołomicach, w maju 1588 r., i wjazd uroczysty do Krakowa odprawił.

Wtedy zajął się gorliwie rozszerzeniem wiary katolickiéj na Wołoszczyznie, dając w tém pomoc komornikowi wojewody multańskiego, *Bartłomiejowi Bruti*, i posyłając mu missyonarzy z Jezuitów, pomiędzy któremi najczynniejszym był *O. Stanisław Warszewicki*, brat znanego z dzieł historycznych i z wymowy sejmowéj, *Krzysztofa*. Na sejmie warszawskim 1589 r. silnie popierał nuncyusz sprawę wiary katolickiéj przeciw różnowiercom, i władzy kościelnéj przeciw świeckim. Jakoż w marcu tegoż roku zwołał Annibal z Kapui zgromadzenie biskupów w zakrystyi u św. Jana, i wymownie zagrzewał ich do dzielnéj obrony wiary katolickiéj, a zarazem do reformy nadużyć w dyscyplinie kościelnéj. Zobowiązali się obietnicą biskupi, i w części dotrzymali jéj niebawem; gdyż z powodu ich stanowczego oporu, odrzucił sejm konstytucyą dla różnowierców przez nich zaprojektowaną.

Przybycie do Polski kardynała legata *Hippolita Aldobrandini* (który późniéj papieżem został pod imieniem Klemensa VIII), dla prowadzenia układów o uwolnienie arcyksięcia Maxymiliana, pozbawiło nuncyusza tego zaszczytnego trudu. Po zawarciu *paktów będzyńskich*, król Zygmunt odwiedził więźnia swojego w Krasnymstawie; towarzyszył mu i nasz Annibal z Kapui, i list jego z Krasnegostawu pisany, 29 maja 1589 r. kończy właśnie w rękopisie biblioteki *Brancacciana* korrespondencyą jego, któréj tłumaczenie polskie wydajemy.

Nie musiał długo potém Annibal z Kapui w Polsce bawić, bo już pod rokiem 1590 napotykamy *Mikołaja Mascardi* nuncyusza w Polsce (1). Grzegorz XIV papież miał go w nagrodę znakomitych zasług purpurą kardynalską ozdobić, ale mu do tego śmierć (r. 1590 przeszkodziła, gdy nie więcéj nad jedénaście miesięcy panował (2).

W 1595 roku 2 września o godzinie XIIItéj (z rana) umarł w Neapolu arcybiskup Annibal z Kapui. „Prałat urodzeniem, nau-

(1) Akta nuncyusza Annibala z Kapui w głównem archiwum królestwa w r. 1587 obejmują jeden tylko bardzo szczupły *Volumen* nr. 4 oznaczony. Następnie jest przerwa aż do początku wieku XVII za nuncyatury *Klaudyusza Rangoni*.

(2) *Zedler*: Universal Lexicon, pod wyrazem *Capua*.

ką i znajomością wysokiéj dyplomacyi (*isperienza di gran maneggi*) znamienity, (pisze tyle razy przywiedziony przez nas spółczesny dziejopis neapolitański). W rządach katedry swojéj zachowywał przyzwoitą powagę, z którą umiał prawdziwą grzeczność i uprzejmość połączać. A na przekor tym, którzy mało albo nic nie umieją, łaskawemi względami zaszczycał uczonych, jako sam w naukach doskonale wyćwiczony" (1).

Taki obraz kreślą nam spółczesne dzieje o Annibalu z Kapui, którego śmy dotąd z przycinku tylko *Piaseckiego* znali, jako: „kulawy nuncyusz w czasie rozdwojenia elekcyi na wieżę św.-Jańską wdrapał się dla przypatrywania się przyszłemu krwi rozlewowi (2)." Z tego zarzutu przynajmniéj oczyszczą go zupełnie nietylko listy własne, ale i postronne materyały, któreśmy do tego zbioru dodali, aby z nich jednę całość o dziejach naszych od 1587 r. do połowy 1589 r. utworzyć, i o jeden *pamiętnik* więcéj literaturę naszę historyczną wzbogacić.

(1) *Compendio* etc. str. 139.
(2) *Piasecki*, str. 71.

O NAJDAWNIEJSZYCH
PRAWACH LITEWSKICH

UPATRZONYCH PRZEZ P. MACIEJOWSKIEGO W DYPLOMATACH Z XIII WIEKU, RYDZE I INFLANTOM SŁUŻĄCYCH.

PRZEZ

Józefa Jaroszewicza.

P. Maciejowski w kilku miejscach pism swoich, tak ważnych pod względem dziejów i kraju i prawodawstwa naszego (1), za złe mi to poczytał, żem przy układzie mojego Obrazu Litwy, zaniedbał zajrzéć do najdawniejszych źródeł praw litewskich, dostrzeżonych w niektórych dyplomatach zbioru p. Turgieniewa (2), gdyż przez to badania moje, odnoszące się do pierwotnych praw Litwy, stać się musiały z wielu miar niedostatecznemi. I w rzeczy saméj, szczerba w mojéj pracy musiała się okazać znaczną, kiedy odkryte w owych źródłach ślady pierwotnego prawodawstwa Litwy, sięgać mają czasów nie już tylko Witowta lub Mindowsa, ale może nawet przed-Ryngoldowych, i kiedy tym sposobem poznany początek kilku praw litewskich, da się już dzisiaj pogodzić z ich środkiem i końcem, czego bez owych pomników uczynić do-

(1) Pierwotne dzieje Polski i Litwy. 1846, str. 175, 176, 531, 532. Słówko o postępie nauki prawa litewskiego, w Bibliotece Warszawskiéj r. 1846. Luty.

(2) Historica Russiae monimenta etc. Petropoli, 1841, wydane przez Kommissyą Archeograficzną w T. I.

tąd było niepodobna (1). Tak ważne ostrzeżenie z prawdziwą przyjąłem wdzięcznością, dowiedziałem się albowiem o rzeczach niemal zupełnie dla mnie nowych, a nowych z tego najbardziéj powodu, że przy układaniu mojego dziełka, zbywało mi na zbiorze dyplomatów p. Turgieniewa, gdyż inaczéj możebym i nie zaniedbał z niego korzystać. Aby więc poprawić to uchybienie, jeśli rzeczywiście miało miejsce, a z drugiéj znowu strony uchylić się od zarzutu, że milczeniem odrazu przystaję na wszystko i nie wchodząc w ściślejsze rozpoznanie rzeczy, gotów jestem na ślepo *jurare in verba magistri*, osądziłem za rzecz konieczną bliżéj się rozpatrzyć we wskazanych mi źródłach. Winienem w tém miejscu oświadczyć mą wdzięczność p. M. Malinowskiemu, który do uskutecznienia tego zamiaru łaskawie mi dopomódz raczył, nadsyłając żądane kopie tych mianowicie dyplomatów, na których p. M. swoje wnioski i twierdzenia głównie oprzéć usiłował. Zobaczmy więc teraz, czy przy szczegółowym ich rozbiorze toż samo, co p. Maciejowskiemu uda się nam wysnuć z tych zródeł.

W czterech dyplomatach z XIII wieku w latach 1226, 1231, 1235 i 1284 wydanych (2), mają się znajdować owe pierwotne prawa Litwinów, o których mówić będziemy (3). Jedne z nich odnoszą się do zniesionych praw pogańskich, których miejsce zajęły nowe przepisy z duchem chrześciaństwa zgodne; drugie sąto prawa zupełnie nowe, przez Niemców w Inflantach zaprowadzone, które przez stosunki zapewne Litwy z tym krajem i naśladownictwo wejść miały w praktykę i na Litwie; trzecie nakoniec mają należéć do rzędu owych praw, które jakoby od wieków już między plemionami letońskiemi zachowywane, przetrwały do czasów chrześciańskich, i przez wzgląd na ich wewnętrzne zalety, w prawach późniejszych pisanych powtórzone zostały.

O piérwszym gatunku praw mówi dyplomat z r. 1235. Jestto pismo okolne Wilhelma biskupa modeńskiego, legata stolicy apostolskiéj, w którém przywodzi świeżo otrzymaną bullę Grzegorza IX, datowaną z Witerbu VII kal. Martii (23 Febr.) stano-

(1) O postępie nauki prawa i t. d. l. c. str. 331.
(2) Monimenta Russiae, T. I, p. 18, 28, 40, 85.
(3) Jeszcze dawniejsze źródła prawodawstwa litewskiego, odkryto jakoby w dyplomataryuszach przez uczonych Niemców drukowanych. (Pierwotne dzieje Polski i Litwy, str. 527), lecz te nie są mi znane.

wiącą między innemi: że neofitom wolno zatrzymać żony przed chrztem pojęte, jeśli tylko ich związki nie sprzeciwiają się prawu Boskiemu (1).

Pominąwszy niewłaściwe może przywodzenie tego dyplomatu, mającego bardziéj Estonią niż Inflanty na widoku; słusznie jednak utrzymuje p. M. że to zastrzeżenie władzy duchownéj odnosi się niewątpliwie do zwyczaju od wieków między pogaństwem tych stron zachowywanego, który pasierbom dozwalał a może nawet nakazywał brać w małżeństwo owdowiałą macochę (2); lecz o takim zwyczaju, będącym w praktyce i między ludami letońskiego plemienia, wiedzieliśmy już dawniéj, a nawet więcéj szczegółowo (3). Wspomina o nim Maciéj z Miechowa pisząc o Żmudzi: „*apud quos*, słowa są tego kronikarza, *licitum erat uni viro plures habere uxores, et patre mortuo novercam, fratreque glorem in uxorem recipere* (4). Czy ten zwyczaj przynieśli z sobą Litwini ze Wschodu, naśladując w tém prawa dawnych Azyi ludów, które w szczególnéj opiece mając kobiety, przez ludzkość dozwalały a nawet kładły obowiązek na blizkich krewnych

(1) .....Ut Magister et fratres (Militiae Christi in Livonia) resignent in manu tua Ecclesiae Romanae omnem munitionem castri *Revaliae, Revaliam* quoque et *Haciam, Wironiam, Gervam.* Reddant quoque spolia occisorum, et pecuniam pro redemptionibus captivorum, ac reficiant castra *Agnileti* et *Goldenboret* et infeudationes quas fecerunt in terris eisdem, non differant renovare.... Neophiti in causis secularibus, quae forum ecclesiasticum non requirunt, stent juri coram judici seculari *et in quo si eos gravari contingat, poterunt ad suos episcopos appellare* Praeterea supradicti neophiti, *libere primas uxores suas retineant, quas ante baptismi gratiam receperint, habentes duntaxat exceptas, quas lex divina habere prohibet....* Ideoque fraternitati tuae etc. (*Monimenta I, 40*). Taka jest osnowa główniejszych miejsc tego pomnika. Jestże to dyplomat inflancki? Nie chciałbym go brać za taki, bo widocznie odnosi się do Estonii, gdzie jak dotąd i w owe czasy nie Łotwa, lecz Czuchny mieszkali, gdzie były owe krainy *Wirronów* i *Hirronów* o których i przywilej wspomina. Właściwie więc dyplomatu tego nie należałoby tu przywodzić, chyba może tylko dla okazania, że co do małżeństw, zwyczaje Liwów zgadzały się ze zwyczajami Letów. Wprawdzie mógł ów warunek dyplomatu, jako dość w ogólnych wyrazach oznaczony, nie ograniczać się Estonią, ale sięgać i Inflant; lecz to będzie tylko domysłem. Wypisaliśmy go jednak przynajmniéj na poparcie podania naszych kronikarzy, o podobnych małżeństwach na Żmudzi.

(2) O postępie nauki prawa i t. d., str. 331.

(3) Obraz Litwy. I, str. 118, 150, przyp. 46.

(4) Descriptio Sarmatiae, w zbiorze Miclera. T. I, str. 207.

i powinowatych brać takie wdowy w małżeństwo (1), czy też może uważać go należy za rodzimy litewski, który bez względu na jakiś wzór obcy, z miejscowéj urosł potrzeby? Nie chcąc budować na domysłach, w rozbiór tego pytania wchodzić nie będziemy; ale na to chętnie się zgadzamy, iż z tego zwyczaju mogło w części wypłynąć późniejsze statutowe rozporządzenie, nakazujące dawać wdowom podwójną nawiązkę i zapewniające im obok pasierbów pewne korzyści prawne z majątku zmarłego męża (2). Takowy wniosek więcéj do przekonania mówi niż twierdzenie Czackiego, który prerogatywy prawem pisaném litewskiém zastrzeżone, z ich stanu wolnego w czasach pogańskich usiłował wywodzić, czego właśnie przy wielożeństwie Litwinów upatrzyć byłoby trudno.

Drugiego rodzaju prawa mają się znajdować w okolnym liście Hermana biskupa czelskiego z r. 1284, w którym ponawia i zatwierdza prawa i obowiązki przez poprzednika swego dla neofitów w dyecezyi czelskiéj w siedmiu kilegundach czyli powiatach zamieszkałych, przepisane. Podług tego dyplomatu obowiązani byli neofici: 1) oddawać dziesięcinę z przedmiotów, podług prawa Boskiego téj daninie uległych, i takową zwozić byle nie do miejsc za granicą dyecezyi położonych; 2) z łanu inflanckiego, *uncus* (3), płacić po półtrzeciéj grzywny (4); dawać po jednem źrebięciu (5); dzień orać własnemi wołami, a dwa dni żąć; dwie fur siana i sążeń kubiczny, *Vaden* (6) drzewa dostawić; 3) winni są prócz tego: kościoły, zamki i domy panów swoich i plebanów budować, jako też do obrony kraju na wezwanie biskupa

(1) O postępie nauki prawa, str. 336.

(2) Tamże.

(3) Uncus—Hacken—w r. 1232 zawierał w sobie 30 morgów, z których każdy miał 30 prętów długości, a 10 szerokości. Nie wszędzie jednak w Inflantach równa była miara Hackenów (Arndt Liefl. Gesch. str. 43. Czacki o lit. i pol. pr. I, str. 221). Taż miara mogła być i na Ezelii.

(4) Mowa tu zapewne jest nie o grzywnie czystego srébra (marca puri, ponderati argenti), boby to było zawiele, ale o grzywnie używalnéj (marca usualis argenti) Zob. Czacki. I, 154.

(5) W dyplomacie powiedziano: „*de quolibet unco, pullum unum.*" Pullus niezawsze znaczy źrebię, ale i drób' młody; że jednak w przywilejach średnich wieków nieraz mamy wzmiankę o daninie w źrebiętach, *poledrus*, być może że i tu o nich jest mowa.

(6) W średniowiecznéj ortografii niemieckiéj często zamiast *f* pisano *v*, np. *vasten Vreede*, zamiast *festen Frieden*. Tu Faden tyleż znaczy co Klafter, sążeń.

stawać; 4) Co do sądownictwa, tedy w rzeczach duchownych ulegają władzy kościelnéj, w świeckich zaś zostają pod jurysdykcyą swych panów, z wolną wszakże apellacyą do biskupa. Wreszcie dodano: że do wymienionych posług i danin, mogą neofici co zechcą dodać, byle się to stało z dobréj ich woli i bez przymusu (1).

(1) In nomine sanctae et individuae Trinitatis. Hermannus Dei gratia osilensis Ecclesiae Episcopus etc. Universitati vestrae notum esse cupimus, quod praedecessoris nostri vestigiis inhaerentes, *statuta ac jura*, quae ad petitionem neophitorum diocesis nostrae praelibatae, de consensu Magistri ac fratrum domus Theutonicae *ibernorum* (?), ac Vassalorum Ecclesiae nostrae, a jam dicto praedecessore nostro, bonae memoriae edita, ac conscripta fuerunt, et de consilio et consensu Praelatorum et Canonicorum Ecclesiae nostrae, Commendatoris ac fratrum Domus Theutonicae in *Leal* (pierwsza osada Mieczowych) vasallorum ac seniorum Ecclesiae jam praelibatae domus, praesentibus litteris duximus *innovanda* ac etiam auctoritate qua fungimur *confirmanda*. Quorum Statutorum ac jurium tenorem, praesentibus duximus declarandum, videlicet: ut solvant decimas de omnibus, quae secundum jus divinum, consveverant decimari. Item de quolibet unco dabunt duas marchas... (opuszczony wyraz) cum dimidio. Item de quolibet unco pullum. Item una die arabunt dominis suis, propriis bobus et propriis expensis, duobus vero metent. Item de eo qui metere potest, unum de quolibet *Vitzkatu* (?) duas plaustras feni solvere promiserant. Item de quolibet unco, ducent unum cubitum lignorum aequum in longitudine et latitudine et altitudine, qui *Vaden* vulgariter appellatur. Item de vino *Gordii Brazni* (?) facient illudque suis dominis portabunt. Item decimam etiam praelibatam ducent ubi dominis placuerit, dummodo in diocesi loca fuerint, ad quae ducent, extra diocesim autem ducere non cogerentur. Praeterea castra Ecclesiae et domos dominorum suorum aedificabunt, si ipsas contingat per incendium vel insultus hostium devastari. Item Ecclesias suas et Plebanorum aedificabunt et reaedificabunt, si fuerint incendio vel aliquo casu fortuito devastatae. Item ad expeditionem et ad terrae defensionem parati erunt, cum ipsis ab Episcopo fuerit intimatum. Teneantur etiam ad jura spiritualia et pontificalia et in aliis causis coram dominis suis stent juri, judicio seculari, in quo si ipsos indebite gravari contigerit, possunt secundum mandatum apostolicum et jus gentium ad Episcopum appellare. Si autem ultra quod praescriptum est, dominis suis sive in servitiis, vel aliis donis, sine aliqua coactione, sed bona voluntate adjicere voluerint, hoc ipsorum libero arbitrio duximus relinquendum.—Nulli ergo omnino hominum liceat hanc innovationis et confirmationis nostram paginam infringere, vel ei auso temerario contraire. Si quis autem hoc attentare praesumpserit, excommunicationis sententiam, quam in talem inferemus, se noverit incursurum, ad poenam aliam nihilominus secundum mandatum apostolicum processuri, si hoc meruerit protervitas contumacis. Plebanis autem in his septem Kilegundis constitutis districtius injungimus, ut quivis in ecclesia sua tenorem litterae praelibatae bis in anno, videlicet in festo Paschae et in Assumptione

Taka jest treść dyplomatu. W nimto upatruje p. M. zaród owych późniejszych robocizn, opłat i danin, któremi lud wiejski na Litwie do zbytku był uciążony. Jakoż odwołując się do tego pomnika, między innemi mówi: „Wtedyto (gdy papieże robili świeckie i duchowne urządzenia w zawojowanych przez kawalerów Mieczowych krajach) narzucono na tych Litwinów ciężary, których snać nie znali oni niegdyś". Daléj zaś: „*Robocizny* pod nazwiskiem *Serebszczyzn* występujące w statucie, tudzież opłaty wszelkiego rodzaju, rozciągnięte później na wszystkie ludy pod panowaniem Litwy zostające, powstały w XIII wieku" (1). Zastanówmy się teraz nad tém wszystkiém więcéj szczegółowo.

I w tym dyplomacie zawarte rozporządzenia odnoszą się nie do Łotwy lub Kuronów, ale właściwie do Liwów w siedmiu kilegundach dyecezyi ezelskiéj zamieszkałych (2). Jak na ów wiek stanowią one znaczne zapewne daniny, a nawet mogły być niemało uciążliwe, wkładając obowiązek służby wojennéj i poma-

beatae Virginis, coram vasallis et neophitis, non negligant recitare, si et ipsi praemissam poenam vel consimilem voluerint evitare. Ut ergo praelibata firma et inconvulsa permaneant, praesens scriptum sigillo nostro et capituli nostri fecimus communiri. Datum in Leapasellae Anno 1284 (*Zbiór Turgieniewa I, str. 88*). Kilka wyrazów w tym liście jest dla nas zupełnie niezrozumiałych. Co znaczy np. de quolibet *Vitzkatu?* albo: de viuo *Gordii Brazni* facient? Może to są jakie słowa wzięte z języka Liwów. W mowie litewskiéj nic nie znalazłem coby jakiekolwiek podobieństwo do brzmienia owych wyrazów miało.

(1) O postępie nauki prawa i t. d. l. c. str. 331, 332. Toż samo utrzymuje p. M. w swoich Pierwotnych dziejach Polski i Litwy str. 175, 176, z tą tylko różnicą, że te ciężary, chociaż od Niemców jakoby przez Litwinów były przyjęte, znajdowały się już w prawie gockiém, ale gockiem w znaczeniu takiém, jakie mu p. M. nadaje, o czém niżéj mówić będziemy.

(2) Zdało mi się na tę okoliczność zwrócić uwagę, gdyż w początkach, jak o tém i dyplomata spółczesne nas przekonywają, surowiéj podobno postępowano z Liwami, zwłaszcza ezelskiemi, których morskie rozboje dały się we znaki Niemcom, niż z Łotwą lub Kuronami. Liwy, Esty, inaczéj Czuchnami zwani, nie byli letońskiego rodu, lecz plemienia fińskiego (pobratymcy Permjaków, Czeremissów, Loparów), którzy jak dotąd tak i w XIII wieku zamieszkiwali wyspę Ezelią. Ztąd też i wyspa ta zowie się nie po łotewsku lub kurońsku, ale po estońsku *Sarema* czyli krajem wysp, albo *Kure-saar*, t. j. Żórawią wyspą; ztąd i stolicę Arensberg mianują po swojemu *Sarema-Lin*; ztąd wreszcie i podział ich kraju na *Kilegundy* śród plemion estońskich tylko znany, bo jeśli na Kilegundy natrafiamy w Inflantach, jak widzimy w dyplomatach z r. 1231 i 1284 (*Turgieniew I. 28, 85*), to tylko dowodzi, że nie wszyscy Liwowie wyparci zostali za Windawę, i że zmieszanych z Łotwą lub Kuronami jeszcze odróżniano.

gania w budowli kościołów, zamków i t. d. Wszakże mówiąc w powszechności, władza duchowna przy nawracaniu na wiarę chrześciańską Liwów, Łotyszów, Kuronów, Wendów, Kuningów i Krewingów zamieszkałych na pobrzeżnych Inflantom wyspach i na stałym lądzie, nie wkładała na neofitów nadzwyczajnych ciężarów i powinności; owszem usiłowała ich zasłaniać od zbytnich ucisków, czego dowodem są i przywileje im nadawane, i układy z nimi zawierane. Piérwsze nas uczą: że taż władza miała sobie za obowiązek z nowonawróconemi po ojcowsku i z chrześciańską postępować łagodnością (1); z drugich zaś dowiadujemy się, iż w nich albo w ogólności oznaczano że takie tylko składać mają podatki, jakim podlegają rodowici Gotlandczycy (2); albo też główną daninę do zsypki zbożowéj, i to w miarę uprawianego gruntu, zredukowano (3). Rozporządzenia nawet tyczące się Liwów ezelskich, choć

(1) „Circa personas vero et terras, quos dominus ad fidem vocaverit, provideas quod neophiti congrua litertate gaudeant" (*Bulla Grzegorza IX do Wilhelma biskupa modeńskiego, legata apost. dat. z Witerbu XV Kal. Mar. (15 Febr.) papieztwa IX, t. j. 1235. Turgieniew I. 38*). „Perpetuam enim eis (neophitis) indulsimus libertatem, quamdiu eos apostatare non contigerit." (*Tegoż papieża bulla dat. z Reate III Idus Febr. (11 Febr). papieztwa IV, t. j. 1231 r. zatwierdzająca udzielone w r. 1230 Kuronom prawa i swobody przez Baldwina zastępcę legata Ottona. Turgieniew I. 28*). Baldwin mnich o którym ta bulla wspomina, apostoł i opiekun Kuronów i Łotwy, widząc jak rycerze Mieczowi wcale nie myśleli według przepisów władzy duchownéj postępować z neofitami, chciał ich dumę i chciwość władzą świecką poskromić. W tym celu wyrobił u cesarza Fryderyka IIgo postanowienie, w którém dla nowo-nawróconych i na przyszłość drogą pokoju nawrócić się mających, zapewniono wszelką własność i prawa ich stanowi odpowiedne, a wyłączono ich zpod wszelkiego dannictwa i jurysdykcyi królów, książąt, hrabiów i szlachty; przyrzeczono nawet, że im też same prerogatywy służyć mają, co wolnym poddanym państwa rzymskiego i stolicy apostolskiéj (*Reynold Annal. Eccl. T. XIII, p. 219. Gebhardi Gesch. v. Liefland. etc. s. 369*). Na nieszczęście tych ludów, rycerze Mieczowi, nieodrodni bracia Krzyżaków ani o duchowną, ani o świecką władzę niewiele dbali.

(2) „Ad ea vero jura quae persolvere tenentur indigenae de Gothlandia per omnia perpetuo tenebuntur Episcopo suo suisque praelatis annuatim persolvenda, ita quod nec regno Daciae et Sveciae subliciuntur." (*Dyplomat niżéj wypisany z r. 1231*).

(3) „Talem facimus compositionem, cum se offerent ad subeundum jugum Christianitatis, quod videlicet ipsi, et eorum successores, de quolibet unco (tu wzięty za sochę) solverent nobis annuatim, dimidium navale talentum (pół szyffunta czyli 208 funtów) siliginis, et de erpica, quae vulgari nostro Egede (brona) dicitur, solverent similiter dimidium talentum siliginis,

wkładały na nich różne ciężary, które, mówiąc nawiasem, może i nie były większe od tych, jakie w średnich wiekach i w Polsce postrzegać się dają (1); jednakże nie zaprowadzają jeszcze tygodniowéj pańszczyzny i nie usuwają ich zpod opieki prawa, owszem zapewniają im wolność szukania sprawiedliwości u samego biskupa, w razie pokrzywdzenia przez piérwszą instancyą.

Ale chociaż ezelscy Liwonowie w XIII już wieku do większych służb i danin, niż ich sąsiedzi letońskiego rodu obowiązani być mogli, wszystko to jednak nie może iść w porównanie z tém, co się późniéj w téj mierze dało widzieć w Inflantach. Gdybyśmy zatém koniecznie w tym kraju, a nie gdzieindziéj, szukać chcieli wzoru, podług którego urządzali u siebie Litwini uciążliwe stosunki poddanych z dziedzicem, tedy sądziłbym, że wzoru upatrywać należy nie w owych dyplomatach pod wpływem i powagą władzy duchownéj układanych, ale w niecném postępowaniu z pokonanemi Inflandczykami dumnych a bogactw i władzy chciwych kawalerów Mieczowych. Onito, zwłaszcza od czasu gdy się zpod władzy biskupów rygskich prawie wyłamali, a z Krzyżakami w jedno zrośli ciało, zaczęli zaprowadzać w tych stronach ów niesłychany ucisk ludu prostego. Na nieszczęście posłużyło im przyjęte w owym wieku prawidło: że ci, którzy nie dobrowolnie, lecz mocą oręża nawróceni będą, nieograniczonéj woli zwycięzcy ulegać mają. Czegoż im więcéj było potrzeba? Nie robiąc różnicy między chętnym a niechętnym nowéj wierze, gdzie tylko mogli nawracali orężem, a na pokonanych ciężkie narzucali

Si vero aliquis uno equo laborat in unco et erpica, non solvet nisi tantum dimidium talentum siliginis. Insuper sacerdotibus suis, quos de Riga advocabunt, quantotius poterunt, absque periculo, necessaria vitae persolvent, et ab eis obedienter Baptismum recipient et legem christianam, salvis sibi possessionibus et proprietatibus agrorum, caeterarumque rerum sine contradictione cujuslibet potestatis. Praeterea iidem Curones nobiscum impugnabunt inimicos Christi. Ne ergo quae gesta sunt a nobis, processu temporis evanescant, et in irritum deducantur, nisi forte Curones infregerint, rebellando Christianos, firmandum duximus" etc. Układ Ryżan i kawalerów Mieczowych z Kuronami zawarty w Rydze 1230 r. (z *Nettelbadta Rer. Curl. fasc. 1, p. 145, u Narbutta. Dzieje III. Dodat. VII, str. 591*).

(1) Aby się o tém przekonać, można porównać dyplomat ezelski z przywilejem tynieckim z r. jakoby 1105 (*Szczygielski. Hist. Monast. Tinec. p. 138*), lub przywilejem Mieczysława Starego z r. 1145 danym Cystersom w Lendzie osiadłym (*Kod. Dypl. Warsz. T. I. nr. 1*), gdzie podobne a może i liczniejsze znajdziemy daniny i robocizny dworowi należne, nie mówiąc już o powinnościach publicznych.

poddaństwo. Otoż zkąd książęta i panowie litewscy brać mogli naukę, jak gnębić lud wiejski, gdyby rzeczywiście ściślejsze poddaństwo, tylko z Inflant miało się wcisnąć do Litwy. Lecz niech nam wolno będzie wyznać, że właśnie o tém nie mamy dostatecznego przekonania. Nam się zdaje (bo nie mówimy *ex cathedra* i zwyczajem naszym nie narzucamy nikomu naszego przekonania), że do zaprowadzenia przez naśladownictwo obcych instytucyj potrzeba, aby kraj na niższym stopniu cywilizacyi będący, albo sobie podbił kraj oświeceńszy, albo téż przez długi czas i ciągle zostawał z nim w przyjaznych stosunkach. Lecz tu właśnie ani jedno, ani drugie nie miało miejsca. Jeżeli tak przeważny miał być wpływ urządzeń inflanckich, czemuż sąsiednia Żmudź naprzód nie uległa temu wpływowi? Żmudź, po któréj nieraz gospodarzyli ciemięzcy Kuronów i Łotwy i jéj swoje panowanie narzucali? Dlaczego ten wpływ nie zaraziwszy Żmudzi, pominąć miał tę krainę i dopiéro w dalszéj od Niemców pojawić się Litwie, która do XIII wieku przy podobnych mniéj więcéj co na Żmudzi socyalnych porządkach i przy żadném albo małém jeszcze tylko znaczeniu możnych i zwierzchników swoich, równą może ze Żmudzią ciesząc się swobodą gminu, nie była jeszcze usposobioną do przyjęcia bez gwałtownych wstrząśnień, drogą spokojną uciążliwych instytucyj niemieckich. Jeżeli jednak w czasie ich zaprowadzenia w dyecezyi ezelskiéj, t. j. pod koniec XIII wieku (r. 1284) rzeczywiście już i na Litwie dają się postrzegać zmiany w jéj bycie pierwiastkowym, zmiany, które i na stan gminu niekorzystnie wpłynęły: jakaż tego mogła być przyczyna? Zobaczmy, czy odpowiedzi na to nie znajdziemy na Rusi.

Ruś osłabiona podziałami, znękana i poniżona napadem Tatarów, przedstawiała łatwą i gotową zdobycz dla zaborczéj Litwy, która od początku XIII wieku coraz czynniéj na scenie dziejów występować zaczęła. Podboje te koniecznie wpłynąć musiały na położenie wyższéj i niższéj klassy ludności litewskiéj; wszakże o ile przez to zyskała piérwsza, o tyle a może i więcéj straciła druga: bo właśnie na Rusi wojownicy litewscy znaléźć mogli gotowe już wzory większéj uległości gminu, z czego téż korzystać nie zaniedbali.

Wiadomo, że na Rusi książęta waragscy, budując zamki i rozdając ziemie swojéj drużynie, zaprowadzali feodalność. Kiedy się jednak Waragowie z Rusią w jedno ciało zleli, pierwotny feodalizm powoli ustawał i od czasów Jarosława W., a bardziéj

jeszcze Włodzimierza W. rząd zaczął przechodzić do familii, a z jéj rozmnożeniem do rodu; lubo ten porządek nieraz się mieszał, gdy jedni dobijali się o W. księztwo na mocy prawa familijnego (np. wnuk po dziadzie), drudzy zaś na mocy prawa rodu (np. stryj przed takim wnukiem). Systemat Jarosława sprawił, że się Rossya podzieliła na księztwa, które, gdy w nich potomstwo Andrzeja Bogolubskiego dziedzicznie osiadło, bez końca dzielić się musiały. Wiadomo i to: że dopiéro W. książęta moskiewscy byli pierwszemi, co przełożywszy interes polityczny nad interes pokrewieństwa, uchylili prawa osobiste, przez co syn starszy jako W. książę otrzymywał najwięcéj, młodsi zaś pozyskując coraz mniejsze wydziały, przeszli nareszcie do rzędu poddanych W. księcia, straciwszy samodzielność swoję. Wszakże ta zmiana nie należy do epoki o któréj mówimy, ani się téż tak silnie jak w księztwach zadnieprskich odbiła na Rusi południowo-zachodniéj, gdzie nawet feodalności upaść zupełnie nie dali Węgrzy, do feodalizmu oddawna nawykli, a którzy pod koniec XII i na początku XIII wieku w tych stronach władali.

W owych więc drobnych księztwach, jak kniazie bojarami, tak ci znowu ludem sobie podległym samowładnie rządzili, a taki stan rzeczy nie mógł sprzyjać swobodom gminu. W takiém właśnie położeniu Ruś zastali Litwini, gdy się za zdobyczą i zaborami po niéj upędzać zaczęli. Zdobywca nie z ludem, lecz z kniaziami, z bojarami wchodził w przymierze, ich język i obyczaj przyjmował, a przesiąkły rusczyzną wprowadzał i do Litwy ruskie porządki, ale już wzięte w kluby feodalności przez nagłe zabory zaprowadzone. Może z początku tym nowym porządkom ulegli tylko koloniści ruscy, których osadzono w wyludnionéj Litwie lub na Rusi litewskiéj, lecz z czasem przy władzy feodalnéj panów, uledz im musiała i ludność krajowa. Bo jak feodalny posiadacz ziem ruskich, Litwin czy Rusin, chciał być panem i prawodawcą śród swoich podwładnych, czy Rusinów, czy Litwinów, co się po Rusi rozbiegli; tak i na Litwie kniazie i bojary, na wzór ruski utworzone, w ziemi sobie nadanéj, a nawet choćby i dziedzicznéj, równémże rządzić chcieli prawem jako dla siebie korzystném.

Przez takieto praw i zwyczajów ruskich naśladowanie, niejedna robocizna, niejedna danina, wprzódy nieznane, ale książętom i bojarom dogodne, przyszły i do Litwy. Jak zaś ruskie porządki co do stanu mieszkańców łatwo sobie przyswajała Litwa, o tém jużbyśmy się mogli i z tego przekonać, że też same

dla Litwy co i dla Rusi pomnożenia niewolnictwa służyły przepisy. Jak bowiem na Rusi tak i na Litwie, nietylko niewolnik mógł być kupiony lub na wojnie zdobyty, ale się nim stawał człowiek wolny, gdy się zaprzedał lub niewolnicę pojmował za żonę; a chociaż prawo nibyto w opiekę brało życie niewolnika, przez nałożoną taksę na jego głowę, tém jednak ani jego losu osłodzić, ani téż bezpieczeństwa jemu zapewnić nie było w stanie. Gdzie podobne o prawach człowieka wyobrażenia upowszechnić się mogły, czyliż tam i lud wolny, jeśli nie w niewolą, to przynajmniéj w poddaństwo, przy przemocy zwłaszcza feodalnéj, z łatwością przechodzić nie może? Owszem tak było rzeczywiście na Litwie. Cóż bowiem innego mogło miéć na celu owe rozporządzenie statutu, które zastrzegło: że człek z urodzenia swobodny, skoro tylko na *woli* pańskiéj lat dziesięć zasiedzi, w poddaństwo wieczne przejść musi.

To wszystko zważywszy, sądzę, że nie nauka inflanckich Niemców, z któremi Litwa prawie w ciągłych zostawała bojach (1), ale zabory Litwy na Rusi, któréj prawa i zwyczaje zwyciężca mniéj oświecony sobie przyswajał, a co nadewszystko feodalizm z tych zaborów wynikły, ten miały skutek, że w Litwie, choć to kraj nie był zdobyty, zaprowadzono stopniami i utrwalono taki ucisk gminu, jakim Żmudź staréj pilnująca narodowości, nigdy nie uległa.

Uzupełniając uwagi nasze, któreśmy tu przy rozbiorze twierdzenia p. M. na czelskim dyplomacie oparte, podali, jeszcze o jednéj okoliczności wspomnieć winniśmy, a mianowicie: że zdaniem p. M. *robocizny występują w statucie pod nazwiskiem serebszczyzn* (2). Że nazwisko serebszczyzn (3) jakby dla odróżnie-

(1) Jeżeli się w téj mierze i wcisnęło z Inflant do Litwy, czego zupełnie zaprzeczać nie chcemy, nigdy to jednak stanowić nie mogło zasady stanu litewskiego poddaństwa, ale było tylko dodatkiem do rzeczy już gotowéj.

(2) O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 331. Toż samo czytamy i w Historyi prawodawstw słowiańskich. T. III str. 266. przyp. 590.

(3) Nie będziemy się spierali o źródłosłów tego wyrazu. Czacki wyprowadza go od srebra, co najprostszą zdaje się być etymologią (*I. str. 202*). Inni od sierpa, bo to był podatek od zbioru sierpem, co także nie do odrzucenia (*Dzieje Litwy i Polski do Unii, str. 185*). Kto na tych prostych wywodach nie przestaje, może szukać źródłosłowu w wyrazie łacińskim *Serritium*, a nawet w wyrazie *Serb*, bo w ruskich jakoby ziemiach i gdzieindziej, mianując serbami gmin prosty, nazywano serebszczyzną robocizny nań wkładane (*Maciejowski, Historya prawodawstw l. c.*).

nia od danin składanych w naturze (osepów, miodu, bydła, drobiu i t. d.) najczęściéj tam natrafiamy, gdzie tylko o opłatach jest mowa, żadnéj w tém nie masz wątpliwości, i łatwo się o tém przekonać możemy z najdawniejszych źródeł prawodawstwa litewskiego i kronikarzy naszych (1); lecz żeby przez serebszczyznę rozumiano i robocizny, na to nie mam żadnego dowodu.

Trzeciego nakoniec rodzaju prawa, t. j. takie, które od wieków miały być zachowywane między plemionami letońskiemi i które późniéj przeszły nawet do statutu, znajduje p. M. w bulli Honoryusza III pisanéj do Ryżan z Lateranu VIII kal. Decembr. (24 Obr.) papieztwa XI, czyli 1226 r. Jestto potwierdzenie układu zawartego za pośrednictwem znanego już nam legata Wilhelma biskupa modeńskiego w r. 1225 między Ryżanami z jednéj, a biskupem inflanckim Albertem, tudzież Janem proboszczem ryskim i rycerzami Mieczowemi z drugiéj strony, względem jurysdykcyi i pewnych swobód miastu przyznanych.

Z układu tego dowiadujemy się: 1) że od założenia Rygi (2) biskup Albert dozwolił miastu rządzić się *w powszechności prawem gockiém*, w szczególności zaś uwolnił Ryżan: *od sądów bożych przez*

(1) Na sejmie grodzieńskim 1507 r. kazano wybierać serebszczyznę z całego W. X. Lit. od świeckich i duchownych, a mianowicie: od sochy wołowéj po 15 gr., od końskiéj połowę tego, od posiadaczów ziemi, którzy sochą nie orzą po 6 gr., a po 3 gr. od ogrodników. (*Działyńskiego zbiór praw lit. str. 112*). O płaceniu nie zaś robieniu serebszczyzny jest wzmianka i w przywileju Zygmunta Igo danym żydom (*tamże str. 110*). Za tegoż króla r. 1513 kazano wybierać opłatę serebszczyzny po 3 gr. od sochy (*Czacki I, str. 202*), a w r. 1551 za Zygmunta Augusta sejm wileński na trzy lata od sochy po pięć groszy serebszczyzny naznaczył. (*Stryjkowskiego Kronika str. 750*). Nazwisko serebszczyzny zostało i przy podatku, który w zamian za powinność osobistéj służby wybierano; a ponieważ szło tam o zastąpienie służby konnéj, miał ten podatek zwłaszcza na Żmudzi nazwisko *Pokoniewskie, Pokoniowszczyzna*, i wynosił niekiedy, jak w r. 1552 kopę groszy litewskich, czyli z górą 23 zł. dzisiejszych (*Stryjkowski w Kronice str. 751*). Czytamy w ustawie włócznéj Zygmunta Augusta z r. 1557, iż serebszczyznę tylko z włók nie zaś od wołów i klacz wybierać było wolno (*art. 18 w Obrazie Litwy. II str. 239*). Nakoniec we wszystkich trzech statutach, serebszczyzna zawsze znaczyła pieniężną daninę nie zaś robociznę (Sta. I. R. I. art. 22. Stat. II. R I. art. 25, u Czackiego I. str. 201. Stat. III. R. III. art. 29.

(2) Osada Rygi miastem uznaną została 1199 r., nadanie swobód o których układ wspomina, nastąpić musiało około r. 1208. (*Arndt Liefl. Chron. Th. 2 str. 43, i pod r. 1200*).

pojedynek i rozpalone żelazo, od cła i grabieży własności rozbitków morskich. 2) Biskup może bić monetę, byle téjże dobroci i wagi, *co moneta Gotów* czyli *Gotlandyi.* 3) Każdy nowy osadnik może zostać obywatelem Rygi, skoro w przeciągu lat trzech dowiedzie, że mu służy prawo Niemców mieszkających w Gotlandyi, gdyż témże prawem rządzą się i Ryżanie, z tą tylko różnicą, że Niemcy gotlandscy mogą poniekąd ustanawiać kapłana (sacerdotem), czego nigdy Ryżanom czynić niewolno. Nakoniec 4) aby nie było wątpliwości, co właściwie przez prawo gockie rozumiéć potrzeba, wyjaśniono: że to prawo zależy na prerogatywie, jaka służy Ryżanom, w swobodném obieraniu sobie sędziego, którego biskup zatwierdza, i przy téj okoliczności szczegółowo oznaczono, jaka ma być rozciągłość jurysdykcyi miejskiéj (1).

(1) Ponieważ ten dyplomat wielką gra rolę w badaniach p. M., przeto całkowitą jego osnowę wypisuję. Communitati Civitatis Rigensis Honorius Episcopus servus servorum Dei. Ea quae judicio vel concordia... (brak kilku słów). Eapropter petitionibus vestris, grato ac benigno concurrentes assensu, compositionem, quae inter vos ex parte una et venerabilem fratrem nostrum Episcopum Livoniensem (opuszczono Albertum). Praepositum Rigensem.. (opuszczono Joannem) et fratres militiae Christi Livoniensis dioecesis ex parte altera, super jurisdictionibus et libertatibus civitatis vestrae, mediante venerabili fratre nostro G. (znaczy Guilhelmo) Mutinensi Episcopo, Apostolicae sedis legato, amicabiliter intervenit, prout in ipsius litteris, plenius continetur, sicut sine pravitate provide facta est, et ab utraque parte sponte recepta, et hactenus pacifice observata, auctoritate apostolica confirmamus. Ad majorem autem rei evidentiam tenorem litterarum ipsarum, de verbo ad verbum praesentibus, duximus inserendum, qui talis est: Coram nobis W. (znaczy Wilhelmo) divina misericordia Mutinensi Episcopo, apostolicae sedis legato inter venerabilem fratrem Alb. Livonensem Episcopum et dilectos filios Jo. Rigensem praepositum et Wich. (znaczy Wolkwin Schenken de Winterstadt) Magistrum militiae Christi in Livonia ex una parte et Albertum Sindicum Civitatis Rigensis, nomine ipsius civitatis ex altera, super jurisdictione ipsius civitatis, et super moneta et super quibusdam aliis capitulis, quod hujusmodi vertebatur: Dicebat namque Sindicus pernominatus, Civibus licere judicem civitatis constituere, eo quod haberent *jus Gothicum* sibi ab Episcopo a constitutione Civitatis concessum, super quibus interrogatus jam dictus Dominus Episcopus, pro se, Praeposito et Magistro, praesentibus ibidem et consentientibus respondit: quod a Constitutione Civitatis, concessit Civibus in genere *jus Gothorum* et specialiter, *libertatem a duello, theloneo, Candente ferro et naufragio.* Dubitabatur autem inter eos: *quid esset jus Gothorum?* de quibus omnibus de consensu nostro eis placuit transigere in hunc modum, videlicet: *quod Cives possunt sibi libere judicem eligere civitatis, et electum debeant Episcopo praesentare et Episcopus ipsum investiet.* Ille vero judex de omni causa temporali

Ktokolwiek się w tym przywileju rozpatrzy, nie powinien żadnéj doznawać trudności w wyrozumieniu jego myśli. Wszystkie tu jasne, wyraźne i żadnemu jak się zdaje nie podlega już tłumaczeniu. Tymczasem przeczytawszy to, co p. M. z tego dyplomatu wysnuć potrafił, rzecz się ma wcale inaczéj. Zdziwi się zapewne niejeden gdy się dowié, że wspomniane tam *gockie prawo* nie jest ani gotlandskiém, ani nawet prawem gockiém, i że cały ten dokument kryjąc w swojéj treści źródło najdawniejszego prawodawstwa Litwy, nadzwyczajnéj powinien być wagi dla każdego badacza rzeczy litewskich. Lecz posłuchajmy samego autora.

Prawo gockie w takim kształcie w jakim nadane było przez ów dyplomat Ryżanom, t. j. z wyłączeniem sądów Bożych, powszechnie u Gotów używanych (Ordalia) i praw o rozbitkach morskich (praw brzegowych, jus naufragii, Strandrecht) wpłynęło, powiada p. M. i na prawo ziemsko-litewskie, w którém również ani Ordaliów, ani praw brzegowych nie znajdujemy (1). Po téj ogólnéj wzmiance o prawie gockiém, i jego wpływie na prawodawstwo Litwy, głębiéj się p. M. zapuszcza w uczonych badaniach swoich, a usiłując nowém światłem rozjaśnić odległe wieki, tak nam dalsze swoje myśli rozwija: „Z dyplomatów Turgieniewa,

cognoscat, homines autem qui sunt de jurisdictione Episcopi, vel aliorum qui ab Episcopo feudum tenent, ut Magister, Praepositus et alii, non teneantur sub praedicto judice respondere, nisi de contractibus et delictis in Civitate vel infra Marcham Civitatis commissis sub eo cujus fuerit domus vel ager debent terminari. Et si quis civis in jurisdictione Episcopi, Praepositi vel Magistri, possessiones habuerit, vel ibi contraxerit, seu delictum commiserit, teneatur sub eo cujus fuerit jurisdictio, respondere. Clerici vero vel alii religiosi ut Magister et fratres ejus vel Hospitalarii ut sancti Spiritus et sancti Lazari, de nulla causa teneantur sub praedicto Civitatis judice respondere. Monetam autem in Civitate fieri, cujuscunque formae, sit in potestate Dni Episcopi, dum tamen ejusdem bonitatis sit et ponderis, cujus est moneta *Gothorum* seu *Gotlandiae*. Cives vero liberi sint in praedictis quatuor capitulis, videlicet *a ferro, theloneo, naufragio* et *duello*. Omnibus autem volentibus intrare civitatem ad habitandum, *liceat Cives fieri* praedictae Civitatis, siquid etiam poterunt probare infra triennium *esse de jure Theotonicorum commorantium in Gutlandia* (quia) *eodem gaudeant et Rigenses*, excepto eo, quod Theotonici Gutlandia constituerunt aliquatenus sacerdotem, Rigenses tamen nunquam possint constituere sacerdotem. Actum in Riga A. Dni M. C. C. XXV. mense Decembris, XIII indictione, praesentibus etc. Nulli ergo etc. confirmationis etc. Siquis etc. Datum Laterani VIII kal. Decem. Anno XI. (*Historica Monimenta Russiae T. I, p. 18*).

(1) Pierwotne dzieje Litwy i Polski, str. 175.

widzimy, *że gockiém* nazywało się *dawne prawo litewskie*, nie dlatego że gockie zwyczaje były jego zasadą, lecz raczéj dlatego, że niemieckie ludy powszechnie Gotami od Litwinów nazywane, graniczące z niemi, udzielały im praw swoich i nawzajem ich prawa przyswajały sobie, i tak w jednę całość zlawszy różnorodne (niemieckie, litewskie a nawet słowiańskie) zwyczaje, utworzyły ztąd *coś rzeczywiście do gotyckiego podobnego*" (1). Tęż samę myśl powtórzył p. M. w innćm miejscu ucząc nas: że Gotów prawami nazywały się te swobody (od Ordaliów i grabieży po rozbitkach) nie dlatego, że były rzeczywiście starożytnych Gotów ustawami, *lecz raczéj dlatego, że wespół z cudzoziemcami używali ich kuroniscy Litwini* (2).

Z takiego stanowiska spoglądając na wspomniane w dyplomatach p. Turgieniewa prawo gockie, szło jeszcze tylko o rozwiązanie, każdemu na piérwszy rzut oka nastręczających się pytań: dlaczego te prawa tak zgodne ze statutem litewskim, a zupełnie różne od rzeczywistych praw Gotów, jednakże gockich nosiły nazwisko; dlaczego litewskie prawa zaraz przy swojém w dziejach wystąpieniu, nie pokazują się czyste, lecz z gockiemi pomieszane? dlaczego wreszcie Litwini, którzy swemu prawu imię gockiego nadali, sami jednak siebie nie nazwali Gotami? Odpowiedź na te ważne pytania jest właśnie, jak p. M. powiada, kluczem „który pierwotną historyą narodu i prawodawstwa litewskiego w pomnikach do nas doszłych szczelnie zamkniętą, odmykając, objaśnia ducha, który ożywiał oboje, uczy jak początek Litwy pojmować mamy; stawia przed oczy postęp jéj dziejów, tudzież ścisły związek między jéj przeszłością i następstwem zachodzący pokazuje, przekonywając o tém: że Litwini mieli oddawna *prawa rzeczywiście* gockie, *bo mieszaniną różnych prawo będące*, i w gotycyzmie ich niemczyzna i słowianizm główną, a litwinizm podrzędną grał rolę, jako ten, który obumarłszy w przeszłości, nie przystał do postępu oświaty europejskiéj" (3).

Po tych uwagach które nas ostrzegać mają, jak wielką ważność, do trafnéj odpowiedzi, na powyższe pytania przywiązywać należy, przystępuje p. M. do rozwiązania rzeczonych kwestyj, i naprzód powód nazwania pierwotnych praw litewskich gockiemi,

(1) Pierwotne dzieje Litwy i Polski, str. 532.
(2) O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 332.
(3) Tamże str 333.

upatruje w przewadze Gotów, którzy w czasach bardzo dawnych panowali nad ludami letońskiemi. Z takiegoto zwierzchnictwa i uległości wyniknąć miało, że te ludy niegdyś gockiém jarzmem ugniecione, nietylko każdego co w późniejszym czasie niemi władał nazywali *Gotem* (Gudas), bez względu na to czy to był Norman czy Rusin (co zresztą jest faktem historycznym) (1), ale i najdawniejszemu prawu swemu, (lubo nie wiem dlaczego, bo pewnie nie przez pamięć niemiłego jarzma Gotów) nazwisko jakoby gockiego dawali. Niedość na tém: pod nazwiskiem gockiego prawa, znane być miały oprócz praw litewskich, ezelskich i gotlandskich, prawa nawet Słowian, a mianowicie nowgorodzkich, pskowskich i białoruskich, na co wszystko znajduje p. M. dowody i w owych dyplomatach Turgieniewa, któreśmy już wyżéj rozbierali i jeszcze w dyplomacie tegoż zbioru z r. 1231, w którym jednak, równie jak w tamtych, nic podobnego upatrzyć nie mogłem (2). Nakoniec, że owi Litwini co nieprzyjaciół Gotami, a prawa swoje gockiemi nazywali, samym jednak sobie imienia Gotów nie dali, to ztąd wyniknąć miało: iż nazwisko swoje przyjęli od owych *Litów*, którzy po długiém tułactwie po Włoszech, Francyi, Niemczech i pobrzeżach Baltyku, nakoniec jakoby w okolicach Trok założyli państwo, przez nich samych lub od sąsiadów Litwą nazwane, gdzie i bóstwo swobody *Liethuwa*, w skandynawskie godło przybrane, cześć odbierać zaczęło (3). Lecz kiedy to

(1) Nawet Rossyan dotąd tak nazywa Litwin. Zapewne i Niemca za jedno brał z Gotem, choć go w innym razie oznaczał wyrazem Wokietis. Wreszcie i Polakowi (po litewsku Linkas, po łotewsku Lejczys) musiał dawać to miano, kiedy dotąd Gudduks znaczy Polak ladaco, a Gudde takaż Polka. *Pogudoti* znaczy mówić po litewsku akcentem polskim.

(2) Jestto bulla Grzegorza IX do neofitów kurońskich, datum Reate III Idus Febr. (II Febr.) papieztwa V czyli 1231 r. zatwierdzająca udzielone im w r. 1230 swobody przez Baldwina mnicha Alweńskiego, zastępcę legata Ottona (*Zbiór Turgieniewa I p. 28*). Dyplomat ten znany mi już był dawniej, ponieważ go wypisał p. Narbutt (*Dzieje. III. Dodat. VII, str. 589*). Nic o nim nie wspomniałem w Obrazie Litwy, bo też nic w sobie nie zawiera takiego, coby się do Litwy zastosować dało. Chcących się o tém przekonać, a niemających zbioru p. Turgieniewa, odsyłam do wskazanego miejsca dzieła p. Narbutta.

(3) Nie mówimy tu więcéj o tych Litach, z któremi, lubo do nich p. M. wielkie przywiązuje znaczenie, dotąd jeszcze wyobrażeń naszych o dziejach pierwotnych Litwy pogodzić nie możemy. Wiele stronnie poświęconych jest dla nich w Pierwotnych dziejach Polski i Litwy, główniejsze miejsca znaleźć można na str. 68, 69, 100, 405, 411, 412 i 421.

państwo w potęgę podnosić się, a z niém razem i imię Litwy wyrastać zaczęło, wówczas Litwinem w mowie Ukraińca został i Białorusin, od XIIIgo wieku z Litwą złączony (1), a statut który po większéj części z ruskich praw powstał, litewskiego takoż otrzymał nazwisko (2).

Wyłożyliśmy główniejsze myśli p. M. wysnute z treści dyplomatów p. Turgieniewa, szczególniéj zaś z dyplomatu rygskiego, który mówiąc o prawie gockiém, grabieżach po rozbitkach i sądach Bożych, dał powód do tylu głębokich a nowych badań, postrzeżeń i wniosków. Jużeśmy wyżéj nawiasowo gdzieniegdzie dali to poznać, że różnimy się w zdaniach naszych; jakoż inaczéj być nie mogło, kiedy na ów dyplomat z zupełnie innego spoglądać będziemy stanowiska. Wszakże i tu powtarzam, że nikomu mniemania mego narzucać nie myślę, i że bez trudności od niego odstąpię, skoro gruntownemi dowodami inaczéj przekonany zostanę. Oświadczam bowiem, że nie próżna chęć sporu, z tak uczonym i w literaturze naszéj zasłużonym mężem, podała mi pióro do ręki, ale jedynie żądza wykrycia prawdy, do któréj wszelkie historyczne badania zmierzać powinny. Wreszcie i to miałem na uwadze, że rzecz da się może lepiéj poznać, jeśli na nią nie z jednéj tylko przypatrzymy się strony.

Namieniłem już wyżéj, że rozczytawszy się w przywileju nadanym Rydze r. 1226, myśl jego okazuje się być jasną i żadnemu nawet naciąganemu tłumaczeniu nieuległą. Toż samo powiedzieć możemy i o dyplomacie kurońskim z r. 1231, do którego również z powodu praw gockich p. M. się odwołuje. Cóż bowiem nieuprzedzony badacz może w nich więcéj upatrzyć nad to: że co do praw, formy sądu, monety i podatków, Gotlandya za wzór służyć miała Ryżanom i Inflantom. Jeżeli więc taka jest myśl rzeczonych dyplomatów, a spodziewam się, że może niejeden co je przeczyta, zgodzi się ze mną; zachodzi więc pytanie:

(1) W texcie powiedziano: „od Litów to i od *Liethui* nazwano i obce ludy pod Litwy będące panowaniem i t. d. Więc i bóstwo Liethuja, do narzucenia téj nazwy jakoś się przyczyniło." Wyżéj zaś cokolwiek czytamy: „Wzięło ono (bóstwo) imię swe od Litów, a nie Litowie nazwisko swoje od niego. Bo nie bóstwa ludom, ale ludy pogańskie bóstwom dawały imiona." (*O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 331*). Nie wiem jak te dwa miejsca z sobą pogodzić?

(2) O postępie nauki prawa lit. l. c. str. 333, 334.

zkąd wynikło takie zbratanie się Rygi i Inflant z Gotlandyą? Sprobujmy na to odpowiedzieć.

Z upadkiem nadmorskich miast słowiańskich Winety (1043 roku) i Julina czyli Wolina (1170 r.), znaczenie wyspy Gotlandyi i jéj miasta Wisby, szybko wzrastało. Nim jeszcze kupcy z Zachodu w co rok regularnie przedsiębranych pojazdkach, zwiedzać zaczęli Inflanty, t. j. przed r. 1158, już Wisby słynęło handlem i było zwiedzane przez kupców z Bremy, Hamburga, Lubeki z Fryzyi, a nawet z Nowogrodu (1). Od téj zaś daty coraz bardziéj wzmagał się ten ruch w Gotlandyi, a nadewszystko w jéj stolicy, która stała się miejscem składowém całego ówczesnego w tych stronach handlu między Wschodem i Zachodem. Wszystkie okręty płynące do Inflant i ztamtąd wracające zawijały do Wisby (2). Tą zatém drogą szły towary do północno-wschodniéj Europy i do Azyi, a nawzajem produkta Północy i krajów wschodnich na Zachód (3). Lecz w owych czasach i samych mieszkańców Wisby marynarka była już nadzwyczaj czynną, co téż było powodem, że książę saski Henryk Lew chcąc korzyści handlowe ściągnąć do Lubeki, znacznemi prerogatywami obdarzył Wisbianów, pod tym tylko warunkiem, żeby pilnie do lubeckiego uczęszczali portu (4). Znajdowane niekiedy w Gotlandyi greckie, rzymskie, syryjskie, arabskie i staro-duńskie monety, świadczą, jeśli nie o ojczyznie kupców tam zamieszkałych, to przynajmniéj o dalekich stosunkach handlowych Wisbianów. Korzyści z takowego przemysłu i swobody pod rządem prawie republikańskim, gdyż ciągłego zwierzchnika Wisby natenczas prawie nie miała (5), ściągnęły tam mnóstwo cudzoziemców: tak, że oprócz rodowitych Gotów i najdawniejszych osadników Niemców, trwale lub czasowo zamieszkiwali tam Hiszpanie, Francuzi, Anglicy, Szkoci, Niderlandczycy, Duńczycy i Rusini. Niekiedy obok

(1) Gruber, Anmerk. z. Liefl. Chr. I, s. 5. Arndt. Liefl. Chr. s. 78. Gadebusch Liefl. Jahrb. pod r. 1188, T. I, s. 17. Fischer Gesch. d. deuts. Hand. I, s. 421, 422.

(2) Liefl. Chro. pod r. 1192 § 11, s. 12.

(3) Fischer l. c.

(4) Op. Lamb. Orig. Hamb. L. 11, Fischer l. c.

(5) Wisby dopiéro r. 1300 zdobył Waldemar król duński. W latach 1397 i 1408 uległo zwierzchnictwu Krzyżaków, którzy to miasto nakoniec odstąpili sławnéj w dziejach Małgorzacie duńskiéj i szwedzkiéj królowéj (Anderson Gesch. d. Hand. Th. II, s. 563. Fischer l. c s. 526).

1200 kupców miejscowych, do 12,000 liczono tych obcych przybyszów (1).

Miasto, które tak obszerne miało handlowe stosunki i tak różnorodną w murach swoich mieściło ludność, nie mogło się obejść bez pewnych porządków i praw zabezpieczających i osobę i własność każdego. Jakoż nie zbywało tu na municypalnych, a tém bardziéj na handlowo-morskich przepisach. Wprawdzie król szwedzki Magnus II dopiéro w r. 1342 dozwolił Wisbianom spisać swoje prawa i to w dwóch językach: gockim i niemieckim, gdyż z obu tych narodów składała się ich ludność i rada miejska (2), lecz te prawa już oddawna istniały i były w użyciu. Co się zaś tyczy praw morskich Wisby, walczyło w tym względzie o pierwszeństwo z podobnemiż prawami Oleronu wyspy francuzkiéj na brzegach Guienny, które w XII wieku były spisane i z 47 składały się rozdziałów. Owszem prawa morskie Wisby tak się wsławiły, że posłużyły za wzór wielu innym tego rodzaju prawom europejskim i na wszystkie niemal języki tłumaczone były (3). Nie mam, zkądbym o tych prawach bliższą mógł powziąć wiadomość; zdaje mi się jednak, a niemal pewny jestem, że w nich znaleźlibyśmy wzmiankę o owych swobodach, które sobie Ryżanie wyjednali, przyjmując w powszechności prawo Gotlandyi; takie bowiem warunki dziwnie się zgadzały z interesem handlowego przemysłu, od którego cały byt Rygi zależał.

Od piérwszych zawiązków osad niemieckich nad brzegami zachodniéj Dźwiny, postrzegamy, że te osady w przyjaznych były stosunkach z ową Gotlandyą i jéj miastem Wisby, których sława była wówczas już głośną na całéj północy. Prosta mogła być tego przyczyna: Gotlandya nie przez samych Gotów, ale w znacznéj części i przez Niemców zamieszkała, a nierównie bliższa Inflant niż Hamburg, Lubeka i Brema, ojczyste miasta piérwszych śród pogańskiéj Litwy osadników, prędzéj téż i skuteczniéj mogła im w każdym razie nieść pomoc i ratunek pożądany. Domysł nasz stwierdzają fakta historyczne. I tak czytamy w kronikach: że gdy piérwszym osadnikom w Inflantach, zbywało na rzemieśl-

(1) Palmshiöld narrat. Mss. de incrementis et decrementis Visby in Vol. II, Act. nov. Soc. Upsal. p. 101. Gadebusch Liefl. Jahrb. Th. I, s. 429. Fischer l. c. s. 327, 524.

(2) Gadebusch l. c. Th. I, s. 431. Fischer l. c. s. 524.

(3) Herm. Conring d. orig. jur. germ. c. 19, p. 104.

nikach do budowania zamków przeciw pogaństwu, nie Lubeka lub Brema, ale Gotlandya dostarczyła im takowych w r. 1186, a ci rzemieślnicy nie gockiego, ale niemieckiego byli rodu (1). Z tegoż źródła dowiadujemy się: że kiedy Goci i Duńczycy do poskromienia rozbojów morskich przez mieszkańców Ezelii popełnianych (2), należéć nie chcieli, znajomy nam legat papiezki Wilhelm biskup modeński, skłonił do téj krucyaty w r. 1225 szczególniéj kupców niemieckich z wyspy Gotlandyi, którzy téż zbrojno przybywszy do Rygi, dostali się na wyspę po lodzie, i Czuchnów ezelskich upokorzyli (3). Pominąwszy wreszcie tę okoliczność, że Wisby i Ryga jednocześnie przed r. 1284 wstąpiły do hanzeatyckiego związku (4), lubo i to dowodzi, jak wspólność interesów łączyła oba te miasta; za najlepszy dowód przyjaznych stosunków Rygi z Gotlandyą, a nawet przeważnego wpływu téj ostatniéj na niektóre wewnętrzne urządzenia Inflant, posłużyć nam mogą same dyplomata z r. 1226 i 1231, któreśmy już poznali, a których główniejsze punkta dla lepszego przekonania się jeszcze raz powtórzmy. Piérwszy z nich naucza nas: że biskup rygski miał prawo bić jakiegokolwiek kształtu monetę, byle takiéjże dobroci i wagi, co moneta gotlandzka: *„ejusdem bonitatis et ponderis cujus est moneta Gothorum seu Gothlandiae"* i że każdy mógł zostać obywatelem rygskim, skoro dowiódł, że wprzódy żył pod prawem teutońskiém Gotlandyi: *„esse de jure Theotonicorum commorantium in Gutlandia"*, takież bowiem prawo służy i Ryżanom: *„eodem gaudent et Rigenses"* z tą tylko różnicą, że Niemcy gotlandscy sami sobie niekiedy wybierają księdza (*sacerdotem*), Ryżanom zaś tego czynić niewolno. W drugim zaś

(1) Liefl. Chron. Th. 1, s. 7, § 6.— Fischer l. c. s. 583.

(2) Liwończycy ezelscy głośni byli jako zręczni marynarze i odważni rozbójnicy morscy. Nieraz wysyłali znaczną flotylę do blokady portu rygskiego, o którego nawet zawalenie kusili się. Jeśli nie coś podobnego do greckiego ognia, to przynajmniéj użycie branderów musiało im być znane, gdyż w kronice inflanckiéj czytamy, że ogniem który na morzu pływał, trwożyli żeglarzy niemieckich (s. 115, 117. Fischer l. c. I, 423, 424). Wspomnieliśmy już wyżéj o nazwisku liwońskiém Ezelii (Kurcsaar): niemieccy etymologowie wyprowadzają ztąd nazwę korsarzy. (Arndt. Liefl. Chro. Th. I, s. 34). Inni wszakże źródłosłów wyrazu korsarz upatrują w mowie galskiéj, gdzie *kusarar* morskiego rozbójnika oznacza. (Torfaei hist. Norweg. P. III, p. 452).

(3) Liefl. Chron. r. 1225. § 1, s. 210. § 3, s. 211. Fischer l. c. l. s. 433, 434. (4) Fischer l. c. I. s. 14.

dyplomacie czytamy: że chcąc dobrodziejstwo okazać nowonawróconym Kuronom, takie tylko kazano im składać podatki, jakie opłacali rodowici Gotlandczycy: *„ad cavero jura, quae persolvere tenentur indigenae de Gothlandia, per omnia tenentur Episcopo suo."*

Jeżeli więc takie było znaczenie Gotlandyi i tak przyjazne jéj stosunki z Inflantami i Rygą, cóż więc dziwnego, że świeżo założona osada, przez Gotlandyą wspierana, jéj ludnością niemiecką zasilana, idąc za powszechnie w średnich wiekach przyjętym zwyczajem, nie tworzyła sobie praw nowych, ale dla własnego municypalnego rządu i sądu, szukała wzorów u swoich rodaków oddawna w Gotlandyi, a mianowicie w jéj mieście Wisby, zamieszkałych. Przyjęli zatém Ryżanie już r. 1208 przez biskupa Alberta udzielone sobie w powszechności prawo gockie, t. j. gotlandzkie, a w szczególności zawarowane zapewne i w témże prawie swobody, uwalniające ich od sądów Bożych, cła i grabieży po rozbitkach czyli prawa brzegowego, z któregoby jeśli nie ich zwierzchnicy duchowni, to niezawodnie Ezelczycy, a nawet mistrz i rycerze Mieczowi, jak to później czynili Krzyżacy pruscy, korzystać nie zaniedbali.

Tak pojmuję prawo gockie w przywileju rygskim wspomniane. Nie odrzucam wprawdzie téj myśli, że plemiona letońskie, ani Ordaliów (1), ani praw brzegowych czyli grabieży rozbitków (2) nie

(1) Jeżeli w średnich wiekach u ludów chrześciańskich widzimy zaprowadzone sądy Boże, nie w tém nie masz dziwnego, bo się to z duchem czasu zgadzało. W silnéj wierze że Bóg wesprze stronę niewinną występował w owe czasy skrzywdzony do walki, a winny tąż wiarą przejęty, nieraz słabszemu i mniéj zręcznemu zostawiał zwycięztwo. Lecz żeby i religia pogańska podobném uczuciem Litwinów natchnąć była zdolną, trudno przypuścić. Utrzymuje wprawdzie p. Narbutt, że sądy Boże znane były i pogańskiéj Litwie (Dzieje I, str. 173. III, str. 515), ale dowody przytoczone na to, uważam za niedostateczne, i dlatego jak dawniéj (Obraz Litwy I, str. 155, 166) tak i teraz bytność podobnéj instytucyi na Litwie pod wątpliwość podciągam. Chętnie jednakże odstąpię mojego twierdzenia, jeżeli o bytności u nas sądów Bożych, lepsze niż dotąd znajdą się dowody.

(2) Sprawiedliwie przy téj okoliczności uważa p. M., że naród który zasłaniał od grabieży własność z okręto-rozbicia uratowaną, nie był narodem chciwym i drapieżnym, jak to mylnie zarzucają Litwinom niektórzy dziejopisarze (Pierwotne dzieje Polski i Litwy, str. 532). Jakoż co do Litwinów, których tu szczególniéj mamy na widoku, i my na powyższe twierdzenie zgadzamy się zupełnie. Oddaleni od brzegów morza lub małą tylko cząstką kraju żmudzkiego do Bałtyku zbliżeni, złym przykładom innych nadmorskich ludów, zarazić się nie mogli. Kiedy się zaś litewski handel podnosić, a strugi z wicinami na Niemnie i Willi płody krajowe przenosić zaczęły, własny interes bez szukania na to wzoru u obcych doradził pilnować tego,

znały, i że ten wstręt od obojga przechodząc dziedzicznie od naddziadów do późnych potomków, odbił się nareszcie i w statucie litewskim; wszakże nie idzie za tém, ażeby Niemcy, co tak gardzili ludem pogańskim i obcą narodowością, chcieli mimo tego przyswajać sobie tegoż ludu instytucye i na nich opierać warunki przywilejów Niemcom nadawanych, zwłaszcza gdy wzór podobnych praw i u własnych znajdowali rodaków. Ani ówcześni duchowni inflandcy, ani rycerze Mieczowi tegoby nie uczynili, bo jak jedni tak i drudzy przybywali do tego kraju nie w tym zamiarze, aby kurońskie ochraniali zwyczaje, ale raczéj dlatego, aby Kuronom dobrowolnie lub gwałtem nawróconym, własne narzucili ustawy. Jeśli zatém przywiléj rygski mieści w sobie rozporządzenia podobne do dawnych zwyczajów letońskich, a ze statutem zgodne, podobieństwo to i ta zgodność praw, które z dwóch zupełnie różnych płynęły źródeł, więcéj za przypadkowe chciałbym uważać, niż wyłącznie ze wzajemnego na siebie wpływu wynikłe.

Na tém kończymy nasz rozbiór owych dyplomatów, z których, jakośmy widzieli, p. M. wiele ciekawych, wiele nowych, a pod względem dziejów prawodawstwa naszego bardzo ważnych usiłował wyprowadzić wniosków. Ponieważ widoczna, że w ocenieniu tych źródeł niemała między nami zachodzi różnica: z czyjéj zatém strony słuszność i prawda, a przynajmniéj większe do prawdy podobieństwo, niech to osądzi teraz bezstronny czytelnik. Jeżeli zaś z uwagą zechce się rozpatrzyć w dyplomatach ze zbioru p. Turgieniewa wypisanych, a dziełko moje nie jest dla niego obcém, nietrudno mu będzie i na to odpowiedzieć pytanie: czy mój Obraz Litwy, jakkolwiek nie z jednego względu bardzo jeszcze niedostateczny, rzeczywiście wiele na tém stracił, żem przy jego układzie, źródeł owych pod ręką mieć nie mógł?

Pisałem w Bielsku podlaskim, w grudniu 1851 r.

aby zgodnie z charakterem ludu, nawet rozbitkom na owych rzekach, opieka i pomoc dawane były. Lecz ta pochwała Litwinów, kto wie czy w całej zupełności i do dawnych Kuronów da się zastosować. Jakież mamy dowody, że grabieże rozbitków nigdy u nich znane nie były? Na burzliwych brzegach Bałtyku, pokusa była wielka, a przykład gotowy u Ezelczyków i innych Litwów, a nawet u Szwedów, którzy dopiero po traktacie zawartym z Hanzą 1365 r. zrzekli się tych haniebnych zysków. Wszakże nie mając o bytności lub niebytności tego zwyczaju u Kuronów i Litwy historycznych dowodów, wolimy ich narodowy charakter z lepszéj uważać strony.

PODHALE I PÓŁNOCNA POCHYŁOŚĆ TATRÓW

CZYLI

TATRY POLSKIE (*).

PRZEZ

Ludwika Zejsznera.

(Dokończenie).

Jednym z najwybitniejszych rysów charakteru Podhalan jest owa otwartość i dobroć, z jaką spotykają obcego. Nieraz wydawało mi się po półgodzinném poznaniu, żeśmy się znali od niepamiętnych czasów. W tych krótkich chwilach objawiali tyle serdeczności i tyle niezwyczajnego rozumu, że zawsze rozstawałem się pełen zadowolenia. Indywidualność tych prostych ludzi ma coś bardzo przyciągającego: źródła tego szukać należy w owéj szczęśliwéj swobodzie umysłowéj, którą się głównie odznaczają. Jestto niezaprzeczony skutek przestawania z przyrodą: ona bowiem wydaje i rozwija takie usposobienia duszy i silniéj działa na człowieka od najbrzęczniejszéj wymowy naszych nowoczesnych filozofów, polityków, i tym podobnych pisarzy. Człowiek przestający z przyrodą wyrabia w sobie głębokość uczuć, i przeczuwa potęgi rządzące światem. Chociaż w czasie ostrych zim przykuci są do ciasnych ścian swego mieszkania, wpływ wymieniony nietylko że się nie zmniejsza, ale przeciwnie wzmaga się przez rozpamiętywanie w odosobnieniu.

Podobnie jak inni górale, Podhalanie odznaczają się religijnością. Trzeba im się przypatrzéć w kościołach: na ich poważnych twa-

(*) Zob. Bibl. Warsz. r. 1849. Tom I, str. 57 i 535. T. III, str. 441. T. IV, str. 1. R. 1851. Tom IV, str. 523.

rzach widać wzniesienie i głęboką modlitwę. W świąteczne suknie ubrani, z wyszukaną czystością, kobiety i mężczyzni przedstawiają obraz kościoła wiejskiego, niezostawiającego nic do życzenia; ale w lecie, w dniach gorących, pobyt w nim dla obcego nie jest zbyt przyjemny: rozwija się albowiem szczególna atmosfera pochodząca od masła owczego, którém namaszczają włosy. Pomimo charakterystycznego piętna religijności, liczba kościołów w tych górskich okolicach nie jest zbyt wielka; a chociaż co kilka lat nowy wznosi się na Podhalu, niektórzy muszą jeszcze dwie lub trzy godziny drogi robić do parafialnego kościoła, co niemałą jest zawadą w czasie słót jesiennych i zadymek zimowych. Prawie wszystkie kościoły są drewniane. Życzyćby należało, aby na Podhalu stanęły świątynie z ciosów i marmurów, do czego materyału dostarczyłyby ich góry. Może się kiedyś znajdzie jaki skromny proboszcz, silny mocą ducha, który pobudzi gęstą ludność Podhala, łatwą do zentuzyazmowania dla tego co jest wielkiém i pożytecznem, do wzniesienia wspanialszéj świątyni. Księża w wysokiem są poważaniu na Podhalu, wszystko korzy się przed dobrodziejem; jemu poświęcają zwykle co mają najlepszego. Za księży wpływem wprowadzone zostało wstrzymywanie się od wódki, od téj okropnéj plagi i głównéj przyczyny moralnego poniżenia naszego ludu.

Stosunki familijne u Podhalan są zupełnie na stanowisku patryarchalném. Ojciec jest głową, około którego wszystko się obraca w domu; szanują go z czcią religijną żona, dzieci i domownicy. Nieraz słyszałem synów w dojrzałym wieku, żonatych: „Kiedy ojciec tak kazał, to musi być dobrze". To uszanowanie, ta cześć dla starców jest zasadą familijną; im przeznaczają zawsze w domu piérwsze miejsce, oddają co jest najlepszego. Podhalanie bardzo są zdrowi i do późnego wieku dochodzą: w każdym prawie domu zastać można starca żyjącego już wspomnieniami. Co to za dobre były czasy, opowiadali mi nieraz, kiedy chodził po najwyższych turniach, jak się uganiał za dzikiemi kozami, jak szczęśliwie zszedł z wirchu wśród mgły niebezpiecznéj, jak zwinnie uszedł strażom przemycając tytuń węgierski.

Pożycie domowe Podhalan nie jest bez powabów, i w każdym szczególe przebijają się wydatne rysy ich charakteru. Cierpki klimat, niezmierne zamiecie, zmuszają ich przez niemały czas zostawać w ich schludnych a ciepłych domkach. Sobie i myśleniu zostawieni, nabyli pewnéj smętności charakteru, obok melancholicznéj łagodności. Kiedy wśród wieczorów zimowych zbierze się drużyna przy

domowym kominie, po rozmowie o potrzebach gospodarstwa, po żartach, rozpuszczają wodze fantazyi. Djabeł ważną tu odgrywa rolę; to co o nim opowiadają, nie odbywało się w odległych czasach lub miejscach. Dziad lub ojciec na téj górze, albo w owym lesie, wypłatał jakiego figla diaszkowi czyli czartowi, a będąc z nim w spółce, zabrał mu niemało i uciekł. Każdy Podhalanin wié o ukrytym skarbie w turniach, który zbójcy schowali. Nieraz rozpoznawając skały tatrowe, gdym szedł do hól, zapytywali z ciekawością gazdowie, czego tam szukam? Każdy opowiadał, że ten albo tamten wirch mieści w sobie niezmiernie wiele *dobrego* (drogiego metalu), ale nie każdego Bóg nim *pożegna* (udarzy).

Często już wspominałem, że Tatry są nader ubogie w metale. Znajdują się w nich wprawdzie żyły zawierające nieco złota, ale dobywanie kosztuje więcéj od jego wartości. Za to fantazya Podhalan utworzyła złota bez miary; po najtrudniéj dostępnych wirchach za Żabiém (jezioro) powyżéj Morskiego Oka sterczą złote skały, złote mniki, gdzie się ruszysz, samo złoto. Ale powszechnie nikt go ztamtąd nie wynosi, bo jeżeli zapomni zmówić jeden paciérz, albo się obejrzy, nagle złoto zmienia się w kamienie. Gdzie nie masz bogactwa, tam je fantazya stwarza. Ubogie kopalnie złota w Tatrach i liczne powieści Podhalan zostały przez ogół, mniéj dokładnie rzecz znający, przeniesione do bogatych kopalń Olkusza, i tu ma źródło wiérsz Krasickiego, bo na dnie każdego przysłowia gminnego zwykła się prawda znajdować. Aby dać wyobrażenie o powieściach Podhalan, przytoczę niektóre, trzymając się ile być może ich własnych wyrazów.

Wielki las okrywał kiedyś teraz zupełnie nagą górę Raniszberg przy Szaflarach. Na samym czubku stała niezmierna jodła, którą nasamprzód oświecało słonko. Na owéj górze przebywali zbójniki, a gdy ich połapano na Węgrach, i miano wieszać, wtedy jeden z nich przemówił do zgromadzonych widzów: czyby nie było nikogo ze strony polskiéj. Właśnie był ztamtąd jeden chłop na robocie, i temu opowiedział zbójnik idący na śmierć, że na owéj jedlicy jest schowany opasek (pas) pełen dukatów, a w ziemi zakopany kocioł z pieniędzmi. Wróciwszy do domu poszedł ów chłop do wskazanéj jodły, i znalazł istotnie to wszystko, co zbójnik opowiadał. Odtąd zaczyna się bogactwo rodziny Belinów.

Pod polaną Kacprową wytryska niezmiernie obfite źródło, mające się łączyć podziemnemi kanałami, według powieści mieszkańców, z Suczym Stawem, jednym z Gąsienicowych, tak nazwanym, że sukę

niepilnującą owiec utopili w nim pasterze. Pradziad mojego przewodnika, któremu tę powieść opowiadał, poszedł wraz z czarownikiem szukać złota do owéj dziury, gdy jednego razu woda owiec z niéj zaprzestała. Zaraz na wstępie znaleźli wielki młot ważący 20 funtów, którym czarowniki rąbali złoto. Właśnie mieli się zbliżyć do tego skarbu, gdy wtém wzbierać zaczęła woda, i nic nie wskórawszy, czémprędzéj musieli uciekać.

W dolinie Skoruszyny jest skała zwana czarną turnią, z dziurą albo raczéj jamą, w któréj 12 zbójników ma zostawione ubranie. Jest tam i świńskie koryto pełne pieniędzy. Wszystko teraz jest zażegnane czyli zaklęte, opowiadał mi tam pasący pasterz, i nikt nie może znaléźć otworu do niéj, pomimo że wielu widziało, jak zbójnicy do niéj włazili po rzemiennéj drabinie. Tę samę powieść nieco odmiennie ubarwioną opowiadają o innéj jamie w Kościeliskiéj dolinie. Przesiadujący w niéj zbójnicy mieli wszelkie sprzęty, tak, że mieszkali i podczas zimy. Teraz są tam jeszcze zupełne mundury czyli ubrania na 12 ludzi i niezmierne skarby, które może wziąć każdy, kto wynajdzie tę dziurę; ale do mundurów niech się nikt nie zbliża, gdyż na środku stołu leży broń nabita, i za dotknięciem sukien wystrzeli i zabije; skarby tylko wolno wynosić.

Dolina Kościeliska najpiękniejsza w całych Tatrach, nadzwyczajnie jest upoetyzowana. Do każdéj skały wiąże się jaka powieść. Przytoczę tu jednę. Zaraz na początku doliny przy piecu wapiennym napotkało chłopa dwóch zbójców; każdy z nich niósł pieniędzy po pół centa (centnara) i mówili do niego: „Bóg ci poszczęścił, masz te pieniądze, uszczęśliwisz siebie, a nas zbawisz". Chłop jednak bał się przyjąć skarbów mówiąc: „Boję się, bobyście mię wydali," i odszedł. Zbójnicy poszli na górę, wzięli z sobą pieniądze i oddali je djabłu, a ten ich wartuje. Jednakże chłop zaczaił się i pilnie patrzał, gdzie się podzieli zbójnicy, a gdy znikli, poszedł za nimi na miejsce, gdzie się skryli w górę; nie znalazł jednakże ani dziury, ani schowanego skarbu. Wielu w tém miejscu potém szukało, ale zawsze nadaremnie. Podhalanie opowiadają tę powieść bardzo dramatycznie; zdaje się, jakoby byli naocznemi świadkami tych wydarzeń: twarz, cała postać przybiera wyraz to podziwienia, to żalu, to smutku, jednakże jakby zpoza mgły przebija ostrzegająca prawda, że to są piękne złudzenia bez rzeczywistości, których sprawdzenia życzyćby sobie należało.

Podhalanie jak wszyscy górale bardzo są przesądni, i wierzą w nadprzyrodzone potęgi. Jeszcze dotąd radzą się w trudnych oko-

licznościach płanetników i wróżek: piérwsi zajmują się głównie rzeczami nadziemskiemi, przepowiadają pogody, deszcze, mają umieć ściągać chmury na pewne miejsca i odwracać je; niekiedy zajmują się rzeczami ziemskiemi i przepowiadają przyszłość, wskazują miejsca gdzie są ukryte skradzione przedmioty. Jeszcze niedawno był na Podhalu bardzo słynny i wielce poważany płanetnik, mieszkający w graniczącéj Orawie. Nierównie liczniejsze są wróżki; prawie każda znaczniejsza wieś ma starą babę, przepowiadającą to, czego inni nie widzą, co się stało i co się stanie. Jeżeli komu zginie krowa, koń, owca, lub co ze sprzętów, a poszukiwania nie doprowadzają do skutku, pospolicie udają się do wróżki, i ta zwykle zaspokaja pytającego się dwuznacznemi odpowiedziami. Baby te znając dobrze mieszkańców wioski i ich skłonności, przeczuwają niejako gdzie się mogą znajdować stracone rzeczy. Wróżkom trzeba za to coś darować, lubo zwyczajnie przestają na małym datku.

Obyczaje i zwyczaje Podhalan nierównie więcéj zbliżają się do słowackich sąsiadów, aniżeli do swych braci zajmujących równiny. Niewątpliwie wpłynęły na to stosunki przyrodzone. Ludzie mający jednakowy sposób zatrudnienia, pospolicie mają jednakowe zwyczaje. Odbija się to głównie w zabawach. Muzyka i taniec Podhalan zupełnie się różni od sąsiednich Krakowiaków albo Mazurów: nie wieje w nich ta ochocza wesołość, i śpiéw powszechnie jest melancholiczny, a taniec sztuczny. Piękny, rosły chłopak zrzuca gunię i wyprowadza jednę lub dwie dziewczęta na środek izby: dziewczęta wtedy odstępują na bok, a chłopak we środku w opiętych spodniach zaczyna przebierać nogami w najrozmaitszy sposób; z początku zwolna, potém coraz prędzéj, a następnie wymierzonemi krokami skacze i tupa. Ten popisujący się taniec, musi się pewnym wdziękiem odznaczać, aby widzowie byli zadowoleni. Przygrywająca muzyka jest melancholiczna i monotonna. Pospolicie pomiędzy ustępami śpiewa tancerz dwa, rzadko cztéry wiersze, a widzowie skaczą, poklaskują śpiewakom. W czasie popisywania się tancerza, dziewczęta małemi kroczkami zbliżają i oddalają się od niego, a gdy się dadzą słyszéć szybsze akordy, wtedy porywa zwinną tancerkę, i wykręca się z nią z niewymowną prędkością. Niewielu umié właściwy taniec zbójecki; trzeba być zawołanym tancerzem, aby się na niego odważyć, chociaż nie różni się od zwyczajnego tylko śmielszemi skokami i muzyką bardziéj poważną i uroczystą.

W śpiewach ludu odbijają się jego uczucia i myśli; im te są głębsze, tém więcéj odsłania się wnętrze duszy narodowéj. Nie mo-

ge wszakże twierdzić, iżby z piosnek podhalańskich można było poznać charakter tego wielkiemi zdolnościami obdarzonego ludu; zamało się dotąd wykształcił, władać jeszcze nie umié dostatecznie mową, naginać ją do myśli, wyrażać przezeń swe uczucia; przynajmniéj nie mogłem tego odkryć w zbiorze, który ogłosiłem przed kilkoma laty (1).

W piosnkach mieszkańców Podhala przeważają więcéj przedmioty zmysłowe, otaczające ich bezpośrednio, mające użytek, aniżeli przedmioty umysłowe; nierównie więcéj zajmują się owcami, końmi, krowami, aniżeli żywéj barwy kwiatami, które rodzą ich hale. Ten charakter noszą następujące piosnki:

Janiczku, Janiczku, co ci po koniczku,
Będę se przewoził, bez bystre wodziczku.

Nie jadł konik, nie jadł ani ja,
Frajereczko (2) moja, czyjże ja, czyjże ja?

Frajereczko moja, mam ci cosi pytać (3),
Uciekł mi koniczek, pomóż mi go chwytać.

Nauczże się, naucz, siwy koniu robić,
Bo ja se nauczył, poza Tatry chodzić.

Cisawe koniczki nie dają się łapać,
Frajereczko moja, będziesz na nie płakać.

Te moje koniczki oba siwe były,
Dobrze mi frajerki w polu nie zabiły.

Nie mogę, nie mogę do wierszycka chodzić,
Musisz mi frajerko koniczka wywodzić.

Zajmują się także bardzo pożytecznemi zwierzętami, owcami i krowami, i w pieśniach swych wyrażają nieraz troskliwość, by odwrócić niebezpieczeństwo od *kierdela* czyli stada owiec.

Baco nas, baco nas,
Daj poziór na szałas,
Bo słoneczko zaszło,
Na owieczki straszno.

(1) Pieśni ludu Podhalan czyli góralli tatrowych polskich. Warszawa, 1845. (2) Kochaneczko. (3) Prosić.

W innych znów przedstawiają poetycznie wracające stado:

Idą se owieczki tą sławiańską percią (1),
Juhasów nie widać lno dzwonki zberczą.

—

Kukułeczka kuka, stryszki po dolinie,
Wstańcie chłopcy moje, stryszki po dolinie.

—

Idą ci owieczki z téj Porońskiéj hale,
Cośby lno jedli, kiedy samo skale.

—

Tracą mi się, tracą, te owieczki tracą (2),
Nie będę se już więcéj, w Kondratowéj (3) bacą.

—

Zakukała kukułka poniżéj koszara,
Obudziła owce, obudziła owcara.

—

Idą ci owieczki,
Z wierzka do uboczki,
Jak się pięknie roją,
Bo się nocki boją.

—

Zlébeczki, zlébeczki, zielone zlébeczki (4),
Nie chodziłbym po was, kieby nie owieczki.

Jak wszędzie, tak u Podhalan mają najwięcéj piosnek miłosnych. Umysł przepełniony uczuciem widzi świat w najpiękniejszych barwach; wszystko oddycha rozkoszą i szczęściem. Dowodzi tego kilka załączonych wierszy:

Czém daléj do lasa, zieleńsza buczyna,
Czém daléj do ludzi, szumniejsza (5) dziewczyna.

—

W lesie kochaneczka,
W lesie studzieneczka,
Przy niéj frajereczka stoi,
Piórko (6) mi wije,
Ze zielonéj lilije.

—

Zagrajcie mi suciéj,
Bo ja chłopiec ruci (7),
Czy suciéj, czy nie suciéj,
Kej ja chłopiec ruci.

—

(1) Ścieszka. (2) Giną z głodu. (3) Nazwa holi. (4) Strugi któremi woda spada na bokach gór. (5) Piękniejsza. (6) Bukiet. (7) Rączy, wyrażenie słowackie.

Ładny jest Janiczek, ładny jest do znaku,
Mnieby nie żal było, z tobą iść do światu.

W moim ogródeczku kwiateczki pachnące,
Dalekoś odemnie serce kochające.

Daj mnie matko, daj mnie, kiej ludzie pytają (1),
Kiedy lilija kwitnie, wtedy ją targają (2).

Inne pieśni malują znów rozpacz opuszczonéj kochanki:

Boli mię głowa, boli,
Bo mój miły inną woli,
Woli inną, a mnie nie chce,
Kamienieje moje serce.
Mój się miły z inną śmieje,
Moje serce kamienieje,
Niech się śmieje, wola jego,
Ja pokocham też innego.

To moje serdeczko takie zażalone,
Jako to żelazko w ogniu rozpalone.

Szeroko, daleko, mojéj matki pole,
Ale szerzéj, daléj, pocieszenie moje.

Przegadała woda, przegadała skała,
Moja kochaneczka, przegadać nie chciała.

Często piosnki przebierają miarę wesołości, jak to z następujących widać:

Miała ja téj nocy Janiczka ładnego,
Samo mi serduszko gadało do niego.

Dobrze ci to chłopcze pod trusiém (3) pióreczkiem
Ale mi niedobrze z małém dzieciąteczkiem.

Na wysokiéj jedli (4) gołąbeczek siedział,
Jaby cię kochała, kieby nikt nie wiedział.

Na wierszyczku (5) stała,
Oczka przedawała,
Czy przedam, czy nie przedam,
Ja ich darmo nie dam.

Śpiewanki podhalańskie powszechnie są dwu, rzadko czterowierszowe: zwykli je podczas tańca śpiewać albo raczéj wykrzykiwać.

(1) Proszą. (2) Zrywają. (3) Strusiém. (4) Jodła. (5) Górka, wirch, wierszyczek.

Toż samo czynią pasterze i pasterki, by czas skrócić, lecz w tym śpiewie wdzięku i harmonii trudno znaleźć; czasem tylko wydają przedłużone głosy, które budząc echa przypominają śpiéw tyrolski. Juhasy zwykli grywać na kozie; instrument ten jakby stworzony do lasów i skalistych dolin, wydaje tony nie bez wdzięku, ale melancholiczne i smętne. Piosnek nieco większych udało mi się kilka zebrać; są one tém ciekawsze, że noszą charakter miejscowy, i przystosowane są zupełnie do pojęć mieszkańców.

W Chochołowie na ryneczku,
Piją chłopcy palineczku;
Jedni piją, drudzy grają,
Trzecie dziewczę namawiają.

Będę zbyrkać kluczykami,
Jako sarna rożyczkami.
Będę skakać wedle krzaki,
Jako sarna bez potoki.

A skoro go namówili,
Na koniczka wysadzili.
Jedź, jedź Kasiu nasza,
Nie dowié się matka wasza.

I szło dziéwczę po wodę,
Po wodziczkę studzienną,
Przyszedł pan, rozbił dzban,
Tataryta, rozbił dzban!

A matka się dowiedziała,
Sąsiada jéj powiedziała;
A łapajcie Kasię swoję,
A kandy ją doścignięcie,
Rączki, nóżki obetnięcie.

Dziewczę bardzo płakało,
Za dzbanem się żaliło.
Dziéwczę moje na płacz si,
Szkoda ci się nawróci,
Za ten dzban, glajcarz dam.

Doścignli ją aż we Lwowie,
Ona stoi w złotogłowie.
Witajże ty Kasiu nasza,
Gdzieś podziała swego Jasia?

Dziewczę glajcarz nie chciało,
Za dzbanem się żaliło;
Kiedyś pan, zapłać dzban,
Tataryty, zapłać dzban.

Oto jest za stołami,
Pije winko z huzarami:
Chodźże ino szwagrze młody,
Będzie krwi jako wody.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się nawróci,
Za ten dzban złoty dam,
Tataryty złoty dam.

Srébro, złoto odbierajcie,
Mego Jasia nie rubajcie.
Srébro, złoto odebrali,
Zacieni go wedle pasa,
Mego Jasia porubali,
I to z tobą Kasiu nasza!

Dziewczę złoty nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedyś pan, zapłać dzban.
Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się nawróci,
Za ten dzban, dukat dam.

Zacieli go wedle brody:
Otóż tobie szwagrze młody.
Wielka się mi wola stała,
Młoda wdowa wnet ostała.

Dziewczę dukat nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedyś pan, zapłać dzban.

Będę chodzić po kiermaszach,
Jako sarna po szałasach.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się nawróci,

Za ten dzban, rolę dam,
Tataryty rolę dam.

Dziewczę roli nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedyś pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się powróci,
Za ten dzban kasztel (1) dam,
Tataryty kasztel dam!

Dziewczę kasztel nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedyś pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się powróci,
Za ten dzban, brata dam,
Tataryty brata dam!

Dziewczę brata nie chciało,
Za dzbanem się żaliło:
Kiedyś pan, zapłać dzban.

Dziewczę moje nie płacz si,
Szkoda ci się nawróci,
Za ten dzban, sam się dam,
Tataryty sam się dam!

Chwała Bogu na niebie,
Szkoda mi się nawinie (2),
Za ten dzban, pana mam,
Tataryty pana mam!

Podhalanie bardzo są rozwiozli; dwie są tego główne przyczyny, fizyczna i moralna: gorąca krew i właściwe zwyczaje od niepamiętnych trwające czasów. Przyjętą jest rzeczą między innemi, że chłopak starający się o dziewczynę, przybywa do jéj domu powszechnie w sobotę, i nie wchodzi drzwiami tylko oknem, a rano tąż samą drogą wychodzi od swéj frajerki czyli kochanki. Zwyczaj ten mają Podhalanie z graniczącemi Słowakami węgierskiemi. Odwiedziny te nie są wcale uważane za coś nieprzyzwoitego lub nieobyczajnego, owszem odbywają się z wiedzą rodziców, i jeżeli dom nie jest przestronny, ustępują parze najlepszą izbę. Czaplowicz w swym obrazie Węgier opisuje zupełnie podobny sposób zalecania się w Liptowie, i dodaje, że mężatka, którąby dopiéro w piérwszym lub drugim roku miała potomstwo, wstydziłaby się niemało. Nie chcę rozbierać, jak dalece to zdanie jest uzasadnione, ale tyle jest pewnego, że Podhalanie nie są tak ściśli co do tego. Wtedy tylko się żenią, gdy nie zachodzą wątpliwości, że ich potomstwo nie wygaśnie. Nie mają nawet za złe, jeżeli narzeczona ma niewątpliwe zadatki poprzednich miłostek. Wiele jest bardzo piosnek rozwiozłych, których nie ma potrzeby upowszechniać.

Pod względem językowym piosnki Podhalan zasługują na szczególniejszą uwagę. Mowa w nich aczkolwiek niewykształcona, odznacza się jędrnością i siłą; często odkryć można niepospolite piękno-

(1) Nazwa ta wzięta jest z Węgier, gdzie dosyć gęsto pozostały rycerskie zamki; teraz każdy dwór zowią kastellem. (2) Nawróci.

ści. Mowa Podhalan stojąc na przejściu języka polskiego do słowackiego, stanowi ogniwo pośrednie pomiędzy obydwoma, w którém polski język ma zwroty słowackie. Gdyby grammatycy zastanawiali się nad tém żywém źródłem mowy, zapewne niejedna jednostronna teorya nie byłaby zrobioną. Szczególnie odznacza się język Podhalan licznemi wyrazami odznaczającemi stosunki w wysokich górach, i zarówno geograf jak i geolog znajdzie skarby nazw żyjących w ustach ludu, które lepiéj wynajdywać niż tłumaczyć z obcych języków.

Jednym z najwybitniejszych rysów charakteru Podhalan jest pociąg zostania zbójem, albo jak się wyrażają, chodzenia na zbój. Pospolicie juhasy wiele miesięcy oddzieleni od ludzi, dziczeją, a po dokonaniu jakiego pomniejszego przewinienia, jakoto: po zjedzeniu barana albo zgubieniu konia lub wołu, uciekają z obawy kary i wałęsają się po szałasach. Gdy się pomiędzy tą luźną czeladzią znajdzie jaki zuchwalszy, zbiéra się banda, napadają na szałasy, i rozpoczynają zwyczajnie od zabierania mléka, sérków owczych i baranów, które na wieczerzę zwykli gotować. Przyrządzają je właściwym sobie sposobem: oprawionego barana gotują w mléku w kotle szałasowym. Jestto największy przysmak góralski, wcale niezły, jeżeli jest dobrze przyrządzony. Rozumié się, że kilku ludzi nie może spożyć przygotowanéj smacznéj wieczerzy, i wszyscy juhasy mają w niéj udział; a chociaż nadzwyczajnie boją się zbójców, i drżą na samo ich wspomnienie, nie są wszakże niemiłemi gośćmi w szałasie. Owszem jest między Podhalanami przyjęte zdanie, że iść na zbój jest coś szlachetnego, i odznacza, jak mówią, tęgiego chłopa. O tém ciągle rozpowiadają i śpiewają, mają nawet oddzielny rodzaj piosnek zbójeckich. Kilka z nich podaję:

Chłopiec ci ja, chłopiec,
Wychował mię ojciec,
Wychowali ludzie,
Zbójnik ze mnie będzie.

Poza buczki, poza las,
Pójdziemy zbijać, pójdziemy kraść,
A za hary, za hary (za góry),
Na liptowskie (1) barany.

Byłato trubita (2),
Tatary wybita,
Kto tę trubitę wybijał,
Siedm roczków zbijał.

Kiedy se ruszemy z wirchu Maruszyny (3),
Zamek rozbijemy, żaden nie zginiemy.

(1) Komitat na drugiéj stronie Tatrów południowych. (2) Trąba długa z drzewa. (3) Maruszyna wioska przy Szaflarach, gdzie dawniéj stał zamek, teraz zniszczony zupełnie; na miejscu tém stoi na wysokiéj skale altana zdaleka widziana.

Nieraz w piosnkach żartują sobie z trwożliwych zbójników lub narzekają na skutki wynikające:

Nie masz, nie masz jako zbój,
Spadnie listek to się bój,
Spadnie listek bukowy,
Jużto Janko gotowy.

Nie maszci jako zbój,
Spadnie listek to się bój,
Spadnie listek z jawora,
Pójdzie Janko do dwora.

Byli chłopcy, byli, co się na zbój brali,
Jeszcze nie porośli, już na zbój pośli.

Nie był se zbójniczkiem ino jeden roczek,
Już mię zawiesili na żelazny haczek.

Jużeś se nie ukradł ino dwa barance,
Już mię okowali w żelazne bugance (1).

Kieby nie owce, te czarne barany,
Nie zbyrczałyby (2) mi na nóżkach kajdany.

Mali chłopcy, mali,
Kiej się na zbój brali,
Jeszcze nie porośli,
Kiedy na zbój pośli.

Jeszcze nie zbijali,
Kiej ich połapali.
Dyć ich połapali,
W zakopańskiéj hali.

Najcelniejszym zbójeckim bohaterem nietylko u Podhalan, ale i na całéj Słowaczyznie węgierskiéj jest Janosik. Według wszelkiego prawdopodobieństwa jestto niezmyślona osoba, w któréj jednakże wszystko się zgromadziło, co tylko mogła wymarzyć wyobraźnia tych ludzi natury. Janosik obrał sobie Liptów, Orawę, Spiż, Podhale za miejsce do swych wielkich czynów, a nawet zapuszczał się do Tatrów nad źródła Hronu i do gór Roznawskich. Najwięcéj upodobał sobie Tatry i przyległe im miasteczka; jeszcze teraz pokazują w Kościelisku miejsca, kędy do Węgier przechodził, skały na których obiadował, i jamę w któréj zimę przepędzał. Obdarzony nadzwyczajną siłą, był celnym strzelcem; śmiały w przedsięwzięciach, odznaczał się niezwyczajnemi przymiotami; wybornie tańczył; dorodny, wspaniały w postępkach, brzydził się okrucieństwem, odbierał bogatym a obdarowywał ubogich. Był on ulubieńcem góralek i nie jednę miał kochankę. Te przymioty razem wzięte uczyniły Janosika ideałem w całéj góralszczyznie, i Podhalanie stworzyli z niego prawdziwie poetyczną postać. Smutno jednakże skończył; śmierć jego opowiadają jeszcze z widocznem rozrzewnieniem. Złapany w Liptowie, został powieszony w Mikołaszu, w stołecznem mieście

(1) Kajdany. (2) Brzęczały.

tego hrabstwa. Pisał do cesarza Janosik, by go ułaskawił; z Wiednia też przysłano rozkaz, ażeby mu życie darowano. Obiecywał, że stanie w wojnie za cały pułk i bić się za niego będzie: ale spóźniło się nadejście ułaskawienia, i został straconym. Liczne obrazy niezgrabnie rysowane wiszą po ścianach w całéj góralszczyznie polskiéj i słowackiéj, przedstawiające Janosika opartego na siekierce; jeden z towarzyszów bandy popisuje się tańcem zbójeckim, a drugi strzela z pistoletu. Spiewając o Janosiku jeszcze teraz narzekają. Z licznych piosnek niektóre wymienię:

Janosik, Janosik,
Gdzieś podział wałasik (1)?
W Lewoczy na murze,
Na jedwabnym sznurze.
Albo: W Lewoczy na ścienie,
Przepiły na winie.

Janosik, Janosik, zbójecki hetmanie,
Zabrał sam toraczki, nie robił sam na nie.

Surowiec, Surowiec (2)
Kieloś wyżarł owiec?
Owieczek nie wiem co,
Baranów siedm sto.

Zbójniki bardzo dobrze znają umysłowe ukształcenie mieszkańców i wiedzą, że wpływając na ich wyobraźnią więcéj dokażą, aniżeli siłą. Kiedy się zatém zjawią w górach, krążą nieprzeliczone powieści o ich nadzwyczajnéj sile i odwadze, o dokonanych okrucieństwach, i o niezmiernych skarbach zrabowanych. Wszyscy mieszkańcy Podhala drżą na ich wspomnienie; aby złagodzić niejako te straszne obrazy, opowiadają o ich wspaniałości, z jaką obeśli się z żebrakiem, o dostatkach i bogatych szatach, w jakie się stroją ich szumne frajerki. W takim rozdrażnionym stanie umysłów, kiedy się zjawi dwóch lub trzech zbójów, przeraża się dziesiątek juhasów w szałasie, i niebezpiecznym gościom oddają wszystko co tylko mają: mleko, oszczepki, barany, krowy. Rozzuchwaliwszy się zbójniki nie kontentują się zdobyczą w szałasach: napadają na podróżnych, rozbijają domki włościańskie, dwory, a nawet dopuszczają się mordów. W roku 1848, zjawiły się w Tatrach groźne bandy zbójców, które były postrachem całéj okolicy. Po zakończeniu w roku 1849 wojny węgierskiéj, znaczna liczba osób schroniła się do dobrze urządzonych

(1) Siekierka. (2) Jeden z najśmielszych zbójców bandy Janosika.

kwaśnych wód, na południowéj pochyłości Tatrów położonych na Spiżu, zwanych Schmeks. Wody te leżą wśród samych lasów, i są kilka godzin drogi od wiosek odległe. W tym czasie rozeszła się smutna wiadomość w Schmeksie...; pozostało więc tylko liczne zgromadzenie kobiét z pięcioma mężczyznami. Jednego dnia, kiedy zachodzące słońce wywabiło zgromadzenie na ganek, i wszyscy pogrążeni byli w smętném dumaniu nad właśnie zakończonym dramatem, wtém wypadł z lasu góral uzbrojony w dubeltówkę: mało co na to zważano; wtém wchodzi na ganek, a w téjże chwili wystąpił inny z drugiéj strony, i równocześnie pokazało się w lesie dwóch czy więcéj uzbrojonych w pistolety, noże, sztylety, w brunatnych guńkach. Tém niespodzianém zjawieniem się przerażeni goście cofnęli się do obszernéj sali jadalnéj, a za niemi wszedł góral z bronią, z odwiedzionemi kurkami, żądając groźno oddania pieniędzy, zegarków i innych kosztowności. Przestraszeni goście wykonywali dany rozkaz; jeden tylko chciał ratować swą własność i ujść tylnemi drzwiami, ale tu stał inny góral i obszedł się niegrzecznie z uciekającym: chwycił go za kołniérz, ochłostał dyscypliną, którą w ręku trzymał, i obrał go ze wszystkiego. I panie musiały oddać wszystkie swe kosztowności: ale nie przestali na tém zbójnicy: każde mieszkanie przetrząsali, odbierając co im się wydało dobrego. Lepszego obłowu nie udało im się zrobić nigdzie, bo wartość w gotowiznie i kosztownościach zabranych miała do 3,000 dukatów wynosić. Zdaje się, że jeden z domowników zostając w zmowie ze zbójcami naprowadził ich, albowiem podczas tego plądrowania służba się pokryła. W następnym roku (1850) przywrócony został porządek: zbójnicy wyłapani zostali i jak dawniéj można zupełnie bezpiecznie po Tatrach podróżować.

Od niepamiętnych czasów Podhalanie są właścicielami ziemi którą uprawiają, i dlatego niełatwo ustępują z odziedziczonych praw. Równość zarobku, przeludnienie, wielka oszczędność są powodem, że wyrodziła się pomiędzy niemi niekiedy rażąca kłótliwość, a przynajmniéj większa, aniżeli u bardziéj tępych mieszkańców naszych równin. Spory te zwyczajnie załatwiają pomiędzy sobą, u swoich sołtysów; rzadko wytaczają je do urzędów dominalnych. Nietylko *prawocą* (prawują) się pomiędzy sobą, ale i z panami, którzy od kilkunastu lat nabyli dobra posiadane przez rząd.

Niektórzy obcy autorowie dają prawdziwie odrażający obraz charakteru Podhalan: wystawiają ich jako całkiem zepsute plemię,

i nie ma nic ohydnego, coby im nie przyznali. Tak skreślili Podhalan: Albin, Heinrich i Sydów. Tym pisarzom brakuje jednakże głównego środka do poznania ludu, który oszpecili:—znajomości języka. Opowiadania przybyłych innoplemiennych rządców dóbr były źródłem tych przelotnych pisarzy, a nie istotna znajomość ludu Podhalan, tych nieco rozpuszczonych dzieci gór. Za nic innego te zdania uważać nie należy, jak za pisma, którym prawdy niedostaje.

Nie masz części kraju polskiego, gdzieby cała ludność większy miała pociąg do kształcenia się jak na Podhalu; czytających mają tam w wielkiém poważaniu, a modlić się na książce jest u nich oznaką wyższości. Nieraz młode parobki służą za darmo rok u gazdy pod warunkiem, że nauczy go czytać i pisać. Jeżeli chłopak zamożniejszych włościan pokazuje nieco zdolności i chęci do nauki, wtedy oddają go rodzice do szkół w pobliskich Węgrach, lub do szkoły pijarskiéj w Podolińcu na Spiżu, założonéj przez książąt Lubomirskich. Tam z małą zapomogą z domu pobieraną, pospolicie ucząc młodsze dzieci, kończą szkolne nauki, a następnie idą do uniwersytetu we Lwowie, Peszcie lub Preszburgu. Prawie bez wyjątku poświęcają się stanowi duchownemu, i teraz większa część proboszczów na Podhalu, w przyległéj góralszczyznie, w znaczniejszéj części Galicyi, i w Krakowskiém są synami podtarzańskich górali, uprawiających najbiedniejszą ziemię, których przemysł i zabiegliwość stawia ich w możności dania zapomogi do wyższego wychowania dzieci. Potrzeba wykształcenia się jest wybitnym charakterem Podhalan; wrodzoną bystrością umysłu przeczuwają, że są w świecie wyższe dążności, o których nawet nie marzy tępy uprawiacz najżyzniejszéj ziemi w Proszowskiém. Niepodobna, żeby się taki szczep kiedyś nie odznaczył, i jest nadzieja, że te góry wydadzą znakomitych ludzi, tak wystrzelających nad poziom zwyczajnych istot, jak ich niebotyczne wirchy.

O STOSUNKU HYPOTEKI GUBERNIALNEJ DO OKRĘGOWEJ.

Prawo o ustaleniu własności dóbr nieruchomych z r. 1818 poddało regulacyi hypotek tylko dobra ziemskie w całym kraju, tudzież nieruchomości po miastach, w których zasiadał trybunał cywilny I instancyi, jedne i drugie własnością prywatną będące; prawo zaś o przywilejach i hypotekach z r. 1845 dozwoliło regulacyi hypotek dla *wszystkich* innych nieruchomości prywatnych, miejskich lub wiejskich.

Wyłączone więc były zpod regulacyi hypotek dobra rządowe i instytutowe. Później jednakże, w celu przystąpienia do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, rząd poddał hypotece niektóre z swych dóbr ziemskich.

Z systematu tego wywiązała się różnica między hypoteką wojewódzką dziś gubernialną, a hypoteką powiatową dziś okręgową. Hypoteka gubernialna ustanowioną jest przy trybunałach cywilnych I instancyi, okręgowa zaś przy sądach pokoju. Przy jednéj i drugiéj są osobne wydziały hypoteczne do kierowania regulacyą hypotek i rozpoznawania prawności działań hypotecznych.

Hypoteka więc gubernialna obejmuje dobra ziemskie prywatne, tudzież nieruchomości prywatne w miastach trybunalskich położone, niemniéj dobra ziemskie rządowe, z któremi rząd do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przystąpił; hypoteka zaś okręgowa obejmuje wszystkie inne posiadłości, własność prywatną stanowiące, bądźto po innych miastach, bądźto po wsiach położone.

Lubo ztąd w ogólności okazuje się, jakiego rodzaju własności ziemskie lub miejskie hypotece gubernialnéj ulegają, a jakie posiadłości miejskie lub wiejskie hypotece okręgowéj są pozostawione; lubo co do uporządkowania hypoteki gubernialnéj artykuł

15 ustawy z r. 1818, dał niektóre skazówki: jednakże we względzie stosunku hypoteki gubernialnéj do okręgowéj prawo z r. 1825 to tylko w artykułach 22 i 23 wyrzekło, że do nieruchomości, których hypoteka podług prawa z r. 1818 uregulowaną być miała, a z powodu *małéj wartości* uregulowaną nie została, stosować się mają przepisy artykułów 11 i 12 prawa z r. 1825.

Z tych przyczyn, jako téż z zapatrywania się na pochodzący z dawnéj Polski i po panowaniach pruskiém lub austryackiém, stan prawny dzierżenia *własności podzielnéj*, który, acz nie odpowiadał prostym zasadom kodexu cywilnego francuzkiego o prawie własności, przecież na nowo wskrzeszonym został: to przez dekret z dnia 31 stycznia 1810 r. dozwalający nadania *erbpachtu* czyli dzierżawy dziedzicznéj na każdą mniejszą posiadłość w dobrach narodowych (1); to przez ustawę z r. 1818 w artykule 43 pod wyrażeniem *dzierżawa wieczysta*; to nakoniec przez prawo z r. 1825 znoszące ustanowioną w artykule 530 Kodexu Cywilnego możność wykupienia wszelkiego rodzaju opłat wieczystych (2): ztądto mówię, wyrodziły się różne sprzeczności lub wątpliwości, które regulacyą hypotek okręgowych utrudzały i dotąd utrudzają.

Pomijając inne wątpliwości, mamy tu jedynie na celu wykazanie mylności tego twierdzenia: jakoby posiadłości prywatne szczególne w obrębie kluczy dóbr ziemskich rządowych lub prywatnych, po miastach lub po wsiach położone, nie ulegały regulacyi hypotecznéj okręgowéj, mianowicie wtenczas, gdy miasto rządowe lub prywatne w hypotece gubernialnéj uregulowane zostało, a nie ma objawionych praw swych szczególnych w wykazie hypotecznym.

Twierdzenie to usiłowano usprawiedliwić to reskryptami objaśniającemi, to artykułem 15 ustawy z r. 1818, to nakoniec tą okolicznością, że prawa hypoteczne gubernialne przez regulacyą hypotek okręgową uszkodzone być mogą.

Żadne z tych twierdzeń nie jest dostatecznem w obliczu obowiązującego prawa powszechnego: bo reskrypta objaśniające, pominąwszy nawet pochopność do dwoistego ich tłumaczenia lub

(1) Dziennik Praw księztwa warszawskiego, tom II, str. 135.

(2) Dziennik Praw Król. Pol., tom IX, str. 352.—Art. 530 K. C. brzmi tak: Toute rente établie a perpetuité pour le prix de la vente d'un immeuble ou comme condition de la cession a titre onéreux ou gratuit d' un fonds immobilier est essentiellement rachetable.

naciągania, same przez się mocy obowiązującéj i sankcyi prawa nie mając, prawa zastąpić nie mogą, i tylko o tyle mogłyby być stosowane, o ile oparte są na brzmieniu lub duchu kodexów, ustaw, słowem praw *ogłoszonych*, których stanowcze tłumaczenie i stosowanie w zachodzących sprawach magistraturom sądowym jest pozostawione: co i w instrukcyi hypotecznéj z dnia 30 czerwca 1819 r. w artykule 78, pod napisem: „przepis ogólny," wyraźnie uznano w słowach: „że o ile instrukcya ta zawiera w sobie wyjaśnienie zasad nowego i dawnego prawa hypotecznego, o tyle uważać ją należy jako radę i pomoc dla urzędników, którym powierzone jest pierwiastkowe zaprowadzenie hypotek, w niczém nie naruszając zdania magistratur sądowych w zastosowaniu prawa do przypadków."

Jakoż ci co twierdzą, że hypoteka gubernialna nie dopuszcza hypoteki okręgowéj, chcą się posiłkować przepisem prawa w artykule 15 ustawy hypotecznéj z r. 1818. Artykuł ten wszakże stanowi tylko o wewnętrznem urządzeniu i uporządkowaniu ksiąg hypotecznych, a dodatkowo o możności połączenia w jednéj i téjże saméj księdze hypotecznéj bądź różnych właścicieli posiadających części jednéj majętności pod jedném wspólném imieniem istniejącéj, bądź różnych posiadłości, przez jednego właściciela pod ogólném imieniem nabywanych i obciążanych; niemniéj o możności zakładania oddzielnych ksiąg hypotecznych w razie rozdzielenia składanéj w powyższy sposób majętności.

Nie masz więc w artykule 15 ustawy z r. 1818 najmniejszéj wzmianki o stosunku hypoteki gubernialnéj do okręgowéj, i być jéj nie mogło, skoro hypoteka okręgowa dopiéro w roku 1825 powstała.

Przeciwnie, gdy ustawa z r. 1818 poddała hypotece dobra ziemskie i nieruchomości miast trybunalskich, prawo zaś z roku 1825 dozwoliło hypoteki dla *wszystkich* innych nieruchomości, rozumié się zawsze prywatnych: przeto wynika ztąd ta żywotna porządku hypotecznego krajowego zasada: że wszelkie bez wyjątku posiadłości nieruchome, gdziekolwiekbądź położone, własność osób prywatnych stanowiące, regulacyi hypotek ulegają.

Zasada ta znajdzie zupełne usprawiedliwienie w pobudkach prawodawczych do prawa o przywilejach i hypotekach z r. 1825, które w skróceniu są następującego brzmienia: „że ze względu na interes prywatnych i ze względu na interes publiczny, nie należy *wyłączać* od dobrodziejstwa prawa hypotecznego z r. 1818 *całéj*

klassy tych nieruchomości, które wprawdzie pojedynczo je biorąc, mniejszéj bywają wartości, aniżeli dobra ziemskie, których ogół jednak znaczną stanowi część *stałego* majątku krajowego; że kiedy właściciele nieruchomości miejskich coraz więcéj zatrudniają się przemysłem, należy i dla téj klassy mieszkańców ułatwiać i ulepszać *kredyt*; że więc prawo hypoteczne z r. 1818 rozciąga się do *wszystkich bez wyjątku* nieruchomości, gdy nie ma powodu, dla któregoby toż prawo nie miało być przyjęte co do nieruchomości *po miastach nie-wojewódzkich i po wsiach*" (1).

Sąto autentyczne powody prawodawcze do prawa z roku 1825, ustawę hypoteczną z r. 1818 uzupełniające, stanowią oraz żywotny wątek całego porządku hypotecznego krajowego, i nie pozostawiają żadnéj wątpliwości co to téj prawdy: że wszelkie posiadłości miejskie lub wiejskie, własność osób prywatnych stanowiące, gdziekolwiekbądź w obrębie kluczy dóbr ziemskich prywatnych lub rządowych, po miastach lub po wsiach położone, hypotece okręgowéj ulegać mają.

Co do hypoteki okręgowéj prawodawca żadnéj nie zrobił różnicy między dobrami ziemskiemi prywatnemi, a dobrami ziemskiemi rządowemi; między mieszkańcami po piérwszych lub po drugich dobrach osiadłemi. Celem jego było przyjść w pomoc drobniejszym właścicielom w całym kraju po miastach lub po wsiach zamieszkałym; posiłkować ruch przemysłowy, handlowy, rolniczy, całéj klassy drobniejszych właścicieli, urządzeniem dla nich hypoteki okręgowéj, ażeby przez objawienie posiadanego majątku nieruchomego mogli tém łatwiéj otrzymać pożyczki na podźwignienie swych przedsiębierstw przemysłowych lub rolniczych, zapisując wierzycielom za użyczony dług rękojmią rzeczową, realną, hypoteczną.

Czy dobra ziemskie prywatne lub rządowe, weszły lub nie weszły do hypoteki gubernialnéj: to w niczém pierwiastkowych założeń i celów instytucyi hypotecznéj okręgowéj zmieniać nie może; inaczéj wbrew przytoczonym dopiero pobudkom prawodawcy wynikłby ten skutek, że ile razy miasto bądź rządowe, bądź prywatne, do ogółu dóbr ziemskich należące, ma uregulowaną hypotekę gubernialną, tyle razy nie mogłaby mieć miejsca hypoteka okręgowa. Że zaś dobra ziemskie *prywatne wszystkie*, a nad-

(1) Dyaryusz sejmowy z r. 1825. Tom III, str. 7. Jestto mowa referendarza stanu *Brockiego* do senatu.

to wiele dóbr ziemskich rządowych mają hypotekę gubernialną, ztąd więc bardzo mało pozostałoby posiadłości prywatnych mniejszych dla hypoteki okręgowéj, czyli raczéj ta wraz z prawem z dnia 13 czerwca 1825 o przywilejach i hypotekach musiałaby zniknąć.

Co się nakoniec tyczy obawy uszkodzeniu hypoteki gubernialnéj przez hypotekę okręgową; jeżeli z powodu nieoznaczenia prawem z r. 1825 wzajemnego stosunku między hypoteką okręgową a hypoteką gubernialną, z powodu nieustalenia prawideł wszelkim krzyżowaniom zapobiegających, okazały się trudności lub nadużycia, właścicielom lub wierzycielom ogółu dóbr szkodzące: tym nietrudno zaradzić uzupełnieniem ustaw lub instrukcyami proceduralnemi, a nawet pojedyncze nadużycia z złéj wiary lub podstępu, albo z zmowy pochodzące, które w drodze sądowéj na zasadzie prawa cywilnego obowiązującego sprostować można, i nie mogą uwłaczać stałym instytucyom prawnym, do których hypoteka okręgowa należy.

Największą zaiste trudność w regulacyach hypotecznych okręgowych zrządzają pojęcia o własności podzielnéj, pojęcia pochodzące tak z prawa rzymskiego i kanonicznego, jak i z praw zwyczajowych germańskich, w dawnéj Polsce teutońskiemi lub saskiemi zwanych, niemniéj z praw dawnemi konstytucyami rzeczypospolitéj polskiéj mniéj więcéj ustalonych, następnie z praw tego rodzaju po panowaniach pruskiém lub austryackiém pozostałych, nakoniec z dzierżaw dziedzicznych lub wieczystych późniejszych.

Tu mamy przed sobą rzeczywisty chaos stosunków prawnych, i jurysprudencyą krajową, która w całém znaczeniu tego wyrazu zawiłą i niepewną zwać się może. Tu nasuwają się jak najrozmaitsze pojęcia, domniemania i przesądy prawnicze, nietyle wszakże owe starożytne rzymskie *dominium* podzielne, *in bonis et ex jure Quiritium* zwane, ile późniejszy *per legem Zenonianam* ustalony *emphyteuseos contractus* (1), który w średnich wiekach, po wędrówce narodów gockich, germańskich i innych, po powstaniu szkół prawa w Bononii (Bologna) i w innych miastach włoskich, glossatorom dał powód, a następnie, po przyjęciu w rzeszy niemieckiéj prawa rzymskiego, obok stosunków feodalnych

(1) Institutiones Justiniani lib. III, tit. XXIV (XXV) de locatione et conductione § 3.

i praw zwyczajowych, do teoretycznego podziału własności na *dominium directum* i *dominium utile*: pod któryto podział podciągnięto, prócz wielu innych rozmaitych nazwań, prawa emfiteutyczne różnie pojęte lub oznaczone, erbpachty, czynsze wieczysto (renty), dzierżawy dziedziczne lub wieczyste.

Wszystkim tym rupieciom feodalnym lub jurystowskim, Kodex cywilny Napoleona, na utorowanéj już drodze, położył tamę, ustanowieniem w artykułach 544 i 546 pojęcia jedynéj własności, a obok niéj innych praw rzeczowych własność ograniczyć lub obciążyć mogących, tak, że i doktryna teoretyczna i użyteczność praktyczna zadowolonemi zostały, a mianowicie doktryna możnością uporządkowania wszelkich praw rzeczowych podług wielkiego, bo prostego podziału rzymskiego na *dominium et jura in re*, chociaż to w nieco odmienném od rzymskiego znaczeniu, przez podniesienie tak zwanych praw emfiteutycznych do kategoryi własności, *dominii*, *propriété*, użyteczność zaś praktyczna przez możność łatwego, bo dla pojęcia wszystkich przystępnego urządzenia systematu hypotecznego wzorem pruskiego lub polskiego.

Wprowadzenie Kodexu Cywilnego francuzkiego do kraju tutejszego, w jednéj części z dniem 1 maja 1808 r., w drugiéj z dniem 15 sierpnia 1810 r., wprawdzie nie mogło zniweczyć rzeczywistego stanu prawnego majątków prywatnych; nie mogło jednych pozbawiać własności lub przychodów z nich, a drugim takowe nadawać; nie mogło tamować ocenienia istniejących między mieszkańcami stosunków i praw majątkowych według właściwych prawodawstw, pod któremi stosunki te powstały: lecz po wprowadzeniu kodexu nieznającego wcale ani prawa emfiteutycznego, ani erbpachtu, ani dzierżawy dziedzicznéj czyli wieczystéj, nie należało wskrzeszać tego rodzaju stosunków prawnych bez równoczesnego nadania ustawy legislacyjnéj o dzierżawach dziedzicznych lub wieczystych, którąby podobnież jak np. tytuł o użytkowaniu, *usufruit*, przepisała prawidła na nieprzewidziane kontraktami okoliczności lub wypadki i spory; zwłaszcza, że takiż sam niedostatek albo raczéj nieład prawa stanowionego zachodzi i co do epoki dawnéj rzeczypospolitéj polskiéj: jak tego doczytać się można po *Voluminach legum*, i po różnych autorach dawniejszych i nowszych, a najlepiéj w wydaném w roku przeszłym przez p. Kazimierza Bandtkie Stężyńskiego Prawie Prywatném Polskiém, z manuskryptu ojca swojego ś. p. Jana Wincentego

Bandtkie, w tytule I pod napisem: Emphyteusis, str. 258, i w tytule II pod napisem: Dzierżawa dziedziczna, wieczysta, str. 264, a nadto na stronnicy 410.

Powstaje bowiem pytanie, podług jakichto przepisów prawa mają być rozpoznawane i rozstrzygnięte spory co do erbpachtów, albo dzierżaw wieczystych lub dziedzicznych, albo co do praw emfyteutycznych, które w kraju po wprowadzeniu kodexu cywilnego francuzkiego powstać mogły; gdyż zmiana artykułu 530 Kodexu cywilnego prawem sejmowém z dnia 13 czerwca 1825 r., z datą ogłoszenia z dnia 6 sierpnia t. r. w słowach: „Artykuł 530 księgi II Kodexu dotąd obowiązującego nie stosuje się do *dzierżaw lub czynszów wieczystych*, jeżeli warunek wykupna wyraźnie umówiony nie był", tylko jeden punkt rozstrzyga, tojest: że czynsze dzierżawne mogą być wieczyście ustanowione bez możności wykupna.

Teorya kodexu cywil. francuzkiego o własności i innych prawach rzeczowych nie przedstawiała żadnéj trudności w zastosowaniu do niéj systematu hypotecznego, ogarniającego własność nieruchomą i wszelkie inne prawa rzeczowe nieruchome. Podług teoryi téj uważać należy tak zwane *dominium utile* za własność istotną, tak zwane zaś *dominium directum* za własność tytularną, czyli raczéj za *jus in re*, ograniczone do pewnéj ilości kanonu, lub czynszu, do laudemium lub innego rodzaju ograniczeń istoty własności nienadwerężających.

Gdy zaś pod kategoryą *dominii utilis* podpadają *jus emphyteuticum*, erbpacht, dzierżawa dziedziczna, dzierżawa wieczysta i wszelkie inne grunta czynszowe do dziedziców lub innych nabywców przechodzić mogące: przeto należało do rubryki własności policzyć wszystkie posiadłości pod tytułem prawa emfiteutycznego, erbpachtu lub dzierżawy dziedzicznéj czyli wieczystéj posiadane, kanon zaś, czynsz i inne wieczyste opłaty lub obowiązki odesłać do rubryki innych praw rzeczowych, *jura in re*, własność ograniczających.

Prosta teorya ta i odpowiedni jéj porządek hypoteczny nie naraża żadnéj strony ani tak zwane *dominium directum*, ani tak zwane *dominium utile* na żadną stratę, nie dopuszcza zawikłań; prostuje pojęcia prawne, a w razie nastręczających się kwestyj lub sporów ułatwia ich rozwiązanie konsekwencyjne i sprawiedliwe, a nadto drobniejszych posiadaczy, przez samo wyobraże-

nie o posiadaniu własności, acz ograniczonéj, pobudzi do zamiłowania i upiększenia gospodarstwa, i nakłoni do nałogowego posłuszeństwa prawu i sprawiedliwości.

W duchu tych zasad i uwag, uwłaszczenie *miasta*, czyli wpisanie miasta do wykazu hypotecznego jako przedmiotu własności bądź prywatnéj, bądź rządowéj, niczém inném nie jest jak *metonymią*, figurą wyrażania się taką samą, jaka się np. w tém wyrażeniu objawia, gdy mówimy Europa, zamiast narodów lub państw europejskich, albo jaka w artykule 162 prawa hypotecznego z r. 1818 znajduje się w słowach: „że prawo to ściąga się do miast, w których zasiada trybunał ziemski", bo redaktor chciał powiedzieć, a dla krótkości powiedział to pod metonymią, że prawo hypoteczne ściąga się do nieruchomości prywatnych w miastach tych, w których trybunał cywilny I instancyi urzęduje, najdawniéj departamentowemi, późniéj wojewódzkiemi, dziś gubernialnemi zwanych.

Uwłaszczenie więc miasta bądź prywatnego, bądź rządowego w wykazie hypotecznym gubernialnym, podług ducha ustawy z r. 1818 i prawa z r. 1825 do niczego więcéj nie ściąga się, jak tylko do czynszów, kanonu, laudemiów i innych obowiązków wieczystych, jakie na pojedynczych nieruchomościach miasta te składających ciążą: zwłaszcza że miasta, *urbes*, *municipia*, w właściwém swém znaczeniu przedmiotem kupna i sprzedaży być nie mogą, gdy pod tytularną nazwą miasta, tylko czynsze, laudemia, lub inne wieczyste ciężary sprzedają się i nabywają. Te zaś przy regulacyi hypotek okręgowych na szczególnych posiadłościach miejskich objawione być powinny.

Jakoż podczas pierwiastkowéj regulacyi hypotek z mocy ustawy z r. 1818, wszelkie własności emfiteutyczne lub czynszowe (superficies) po miastach trybunalskich, dziś gubernialnych wciągnięto do rubryki własności, przy odesłaniu tak zwanego *dominium directum* z należnością kanonu, czynszu, laudemii, lub za konsens do rubryki innych praw rzeczowych wieczystych.

Wypadek ten wszakże nietylko na zasadzie saméj ustawy hypotecznéj, lecz i na zasadzie instrukcyi dla wydziałów hypotecznych pod dniem 30 czerwca 1819 r. wydanéj, oraz przyłączonego do niéj wzoru do protokułów regulacyi hypotek osiągniętym został: gdyż w wzorze tym jak najwyraźniéj nietylko *własność dziedziczną* (niczém nieścieśnioną) lecz i *possessyą emfiteutyczną* za

należącą do działu IIgo wykazu hypotecznego o własności, *dominium*, kanon zaś, czynsz i laudemium, jako też tak zwany konsens za należące do działu IIIgo o ciężarach wieczystych i ścieśnieniach własności uznano.

Stosownie do tychże zasad, które prawem z r. 1825 o hypotece powiatowéj, dziś okręgowéj, do wszelkich innych posiadłości miejskich lub wiejskich własność prywatną stanowiących rozciągnięto, należą do działu IIgo wykazu hypotecznego: o własności, wszelkie posiadłości *juris emphyteutici*, gdziekolwiekbądź po miastach niegubernialnych lub po wsiach położone.

Uznała to instrukcya z dnia 22 grudnia 1825 r. dla wydziałów hypotecznych okręgowych, przepisana w art. 46 pod nr. 3, w słowach „wzór do wykazu hypotecznego z r. 1819 jest dla nich *obowiązującym*.“

Lubo co do dzierżaw wieczystych, dziedzicznych, lub erbpachtów lub innych tymże odpowiednich praw gruntowych, artykuł 94 instrukcyi z dnia 30 czerwca 1819 r. odnośnie do artykułu 43 ustawy z r. 1818 do innego zmierzać się zdaje celu, jednakże jeżeli dzierżenie dzierżawy dziedzicznéj, lub wieczystéj, lub odpowiednich tymże pojęciom posiadłości, pomimo opłacanego z nich kanonu, czynszu, laudemii, konsensu, zawiera w sobie możność przenoszenia ich do dziedziców podług porządku sukcessyjnego, lub nawet do innych nabywców niefamilijnych, jako też możność zupełnego z nich użytkowania; słowem, jeżeli dzierżenie posiadłości miejskiéj lub wiejskiéj obejmuje w sobie to, co pod wyrazem *dominii utilis* rozumieć należy: wtedy i takie posiadłości do działu IIgo o własności stosowane być powinny. A nawet cel ten i ta zasada już były przygotowane przez instrukcyą hypoteczną ministeryalną, z mocy dekretu z dnia 31 sierpnia 1809 r. wydaną, w któréj pod tytułem III o rozdzieleniu czynności między konserwatorów departamentowych i konserwatorów powiatowych, artykuł 18 jest następującego brzmienia:

1. „Konserwatorowie powiatowi utrzymywać będą księgi hypoteczne tyczące się *nieruchomości w obrębach granic miast leżących*, bez żadnéj różnicy, czyli dawniéj nieruchomości te szlacheckie lub miejskie zwały się. Nadto do konserwatora powiatowego należéć będą księgi wieczyste *tych nieruchomości, których posiadacze czynsze prywatnym lub narodowym dominiom opłacają*, słowem, księgi wszystkich tych nieruchomości, które za rządu zeszłego do

jurydykcyi sądów niższych, jakoto: miejskich, powiatowych, wiejskich, justycyaryuszów i t. d., należały."

2. „Konserwatorowie departamentowi utrzymywać będą księgi wieczyste wszelkich innych dóbr, w numerze piérwszym nieobjętych, z całego departamentu w téj rozległości, jak za rządu zeszłego przez regencye departamentowe utrzymywanemi były. Oprócz tego, konserwatorowie departamentowi pełnić będą obowiązki konserwatora tego powiatu, w którym miasto departamentowe leży."

Heylman.

KRONIKA LITERACKA.

Piu Kopy Kazok napysau Spirydon Ostaszewski dla wesoloho Mira. Wilno. Drukiem T. Glücksberga. 1850 *r.* 8*ka. str.* 200.

Dziełko to powinno zwrócić naszę uwagę z kilkorakich względów. Naprzód że treścią jego są podania ludowe: powtóre, że w całém bogactwie i prostocie a sile; widzimy czyste narzecze ruskie okolic Humania: daléj, że stawia nam nowy, nieznany świat, stworzony w wyobraźni ludowéj, w kształcie *sag* skandynawskich, uroczy, pełen poezyi.

Uderza naprzód oryginalna przemowa p. Ostaszewskiego.

„*Kazki tij* (mówi) *ne wydumka moja, ale zbyrauem, szczo kazały stari lude, i szczo cikawoho, abo dywnoho za moich lit stałoś.*"

„Byli tacy ludzie, co pytali się, na co się przyda ta książka? Czy ona czego nauczy, albo czy sumienia ludzkie poprawi?"

„*My Ukraińci znaymo, w szczo naszi didy dawno wiryły. Słuchaymo Kazok, jaki stari lude rozkazowały. Uczim sia pisni naroda, to nas do czohoś dowede.*"

Daléj gniewa się szczérze na *naród* krytyków: *Wony* (mówi) *czort by ich mater, szczo im popade sia w ruki, to hudiat. Nehaj sobi krytyki hudiat. Taże to sobaka bresze i na czesneho czołowika, i na złodija, bo joho diło brehaty. A czołowik rozumnyj jak wyjde zaczuwszy szczo pes bresze, zmirkuje, czy złodiej, czy dobryj czołowik ide: dla toho to sobaki pry chati i potrybni, aby ino ne duże zjidływi, szczob ludey tiażko ne kaliczyły, i za swoje obiśtia ne wybihały.*

Tak też (mówimy słowami p. Ostaszewskiego) czasem i te zjadliwe krytyki mają psią naturę. Pies piérwsze mięso powala zanim je zje, *a toy* (krytyk) *persze czołowika zrobyt durniom, a potomu wełyczaje sia, szczo wit toho durnia rozumniszczy. Ni budły rozumniszczy wid mudruho, to szczoś wart.*

„A potém co mnie to wadzi jak mnie kto sądzić będzie. *Łajka ne byjka, pysauem dla sebe, i dla ludey.*

—„*Ot tak lude! taki to dobre szczo napysauem tij kazki, bo nikomu zła, a ne jednomu potichu zrobyuem, bo szczo inszoho jak bym*

pysau na koho brechni, to kiepsko, i dla nioho i dla mene, bo za brechniu można czasom w pysok distaty, jak to wże ne idnomu obiciały, ale jakoś mało kto obirwau szczo jomu należało. A taki na obicianku terpne szkura, taki to ne myło wse ohladały sia, a czay ne budut byty. Naszczo meni teje zdało sia? Bo chot to ja duszczy wid druhoho, jak win prylipyt, ni kto ne widlipyt. Woluś pysały o czortach, o uperach, o czariwnyciach, to im ne wadyt, i wony meni ne zaszkodiat, bo szczoi wże teper po suiti ne szlajut sia. Deś ich cholera wydawyła czy szczo?"

W téj saméj przemowie tak szczególnéj, daje nam autor ciekawą wiadomość co do ruskiego narzecza.

We wszystkich dawnych księztwach: smoleńskiém, czernichowskiém, połtawskiém, na Rusi *Krasnéj*, na Rusi Białéj, lud jedną mową mówi, z tą różnicą, że ci co blizko Wielkorossyi przyjęli wiele wyrazów rossyjskich; a Ruś Biała blizka Litwy, łotewskie słowa, a nawet i wymowę litewską przyjęła. Czysta mowa została wpośrodku Czerwonéj Rusi, osobliwie około Humania. Kotlarewski i Padura pisali (słowa p. Ostaszewskiego) połtawskiém narzeczem pomieszaném z rossyjskiém, dlatego, że rossyjska mowa obfitszych im słów poddała.

„Na moje proste kazki, prosta mowa wystarczy: dlatego jak stare Humańce mówią, tak i ja piszę. I nasz ukraiński naród zrozumié mnie, zarówno jak Smoleńczanie, Połtawcy i Biało-rusini."

Założywszy sobie p. Ostaszewski, że dziełko jego ma się składać z pół kopy *kazek*, gdy mu zabrakło do pełnéj liczby, pisze do Hulaka Artemowskiego, aby mu nadesłał utwór swój, w którym tak szczęśliwie naśladował znaną balladę naszego wieszcza: *Pani Twardowska*.

W tym liście tak pisze: *Obiciauem cikawym ludiam piu kopy kazok, ot dwadciat diewiat i napysau. Na trydciatu, chot płacz, ne staje, tay kłopit! a tut jak na to, ani w Humani na jarmarku, ani w Bałti, ani w Berdyczowi rozumu ne prodajut. Szczo ja najdyu sia po jarmarkach, ne można distały czoho dobroho. Ta je taki, szczo szlajut śia z dwora do dwora, i woziat swij rozum na prodaż. Ale se tandytna robota, ne wart kupowały!*"

„*Odżeż pryiszło meni na hadku, szczo wasza kazka „Pani Twardouśka" jak raz bysia tut prydała, ot butoby i piu kopy. Hań te myłoserno na miy kłopit, tu dayte meni tuju kazku, a ja wam kołyś wiroblu.*"

Dla dopełnienia liczby pół kopy nie przestał na tém p. Ostaszewski, ale przełożył z polskich utworów Franciszka Kowalskiego dwie powiastki (Did i baba, str. 75—Zoumir str. 105) i Alexandra Grozy o *Martynie Znachorze* (str. 116): dwadzieścia sześć więc *kazek*. są wyłączną autora własnością. Gdzie dotknął przesądów i zabobonów ludowych, miał wielką pomoc, jak sam wyznaje, w swojéj klucznicy. „W niéj (mówi) posiadałem niewyczerpany skarb różnych guseł babskich i gospodarskich."

Wczytawszy się w kazki p. Ostaszewskiego, przyznać musimy, że umiał dobrze i w lud się wpatrzéć, i uchwycić jego język z całą barwą prostoty, i zniżyć się na tego ludu, którego kazki nam podaje, stanowisko. Bardzo szczęśliwie wywiązał się ze swego zadania, prawie nigdzie nie

zdradził się ani wyższą nauką, ani wyższą ogładą towarzyską: a tyle prostoty rozlał, taką szczeroduszność naiwną, że prawie zawsze się zdaje, iż to opowiada prawowierny chłopek. Sztuka to nielada, nielada zadanie, tak wniknąć i myślą, i wyobraźnią, i wyrażeniami językowemi, a nie uchybić ani prostocie, ani myśli ludowéj, i w prawdziwym ludowym języku *kazki* te oddać.

Nie powiemy tu nic o tych, które są tłumaczeniem czy naśladowaniem z polskich utworów naszych pisarzy. Przerobienie p. Artemowskiego ballady *Pani Twardowska* znamy od lat przeszło dwudziestu kilku (1) i od piérwszego poznania tego utworu, nie przestaliśmy go cenić ze szczęśliwego zastosowania do zwyczajów ruskiego plemienia, dosadnych wyrażeń, i języka ludowego.

Powiemy tu tylko o tych kazkach, które barwą oryginalności i pochodzeniem swojém z ludowego gniazda, odznaczają się wybitnie w zbiorze p. Ostaszewskiego.

Kazka pod napisem *Matéj*, zupełnie główną myślą i treścią odpowiada klechdzie polskiej o sławnym rozbójniku *Madeju*. *Try braty* jest tą samą niemal co w polskich powieściach *Szklana-góra*, z małemi odmianami. Gdy dwóch mądrych braci, po cudną królewnę zaklętą na szklaną górę drąc się, karki połamali, trzeci miany za głupiego, w brudnym kożuchu baranim, smarując ręce i nogi smołą, dostał się pod sam wierzchołek. Wielki ptak biały, stróż owéj królewnéj, utopił szpony swoje w jego kożuchu, i wniósł go do zaczarowanego zamku. Ujrzawszy to *głupi* że przebył mury, nożem urznął nogi ptakowi, i spadł na podwórze, a tym sposobem dostał i cudną zaklętą królewnę za żonę, i posiadł wielkie bogactwa. P. Ostaszewski pięknym zwrotem i niespodziewanym zakończa swoję kazkę:

„Tak sia na switi dije. Ne jdna skotyna,
Chot dureń, dobere sia i kroszy, i czyna.
Poszmołyt sobi duszu, a hładkiy z pozoru,
Chot' prożyu wik w bołoti, wdrapau sia na horu."

Wernyhora i Wyrwidub, odpowiada znanéj klechdzie polskiéj *Waligóra i Wyrwidąb*. *Czorna-hora*: *Pieczarom w Czarnéj górze*, *Uryć*, to powieść znana o kwiecie paproci: dlatego treści ich nie podajem. Tu zdamy sprawę o tych, co nową, nieznaną myśl ludową nam odkrywają.

Do takich należą: Żmijowy wał, *Bida*, mogiła Soroki, czort i Mekitycha, *Łysy*, *Try trasti*, dwie czarownice, gospodynie, arendarz, zamek nad Siniucho, śmierć na gruszce, pies i kot, pan Starosta Kaniowski, i Iwan.

W kazkach mogiła Soroki, i djabeł i Mekitycha, ta myśl jest główna, że baba oszukuje djabła, wedle wyrażenia p. Ostaszewskiego: „Ałe baba to zrobyt, szczo czort ne zhadaje."

W kazce *bida* myśl szczególna.

„Skoro się świat urodził, śmierć się urodziła. Kto tylko żył na świecie, to go śmierć zjadła: czyto człowiek, czyto zwierz, nie wyprosił

(1) Drukowanym był ten utwór w Dzienniku Warszawskim pod redakcyą J. K. Ordyńca.

się biédny, ani pan wykupił; wszyscy jéj się bali, a ona sobie dobrze utyła, bo zjadła kogo chciała, i jeszcze się nadęła.

Ale na swój kłopot śmierć gdzieś z *bídą* się spotkała, i zaraz *bída* jak się do niéj przyczepiła, jak poczęła z niéj krew i pić i ssać, jakby śnieg wiośniany, znikło sadło i skóra nawet, tylko kości się zostały.

Byłaby śmierć przepadła, widząc że tu nie żarty. Pyta się śmierć bidy, co chce od niéj, a na wszystko przystanie.

Bida widząc jak dogryzła śmierci, nadęła się jak ropucha, zadarła nos w górę, i nie umowę już robi, ale daje rozkaz, aby jéj śmierć natychmiast podpisała cyrograf, że bidy nigdy nie zaczepi, dopóki świat stać będzie.

Śmierć choć oddawna na nią ostrzyła już zęby, musiała, aby ujść zguby, ustąpić, i cyrograf żądany podpisała na wołowéj skórze.

Teraz bida bezpieczna nie przepadnie nigdy, bo wiecznie żyć będzie".

Obrobieniem i treścią odznacza się kazka *Orendar*. Przywiedziem tu w oryginalnym toxcie jéj początek:

„De je misto i bazar.
Tam żydiw bery na fury,
A w syli je orendar,
Joho zinka i bahury.
Z czohoż teje drańcia żyje?
Ani ore, ani sije,
Praciowaty ani rusz,
Ale żyje jakby pan,
Pustyły się na obman."

Taki oszust arendarz, co ubożył kmieci, rozpajając ich wódką, a zabierając całą ich pracę, nie cierpiał chłopka trzeźwego. W téj wsi gdzie na karczmie siedział, był kmieć bogaty *Rudy Safon*, i ten ani nie pił wódki, ani nie zajrzał nigdy do arendarza. Żyd różnych sposobów daremnie używał, wreszcie zawezwał w pomoc baby czarownicy. Ta kazała mu się postarać o szczyptę włosów Safona. Arendarz przeto namawia dziewczynę służącą u niego, aby jak będzie spał, dostała takowych. Dziewka przeczuwszy, że to będą czary, przywiązana do poczciwego Safona, a nie chcąc się zdradzić, przyrzekła zrobić wszystko jak żyd pragnął; ale wróciwszy do domu, gdy ruda krowa zdechła, ucina z ogona kosmyk włosów i niesie do arendarza. Żyd spojrzał, a rudy był Safon; pewny, że to jego włosy, oddaje czarownicy, ta co rychléj poskoczyła czarować nad rzekę Taśminę.

Żydzi na szabas zasiedli wkoło, świeczki pozapalali, kiwają głowami, śpiewają boruchy. Aż w sieni słychać łoskot, i włazi do izby skóra z rudéj krowy. Żydzi z przestrachem krzyknęli, skoczyli z za stołu, i wyciągają skórę, chwyciwszy to za ogon, to za uszy. Tylko co zasiedli, aż skóra znów włazi; tak dzień po dniu, ani wygnać. Wieść się rozbiegła, doszła aż do miasta. *Stanowy* przyczepiwszy do dyszla dzwonek, zaraz przyleciał, począł śledztwo ciągnąć. Zaklętą skórę zabrał w swoję bryczkę, a arendarza do kozy wsadził.

W kazce *Smert na gruszi*, czytamy:

„Andrzéj w Ukrainie miał przy chacie ogródek, pełen bujnego owocu: ale nie mógł się ustrzedz szkody. Chłopi ze wsi często niedojrzałe gruszki i jabłka obrywali mu z drzewa. Raz przybył do niego żebrak; że Andrzéj był gościnny, przyjął dziada po bożemu, dał mu do syta jadła, napoju, i przenocował wygodnie. Na pożegnaniu dziad przemówił: „dłużny jestem tobie bracie za spoczynek, za chléb dobry: czém ci się wypłacić mogę?" Andrzéj odrzekł: „zrób więc tak, że kto wlézie na tę gruszę, żeby tam przyrósł, dopóki ja go nie uwolnię." Stało się jak żądał, i szkody więcéj w ogrodzie nie miał. Długo żył nasz Andrzéj, wreszcie przyszła śmierć do chaty. Poznał gościa i duma, jakby tu się wykręcić. Więc mówi do niéj: „Zanim weźmiesz moję duszę, bądź tak dobra, wléź na tę gruszkę, i zerwij mi gruszek." Śmierć włazi na drzewo, ale zaledwo między gałęziami siadła, trzyma ją jakaś niewidzialna siła; chce zléźć, nie może, i tak na drzewie została."

Z dwóch *kazek* o panu *staroście kaniowskim* pomijamy znane powiastki, a w wiernym przekładzie podamy nowy szczegół:

„Raz jedzie pan starosta, z nim dwór wielki: dwudziestu Kozaków na koniach. Tylko co wyjechał na wielką drogę, aż na bułanym koniu jedzie sobie Lach. Byłto chłop krzepki, mocny jak dębina, jak orzeł bystro patrzał, a zmiąłby każdego. Czapka jego na bakier, a czarniawy wąs. Spojrzawszy, widno było że nie tchórz, a na obliczu napisane: „Ej! nie zaczepiaj." Szabla przy boku, a w ręku nahajka. Pod nim konik czupurny, wesoło ma oko, niesie jakby laleczka jaka: głowę podniósł, uszkami sobie strzyże, ogon zadarł w górę: domby przeskoczył jakby był naparty. Gdy podjechał i ujrzał kolasę starosty, troszkę poruszył czapką, jakby kłaniał z łaski. Starosta nawykły do nizkich pokłonów, nie mógł znieść że szlachcic taki poufały, i rozgniewał się srodze. Lach spokojnie jechał daléj, ale chciawszy fajkę zapalić, prosił jednego z Kozaków o krzesiwo. Pan starosta w kolasie raptem się podnosi, krzesze i podaje ogień. Szlachcic zsiadł z konia, z ukłonem ogień bierze; starosta znak swoim daje: obskoczyło go Kozactwo, a obaliwszy daléj bić nahajkami, a starosta kaniowski zaczął mu prawić: „Kiedy lulkę palisz, wóź z sobą krzesiwo."

Schwycił się Lach na konia:

„O trystaż twoju matir! mospane starosto,
Dostanesz ze tri razy, a za kożnym po sto."

— A długoż tego czekać — ze śmiéchem odezwie się starosta. — Jeszcze roku nie minie — odrzeknie mu szlachcic.

— Daruję ci wioskę, jak dotrzymasz słowa — zawołał starosta. —No, to wcześnie przygotuj zapis starosto!

Kto był w Kaniewie to wié, że za miastem ku Dnieprowi stoi kaplica na wierzchu skały. Tam na wieczornéj modlitwie pan starosta był, i sam pieszo powracał. Aż zpoza skały jednéj załomu, wyskoczy Lach na bułanku obces.

— A gdzie to byłeś panie starosto? — W kaplicy, odrzeknie z wielkim strachem. — Z kaplicy idziesz, a nie masz książki do nabożeństwa, ani różańca. — Schwycił za czuprynę, daléj do nahajki: odliczył mu sto jak

oblał, i na konia i zniknął. Starosta ledwo się dowlókł do zamku: cierpiał, ale nikomu słówka nie pisnął. No! rzekł do siebie, udało mu się: a to Lach przeklęty, nietrzeba mi go było zaczepiać. Drugi mu się raz nie uda, bo nie ruszę się z miejsca, żebym choć dwudziestu nie miał swych Kozaków.

Starosta raz upił się, a udał że chory, i dla śmiéchu kazał naprowadzić baby. Te robią co mogą: ta szepcze, ta głośno zaklina, a jedna do dworzan mówi: „Jest tu dziad co umié djabła wyganiać. Dawaj że go prędzéj, bo w staroście djabeł się rozgościł." Staje na ganku dziad brodaty, a zwoławszy dwór cały, tak się odzywa: „Wy wszyscy pokryjcie się dobrze, bo jak starostę djabeł porzuci, to w którego was wskoczy." Rozbiegli się wszyscy, zamek pusty cały. Dziad bezpiecznie wchodzi, a nie było dziad, ale ów szlachcic z bułanego konia: zrzucił łachmany żebracze, a schwyciwszy starostę za czuprynę, znów mu sto wypalił, jak oblał.

Starosta widzi że nie żarty, już dwa razy po sto nahajów dostał; dobiera więc sobie samych wiernych, a zuchów.

Raz ze stoma Kozakami jedzie przez las, aż tu znów na bułanku djabeł nadniósł szlachcica; aż skóra zcierpła na staroście ze strachu. „A tuś mi wpadł w rękę, ty djabelski Lachu", i krzyknął na stu Kozaków. Rzucili się wszyscy za nim.

A z gęstych krzaków wyskoczy szlachcic, bo kozactwo za nim aż za las pobiegło, a on znikł im zprzed oczu, jakby go był bies porwał.

— Tak to umiész starosto komenderować, za jednym człowiekiem posyłać stu ludzi? Gdzież ciebie uczyli takiéj wojennéj sztuki. Ja widzę, że muszę tobie dać naukę, żebyś trzymając wojsko, trzymał się i ładu,

I doliczył resztę obiecanki staroście.

— Teraz już dość starosto z Kaniowa. Więcéj już bić nie będę: a karta gotowa, coś to mi miał zapisać wioskę?

— Nie ma co odpowiedzieć, rzekł starosta.

„Przegrałem sprawę i zapłacić muszę.
Za toś wart, żeś bił krzepko, a nie wygnał duszę."

Dwie najpiękniejsze kazki z zbioru p. Ostaszewskiego, przytaczamy tu w wiernym przekładzie niemal w całości; malują one cudnie bujną wyobraźnię ukraińskiego plemienia.

I.

Wał Żmii.

„Między Dnieprem a Rosiem płynie mała rzeczka *Stunia*; pomiędzy nią a Rosiem ciągnie się długi wał. Posłuchajcie zkąd się wziął.

W wiosce Pawliwie był kowal bogaty, rodny Kozak, a zwał się *Ułas*.

Przedobra dusza, przemiły człowiek; cały swój wiek sprawiał się tak, że go wszyscy lubili.

Każdemu był rad, i jemu nawzajem wszyscy: trzymał dużo czeladzi, bo roboty było huk, a rąk on nie pożałował.

Jednego dnia jakoś na samym przednowku, kiedy chleba było brak, bo choć urodzaj dobry, ale jakoś na gorzałkę Kozactwo to przechulało, przypadło tak, że przyszedł do niego żebraczy dziad.

Ułas posadził go za stół, zaprosił na obiad, jadł z nim razem, razem pił.

Zkąd był ten dziad, nikt nie wiedział, i Ułas jego nie pytał. Potém różne bajki chodziły o nim: jedni gadali że to jakiś święty za dziada się przebrał, drudzy że to był wielki czarownik, a jedna sąsiada, sprawiedliwa czarownica rozgadywała, że to djabeł przerzucił się w dziada. Bóg z nim, ktoby był, Ułas nie pytał. Jeść i pić do syta dał, a że miał pilną robotę, położywszy dziada spać, sam krzyknął na czeladź, i daléj do roboty. Wielką miał pracę; co wziął i dźwignął kawał żelaza, to mu aż na łeb wylazły oczy, i czupryna potem zlała. Aż dziad do kuźni przychodzi, pozdrawia kowala, i widzi jak roboty ma dużo, i ciężko dźwiga kleszczami.

Dobył więc kleszczy z torby, i dając do rąk, rzeknie tak:

„Weź je odemnie na znak żeś mnie przyjął dobrze. Temi kleszczami przemożesz wszelką siłę, i korzyść mieć będziesz, i pamiątkę miłą."

Wziął niemi kowal blachę co ważyła dwa pudy, obraca nią sięgy, tędy, młotem na wszystkie strony praży, a blacha funta nie waży. Serce mu się rozradowało, że ma takie kleszcze. Obejrzał się by za nie podziękować, ale dziada już nie było.

Wkrótce po tym darze, któremu się dziwowała cała Ukraina, pokazał się taki *żmij*, że był wzrostem ogromny, jak Peczarska dzwonnica: a jak w *Stuni* wodę pił, bo się nad nią włóczył, to ogon leżał gdzie Mytnycia. Takie cudo, takie dziwo, jak się w przyrodzie zjawiło, rzuciło postrach po całym narodzie; wszystko uciekało co żyło, choć gdzie? sami nie wiedzieli.

Zasmutniała Ukraina, bo od kiedy świat nastał, piérwsza to była przyczyna, że się Kozak przestraszył. Wszyscy przecie to wiedzą, że nie bajki, że niejeden raz i okręty, i bisurmańskie szable, uciekały od czajki kozackiéj i kozackich spis. Kule sypały jak grad, co broniły Carogród, Kozak przecie i tam wlazł. A tu przyszło na to, że się zląkł i sam Kozak, i żaden się nie znalazł ochotnik, żeby zajrzał *żmijowi* w oczy.

Ułas wielką murowaną miał kuźnię, a drzwi silne z samych żelaznych blach. Tam on z czeladzią pracuje, kiedy *żmij* w *Pawliwku* gospodarzy. Teraz już nie ma żartów, Ułas drzwi dobrze zaparł, i żartuje sobie: aż żmij prosto do kuźni sunie. Ale drzwi gładkie, nie zaczepi zębami; próbuje, próżno: więc ozorem zacznie lizać, i wylizał dziurę tak wielką, że przez nią cały język wsunął, bo miał wielki chrap na Ułasa. Struchlała czeladź, ale Ułas dziadowemi kleszczami schwycił za ozór. Żmij pieni się, rwie, ale języka nie może cofnąć. Kowal krzyknął na czeladź: „chłopcy zróbcie prędko pług, niechaj żmij nam poorze."

Chłopcy byli żwawi, raźni, znali swoje rzemiosło; zrobili lemiesz na trzy sążnie, z jednego dębu zrobili jarzmo, z dwóch sosen hołoble; pług był jak dzwonnica *pawłowiecka*, i do tego zaprzęgli żmija.

Ułas kleszczami wiedzie *żmija*, cała wieś przygniotła osadę lemesza: żmij rwie a orze, sypie wał za sobą. A gdy przyszedł do rzeki wypił wszystkę wodę, i suchą ją przeszedł nogą.

Ej! robota była skora! Chciał Ułas usypać wał aż do morza. Wał był jak cerkiew wysoki, a bruzda głęboka jak loch. Podpaliły się żmijowi z wielkiéj pracy boki, i zaraz zdechł, bo Ułas nie dał popasu żmijowi, usypawszy 30 mil wału.

Wał ten stoi już od wieku, i zostanie do końca świata."

II.

Dwie czarownice.

Gdzie się pieni woda z szumem,
Między skałami Jatrani,
Młoda tam żyła pani,
I bogata i rozumna.
Jasnowłosa, krasnolica,
A od pół roku już wdowa,
Żona sławnego hetmana,
Co poszedł na bisurmana.
I tam głowę położył,
Od tatarskich szabel padł.

Dobra była dla gromady,
Dobra i dla dworskich sług;
Czy kto w wiosce gdzie zasłabł,
Nie potrzeba było bab:
Każdy dostał dobrą radę,
I lekarstwo dostał wnet.
Czyto komu chleba brak,
Czy téż niestało odzieży,
Czy wypadło co z obory,
Czy dobytek zginął cały,
Kiedy pomór na nie padł:
O, to do niéj jak do matki!
Przyszła pomoc, i to tak,
Że nikt biédy nie zaznał.

Jak zwyczajnie w świecie bywało i będzie,
W jednym siole niezawsze jednakowi ludzie.
Gromada była dobra, nie ma co powiedzieć,
Żony były tam dobre, poczciwe dziewczęta;
Lecz kąkol wśród pszenicy musi się pomieszać.
Zasiadły tam na licho, aż dwie czarownice,
Obiedwie w czarach były jednéj siły,
I obie w czarach wyrabiały dziwy.
Przeklęte baby tak się niecierpiały,
Jak cięte suki:
Jedna drugiéj wyrabiała sztuki.
Co jedna zrobiła, druga odrobiła.
Warwara była aż strach jak złośliwa,
Jak się wściekła baba rozgniewa,
To z ust spieczonych aż piana ciekła.
Czasem ludzi ziołami truła.
Raz wezwano babę do dworu,
Że ziołami truje lud,
Nie ma rady, prosta rzecz,

Kazano babę rózgami wysiec:
Baba zaklęła się na samego djabła,
Że pani zrobi niejednę sztukę.

* * *

I *Chawrona* znała czary,
Wyprawiała czasem licho;
Ale jakoś było cicho,
Może dlatego, że mniejsze
Od Warwary złe robiła.
Ale jéj siła w czarach,
Z Warwarą się nieraz sparła,
Nieraz Warwarze nosa utarła.
Poznała ona myśli Warwary,
I uwzięła się na to, aby jéj czary
Od hetmanowéj zdala odegnać.

* * *

Gdzie głęboki Kuczurhał,
Puste stepy przecinał,
Tam od wieków zamek stał,
A w tym zamku siedział han,
Srogi, dziki, jakby zwierz,
I z rabunku tylko żył,
Nikt się nie skrył, gdzie przybył,
Wziął dobytek, wyciął ludność.
Kędy tylko zwrócił krok,
Palił sioła, i brał łup.
Jego wszędzie znaczył ślad
Pustka, łzy, pożar, i trup.

Jednego poranku do tego Tatara przyszła Warwara udając cygankę. Rzuciła fasolę jako wróżbita, a zgadując jego dolę, tak poczęła mowić:

„Nie ma tobie hański synu,
Na tych stepach dobréj doli:
Idźże z wojskiem w Ukrainę,
Tam nacieszysz się dowoli.
Idźże do *Jatrani* rzeki,
Tam bogata mieszka pani,
Jakby miesiąc czoło jasne,
Jakby róża lice krasne,
A bielutkie jakby chusta,
Jak korale takie usta.

Światły włos, jako len gładki,
Ogniem błyszczy siwe oko,
Jak w niebiosach na dzień skwarny,
Zorza podejdzie wysoko.
W chodzie lekka, i swobodna,
Jak do tańca jeno trzeba:
A wesoła, a pogodna,
Jakby z nieba pragnęła gościa.
A co bogactw i dobytku,
Nabierzesz się tam do zbytku."

* * *

Porwał się z miejsca Tatarzyn dziki,
Brodę pogłaskał, rozgorzały oczy.
Wzniosły się zaraz w obozie krzyki,
Ruszył więc hordę ochoczy.
Końskie kopyta wraz zadudniły,
Tuman, jak chmura wzniósł się pod chmury,
Szczęknęły szable, świsnęły strzały,
I przepłynęli Jatran Tatarzy.
Horda Tatarów ruszała szybko,
Zeszli w dolinę, by spocząć koniom,
Bo zamek z góry już było widać,
A na popasie staną w godzinę.
Ledwo z popasu ruszył się han,
I już pod zamek postąpił w jar;
Taka mgła całe wojsko objęła,
Że się przestraszył wnet cały kosz,

I daléj w nogi. Objął ich strach,
Każdy na inny puścił się szlach,
I uciekali do saméj nocy,
Jakby każdemu wyłupał oczy.
Ci aż do Krymu, tamci na Budżak.
Mało kto trafił na Kuczarhał.
I rozlecieli po świecie tak,
Że do gromady nie mógł zebrać ban.
Oberwał z gniéwu han swoję brodę,
A coraz daléj biegli Tatarzy,
Bo strach ich pędził. Nie zmiarkował,
Że to nasłały *Chawrony* czary.

A pani nasza ciężko się zlękła ujrzawszy hana.

Padła na kolana, słała modlitwy
Do Bogarodzicy łzami zalana.
Ktoby w tę porę był spojrzał z boku,
Ktoby podsłuchał modlitwę szczerą,
Jaka nadzieja błyszczała w oku,
A w sercu jaką budziła wiarę;
Toby powiedział, że tę sierotę,
Pewnie wybawi Bóg od nieszczęścia.
I tak się stało. Któż Bożą wolę
Może odgadnąć? Ot dał Chawronie,
Choć czarownicy, takową dolę,
Że wybawiła z okropnéj toni.

* * *

Warwara rodna siostra z djabłami,
Widzi, że sztuka jéj się nie udała.
Zazgrzytała w głos zębami,
I nowe licho znów pomyślała.
Mało jéj było, pani swéj ciało,
Tatarom oddać w ciężki jassyr;
Ona zachciała coś lepszego:
Duszę jéj czartom przedać na wieki.

* * *

Na wierzchołku wzniosłych skał,
Ponad Dniepru brzegami,
Stary zamek był z basztami,
Wkoło go otaczał wał.
Stare mury popleśniały,
I na ścianach porosł mech;
Ludzie w nim nie mieszkali,
Lecz zaklęty siedział bies.
Tak osądzon, że dopóty
Nie będzie wyswobodzony,

Dopóki się nie ożeni.
Wtedy przejdzie sam w upiora,
A z zaklęcia się uwolni.
Tam Warwara pospieszyła.

* * *

Na drodze widać jakiś tuman.
Czy znów tatarska sunie hołota?
Nie, to gdzieś jedzie wielki pan,
Ludzie od srébra, i od złota.
Naród doborny, czarny jak kruki,
Wszyscy na wronych konikach ludzie,
Idą pancerni, z niemi hajduki.
Wieś się dziwuje, co to za ludzie?
Po przedzie jedzie bogaty pan:
Czy to starosta, czy to hetman?
Wrony koniczek pod nim się sunie,
I skacze w boki, jak zając susa.
Pan na wsze strony spogląda,
I tylko ręką pokręca wąsa,
I czasem tylko strzygnie uszami.
Na nim bekiesza suto wyszyta,
Żupan z bogatéj termołamy,
Pas lity, szabla perłami sadzona.

* * *

W zamek gdzie mieszka wdowa tak boża,
Młodzieniec wchodzi, wzrostu takiego
Żeby poszukać, czy z Zaporoża
Jemu się Kozak gdzie znajdzie równy.
Jeno mu oczy smutkiem zamgliły,
Oblicze piękne trochę pobladło,
I jawno na nim znać troskę tajną:
Sam on znał tylko troski przyczynę.

I zaczął mówić, że słyszał dawno,
Jaką ozdobił Bóg ją krasotą,
A chociaż szczęścia nie miał jéj widzieć,
To serce za nią już usychało,
Nie mogąc pozbyć ciężkiéj tęsknicy,
Co i pokoju chwili nie daje!

* * *

Pani krzyknęła zaraz na sługi,
Kazała jadła postawić suto;
I byli z sobą w jednéj godzinie,
Jakby się znali przez wiek już długi.
Tydzień wesoło bankietowali,
I wraz i jedli, i pili razem;

Całe dnie społem bawili,
I nie wiedzieli jak płynął czas.
Miło leciała każda jéj godzina,
Bo on był dla niéj kochankiem.
Raz przed nią padł na kolana,
Ze łzami w oczach tak mówi:
„Spójrz miłosiernie na moję mękę,
Na moje serce łaskawie spójrz!
Ja ciebie kocham, podaj mi rękę,
I zbawicielką moją się stań."

* * *

Miała już jemu ręczniki dać (1),
To i pobiegła po nie co żywo;
Tylko wróciła, aż dziwne dziwo:—
W miejsce młodzieńca, psisko kudłate.

* * *

Chawrona zawsze strzegła pani cicho,
Żeby jéj nigdy przygoda nie była;
Widząc, że blizkie już jéj jest licho,
Zaklętą duszę w psa obróciła.

* * *

Jeszcze panienką nasza pani była,
Jak dwaj panowie przysyłali swaty;
Każdy był piękny, każdy był bogaty.
Ona ku wojewodzie serce nakłoniła,
Ojciec za hetmana pójść córce kazał;
A nie można było ojcu się sprzeciwiać.
Z tego się zrodziła nawet i niezgoda,
Bo aż strach, jak się gniewał o to wojewoda.
Odtąd już jéj nie ujrzał, ale ciężko tęsknił,
I zawsze cóś na sercu poczuwał cierpienie.
Smierć hetmana, przyniosła wesołą godzinę,
I zamyślił wziąć za żonę wdowę po hetmanie.
Miał on dwór wielki, i dworzan dobornych,
Ale siadł sam na konia, jechał bez orszaku:
Radosny był, bo blizka wesoła nadzieja.
Warwara na drodze nasadziła żmija,
Ale Chawrona wyrzekła: nie zaszkodzi żmij,
I wybiegła na drogę, czekając na gościa.
Aż jedzie wojewoda w zielonym żupanie,
Na dzielnym koniu co zdobył na Turku.
I spotkał na drodze obdartą cygankę,
A była to Chawrona, pod pachą niosąc burkę.
Wstała z miejsca, i idzie przeciw niemu śmiało.
„Czekajno wojewodo, bo mam tutaj sprawę,

(1) U ludu danie ręczników własnéj roboty, oznacza wesele.

Będę ci fasolą wróżyć,
Chcę ciebie od śmierci, co cię czeka, bronić;
Wdziéj na siebie ot tę burkę,
Bo nie zobaczysz, co sercem kochasz tyle lat,
I dla któréj sam taki przejechałeś świat."
Dziwuje się wojewoda, zkąd cyganka wié,
Kto on, gdzie jedzie, i dlaczego jedzie?
Bierze więc od niéj burkę, i wdziewa na siebie,
Rzucił jéj sakwę, a w niéj pełno złota,
I cwałem ruszył z miejsca. Aż w maleńkim lasku,
Stoi żmij na drodze, z pyska zionie ogniem.
Wojewoda do szabli; żmij płomieniem zionie,
A burka pomaleńku w wodę się przemienia.
Żmij widząc że płomieniem nic już nie zaszkodzi,
Skrył ogień, i potokiem chlusnął nań obfitym.
Aż tu ogniem na żmija zasyczała burka.
Wojewoda więc zręcznie dzielnego Turczyna
Zwraca, i całéj dobywszy odwagi,
Naciera i najeżdża koniem na żmija;
Krzepki zamach wymierzył na szyję żmijowi,
Ciął, i łeb jego stoczył się po ziemi.
Tak przyjechał na miejsce, choć trudził się długo.
Wieleby było gadać, jakò się ożenił,
Jaka była parada, jaki wielki dwór,
Jak się temu weselu podziwiali wszyscy.
Zaraz jemu powiedziano o psotach Warwary.
Wojewoda pan dobry, ale także srogi,
Rozmyślił, że dla takiéj widmy mało zwykłéj kary:
Kazał dzikiego konia uchwycić z tabunu;
Przywiązali Warwarę za nogi do ogona,
I tak konia na wolę i z babą puścili.

A Chawrona co chciała, to od niego miała,
Na całą Ukrainę bogaczką się stała,
A jak tylko na świecie nie było Warwary,
Chawrona swoje także porzuciła czary.

Dziełko p. Ostaszewskiego znajdzie właściwe miejsce w dziejach literatury naszéj, nietylko jako zbogacające nowym zasobem gałąź literatury ludowéj powieściowéj, ale zostanie jako ważny materyał co do narzecza ruskiego, tak blizkiego i pobratymczego językowi naszemu.

Wł. W.

Pisma Jakóba Sobieskiego w języku polskim.

Powszechnie znane i cenione jest dzieło Jakóba Sobieskiego: *Commentarii Chotinensis belli*, ale mniéj znana jest ta okoliczność, iż tenże opisał najpiérwéj tę wojnę w języku polskim, i że dopiéro w kilka lat późniéj, ułożył z opisu polskiego łacińskie komentarze. Ów wojny chocimskiéj dziennik, czyli jak go wyrazem ówczesnym nazwano *Dyaryusz*, zaczyna tak:

„Rok teraźniejszy, stał się ojczyznie naszéj wiecznie pamiętnym." z czego widać, że go pisał w tym samym roku, w którym się wojna toczyła, mianowicie 1621. W komentarzach zaś wspomina na str. 154, że gdy to pisze, już towarzysz jego z którym wraz traktat chocimski układał, Stanisław Żorawiński kasztelan bełzki, życie zakończył. Wiadomo, iż śmierć jego przypadła dnia 30 maja 1624: pisane więc te komentarze w trzy lata późniéj, po samychże zdarzeniach. Dziwnie plątały się wiadomości ogłaszane o polskim dzienniku. Miał go pod ręką Adam Naruszewicz, i używszy go jako jednego z główniejszych źródeł w żywocie Chodkiewicza, wydrukował tę jego część, która poza żywot sięgała, w końcu IIgo tomu, pod imieniem Jakóba Sobieskiego.

J. S. Bandtkie, wydając drugą część Rozmaitości Naukowych krakowskich w r. 1829, miał na swe zawołanie rękopism, jeden z tych, jakie niekiedy nasi przodkowie z łacińska *silva rerum*, albo z polska *Zwierzyńcem* nazywali, w którym począwszy od bajecznego rokoszu gliniańskiego i strasznéj w życiu szlacheckiém pamięci rad Kalimachowych, aż do ostatnich czasów Chmielnickiego znajdowały się artykuły różnorodne, zsypane jakby w jeden bigos, okraszony tłustemi wierszami. Wydawca wyczytawszy na piérwszéj karcie rękopismu że to spisywał niejaki Samuel Sobiekurski, wziął go za autora, i pracę Jakóba Sobieskiego, Sobiekurskiemu przypisał.

Dziennik ten znajduje się w dawnym współczesnym rękopiśmie biblioteki uniwersytetu lwowskiego, z dodatkami szczególnemi. Do należytego wydania tego pomnika mógłby dobrze usłużyć pomieniony rękopism. Sobieski Jakób był bardzo znakomitym mówcą swojego czasu; wiele z mów jego było drukowanych w zbiorach osobnych, inne są jeszcze nieznane.

Biblioteka Ossolińskich posiada spory rękopism z XVIIgo wieku, którego napis jest taki: „Pisma i mowy różnych czasów Jegomość Pana Jakóba Sobieskiego krajczego koronnego, a natenczas wojewody bełzkiego." Jest w nim przeszło 50 mów mianych przez niego publicznie przy różnych sposobnościach, a między niemi i pieśń o *Podhorcach* jego utworu. Przyjaciel od serca Zamojskiego Tomasza, wspominany z uwielbieniem w łacińskich Szymonowicza rytmach, nie był jak widać nieczuły na wdzięki polskiéj jego muzy, i starał się ją naśladować w tym wierszu. Pragnąć należy, aby ten pomnik troskliwa ręka o dzieje przeszłości wydała.

Peremyszlanin na rik 1852. *W Przemyślu, w* 12*ce, str.* 154.

Jestto kalendarzyk czy noworocznik ruski, wydany w Przemyślu, obejmujący prócz zwyczajnych rubryk i artykułów kalendarzowych, obszerną, bo niemal całe dziełko zapełniającą rozprawę pod napisem: „*Widomost istoryczeskaja*; wiadomość historyczna o mieście Przemyślu i okręgu tegoż imienia, napisana przez ks. Antoniego Dobrzańskiego. W szanownym autorze téj pracy widzielibyśmy chętnie pisarza celniejszego, gdyby piórem jego nie stronnicze uprzedzenia, lecz prawda i powaga rzetelnéj umiejętności kierowały. Rozprawa jego należy w istocie do najznakomitszych, jakie ostatniemi laty w ruskiém narzeczu napisano; jednakże przekręcanie faktów historycznych, stronnicze pochlebstwo, a wraz stanowisko nienawistne względem bratniego plemienia, każą tę pracę autora. Oprócz rozprawy ks. Dobrzańskiego zawiera *Przemyślanin* artykuł ks. *Hawryszkiewicza*, pod napisem: „*Początok do ułożenia terminologii botaniczeskoj ruskoj.*" Praca ta dotyka wcale nieuprawianéj dotychczas roli, i musi tém samém wiele do życzenia zostawiać. Głównie to niekorzystnie nas uderzyło, iż znanym, i oddawna już umianowanym roślinom krajowym, ponadawał autor wcale nowe, dowolne nazwy. Obok tego, nazwy roślinne, używane jedynie w obwodach eparchii przemyślskiéj, która jak wiadomo najmniéj czystego typu małoruskiego przechowała, są nam tu podane jako nazwy ogólne, na co się zgodzić nie można. Dodane w końcu poezye, czynią miłe wrażenie, przypominając nam nasze „lata, lata mołodeńki." i tych lat ławki szkolne i *pensa* szkolne, i wieńce szkolne, woniejące tak świeżo z tych zielonych *stichotworeniów*.

Nakładem księgarni Rubena Rafałowicza w Wilnie, wyszły dwa tomy zapowiedzianego prospektem dzieła, p. n.:

„*Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich, prymasów korony polskiéj i Wielkiego księztwa litewskiego, od Wilibalda do Andrzeja Olszowskiego włącznie, opisał Stanisław Bużeński dziekan i oficyał warmiński, kanonik gnieźnieński i krakowski. Z niewydanego dotąd rękopismu łacińskiego na język polski przełożył Michał Bohusz Szyszko; wstęp i wiadomość o założeniu arcybiskupstwa, tudzież o jedenastu późniejszych prymasach, do zgonu księcia Michała Poniatowskiego, dodał Mikołaj Malinowski.*"

Co do autora powyższego dzieła, tłumacza i znakomitego dopełniacza, czytamy w prospekcie wydanym:

„Stanisław Bużeński zmarły w r. 1676, zostawił w rękopiśmie biografią arcybiskupów gnieźnieńskich. Bylto jeden z najczynniejszych mężów stanu, zajmował wysoki urząd rejenta kancelaryi wielkiéj koronnéj, i oprócz głębokiéj znajomości prawa powszechnego i krajowego,

oprócz biegłości w dziejach, słynął między współczesnemi wybornym stylem, mianowicie w języku łacińskim. Jako dziekan kapituły gnieźnieńskiéj, pragnął zostawić jéj pomnik swojéj życzliwości; wiedząc zaś, że historyczna literatura krajowa nie posiadała porządnego zbioru biografii prymasów koronnych: dzieło bowiem Stefana Damalewicza wydane w r. 1649 było wielce niedokładne; z zabytków przeto rękopiśmiennych, czerpanych z archiwum tego najdawniejszego kościoła polskiego, z historyków godnych wiary, i z innych dostępnych dla siebie źródeł, ułożył porządny szereg arcybiskupów. Że zaś pasterze dyecezyi gnieźnieńskiéj byli piérwszemi urzędnikami, a następnie piérwszemi po królach książętami kraju, i przeważny wpływ na polityczne jego sprawy wywierali: w ich żywotach wystawił zupełny obraz dziejów, w ciągu blizko siedmiu wieków istnienia narodu, t. j. od roku 965 do r. 1666."

„Bużeński za życia nie zdążył wydać na jaw tego ważnego dzieła: w połowie przeszłego wieku, kiedy J. A. Załuski zgromadzał zewsząd skarby nieocenionéj swojéj biblioteki, wówczas ocalał i rękopism Bużeńskiego, i znakomity ówczesny uczony Daniel Janocki, podał o nim krótką wiadomość, a Mitzler de Kolaf zamierzał ogłosić drukiem i text łaciński, i skrócenie jego w języku niemieckim. Niektóre okoliczności przeszkodziły doprowadzić do skutku to pożyteczne przedsięwzięcie, i w 30 lat późniéj, gdy biblioteka Załuskich w części roztracona została, zdawało się, że i rękopism Bużeńskiego niepowrotnie zaginął; jakoż uczony Michał Wiszniewski w T. I swojéj Historyi literatury polskiéj, umieścił o nim wzmiankę pod *dziejopisami zatraconemi lub będącemi w rękopiśmie.*"

„Szczęśliwym trafem, zupełny, poprawny, i wybornie dochowany exemplarz całego dzieła Bużeńskiego, znalazł się w bibliotece p. Mikołaja Malinowskiego, który wysoko ceniąc tę piękną i pożyteczną pracę, zachęcił chlubnie znanego w literaturze z przekładów: *Wyznań św. Augustyna*, *Drogi do doskonałości św. Teressy i Pism św. Bernarda*, p. Michała Bohusza Szyszkę, do wytłumaczenia jéj na język polski. P. Mikołaj Malinowski sam zaś okazał pomoc naukową w wydaniu tego dzieła, przez dołączenie wstępu, obejmującego wiadomość o założeniu arcybiskupstwa i biograficznéj skazówki o jedénastu prymasach polskich, aż do zgonu ostatniego, którym był Michał Jerzy Poniatowski, zmarły w r. 1794."

(Całe dzieło składać się będzie z 4 tomów. Cena prenumeraty na miejscu rs. 6, z pocztą rs. 6 k. 50.)

ROZMAITOŚCI.

O poezyi i poetach ludowych we Francyi, Niemczech i Szkocyi.

Czyli istnieje poezya ludowa?—zadanie to nie ulega wątpliwości. Czy istnieją obecnie poeci ludowi?—odpowiedź na to trudna i wątpliwa. Liczba ich nader jest ograniczoną; i nic w tém dziwnego, jeżeli się zastanowimy, jakie zalety i cnoty winien koniecznie posiadać poeta, aby mógł godnie opowiedzieć żywot ludu, przeniknąć jego tajemnice, żyć témże samém co i on życiem; z ilu przesądów i błędów winien się otrząsnąć, ażeby nabyć prawa do przemówienia w imię ludu. Jeżeli poeta nie pochodzi wprost z ludu, jeżeli nawet związany z nim węzłem krwi oddalił się od niego wychowaniem, obyczajami, zwyczajami, słowem atmosferą towarzystwa, w którém obecnie żyje: mamy prawo żądać od niego rachunku z każdego słowa, wyrzeczonego niebacznie z uniesieniem. Ażeby poeta należący do wyższych szczebłów społeczeństwa, nabył moralnego prawa do przemówienia w imię ludu, winien się wprzód dać poznać zaszczytnie na drodze cnoty i poświęcenia w sprawie ludzkości, abyśmy go posądzić nie śmieli, o chęć odegrania roli, i o powierzchowne współczucie dla istot nieszczęśliwych i upośledzonych świata tego. Trzeba, ażeby charakter poety nie dał przystępu najlżejszemu podejrzeniu, aby kłamstwo nie splamiło nigdy ust, z których ma płynąć czysta prawda; trzeba, ażeby życiem całém przekonał nas, że służył wyłącznie dobru i prawdzie, oraz że jego miłość dla ludzkości zupełnie była bezinteresowną. Oto ideał ludowego poety.

Poezya ludowa nie jest bynajmniéj zadaniem artysty; jest ona raczéj zadaniem czarodzieja, wywołującego duchy za pomocą swéj laski. Widziałże kto ryciny starych niemieckich mistrzów Alberta Dürera i Łukasza z Lejdy, w których Chrystus wystawiony jest zstępujący w otchłanie, dla uwolnienia dusz cierpiących, a dokoła Zbawiciela wiją się i snują dziwne poczwary, sprzymierzeńcy grzechu i śmierci.—Oto jest obraz poety ludu! Napotka on niewątpliwie w głębokości, w którą się zapuszcza, dusze jeszcze nieodkupione, wystawione na ciężką walkę ze złem; napotka cnotę wystawioną na pociski występku, jakby Prometeu-

sza szarpanego przez krwawego sępa; napotka żądze czołgające się ponuro po ziemi, jakby roślinę pasożytną wijącą się wzdłuż wilgotnych murów pieczary, zanim ją promień światła obejmie. Na wezwanie poety duch ludu dwojako odpowié: klątwą lub modlitwą, albo żałosném *de profundis*, albo strasznym okrzykiem rozpaczy. Poeta znajdzie wśród ludu dobre i złe idące obok siebie bez hamulca, jaki w wyższéj sferze zwykło nadawać wychowanie. Poeta ludu winien zatém działać bacznie, aby w miejscu dobréj nie uderzyć drażliwéj i bolesnéj struny.

Oto jest główny szkopuł, grożący rozbiciem poecie odzywającemu się w imię ludu. Między tak zwanemi poetami ludu, nie wszyscy są niemi rzeczywiście. Jedni są cieniem Tyrteusza, inni oddaloném echem dawnych proroków; ale jakże mało powiedzieli nam o życiu ludu, o jego niedoli i niewinnych uciechach! Poznali oni obyczaje i zwyczaje ludu, a widząc je zupełnie odmiennemi od naszych, odwrócili się z litością i oburzeniem, krzyczéć poczęli na bogaczów świata, wzywali ratunku i pomocy. Ale rzecz dziwna! sam lud inaczéj zupełnie przemawia, opowiadając swe życie, opiewając obyczaje. Poezye prawdziwe ludowe (te, które nie wyszły zpod pióra uczonego poety) pełne są niepojętego spokoju, tkliwości, naiwnego wdzięku i niezrównanéj słodyczy. Niewinna wesołość przebija w każdym ich ustępie, nie objawiając się bynajmniéj gwałtownie ani gorączkowo: — jest ona raczéj wypływem duszy. Błoga jakaś radość płynie wśród dawnych ludowych pieśni, jakby krew w żyłach naszych, i napełnia je życiem, zdrowiem i siłą. Owa wesołość nie ma w sobie nic zmysłowego; odbija w niéj raczéj dziwna zgoda z życiem, zupełne niém zaspokojenie. Z téj wiary w życie wypływa prawdziwie dobry smak, i delikatność uczucia, tak rzadkie pomiędzy wielkimi nawet poetami. Nie czyńcie zarzutów uczeni za niedokładność i niepoprawność owych pieśni, dowodzą one albowiem jasno, że intelligencya ludu, pozostawiona sama sobie, bliższa jest przyrody, pojmuje lepiéj rzeczywiste prawa bytu, aniżeli intelligencya poety uczonego i literata. Każde uczucie w pieśni ludu jest usprawiedliwione: ćmi je niekiedy smutek i tęsknota, ale te spowodowane są zawsze jakąś nieuleczoną przyczyną: śmiercią, oddaleniem, niesławą. Nic zwłaszcza nie wyrówna tajemniczéj niewinności i słodyczy religijnych pieśni. Dusza i serce topnieć się zdają przed obliczem Boga, jak śnieg nieskażony przed promieniem słońca. Taki jest ogólny charakter wszystkich ludowych pieśni, czylito pochodzą z Niemiec, Hiszpanii, Szkocyi lub Francyi.

Zważmy tylko jak pełne dźwięki lira ludowa wydaje, skoro jéj lud sam dotyka; w ręku uczonego poety poruszenia jéj stają się monotonne. Nie uważam bowiem za pieśni ludowe ballad Goethego i Ohlanda, osnutych wprawdzie na starych podaniach, ale opromienionych gieniuszem wieszczów. Czytaliśmy pieśni, które Goethe wziął za temat do swoich utworów lirycznych; czujemy w utworach Goethego ogólnego ducha Niemiec, ale nie dostrzegamy szczególnych odcieni życia ludu niemieckiego. Poezya ludowa winna mieć zwłaszcza na celu, oddanie wierne życia ludu; gdy tymczasem poeci zamiast tego, dają nam wyrażenie osobistych swych uczuć, własnego natchnienia, stawiając je tylko w ramach rodzinnego życia ludu, i ubierając w swe własne myśli i uczucia obranego

wśród ludu bohatera. Jestto niekiedy wcale zręczna zasadzka literacka, ale to nie stanowi bynajmniéj ludowéj poezyi.

Tyle jest trudności do zwalczenia, aby zostać poetą ludowym, że niepodobna prawie przełamać wszystkich. Ta więc tylko poezya jest rzeczywiście ludową, którą lud sam utworzył. Wielkie gieniusze poetyckie pojęły to dokładnie. To téż nie szło im bynajmniéj o malowanie obyczajów ludu, ani téż wyższych klass społeczeństwa: poprzestali raczéj na wypowiedzeniu wrażenia, jakie życie w ogólności na nich wywarło. Dante, Molier, Szekspir, Cervantes, tworzyli, jeżeli wolno się tak wyrazić, poezyą ludzką i zbierali do tego naprzemiany żywioły z życia społecznego i przyrody. I stali się popularnemi, albowiem malując z zadziwiającą dokładnością serce ludzkie, przemawiają zarówno do wszystkich umysłów. Najwyższą zaletą prawdziwych poetów jest to, że mieli w własnéj duszy głębokie uczucie ludzkości; że nie wdając się w stronnicze spory, ukazywali nam człowieka, w walce z życiem przyjmującego rozliczne warunki bytu, stawiającego czoło zmiennym kolejom losu: w każdéj jednak okoliczności w jakiéj go wystawiają, człowiek zawsze bierze górę nad swém położeniem. Tém się różnią tegocześni pisarze, że w miejscu rodzaju ludzkiego, malują nam excentryczne i oderwane zupełnie jednostki. Wielcy tylko poeci, powtarzam, posiadali głębokie pojęcie ludzkości, jak naprzykład Szekspir.

Liczba poetów ludu jest zatém nader ograniczoną, a w czasach nowszych, dwóch się między nimi mianowicie odznaczyło: Robert Burns i Hebel. Obok nich możnaby jeszcze przytoczyć Allan Ramsay'a i Bürgera. Dwaj piérwsi zasłużyli na imię prawdziwie wielkich, bo pojęli i oddali życie ludu z najdrobniejszemi jego odcieniami. Robert Burns dziecię ludu, wieśniak i rolnik, winien jedynie sprzecznemu losowi, że został prawdziwym poetą ludu.

W ostatnich latach życia, gdy stał się jednym z lwów edymburgskich salonów, postradał w części talent, pod wpływem zbytniego zetknięcia ze światem, i dowiódł jasno, że nie byłby nigdy został wielkim poetą, gdyby był zmuszony wegetować na niewłaściwym sobie gruncie, zdala od ziemi do któréj wrosł uczuciem i nawyknieniem, gdzie się rozwinęły władze jego pięknéj duszy i uczucia tkliwego serca. Przeciwność stała się dlań tarczą od kuglarstwa i literackiego fałszu; jéj tylko winien, że oddychał pełném życiem ludu, i wypowiedział je w cudnych swych rymach:—jéj winien głębokie współczucie dla ludu.

Burns jest prawdziwym poetą ludu, a obok tego jest głębokim filozofem; w nim jak w czarnoksięzkiém zwierciadle, odbija myśl i uczucie ludu. Czytając utwory Burnsa, pojmujemy dokładnie nieskażoną ludu nieśmiertelność. Lud nigdy nie umiera; w nieustającéj pracy kipi jak odwieczne źródło życia, i strupieszałemu światu nadaje świeższe myśli, czyściejsze uczucia. Taka jest przecudna treść sławnéj ballady pod napisem: *Jan Grajn d'orge*. Daremnie srożą się przeciw niemu, daremnie grzebią go w ziemi; Jan pojawia się zawsze, i ucieka przed ich zemstą. Jest jeszcze inny utwór Burnsa, pod napisem: *Wieczór sobotni w chacie*. Tu poeta wprowadza nas do skromnéj szkockiéj lepianki. Po wieczerzy ojciec otwiera biblią i czyta dzieje mężów świętych, którzy

zasłużyli sobie u Boga, że rzucił na nich okiem miłosierdzia, i ludów przewrotnych, które ściągnęły na siebie gniew Wszechmocnego. Tu poeta kreśląc ów obraz, daje nam do zrozumienia, że nadejdzie chwila, gdy Bóg, znudzony kłamstwem i obłudą, schroni się do serc prostych. Gdy religia zapomnianą zostanie na ziemi, gdy imię Boga w bluźnierstwie tylko wymawiane będzie: wówczas duch ludu ostatnim się stanie przybytkiem, w którym przechowa się słowo i imię Przedwiecznego.—Oprócz tych dwóch filozoficznych utworów, wiele jest innych, gdzie poeta opowiada swoje życie, które było życiem ludu, swoje nawyknienia, wypadki wydarzone domowym zwierzętom, śmierć ulubionéj owcy, starość wiernéj klaczy; i nic zrównać nie może tkliwéj prostocie, owéj prawdziwie poetycznéj duszy. Burns nie zminął się nigdy z prawdą. Jako poeta liryczny, często mówił o sobie. Jakiežto otwarte pole do wynoszenia własnych cnót, składając własne winy na zepsucie świata. Ale Burns, nie wmawia nic w siebie: jest zmysłowym i wié o tém, upija się niekiedy, i żałuje tego szczerze, nie czyniąc nikomu wyrzutów. Ma on rozliczne namiętności, ale nie ma cynizmu; umysł jego pełen jest prostoty. Porównajmy naprzykład wyznanie Jana Jakóba Rousseau, gdzie dumny pisarz stawia się przed sądem Boga, zalecając się serca swego dobrocią, z ową modlitwą, w któréj Burns błaga Najwyższego Sędziego przeznaczeń ludzkich, aby oszczędzić raczył tę nędzną mieszaninę dobrego i złego, biedny zlepek utworzony ręką Pana.

Słodki Hebel nie jest tak czysto ludowym jak Burns: ma on ściśle oznaczoną własną samodzielność. Hebel przemawia do ludu językiem naiwnym nianiek i piastunek do niemowląt; przemawia z taką pokorą serca, jakby się dopiéro co ukorzył przed Bogiem, policzył z własném sumieniem, wymiótł z serca wszelką żądzę, duszę oczyścił z wszelkiéj obcéj myśli, którąby nie była czysto ludową. Czytając go zapominamy, że złe istnieje na ziemi;—nie przypuszczamy nawet nazwiska zbrodni i występku. Źli zdają się tu być istotami symbolicznemi, a zepsuci, nikczemni w pomroce bajecznych wieków ludami. Jedno tylko uczucie Hebel z głębokiém wyraża przejęciem, uczucie czysto-ludowe: naiwną radość człowieka dobrego, i naiwną dumę z uznania się takim.

Otóż są dwaj poeci zasługujący rzeczywiście na nazwisko ludowych. Jeżeli się zwrócimy do Francyi, i zasięgniemy piérwszych lat obecnego stulecia, napotkamy Beranżera, który uchodzi za poetę ludu, a który przecież nie jest nim w całém znaczeniu, jaki wyrazowi temu nadajemy. Beranżer jest mianowicie poetą narodowym. Imię jego i dzieła, wiążą się ściśle z nieśmiertelną kartą dziejów:—to mu zapewnia wieczne miejsce w pamięci potomnych. Pomimo barwy polityczněj, żywo odbijającéj w niektórych piosenkach, nie jest on poetą stronniczym. Duch narodowy uchronił go od tego. Wyśpiewał on ogólne wypadki dotykające kraj cały, a nie klęski pojedynczych stronnictw i koteryj. Ze stanowiska politycznego, Beranżer pozostaje nieskażonym. Wyrażał on tylko szlachetne uczucie miłości kraju. Po klęsce pod Waterloo, Francya zwyciężona i znękana, mniemała, że już wszystko dla niéj stracone bez powrotu: oglądała się smutno poza siebie, wspominała z boleścią dawną świetność i chwałę, a zraniona do głębi serca, nie wątpiąc o blizkiéj śmier-

ci, oczekiwała jéj w strasznem i rozpaczliwém przygnębieniu. To bolesne uczucie odbiło się w utworach Beranżera, i stanowi najważniejszą ich zaletę. Uważając go ze stanowiska moralnego, rzecz się ma inaczéj. Z téj strony Beranżer nie zasługuje bynajmniéj na nazwisko ludowego poety.

Przykro zapewne kazić tak niezaprzeczoną sławę, ale prawda powinna iść przedewszystkiém. Beranżer popełnił błąd nieprzebaczony dla poety: zdeptał i sponiewierał najświętsze uczucie miłości. Co do pieśni dotykających religii, tych niepodobna czytać bez oburzenia, a co więcéj, bez głębokiego smutku. Beranżer nietylko że znieważał cnotę ludu, ale nadto lekceważył najświętsze rzeczy, o których jeżeli kto nieszczęściem zwątpi, powinien przynajmniéj najgłębsze zachować milczenie.

Od czasów Beranżera, dążność umysłów inny zupełnie wzięła kierunek, a wśród ogólnego wstrząśnienia pojawiło się mnóstwo nowych utworów z których niektóre zaledwie zasługują na uwagę.

Z młodych poetów piszących w duchu ludu, najzdolniejszym bez wątpienia jest Piotr *Dupont*, autor zbioru pieśni pod napisem: *Muza ludowa*. Poeta w jednéj chwili zyskał niesłychaną popularność, salony i ulice powtórzyły pieśń jego równocześnie.

Pieśni pana Dupont zawarte w jednym tomiku, dzielą się na trzy wcale odmienne rodzaje: na pieśni polityczne, ludowe i fantastyczne.

Pomijając piérwsze, zastanowimy się tylko nad piosnkami ludowemi.

Myśl autora nie jest w nich jeszcze dostatecznie rozwinięta, widzimy ją zaledwie w zarodzie: uczuciom brak jedności. Uczucie i namiętności składające ludzką naturę, nie są tu zlane w jednę doskonałą całość moralną; słowem, samodzielność poety jeszcze się dostatecznie nie wykształciła. Czémże jest bowiem samodzielność poety?—jest połączeniem umiejętném, sztucznem, wszystkich władz duszy, wyrobieniem uczucia i namiętności. Pan Dupont nie doszedł jeszcze do tego stopnia. W utworach jego podziwiamy wzniosłość, delikatność, zręczność zwrotów, ale nie ma ogólnéj myśli, którąby jednoczyła owe oderwane zalety. Trudno mu zaprzeczyć poetycznego uczucia, ale brak mu dostatecznego rozwinięcia. Przyszłość dopiéro okaże do jakiego stopnia zakwitnie jego talent. Niektóre oderwane zwrotki zadziwiają nas prawdziwym urokiem świéżéj poezyi. Zważmy naprzykład zwrotkę do jagody:

„O jagodo! poeta łaciński dałby ci dojrzéć na łonie Wenery, albo na łonie swéj kochanki. Co do mnie wolę cię widzieć tam, gdzie ci błogo i dobrze: w cieniu zarośli, kędy słowiki tkliwą miłość opiewają bez końca."

Oto inna zwrotka do piosenki, pod nazwiskiem *przetacznik*:

„Tkliwe kwiateczki, ofiary zwiędłe, wracacie nam zdrowie; w waszym się skromnym kielichu, niebieski błękit odbija. Wy wśród dąbrowy kwitnijcie dla tych serc prostych, które wśród ziemskiéj pielgrzymki drobnych szukają kwiateczków."

Co chwila w zbiorze pana Dupont natrafiamy na znakomite ustępy, ale obok tego widzimy co chwila lekkie skazy. W wielkich poetycznych utworach byłoby to do przebaczenia, gdy tymczasem w krótkich liryczTom II. Kwiecień 1852. 21

nych piosenkach, mamy prawo wymagać, obok natchnienia, doskonałości formy. Ta stanowić powinna największą ich zaletę.

Myśl pana Dupont najczęściéj jest szczęśliwą, ale wykonanie niezawsze jéj odpowiada. Uważaliśmy naprzykład między innemi pieśń pod napisem, *Zabójca łwów*. Piérwsza myśl zawiera piękny zaród ludowego poemaciku. Ów żołniérz afrykański, który lat kilka temu, opuściwszy wioskę rodzinną, walczyć musiał nietylko z ludem nieprzyjaznym, ale nadto i z dzikim zwierzem, wracający do domu z lwią skórą, godłem odniesionego zwycięztwa, nie jestże stosownym przedmiotem do tkliwéj ludowéj pieśni? Przygody jakie opowiada zgromadzonéj przy ognisku rodzinie i sąsiadom, pełne są same przez się poezyi, niemniéj jak niegdyś opowiadania hiszpańskich i portugalskich majtków XVI wieku. Dodajmy do tego dowcipne uwagi słuchaczy, dumę staréj matki i ojca, uszczęśliwionych z powrotu syna; nie byłżeto przedmiot godny nowoczesnéj ludowéj pieśni? Nieszczęściem poeta zbyt łatwéj szuka drogi: zaniedbuje zupełnie stronę dramatyczną w swych pieśniach, a nawet i legendach. Poprzestaje tylko na opisach. Poezya wymaga tymczasem, aby poeta stłukł zewnętrzną łupinę, a ukazał nam sens moralny. Tak i w piosnce pod napisem *Morze*, oczekiwaliśmy uczuć i myśli obszernych i głębokich jak przedmiot, który nam poeta stawia przed oczy; znaleźliśmy tylko opis geograficzny i rozbiór chemiczny soli morskiéj. W pieśni pod napisem *Tkacz*, pełnéj zajmujących szczegółów, poeta opowiada nam w jakiéj porze zbierają się konopie, jak się płótno bieli, i na jaki użytek służy ludzkości. Wszystko to mało nas zajmuje: wolelibyśmy raczéj widzieć tkacza przy swéj pracy, radzibyśmy odgadnąć jaka myśl przewodniczyła mu przez lat tyle, gdy puszczał swobodnie czółenko po postawie, jak się wyrobił jego umysł pod wpływem jednostajnéj pracy; słowem, należało nam wskazać moralną stronę życia człowieka. W balladach pana Dupont mało jest także dramatyczności. Dwie tylko legendy zasługują na uwagę: *Luidory*, i *Podkowy*.

W zbiorze tym pieśni sielskie są rzeczywiście znakomite. P. Dupont oddał doskonale najwydatniejszą stronę życia ludu, jego niewinną wesołość. Dusza ludu zda się przemawiać w ślicznych piosenkach: *Pies pasterza, matka Johanna, woły, mój osiołek, moja winnica*. Widzimy tu skromność obok prostoty, dobroduszność w miejscu grubijaństwa, słowem, łatwość niepospolitą. W piosenkach tych przebija niewinna wesołość, owoc życia cichego i pracowitego. Autor oddał umiejętnie owę błogą rozkosz spoczynku, po całotygodniowéj pracy. Żadném lekkomyślném i zbyt śmiałém słówkiem nie obraził prostych a rzewnych uczuć wieśniaka. Tak, sąto rzeczywiście pieśni ludu pracowitego, szczęśliwego równie w pracy, jak w spoczynku. Z drugiéj strony pan Dupont umié doskonale oddać wdzięk niewieści, niewinną zalotność wieśniaczek; z najdelikatniejszemi odcieniami opisał on owo dziewczę przeglądające się w czystéj krynicy jak w zwierciedle, owę niewiastę śpiącą spokojnie przy księżycu z koszykiem na ręku, pomiędzy brukwią i kapustą na paryzkim targu. Jest zwłaszcza piosenka pod napisem: *Taniec wieśniaczek*, którą uważać można za arcydzieło w swoim rodzaju.

Po przeczytaniu tomiku pana Dupont ta nam się nasuwa uwaga: że autor stanął właśnie na najtrudniejszéj drodze, tojest na drodze przejścia. Nabył on już tyle nauki i wiadomości, że mu niepodobna pozostać dłużéj instynktowo naiwnym; nie ma ich tyle, aby zastąpić czém inném owę skromną zaletę: ztąd wypływają niekiedy uczucia fałszywe i myśli sztuczne. Wytrwała praca, głębokie zbadanie sztuki, mogą na to jedynie zaradzić. Zaniedbanie nie wróci mu już pierwiastkowéj prostoty, a wiedzieć o tém powinien, że w poezyi nadewszystko nie ma środka pomiędzy zupełną niewiadomością, a doskonałém i wszechstronném zbadaniem wszystkich tajników sztuki.

Po panu Dupont, możnaby przytoczyć jeszcze kilka innych talentów, pomiędzy któremi odznacza się imię p. *Lachambeaudie*. Akademia uwieńczyła jego bajki, publiczność czytała je z upodobaniem.

Bodajby ci wszyscy, którzy chcą stać się tłumaczami ludu, którzy dobijają się o zaszczyt popularności, poprzestać zechcieli na wypowiedzeniu nam dolegliwości ludu, na wyśpiewaniu jego cnót; ale w imię Boga niech nie stawiają własnych uczuć w miejsce uczuć ludu, własnych żądz i namiętności, w miejscu żądz i namiętności ludu. Niechaj uszanują lud, bo pochodzenie jego dawne i wysokie. Lud powstał rzeczywiście wraz z chrześciaństwem; odtąd znalazł organ w swoich pieśniach, bo poezya ludowa nieznaną była w starożytności. Szanujcie więc cnoty ludu, a nadewszystko nie uczcie go kłamstwa: społeczeństwo ludzkie płynie daléj drogą przeznaczenia; ale kiedy w narodzie lud kłamać poczyna, wówczas naród zginąć musi, bo nie ma środka na uleczenie rany, gdy zepsucie przechodzi w krew i kazi najżywotniejsze źródło życia. Niechaj więc poeci ludu zapytują sami siebie, czyli chcą być podnietą do powszechnego upadku, czyli też przeciwnie zechcą poprzestać na natchnieniu ludowi uczuć wzniosłych, czystych i bogobojnych.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

P. Dessaignes udzielił Akademii Umiejętności paryzkiéj następną ciekawą wiadomość.

PP. Lassaigne i Chevallier już dawniéj oznajmili, że w roślinie żyjącéj zwanéj psia łoboda (*Chenopodium vulvaria*), znajduje się węglan amonii. Podobieństwo pomiędzy zapachem téj rośliny, a jedną z zasad amoniakalnych z szeregu odkrytych przez Wurtz'a, Anderson'a i Wertheim'a, chcemy mówić o *propylaminie*: kazało przypuszczać już od dwóch lat, że to alkali może się znajdować w chenopodium. Zebrawszy w tym roku znaczną ilość powyższéj rośliny, zaczął P. D. robić doświadczenia, a skutek potwierdził jego przewidywanie. Przepędzał różnemi czasy w alembiku około 40 kilogramów rośliny, jużto z słabym roztworem potażu gryzącego, już też z rozciekiem węglanu sody. Wypadek z przepędzenia nasycał kwasem solnym, i parował do suchości, potém na to nalewał stężonego wyskoku, który zostawił znaczną ilość nierozpuszczonéj soli amoniakalnéj. Do roztworu wyskokowego dodawał chlorku platyny, osad ztąd utworzony przemył wyskokiem, i rozpuszczał w małéj ilości wody gorącéj; ztąd za ostudzeniem powstały wielkie kryształy czerwono-pomarańczowe soli podwójnéj platynowéj i zasady żywotnéj (organicznéj), które przez nowe przekrystalizowanie oczyszczono z małéj ilości chlorku platyny amoniakalnego, w nich jeszcze znajdującego się.

Propylamina gotowa, znajduje się w żyjącéj roślinie jednocześnie z amonią. (*L'Institut z 1 Octobre 1851 r.*).

* Na posiedzeniu Akademii Umiejętności paryzkiéj w dniu 17 listopada r. z. czytał P. Ebelmen rozprawę obejmującą dalszy ciąg poszukiwań tyczących się krystalizacyi drogą suchą. Ważniejsze opisy z téj pięknéj pracy przytaczamy.

W dwóch poprzednich rozprawach z których wyimki były zamieszczone w Bibliotece Warszawskiéj, p. E. skreślił nowy sposób krystalizowania drogą suchą, za pośrednictwem którego, otrzymać można w doskonałych kryształach wiele ciał podobnych naturalnym minerałom, a z tych pewna liczba stanowi kamienie rzadkie i kosztowne. Ciała zaś rozpuszczające w powyższych doświadczeniach, które zarazem ulatniały się przy dłuższém działaniu mocnego ciepła, były natury kwaśnéj; stanowił je bowiem kwas borowy, borax, i fosforany alkaliów kwaśne. Późniéj sądził p. E. że postępowanie to może w nowy sposób być rozwinięte, i poprowadzić do innych zastosowań, a to przez użycie zasad, za istoty rozpuszczające, np. alkaliów. Wiadomo, że te ciała (alkalia) otrzymać można jako ciekłe w cieple, które łatwo wydają nasze piece, i ulotnić całkowicie w otwartych naczyniach w mocnym ogniu. Doświadczenie polega głównie na tém, aby rozpuścić pierwiastki ciała, które chcemy skrystalizować, w krzemianie mającym znaczną ilość alkali; to zaś wszystko mocno ogrzać w piecu np. porcelanowym; wtedy nadmiar alkali się ulotni, a kryształy utworzą się wpośród massy szklistéj roztopionéj. Koniecznie zaś potrzeba krzemionki, aby roztop był przyzwoicie gęsty, i aby utworzył się krzemian topliwy, wśród którego dopiero mogą powstawać kryształy z wyrazistością żądaną.

Tym sposobem p. E. otrzymał wiele związków nietopliwych: pomiędzy któremi przytacza perydot biały w kryształach pięknych, tytan rutyl, tytanian wapna, czyli perowskit; oraz glucynę w tak wyraźnych kształtach, że można je było oznaczyć goniometrem. Kryształy rutylu otrzymane przez P. E. były przezroczyste, pięknie czerwone, zupełnie podobne kryształom naturalnym.

W drugiéj części swéj rozprawy P. E. wskazuje zasady i niektóre zastosowania, innego sposobu krystalizacyi drogą suchą, tojest przez osadzanie. Wiadomo, że otrzymuje się drogą mokrą znaczną liczbę niedokwasów metalowych, przez osadzanie ich z roztworów solnych za pośrednictwem mocniejszéj zasady. Te niedokwasy opadają częstokroć w związku z ciałem osadzającém, lub też innym niedokwasem, który jednocześnie znajduje się w roztworze. P. E. sądzi, że podobny sposób mógłby być zastosowany w robotach drogą suchą, podstawiając w miejsce roztworów wodnych, krzemiany lub borany topliwe. Oto są wypadki, które otrzymał na tém nowém naukowém polu.

Przez działanie wapna w dużych kawałkach na boran magnezyi, osadza się magnezyą w postaci kryształów przezroczystych twardych jak feldspat; przez kwas siarkowy przekonano się, że były utworzone z zupełnie czystéj magnezyi. Sposób, który posłużył do otrzymania magnezyi, może być w ogólności zastosowany do skrystalizowania niedokwasów pierwszych niklu, kobaltu i manganezu. (*L'Institut 19 Nov. 1851*).

* *Jod w powietrzu.* Już dawniéj w Bibliotece Warsz. podaliśmy ciekawe odkrycie p. Chatin tyczące się jodu w powietrzu, które późniéj się potwierdziło; dzisiaj tylko dodamy, że podług doświadczeń tego chemika, jod nie we wszystkich okolicach znajduje się w powietrzu w jednakowéj ilości; tak np. w okolicach Sekwany znalazł go p. C. więcéj niż

w okolicach Rodanu. W ogóle w miarę zbliżania się do Alp, powietrze zawierało mniéj jodu. (Treść z powyższego numeru *L'Institut*).

* *Amigdalina.* Pierwiastek ten natrafiony został w wielu roślinach, szczególniéj wydających owoce jabłkowate, jakoto z pospolitych: w korze jarzębiny, w bardzo młodych wypustkach głogu, w późniejszym czasie nie masz jéj w żadnéj części téj rośliny; we wszystkich częściach śliwy czeremchy, i t. p. Nie odkryto zaś jéj wcale w częściach zielonych, ani korzeniach wiśniny, chociaż w pestce owocu (wiśni), znajduje się. (Treść z pisma *L'Institut* z 26 *Nov.* 1852).

* *Nowy kwas znaleziony w płucach.* P. Dumas przedstawił Akademii Umiejętności paryzkiéj opis nowego kwasu, który p. Verdeil miał znaléźć w płucach. Kwas ten krystalizuje się, a z zasadami tworzy także sole krystaliczne. W części zaś był on tam w stanie wolnym, a w części połączony z sodą. Powyższy kwas ogrzewany wyżéj nad 100° C. rozkłada się, i wydaje ciała przypalone; pozostaje zaś węgiel mający znaczną objętość, który późniéj niknie bez śladu popiołu: rozpuszcza się (ten kwas) w wodzie, nie rozpuszcza w zimnym tylko w wrzącym wyskoku. Składa się zaś z węgla, wodorodu, saletrorodu, siarki i kwasorodu w stosunkach oznaczonych. Kwas płucowy wydaje z zasadami sole krystaliczne, a z węglanów wypędza kwas węglowy. (Treść z *L'Institut* z 4 *Decembre* 1851).

* *Ciało zielone roślinne.* Jeszcze jednę pracę p. Verdeil przedstawił p. Dumas Akademii Umiejętności paryzkiéj; tyczy się zaś ona barwnika zielonego roślin, a co jest szczególniejsza, że ten barwnik ma posiadać wielkie podobieństwo do pierwiastku czerwonego krwi.

Ciało zielone, które się otrzymuje z wielu roślin za pośrednictwem wyskoku lub eteru, uważane było za istotę roślinną nazwaną chlorofillą; czyli za żywicę roślinną zieloną. P. V. donosi iż przekonał się, jakoby ta żywica zielona była mieszaniną tłustości zupełnie bezbarwnéj, mogącéj się skrystalizować, z barwnikiem mającym największe podobieństwo do pierwiastku czerwonego krwi. Barwnik roślinny zawiera jak barwnik krwi, znaczną ilość żelaza. Tym więc sposobem pierwiastek ubarwiający krew zwierzęcą, jest podobny do pierwiastku barwiącego roślinnego. (Treść *L'Institut* z 24 *Decem.* 1851).

* P. Schoenbein śledząc działanie kwasu drugiego siarkowego (acide sulfureux) na barwniki roślinne, okazał: 1) że barwniki błękitne i czerwone wielu kwiatów i owoców, tworzą z kwasem drugim siarkowym związki bezbarwne; 2) że barwniki żółte zawarte w kwiatach, nie doznają zmiany od tego kwasu; 3) że indygo (indycht) błękitne, czerwień kaktusowa, żółta barwa jedwabiu, bieleją od kwasu drugiego siarkowego, w skutku działania jego kwasorodu. Ztąd wynika, że odbarwianie jestestw organicznych przez kwas drugi siarkowy może pochodzić albo z utajania się barwnika przy tworzeniu się związku bezbarwnego; albo też ze zniszczenia barwy. Rozprawa niniejsza czytana była na posiedzeniu towarzystwa helweckiego nauk przyrodzonych w Glaris. (Treść z *L' Institut* z 31 *Decembre* 1851 r.). *J. B...a.*

HISTORYA NATURALNA.

Zoologia.

Dumóril, *O temperaturze w płazach* (czyt. na posiedz. Tow. filom. par. d. 15 grud. 1849). Dotychczasowe badania autora ściągają się tylko do żab i do wężów. Temperatura w wewnętrznych organach żab, wyższą jest niż w otaczającym te zwierzęta środku; wszakże ta stała różnica jest tylko bardzo mała, gdy ją uważamy w okolicznościach nie czyniących znacznego uszczerbku przyrodzonemu sposobowi życia tych zwierząt. Nigdy ona nie przeniosła $^1/_2{}^0$ Cent. w innych przypadkach ledwie dochodziła $^1/_4$ lub $^1/_5{}^0$. Przeniósłszy żaby z wody letniéj 14 do 15°, w jakiéj się te płazy w menażeryi zwykle utrzymują przez czas zimy, do wody na 8 do 6°, temperatura w nich znacznie się zmniejszy, bo co piérwéj miały 15 do 16°, w drugim razie ledwie $8^2/_3$, a nawet tylko 8° okażą. W ciągu 1 godziny i 50 minut, przez które doświadczenie trwało, wprowadzony do kloaki termometr, mimo to zniżenie, wciąż okazywał temp. wyższą, niż inny w wodzie zanurzony. Ostateczne punkta téj różnicy, były $^1/_4$ i $2^1/_6{}^0$, ale zazwyczaj utrzymywała się pomiędzy $^3/_4$ a $2^1/_6{}^0$. W największém ostygnieniu wody, żaby najsilniéj opierały się ziębnieniu, tak, że nawet jeszcze nieco ciepła wyrabiały w sobie. Maxymum $+8^2/_3{}^0$ okazywało się rzeczywiście tylko wtenczas, kiedy woda z $+8^0$ na $+6^4/_5$ albo $+6^1/_2{}^0$ spadła.

To przekonywa, że żaby mają zdolność utrzymania w sobie temperatury nieco wyższéj niż w otaczającéj je cieczy, lubo i małe zniżenie się temperatury w téjże cieczy, przywodzi oraz do zniżenia i temperaturę tych zwierząt. Przy czynieniu doświadczeń należy być bardzo uważnym, ażeby żab nie ocieplić, bo chociaż, nawet przy wysokiéj temperaturze środka, temperatura żab, jak to wiemy z doświadczeń które F. Delaroche czynił, do pewnych przywiązana jest granic, może ona przecież zrównać się z temp. środka, jeśli ten nie przechodzi 26° a zupełném ponurzeniem zwierząt zapobiegnie się parowaniu z płuc i ze skóry.

Chociaż także i wężów temperatura niższą jest niekiedy jak w otaczającém je powietrzu, jeśli to między 20 a 30° wynosi, w pewnych jednak okolicznościach może się ona z pomienionemi temperaturami powietrza zrównać, a z 16 przypadków było 7, w których ona ją o niecałe 1, czyli o $1^1/_4{}^0$ przewyższyła. Różnica ta wszakże o wiele jest mniejszą, od téj którąby według jednego postrzeżenia Huntera przyjąć wypadało. Znalazł on bowiem temperaturę żołądka i kloaki u zdrowéj żmii o $5^1/_2{}^0$ wyższą, niż w otaczającém powietrzu.

Temperatura wężów w godnéj uwagi zależności z temperaturą powietrza zostaje. Gdy np. położ dusiciel obwinie się wkoło pieńka znajdującego się w jego klatce, i w tém położeniu, tyleż od drucianego wierzchu jak i od dna (części najcieplejszéj, bo tamtędy rury ogrzewającego kanału przechodzą) klatki oddalony, przez dłuższy czas pobędzie, wtedy znacznie się wyziębi. Temp. téj środkowéj części klatki niższą jest

o 1 do 3° od temp. dna, a wąż okazał w dwóch przypadkach tylko o 1/3 i 3/4° wyższą, w jednym równą, a w jednym prawie o 2/3° niższą.

Ale gdy zwyczajne węże wodne *(Coluber natrix)* wniesiemy w temp. daleko wyższą od téj w któréj się zwyczajnie utrzymują, opierają się one temu ciepłu tylko nader niedoskonale. Można je, bez uszkodzenia, w suchém powietrzu aż do 39 1/4° ogrzewać; wyżéj ogrzane umierają. Jeden wtedy zdechł, gdy wewnętrzna temp. jego do 41°, drugi gdy do 40 1/3° doszła. Temp. otaczającego powietrza dochodziła w piérwszym przypadku 45, w drugim 47°. Wszakże ciepło wilgotne znoszą wężowate gady lepiéj, niżeli suche: oddychanie jednego z tych zwierząt najmniejszego nie doznało uszczerbku, gdy je trzymano w wodzie do 44° ogrzanéj, w któréj temp. węża doszła zwolna do 42 1/2°, i wtedy dopiéro zdechł. Węże przeto nie mogą temperatury otaczającego je środka tak wytrzymywać jak żaby, których znakomitą pod tym względem siłę F. Delaroche w swoich doświadczeniach okazał, a co wynika z odmiennego usposobienia ich okrycia. U wszędzie łuskami pokrytych węży wyziewanie musi być daleko mniejszém, niżeli u żab na których skóra jest całkiem naga.

Linienie sprawia u jutrzyn *(Python)* małą tylko różnicę temperatury, która się wtedy stosunkowo do otaczającego środka zniża.

Przeciwnie, trawienie bardzo znacznie podwyższa temperaturę jutrzyn, w porównaniu z temp. otaczającego środka. Wyższość ta zwyczajnie 2 do 4° dochodzi. Przedłużając postrzeżenie wyraźniéj jeszcze ten fizyologiczny fakt widzieć można, bo temp. dochodzi do maxymum, od którego potém znowu się powoli wraca do stopnia od jakiego podwyższać się zaczęła.

Zresztą, podwyższanie się temperatury następuje w dość niemierzytelny sposób, bo niekiedy we 24, a niekiedy dopiéro w 66 godzin dochodziło do maxymum. Nie zdaje się ażeby tu różnica czasu szła za większą lub mniejszą pożywienia wziętego ilością. Podwyższanie się następuje dosyć nagle, a nie łagodnemi przejściami. *(T.* 1850, *nr.* 94 z *Institut*, 9 *janv.* 1850).

✱ *O szylkrecie z Celebes* (1). Pomiędzy szacownemi towarami które nam śmiali i przemyślni Bugijczycy corocznie z Celebes i innych na wschód położonych wysp dowożą, jedno z piérwszych miejsc zajmuje szylkret. Ilość jego wprowadzana do Singapore przechodzi niektórych lat 13,000 funtów, a spada czasem niżéj 7,000 funtów, tak że w przeciętciu 10,000 funtów wynosi. P. Vosmaer udziela nam następujących wiadomości o sposobie w jaki Orangbaje, którzy południowo-wschodni półwysep Celebes zamieszkują, szylkret zbierają.

Orangbaje rozróżniają cztery główne gatunki szylkretu, nazywając je *Kulitan*, *Akung*, *Boko* i *Ratu*. Piérwszy jest najwyżéj szacowany i pochodzi z żółwia tartarugowego *(Chelonia imbricata)*. Skorupa górna tego żółwia składa się z 13 pól, z których 5 są na linii pośrodkowéj, a po 4 na każdym boku Oprócz tego brzeg obsadzony jest 25 wązkiemi polami,

(1) Z *Verhandelingen van het Bataviaasch Genootschap van Kunsten en Wetenschappen*, Vol. XVII, p. 1.

znanemi pod nazwiskiem nogowego albo nosowego szylkretu. Cena szylkretu ustanawia się według wagi i jakości głowy, pod którémto nazwiskiem rozumié się cała skorupa grzbietowa zwierzęcia.

Skorupa z białemi i czarnemi, stykającemi się z sobą plamami, jeśli te na obudwu jéj stronach o ile można symetrycznie są rozłożone, w mniemaniu Chińczyków uchodzi za najpiękniéjszą, i takie chciwiéj oni zakupują niżeli czerwonawe i raczéj marmoryzowane niż centkowane, które mniéj białego, czyli, według zdania Chińczyków, mniéj przyjazny rozkład kolorów mają. Chińczycy przywiązują niekiedy nadzwyczajnie wielką wartość do tak nazwanych głów białych, za które niesłychane summy płacą. Odróżniają oni w tym gatunku wiele znowu odmian, które się nie dają opisać bo różnice polegają częstokroć na cechach uchodzących oczu Europejczyka. Uczynię więc jednę tylko pod tym względem uwagę, że głowa, pomienione przymioty mająca, któréj tarcze przedstawiają wiele czystéj białości, tak, że zewnętrzny brzeg każdéj na 2 do 3 palce szeroko jest zupełnie biały, a któréj waga 2½ Cattie wynosi (własności których połączenie bardzo rzadko się trafia), płaci się 1,000 i więcéj złotych (à 4 złp.). Szylkret nogowy cały do Chin idzie. Gdy obiedwie tylne sztuki dobrze są zachowane i ¼ Cattie ważą, co bardzo rzadko się zdarza, można je na 15 złotych i więcéj szacować. Cała tarcza zwierzęcia rzadko więcéj nad 3 Cattie waży, lubo utrzymują że bywa okaz do 4 i 5 cattij ważący. Wyjątkowo także trafiają się tarcze nie dzielące się na pola, tylko jedyny równy pancerz tworzące. To rzadkie sztuki Orangbaje zowią *Lojong*.

I z *akungu* daje się czasem *kulitan* wykroić, ale za taki mniéj się zawsze płaci, bo skorupa jest cienka i w ogólności nie tak dobra.

Boko jestto ten sam szylkret, który Malajczycy nazywają *Panju*. Pochodzi on ze zwyczajnego żółwia morskiego (*Chelonia mydas*?) który tylko jako materyał pokarmowy ma swoję wartość. Do tegoto gatunku należą *Panjubui*, tak nazwane bardzo grube tarcze zwyczajnego żółwia morskiego, lecz które nie wydają dobrego szylkretu. To samo rozumié się i co do *Akung-Boko*, który tylko w tém od zwyczajnego *Boko* różni się, że głowa (skorupa górna) jest daleko większa.

Nakoniec *Ratu* jest gatunek odznaczający się wielkością, a Orangbaje utrzymują, że zwierzę z którego pochodzi, jest zazwyczaj dwa razy większe niż najtęższy żółw z gatunku z którego się *Kulitan* otrzymuje: tak, że trafiają się okazy 5 do 6 stóp i więcéj długości mające.

Orangbaje łowią żółwie zazwyczaj *hadungiem*, harpunem i siecią, a najprostszy sposób jest napadać na samice wtedy, gdy dla zniesienia jaj z morza powyłażą. Mieszkańcy brzegów prawie wyłącznie w ten ostatni sposób zdobywają żółwie. Przewraca się tylko zwierzę na grzbiet, a że ono nie może samo powstać na nogi, musi zatém leżéć na miejscu. Niekiedy też dostaje się żółw w ściany sieciowe zastawione na ryby, a nie mogąc się z nich wyplątać, w najostatniejszą chwyta się przegrodę.

Jak tylko Orangbaje żółwia złapią, natychmiast go zabijają, uderzając kilka razy w głowę. Wtedy zdzierają z niego górną skorupę, ja-

ko tę zwierzęcia część, o którą im najwięcéj idzie. Że zaś ona tak mocno trzyma się ciała, że łatwo mogłaby być uszkodzoną, gdyby była zdzierana ze świeżo zabitego zwierzęcia, czeka się więc z tą czynnością zazwyczaj trzy dni, po których upłynieniu miękkie części są tak zepsute, iż skorupa łatwo się odejmuje. Jeśli ma być zaraz po zabiciu odjęta, uskutecznia się to za pomocą ukropu, a niekiedy użyciem ognia który że łatwo uszkodzić może szylkret, używają więc tego środka tylko nieznający wartości szylkretu. (*Id. nr.* 35 *Annals & Mag. of nat. hist. nr. XXII, Oct.* 1849.)

* R. W. Gibbes, O kopalnym rodzaju *Basilosaurus*. (1) Zpomiędzy paleontologicznych odkryć w nowszych czasach, nadewszystko szczątki olbrzymich jaszczurkowatych płazów i zwierząt ssących wielorybnych, uwagę geologów zajęły.

W roku 1832 opisał dr. Harlan nadesłany sobie przez sędziego Bry, znaleziony nad brzegiem rzeki Wachity, ogromny kręg 40 funtów ważący, na którym oparł nowy swój rodzaj w gromadzie *Enalisauri* Conybeare, *Basilosaurus* go nazwawszy. Później otrzymał od sędziego Creogh w hrabstwie Clark państwa Alabama, ułomki podobnegoż kręga wraz z innemi kościami, które widocznie do tegoż należały zwierzęcia, a które w swoich *Medical and physical Researches* obszernie opisał i wyobrazić kazał.

W r. 1835 prof. Agassiz odwiedzając Anglią, spostrzegł tam w muzeum uniwersytetu w Cambridge osobliwy ząb, którego wizerunek podał jeszcze Scilla (2). Uznał go za ząb ssącego zwierzęcia i wkrótce potém opisał w Walentyna Repertoryum do anatomii i fizyologii, pod nazwiskiem *Phocodon*.

W r. 1840 wydał Grateloup w Bordeaux „opisanie ułomka szczęki nowego kopalnego rodzaju płazów jaszczurkowatych, blizkiego rodzaju *Iguanodon*." Ułomek ten znaleziony był w Léoguan, kilka godzin na południe od Bordeaux, w grubym eoceńskim wapieniu. P. Grateloup wątpliwość miał czy zwierzę wielorybném, czy jaszczurkowatém uznać, i skłonił się naostatek do poczytania go za ziemnowodny płaz, mięsożerne morskie zwierzę trzeciorzędnego peryodu, tworzące ogniwo pomiędzy jaszczurkami a żarłaczami, dla którego nazwisko *Squalodon* utworzył.

W r. 1839 dr. Harlan posłał swój okaz professorowi Owen do Londynu, który zawyrokował że zwierzę nie należy do jaszczurkowatych, tylko jest wielorybnem. Mikroskopna budowa zębów okazywała jasno, że do ssącego należały zwierzęcia, lubo nie miały polewy, co tylko u małéj liczby zwierząt ssących bywa. Prof. Owen ogłosił wizerunki zębów, ale te zęby, jak się później okazało, były niezupełnemi, bo im polewy i części korony niedostawało (3).

(1) Memoir on the fossil genus Basilosaurus with a notice of specimens from the Eocene Green sand of South Carolina, by Robert W. Gibbes. Esq. *Philadelphia* 1847.
(2) De corporibus marinis, 1747, Tab. XII fig. 1.
(3) Transactions of the geolog. Soc. of London, Vol. VI.

Postrzegł, że bark zbliżał się bardziéj do zworza ssących zwierząt, niżeli do jaszczurkowatych płazów: zęby, które dwoma korzeniami w wyraźnych alweolach tkwiały, miały w swojéj budowie mikroskopnéj wiele podobieństwa do zębów u dugonga i u kaszelota. Owen tedy oświadczył, że *Basilosaurus* był zwierzęciem wielorybném, które pomiędzy kaszelotem a gatunkami ziołożernemi środkowało. Osobliwy kształt poziomego przecięcia zęba spowodował go do nazwania rodzaju *Zeuglodon* (jarzmozęb), a z powodu powinowactwa z wielorybnemi, nazwał gatunek *cetoides*.

W r. 1843 otrzymał p. S. B. Buckley w Nowym Yorku większą część skieletu jednego z tych ogromnych przedpotopowych zwierząt, z hrabstwa Clark w państwie Alabama. Opisał te szczątki w Sillimana *American Journal* (kwiecień 1843 i lipiec 1845). Znajdują się one teraz w posiadaniu dra. J. C. Warren w Bostonie. Prof. Emmons podał ich opisanie, do *Quaterly Journal of agriculture and science* (lip. 1845 i kwiecień 1846), i przekonany jest że należą do tegoż samego gatunku, co szczątki przez prof. Owena badane. Składają się one z szeregu kręgów 65 stóp długiego, z uda, z barka, z łokcia i z sprychy, z ułomka łopatki i miednicy, z kilku żeber, kilku kostek z przegubu pokrętowego, z obudwu końców szczęki dolnéj, przedniego końca górnéj i t. d.

Jestto największe zgromadzenie kości tego zwierzęcia jakie dotąd znaleziono, oprócz tych, które p. Koch w rozmaitych miejscach na widok wystawił, jako szczątki jednego i tegoż samego, na tém samém miejscu wynalezionego kopalnego zwierzęcia, które on mylnie *Hydrarchus* nazwał (1). Większa część (jeśli nie wszystkie) tych olbrzymich kości należą do *Zeuglodon*, a p. Koch sam się późniéj przekonał, że jego *Hydrarchus* nie czém innem jest, tylko *Zeuglodon*, co następnie przez p. Wymana w Bostonie, i przez prof. Müllera w Berlinie całkowicie zatwierdzoném zostało. Naostatek p. Lyell, dr. Lister (w państwie Alabama) i dr. Dickeson, który niedawno w tém państwie geologiczne badania czynił, w przekonywający sposób okazali, że *Hydrarchus* p. Kocha z bardzo rozmaitych miejscowości zniesiony został.

Mam w moim zbiorze wielki kręg, darowany mi przez p. Cooper z Claiborne w państwie Alabama, i będący tym samym okazem, o którym dr. Buckley w *American Journal, July* 1846, wspomina. Jest on 18 cali długi, a płaszczyzny zestawienia mają 1 stopę w średnicy. Chociaż nieco obłamany, waży on 65 ½ funtów. Otrzymałem z nim kilka ułomków żeber, które się zdają należéć do tegoż gatunku, co opisane przez dra. Harlan i professora Emmons.

Niedawno miałem sposobność badania czaszki małego *Zeuglodona*, którą prof. Lewis R. Gibbes w Charleston znalazł. Opisał ją prof. Tuomey w *Proceedings of the Academy of Philadelphia* Febr. 1847. Czaszka ta nowy stanowi dowód, że prof. Owen miał słuszność, gdy zwierzę do wielorybnych zaliczył: uderzające jest bowiem podobieństwo jéj do czaszki delfina. Prof. Tuomey uznaje ją za czaszkę zwierzęcia młodego, wszakże stałość kości i zęby, jako też całkowite rozwinięcie

(1) Zob. Bibl. Warsz. 1845, IV, 443, i 1848 II, 205, IV, 202.

polewy, przeciw temu mówią. Odkąd otrzymałem Grateloupa opisanie i wizerunek *Squalodona*, zdaje mi się, że ten *Zeuglodon* i *Squalodon* jestto jeden gatunek, bo tak u znalezionego w Charleston jak i u znalezionego w Léognan okazu, zęby są cieńsze, ich korony bardziéj stożkowate, a zęby piłkowate stoją bardziéj pionowo, ich karby są więcéj płaskie, szyja zaś przy wprawieniu w alweolę węższa niżeli u innych znanych gatunków.

Zwierzę, które w *Proceedings of the Academy*, *Juni* 1845, pod nazwiskiem *Dorudon* opisałem, uważam teraz za nowy gatunek rodz. *Zeuglodon*, który *Zeuglodon (Basilosaurus) serratus* nazywam. Oprócz piłkowato powykrawanych zębów trzonowych, które wszystkie podobne są sobie i w jednéj części szczęki dolnéj siedzą, mam jeszcze 2 gatunki zębów kończatych całkowicie dochowanych. Jeden z tych jest nakrzywiony, ściśniony i kończaty, nadzwyczajnie podobny do zęba azyatyckiego krokodyla czyli gawiala, który Faujas de St. Fond w swoich *Fossiles de St. Pierre à Maestricht* (Pl. XLIX. A.) w wizerunku wystawia, chociaż nie można przy nim domyślać się zęba przyległego, a osadzony jest w alweoli skośnie. Jest on z boku mocno spłaszczony, a przytém wydrążony. Substancyą zębową (dentynę) ma rzadką, ale polewę należycie rozwiniętą. Rynienkowate zagłębienie na obudwu płaszczyznach bocznych, nadaje przecięciu kształt prawie klapkowaty, tak że się do jarzmowatego zbliża. Na przedniéj i tylnéj spłaszczonéj stronie polewą okrytéj korony, brzegi są sieczne, a ząb ma w ogólności wiele podobieństwa z zębem u *Megalosaurus*, brzegi tylko nie są piłkowate. Drugi kończaty ząb jest prościejszy i jedynie tam nieco zgięty, gdzie się polewa zaczyna. Pod polewą ciało zęba jest gęściejsze i ząb nie jest z boków spłaszczony, nie ma także żadnych rynienkowatości na bokach. Ostatni z tych zębów pochodzi z dolnéj szczęki gat. *Zeuglodon cetoides*.

W towarzystwie tych szczątków znajdowały się wykopane z ziemi kości słuchowe i zęby wielorybnych zwierząt ssących, mających podobieństwo z kaszelotem wielkogłowym i wielorybem pokrewnym (*Balaena affinis*); niemało kręgów jakiegoś delfina, zęby prawdziwego krokodyla i inne ze ściśnionemi siecznemi krawędziami bocznemi, podobne do tych, które prof. Owen w swojéj Odontografii przedpotopowych jaszczurek przypisuje rodz. *Madrimosaurus* von Meyer, zdającemu się mieć wiele podobieństwa z krokodylem długonosym (*Crocodilus macrorhynchus*) Harlana. (1)

Tamże znalazłem zęby wielkiego gatunku piły (*Pristis*) nieco różniące się od zębów u *P. acutidens* Agassiz, a które *P. Agassizi* nazwałem. Przewaga kopalnych wielorybnych zwierząt i jaszczurkowatych płazów, jak również i tych minerałów które formacya eoceńska z kredową ma wspólne, w peryodzie tym jest zastanowienia godna. Te eoceńskie pokłady są najniższe w całém uszeregowaniu, i zawierają w sobie muszle: *Gryphaea mutabilis* Morton i *Terebratula Harlani* Morton, które się również w formacyi kredowéj natrafiają, gdy warstwy cechują

(1) Porówn. *Medical and physical Researches*, p. 380 i *Journal of the Academy of nat. sc. Vol.* IV, p. 15. 1824.

gatunki do coceńskiéj formacyi należące, jakoto: *Cardita planicosta* Sowerby, *Scutella Lyelli* Conrad, *Pecten membranosus* Morton i inne.

Gdy Maestrychski ostrzegacz (*Monitor*) odkryty został, naturaliści długo nie mogli się zgodzić na miejsce dla niego w rzędzie organicznych jestestw, dopóki nie rozstrzygnął sprawy Camper, który rozpoznał w nim jaszczurkowatego płaza blizkiego ostrzegaczów, a którego rodzaj wtedy Conybeare *Mosasaurus* nazwał. Za zdaniem Campera poszedł i Cuvier (1). Odtąd przybywały temu rodzajowi kopalnych jaszczurkowatych płazów, inne gatunki, lecz pozostawała wątpliwość czy niektóre z nich nie są raczéj ssącemi zwierzętami. Cuvier ustanowił w tym względzie następujące prawidło, które dotąd jeszcze ma całkowitą wartość: „Gdy mamy głowę, a osobliwie zęby i szczęki zwierzęcia, znaczy to tyleż, cobyśmy i całe zwierzę mieli, przynajmniéj we względzie cech istotnych. Jeśli poznam dokładnie głowę, już mi nietrudno będzie rozpoznać i oznaczyć kręgi."

Ale co do rodzajów *Megalosaurus* i *Geosaurus*, prawidło to ulega wyjątkowi. O tamtym mówi v. Meyer „że lubo jego zęby wiele mają podobieństwa z zębami rodz. *Geosaurus*, jednak reszta skieletu mocno się różni. Niektóre ze znalezionych dotąd kości przypominają krokodyla, inne ostrzegacza. Paszcza zdaje się że była prostą i długą; dotąd znalezione kręgi mają szerokość o $^1/_3$ większą od długości, a w środku są przewięziste jak u *Streptospondylus*. Obiedwie powierzchnie są równe (2)". Wprawdzie u dziś żyjących krokodylów powierzchnie kręgów są z jednéj strony wypukłe, z drugiéj wklęsłe, przecież u wielu kopalnych obiedwie są wklęsłe albo równe, zatém kręgi u nich są takie jak u zwierząt ssących wielorybnych. U kopalnego krokodyla z Caen i innego w Hawrze znalezionego, kręgi są z małemi wyjątkami na obudwu końcach słabo wklęśnięte (3). U *Megalosaurus* są również obiedwie słabo wklęśnięte: u *Iguanodon* jedna jest prawie równa, druga nieco wciśnięta; u *Geosaurus* obiedwie słabo wklęśnięte; u *Streptospondylus* kręgi mają tę osobliwość, że przednia ich powierzchnia jest wypukła, tylna wklęsła, jestto więc naodwrót ukształcenie krokodylów, a takie jak u wszystkich zwierząt ssących lądowych (4). Na téj osobliwości w budowie zasadzony został rodzaj *Streptospondylus*. I Cuvier mówi: „Są też kręgi wielkich płazów, tak podobne kręgom niektórych delfinów, że łatwo tém podobieństwem uwieść się można. Należy miejsce ich wykopywania dokładnie badać i patrzéć czy nie ma pod tym względem różnicy pomiędzy kośćmi wielorybnych a płazów" (5).

Po tych niemałego znaczenia w badaniu kopalnych szczątków uwagach, przechodzi autor do szczegółowego wyjaśnienia różnicy pomiędzy gat. *Zeuglodon* (*Basilosaurus*) *cetoides* i nowo utworzonym przez siebie *Zeuglodon serratus*, a różnica ta nietylko w kształcie tak trzonowych

(1) Ossemens fossiles. T. V p 314.
(2) On the structure of fossil Saurians, in *Charlesworth's* Mag. of nat. hist. vol. I p. 341.
(3) Patrz *Mantell*, Geology of South East of England, p. 263.
(4) Von Meyer l. s. c.
(5) W liście do G. Mantell'a; Geology of South East of England, p. 282.

jako i kończatych zębów zachodzi, o czém już wyżéj mówiliśmy, ale jeszcze i w ukształceniu szczęk które są dłuższe i ostrzejsze u *Zeuy. serratus*. Nadto kończate zęby u tego gatunku są wprawione skośnie, a wewnętrzna wyskakująca blaszka ich alweolów, odstaje od nich. Nawet wydrążenie kończatego zęba zdaje się mu być charakterystycznem w porównaniu z drugim gatunkiem.

Zpośród rozmaitych nazw *Basilosaurus, Phocodon, Squalodon, Zeuglodon* i *Dorudon*, które dla tych szczątków utworzono, zwraca im przez Harlana nadaną *Basilosaurus*, wprawdzie niezupełnie odpowiednią miejscu jakie rodzaj w uszeregowaniu istot organicznych zajmuje, ale pierwszeństwo za sobą mającą, gdy zarzut jakiby jéj uczynić można, ciąży na wielo innych, powszechnie przyjętych nazwisk, jak np. i Cuvier dla jednego rodzaju ryb przyjął *Saurus*. Tym sposobem, miehbyśmy w rodzaju *Basilosaurus* Harlan, trzy teraz znane gatunki:

1. *Basilosaurus cetoides* Owen.
2. *B. serratus* Gibbes.
3. *B. squalodon* Grateloup.

Do téj pracy autora dołączona jest tablica figur, przedstawiających czaszkę i zęby z różnych stron i w przecięciu, tudzież na końcu objaśnienie tych figur, lubo i w texcie często się odnosi do nich. (*Id. nr. 165, 166* z tab. fig.).

* Mantell rozpoznał nowy gatunek kopalny olbrzymiego jaszczurkowatego płaza, *Pelorosaurus*, w wealdzkiéj górze przy Tilgate. Przednie ramię, jedyny jéj szczątek, ma 4½ stóp długości, a 32 cale obwodu. Jeszcze nie można z pewnością oznaczyć, z jakim ze znajomych jaszczurkowatym płazem ten jest najbliżéj spowinowacony. Przednie ramię w porównaniu z gawialem, wskazuje długość ciała na stóp 81, a na 20 stóp obwód brzucha. (*T. 1851 nr. 312 z Ann. nat. hist. 1850 VI, 128*).

* W piaskowcu pstrym koło Bernburga odkryły się nowe i bardzo piękne czaszki z rodz. *Labyrinthodon*. Sack okazywał je zjednoczeniu naturalistów w Hali. Jedna, we dwóch znaleziona okazach, należy do rodzaju *Mastodonsaurus* nie znalezionego jeszcze dotąd w pstrym piaskowcu Niemiec północnych, a mająca wielkie podobieństwo do téj, którą Quenstedt opisuje pod nazw. *M. robustus*, z kejpru wirtemberskiego, lubo przy dokładniejszém rozpatrzeniu dają się spostrzegać gatunkowe różnice. Druga czaszka będzie należała do *Capitosaurus*, i już dawniéj w Bernburgu znaleziona, zachowuje się w zbiorze Brauna (*Eod. z Jahresb. d. naturw. Vereins in Halle*. III. 38).

* *Jezioro kajmanów w Sindh*. To osobliwe jezioro leży około 8 mil (Miles) od Korradży i godne jest odwiedzenia ze strony miłośników potworności i straszności. Przejechawszy piaszczystą nieżyzną krainę, po któréj tu i owdzie rozrzucone sitowiska widzieć się dają, przybywamy do lasu powidlnikowego (tamaryndowego), w którym kajmany mieszkają. Kto nie został już uprzedzony, że je tam widzieć może, aniby mu przyśnić się mogło co obejmuje ten zielony las ze swojém bagienkiem, przez którego środek wprawny skakacz jednym zamachem przesadzić może. „Tu kałuża, rzekłem pogardliwie do mojego przewodnika, ale gdzież są kajmany?" Zarazem postąpiłem śmiało naprzód, mniema-

jąc że zażartowano ze mnie. Ale znagła słyszę tuż przy sobie chrapliwe ryczenie, tak iż z wielkim przestrachem odskoczyłem od miejsca. Prawie nadeptałem na młodego kajmana około 3 stóp długiego, a którego ukąszenie nie byłoby pewnie przyjemném. Wnet objawia się gieniusz miejsca w postaci starego fakira, do czarnoksiężnika podobny, i gdy mu parę rupij w rękę wcisnąłem, zaczyna długą laską wywoływać swe duchy. Gdy zawołał parę razy *Ao! Ao!* (wychodźcie! wychodźcie!), woda nagle żywą być zaczęła. Najmniéj sześćdziesiąt potężnych kajmanów, niektóre do 15 stóp długie, wyszedłszy na jaw cisnęły się do brzegu. Scena przypomniała mi bajki o czarownicach. Samotny las, otchłań z szarawemi potworami, schronienie fakira pod ścianą góry, sam chudy, długi, ponuro spoglądający fakir, a obok mnie do rozbójnika podobny Beluczy, wszystko to fantastyczny przedstawiło obraz. Nawet siła, jaką nasz zaklinacz duchów na swoje straszydła wywierał, była zadziwiającą. Gdy skłonił swoją laską, one się zatrzymały, bo też już istotnie za blizko nas przystąpiły, a gdy zawołał *Bedszyto* (leżéć!), pokładły się płasko na brzuchach, ponawracawszy z pokorą ku niemu rozdziawione szeroko i pełne oczekiwania paszcze. Rzucił im kilka wielkich kawałów mięsa, o które zajadle z sobą walcząc w szmaty je porozdzierały. Pocieszne było patrzéć, jakie uszanowanie młodsze kajmany miały dla starszych i większych. Jeden, około 10 stóp długi, biedak kaczkował od wody ku miejscu, na które żywność rzucano, aż wtém postrzega tuż za sobą innego daleko większego i natychmiast ustępuje mu z drogi; pomieszanie w oczach jego wydało że się zląkł, ażeby z pół łokcia ogona nie stracić, gdyby się był szybko nie usunął z miejsca.

W odległości około kwadransa drogi od tego stawu pokazano mi drugi, napełniony wodą tak gorącą, że ledwie można było bez bólu rękę w nią zanurzyć, a jednak i tę młode kajmany zamieszkiwały. Fakir mi mówił, że bardzo wiele tych zwierząt jest w rzece o 15 do 20 mil (Miles) na zachód płynącéj. Król otchłani, potężny okaz, któremu fakir nazwisko *Mor saheb* (Lord Mor) nadał, nie przyszedł na zawołanie, tylko jak kloc w wodzie leżał. Wziąłbym go był za pień obalonego drzewa, gdyby jego małe oczy nie błyszczały tak silnie, iż zdawało się że iskry sypią. Fakir mówił, że ten jest bardzo złośliwy i niebezpieczny, a najmniéj 20 stóp długi. (*T. 1850, nr. 7 z The Zoologist, nov. 1849*).

* P. H. Goose, *Sposób życia leguanowatéj jaszczurki* Cyclura lophoma. „Zwierzę o którém tu mówię, zdaje się nie być jeszcze naturalistom znane. *Cyclura lophoma* mihi (λοφος, grzebień, ὠμος, bark). Tarcze na paszczy poprzedzielane drobnemi łuskami; paszcza ze 4 wielokątnemi, wypukłemi, nieszypułkowatemi blachami na każdéj stronie; przednie i tylne bardzo wielkie, dwie między tamtemi leżące mniejsze, krótkie ale szerokie. Ogólne tarcze głowowe wielkości niemierzytelnéj; dosyć wielka na środku głowy szczęka dolna o jednym, z tyłu o dwóch rzędach blach szypułkowatych wielkich, romboidalnych; między temi blachami a innemi na wargach, nie środkują żadne. Grzbietowy grzebień wysoki, ponad barkami ciągnie się nieprzerwanie, ponad lędźwiami przerywany.

Dług. około 3 stopy, z czego ogon 21 cali zajmuje. Kolor zwierzęcia w stanie suchym zielonawo-szary, z niewyraźnemi czarniawemi zlewającemi się z sobą plamami, tak iż z tego niemierzytelna siéć powstaje.

Ten ze wszelką pewnością odróżniony gatunek daje się rozpoznać już z liczby, kształtu i ułożenia tarczy na paszczy, ale nadewszystko z tego, że grzebień ponad barkami ma nieprzerywany. Sam nie znalazłem nigdy na Jamaice tego zwierzęcia żywego, okaz jego znajdujący się dziś w muzeum brytańskiém, a podług którego niniejsze opisanie skreśloném zostało, otrzymałem od przyjaciela mojego Ryszarda Hill, Esq. w Spanish-town. Jemu także winien jestem wszystkie wiadomości, które mam o sposobie życia tego jaszczurkowatego płaza i tu udzielam.

Zwierzę uchodzi za zupełnie ziołożerne, i znajduje się na niektórych tylko miejscach wyspy. Głównem siedliskiem jego jest nizkie pasmo gór wapieniowych, ciągnące się wzdłuż brzegu od Kingston Harbour do wyspy Koziej (Goat-Island) i daléj aż do Vere. Znajduje się także nierzadko w dolinie pomiędzy temi nadbrzeżnemi górami, a innemi środkowéj części kraju, gdzie się ich często po kilka w drzewach wypróchniałych znachodzi.

Podczas karczowania i wypalania roślinności na jednéj sawannie pomiędzy Spanish-town a Passage-fort, robotnicy odkryli w marcu 1844 w wypróchniałym pniu fałszywego cedru (*Guazuma ulmifolia*) pięć silnych okazów téj jaszczurki. Jeden, który nie miał być największym, 45 cali dług. dochodził. Był on nadzwyczajnie mięsisty i tłusty. Ogólną barwę ciała i nóg miał czerwono-brunatną z zieloném, miejscami w siność przechodzącą. Na barkach dawały się postrzegać ukośne, ciemno-oliwkowe pręgi, a od grzbietowego grzebienia aż do brzucha rozciągały się (po każdéj stronie?) trzy szerokie, ciemniejsze, trójkątne miejsca, strzępiastemi, ciemno-oliwkowemi plamami oznaczone. Ogon był naprzemian w bardzo mierzytelnych odstępach jaśniéj i ciemniéj oliwkowy. Kolor zębiastości grzbietowego grzebienia i nóg, widoczniéj niż inne części ciała w błękitnawo-zielone przechodził.

Soczyste rośliny, na wyżéj wzmiankowanych górach wapienia rosnące, służą jéj na pożywienie. Gór tych wszakże roślinność jest nader ubogą; nie ma nic prócz aromatycznych i żywicowych drzew, i ziół balsamicznych. W nizinach, gdzie się nagromadził czarnoziem, mogą się tu i owdzie soczyste rośliny i korzenie znaléźć. Dlatego *Cyclura* w tym jedynie zamieszkuje okręgu; znajdowane tu i owdzie na sawannach uważać należy tylko za przypadkowo zabłąkane w doliny.

Worek pod szyją, który jakby łałok u wołu pod gardłem wisi, może zwierzę nadąć (1); ale w jakich to okolicznościach czyni, nie jest wiadomo. Nadęty worek musi zwierzęciu podczas pływania wielce być usłużnym, o ile ono może udawać się za pożywieniem na wodę. Rozdrażnione przybiera groźną postawę, i wlepia w nieprzyjaciela wzrok nadzwyczajnie złośliwy. Wtedy worek nadyma się, grzbietowy grzebień

(1) P. Hill mógł się w tém omylić. Wnosząc z analogii rodz. *Anolis* i *Dactylon*, worek pod gardłem legwanów może się *rozciągać*, ale nie *nadymać*.
P. H. Goose.

powstaje, a szeroko otworzona paszcza wyszczerza osobliwie rozpołożone, białe, z nacinanemi brzegami zęby, które przypominają te organa u olbrzymiego kopalnego *Iguanodon*. Zęby tych dwu stworzeń przedstawiają tak wiele podobieństwa, że nie można wątpić o ich przyrodzonem powinowactwie. U obudwu zastosowane są do cięcia roślinnych pokarmów.

Cyclura broniąc się umié nader zręcznie użyć długiego i nader giętkiego ogona. Strzępiastość na górnym jego brzegu, przeciągnięta przez ciało nieprzyjaciela, działa na nie jak piła. Wtedy kręci się zwierzę i bije nagle ogonem to w tę, to w ową stronę. Krokodyl broniący się, ten sam wykonywa obrót, i nie ma żadnéj wątpliwości, że piłkowaty grzebień na ogonie wielkich gatunków jaszczurek, przeznaczony jest do służenia zwierzęciu za oręż. Psy, które na legwana napadną, bywają czasem nielitościwie poszarpane.

Przy rzekach *Cyclura* nigdy się nie znajduje, nie jest przeto prawdopodobném, ażeby w wodzie żywności szukała.

Po przybyciu mojém do Anglii, odebrałem od p. Hill następujące jeszcze, na kilka moich zapytań w przedmiocie téj jaszczurki, odpowiedzi.

Że to zwierzę na swoję obronę używa ogona, zapewnili mnie o tém murzyni, którzy byli obecni gdy pomieniony 45 cali długi okaz badałem. Ostrzegali mnie oni, ażebym się niebardzo do zwierzęcia przybliżał, bo postrzegli że się kręci i chce bić ogonem. Zdradliwe wejrzenie, które zwierzę przy téj okoliczności przedstawiało, wynikało z osobliwszego wykręcania głowy, jakoby słuchało i czatowało. Murzyni mniemali, że w tém położeniu trzymało ogon, ażeby mnie nim uderzyć; psy mają zazwyczaj nogi straszliwie poszarpane, tak że ciało jest jakby odpiłowane od kości. Mniemanie jakoby zwierzę łałok swój nadymało, ztąd powziąłem, że widziałem dwa bardzo wielkie legwany z Kuby, które ten worek już rozciągały, już kurczyły. Skóra tych okazów wisiała wolno na nich, jak gdyby będąc tłustemi, zchudły potém.

Na początku września 1844 r. postrzegł jeden z moich przyjaciół zwierzę, grzejące się na pniu wypróchniałego jadłoszynu (*Prosopis juliflora*), które mu wielką jaszczurką się być zdało. Smagnął ku niemu śpicrózgą i w mgnieniu oka zwierzę ukryło się w wydrążeniu drzewa. Nakazano ażeby go nie straszyć, i oswoiło się zwolna, a gdy je mój przyjaciel znowu potém ujrzał, całą jego długość na 10—11 cali ocenił. W rok potém wyszło znowu na drzewo, grzać się na słońcu. Nie widziano nigdy, ażeby chwytało owady; ale dnia jednego gdy po mocnéj ulewie słońce zajaśniało, ujrzano że jaszczurka jé rzechlin (*Petiveria*), w odległości 30 stóp od jadłoszynu rosnący. Sunęła się ona zwolna naprzód, narwała pełną paszczę ziela i połkęła je nie żując. Można było potém wyraźnie widzieć ukąszenia na liściach rośliny. Skoro ta *Cyclura* postrzegła że ją człowiek ma na oku, posunęła się szybszemi skokami po drzewie i zniknęła w jego wydrążeniu, do którego wiódł otwór na stopę od ziemi odległy.

Pewny tępego umysłu chłopiec, mniemając że *Cyclura* jest dla kurcząt niebezpieczną, zastrzelił ten okaz w nieobecności mojego przyjaciela, a we dwie lub trzy godziny później zabił na tém samém drzewie

drugi, o którego znajdowaniu się tam nikt nie wiedział. Przyjaciel mój doszedł teraz dlaczego jedno zwierzę bywa brunatno-zielone i większe, drugie czarniawe i mniejsze. Okaz większy był niezawodnie samcem, mniejszy samicą (1).

Piérwszy miał 22—24 cali dług., ale ogon z postępem wieku stawał się stosunkowo krótszy. Przy anatomizowaniu ciała, znaleźliśmy żołądek pełen liści rzechlinu, a niektóre z nich (o godz. 9 z rana) całkiem jeszcze świeże były. Trup dla oskieletowania kładziony był w gniazda 3 lub 4 gat. mrówek, ale żadne go nie tknęły. Może tego przyczyną był pokarm zwierzęcia, bo rzechlin ma bardzo przenikliwy czosnku zapach. (*T. 1850, nr. 188 z Ann. & Mag. of nat. hist. July 1849*).

✳ Dr. Guyon, naczelny lekarz armii w Algierze, uwiadomił Akad. nn. paryzką (pod d. 17 lutego), że więcéj niż od trzech lat uważał, iż mały jaszczurkowaty płaz z fam. *Scincidae*, nazwany *Gongylus ocellatus*, podobnie jak zwyczajny czołg (*Seps chalcides* Bonap.) żywy płód wydaje. (*T. 1851 nr. 292 z Gaz. méd. de Paris nr. 8*).

✳ P. Edw. Newman jeszcze przytacza w swoim dzienniku (*the Zoologist, May 1850*) doniesienie o morskim wężu, które z amerykańskiego pisma peryodycznego *the christian Mercury* wyjął. Brzmi ono jak następuje: „Beaufort 15 marca 1850. Doniesienie kap. Bankenship i jego passażerów, przez wielu naocznych świadków sprawdzonem zostało. Ten straszliwy potwór morski znowu dziś w naszych wodach był widziany. Gdy go z parostatku uważano, znajdował się w Port Royal Sound, 7—8 mil (Miles) od miasta. Ztąd powędrował zwolna w Broad River, i dziś widziany był w White Branch River, odnodze od tamtéj. Mówią, że idzie coraz wyżéj i mają nadzieję że go złapią może. Opisują że ma długości 120 —150 stóp i odpowiednią grubość; z głowy podobny do węża i nawet podczas płynienia zawsze ją 5—6 stóp nad wodę wznosi. W odległości około 10 stóp od głowy znajduje się guz jakby wielka głowa świni, a jak tylko można było zwierzę z wody wysunięte widzieć, na całej jego długości ciągnął się szereg guzów. Ścigano potwór na kilka mil daleko w górę rzeki, przyczém ścigający mieli go nieraz dosyć blizko siebie. Strzelono za nim z flinty, co zdaje się przestraszyło go, tak, że zanurzył się, gdy przystąpiono bliżéj" (2). P. Newman pyta się na końcu: czy to jest żart, czy to jest *Brachioptilon Hamiltoni?* (*T. 1850, nr. 188*).

✳ Według p. A. Ch. Smith (*Zoologist, sept. 1851*) w Norwegii mieszkańcy brzegów, marynarze i oficerowie od marynarki wcale nie

(1) Zdaje się owszem że przeciwnie, bo u naszych jaszczurek samica zawsze jest znacznie większa od swojego samca. *A. W.*

(2) Podobne temu podania od początku wieku naszego przez dzienniki ogłaszane, zawsze były przyjmowane od naturalistów z pewną nieufnością, skutkiem któréj prawie nie powtarzano ich w pismach naukowych. Od dziś może przybiorą one inną barwę, skoro się stawią przed oczy uczonych łupy z indywiduum zabitego 13 stycznia b. r. ze statku Monongahela, usiłowaniem p. Karola Seabury, dowodzącego tym statkiem. Doniesienie p. Seabury, zdające się mieć cechę wiarogodności, ogłoszone najprzód w amerykańskiéj gazecie *New York tribune*, czytaliśmy wzięte z niéj, w nr. 73 (13 marca) b. r. gazety *L' Indépendance Belge*. *A. W.*

wątpią o istnieniu węża morskiego, ale p. Smith żadnego między niemi nie znalazł, któryby mówił że sam to zwierzę widział; wszakże wszyscy dziwią się jak można wątpić o istnieniu zwierzęcia, które na ich brzegu i na ich Fjordach tak często widzieć się daje. (*T. 1851, nr. 395*).

* Dr. Klein naczelny lekarz w Sztutgarcie, pracował nad osteologią i myologią żab, i zbadawszy pod tym względem tak niektóre tutejsze gatunki, jako i wielkością słynące amerykańskie, wypadek swoich prac ogłasza w wirtemberskich rocznikach nauk przyr. (*6 Jahrg.* 1849). Dolna powieka u tych zwierząt ruchomsza jest od górnéj; silny muszkuł do władania nią przeznaczony, wspiera zarazem i gałkę oczną w jéj położeniu. Powieka górna albo nie jest wcale, albo tylko mało ruchoma. Prócz cztérech prostych muszkułów oka, osobny służy do pociągania w tył gałki. Jestto im wspólne z największą liczbą płazów. Grzbietoród *(Pipa)* odznacza się małością gałki, przy któréj nie ma powiek, lecz tylko gęsta tkanka komórkowata otacza oko i przytwierdza je do części sąsiednich; jéj muszkuły są bardzo mnogie. Muszkuły żucia, które służą tylko do obejmowania pokarmu, ale nigdy do żucia, są silne; osobny od głowy się ciągnący muszkuł, przeznaczony jest do odwodzenia dolnéj szczęki, jak u jaszczurkowatych. Muszkuły kości językowéj i języka dosyć są równe u rodzajów u których język jest ruchomy; osobliwość zachodzi tam gdzie znika gnyko językowy (byoglossus) który służy do odwrócenia w tył założonego języka. U rzekotek *(Hyla)* poruszenie to niepodobném jest do wykonania. Muszkuły piersiowo-podjęzykowy i prosty brzucha (sternohyoideus et rectus abdominis), od mostka i brzucha do kości podjęzykowéj idące, wspierają działanie gnyko-językowego, odwodząc kość językową. U grzbietoroda, który nie ma języka, nie ma i muszkułów do poruszania go służących. U wszystkich tych zwierząt połączenie muszkularnych wiązek pod sercem, tworzy gatunek przepony, ale u grzbietoroda są jeszcze osobne muszkuły które się wiążą z wątrobą i płucami. Przyrząd muszkułów grzbietowych, dla małéj ruchliwości stosu kręgowego, jest prosty, ale osobny zachodzi ruch pomiędzy kręgiem ostatnim a kościami bioder; te ostatnie mogą się odłożyć na wyrostkach kręga, a przez to sprawić osobny kąt czyli zgięcie na grzbiecie, przy którym końce kości biodrowych występują; położenie przez które się uskutecznia w długich tylnych odnóżkach skok lub pływanie, będące właściwie tylko ciągle ponawianemi skokami w wodzie. Ale u grzbietoroda silne i bez środkowania muszkułów złączenie ostatniego kręgu z kością biodrową, takiéj postawy nie dopuszcza, a tém samém i zdolność do skakania odejmuje. Muszkuły do poruszania łopatki są pomnożone, co jest potrzebném do podpierania się przy rozmaitych poruszeniach nogami przedniemi w czasie skakania i pływania. Jest też osobny muszkuł do zbliżania z sobą ruchomych części łopatki. Ponieważ łopatka ze swoją większą chrząstkowatą częścią prawie poprzecznie na grzbiecie leży, a żeber nie ma, wszystkie przeto muszkuły do pociągania ramienia służące, wychodzą od mostka i od przedniéj części barkowego zrębu, tojest od obojczyka i kości kruczodzióbéj. Liczba muszkułów należących do łokcia i pokrętu, także jest pomnożona, ponieważ w czasie skakania i pływania, przednie członki ciała za podporę służą. U rzekotek, jako na drzewa łażą-

cych, piérwszy palec ma odmienną postawę; nakształt palca wielkiego zwrócony jest na bok i nieco w tył. Oprócz muszkułów do władania palcami, są jeszcze u wszystkich osobne, prostujące i zginające każdą kostkę śródręcza. U wszystkich długa-głowa u wyciągacza goleni długiego (m. extensor cruris longus) odejmuje możność zupełnego wyprostowania uda; nawet i przy wyciągnieniu nóg tylnych, przy czém one tak długiemi się okazują, ud zgięty jest zawsze pod mniejszym lub większym kątem. U grzbietoroda, przyczepienie muszkułów brzusznych do uda, jeszcze bardziéj to wyprostowanie utrudza. Nie ma pośladków, za to muszkuły pośladkowe (glutaei) przyczepione u góry do zrostu (symphysis), rozciągnięte są po całym udzie na dół, jako wyciągacze jego. Oprócz muszkułów do zginania goleni (flexores adductores cruris), które są takie jak u innych zwierząt, jest jeszcze muszkuł osobny, kulszo-goleniowy (ischiotibialis), zostający w związku ze skórą udową, a u ropuch i ze skórą brzuszną. Muszkuły okrywające przednią część goleni, przodem przyczepione są do uda. I u tylnych odnożów znajdują się oddzielne muszkuły do zginania kostek śródnoża, u grzbietoroda wszystkich. (*T. 1850, nr. 7*).

* W. Turner pisze w *Gardener Chronicle*: „Otworzywszy zeszłéj soboty o 7 godz. rano mój inspekt na ogórki, ujrzałem że wielka ropucha którą w nim chowam, jakby konająca na grudce ziemi leży. Oczy miała zamrużone; co parę sekund otwierała paszczę, za każdém jéj otworzeniem konwulsyjnie poruszając tułuw, przy czém prawą nogę przednią trzymała na głowie. Widziałem, że coś w paszczę wciągała, i w téjże chwili otworzyło się jéj prawe oko. Potém wzdęła się lewa strona tułuwu, gdy prawa zapadła, a ropucha lewą nogę przednią przesunęła po głowie, z za oka do paszczy. Tu zdawało się, że blizko przez sekundę zatrzymała nogę w paszczy, gdy zaś ją wyjęła, postrzegłem wyraźnie jak trzy płatki skóry, które z palców były zwleczone, wytykały się z paszczy niżeli w nią weszły. Gdy ropucha przeciągnęła nogę ponad zamkniętém prawém okiem, to otworzyło się. U lewéj nogi wisiało kilka zadziorów skóry, lecz które za poruszeniem się parę razy szczęki dolnéj znikły, a w minutę późniéj także i z warg skóra zeszła. Ropucha zjadła swoję własną skórę i siedziała w nowéj jakby lakierowanéj. W godzinę odzyskała swoję brunatną i bez połysku barwę. Do zwleczenia skóry z głowy potrzebowała kilku minut i zdawało mi się, że za każdem otworzeniem paszczy pociągnęła skórę naprzód a nadęła stronę ciała liniejącą."

W przedmiocie tegoż J. S. Henslow podał do *Annals &. Mag. of nat. hist. July* 1850, następującą uwagę: „W V tomie Roczników W. Turner opisuje linienie ropuchy tylko co do jednego punktu inaczéj niż Bell w swoich *British Reptiles*. Bell mówi że zwierzę zwinąwszy przedniemi łapami naskórek w kształt kuli, zatacza tę kulę do paszczy i na raz połyka. Uważałem dziś z rana liniejącą wielką ropuchę z Jersey. Postrzegłszy że część grzbietu zwierzęcia staje się lśniącą i wilgotną, i że ono przednią łapę podnosi jakby się po grzbiecie drapać chciało, zmiarkowałem, że się do zrzucenia skóry zabiera, i pilnie je miéć na oku zacząłem. Ropucha co parę sekund szeroko otwierała paszczę, a zarazem dopomagała odstawaniu naskórka wyciąganiem przedniéj nogi i skrzywianiem ciała, prawie jak czynimy zdejmując z siebie dziany kaftanik.

Już wielka część naskórka znikła na tyle ciała, a ja ujrzałem jak w jednym kącie paszczy posuwały się zwolna resztki ku gardłu. W ten sposób połknięty został naskórek, skoro się odłączył. Ogołoconą była cała lewa strona, z wyjątkiem małego płatka przy palcach, a który, nie uważałem czy się do paszczy dostał. Potém wyliniała całkowicie prawa noga przednia, a naskórek z niéj ukrył się zwolna w prawym kącie paszczy, jakby ktoś długi pasek makaronu połknął nie rozrywając go. Ażeby zwierzę łapami pocierało albo z naskórka tworzyło kulę dla jednorazowego połknięcia jéj, tego nie widziałem. Nie sądzę téż ażeby ropuchy angielskie przy linieniu zachowywały się inaczéj jak jersejska." (*Ib. nr. 207*).

✳ Dziennik *Zoologist* z maja 1850, zamieścił następującą z Richardsona *Borderers table Book III. 92*, wiadomość: „Przy wyłamywaniu muru w Bamborough (Northumberland) w r. 1809, znaleziono żywą ropuchę w środku muru zamkniętą. Stawiając ten mur przed 16 laty, mularz nazwiskiem Jerzy Wilson, powodowany lekkomyślnością, wsadził tę ropuchę w szczupłą jamkę pomiędzy cegłami i jak najściśléj wapnem ją zasmarował. Znaleziona, była nieco odrętwiała, wkrótce jednak ożyła i poskoczyła żwawo ku stosowi kamieni w którym znikła". (*Ib. nr. 188*).

✳ Kölliker w swoich listach z podróży (*Zeitschr. f. wiss. Zool. III, Bd. 1, Hft. 88*) mówi o olbrzymiéj salamandrze, którą oglądał w zoologicznym ogrodzie w Amsterdamie, że to jest rzeczywiście zdumiewające zwierzę, prawdziwa okropność. Podobna zewnętrznie do traszki (*Triton*), czarniawa, krostowata, z głową szeroką i płaską, przypomina ją także ciężkiemi ruchami i głupowatym wyrazem swoich drobnych oczu. Na 3 stopy, jeśli dobrze przypominam sobie, długie zwierzę, nie jest, jak wiadomo, salamandrą, lecz przybliża się bardziéj do traszek, lubo ani skrzel, ani skrzelowego otworu nie ma. Van der Hoeven w Lejdzie, który je *Cryptobranchus* nazwał, pokazywał nam w muzeum lejdejskiém skielet indywiduum małego, na którym łatwo było przekonać się, że czaszka jest zupełnie jak w rodz. *Siredon* i *Menopoma*." (*Id. nr. 292*).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1851.

118. Jana Długosza kanonika katedr. krak. *Banderia Prutenorum* tudzież *Insignia seu Clenodia regni Poloniae* (.) Wydał Józef Muczkowski prof. i bibl. uniw. Jagiell. Z 16 tablicami. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. str. 75. Złp. 7.

119. Wiadomość o rękopismach Historyi Długosza, jego Banderia Prutenorum, tudzież Insignia seu Clenodia regni Poloniae (.) Wydał Józef Muczkowski prof. i bibl. uniw. Jagiell. Z 17 tablicami. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. Złp. 10.

120. Wiadomość o założeniu uniwersytetu i kolegium Władysławsko-Nowodworskiego w Krakowie (.) Napisał Józef Muczkowski prof. i bibl. uniw. Jagiell. Dodana „Wspominka o Mateuszu z Krakowa. 8ka. Kraków. 1851. Druk uniwersytecki. Karta 1. i str. 104. (Z podobizną). Złp. 6 gr. 20.

1852.

36. Biała Kamelia (,) obrazek dramatyczny (.) Naśladowanie z francuzkiego Andrzeja Listowskiego. Przedstawiona pierwszy raz w teatrze Rozmaitosci dnia 22 Lutego r. b. 16ka. Warszawa. 1852. Druk Józefa Unger. Str. 54. Złp. 3.

37. Broszurki P*** Z(acharklewicza). Kilka stronnic poezyj napisanych przez hultaja (,) poświęconych podobnemuż hultajowi, a wydanych przez barona von Szuchter-Muchter. (Broszura pierwsza). 12ka. Warszawa. 1852. Nakład autora, druk S. Orgelbranda. Str. 59. (Z portretem autora.) Złp. 3 gr. 10.

38. Jeografia w obrazach i powieściach moralnych, ozdobiona 8 rycinami. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. II i 174. Złp. 8.

39. Królodworski rękopis. Zbiór staroczeskich bohatyrskich i lirycznych śpiewów, przełożonych przez Lucyana Siemieńskiego. Edycya Wacława Hanki. 12ka. Praga. 1852. Kosztem wydawcy, druk i papier synów Bogumiła Haase. Str. 78. (z podobizną).

40. Krótki wykład katolickiego katechizmu. Przez księdza Józefa Zelwowicza. Z godłem:

„A te są napisane, abyście wierzyli, że Jezus jest Chrystus Syn Boży, a iżbyście wierząc, żywot mieli w imię Jego."

W ewangelii S. Jana w rozdz. XX, w. 31.

16ka. Wilno. 1852. Nakład autora. Druk J. Zawadzkiego. Str. VIII i 156. Złp. 1 gr. 20.

41. *Le chant du cygne. Par Henri Stecki* (de Górka). 8ka. Warszawa, 1852. Druk Strąbskiego. Kart 3 i str. 70. Złp. 6 gr. 20.

42. Nauka osuszania gruntów, wyjęta z dzieł Albrechta Thaer, z niemieckiego na język polski przełożona. Z 4 tablicami rycin. 12ka. Warszawa. 1852. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 162. Złp. 6.

43. O przedawnieniu według dawnych praw polskich (.) Napisał Józef Michniewski. 8ka. Kraków, 1852. W drukarni uniwersyteckiéj. Str. 58.

44. Pielgrzym w Dobromilu czyli nauki wiejskie z dodaniem powieści. Ozdobione 16 rycinami. Wydanie Maurycego Orgelbranda podług 16j edycyi warszawskiej. 16ka. Warszawa. 1852. Nakładem wydawcy, druk Orgelbranda. Str. IV i 412. Złp. 13 gr. 10.

45. Podania Litewskie przez Ignacego Chodźkę. Autora Obrazów Litewskich. Serya pierwsza. 12ka. Wilno. 1852. Nakładem i drukiem J. Zawadzkiego. Str. 237. (Z portretem autora). Złp. 8.

46. Trzech silnych ludzi (,) przez Aleksandra Dumas. Z francuzkiego. 12ka. 2 tomy. Warszawa. 1852. Nakład M. Neudinga, druk Kaczanowskiego. Tom I str. 240, II 228. Złp. 6 gr. 20.

47. Wiązanie Bronia, powiastki obyczajowe dla młodych chłopców. Przez Franciszka Kowalskiego. 12ka. Wilno. 1852. Nakład i druk T. Glücksberga. Napisów kart 2 i str. 274. Złp. 6 gr. 20.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem S. Orgelbranda wyszły zpod prasy drukarskiéj zapowiedziane dawniéj „Obrazki wiejskie." J. K. Gregorowicza, we 4ch tomach.

— H. Natanson drukuje u Ungra dzieło w dwóch tomach, obejmować mających razem około 50ciu arkuszy druku, pod tytułem „Historya nowożytna, ciąg dziejowy od odkrycia Ameryki, aż do rewolucyi francuzkiéj, według pierwotworu jednego z najsławniejszych dziejopisarzy tegoczesnych na język polski przełożone." Tom pierwszy wyjdzie w kwietniu, a drugi w czerwcu r. b.

— Wincenty Pol wykończył w obszernych ramach poemat do 1700 wierszy, pod napisem: *Senatorska zgoda.* Jestto dalszy ciąg opowiadania Benedykta Winnickiego. Główną w tym poemacie figurę stanowi biskup Ignacy Krasicki w chwili pobytu swego w *Dubiecku.*—Obecnie pisze powieść prozą p. n: *Powieść bez końca.* Treścią jéj ma być przedstawienie życia artystycznego u nas w kraju i jego stosunku do reszty społeczności.

— Ks. Józef Szpaderski wykończył rozprawę zajmującą, p. n. „Lud wiejski, jego religijność, moralność i byt materyalny."

— P. Alex. Batowski przygotowuje do druku *Tinecię.* Do przysposabiających się w Królestwie podobnych monografij Łęczycy, *Lancicia sacra*, i klasztoru lędzkiego, *Landecia*, będzie dyplomataryusz tyniecki uzupełniający i prostujący Szczygielskiego, nadzwyczaj pożądanym. Sporządzono już podobizny ważniejszych dyplomatów, w liczbie których znajduje się także sławny dokument z r. 1105.

Luty 1852. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie $1^{h}\ 14^{m}.\ 45^{s}$, 7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	de-szczu	śnie-gu
1		751.43	751.02	748.42	744.26	— 0°.4	+ 0°.8	+ 1°.0	— 0°.1	95.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	PdZ.	PdZ.	Pd.	PdZ.		
2		741.20	742.15	748.39	752.81	+ 2.2	+ 1.9	— 1.6	— 1 9	94.5	pochmurny	poch. d. z ś.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pn.	Pn.	9.4	
3		755.07	755.09	754.52	754.38	— 7.2	— 9.7	— 7.6	— 10.6	93.3	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	PdW.		
4		754.12	754.95	754.97	754.46	— 7.7	— 6.0	— 5.4	— 4.7	97.3	pogodny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.		1.8
5	☉.	749.14	743.93	738.10	738.46	— 4.5	— 3.1	+ 1.3	+ 1.6	99.0	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdZ.	PdZ.		3.4
6		739.14	738.78	734.14	734.10	+ 0.8	+ 2.1	+ 1.5	+ 2.1	97.5	pochmurny	pochmurny	poch. ś. z d.	lek. pochm.	Z.	Pd.	PdZ.	Z.	2.5	
7		737.43	740.95	743.28	745 91	+ 1.0	+ 1.2	+ 1.1	+ 0.0	95.0	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.	2.5	3.6
8		746.87	746.39	743.92	743.15	— 0.2	+ 1.4	+ 1.9	— 2.1	95.2	poch. krup.	poch. ś. z d.	poch. ś. z d.	pochmurny	Z.	Z.	PdZ.	PdZ.	2.8	
9		740.05	739.39	738.02	738.69	+ 2.0	+ 3.3	+ 4.9	+ 3.5	89.0	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	PdZ.	Pd.	Pd.	Pd.		
10		739.79	741.67	743.96	745.88	+ 1.8	+ 3.3	+ 5.5	+ 1.7	88.5	pr. pogodny	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Pd.		
11		747.08	747.66	748 36	750.82	— 0.3	+ 1.8	+ 2.6	+ 1.4	96.3	pochmurny	poch. dész.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PnW.	0.5	
12	☾.	754.65	756.64	757.36	758.31	— 0.8	— 2.1	— 1.2	— 5.9	86.5	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
13		756.94	757.09	755.69	756.29	— 6.7	— 4.8	— 2 6	— 6.8	87.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	W.	PdW.	W.		
14		755.71	755.74	755.79	756.73	— 7.0	— 4.2	— 0.5	— 4.8	89.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	W.	W.		
15		757.11	757.41	755.04	753.96	— 8.1	— 5.1	+ 0.3	— 3.5	92.5	pogodny	pogodny	smugi	pogodny	Pn.	W.	PdZ.	PdZ.		
16		751.12	748.85	745.37	742.66	— 1.9	— 0.9	+ 0.4	+ 0.6	96.5	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	pogodny	Z.	PdZ.	PdZ	Z.		1.0
17		736.34	735.54	735.22	735.28	+ 0.0	+ 0.9	+ 0.6	— 0.5	95.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		1.0
18		731.70	729.25	720.31	723.22	— 1.1	+ 0.6	+ 0.7	— 0.2	94.5	pochmurny	poch. śnieg	poch. śnieg	pochmurny	Pd.	Pd.	Pd.	Z.		3.4
19		728.77	731.24	733.97	737.02	— 2.2	— 0.1	— 0.0	— 2.1	95.2	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
20	☽.	739.31	740.81	742.00	744.98	— 2.6	— 0.6	— 1.9	— 4.0	93.8	Poch. śnieg	pochmurny	chm. pod. ś.	pochmurny	Z.	Pn.	Z.	Z.		1.6
21		747.42	749.86	751.29	752.37	— 4.3	— 1.5	— 1.3	— 4.6	97.7	Pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	PdZ.	PdZ.	Pd.		1.8
22		755.48	757.91	761.38	764.36	— 6.4	— 2.5	— 0.8	— 4.4	94.8	Pogodny	napół pog.	smugi	napół pog.	Z.	Pd.	W.	PnW.		
23		766.44	767.23	767.07	767.85	— 5.4	— 3.1	— 1.2	— 4.6	97.0	lek. zamgl.	pr. pochm.	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
24		769.06	769.45	769 57	768.48	— 6.0	— 4.9	— 1.7	— 7.8	98.2	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	W.	W.		
25		766 45	765.70	763.43	762.43	— 10 5	— 5.3	— 2 8	— 7.5	95.0	pochmurny	pochmurny	pogodny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	PdW.		
26		760.01	759.61	756.06	752 96	— 9.3	— 8 2	— 5 5	— 10.2	97.3	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	pogodny	Pd.	W.	PdW.	Pd.		
27		748.99	748 08	746.80	745 77	— 11.1	— 7.7	— 6.7	— 5.8	99.0	mgła gruba	mgła gruba	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PdZ.	Z.	Z.		
28	☽.	742.72	742 10	738 87	738.45	— 4.1	— 1.9	+ 0.2	— 1.5	94.2	Śnieg	śnieg	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Pd.		1.6
29		736.33	736.34	736.15	735.84	— 1.9	+ 1.4	+ 1.3	+ 0.1	85.3	pochmurny	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	Pd.	PdZ.	Pd.	Pd.		
Śre.		748.478	748,649	747.843	748.272	— 3°.51	— 1°.83	— 0°.60	— 2°.70	94.1									17.7	19.2

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	748.310	27	7.722
Najwyżéj dochodził — d. 24 o g. 4 w.	769.57	28	5.148
Najniżéj — — d. 18 o g. 4 w.	720.31	26	7.173

Dotąd ani razu barometr nie miał tak małéj wysokości.

Średnia zmiana dzienna barometru	6.243		2.767
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 4 w.	16.87		7.478
Średnia wysokość barometru jest niższą o	2.106		0.932
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	750.413	27	8.654
Średnia temperatura Lutego wynosi:	— 2°.16 C.		— 1°.728 R.
i ta jest wyższą o	0.851 „		0.681 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	— 3 011 „		— 2.409 „
Największe ciepło dochodziło d. 10 o godz. 4 wiecz.	+ 5.5 „		+ 4.40 „
Największe zimno dochodziło d. 27 o godz. 6 rano.	— 11.1 „		— 8.88 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.27 „		1.817 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 2—3 o g. 10 r.	11.6 „		9.28 „

Termometrograf wskazał:

Maximum: + 5°.5 R. d. 10 po połud.

Minimum: —10°.2 „ d. 27 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 17,7 milim. czyli 7,85 lin. par., z śniegu 19.2 milim. czyli 8.51 lin. par.; razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 36.9 milim. czyli 16.36 lin. par.; ilość ta wody jest większą o 3.99 lin. par. od ilości jaka u nas w lutym zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 94,1 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4.46 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większą o 0.02 od normalnéj.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 3, pochmurnych 21. Dni deszczu 6 (d. 2, 6, 8, 9, 11, 18). Dni śniegu 13 (d. 1, 2, 4, 5, 6, 7, 8, 16, 18, 20, 21, 28, 29).— Dni mgły 3 (d. 22, 26, 27).—Dni gradu (krup) 2 (d. 8, 18).

Wichrów było 2 (1 Z. 1 PdZ.). — Wiatrów mocnych 2 (1 Pn. 1 PdZ.).— Wiatr panujący: Zachodni i Południowo-Zachodni.

Luty r. b był niepogodny, wilgotny, w pierwszéj połowie ciepły, w drugiéj zimny, w śnieg nie obfity. w ogóle o pół stopnia R. cieplejszy niż zwykle, jednak zimniejszy o 1.33 stop. R. od grudnia r. z. a o 1.48 stop. R. od stycznia r. b. Najcieplejsze dni były 6. 7, 8, 9, 10, 11; najzimniejsze d. 3, 25, 26, 27. Zmiany temperatury a bardziéj jeszcze zmiany barometru były znaczne. Dnia 18 w przeciągu 12 godzin barometr zniżył się o 5,2 lin. par. i stanął na 26 cali 4.84 lin. par. tojest niżéj niż kiedykolwiek w ciągu 26 lat upłynionych. Wielkim zmianom barometru towarzyszyły zwykle wichry.

D. 3 o godz. 7 min. 17 sekund. 52 wiecz. *świetna kula ognista* blaskiem przechodząca Wenusa, ukazała się około gwiazdy δ Erydanu i szybko pionowo ku poziomowi dążyła. Przebiegłszy 10°—12°, rozdzieliła się na 2 mniejsze, które znikły doszedłszy do 3°—4° do poziomu.

D. 12, 13, 14 i 15 między 7 a 8 godz. wiecz. na zachodzie przyświecała słabém światłem białawém w blado-różowe przechodzącym *Zorza Zodyakalna*, która w kierunku zwierzyńca niebieskiego w kształcie piramidy ukośnéj wznosiła się nad poziom; w dniach 12, 13, 14 zorza ta szczególniéj wyraźnie świeciła.

D. 20 w nocy widziano Zorzę Północną w m. Prenach w gubernii augustowskiéj i w Krakowie.

JOACHIM JERLICZ

I LATOPISIEC ALBO KRONICZKA JEGO

OD R. 1620 DO 1673.

PRZEZ

K. W. Wojcickiego.

II.

Chociaż znaném jest rodzinne nazwisko Jerliczów w Litwie i na Wołyniu, w piśmiennictwie naszém po raz piérwszy się zjawia. Niewiele moglibyśmy powiedzieć o naszym kronikarzu z dzieł znanych i herbarzów, bo tam żadnego wspominku nie znajdziesz, gdyby nie przyszedł nam w pomoc sam autor, który kreśląc wypadki dziejowe narodu, w swoim Latopiscu jeden ustęp wyłącznie poświęcił na wypisanie genealogii rodziny *Jerliczów*, razem z bliższemi gałęziami krewniaków, a nadto wiele rozrzucił wiadomości dotyczących i swéj osoby, i rodziny pod różnemi latami. Zbierzemy więc te szczegóły, aby dać całość dokładną.

Ustęp pomieniony ma taki napis:

„Wypisanie przodków moich przezacnych domów Ichmość Panów *Pliszczów*, *Jurłów*, które przodki nasze służąc królom Ichmościom i różnym książętom w Litwie i na Wołyniu, nazwali się *Jerliczami*, w sławie rycerskiéj żyjących, przezemnie *Joachima Jerlicza* spisanych w roku 1648, dnia 3 sierpnia."

Tu o sobie tak mówi:

„Zdało mi się za rzecz słuszną, przeżywszy po łasce Pana Boga mego lat 50 i rok jeden, gdyżem się rodził w roku 1598,

dnia 19 maja, w niedzielę z rana do dnia, we wsi *Kolenka* pod *Ostrogiem*; a jako wiek mój prowadziłem w młodości lat swoich, wyszedłszy ze szkoły, aby potomkowie moi wiedzieli."

„Najprzód mając lat 17 (1), będąc wyrostkiem, wyprawił mnie był pan ojciec mój do wojska pod *Buszę*, przy panu *Tychonie Szaszkiewiczu* podkomorzym bracławskim, pokrewnym, abym się przypatrzył wojennym rzeczom: gdzie był Skinder basza hetman cesarza tureckiego ze 100,000 wojska, mając oprócz tego przy sobie Multanów, Wołochów, Węgrów i Tatarów, który nad samym Dniestrem obozem stanął; a panowie hetmani koronni obaj po drugiéj stronie Dniestru, u miasteczka Buszy na górze, ćwierć mili od Dniestru, mając wojska 15,000, na którém miejscu przez całe lato stali, a doczekawszy jesieni, w pokoju rozeszli się."

„Potém na *Orynińskiem* polu drugiego roku, gdzie *Gałga* w 40,000 przypadłszy (Tatarów), kilka godzin harcami bawiwszy się, do Polski umykał ku Lwowi, a złupiwszy i nabrawszy więźniów do kilkudziesiąt tysięcy, w całości nazad się wraca."

„Napotém byłem u księdza Imci Jędrzeja Lipskiego podkanclerzego koronnego oddany przez Ichmość pana Laurentego *Drzewińskiego* cześnika wołyńskiego, który widząc, że umiałem czytać i pisać po rusku, oddaje mnie do swojéj kancelaryi, którą tenże podkanclerzy zawiadywał: gdzie przy mnie Piekarski króla uderzył" (2).

„Napotém gdy uchwała stanęła na sejmie przeciw Turkom, tedy oderwawszy się od dworu biskupiego, odjeżdżam z Warszawy. Zaciągnąłem się na 3 konie z Ichmość panem *Teodorem Woroniczem* podczaszym kijowskim pod *Chocim*, gdziem był od janczarzyna z janczarki w nogę lewą postrzelony, na którą musiałem chromać i ulegać."

(1) Pomylił się tu Jerlicz i ujął sobie lat dwa prawie wieku. Traktat niepomyślny zawarty pod *Buszą* przez Stanisława Żołkiewskiego hetmana ze Skinder-baszą, był podpisany dnia 26 września 1617 r.; gdy zaś Jerlicz urodził się w roku 1598, miał więc tedy lat 19.

(2) Zamach na życie króla Zygmunta IIIgo przez Piekarskiego przy wnijściu do kościoła katedralnego św. Jana w Warszawie, wykonany był dnia 15 listopada 1620 r. w niedzielę rano, gdy król ten poprzedzony licznym dworem, w towarzystwie syna swego Władysława, wchodził na mszą świętą.

„Odbywszy te expedycye, napotém z różnemi rotmistrzami będąc, w zaciągach kilkanaście lat służąc, dawszy pokój, ożeniłem się był. Będąc od zbójców Kozaków w wielkiém niebezpieczeństwie życia mego mizernego na tym świecie, za grzechy moje wielkie i ciężkie, któremi i Majestat Pana Boga mego i Stwórcę zawsze obrażam, w Trójcy jedynego gniewam, i Przenajświętszą Pannę Bogarodzicę: trwoży się serce, a w mdłości zawsze opływa. Przeto umyśliłem to po sobie zostawić, aby się potomki moje, tak po mnie pozostałe, jako i po rodzonych moich, które natenczas Bóg wié gdzie się obracają, i gdzie się mogą znachodzić, z braci i sióstr moich, i potomków po nich, których gorącém sercem pragnę w dobrém zdrowiu oglądać, o co Pana Boga proszę, aby mi dać raczył, a oczy moje zalewają się łzami, zwłaszcza znajdując się w czasie mego utrapienia przy miejscu świętém *monastyrze pieczarskim kijowskim.* Jeżeli zaś kto z potomków moich znajdować się będzie żywym, aby wiedział którego domu, i z kogo ojcowie ich i matki pochodzą, albo poszli, i kto kogo spłodził, a tym sposobem, aby sam mógł się o krewnych dopytać; i jeżeli Pan Bóg za grzechy nasze, narodu szlacheckiego w koronie polskiéj nie da do końca wygubić, na co oczy nasze patrzają, iż niemało zacnych ludzi pozabijano i towarzyszy: natenczas o tém pisać nie mogę dla niebezpieczeństwa ustawicznego od chłopów i swywoli kozackiéj."

Tu poczynając od pradziada swego *Iwona Tymofejewicza Pliszcza Jurlowa*, dworzanina króla Alexandra, przechodzi szczegółowo rozgałęzienie się swéj rodziny. Pisze po większéj części z pamięci, bo papiery potrzebne potemu, jedne Tatarzy w napadzie spalili, drugie Kozacy.

Miał Joachim od ojca *opisek* o pokrewnych swych, czyli kroniczkę, ale i tę Kozacy w napadzie na dwór latopisca naszego wzięli; tu mu pomagały notaty Butowicza z rodu Jerliczów, które miał pod ręką w monastyrze kijowsko-pieczarskim. Byłto między naszą szlachtą zwyczaj chwalebny, że każdy nie zważając na drukowane herbarze, dzieje swéj rodziny dla pamięci potomków spisywał. Wymagała tego miejscowa nawet potrzeba. Z gniazda rodzinnego, zaczęła się szlachta osiedlać w oddalonych stronach rzeczypospolitéj: z Mazowsza wynosiła się na Wołyń, Podole, Ukrainę i Litwę; osiadała ruskie ziemie między Prutem, Dniestrem a Stryjem: toż z krakowskiego, z sandomierskiego, słowem z Wielko- i Małopolski. Patrzał niejeden ojciec, jak

z jego gościnnego dworu i syny i dziewki jego, opuszczają rodzinne progi, aby więcéj do nich nie wrócić. Jeden syn w gnieździe ojczystém utrzymywał daléj imię i ród; reszta rozpierzchła, nowym rodom głową była. Aby więc nie poszło w niepamięć pierwotne gniazdo rodzinne, szlachcic spisywał dzieje swego rodu; wiodła go do tego potrzeba i miłość. Dziś nie mamy wyobrażenia owego serdecznego przywiązania, jakie cechowało dawne rodziny polskie: w obozie z odległych stron zebrane rycerstwo, gdy się poznało że krewniacy dalecy, już są z sobą jakby rodzeni bracia: jeden za drugiego życie własne w obronie stawił. Krewniak w biedzie od dalekich nawet miał pomoc chętną, i serdeczną przyjaźń. Ojcowie utrzymywali ten piękny krwi swéj związek, i dla pamięci, w piśmie przechowywali.

Byłybyto dla dziejów naszych drogocenne materyały, gdybyśmy więcéj takowych wynaléźć mogli. I Jerlicz wyraźnie nam potrzebę takich rodowodów wyjaśnił, rozpisując się szeroko nad rozgałęzieniem własnéj rodziny (1).

Ojciec naszego Joachima Olizar Jerlicz, „który (jak syn jego wyraża) w młodych leciech swych nie chcąc sadzić kur w domu, ale służąc żołniersko, był z królem Stefanem Batorym przez wszystkie expedycye przy wzięciu *Połocka*, pod *Łukami* i *Wielkim Nowogrodem*," ożenił się naprzód z *Tomilą Borowicką*, z którą kilkanaście lat żył, i ta mu bezpotomnie umarła. Powtórzył związki małżeńskie z Katarzyną *Sosnicką*, i z tą miał siedmiu synów i dziesięć córek. Joachim był trzeci z porządku, ale gdy brat starszy i siostra pomarli, on był głową rodzeństwa.

Przy dziadku swoim *Żychonie Baszkiewiczu* podkomorzym bracławskim bawił nasz Joachim, a gdy podrósł i w lata i w siłę, za wolą ojca i zgodzeniem się dziada, oddany był pod chorągiew Stanisława Żołkiewskiego, aby pod sławnym hetmanem żywot rycerski rozpoczął. Kiedy był na wyprawie chocimskiéj, umiera mu w maju 1621 r. ojciec; w następnym, stryj jego Ma-

(1) Szacowny byłto zwyczaj pisania dyaryuszów domowych i tak zwanych *Silva rerum*, w których często oprócz wypadków dziejowych, zapisywano szczegóły dotyczące rodziny piszącego szlachcica. Z obszerniejszych znanych w tym rodzaju pomników, stawić na czele musimy Pamiętniki Paska, Konlecpolskich, Maszkiewicza, Wybickiego, Kitowicza, a przybywa do tego poczetu i nasz Jerlicz. Teto pomniki rozjaśniają dopiéro życie domowe i wiele ustępów dziejów krajowych.

twiéj Jerlicz, którego Joachim ranny kulą janczarki, chowa razem z ojcem w cerkwi horodyskiéj, o dwie mile za Zasławiem.

W roku 1630 już nasz kronikarz porzucił snać do czasu zawód rycerski, bo mieszkał z żoną w *chodorkowskim* zamku, i tu mu się w listopadzie przededniem piérwsza urodziła córka. W pięć lat żeni się po raz drugi, lubo o piérwszéj żonie nic nie wspomina: ani nazwiska rodzinnego, ani imienia, ani kiedy zmarła, chociaż nadzwyczaj jest troskliwy w zapisywaniu wszelkich szczegółów, dotyczących i siebie i rodziny swojéj.

Roku 1635, 24 listopada wstępuje w związek małżeński z panną Maryanną *Roguską*, córką porucznika w chorągwi księcia Samuela Koreckiego, Wojciecha Roguskiego, co zginął pod Cecorą wraz z hetmanem Żołkiewskim. Pan podkomorzy włodzimierski opiekun panny Maryanny sprawiał wesele w majętności swojéj Dobrzynie.

W następnym roku w grudniu rodzi mu się syn *Konstanty*, ale w miesiąc umiera; ojciec go chowa w cerkwi chodorkowskiéj na Starém-Mieście.

R. 1641 syn mu się drugi, Bazyli, rodzi. W tymże roku Maryanna Jerlicz rodzona siostra naszego Joachima przywdziewa habit zakonny, i wstępuje do panieńskiego monasteru pieczarsko-kijowskiego.

R. 1642 rodzi mu się syn trzeci, Jarosz.

R. 1643 umiera mu brat rodzony Jan Jerlicz. Byłto sławny myśliwy; łażąc na dąb za ubitym ptakiem, spadł i potłuczony, we trzy dni skonał.

Jerlicz był spokrewniony z rodziną Hołowińskich i Chmieleckich. Hołowińskiego Stefana, zabitego przez Szczyrskiego, nazywa bratem stryjecznym; a pod rokiem 1643 pisze:

„Dnia 12 septembris pan Chmielecki, młody wojewodzic kijowski siestrzeniec mój, porwał pannę Sokołowską i za małżonkę gwałtem ją pojął."

R. 1644 rodzi mu się córka Maryna. Zygmunt Kopeć trzyma ją do chrztu.

W r. 1647 kiedy nasz kronikarz bawił w Kijowie, a żonę z dziećmi zostawił we wsi swojéj *Byków*, dnia 4 sierpnia, syn dawnego jego przyjaciela Adam *Tyszyna*, zebrawszy sto hultajstwa, dwór napadł, a strzelając do tych co mu opór stawiali, zbuntowawszy poddanych téjże wsi, Jerliczowę z dziećmi z domu wyrzucił, a zbiór cały i sprzęt domowy złupił i zabrał. Synek

najmłodszy, Gregory, rok mający, noszony na ręku, z tego przestrachu wpadł w chorobę, i następnie też zaraz umarł we wsi Boleszowie, gdzie Jerlicz zamieszkiwał. Rozżalony ojciec pochowawszy go w Kijowie w cerkwi na górze pod zamkiem, gdzie zwłoki jego na *roczkach* (w sądzie) pokazywał, pisze:

„Którego duszyczce Panie Boże racz być miłościwym panem, a między anioły wieczne odpocznienie dać; a tym niecnotliwym zabójcom sędzią sprawiedliwym, a mścicielem wiekuistym być."

W roku 1648 mieszkał na Polesiu we wsi *Koczerowie*, gdy w powstaniu Chmielnickiego napadło go nagle i niespodziewanie Kozactwo. Jerlicz zaledwie uciekł z duszą do lasu, i z tego powodu mówi:

„O dalszych postępach téj bezbożnéj wojny chłopskiéj, czyli rozboju domowego, do końca nie mogę wiedzieć, bo w monastyrze pieczarskim przyszedłszy piechotą dnia 16 Augusta, siedziałem aż do zmiłowania się Bożego."

W latopiscu przecież, ważne i ciekawe szczegóły téj domowéj wojny zachował, opisując wypadki zaszłe jużto w samym Kijowie, już w dalszych stronach, które zebrał od naocznych świadków.

Miał w nich udział nawet w r. 1649 we wrześniu, gdy król złożył sejmiki, dla narady o obronie przeciw wzburzonym Kozakom. Wojewoda kijowski *Kisiel*, wezwał, aby ktokolwiek z obywateli żywym został, zbierali się i zjeżdżali na zwykłe miejsce do Żytomierza na sejmik:

„Na który i mnie Joachima Jerlicza Jegomość ojciec Tryzna, archimandryt pieczarski, od wszystkiéj kapituły z listami uprosiwszy wyprawił, i byłem przez tydzień z inną szlachtą, oczekiwając na przyjazd JMci pana wojewody; ale się nie doczekało."

W roku 1653, dnia 8 czerwca, we wsi *Sarnikach* za Styrem, umiera matka jego w sędziwym wieku, przeżywszy męża, i zostając we wdowieńskim stanie lat 32. Zjeżdża Joachim na jéj pogrzeb, i chowa w miejscowéj cerkwi w towarzystwie braci swoich, Michała i Alexandra.

W roku 1657 umiera mu siostra rodzona Ewa Pawłowatoska, przybywszy doń w odwiedziny. W następnym roku w styczniu wydaje drugą swoję siostrę Nastazyą za mąż, za pana Sarnowskiego, i sprawia jéj wesele.

Gdy Czarniecki ukazał się na Litwie i Ukrainie 1660 r., nasz kronikarz porzucił dom i żonę z dziećmi drobnemi, i stanął do boju pod chorągwią bohatéra. Odbywał z nim różne wyprawy, i pod Mohilewem dnia 8 października w bitwie, gdy uderzyli z kopyta na piechotę nieprzyjacielską, ostawioną kobylicami i ostrokołami, otrzymał kilka nieszkodliwych postrzałów: pomimo ran, daléj służył pod chorągwią, aż do zimowych leży.

„Roku Pańskiego 1663, dnia 8 Februarii, ze środy na czwartek w noc, jakoś o godzinie 6 przed kury, małżonka moja z tym się światem pożegnała, i ze mną małżonkiem i dziatkami swemi, która była ostatnia z domu panów Roguskich na imię Maryna. Żyła w stanie małżeńskim lat 27, miesięcy 4 (która spłodziła 5 synów a 4 córki; gdzie synów w małym wieku umarło trzech, a córka jedna. Żywych synów zostało dwóch: jednemu imię Bazyli, a drugiemu Hieronim; córkom imiona: Katarzyna, Maryna i Hanna); któréj ciało pochowałem w cerkwi przy Weredowie pod Dubnem dnia 13 t. m. we wtorek; któréj duszy Panie Boże racz miłościwy być."

Syn naszego kronikarza Bazyli służył wojskowo; pisze o nim pod rokiem 1664: „d. 25 Decembra przy dobywaniu na Ukrainie *Psiarówki*, syna mego Bazylego wpół postrzelono z samopału, który zaledwo po łasce Bożéj żywym został, pół roku gojąc się albo lecząc."

We cztery lata, 1668 r. 9 listopada zapisuje śmierć córki swojéj Hanny, która mając lat 22 zmarła: pochowana we wsi *Strakłowie* w monasterze, pół mili od Dubna.

Ostatni szczegół dotyczący swéj rodziny zapisał Jerlicz w roku 1673, pod datą 17 *Aprilis*, gdy mu synowiec Bazyli umarł. Na tym roku kończy i swoję kronikę.

Jak długo żył jeszcze, gdzie przebywał nasz autor, i kiedy umarł, — niewiadomo nam wcale. Może wydanie pozostałego po nim pomnika dziejowego, które zamierzamy, będzie powodem do szczęśliwszych poszukiwań w tych właśnie okolicach, gdzie przemieszkiwał Jerlicz. Wszakże i ta sama rodzina żyje jeszcze.

My skrzętnie zebrawszy szczegóły do życiorysu naszego Joachima, przystąpim teraz do przeglądu jego latopisca, albo kroniczki, jak sam Jerlicz pracę swoję nazywa.

II.

Zaczyna ją pisać od dnia 26 sierpnia r. 1620; daléj podaje dyaryusz wyprawy chocimskiéj. Szczupłe są jego wiadomości i mało nowych faktów; sam walcząc, zaledwie miał czas krótkie wspomnienie którego dnia zapisać: nie dziwota, w gorącym téż tam rycerstwo nasze było upale. Wspomina wyprawy książąt Wiśniowieckiego i Koreckiego, opisuje świetne zwycięztwa Stefana Chmieleckiego, i taki stawia nam obraz jego czynów i zasług godnych pamięci:

„Roku 1630, dnia 16 Februarii, pan Stefan Chmielecki wojewoda kijowski, który otrzymawszy województwo nie zajeżdżał na one, ale zaraz z tego świata schodzi w mieście Barze. Jego ciało tamże pogrzebiono. Po nim wielki żal był wielu województwom, szlachcie, obywatelom, i ludziom pospolitym. Będąc regimentarzem wojska kwarcianego, bez bytności króla i pp. hetmanów zajętych z Gustawem królem szwedzkim, onym sprawował czas niemały, tatarskie hufce i kosze, pułki niemałe potężnie rozgramiał i znosił, a zbijał na głowę; a nietylko samych hanów, carów tatarskich straszył, jakoto pod *Tarnopolem*, drugi raz pod *Białą-Cerkwią*, trzeci raz pod *Bursztynem*, czwarty raz za Dniestrem, gdzie i synowi Kantymirowemu głowę uciąwszy, oddano za upominek królowi, a drugiego z innemi więźniami murzami żywcem odesłano do dworu. Na tychto Tatarów kilkanaście razy różnemi sposobami napadając, znosił, przez którą pilność i staranie swe, bardzo był zahamował i powściągnął Tatar pogan, że ani śmieli się pokazać w polach dzikich, mając a widząc rycerstwo ochocze ku sobie zawsze, że nigdy pociechy nie odnosił, i zawsze plony i zdobycz, nietylko co oni zdobywali, ale i swoje poganie utracać musieli, i głowami nakładali: jako bydło po polach rozgromione zbierając, gnali, do niewoli brali. Któregoto wodza i rycerskiego człowieka dawno takowego korona polska nie miała, przez co w polach dzikich na samych szlakach pogańskich, tatarskich, niemal wszystka Ukraina dalsza miasteczkami i wsiami pozasiadywała; którego szczęścia wodzowie starzy wojenni w głowach, panowie hetmani bardzo mu tego zazdrościli; a mało, jak powiadają, z naprawy śmierć stanęła przez cyrulika nadwornego hetmana koronnego; którego wielce śmierci wszyscy żałowali i płakali, tak rycerskie ludzie jako i pospolity człowiek,

tak jako dzieci ojca, albo matki które miłujące, iż byli za staraniem a szczęściem onego wytchnęli."

I rzecz godna uwagi zaprawdę, że ani za buławy Żołkiewskiego, ani Koniecpolskiego, nie używały Ukraina, Wołyń, Podole i ruskie ziemie Rplitéj takiego pokoju i swobody od napadów tatarskich, jak za Stefana Chmieleckiego. Dwóch też Stefanów, co nie słuchając przepisów taktyki wojennéj, nowym, a własnym sposobem walcząc, zwycięztwami ciągle zdobili swoje lotne sztandary:—Chmielecki za Zygmunta IIIgo, Czarniecki za Jana Kazimierza. Ale piérwszego imię nie miało tyle rozgłosu, w cień usunione przed poważnym blaskiem wielkich hetmanów; łzy narodu, wdzięczność rycerstwa imię Chmieleckiego podały nam w cudnéj historycznéj pieśni, którą Birkowski przy swém kazaniu, opłakując zgon bohatéra, wydrukował.

Wśród zdarzeń historycznych nie przepomina Jerlicz zapisywać w swojéj kronice napadu szarańczy, srogich zim, drożyzny, moru, i widziadeł na niebie.

Idąc porządkiem rok za rokiem, miesiąc za miesiącem, co tylko ważniejszego, nic nie opuszcza.

Tak w roku 1646 podaje ciekawy szczegół powodu śmierci Stanisława Koniecpolskiego hetmana koronnego; obszerniejszy Samuela Łaszcza prawdziwego rozbójnika osłonionego powagą tego hetmana, co najeżdżał dwory, łupił, mordował, gwałtami najohydniejszemi każdy napad znacząc.

Opisując przybycie Władysława IV d. 8 sierpnia t. r. do Lwowa, rzuca wielkie światło na smutny ustęp naszych dziejów powstania Chmielnickiego. Król w tajemnicy zaczął przygotowania do wyprawy na Turków. Zniósłszy się ze wszystkiemi panującemi w Europie i z Ojcem Świętym, miał oddane najwyższe dowództwo nad wszystkiemi wojskami, jakie zebrać się miały; już marzono o odebraniu Stambułu i wyrwaniu państwa greckiego z rąk pogańskich, a następnie grobu Chrystusa Pana. Do tych tajnych planów wpływał głównie kanclerz Ossoliński. Władysław zaciągnął 16,000 cudzoziemskiego wojska, wystawił 60 sztuk dział, i z temi przybył do Lwowa. Król hiszpański zobowiązał się dostawić 40,000 bitnych zastępów; oprócz tego 16,000 i 50 dział autoramentu hiszpańskiego już było blizko pode Lwowem. Władysław tajnie posłał pieniądze Kozakom, i postawił na ich czele *Doroszenkę*, który z młodcami swoimi na czajkach już ruszył na morze Czarne.

Ale panowie senatorowie i rzeczpospolita, pomni na traktat wieczysty pod Chocimem zawarty, na śmierć Warneńczyka, wyprawy téj nie dopuścili. Władysław z wielkim kosztem zebrane chorągwie cudzoziemskie rozpuścić musiał, i wszelkie marzone nadzieje sławy i wyzwolenia Grecyi upadły. Wydano rozkazy, aby wojsku hiszpańskiemu nie dozwolono z okrętów na brzegi Rplitéj wylądować „przez co (słowa Jerlicza) jadem wielkim serce królewskie i nieżyczliwość przeciw wszystkim odwróciło się i okazało, i już wszelkich sposobów szukał, aby mógł ten śmiéch i zelżywość oddać: jakoż i znalazł, bo co się złego stało w koronie polskiéj od chłopstwa, to wszystko przez króla, zdradą niedotkliwą kanclerską (Ossolińskiego) człowieka bezbożnego, tak kłótnia i zguba korony polskiéj, a tak wielkie krwi przelanie i hańba."

Owoż mamy nowy dowód, objaśniający ów list przez Władysława IV pisany do Kozaków, który Bohdan Chmielnicki ukazywał w odpowiedzi na skargi o uciemiężaniu i niewoli srogiéj od panów i szlachty doznawanéj. „Macie proch i samopały, bo ja moją władzą nic wam nie pomogę."

Słowa niebacznie napisane, które uzbroiły krocie rąk krzepkich na zgubę Polski, i wylały potoki i łez i krwi.

Zamyślał Władysław, już odtąd idąc w ślady Ryszeliego, stłumić przewagę możnowładców w kraju; dla tego celu przygotowywał sobie pomoc kozacką. Śmierć zniszczyła te plany, a rzeczypospolitéj przepaść otworzyły.

Podaje daléj Jerlicz ciekawe szczegóły o unii i działaniach metropolii kijowskiéj; co tém ważniejsza, że znał jako Rusin sprawy te dokładnie i zblizka, a bezinteresownie poglądał na nie.

Od roku 1648 wraz ze śmiercią Władysława IV zaczyna obszerny opis powstania Chmielnickiego. Ważny ten i ciekawy obraz, w którym dotyka tylko tego, co się w Kijowskiém działo, na co się patrzał, i o czém miał dowodną wiadomość.

Opisuje klęskę pod Pilawcami, kreśli wypadki w samym Kijowie, wpisuje do swéj kroniczki punkta i suplikę do Jego Królewskiéj Mości i Rzeczypospolitéj wojska zaporozkiego 1649 r. podaną, oraz układy wojewody Kisiela z Kozakami.

W miejsce opisu klęski pod *Żółtemi-wodami*, przywodzi w ruskiém narzeczu pieśń do hetmana Potockiego, która zdaje się być utworem samego Jerlicza. W niéj wyrzuca hetmanowi, że w zapędzie dumy próżnéj, nic nie ma na względzie: ani rozkazów króla, ani rady życzliwych; na nędzę i łupież wokoło nie dba, na

swój rozum tylko liczy. Traci też syna, sam idzie w tatarską niewolą, zgubiwszy chorągwie walecznego rycerstwa.

W dalszym ciągu wspomina mimochodem o wielu osobach historycznych, podaje ciekawe szczegóły do ich życiorysów. Opisuje wszelkie wyprawy przeciw Kozakom i Moskwie, wpisuje hadiackie punkta, a przyszedłszy do napadu szwedzkiego, osobliwą podaje wiadomość, jak król Gustaw powiększał swoję armią:

„Gdy wysiadł (z okrętów) nie miał więcéj wojska własnych Szwedów nad 6000, który od miasta do miasta, od powiatu do powiatu obierał lud sposobny do wojska. Krawiec, lub szewc, lub kowal, to równo ze szlachtą za jedno, i wojska na 50000 był zebrał."

Wśród tych historycznych zdarzeń, przywodzi list pana Jezusa, który krążył w tych czasach na Rusi, i opis snu Najświętszéj Panny. Nie wspomina Jerlicz w jakim celu go umieszcza, ale współczesny rękopism nieznanego autora, przywodząc tenże list, mówi o wielkiém wrażeniu jakie pomiędzy ludem w całéj rzeczypospolitéj polskiéj sprawił. Treść jego religijno-moralna, polecająca pilność w zachowaniu przykazań boskich, wśród klęsk powszechnych, dla wielu była balsamem pociechy. Przepisywano go, noszono przy sobie, bo przyrzekał odpuszczenie grzechów, i zapewniał szczęśliwy żywot w niebiesiech. Kiedy nikt nie był pewnym życia, nie spodziewał się umierać w spokoju, a widział tylko śmierć nagłą a niespodziewaną: to przy okrzyku dzikich hord tatarskich, to wrzasku czerni kozackiéj, to napastniczych Szwedów i rozbójniczéj hałastry Rakocego; nie ma dziwoty, że jedyną każdy nadzieję tylko pokładał w Bogu, i jego oddawał się opiece. Uczucie religijne potęgowało się wtedy, a cudowna obrona Częstochowy, a widziadła niebieskie, a list ów w prostocie wiary, silnie a błogo i szczęśliwie działały na naród cały. Trzeba się przenieść w owe czasy i myślą i sercem, aby pojąć to uczucie przy prostocie gorącéj wiary, która sama tylko może być jedynym balsamem na rany i cierpienia.

Jana Kazimiérza nazywa Kazi-pokój (Kazimir), jako psujący pokój: bo rzeczywiście całe jego panowanie, to tylko walka ustawna i krwawa. Ostro docina Sobieskiemu, wówczas amantowi panny Kazimiery d'Arquien, a następnie żony Zamojskiego.

Opisuje jak w roku 1661 owa Francuzka, gdy sam wojewoda bawił w Warszawie na sejmie, zabrawszy dostatki męża,

z podmówionym starym sługą i kilkunastą pacholętami, ujechała do Francyi. Z tego powodu przemawia Jerlicz:

„Lepiéj było w domu się ożenić ze szlachcianką polską: zdrowiéjby było i pożyteczniéj."

Siedziała u krewnych we Francyi lat trzy, wróciła z potomkiem; ale stary wojewoda, wnuk wielkiego Jana Zamojskiego, ani jéj widzieć, ani uznać potomka nie chciał. Zmarł bezpotomnie, i na nim téż zgasła prosta gałąź wielkiego męża w rzeczypospolitéj polskiéj.

Królowa wydała za mąż młodą wdowę w piérwszym miesiącu żałoby, za Sobieskiego chorążego koronnego: „znali się oni z sobą i kochali," dodaje nasz kronikarz. Na tém weselu odsądzając Jan Kazimiérz od czci Lubomirskiego, oddał buławę Sobieskiemu jako zięciowi, choć się temu sprzeciwiała rzeczpospolita. Z powodu zdrady Hieronima Radziejowskiego i przebaczenia mu zbrodni, w szlachetnym gniewie woła Jerlicz:

„Niestało onych książąt, paniąt, które bywali wojewodami, senatorami, stróżami korony polskiéj, niecierpieli nikomu złego, karali, wytykali zpośrodka siebie; zaczém po łasce Bożéj, dobrze się działo, i Polska w pokoju i w całości, aż do tych czasów zostawała: ale jak przyszło na teraźniejsze senatory, co młodość swoję i czasy lat swoich, u szlachty służąc komorniczo, ani na żołnierce tracili, ale piętami przed paniami wiercili, czapki poprawiali, za karetami jeździli, w kancellaryach się przyćwiczyli, w których ani sumienie, o czém Pan Bóg wié, ani téż mało poczciwego, aby jeno zkąd wziąć, jakimże sposobem czego nabyć, o tém wszystka rada i myśl, zawsze dostatki swoje przyozdabiać. Tedy i ten zdrajca, o kim wiédzcie, Radziejowski, datkiem i obietnicami panów senatorów umohoryczył, i do łaski pańskiéj dostąpił."

„O! książęta Ostrogscy, Zbarawscy, Zasławscy, Wiszniowieccy, Koreccy, Sanguszkowie, i inni; panowie: Tęczyńscy, Sieniawscy, Zgórkowie, Jazłowieccy, Pretwicowie, Zborowscy, Strusowie, Hoyscy, których już jedna pamiątka zostawa, niestało onych obrońców, filarów korony polskiéj! Gdzie teraz podzieli się i książęta Słuckie?—ustąpili, nie masz ich, niestało, jedno pamiątka stróżów kochanéj ojczyzny. Podobno was ziemia, jako matka wszystkiego stworzenia pobrała do siebie; zaczém nie masz, ani potomków po was nie zostaje. Teraz nam źle się dzieje po waszych głowach, i Pan Bóg wié co się jeszcze daléj z nami bę-

dzie działo! Sprawiedliwości ani prawdy nie pytaj:—oślepła na obie oczy. Szalbierstwo sześcią końmi na górę ciągnie: zacinaj daléj gdzie równo. Na co Ty sam Panie z nieba, do czasu każdemu folgując, czekasz?!"

Wspominając śmierć hetmana Gąsiewskiego, zabitego od związkowego rycerstwa jako posądzonego o zdradę, pisze mu wierszem nagrobek niepochlebny, i jako rzecz godną wszystkich uwagi notuje, że król Jan Kazimiérz 1663 r. 29 maja, wydał i rozesłał uniwersały po grodach, aby szlachta i poddani województw ruskiego, wołyńskiego i bełzkiego, byli w ostrożności, gdyż horda tatarska ma iść na usługi onemu, aby się do miast, przysposobiwszy żywności, z dobytkiem sprowadzali.

„Które uniwersały (dodaje Jerlicz) z podpisem własnéj ręki królewskiéj były z pieczęcią wielką konsyliarską wydane, którem oczyma swemi widział."

Chorągwie związkowe ruszyły naprzeciw tak zaproszonych gości, a z całego toku rzeczy zdaje się, że do tego związku i nasz kronikarz należał.

Służył i walczył nasz kronikarz pod Czarnieckim; to téż ostatnie chwile swego wodza ze szczegółami opisuje, i dopełnia tém Pamiętników Paska.

„Zimując p. Czarniecki w Białéj Cerkwi z cudzoziemskiemi chorągwiami, gdzie zachorował: powiadano, jakoby dana była trucizna, o którém daniu sam Pan Bóg jeno może wiedzieć, jeżeli od swoich, czyli z nieprzyjaciół który do tego mógł przyjść z Kozaków. Z Ukrainy chorego prowadzono, wieziono na saniach, gdzie z Brodów ku Lwowi puścił się był, chcąc doktorów i leków zażyć dla ratunku zdrowia; a będąc już w mili od Brodów, przyjechawszy ku wsi *Sokula*, jeszcze gorzéj począł chorować. Jednakże ztamtąd każe się prowadzić, gdzie wyjechawszy za wieś, każe się nazad zawracać do Sokula, i tam w onéj wsi bieg żywota swego dokonał; którego duszy daj Panie Boże duszne zbawienie! I innym panom regimentarzom tak się sprawować i na taką sławę zarabiać, który ani o domie, ani o żonie, ani o dzieciach, ani o zbiorach nie dbając, żywot swój tak prowadził i skończył go. Zawsze dzień i noc na koniu, nie dbając ani o namioty, ani o karetach, ani o wyśmienitych potrawach i trunkach: ale pogoda czy niepogoda, zawsze jednako. Pokarm onego, jeżeli jest, wędzonka, a napój woda; pościel wojłok, a siodło wezgłowie. Takie spanie onego było. Nie czekając dnia, ale i o północku, albo

z wieczora, nieprzyjaciela łowił i znosił, którego spraw i dzielności wypisać żaden nie może."

Ciekawy a nieznany szczegół podaje nam Jerlicz, co do poselstwa wspomnionego już Hieronima Radziejowskiego. Zjechał się on w Carogrodzie z posłem od Kozaków wysłanym, który go znając, oskarżył przed cesarzem tureckim, ostrzegając, aby mu wiary żadnéj nie dawał, bo to zdrajca swego kraju, na który tyle nieszczęść sprowadził. Już Radziejowski odprawiony był z zawartym pokojem, gdy w skutek oskarżenia zatrzymano go w Adryanopolu, gdzie i umarł, a syna jego wypuszczono.

Z przekąsem wspomina Maryą Ludwikę; nazywa ją z ruska: „korolicha," która bardzo złego w Polsce narobiła licha, która jak niedźwiedzia za nos, tak Janem Kazimiérzem wodziła.

Roku 1668 składa ten król koronę na sejmie, a Jerlicz mówi:

„Nie mamy czego żałować: niejednego zabito, niejednego do ordy pognano, niejednego kaléką uczyniono. Jak się poczęło za ojca jego dziać, a za niego się zawieruszyło; za ojca krzywoprzysięztwo powstało, i nienawiść pomiędzy pospólstwem; każda rzecz odmianę wzięła, a teraz i ostatek przepadł."

Po złożeniu korony, wybrał się na odpust (w styczniu 1669) do Sokalu z licznym orszakiem; wracając ze Lwowa, gdzie bawił kilka miesięcy, do Krakowa, w Pińczowie noclég przypadał.

„Gdy komornik albo stanowniczy sługa, (słowa Jerlicza) naprzód przyjechawszy, w domu wjezdnym zastaje J. M. Pana Pisarskiego, który tam stał wprzód, i każe ustępować z gospody, powiadając, że tu król Jegomość będzie stał. P. Pisarski odpowié onemu, że my teraz króla żadnego nie mamy. Słowo za słowo. W tym czasie *Kazipokój* nadjeżdża. Posłany uskarża się na p. Pisarskiego, którego każe obić dobrze do rosołu obuchami przy sobie, mając z sobą do 500 gwardyi, a ten jako szlachcic mając się dobrze, a nie spodziewając się takiéj tarapaty, miał ze 20 człowieka. Nazajutrz, czyli jak się zebrał p. Pisarski, jedzie do Krakowa, zastaje bywszego króla, daje mu pozew na kapturowe sądy, które się odprawowały natenczas, i te Jana Kazimiérza od czci odsądzają."

Przy końcu swéj kroniki przystępuje Jerlicz do opisania bezkrólewia, i obrania Michała Korybuta.

Śmiało rzucony cień na Jana Sobieskiego wówczas hetmana, krytyka dziejowa poświadczyć musi. Złączony ścisłym węzłem

jednéj myśli z Prażmowskim, nie wahał się zniżyć do intryg niegodnych jego szabli zwycięzkiéj.

Jerlicz ze szczegółami opisuje jak Sobieski zwabiał Tatarów, by utrzymać Kondeusza na tronie, pozwalając im łupić Polskę. W drodze Prażmowski, po obraniu Michała, na sutéj uczcie zadaje mu truciznę, od któréj skutków zaledwie uratował go domowy ojca, Wiszniowieckiego, doktor.

Jeżeli piérwsze podanie nie ulega wątpliwości, drugie potrzebuje dowodniejszych świadectw: wieść jednak powszechna, chwilową słabość na téj uczcie króla Michała ze zbytku pokarmów, przypisywała zjadliwéj truciznie.

Jerlicz stary żołniérz, miłujący swój kraj, przeżywszy całe panowanie Wazów, ojca i dwóch synów, lubo przywiązany do króla Michała jako krwi Piastowskiéj, nie może utaić oburzenia na zbytek i rozrzutność: czy je widzi na dworze króla, czy pod strzechą szlachecką. Wymowny téż kreśli obraz téj niedbałości o dobro publiczne, a obok tego téj chuci marnotrawstwa, téj chęci przesady w przepychu, czy utrzymywania licznego dworu, czy w ucztach i w ubiorach. W jaskrawéj barwie wygląda ten wizerunek, postawiony obok nędzy i niedoli, jakiemi cała Polska była przygnieciona.

Kończy kronikę swoję na akcie związku, którym szlachta z rycerstwem stanęła w obronie Michała Korybuta, przeciw Sobieskiemu i Prażmowskiemu.

* * *

Daliśmy tu tylko wydatniejsze ustępy latopisca albo kroniki Jerlicza: wszakże w niéj ciąg opowieści idzie rok za rokiem przez pół wieku z górą, bo przez lat 53. Opuściliśmy więc mnóstwo drobniejszych nieznanych szczegółów, lub znanych a inaczéj przedstawionych, bo te wszystkie znajdzie czytelnik w samém dziele Jerlicza. My tylko chcieliśmy uwagę zwrócić na nowe fakta, które zbogacą dzieje nasze, a w inném świetle ważne ustępy historyczne, głównie z czasów Jana Kazimierza i Michała Korybuta, przedstawiają.

Kronika Jerlicza uzupełnia Pamiętniki Chryzostoma Paska. Nie mówimy tu, że go wyprzedza w swéj opowieści o lat 37, ale właśnie od roku 1660 obaj jednę wyprawę Stefana Czarnieckiego na Litwie i Ukrainie opisują. Obaj służyli pod jego sztandarem, obaj go znali, kochali, i uwielbiają zarówno. Gdy Pasek w ogólnych wyrazach wspomina śmierć tego bohatéra; Jer-

licz szczegółowo ten zgon opisuje, i podaje do życiorysu jego ważne, a wielce malujące charakter Czarnieckiego szczegóły.

Pełniejszym od Paska jest Jerlicz, gdy przychodzi do obioru i panowania Michała Korybuta; obaj zarówno nienawidzą Prażmowskiego. Jerlicz nie tai intryg Sobieskiego, które oburzały szlachetną jego duszę; Pasek przemilcza, choć wiedzieć o nich musiał, bo to jego wódz później, a następnie król, którego jako wielkiego bohatéra na polu bitwy, sam wojownik, uwielbiał. Jerlicz zamyka kronikę swoję na rok przed śmiercią króla Michała; szczęśliwszy Pasek, bo dożył oswobodzenia Wiednia przez króla Jana IIIgo, i nieraz miał sposobność z nim mówienia. Przeciągnął Pasek lat 15 po Jerliczu Pamiętniki swoje, w które wlać umiał więcéj życia, więcéj barwy swoich czasów, aniżeli którykolwiek z pisarzy naszych. Mistrzem był w tém Pasek, ale i nasz Jerlicz nie zostanie mniéj obojętnym dla badaczy dziejów krajowych.

WIEJSKIE ZARYSY.

przez

Jana Kantego Gregorowicza.

(Ciąg dalszy).

III.

Powrót.

I idąc gwarzyli,
Z ludzi się dziwili,
Ten taki, ten owaki,
Ta taka, a ten siaki.

Już i nieszpory się skończyły. — Na plebanii pełno gości: księży i obywatelstwa. Jedni siedzą na ganku, drudzy przechadzają się po ogrodzie; fornale gwarzą przy stajni, a w karczmie tylko dudni i huczy; tak młodzież wywija.

Pozwijano kramy. Gospodynie ocieniając oczy od promieni nizko już nad ziemią wiszącego słońca, wyglądają rychło tam bydło do wsi przygonią. Gospodarze z ręką w zanadrzu poją dobytek pozostały w domu, a drogą od wsi wijącą się między dwiema ścianami pszenicy i żyta, postępują w małych od siebie ustępach trzy gromadki włościan z różnych wsi sąsiednich.

W najpiérwszéj idą dziewoje i parobczaki, w drugiéj kobiety zamężne, a w końcu kilku gospodarzy już nie piérwszéj młodości. Rozmowa wszystkie usta ożywia: młodzież się śmieje, figluje, kobiety trajkoczą jakby z nich każda po dwa miała języki, a gospodarze z pewną powagą toczą między sobą rozprawy.

— Ot żytko *kieby* las—mówił wuj Basi, Jędrzéj, wskazując ręką na obszerną niwę żyta, po któréj przelatujący czasem wie-

trzyk szumiał szelestem poruszanych kłosów, — a coto będzie chleba, co roboty dla *ludowiny!*....

— Ej! mój sąsiedzie — odezwał się drugi Tomasz — jeszcze-*ta* wszystko w woli Boskiéj; choć dziś *ładno* wygląda, to-*ta* różne mogą wypaść *okazyje*: to przypali, to zarazi, to grad wybije, to powali.

— Oj! prawda, święte wasze słowa — potwierdzili drudzy — człowiek się cieszy, a nie wié *kiej* biéda na niego przypadnie.

— Ha! bo biéda, moi kochani — odezwał się Tomasz — nie chodzi po ziemi, *ino* po ludziach.

— Starato *gadka*, ale prawdziwa — zabrał głos Jędrzéj. — Żeby biéda chodziła po ziemi, toby *zawdy* człowiek mógł się od niéj opędzić, ale że chodzi po ludziach, to i trudno jéj poradzić. Ot, na ten przykład, i ten szlachcic ma żytko coby i wężowi trudno się było *bez* niego przecisnąć; pszenica także na ludzi patrzy, jarzyna ujdzie, a jednak rok roku nigdy-*ta* u niego nie dogoni. Fornalki, Boże zmiłuj się, pyskami się *ino* po roli podpierają; a z wiosny jak zasieje, to potém i *krzyny* ziarna u niego w śpichrzu nie *uświadczy*: *het!* to kupuje, to pożycza od drugich i jak może tak cygani, aby-*ta* daléj, aby do nowego (1).

— Ej! mój sąsiedzie — odpowiedział na to Tomasz — i cóż dziwnego? Jak *ino* człowiek nie ogląda się na jutro, *ino* aby dziś miał czém *kaldun* napchać, to-*ta* wszystko u takiego musi iść bez składu i bez ładu. Po żniwach *ino* co zasieje, to fury ze zbożem tak walą się do miasta, że po gościńcu to tak dudni, *nikiéj* na wiatraku kiedy pytlują. Jego nigdy nie *uświadczy* w domu, *ino zawdy* na polowaniu, albo na jakich zbytkach: to u przyjaciół, to w mieście, to u siebie; a żebyśta moi sąsiedzi wiedzieli, co to oni-*ta* dokazują, co się narozlewają wina i araku, to aż człowiekowi dziwne rzeczy się dzieją, że-*ta tyla* pieniędzy na marność wychodzi!

— Oj! prawda, prawda — odezwali się słuchacze serdecznie wzdychając — a ludowinie u niego, to gorzéj, niż psu u złego gospodarza: ni zapomogi, ni pomocy, ni poradzenia. Chałupa się wali, a niech się wali! Na przednowku się rozłażą po całym

(1) Żeby ktokolwiekbądź zdań rozmawiających włościan nie wziął do siebie, przymuszeni jesteśmy oświadczyć, iż takowe pozbieraliśmy we wszystkich stronach kraju naszego, i ułożywszy z nich jednę całość, przedstawiamy ją w naszéj pracy głównie w téj myśli, aby dać wyobrażenie, jak lud wiejski pilnie śledzi i roztrząsa wszystkie czyny swoich panów.

świecie, jak mrówki, bo i cóż w *doma* będą robić? Jeść nie ma co, ze dwora nie dadzą, bo sami nic nie mają: to jaki taki szuka po świecie zarobku, i jak *kaj* zalezie, tak i utchnie, a we wsi pustki. Nadejdą żniwa, nie ma czém robić; dopiéro jeżdżą wieś od wsi *nikiéj* organista po *petycyi*, a wszystko o *bandosów*; ale Bogać-*ta* ma kto do niego pójść, kiedy każdy w *doma* ma robotę. To też nim zbierze, pół ziarna *zawdy* w polu zostanie, i tak też wszystko idzie na marność.

— *Laboga!* moi kochani—odezwał się na to piérwszy raz Wawrzyniec, z dziada pradziada rodowity Świątniczanin, zwykłym przeciągającym dyalektem—piérwsze słyszę co mi powiadacie; a to szlachcic strasznie głupi, kiedy się nie umié *obrządzać*. *Laboga*!

— O! że głupi, to ani gadania—potwierdził Tomasz.—Sadzi się na cugowe konie, na *liberyje*, i Bóg wié nie na jakie wymysły, a w domu poczciwego nie ma wozu, ani wołu; a jak się w mieście pokaże, to żydzi *ino* się czernią *wedle* niego. Na jesień to jeszcze *fracha*, bo ma co sprzedawać, to żydzi *zacharują*, a wszystko Jaśnie Panie, nizko się kłaniają, i *zawdy-ta* od niego taniéj choćby półzłotek, to wykpią na korcu.....

— O! to prawda, że głupi szlachcic — potwierdzili inni, a Wawrzyniec dodał:

— Laboga, moi kochani! i szlachcic i taki głupi? Laboga!

— Ale jak przyjdzie wiosna—mówił daléj Tomasz—to żydzi jak go zobaczą, to-*ta* powkładają ręce w kieszenie i szwargoczą, szwargoczą, a on taki pokorniuski, bo w domu i na nasienie ziarna nie znajdzie. Już się nie puszy *nikiéj* kogut na płocie kiedy pieje, ale tak *polulno*, grzecznie z żydami się rozmawia, że czasem to i wykpi co pieniędzy, a czasem to żydzi *ino* pogłaskają *se* brody, podniosą ramion do góry i odchodząc powiedzą: *Aj wej*, *sziacher*, niech go djabli wezmą ze spekulacyą; a mój owies, a moja pszenica? Jaki mądry, *aj wej!*

Na te słowa wszyscy się rozśmieli, a Jędrzéj dodał:

— O! to *judy* te żydy: oni-*ta* człeka zaraz zwąchają i wiedzą czém kto pachnie, to mu wtedy pewno nie Jaśnie panują.

— Bogać-ta mają mu Jaśnie panować, kiedy-*ta* nie żyd jego, *ino* on żyda musi się prosić.

— Moi kochani, moi sąsiedzi—odezwał się Wawrzyniec—powiedzcie mi, co to za wymysł taki Jaśnie Panie, bo-ta u nas takiéj *gadki* nigdy nie *uświadczy*?

— O! już prawdziwy z was *szpitalnik*—odpowiedział Jędrzéj—chłopiby-*ta* między sobą Jaśnie Panie mówili.

— Laboga, moi kochani! ja przecieć nie do tego prowadzę, *ino* do tego, co to znaczy Jaśnie Panie?

— Ej! co znaczy, co znaczy? to *ino* subiekcyja dla głowy. Ot na ten przykład: do ekonoma, to mówi się panie; do szlachcica na jednéj wiosce Wielmożny Panie; a jak ma kilka wsi, to Jaśnie Wielmożny Panie.

— O! moi kochani! a my-*ta* choć po różnych chodziewa dworach, to *zawdy ino panie* mówiewa każdemu.

— Ha! to téż między ludźmi jest taka *gadka*, żeśta głupie szpitalniki, bo nie wieta jak z kim wypada się rozmówić.

— Patrzajcie?—moi kochani, i to dlatego? Laboga!

— Ba! i dlaczegożby-*ta* innego? A żebyście mój Wawrzyńcze wiedzieli, jakto niektóra szlachta lubi kiedy mu się mówi Jaśnie Panie! To ten szlachcic w Radkowie jak przyjdziesz do niego po interesie, to *ino* mu co słowo mów Jaśnie Panie, a kłaniaj się, a znów Jaśnie Panie, i znów kłaniaj się, to ci rodzonéj *krwie* z palca nie będzie żałował, i tak się *ładno*, tak *grzeczno* rozmówi, i każe dać wódki. Ale kto*ta* nie wié tego do niego i niech mu mówi Wielmożny Panie, to go o mało z podwórza psami nie poszczuje, i tak wtedy zły, tak wykrzykuje, że człek ucieka za dziesiątą granicę.

— Patrzajcie? moi kochani—odezwał się potrząsając głową Wawrzyniec—dobrze*ta* i o tém wiedzieć.

— Ba! zapewne że dobrze.

— A powiedźcie mi mój Jędrzeju, a temu panu z Chodowa czy także Jaśnie Panie należy się mówić?

— Ej! bajecie*ta*, bajecie, *nikiéj* kowal w gorączce; niby to pan z Chodowa to taki głupi jak ten z Radkowa. U pana Chodowskiego to wszystko bez żadnych wymysłów, bez żadnego odkazywania, wszystko po gospodarsku: i ludziom dobrze, i bydlętom, a niechta do niego i *tyli* dzieciak przyjdzie, to się z nim tak *delikatno* rozmówi, że aż miło. Ho! jemu mówcie Jaśnie Panie, to*ta* z wami ani jednego słowa się nie rozmówi, *ino* natuli czapkę na uszy i pójdzie do dwora; bo powiada, że się-*ta* przyszło do niego z jakiémś oszukaństwem, kiedy człek od *pochlibstwa* zaczyna.

— O! to dobry, uczciwy szlachcic—odezwali się inni—a jaki na wszystko wyperswadowany, jak się na każdéj zna robocie, to-*ta* jego nikt nie oszuka.

— To *właśnie*, nie tak jak szlachcic z Ładowa.

— E! co tam pan z Ładowa! Ludzie mówią, że on-*ta* nie wszystko dobrze ma w głowie: raz taki, raz owaki; czasem za byle co, czy *warta* kto czy niewarta, daje wódki, zboża, pieniędzy; to wtedy już co kto urwie, to jego. Ale czasem znowu to *nikiejby* szalony: lata, krzyczy, o byleco zaraz każe rozciągać, zarobek *hareszłuje*, i wtedy proś u niego choćby krwawemi łzami, nic nie uprosisz. To téż-*ta* u niego Bóg wié jak wszystko idzie; nie ma żadnéj jedności: ekonom sobie, chłopi sobie, dworscy sobie, a nikt nic nie ma, i Bóg wié *kaj* się co podziewa.

— Laboga! moi kochani—odezwał się Wawrzyniec—to-*ta* dziwna szlachta co o niéj mówita. A wasz téż, Tomaszu, jaki, bo ludzie powiadają, żeta ujdzie *ciarachosko*?

— Ej! nasz-*ta* ujdzie, ani gadania: ludzi nie krzywdzi, wypłaci co się komu należy, czyta zasługi, czy zarobek. Zabiegliwy, *wedle* gospodarstwa, *wedle* roli chodzi od rana do nocy; ale-*ta* moi kochani zawdy u niego bliższa koszula jak sukmana, i wodę *ino* na swoje koło ciągnie.

— No, mój Tomaszu, to i *niedziwota*, boć każdy człek, czyta chłop, czy szlachcic, to zawdy jest k'sobie, a nie od siebie.

— No, jużcić co prawda, to prawda; ale*ta* łatwiéj panu jak chłopu, bo co człek nie wypracuje rękoma, to mu-ta łatwo nic do garści nie wpadnie.

— A juści, a juści—potwierdzili drudzy.

— Ej! *dziwniśta* strasznie moi kochani—odezwał się na to Wawrzyniec—kiedy wypłaca co się komu należy, kiedy nie krzywdzi, to i cóż wy więcéj chceta? Jesteście w jakiéj *okazyi*, to *mata* się gdzie podziać: czy o jakie leki, czy o chléb na przednowku, czy o poradzenie w jakiéj *turbacyi*; ot nie tak jak my, co nikiéj ptakowie, co *ino* jednego Boga mają nad sobą.

— Ale, tak wam to gadać—odezwał się jeden z włościan—zawdy wam łatwiéj jak nam: bo choć—mówił daléj z pewną ironią w głosie—wasze dziedzictwo, mój Wawrzyńcze, niedługie i nieszerokie, ale głębokie: i kop, kop, a nie dokopiesz się końca.

Wszyscy się rozśmieli, a Wawrzyniec odrzekł:

— O! kpijta-*se*, kpijta ze szpitalników, a równie dobrze wam z niemi: czy z płótnem, czy o robotnika, to zawdy do szpitalników.

— Ba!—odpowiedział Tomasz—bo téż ludzie z waszéj wsi to tak latają po świecie z przędzionkami, nikiéj żydzi po skórkach.

— A jak się zaczną dziwić — dodał inny — i wołać co słowo *laboga, laboga!* to tak śmieszno, jakby się w lesie między wilkami, a nie pomiędzy ludźmi wychowali.

— A, bo żyda i Świątniczanina — dołożył znów inny — po *gadce*, to poomacku zaraz pozna.

— Laboga! — zawołał w zapomnieniu i napół rozgniewany Wawrzyniec — a wyśta, czy poszaleli czy co? — Laboga! *nikiéj* by nie z kościoła, *ino* z karczmy wracali, tak *se* wykpiwają.

Takie powtórne wymówienie cechującego wszystkich Świątniczan wyrazu *laboga*, właśnie wtenczas, kiedy go za przedmiot drwinek wybrali, pobudziło całe grono rozmawiające do szczeréj wesołości.

Śmieli się więc poglądając z ukosa na sierdzącego się Wawrzyńca, który z cichym dąsem, szepcząc sobie coś pod nosem, jeszcze bardziéj zagniewaną miną podsycał dowcip towarzyszącéj mu gromadki. Nareszcie każdy umilkł, bo gniéw Wawrzyńca szedł krokiem galopującym, i choć jeszcze w duszy się śmiano, gwarliwa rozmowa ustąpiła miejsca takiéj cichości, że z dokładnością można było policzyć odgłos stąpających kroków. Aż na raz jeden z piersi Wawrzyńca buchnął głośny, serdeczny śmiéch; uspokojeni włościanie z równą szczerością zawtórowali, a pola, łąki i wzgórza, odpowiedziały echem téj nagle podniesionéj radości.

Wypadek do tego jeszcze zdarzył, że i dwie drugie gromadki młodzieży i gospodyń wiejskich, postępujące w małéj odległości od naszych włościan, równą ożyły wesołością. Gdy więc ucichł gruby chór męzki, zabrzęczały cienkie, naiwne głosy dziewcząt; zaraz potém zagadało echo szumiąc temi podwójnemi tony, które przytłumił pełnym głosem zawodzony śmiéch kobiét.

I ten koncert śmiéchu to opadał, to się wznosił, to nikł między wzgórzami; i cała okolica strojna uroczą cichością dnia świątecznego, jak młoda dziewoja gdy ze spuszczonemi oczyma przystępuje z pokorą do spowiedzi, taką napełniła się wrzawą, takiém ożyła weselem, jakby za każdém wzgórzem, w każdym rozdole i w każdéj wiosce czerniącéj się wśród zielonego zboża jak stogi z sianem na łąkach, ukryte były śmiejące się gromady, które wzajemnie przedrzeźniając się, gadają do siebie.

— A bodaj was Bóg kochał — odezwał się piérwszy Wawrzyniec — i z waszém wykpiwaniem; a to mało ze śmiéchu nie przyjdzie się człowiekowi udusić.

— O! już prawdziwy z was szpitalnik: to się gniewacie, to się śmiejecie—zagadł Tomasz—a wszystko Bóg wié z czego. Ale dajcie pokój, bo nadjeżdża szlachcic z Noskowa, to będzie myślał, że wracawa nie z próżnemi głowami.

Wkrótce w cztéry gniade konie, z brzęczącą uprzężą chomont krakowskich, przesunęła się zgrabna najtyczanka.

Włościanie rozstąpili się na obie strony drogi z pokornie zdjętemi czapkami, skłonili się aż do saméj ziemi siedzącemu w bryczce panu, i gdy zobaczyli go na kilkanaście kroków już oddalonego, piérwszy przemówił Tomasz:

— Ale tęgie szlachcic ma szkapy.

— A, bo widzicie, on *zalica* się w naszym dworze — dodał inny — a u szlachty to już taki obyczaj: zkąd wziąć to wziąć, choćby w domu jeść co nie było, choćby się przyszło zapożyczyć, aby tylko szkapy były dobre do *zalicania się*.

— A to dziwna ta szlachta — odezwał się Wawrzyniec — to u nich parada więcéj znaczy, *nikiéj* wszystko.

— A *ino*, a *ino*, mój Wawrzyńcze. Ot ten szlachcic z Noskowa, to już więcéj ma długu jak majątku, i ludzie mówią, że-*ta* za jakiś podatek co w Radomiu go płacą (1), jakoś on się nazywa... bodaj cię.... no przepomniałem; otóż że za ten podatek mieli mu już wieś zabrać, ale on się jeszcze uprosił do nowego, i choć-*ta wedle* niego chudziutko, a widzicie jak paraduje. W domu biéda taka, coby jéj i siekierą nie uciął, a on nie pyta, paraduje i *juści*.

— No, jak się ożeni w waszym dworze, to się trochę podeprze, bo podobno u waszego to pieniędzy nie brakuje.

— Ej! człeku, człeku, co-ta u niego majątku, co *wszyćkiego*, to patrzéć, to aż człeka oczy bolą; ale to wszystko pójdzie na marność, bo póki stary żyje, to się wszystko kupy trzyma, ale niechno mu przyjdzie oczy zamknąć, to się tak rozleci, jak *pirze* po świecie.

— A to dlaczego? co wy gadacie?—zapytał Wawrzyniec.

— Ba! synowie swoją drogą, zięciowie swoją drogą. Ot, a ten szlachcic z Noskowa, to jemu *ino* piszczy, a *wszyćko* tak do pieniędzy. Niechno każde weźmie co swoje do garści, to pójdzie jak plewa z wiatrem.

— Co nie ma pójść? pójdzie, pójdzie—potwierdzili drudzy.

(1) Towarzystwo Kredytowe.

— Moi kochani—zapytał Wawrzyniec—powiédzcie mi, *kaj* są te pieniądze, bo *kaj* się *ino* człowiek obróci, to wszędy ludzie płaczą bez pieniędzy.

— *Kaj* są?—powtórzył Tomasz—a juści *kajże* mają być jak nie u żydów; a czy wiecie dlaczego?

— No, dlaczegóżto?—zapytano dokoła.

— A to widzita dlatego, że u nich nie ma żadnego odkazywania się: czy-*ta* żyd biédny, czy bogacz, czy-ta pan, czy służący, to *wszyćko* jedność; nie powstydzi się żaden niczego i nie przestrzegają tak *prywaty*, jak między naszą szlachtą. Ot na ten przykład, żebyśta byli kiedy we dworze u tego pana z Noskowa, to mieliśbyta się czemu napatrzyć. Co-*ta* u niego dworusów, co zawdy gości, co *liberyi!* Albo w Radlicach, jak to tam dworno, jakby u największego pana; a jednak ludzie mówią, że jużby ich dawno z majątków powyganiali, co już Bóg wié nie od kogo się napożyczyli, żeby nie to, że się od roku do roku *zawdy* uproszą.

— Macie *racyją*, mój sąsiedzie—odezwali sie słuchający—prawda, prawda. Jednak ta szlachta, chociaż i w szkole się uczyła, choć-*ta* i w domu różnych ma nauczycieli, to strasznie jest głupia; bo choć po wierzchu piórka się im świecą, to ludzie dobre mają oczy i widzą, że czasem u nich i złotówki w domu nie *uświadczy*.

— Ej! moi sąsiedzi—odezwał się Tomasz—i między nami zdarzą się tacy. Znacie Urbana w Pokutnie, co ma trzy dziewki *kieby* łanie, a każdéj jużby czas dawno o chłopie pomyśléć (1); to Urban, żeby niby ludziom pokazać, że ma dla nich wiana, *zawdy* zachowa z kilka snopków żyta i dopiéro ich młóci *wedle* żniwa, żeby się przecieć odkazać, że u niego nie ma przednówka; ale-ta ludzi nie oszuka, bo każdy wié, że choć się ma nie ostatnio, to jednak u niego się nie przewala, i dziewki jak siały tak i sieją rutkę.

— Oj! głupi Urban, głupi Urban—odezwano się ze śmiechem, a Tomasz dodał:

— Ale zawdy, moi sąsiedzi, głupsza szlachta; bo cóż, Urban, zwyczajnie jak chłop, bez żadnéj *edukacyi*, i na Urbana *ino* we wsi patrzą, a do szlachcica, to się cisną oczy ze wszystkich stron.

(1) Czyli o mężu.

— Prawda, prawda—potwierdzono tłumnie—już co głupsza szlachta, to głupsza. A jeden dodał:

— *Nikiéj* Janek co z dziewczynami idzie na przodzie, bo jemu to wyraźnie *podało* się na szlachcica, a nie na chłopa; do uciechy, do stroju, do uciesznéj gadki, to jeden, ale do statku i pracy, ani go weź.

I gdy jedni potwierdzali wyrzeczone zdanie, Jędrzéj, wuj Basi, odezwał się:

— Ej! moi sąsiedzi, dajta pokój chłopaczyskowi, bo sięta ludzie dosyć pyskami o niego nawycierają; a cóż on winien, że *miętkiego* serca? Jednak w uczciwości chodzi i nic krzywego ludziom nie zrobił.

— No, ani słowa, ale że głupi, to nie ma gadania.

I tak zawyrokowawszy, rozmowa się urwała; każdy zapewne w dumnéj zarozumiałości widząc siebie wyżéj postawionego nad *ciarachami*, chwilowo się zamyślił.

Dwie inne gromadki idąc ciągle gwarzyły; a jeżeli między młodzieżą najwięcéj było żartów i śmiechu, to między starszemi gospodyniami trajkotu i obmowiska.

— Czyście zważały, moje sąsiady — mówiła jedna z nich zwana Stachowa, głosem prędkim a monotonnym—jak się to dziś wystroiła do kościoła Grzesiowa. Na szyi *tyla* miała korali nikiéj indyk, ale to mieszane, były-*ta* prawdziwe, ale nie *wszyćkie*, bo ja się dobrze *przypatrowała*.....

— Toście źle widziały—odezwała się Tomaszowa—boć i ja przecie mam oczy.....

— Nieprawda.

— Ej! bajecie, bajecie.....

— Nieprawda, nieprawda—odezwała się Stachowa.—Gadajcie wy swoje, a ja wam sto razy powiem nieprawda, nieprawda i *juści*, bo-ta i połowy nie było prawdziwych korali; zkądżeby ich wzięła, czy z roli, czy z zarobku, kiedy-*ta* wszystko u nich jak woda: jak przyjdzie tak i pójdzie, a choć grosz jaki wpadnie, to-ta znajdą się inne dziury. O ho ho! a wszystkieby trzeba zatykać, nie koraleby właśnie kupowała.....

— A któż wam powiada — przerwała Tomaszowa—że ich sama kupowała? Nie bójcie się, ma ona dobry rozum i wié *kaj* grosz podziać.

— A to któż jéj kupił?—zapytano dokoła.

— No gadajcie, gadajcie—dołożyła Stachowa.

— Ej! moje kochaneczki, tak się wypytujeta, *nikiéj* byśta nie miały ani oczów, ani uszów; ja-*ta* plotek nie lubię, ani-*ta* szarpać kogo na honorze: dajta mi pokój, niech każdy pilnuje swego nosa.— I reszta odpowiedzi w cichym szmerze zginęła na ustach Tomaszowéj.

Gadatliwa Stachowa potrząsłszy z nieukontentowaniem głową, poprawiła spadające jéj z ramion z białego płótna okrycie, i obracając się do reszty towarzystwa, mówiła:

— Moje sąsiady, plotka plotką, a prawda prawdą. Grzesiowa wszystkich korali miała dziewięć sznurków, nieprawda?

— A juści, a podobno tak — odezwały się słuchające, a Tomaszowa pomruknęła jakby do siebie: Oj! bajbuga, bajbuga!

— No, to widzicie — mówiła daléj Stachowa — a dziś w kościele jeżeliśta zważały, to się jéj czerwieniło wedle szyi najmniéj 13cie, a może i więcéj; to zkądżeby ich wzięła?

— Uhm — mruknęła z przekąsem Tomaszowa — tak, zkądby ich wzięła! Wy nie wieta, ale ja wiem.

— Przecież ich nie pożyczyła, bo-ta każda przecie na odpust do ubrania potrzebuje; i nie ukradła także: więc namieszała między prawdziwe korale z kilka sznurków fałszywych, aby się ta przecie odkazać między innemi.

— Albo to prawda?—odrzekła Tomaszowa nie mogąc dłużéj w milczeniu wytrzymać.—Wam moja Stachowa w oczach się uroiło *cosić* i chceta nas.....

— Co ja chcę, co ja chcę?— wołała Stachowa bijąc się w piersi—ja o prawdę nigdzie nie zginę; bo żebyśta wy mnie gadali i gadali, to ja wam zawdy powiem: nieprawda, nieprawda i *juści*.

— Otóż moja prawda i juści—z podniesionym głosem odrzekła Tomaszowa.

— Nieprawda, nie wasza!

— Moja, moja.

— Nie wasza, nie wasza!—wołała Stachowa.

— Kiedy nie moja prawda, to się wy nic nie znacie na koralach, bo.....

— O! ho, ho, ho, widzicie jacy mądrzy! To wy się nie znacie.

— Nieprawda, wy się nie znacie.

— Znam się, znam się.

— Nieprawda, nieprawda—odrzekła Tomaszowa i przez dalszy ciąg mowy wymowniejszéj Stachowéj ciągle powtarzała: nie prawda, nieprawda: nie znacie się ani *krzyny*.

— O! gadajcie, gadajcie, nawet się zagadajcie—trajkotała Stachowa—ja zawdy swoje powiem, bo swoim oczom lepiéj wierzę jak cudzym. Korale koralami, a prawda prawdą; i żeby mi-*ta* nie wiem jak kto gadał, jak perswadował, to ja zawdy będę przy swojém; zawdy swoje będę prowadzić, że korale nie wszystkie miała prawdziwe, i że-ta choć z piąta część to była fałszywych, *ino* dla parady. O! ho, ho, ja się na tém znam; nie pierwszyzna mi takie rzeczy, nie od dziś, ani od wczora patrzę przecię swemi oczami po świecie, i żebyście mi tu nie wiem jak dowodzili i jak perswadowali, to ja zawdy przy swojém zostanę, bo zkądby *wzięła* tyla korali, zkąd?

W tém miejscu Stachowa wstrzymała się i w mowie i w chodzie, jakby czekała odpowiedzi. Tomaszowa chociaż nie przekonana, ale zakrzyczana potokiem słów Stachowéj, w najwyższym stopniu wrzała cała niecierpliwością przekonania upartéj sąsiady, którą jak tylko ujrzała cokolwiek uspokojoną, na zapytanie: zkądby ich wzięła, zkąd?—odpowiedziała:

— Zkąd? oto ani ich kupiła, ani ukradła, *ino* od swego dziedzica dostała.

— Od dziedzica, moi kochani—powtórzono z zadziwieniem dokoła, nie wyłączając i Stachowéj—a to za co? jakimto sposobem?

— Za co, za co? juścić nie za robotę; ale że od niego, to ja wiem dobrze, bo mi sama Grzesiowa mówiła i pokazywała; a korale powiadam wam ślicznośći; warte ze 40 złp.

— Moi kochani —odezwała się żona poznanego przez nas Świątniczanina Wawrzyńca—a to poczciwy jakiś szlachcic, kiedyta tyle pieniędzy nie żałuje dla swoich kobiét na ustrojenie. Patrzajcie, moje kochaneczki, to uczciwy szlachcic.

W téj chwili reszta kobiét parsknęła śmiechem z tak naiwnie wyrzeczonego zdania, a Jędrzejowa, ciotka Basi, odezwała się:

— Moja Wawrzyńcowa, tak gadata, jakbyście się w lesie wychowali. Właśnie by-*ta* kto po próżnicy tyla pieniędzy wywalał; zwyczajnie, piękne za nadobne.

— Bójta się Boga, moi ludzie —odpowiedziała Świątniczanka—czy to może być, a toć przecie śmiertelny grzéch *zalicać* się do innych, kiedy się ma swoję kobietę.

— Zapewne, zapewne—potwierdziły inne—i komuto jeszcze? Żebyto jakiemu młodemu, to by-*ta* i nie była taka wielka dziwota, ale takiemu statecznemu.....

— Macie *racyją*, moja Józwowa, bo od młodego to możebyście i wy koralami nie wzgardzili.

— Cichobyście byli, nie obrażalibyście taką *gadką* Pana Boga, bo dobrze *żeśwa* same, że mamy swoję *kalkulacyją*, ale gdyby tak przy dziewuchach.....

— O! przy dziewuchach właśniebym tak pokpiwała. Przecieć ja wiem *kaj* co powiedzieć.

— Ale bójta się Boga, moje sąsiadeczki—zapytała się Świątniczanka—czy tylko to nie jakie obmówisko. Czy to może być, żeby szlachcic a tak źle miał w głowie?

— Moi kochani—rzekła na to Tomaszowa—u was w głowie to ni źle, ni dobrze, *ino* prawdziwie po świątnicku, bo-ta nic nie wieta, co się po świecie między ludźmi dzieje.

— A może to i być, bo u nas zwyczajnie-*ta* jak między chłopami: robota od rana do nocy, to o niepotrzebnych rzeczach nie ma i czasu myśleć.

— A *ino*, a *ino*; ale widzicie, u szlachty to *wszyćko* inaczéj, i Grzesiowa takichby korali nie miała, żeby nie dziedzic. A to choć stary, to wielki zbytnik: jak-*ta* u jakiéj roboty, to on zawdy między kobietami: to *se* pokpiwa, to żartuje, że aż straszno słuchać.....

— Patrzajcie moi kochani—odezwała się Świątniczanka—a jak w kościele, to tak się modli, taki pokorniuśki, jakby jaki święty.

— E, zwyczajnie wszystko to *ino* dla oka ludzkiego, bo choć książkę trzyma pod nosem, to mu oczy latają *nikiéj* ciarki po kościele, a wszystko *ino* po dziewuchach, po kobietach, a modlenie to mu-*ta* ani w głowie nie postoi.

— Ej! dalibyście pokój— odezwała się znowu Świątniczanka—i w kościele i takieby mu rzeczy do głowy przychodziły?

— Co wy wiecie? U szlachty nie ma takiéj *obserwacyi* w kościele, jak między nami. Widzieliście dzisiaj jak-*ta* ci młodzi z Poskoczna zeszli się z synami pana Przybyłowa, co to było między niemi witania, co gadania, co śmiechu; a niech-*ta* między nami któro się zdrzymnie, co i niedziwota, bo człek cały tydzień *haruje*, to w święto jak przeleci milę do kościoła i siądzie gdzie na boku, to ani wié kiedy mu się oczy zamkną: to zaraz potém na nas *haru*, *haru*, że ino na spanie, a nie na modlenie przychodziewa do kościoła.

— Oj! prawda, prawda—potwierdziły słuchające.

— A ten szlachcic z Kosowa — odezwała się jedna z kobiét — widzicie, jak to on w kościele bije się w piersi, na klęczkach mszy świętéj słucha, zawdy złotówkę kładzie na światło. Do spowiedzi to pięć i sześć razy chodzi do roku, a i cóż to wszystko znaczy, kiedy *ino* w kościele taki pobożny, a u siebie we wsi, to nikiéj wilk między owcami. Każdy u niego pijak, złodziéj, próżniak, z gęby nigdy Boskie słowo nie wyjdzie, ino takie przekleństwa, że obcemu to aż straszno, bo się *duchem* zdaje człekowi, że to go złe opętało.

— Ale, bo on podobno nigdy próżnéj nie ma głowy — przerwała jedna ze słuchających.

— A *ino*? tak jest. Mój kum Walek, co-ta służy u niego w gorzelni, to powiada, że tak wódkę pije, jak wodę; *ino* się ze snu ocknie, zaraz do flaszki: *bach* jeden kielich, *bach* drugi; pójdzie do magazynu, znowu poprawi, i tak *bez* dzień cały. A niechno zobaczy pijanego, to zaraz z batem nad nim i pokłada nie żartując, a zawdy sam bije.

— Mój Boże! żeby to tak u nas, toby już człeka i za Boskie stworzenie nie mieli.

— I to oni tacy wszyscy, ci wasi panowie?—zapytała Świątniczanka.

— A niechże Bóg broni; zwyczajnie jak-*ta* i między nami co są źli, są i dobrzy: boć-*ta* przecie o panu z Jałtowa albo z Gozdowa, albo-*ta* i o wielu innych nikt nic złego nie powié. W domu żyją po Bogu, nie swarzą się, zawdy u nich wszystko *grzeczno*, *ładno*, w kościele znać, że *ino* o nabożeństwie myślą, a i ludowinie musi-*ta* być u nich nie najgorzéj, boć-*ta* przecie trzymają się, nie uciekają, i nie słychaćta, żeby się na nich o jaką krzywdę skarżyli.

— Prawda, prawda—potwierdzono dokoła, a jedna dodała: —jednak moje sąsiady i o nichby się-*ta* znalazło co powiedzieć.

— Ej! moja sąsiado, nie dziwota, bo znacie tę *gadkę*: że się nikt jeszcze nie urodził, coby wszystkim dogodził. Żebyta wszyscy panowie byli tacy jak z Jałtowa, z Gozdowa, z Ruszyc, z Komorzyc, oho! nie byłoby między ludowiną *tyla* płaczu i przeklinania.

— Oj! prawda, prawda — z westchnieniem potwierdzono dokoła.

— Słuchajta moje sąsiady — odezwała się Tomaszowa — już-*ta* raz zakończcie taką *rozgadkę*, bo to chłopska a nie babska

rzecz, a powiédzta mi, dlaczego ta panna z Trocic tak miała wszystkie włosy na głowie do góry pozganiane, *nikiéj*by ją kto wygolił.

— Oj! prawda, że-*ta* jéj z tém strasznie *dziwoznie*; a tak jéj brzydko, jakby nie szlacheckie dziecko, *ino* strach na wróble. Jaby się-*ta* nawet wstydziła tak między ludźmi pokazać, nikiéj jaki cudak.

— Oj! prawda, że co cudak, to cudak—ze śmiéchem odezwały się słuchające.

— Ale powiédzcie mi, moje kochaneczki, coto za obyczaj taki między szlachciankami, żeby-*ta zawdy* to inaczéj się ubierać: to włosy na głowie raz *se* tak uczeszą, to znowu inaczéj; to dziś sprawią *se* co nowego, uszyją, jużcić niedługo znowu psują, krają i znowu szyją, jakby-*ta* w jedném nie można chodzić do zdarcia. tak jak u nas: *zawdy* jak było, tak i jest.

— Ej! moi kochani — odezwała się na to Jędrzejowa — bo téż *tyle* ich całéj roboty, *zawdy ino* z gałganami; nie pójdzieta z nich żadna do ciężkiéj roboty, to same *se* wymyślają co mogą.

— Ej! bajecie, bajecie — przerwała Stachowa—przeciećta w naszym dworze jest pani i dwie córki, a cały dzień nigdy nie poprożnują; choć-*ta* prawda nie *chytają* się nic ciężkiego, bo od tego dziéwki trzymają, ale *bez* cały dzień jak woda wedle gospodarstwa: to u drobiu, to u wieprzy, to w kuchni, to w piwnicy u nabiału, a w zimie *ino* się zmierzchnie, to szycia im ani nastarczy; a jak się to na wszystkiém znają, jak w każdéj rzeczy umieją człowiekowi poradzić, to nikiéjby się na książce gospodarstwa uczyły!

— Patrzajcie, moi kochani, no! no!

— Albo to wszędzie tak jak w waszym dworze? —odezwała się Tomaszowa — żebyście byli u nas, albo w Trocicach, tobyście się dopiéro mieli czemu napatrzyć, jak to *prywaty* przestrzegają. Tam panie albo panny, broń Panie Boże, żeby się wzięły do jakiego gospodarstwa: tylko się ubrać *ładno*, wymuskać, spacerować *se* po podwórzu albo po ogrodzie, i tyla ich wszystkiego. A co-*ta* gości codzień, to *nikiéj* u księdza na odpuście.....

— A! i cóż-*ta* komu wadzi —odezwała się Stachowa—że-*ta ino* myślą o bawieniu: *tyla* mają majątku, i jeszczeby mieli pracować. Ho ho! dobrze robią, co to im potém? W naszym dworze, to co innego: dzieci *kieby* bobu, majątku nie tak wiele, to jakby przyszło spuszczać się na cudze ręce, trzebaby im dobrze brzucha

ściągać, boby *kresteneyi* i na pół roku nie wystarczyło; ale tam kilka folwarków, to jest w czém ręce umaczać i na co obejrzéć się.

— Ej! niedobrze mówicie, moja Stachowa, bo czyto w chłopskim, czy w szlacheckim stanie, żeby się chłop po uszy zapracował, żebyta majątku nie wiém jak *wiela* było, to jak w domu gospodyni nie da wszystkiemu dobrego obrotu, wszystko będzie szło na marność, zawdy będzie bieda i *juści*. W dziurawy garnek léj i léj, a *zawdy* będzie próżny, aż téż w końcu i ręce ustaną i człowiekowi się naprzykrzy, i nareszcie lać nie będzie czego. Otl na ten przykład w naszym dworze, albo w Trocicach, to ani saméj pani, ani żadnéj panny nie *uświadczy* przy żadném gospodarstwie; to téż żebyście wiedzieli, co się tam dzieje, co tam nieraz jest swaru z panem, co płaczu, co krzyku, to *nikiéj* nie między panami. I bogać-*ta* nie ma być *tyla* obrazy Boskiéj, kiedyto dziś z miasta nawiozą różnych korzeni, wina, araku, różnych wódek słodkich, z młyna worami mąki, koszy, naodbierają ze wsi drobiu, jaj, juścić po niedługim czasie wszystko jak wymiótł: bo wszystko stoi otworem, wszystkie dworusy za ręce się trzymają; ani pani, ani panny na nic nie dadzą baczenia, to téż oni łapią, capią, i wszystko wynoszą to do domu, to do karczmy. A jak kto z gości przyjedzie, dalejże dopiéro wyprzęgaj z pługa albo od jakiéj innéj roboty konia, i *hajże* jeden leci po arak, drugi po wino; dziéwki znów na wieś: ta po masło, ta po śmietankę albo po kapłona na kolacyą. Mnie przecież raz to kurę z jaj gwałtem wzięli, co-*ta* nie mogli u nikogo wyżebrać. Darmo mówiłam, że chuda, że-*ta* z niéj dojadku żadnego nie będą mieli, bo co to warta kura, kiedy na jajach siedzi; ale co-ta z niemi nie było co gadać; oblecieli całą wieś, każdy jakoś miał się na baczeniu, tylko ja taka byłam głupia, com nie zakryła kury przetakiem. Jak téż zobaczyli, ani uproś, i wzięli jak swoję.

— A zapłacili?

— No, juścić zapłacili, ale jabym się była wyrzekła i pieniędzy i wszystkiego, bo mi tak było żal kury, że o *zdrę* o małom co nie płakała; ale myślę sobie: cóż-ta kura, nie ojciec, ni matka, to będzie inna; ale *zawdy* człowiekowi smutno, kiedy-*ta* po próżnicy pozbędzie się z *doma* dobrego stworzenia.

— Zapewne, zapewne. Bogać-*ta* nie — potwierdzono dokoła z czułém westchnieniem, poświęconém pamięci nieszczęśli-

wéj kury, która w połowie drogi do macierzyństwa musiała pójść pod zęby niegospodarnéj rzeszy dworskiéj.

— Ej! moi kochani—odezwała się Stachowa—chociaż-*ta* prawda wszystko co powiadacie, *zawdy* oni jednak będą panami, i prędzéj nam wody zabraknie, jak im chleba. A zobaczycie, że i roku nie minie, to panny poznajdują *kawalirów*, chociaż-*ta* wszyscy wiedzą, że im gospodarstwo ani w głowie nie postoi, bo będą miały wiana nie lada jakie; a w waszym dworze chociaż-*ta* dziewczyniny i statkiem i pracą Bogu i ludziom się podobają, i wszyscy ich chwalą, to jeszcze w Wiśle dużo wody upłynie, nim one rutkę siać zaprzestaną.

— Ha! moja sąsiado, szlachta, chociaż to szlachta, ale czasami strasznie głupia, nie przymierzając tak, jak między nami. Bo i cóż, że-ta wiano wprowadzi do domu; jak przy niém nie będzie gospodarstwa i pracy, i dobrego w głowie układu, to wnet się wszystko rozleci jak pierze po świecie; a kiéj człowiek nie *nauczny* tego jest od młodu, o ho! już mu nie czas na starość uczyć się rozumu; bo kiedy kto myśli *ino* o tém jak wydawać i wydawać, a nie jak przysparzać, to żeby-*ta* miał złota i srébra pełne skrzynie, to mu się w końcu przebierze, i na starość przyjdzie w ręce dmuchać, co takie głupie były, że się za młodu o pracę parzyły. Ot na ten przykład szlachcic z Kosowa: połakomił się na bogactwo; albo i u nas Paweł: to samo. Pożenili się z wianami, pobrali dobytku, szmat i-*ta* różności innych co nie miara, i wszyscy im zazdrościli, wszyscy *zacharowali*; a i cóż się w końcu zrobiło? Z początku wszystko szło jako tako, póki było *kaj* sięgać, póki się było czém ratować, to-*ta* jeszcze dla ludzkiego języka nie było tyla *okazyi* do *gadki*; bo choć się wszystko rozchodziło po świecie, to *zawdy* na nowo było zkąd brać; ale jak przyszły dzieci, jak zabrakło w worku, a ludzie nie chcieli pożyczać: to powiadam wam moje kochaneczki, że tak w Kosowie we dworze jak i u Pawła, piekło od rana do nocy. Dopiéro im się oczy pootwierały, daléjże na swoje kobiety: a ja pracuję, ja zabiegam, mnie mało głowa nie pęknie zkąd brać, a ty *ino* o tém myślisz, jak prędko wydać! Od słowa do słowa, od dnia do dnia, coraz gorzéj, coraz gorsza biéda, bo dochodu nie przybywa *ino* ubywa, a wydatek *zawdy* jeden, a nawet coraz większy, bo dzieciska do kieszeni bardzo prędko dorastają. Za biédą przyszły swary, kłótnie, przekleństwa i inne obrazy Boskie; a potém?—gorzałka, i na tém się wszystko skończyło. Pije pan z Kosowa, pije i Paweł, a kobiety ich zabru-

dzone, zawalane, niewyczesane, niewymyte, chodzą-*ta* od kąta do kąta i płaczą, i stękają, a wszystko *ino* na swoich chłopów, że-*ta* im zmarnowali *tyla* majątków. Boże zmiłuj się, głupie; chłop choćby dziesięć rąk miał, czyto pan, czy z naszego stanu, to nie nastarczy pracować jak gospodyni nie ma w domu, a jak gospodyni jest, to i przy ladajakim chłopinie wszystko pójdzie dobrze.

— Prawda, prawda moja sąsiado; macie racyją, bo na ten przykład Józwa już od dwóch lat jak mało się *chyta* jakiéj roboty, co go Pan Bóg nawidził chorobą, a przecież Józefowa wszystkiemu daje radę, i jak może tak się obrządza.

— A *ino*, a *ino*: a Antkowie pobrali się z sobą, to *ino* każde z nich miało dziesięć palców zdrowych; albo ten szlachcic w Pukczycach, co się ożenił z ekonoma córką, i wedle niego było kuso i chudo; a dziś, widzicie, jak się wzięli oboje do pracy, do gospodarstwa. *Oni* w polu przy roli i w stodole, a *one* w domu i w chlewach; to ludzie mówią, że i szlachcic w Pukczycach i Antkowie nie jednego talara już mają w mieszku.

— Bogać-*ta* nie mają miéć; mają pewnikiem i nie jednego.

— Dobrze to, moja Tomaszowa —odezwała się na to Stachowa— mówicie wszystko do rozumu, i nawetby się wam dziecko nie przeciwiło; ale-*ta* choć w *gadce* wszystko tak, na świecie znowu inak; naszym pannom już czas dawno pomyśléć *se* o czepcach, i choć każda swojém gospodarowaniem więcéjby przysporzyła jak wydała, ale że ich kilkoro, a majątku mało, *nie zacharujęta* wedle nich *kawalirowie*, *ino* szukają z wianami, coby zaraz brzęczały.....

— Ale, bo u szlachty, to już taki obyczaj, że....

— Ale u szlachty!... niby u nas nie tak. A Magda, a Maryna, dziewuchy kieby łanie, robota to im się w rękach *ino* pali; ale że ubogie, to żaden ich jeszcze nie wziął, i jak walały się po służbach, tak się i walają; a niechby miały choć po jednéj krowinie, o ho! jużbyśmy im dawno byli śpiewali o chmielu. Tak, tak, jak u szlachty, tak i u nas; nie patrzą na statek, na robotę, na gospodarstwo, *ino* na wiano.

— Ej! bajecie moi kochani! Jednak u nas prędzéj później dziewuchy *zawdy* poznajdują *se* chłopów, i *ino* taka na *dziwkostwie* się postarzeje, co za młodu wdała się w jakie złe, w jakie zbytki; ale u szlachty postarzéć się na panieństwie jak nie ma wiana, to nic dziwnego: gdzie rzucisz okiem, to wszędy się człowiek może tego napatrzéć.

— A jeście prawda, moi kochani — odezwała się Wawrzyńcowa—ale dlaczego to tak, bo ja nie umiem tego pokalkulować.

— Ba! ja wam powiem, moja Wawrzyńcowa — po małéj pauzie odpowiedziała Tomaszowa — Widzicie, bo szlachta chociaż-*ta* niby ma *adukacyją*, ale strasznie głupia i nie umié rozkalkulować w głowie co to znaczy dobre zagospodarowanie w domu; im się zdaje, że *ino* trzymać worek przy sobie i ściskać go, to-*ta* w nim nigdy nie zabraknie. To téż oni myślą nie o gospodyni, ino o wianie, a niejeden znowu wcale się nie żeni, tylko się postarzeje jak pies na kawalirstwie i potém stare czarne zęby wyszczerza do kobiét na wsi, *nikiéj* źrebek kiedy rży za kobyłą.

— A! i jakżeż-*ta* — zapytała naiwnie Świątniczanka — oni mogą się tak obejść *bez* całe życie *przez* żony? Czy-*ta krwie* w nich nie ma, czy co?

— Jak, jak! Wielaby wam o tém mówić, moi kochani; na takie rzeczy to oni mają *tyla* rozumu, co już więcéj niepotrzeba; ale widzicie, tacy, to takim jak Grzesiowa het kupują korale, dają na chustki, na krowy. No, ale co tam, nie o tém *gadka*....

— A to Sodomniki, a to zbereźniki—przerwała ze zgrozą Wawrzyńcowa—Moi kochani, to-*ta* u nas tego nie *uświadczy*.

— O! gadacie-*ta*, gadacie! Między chłopami to-*ta* trudno o takie rzeczy, bo się każdy żeni jeszcze przed dwudziestą laty czasami, a potém choć owdowieje, to jeszcze jednéj nie pochowali, a ludzie już mu rają drugą, i nie wyjdzie czasem i kwartału, a ludziska znów wykrzykują na weselu. Dlatego téż, moi kochani, u nas nie uświadczy ani takich zbytków jak u szlachty, ani starych kawalirów, ani starych wdowców, bo się wszyscy żenią: to nie zbytkowanie im w głowie, *ino* praca i *juści*.

— Prawda, prawda, ani gadania—odezwano się potwierdzająco, a jedna z kobiét dodała:—Ale dajta pokój takim rozgadkom, bo żebyście wy swój język po sam pas wygadali, to szlachta zawdy będzie jedna, i nic już jéj nie poradzi; ludzie będą gadać że biało, oni powiedzą że czarno, to już taki ich obyczaj. Ale powiadam wam, moje kochaneczki, że ta panna z Trocic, co *se* tak włosy do góry podczesała, to mi z głowy wyjść nie może, bo to Boże zmiłuj się, nie przymierzając, wyglądała jakby kto i koszulę zdjął z siebie i tak latał po świecie całkiem nagi.

Na ten żart głośny śmiéch powstał między rozmawiającemi, który połączony ze śmiechem innych gromad, równą wesołością ożywionych, napełnił okolicę taką wrzawą radosną, o jakiéj wyżéj

mówiliśmy. Po małéj pauzie poświęconéj tak szczeremu weselu, na nowo ożyła rozmowa.

— A bodaj was i z waszém przymierzeniem! Żebyta nasza ekonomówna o tém się dowiedziała, toby wam dopiéro uszyła bóty u ojca....

— A czy i ona taka dziwna, jak panna z Trocic?

— Ba! nie znacieto gadki, że za panią matką paciérz. Póki nie widziała takiego cudactwa, to-ta i ona na ludzi przecie patrzyła; ale jak *ino* raz zobaczyła to, i sobie tak pozadzierała i młodszéj siostrze, a w końcu i starą matkę namówiła; *ino* ekonom jakoś się zmiarkował, i jak naklął na czém *ino* świat stoi, tak nie dopuścił takiego dziworactwa.

W téj chwili dał się słyszéć trzask z bicza, wołanie woźnicy na trajkoczące kobiety, żeby się z drogi usunęły i z brzękiem dzwonków od chomont krakowskich przejechał młody dziedzic z Noskowa.

— A *kaj* to on tak paraduje?

— A *kajże*, jak nie do naszego dworu; bo on tam, moje kochaneczki, zalica się już od zapust.

— A i jakże, będzie z tych zalotów wesele?

— Ha! któż-*ta* może zgadnąć; ale mi powiadała Połonka co jest we dworze za pokojówkę, że najgorszą robotę, to mają ze starym dziedzicem: bo cóż, matka zwyczajnie jak matka, radaby mieć w domu wesele, córka także nie od tego, ale stary dziedzic nie chce sięgnąć do worka, i powiada, że te zaloty nie z kochania, *ino* z tego, że mu potrzeba pieniędzy na wykupienie wsi, co mu chcą zabrać za jakiś-*ta* podatek.

— O, moi kochani! trzebaby na to naszego Felka, cota teraz owdowiał, to onby go nauczył jak se poradzić.

— Bójcie się Boga, a cóż on zrobił?—zapytano dokoła.

— A! moje kochaneczki, widzicie jak owdowiał, tak zaraz oczy obrócił do Kaśki u Wydrasów. Jak-*ta* zaczął wedle niéj zacharować i w karczmie i u każdéj roboty, bo-ta z pracy ojcowskiéj dosyć będzie wiana, tak dziewuszysko, zwyczajnie młode to głupie, *ino* już tylko dla niego oczy miała; ale ojcom ani-*ta* o tém gadaj, bo to i wdowiec i z dwojgiem dzieci: co to takiemu dzieciuchowi świat *se* tak za młodu zawiązywać. Tak-*ta* w gadce z Gurasami powiedzieli, że prędzéj im na dłoni włosy wyrosną, jak żeby mieli swoje dziecko za Felka wydawać, i zabezpieczyli ich, że aby *ino* od syna swego z wódką przysłali, tak przyjmą, i potém

zrobią się zaloty. Jak się moje kochaneczki o tém Felek dowiedział, poleciał do karczmy, na lepszy *jankur* wypił półkwaterek wódki, złapał potém nóż, może na pół łokcia długi, i przypadnie do Wydrasów; na środku izby, moje kochaneczki, jak nie padnie na kolana, jak nie zacznie krzyczéć: „co wy chcecie mi moje kochanie zabierać? chcecie mi moję Kasię innemu zaprzedawać! Niedoczekanie wasze, i przy was, i przy waszych oczach zabiję się, zabiję, żebyśta duszę moję *wzięni* na sumienie." Tak potém moje kochaneczki jak zaczął krzyczéć, ślipiami przewalać, to *nikiéj* szalony; rozpiął potém pasa, kamizeli i wywalił gołe piersiska, i daléjże nożem kręcić. Myśmy się postrachali: starzy Wydrasowie w krzyk, ja w krzyk, Kaśka w *bek*, a on wrzeszczy, ryczy, a het nożem wierci i powiada, że póty nie przestanie, póki mu Kaśki nie przyrzekną. Starzy mu-ta przekładali do rozumu; wszystko po próżnicy: dopiéro jak *se* po *ziebrach* nie pociągnie, jak się nie pokaże krew....

— Jakto, to się przebił?

— E, co miał się przebić, *ino* z téj zapalczywości po skórze się tak *zakaliczył*, a starzy i my wszyscy myśleliśwa w piérwszym razie, że się i na prawdę przebił. To téż jak nie zacznieswa wszyscy krzyczéć, jak się nie zaczną ludzie zlatać, to powiadam wam, że *tyla* było wrzasku, *tyla* chałasu, jakby się paliło.

— A i cóż Wydrasowie na to?

— A i cóż, moje kochaneczki? Jak zobaczyli, że to nie na żarty, że Felkowi krew się pokazała, że trzyma rękę w zanadrzu i wala się od bólu po ziemi, a przytém drze się *nikiéj* by go kto opętał, tak mu powiedzieli: „człeku, weź *se* i Kasię i Jadwisię, *ino* daj nam pokój."

— No i cóż, nie odchorował Felek?

— E, właśnie-*ta*: zaraz potém poleciał po wódkę, sprowadził krewniaków i swoich i Wydrasów, i pili, i pokrzykiwali *bez* noc całą, że *ino* się po wsi rozlegało.

— No, no, a to Felek!

I rozmowa w ten sposób prowadzona, ciągnęła się daléj między powracającemi z kościoła wieśniaczkami.

Trzecie jednak grono złożone z młodych dziewuch i parobczaków było najweselsze. Śmiéch zdawał się nie opuszczać te czerstwe twarze, choć ogorzałe od słońca, ale błyszczące zdrowiem i wewnętrznem weselem duszy; a patrząc się na nich, jakąś lubością napełniało się serce, że tyle szczęścia, tyle nieskłamanéj

wesołości mieści się pod tém ubraniem wieśniaczém, które nam zwykle na myśl przywodzi nędzę moralną i materyalną ludu wiejskiego.

Ale na przekor temu powszechnemu wyobrażeniu, tam się śmiano i żartowano całém sercem i duszą, jakby nędzy i biedy nie było na świecie, i tylko śmiechem i żartem usłana była droga życia dla ludzi na ziemi.

I nic dziwnego: bo to sama młodzież wiejska, pewna chleba powszedniego na dziś, jutro i na zawsze; bo czująca zdrowe ręce do pracy, i pewna, że téj pracy nigdy dla niéj niebraknie.

Dlaczegoż więc miała się smucić? Czyliż ta niepewność, to troskanie się o potrzeby życia codziennego, połączone z gorzką myślą zabezpieczenia sobie spokojnych chwil w starości, nie jest głównym powodem wczesnych zmarszczków i wczesnego dojrzenia młodzieży, co we własnéj pracy przechodząc przez ciernie i głogi, jakie im świat i okoliczności stawiają, szukać muszą środków do obecnego i przyszłego utrzymania?

Młode pokolenie wiejskie nie zna tych kolców życia, i aby nabrało stosownych sił fizycznych, już pracuje i zarobkuje, bo miejsca jest dosyć, a ochotników niewielu; i całą przyszłość widzi zaległą od własnych chęci i własnego starania się, którą u nas ze szczytu najwznioślejszych nadziei, bardzo często zmienne okoliczności strącają w otchłań okropnego zawodu.

Dlatego więc nie z drwiącém okiem przypatrujcie się swobodzie dziarskich dziewoi i parobczaków wiejskich, ale patrząc zazdrośćcie ich pokoju duszy wolnéj od wszelkiéj troski, ich szczeréj wesołości, których my od piérwszego kroku między ludźmi o własnych siłach najczęściéj bardzo rzadko kosztujemy.

Ale powiécie: praca wiejska jest ciężka, niegodna człowieka ucywilizowanego, a tém samém, co na jedno wychodzi, wstyd przynosząca. A któż wam powiedział, że praca, aby tylko była istotną pracą, jest lekką? Praca tém samém że jest pracą, już musi być ciężką i mozolną, bo inaczéj przestałaby być pracą, przemieniając się w igraszkę lub w proste zamydlenie oczu. Ciężkość zaś jéj jest względną do naszego przywyknienia.

Któż wam także powiedział, że praca może wstyd przynosić? Kto ją podzielił na szlachetne i mniéj szlachetne klassy?

Nie szydźcie więc, bo Bóg wyrzekł do piérwszego człowieka: *pracuj!* A patrząc na naiwne igraszki młodzieży wiejskiéj, zazdrośćcie im w duchu, bo zaiste jest czego zazdrościć, gdyż oni

i połowy tych trosk nie znają, które jak ptastwo do żeru zlatują się codzień do waszéj głowy i serca.

Lecz nie samemi tylko figlami i wesołością odznaczało się grono młodzieży wiejskiéj: świeciła tam i krasa na buziakach jak jagody kaliny, kryjącéj się między liściem zielonym. A jakieto stroje, jaka świeżość ubrania, jaka junakierya chłopaków i skromna wstydliwość dziewuch!

Chcąc to wszystko jasno wyrazić, trzebaby artysty-malarza, bo pióro, to słaby środek: zaraz się skruszy na piérwszym poskoku.

Parobczaki mieli na głowach duże prawdziwe sandomierskie czapki baranie, lub czarne kapelusze z wełny prostych owiec, z wetkniętemi od niechcenia małemi pęczkami kwiatów, zpod których w wijących się puklach spadały po obu stronach twarzy gęste czarne albo blond włosy. Koszule lniane bez kołnierza, z przewieszonym przez ramię nowym szkaplerzem, zawiązane były u szyi świeżemi modremi albo czerwonemi wstążkami, na których owiązane pasem włóczkowym mieściły się modre albo białe sukmany, z wywiniętemi, czerwoném suknem podszytemi klapami.

W stroju dziewcząt więcéj już było zalotności i widocznéj chęci ustrojenia się, a tém samém i podobania. Chustki różnéj barwy ściskały głowy, związane sztucznym węzłem nad samém czołem, a w spadającym końcu na plecy krył się warkocz dziewiczy, z jakim się dopiéro na zawsze w dniu wesela rozstawały. Od obydwóch skroni wymykały się małe kosmyki włosów, a na szyi świeciło pełno korali i paciorków szklanych, sięgających aż do piersi krzyżykiem mosiężnym lub jakim okrągłym medalem z wizerunkiem Najświętszéj Panny Częstochowskiéj, lub téż innego jakiego świętego.

Koszule najczęściéj kartonowe, miały z włóczki wyszycia na obu ramionach, a gorsety sznurowane z przodu, zachodziły aż za stan, przykrywając cokolwiek fartuszki białe i sfałdowane różnobarwne spódnice, sięgające aż do kostek nóg, ubranych w pończochy i trzewiki.

Każda przytém okryta była pewnym rodzajem prześcieradła, bardzo podobném do szalików naszych ucywilizowanych piękności, które chociaż bardzo dalekie od ich zewnętrznéj powierzchowności, dopełniały zupełnie swego przeznaczenia, bo niby przy-

krywały, a jednak zbytecznie nie wzbraniały przyjrzenia się smagłym i zgrabnym figurkom ich posiadaczek.

W gronku tych wesołuchów jest znana nam już Basia Sierpień i dziwny Janek, o którym tyle w rozdziale poprzednim powiedzieliśmy.

Dziś wesoły jak rzadko, bo już parę godzin przepędził ze swoją ukochaną, i jeszcze kilka godzin jest przed nim; a dla wiejskiego kochanka nieczęsto takie gody się trafiają: święto uroczyste nie codzień, a w dni powszednie kto w służbie, to o kochaniu nie ma czasu myśléć.

Gdy po nieszporach powracająca młodzież złączyła się w gromadkę, Janek to z tym to z owym pogadał jeszcze trochę, a tymczasem towarzysze go odeszli. Ubodło go to cokolwiek, że go nie zawołano, chociaż w tłoku trudno było się dopilnować; spojrzał na drogę od wsi między płotami do wąwozu idącą, i z wielką swoją radością dostrzegł trzy znajome nam gromadki włościan, w rozmowie posuwających się drogą.

Mruknąwszy pod nosem: „poczekajta, nauczę ja was o Janku zapominać", przeskoczył przez płot i *chyłkiem* przez ogrody, żeby go nie dostrzeżono, co tylko miał siły tak biegł szybko, że zasłonięty płotem stanął prędzéj przy samym wąwozie, nim towarzysze, których zgubił wychodząc z kościoła.

Po małéj chwili wesołe grono młodzieży prowadząc z sobą żywą rozmowę, zaczęło dochodzić do miejsca, w którém ukryty siedział Janek.

Na przodzie szła Basia z trzema towarzyszkami, za niemi dwie młodych, bo zaledwie od pół roku zamężnych kobiet; w końcu dopiéro kilku parobczaków, często różnemi żarcikami odzywających się do przodujących dziewuch.

— Hej! Kasiu—odezwał się jeden z nich widząc dziewuchy już dochodzące do wąwozu:—Kasiu, a przeżegnajta się nim wejdzieta do wąwozu, żeby was-*ta* jakie złe nie napotkało, żebyśta od wozu, albo osi, albo dyszla nie złamały.

— Albo żeby się wam szkapiny nie pobrykały—dodał inny ze śmiechem.

— O! moja szlachta—odpowiedziała z przekąsem zaczepiona—co biczem nogi-*se* pogania: chodźta — i przysunęła się właśnie do tego samego miejsca, w którém za płotem siedział Janek.

W téj chwili inne dziewczęta dochodziły już do końca płotu, co Janek zobaczywszy, naśladując głos rozzłoszczonego bryta-

na, z warczeniem i zjadliwém szczekaniem trudném do opisania, okryty na głowie zarzuconą sukmaną, na czworaku wyskoczył nagle z za płotu, i najpiérwéj rzucił się do Kasi, z największą spokojnością szukającéj pręta w płocie.

Tak niespodziewany napad naturalnie zmieszał ogromnie biédną dziewczynę, a czując szarpanie spódnicy, u któréj Janek się uczepił, z okropnym krzykiem zwróciła się do reszty towarzystwa, będąc pewną, że przez jakiegoś wielkiego psa została napadniętą.

Krzyk przestrachu Kasi został powtórzony i przez inne dziewczęta, a w piérwszéj chwili nie mogąc poznać przyczyny zamieszania, każda myślała o ucieczce i o zabezpieczeniu całości spódniczek od zębów zażartego brytana, którego straszny głos na chwilę nie ustawał.

Ztąd naturalnie powstał mały popłoch, i w tém zamieszaniu gdy każda myślała o spiesznéj i pewnéj ucieczce, Kasia uderzyła przypadkiem jednę z dziewczyn, ta straciwszy równowagę chciała się wesprzéć na innéj dziewusze, lecz zaledwie uchwyciła się prześcieradła, ściągnęła go z pleców uciekającéj i padła na ziemię jak długa, na nią Kasia, a Janek wierny swéj roli przyskoczył do gramolących się dziewuch i targał za spódnice i za nogi, jakby je chciał potargać w drobne kawałki.

— Gwałtu! Matko Boska! ludzie ratujcie, bójta się Boga! O dla Boga! gwałtu, gwałtu! — wołały przestraszone dziewuchy.

Janek nic nie zważał, targał, warczał; parobczaki się śmieli, a dziewczęta co tylko gardła starczyło wrzeszczały.

— To Janek!—odezwały się nareszcie inne dziewuchy, które odskoczywszy kilka kroków w bok, miały odwagę spojrzéć na sprawcę takiego zamieszania—to Janek, jemu-*ta* zawsze figle w głowie niepotrzebne. Wstajta dziewuchy, wstajta.

Janek nic nie mówiąc stanął tylko na nogach, a szczekną-wszy równie zjadliwie, puścił się jak kula ku strofującym go dziewczętom.

— Janek nie szaléj! Janek *uciek*! Janek nie *wojuj*!—wołały już ze śmiechem uciekające dziewoje, i okrążywszy małe koło, przystanęły przy owych tak niefortunnie wywróconych dziewuchach, które otrzepywały się z kurzu i poprawiały rozrzucony strój.

— Daj Janek pokój! czy ty oszalał?

— U! ten wartogłowy — dołożyła Kasia — straszyć tak ludzi *nikiéj* jaki głupi. Widzicie go!

— A czemuśta na mnie nie czekały z kościoła, tylkośta poszły?

— Widzicie, na niego miałyśmy czekać! Niedoczekanie-*ta* twoje — odpowiedziały prawie chórem.

— Ej Basiu! ej Kasiu! nie boczta się — bo wy dziewuchy, to nie *ładno*.

— Zapewne że dziewuchy, a ty co? — wartogłowiec i juści.

— Latawiec, szaleniec — dołożyły inne.

— Oj! Janek, Janek! — odezwali się parobczaki, gdy dziewoje ze śmiechem powtarzały nadane Jankowi przezwiska. — A i dasz *se* to tak dziewuchom z siebie pokpiwać?

— A i cóż mi to znaczy, kiedy ja wiem, żem nie wartogłowiec, *ino* chłopiec i *galanty* chłopiec, *nikiéj* najpiękniejszy kłos pszenicy.

— O! śliczny mi chłopiec! — odpowiedziały dziewczęta — co psa udaje i nikiéj pies kąsa i szczeka; tyś nie chłopiec, *ino* wartogłowiec.

— Albo to prawda! Chłopiec jestem i jeszcze jaki chłopiec! Słuchajta:

I to powiedziawszy ujął się pod bok, przychylił cokolwiek głowy i przytupując przed idącemi już dziewczętami, głosem czystym śpiewał:

Chłopiec ci ja, chłopiec,
Kogutek mi ojciec,
A kokoszka matka,
Stara kura babka,
Ha ha! (1).

— A to *familijant* — odezwała się Kasia — daj go katu!

— Oj! prawda, prawda — dołożyły drugie — a co to teraz krewniaków ma w każdéj chałupie!

— Słuchajcie dziewuchy — odezwała się Kasia — to ten duży dworski kogut to chyba jego dziadek, kiedy stara kura babka?

W miejsce odpowiedzi wszyscy serdecznie zachichotali, a Janek podniósłszy głowę do góry trzepnął rękoma po bokach, naśladując uderzenie skrzydeł kogucich, i tak zapiał, jakby nawet sam

(1) Zobacz: Pieśni ludu zebrane przez Kazi. Wład. Wojcickiego. Tom IIgi, str. 192.

kogut lepiéj tego nie uskutecznił. Śmiéch jeszcze szczérszy ożywił wszystkie usta, a Janek bez zmiany wyrazu twarzy, co jeszcze większą nadawało całéj scenie komikę, odezwał się:

— A cóż wykpiwata z Janka, a jednak tak musita tańcować, jak wam zagram.

— O! ty familijancie kurzy!—odezwała się trzecia dziewucha Małgorzata, przewrócona przez Kasię—*ino* ci tańcowanie w głowie; szkoda że nie ma skrzypków, tobyś-*ta* gębą tak *nie dokazował*, *ino* grał.....

— A tybyś tańcowała?

— Ja się-tu obejdę dziwowisko z siebie robić; to-*ta* tylko tobie ujdzie....

— O! ho! ho! moja Małgoś, żebyś umiała, tobyś tańcowała; ale jakoś do tańca nie masz dobrego składu, zawsze nogą *dryp*, nogą *dryp* —I poprawiwszy czapki na głowie zaśpiewał:

Tańcowała, nie umiała,
Jeno nogą zamiatała,
A matka ją po udzie,
Tańcujże tak jak ludzie.
Ho! ha! (1).

Tu już śmiéch nie miał granic, bo istotnie Małgorzata chociaż z buziakiem nieszpetnym, była pozbawiona daru do tańca, i raz przez matkę wyprowadzoną została z karczmy, co się tak śmiano z jéj nietaktowych w obertasie podskoków.

— A to wiara ten Janek—odezwał się jeden z parobczaków, gdy dziewczęta zatykając sobie usta, dusiły się od śmiéchu, spoglądając zukosa na zachmurzoną Małgosię—a to wiara ten Janek, jak-*ta z ogródką* umié człeka ukłóć.

— A cóż ja zrobił?— zapytał niby niczego niedomyślający się Janek—kogo ja ukłół?

— O, nie widzisz, jakto się Małgoś pochmurała?

— Co, Małgoś, tyś się na mnie pochmurała?

— Idź-*se* do takich samych szaleńców jak sam jesteś — odpowiedziała Małgosia z gniéwem—ja tam nie potrzebuję.

— Ej! moja Małgoś.—I Janek zabiegając z jednéj i z drugiéj strony ciągle gniéwającéj się Małgosi, śpiéwał:

Ej! moja Małgorzato,
Da nie uważaj na to,
Chociaż się posierdziewa,
To się i pogodziewa,
Da o ty Małgorzato,
Dajże mi gębusi za to.

(1) Zob. Pieśni ludu zebrane przez K. Wł. Wojcick. Tom IIgi, str. 378.

— Mój śliczny, do gębusi: widzicie go—zawołały wszystkie stając w obronie Małgosi, któréj Janek w przeprosiny chciał gwałtem ukraść całusa.— Patrzajcie go, jaki mi *chibki* do całowania.

— A psik kot od mléka, a psik!—wołali śmiejąc się parobczaki.

— To ty Basiu daj gębusi—odezwał się Janek przyskakując do ulubionéj dziewoi; ale Basia zasłaniając się ręką, z godnością obrażonéj skromności odpowiedziała poważnie:

— No, no, jeszcze-*ta* drogi nie poprowadzili od twojéj gęby do mojéj.

Jankowi zupełnie skrzydła opadły.

— Basiu—odezwał się rzewnym głosem—czy i ty na mnie krzywo patrzysz?

Basia nic na to nie odpowiedziała, tylko po małéj chwili nadąsaną minkę ustroiła uśmiéchem, i spojrzawszy na Janka, rzekła tonem wymówki:

— Ej! boś dziwny; ludzie na wszystko strasznie duże mają oczy, a ty se tak poczynasz, jakby.....

— E! co tam ludzie; nie wiesz to:

Że to u nas w naszéj wsi,
Gorsi ludzie niźli psi,
Bo psi breszczą i przestaną,
A źli ludzie nie ustaną (1).

— Dobrze-*ta* wszystko—odezwała się Basia—ale zawsze niepotrzebne ci rzeczy przychodzą do głowy.—A ciszéj dołożyła: —i ja-*ta* nie lubię, kiedy ty tak szalejesz za wszystkiemi.....

— No, no, moja Basiu, już się-ta nie frasuj, bo ja na wszystko mam swój rozum.

— Hej! Janek—odezwał się jeden z parobczaków—dziewuchy się na nas poboczyły i idziewa tak *spokojno*, *nikiéj* za pogrzebem: wywiedź-*ta* przecie jaką gadkę.

— A bo to wszystko szlachcianki: radeby, żeby im się nizko kłaniać kapeluszem, w ręce całować, toby-*ta* dopiéro chichotały i świdrowałyby na nas oczyma od wielkiéj radości.

Mówiąc to Janek, zdjął kapelusz i z przesadami naśladował nizkie pokłony. Za Janka przykładem poszli i drudzy, tak, że dziewczęta otoczone zostały kłaniającemi się parobczakami i mówiącemi pokornym głosem:

(1) Zob. Pieśni ludu zebrane przez K. Wł. Wojcick. Tom IIgi, str. 250.

— Moje wielmożne panienki, moje wielmożne szlachcianki! kłaniamy wam się pięknie, prosiewa o rączki do pocałowania. Wielmożne panieneczki, rączka to nie gęba: prosiewa, prosiewa. I popychając się podsuwali kapelusze pod same nogi idących.

— Wy *se* tylko tak *bez* kpiny to robita—odezwała się jedna z młodych kobiét — ale tak należy parobkom wedle dziéwek chodzić, bo ja widziałam w naszym dworze, jak się gości *wiela* nazjeżdżało, to *kawalirowie ino* dreptali nogami, co tak *ładno* i *delikatno* wedle naszych panien chodzili; a wy zaraz do gonienia, do całowania. O! już prawdziwe z was chłopiska.

— Patrzajcie, a wyśta właśnie szlachcianki, moje śliczne — mówili parobcy — to czemuż tak nie chodzita poubierane, jak we dworze?

— Bo nas nie stać na takie strojenie.

— O ślicznieby wam było! — odezwał się jeden z nich zwany Paweł—Jużby nic więcéj nie brakowało, tylko żebyśta się wy po szlachecku przebrały; a zabaczyliśta, jak stary Ignacy zawdy w karczmie śpiewywał:

Że nasze dziewczyce,
Mają zapaśnice,
Złote zausznice,
Jedwabne spódnice.
Na szyi korale,
Zęby jak szynale,
Głowa jak niedźwiedzia,
Oczy jak u śledzia,
Nogi jak stępory,
Piersi gdyby wory,
Ręce jako grabie,
Twarz podobna żabie (1).

— A ty zbereźniku—krzyknęły młode dwie kobiéty — a nie pójdziesz sobie od nas! Patrzaj go, żebyś ty tak *nieładno* o naszych dziewuchach mówił; ani się pokazuj na nasze oczy, idź-*se* lepiéj do kobiét, co-*ta* za nami idą, przecieć cię tu nikt do spódnicy nie przyszył.

Parobczaki się śmieli i przyskakując do dziewuch, powtarzali:—patrzajta, zęby nikiéj szynale, a oczy jak u śledzia, a wszystkie podobne do żaby. O to dziewuchy nie ladajakie, nie żal-*ta* i popatrzéć na takie.

— To téż my nie potrzebujewa—mówiły nawpół gniewające się dziewczęta—żebyśta na nas patrzały: idźta *se* do takich jak i wy sami.

I w figlach, w żartach podobnych do tych, któreśmy tu przedstawili, wesołe grono młodzieży ciągle się posuwało, darząc się wzajemném prześladowaniem, aż na raz jeden wszystko umilkło,

(1) Zobacz: Pieśni ludu zebrane przez K. Wł. Wojcick. Tom I, str. 179.

śmiech porzucił usta, ustępując wyrazowi dosyć niezręcznie przybranéj powagi, bo z brzękiem i z trzaskiem ukazał się młody pan z Noskowa. Czapki parobczaków i ręce dziewuch nachyliły się w pokłonie aż do ziemi, a gdy kurz zasłonił odjeżdżającą bryczkę, zaraz wszczęła się na chwilę przerwana rozmowa:

— Ej! bodajto téj szlachcie— odezwał się jeden z parobczaków—i nie napracuje się, i naparaduje, że aż człowiekowi dziwne rzeczy się dzieją, że tak my nie możewa.

— E! głupiś Tomek—odezwał się Janek— i powiédz: a juści. Jest-*ta* u twego tatusia jedne siwe szkapsko włogawe, u ujka (1) kara kobyła ślepa; dobierz *se* do tego od Franka i Ambrożego do lejca ich szkapiny, jednę kołtóniastą, a drugą o zbitém biodrze, u łbów nawieszaj końskich gnatów, co się-ta po dołach walają, a tak człeku będziesz szpilował, że-*ta* ludzie ino gęby rozdziawiać będą, co tak się będą przypatrywać.

— Oj! zapewne, a ino—potwierdzili drudzy, gdy dziewczęta tuląc się do siebie, stłumioném chichotaniem odpowiadały na żarcik Janka.

— O! wy się śmiejeta— odezwał się z przekąsem Tomek do dziewuch—wyszczerzata zęby, a radzibyśta były, żeby i do was tak zajeżdżał jaki szlachcic, kiedy się zalica.

— O! już cię niech oczy nie bolą na nasze dziewuchy—odezwała się jedna z młodych kobiét, stając w obronie śmiejących się ciągle dziewuch—bo one takiego odkazywania się nie potrzebują, i patrzą byleta chłopaczysko było przecieć jakie okaźne i do ludzi. Wam*ta* wprzód do oczów lazie wiano jak dziewucha, choćby w urodzie i szlachciance żadnéj nie ustąpiła.

— A i cóż to dziwnego?—odezwali się wszyscy parobcy oprócz Janka—wszakże co się do dom przysporzy, to nie zuboży, a kiedy się z kawalirstwa zatracać, to już wiedzieć za co.

— Ej! bajeta, bajeta—odezwał się Janek— jabym *ta wzion* i w jednéj koszuli, aby ino kochanie było między nami.

— Albo to prawda?—odpowiedziały kobiéty—albo to ty wedle jakiéj sieroty ubogiéj teraz *zacharujesz*. Ho! ho! wszyscy wy-ta jednacy: gęba swoje, a wy swoje.

Janek chciał coś na to odpowiedzieć, ale mu się widać jakoś w odpowiedzi nie poszykowało; westchnął tylko, poprawił czapki na głowie i widząc, że już weszli na drogę prowadzącą do

(1) Wuja nazywają ujek.

wsi, w któréj służył we dworze, skręcił w bok na łąki i powiedziawszy do towarzyszy:

— Idźta, ja was za wsią dogonię, *ino* wpadnę do chałupy po skrzypki—i ruszył przyspieszonym krokiem.

IV.

Zabawa w karczmie.

Hej! nawracaj od komina,
A uważaj któréj nie ma.
Jest i Kaśka i Maryna,
Jednéj tylko Zośki nie ma.
Pieśń ludu przy tańcu.

W karczmie świątnickiéj gwar i wrzawa. Starsi z kieliszkami w rękach toczą w izbie rozprawy to o tém, to o owém: zwyczajnie jak ludziska, co cały tydzień ciężko pracując, radzi dzień świąteczny poświęcają spoczynkowi i rozmowie z sąsiadami. Na dworze zaś, przed budynkiem karczemnym, parobki wiejskie mocując się probują siły na równiennikach, inni przewalają się po murawie, albo sprzeciwiają się stojącym spokojnie przy płocie dziewczętom; a wszystko w śmiechu, w żartach, w figlach, że patrząc aż chęć bierze człowieka wziąć współudział w téj szczeréj i niewinnéj wesołości młodego wsi pokolenia.

Lecz chociaż w zebraniu karczemném życia było dosyć, brak jednak muzyki widocznie się okazywał: bo dla wieśniaka nie ma zabawy, jeżeli mu w uszach nie dudli rzępolenie skrzypka; dlatego jaki taki rozweselony kilku kieliszkami wódki ujmuje się pod bok, przekręca junacznie czapkę, a podrygując, podskakując i wybijając takt nogą, zawodzi głośno piosnkę nie zważając, że głuszy sąsiadom rozmowę, szarpiących go na wszystkie boki aby słuchał co do niego mówią.

Czasem dwie i trzy takie piosnki złączą cię z sobą w jeden niesforny akord, bo każda z innego tonu i na inną nutę, a przeleciawszy nad głowami szumiącéj rozmową gromady, lecą późniéj na podwórze karczemne, a potém daléj i daléj, jakby się prosiły o wesołucha, coby zamaszystym pociągiem smyka natchnął nowém życiem karczemną drużynę. Czasem ująwszy się w pary dwóch parobczaków lub dwie dziewuchy, zakręcą się wkółko

gdzie w jakim kąciku, żeby im wstydno przed ludźmi nie było, że się tak nogi do tańca wydzierają; ale zawadziwszy to o tego, to o owego i w przydatku odebrawszy ze strofowaniem porządne szturchnięcie, ze śmiechem rozłączają się, upatrując stosownéj chwili do nowego wybryku pohulanki.

Czas więc chociaż nie przy tańcu, schodzi jednak jako tako, bo i rozmowa nie ustaje i śmiechu dosyć; ale wszystko byłoby inaczéj, gdyby tylko struny zabrzęczały jakim żwawym oberkiem.

A tu Janka jak na złość nie widać; młodzież wiejska zaczyna się już nawet trochę niecierpliwić, bo to nie bagatela, *stać jak malowana Kaśka* (1), kiedy się spodziewano hulać co tylko siły wystarczą.

– Szkoda, że nie ma jakiego skrzypiciela—mówią starsi gospodarze—bobyta człowiekowi jakoś raźniéj zaraz się zrobiło.

— Pójdźwa do dom—mówią dziewczęta—i czegoż będziewa czekali? Janek-*ta* pewno gra w karczmie w Obrazowie, to się go nie doczekamy, bo Baśki nie ma, a on *zawdy* ino przy niéj.

— A to chodźwa i my—dodają parobczaki.—Noc niedługa, to choć się wyśpiewa; chodźwa, co tam, tańcowanie chleba nie da. I tak mówiąc, zaczęła się młodzież pomału wymykać z izby karczemnéj i połączywszy się w małe na dworze gromadki, jakby jéj żal było opuszczać miejsce spodziewanéj zabawy, leniwym krokiem co chwila zatrzymując się, posuwała się w stronę swoich domostw. Wtém, z wąwozu kryjącego drogę wprost ku karczmie prowadzącą, ozwała się jakby gra na skrzypcach. Wszyscy zaraz przystanęli, zwracając ciekawe spojrzenia w strone słyszanego grania; ale nic nie mówią tylko słuchają, lękając się nowego zawodu, aby to czego tak pragną gorąco, i zdaje im się że słyszą, nie było tylko prostém złudzeniem słuchu.

Ale co chwila granie staje się głośniejsze; już nawet słychać wtorowanie śpiewu, pokrzyki wesołe; nie ma więc wątpliwości że to wesołuch Janek, że to jego palce *nikiéj* ptaki tak furgają po skrzypcach.

— To Janek, to Janek—wołają parobczaki, i pędem biegną ku wąwozowi; gdy dziewczęta poprawiając to odzienia, to kwiatków lub chustek na głowie, z błyszczącemi od radości twarzami już prędszym krokiem zbite w małą kupkę, nawracają ku karczmie, aby się za piec pochować i ukryć przed ludzkiém okiem ochotę zabawy, nim przez *kawalirów* do tańca wyprowadzone zostaną.

(1) Przysłowie ludu.

Już granie słychać przed samą karczmą, potém w sieni. Nowy ruch karczmę napełnia, każdy usuwa się na bok, robiąc miejsce tanecznikom, drzwi się otwierają i Janek na czele pokrzykującéj radośnie młodzieży tłoczy się do izby, wycinając na skrzypkach co tylko sił starczy.

— A! jak się masz Janku, a gdzieżeś się-*ta* podziewał? — wznoszą się zewsząd witające głosy.—Na kawałek placka z serem; chodź, napijewa się wódki: daj ci Boże zdrowie. — I Janek tak wzięty w oblężenie, tu odbiera placek, tam sér, tu znowu kieliszek wódki; z każdym się wita, każdemu coś śmiesznego powié, wszyscy się śmieją, a starsi pokręcają głową i mówią do siebie: „Oj Juda Janek, do uciechy to już nie znajdzie lepszego, ale do starunku, to go i kijem nie napędzi.

Janek promienieje radością i szczęściem, bo Basia pamiętna strofowania ojcowskiego, chociaż z początku cokolwiek wzdragała się i chciała pójść do domu, ale jak zaczęły towarzyszki namawiać, jak zaczęły przedstawiać, że przecież w tém grzechu nie ma, że się człowiek troszkę popatrzy jak się ludzie w karczmie cieszą; dała się namówić i razem z innemi z postanowieniem krótkiego pobytu weszła do karczmy.

Jankowi więc już nic nie brakuje, bo i dziewoję ukochaną ma przy sobie i ludziska mu tak radzi, jakby już Bóg wié nie co mieli między sobą; a dla Janka, co o nim tyle złego rozgadują, co nieraz zdaje mu się, że go cały świat już odepchnął od siebie, tak serdeczne witanie, tak szczere przyjęcie wszystko wygładza z pamięci, napełniając serce i duszę tylko miłą dlań obecnością.

Język więc u Janka lata jak na kołowrocie, na każde zapytanie dowcipnie odpowié, żart odeprze żartem, a ludowina tylko za boki się trzyma od wielkiego śmiechu, co tak *ładno*, składno i ucieszne Janek gada i gada.

— Hej! Janku! a *kaj* podziałeś basistę? Janku, wywiedźno nam jaką gadkę! Janku *pojrzno* po dziewuchach, jak*ta* na ciebie spoglądają— sypią się zapytania jedne po drugich przy niemiłosiernych szarpaniach Janka na wszystkie strony.

— Co to jest? na co te szarpania?—woła Janek naśladując ton mowy żydowskiéj—to gwałt, to rozbój, to kryminał. Aj wej! ny, jakie to głupstwo, tak szarpać i szarpać. —I Janek poruszając plecami i ramionami udaje głaskanie brody, smokcze ustami jakby coś smakował, a lud śmiejąc się woła: cicho, cicho; bo widzi, że

Janek jest na dobréj drodze, i że teraz z jego gadki będzie tyle śmiechu, co niemiara.

— No, bez urazy moi gospodarze—mówi daléj Janek w jednéj zawsze roli żyda—kiedy już biednego żydka co lata za skórkami jak *ten* kura za ziarnem po świecie, już nie szarpiecie i nie skubiecie jak gęś z pierzy, ny, to i ja biedny Jankiel znać się będę na rzeczy i rzekę wam: dziękuję i Bóg zapłać, i powiem wam z papieru takie czytanie, aj wéj! co sam rabin w bóżnicy czyta na kuczki.

— A *kaj* Jankiel Ryfkę podziałeś? a kaj masz skórki, coś ich naskupował po wsi i ludzi naoszukiwał?—znów lecą pytania od słuchaczy.

— Mój gospodarzu—odpowiada Janek—wy się nie uchowacie, bo wy strasznie mądrzy. Coto naoszukiwał? co to jest takiego? A wy nacoście tak gębę otworzyli—mówi daléj Janek zwracając się koleją do patrzących w niego jak w tęczę włościan—*nikiéj* wrota u stodoły? A wy czy mnie zjeść chcecie oczami? Aj waj, moi ludzie, schowajcie mnie, bo ja nie kiełbasa, coby mnie miał kto zjadać. Aj waj! gwałt, gwałt!

Znów ludowina w śmiéch, a Janek zakłada ręce za pas, podnosi ramiona i z miną niby zagniewaną wymawiając ciągle „Aj waj! co to jest?" wodzi oczami po otaczającym go tłumie.

— Jankiel, Jankiel! a czytanie co nam miałeś powiedzieć?

— No, czy tanie—odpowiedział Janek—dajcie naprzód pieniądze, to się dowiécie czy tanie, czy drogie? Ale wy tak wszystko darmo, darmo, to ja nie wiem czy tanie, czy drogie.

— Ale my o tém mówiewo, co to rabin czyta na kuczki w bożnicy.

— Aj waj! co to za mądry człowiek, że on wié co rabin czyta w bożnicy! Aj waj! ny! dajcie książki, to wam przeczytam, co mam robić?

Tu Jankowi podano kawałek papieru zabrudzonego, on go zaczął miąć, przykładać do uszu, oczu, nosa, i po małéj chwili odezwał się:

— Ny, ani piszczy, ani gada; ale nie bójcie się moi ludzie, on tu zaraz zapiszczy, tylko ja jemu troszkę uszów pokręcę. A bo-to moi Ryfkę to śliczne *kobity*; ny, ny, znacie moi Ryfki? te krótkie, grube a wysokie. A to śliczne kobita, nos jak u indyka, a oczy jak u kota; a jak ona umié szacher macher, to z ziemniaka dwa zrobi jak go przekroi. A czy wy znacie tego Janka, co to go głupim nazywają?

— Oj! judo Janku, znawa go, znawa—odpowiadają tłumnie.

— Ny, moi ludzie, choć ja żyd, ale wam powiém, że to dobry chłopak: nikomu w drogę nie wejdzie, a jak przyjdzie do nas na jarmark do miasta:

To ten Janek on chodzi zawsze z toporkiem,
Siekierą się podpasuje, a podpiéra workiem.
Studnią ma za plecem, czerpie z niéj przetakiem,
Łapie ryby widłami, strzela wróble makiem.

— Ale ja wam powiém jeszcze, moi gospodarze, ino bez waszéj urazy, że on nie taki głupi, jak się wam zdaje: bo choć mu się czasem dziwne rzeczy po głowie roją, to on jednak żadnego szacher macher nie robi jak moje Ryfkę; a jak on raz zaczął mi gadać i gadać, to od wielkiego śmiéchu i krymka mi z głowy zleciała, i skórki baranie pogubiłem. No, a czy wy wiécie co on mi mówił? i wy nie wiecie, i ja nie wiem, ale ja sobie wszystko wypisał i wam przeczytam, bo ja *uciony*, jak sam rabin z Warszawy.

W tém miejscu Janek rozłożył pomięty papiér i z komicznemi gestami zaczął z niego niby czytać:

Dziwne cepy z widlami młóciły groch w gaju,
I zjadł zając kobyłę siedzącą na jaju.
Siedzi niedźwiedź nikiéj szewc buty łatający,
Chodzi wieprzak po wygonie rzepę gryzający.
Pojechała pani wrona do króla we wozie,
Koza wilka prowadziła do tańca w powrozie.
Owca z wilkiem tańcowała, gęś na skrzypkach grała,
A kaczka się ustroiła i tańcować chciała.
Siekierka się rozigrała morze przepłynęła,
A biédna magiereczka z piórkiem utonęła.
Sowa nam się okociła za plecem na grzędzie,
Porodziła łyse cielę, pewnie panem będzie.
Sikora się ocieliła pod oknem na chwaście,
Porodziła sto cyganów, żydów jedénaście.
Jeden został plebanem na lipowym moście,
Przychodzi się wilk spowiadać, zjadł sto kobył w poście.
O! mój miły wilku, na cóżto tak wiele?
Mój miły plebanie zjadłbym jeszcze cielę.
Stodoła się rozigrała, zająca zgoniła,
Stępa widząc takie dziwy, oknem wyskoczyła.
Poszedł kożuch do lasa ułowił tam śledzia,
Szydło w worku tańcowało, ubiło niedźwiedzia.
Wisła się zajęła, ryby pogorzały,
Opalone szczupaki do Gdańska leciały (1).

(1) Patrz: Pieśni ludu polskiego przez Żegotę Pauli, str. 175, i Pieśni ludu przez K. Wł. Wójcickiego. Tom IIgi, str. 270.

Trudno opisać zajęcie, z jakiém mówienie Janka przez całe zgromadzenie karczemne było słuchane. Czasem tylko kiedy niekiedy powtarzano z zadziwieniem: „Kobyła siedzi na jajach nikiéj kura; kaczka się do tańca ustroiła; Wisła się zajęła. O! Boże! co téż ten Janek wygaduje.“ Zresztą nic nie przerywało ogólnéj uwagi, poświęconéj mowie wiejskiego poety.

Jak tylko skończył, śmiéch i rozmowa dotąd wstrzymywane, jak wystrzał z działa buchnęły ze wszystkich ust i wrzawą napełniły całą izbę karczemną. Janek otoczony młodzieżą jeszcze figlował, jeszcze żartował, aż nareszcie ujął skrzypce i puścił smyk po strunach. Młodzież zaraz ruszyła do tańca, powyciągawszy ukryte za piecem chichoczące dziewczęta, a starsi częstując się to tabaczką, to wódeczką, rozpoczęli gawędy przerywane wesołemi pokrzykami: hu, ha, ha! tańczących.

— A to ucieszny chłopak ten Janek — mówił jeden z małego grona rozmawiających włościan—co-*ta* u niego w głowie, a język to nikiéj pytel w młynie, tak lata i lata na wszystkie strony.

— Oj prawda, mój sąsiedzie; ale zkąd mu tak wszystko do głowy przychodzi, bo żeby mnie tam Bóg wié nie co obiecywali, tobym ani jednéj takiéj śmiesznéj gadki nie wywiódł.

— A juści, a juści — potwierdzili inni — a jemu to jakoś tak wszystko *ładno* idzie, *nikiéj*by z zanadrza wytrząsał.

— Ej! bo jemu się nie *podało* urodzić na chłopa, *ino* na szlachcica; bo żeby-*ta* cały świat *ino* był karczmą, a tak piątek jak świątek zawdy niedzielą, toby-*ta* lepszego już nie było jak Janek. Ale cóż? w każdéj wsi na tyla domostw *ino* jedna bywa karczma, a na siedm dni jedna niedziela; to nim-*ta* przyjdzie czas na jedno i na drugie, to trzeba się wprzódy dobrze rękoma napracować, żeby przecie człowiek wiedział, że Bóg ludziom dał święto, i że karczma dla uciechy jest we wsi.

— Oj! prawda, prawda. Ale *kaj* się on jednak pouczył takich różnych rzeczy?

— A już tak go Pan Bóg stworzył, żeby ludziom był na uciechę, a sobie na szkodę. Póki młody, to jeszcze *fracha*, bo mu ino figle siedzą w głowie; ale na stare lata, to będzie latał po świecie jak dziad z torbą. Ot na ten przykład Dudas, rychtyczek taki był jak i Janek, *nikiéj* wiatr: dziś tu, jutro tam, *nikaj* nie posiedział; to téż teraz na stare lata bieda, coby i siekierą nie urąbał, a co zarobi, wszystko przepije.

— Nie bójcie się—odezwała się jedna z kobiét—Janek nie taki głupi, jak wy myślicie, w gorzałkę się także nie wdaje, a dobrze on umié pamiętać o sobie. Nie zawdy on taki rozgadliwy jak dzisiaj; a czy wiecie dlaczego? oto z kochania wszystko mu tak do głowy przychodzi. *Kaj* ino Baśka jest, to-ta Janka już nietrzeba za język ciągnąć; ale żebyście go widzieli bez Baśki, to czasem taki dziwny, taki smutny, żeby go się i ptak napłakał. Oj tak, tak!

— Ej! moja sąsiado, bajecieta, bajecie, zwyczajnie po kobiecemu. Kochanieby mu znów tak w głowie siedziało! Czyta mało dziewek jest we wsi, czyta jedna Baśka *ino* na świecie?

— Ej! co wyta wiecie. Kochanie, moi kochani, to dziwno rzeczy między ludźmi dokazuje. Wam się zdaje, że u młodego, to tak jak u starego. I mnie jakem szła za swego, to inny siedział w głowie, a po ślubie, mój mocny Boże! to więcéj było płaczu, jak spania i jedzenia; a jednak teraz widzicie, sama wydziwić się nie mogę, jaka ja byłam głupia za młodych lat, i żeby mi kto chciał mego Florka przemienić, tobym już nie chciała.

— Ej! możebyście się i namówili na jakiego młodego galantego chłopaka.

— Ej! dajta pokój, nie grzeszta, niech mnie-*ta* cudowna Matka Boska Częstochowska zachowa od tego; już on mnie zamknie oczy.

— No, no, nim zamkniecie oczy, to jeszcze ze swoim Florkiem nie na jedném będziecie skakać weselu.

— Zapewne że będę, a najpiérw na Janka weselu z Baśką.....

— E, moja sąsiado, nie będzie z téj mąki chleba. Stary Sierpień żeby go-ta umęczyli, to nigdy na to nie pozwoli. On, co tak lubi statkowanie i zawdy na niego wydziwia, miałby go wziąć za zięcia do *tyla* swojéj pracy, do *tyla* bogactwa. Ho, ho! moi kochani, chyba nie znacie Sierpniów wszystkich; to *cherny* ludowina: nie Jankowi pchać się między nich.

— Co wy wiecie? nic nie wiecie—odezwała się kobiéta—wy wiecie jedno, a ja wiem drugie. Baśka choć potulne dziewuszysko, aleta już na piękne zagubiła się w Janku, a choć stary Sierpień będzie się zżymać i wydziwiać, to jak kobiety zaczną kłaść swoje w uszy Wojciechowi, Baśka znowu płakać, a Janek wedle ojca *zacharować*, to moi sąsiedzi żeby-*ta* człowiek i kamień był, toby musiał zmięknąć, a cóż dopiéro człowiek ze krwią i z kościami.

— No! już to prawda, że-ta baby wszędzie się wszrubują, i już co baby nie zrobią, to tém po próżnicy nie ma co głowy zaprzątać; ale zawdy *dziwność* to będzie, jeżeli Janek z Baśką się ożeni.

— No, zobaczycie i sami powieta, że Florkowa miała *racyją*.

— A i czy wam tak samo Florka *rańli* ludzie?

— A zapewne, że tak samo; jak-*ta* kobiéty zaczęły do mnie latać, a trajkotać, jaki on zabiegliwy, jaki starowny, jak ja se od razu będę gospodynią i będę między ludźmi miała poszanowanie, tak bach! dali na zapowiedzi, potém we trzy tygodnie zrobiło się wesele i zostałam Florkową i wszystko się skończyło. Ja płakałam co ino wlazło, a one się weseliły i pokpiwały, że się-*ta* mój płacz wnet skończy, ino będzie po weselu.

— No i po weselu jużeście nie płakali więcéj?

— No, i zawdym miała *ino* płakać i płakać.

— A, to widać—odezwał się jeden z włościan z uśmiechem—że-*ta* Florek umiał jakoś dobrze *se* z wami począć, kiedyście tak wnet z głowy *se* innego wypędzili: bo na weselu to jeszcze nie ma żony *ino* panna-młoda, a wam to widać tak wianek panny-młodéj ciężył na głowie, kiedyście płakali, bo za wiankiem i płacz z Wisłą popłynął.

Wszyscy słuchający śmiechem zawtorowali mowie swego sąsiada, a Florkowa odrzekła:

— Oj! statkowalibyście sąsiedzie, nie pokpiwali, bo tak wam jak i mnie prędzéj pacierz powinien być w głowie, jak takie rzeczy. Ot lepiéj poszlibyście do tańca.—I zaczęła śpiewać:

Widełeczki strugał,
Na dziewczynę mrugał.
Widełeczki cisnął,
Dziewczynę przycisnął (1).

— O! w starym piecu to zawdy djabeł pali—odezwał się jeden z włościan, gdy Florkowa trzymając się obiema rękoma pod boki i przekręcając się to w tę, to w ową stronę, nogą w takt przytupywała.

— Bo widzicie—odezwał się inny—to tak Florek ich nauczył wszystkiego: i śpiewania i ściskania, i dlatego teraz tak go szanują.

— Zapewne że Florek, a nie kto inny—odrzekła zaczepiona, i nowym śpiewem chciała się odezwać, ale przygłuszona została małą wrzawą powstałą między tańczącą młodzieżą.

Nie byłato kłótnia, lecz hałaśliwa narada, kto w graniu zastąpi Janka, który chciał także poprobować tańca.

(1) Pieśni ludu polskiego przez Żegotę Pauli, str. 209.

Po saméj basetli skakać niepodobna; bez żadnego grania także nie można: cóż więc robić? Skrzypka drugiego nie ma, a tu Janek gwałtem ma ochotę pohulać.

Gdy więc radzą i tak i owak, gdy jaki-taki czepia się skrzypków i bez składu i ładu pociąga niemiłosiernie smykiem po strunach, w drzwiach od sieni dał się słyszéć głos dudki ze trzciny, wygrywającéj brzęczącym tonem jakiegoś skocznego obertasa, z taktowém przeraźliwém wtorowaniem przez palce pogwizdu owczarskiego.

Wszyscy zaraz zwrócili głowy ku tym nowym gościom, a ci przetłoczywszy się przez środek izby, zajęli miejsce na stole, zwykle dla grajka przeznaczone, i ku ogólnéj wszystkich uciesze daléj zawodzili skoczne swoje tony.

Do zaprowadzonéj tak naprędce muzyki dołączyła się zaraz i basetla, a jeden z włościan widząc takie ogólne krzątanie się około stworzenia orkiestry, ujął za dzieżę od pieczenia chleba i bębniąc po dnie łyżkami albo bucząc palcem, dopełnił brak jeszcze osoby czwartéj do tego wrzaskliwego kwartetu.

Tak więc w miejsce Janka stanął huczny kwartet, wprawdzie dziwny i niemiłosiernie drapiący ucho, bo proszę sobie tylko wystawić brzęczenie dudki trzymającéj główny śpiéw, w połączeniu z buczeniem basetli, z bębnieniem na dzieży i taktowém odzywaniem się przeraźliwego pogwizdu; ale jednak żwawy, ochoczy, bo gdzie jest szczera chęć zabawy, tam na harmonią nie ma czasu zważać, byle po czém było hulać i skakać.

Zabawa na chwilę przerwana nowém zajaśniała życiem; pary się znowu poszykowały i Janek ująwszy Basię, stanął na czele przygotowanéj do hulanki młodzieży.

Muzyka z całym wrzaskiem ozwała się.—Wysuwa się para za parą, przypatrujący usuwają się na bok, zostawiając próżne miejsce do tańca; młodzież wybija hołubce potrząsając głowami, a dziewoje ze skromnemi minkami trzymają się swoich tancerzy, jakby ich zabawa nic nie obchodziła, chociaż nogi aż drżą do tańca.

Janek wolno się posuwa i wszyscy za nim wolnym postępują krokiem; muzyka brzęczy i huczy, a on tylko myśli i duma: czasem spojrzy na ukochaną dziewoję, ujmie wpół i wykręci się wkółko, jakby chciał powiedzieć—„tyś moja jedyna" i pokrzyknie —„hu ha!" A młodzież — hu ha! powtórzy, brzęknie podkówkami i znów się wolno za przewódcą sunie.

Wtém Janek wstrzymał się przed grajkami, dał znak, muzyka się uciszyła, i wszystkie pary przystanęły. Już Janek wyśpiewał piérwszy wiérsz piosnki:

Moja różo malowana.....

gdy jakiś głos z tłumu odezwał się:

— Ino Janku wywiedźno co uciesznego, jak to ty umiész, a potém będziesz swoje śpiewał.

Janek urwał rozpoczętą śpiewkę i zwracając się w stronę słyszanego głosu, odpowiedział:

— Dobrze, mój Jędrzeju, kiedy *ładno* prosicie, to się ucieszycie i wszyscy będziewa śpiewać, ino zważajtu na mnie i róbta tak, jak wam pokażę.

Janek ujął się jedną ręką pod bok, a drugą wyciągając w górę, zaczął śpiewać;

Na a a a a a a.....

Wszyscy tańczący i patrzący poszli za Janka przykładem; każdy wrzeszczał co tylko sił starczyło: *a a u a a a a*, a muzyko brzęczała i buczała, że aż szyby w oknach izby trzęsły się, co taką wrzawą napełniło się cała karczma. Janek spuścił rękę, wszystko się uciszyło, a on śpiewał daléj:

Na powiśle Wisła
Baba z lasu wyszła
I i i i i i i.....

Znowu wszyscy z wrzaskiem zaczęli powtarzać: i i i i i i i, naśladując do tego różne jeszcze głosy zwierząt: to rżenie konia, beczenie owcy, gulgotanie indora, słowem jak kto mógł tak starał się wszelkiemi siłami powiększać wrzawę i tak aż nadto hałaśliwéj gromady. Janek spuścił rękę, wrzask się uciszył, a on kończył piosnkę:

I dziewczyna z dzbaneczkiem,
Po wodę doń przyszła.

Ogólnym wszystkich śmiechem piosnka zakończoną została. Janek uciął hołubca i puścił się młynka; młodzież poszła za jego przykładem i już wiruje para za parą, że aż migocze w oczach patrzących, tak furkają spódniczki i chustki wiejskich tanecznic. A Janek coraz ostrzéj, coraz żywiéj przytupując, pokrzykując: hej! dziś ha! ha! pędzi pary przed sobą, młodzież pokrzyk powtarza, a każdy ostatnich sił dobywa, aby tylko pospieszać za drugimi, bo biada niezręcznemu: przewrócony, ile par tyle nóg uczuje na swojéj głowie, rękach, piersi, i potrącony na wszystkie strony, zdeptany i zawalany, zaledwie na

bałyku wyczołga się z nieszczęsnego kółka, w którém, jak w jakiéj maszynie, trzeba ciągle posuwać się naprzód, nikomu nie zawadzać i co chwila nowe zajmować miejsce, zostawiając swoje następującéj parze.

Ale tu nie ma tego wypadku: tancerze wszystko zuchy dobrali się jeden w drugiego, gdyż wiedzą, że kiedy Janek przewodzi, to nie ma żartu; trzeba hulać i całą duszą i zdrowemi zręcznemi nogami. Mniéj więc obdarzeni darem do tańca wolą należéć do grona przypatrujących, jak narażać się na bolesne stratowanie nogami.— Wiruje więc para za parą, muzyka brzęczy, huczy i pogwizduje, a za każdém odezwaniem się pokrzyku: hu ha! héj dziś!—umykaj!—całe koło tancerzy jak rumak ukłóty ostrogą, nowym zabłyszcza ogniem i pędzi daléj i daléj.

— A bodaj ich Bóg kochał i z takiém szaleniem — odezwała się jedna z kobiét do kilku swoich sąsiad, przypatrujących się z zajęciem ochocie młodzieży, między któremi każda miała kogoś: to syna, córkę lub jakiego blizkiego krewnego.—A to szaleją, nikiéjby ich kto najął; cóż-to za nogi takie.

— Zwyczajnie, moja sąsiado, jak młode i juści; waszymby-*ta* podobno trudno było tak poradzić.

— E, przecież i ja nie zawdy byłam stara; ale patrzta, moje sąsiady, choć się-*ta* Jagna boczy na Walka, to teraz widać radaby mu była: i wystroiła się, i poszła z nim do tańca. No, no!

— Ale Baśka, Baśka, będzie-*ta* dopiéro miała od starego Sierpnia, że tak Janek ją wytańcowywa: bo onto na niego ani spojrzéć może.

— E, co tam! Sierpień się trocha posierdzi, ale potém na wszystko przystanie.....

— Bajecie, bajecie, jakbyście nie wiedzieli, jakto stary Sierpień głowy do góry zadziera; i onby właśnie przystał na zięcia bez żadnéj *familii*.

— Cota głupstwo *familija* — mówiła jedna z kobiét spluwając—familija to tyla warta, co ta ślina, bo nie da ani picia, ani dojadku, a uczciwość to grunt....

— Tak wam gadać, moi kochani, żeśta nie ze Świątnik, ino zpod pańszczyzny, tota u was wszystko równo; ale u nas w Świątnikach, tota takie rzeczy wiela znaczą.

— To téż ludzie wydziwiają się z was strasznie i Bóg wié nie jakie *gadki* o was wywodzą.

— A niech-*ta* wywodzą, ale jabym dlatego, moja Wawrzyńcowa, nie chciała pójść na chléb pańszczyzniany.

Wawrzyńcowa nic już na to nie odpowiedziała, kiwnęła tylko głową z niezadowoleniem i po małéj chwili znowu się odezwała:

— Patrzta moje sąsiady, czyta Maryna oszalała, żeby *tyla* korali pozawieszać na szyi, nikiéj w kramie u żyda.

— E, moja Wawrzyńcowa, bota jéj ojcowie starzy Ziembowie, to strasznie lubią się pysznić ze swojém bogactwem; oni żeby mogli, toby i na *palice* pokładli korale, a cóż dopiéro na szyję swojemu dziecku.

— Patrzajcie! moi kochani.

— Tak, tak, a żebyście zeszli się z nią kiedy, toby wam już żadnéj nie wywiodła *gadki*, ino o tém ile przedała płótna, *ila* gęsi, kaczek, *ila* znów wywieźli pszenicy, żyta i owsa do miasta na targ; a to wszystko dlatego, widzisz, żeby duchem Sierpniów zakasować, bo oni ich-*ta* nawidzieć za to nie mogą, co ludzie Sierpniów wyżéj zawdy od nich stawiają. Ale to wszystko po próżnicy, bo jaka matka, taka nać, jaka córka taka mać; Sierpniowie-ta od ojca, dziada zawdy są Sierpniami, choć-ta ich ludzie zowią teraz konfederakami, a Ziembowie przyszli z *obczyzny*, to *zawdy* są nie swoi i juści.

— To téż między Sierpniami a Ziembami nie ma prawdziwéj przyjaźni. Przed ludzkiém okiem to się niby szanują, z sobą *grzeczno*, *ładno*, ale-ta między niemi i za grosz serca nie ma; chociaż Bogiem i prawdą powiedziawszy, lepszy stary Sierpień w Wielki Piątek, niźli Ziemba w Wielkanoc, chociaż u niego w gębie tyla nabożeństwa, nikiéj u jakiego księdza.

— O, święte wasze słowa, moja sąsiado; Sierpień chociaż-*ta* twardy do pożyczki i nie każdemu da co prosi, ale jak da, to i bez *prowizyi*, i potém nie tak naciska; a Ziemba nikogo nie opuści, każdego niby wesprze, ale *prowizyi* dwa razy *tyla* weźmie co pożyczy, i potém jak przyjdzie do oddania, to i koszulę ściągnie, aby *ino* odebrał co swoje.

— To téż moi kochani, na krzywdzie ludzkiéj wszystkiego się on tak dorobił, i zobaczycie, że prędzéj późniéj to go zawdy Bóg skarze, bo-ta na każdym u niego groszu to więcéj łez ludzkich, niż włosów na głowie.

— Oj! prawda, prawda—potwierdziły inne.

W tém miejscu Janek zatrzymał się przed muzyką; rozmawiający przerwali rozmowę, hałaśliwy kwartet ucichł, a Janek zmieniwszy nutę, śpiewał:

Hej nawracaj od komina,
A uważaj której nie ma,
Jest i Baśka i Maryna,
Ino jednej Zośki nie ma.

I posuwistym krokiem uciąwszy hołubca, z radosnym pokrzykiem hu ha! Janek pędzi dokoła, trzymając za sobą zaledwie mogącą podążyć Basię. Pary z równym ogniem posuwają się tuż za śladem swego przewódcy, podłoga tylko dudni jak kotły w orkiestrze, co dosyć odpowiada brzęczeniu i huczeniu muzyki, i gdy całe grono tancerzy wirując dokoła tak migocze się parami, jak szprychy u wozu z góry cwałem pędzonego, Janek nagle zwraca się w przeciwną stronę i krzyknąwszy—hej! nawracaj, nawracaj!—zatrzymuje w biegu rozpędzone pary, tłoczy jedna na drugą, a wszyscy za nim powtarzają:—nawracaj, nawracaj!

Można sobie łatwo wystawić zamieszanie sprawione tak raptowną zmianą kierunku tańca, bo gdy od przodu zwrot już zrobiono, przy końcu w najlepsze pędzą jeszcze naprzód; ztąd w środku najokropniejsze powstaje starcie, tłoczą się, popychają, a Janek ciągle naciska wołając: —nawracaj, nawracaj!

Pomału zbita massa tancerzy znów się rozwija, odlepia się para od pary, cokolwiek wprawdzie z pomiętemi spódniczkami, bez jakiego kwiatka, albo z przekręconą chustką na głowie; ale ktoby tam zważał na tak małe rzeczy! Choć bez luster dziewczęta spiesznie porządkują nieład ubrania i już ze śmiejącemi buziakami podążają za swemi tancerzami.

Jeszcze raz i drugi figiel ten powtórzono przy pokrzykach już nietylko tańczących, ale i patrzących—nawracaj! hej! nawracaj od komina! —Jeszcze nieraz i popchnięcie i szturchnięcie dosyć nastąpiło bolesne, aż nareszcie koło tancerzy tak się wprawiło, iż za pierwszym znakiem do zwrotu, wszyscy jak z bicza trzasł już byli na drugiéj stronie.

Gdy młodzież tak hula potupując, pośpiewując, że wieś cała tylko szumi wrzawą zabawy karczemnéj, my przeniesiemy czytelnika do chałupy Wojciecha Sierpnia.

Mały kaganek oświetla całą izbę. Na ławie przy kominie młody chłopczyna pożywa wieczerzę: kartofle ze słoniną, a stary Sierpień stoi przy stole pod oknem, kruszy sér na mniejsze kawałki, obdziera kiełbasę wędzoną ze skóry i częstuje nią przybyłych do siebie dwoje kumów w gościnę.

Jestto Andrzéj Łaza szwagier Wojciecha, wraz ze swoją żoną; oboje już ludzie nie młodzi, rzadkiéj dobroci i poczciwości, a szczególnie z Wojciechem przyjaźniący się.

Andrzéj troszkę ospowaty, z wrośniętym wyrazem uśmiechu przyjaznego w twarzy, który odrazu lgnie do serca i duszy, trzymał Basię do chrztu; ztąd szwagrowie pokumali się i odtąd tytuł siostry, brata, na miano kuma zamienili: gdyż u włościan pokrewieństwo kościelne daleko więcéj jest uważane, jak wszelkie związki krwi choćby najbliższe.

Bezdzietni, pracowici, oszczędni, nielubiący ani hucznych zabaw, ani gwarnych jarmarków; poczciwém postępowaniem, miłosiernem sercem, wyrozumiałością na głupotę ludzką i ciągłą dążnością do godzenia powaśnionych stron, choćby nawet z własną stratą, przyszli i do jakiego takiego mienia, i do ogólnego poważania wszystkich wsi mieszkańców, niedaleko od Świątnik położonéj, w któréj za wspólną zgodą dziedzica i gospodarzy już oddawna, bo od lat przeszło kilkunastu ciągle Andrzéj Łaza był sołtysem.

Rzadkito człowiek ten Andrzéj Łaza wraz ze swoją małżonką, z którą się dobrali jakby w korcu maku; lecz nie dlatego, że jest prostym włościaninem bez żadnéj nauki i wykształcenia, a jednak tyle poczciwym, ale dlatego, że choćby w społeczeństwie i bardzo wysoki zajmował szczebel, to jeszcze taką zajaśniałby cnotą, takąby błyszczał prawością duszy, że może nieraz przy jego boku zapomnielibyśmy, iż podstęp, oszukaństwo i tyloliczne zbrodnie, pod różnemi maskami i postaciami kryją się między ludźmi.

Prawda więc, że rzadki taki włościanin, ale równie rzadki i człowiek podobny. Gdybyśmy w obydwóch warstwach społeczeństwa, z których jedna surdutem, a druga prostą kamizelą plecy okrywa, zaczęli pilnie śledzić, szperać, na szalę sądu kłaść wszystko, co mówi za i przeciw jednym i drugim, kto wié, coby z tego wynikło....

Wojciech Sierpień ma więc gości u siebie. Nawiedzania podobne, a po naszemu *wizyty*, nieczęsto się trafiają między włościanami, bo przy pracy i ciągłém zajęciu jeśli się znajdzie chwila wolnego czasu, to go każdy chce użyć jak najprzyjemniéj, i idzie do karczmy, gdzie z sąsiadami nagwarzyć się może do syta; ale się jednak trafiają.

Nawiedzania takie nie mają także na sobie cechy i nudnéj etykiety i owego bezlitośnego zabijania czasu, w których niewiadomo czasem, czy bilet wizytowy osobę, czy osoba bilet zastępuje i komu z nich więcéj będą radzi; ale za to że rzadkie, że są wypływem pra-

wdziwéj chęci zobaczenia się ze staremi znajomemi albo krewniakami, przyjmowane są z całą serdecznością, z całém wylaniem się gościnnego serca, które i siebie i czém chata bogata wszystko oddaje na użytek gościa.

Takiemi gośćmi byli Łazowie dla Sierpnia; nie dziw więc, że się gospodarz krząta i że co może wynosi z komory, aby tylko uraczyć miłych mu kumów.

— O! mój kumie—odezwał się Łaza patrząc na Wojciecha rozłamującego kiełbasę, z któréj woń czosnku po całéj rozchodziła się izbie—mój kumie, i czegóż się szkodujecie; jak tam dla nas, to świat tego coście nałamali.

— O! zapewne, dajcie pokój, mój kumie—dołożyła żona—i tu jeszcze mam kawałek placka, com go wzięła na drogę, i *właśnie* doniosę go napowrót do domu, to nie łamcie, bo kto będzie jadł?

— Nie ma-ta moi kumowie—odezwał się Wojciech—żadnego szkodowania; wieprzak się w domu upasł, potém się go zatrąciło, to nie kupne ino swoje, a wyście kawałek od domu wyleźli, to pomału zjewa przy kieliszku wódki i przy rozgadce po kąsiołku, to i pójdzie.

— Na Waluś—odezwała się Łazowa podając chłopakowi kawał przyniesionego placka i kiełbasy ze stołu—na i ty, skosztuj, bo *ta* u dzieciuchów to gęba zaraz przy oczach siedzi.

Chłopiec z ucieszoną miną przyjął tyle smaczny dlań podarunek, zaraz go zaczął z apetytem obrabiać i na podziękowanie uścisnąwszy wszystkich nogi, zajął znowu miejsce pod piecem.

— Mój kumie, ale choć bez gospodyni, kiełbasy się jednak nie powstydzicie, bo to wszystkiego w niéj *tyla*, co prawie.....

— Jakto bez gospodyni? alboto nie mam Baśki. Ho hoł moi kochani, dziewuszysko choć młode, ale ma swoję kalkulacyą i czego nie znajdzie u siebie w głowie, to jak pójdzie po wsi od jednéj do drugiéj kobiéty, to wnet ma wszystko co jéj potrzeba.

— No prawda, żeta od śmierci waszéj kobiéty dopiéro drugi raz przywlekliśmy się do was, ale wtedy, to Baśka nie pokazywała po sobie *tyla* śmiałości do gospodarstwa, i ja zawdy frasowałam się o was, jak wy *se* rady dacie.

— Juścić moja kumo, co starsza głowa, to nie młoda; ale pomału, pomału, to się tak Baśka włożyła, że już-ta wszystko w domu przez jéj ręce przechodzi: i pranie, i gotowanie, i wedle drobiu, trzody, krów.....

— Mój kumie — odezwał się Łaza — dla chcącego to nie ma nic trudnego, a Baśka już od młodu była nauczna gospodarstwa i statkowania, to i nie dziwota, że teraz i starego zakasuje. Żeby ino Pan Bóg obdarzył ją jakim poczciwym chłopiną, boćby to szkoda było dziewuchę i z urodą i z poczciwością oddać na biédę w jakie niepoczciwe ręce.

— Oj! prawda — domówiła wzdychając Łazowa — bo choćto nasza krzesznica i kochawa ją jak własne dziecko, ale co prawda, to nie grzéch, że-ta dobrze ten Panu Bogu będzie służył, co ją dostanie za gospodynią.

— Bóg wam zapłać, moi sąsiedzi — odezwał się Wojciech nalewając w kieliszek wódki — za dobre słowo o mojém dziecku, bo kiedy się jedno *zagubiło*, to..... Ale co tam, daj wam Boże zdrowie — i to powiedziawszy wypił wódkę i na nowo nalawszy, podał ją Andrzejowi.

— Pijcie z Bogiem, mój kumie; wódka to nie woda, prędko idzie do głowy, a do dom mawa jeszcze kawałek.....

— Nie bójcie się, nic wam nie będzie....

— Mój kumie, nie niewólcie go — odezwała się Łazowa — on-*ta* całkiem głowy nie ma do wódki, i niech ino ze trzy kieliszki wypije, to już mu i język i głowa bet latają, a każde w swoję stronę; a jaki wtedy ucieszny, to powiadam wam, że inoby się śmiał, i choć koszulę to zdejmie i odda, taki wtedy *miętkiego* serca.

— A no, to dobrze moja kumo — odpowiedział Wojciech — to widać wódka idzie im na zdrowie; a i ja tam z wódką zadawać się bardzo nie lubię, ale kiej się ma w domu kogo po swojéj myśli, to przy gadce wypije się jak nic kilka kieliszków, i na zdrowiu człowiek nic nie szwankuje.

— Cicho, moje dziecko, cicho — odezwał się Andrzéj przerywając żonie, która zabierała się znowu do mówienia — już ja-ta wiem do czego chcesz prowadzić; ale kiedy Pan Bóg człowiekowi daje, a nie ma po sobie komu zostawić, to przecież dobrze, że-*ta* w jakiéj potrzebie człek człekowi dopomoże. Bo to widzicie mój kumie, tego roku w ziarno to jeszcze jako tako się urodziło, ale co słomy, to strasznie skąpo, i u nas we dworze, i po innéj szlachcie, i po chłopach już w poście zaczęło braknąć paszy. Ja tam Boga chwalić miałem u siebie dobréj *więzi* dwie kopy kłociaków. Myślę sobie, przedam półtoréj kopy, a pół kopy to świat dla mojego dobytku; ale jakem *se* zaczął kalkulować, że choć mało wiela zawdy coś wezmę za to grosza — i cóż? schowa się go i juścić, a przecież Bogu dzięki, takiéjta

nagłości u nas na pieniądze nie ma: tak poszedłem do dworu, skłoniłem się dziedzicowi, oświadczyłem że mam słomę, a że on jest w takiéj *okazyi*, że mu paszy brakło, aby se przysłał po nią, a z nowego mi odda.

— O! to dziwniście mój kumie! Już kiedyście dali, to choćby za pieniądze, ale nie na oddanie, bo teraz kopa waszéj kłoci warta choćby lekko 24 złote, a na jesieni to za dziesięć złotych takiéj saméj kupi.

— Macie *racyją*, mój kumie, ale widzicie, ja se znów tak kalkulowałem, że-ta we dworze naszym nie przewala się, i choć dochodu wiela, to i wydatku co niemiara, i że w gromadzie naszéj, jak to zwyczajnie między ludowiną, są różni: i źli i dobrzy; niejeden ma dobre oko we dworze, a na innego to i patrzéć nie mogą. Jakby téż, widzicie, nie miał kto się za niemi upomnieć i rzetelnéj prawdy nie doniósł do ucha pańskiego, toby niejeden niewinnie się i nacierpiał, a niejeden jakby zaczęli na niego walczyć, toby musiał i z duszą ze wsi uciekać. Otoż widzicie, ja ze dwora nic nie potrzebuję. Boga chwalić, przy pracy i starunku spokojnie odrobię pańszczyznę, zapłacę podatek, i żebym nie był sołtysem, toby*ła* dwór i nie wiedział o mnie że siedzę we wsi; to jak za kim przemówię we dworze i poproszę, to zrobią wszystko jak chcewa: bo dziedzic wié, że co powiem, to sprawiedliwie i że mnie ani kieliszkiem wódki, ani niczem nie kupią, bom ja na nic nie pragnący. Otoż widzicie, dlatego ja słomę na pożyczenie dałem dworowi, bo zaraz jakoś człowiek śmielszy i w gadce i we wszystkiém, kiedy dziedzic widzi, że człek nic ma żadnéj chciwości i *żno* pragnie, aby spokojnie i cicho we wsi było.

— A żebyście mój kumie wiedzieli, jak ja się o niego wylękłam kiéj powrócił ze dwora; a Boże kochany!....

— No, i cożeście takiego zrobili?

— E, mój kumie— odrzekł na to uśmiechając się Andrzéj— upiłem się jak cztery dziewki i *duchem* wołałem o muzykę i gornąłem się z moją kobietą do tańca.....

— A i kajżeście tak dogodzili sobie? boć to wam przecie nie trafia się?

— A kajże? we dworze, mój kumie. Widzicie jakem przyszedł do dworu i oświadczyłem że chcę pożyczyć słomy, bo wiem, że jéj zabrakło, tak dziedzic duchem chciał mi zapłacić; ale jata swoje miałem na głowie i w żaden żywy sposób zapłaty nie chciałem przyjąć. Dziedzic mnie męczył do ostatniego; tak ja się

skłoniłem i rzekę—„Wżny Panie, nie rób mi Wżny Pan téj krzywdy, żebyś miał gardzić moją dla siebie życzliwością, bo ja już dwadzieścia siedm lat jak jestem gospodarzem we wsi, a niczém się Wmu Panu nie uprzykrzyłem; to i teraz jeżeli tę słomę pożyczam, to nie dlatego, aby mi Wny Pan miał potém robić jakie podarunki, ino dlatego, że Wny Pan tak jest nad nami jak ojciec nad dziećmi, i żeby zawsze stary Łaza miał dobre oko u Wgo Pana." Tak mój kumie jakem to wyrzekł, to-ta dziedzicowi jakoś tak dziwnie głos się zmienił, tak mu wargi latały, że ino, ino a myślałem, że się rozpłacze. Ja mój kumie także *miętkiego* serca, o płacz nietrzeba mi dwa razy mówić: jak spojrzę na dziedzica, jak zobaczę u niego łzy w oczach, jak mi coś zakręci wedle serca, to żeby mnie ino wstyd nie było, tobym był tak płakał, *nikiéj* dziecko. Tak potém, moi kochani, dziedzic kazał mi usiąść na stołku, zawołał żonę i dzieci, narobili.... ta jakoś dziwno się to nazywa...

— Poncz, poncz—dołożyła Andrzejowa.

— Rychtyk tak, tak ponczu narobili na misce, i jakeśwa zaczęli z dziedzicem pić a gadać i gadać, tak moi kochani ja nie nauczny, jakem zaczął pić jednę i drugą szklankę, a to słodkie, to się człowiekowi *ładno* przez gardło przesuwa, tak ani zmiarkowałem, że-ta wiela się piło. Tak mój kumie wstaję i chcęta podejść do dziedzica, żeby podziękować za ich takie uczęstowanie, ale gdzie tam: jedna noga siudy, druga tudy, i ino, ino com całego stołu nie przewrócił. Tak mnie dopiéro dziedzic sam sprowadził ze schodków na podwórze, dziedziczka otuliła głowę czapką, bo ja choć na nogi był pijany, ale w głowie zawdy swój miałem rozum i widziałem wszystko. Jak mnie dwóch parobków przyprowadziło do domu, to mój kumie cudeńka z moją kobietą dokazywałem, a dziedzice i tego wieczora i na drugi dzień raz po raz przysyłali dowiedzieć się, czy czasem nie jestem chory. Niech imta Pan Bóg da wszystko dobre.

— No zapewne, że-ta warci takiego życzenia — odezwał się Wojciech—ale gdybyście tak ze dwa razy jeszcze się utraktowali we dworze, to mój kumie—mówił daléj z lekkim znaczącym uśmiechem— możeby się wam kobiéta jako naprawiła, i potém nie mówilibyście, że nie macie swojéj pracy komu zostawić.

— A może to być — dodał Łaza żartobliwie—różnie się-ta przecie między ludźmi trafia.

— Ej! stary, statkowałbyś — odrzekła Andrzejowa — o pacierzu byś lepiéj.....

— O! widzicie mój kumie, że ma starego, to go do pacierza i statkowania nagania; żeby tak z młodym, oho! toby....

— A tobie znowu co się zrobiło — odezwała się niby z fukiem Andrzejowa — już widać, że nie jeden kieliszek masz w głowie.

— Nie bójcie się, moja kumo — odezwał się Wojciech — bo to nie poncz, ino wódka, a kum ino po ponczu myśli, żeby-*ta* praca jego na marność nie poszła. Ale może dlatego teraz nie garniecie się do świątnickiéj wódki i kiełbasy — mówił daléj Sierpień z pewnym rodzajem obrażonéj dumy — żeście-ta spróbowali szlacheckich traktamentów, i chłopskie częstowanie nie jest wam do smaku?

— Ej! mój kumie — odrzekł zaraz Łaza, znający dobrze drażliwą stronę Sierpnia — jeżeli-*ta* człowiek ma życzliwość do swego dworu i uszanuje swoich dziedziców jak wypada, toć przecie nie przez żadne *pochlibstwo* jakta drudzy, żeby wodę ciągnąć *ino* na swoje koło, ale mój kumie dlatego, że kiedy się we wsi już lat tyla jest sołtysem, to żeby ten głupi ludowina miał przecie we wsi takiego, co umié za nim po sprawiedliwości przemówić. Bo wy nie wiecie, jak to jest w pańszczyznie: dworusy swoją drogą, przystawcy i oficyalistowie swoją drogą, a do tego jak *pochlibcy* różni zaczną swoje szwargotać, jużci z kozła macie barana; a dziedzic cóż na to poradzi, kiedy-ta we wszystkiém choć jest *trocha* prawdy, to *zmyślenia* znowu *tyla*, coby i korcem nie zmierzył. A nasz ludowina wiecie jakito nieśmiały: w karczmie między swemi gadki nie brakuje, ale jak przyjdzie do dworu, a jeszcze ekonom albo dziedzic łuknie na niego, to ino skrobie się w głowę, czapkę przekręca w garści na wszystkie strony, i gada ni to ni owo; i choć-ta nasz dziedzic nie garny do bicia, albo jakiéj innéj krzywdy, aleta niejeden że się nie umié wytłumaczyć, to się *bez* niewinność biédy nacierpi. Ja téż mój kumie, że mam uważanie we dworze i jestem sołtysem, zawdy wypowiem wszystko po sprawiedliwości: ani za jedną, ani za drugą stroną, a dziedzic chociażby mu nie wiém co kładli w uszy, to zawdy na moje przystanie, bo wié, że w mojéj gadce nie ma żadnego oszukaństwa. I teraz mój kumie tak się włożyli, że dziedzic każdego co-ta przyjdzie do niego na użalenie, to het! odsyła do mnie, i chociaż jest dużo *subiekcyi* ze zgodzeniem, ale ja mój kumie, to poczę-

stuję wódką, to jeśli idzie o szkodę jaką w zbożu, pożyczę pieniędzy na zapłacenie *ilu*-ta sąsiedzi oszacowali, to znowu jak Józefowi co trzoda całéj gromady wpadła w połanek ziemniaków i całe staje zryła, to ja choć mój kumie wtedy ani szerści świńskiéj w domu nie miałem, bo wszystkie sprzedałem na jarmarku żeby namiastek odmienić, oszacowałem szkodę na trzy korce i na wszystkich rozłożyłem co ino świnie utrzymują. Ale jak zaczęli wywodzić różne rzeczy: a to zawiela, a to moje wtedy były w chléwie zamknięte, a to to, a to owo; tak rzekę sobie, żeby-ta was pogodzić, bo przecież te dwa garnce ziemniaków toć nie żadne bogactwo, wziąłem mój kumie i sam piérwszy Józefowi zaniosłem, chociaż wszyscy przyświadczyli, że z mojéj trzody szkody nie było, bo jéj wtedy nie miałem. Tak potém mój kumie wstydno strasznie wszystkim było, i jeden przed drugim znosili a znosili Józefowi, aż przecież znieśli te głupie trzy korce. Otóżto widzicie dlatego ja tak szukam przyjaźni we dworze, żeby-ta we wsi wszystko było cicho, spokojnie, jak to mówią: i Bogu i ludziom żeby było miło.

— Dobrze to wszystko, mój kumie—odezwał się Wojciech— że tak jesteście *szczyrzy* dla ludzi, bo przecież macie się nie ostatnio i od nikogo nic nie potrzebujecie; ale żebyście kiedy wy byli w jakiéj *okazyi*, to nie byliby tak ludzie dla was, i może nie jedenby się nawydziwiał, że nie umieliście grosza szanować, kiedy wam Pan Bóg dawał.

— Oj! święte wasze słowa—dołożyła Andrzejowa wzdychając—ja téżto zawsze mu mówię, ale co-ta, wszystko na wiatr.

— Ej! mój kumie—odezwał się Łaza—jużta się we mnie nie przemieni, już ja takiéj natury; a kiedy człek Bogu i ludziom służy, to-ta i Bóg i ludzie o nim nie zapominają.

— Ej! mój kumie, tak się to mówi, ale na świecie to wszystko inaczéj; ot na ten przykład u nas.....

— Oj! prawda, prawda—przerwała Andrzejowa, a Łaza dodał:

— Mój kumie, nie bywał ja-ta dużo po świecie, to nie wiem jakta jest *kaj indzi* między ludźmi; ale u nas mój kumie, to Boga chwalić, nie postoi u mnie w gębie żadne użalenie. Pan Bóg daje mi zdrowie; *ino* raz jakoś zapadłem co już myślałem, że trzeba będzie oczy zamknąć.—W tém miejscu Andrzejowa boleśnie westchnęła, a Łaza mówił daléj—ale jak ze dwora raz i drugi po-

słali po doktora, potém po cyrulika, jak zaczęli zadawać różne leki, tak wnet opuściło mnie wszystko, i ot! znowu człowiek łazi po świętéj ziemi. A w całéj chorobie, mój kumie, żadnéj nie miałem *subielcyi*, bo ze dwora i posyłali po doktorów i leki przywozili, a wszystko za dworskie, nie za moje pieniądze. Chłopaczynę co mam u siebie w służbie nikiéj wasz Waluś, to brali do poganiania, do paszenia, a wszystko pisali za dzień pański, żebyta nie było zaległości, a mnie wielkiego upadku. Ludzie znów, to jeden przyszedł urznął sieczki, drugi obił kilka snopków na obroczynę dla szkapin, inny znowu zawiózł ćwiartkę zboża do młyna, kobiéty znowu pomogły wedle gospodarstwa w domu, i ta jakoś lazło tak wszystko, że i w polu i w domu żadnego nie było upadku, choćta człowiek więcéj jak cztery tygodnie kacołował w łóżku. No, to widzicie mój kumie czy nie mam *racyi*, kiedy mówię, że kiedy człek o Bogu i o ludziach pamięta, to i Bóg i ludzie nie opuszczą człowieka, kiedy będzie w jakim przypadku.

— No! mój kumie, to ino wasze szczęście, żeta u was we wsi jakoś i dziedzice i ludowina mają Boga w sercu; bo żeby oni na ten przykład byli wszyscy Ziębami, ho ho! tobyście nie raz, *ino* dwa razy mogli umrzéć, a onibyta żadnego ulitowania nad wami nie pokazali.

— Ej! mój kumie, i Ziemba-ta nie jest znowu taki zły, jak o nim ludzie mówią; prędzéj u niego głupio w głowie, jak źle na sumieniu, bo ino myśli o zbieraniu, jakby się tém można od śmierci wykupić; to dlatego taki chytry na wszystko, że ino mu się ręce trzęsą.

— Ej! co wy gadacie, głupi, głupi; ma on lepszy rozum jak wy wszyscy. Ho! ho!—mówił daléj Sierpień z przytłumionym gniewem zlekka w stół uderzając—mój kumie, prędzéjby-ta on nas wszystkich i całą wieś sprzedał, nimby-ta kto choć jeden włos z głowy jego uskubnął.

— A bo-ta włosów już nie*wiela* świeci się na jego głowie— żartobliwie dołożył Łaza; ale Wojciech już nie zważał na ten żart szwagra, tak był zajęty oburzeniem na Ziembę i mówił daléj:

— Mój kumie, żadne frasunki, żadne dopuszczenia Boże tak człekowi nie dokuczą, jak zły człowiek, kiedy się wkręci do *familii*, bo wtedy to rychtyczek tak się dzieje, jakbyście założyli do wozu konia jednego z przodu, a drugiego z tyłu, i każdego w swo-

je stronę poganiali; to i szkapiny się pomęczą i drogi nic nie ubywa, i wozowi na pożytek nie idzie. Oj tak, tak!

— Ej! mój kumie, cobyście tam mieli zważać na drugich. Ino po próżnicy przypuszczenia różne robicie do głowy, a z tego nic nie będzie dobrego: wszystko oddać Panu Bogu i juści.

— Zapewne, mój kumie — dołożyła Andrzejowa — jeszcze możecie na zdrowiu szwankować, zawsze was ludzie będą mieli w *obserwacyi*, a Ziembów nikt do was nie przyłoży.

— Moi kumowie, wiecie dobrze, że jata żadnéj zawziętości długo w sercu nie noszę do żadnego człowieka; ale stary Ziemba to już mi wlazł za wszystkie pazury, i co se ino wspomnę o nim, to mnie *aże ciarki* po skórze przechodzą.

Tu Wojciech zamilkł, brwi zmarszczył jakby burzą i piorunem miały wytrysnąć, a war tłumionego gniewu oblekł lekkim rumieńcem poważne Sierpnia policzki. Po małéj pauzie ujął za flaszkę z wódką i obczęstował nią gości, podsuwając w milczeniu kiełbasę i sér na przekąskę.

Oboje Łazowie znali dobrze, oparte tylko na polityce stosunki Sierpnia z Ziembą; dlatego nie chcąc wznawiać niemiły przedmiot w rozmowie, starali się nadać zupełnie inny jéj kierunek.

— Szkoda, mój kumie — odezwała się Andrzejowa — że-to jakoś tak padło, żeśwa Basi nie zastali w domu, bo-to dziewuchy z dobry kwartał nie widzieliśwa, toby się było czemu przyjrzyć. Ale płótna, to widzę macie kilka łokci: czyście lnu co przykupywali, czy wszystko ze swego?

Wojciech w miejsce odpowiedzi rzekł do chłopaka:

— Waluś! biegajno do karczmy i zobacz czy tam Baśki nie ma; a jeżeli ją znajdziesz, to powiédz, żeby wnet przychodziła, bo ciotka Andrzejowa jest u nas w domu.

Chłopiec ująwszy bicz w rękę wybiegł pędem z izby, a Wojciech mówił daléj:

— Dziwno to jest jednak, że jéj jeszcze do tego czasu nie ma; jeżeli do karczmy z kobietami nie wstąpiła, to ino co jéj patrzéć, chociaż ja-*ta* niebardzobym rad był temu, żeby ona w karczmie tak długo się zabawiała.

— Ej! mój kumie — odrzekła Andrzejowa — jak staremu paciérz, tak młodemu zabawa przystoi. Dziewuszysko się nautyka wedle domu, wedle chlewów, to jak się wyrwie w święto między ludzi, a jeszcze muzykę usłyszy w karczmie, to i nie dziwota, że-

ta się trocha zabawi. Przecież granie i tańcowanie nie za nas powstało i nie za nas zginie.

— Naprzeciw tego, moja kumo, ja nic nie rzekę, ale widzicie, przed wami mogę wszystko po myśli mówić, boć ja już jedno dziecko za Ziembę młodego zgubiłem i ta oboje Pan Bóg zabrał do swojéj chwały; to radbym przecież choć aby drugie w lepsze oddać ręce, a Jankowe do marnowania to dobre, ale do pracy to go bolą: ino grać, tańcować i różne śmieszne rzeczy wywodzić, to do tego chybki jak zając do kapusty.

— Ej! mój kumie, chłopczysko młode, to i nie dziwota; ale pomału, pomału, to się *utemperuje* i może być....

— A jak się nie utemperuje?—zapytał przerywając Wojciech.

— Mój kumie, co rok to człowiekowi więcéj do głowy przybywa; i my przecież nie zawdy tacy byli, jak teraz.

— A ino, a ino—dołożyła Andrzejowa— pamiętacie mój kumie, jak to nieboszczyk rodzic wytaśmowali wam pasem skórę, coście nie chcieli poganiać wołów parobkowi, ino sami garnęliście się do pługa? A przecież to nie przez lenistwo, ino tak z głupiego rozumu.

— Moi kumowie, to też dobrze nieboszczyk rodzic robili, co skórę garbowali; i żeby tak Jankowi byli robili, toby był nie utracił i pół swojéj chałupy i gruntu, i byłby przecież we wsi siedział, a nie walał się po służbie; ale teraz już trudno naprawić, co się za młodu złego narobiło; bo czego się skorupa za młodu napije, tém zawdy na starość trąci. Był ladaco, i takim już zostanie.

— Ale mój kumie, powiadam, że się *utemperuje*. I Józwa i Wawrzek tacy byli rychtyczek; jednak się ustatkowali i dziś gospodarze co się nazywa.....

— A jak się nie utemperuje?—zapytał Wojciech z małą niecierpliwością—jak zawdy takim zostanie? A czybyście mogli *sumieniem poprawić* (1), że w Janku wszystko się odmieni?

— No, i juścić.....— jąkając się bąkał Łaza.

— A widzicie, mój kumie, ja też tyla pracy swojéj, tyla starunku w ladajakie ręce nie oddam; a przytém wiecie mój kumie, że ten grunt co należy do téj chałupy, to już z dawna dawien zawdy idzie osobno, żeby ino sami Sierpnie pod ten dach się przytulali. Dotąd Boga chwalić wszystko szło spokojnie, uczciwie; ja zostałem na ojcowiznie, młodszemu dali rodzice wszystko co nale-

(1) Czyli przysiądz.

żało do gospodarstwa: konie, krowy, pługi, wozy i co-ta było. A ja znowu co wziąłem za swoją kobietą, to na to miejsce pokupowałem; wyście znów moja kumo podzielili się z siostrą gruntem po matce, potemeście siostrze odprzedali, kiedyście za kuma wychodzili, i ot, wszystko Bogu dzięki porobiło się ładno, bez kłótni, bez obrazy Boskiéj i wszystkim nam przecieć w świecie nie najgorzéj i nie swarzewa się i nie wymawiamy sobie, żebyta jedno drugie miało oszukać. Ale teraz, mój kumie.... o! ciężkie frasunki na mojéj głowie.....

— A mój kumie, cóż-ta za frasunki macie takie ciężkie?— Wojciech boleśnie odetchnął, jakby chciał zrzucić ciężar frasunku przytłaczający jego piersi, a kładąc rękę w zanadrze, odpowiedział:

— Moi kumowie, wiecie, że mi Pan Bóg nie dał syna...że... —w tém miejscu głos zadrżał Wojciechowi i umilkł.

— No, mój kumie wola Boska; i tak was bez dzieci Pan Bóg nie zostawił: bo choć jedna już na Boskim sądzie, ale macie Baśkę dziewuchę nikiéj łanią. Ot u nas gorzéj: pracujewa, zabiegawa, codzień to przecieć nie ubywa, ino przybywa, a dzieciaka w domu ani jednego; jednak mój kumie frasowaniem nie obrażawa Pana Boga,—wola Boska i juści. Najlepszyto gospodarz Pan Bóg nad ludźmi!

— Oj tak, tak, mój kumie—dołożyła Andrzejowa—lepiéj żebyście to wszystko ofiarowali Panu Bogu, jak po próżnicy psuć se tak głowę, co się już nie może odmienić.

— Moi kumowie, znam już to wszystko, co mi powiadacie— już spokojniejszym głosem odpowiedział Wojciech—ale wy znowu nie kalkulujecie, do czego to wszystko prowadzę.....

— No, mój kumie, juściś ja to dobrze miarkuję, że wam idzie o to, że nie macie komu ojcowizny zostawić, ale co tam, to fracha.

— Jakto fracha — marszcząc brwi, podniesionym głosem rzecze Wojciech — jak wy możecie wywodzić taką gadkę że to fracha, kiej człowiek nie wié komu zostawi to, co bez *tyla* lat było zawdy w naszéj *familii*?

— Ej! mój kumie, nie ma wam o co iść—odpowiedział Łaza, gdy go żona szarpiąc pod stołem za kapotę, nakłaniała do milczenia, mówiąc przytém półgłosem—Jędrzéj, dałbyś pokój, wiész, że na kuma lepiéj cisnąć ognia, jak w gadce wywodzić takie rzeczy— Ale Łaza nie zważał i mówił daléj:

— Mój kumie, przecież macie córkę i wnuka po drugiéj, to i tak ani wasza praca, ani ojcowizna nie pójdzie na marność.

Wojciech na te słowa zerwał się z siedzenia, jakby go kto ukropem oparzył, i stając przed zdziwionemi Łazami, głosem silnym, zdradzającym wewnętrzne szamotanie podniesionego gniéwu, z powolnością należną szanowanym przez siebie kumom, odpowiedział:

— Nie pójdzie na marność? Jak nie ma pójść na marność, kiedyby się rozeszła po świecie między ludzi, co się Ziębami albo siak albo inak nazywają? Ale nie, moi kumowie, prędzéj ta stara głowa do ziemi się schowa, niżby miała taki *despekt* na naszę *familiją* sprowadzić, i póki Sierpnie Sierpniami, żaden ze *strony* (1) nie będzie gospodarzem na tych śmieciach, co *tyla* Sierpniów na sobie uchowały.

Tu rozmowa ustała, każdy utonął we własnych dumaniach, a Wojciech przeszedłszy kilka kroków po izbie, znowu zajął miejsce przy stole. Mała chwila już była dostateczną do uspokojenia wzburzonych namiętności starca, obtarł potem zroszone czoło, i ujrzawszy Łazów zabierających się do odejścia, z przyjaznym uśmiechem, w którym przebijał się żal za gniewliwe cokolwiek obejście się z miłemi mu gośćmi, odezwał się głosem wzruszonym:

— Moi kumowie, nie róbcie mi przecież téj krzywdy, żebyście po nieprzyjaźni mieli odchodzić do domu; bo u starego, to już taki układ, że jak co usłyszy przeciwnego swemu pomyśleniu, a jeszcze takiemu pomyśleniu co-*ta* zawdy jedno było u rodzica, dziada i *het!* daléj, to już języka i rękami w gębie nie utrzyma; ale moi kumowie, choć gęba gada, to i cóż?—słowo wiatr i juści, a w człowieku wszystko *zawdy* jednako pozostaje.

— Mój kumie — odezwał się Łaza, ale mu żona przerwała, mówiąc:

— Cicho Jędrusiu, cicho; ty-*ta* nie wiész, co kum mają na głowie, bo nie z takiéj *familii* pochodzisz jak nasza, to się wyrwiesz z jaką gadką niepotrzebną, i znowu jakiego licha narobisz.

— Dajcie pokój, moja kumo, niech kum mówią, bo choć oni z obczyzny i wieleśwa z nieboszczykiem rodzicem *termedyi* użyli, nim was moja kumo dostali, to-ta trudno już o lepszego człowieka jak oni; niech mówią.

(1) Tojest obcy.

— Nic jata nowego mój kumie nie miałem do powiedzenia ino to, że choć co powiem dla was przeciwnego, to nie z przymowiska, ani-*ta* z innéj jakiéj *okazyi*, ino tak, ot co w głowie, to i w mowie.

— Moi kumowie—odezwał się Wojciech coraz więcéj rozbrojony łagodnością szwagra—alboto od dziś, albo od wczoraj znawa się z sobą, alboto ja już *nienauczny* waszéj życzliwości dla siebie?

— O! zapewne—odezwała się Andrzejowa—już-ta przychylniejszych od nas nie znajdziecie dla siebie. Ale już późno, trzeba się do *doma* zabierać, bo-ta memu trudno gęby zawiązać, a jabym nie rada była takim rozgadkom, coby kumowi były po przeciwności.

— Moja kumo, miéjcie przecieć Boga w sercu. Ot Baśki *ino* co nie widać, narobi nam jajecznicy z kiełbasą; a teraz napijewa się wódki z miodem, co nam kuma przyrządzi. Zaraz z komory wszystko przyniosę. Moi kumowie, poczekajcie.

To powiedziawszy wyszedł Sierpień po miód do komory, a Andrzejowa zaraz odezwała się do męża:

— O! już się też wybrałeś z taką gadką do kuma, jakbyś nie wiedział, że oni i figurę wyfundowali, i korale zawiesili u obrazu Matki Boskiéj, a wszystko ino dlatego, żeby im Pan Bóg dał syna. Oj! dziwnie straszny z ciebie człowiek.

— No no, cicho moje dziecko, już wiész, że ja takiéj natury, co nie umiem *z ogródkami* mówić; ale jakbyś miarkowała, że ja co takiego wywodzę, co może być kumowi przeciwne, to *ino* pociągnij mnie za kapotę, a ja zaraz przemienię to na co innego, że kum się nie domiarkują.

— No, będę ja to widziała.

— No, zobaczysz, moje dziecko.

Zaledwie powyższa rozmowa prowadzona głosem znacznie przytłumionym ukończoną została, wszedł do izby Wojciech z garczkiem miodu, z flaszką wódki i innemi przyborami potrzebnemi do zrobienia krupniku czyli palonéj wódki z miodem.

Jestto przysmak nieczęsto przez włościan używany, gdyż szczególniéj po wsiach pańszczyznianych rzadko który ule posiada; zwykłym zaś wykwintniejszym napitkiem bywa wódka palona wraz z roztopioną słoniną, która nietylko przez zdrowych, ale i przez chorych w różnych wypadkach jest z wielką chęcią używana. Masło świeże, placek, kiełbasa, sér znowu przybyły na

stół, a gdy krzątanina około krupniku ukończoną została i napój czerwono brunatny kurząc się ponapełniał kieliszki i kubeczki, rozmowa znowu ożyła.

Z początku prowadzoną była o pszczołach, ulach, miodzie i innych podobnych rzeczach; bo wiele razy skłaniała się do przedmiotu więcéj drażliwego dla Wojciecha, zaraz Andrzejowa zręcznym zwrotem naprowadzała ją do czego innego. Lecz gdy krupnik zaczął cokolwiek działać i rozwiązywać język krępowany znaną dobrze i włościanom przyzwoitością obejścia się towarzyskiego, Wojciech przerywając rozwodzenie się Andrzejowéj nad sposobem prowadzenia gospodarstwa domowego, odezwał się:

— Moja kumo, wszystko mądrze mówicie, i dlatego że znacie, coto znaczy kobieta kiedy się nie leni do gospodarstwa, to nie powinniście się dziwić, że ja na Janka nie chcę przystać dla Baśki, ino szukam dla niéj jakiego człowieka ze statkiem.

— No, mój kumie — odezwał się Andrzéj, ale uczuwszy pociągnięcie przez żonę sukmany, kiwnął tylko głową, popił z kieliszka i umilkł.

— Cożeście chcieli powiedzieć? — zapytał Sierpień.

— Ej! nic, ino to — odpowiedział cokolwiek zaambarasowany Łaza, bo czuł ciągłe pociąganie kapoty — ino to, mój kumie.... że macie racyją.... coście powiedzieli.... tak.. — i kaszlem zakończył resztę odpowiedzi.

— No, to widzicie mój kumie, Janek nie ma nic ino ręce, i to dobre do skrzypków, ale nie do ciężkiéj roboty; a ja przecież dziecka swego nie mogę dawać na potyrkę po służbie, po dworach, po chłopach, bo-ta jeszcze żadne z naszéj familii w takiéj biedzie po świecie się nie walało. To zaś co z Boskiéj woli zostało po rodzicu i *zawdy* ino było Sierpniów oddawna dawien, to na *zawdy* musi Sierpniów pozostać.

— No, mój kumie — odezwał się Łaza nie czując szarpania kapoty — juścić nie ma-ta nic dla człowieka przyjemnego, kiedy widzi, że-ta tém, co bez całe życie zganiał i zganiał do kupy, krewniacy kiedyś będą się dzielić; ale kiedy wam Pan Bóg nie dał syna.... Andrzéj umilkł i aż zająknął się, tak go żona raptownie przestrzegła znakiem umówionym. Nie chcąc jednak dać poznać Wojciechowi, że miał coś takiego powiedzieć (polegając ślepo na zdaniu swojéj żony, szarpnięciem kapoty objawioném) co mówić nie wypadało, i chcąc zręcznie podług przyrzeczenia przejść do innego przedmiotu, mówił daléj jąkając się, i raz po raz łykając ślinę:

— No, mój kumie, kiedy wam Pan Bóg nie dał syna....kiedy już tak padło.... no, to widzicie macie bratanków....macie wnuka po Ziembach....

— O! to też ten mój wnuk, co mi pozostał po starszéj córce, a teraz się chowa u dziadka starego Ziemby—przerwał Wojciech podniesionym głosem, uderzając zlekka w stół pięścią, co zwykł zawsze robić, ile się razy rozgniewał— onto cały mój frasunek, nie bez niego, bo cóż-ta taki dzieciuch znaczy, ale bez starego Ziembę a jego dziadka. Oni myślą, że jak ino oczy zamknę, to się będą rozpierać w naszéj pracy; ale niedoczekanie wasze! Jeszcze za życia wszystko tak poszykuję, żeta i Ziemby głowa chociaż mądra, a niczemu nie poradzi.

Przez czas mowy Wojciecha Łaza z nosem spuszczonym na kwintę słuchał w milczeniu i mowy kuma i przytłumionego łajania żony; bo czuł biedaczysko, że mu się niby dyplomatyczny zwrot w rozmowie zupełnie nie udał.

— O! bajbuga, bajbuga—szeptała Andrzejowa—cota za język taki? Ja szarpię, ciągnę, a on swoje. Oj ty bajbugo!

— Cicho, moje dziecko, już teraz jak malowany będę siedział.

— No, mój kumie—odezwała się Andrzejowa—zostawcieta na późniéj takie rozgadki; gniéw zdrowia nie daje, a ....

— Gniewanie moja kumo swoją drogą, a co człek się wygada, to mu zawdy lżéj.....

— O! zapewne, zapewne, mój kumie—potwierdził Łaza serdecznie wzdychając, bo czuł jakto przykro milczéć, gdy smaczny krupnik ochoty do mówienia dodaje.

— Dlatego też moi kumowie—mówił daléj Wojciech—wszystko wam wypowiem, co już dawno u mnie siedzi w głowie, o czém i w dzień i w nocy zawdy ino myślę. Wiem przecie, że wy przychylni dla mnie, i jeżeli człowiekowi dobrze nie poradzicie, to go na zdradę pewnikiem nie wywiedziecie.

— O! mój kumie — odezwali się oboje Łazowie—alboto my nie swoi, alboto nie w jednéj familii, czy co? alboto Baśka nie nasza krześnica? O! Boże kochany!

— Bóg wam zapłać, moi kumowie za waszę poczciwość, za waszę dla mnie serdeczność; dlatego wszystko wam tak powiem *nikiéj* przed sobą, ino wypijcie po jednym jeszcze kubeczku. Nie zaszkodzi, bo to z miodem, a miód to wszystką tęgość wypija.

Po wzdraganiu się i wymawianiu, kubki na nowo napełnione zostały, i Wojciech zaczął mówić:

— Widzicie, moi kumowie, u nas w naszéj familii, to już taki obyczaj, że zawdy starszy syn zostaje na téj ojcowiznie. Dlaczego się to tak dzieje?— ja nie umiem wam dobrze tego przełożyć; ale skoro starsi tak postanowili, toć musi być tak dobrze, bo starzy ludzie *zawdy* lepszy rozum od nas mieli. Otóż ja se tak ułożyłem, ino niech to-ta przy was moi kumowie pozostanie, bo wy piérwsi co jestem dla was z taką szczérością; otóż ułożyłem se, że kiedy mi Bóg nie dał syna, nie dał mi téj pociechy, żebym widział swoję krew i swoje kości na téj ojcowiznie, wedle któréj już tyla lat pracuję, żeby obsadzić na mojém miejscu starszego chłopaka naszego brata, kumo. Żeby zaś nie skrzywdzić swoich dzieci, to jego część coby z ojcowizny na niego przypadła, i te szkapiny i krowiny co są naprzód Boskie, a potém moje, poszłyby na Baśkę i na dziecko, co zostało po młodéj Ziembinie, a on jakby se pojął kobiétę, toby za wiano żony pokupował do gospodarstwa coby wypadało, i tak wszystko ładnoby się ułożyło, a mnieby cały frasunek zeszedł z głowy.

— Mój kumie — odezwała się Andrzejowa, gdy poczciwy małżonek tylko wzdychając, bo nie śmiał w długiéj się rozwieść rozmowie, szeptał półgłosem urywane zdania — oj! frasunek, gorzkito chléb; ho ho! niejednemu dojadł dobrze.

— Mój kumie — mówiła Andrzejowa—wy macie lepszy rozum, to wiecie jak co zrobić. Niech-ta Pan Bóg we wszystkiém wam dopomaga.

— Ale cóż, moi kumowie— odezwał się znowu Wojciech — wszystkoby można zrobić i nie byłoby w niczém *subiekcyi*; ale stary Ziemba, co mu się zdaje, że nad niego już nie ma mądrzejszego człowieka... — i przy tych słowach Sierpień zmarszczył brwi i uderzył w stół pięścią—zwyczajnie jak światowiec, co się wcisnął do naszéj wsi, nikiéj wilk do owczarni, zmiarkował jakoś co ja myślę zrobić, i powiedział, że na to nie może pozwolić, boby to było z krzywdą jego wnuka, co mu się po mojéj córce a po jego niebószczyku synie został. I patrzcie moi kumowie— z coraz więcéj podnoszącym się gniéwem mówił daléj — czego u nas nigdy nie bywało, o czém się ludziom nawet nie śniło, on teraz swoim lisim rozumem chce do nas wprowadzić, i powiada, że jak po dobrowolności ojcowizny między córki nie rozdzielę, żeby połowa na

jego wnuka przypadła, to pójdzie do prawa i straci sto złotych, a na swojém pokaże.

— Mój kumie—odezwał się Łaza—cobyście zważać mieli na ludzkie *gadki*; człowiek słowo wymówi, ludzie dwa dołożą, ot i po próżnicy wadzą drugich między sobą.

— Oj! mój kumie, nie wymysłto ludzki, nie. Wy przykładacie każdego człeka do siebie, i zdaje się wam, że każdy do was podobny; ale ho! ho! Ziemba stary, to mądry ptaszek: jemu się chce naszéj ojcowizny, niby żeby wnuka w niéj obsadzić i potém zakasować Sierpniów. Ale-*ta* słaba jego głowa na to; choćby Sierpniowie z kijami po proszeniu chodzili, a Ziembowie Bóg wié jak się rozpierali, to *zawdy* inaczéj ludzie patrzéć będą na Sierpniów, a inaczéj na Ziembów. Ho ho! ludzie nie od dziś i nie od wczoraj nas znają.

— Co tam, mój kumie, macie zważać na takie rzeczy—odezwała się Andrzejowa—albo to co macie czy nie wasze, czy co? Czyż człek do swego nie ma miéć wolności, żeby *se* z tém tak poszykował, jak sobie w głowie ułoży? Co się tam frasujecie, niech *se* co chcą gadają, a wy swoje zrobicie i juścić.

— Dobrzeta moja kumo, ale widzicie, nie wszędy jest tak jak u nas, co córki idą za matką, a synowie za ojcem....

— Moi kochani, czy to może być? — ze zdziwieniem spytała Andrzejowa.

— Tak, tak moja kumo, dlatego też może mi stary Ziemba dużo stanąć na przeszkodzie; ale ja pójdę do tego szlachcica pana Józefa, co Janek u niego służy, bo to dobry szlachcic, chociaż—w tém miejscu Sierpień przypomniał sobie nazwanie swoich szkapin *koniętami*, gdy wracał wczoraj wieczorem z pola do domu, i mówiąc daléj założył rękę za pas i podniósł dumnie głowy do góry—chociaż mu zawdy wygląda w mowie szlachectwo, i poradzę się, Baśce w zapusty sprawię wesele, bo już se umyśliłem dla niéj chłopa. Co w domu się znajdzie, pójdzie dla niéj na wiano, a chłopaczynie co się po starszéj córce chowa u Ziemby już nic nie dam, nawet na owinięcie palca; niech się z dziadkiem swoim tém cieszy, co mu pozostało po ojcach, i co stary Ziemba już zagarnął na swoję rękę.

— A mój kumie—odezwał się przerywając Andrzéj—przecież to zawdy krew wasza i wszystko co wam po córce zostało, a.....—i urwał dalszą mowę, bo go żona za kapotę pociągnęła.

— Ale mój kumie, chociażta w nim bez pół jest *krwié* mojéj, ale to zawdy Ziemba nie Sierpień — odrzekł Wojciech podniesionym głosem, gdy stół jęknął pod uderzeniem pięści — a Sierpniowie nie na to bez lat tyla pracowali, żeby im Ziembowie mieli wléźć na kark i przyjść do gotowizny (1).

— Ale ja słyszałem mój kumie — odezwał się Łaza — że Baśka Janka dosyć nawidzi, i że.....

— Ej! bajbugo — przerwała Andrzejowa widząc pochmurzające się czoło Wojciecha — dajwa już pokój rozgadkom, późno, trzeba do dom powracać.

— Prawda, moja kumo — domówił Wojciech powstając — Baśki jeszcze nie widać, pewnikiem siedzi w karczmie, a może się ta wszystko dzieje nie po mojéj myśli. Walka nie widać, zaczekajcie moi kumowie, ja sam po Baśkę pójdę, żeby przecieć z wami się *pośratała*.

I to powiedziawszy, ujął Wojciech kij w rękę z którym zwykle obchodził pola albo szedł do kościoła, i wyruszył prosto ku karczmie. A w karczmie Janek wywija, pośpiewuje. Basi serduszko tylko puka od tańca i radości. Biédny chłopcze! biédna dziewojo! nic nie wiécie, jaka burza wisi nad waszemi głowami.

(1) Czyli do gotowego majątku, na który już nietrzeba pracować.

(Dalszy ciąg nastąpi).

INSTYTUT Śgo KAZIMIERZA

W WARSZAWIE,

OPISAŁ

Dr M. Jan Kulesza.

(Rzecz czytana na publiczném posiedzeniu Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, w d. 25 stycznia r. b.)

Właśnie z początkiem bieżącego roku upłynęły dwa wieki, jak sprowadzonemi zostały do Polski Siostry Miłosierdzia: i tyleż prawie czasu ubiegło od założenia instytutu św. Kazimierza. Jestto jedna z najpiérwszych i najdawniejszych instytucyj szpitalnych kraju naszego; jednakowo ten przedmiot mało jest wiadomy naszéj publiczności, owszem całkiem jest zaniedbany. Żadne pióro nie opisało go dotąd z taką dokładnością, jaka przynależy; Siostry Miłosierdzia zaledwo znane są z imienia i usługi swéj po szpitalach. Moim tu zamiarem jest skreślić historyą tego zakładu, oraz przedstawić pożytki, jakie zeń spływają na społeczność kraju naszego.

I.

Sprowadzenie Sióstr Miłosierdzia do Warszawy, i ich reguły.

Pod nazwą instytutu św. Kazimiérza znajduje się w Warszawie na Tamce dom generalny zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia. W nim jest szkoła duchowna czyli seminaryum, gdzie kształcą się i przysposabiają młode dziewice do przyszłego powołania; tu jest główny zarząd Sióstr Miłosierdzia, rozliczne usługi odbywa-

jących w kraju po szpitalach; tu nareszcie jest miejsce schronienia dla wysłużonych emerytek, które stargawszy siły na usługach przy chorych, a częstokroć utraciwszy i zdrowie, przychodzą resztę dni żywota tu przepędzić. Również tu jest zakład wychowania ubogich sierot płci żeńskiéj.

Ludwika Marya, żona dwóch królów polskich braci rodzonych, naprzód Władysława IV, a następnie Jana Kazimiérza, urodzona księżniczka Mantui Gonzaga, mieszkając przez długi czas w Paryżu, znała osobiście ojca Wincentego, przełożonego zgromadzenia missyi, późniéj kanonizowanego i świętego, oraz Ludwikę Le Gras fundatorkę Sióstr Miłosierdzia we Francyi; a bywając niejednokrotnie na słynnych podówczas schadzkach zgromadzenia dam Miłosierdzia, nabrała przekonania o wielkiéj ich użyteczności dla świata, pochodzącéj z prawdziwéj pobożności, tudzież głębokiéj pokory ducha. Sama téż pobożna, widząc się panią spraw swoich, powzięła myśl zaprowadzenia téj instytucyi do kraju naszego, jakoż w r. 1651 (1), sprowadziła z Francyi do Polski trzy Siostry Miłosierdzia reguły św. Wincentego a Paulo. Od tego czasu datuje się ich początek istnienia u nas.

Właśnie podczas przybycia do Polski Sióstr Miłosierdzia, panowało w kraju morowe powietrze: piérwszą zatém czynnością przybyłych było usługiwanie chorym zapowietrzonym, a opuszczonym od wszystkich.

Gdy zaraza ustała, Ludwika Marya umieściła je tymczasowo na Krakowskiém-Przedmieściu w jednym z domów w pobliżu kościoła św. Krzyża, gdzie obok starań około ubogich chorych, zatrudniały się nauką ubogich sierot płci żeńskiéj.

We dwa lata późniéj, z powodu wkroczenia Szwedów do Polski, Ludwika Marya zmuszona będąc opuścić Warszawę, wzięła téż ze sobą i Siostry Miłosierdzia, które przy toczącym się podówczas boju, trudniły się opatrywaniem rannych żołnierzy. Po wyparciu nieprzyjaciela powróciwszy wraz z królową do Warszawy, umieszczone były w jednym z dawniejszych pawilonów pałacu Kazimiérowskiego; gdzie, jak poprzednio, trudniły się nauką dziewcząt ubogich, a obok tego miały staranie o chorych.

(1) Podług akt w klasztorze XX. Missyonarzy znajdujących się. W opisaniu życia Ludwiki Le Gras przez ks. Lubienieckiego, rok 1652 sprowadzenia Sióstr Miłosierdzia do Polski mylnie jest podany; albowiem przy końcu roku 1651, Siostry Miłosierdzia już znajdowały się w Warszawie.

Następnie Ludwika Marya idąc za skłonnością swego serca czynienia zawsze dobrze, pragnęła przyjść jeszcze bardziéj w pomoc ubogim dziewczętom, którymby rodzice przez zawczesną śmierć, ubóstwo lub niedostatek, żadnego wychowania dać nie mogli; chciała, aby Siostry Miłosierdzia macierzyńską nad niemi opiekę rozciągały.

Na ten cel kupiła w r. 1659 za własne pieniądze folwark Kałęczyn pod Warszawą, nad Wisłą, przy Solcu leżący. Na jednym z jego placów nazwanym Glinki, zabudowania drewniane wystawić kazała, i w tych Siostry Miłosierdzia stale umieściła. Tym sposobem szpital, a razem instytut Sióstr Miłosierdzia pod nazwiskiem św. Kazimierza ufundowała (1).

Aby zaś to dzieło trwałém na wieczne czasy uczynić, dobrotliwa królowa oprócz gruntów do folwarku wspomnionego należących, kupiła jeszcze ze swéj szczodrobliwości, za własne także pieniądze dobra Pęchery, o mil trzy od Warszawy, a jednę milę od miasta Piaseczna odległe, z przyległościami: Runów, Bogatki, Grochów, Wólka i częścią w Jazgarzewie; tudzież przeznaczyła summę złp. 30,000, na kupno przyległego folwarku Łbisku.

Nadając te dobra Siostrom Miłosierdzia na dziedzictwo wiecznemi czasy, oddała zarazem ich pieczy i staraniu ubogie dziewczęta; mieć chcąc, aby w miarę osiąganych dochodów, utrzymywały odpowiednią liczbę takich sierot, a przez macierzyńską nad niemi opiekę, wpajały w nie to wszystko, co im przynieść może dobro, nietylko pod względem ciała, ale i duszy.

Dla postawienia zaś w możności Siostry Miłosierdzia aby mogły jak najprędzéj doprowadzić do skutku zamiary królewskie, w następnym roku sprowadziła z Francyi drugie trzy Siostry Miłosierdzia do pomocy piérwszym, jak to okazuje list św. Wincentego a Paulo z dnia 16 września, 1660 roku (2).

(1) *Approbacia*, tojest zatwierdzenie téj fundacyi, zastrzeżoną została konstytucyą r. 1662 na sejmie przez stany rzeczypospolitéj i króla.

(2) „Wincenty a Paulo przełożony generalny zgromadzenia missyi i dyrektor zgromadzenia Panien Miłosierdzia sług ubogich, założonego w Paryżu. Kochanym naszym córkom w Chrystusie: Barbarze Bailli, Katarzynie Baucher i Katarzynie Göny, wspomnionego zgromadzenia Pannom Miłosierdzia, pozdrowienie w Panu.

Gdy od kilku lat z rozkazu i szczodrobliwości Najjaśniejszéj królowéj polskiéj, stosownie do życzenia J. W. i najprzewielebniejszego biskupa poznańskiego, rzeczone zgromadzenie Panien Miłosierdzia, w mieście Warszawie, dla posługi ubogich chorych, zaprowadzone zostało; i taż sama Najja-

Ufundowane tym sposobem Siostry Miłosierdzia utrzymywały początkowo sierot ubogich 15, i mieściły się w powyższych zabudowaniach drewnianych. Dopiéro w r. 1699, korzystając ze szczodrobliwości ówczesnych, a mianowicie: arcybiskupa gnieźnieńskiego, biskupa poznańskiego, i wizytatora księży Missyonarzy (1), jak równie z uzbieranych przez same Siostry Miłosierdzia jałmużn i oszczędności, wymurowany został gmach czworoboczny z kaplicą, ten sam właśnie, w którym do dziś dnia mieści się instytut Sióstr Miłosierdzia św. Kazimiérza.

Pierwotnie Siostry Miłosierdzia zatrudniały się w instytucie św. Kazimiérza wychowywaniem ubogich dziewcząt. Obok tego dopełniały posług wszelkiego rodzaju przy chorych, we wszystkich takich miejscach, gdzie zachodziła potrzeba ich obecności. W tym zamiarze chodziły po przedmieściach i miejscach opuszczonych, wyszukiwały chorych ubogich, doglądały ich, puszczały

śniejsza Pani, chcąc je pomnożyć, trzy inne z tych panien od nas zażądała. My żądaniu i woli téj monarchini pragnąc zadosyć uczynić, was do wspomnionego miasta Warszawy posłaliśmy, i niniejszém posyłamy; ażebyście tam wspomnionej królowéj podlegały i według zwyczaju instytutu naszego, który się we Francyi zachowuje, żyły, pod zarządem i kierunkiem J. W. Gwillelma Derdames przełożonego kapłanów naszego zgromadzenia w Polsce już zostających, stosując się do woli JWW. przewielebnych JXX. biskupów. Przeto JWW. i Najprzewielebniejszych panów naszych, biskupów, officyałów, proboszczów, i wszystkich rządców kościołów, usilnie prosimy, ażeby wam przejeżdżającym przez miejsca ich władzy podległe, sakramenta przyjmować w Panu pozwalali: świadcząc niniejszem, iż wy nie podlegacie żadnym karom kościelnym; owszem, iż do przyjmowania tychże sakramentów św. należycie usposobione jesteście. Prosimy nadto wszystkich książąt, ich zastępców, rządców miast, naczelników wojsk, wodzów, urzędów, dozorców dróg i portów, aby wam bezpiecznie i wolno przejścia i powrotu przez swoje kraje pozwolić i pomoc swoję udzielić raczyli. Czego przy pomocy wielkiego miłosierdzia i łaski Boga spodziewając się, prosimy i błagamy dobroć Boską, aby was ocalić, i błogosławieństwy swojemi napełnić raczyła.

Co dla większéj wiary świadectwa własną ręką podpisane, przez sekretarza naszego zwyczajnego wygotować, i pieczęcią wspomnionego naszego zgromadzenia stwierdzić rozkazaliśmy. Dano w domu św. Łazarza przy Paryżu, (1660) Tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku Pańskiego, dnia zaś 16 (szesnastego) września. (Podpisano). Wincenty a Paulo niegodny przełożony generalny zgromadzenia Missyi (W. P.)

Z rozkazu wspomnionego JX. przełożony generalny (podpisano): Tomasz Berthe."

(1) Był nim hrabia Tarło, pan zamożny.

krew, rozdawały żywność i lekarstwa. Nadto, miały u siebie odosobniony budynek, także z rozkazu królowéj wystawiony, do którego zbierały ubogich chorych, znajdywanych na ulicach i po drogach publicznych; dawały przytułek biedakom przybywającym do miasta, a niemającym schronienia. Miały téż u siebie własną aptekę i *laboratoryum*, w których same przyrządzały lekarstwa.

Ale w miarę jak instytucye szpitalne przeznaczone do leczenia chorych, szczodrobliwością możnych i bogobojnych panów polskich rozmnażać się i wzrastać po kraju zaczęły, a fundatorowie pragnęli, aby zakłady takowe pod wyłącznym zarządem i opieką Sióstr Miłosierdzia zostawały; gdy z tego powodu niedostatek Sióstr Miłosierdzia coraz silniéj uczuwać się dawał: natenczas instytut św. Kazimierza urządził u siebie *nowicyat* i *seminaryum* dla kształcenia panienek, pragnących poświęcić się ludzkości, na Siostry Miłosierdzia.

Tym sposobem instytut był w możności zadosyć uczynienia licznym żądaniom. Jakoż z postępem czasu doszło do tego, że w r. 1794 Siostry Miłosierdzia utrzymywały w kraju polskim, dawnemi granicami objętym, szpitali 34.

Szpitale te przez Siostry Miłosierdzia dozorowane, zostawały wyłącznie pod opieką i zarządem naczelnie przełożonéj czyli wizytatorki całego zgromadzenia, tak pod względem religijno-moralnym, jako téż administracyjnym czyli funduszowym. W tym celu wizytatorka zwiedzała peryodycznie szpitale, i w miarę potrzeby Siostry do nich wysyłała: nawzajem przełożone specyalnych szpitali, tudzież Siostry na funduszach będące, odnosiły się do niéj we wszystkich swych potrzebach i interesach.

Lecz od roku 1842, tojest od czasu zaprowadzenia Najwyżéj zatwierdzonéj ustawy o zakładach dobroczynnych w Królestwie, obowiązki Siostr Miłosierdzia, tudzież przełożonéj ich wizytatorki nieco się odmieniły. Teraz każdy szpital ma swoję Radę Szczegółową Opiekuńczą, złożoną z członków przez rząd mianowanych, do któréj składu należy także i przełożona każdego szpitala. Ta Rada zarządza szpitalem i jego funduszami pod zwierzchnictwem Rady Głównéj przy Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych; Siostry zaś Miłosierdzia mają tylko starania o chorych i trudnią się wewnętrznem gospodarstwem pod zwierzchnictwem Rady Szczegółowéj.

Do wizytatorki głównie teraz należy przyjmowanie i usposabianie kandydatek do zgromadzenia, rozsyłanie Sióstr do szpi-

tali w miarę potrzeby, oraz czuwanie nad ich postępowaniem, czyli krócéj mówiąc, część religijno-moralna, bez wdawania się w zarząd administracyjny.

Tym sposobem w obecném położeniu Siostry Miłosierdzia w obrębie teraźniejszego Królestwa Polskiego, trudnią się dozorem i pielęgnowaniem chorych w 17 szpitalach, oprócz głównego domu św. Kazimierza; a mianowicie:

W Warszawie: 1) u Dzieciątka Jezus; 2) u św. Ducha czyli Marcinkanek; 3) u św. Rocha; 4) w Towarzystwie Dobroczynności; 5) w Instytucie Oftalmicznym.

Po guberniach: 6) w Lublinie; 7) w Szczebrzeszynie; 8) w Radzyniu; 9) w Biały; 10) w Mieni; 11) w Janowie; 12) w Pułtusku; 13) w Płocku; 14) w Sandomierzu; 15) w Kurozwękach; 16) w Wilanowie; 17) w Krakowie. Oprócz tego są jeszcze 3 Siostry w Poznaniu, ale od dalszego tam przesyłania Sióstr wymówił się instytut św. Kazimierza, z powodu trudności w przebywaniu granicy.

Liczba Sióstr Miłosierdzia na każdym z pojedynczych funduszów, wynosi najmniéj 3, a najwięcéj 25.

Ogólna zaś liczba Sióstr Miłosierdzia z całego kraju jest obecnie osób 200, licząc w to i 40 ciągle w instytucie św. Kazimierza zamieszkujących.

Główny zarząd Sióstr Miłosierdzia w instytucie św. Kazimierza składa się: z naczelnie przełożonéj czyli generalnéj wizytatorki na cały kraj polski, tudzież assystentki, którą sama sobie do pomocy przybiero. Inne urzędy w instytucie są: 1) dyrektorki seminaryum; 2) officyałki czyli siostry do szczególnych poruczeń, mającéj prawo wglądać w sprawowanie urzędów przez inne Siostry; 3) sekretarki; 4) ekonomki. Dalsze obowiązki sprawują starsze wiekiem Siostry z zgromadzenia, jako mistrzyni, infirmerki, i t. p.

Na kandydatki Sióstr Miłosierdzia, przyjmują się tylko dziewice z domu rodzicielskiego, które żadnych jeszcze ślubów nie czyniły; zatém nie wdowy i nie rozwódki, i nie starsze nad 25 lat wieku. Siéroty w domu instytutu wychowane, nie mogą być kandydatkami. Panienka życząca wejść do zgromadzenia, powinna usprawiedliwić przedewszystkiém prowadzenie się swoje moralne i bogobojne; poczém przyjmowaną bywa przez wizytatorkę na próbę, ztąd zaraz otrzymuje nazwę próbantki; nosi jeszcze ubiór świecki swój własny, na głowę tylko dają jéj ubranie

Sióstr Miłosierdzia. Próba trwa zwykle od 6 do 9 miesięcy. W tym czasie używaną bywa do rozmaitych posług Siostrom Miłosierdzia właściwych, pod kierunkiem dyrektorki seminaryum; przyzwyczaja się do życia w ubóstwie, w pokorze, prostocie obyczajów i pracowitości. Po upływie czasu, jeżeli nie sprzykrzy sobie takiego sposobu życia, owszem okaże się być stałą w przedsięwzięciu, a postępowanie, jako też zdolności uznane będą za odpowiednie stanowi i powołaniu Sióstr Miłosierdzia, przywdziewa ubiór zgromadzenia, i zostaje seminarzystką. W tym stanie pod dozorem zawsze i przewodnictwem matki seminaryum, kształci się daléj religijnie-obyczajowo, przysposabia do obowiązków Sióstr Miłosierdzia, co trwa razem z próbą najwięcéj lat 5. Po upływie tego czasu, jeżeli w postępowaniu jéj nic takiego dostrzeżoném nie będzie, coby powołaniu Sióstr Miłosierdzia było przeciwném, natenczas wykonywa zwyczajne proste śluby, i nazywa się wotystka.

Ale jeżeli w tym przeciągu czasu okazałaby się być nieusposobioną do podobnego rodzaju życia, albo też spróbowawszy go sama oświadczy, że nie jest zdolną, lub nie ma ducha powołania: w obu razach zostaje natychmiast uwolnioną i wychodzi na świat.

Tak seminarzystki jako też wotystki bywają przeznaczane do szpitali na usługi około chorych. W każdym atoli czasie, skoro wizytatorka uzna potrzebę, mogą być napowrót ściągnięte do instytutu św. Kazimiérza, lub w inne miejsce posłane, a nawet mogą zupełnie być uwolnione ze zgromadzenia, jeżeliby same tego życzyły, lub gdyby w postępowaniu swojém dopuściły się czynu przeciwnego ustawom zgromadzenia.

Zgromadzenie więc Sióstr Miłosierdzia nie jest zakonném, jak inne klauzurowe zakony płci żeńskiéj, ale tylko zgromadzeniem religijno-duchownem. Tém samém Siostry nie są zakonnicami, bo nie czynią ślubów dozgonnych, ale wykonywają proste śluby nieograniczone co do czasu; dlatego też w każdym czasie mogą być od nich wolne. Od nowo przyjmowanych panien do zgromadzenia nie wymaga się posagu; tylko jeżeli są w możności, składają małą kwotę na sprawienie dla siebie samych piérwszego ubioru.

Zpomiędzy Sióstr Miłosierdzia, wizytatorka wybiera przełożone nad innemi Siostrami, zostającemi przy specyalnych szpitalach. W razie śmierci wizytatorki, starsze Siostry w instytucie św. Kazimiérza, wybierają znowu zpomiędzy siebie następczynią,

Biblioteka Śląska

która po zatwierdzeniu jéj wyboru przez wizytatora księży Missyonarzy, wchodzi w obowiązki naczelnie przełożonéj zgromadzenia. Gdyż, lubo wizytatorka jest naczelnie przełożoną Siostr Miłosierdzia na cały kraj polski, wszakże zostaje ona z całém swém zgromadzeniem we względzie religijno-moralnym pod dyrekcyą wizytatora ks. Missyonarzy. Obowiązki bowiem stanu i powołania Sióstr Miłosierdzia nietylko wymagają wielkiéj ofiary i poświęcenia się dla ratunku wielolicznéj nędzy ludzkiéj; ale nadto są trudne, z wielu przykrościami połączone, a niekiedy odrażliwe; aby więc Siostry godnie je dopełniać mogły, muszą mieć do tego pobudki daleko wyższe, bo pobudki Boskie, w wysokim stopniu cnoty chrześciańskie. Albowiem żadne widoki światowe, ani też pobudki ludzkie nie byłyby dostatecznemi do tak wielkiéj ofiary. Potrzebują zatém nieustannéj pomocy, ciągłego wspierania i ożywiania ducha ich powołania, przez obszerne uczczenie gruntownéj chrześciańskiéj pobożności. Dlatego św. Wincenty a Paulo założyciel Sióstr Miłosierdzia, tudzież księży Missyonarzy, w ustawach swoich poddał je pod dyrekcyą wizytatora tych ostatnich. Wizytator ze swéj strony przeznacza kapłana z nazwą dyrektora duchownego Sióstr Miłosierdzia. Do niego więc udają się Siostry po radę w potrzebach sumienia swojego, jest ich spowiednikiem, odbywa z Siostrami corocznie przed Wielkanocą rekollekcye ośmiodniowe, i w tych miewa nauki. Odbywa też i konferencye, za pomocą których Siostry utwierdzają się w duchu powołania swojego, i tém mocniéj pobudzane są do gorliwego poświęcenia się z miłości Jezusa Chrystusa na Jego usługę, w Jego członkach: ubogich chorych i sierotach.

W inne tamże czasy miewa nauki i mowy duchowne, zastosowane do obowiązków i powinności chrześciańskich. Na takowe konferencye zgromadzają się Siostry do instytutu św. Kazimierza ze wszystkich szpitali warszawskich. Jedném słowem: we wszystkich czynnościach zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia, o ile odnoszą się one do ustaw pod względem moralnym i religijnym zgromadzenie obowiązujących, dyrektor duchowny pomocnym jest wizytatorce i całemu zgromadzeniu; a na prowincyi przy każdym szpitalu jest kapelan wypełniający podobne obowiązki, jak dyrektor duchowny przy instytucie św. Kazimierza.

Z powodu tego poddania Sióstr Miłosierdzia pod zarząd duchowny wizytatora księży Missyonarzy, kapłani tego zgromadzenia wykonywają wszelkie obrządki religijne w instytucie św.

Kazimierza, mianowicie: przez cały rok codzień o godzinie 7mej rano odprawiają mszą zwyczajną w kaplicy instytutowéj, w dni zaś świąteczne i w każdą niedzielę, lub kiedy Siostry przyjmują świętą kommunią, po dwie mszy. We święta i niedzielę celebrują na wielkiéj mszy zwanéj summą i na nieszporach, tudzież miewają kazania.

Gdy która z Sióstr Miłosierdzia zakończy życie, zwłoki jéj wyprowadzają do kościoła Śgo Krzyża, odprawiają nabożeństwo żałobne, i chowają w grobach dolnego kościoła swojego, gdzie Siostry Miłosierdzia mają swoje osobne groby.

Zresztą, księża Missyonarze odprawiają nabożeństwa za fundatorów i dobroczyńców instytutu św. Kazimierza.

II.

Wychowanie sierot.

Drugiém równie świętém zadaniem Sióstr Miłosierdzia w instytucie Sgo Kazimierza, jest trudnienie się wychowaniem ubogich sierot płci żeńskiéj, które albo rodziców zawczasu utraciły, albo też mają tak ubogich, że ci zaledwie siebie samych wyżywić mogą.

Siostry Miłosierdzia winne są wykształcać je w taki sposób, aby po wyjściu z instytutu ugruntowane będąc w religii i moralności, utrzymać się mogły z pracy rąk własnych: a tém samém przestały być ciężarem dla siebie samych i społeczności.

Przedtém Siostry Miłosierdzia trudniły się same przyjmowaniem sierot do instytutu śgo Kazimierza, dlatego liczba ich ograniczoną nie była. Skoro tylko widziały biedne dziewczęta na litość zasługujące, przyjmowały je bezwzględnie do instytutu, nie zważając czy jest miejsce lub nie, i czy mają fundusze na ich utrzymanie.

Tym sposobem ilość sierot przewyższała najczęściéj możność ich utrzymania. Atoli Siostry Miłosierdzia nie zrażały się tą okolicznością, nie odmawiały biednym schronienia, rachując na Opatrzność Boską, która przez zamożnych dobroczyńców, wspaniałemi jałmużnami instytut zaopatrywała; bywało więc w instytucie po 180 i 200 sierot na raz. Ale gdy w roku 1842 ustanowioną została dla instytutu śgo Kazimierza Rada Szczegółowa Opiekuń-

cza, składająca się z osób przez rząd mianowanych, (1) i obowiązki swe pełniących bezpłatnie, do składu której należą też wizytatorka, i dyrektor duchowny Siostr Miłosierdzia, odmieniła się postać rzeczy. Rada bowiem szczegółowa przekonawszy się, że dochody instytutu równie jak i miejscowość nie dozwalają utrzymywać z należytym dla samychże sierot pożytkiem i wygodą tak znakomitéj liczby dzieci, ograniczyła ją do 120. z których 100 ma być utrzymywanych na koszcie instytutu, a 20 na prywatnym za opłatą roczną po rs. 45. Jakoż to postanowienie swe wprowadzając w wykonanie, bezwłocznie zawiesiła przyjmowanie nowych sierot dopóty, póki nie przyszło do liczby oznaczonéj.

Na przyszłość zaś następujące stałe zasady do przyjmowania dzieci przyjęła:

Rodzice lub opiekunowie ubogiéj dziewczyny albo sieroty, pragnący umieścić ją w instytucie św. Kazimierza, winni złożyć: 1) Prośbę do Rady Szczegółowéj Opiekuńczéj na prostym papierze, wyjaśniającą powody i stan, dla których żądają pomieszczenia sieroty w instytucie; 2) akt urodzenia téjże; 3) akt ślubny rodziców, lub inny dowód małżeństwa; 4) akt zejścia rodziców, lub świadectwo ubóstwa żyjących, wydane przez dwóch wiarogodnych obywateli i przez władzę miejscową poświadczone; 5) świadectwo lekarskie szczepionéj lub odbytéj naturalnéj ospy.

Nadto wymagane jest: aby sierota była prawego małżeństwa, religii chrześciańskiéj, nie młodsza nad 9, a nie starsza nad 12 lat wieku; aby pod względem obecnego stanu zdrowia, nie

(1) Rada Szczegółowa Opiekuńcza składa się z następujących osób: *Opiekun prezydujący*: szambelan dworu Jego Cesarsko-Królewskiéj Mości, rzeczywisty radca stanu i kawaler Alexander Kruzenstern dyrektor kancellaryi dyplomatycznéj przy JO. Księciu Namiestniku.

Członkowie: Tekla Żukowska przełożona instytutu, wizytatorka generalna Sióstr Miłosierdzia; JX. Łaszcz, missyonarz, dyrektor duchowny zgromadzenia Sióstr Miłosierdzia; referendarz stanu i kawaler Walenty Solnicki były naczelnik rachunkowości w Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych, emeryt; radca dworu i kawaler Jan Kulesza doktor medycyny, lekarz instytutu; Ludwik Natmski obywatel miasta Warszawy; Faustyn Chmieliński kommissarz ekonomiczny w Kommissyi Rządowéj Przychodów i Skarbu; Jan Wróblewski rachmistrz Kommissyi Rządowéj Spraw Wewnętrznych i Duchownych; Julian Nowosielski adjunkt Dyrekcyi Głównéj Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego; Wincenty Szamowski, kommissarz ekonomiczny Kommissyi Rządowéj Przychodów i Skarbu; Dominik Zielński patron; Ignacy Essmanowski technik.

zachodziła żadna przeszkoda, mianowicie, aby ułomną nie była, ani skrofuliczną w wysokim stopniu; aby nie miała szkorbutu, kołtuna, wrzodów po ciele i liszajów, świerzby ani wyrzutów zaraźliwych na głowie, aby oczy zdrowe miała, zdolne do wykonywania robót ręcznych. O tém wszystkiém lekarz instytutowy naocznie przekonywa się i poświadcza.

Takie dowody Rada Szczegółowa na posiedzeniach swych kollegialnie rozbiera, i jeżeli jest miejsce opróżnione, natychmiast przyjmuje sierotę do instytutu. Jeżeli zaś nie ma wakansu, zapisuje na listę kandydatek, na co w odpowiedzi udziela się dowód piśmienny rodzicom lub opiekunom.

W razie odkrycia się wakansu przegląda się lista kandydatek, których nigdy mniéj nie ma jak 30, oprócz znacznéj liczby nowo starających się, które na każdéj sessyi zalegają przedsionki instytutu.

W przyjęciu daje się pierwszeństwo sierotom niemającym obojga rodziców, ani krewnych takich, którzyby je utrzymać mogli; po nich wyszukują się najbiedniejsze, którym nędza i ubóstwo doskwiera.

Dziewczęta na koszcie prywatnym będące, za których rodzice, opiekunowie, albo łaskawi dobroczyńcy płacić obowiązują się, przyjmowane są podług tychże samych zasad, mianowicie: co do religii, wieku, prawości i zdrowia. Liczba tych nigdy nie bywa wyższą nad oznaczoną, dlatego przyjmują się natychmiast po zgłoszeniu się, bez zapisywania ich na listę kandydatek.

Największa liczba sierot za opłatą w instytucie jest na koszcie JO. Księcia Namiestnika, który ze swéj szczodrobliwości wspierając nędzę, utrzymuje ciągle na swój rachunek kilkanaście takich sierot. Obecnie znajduje się na koszcie dostojnego Księcia 6 dziewcząt, z których 3 są religii prawosławnéj.

Opłata roczna wynosi od każdéj po rs. 45, którato kwota jednorazowie, albo też w ratach półrocznych wnoszoną bywa.

Sieroty na koszt instytutu przyjęte, jako też za opłatą utrzymywane, zostają ciągle pod dozorem mistrzyni, oraz kilku Siostr innych do pomocy jéj dodanych. Siostry te czuwają od rana do nocy, a nawet i w nocy nad postępowaniem swych wychowanek. Będąc zarazem ich dozorczyniami i nauczycielkami, pilnują dziennego porządku, nauki i robót, prostują uchybienia sierot, upominają, przestrzegają, a za ważniejsze przewinienia pokutę naznaczają. Słowem, dozór i macierzyńskie pielęgnowanie sierot,

utrzymywane jest nieustannie i troskliwie przez Siostry Miłosierdzia, do tego stopnia, że sieroty w instytucie prawdziwie znajdują w nich utracone lub nieobecne, ale ciągle zajęte z pieczołowitością o ich dobro matki.

Łóżka i pościel są jednakowe, podobnie i ubiory tak co do koloru, kroju, jako i materyi; tylko inne w lecie, a inne cieplejsze na zimę.

Dla słabych urządzona jest infirmerya pod dozorem Siostry infirmerki. Lekarz instytutowy trudni się leczeniem chorych, a infirmerka wykonywa jego polecenia, dogląda chore, przysposabia lekarstwa w apteczce instytutowéj, takowe rozdaje, i przestrzega, aby regularnie używanemi były.

Żadnéj dziewczynie zdrowéj niewolno jest odwiedzać infirmeryi, chyba za pozwoleniem mistrzyni. Jakoż infirmerka pilnuje troskliwie, by dzieci zdrowe nie kommunikowały się z choremi, co i mistrzyni ze swéj strony przestrzega.

W potrzebie użycia świeżego powietrza, chorowite sieroty wysyłane bywają latem na wieś do dóbr instytutowych Pęchery, gdzie także zostają pod okiem Sióstr Miłosierdzia, aż do przywrócenia im zdrowia. W czasie letnim i pogodnym, sieroty przepędzają co dzień pewne godziny na wolném powietrzu, na placu instytutowym osadzonym cienistemi drzewami, tam biegają i bawią się pod okiem Sióstr Miłosierdzia. W słotny i zimny czas mają podobne rozrywki w sali naukowéj lub na korytarzach domu instytutowego. Oprócz tego, w ciągu roku cztery dni w porze letniéj wolne miewają zupełnie od nauki i pracy, w których pod dozorem Sióstr Miłosierdzia, wychodzą rano z instytutu na rozrywkę. Zwykle udają się na folwark Sto-Krzyzki w obrębie jeszcze miasta leżący, ale już na otwartém polu pod rogatkami. Tam w ogrodzie osadzonym wielkiemi drzewami bawią się przez dzień cały, biegają, a nawet między sobą tańczą. Żywność zamówioną otrzymują na miejscu, i przed wieczorem wracają do domu.

Co do nauk: samo już przeznaczenie pierwiastkowe instytutu wskazuje, aby sieroty przedewszystkiém chowane były w bojaźni Bożéj, i miały sobie wpajane cnoty chrześciańskie; a potém, by uczono ich rozmaitych robót, dalsze im życie zapewnić mogących.

Siostry Miłosierdzia stosują się w téj mierze ze wszelką ścisłością do reguł przepisanych im przez św. Wincentego, a które Najjaśniejsza ich fundatorka szczególniéj zastrzegła; dokładają téż najusilniejszych starań i pracy, aby godnie tym obo-

wiązkom uczynić zadosyć. Uczą więc sieroty przedewszystkiém nauki religii, obyczajów i moralności chrześciańskich, wykładają zasady ku temu potrzebne nietylko razem wszystkim, ale i każdéj zosobna. Nadto jeden z kapłanów księży Missyonarzy, udziela im dwa razy na dzień naukę religii: kierunek zaś jéj ma dyrektor duchowny zgromadzenia, który oprócz czuwania nad wykładem, sam udziela takową i silną jest pomocą do jéj gruntownego wpajania w młode sieroty.

Przed przyjściem do instytutu, sieroty bywają po większéj części zupełnie zaniedbane w religii i moralności, a nawet zepsute, brzydkie wady i nałogi mające, do czego się przyczynia niedbałość rodziców lub opiekunów, zwykle z nędzy wypływająca. Tych wykorzenienie, a tém samém wzbudzenie poprawy, wiele pracy i trudów wymaga (1).

Prócz nauki religii teoretycznéj, sieroty wykonywają praktycznie obowiązki chrześciańskie, jakoto: każdego dnia rano mówią paciérz, odmawiają modlitwy poranne i inne za fundatorów i dobrodziejów. O godzinie 7^moj słuchają mszy świętéj w kaplicy instytutowéj, w czasie któréj śpiewają nabożne pieśni. W ciągu dni miewają czytane, lub jedne dla drugich czytają, ustępy z ksiąg dla nich stosowne; przed obiadem i wieczerzą, jak również i po tych odmawiają krótkie dziękczynne modlitwy, a przed udaniem się na spoczynek nocny, odmawiają także modlitwy wieczorne.

W czasie świąt i uroczystości kościelnych znajdują się na nabożeństwach w kaplicy odprawianych. Daléj uczą się czytać, pisać i arytmetyki początkowéj, lecz o tyle tylko, o ile te nauki mogą być dla nich pomocnemi w dalszém życiu. Celują przedewszystkiém w rachunkach praktycznych na pamięć, tak potrzebnych w życiu ich codziennem.

(1) Nie idzie za tém, aby to był instytut dla moralnie zaniedbanych dziewcząt, jak o tém wspomniał p. Natanson w Tygodniku Lekarskim; z powyższego bowiem przekonywamy się, że to jest zakład jedynie dla ubogich dziewcząt, a że pomiędzy niemi trafiają się i moralnie zaniedbane, nie jest to przecież dowodem, aby wyłącznie dla takich tylko instytut był przeznaczony, jak to się dziać powinno w instytucie moralnie zaniedbanych chłopców. Owszem do instytutu św. Kazimierza jedynie dlatego w 9 roku przyjmujemy dzieci na wychowanie, że te nie miały dosyć czasu jeszcze do zepsucia się.

Następnie uczą się szyć bielizny, haftować, znaczyć, robić szydełkiem, włóczką, pelami i perełkami, na materyach kosztownych złotem i srébrem. A zważając na dalsze ich przeznaczenie, używane są w instytucie odpowiednio ich wiekowi i siłom fizycznym do wszelkiego rodzaju usług: do prania bielizny i prasowania, do usługi przy stole i w kuchni, do utrzymywania w czystości i porządku naczyń stołowych, do słania łóżek i wszelkich innych gospodarczych robót, zapewnić mogących utrzymanie mieszkań w czystości i ochędóstwie.

Niektóre z nich odznaczają się pięknym głosem. Takie uczą się śpiewów religijnych, i w dni niedzielne i uroczyste wykonywają na głosy msze święte w kaplicy instytutowéj, tudzież hymny znakomitych nawet kompozytorów.

Co kwartał odbywają się examina wewnętrzne czyli prywatne, a co rok jeden publiczny w obecności delegowanych Okręgu Naukowego i członków Rady Szczegółowéj, a to w celu przekonania się o postępach, jakie w każdym roku wychowanki uczyniły.

Roboty ręczne doprowadzone są w instytucie do pewnéj doskonałości, i przynoszą téż materyalną korzyść; a że cena ich jest przystępna i umiarkowana, zamawiane bywają w znacznéj ilości, tak dalece, że instytut nie jest częstokroć w możności podejmować się ich wykonywania; szczególniéj téż szycie bielizny i hafty różnego rodzaju poszukiwane są. Należytość za nie stanowi nader potrzebny zasiłek dla instytutu.

Sieroty w instytucie wychowywane zostają w nim tylko do lat 16; poczém ubodzy rodzice, lub wiekiem obarczeni odbierają je, aby im wsparciem i pomocą były. I rzeczywiście, niejedna już wychowanka instytutu godnie usprawiedliwiła odebrane w nim dobrodziejstwa przez cnotliwe i pełne pracy życie, osładzające starość i biedę rodziców.

W braku rodziców, opiekunowie odbierają wychowanicę; albo téż trafiają się zamożniejsze małżeństwa rzemieślnicze bezdzietne, które w braku własnych dzieci biorą wychowanki z instytutu i przysposabiają za własne córki, a gdy się zdarzy stosowna partya, wyposażają i wydają za mąż.

Wszakże po największéj części zamożne domy Warszawy lub na prowincyi biorą wychowanki do usług swoich pokojowych, do szycia i haftu. Przełożona nad sierotami mistrzyni ugadza się w tym razie o płacę i utrzymanie, a nadto zobowiązuje biorącą, ażeby nietylko panią, ale razem stała się matką i opie-

kunką wychowanki, która wychodząc na świat potrzebuje straży i oka, aby nie zboczyła z drogi cnoty i poczciwości, a nadto aby była pobudzaną do wykonywania obowiązków chrześciańskich. W tym celu nawet mistrzyni wywiaduje się troskliwie o osobach pragnących wziąć wychowankę, czyli te są prowadzenia się moralnego i chrześciańskiego; a nigdy wychowanki nie oddaje do familij takich, gdzieby się mogła zgorszyć i zepsuć, lub gdzieby nielitościwie i tyrańsko była traktowaną.

W dzień poprzedzający wyjście sieroty z instytutu odbywa się spowiedź, dla uproszenia łaski, pomocy i opieki Wielkiego Boga, w tym nowym zawodzie. Wychodzące nareszcie są zaopatrywane kosztem instytutu w bieliznę, pościel i odzienie, tak, aby przynajmniej w pierwszém półroczu nie zbywało im na pierwszych potrzebach; potém powinny się utrzymywać z własnéj płacy.

Nawet i po wyjściu z instytutu, Siostry Miłosierdzia nie przestają troszczyć się o los i prowadzenie się dalsze swéj wychowanicy. Dowiadują się, o ile okoliczności pozwalają, jak im się dzieje, a niekiedy służbę odmienić starają się. Wprawdzie wiele wychowanek w późniejszym czasie wstydzi się przyznawać, że były kiedyś na koszcie sierockim, czyli raczéj na łaskawym chlebie dobrodziejów; ale dziś temu w części zapobieżoném będzie, gdyż ś. p. Józef Krzyżanowski były naczelnik w Kommissyi Spraw Wewnętrznych, emeryt, pomiędzy wielu legatami na cele dobroczynne, zapisał téż złp. 6,000 na instytut św. Kazimiérza, z tém zastrzeżeniem, aby procentem od téj summy wynagradzać corocznie takie wychowanki św. Kazimiérza, któreby w przyszłości po wyjściu z instytutu zasługiwały na to przez moralne, uczciwe i bogobojne prowadzenie się.

Oprócz tego, Siostry Miłosierdzia utrzymywały dawniéj w instytucie św. Kazimiérza pensyą wyższą płci żeńskiéj o 4ch klassach, którato założona r. 1693, zamkniętą została w r. 1824. Przyjmowano do niéj bezpłatnie panienki uboższe szlachetnéj familii, możniejsze zaś płaciły w miarę możności po 20 i 30 duk. rocznie. Liczba uczennic była od 30 do 35, z tych połowa bezpłatnych. Same Siostry Miłosierdzia udzielały nauki klassyczne; oprócz tego uczyły języków: francuzkiego i niemieckiego, robót, rysunków i muzyki. Ale gdy wiele uczennic zadłużało się instytutowi, pozostawiając Siostrom cały ciężar nietylko edukacyi i żywienia, ale nawet odziewania i zaopatrywania w rzeczy do

nauk potrzebnych; gdy z tego powodu instytut długi zaciągać musiał, a liczba ubogich dziewcząt na prostsze wychowanie z mniejszym kosztem dla instytutu coraz znaczniejszą stawać się zaczęła: natenczas Siostry Miłosierdzia zmuszone były zamknąć pensyą wyższą, co z wielkiém niezadowoleniem ówczasowego ministra oświecenia nastąpiło. Największą część panien na téj pensyi wykształconych oddawano na guwernantki do zamożniejszych domów polskich.

III.

Fundusze Instytutu.

Siostry Miłosierdzia w instytucie, równie jak i sieroty w nim będące, utrzymują się:

1. Z dochodów czerpanych z dóbr, na pierwiastkowe uposażenie instytutu przez Najjaśniejszą fundatorkę im nadanych.
2. Z procentów od kapitałów późniéj legowanych przez dobroczynne osoby dla instytutu.
3. Z czynszów gruntu dawniejszego folwarku Kałęczyn, na którym dziś liczne domy Warszawy zabudowane stoją.
4. Z należności za roboty ręczne, jakoto: szycie bielizny, hafty i t. p.
5. Z jałmużn i ofiar dobroczynnych, na rzecz instytutu składanych.

Wydatki roczne na ich utrzymanie wynoszą:

1.	Na żywność dla 40 Siostr Miłosierdzia, po kopiejek 12 dziennie	rub. sr.	1752
	Dla 120 sierot po kop. 4 dziennie	—	1752
2.	Na ubiór, bieliznę i pościel dla 40 Sióstr Miłosierdzia po kop. 18 dziennie, rocznie.	—	720
	Dla 120 sierot po kop. 6 dziennie	—	720
3.	Na lekarstwa dla Sióstr i sierot.	—	132
4.	Na zasługi i utrzymanie służących.	—	802
5.	Na drzewo i światło.	—	900
6.	Na mydło i inne szczegóły do prania bielizny	—	210
	do przeniesienia rub. sr.		7078

z przeniesienia rub. sr. 7078

7. Na potrzeby szkolne i materyały do robót potrzebne . . . . . rub. sr. 230
8. Na sprawunki i utrzymanie sprzętów . . . — 200
9. Na utrzymanie w dobrym stanie budowli. — 300
10. Na koszta podróży dla wizytatorki i utrzymanie dwóch koni. . . . . — 300
11. Na utrzymanie kaplicy. . . . . — 112
12. Na drobne potrzeby Sióstr Miłosierdzia . — 45
13. Na drobne potrzeby dla sierot . . . . . — 20
14. Na utrzymanie ogrodu. . . . . — 500
15. Na płacę pisarza i materyały kancellaryjne. — 158
16. Na wszelkie inne wydatki zwyczajne i nadzwyczajne. . . . . — 57

Łącznie. . . rub. sr. 9000

które rozdzielając pomiędzy Siostry Miłosierdzia i sieroty wedle ich potrzeb i stosunku, jaki rzeczywiście ma miejsce, wypada:

Na 40 Sióstr Miłosierdzia po rub. sr. 90 rocznie, rub. sr. 3600
Na 120 sierot. . . . . — 45 — — 5400

Łącznie jak wyżéj, rub. sr. 9000.

Na pokrycie tych wydatków instytut posiada dochody następujące:

1. Z dóbr Pęchery z przyległościami. . . . . rub. sr. 2600
2. Czynsze z placów w Warszawie. . . . . — 882
3. Z procentów od kapitałów. . . . . — 1184
4. Z ogrodu instytutowego . . . . . — 780
5. Z kwesty Wielko-tygodniowéj. . . . . — 500
6. Z opłaty za 20 sierot kosztem prywatnym utrzymywanych po rub. sr. 45. . . . . — 900
7. Za roboty ręczne, jakoto: hafty i szycie bielizny. . . . . — 1050
8. Z opłat przez wchodzące panny do zgromadzenia na piérwszy ich ubiór. . . . . — 50

Łącznie. . . rub. sr. 7946.

Porównanie.

Wydatki czynią . . . . . rub. sr. 9000
Dochody wynoszą . . . . . rub. sr. 7946

Brakuje zatém . . . . . rub. sr. 1054

które zapełniane są przez wpływy nadzwyczajne, jakoto z ofiar i darów osób dobroczynnych, przychodzących łaskawie w pomoc instytutowi.

IV.

Wiadomości lekarskie.

Lubo Siostry Miłosierdzia z powołania swego trudnią się usługą przy ubogich chorych, a tém samém udzielają im częstokroć piérwszéj pomocy lekarskiéj. opatrują ich, lub t. p. przysługi świadczą; wszakże wiadomości tych nabywają praktycznie od lekarzy, przy których dłuższy przeciąg czasu zostawały.

I w rzeczy saméj, Siostra Miłosierdzia, która po salach chorym usługiwała, następnie lat kilka przepędzała przy aptece szpitalnéj i składała recepty, taka po kilkunastu latach pobytu swojego w zgromadzeniu uzdatnioną jest tak dalece, że obcemu przybyłemu na salę, potrafi opowiedzieć z dokładnością o każdym chorym pod jéj okiem będącym, na co choruje, jaki był przebieg jego choroby, i jakich dotąd środków używano.

Oprócz tego, Siostry uczą się krew puszczać, bańki stawiać, i inne przysługi dla chorych wyświadczać. Ztémwszystkiém same nie są skore do leczenia chorych.

W głównym domu zgromadzenia, tojest w instytucie św. Kazimiérza, Siostry Miłosierdzia wraz z sierotami od najdawniejszych czasów zaszczycały się opieką znanych w Warszawie z imienia i reputacyi lekarzy. Ci z największą chęcią poświęcali swoje usługi dla tych osób, które same siebie na pożytek dla ludzkości przeznaczyły.

Jak tylko pamięć zasięgnąć może najstarszych Sióstr zgromadzenia, tojest od roku 1776, następujący lekarze udzielali swéj pomocy bezpłatnie instytutowi św. Kazimierza:

Doktorowie: Filipecki, Hirszfeld, Bergonzoni, Czekierski, Brandt; od r. 1831 do 1837 Cimerman, od tego zaś ostatniego roku do dziś dnia ja trudnię się i zajmuję leczeniem w pomienionym instytucie.

Przez lat 14 mego tam zawodu, ciężkie przechodziliśmy próby na dzieciach, jakich nigdy przedtém nie bywało. Wielkie epidemie nawiedzały nas; na 200 dzieciach w r. 1839, było chorych 540, na gorączki i zapalenia oczu: po kilka razy jedne i téż same dzieci powracały z recydywami. Epidemia gorączki trwała przez cztery miesiące: po 40 na jeden raz chorych przybywało. Zaledwie gorączka uspokoiła się, nastąpiło zapalenie oczu kataralne epidemiczne. Obie te choroby nie były groźne: dlatego żadna sierota nie umarła, i ani jedna nie utraciła wzroku, pomimo że u kilku z nich zapalenie oczu wyrodziło się w ziarniste (cum granulatione). W latach 1838 i 1841 ciężka panowała ospa; w tym ostatnim roku zmuszeni byliśmy wśród epidemii dla jéj przecięcia, wszystkim bez wyjątku zdrowym przyszczepiać ospę ochronną (vaccinam). W roku 1843 wkradły się pomiędzy dzieci zajady czyli owrzodzenia w kątkach ust (exulcerationes in angulis labiorum); 136 dziewcząt poddanych było podówczas specyalnéj kuracyi, i wszystkie wyleczone zostały. W następnych latach mieliśmy każdorocznie febry zimne, kaszle, odrę, różę, zapalenia oczu, gorączki i t. p. zwyczajnego przebiegu choroby; szkrofuły ważną tu grają rolę, cholery nigdy nie było w instytucie.

W ogóle przez lat 14 było chorych dzieci 2395, co czyni w przecięciu rocznie po 176. Koszta kuracyi w instytucie nieskończenie są małe; odtrąciwszy bowiem zioła lekarskie i botaniczne z własnego ogrodu pochodzące, nie licząc produkcyi, pracy, ognia, szkła i t. p. rzeczy, wypada $^1/_{10}$ część grosza na jednę chorę dziennie na lekarstwo.

Śmiertelność. Póki Siostry Miłosierdzia same przyjmowały do instytutu dziewczęta na wychowanie, póki żadnego nie czyniąc pomiędzy niemi wyboru brały częstokroć słabowite, a tém samém mniéj przydatne do robót i nauki; póty téż i choroby były częstsze, a śmiertelność większa. Ale od zaprowadzenia Rady Szczegółowéj, która przedewszystkiém uwagę swoję zwróciła na byt fizyczny zgłaszających się, widocznie polepszył się ogólny stan zdrowia instytutu. Zwykle dzieci ubogich rodziców zaniedbane bywają i skrofuliczne, a tém samém skłonniejsze do chorób niżeli

inne; lecz gdzie jest wyższa nad potrzebę liczba ubiegających się, tam łatwiejszy pomiędzy niemi wybór.

Oprócz tego, gdy ograniczoną została ilość sierot w instytucie, i przez to samo zapewniono już nieco wygodniejsze ich pomieszczenie, nadto pokarmy zawsze zdrowe, ochędóstwo, czystość, łaźnia i przynależny ruch ciała, sprawują, że teraz daleko mniejsza jest śmiertelność. Przedtém umierało na same suchoty kreskowe czyli żołądkowe (phthisis mesaraica) 5 do 6 dziewcząt rocznie; dziś zaledwo jedna w lat kilka na tę chorobę umrze. W ogólności śmiertelność pomiędzy dziećmi w instytucie teraz jest małoznaczną; np. w roku 1850, żadna siérota nam nie umarła, a w r. 1848 jedna tylko. W innych latach umierało po dwoje, troje i pięcioro. W ogóle przez lat 14 mojéj tam praktyki, umarło 36 dziewcząt, co na ogólną liczbę chorych 2395 wynosi jednę na 67.

Co do zdrowia Sióstr Miłosierdzia w zgromadzeniu zostających, te z obowiązków i trudów powołania swojego, nie podlegają żadnym wyłącznym chorobom. Życie bowiem pracowite i czynne, ciągłe zajęcie się, bezustanne ćwiczenie ducha i ciała, skromność w żądaniach bez namiętności, umiarkowanie w pokarmach, a tém bardziéj w napojach sprawują, że późnéj dochodzą starości. Wprawdzie narażone są one na rozmaite choroby zaraźliwe, o śmierć je niekiedy przyprawić mogące. Tak w latach 1654, 1660 i 1661, umarło kilkanaście Sióstr na morowe powietrze, kiedy służąc ubogim chorym zapowietrzonym, odwiedzały ich po chatkach. W latach 1837 i 1847, dwie Siostry dostały cholery za murami instytutowemi, z tych umarła ostatnia. Przed dwoma laty dwie Siostry Miłosierdzia dozorując chorych w szpitalu Dzieciątka Jezus w Warszawie, dostały zapalenia oczu egipskiego; jedna z nich utraciła wzrok zupełnie, a drugiéj pozostało jedno tylko oko.

Inne choroby zwykłe Sióstr Miłosierdzia, na które je leczyłem w instytucie, są: gorączki kataralne i tyfusy, febry zimne, zapalenia, wodne puchliny, i choroby piersiowe; nadto, obrzmienie kolana od klęczenia (hygroma patellare). Emerytki w instytucie chorują na upadek sił i niemoc z wieku pochodzącą, podlegają téż zatkaniom trzewów, a niekiedy hysteryi.

V.

Zakończenie.

Przy zakończeniu tego opisu winienem dodać:

Że przed zaprowadzeniem Sióstr Miłosierdzia do Polski, znajdował się już w Warszawie szpital miejski na Piwnéj ulicy.

Że w początkowych ośmiu latach przybyło tu 20 Sióstr Miłosierdzia francuzkich.

Że w roku 1658 założono seminaryum dla kształcenia Sióstr Miłosierdzia, Polek, na całą Polskę i Litwę.

Że od tego czasu po koniec roku 1851 wstąpiło:

Do nowicyatu panien	769
Wydaliło się z niego	210
Umarło Sióstr Miłosierdzia przez niespełna dwa wieki	359
Dziś pozostaje w zgromadzeniu Sióstr	188
i probantek	12
Razem	200.
Że Siostry Miłosierdzia utrzymywały pensyą wyższą przez lat	131
Wykształciły w niéj panienek szlacheckich	798
Przyjęły w ogóle wszystkich dotąd sierot na wychowanie do instytutu	6400
Z tych wychowały i oddały na służbę	5828
Od zaprowadzenia zaś Rady Szczegółowéj, a zatém pod jéj okiem wychowano i wypuszczono już dziewcząt	277
Umarło w piérwszém stuleciu na morowe powietrze i inne zaraźliwe choroby dzieci	312
W drugiém stuleciu	146
Razem	458.
Pozostaje w instytucie z końcem r. 1851 sierot	114.

Siostry Miłosierdzia wierne swemu powołaniu zawsze są ubogie: żadnéj z nich niewolno jest mieć swojéj własności. Takie wyrzeczenie się dobrowolne świata i jego ponęt, owszem pogarda wszystkiego tego, za czém ludzie zwykle uganiają się; spokojność duszy, zadowolenie i wytrwałość w obranym zawodzie,

na podziw i uwielbienie zasługują. Uczęszczając w rozmaitych porach dnia i różnych godzinach, znajdywałem zawsze w domu spokój największy, zgodę, jedność i wypogodzone oblicza. Trzeba widzieć tę cześć głęboką z serca pochodzącą dla ich przełożonéj, to posłuszeństwo dla niéj bez granic, skromną żywność, a jeszcze skromniejsze, ale czyste pomieszkanie; nareszcie te panny z lepszém wychowaniem, przychodzące poświęcić się ubóstwu dla ludzkości:—aby przejąć się dla nich głębokiém uszanowaniem. Bo i czegóż w zamian od ludzi i świata wymagają one za to? czego od nich potrzebują?—oto niczego! Żadnéj nagrody światowéj, ani żadnéj ludzkiéj wdzięczności!

Nikt też z większą oszczędnością ani mniejszym kosztem nie potrafi wychowywać sieroty, jak Siostry Miłosierdzia. 8 groszy dziennie na wyżywienie jednéj dziewczyny wyrachowane są, a i na to nie ma odpowiedniego funduszu: potrzeba aż łaski i miłosierdzia osób dobroczynnych. W zaprzeszłym roku z daru Jéj Cesarskiéj Wysokości W. Księżnéj Olgi Mikołajewnéj, dostaliśmy na ten cel 500 rs. jednorazowego zasiłku. W innych latach, kiedy tego nie ma, instytut doznaje przykrego niedostatku, gdyż potrzeby swoje i tak już ograniczone, jeszcze bardziéj uszczuplać jest obowiązany.

Nadto, gmach instytutowy zamały jest do pomieszczenia 120 sierot: a gdyby nawet i była odpowiednia ku temu miejscowość i fundusze dostateczne, toby jeszcze nie odpowiadał dzisiejszym wymaganiom, albowiem liczba ubiegających się teraz kandydatek tak jest znaczna, że pomieniony instytut powiększony być musi. Ważna ta okoliczność powinnaby zwrócić na siebie uwagę ludzi dbałych o dobro powszechne.

WSPOMNIENIA Z HISZPANII Z R. 1848.

WYJĄTEK Z PODRÓŻY

Tomasza Bartmańskiego.

Dnia 26 listopada 1844 roku, po dziewięcioletnim pobycie w różnych krajach na Wschodzie, w których oprócz prac inżynierskich i wypraw naukowych do źródeł Nilu, część znaczną czasu na podróżowaniu przepędziłem: wsiadłem na okręt w Konstantynopolu, i obok Mityleny na Smyrnę, powracałem do Francyi. Niebo włoskie zawsze pogodne i temperatura umiarkowana, sprzyjały naszéj podróży. Opuściwszy warowny zamek Dardanelle, przez sułtana Selima IIgo w 1570 roku wystawiony, stanowiący bramę z Czarnego do Śródziemnego morza, przebywamy tę drogę ciaśniną, któréj obydwa brzegi zdobi bogaty krajobraz, i przepływamy morze Adryatyckie. Widok kilkuset wysp, mało nie poskupianych z sobą, dowodzi oczywistego zburzenia pod wodami morskiemi, przez podziemne wulkany zdziałanego. Powstały one z oderw europejskiego lądu, w części pochłonionych, w części zaś na wiérzch wyrzuconych; wszystkie które wystąpiły, są jednéjże prawie formacyi geologicznéj, i służą dziś za schronienia ptakom i drapieżnym zwierzętom. Mała tylko liczba jest zamieszkałą.

Po odbyciu kwarantany na wyspie Sciros, gdy zmierzaliśmy obok Kandyi do Malty nocą, (a nocy tu ciemne bywają): parostatek nasz przez zbytnią oszczędność kapitana nie oświecony, wpadł na okręt żaglowy kupiecki z brzegów barbaryjskich żeglujący, o który ocierając się tak uderzył go bokiem, iż mogły były oba statki rozbić się, albo zatonąć. Skończyło się jednakże na ober-

waniu kilku burt i wystaw. O godzinie siódméj rano stanęliśmy w porcie Lavalette, na wyspie Malcie. Tu urzędnicy zdrowia, (Sanita) przytrzymali parostatek, zabraniając mu wejścia do miasta: cały zaś ekwipaż na oddzielną skałę warowną, dla odbycia dziesięciodniowéj kwarantany, zawieziono. Dowiedziałem się, że paki moje z Alexandryi do Malty, w czasie *pesty* czyli okropnéj morowéj zarazy w Egipcie mocno grasującéj odesłane, wrzucono do morza. Zawierały one zbiory różnych monet algierskich, tunetańskich, marokańskich, arabskich, egipskich, greckich i rzymskich, tudzież rozmaitą broń dzikich ludzi z wyższego Egiptu, Etyopii, Nubii, Sennahar, Demba i Gallas. Były w nich prócz tego dwie mumie, najlepiéj zachowane, dobyte z równiny mumij, czyli grobów starożytnych Egipcyan, obok piramid znajdujących się. Ale nadewszystko mnóstwo widoków, rysunków i planów z natury zdjętych, wraz z dziennikiem podróży, od roku 1831 zaczętym, były dla mnie stratą, któréj nigdy nie odżałuję.

Tylu podróżnych opisywało Maltę, jéj piękne kościoły, porty i fortyfikacye, że zaledwie o kościele św. Jana Chrzciciela wspomnieć mi zostało. Wspaniałemi musiały być ściany tego kościoła, gdy je pokrywały szczerozłote arabeskowe blachy, a które Napoleon zabrał. Bogate ołtarze z kolumnami z jaspisu, malachitu, i różnych starożytnych marmurów, z podstawami i soklami z najpiękniejszego kamienia lazurowego *(lapis lazuli)*, zadziwiają równie przepychem, jak i smakiem architektonicznym. Pomniki, arcydzieła sztuki, sławnych kawalerów maltańskich, z różnokolorowych marmurów i złota, z mozajkami i obrazami piérwszych mistrzów sztuki, przyozdabiają wszystkie ołtarze i filary sklepień. Cała posadzka z mozajki, przedstawia herby i napisy różnych kawalerów i rycerzy w tym zakonie zgasłych. Kilka grobowców bardzo kosztownych, można jeszcze widzieć w sklepieniach pod kościołem. Zasługują téż na odwiedzenie, o dwie godzin drogi odległe krypty w głębi ziemi kute, które dziś puste, napełniały niegdyś tłumy piérwszych chrześcian.

Po odbytéj kwarantanie, zwiedziłem tu jeszcze flotę angielską, w innym porcie na przystani stojącą, przeznaczoną do utrzymywania w bezpieczeństwie morza Śródziemnego i wyspy Malty, którą, jak wiadomo, Anglicy dzierżą. Na pięknych przechadzkach przyglądałem się wojsku w paradzie. Było już piąty pułk piechoty szkockiéj, tu garnizonem stojącéj. Ubiór jego na-

rodowy, tak do twarzy tym góralom przypadający, piękny widok oku przedstawiał. Ich marsz *pibrok*, i capstrzyk z kozą, bębnami i trąbkami, przywabia do siebie wszystkich podróżnych. Cztéry poprzednie pułki wymarły co do jednego, z zbytniego używania wódki, w tym gorącym klimacie zabójczego.

W dalszą podróż puściłem się innym statkiem na brzegi włoskie. Nad wieczorem pokazała się nam Sycylia, ze szczytem w pośrodku ogromnéj Etny. Nocą przepłynęliśmy kanał Messyny, któréj tylko latarnią i kilka wież dojrzéć można było w ciemności. Po prawéj stronie ukazał się nam w całym blasku ogniem wybuchający i dymiący Wezuwiusz; przed nami na piérwszéj płaszczyznie pokazały się: Lipara, dymiąca Solfatara i Capra; na drugiéj całkowita panorama Neapolu. Tu doznałem wrażenia najprzyjemniejszego, jakie podróżnemu nastręczyć się może. Zwiedziłem drogą żelazną umyślnie na to urządzoną, Herkulanum i Pompeję; następnie Pauzylippę, Stromboli. grób Wirgiliusza, i sławną grotę *del Cane*. Po czterogodzinném zwiedzaniu Neapolu i okolic, obstąpieni przez Marinero, Lazzaroni i różnych spekulantów, traktujących wyrobami z lawy i koralami, opuściliśmy ten czarujący krajobraz.

Przejeżdżaliśmy obok dymiącego Puzzuoli wzdłuż Peloponezu i Romanii Ztąd przy pięknéj pogodzie ciągle nam towarzyszącéj dojrzeliśmy z morza, promieniami słońca błyszczący złoty krzyż na kopule świętego Piotra w Rzymie, o trzydzieści i sześć mil odległy. Zdala po lewéj stronie Elba i Korsyka, po prawéj zaś Civita-Vecchia, Liwurna i cały Piemont, mignęły się nam płynącym obok wyspy Pantellaria, gdzie na wysokiéj skale umieszczone światło, służyło nam za latarnię morską. Ukazała się potém w rozwinięciu Nicea, a zatrzymawszy się na wyspach Hyeres, zwiedziliśmy sławne tutejsze ogrody pomarańczowe. W jednym z nich, ukazują podróżnym bardzo rozłożyste drzewo, które przed kilku laty wydać miało dziesięć tysięcy najpiękniejszych pomarańcz. Zawinęliśmy następnie do Tulonu, gdzie zwiedziłem część floty francuzkiéj w tym wojennym porcie na kotwicach stojącéj, baterye nadmorskie, arsenał, warsztaty budowy okrętów i owę sławną *Corderie*, w któréj liny okrętowe wyrabiają. Ta budowla z kamienia, ani kawałka żelaza nie zawiera. Znajdowałem się przy spuszczeniu dwóch okrętów na morze. Odwiedziłem *Bagne flottante*, czyli mieszkanie więźniów *forçats*, albo galerników czerwono ubranych. Częstowano mnie wyrobami z alocsu,

kokosu i jaj strusich: bardzo tanio w te wytworne przedmioty zaopatrzyć się tam można. W parę godzin stanęliśmy w porcie Marsylii, kędy nas obok fortecy świętego Jana przetrząsłszy, towary i rzeczy podróżnych na komorze celnéj złożywszy, samych do miasta puszczono. Podróżnym z Ameryki lub Hiszpanii przybywającym, wolno jest sto cygarów mieć przy sobie; posiadający większą ilość, może ją na na komorze złożyć, a przy odjeździe odebrać. Nawet bawiącemu dni kilka w Marsylii, pozwalają ze składu co dzień po dwadzieścia i pięć cygarów brać na swoję potrzebę. Ten wielki port handlowy, w którym codziennie zastać można ośmdziesiąt statków parowych, to wychodzących, to wchodzących, łączących go z wszystkiemi stronami świata, a do półtora tysiąca okrętów kupieckich, znany jest dobrze czytelnikowi z rozmaitych opisów. Opisywać go za nie moję rzecz uznaję.

Po dwudniowym spoczynku, potrzebnym po tak długiéj podróży morskiéj, i odsiedzeniu w kwarantanie dni dwudziestu, jak przepisaném jest dla przybywających ze Wschodu, udałem się do kompanii francuzko-angielskiéj, która pod dyrekcyą pana Talabort, w Nimes przemieszkującego, zawiaduje robotą kolei żelaznéj z Marsylii do Paryża. Na całéj linii z Marsylii do Nimes i Lugdunu, nie brakowało już inżynierów, a roboty były otwarte. W oczekiwaniu umieszczenia przyjętem na siebie wykonanie tunelu 7860 metrów długiego, i wybudowanie 70 mostów mniejszych lub większych, w parowach na dwumilowéj przestrzeni, pod Marsylią. Tunel znajdował się w narysie linii krzywéj, a tém samém wiele trudności do zwyciężenia nastręczał; pięćdziesiąt kilka studzien, przeszło 100 metrów głębokich, otworzyliśmy na całéj linii, w twardéj wapiennéj skale. Robota galeryi podziemnéj szła szybko, aż dopokąd nie natrafiliśmy w dwóch miejscach na tak znaczną ilość wody, że do wyciągania jéj. musiałem użyć dwóch machin parowych o sile trzydziestu i czterdziestu koni. Następnie wypadało przebić boczną czyli poprzeczną galeryą odpływową, aby tym sposobem główną galeryą tunelu, od zalewającéj wody uwolnić. Do pokrycia cegłą tego podziemia, li tylko w miejscach przesiąkających, potrzeba było dwadzieścia i pięć milionów cegieł angielskich, trzy cale grubych, a które najdaléj w trzech miesiącach zrobić wypadało. Sprowadzeni do tego ceglarze Anglicy, w liczbie czterdziestu rodzin, wyrabiali po 280000 cegieł. Warsztat każdego Anglika składał się z majstra, dwóch pomocników do przerabiania dowiezionéj w doły gliny, i dwóch

chłopców. Wypada więc w przecięciu na jeden warsztat 7000 cegieł dziennie. Użyłem nawet machiny, która jednym koniem poruszana, majstrem, pomocnikiem i woźnicą, wyrabiała 40000 cegieł dziennie; ale tę machinę lubo nader korzystną i prostą, porzucić musiałem, bo cegła nią wyrobiona nie miała tyle spoistości, co wyrabiana ręką, i z téj przyczyny pękała w ogniu. Wypalanie cegły odbywało się w stosach na powietrzu, za użyciem węgla kamiennego.

Dnia 8 lipca 1845 r., wyjechałem do Hiszpanii, dowiedziawszy się, że tam potrzebowano inżynierów do dróg żelaznych, robić się mających w różnych kierunkach po kraju. Tę wiadomość umieściły pisma publiczne, może dla zachęcenia kapitalistów i spekulantów zagranicznych, bo za mojéj bytności skończyło się na projektach. Wsiadłem na parostatek z paszportem francuzkim, jeszcze w Alexandryi przez konsula francuzkiego wicehrabiego Lavalette wydanym, a przez konsula hiszpańskiego w Marsylii rezydującego, zawizowanym; jak chciały mieć przepisy przez ministeryum spraw zagranicznych wydane. Parostatek francuzki do Barcelony idący, w jednym dniu tę podróż odbywa. Podróż lądem wyciągałaby trzech dni czasu, a sześć razy więcéj kosztu. Statek parowy, oprócz wygody, przedstawiał jeszcze warownię przeciwko niebezpieczeństwom grożącym na drodze lądowéj w czasie wojny domowéj w Katalonii, przez bandy karlistowskie napastowanéj. Malowniczny widok Katalonii i gór Pyrenejskich, uprzyjemniał nam podróż; około godziny trzeciéj po południu stanęliśmy w Barcelonie.

Przepyszny jest wjazd do tego pięknego portu. Barcelona, jedno z największych miast Hiszpanii, i handlowe, ma port bronion fortyfikacyami od strony miasta: tylną jéj ścianę stanowi Barcellonetta, a przeciwną nadbrzeżne baterye i cytadella Montjoie, która z wysokiéj góry, w morze wchodzącéj, panuje na wstępie do portu i miasta. Ma piękne gmachy i ulice; na bardzo rozległym placu wspaniały teatr, a na głównym wale fortyfikacyi i w porcie miłe przechadzki. Oświecenie miasta gazem, już od lat kilku przez kompanią angielską zaprowadzone. Niemało tu mieszka cudzoziemców, i dlatego wiele ruchu i przemysłu w tym porcie znajdziesz. Zastałem tu królową Izabellę, z matką królową Krystyną, i całym dworem. Dwa statki parowe hiszpańskie *Balear* zwane, zabrano na usługi dworu; podróżni więc musieli

przez pięć dni czekać o swoim koszcie, na przybycie innego parostatku *Gadetano* z Walencyi.

O godzinie 5tej rano, parostatek ten wyruszył z podróżnemi w drogę do Walencyi. Piérwszy raz tedy znalazłem się pomiędzy Hiszpanami. Rozumiałem nieco język kastylijski, ale nim mówić nie mogłem. Pomiędzy podróżnemi, znajdował się doktor, Francuz, który już lat kilka przemieszkiwał w Madrycie, i teraz tam powracał. W towarzystwie osób pod namiotem na pokładzie siedzących, znajdowała się Donna Manuela Y... frejlina królowéj, ze swoim wujem. Piękność téj Andaluzki, akcent jéj mowy wdzięczny i przyjemny, mocno mnie zajmowały. Piérwszy raz zdarzyło mi się widzieć piękność z owych okrzyczanych hiszpańskich. Włosy czarne, oko czarne i strzeliste, kibić ujmująca, nóżka dziecięca, ręka pełna i pulchna, zgoła wdzięk w każdéj przebijający się części. Ubiór nóg i głowy zachwycał. Noszenie mantylli przez piękność andaluzką ma coś uroczego w sobie; przyjęcie kapeluszów i wprowadzenie mody francuzkiéj w Hiszpanii, wiele wdzięków odejmie Kastyliankom i *Mahom*, czyli ubiorom narodowym. Słuchałem więc z rozkoszą tego prawdziwego dyalektu kastylskiego, tak wdzięcznie i przyjemnie wyrażającego się przez usta pięknéj Donny Manueli. Na nieszczęście dama nie mówiła po francuzku, lubo rozumiała ten język; rozmawialiśmy więc, ona do mnie po hiszpańsku, ja do niéj po francuzku. Pełna żywości, przenikliwości i kokieteryi, Donna Manuela przekonała mnie późniéj, że uczucia i serce równie miała szlachetne, jak wdzięki piękności. Znajomość i szczéra przyjaźń, trwała pomiędzy nami przez cały ciąg pobytu mego w Madrycie.

Prześliczny czas sprzyjał naszéj podróży. Całą Katalonią i góry Pirenejskie mieliśmy po prawéj stronie. Zawsze bowiem z morza widzieliśmy ląd hiszpański, a brzegi afrykańskie mgłą zakryte w dalekiéj przestrzeni, prawie znikały nam z widnokręgu. Pokazał nam się dawny Sagunt, dziełami Annibala wsławiony, a zemstą Rzymian trzykrotnie burzony. Do dziś dnia to miejsce, zwane Murviedro, dostarcza mnóstwa najdawniejszych fenickich i kartagińskich numizmatów, czyli piérwszych pieniędzy kruszcowych, na lat 1500 przed Chrystusem bitych. Zbiór tych numizmatów, różnéj wielkości i kształtu, bardzo nawet liczny, posiada gabinet numizmatyczny w Madrycie, ze znanych najbogatszy w starożytne pieniądze. Nieco daléj, w całéj okazałości widzieliśmy wyspy Balearskie, Iwikę, Majorkę, Minorkę, i małą Cabrera.

Westchnąłem za owym rajem ziemskim, przez tylu podróżnych Europejczyków wysławianym. Patrzyliśmy na Palmę i Mahon, które w poprzednim przejeździe do Afryki, zwiedziłem. Trzytygodniowy pobyt w tych miejscach, nazawsze złotemi głoskami wybił się w mojéj pamięci.

Po górzystych okolicach, nagle ukazały się płaszczyzny prowincyi Walencyi, królestwem zwanéj, a pomiędzy górami Katalonii i Murcyi zawartéj. Płaski i nizki brzeg, do którego większe okręty przybijać nie mogą, był miejscem naszego wylądowania. Kilka domów stanowią improwizowaną komorę celną. Przy niéj, różne jednokonne i dwukonne przykryte budą wózki, *Tarantelas* zwane, oczekują na podróżnych, dla odwiezienia ich do miasta Walencyi, o dobrą godzinę drogi odległego. Tu u pięknéj bramy miejskiéj nastąpiła rewizya naszych rzeczy przez celników (*carabinieros*) dokonana, po odbytéj już jednéj na wysiadaniu z parostatku. Wpuszczono nas do miasta. Zajechałem do ozdobnéj oberży, przez jakiegoś Włocha utrzymywanéj, obok biura dyliżansów. Zabawiłem tu przez trzy dni, nad moje spodziewanie nader małym kosztem. Wszędzie tu afrykański klimat: palmy, daktyle, kaktusy, figi i pomarańcze, są zwykłym plonem ziemi. Znalazłem tak zwaną galerę czyli wóz czterokołowy w ośm mułów zaprzężony, jadący do Madrytu. Takie galery wychodzą w poniedziałek z Walencyi i odbywają w siedm dni drogę do Madrytu. Kto chce najprzyjemniejszą, a zarazem najtańszą miéć podróż, udaje się galerą. O podróż, życie i noclegi, ugodzić się trzeba z *magioralem*, czyli właścicielem, albo przewodnikiem galery. Wraz z nim i innemi podróżnemi, zatrzymujesz się po wszystkich posadach czyli oberżach, w których właściciel galery, dobrze znający się z oberżystami, ma zwyczaj muły popaść lub zanocować. Ten wóz, oprócz przewózki rozmaitych rzeczy, pak i towarów, zabiera jeszcze czterech lub więcéj podróżnych. Dla turysty, podróż podobna, odbywająca się zawsze stępo, a często na piechotę, najkorzystniejszą bywa; dokładniéj bowiem rozpoznawać może kraj, jego okolice, i zwyczaje mieszkańców. Drogi latem wszędzie są dobre, ale podczas jesieni z błota wyléźć trudno; często w owe galery, po dwanaście mułów zaprzęgać muszą. Ale do życia po tych posadach przyzwyczaić się trzeba; kuchnia bowiem prawdziwie hiszpańska czyli narodowa, nie ma nic wspólnego z kuchniami innych

krajów. Zwyczajna rodzima potrawa *puczero*, o której niżéj powiem, w całéj Hiszpanii jest przyjętą. W prowincyach południowych w ryż obfitujących, *garabanzos* (*Cicer arietinum*), czyli groch wielki okrągły, do puczero wchodzący, zastępują ryżem. Kuchnię składa ogromna gliniana miska, popiołem lub piaskiem napełniona, na której mniéj więcéj garczków z puczero, w okrąg ustawionych stoi. W pośrodku nich, jeden lub dwa węgle zapalone, ogrzewają wszystkie garnki razem. Otóż wzór oszczędności opału na kuchnię, z którego nasze biedniejsze rodziny przynajmniéj korzystaćby powinny. Dla podróżnych wiejska kastylijska kuchnia robi wszystko na poczekaniu. Jeśli (jak to zdarza się o godzinie szóstéj z rana, lub najdaléj o siódméj), magioral ze swoją kompanią zażądają *huewos*, tojest jajecznicy, to liczą po dwa jajka na osobę, a po trzy czerwone pieprze, *pionenta* zwane, na kawałki pokrajane, i razem w oliwie usmażone, z małém przydaniem mąki. Jeśli jest królik (*coneho*), lub zając (*lievre*), to z niego potrawkę robią z długim sosem i pieprzem, jak do jajecznicy. Nieprzyzwyczajonym do tego tureckiego pieprzu, do każdéj potrawy wchodzącego, z początku nadzwyczaj pali w gardle. Zaledwie popijaniem częstém taniego, a nadzwyczaj dobrego wina, złagodzić można palenie i ztąd powstające pragnienie. Każdy ma *bobę* czyli woreczek skórzany, winem napełniony przy sobie, i całą drogę popija. Większy worek do wina zowie się *pelleho*. Obydwa worki skórzane mają na wierzchu otwór w kształcie miseczki drewnianéj, kołkiem w pośrodku zatykanéj, a którą się do ust bierze pijąc. Po karczmach istnieje zwyczaj, wypijać podaną sobie miarkę *quartos*, lub więcéj, z flaszki okrągłéj pękatéj, z krótką szyjką. Z boku brzucha téj flaszki wychodzi cieniuchna jak słomka rureczka, a którą leje się wino w usta z góry. Jeśliby jaki nieświadomy podróżny włożył tę rurkę do ust, stłuczonoby natychmiast flaszkę. Nawarcy i Biskajczykowie lubią wino lać sobie na czoło, nos lub policzki ową rurką cieniuchną, a z tego punktu różnemi liniami wino do ust, się dostaje. Noclegi są wygodne, a łóżka czyste i porządne. Z Walencyi do Madrytu przejeżdża się przez Santa Barbara i San Felipe, piękne miasta, schludne i porządne. Daléj na Almansa. Tu na wzgórzu prawie pośród miasta, stoi warowny zamek czyli kastel maurytański, a obok niego piramida kamienna na pamiątkę pobicia Maurów i śmierci ich króla Almanzora. Cała Murcya, a za nią Mańcza, dwoma pa-

smami niższych gór po bokach przecięta, składa się zresztą z płaszczyzn, na mniejszéj lub większéj wysokości, lekkiemi spadkami naturalnemi w stanie suchości utrzymanych. Niektóre pola zasadzone są orzechami lub oliwą tu i owdzie, ale rzadko. Wszystkie budowle wiejskie są z kamienia, lasy bowiem tylko na górach się znajdują. Okania, górami otoczone, sławne bitwą w 1809 roku, w któréj ułani polscy siedm linij wojsk hiszpańskich przebili na wylot. Aranhuez, między dwiema rzekami, Tagiem i Gwadarama, i górami od strony Okania położone, jest miejscem prawdziwie rozkoszném. Jest tam wielki pałac, park i królikarnia, na letnią rezydencyą króla przeznaczone. Ma piękne kościoły, place, spacery i *plaza de toros*, czyli amfiteatr do walki z bykami.

Madryt o mil cztery dojrzéć można. Ta stolica Hiszpanii, na pochyłym wzgórku położona, stanowi piękne, porządne i wielkie miasto. Jest w niém sławny pałac królewski, największy ze znanych, a który ogromne skarby kosztował lubo dotąd nieukończony. Rozpoczął budowę jego Filip IIgi, którego téż bronzowa statua konna wzniesiona jest na okrągłym placu przed pałacem. Pomieniony plac otoczony jest kamiennemi kolosalnemi statuami wszystkich królów hiszpańskich. Za miastem widać góry Gwadalahara, dostarczające granitów i drzewa. Prezydent miasta, alkaldy, w ostatnich dwóch latach tę stolicę do wzorowego porządku przyprowadził. Wszystkie chodniki są z tafli granitu szarego tak długich, ażeby na całą szerokość przed domami jedna wystarczała sztuka. Na ulicę nic wystawać nie może; drzwi i okna nawet wewnątrz domu zamykać się i otwierać muszą. Żaden schodek, rynna lub filar, albo mur podporowy, poza linią ulicy czyli domów, wychodzić nie może. Policya bardzo ściśle tego wszystkiego przestrzega, a architekt miasta jest odpowiedzialny. Miejscami najpiękniejszych i przez cały Madryt uczęszczanych przechadzek są *Prado* i bulwary. Galerye obrazów są najliczniejsze może w Europie. Madryt posiada trzynaście bibliotek, muzeum i gabinet numizmatyczny. Niektóre kościoły są piękne i bogate, lubo Napoleon ogołocił je z wielu kosztowności, a szczególniéj z dzwonów srébrnych, z których pięciofrankowe sztuki wybijać kazał. Odbywają się tu bardzo często processye. Na Boże Ciało, cały dwór ubrany za penitentów, w kapy z kapturami i ogonami, towarzyszy obrzędowi. Księża celebrujący w najkosztowniejszych powozach królewskich jadą.

Nawet do umierającego idzie processya, często z muzyką na czele. Pogrzeby odbywają się z pompą w odkrytéj trumnie, i z muzyką; nawet dzieci zmarłe niosą w odkrytéj trumnie, towarzysząc im przygrywką na gitarze i tańcami. W święta wszyscy prawie mieszkańcy wychodzą na zielone błonia za miastem, rozciągające się ponad brzegami rzeki Manzanares; tam na tańcach i śpiewach cały dzień przepędzają. W późnéj jesieni i zimą, ogrzewają domy za pomocą *brazeros*. Jestto miednica drobnym żarem napełniona, stojąca na ziemi w okrągłém, drewnianém kole, naokoło którego zasiadają goście lub domownicy, na wieczór *Tertulia* zebrani.

W Madrycie pan Salamanka skontraktował mnie do zrobienia drogi żelaznéj od téj stolicy do Aranhuez, pod dyrekcyą Don Pedra Miranda, byłego pułkownika inżynierów. Po ukończeniu narysu i prac zwanych *terrassements*, i pobudowaniu mostów niektórych, kiedy już przyszło do położenia szyn żelaznych, wstrzymano roboty dla braku funduszów. Kompania angielska pod dyrekcyą panów Mamby i Parthingthon, wszedłszy z miastem w układy o urządzenie fabryki gazu do oświecenia Madrytu, poruczyła mi wykonanie przyjętego planu. Wystawiłem ten wielki gmach na obraném miejscu za bramą Toledo, niedaleko sławnego mostu kamiennego na rzece Manzanarez. Cały plac składem śmieci będący, nie dozwolił dobrać się do gruntu mocnego pod fundamenta; musiałem tedy posadę odlewać z betonu. Gazometry również z betonu zrobiłem. Próbę rur żelaznych odbyłem prasą hydrauliczną. Po ukończeniu tych większych robót, wezwany zostałem przez granda Don Colliao do urządzenia plantacyi stu tysięcy drzew oliwnych i rozmaitych w związku z tém przedsięwzięciem będących robót hydraulicznych, w wielkiéj majętności jego pod Baeza, czyli Waeza w Andaluzyi.

Opuściłem Madryt i przejeżdżałem dyliżansem przez miasteczka Portolapis, Santa Cruz i Valdepenias. W okolicy ostatniego są najsławniejsze winnice. Ztąd zaczynają się owe góry Sierra Newada i Sierra Morena; piérwsze często śniegiem podczas zimy, a drugie ciągłą zielonością pokryte. Przejeżdżałem ów rozbojami niegdyś sławny wąwóz, pomiędzy skałami, mnóstwem drewnianych krzyżów upstrzony: sąto nagrobki nieszczęśliwych, których rozbójnicy pomordowali. Wyminąłem Bailen, w którym generał francuzki Dupont we 20000 wojska przed powstańcami generała Castanios, bez wystrzału broń złożył, i Menhibar z wysoką wie-

żą na górze wystawioną. Tu w całéj okazałości przedstawiają się góry Sierra Morena, zawsze zielone, przez które droga idzie. Minąłem i Baezę, miasteczko odznaczające się rozwalinami po Maurach, od którego, o dobrą milę leży Laguna, majętność pana Colliao, w któréj zamieszkałem. W półtora roku urządziłem sprowadzenie wód z gór Sierra Newada. Wody te w massie dwudziestu milionów stóp sześciennych w jednym naturalnym wąwozie zebrane, murem wpoprzek zamknięte, rozprowadzały się kanałem na całą plantacyą i szły do domu o dobrą milę odległego, gdzie urządziłem czyszczące cysterny na wodę do napoju i innych potrzeb domowych. Osobnym kanałem oddzielona woda, obraca młyny oliwne i jeden kamień do mąki. Urządziłem prasy hydrauliczne do wyciskania oliwy, która następującym otrzymuje się sposobem.

Dobra Laguna, po zniesieniu zakonów księżom zabrane, za trzy miliony przez właściciela od rządu nabyte, a dziś ośm wartujące, posiadają jeszcze dotąd kilka tysięcy sztuk drzewa oliwnego, którym podania miejscowe starożytność przed-Chrystusową przyznają. Drzewa te dotąd rodzą. Zwykle stary pień wypuszcza z korzenia cztery drzewa, w przecięciu do kilkunastu cali grubości mające. Nizkie i karłowate, pełne gałęzi, odnóg i latorośli, są zwykle rozłożyste, prawie zawsze zielone, bo drobnym liściem w języczki pokryte. Z początku rośnie owoc okrągły jak ciarki, ale nabierając z czasem kształtu jajowatego, dochodzi do wielkości migdała; i kiedy dojrzeje, zieloność jego czerniéć zaczyna. Epoka zbierania oliwek, najpóźniéj koło Nowego Roku przypada. Wówczas zgromadzają się na miejsce oliwozbioru całe rodziny z okolicy, utrzymując się tam żywnością przez właściciela dostawioną. Składa się ona zwykle z płodów miejscowości. Ojcowie rodzin idą po linii drzew oliwnych, sadzonych zawsze w szachownicę, i kijkami na kilka stóp długiemi, obtrząsają wszystkie oliwki z drzewa. Matki z dziećmi i resztą rodziny, postępując za niemi, upadłe na ziemię oliwki zbierają w podłużne, z *esporty* uplecione kosze, i tak na muły lub osły z folwarku przysłane pakują. Zapłata liczy się według liczby koszów, do domu kosztem właściciela przystawionych. Obtrząsający oliwki, *varas* zwani, są płatni dziennie, osobno. Ludzie domowi przywożący oliwki w koszach, wysypują je na dziedziniec kamieniem wyłożony. Wpośrodku dziedzińca wznosi się wielki i wysoki słup murowany, na który, włażąc po przyrobionych schodkach ludzie z koszami, sypią z wiérzchu oliwki tuż

przy słupie. przez co się one w jeden ogromny stos na dziedzińcu usypują. Kilka młynów dniem i nocą pracujących, gniotą stosowną miarkę oliwek. Kamień zwykle stożkowy, jednym mułem obracany, rozgniata na miazgę porzucone oliwki na płycie kamiennym. Miazga następnie zanosi się do prasy, i wkłada w plecione z rośliny *esporta* płaskie krążki, *esportas* zwane, mające na wierzchu otwór denkiem zamykany, przynajmniéj na palec lub pół cala grubości. Te *esportas* układają się w stos czyli kolumnę, pomiędzy czterema żelaznemi słupami, żelaznéj prasy hydraulicznéj. Czasem wchodzi ich do stu sztuk na jeden stos, a to według siły prasy. Wypuszcza się woda i pompuje pod żelazny walec, tworzący ruchomą podstawę prasy hydraulicznéj. Wówczas podnosi się spodek prasy, siłą wody czyli ciśnieniem party, i ślizga po słupach żelaznych, a tém samém przyciska stos z krążkami miazgę oliwną zawierającemi, do nieruchomego i mocnego wierzchu żelaznego, i tym sposobem oliwę wyciska. Obok prasy są dwa kotły żelazne do zagrzewania wody, którą polewają się boki czyli ściany stosu, dla tém łatwiejszego dobycia oliwy z miazgi. Oliwa dobyta z wodą połączona, spływa na dół po stosie do żelaznego rowka, znajdującego się naokoło podstawy czyli walca. Z tego rowka spływa do ogromnie wielkich glinianych garnków, po dwieście kilkadziesiąt funtów oliwy zawierać mogących, i pod ziemią zakopanych. Żeby zaś woda odłączyła się od oliwy, obok wielkiego garnka *damiżana* zwanego, jest drugi mniejszy i trzeci. Piérwszy z nich nazywa się piekłem, a dwa inne czyścem. Wpośrodku piekła jest kurek lub rurka łączna z czyścem. Kiedy więc wysokość wlanéj w damiżanę oliwy z wodą, dojdzie do kurka lub rurki, wówczas oliwa na wierzchu wody pływająca, odchodzi do czyśćca. Również, kiedy piérwszy czyściec jest do dwóch trzecich wysokości pełny, wtedy rurka tu umieszczona, prowadzi oliwę do drugiego czyśćca, a ztąd kubełkami miedzianemi na łańcuszku, dobywa się najczyściejsza oliwa z wierzchu, i do innych damiżan, w ziemię kilku rzędami wkopanych, odnosi. I to jest magazynem, czyli składem oliwy. Odciek zaś wody, ze wszystkiemi nieczystościami z piekła, odbywa się za pomocą kurka na spodku i z boku dna umieszczonego, a połączonego z kanałem, zewnątrz budowli wodę z nieczystościami odprowadzającym. Oliwa stojąca przez rok na składzie, utworzy na dnie osad nieczystości, czyli fusy. Wierzchnia więc jest zwaną *vier-*

ge, czyli najlepszą: niższa zwyczajną, a spodnia poślednią. Stos pomiędzy słupami żelaznemi prasy hydraulicznéj, zwykle siłą od dwukroć do trzykroć stu tysięcy kilogramów ściśnięty, przychodzi do jednéj trzeciéj prawie wysokości. Wówczas pozostałe resztki roślinne z *esportas* wyjęte, tak ogołoconemi zostaną z części oliwy, że ręki, a nawet białéj chustki, potarte o nią, nie brudzą. Te roślinne pozostałości tworzą doskonały opał lub nawóz. Prasą zwyczajnie drewnianą, a dotąd w Hiszpanii używaną, wyciskany stos ze czterdziestu lub więcéj plecionych krążków, wydaje o dziesiątą część mniéj oliwy od prasy hydraulicznéj, większéj usługi i kosztu wymagając, a niszczy się prędko. Dla téj przyczyny, dziś, po piérwszém przezemnie zrobioném doświadczeniu, w obecności bardzo wielu takich, których to obchodzić mogło, zgodzono się ogólnie dawny sposób wyciskania oliwy w całéj Andaluzyi porzucić, a zaprowadzić prasy hydrauliczne. Prasy te są żelazne, i lubo drogo kosztują, bo żelazo hiszpańskie jest złe, a sprowadzone z Anglii, wysokiéj opłacie cła podlega: jednakże w ogólne użycie wchodzić zaczynają.

Prasy, rury do upustu i sprowadzenia wody, i inne szczegóły machin, podług wydanego przezemnie planu, kazałem odlać w Sewilli, dokąd w tym celu dwukrotnie jeździłem. Ulane sztuki i wyprobowane w fabryce, mianowicie rury żelazne na trzy atmosfery siły, z zastosowaną prasą hydrauliczną, przyjmowałem, płaciłem, i do domu o ośmdziesiąt mil odległego fornalkami domowemi odwieźć kazałem. Wszystkie te zabiegi powiększyły nieco kosztu, ale zyskaliśmy na dobroci materyału i bezpieczeństwie, bo żadna użyta sztuka nie uległa pęknięciu, okazawszy poprzednio przy próbie, żądaną wytrzymałość.

Oprócz powyższych robót, były i inne, jak: urządzenie stosowne budowli, irrygacyi gruntów porobionemi kanałami, i tym podobne. Zawiązałem nawet kompanią, do zwrócenia z gór Sierra Nevada rzeki Gwadalkwiwir, na irrygacyą okolicznych gruntów, aż do miasta Kordowy, o 30 mil niżéj położonego. Na co wszystko przyjęte plany i kosztorysy przezemnie zrobione, przyjęto z zapałem. Wykonanie tych wielkich przedsięwzięć, przerwał rok 1848, w którym musiałem porzucić Hiszpanią.

Podróż moja z Laguna do Sewilli dwukrotnie odbyta, dała mi poznać resztę téj pięknéj Andaluzyi. Wzdłuż rzeki Gwadalkwiwir, samemi płaszczyznami, jedzie się do miasta Kordowa, téj niegdyś drugiéj Maurów stolicy. Każdy wędrownik ogląda tu

z podziwieniem katedrę zupełnie maurytańską, na 854 kolumnach marmurowych wzniesioną. Stoi w niéj dotąd ołtarz drewniany przez Ferdynanda i Izabellę wystawiony, kaplica i sławny Sunnehheud, z całym koranem złotemi głoskami na marmurze wypisanym, a w całości po Maurach zachowanym. Daléj miasto Ecyha, w którém cały rynek maurytańskiéj struktury, dotąd się zachowuje, i w najlepszym jest stanie. Nie widziałem w Hiszpanii nic piękniejszego nad ten uroczy rynek. Te domy kilkopiętrowe, na małych alabastrowych wysmukłych kolumnach, przed całym przodem frontony mające, i taką nowością zachwycają zdumione oko znawcy, że dosyć nasycić wzroku nie można. Jedzie się przez Arabalat i Alkalę do Sewilli. Tu jest owa katedra *Hiraldą* zwana, dotąd niedokończona, z maurytańską wieżą, na któréj wierzchołek królowie hiszpańscy na mułach wjeżdżali; Almejda i Alkazar, zamek i spacery Piotra Okrutnego z wytryskami arabskiemi, w kanałach marmurowych ukrytemi, a za jedném poruszeniem tajnéj sprężyny, wszystkie kwiaty ogrodu na raz polewającemi kroplami wody, różne desenie kształcące; wieża maurytańska, w któréj cała historya Hiszpanii i portrety królów są umieszczone; Torredeoro w porcie, mury starożytne, spacery i t. d. Z Sewilli popłynąłem do San-Lucar i Xerez sławnego winem. Ujście rzeki Gwadalkwiwir i widoki okolic nie mogą być piękniejsze. Kadyx wpośrodku morza leżący, językiem wązkim z resztą ziemi złączony, jest miejscem dobrze znaném w nowoczesnéj historyi. Tu przepyszne widoki na wszystkie strony zachwycają oko. Fortyfikacye Kadyxu, place, spacery, wszystko tu podoba się podróżnemu. Mnie jednak wszędzie wspomnienia pięknych Andaluzek, a szczególniéj Sewillanek ścigały. Przydomek jaki mi dały: *A kel ombre tan roho:* co za czerwony człowiek, nigdy z pamięci mojéj nie wyjdzie. Kadyx jest ściekiem różnych krajowców. Natura położenie jego utworzyła handlowém. Godniejszemi wspomnienia miejscami w dalszéj mojéj podróży były: Tariffa latarnią oświecająca, Trafalgar, w którego zatoce Nelson zniszczył flotę francuzko-hiszpańską, wreszcie Algezyras na krańcu Hiszpanii. To ostatnie miasto leży prawie u stóp Gibraltaru przez Anglików trzymanego. Jego wysoka skała wykutemi wewnątrz bateryami na piętra najeżona, nie da przejść żadnemu okrętowi z oceanu na morze Śródziemne. Naprzeciw *Pointe de l' Europe* jest twierdza Ceuta. Ztąd powróciłem do Sewilli, a po dwumiesięcznym pobycie do Laguna.

Zwiedziłem następnie Haen, w którym piękną katedrę i *plaza de toros* widzieć trzeba; Granadę, wsławioną Alhambrą i Żeneralifem, stojącemi na górze, która się wywyższa nad miasto. Wszędzie mi słodkie wspomnienia o moich ziomkach, za czasów Napoleona w Andaluzyi przebywających, z rozczuleniem opowiadano. Wszystkie domy przyjmowały mnie z otwartemi rękami.

Powróciłem do Madrytu w piérwszych dniach maja 1848 roku.

Bardzo wiele podtenczas pisano o Hiszpanii, z powodu ślubnego związku młodéj królowéj Donny Izabelli de Bourbon z krewnym Don Francisco de Paula, i jéj siostry Donny Ludwiki de Bourbon z księciem Montpensier, zawartego z wielą uroczystościami w Madrycie. Chcę jedynie sprostować nierzetelność kilku opisów, które za bardzo krzyczące znalazłem, w ostatniéj publikacyi przez panów Dumas i Gauthier. Ci panowie siedząc przez piętnaście dni w dyliżansie, zwiedzili i poznali całą Hiszpanią, nie mówiąc ani słowa po hiszpańsku! Trzy ostatnie lata przepędziłem w Hiszpanii i posiadam dostateczną znajomość języka kastylijskiego. Dziewięć lat poprzednio spędziłem na Wschodzie i poznałem nieco język arabski, a następnie obyczaje Maurów. A że Hiszpania przeszło przez ośm wieków pod panowaniem i przemocą Almogawarów zostawała, nie masz w tém nic dziwnego, że przejęła od nich niektóre wyrazy i zwyczaje, a nawet ubiory. Możnaby więc uważać Hiszpanów niejako za pokolenie Maurów na cudzéj ziemi osiadłe, a które jednę tylko religią zmieniło. Ale Hiszpania przez samą nienawiść ku Maurom, przynajmniéj o dwa wieki w tyle cywilizacyi europejskiéj dziś pozostała.

Największe podatki ciężą na klassie ubogiéj, ponieważ podział jest równy pomiędzy wielkiemi i małemi kapitałami. Nędzę ludu powiększa naturalna skłonność do próżniactwa, wspólna wszystkim narodom wschodnim, a bardziéj jeszcze prawo obowiązujące obchodzić wszystkie dni świąt przez kościół naznaczone. Gdybyśmy bowiem policzyli wszystkie dni świąteczne, zatrzymujące mianowicie roboty rolnicze, i przydali do ich liczby 52 dni deszczowych; niezawodnie ogół ich przeszedłby połowę roku. Możemy więc powziąć prawdziwe wyobrażenie o nędzy proletaryatu. Dodajmy do tego nizką cenę robocizny, która w miastach rzadko przechodzi półtora złotego, a 24 grosze po wsiach, a łatwo osądzimy, czy biedny ojciec familii, pomimo najtroskliwszéj oszczędności, może jaki grosz na bok odłożyć, aby nim w potrzebie swoję rodzinę utrzymać.

Uprawa gruntów lubo dobrze zastosowana do potrzeb miejscowych, zwykle jedno tylko żniwo wydaje, w miejscu trzech; mianowicie w prowincyach południowych, gdzie rola uprawna posiada wszystkie bogactwa ziemi afrykańskiéj. Stowarzyszone kapitały nie mając żadnego zabezpieczenia i zachęty ze strony rządu, dozwalają ujść wodom rzék i strumieni do przepaści morza, zamiast obrócenia ich na podlewanie gruntów ornych. Irrygacye bowiem w krajach gorących zastępują orkę i nawóz, dozwalają zasiać i zbierać naprzemian trzy a nawet pięć razy do roku ziarno, jeśli doliczymy w to uprawę roślin olejnych, jarzynnych i ogrodowin: jak to ma miejsce w Egipcie.

W ogólności w Hiszpanii brakuje łąk naturalnych, ale nic nie przeszkadza założeniu łąk sztucznych. Dla téj przyczyny nie mają prawie nabiału, prócz z owiec i kóz. Masło muszą z Holandyi sprowadzać. Chowają wiele owiec różnych odmian; wełnę z nich, szczególniéj merynosów, tak sławną w Europie, przedają za granicę. Wszystkiéj rogacizny i stadnine brakuje paszy i schronienia, tak potrzebnego podczas ciągłych i przykrych słot zimą. Dla téj przyczyny rasa ich coraz bardziéj nikczemnieje.

Podstawą ekonomii domowéj w Hiszpanii bez zaprzeczenia jest oliwa i wino. Grunta skaliste i wznioślejsze, obracają na sadzenie drzew oliwnych. Wymagają one podwójnéj orki pomiędzy drzewami, i podwójnego obfitego podlania. Grunta ogołocone z zasobu potrzebnéj wody, bez porównania mniéj oliwy wydają. Oliwa w Hiszpanii jest artykułem największéj wagi, i najznakomitsze stanowi bogactwo kraju. Wino hiszpańskie jest mocne, doskonałe, tłuste, i smaczne: można powiedzieć, że na kuli ziemskiéj nie masz tańszego.

Brakuje tu po większéj części lasów i drzewa budulcowego. Na południu okrzesywania coroczne oliwy i winnicy, dostarczają dosyć drzewa na potrzeby domowe. Drzewo budulcowe jest drogie. Handel zagraniczny zupełnie umarły, wyjąwszy z Hawaną na płody zamorskie, zmusza Hiszpanów do spożycia swoich płodów wewnątrz kraju, a na tych Hiszpanii bynajmniéj nie zbywa. Wszędzie *garabanzos* i ryż używa się na zupę *puczero* i potrawki; ale gotują go wraz ze słoniną, kiełbasą, kiszką i włoszczyzną, z dodatkiem ogromnéj ilości pieprzu. Mięso wołowe niewiele tu warte, ale za to mięso krowie jest bardzo poszukiwane. Ptastwo i zwierzyny jest do zbytku. Ogrody pełne są kwiatów i owoców. Rodzynki z Malagi, najsławniejsze na całéj kuli ziemskiéj.

Hiszpania wydaje wiele wyborowych owoców, nieznanych wcale innym krajom Europy, jak naprzykład: daktyle, figi barbaryjskie z rośliny *Cactus*, chleb świętojański, orzechy amerykańskie i t. d. Garabanzos, (*Cicer arietinum*) gatunek wielkiego grochu okrągłego, nie dał się nawet w Prowancyi przyswoić. Len i konopie służą na zwykłe potrzeby. Esparta (*Stipa tenacissima*), aloes, i palma dostarczają materyału na różne użyteczne wyroby.

Już dawniéj wiele powykopywano kanałów spławnych, w chęci ułatwienia związków handlowi wewnątrz kraju, ale ich utrzymania zaniedbano, przez co w zamulonych zatrzymywał się odpływ wody. Stojąca woda stała się niezdrową, a wyziewami smrodliwemi zarażała długo całe okolice, aż wreszcie prawie zupełnie wyschła. W ogólności wszystkie niemal drogi są w stanie opuszczenia. Dawniejszy system ich budowy, zupełnie innym krajom przeciwny, dotąd się utrzymuje. Drogi główne jeszcze przedstawiają jakiś cień utrzymania; są jednak w zbytniéj szerokości makadamizowane, a przez to niepraktyczne, bo trudne do naprawy. W wielu nawet stronach drogowcy nie mają najmniejszéj instrukcyi. Używają ziemi do poprawy drogi, a ta rozesłana na żwir spodem leżący, niszczy zupełnie szossę. Urządzenie dróg, których dobroć jest jednym z najważniejszych warunków uporządkowania kraju, jestto przedmiot zupełnie obcy inżynierom hiszpańskim. Budowa mostów i wielkich zakładów przemysłowych, należy wyłącznie do przedsiębierców zagranicznych, i stanowi spekulacyą na niezmierną skalę. Łatwo sobie wystawić, jak wiele na tém traci przemysł narodowy. Drogi żelazne naprzykład, do których europejskie kraje tyle przywiązują znaczenia, nie zaraz Hiszpanią z resztą Europy połączą; nie dlatego, żeby w Hiszpanii brakowało na to kapitałów, lub żeby topografia ziemi nie sprzyjała, ale dla braku dobrych chęci, dla uprzedzenia rządu i stagnacyi przemysłu. Skończyło się dotąd na małym kawałku drogi żelaznéj z Madrytu do Aranhuez.

Oświecenie gazem miast Barcellony, Walencyi, San Sebastian, Kadyxu, Sewilli i Madrytu, kompania inżynierów angielskich uskuteczniła, a nawet na inne miasta Hiszpanii swoje projekta rozciągnęła.

Organizacya poczt, nowocześnie zaprowadzona, jeszcze jest daleką od tego, co w tym względzie inne mają kraje. Dwie są tylko główne drogi do Francyi: jedna na Bayonnę, druga na Marsylią. Dyliżanse kompanii lub prywatne, do których się zaprzęga dwanaście mocnych mułów, dla złego stanu dróg, prowadzone są przez

konduktora (*mayoral*), pocztyliona jednego, lub dwóch chłopczyków (*delanteros*) na przodzie, i jednego wagenmajstra (*zagal*). Ten ekwipaż tak dobrze usłużony, wygodny i szybki, najczęściéj bardzo mało podróżnych wiezie, a to dla ceny nader wysokiéj. Każdy powóz i bydlę musi opłacać drogowe co stacya, chociaż drogi są w złym stanie, a często i mostów brakuje. Ta nadpłata ciężyć musi na podróżnych. Dodajmy do tego wymaganie na piwo pocztylionów na każdéj stacyi, prawda że z grzecznością, bo z kapeluszem w ręku, i powiększoną cenę jedzenia po oberżach, w których powóz się zatrzymuje z obowiązku, a to dla pokrycia kosztu konduktora, a wówczas przekonamy się, że cena miejsca w dyliżansie, i kufra lub innych rzeczy, może się potroi.

Oprócz tych dwóch głównych związków z Francyą, rozchodzą się i dyliżanse i malposty na wszystkie znaczniejsze kierunki wewnątrz kraju. Ich urządzenie jest zupełnie podobne poprzednio opisanemu. Są tu jeszcze inne związki wewnętrzne, daleko tańsze od poprzedzających, a które utrzymują się ciągle i peryodycznie pomiędzy wszystkiemi wielkiemi miastami a stolicą, lub pomiędzy dwoma punktami odległemi. Zwykle sąto czterokołowe wozy, o bardzo nizkich przednich kołach, zwane *galera*. Mają po sześć lub ośm mułów, a prowadzone są przez jednego *mayoral* i jednego *zagal*, który zarazem robi służbę *delantero*. Wozy te, w których muły ciągle idą stępo, codzień po siedm lub ośm mil ujeżdżają, i zatrzymują się na noc po karczmach przy miastach lub wsiach, *pasada* zwanych. Są długie, obite obręczami; na tych obręczach kładą trzcinę, a na trzcinie przybijają płótno grube. Zwykle napakowane bywają aż do wierzchu drobin, towarami lub rzeczami rozmaitemi, jak arka Noego. Zostaje więc miejsce dla sześciu lub ośmiu podróżnych, do leżenia pod płótnem, bo usiąść wygodnie jest niepodobieństwem. Siadłszy oni po turecku, tłuką swoje głowy o obręcze i trzciny okrągłego sklepienia z płótna, za każdém stuknięciem wyładowanego wozu, po tak licznych wybojach złéj drogi ubocznéj. Często połowa podróżnych musi iść naprzemian piechotą, kiedy czas jest piękny, aby jakkolwiek przyczynić wygody pozostałym na wozie, zwłaszcza kobietom i dzieciom. Pozostali kładą się wtedy jak lalki w kolebce, kołysząc głowami ruchem wahadłowym jak pagody chińskie, przez cały czas spoczynku w podróży, jeżeli takie piekło spoczynkiem nazwać można. Ta podróż powolna i w towarzystwie różnego stanu ludzi, zawsze wesołością ożywiona, zwykle się podoba zagranicznym, którzy mają czas przypatrywać się do woli okolicom,

mianstom i zwyczajom. Z wypraw takich korzystają najwięcéj turyści, którzy, dyletanci prawdziwi, maszerują z ołówkiem i album w ręku. Lecz przedewszystkiém należy oswoić się z jedzeniem, do którego pieprz turecki w nadzwyczaj wielkiéj ilości kładą. Palenie więc gardła, trzeba winem uśmierzać. Tu i owdzie zdarza się napotykać karczmy dobrze usłużone, ale bardzo drogie, szczególnie dla obcych. Bez zaprzeczenia, podróż galerą jest najtańsza, bo ugodziwszy się z mayoralem, za pomierną cenę wszędzie jesteś dobrze żywiony, usłużony i przenocowany, a często nawet dobrze widziany przez płeć piękną, stosownie do twego worka.

W Madrycie istnieje bank narodowy czyli hiszpański, w którym rząd, z kilku bogatemi spekulantami w spółce zostający, gra na papiery bankowe. Osoby prywatne, posiadacze owych biletów, zależą od widzimisię banku: bo gdybyś chciał wymienić owe bilety na gotówkę, musisz zapłacić *agio*, czasem 20 i więcéj na sto wynoszące. Rząd ściąga podatki w gotówce, a wypłaca pensye, zaległości i wszelkie rachunki, samemi tylko biletami, których nikt przyjmować nie chce. Brak zaufania publicznego wewnątrz kraju, najgorszy wpływ wywarł za granicą, i dziś rząd nigdzie więcéj pożyczki w razie potrzeby nie mógłby zaciągnąć. Obraz takiego frymarczenia pieniędzmi, rozszerzył się wszędzie, a tym sposobem urzędnicy łatwo psuć się dają.

Co do organizacyi wojska, Hiszpania nie ma nic wspólnego z innemi narodami Europy. Ma więcéj generałów, aniżeliby ich potrzeba było całéj Europie, a w téj liczbie dziś ani jeden się nie znajdzie zdolny dowodzić korpusem w czasie wojny. Armia liczy 80,000 wojska regularnego. Najdziwaczniejszą rzeczą jest widzieć w wojsku hiszpańskiém bardzo wielu oficerów wyższéj i niższéj rangi, tytułowanych czyli assymilowanych, tojest noszących naprzykład uniform pułkownika, a biorących żołd i pełniących służbę kapitana lub porucznika. Czynną służbę oficerów wyższych, generałów, adjutantów i lekarzy, oznacza noszenie trzciny czyli laski ze złotą gałką. Takiegoż znaku używają urzędnicy cywilni. Ostatniemi czasy wojsko bardzo pięknie ubrano, a jego taktyka i znane męztwo w niczém nie ustępują armiom najlepiéj wyćwiczonym. Zapał wojskowy, podsycą ciągle wojna domowa. Z czasem talenta wojskowe wyrobić się mogą. Tym sposobem powstali: Mina, Cabrera, Zurbano i Zumalacaregui.

Dawniéj siła morska hiszpańska przeważną i znaną była w świecie; ale od zniszczenia *Grande Armada*, tojest wielkiéj floty

w roku 1588, dotąd się do potęgi podnieść nie może. Marynarka hiszpańska najświetniéj zasłużyła się historyi. Piérwszą podróż naokoło świata odbył Cano, Hiszpan, w roku 1522. Wszystkie odkrycia nowego świata winniśmy Hiszpanom. Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę w 1492 roku, Vasco de Gama Indye Wschodnie w roku 1497, Juan Ponce, Florydę w roku 1512, Hernandes Cortez, Mexyk 1518 roku, Saavedra, Filipiny w 1527 roku i Kalifornią w roku 1529, Pizarro, Peru w 1533 roku. Żeglarze hiszpańscy sprowadzili do Europy trzcinę cukrową z wysp Kanaryjskich w 1506 roku, tytuń z Indyi w 1560 roku, skóry garbowane z Ameryki w 1587 roku. Piérwsza nawet myśl żeglugi za pomocą siły pary, wyszła od Hiszpana Garaj w roku 1543. Dziś cała siła morska hiszpańska składa się z jednego trzymasztowego okrętu Sobrano, już niezdatnego do służby; ze dwóch fregat, la Reina Isabella Secunda i Espania; ze dwóch brygów i kilku statków parowych, zbrojnych na stopę wojenną przeciwko brzegom Afryki. Kilka statków parowych służą do transportów pomiędzy Marsylią, Barcelloną, Walencyą, Sewillą, Kadyxem, Malagą i wyspami Balearskiemi.

Oprócz powyżéj wzmiankowanych zasług marynarki hiszpańskiéj, winniśmy jeszcze Hiszpanom rycerskie turnieje, tak dowcipnie wyszydzone przez Cerwantesa w znaném dziele jego pod tytułem: *Don Kichot de la Mańcza;* im winniśmy także liczby arabskie od roku 991 i tauromachią od 1100. Ale zaprowadzenie téj ostatniéj nie pochodzi od Maurów, jak wszędzie rozumieją; nigdzie na Wschodzie nie widziałem nic podobnego; musi ona być zabytkiem rzymskim. Plac zwany *plaza de Toros*, kędy się te gonitwy byków odprawiają po wszystkich prawie miastach Hiszpanii, jest cyrkiem czyli amfiteatrem rzymskim, na którego arenę, czterema *vomitoriami* wychodzili do walki szermierze (gladyatorowie) i zapaśnicy (atleci), a późniéj ludzie walczący ze zwierzętami lub na pożarcie skazani. Hiszpania wprowadziła do siebie roślinę *esparta* w roku 851, na różne plecione wyroby, a nawet na sandały czyli *spadillas*, *espardillas*, tak korzystnie używaną. Algiebrę ukazał Geber, Maur w Sewilli, roku 1000. Zaprowadzono uniwersytet w Mexyku i Limie roku 1551. Wynaleziono granat ręczny w roku 1566; bagnet w roku 1670 Grecy jeszcze dobyli w Hiszpanii piérwszą minę merkuryuszu w Almaden, na lat 700 przed Chrystusem, która za czasów Rzymian wydawała 100,000 centnarów rocznie, gdy dziś tylko 22,000 wydaje. Takie więc są zasługi Hiszpanów w dziejach

cywilizacyi europejskiéj, w których zaszczytnie ten naród wspominany będzie.

Rząd hiszpański jest wyrazem najsłabszego stronnictwa, i pod nazwą anomalicznego lub gitary, pozostaje w ręku kamarylli, która go wstecznie prowadzi. Jemu winien kraj owę ciągłą nieszczęśliwą wojnę domową, tę plagę Iberyi, niszczącą wszelki postęp. Zawiścią lub zemstą powodowany, z zimną krwią zabija brat brata, krewnego, przyjaciela lub współobywatela. Trzy stronnictwa istnieją w Hiszpanii: rządu, progressistów i Karlistów, czyli Montemolinistów. Policya urządzona jest w sposób niegodziwy. Największe nadużycia i bezprawia spełnione przy blasku słonecznym, uchodzą bezkarnie Policya i żandarmerya są bardzo liczne; wszakże zamiast zmniejszać się, liczba zbrodni stosunkowo się powiększa. Drogi publiczne przepełnione są rozbójnikami, czyli brygantami zbrojnemi, którzy znienacka wpadają na podróżnych, rabują ich kieszenie i dyliżanse, a żadnéj drogi bezpiecznéj nie pozostawią na każdym punkcie kraju.

Polityka przyczajona gabinetu madryckiego nie jest przystępną, i nie może być ani zgłębioną, ani odgadniętą. Raz płaszcząca się i na kolanach, potém bez zastanowienia się wyzywająca i śmieszna, to znowuż z wściekłością rzucająca się na ustalone prawa, wreszcie internacyonalna, przekładając związki familijne nad zdrowy interes narodu. Potrzeba nadludzkiego gieniuszu, ażeby wśród tych czarnych ciemności, rozplątać machiawelizm kamarylli madryckiéj.

Budowle nowoczesne, mianowicie z lat ostatnich, nie grzeszą smakiem architektonicznym. Ale zanadto kolosalny pałac królewski, olbrzymim planem odbiera wszelką możność Hiszpanii, do ukończenia go kiedykolwiek, lubo dotąd pożarł już tyle skarbów i czasu; zapewne koniec będzie miał taki, jak wszystkie tego rodzaju budowle w tym kraju. Ów tak okrzyczany Eskuryal, oprócz położenia czarowniczego pomiędzy górami, nic nie przedstawia ciekawego, i więcéj wygląda na obszerny klasztor Trapistów, jak na rezydencyą królewską. Gabinet obrazów tu znajdujący się, bardzo przetrzebionym został w tych czasach z oryginałów Murylla, które kopiami zastąpiono. La Granha ma więcéj całości w swoich stosunkach, i bez porównania rywalizować może z Neuilly, Schönbrunn i Łazienkami. Letnie mieszkanie w Aranhuez zanadto obszerne, chociaż grzeszy architekturą nakupioną i poklejoną, rozkoszném położeniem ściąga na siebie ciekawe oko turysty. Na piérwszém wyniesieniu ma z jednéj strony zwierzyniec i nader liczną królikarnię, otoczone rzeką Guadarama: a z drugiéj ogród i pałac, zamknięte rzeką Tagiem. Na dru-

giém zaś wyniesieniu leży miasto uwieńczono górami i wzgórzami. Wszędzie przyroda piękna i bogata, czyni to miejsce czarownem, malowniczém, i zachwycającém.

Wada narodowa w architekturze, mianowicie wielkich gmachów publicznych lub pomników, na piérwsze zaraz spojrzenie uderza cudzoziemca oczy. W Hiszpanii te arcydzieła zaczynają zwykle na skalę kolosalną, przechodzącą o wiele ich proporcyą, przeznaczenie i kosztorys. Skoro zaś fundusze wyczerpane zostaną, robota zatrzymać się musi, i prawie zawsze prędzéj zniszczeje, nim do zapobieżenia złemu znajdą się nowe środki.

Pod względem materyałów do budowli, Hiszpania nie ustępuje najbogatszym krajom. Drzewo budulcowe lubo drogie, dostawiają lasy Guadalahara, Sierra Nevada, Sierra Morena i inne góry. Nie zbywa i na marmurach. Brokatel i niektóre jednostajne hiszpańskie marmury, znane są w innych krajach. Góry najdawniejszych formacyj, tak mnogie w Hiszpanii, obfitują we wszystkie minerały. Granit szary wydobywany o siedm mil od Madrytu, w postaci bloków różnéj wielkości, lub ogromnych łomów i kolumn, dostarcza kamienia ciosowego, dającego się nawet polerować, jak granit egipski, tebański, lub z Syenny w starożytności. Twardy granit w najpiękniejszych brukach, zastępuje piaskowce krzemionkowe innych krajów. Ceramika hiszpańska dostarcza krajowcom owych sławnych garnków do wody, *alcarazas* zwanych, z ziemi białéj, przesiąkliwéj złożonych. Mają one tę szczególną własność, że przechowują świéżą i zimną wodę, chociażby na upał słoneczny wystawiona była. Ma Hiszpania doskonałe i obfite wapno. Rzeki dostarczają piasku kwarcowego tak do budowli, jako i do hut szklanych. Margiel, używany i tam do uprawy gruntu, i glinę, wszędzie się natrafia; glinę zdatną nietylko na cegłę i dachówkę, ale i na fajans (*pelunte*) i porcelanę (*kaolin*), których fabryka istnieje w Madrycie. Cała Katalonia pełna jest rudy żelaznéj i kuźnic. Wytapianie miedzi i ołowiu, na wielką tu odbywa się skalę. Cynku i cyny nie brakuje. Kopalnia merkuryuszu w Almaden, istnieje od roku 50 przed Chrystusem, już od téj epoki nazywana hiszpańską. Ale kopalni złota i srébra nie ma Hiszpania. Dawnemi czasy, Mexyk i Peru przysyłały corocznie 50 wielkich okrętów, *Galeas* zwanych, naładowanych srébrem i złotem, co uczyniło przez 250 lat najmniéj 20 bilionów funtów, a temi całą kulę ziemską okryćby można było. Trudno powiedzieć, jakim uszły kanałem te massy kosztownego metalu. Największą ich część pochłonęły kościoły. Napoleon z samych dzwo-

nów srébrnych w Hiszpanii zabranych, całą monetę francuzką wybijał. Pałac królewski, jeszcze przez Filipa IIgo zaczęty, a dotąd niedokończony, miał spotrzebować nieobliczone summy. Dziś w Hiszpanii daje się uczuć brak monety brzęczącéj; wszystkie talary hiszpańskie *duro* zwane, znajdują się na Wschodzie, w ręku Arabów, Turków, Maurów i innych ludów barbaryjskich. Takiż sam los spotkał monetę złotę *onza* zwaną, któréj każda sztuka uncyą złota waży, a ma wartości 97 franków. Ponieważ ta moneta rzeczywistą wartość większą miała od nominalnéj, pieniądz w gotowiznie wyszedł zupełnie za granicę. W ostatnich latach, ten ohydny handel pieniędzmi odbywał się nawet za pozwoleniem rządu. Francuzcy agenci objeżdżali cały kraj, i wykupowali monetę złotą i srébrną, płacąc pięciofrankowemi sztukami po 108 za 100. Znany generał Narwaez, miał wysłać w 1847 roku ze skarbu publicznego kilkadziesiąt wozów onzami hiszpańskiemi naładowanych, do banku paryzkiego na wymianę, i tym sposobem kraj prawie z reszty owéj brzęczącéj monety ogołocił. Teraz po całéj Hiszpanii tylko francuzkie pieniądze krążą; krajowych nie ujrzysz prawie.

Podróżny zwiedzić powinien Kadyx, Gibraltar, Walencyą, Barcellonę, Saragossę, Malagę i tyle innych miejsc i miast godnych poznania, a nadewszystko piękną Andaluzyą, do któréj stolicy, Sewilli, wabi samo przysłowie hiszpańskie:

„Quien no havisto a Sevilla,
Noha visto maravilla."

Co znaczy: że kto nie widział Sewilli, nie widział cudu. Będzie podziwiał w Andaluzyi żyjącą jeszcze architekturę maurytańską; w Granadzie, Żeneralifę i Alhambrę; w Kordowie meczet na 854 kolumnach marmurowych stojący, ze sławną Sunnehend; w Ecyha rynek miejski z placem publicznym. Pogodne niebo Andaluzyi, jéj płody afrykańskie, a nadewszystko sławny szczep płci pięknéj, ten prototyp szczególny rodu Maurów, dziś znikłego w Europie, sowicie nagrodzą ciekawość turysty. Sierra Morena ze swym cudownym krajobrazem, wydadzą mu się prawdziwym Edenem. Powinien widzieć w Madrycie na *Plaza de toros* walki i gonitwy z bykami, lubo ta najulubieńsza Hiszpanom zabawa, nie sprawi równéj przyjemności cudzoziemcowi. Za to z uweseleniem będzie się przypatrywał uciechom publicznym niższéj warstwy mieszkańców, szczególniéj w dni świąteczne, kiedy prawie cała ludność Madrytu zbiera się na cudownych i uśmiechających się błoniach rzeki Man-

zanurz. Tu w narodowych ubiorach *Majo* i *Maniola*, obojéj płci zachwyceni i zapaleni zwolennicy uciech, tańczą do upadłego z kastanietami w ręku swoje ulubione Fandango, Bolero, Hota, Kaczucza i t. p. przy dźwięku gitary lub innego muzycznego narzędzia, wtorującym śpiewowi. Lecz aby dokładniéj zbadać ducha narodowego Hiszpanów, poznać i dobrą i złą stronę ich towarzystw, konieczna jest znajomość hiszpańskiego języka. Niechaj więc bają nam tysiące przesadzonych bredni o Hiszpanii, panowie Dumas, Gauthier i spółka: sąd o nich zostawimy woli wyrozumiałego czytelnika, który chciał bez uprzedzenia i z uwagą, ten lekki nasz zarys przeczytać.

Cudowna kraino, Andaluzyo czarująca, pełna dla mnie słodkich wspomnień, wyrytych głęboko i nazawsze w tajnikach serca mojego i pamięci! Rzucałem cię ze smutkiem; tęskniący jeszcze dumam o tobie. I chociaż oddalony na kilkaset mil od ciebie, zasyłam do Przedwiecznego gorące modły o powodzenie twoje. Przyjmij moję życzliwość i bądź nazawsze miłą krainą!

O PRAWNYCH ZASADACH RACHUNKU BIEŻĄCEGO.

PRZEZ

Felixa Zielińskiego.

Ze wszystkich prawodawstw ucywilizowanego świata, objętych w porównawczym zbiorze praw handlowych pana Saint-Joseph, jeden tylko kodex handlowy portugalski (1) podał w osobnym oddziale zasady prawne rachunkowości handlowéj, któréj odznaczającém się zjawiskiem jest rachunek bieżący.

Prawa handlowe innych krajów, lub milczczą w sobie pojedyncze przepisy do rachunku bieżącego odnoszące się, albo uznają tylko prawne jego istnienie, nawiasowo czyniąc o nim wzmiankę, lecz nie określając bynajmniéj prawnéj natury stosunku, jaki z niego wynika.

Kodex handlowy francuzki dotychczas u nas obowiązujący, do rzędu tych ostatnich prawodawstw należy. W artykule 581, księgi trzeciéj (dziś zastąpionym we Francyi przez artykul 575 téjże księgi, na skutek prawa z d. 28 maja 1838 r.), przypuszcza kodex istnienie rachunku bieżącego, żadnym przecież przepisem zasad tego rachunku nie urządza.

Takie milczenie prawa więcéj przedstawia niedogodności u nas niż w kraju, gdzie kodex handlowy utworzony został. Tam w części przynajmniéj jest czém zastąpić i uzupełnić niedostatki kodexu. Świat handlowy wyrobił sobie prawo zwyczajowe w głównych za-

(1) Concordance entre les Codes de Commerce etrangers et le Code de Commerce français par Mr. Antholne de Saint-Joseph. Paris. 1844 str. 4 i 5 (oddział 3ci, tytułu 4go, księgi 1széj kodexu portugalskiego); tudzież str. 30 i 31 (tytuł 3ci księgi 2gléj tegoż kodexu). Kodex portugalski jest z roku 1833.

rysach jedne, zasadami silne, które we Włoszech wziąwszy swój początek, ztamtąd przeszło i upowszechniło się po całym niemal ucywilizowanym świecie; i doskonałością swoich urządzeń stanąwszy obok prawa rzymskiego, stało się głównem źródłem nowoczesnych prawodawstw handlowych, a między niemi i kodexu handlowego francuzkiego. Dlatego też Rada Stanu Francuzka, ciało polityczne, które temu kodexowi życie nadało, uznając powszechne źródło prawa handlowego, wyrzekła zdanie (avis) „że trybunały handlowe winny rozsądzać przedstawione im spory podług swego przekonania, opierając się na przepisach i duchu kodexu, lub gdy ten milczy, na prawie pospolitém (droit commun) i zwyczajach handlowych (1)."

To zdanie, oparte na znajomości początku i kształcenia się ustaw handlowych, podzielili wszyscy prawnicy francuzcy, a tak zyskano obfite źródło, zkąd czerpać można zasady dla uzupełnienia niedostatków kodexu. Są nawet we Francyi znakomici prawnicy tak przejęci doskonałością prawa zwyczajowego, tak lękliwi o jego całość pod ręką prawodawcy, że chcieliby jeśli nie całkiem ustawy handlowe usunąć, to przynajmniéj ograniczyć je do bardzo szczupłéj liczby ogólnych zasad prawnych, pozostawiając ustalenie ich następstw wolnéj pracy czasu i na ogólném przyzwoleniu opartemu zwyczajowi.

„Ustawa chce i nakazuje" mówi Fremery: „a więc zamknąć się winna w zakresie rzeczy, które od woli zależą i nakazać się dadzą. Lecz raz wolę swą wyraziwszy, ustawa następstw z niéj płynących oznaczać nie powinna; tak czyniąc, wkraczałaby w dziedzinę konieczności. W niepotrzebną i niebezpieczną rzecz wdaje się prawodawca piszący ustawy na to, co jest prawdą niezależnie od czyjéjbądź, a więc i od jego woli; w wywodach swoich omylić się może, lub używając mowy ludzkiéj, tego niedoskonałego choć niezbędnego narzędzia, niedokładnie myśl swoję wyrazi (2)."

Trudno jest zaprzeczyć trafności przywiedzionym tu słowom; więcéj przecież uwzględniają one doskonałość samego prawa, niż potrzebę jego pewności w każdéj chwili, w praktycznem zastosowaniu. Ta potrzeba stworzyła ogromne księgi praw naszych, wywołuje codzienne w nich zmiany, których długi jeszcze szereg przewidzieć można, zanim przyjdziemy do form klassycznych, tak słusznie wielbionych w prawie dawnych Rzymian.

(1) Pardessus: Cours de droit commercial, we wstępie (avertissement). Zdanie Rady Stanu z d. 13 grudnia 1811 r., potwierdzone d. 22 t. m. i r. Porównaj art. 906 K. P. S.

(2) Fremery: Etudes de droit commercial. Paris. 1833, str. 3.

Zwyczaj jest prawem ludu, jak przysłowia są jego mądrością; jak te ostatnie nie mogą z postępem ukształcenia starczyć za jedyny kodex moralności i filozofii, tak i zwyczaj przy więcéj rozwiniętych stosunkach daje uczuć potrzebę i brak ustawy.

Zwyczaj niewszędzie jest jednostajny; na swoje ustalenie potrzebuje czasu, zmienia się ze zmianą stosunków, w końcu zaciera się i niknie. Jeżeli w wyrokach sądów i w pismach prawników przechowały się o nim świadectwa, powaga tych świadectw nie dorównywa mocy ustaw, któremi w końcu zwyczaj wesprzéć trzeba. Ustawa bada zasadę zwyczaju, zbadaną wyraża w formie ogólnéj. Tak odrywając myśl od rzeczywistości, z którą dotąd zrośniętą była, ustawa niszczy życie zwyczaju, i dalsze kształcenie prawa oddaje w ręce oddzielnéj klassy prawników. Przejście od zwyczaju do ustawy jest konieczne; lecz nieraz ustawa łamie zwyczaj zamiast go uświęcać, a zniszczywszy żywotność rodzimego prawa, przypomina swojém istnieniem wątłe rośliny w cieplarni wyhodowane, i tam tylko byt swój utrzymać mogące.

Przejścia od zwyczaju do ustawy kodex handlowy francuzki niewszędzie dopełnił. Zdawałoby się, że mógł tego zaniedbać bez szkody w kraju, gdzie powstał, bo tam zwyczaj handlowy był dawny, silny, długi szereg pomników swego istnienia liczący. Pomimo to, nieujęcie w karby przepisów rachunkowości handlowéj zrodziło nawet we Francyi niepewność jurysprudencyi, a lubo źródło, zkąd niedostatek prawa zastąpić, było w pobliżu i płynęło obficie, mało kto z niego umiał lub chciał zaczerpnąć.

Gdzież tego źródła szukać u nas; jak, gdy prawo milczy, badać zwyczaj handlowy? Swojego nie mamy, za obcym śledzić, jakiż mozół i zachód, jak łatwo zbłądzić na drodze niepewnéj i nieznanéj! Przejście od zwyczaju do ustawy w przedmiocie rachunkowości handlowéj, we Francyi może stosowne, u nas jest potrzebą. Zanim przecież potrzebie téj zadość się stanie, przedewszystkiém zwyczaj poznać i zasady jego prawne wyłuszczyć należy.

Za punkt wyjścia, weźmiemy stosunki i urządzenia cywilne. Zastanowimy się pokrótce nad rachunkiem zwyczajnym, ażeby tém wybitniejszą stała się różnica zachodząca między nim i rachunkiem bieżącym.

Ważniejsze zasady Kodexu Cywilnego odnoszące się do rachunku są następujące (art. 1253—1256): Uplaty liczą się naprzód na procent, potém na kapitał. Dłużnik bez zezwolenia wierzyciela nie

może upłat liczyć na kapitał, kiedy jeszcze procent się od niego należy.

Dłużnik, jeżeli z kilku źródeł dług się od niego należy, może oświadczyć, na który dług upłatę czyni; jeżeli przecież w pokwitowaniu dozwoli uczynić wzmiankę, na który mianowicie dług upłata liczyć się winna, upłata na ten dług zarachowaną zostanie.

Jeżeli oświadczenia ze strony dłużnika nie było, i wierzyciel w kwicie nie zastrzegł nic względem zarachowania upłaty, upłata liczy się na dług wymagalny raczéj, niż na dług niewymagalny; a gdy jest kilka długów wymagalnych, na dług w którego zaspokojeniu dłużnik miał największy interes, np. na dług przynoszący wyższy procent.

Dodajmy, że nic stanowi różnicy, czyli dłużnik czyni upłatę wierzycielowi, czyli też stawia do potrącenia wzajemną jaką należność; w takim razie według przepisu art. 1291. 1292. potrącenie dwóch wzajemnych pieniężnych należności następuje samém przez się prawem, z chwilą ich wymagalności; tak, jak zmniejszenie długu następuje z chwilą upłaty.

Rachunek na tych zasadach oparty, jest rachunkiem zwyczajnym, zwanym we Francyi: *Compte par echelette.*

Przypuśćmy, że jedna osoba winna jest drugiéj zapłacić w dniu 1 stycznia 1850 r., summę rs. 15,000, od któréj procent liczy się wedle umowy po 6%.

Na dniu 1 lipca t. r. nastąpiła upłata rs. 7500. Ponieważ do chwili upłaty należało się procentu za pół roku rs. 450, więc z obliczenia wypadnie, przy zarachowaniu według zasad wyżéj wskazanych upłaty naprzód na procent, potém na kapitał, iż pozostanie nadal summa kapitalna rs. 7,950, od któréj dalszy procent liczyć się będzie.

Taki sam wypadek otrzymamy, chociażby summa rs. 7,500 nie była upłatą na dług rs. 15,000, lecz stanowiła wzajemną należność wymagalną w dniu 1 lipca 1850 roku.

Rachunek taki nie ma z natury swojéj stałych terminów obliczania; za każdą upłatą, z chwilą wymagalności każdego wzajemnego długu nowe obliczenie się nastąpić winno; zmniejsza się stopniowo wysokość kapitału, i procenta od mniejszéj liczą się ilości.

Gdyby jednak w przypadku, któryśmy za przykład wzięli, strony chciały uregulować swoje stosunki w dniu 1 stycznia 1851 r., to, jeżeli od dnia 1 lipca 1850 r. żadna okoliczność na zmianę tych stosunków nie wpłynęła, wypadek będzie następujący:

Należało się w lipcu 1850 roku w kapitale . . rs. 7,950
Procentu od téj summy do dnia 1 stycznia 1851 r.
przybyło. . . . . rs. 238 k. 50

należy się razem . . rs. 8,188 k. 50.

z czego tylko summa rs. 7950 jako kapitalna nadal procentowaną być winna, summa zaś rs. 238 k. 50, jako wyobrażająca procent za pół roku należny, nietylko procentu nie przynosi, ale nawet umowa przeciwna byłaby nieważna, gdy tylko procenta najmniéj za cały rok zalegające kapitalizowane być mogą (artykuł 1154 K. C.).

W przykładzie powyższym przyjęliśmy, iż summa rs. 15,000 przynosi procent. Na to potrzeba albo umowy między stronami, albo iżby należność z takiego pochodziła źródła, iż z samego prawa procent od niéj liczonym być winien.

Jedną z należności ostatniego rodzaju jest należność pochodząca z wykładów, jakie kto na interes drugiego czyni. (Artykuły 2001 Kodexu Cywilnego i 184 Kodexu handlowego).

Należności z tego źródła nader często się wydarzają w stosunkach handlowych. Kupiec załatwia interesa, czyni wypłaty nietylko w miejscu gdzie mieszka i ma swój kantor, lecz w miarę zakresu swoich działań w różnych miastach, różnych krajach, różnych nawet częściach świata.

Wypłaty te czyni, interesa załatwia za pośrednictwem swoich korrespondentów czyli kupców z któremi w stosunkach zostaje, i wzajem tę samę dogodność im wyświadcza, umawiając się z niemi poprzednio, do jakiego stopnia na ich usłużność liczyć może, czyli do jakiéj wysokości ma u nich otwarty kredyt. Z każdym korrespondentem prowadzi oddzielny rachunek; w stanie czynnym tego rachunku zapisuje to wszystko, co korrespondent za niego zapłacił, licząc na jego korzyść procent, według umówionéj stopy, od nazajutrz po dniu poniesionego wydatku, i w podobny sposób urządza stan bierny rachunku czyli rachunek tego, co mu się wzajem od korrespondenta należy.

Rachunek taki gdyby miał być prowadzonym w sposobie zwyczajnym, stałby się nieraz nader zawiłym i mozolnym. Przy nieustannym ruchu stosunków kupieckich, rachunek dwóch korrespondentów składa się z licznych pozycyj, z wydatków i wypłat, czynionych w krótkich odstępach czasu, niemal codziennie. Gdyby od każdéj należności miał być obliczony przypadający procent do chwili, w któréj nowa pozycya stan rachunku zmieniła, gdyby każda wzaje-

mna należność z chwilą wymagalności potrąconą być miała, i zarachowaną według zasad wskazanych naprzód na procent, potém na kapitał: summa dłużna jednemu lub drugiemu korrespondentowi zmieniałaby się nieustannie i co chwila téż od innéj summy należałoby obliczać procenta.

Tak zawiłego obrachunku uniknęli kupcy bardzo prostym i naturalnym sposobem: nie chcąc się obliczać codzień, umówili się o pewne stałe termina obliczania się, zwykle roczne lub krótsze od roku. Aż do umówionego terminu każdy z dwóch korrespondentów liczy swoję należność tak, jakby nic wzajem dłużny nie był, a swój dług tak, jakby mu się nic nie należało. Wyrażając się językiem prawnym, kupcy odstąpili od zasady w prawie cywilném przyjętéj, że potrącenie dwóch wzajemnych pieniężnych należności następuje saméms przez się prawem z chwilą ich wymagalności, a natomiast przyjęli za prawo, że potrącenie należności zapisanych w ich rachunku bieżącym, następuje z chwilą zamknięcia rachunku.

Ważne to odstąpienie od zasad ogólnego prawa leży w istocie rachunku bieżącego. Wiemy, że nie można być dość ostróżnym w przyjmowaniu co do stosunków handlowych, wyjątków od wyraźnych przepisów prawa cywilnego. Wyjątki takie wprowadzając sprzeczność między cywilném i handlowém prawem, psują harmonią całości prawodawstwa. Wszakże rachunek bieżący stanowi stosunek w handlowym świecie powszechny, przez wszystkie niemal prawodawstwa uznany, choć nieokreślony. Gdy zaś istota tego rachunku niesie z sobą wyjątek od przepisów cywilnego prawa, trudno jest dopuszczalności tego wyjątku nie uznać.

Nadmienić tu widzimy potrzebę, że jeżeli w zasadzie rachunku bieżącego uważamy odstąpienie od zasad ogólnego prawa, to nie rozumiemy przeto, iżby praktyka kupiecka odstąpiła od zasad czystego rzymskiego prawa, ale tylko, że odstąpiła od zasad w mniemaniu dawniejszych prawników powszechnie za czysto rzymskie uchodzących, i w takim kształcie wcielonych do nowoczesnych prawodawstw, np. do kodexu cywilnego francuzkiego. Najbieglejsi przecież z dzisiejszych badaczów prawa rzymskiego tłumaczą przepisy tego prawa w sposób niesprzeciwiający się bynajmniéj wskazanéj tu zasadzie rachunku bieżącego. Nie mniemają oni, iżby według prawa rzymskiego potrącenie nawet bez wiedzy stron następowało, jak to zbyt dosadnie Kodex Cywilny francuzki w artykule 1290 wyraża, lecz za istotną rzymską zasadę podają, że potrącenie następuje wtedy, kiedy jest żądane, i że tylko skutek jego, jeżeli dopuszczo-

ném zostanie, cofa się do chwili w któréj oba długi stały się wymagalne (1). Tak więc praktyka kupiecka mając jasne uznanie potrzeb handlu, lepiéj trafiła w prawdziwe znaczenie prawa rzymskiego, niż cały świat prawny tworzeniu się jéj współczesny, i najzawołańsze nowoczesne kodexa!

Widzieliśmy jakiéj natury były stosunki, które doprowadziły do utworzenia rachunku bieżącego. Byłto rachunek gotowych wykładów, jakie dwaj kupcy czynili za siebie wzajemnie, i dlatego rachunek ten w najdawniejszych pomnikach zwyczaju handlowego, w których o nim jest mowa, zwany jest rachunkiem *de numerato* (na gotowiznę) (2). Wyrażenie to łacińskie, zdaje się być wzorem włoskiego *conto corrente*, którego znaczenie nam objaśnia. Nazwa włoska i utworzone w zastosowaniu się do niéj nazwy rachunku bieżącego w innych językach europejskich, przypominają inną jeszcze jego własność. Wykłady na rachunek bieżący zapisane, czynione są bez zastrzeżenia terminu zwrotu; każdy z dwóch korrespondentów ma prawo w każdéj chwili żądać oddania sobie wzajem usługi, którą sam wyświadczył, przekazując do uskutecznienia wypłaty i t. d., poczém znowu w granicach kredytu przez siebie otwartego zlecenia sobie dawane uskuteczniać jest obowiązany. Tę nieustanną zamianę wzajemnych usług dobrze oddaje nazwa rachunku bieżącego.

W odróżnieniu od niego, wszystkie długi terminowe objęte były rachunkiem terminowym, zwanym w dawnych pomnikach zwyczaju handlowego, *ad tempus*, *compte du temps* (3). Długi te nie przynosiły procentu z mocy samego prawa, i ten zwykle już w nich bywał objęty ze względem na odległość terminu.

(1) Vangerow: Leitfaden für Pandekten Vorlesungen, wydanie z roku 1849. T. III, str. 347—353. Mylnego rozumienia zasad rzymskich, stały się powodem pojedynczo brane miejsca (jak np. w kodexie Justyniana l. 21, T. 4: „Posteaquam placuit inter omnes id quod invicem debebatur ipso jure compensari"), w których nietrudno dojrzeć źródła prawa naszego. Z temi miejscami porównać przecież trzeba inne, np l. 1. § 4 D. de contrar tut. act. (sic erit arbitrii ejus utrum compensare an petere velit sumtus) ażeby zrozumieć istotne znaczenie wyrażenia „ipso jure" użytego w miejscu na początku przywiedzionem i temu podobnych. Pierwotnem źródłem przepisu prawa francuzkiego, że potrącenie następuje bez wiedzy stron, zdają się być l. 10, § 1 D. (5, 3) i l. 30 D. (12, 6) de cond. indeb.

(2) Rota genueńska *decis.* 191, nr. 7, *decis.* 173, nr. 2, przywiedzione u Fremerego str. 383.

(3) Cleirac: Commerce des lettres de change, ch. 13, nr. 8.

Przeciwnie, od wszystkich wykładów zapisanych na rachunek bieżący, liczono sobie procent od dnia następnego po ich poniesieniu, co wyraża pełna nazwa tego rachunku w francuzkim języku: *Comple courant et d'interêts.*

Te rozmaite nazwy rachunku, podają nam inne jego oprócz wskazanéj poprzednio zasady. Jestto rachunek procentowy (*d'interêts*), czyli zasadą jego prawną jest, iż każda pozycya w nim zamieszczona przynosi procent. Dlatego gdy zwyczaj handlowy rozszerzając zastosowanie rachunku bieżącego, dozwolił w nim zamieszczać należności z innych, niż poczynione wykłady, źródeł pochodzące, zezwolenie na zapisanie jakiego długu w rachunku bieżącym zaczęło być i jest dotąd uważaném za przyjęcie obowiązku płacenia od tego długu procentu.

Zasada, że wykłady przez korrespondentów czynione na rachunek bieżący, nie mają zakreślonego terminu zwrotu, znaną jest w handlowym świecie pod wyrażeniem, że bilans rachunku bieżącego jest w każdéj chwili wymagalny.

Zasady tu podane, wskazują zakres stosunków do których rachunek bieżący użyty być może. Pojedyncza pozycya odmiennéj natury, może przez to samo, że ją z obustronném zezwoleniem zamieszczono na rachunku bieżącym, nabyć znamion rachunkowi temu służących; lecz jeżeli stosunki między stronami były przeważająco innego rodzaju, obliczenie ich w sposobie rachunku bieżącego byłoby niedopuszczalne (1).

Rachunek bieżący jest rachunkiem należności wzajemnych procent przynoszących; jest w nim dwóch dłużników i są dwaj wierzyciele. Jeżeli jedna tylko strona jest wierzycielką, a druga na swój dług czyni tylko uplaty, rachunek bieżący nie jest między niemi właściwy. Wzajemna należność, chociaż mniejsza od należności głównéj, może przynosić procent dopóki potrącenie jéj nie nastąpi, a jak widzieliśmy, potrącenie odkłada się w rachunku bieżącym do chwili jego zamknięcia; lecz uplata czyniona na dług zmniejsza jego wysokość, ale do liczenia sobie od niéj procentu, żadnego nie może dawać tytułu.

(1) Fremery str. 378, 391 słusznie uważa, że Sąd Apellacyjny w Bordeaux zadaleko się posunął twierdząc (wyrok z d. 3 grudnia 1827 r.), że wszelka operacya między handlującemi ulega obliczeniu w sposobie rachunku bieżącego.

Częściowa zatém spłata udzielonéj pożyczki, nie może być obliczana w sposobie rachunku bieżącego. Zasadę tę przyjął Sąd Apellacyjny paryzki w wyroku z d. 18 maja 1825 r. (1).

Wskazawszy właściwy zakres i główne zasady rachunku bieżącego, zastanowimy się pokrótce nad różnemi sposobami jego prowadzenia, i nad skutkami jego zamknięcia: w części, aby na przykładzie okazać odmienność jego wypadków od wypadków rachunku zwyczajnego; w części, ażeby objaśnić niektóre kwestye rozmaicie a czasem niewłaściwie rozstrzygane.

Mówiąc o różnych sposobach prowadzenia rachunku bieżącego, spuścimy z uwagi to, co pod względem buchhalterycznym ciekawego przedstawiają, zastanawiając się nad niemi o tyle tylko, o ile wywołują spostrzeżenia prawne.

Pierwotnym i najprostszym, chociaż nienajdogodniejszym sposobem prowadzenia rachunku bieżącego, jest tak zwana metoda bezpośrednia (*metode directe*). Według téj metody urządzony rachunek przedstawia się jak następuje:

Na osobnéj stronnicy oblicza się stan bierny (*debet*), a na osobnéj stan czynny każdego korrespondenta. Główna kolumna na każdéj z tych stronnic, przeznacza się na zapisywanie należności w kapitale, porządkiem czasu. Od każdéj pojedynczéj należności, liczy się sposobem rachunkowości kupieckiéj właściwym procent za czas od nazajutrz po dacie jéj przypadnięcia, po dzień zamknięcia rachunku; przyczém każdy miesiąc uważa się za przeciąg dni trzydziestu. Procent zapisuje się w kolumnie oddzielnéj, lecz na téj saméj linii co kapitał należności. Przy zamknięciu czyli zbilansowaniu rachunku, kolumny kapitałów i procentów, summują się tak w stanie biernym, jak w stanie czynnym; cyfry mniejsze odejmują się od cyfr większych, a różnice czyli tak zwane salda, dodają się do siebie lub odejmują według okoliczności przypadku. Dodają się różnice jeżeli dłużnik w kapitale jest zarazem i dłużnikiem w procencie; odejmują się różnice, jeżeli w kapitale i procentach nie wypadły na korzyść jednéj strony.

Ostateczny wypadek téj operacyi daje saldo ogólne, czyli wyraża należność, jaką jeden korrespondent ma u drugiego. Należność ta, przechodzi na nową epokę rachunku, który prowadzi się daléj tym samym sposobem.

(1) Dalloz: Dictionnaire etc. sub voce: Compte courant § 1, nr. 8.

Bilans rachunku, strona stronie przesyła. Korrespondent bilans przyznaje lub zarzuty przeciw niemu czyni. Skutki przyznania bilansu (*arreté de compte*) poniżéj ocenimy.

Rachunek bieżący składa się często, jak to z natury stosunku wynika, z wielu pozycyj; epoka na wzajemne obliczenie się umówiona, nie dochodzi zwykle roku.

Dla nieutrudzenia przecież uwagi czytelników, i gdy nam idzie nie o danie buchhalterycznego wzoru rachunku bieżącego, lecz o prawną analizę jego wypadku i wykazanie zachodzącéj między nim a wypadkiem rachunku zwyczajnego różnicy: wypadek rachunku bieżącego okażemy na tych samych cyfrach, których poprzednio już użyliśmy do zastosowania rachunku zwyczajnego.

Przypominamy, że należność jednéj strony wynosiła rs. 15,000 w d. 1 stycznia 1850 r.; należność zaś drugiéj strony w d. 1 lipca t. r., czyniła rs. 7,500.

Stopa procentu była umówioną na 6%.

Bilans w księgach korrespondenta, który zaliczył rs. 15,000, będzie się tak przedstawiał:

Winien rs.	15,000		procentu 900 (od 1 stycznia).	
Ma —	7,500		— 225 (od 1 lipca).	
(Saldo kapitałowe) —	7,500		saldo proc. 675	
—	675			
Saldo ogólne —	8,175			

W przykładzie tym, saldo procentowe dodane zostało do salda kapitałowego, bo oba na korzyść jednéj strony wypadły; gdyby przecież summa rs. 15,000 zaliczoną była nie 1 stycznia jakeśmy przyjęli, ale dopiéro 1 grudnia 1850 r., przewyżka w procencie byłaby na stronie summy mniejszéj (rs. 7,500), lecz dłużéj, bo przez sześć miesięcy procentującéj, a wtedy saldo procentowe należałoby odjąć od salda kapitałowego.

Zastanówmy się nad ostatecznym wypadkiem rachunku wykazującym saldo rs. 8,175. Cyfra ta jest summą dwóch saldów, w kapitale rs. 7,500 i w procencie rs. 675. Zdawałoby się zatém, że w dniu 1 stycznia 1851 r., jeden korrespondent winien jest drugiemu rs. 7,500 w kapitale, i rs. 675 w procencie.

W istocie przecież rzecz ma się inaczéj; w danym przykładzie, saldo rs. 8,175 w oczach prawa nie jest summą długu w kapitale i długu w procencie, lecz stanowi jednę czystą kapitałową należność.

Jakież było położenie stron obu w chwili ułożenia bilansu?

Jednéj stronie należało się w kapitale rs. 15,000 i w procencie rs. 900, razem rs. 15,900.

Druga, miała do potrącenia wzajemną należność w kapitale rs. 7,500 i w procencie rs. 225, czyli razem rs. 7,725.

Potrącenie dwóch wzajemnych należności, następuje, jak to już powiedzieliśmy, w ten sam sposób, co i zarachowanie upłat; należność wzajemną strąca się naprzód z procentu, potém dopiéro z kapitału.

Według téj zasady, należność rs. 7,725 potrąconą być winna naprzód z procentem od summy większéj rs. 900 wynoszącym, a reszta dopiéro zarachowana na kapitał, zmniejszy go do cyfry jak wyżéj rs. 8,175. Cyfra ta zatém nie składa się z kapitału i procentu, lecz powstała ze zmniejszenia się kapitału, po potrąceniu całkowitego zaległego procentu. Ponieważ zaś należności mieszczone na rachunku bieżącym, przynoszą procent z samego prawa, ponieważ należności te nie zmieniły swojéj natury przez zmniejszenie skutkiem potrącenia: wynika ztąd, iż należy się procent od pozostałéj ich reszty czyli salda.

Tak więc z rachunku zwyczajnego należność wynosiła w d. 1 stycznia 1851 r., rs. 8,188 k. 50, z czego rs. 7,950 składało kapitał, a rs. 238 k. 50 procent; w rachunku bieżącym do tego samego przypadku zastosowanym należność wyniosłaby tylko rs. 8,175, czyli o rs. 13 k. 50 mniéj, lecz stanowiłaby czysty kapitał. Jest więc w rachunku bieżącym strata na procencie dla tego, kto ma większą kapitałową należność; strata tém większa, im dłuższą jest epoka na zbilansowanie rachunku umówiona.

Wskazaliśmy zasadę dla któréj, i w granicach zastosowania któréj saldo rachunku bieżącego procent z samego prawa przynosi. Nie zdawszy sobie sprawy z istotnego stanu stosunków między stronami po sporządzeniu bilansu zachodzącego, wielu kupców, a nawet wielu prawników zwiedzeni zewnętrzną formą bilansu, uważają saldo za składające się *zawsze* z kapitału i procentu, i siląc się napróżno o wynalezienie zasady, z mocy któréj część salda procent zaległy reprezentująca, miałaby nadal procent przynosić, zwłaszcza gdy takie kapitalizowanie procentu, przy względzie, że epoka bilansowania rachunku zwykle krótszą jest od roku, podchodzi pod wyraźny zakaz prawa (art. 1154 K. C); prawnicy ci przyjmują, że zwyczaj handlowy stanowiąc wyjątek od

przepisów prawa, dozwala procentu składanego w krótszych nawet niż roczny przeciągach, lub też twierdzenie, że saldo procentowe przynosi procent, opierają na zasadzie, iż w handlu jest przyjętém, że kapitały nie mogą próżnować.

Twierdzenia te są niepotrzebne; nie można się też zgodzić na samowolne stanowienie wyjątków od wyraźnych przepisów prawa cywilnego.

Różnica w teoryi nie pociąga za sobą w danym przykładzie różnic w praktyce; bo i według nas całkowite saldo rs. 8,175 nadal procentuje jako stanowiące czystą kapitałową należność takiego rodzaju, iż z samego prawa procent od niéj liczony być winien. Zdarzyć się jednak mogą, a nawet dość często zdarzają się przypadki, gdzie saldo nietylko z kapitału, lecz rzeczywiście i z procentu się składa. Taki przypadek zachodzi, gdy jeden z korrespondentów nie z swéj strony nie wniósł przez cały ciąg jakiéj epoki istnienia rachunku bieżącego, albo gdy wzajemna jego należytość nie dorównywa nawet procentom od summ, które jest winien.

Często skutkiem nieporozumienia lub dla innych przyczyn, stosunki między korrespondentami ustają, nawet bez wyraźnego ich wypowiedzenia z któréjbądź strony. Saldo niezapłacone przez lat kilka, przenosi się z rachunku do rachunku, nim przyjdzie do kroków sądowych lub zgodnego załatwienia kwestyi. Możnaż w takim razie prowadzić rachunek w ten sposób, aby w epokach na zbilansowanie umówionych, np. co trzy miesiące, procent od salda poprzedniego doliczać, na kapitał go obracać i w epoce następnéj całą tę należność za procentującą uważać?

Jurysprudencya francuzka kwestyą tę w rozmaity sposób rozstrzyga. Sąd Apellacyjny w Orleanie (wyrok z dnia 27 sierpnia 1840 r.) (1) przyjął, że w tym razie należy się procent składany, opierając to zdanie na zwyczaju handlowym. Sąd Apellacyjny w Bruxelli uznał (wyrok z d. 13 stycznia 1813 r.) (2), że saldo jeżeli nie było umowy przeciwnéj stron, wcale procentu nie przynosi. Sąd Apellacyjny paryzki (wyrok z d. 24 czerwca 1812 r.) (3) inaczéj jeszcze rzecz oceniając, wyrzekł, że tylko rachunek przez drugą stronę przyjęty procent przynosi. Sąd Apellacyjny w Li-

(1) Dalloz: Supplement, sub voce: Compte courant nr. 21—33.
(2) Dalloz: Dictionnaire, sub voce: Compte courant § 1 nr. 21.
(3) Dalloz ibid. Nr. 22.

moges (wyrok z d. 20 listopada 1818 r.) (1) wychodząc z téj saméj co sąd paryzki zasady, uznał, iż w przeciwnym razie, t. j. jeżeli przyjęcie nie zaszło, rachunek winien być zrobiony jednym ciągiem i z jednym tylko bilansem (d'un seul jet et avec une seule balance). Wyrzeczenie to oparte zostało również na zwyczaju handlowym, a sąd kassacyjny rozpoznając wyrok sądu w Limoges, uznał, iż rozporządzenie jego nie jest z żadną ustawą w sprzeczności.

Przepisy prawodawstw innych krajów zdają się najwięcéj zbliżać do systematu przyjętego przez sąd paryzki, t. j. procentowanie salda czynić zależném od przyjęcia rachunku przez korrespondenta (2).

Zasada ta przecież nie wynika z natury stosunku. Korrespondent który rachunku nie przyjął, może czynić zarzuty przeciw pojedynczym tego rachunku pozycyom, lecz odmówienie przyjęcia rachunku nie wywiera żadnego wpływu na istniejącą między stronami umowę. Według téj umowy, według saméj nawet istoty rachunku bieżącego, potrącenie wzajemnych należności w zwyczajnych stosunkach z chwilą ich wymagalności następujące, w tym rachunku odkłada się do epoki na sporządzenie bilansu przeznaczonéj. Do téj zatém tylko chwili można liczyć procent od należności mniejszéj. Wszakże już z téj możności liczenia procentu od należności mniejszéj wynika, jak widzieliśmy, niekorzyść w rachunku bieżącym dla tego, kto ma należność większą; niekorzyść tém znaczniejsza, im odleglejszą jest epoka zbilansowania. Gdybyśmy z powodu nieprzyjęcia rachunku przez jednę ze stron odłożyli potrącenie wzajemnych należności aż do epoki wytoczenia kroków sądowych, jak chce sąd w Limoges, zwłoka ta uciążyłaby wbrew wyraźnéj osnowie umowy stronę mającą należność większą,

(1) Dalloz ibid. Nr. 24.

(2) Landrecht pruski, część II, tyt. 8, § 697: „Wenn Kaufleute sich untereinander wegen wechselseitiger Forderungen an Capital und Zinsen berechnen, so ist der welchem ein Ueberschuss gebührt von dem ganzen Betrage desselben wenn gleich darunter Interessen mitbegriffen sind Zinsen seit dem Tage des Abschlusses anzusetzen berechtigt." Kodex portugalski art. 288 w tłumaczeniu p. St. Joseph: Il y a lieu à compte et paiement d'intérêt pour chaque retard dans le remboursement d'une dette commerciale liquidée, ainsi que dans le cas d'arreté de Compte courant entre deux maisons de Commerce, lorsque la dette n'a pas eté acquittée par la maison debitrice. Porów. § 148 Instrukcyi szczegółowéj dla Banku Polskiego z d. 21 lipca 1841 r.

a skutkiem uczynienia bezzasadnych nieraz przeciw rachunkowi zarzutów, lub tylko odmówienia ich przyjęcia, byłaby korzyść w sprzeczności z zasadami umowy osiągnięta. Podobna korzyść nigdy przecież wypływem jednostronnego czynu być nie powinna.

Saldo zatém musi być odniesione do epoki na zbilansowanie rachunku przeznaczonéj. Procentowanie salda nie jest skutkiem jego przyznania przez drugą stronę, lecz o ile saldo reprezentuje kapitał, procent od niego płynie samém przez się prawem.

Właściwe zasady zdają się nam w téj mierze następujące: Rachunek bieżący istnieje między stronami dopóty, dopóki zachodzą między niemi stosunki, które w taki sposób obliczać jest właściwém, t. j. dopóki obie strony są wzajemnie wierzycielami i wzajemnie sobie dłużnemi. Jeżeli jedna tylko ze stron jest wierzycielką, nie ma rachunku bieżącego. Chociażby zatém umowa otwarcie rachunku bieżącego poprzedzająca, przez żadną stronę wypowiedzianą nie została, przecież zmiana w rzeczywistych między stronami stosunkach, wypowiedzenie umowy zastępuje. Jeżeli w terminie na zbilansowanie rachunku umówionym, np. po miesiącach sześciu, zrobiono bilans, i odtąd stosunki dające powód do rachunku bieżącego ustały; jeżeli np. od téj chwili strona będąca dłużną nic nie wniosła: nie można po upływie drugich sześciu miesięcy do poprzedniego saldo dodawać procent, sporządzać nowy bilans, chociaż nie ma do niego elementów i od salda tego bilansu procent liczyć. Zasadę tę zastosowalibyśmy nawet wówczas, gdyby na rachunek piérwszego salda w epoce następnéj coś wpłynęło, jeżeli tylko z natury stosunków między stronami zachodzących wynika, że wpływy nie stanowiły żadnéj wzajemnéj należności, ale prostą były upłatą.

Od salda bilansu, z którego sporządzeniem stosunki między stronami sposobem rachunku bieżącego obliczane istnieć przestały, procent płynie z samego prawa, o tyle tylko przecież, o ile saldo to według wskazanych powyżéj zasad składa się z saméj kapitalnéj należności. Jeżeli saldo składa się i z procentu, nie ma zasady dla któréjby, przy ustaniu rachunku bieżącego, część to salda nadal procent przynosiła. W razie dalszego trwania rachunku bieżącego, uważalibyśmy w przeniesieniu salda, chociaż złożonego w części z zaległego procentu, na kolumnę należności kapitałowych, dostateczny tytuł do liczenia od całego salda procentu. Jak tylko przecież rachunek bieżący ustał, o doliczaniu procentu do kapitału mowy być nie może.

Zasady tu podane wystarczą do rozstrzygnienia ważniejszych sporów, jakich rachunek bieżący może stać się powodem.

Pozostaje nam jeszcze pomówić o innych, od już wspomnionéj, metodach utrzymywania rachunku bieżącego.

Według metody drugiéj, tak zwanéj pośredniéj (methode indirecte), wszystkie pozycye rachunku sprowadzone zostają do jedności czasu, przez odniesienie ich nie tak jak w metodzie piérwszéj do dnia zamknięcia rachunku, lecz do dnia pod którym najwcześniejsza pozycya zapisaną została. Od należności po tym dniu do rachunku wciągniętych, strąca się procent za cały czas pośredni. Bilansuje się jak poprzednio. Metoda ta w użyciu dogodniejsza od piérwszéj i więcéj od niéj używana, daje te same co tamta wypadki rachunkowe, a przez to samo pod względem prawnym nie przedstawia nic do nadmienienia.

Istotną odmianę rachunku bieżącego stanowi trzecia metoda, tak zwana hamburska. Spostrzegać się w niéj daje niejakie zbliżenie do zasad rachunku zwyczajnego. Według téj metody potrącenie wzajemnych należności uskutecznia się, ale tylko w kolumnie kapitałów, z chwilą ich wymagalności. Wypadki rachunku w ten sposób urządzonego nie różnią się w niczém od wypadków otrzymanych według dwóch piérwszych metod, jeżeli wszystkie pozycye rachunku jednéj stopy procent przynoszą. Jeżeli wysokość stopy nie jest jednakowa, w wypadku okaże się różnica na korzyść tego, który do niższéj stopy procentu od swojéj należności miał prawo.

Metoda hamburska jest odstąpieniem od ścisłości zasad rachunku bieżącego, odstąpieniem bez wątpienia dopuszczalném, lecz względem którego zajść musi między stronami umowa, ażeby zastosowaném być mogło. Umowę stron może pod tym względem zastąpić tylko panujący niespornie w jakiém miejscu zwyczaj handlowy.

KONGRES W NIEMIROWIE 1737 r.

Cóż po tém wiedzieć, co się w Rzymie działo,
a nie wiedzieć: co się dzieje doma?
A. M. Fredro.

Na rozległych równinach żyznéj Ukrainy, w odległości mili od krętém korytem toczącéj swe nurty rzeki Bohu, leży Niemirów. Miasto niegdyś ludne, handlem i zamożnym stanem mieszkańców słynęło, ale po zadanych mu klęskach przez Bogdana Chmielnickiego, następnie przez Turków, a nakoniec 1702 r. od czerni ukraińskiéj wiele ucierpiawszy, przyszło do zupełnego upadku. Niemirów z okolicznemi włościami, rozproszonemi na kilkomilowéj przestrzeni, własnością był 1737 r. dzielnego w boju męża Józefa Potockiego wojewody kijowskiego, hetmana wielkiego koronnego, kiedy osobliwszém losu zdarzeniem, obranym został na miejsce obrad i układów o pokój, w czasie toczącéj się wojny między trzema potężnemi mocarstwami. Wtedyto mała, nikczemna ta mieścina stała się głośną i nabrała znaczenia w świecie politycznym; cała Europa miała na nią zwróconą uwagę i pilnym śledziła wzrokiem odbywające się tamże narady, mające położyć koniec trwającemu krwi rozlewowi (1). Fakt ten, tyle ważny w dziejach, a zaszczyt wielki Niemirowi przynoszący, zabłysł jak świetny meteor, zgasł i równie prędko zatarł się w pamięci ludzkiéj. Lubo epoka ta rozgłosu Niemirowa nie jest zbyt odległa, dziś wszakże mało już kto wié o tym zjeździe; odświeżyć go przeto i ponowić zamierzyłem, zwłaszcza iż dostał mi się w ręce nader

(1) Niemirów własnością jest teraz Bolesława hr. Potockiego, ma gimnazyum, i należy do porządniejszych i znaczniejszych miast guberuii podolskiéj.

ważny i rzadki współczesny drukowany zabytek, a tym jest *Kuryer Polski* z roku 1737, który sposobem dyaryuszu ciekawe podaje szczegóły.

Nieobrobione dotąd panowanie Augusta III, wiele ważnych w tajemniczości, i że tak rzekę, w całkowitém nawet ukryciu pozostawia wypadków, w których liczbie mieści się i ów zjazd czyli kongres. Najpierwsza o nim, ile mi wiadomo, zachodzi wzmianka w kilku tylko wyrazach zawarta w dziełku: „Dzieje królestwa Polskiego lat porządkiem opisane, z francuzkiego języka na polski przełożone, poprawione, i przydatkiem życia Augusta III pomnożone, 1766 r." przez księdza Jana Albertrandego S. J., lubo nazwisko jego nie jest wymienione. Więcéj i dokładniéj wyrzekł o tym zjeździe J. L., przerobiwszy historyą Teodora Wagi 1824 r., co tóż przytoczyłem w II tomie Starożytnéj Polski. Wskrzesić zatém europejski ten, a bliżéj nas obchodzący wypadek, i na większy nieco rozmiar skreślić o nim wiadomość, nie będzie od rzeczy.

Już rok upływał, jak cesarzowa rossyjska Anna i Karol VI cesarz niemiecki prowadzili wojnę przeciw Porcie otomańskiéj; nakoniec porozumiawszy się z panującym w Polsce Augustem III, zgodziły się trzy wojujące strony na wyprawienie swoich pełnomocników do kraju neutralnego, celem zawarcia pokoju. Naznaczony na miejsce zjazdu Niemirów w województwie bracławskiém, powiecie winnickim, miał tak zwany zamek, który na wzór przygrodków ukraińnych, zbudowany był w znaczniejszéj części z drzewa, otoczony przekopem, ostrokołem i wałami. Nie mógł on żadną miarą przyzwoicie i wygodnie pomieścić w sobie spodziewanych gości z licznym ich orszakiem; zaradzając przeto téj niedogodności, zjechał tu dziedzic Józef Potocki, obrał stosowne miejsce za miastem, wytknął plac na wystawienie drewnianego budynku dla odbywania konferencyj, tuż obok polecił wznieść szałasy i namioty, a jako hetman W. K. przeznaczył część wojska pod rozkazami generała-majora Wilhelma Miera dla czuwania nad bezpieczeństwem w czasie nastąpić mającego zjazdu; upoważnił go nadto do prowadzenia robót około obozowiska dyplomatycznego i przyjmowania dostojnych posłanników: słowem uczyniwszy Miera *alter ego*, i wydawszy różne rozporządzenia, odjechał do zwykłéj swojéj rezydencyi Załoziec niedaleko Brodów.

Doniesienie z Niemirowa w zmiankowanym *Kuryerze Polskim*, brzmi w tych słowach: „Z dyspozycyi generała Miera wystawiona za miastem w polu, przy niedalekich każdą stroną wodach i lasach

dosyć wspaniała *et intus* adornowana, 60 wzdłuż, 10 wszérz sążni mająca w sobie szopa, na przyszły *mediorum pacis inter belligerentes partes* kongres, przy któréj dwa namioty wspaniałe i kosztowne stykające się z bokami szopy, *a latere* dwadzieścia celt żołnierskich i namiot oficierski. *Ad famam* zbliżania się ku miastu barona *Thalmann* (1) posła cesarza Jmć chrześciańskiego 28 *junii*, wyjechał z zamku niemirowskiego generał Mier *in numerosa assistentia* oficierów cudzoziemskiego authoramentu *ad numerum* sto osób na dobrych koniach, i tak zjechawszy się o staj troje od szopy z Jmć P. posłem, prowadził go do niéj przy odgłosie armat i ręcznéj broni. Jmć Pan poseł siedział na gniadym tureckim bogato przybranym, przed którym szła dragonia, za nią jechał koniuszy Jmć P. posła i prowadzono 40 rumaków pięknie przybranych, a za Jmć P. posłem dwa szwadrony pancerne. Mułów 50 różne na sobie *necessaria portabant*, wielbłądów 80 z namiotami Jmć P. posła, jego sekretarza, dwóch kapelanów Reformatów i innéj assystencyi; maż 20 po 4 woły (2), w których wina i inne *ad victum necessaria* były. Godzinę dobrą zabawiwszy się u szopy, zaproszony został Jmć Pan poseł na traktament do zamku, i *humanissime* był częstowany przy dawaniu z armat ognia. Poczém odjechał Jmć Pan poseł w pole do namiotów swoich, których było nieda·leko szopy trzydzieści rozbitych".

Nadciągnęli téż z licznemi swemi taborami i posłowie turecey, przebywszy Dniestr pod Soroką; ale dowiedziawszy się, że nie masz jeszcze pełnomocników rossyjskich, zatrzymali się opodal od Niemirowa, mając w tém, jak to niżéj zobaczymy, dumą podniecone widoki na względzie. Przez całe trzy tygodnie oczekiwano na przybycie z Kijowa posłów rossyjskich, którzy może i dlatego zwlekali swój przyjazd, że budynek na obrady nie był jeszcze należycie wykończony, mimo wszelkich usiłowań i starań podejmowanych przez generała Miera. Brak materyałów i zdolnych rzemieślników, wśród téj stepowéj krainy, wielce utrudniało dokonanie dzieła; czas upływał, a w tém nadeszła wiadomość, że wojska rossyjskie pod wodzą feldmarszałka *Münnicha* zdobyły szturmem mocną twierdzę Oczaków. Jednocześnie prawie zjechał był August III z dziedzicznych swoich krajów do Wschowy na

(1) Korrespondent niemirowski przeistoczył go na *Dalman*, w późniejszém zaś doniesieniu zamiast hr. D'Ostein, pisze *Ostein*.

(2) Maża, także mazia, jest nazwa wozu łubem wyłożonego na Rusi.

zwykłe *senatus consilium*, gdzie dnia 11 lipca dawał publiczne posłuchanie posłowi od wysokiéj Porty. Na téjże radzie senatu była mowa o wyprawieniu ze strony rzeczypospolitéj posłannika do Niemirowa; lecz nie nastąpiła zgoda, a wniosek ten spełzł na niczém.

Dnia 21 lipca przybywszy *incognito* poseł dworu wiedeńskiego hrabia *D'Ostein*, stanął w namiotach swoich, których było 32 niedaleko szopy. Na jego spotkanie wyjeżdżał baron *Thalmann*, a generał Mier nie mógł się powściągnąć, ażeby przynajmniéj choć gęstemi z dział zamkowych wystrzałami nie powitał piérwszego pełnomocnika. Trzecią osobą do zawierania układów miał być hrabia *de Veldseg*, o którym wszakże korrespondent Kuryera Polskiego nic nie wzmiankuje.

Dnia następnego t. j. 22 lipca, zjechali podobnież bez wszelkiéj okazałości umocowani ministrowie dworu petersburskiego: baron *Szafirow*, kniaź *Wołyński* (1) i graf *Neplujew*. Orszak ich składał się z ośmiu karet i 25 rumaków pod siodłami, sto zaś obładowanych wozów wiozło poselskie rzeczy, sprzęty i różne zapasy żywności.

W parę dni potém odbyli posłannicy tureccy wjazd z azyatycką wystawnością. Wyjechał na ich spotkanie generał Mier i Nikodem Woronicz starosta ostrzski. „Gdy się zbliżali ku miastu, postępowała dragonia, za nią piérwszy tłumacz *Gikka*, brat hospodara wołoskiego, przed którym pięć koni powodnych prowadzono; przy nich szło dwunastu pajuków w bieli ustrojonych. O kilkadziesiąt kroków jechał poseł *Mustafa Effendi*, mając 24 pajuków z janczarkami, a przed nim szło dziesięć koni powodnych; koło posła dziesięciu Turków na koniach wybornych rządno assystowało. Potém drugi poseł *Metypaj* (raczéj *Mitypej*) z takowąż apparencyą; dalej *Reis Effendi* najpiérwszy minister (wielki kanclerz) *in commitatu* 40 konnych i 24 pieszych pajuków z janczarkami, oprócz młodzi tureckiéj *ad latus* jego będącéj, do tego 30 koni powodnych w bogate dywdyki i rzędy przyozdobionych prowadzono. Innéj assystencyi na 400 osób przy tychże posłach znajdowało się, którzy wjeżdżając, hucznem biciem z armat przywitani byli. Po skończonych ceremoniach, Jmć P. Mier z paradą odprowadzał posłów do namiotów *in numero* 170 przeciw szopy

(1) Mylnie go zowie Kuryer Polski kniaź *Woliński*, a jeszcze błędniéj wydawca pomienionéj historyi T. Wagi, gdyż mówi *Waliński*.

rozbitych. Ekwipaż tychże posłów: wielbłądów 152, mułów 100, osłów 30, bawołów 200, wozów *cum necessariis* dwieście."

Następne doniesienie z Niemirowa pod dniem 11 sierpnia opiewa: „Panowie posłowie dotąd na ceremoniach bawiąc się, zgodzili się na to: iż ponieważ tureccy posłowie naostatku przyjechali, zaczém należy im piérwéj wizytę odebrać od drugich posłów. Dlaczego Ichmość PP. cesarscy, ze wszelką assystencyą dworów swoich, oddali posłom tureckim wizytę, a nazajutrz rossyjscy u nich byli z wizytą. Poczém *viceversa*, posłowie tureccy także z wszelką apparencyą u cesarskich, a dnia następnego u rossyjskich posłów byli. Po tych wizytach oznaczono dzień do zasiadania na sessyi, ale wątpią, gdyż jest jeszcze wiele do robienia w szopie." Tu następuje szczegółowy opis urządzenia téjże szopy, miejsc dla posłów i ich sekretarzy, oraz podana jest wiadomość, jak i którędy mają wchodzić na obrady, ażeby w niczém jedni drugim nie uchybili.

W połowie sierpnia przybyło sto koni powodnych pełnomocników rossyjskich, przyprowadzono także różne psy myśliwskie, orły i sokoły do Niemirowa „gdzie na długą zdaje się zabierać rezydencyą, zwłaszcza że kniaź Wołyński na siedmiu placach zakupionych, rezydencyą sobie buduje." Dalsze doniesienie zawiadamia: że pełnomocnicy rossyjscy stawiają w mieście budynki, stajnie, szopy, a nawet zamierzają cerkiew zbudować. Nie przemilczany jest i ten szczegół: że 18 września przybył do Niemirowa generał-major wojsk litewskich hr. *Flemming* (Jerzy Dettlof), który jako ochotnik znajdując się przy wojsku rossyjskiém, był świadkiem zdobycia Oczakowa, zkąd przywiózł z sobą trzy turczynki i turczynka.

Mimo wszelkie środki ostrożności przedsiębrane przez generała Miera dla bezpieczeństwa obradujących, chciwi łupu hajdamacy wypadając z swéj *Siczy*, plondrowali włości i miasteczka okoliczne. Trudno się było im opędzić, gdyż ci mołojcy podzieleni na drobne hufce z kilkunastu głów złożone, mając na czele swych *watażków*, jak błyskawica ukazywali się i znikali. Razu jednego podstąpić się ośmielili pod sam obóz, przez co wielki sprawili popłoch; szczególniéj Turcy takiego nabawili się strachu, iż odtąd dzień i noc ludziom swoim stać kazali pod bronią i miéć się na bacznéj czujności.

Odbywające się konferencye doznawały różnych trudności, każde bowiem z wojujących mocarstw uporczywie obstawało przy

swojém: Rossya żądała mieć wolną na morzu Czarném żeglugę i zatrzymanie w posiadaniu zdobytego Azowu; Niemcy zaś domagali się również odzierżenia niektórych miejsc warownych zadunajskich; a gdy posłowie tureccy nie chcieli żadną miarą na to zezwolić, zawieszono przeto układy do powrotu gońca tureckiego, wyprawionego do Stambułu po nowe instrukcye. Zjazd ten jeszcze więcéj się zachwiał, kiedy jeden z pełnomocników zawezwany będąc przez wielkiego wezyra, ażeby się natychmiast stawił do jego obozu, spiesznie opuścił Niemirów. Zbliżająca się chłodniejsza pora roku, nakazywała mieć staranie o zmianie dotychczasowego letniego mieszkania; jakoż polecił Mier, ażeby w mieście i na przedmieściu wynieśli się właściciele z swych domów, które wyporządzać poczęto na gospody dla przenieść się mających z obozu. Przy końcu września przesiedlili się pełnomocnicy rossyjscy i niemieccy do miasta, tureccy zaś niewiadomo dla jakich powodów pozostali pod namiotami. Upływał tydzień po tygodniu, a nie nadchodziła ani nowa instrukcya z Carogrodu, ani też wracał pełnomocnik, który był przez wielkiego wezyra powołany, lecz natomiast nadeszła wiadomość, że został w ścisłém więzieniu osadzony. Domysły, że kongres nie dokona rozpoczętego dzieła sprawdziły się; pełnomocnicy tureccy otrzymali rozkaz wracania do kraju, i dnia 21 października opuścili Niemirów. Odprowadzał ich za miasto generał Mier, przy nieustanném dawaniu ognia z armat. Na dniu 30 t. m. nastąpił wyjazd posłów niemieckich, z wyświadczeniem podobnychże honorów. W skutek otrzymanego polecenia od dworu swego, hr. *D'Ostein* udał się na Warszawę do Petersburga. W parę dni potém wyjechali i pełnomocnicy rossyjscy do Kijowa, wyprawiwszy poprzednio oficera z kilku łowczymi, którzy zawieźli cztery wyuczone sokoły w darze Józefowi Potockiemu het. W. K. do Załoziec.

Tak więc ów słynny zjazd, mający południowéj Europie pożądany *mir* przywrócić, rozszedł się bezowocnie w Niemirowie, i jakoby na utwierdzenie w całém znaczeniu źródłosłowu nazwy miasta, *nie mir* tamże stanął, ale przeciwnie się stało, gdyż dla niedoszłych narad wojna jadowiciéj się zajęła, którą dopiéro ukończył pokój 1739 roku w Belgradzie zawarty.

Pisałem 2 marca, 1852 r. *Tymoteusz Lipiński.*

KRONIKA LITERACKA.

Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiętników tyczących się opisowéj i dziejowéj przeszłości, oraz zwyczajów téj dawnéj stolicy kraju; z dodatkiem różnych szczegółów Polaków zająć mogących. Z dawnych rękopiśmiennych źródeł zebrał Ambroży Grabowski. *Kraków. Nakładem i drukiem Józefa Czecha, 1852 r. 8ka wiel. Str. XV i 304.*

Kronikarz starożytnego Krakowa, skrzętny zbieracz wszelkiego rodzaju wiadomości, które się do tego historycznego grodu odnosiły, od lat trzydziestu pracownik na polu literatury ojczystéj, poważny starzec, Ambroży Grabowski żegna wreszcie nas wszystkich *ostatniém* już dziełem swojém. Wzrósł w Krakowie, wychował się w Krakowie, i całe swoje życie przepędził u stóp tego Wawelu i katedry, które natchnęły go, i w całéj piękności błysnęły przed nim poczyą murów miasta i okolic. Grabowski opisywał naprzód te okolice, ten Łobzów pamiętny wspomnieniami króla chłopków, te Bielany na których niegdyś marszałek W. K. budował klasztor skromnym pustelnikom, i tę Mogiłę, w któréj panowali dumni opaci. A potém już o samym Krakowie rozpowiadał nam ciągle: to o kościołach, to o Wawelu i zamku, o Sukiennicach, pałacu Spiżskim i Krzysztoforach, o bramach, mieszczanach krakowskich i t. d. Raz tylko i to na bardzo krótko zrobił wycieczkę nasz autor poza ulice Krakowa, i wydał trzy oddzielne pisma, jako zbiór materyałów nieoszacowanych, piérwszego znaczenia dla dziejów Rplitéj. Ale zaraz wrócił znowu do murów Krakowa. Ukazały się tedy naprzód jego *Dawne zabytki*, a teraz jako ich dopełnienie, jako wieniec całego zawodu, *Starożytnicze wiadomości* o mieście Krakowie mamy pod ręką.

Żadne miasto polskie nie ma tak dobrze pod każdym względem obejrzanych i opisanych pamiątek, jak stary Kraków. Zajmowało się tym przedmiotem wielu; opiewała go nawet w dźwięcznych alexandrynach muza Wężyka, że innych autorów pominiemy. Gmachy Krakowa znamy już z tylu rycin, wspomnienia z tylu uczuciowych, dziejowych, i archeologicznych opisów. Doprawdy, że sporym poczetem swoich kronikarzy i historyków mógłby się pochwalić Kraków, a i to nie od dnia

dzisiejszego: w dawniejszych chwilach miał on także swoich literackich przyjaciół. Jednakże Ambr. Grabowski zajmuje najcelniejsze miejsce pomiędzy niemi, i on dopiéro stworzy nam historyą Krakowa, bo nikt tyle co autor Starożytniczych Wiadomości nie naszperał się po aktach i nie nadrukował takiéj liczby materyałów dla dziejów rodzinnego miasta. Jeszcze ksiądz podkanclerzy koronny Hugo Kołłątaj, który rozumiał czego wymaga praca około historyi, powiadał: „szukajmy materyałów, a znajdzie się dziejopis." Ambr. Grabowski całe życie ich szukał. Dotąd ta dawna stolica królów nie miała jeszcze dokładnéj swojéj historyi, zaklętéj w powieść pełną zajęcia dla czytelnika, streszczonéj w obrazy rzeczywiste wielkości i sławy. Talent jeszcze się nie zjawił, bo nie miał na czém budować; ale jeżeli się zjawi kiedy, Grabowski go pewno natchnie. Rozpowié wtenczas ten talent, jeżeli nie nam, to potomkom naszym szeroko i pięknie o losach Krakowa, o jego zwyczajach, zabobonach, zatrudnieniach, murach, pałacach, świątyniach; rozwinie przed nami całą panoramę przeszłości, ujętą w zakresie jednego sławnego grodu: bo od czasu jak się tam zjawiają akta miejskie, a Grab. z nich wypisuje, możebny jest już dziejopis Krakowa. Inne miasta nasze nie dojrzały jeszcze dla swojéj historyi, bo nie zebrały, nie opisały pamiątek swoich; jeden Kraków może pomyśléć o niéj, ale winien to najwięcéj pracy i zabiegom Grabowskiego. Téj zasługi zacnemu mężowi literatura nigdy nie zapomni.

Charakterystykę dzieł i dziełek, rozpraw i rozprawek Grabowskiego o Krakowie, skreślić bardzo łatwo. Sąto wypisy z akt miejskich, z książek starych, z przygodnich gdziekolwiekbądź napomknień o wszystkiém, co tylko ma jakikolwiek bliższy albo dalszy związek z Krakowem, chociażby to były wypisy o cenie gwoździ przed stą laty, albo o kilku strzałach, danych komuś na wiwat. Jestto cała encyklopedya miasta, encyklopedya najzupełniejsza, jaką kiedy wymyślono: bo obejmuje wszystko, i to nawet, o czém nikt nie pomyśli, że tam się może i powinno znaléźć. I wszystko to nieobrobiony materyał, nie w całości, ale w urywach, nie w rozwoju organicznym części, ale w wypisach. Dlatego też wszystkie te dziełka Grabowskiego o Krakowie jednę całość z sobą stanowią; sąto jakby pojedyncze tomy wielkiéj księgi, poświęconéj archeologicznym badaniom. Kto chce mieć jedno dzieło Grabowskiego, musi mieć wszystkie, bo w następnych częstokroć znajduje dopełnienie i rozwinięcie tego, co napomknięte było w poprzednich. Są przedmioty, o których potrosze wszędzie: i w *Grobach królów polskich*, i w *Zabytkach* i w *Starożytniczych Wiadomościach*, i w samym historycznym opisie miasta. Z tych rozrzuconych kawałków szczególniéj dla historyi sztuki polskiéj wiele wiadomości przybędzie, a zbieracze nasi jak Kraszewski i Rastawiecki niejeden fakt zapewne winni są krakowskiemu archeologowi. Autor tyle jest zamiłowany w swoim grodzie rodzinnym, że wszystko pomija (mówimy tu jedynie o dziełkach, które na celu mają Kraków) w ciekawych odkrywanych przez siebie materyałach, co tylko z tym grodem nie ma związku. Wpadnie czasami w ręce jego ważna, nieznana zupełnie historyczna broszura, o jakiém zdarzeniu, które miało rozgłos w Rplitéj, a nawet wywarło wpływ, należało do piérwszych zjawisk bytu krajo-

wego; Grabowski wypisze z niéj wszystko, co tylko jest o Krakowie, a resztę na bok odrzuca: nie dlatego jednak, żeby téj reszty nie cenił, ale dlatego, że żałuje chwilki straconéj dla nie Krakowa. Niedaleko szukać przykładów: w Starożytniczych Wiadomościach czytamy np. wyjątki z niemieckiéj gazety: *von der Wahl und Krönunge des Königs in Polen, Sigismund III Printzen aus Schweden* i t. d., która miała wyjść osobną broszurką w Magdeburgu w r. 1588. Ale autor dał nam z téj broszury tylko wyjątki o sławném oblężeniu Krakowa przez arcyksięcia Maxymiliana, a skoro pretendent oddalił się od murów stolicy, Grabowski nie był już ciekawy pogonić za nim daléj do Byczyny, bo: „reszta relacyi więcéj już do dziejów powszechnych Polski należała" (str. 76).

W Starożytniczych Wiadomościach jest kilka osobnych części: są *opisy*, osobno idzie *oddział dziejowy*, potém tytuł: *Zwyczaje i urządzenia w Krakowie, szczegóły dodatkowe*; nareszcie i *Słowniczek wiadomości do Krakowa się odnoszących i innych*. Zarzucaliśmy Grabowskiemu niesystematyczność jego publikacyj, a że nią autor grzeszy, to każdy widzi: głównym charakterem tych wszystkich wypisów Grabowskiego ułożonych w książki jest niesystematyczność. Tak samo razi nas ten podział dowolny, przyjęty dla Starożytniczych Wiadomości. Co znaczy osobny oddział dziejowy, kiedy tutaj wszystko są same zabytki dziejowe, same starożytnicze podania i fakta? W części opisowéj nie ma nic także o powierzchowności murów, o piękności nagrobków, o utworach pędzla, ale także wypisy z akt, że ten a ten dom, był w tym a tym roku tego a tego, a potém innego właściciela; że te Sukiennice krakowskie, których wybudowanie Kazimierzowi W. przypisują, istniały jeszcze za Bolesława Wstydliwego i t. d. Listy wielkorządców zamku krakowskiego, pod żadnym pozorem załączyć nie można do opisów, ani też sporów magistratu krak. z archiprezbyterami kościoła N. Panny. Daléj, co znaczą te szczegóły dodatkowe, w których i o ubiorach mieszczan krakowskich (to prędzéjby należało do oddziału *zwyczajów*), i o Tęczynie, i o mistrzu sprawiedliwości, i z testamentu kanclerza *Korycińskiego* kruciuteńki wypis?.. Co nareszcie może znaczyć ten słowniczek wiadomości do Krakowa się odnoszących? Dla słuchającego o tém, wszystko to są zagadki; dla czytelnika zaś to dowód, że autor wszelkiemi siłami starał się nadać jakąś formę, jakiś koloryt całości, jednem słowem jakiś systemat różnym wypisom swoim, i nie trafił do celu.

Treści tutaj jednak nierównie więcéj i ważniejszéj, jak w *Dawnych zabytkach*.

Za najpiękniejszą jednak ozdobę dzieła poczytujemy wypisy z akt miejskich, o któreśmy się dopominali przy recenzyi tych właśnie *Dawnych zabytków*. Pokazują one stan miasta pod rządami Szwedów, za czasów piérwszego i drugiego najścia. Doprawdy, żal serce ściska, kiedy się pomyśli, co te biedne miasta polskie cierpieć musiały! Dziwny był dawniéj sposób prowadzenia wojny. Piérwszy lepszy zdobywca obdzierał ze skóry winnych i niewinnych; nie obdzierał dla skarbu, w interesie samej wojny, ale dla siebie. Karol Gustaw nakładał kontrybucyą na utrzymanie swojego żołnierza; ale Wittemberg, Wirtz, Rakocy nakładali

kontrybucye dla własnéj kieszeni: słali prosto do miasta z rozkazem, że pan generał taki a taki, pan gubernator, prezes sądów wojskowych i t. d. potrzebuje koniecznie takiéj a takiéj kwoty pieniężnéj. Grzeczniejsi czekali troszkę, ale za zdarzoną sposobnością dziesięć razy przypominali się, że miasto obiecało dać im kilka tysięcy talarów, które im właśnie w téj chwili są gwałtownie potrzebne. Robiło się to wszystko bez najmniejszéj ceremonii. Bywały nawet targi jak na jarmarku. Karol Gustaw nałożył na Kraków z piérwszego zaraz ognia, sądząc że jest bogaty jako stolica królów, 800,000 tal. okupu; miasto dawało tylko 50,000, a król się gniewał, że jestto nadużywać jego łaskawości, dawać mu taką drobnostkę (tantillum) za krew i pracę, i jeszcze kazał za to rumienić się miastu (str. 102). Skończyło się wreszcie na 300,000, ale że nie zaraz mieszczanie złożyli ten okup, panowie Szwedzi bardzo się często o to przypytywali, a najwięcéj Wirtz, który szczególnie był potrzebny i polecał się raz wraz dobremu sercu mieszczan krakowskich. Wśród téj nędzy i powszechnego upadku, uderza pięknie szlachetna postać obywateli miejskich. Kiedy po zawiązaniu się konfederacyi tyszowieckiéj zbliżały się wojska koronne pod Kraków, gubernator szwedzki nakazał, żeby mieszczanie złożyli przysięgę na wierność Karolowi Gustawowi. Długo się opierał burmistrz i rajcy, bo przysięga u nich nie była jak dziś u wielu czynem prostego zabezpieczenia się, ale w niéj leżało coś sakramentalnego, świętego. Chcieli dać wszelkie inne rękojmie gubernatorowi, który się gwałtem domagał przysięgi. Nareszcie burmistrz odważył się powiedzieć, że miasto już raz ślubowało wierność swoję Janowi Kazimierzowi, i że bez obrazy Boga, nie może zapomnieć o swoich obowiązkach; ale Wirtz chciał wypędzić wszystkich mieszczan za rogatki: wtedy się namyślili. Długi jednakże opór ten miał skutek, że zmieniono im rotę przysięgi; a i tak z płaczem jeszcze byli posłuszni panu Wirtzowi. 17 maja 1657 r. Kraków dostał się w moc Rakocego, tojest Szwedzi na mocy rozkazu Karola Gustawa oddali księciu siedmiogrodzkiemu rząd nad miastem, jako do jego dzielnicy przypadłem. Te sceny znowu się powtórzyły, a miasto nie mając ani jednego żołnierza swojego na własną obronę, dumnym zdobywcom dyktowało warunki. Za każdém najmniejszém niebezpieczeństwem albo złą nowiną, burmistrz zbierał na ratuszu reprezentacyą miasta. Szereg tych obrad przedstawił nam p. Grabowski (od str. 94 i 134): są nauczające wszędzie, rozrzewniające często, a stanowią żywy obraz ówczesnéj niedoli kraju. Autor zacytował nam ciekawą broszurę niemiecką, która ma zawierać koniec tego dramatu piérwszego napadu Szwedów. Notujemy ją dla rzadkości, może też komu wpadnie w ręce i da ją nam poznać. Jestto: *Der Accord zwischen Casimir König von Polen und dem Kaiser Leopold I, wegen Uebergabe des Stadt und Schlosses Cracau*; wyszła w r. 1657 (str. 128).

Na tle téj odległéj przeszłości rysuje się ślicznie szlachetna postać burmistrza Jędrzeja Cieniowicza, który w burzliwych czasach był drugą Opatrznością rodzinnego miasta. Zacny ten człowiek zakończył życie swoje w r. 1659.

Mniéj nierównie, przynajmniéj ile się zdaje po ilości dat i wypisów Grabowskiego, ucierpiał Kraków za czasu drugiego najścia Szwedów,

chociaż Karol XII dłużéj gościł w Polsce jak jego poprzednik, znakomity także. Nakazał na piérwszy wstęp 60,000 tal. cesarskich okupu pod karą *ignis et excidii*, a magistrat tak exekwował ten wyrok, że nawet do opłaty byli i tacy pociągani, przy których nazwisku stało w spisie: ubogi, albo uboga; ci dawali po 2 tynfy. Jestto skarga magistratu do kasztelana krakowskiego z r. 1703, ale Grabowski źle go nazywa Wielopolskim: byłto hetman wielki, książę Hieronim Lubomirski (str. 137). Cyfry, które autor przytoczył, pokazują, że akademia łącznie z kapitułą więcéj płacić musiały generałom szwedzkim, jak samo miasto, albo zgromadzenia rzemieślnicze (str. 136). Ale niezawsze tak grzeczna była kapituła; w innych razach, kiedy kontrybucya spadła ciężarem na miasto, magistrat upraszał księży kanoników i prałatów, żeby ze swojéj strony także ofiarowali grosz wdowi i podzielili się nędzą publiczną. Dumna szlachta, bo w gronie kapituły krakowskiéj były zawsze najpiękniejsze imiona Rplitéj, dąsała się tylko na takie wnioski i nic dawać nie chciała.

W istocie, los dawnych miast polskich był zawsze opłakania godny. Nietylko obcy w czasie wojny, ale i swoi w czasie częstych konfederacyj, bardzo często kazali sobie płacić podatki, Pan Bóg już wié jakiém prawem, na mocy jakich konstytucyj. W urywkach Grabowskiego czytamy nieraz imiona wielkich dostojników koronnych, którzy nie pożałowali Krakowa. Pan Sieniawski ostatni z rodu, hetman i kasztelan stolicy brał swoje; zdzierali także krakowskie miasto sławni partyzanci Augustowskich czasów: Śmigielski i Grudziński, że nie powiemy już o konfederacyach Swiderskiego w r. 1661, Baranowskiego w r. 1697. Branicki marszałek w związku tarnogrodzkim w r. 1716 kazał się opłacać; a policzmy jeszcze, co rajcy krakowscy dali dobrowolnie pieniędzy na zjednanie sobie ich łaski i względów. Zacny książę Janusz Wiśniowiecki wojewoda krak. za Sasów, często wspominany w tych wypisach, bo Kraków raz wraz zdobywał się dla niego na pamiątéczki. W czasie pokoju były inne sposoby: panowie zapraszali miasto na chrzciny syna, albo na wesele córki; jużcić na tym obrzędzie nie można było stawić się z gołemi rękami, bez jakiego upominku, który wiele kosztował. Czasami przyjęcie jakich gości stawało się powodem do nowych wydatków; czasami jaki przykry komendant kazał miastu żywić zabranych niewolników, jak generał de Lamotte, którego niecierpieli Krakowianie (str. 145.)

Rzadko tutaj spotkać się przychodzi z jaką osobą, którąby zasłużyła na sympatyą naszę, z powodu, że ulitowała się nad miastem i starała się nieszczęściom jego przynieść jakąkolwiek ulgę. Takim przyjacielem miasta pokazuje się Jędrzéj Trzebicki, kiedyś minister Rplitéj, a wreszcie i świetny biskup krakowski (umarł 1679). Pamiętał on o swojém rezydencyonalném mieście i często u króla wdawał się za Kraków. Kiedy zaraza grasowała w stolicy, biskup wiele się troszczył o zmniejszenie siły tego nieszczęścia; pozwalał miastu rewidować nawet mieszkania księży, bez uwiadomienia go poprzednio o tém, a to rzecz bardzo wielka, kiedy zważymy na powagę duchowieństwa u nas w dawnych czasach. Jest kilkanaście listów Trzebickiego w Starożytniczych Wiadomościach, które będą pomnikami jego dobrych chęci. Dla wzniesienia Krakowa on podał piérwszy projekt królowi Sobieskiemu, żeby wojewodowie nie

wdawali się wcale w nominacyą urzędników miejskich; starał się toż samo biskup wyjednać jeszcze u króla Jana Kazimierza, ale mąż M. Ludwiki nie miał ochoty pozbawiać téj prerogatywy wojewody, którego właśnie co przedtém mianował. Za to grzeczniejszy był książę Dymitr Wiśniowiecki, który na prośbę biskupa zrzekł się sam dobrowolnie starodawnego prawa, i dla Krakowa wtenczas *novus rerum nascebatur ordo*. Prawda, że i Trzebicki brał piękne podarunki od miasta, ależ nie dla nich kochał Kraków,—to rzecz oczywista.

Biskup Jan Małachowski także wdawał się za Krakowem u Jana IIIgo, ale już więcéj uproszony, jak z własnego popędu. Zabawny jeden szczegół zachował nam list tego biskupa, który w dobréj wierze nie spostrzegał tego wcale, jak wielkiego błędu się dopuszczał, kiedy zmuszał dyssydentów mieszczan krakowskich, żeby chodzili za katolicką processyą Bożego Ciała. Byłto stary zwyczaj, który zamienił się w prawo, że niekatolicy towarzyszyć musieli téj processyi; ale Jan IIIci skasował osobnym przywilejem w r. 1686 ten zwyczaj, bo widać nadużycia jakieś miały z tego powodu miejsce. Małachowski w roku następnym upraszał Sobieskiego, żeby téj krzywdy nie wyrządzał kościołowi katolickiemu (str. 161). Nie wiemy jaki koniec wzięła ta sprawa, ale to pewna, że takie dziwne pretensye biskupa, ochładzały zaufanie wzajemne, stawiały przeciw sobie dwa szeregi nieprzyjazne mieszkańców jednego miasta, a to paraliżowało niezawodnie nawet przyszłość Krakowa.

Do dziejów samego miasta ciekawe są jeszcze szczegóły o pobycie carewicza Alexego w Krakowie w r. 1710 (str. 142—143), a dla dziejów mieszczan dwie wzmianki o ich związkach familijnych z panami. Szkoda, że dowiadujemy się tutaj tylko o pani wojewodzinie belzkiéj i o pani Tęczyńskiéj.

Lubimy bardzo, kiedy badacze przeszłości dają nam spisy jakich prałatów albo dostojników, czyto kościelnych, czy świeckich. Przy zmudnych nieraz poszukiwaniach, takie spisy objaśniałyby błyskawicą niejednę w dziejach wątpliwość. Im większa zatém dokładność w szeregach nagich imion, które nie są bez interesu, im więcéj dat stanowczych, a nie mylnych i przybliżonych tylko, tém większa zasługa. Ambr. Grabowski dał nam w Starożytniczych Wiadomościach spisy archiprezbyterów kościoła Panny Maryi i wielkorządców zamku krakowskiego. Że bardzo cenim sami takie poszukiwania, kilka tutaj uwag umieścim, dla uzupełnienia wiadomości przez autora podanych. Ale przestaniem li tylko na prezbyterach Panny Maryi; nasze materyały co do wielkorządców, w zbyt jeszcze mało faktów ważnych chlubią.

Jan Hejdeke, szósty z kolei (u Grabowskiego) proboszcz N. Panny w Krakowie, był jeszcze w r. 1511 archiprezbyterem, czego autor nie zapisał, bo tylko rok 1500 podaje. Ale że tak jest, dowód znaléźć można w Dwutygodniku krak. tom Iszy, str. 29. Po nim zaraz kładzie p. Grab. czterech Mikołajów, o których powiada, że „może są jedną osobą." Trzeci z nich oznaczony rokiem 1533 i 1545, nazywa się także Walthko, Waltheck; tymczasem w tymże Dwutygodniku, na téjże saméj stronnicy czytamy, że Mikołaj Wartek w r. 1527 był archiprezbyterem: to ani chybi, że ci trzej, piérwsi przynajmniéj Mikołajowie „są jedną osobą." Piér-

wszy jest u Grab. pod r. 1521 i 1527, drugi pod r. 1529. Zatém Wartek nasz a Walthko w Starożytniczych Wiadomościach, jest toż samo, a Wartek był w r. 1527. tojest wtenczas, kiedy był i najpiérwszy Mikołaj pana Grab. Że zaś drugi jest doktorem obojga prawa i czwarty także, zatém zdaje się niepotrzebnie wcale z jednéj osoby tworzyć aż cztery. Od roku 1521 aż do 1550 upłynęło lat 29; zatém jeden człowiek mógł dobrze być przez lat 29 ciągle archiprezbyterem kościoła N. P. Maryi.

Hieronim Powodowski występuje już w r. 1586, jak to widać z Obrazu Jochera.

O Tomaszu Pszonce, który po Mikołaju następuje, mało ma autor wiadomości. Z nagrobku umieszczonego w Starowolskim widzimy, że umarł 24 lutego 1563, a że to było we wstępną środę, w dzień św. Macieja, uczy nas o tém napis na jego grób dość spory, umieszczony w Historyi Literatury, który Wiszniewski całkiem przywodzi (Tom VII, str. 154—160). Pszonka był kanonikiem płockim, pułtuskim, sandomierskim i wrocławskim, a do tego rejentem kancellaryi większéj, sekretarzem króla i proboszczem dybowskim.

Daléj Krzysztof Trzciński występuje w tym spisie tylko pod r. 1615 i 1636, a bezpośrednio po nim pod r. 1652 znajduje się Justus Słowikowski. Tymczasem Trzciński umarł 20 stycznia 1640 r. mając lat życia 72, a nagrobek jego znajduje się w Starowolskim. Słowikowski zaraz widać po jego śmierci wybrany był archiprezbyterem, bo kiedy w r. 1643 wydawał dziełko swoje: *Salutaris christianae pietatis ros contra purgatorii aestum*, w drukarni Jędrzeja Piotrkowczyka, już wtedy na niém podpisał się jako archiprezbyter kościoła N. Panny i kanonik krakowski. O tém przekonać się łatwo z dodatków Sienkiewicza do Bentkowskiego, z których Jocher Tom IIIci str. 485. Tak więc próżnia w spisie p. Grab. od r. 1636 do 1652 zniesioną zostaje. Słowikowski doktor obojga prawa i teolog, był jeszcze do tego sekretarzem królewskim i archidyakonem kollegiaty w Zawichoście. W r. 1652 kiedy pisał testament, jak p. Grab. powiada, drukarz Förster dedykował mu dziełko: *Triumphi Jesu Christi Dei ac Salvatoris nostri*, jak stoi u Jochera tom IIgi str. 392. Co zatém znaczy prezenta księdza Niewiarowskiego w r. 1645, trudno objaśnić. (Star. Wiad. str. 38).

O Jerzym Januszowicu, który umarł r. 1700, znaleźliśmy w sygillatach ks. 15, że był dziekanem kollegiaty sandomierskiéj, ale w listopadzie 1697 r. złożył to dostojeństwo, które po nim zajął Lochman kustosz opatowski. Bliższéj daty nie ma, bo przywiléj wydany z okienkiem.

Jacek Łopacki, który w r. 1732 prenumerował na Volumina Legum (patrz Kuryer Polski. t. r. nr. 111), był oprócz archiprezbyterstwa, dziekanem sandomierskim i proboszczem spiżskim; umarł w lipcu 1761, jak świadczą *Thornische Wöchentliche Nachrichten*.

Nareszcie Karol Lochman był poprzednio koadjutorem archiprezbytera, nim został archiprezbyterem. Z tym tytułem spotykaliśmy go jeszcze po gazetach w r. 1786.

Żałowaliśmy bardzo, że autor nie dał nam jeszcze spisu kommendantów polskich i cudzoziemskich Krakowa. Materyałów do tego znalazłby wiele w swoich już wydrukowanych wypisach. Zdałoby się

i o burgrabiach zamkowych pomyśléć. Byłobyto wiele roboty, to prawda, ale kiedy p. Grabowski tak skrzętnie spisywał Włochów i Szkotów, którzy mieszkali w stolicy, szkoda, że i tych burgrabiów, urzędników Rplitéj nie notował.

Jest i trzeci jeszcze spis lekarzów nadwornych, których nie ma w Gąsiorowskim; praca ze wszech miar szacowna. Czwarty spis obejmuje królów kurkowych od r. 1578 do 1793, których kiedyś zwano ptasiemi królami. W *Słowniczku* jeszcze czytamy spis mincarzy krakowskich.

Spis ubiorów mieszczan krakowskich, pomieszczony w tych wiadomościach, niezbyteczny jest także; krótki, obejmuje tylko słowniczek i stosowne objaśnienie każdego wyrazu. Tém samém że niewielki, pożądańszy jest jak gruby słownik Gołębiowskiego, z którego niewiele się nauczyć można.

To są wszystko spisy, wypisy, ale nie słowniki. Osobny *Słowniczek wiadomości do Krakowa się odnoszących*, przyniósł nam dość sporo nowych zajmujących faktów. Sąto jak zawsze tylko urywki, napomknienia, artykuliki, wyjątki, wyjąteczki, w miniaturze po raz może dziesiąty cała encyklopedya o Krakowie. Jest tu moc wiadomości dla sztuki, dla osób, dla wsi, dla miejscowości krakowskich i różnych rzeczy. Tytulik np. *ryby* stoi obok *Swoszowic*, a *Tatarzy*, obok *Szwedów*.

Kilka jeszcze nowych wypisów do dziejów rodziny mieszczańskiéj Koperników, albo pańskiéj Bonerów, mówią nam ciągle o długach, zapisach i sprawach majątkowych. Kopernikowie jeszcze w r. 1687 w Krakowie występują, ale już pod zmienioném nazwiskiem Kopernickich. Bardzo też ciekawe są szczegóły o rodzinie sławnego Wierzynka, o któréj znajdują się wspomnienia najpóźniéj tylko w r. 1484. Nie wznieśli się Wierzynkowie do rodzin historycznych magnackich rzeczypospolitéj, a owszem spadli bardzo nizko, bo już w r. 1406, a zatém w chwili, w któréj niejeden jeszcze zapewne mieszkaniec Krakowa pamiętał sławnego Mikołaja, ministra Kazimierzowego, jeden Wierzynek, Jędrzéj po imieniu, ścięty był za kradzież. Dowiadujemy się też cokolwiek o stosunkach majątkowych Turzów, którzy byli szlachtą węgierską, Wierzbiętów i Wietorów. Życiorys księdza Zelnera skreślony osobno, mile się spotyka. Szkoda, że z rękopismu jego, treściwsze tylko wypisy i to jedynie Krakowa tyczące się, dał nam autor w „Grobach królów polskich." Ten chronograf i tak ciekawe daty nam zachował: trzeba było go zatém wydać, ale że autor piérwszy dał nam poznać to imię, na nim też leżała powinność, żeby życie jego opowiedział.

O rzeźbiarzu Stosie, znowu jest wiele w Starożytniczych Wiadomościach. Tę postać Ambr. Grabowski odkopał nam z naszego Herkulanum; głuche wieści o tym artyście latały kiedyś, teraz go mamy jak na dłoni: szereg ważnych odkryć otoczył to piękne imię. O Dolabelli także kilka wypisów.

Szczegół, któregośmy nigdy nie napotykali w żadnéj historyi obrazu Częstochowskiego, ani nawet w podróży pątnika XIX wieku, znalazł p. Grabowski w kazaniu księdza Laskiewicza na pogrzebie archiprezbytera Łopackiego. Szczegół ten następujący. Od czasu napadu Hussytów na Jasną Górę za Władysława Jagiełły, obraz połupany i zniszczony,

bez najmniejszéj naprawy miał przetrwać w Częstochowie aż do czasów Władysława IV; dopiéro król ten dał go do naprawy majstrom krakowskim, i odtąd obraz cudowny znowu zrósł się i stanowi jednę całość.

Wspomnim jeszcze o Reju, Sędziwoju i Stańczyku.

Pan Mikołaj z Nagłowic miał folwark na przedmieściu lelowskiém, który sprzedał w r. 1543 Marynowi z Przełęka za grzywien 120. Sędziwój miał dom w Krakowie i nie chciał płacić z niego żadnych podatków: wniosek zatém że był szlachcicem. Autor znalazł ślady, że sławny ten alchemik pisał dzieła A do dziejów filozoficznego kamienia i to dodać potrzeba, że król Zygmunt III przetapiając metale na zamku krakowskim i robiąc złoto, był przyczyną owego sławnego pożaru w r. 1595. „Kurzą nogę spalił, powiada stary zapis, za co przecie Rphta nic pretendowała od dzieci jego wynagrodzenia" (str. 298).

Wreszcie najciekawsza z tych słowniczkowych wiadomości, ciekawość. Każdy kto chociaż najlżejsze miał wyobrażenie o dworze Zygmunta Starego, znał Stańczyka. Z kilku słówek jego dowcipnych, które nam zachował Bielski, nie objaśniający wreszcie wcale kto był ten żartowniś Stańczyk, domyślił się ktoś, że król Zygmunt chował na dworze swoim trefnisia, błazna, czyli wesołka, jak nazywali starzy Polacy. Ale akta krakowskie nazywają go wciąż sławnym rycerzem, *miles gloriosus*. Podają nam nawet całe jego nazwisko: bylto *nobilis*, szlachcic Stanisław Stańczyk Złotopolski, herbu Nałęcz. Występuje on w aktach pod r. 1532, 1536 i 1538. Był osiadłym dziedzicem w ziemi krakowskiéj, posiadał albowiem w bliskości stołecznego grodu wieś Kamienicę. Z żony Barbary Naborwskiéj miał dzieci: Wojciecha, Piotra, Barbarę, Elżbietę, Annę, Jadwigę, Katarzynę i Małgorzatę. Otoż i cała genealogia, któréj nie ma w Niesieckim. Korona jeszcze powiada, że to ród mazowiecki, kiedy pokazuje się że małopolski, bo Niesiecki dopiéro za Zygmunta III liczy Złotopolskich. Z tego widać, że Stańczyk bylto sobie ziemianin żartobliwy, który uprawiał ziemię swoję i siał hreczkę, ale nie był nigdy nadwornym wesołkiem; żartował tylko sobie nieszkodliwie z wad i śmieszności ludzkich. Mógł téż bawić kiedy i na dworze Zygmunta Starego.

P. Grab. przedrukował jeszcze w Starożytniczych Wiadomościach *Compendium*, albo krótkie zebranie chronologii miasta JKMci stołecznego Krakowa i t. d., które ksiądz Jędrzéj Lipiewicz niegdyś professor akademii i prałat, wydał przy kalendarzu swoim z r. 1749. *Compendium* to wydał p. Grab. nie całkiem, ale z małemi skróceniami; zawsześmy byli przeciw wszelkim cząstkowym przedrukom: to krzywda dla autora. Ale wracając do Lipiewicza, pojmujemy bardzo łatwo, że wydawca Starożytniczych Wiadomości mógł z nim sympatyzować. Całe to *Compendium* stanowi także zbiór artykulików nadzwyczaj rozmaitéj treści: ten do sasa, tamten do lasa, bez ładu i porządku najmniejszego. W miniaturze jeszcze raz tutaj spotykamy się z całą encyklopedyą Krakowa. W całym tym spisie nie ma nic jednakże ani nowego, ani pięknego. Zgadzamy się na to, że Lipiewicz zbierał swoję broszurkę z niemałą pracą i pilnością, i że *Compendium* jego, to treść dzieł większych w tym przedmiocie; ale wierzymy, że tylko dla *rzadkości* przedrukował je p. Grabowski, bo z innego względu na ten zaszczyt *Compendium* wcale nie zasługiwało. Taka ma-

ła encyklopedya krakowskich wiadomości mogła być pożądana w roku 1749, ale dzisiaj jest zupełnym anachronizmem. Jeżeli zatém gniewamy się za niekompletny przedruk, idzie nam tu o zasadę jedynie, ale nie o księdza Lipiewicza.

Taką jest treść téj ostatniéj książki Ambr. Grabowskiego. Sądzim, żeśmy nie obrazili zasłużonego męża, jeżeliśmy całą prawdę napisali o Starożytniczych Wiadomościach, przynajmniéj o ileśmy zrozumieli tę prawdę. W naszych uwagach, któreśmy kiedykolwiek robili, o to nam przedewszystkiém i zawsze chodziło. Nie mamy pretensyi, że potrafim zbywać kogoś grzecznościami, pochlebstwami, półsłówkami. Oddajemy zawsze hołd zasłudze i pracy. Chcielibyśmy, żeby słowa nasze przyjęte były z równém spółczuciem, z jakiém my je rzucamy na świat szeroki. Już minął czas, żebyśmy wszyscy za doskonałych koniecznie uchodzić chcieli: posłuchajmy téż chętnie słowa prawdy. Cierpką jest ona czasami, ależ ta sama cierpkość dowodzi sympatyi, bo któżby pisał o dzieciństwach? Podług naszego rozumienia rzeczy, recenzent który nie obwija wcale w bawełnę zdania swojego, służy lepiéj sprawie literatury, jak panegirysta. Mamy nadzieję, że zacny Ambr. Grabowski nas zrozumié: wszakże większy mu przez to hołd przynosim, że wskazujemy na rzeczywistą (zawsze jak ją pojmujem), aniżeli na urojoną wartość jego pracy. Tak przynajmniéj wié autor, co o nim sądzą, i co za jego zasługę przyznają; tymczasem usypiać kogoś pochwałami bez końca, jestto kogoś bawić jak dziecko i zamykać mu oczy.

15 marca. *Julian Bartoszewicz.*

Jeografia w obrazach i powieściach moralnych, ozdobiona 8 rycinami. Warszawa. Nakład i druk S. Orgelbranda księgarza i typografa. 1852 r.

Niedawno jeszcze rozchodziły się narzekania na brak książek, któreby z korzyścią można było dać do rąk młodzieży; dziś sądząc z wielkiéj liczby dziełek popularnych lub dla dzieci przeznaczonych, w jakie od lat kilku zbogaciła się nasza literatura, możemy śmiało wyrzec, iż nasza młódź w rodowitym już języku znaléźć jest w stanie obfity i pożyteczny pokarm. Nie wszystkie wprawdzie gałęzie wiadomości z równą zaopatrzone zostały obfitością; można mieć jednak nadzieję, że ten brak wkrótce się zapełni, skoro publiczność czując własną potrzebę, oceni pracę autorów i chęci nakładców, wyrzekłszy się panującéj dotąd mody zaopatrywania dzieci w książki zagraniczne.

Za przykład w tym rodzaju literatury mogą dla nas służyć Francuzi, a szczególniéj Niemcy; tam część literatury tak zwanéj dziecinnéj, już ocenioną została względnie do jéj ważności. Do pisania podobnych dziełek biorą się wytrawni pedagogowie, a nawet niekiedy na jedno większe dzieło lub tylko wypisy, kilku się składa; nie dlatego, aby przez podobn-

podział pracy prędszy osiągnąć skutek, lecz aby wspólnemi siłami, wzajemnemi uwagami lepiéj odpowiedzieć potrzebie i zniżyć się, że tak powiem, do usposobienia dziecinnego. Dlatego, naszém zdaniem, mają wielką zasługę tłumaczenia podobnych utworów; lepiéj jest jednak, gdy dziełko nietylko spolszczono co do języka, ale przerobione i zastosowane do polskiéj młodzi zostanie. Te uwagi nasunęły mi się biorąc w rękę nowo wyszłe dziełko dla dzieci: „Jeografia w obrazach i powieściach moralnych". Jestto myśl prawie u nas nowa dawać dzieciom wyobrażenie o charakterze ludów i produktach kraju za pomocą drobnych powiastek moralnych. W niniejszém dziełku użyto właśnie téj metody; każdą powiastkę czerpaną z podania lub ducha narodu, poprzedza krótki zarys jego geografii. Ta metoda sama za sobą najlepiéj przemawia; jestto kształcenie pamięci wraz z imaginacyą: dwóch warunków, o których zapominać w nauczaniu dzieci nie należy. Wspomnione dziełko prawdziwie pożyteczne być może, szczególniéj przy pomocy światłych przewodniczek lub przewodników. Język w niém czysty, poprawny; dodano ryciny starannie wykonane; słowem, wydane dziełko tak treścią jak powierzchownością odpowiedzieć winno wymaganiom publiczności.

S. P.

Kilka słów o krytyce powieściowéj w Warszawie. Rzecz napisana z powodu dwóch recenzyj o Panu Zygmuncie w Hiszpanii, powieści Dra T. Tripplina (*).

Nie ma zapewne kraju, gdzieby więcéj różnorodniejszych było czytelników, jak u nas: konieczne to następstwo niejednolitości ukształcenia naszego. Był czas jednak, i to nie tak dawno temu, że różnorodne żywioły te jednoczyło współczucie, może ciekawość dla miejscowego piśmiennictwa, wątpliwego rekonwalescenta po długiéj chorobie. Mieliśmy wtedy literatów i literatek jak nasiał. Gwałtowny ten popęd piśmienniczy wkrótce jednak osłabł, zmalał i nareszcie ustał zupełnie, wprawdzie nietylko u nas; nie stanowiliśmy wtedy wyjątku od ogólnéj reguły. Zajmowały nas wypadki zagraniczne tak dalece, że najmniejszy

(*) Redakcya Biblioteki Warszawskiéj nie podzielając zdania szanownego obywatela z radomskiego, co do ogólnych jego uwag o kierunku smaku ogółu, o niechęci czytelników do powieści głębszéj, i jak ją uczenie nazywa *analityczną*, nie zgadza się i na to, aby wszystkie powieści, które w ostatnich czasach wyszły, oprócz P. Zygmunta, były *bezbarwne* i *bezdźnościowe*. Redakcya nie widzi bynajmniéj, aby jakaś nieprzychylność kierowała piórem tego pisarza, który pierwszy zdał sprawę z powieści Dra Tripplina. Chociaż więc artykuł powyższy nie zmienia bynajmniéj opinii redakcyi o wadach i zaletach powieści, o którą idzie, ani o wartości innych tegoż rodzaju utworów, które szanowny obywatel z radomskiego poniżyć usiłuje; umieszcza go jednak chętnie, aby przekonać czytelników swoich, że śmiało poddaje pod ich sąd obie opinie, nie wahając się zostać przy swojéj. *P. R.*

fakcik obcy nabierał w oczach naszych powszechno-europejskiego znaczenia. Trafem, czy też logicznem następstwem wydarzeń, kiedy właśnie z taką ciekawością śledziliśmy wszystkich szczegółów *great exhibition*, dużo nawet o marynarce niemieckiéj wiedzieliśmy, w 1851 r. przypomnieliśmy sobie, że istnieje przecie nasze piśmiennictwo. Może chcieliśmy z dawnym znajomym odnowić poufałość stosunków, może też znużeni wyobraźniowemi wycieczkami w dalekie strony, pragnęliśmy zobaczyć jak wygląda uczciwe, rodzinne domostwo. I otóż znów ozdrowienie drugie piśmiennictwa, a raczéj czytelników, daj Boże! aby trwalsze od piérwszego. Znów zaczęły nas zajmować utwory miejscowe poważniejszéj, i tak nazwanéj lżejszéj treści. O piérwszych zwykliśmy raczéj więcéj mówić, niż je przeglądać sumiennie; o drugich zwykliśmy raczéj wyrokować stanowczo, niż je czytywać ze współczuciem. Smak i wymagania czytelników pod jednym względem odmieniły się obecnie, pod drugim ukształciły może; i kierunek teraźniejszéj chwili w piśmienniczéj działalności wydatnie różni się od poprzednich. Już pieśnictwo z dźwięczną i świetną szatą swoją nie tak bardzo nas obchodzi jak dawniéj; praktyczniejsi w naszych wymaganiach, pragniemy koniecznie posiąść jak najwięcéj przystępnych i kunsztownych zarazem utworów smaku i wyobraźni,—powieści. Przy ograniczeniu miejscowéj dramatycznéj literatury, gwałtowne to pragnienie da się łatwo wytłumaczyć. Talenta nasze zawsze chętne zadosyć uczynić wymaganiom ogółu, rozpowieściły się teraz na dobre; karty pism zapełniły się rozmaitemi przygodami rozmaitych bohaterów: ogół jednak przesycony naczytaniem się zagranicznych powieści, dziwnym smakiem kieruje się w ocenianiu miejscowych. Mniéj go zdają się obchodzić typy, głębsza analiza serca ludzkiego, jakby nie chciał zrozumieć, że powieściopisarz albo ze swojéj wyobraźni wyprowadza na widownię idealne postaci, na które każe się zapatrywać czytelnikom, albo też postaci z rzeczywistego życia podnosi do godności sztuki, uzacnia je, uszlachetnia, uwydatnia, i tym tylko sposobem utwór jego służyć może czytelnikowi nietylko na przepędzenie czasu, na zabawę, ale i na pożytek. U nas chcą teraz prawdy, wypadków codziennego życia bezpośrednio odtwarzanych, aby tylko zręcznie powiązanych, aby raczéj ciekawość czytelnika, a nie myśl jego mogła miéć ciągłe zajęcie. Pragną daguerrotypów, o obrazy, szkice, nawet i o sztychy nie dbając. Słowem, nad powieść głębszą, analityczną, przekładają faktyczną, powierzchowną.

Dziwny to niezawodnie kierunek smaku ogółu, ale dziwniejsza, że znakomite talenta nasze tak skwapliwie chcąc mu dogodzić, zamiast prowadzić czytelników za sobą, posłusznie za niemi postępują.

Ale wymagania ogółu ruchliwe jak on sam, a może jak on logiczne. Już dzisiaj przestaje się zachwycać utworem w jego dążności skreślonym, i wielu powstawać zaczyna na ostatnie powieści miejscowe, w pismach peryodycznych u nas ogłaszane. Obwiniają ich autorów niezupełnie słusznie, bo powtarzam, że raczéj ich uległość, jak talent obwiniaćby wypadało.

Uwagi te krążyły mi w myśli, gdy odebrałem nowy utwór znakomitego naszego podróżo-pisarza Dra T. Tripplina, powieść pod napisem:

Pan Zygmunt w Hiszpanii. Skwapliwie zacząłem czytać Zygmunta, pragnąc powitać sympatyczny talent autora na nowém dla niego polu, i ciekawy byłem, jak to pióro ogniście i potężnie szkicujące, wywiąże się z zadania, gdzie więcéj zaokrąglać kształty, obrazować i gruppować potrzeba.

Na piérwszy rzut oka zdaje się, że powieściopisarz nie mógł się otrząsnąć z podróżopisarza, i utwór ten ma pozór li tylko przedmiotowego obrazowania zajmujących przygód romansowego rodaka, w krainie tak malowniczéj, jak ziemia Abencerragów i Murillów. Wpatrzywszy się jednakże w tę massę faktów, jakby w panoramie przemijających, i bohatera w ich koło wplątanego, dojrzysz jednę myśl przez całość sumiennie i umiejętnie przeprowadzoną. Zygmunt, to dzisiejsza nadzwyczaj postać, dokładny wyobrazicieł owych ludzi czynu—marzycieli, złepków bohaterstwa i uniesień, co mimo tylu zawodów i bolesnéj tęsknoty, zawsze są niezłomni wiarą w zacność marzeń swoich. W kole obcéj społeczności tylko powierzchowna jéj strona jąć się ich mogła: żołnierze, powołanie swoje podnieśli do godności posłannictwa we własnych oczach, i to poważna ich strona, za którą zawsze gotowi byli krew przelać; druga lżejsza, jak zwykle u ludzi mało ceniących życie, tém bardziéj u nich mijała im jak sen przykry, z którego mniemali, że się w rodzinnych stronach obudzą. Mniéj téż dziwi, jeżeli wyłączną opanowani myślą, dla niéj i przez nią żyjąc, na resztę życia trochę zalekko spoglądali, dopóki to życie ująwszy ich nareszcie w konieczne pęta, nie dopomni się o twarde prawa swoje. Postawić taki typ z dodatnią i ujemną stroną jego w obec społeczeństwa i oświaty obcéj:—oto było główne zadanie powieści niniejszéj, o którém autor ani na chwilę nie zapomniał i sumiennie się wywiązać potrafił. Płochość pana Zygmunta, gdyby była tylko cokolwiek mniéj ponętnie wspomniana, nie ujmuje prawdy i trafności typowi; owszem do zaokrąglenia postaci ta ujemna strona może i potrzebną była. A chociaż czytelnik pogniewa się cokolwiek na pana Zygmunta, trochę zaprędko, zabardzo po żołniersku trafiającego do serca swoich wybranych: wybaczy jednak tę rzutkość ognistéj krwi młodego wojaka, tak chętnie narażającego życie dla dobra innych, i nie przestanie sympatyzować z artystą, co jak każdy marzyciel często excentrycznie postępuje w życiu, choćby dlatego, że je nie tak pojmuje jak drudzy.

Drugim typem myśl autora uosobiającym i dopełniającym, jest Witołd, ów żelaznéj pracy i wytrwałego poświęcenia lekarz, zaczynający wtedy oddawać się nauce swojéj, kiedy ją inni kończą zazwyczaj; także anomalia wśród obcego społeczeństwa, którego siłę woli stawia autor jako antytezę naprzeciw wrażliwych uniesień Zygmunta. Inne postaci téj powieści, choć także na piérwszym planie ukazujące się czasem: Julia, Sir Walter, biskup Ptolomaidy, August Flinter, don Rodolfo, są tylko koniecznie potrzebne do rozwoju dramatu: to sprężyny poruszające działalność opowiadania, wiążąc je w całość i uwydatniając główny typ—Zygmunta.

Takie zrobiłem sobie ogólne sprawozdanie po przeczytaniu téj powieści, a im więcéj się nad niém zastanawiałem, tém bardziéj zdawało mi się, że myśl główną pojąłem, tojest, że określiłem sobie zadanie utwo-

ru tak, jak autor pragnął, żeby je zrozumiano; i powtarzam jeszcze raz, że Zygmunt w każdéj fazie dramatu jest dokładnym wyobrazicielem koła z którego wyszedł, chwil i wypadków, które go takim, a nie innym zrobić musiały. To rysunek zarazem powabny i smutny, świetny i poważny; brak mu kilku zarysów, żeby zupełnie pewnych nabrał kształtów, jest w nim coś niedokończonego, niebarmonijnego, jak ta postać tułacza śród obcych ludzi.

Autor czy z powodu miejscowości gdzie się dramat odbywa, czy też wymaganiom czasowym hołdując, panoramicznie przedmiot swój odrobił. Szkoda, że zamiast takiéj massy faktów nie poświęcił wyłączniejszych badań dwom postaciom utworu, a prawdziwość typów jeszczeby wydatniéj uderzyła czytelników, i skupiła bardziéj ich uwagę na cel i dążność główną całości. W każdym razie, nie wchodząc w szczegóły i szczegółki artystycznego obrobienia, w zręczność zawiązywania i rozwiązywania węzełków intrygi, w effekt sytuacyi, powieść ta tém zaszczytniejsze zajmuje miejsce w obecnym ruchu naszego piśmiennictwa, że to pierwszy utwór powieściowy dra Tripplina, że wśród tylu powieści bezbarwnych i bezdążnościowych, rozwiązuje zadanie ważne dla serca i myśli czytelników, i wiernym będzie, jedynym może tego rodzaju pomnikiem czasów ubiegłych, a dla nas pod wieloma względami tak ważnych. Powitana i przyjęta ze współczuciem, byłaby ważniejsze zajęła stanowisko, gdyby, powtarzam, wyłączniéj główne postacie wystudyowane były. Serdecznie ciesząc się, że przybył w piśmiennictwie utwór, który słusznie do rzędu dobrych powieści zaliczyć można; ciekawy byłem, jak też o nim krytyka miejscowa zawyrokuje. Czekać długo nietrzeba było, bo we dni kilkanaście po wyjściu powieści, Biblioteka Warszawska i Gazeta téjże nazwy wystąpiły z recenzyami Pana Zygmunta w Hiszpanii.

Artykuł w Bibliotece umieszczony nie jest właściwie recenzyą, ale raczéj zręcznem przygotowaniem czytelników do wrażenia, jakie powieść na nich wywrzéć może, uprzedzeniem ich sądu; prócz tego zawiera kilka rad fachowych dla autora, jak nadal ma postępować w wykończeniu postaci utworów swoich. Mimo tego stanowiska, już z założenia niezupełnie przychylnego dla Pana Zygmunta w Hiszpanii, cel artykułu byłby dobry, gdyby zamiast wykazania głównéj dążności powieści, nie zamieniono jéj na dążność czysto-stosowalną, podrzędną, z głównéj koniecznie wypływającą, ale nie główną. „Zadaniem było autora" powiada sprawozdawca: „pokazanie, że najszczęśliwsze zdolności są tylko środkiem, którego trzeba umiejętnie używać, żeby do czegoś przyjść; że praca i wytrwałość, są najistotniejszym pierwiastkiem równie chwały, jak i pokoju życia i wszelkiego szczęścia na ziemi."

Nie przeczę, że taki pogląd na zadanie autora jest bardzo utilitarny, a zwłaszcza moralny, w najbardziéj określoném znaczeniu słowa; ale nie przypuszczamy, żeby sprawozdawca mógł na seryo w ten sposób zapatrywać się na główne zadanie utworu. Za tém ścieśnieniem poglądu, jakby naumyślnie, musi koniecznie iść ograniczenie i ścieśnienie o nim sądu. Dlatego to sprawozdawca lżéj traktuje utwór cały i zbytecznie nastaje na wybryki Zygmunta, które mógłby z mniejszém oburzeniem skarcić, nie ro-

biąc z nich tak wielkiego zarzutu autorowi, że w obec niego niknie cała dodatnia strona powieści.

Zgadzam się ze sprawozdawcą, że jeden wyraz zbyteczny robi cały ustęp drażliwym. Jestto usterk, który przypisać winniśmy pośpiechowi z jakim przypuszczamy że był pisany Zygmunt. Ale jeszcze dla tego jedynego ustępu niegodzi się całéj powieści nazywać gorszącą. Walka to niesłuszna i nieregularna, wydostawać na jaw błąd szczegółu, ażeby go zrobić ogólnym. Czytanie ustępu tego nie może być gorszącém, bo autor prawdziwy typ malując, zaczerpnięty we własnych wspomnieniach, nie sympatyzuje z nim w chwili jego uniesień. Przedstawia go takim, jakim był w istocie: człowiekiem zlewkiem złego i dobrego, poddającym się prawie bez oporu natchnieniom chwilowym. A zresztą, gdyby czytelnik lub czytelniczka mieli się zgorszyć po przeczytaniu ustępu tego, to nie wiem, czyby się potrafili ulepszyć moralnie z wielu innych współczesnych powieści, które ze stanowiska sprawozdawcy możnaby nazwać moralnemi, bo w nich albo rzeczywiste założenie niemoralne, pokryte konwencyą stylu, albo też moralne zadanie przyczepione do bladych postaci bez walki i prawdy, bez zajęcia i wydatności, czytelnika nie uniesie, ani polepszy. Do tego celu moralnego powieściopisarz dwojakim dochodzi sposobem: albo przedstawieniem charakterów ujemnych chce wzbudzić wrażenie dodatnie, albo też wystawia walkę charakteru dodatniego z ujemnym, o któréj sąd zostawia czytelnikowi. Gdzież szukać w naszych powieściach (ma się rozumieć ostatnich, które znamy) dość potężnego i śmiałego pióra, aby dwom tym zadaniom godnie odpowiedziało? Jak patrząc na scenę, widz gra razem z dobrym artystą, płacze i śmieje się naprzemian; tak czytelnik powieści razem z jéj bohatérem będzie szaléć, cierpiéć, kochać lub myśléć dopiéro wtedy, kiedy prawda wydatnie i typowo na jéj widowni przedstawioną będzie.

Powieść zaś, którą sobie jakie moralne zadanie za cel założywszy, tak jak pensum szkolne przeprowadza je w postaciach dowolnie pozlepianych, jak maryonetki na drucikach poruszanych, nie może pociągnąć, podbić lub też kazać myśléć na seryo umysłowi czytelnika. Nie czerpana w prawdzie, nie podniesiona potęgą talentu do godności typowéj, będzie sztuczną—ale nieprawdziwą, mechaniczną—ale nieorganiczną.

Odstąpiłem od przedmiotu, ale czas też przypomnieć talentom naszym, żeby wymaganiom ogółu albo mniéj hołdowały, albo też nie tak nas lekko traktowały: nas, czytelników, co jeżeli pod innym względem mało może mamy wytrawności, to pod względem powieściowego oczytania się aż nadto jéj posiadamy.

Wracam do sprawozdania. Rady dawane autorowi zdają się być prawdziwe, bo na własném doświadczeniu oparte; i gdyby ścieśnienie poglądu było mniéj widoczne, nie byłoby tylu wadliwych szczegółów za sobą pociągnęło. Umiejętność stylu, trafne niektóre spostrzeżenia, ton w ogóle godny i spokojny, każą się domyślać wytrawnego a niepospolitego pióra, nad którém serdecznie ubolewam, że oceniało raczéj zręcznie — niż słusznie, raczéj grzecznie—niż przychylnie.

Rzecz się ma zupełnie inaczéj z recenzyą w Gazecie Warszawskiéj umieszczoną; ta wybitniéj i ostatecznéj rozwijając zarzuty sprawozdawcy

Biblioteki, zdaje się jakby dalszym ciągiem nieprzyjaźni dla Zygmunta. To już ani sprawozdanie, ani recenzya, ale wypowiedzenie wojny, pełne niechęci źle ukrytéj, a naszpikowane do zbytku pretensyą do zręczności. *Nie mieszać się do spraw cudzych*, otóż ma być kwintessencya, którą autor filipiki wycisnął z Zygmunta, i główne jego zadanie, na które z całych sił powstaje, wykłada dla pożytku czytelników dodatnią stronę *mieszania się* za pomocą dwóch porównań poetycznych o pożarze i szermierstwie językowém. Czyż to miał być cel Zygmunta? i czyż godzi się tych, co mogli nie czytać téj powieści, z tak zimną krwią uwodzić? A ileż to strwonił wyrażeń szanowny autor filipiki dla pokazania całego ogromu zbrodni w owym drażliwym ustępie Zygmunta, *cheval de bataille* całego artykułu, którego dosiadłszy z trudnością z niego zsiąść usiłuje! Tém prawdziwsza musiała być nieprzychylność, im niezręczniejszą jest grzeczność z jaką zaletom Zygmunta sprawiedliwość pragną oddać. Szczegółowo na zarzuty filipiki odpowiedzieć, zrecenzować jéj nie wypada, bo nie jest recenzyą, ani sprawozdaniem; Zygmunt zaś zanadto drobiazgowéj obrony nie potrzebuje: i tyle nawet byłbym o tém nie wspomniał, gdyby artykuł ów był drukowanym w piśmie mniéj poczytném, jak Gazeta.

Wprawdzie cała krytyczna strona pisma tego rzadko kiedy celowała dokładnością lub bezstronnością sądu; ależ jeżeli Gazeta z założenia swego musząca być organem jakichś wyobrażeń estetycznych, chciała z powodów sobie tylko wiadomych, potępić Zygmunta: wypadało, albo tę chęć zręczniéj pokryć, albo przynajmniéj streścić rozwlekłą gadaninę silącą się na to jedynie, żeby obfitością czczéj frazeologii gazeciarskiéj zakrzyczéć nieprzychylność sądu w oczach czytelników, a może i we własnych.

Znamy niejednę już recenzyą a raczéj filipikę tego samego pióra; zewsze nieprzychylne było dla utworów samoistnych, wyłamujących się z pewnéj, że tak powiem, szkolnéj rutyny powieściarskiéj, niehołdujących wymaganiom tego rodzaju pojęć, które recenzent ulepił sobie przeświadczeniem czy też ślepą wiarą *in verba magistri*. Zdaje się, jakby pragnął zostać wyobrazicielem jakiegoś areopagu, a raczéj koteryi, według dowolnych i nieruchomych formuł oceniającéj każde nowe zjawisko w świecie literackim. Nigdy jednak dotąd nie spostrzegliśmy i nie podziwiali tyle względnéj staranności, jak w tym ostatnim artykule, mozolącym się zdepopularyzować Pana Zygmunta w Hiszpanii. Ale mimo tubalnego odezwania się głosu tego, byłto głos wołającego na puszczy, chociaż w Gazecie wydrukowany.

My co na wsi mieszkamy, zwykliśmy pomimo naszych gospodarskich zatrudnień, poświęcać dużo czasu czytaniu, i jesteśmy może najpracowitszemi, jeżeli nie najsumienniejszemi czytelnikami miejscowych utworów. Pretensyi do wyrokowania o nich nie roszcząc sobie, wymagamy jednak żeby ci, co chcą kierować sądem naszym, pomagać mu, ulepszać go, prostować, postępowali z nami już jako z czytelnikami, których tylko olśnić i zakrzyczéć niegodzi się. Nas trzeba już przekonywać. W stronach gdzie mieszkam, nietylko ja sam czytałem Zygmunta; zapatrywanie moje na ten utwór przedstawia nietylko moje myśli i spostrzeżenia, ale

wszystkich tych, co go z współczuciem i z uwagą przeczytać zechcieli. Ponieważ zaś sąd owych dwóch pseudo-recenzyj znalazłem niezgodnym z naszym, te kilka uwag o Panu Zygmuncie w Hiszpanii ośmielam ci się przesłać, szanowny autorze, prosząc, abyś je raczył uważać jako sumienne i bezstronne sprawozdanie z wrażenia, jakie piérwsza twa powieść na czytelników w moich stronach wywarła. Prosimy o drugą. Za bezstronność tego co napisałem ręczy naprzód to, że się nie znamy osobiście, i że z żadną z warszawskich literackich koteryj nigdy styczności nie miałem; a gdybyś uważał, że ten artykuł można ogłosić, prosiłbym o zamieszczenie go w Bibliotece Warszawskiéj: jedyne to pismo, dające rękojmię większéj dbałości i bezstronności w ogłaszaniu artykułów swoich krytycznych.

W. D. z *P.* obywatel z radomskiego.

ROZMAITOŚCI.

Dopełnienie artykułu: O najdawniejszych prawach litewskich, upatrzonych przez p. Maciejowskiego w dyplomatach z XIII wieku, Rydze i Inflantom służących.

Pominąwszy już wspomniane dyplomata, dodać tu jeszcze winienem: że komuby koniecznie podobało się szukać u Niemców inflanckich śladów najdawniejszego prawodawstwa Litwy, mógłby, z większém nawet podobieństwem do prawdy, niż w nadaniach i przywilejach, upatrzéć takowe w ich *prawie rycerskiem*. które przez Alberta arcybiskupa rygskiego w r. 1228, a zatém spółcześnie z owemi dyplomatami, ogłoszoném było. Czytamy bowiem w rzeczoném prawie następująco o dłużnikach rozporządzenie: „Kto sądownie upomina się o swoję należność od dłużnika, który jéj opłacić lub rękojemców stawić nie może, sądzić za pieniądze zawinione, dłużnika wydać powodowi, a ten go na równi z czeladzią swoją karmić i do pracy używać będzie. Jeśliby wierzyciel chciał go osadzić w więzieniu, wolno mu to uczynić, lecz go innym sposobem dręczyć nie ma prawa." (*Erzbischof Alberts von Riga Liefländisches Ritterrecht von 1225. B. II C. 28 in Arndts Liefän. Chron. B. II. str. 27*). Któż nie zna podobnego rozporządzenia w statucie litewskim, gdzie czytamy: że sąd może dłużnika, którego majątek na zaspokojenie długu nie wystarcza, naprzód zatrzymać w więzieniu, póki rękojemstwa nie da, iż stronę zaspokoi. Daléj zaś mówi statut: „A nie będzieli miał rękojemstwa, tedy urząd stronie powodowéj, winnego wydać ma, a on go w więzieniu dzierżéć ma, aż mu za wszystką summę przysądzoną dosyć uczyni." (*R. IV. ar. 98, §§ 6*). Tylko Tatarom i żydom niegodziło się w ten sposób postępować z dłużnikiem swoim; bo gdyby kto z sądu w zapłacie jakiéj był im wydany, wówczas z wielkiéj summy wyrobi się za lat siedm, z małéj zaś potrącać należy mężczyznie co rok rubel groszy (35 złp. 21 gr.), a kobiecie kopę groszy (21 złp. 12 gr.), ale pokarmu i odzienia dostarczy wierzyciel (*R. XII, ar. 9*). Odsunąwszy więc ten dodatek o Tatarach i żydach, którego miejscowe wymagały okoliczności, przywiedzione rozporządzenie statutu, niemal dosłownie zgadza się z pra-

wem rycerskiém Inflant, a zupełnie się różni od Prawdy Ruskiéj, która w podobnym przypadku każe dłużnika przedawać na targu (*Rakowiecki, II, str. 78*). Zdaje się więc, że prawo statutowe o dłużnikach, mogło wypłynąć z prawa rycerskiego Inflant, kiedy tak uderzające między niemi zachodzi podobieństwo; a jednakże nie śmiałbym tego z pewnością utrzymywać, bo samo podobieństwo nie jest jeszcze dostatecznym na to dowodem. Nie wiemy, czy podobne postępowanie z dłużnikiem miało już miejsce w Litwie przed nastaniem praw pisanych, a tém bardziéj w czasach pogańskich. Nie znajdujemy nawet takiego rozporządzenia w 1szym i 2gim statucie. Jeżeli więc tak się rzecz ma, widoczna zatém, że to prawo nastać musiało dopiéro w czasie redakcyi statutu 3go; ale czy nastało przez naśladowanie rycerskich praw Inflant, czy jakiego innego wzoru, lub wynikło z własnego redaktorów pomysłu, tego trudno dzisiaj dowodzić: to tylko pewna, że w jakimbądź razie, nie należy już do dawnych praw Litwy. W tego rodzaju badaniach z wielką trzeba postępować ostrożnością, żeby rzeczy swoich nie wziąć za obce, a obcych za swoje. Dla nauki częstokroć korzystniejsza będzie *docta ignorantia*, niż bezdowodne twierdzenia. *J. J.*

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj.

Wyczytawszy w zeszycie Biblioteki Warszawskiéj na miesiąc luty r. b. wspomnienie o Janie Stefanie Wydżdze, jako potomny imiennik tegoż, ośmielam się niektóre wyjaśnienia szczegółów szanownéj redakcyi przesłać.

Rodzina Wydżgów nie z mazowieckiego, lecz z krakowskiego województwa pochodzi, jak Długosz, a z niego Maciejowski w dziele swojém z r. 1842: „Polska pod względem zwyczajów i obyczajów, w tomie 1szym na str. 13 to przywodzi, mówiąc: „Wydżga z Czorsztyna dostawił dla Krzyżaków w darze, Wisłą na pięciu statkach, pszenicę, żyto, wino, miód i 300 wołów." To samo i Naruszewicz w Historyi polskiéj, pod panowaniem Bolesława Wstydliwego, mówi, że: „Jan z Czorsztyna Wydżga długie spory i wojny między Przemysławem księciem wielkopolskim, a Świątopełkiem pomorskim, będąc obudwóch książąt przez żonę pokrewnym, pogodził i zaspokoił." Tenże był kawalerem teutońskim i dostawił Wisłą dla wzrastającego wówczas zakonu Krzyżaków r. 1244 wyż wspomniony dar; wszakże i zeszyt Biblioteki Warszawskiéj z roku 1844, w tomie IVtym, z miesiąca kwietnia to samo powtarza, i nazwisko Wydżgów z krakowskiego pochodzące mieni. Niesiecki w tomie piérwszym pod literą C, na stronnicy 390, pod Czyżowskiemi herbu Półkozic, cytuje i syna tegoż Wydżgi Michała kasztelana krakowskiego i starostę, powołując na to Paprockiego; a sam Niesiecki pod rokiem 1252 między kasztelanami krakowskiemi, jako Jastrzębczyka (ten jest herb Wydżgów) tegoż Michała umieścił w tomie piérwszym; wreszcie kasztelania sande-

cka i starostwo sandeckie w krakowskiém województwie, a tak pochodzenie Wydżgów z krakowskiego z przekonaniem dowiedzione. Nie Kiewliczówna matka Wydżgi, lecz Ziemliczówna, jak Niesiecki w tomie IIgim pod literą K tę rodzinę na Podolu zamieszkałą, wspomina. Biskup przemyślski podkanclerzy koronny, nie Trzecieski, lecz Trzebiński, który Wydżgę do dworu z nauki i talentów zalecił, jak Niesiecki i wielu innych o Trzebińskim podkanclerzu koronnym dowodzą. Trzecieskiego podkanclerzego nie było; Andrzéj Trzecieski wsławił się pismami: jestto ten, co uwolnił Sztankara, idący za nauką Zwingla; między innemi należał do składu Aten sarmackich. Wydżga nie w roku 1684, lecz w roku 1648 na sejmie elekcyjnym miał kazanie; to musi być omyłka druku.

Żądanych przez króla Jana IIIgo pieniędzy na wyprawę wiedeńską Wydżga udzielić nie chciał, jako dla rzeczypospolitéj niepolitycznéj, przeciwnéj, która spowodowała dla Polski utratę Kijowa, Czerniechowa i księztwa siewierskiego; a wiadomo, jakie mowa prymasa w senacie, jako naganiająca panowanie i politykę króla Jana, i przymówienie się Opalińskiego, zrobiły na królu wrażenie, nieukontentowanie. Po śmierci prymasa Wydżgi brak panegiryku, tamtym czasom zwyczajnego, przyznać należy Jezuitom, którzy wówczas jedynie z takowemi występowali, a prymas Wydżga był nieprzyjazny Jezuitom, i tego zakonu nie protegował; dlatego i Niesiecki jako Jezuita dosyć zaokrąglił o Wydżdze, kiedy o innych prymasach, choć mniéj światłych, nieodznaczających się, a nawet może postępowania nagannego i wspomnień szkodliwych, ale jako protektorów przyjaznych i fundatorów tegoż zakonu, długo, rozciągle, i z panegirykiem rozpisywał się. Nadto wystąpienie Wydżgi z projektem prowadzenia księcia francuzkiego na tron, usilne popieranie przez Wydżgę tegoż, wnioskowanie ztąd zaprowadzenia tronu dziedzicznego, w szlachcie polskiéj wówczas fanatycznie do wolności elekcyi królów przywiązanéj, bynajmniéj z téjże złych skutków niepojmującej, zuchwale burzliwéj, a w oświecaniu się wtenczas zaniedbałéj, nieprzyjazną i nienawistną opinią dla Wydżgi ściągnęło, i jako nieprzyjaciela złotéj wolności, najcelniejszego jéj klejnotu: wolnego obierania sobie królów, głosiła. Przekonać się o tém można, kiedy późniéj w półtora wieku przeszło, spełnienie tego projektu roku 1792, tak silną oppozycyą wywołało; tylko dzisiejsza potomność ocenić potrafi tak wzniosły, wysoce polityczny i światły, blizko przed dwoma wiekami naprzód wniesiony pomysł Wydżgi. W archikatedrze gnieźnieńskiéj, wedle Gazety Polskiéj w roku 1829 wychodzącéj, gdzie opis katedry gnieźnieńskiéj znajduje się, są wyszczególnione kaplice tamże; między temi dziewiąta z porządku jest Wydżgów, gdzie nagrobek tegoż, jako fundatora, znajdować się może.

Dutrów,
d. 14 marca, 1852 r.

Józef Wydżga.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

CHEMIA.

W dniu 12 stycznia r. b. przedstawił p. Bussy Akademii umiejętności paryzkiéj ostatnią część pracy p. Chatin, tyczącą się znajdowania niejednakowéj ilości jodu w powietrzu, wodach, ziemi, i ciałach służących na pożywienie, rozmaitych okolic Alp, Francyi i Piemontu.

Z powyższych badań przekonał się p. Ch., że stosunek jodu w wodach, powietrzu, gruncie i płodach rolnych, zmienia się ze względu na miejscowość. Gdy ilość ta wynosi $^1/_{400}$, narośl zwana wole zaczyna się objawiać, gdy zaś stosunek ten zniża się do $^1/_{1000}$, wole często się okazuje, a przy $^1/_{2000}$ wole jest chorobą pospolitą. Ztąd wypływa podział geograficzny na trzy strefy: w piérwszéj wole jest prawie nieznane, bo ta zawiera jodu najwięcéj $^1/_{100}$, (Paryż, Orlean, Londyn); w drugiéj jodu jest najmniéj $^1/_{2000}$ (niektóre części Alp); do trzeciéj pośredniéj liczą się okolice mające jodu od $^1/_{300}$ do $^1/_{1000}$ (Lyon, Chambéry, Grenobla). (*L'Institut, 14 Janvier, 1852*).

* P. E. Filhol, professor chemii w szkole lekarskiéj w Tuluzie, robił poszukiwania tyczące się mocy odbarwiania, jaką posiada węgiel i inne ciała. W téj pracy starał się okazać:

1. Że z pierwiastków, nie sam tylko węgiel ma własność odbarwiania cieczy: siarka, arszenik, żelazo (otrzymane z wodanu półtoro niedokwasu żelaza, przez wodoród), są nią także obdarzone.

2. Że liczba ciał złożonych posiadających moc odbarwiania jest większa, aniżeliby sądzić można; i że własność ta zdaje się zależéć więcéj od okoliczności fizycznych, a szczególniéj od podzielności, niż od chemicznych.

3. Że pewne ciało, które z łatwością wciągnie w siebie jeden barwnik, może z trudnością pochłaniać drugi; tak np. fosforan wapna z kości (otrzymany sztucznie), zaledwo odbarwia siarko-indychtan sody, a na roztwór lakmusu działa mocniéj niż węgiel zwierzęcy.

4. Odbarwianie w bardzo wielu przypadkach należy do zjawisk czysto fizycznych; tak więc ten sam barwnik bywa pochłaniany przez

niemetale, metale, kwasy, zasady, ciała żywotne. Wreszcie można z łatwością przez użycie właściwych ciał rozpuszczających, odebrać barwę niezepsutą temu ciału, które ją wprzód pochłonęło. (*L'Institut z 18 Février, 1852*).

✳ *Wydzielanie niektórych trucizn.* P. Augustyn Felix Orfila, opierając się na własnych doświadczeniach doniósł: że dając zwierzętom przez pewien czas dwuchlorek żywego srébra (sublimat), octan ołowiu, siarkan miedzi, i saletran srébra, uważał: iż merkuryusz niknie zupełnie z ich organów w 8 lub 10 dniach, raz bowiem tylko znalazł go jeszcze w 18tym dniu; ołów i miedź wykrył w wątrobie, kiszkach i kościach w 8 miesięcy po zażyciu; srébra, które w niektórych przypadkach w wątrobie znaleziono w czasie do 6 miesięcy, już wcale wykryć nie mógł w 7 miesięcy od czasu zażycia saletranu srébra. W ciągu powyższych poszukiwań, p. O. znajdował ołów, miedź i merkuryusz w moczu; dwa piérwsze metale zaczęły się wydzielać w 2 dni po zażyciu trucizny, trzeci, tojest merkuryusz dopiéro w dni 8. Wcale zaś nie mógł wyśledzić srébra w moczu zwierząt, którym zadawano saletran srébra. (*L'Institut z 26 Février, 1852*).

✳ *Rozbiór wody deszczowéj Paryża.* P. Barral podał wypadki swych doświadczeń tyczących się deszczówki, którą zebrał w ciągu 6 ostatnich miesięcy r. 1851, w okolicach obserwatoryum paryzkiego.

Liczby wyobrażają ilość ciał na wagę; z nich okazuje się, że tą drogą będzie można wykryć różnice składu wody deszczowéj w różnych miesiącach.

Woda z udometru tarasowego (obserwatoryum), z drugiéj połowy roku 1851, wydała z metra sześciennego, średnio:

Saletrorodu	6 grm.	,397.
Amonii	3	,334.
Kwasu saletrowego	14	,069.
Chloru	2	,801.
Wapna	6	,220.
Magnezyi	2	,100.

Woda z udometru podwórza (obserwatoryum), zebrana w ciągu 5 ostatnich miesięcy roku 1851, w metrze sześciennym okazała:

Saletrorodu	7 grm.	,939.
Amonii	2	,769.
Kwasu saletrowego	21	,800.
Chloru	1	,946.
Wapna	5	,397.
Magnezyi	2	,300.

Gdyby, biorąc za podstawę niniejsze liczby, obliczono ilość powyższych ciał, powstałych z deszczu, na hektar ziemi umieszczonéj na tarasie obserwatoryum paryzkiego przez 6 ostatnich miesięcy 1851 r.; otrzymanoby wypadek następujący:

Saletrorodu	13 klg.	,490.
Amonii	7	,032.
Kwasu saletrowego	29	,695.

Chloru.	5[kil],910.
Wapna	13 ,114.
Magnezyi	4 ,450.

Na hektar zaś ziemi umieszczonéj w wysokości podwórza rzeczonego obserwatoryum, przez przeciąg pięciu ostatnich miesięcy r. 1851, wypadłoby:

Saletrorodu	12[kil],323.
Amonii.	4 ,299.
Kwasu saletrowego. . . .	33 ,840.
Chloru	3 ,019.
Wapna.	8 ,398.
Magnezyi	3 ,700

(*L'Institut* z powyższego dnia). *J. B...a.*

HISTORYA NATURALNA.

Zoologia.

Podziemne zwierzęta. Pod napisem *Specimen faunae subterraneae* J. C. Schiödte wydał rozprawę w duńskim języku, któréj angielski przekład na dniu 6 stycz. r. z. Towarzystwu entomologicznemu londyńskiemu złożył dr. Wallich. Pismo *Zoologist* (Febr. 1851) tak o tém donosi (str. 3039): W r. 1768 znaleziony został najprzód w jaskiniach Krainy, późniéj zaś w grocie Magdaleny przy Adlersbergu w Illiryi, ów osobliwy ślepy płaz *Proteus anguinus* (1). W r. 1840 Koch podał wizerunek czerwia z fam. stonogowatych, *Pherusa alba*, również w jaskini przy Adlersbergu odkrytego, a we cztery lata późniéj znalazł się w Luegskiéj jaskini owad z chrząszczowatéj fam. *Carabidae* (*Anophthalmus Schmidtii*). Nietylko miejscowość wykrycie to godném uwagi czyniła: uosobliwiał je nadewszystko brak oczu, które u innych téj saméj familii zwierząt tak całkowicie są rozwinięte. Oczy u odmieńca *(Proteus)* są tak mało rozwinięte, że tylko wrażenia ogólnego światła, ale bynajmniéj żadnych określonych przedmiotów przyjmować nie mogą. Zależność ślepoty w mieszkańcach jaskiń z niedostatkiem w tych jaskiniach światła, jest jasna. Dopóki jedno tylko znane było zwierzę, a dotego w biegnącym strumieniu mieszkające, zatém nie na zupełną ciemność skazane, uważano tę jego ślepotę jako wyjątek. Ale gdy i inne jaskiń mieszkańce poznane zostały, które nietylko że były ślepemi, lecz i do całkiem odmiennych gromad i t. d. należące.ni, musiała powstać myśl, że te zwierzęta są ogniwami łańcucha, który podziemna fauna tworzy, a których cechą jest ślepota. *(T. 1851 nr. 280).*

(1) Odmieniec wężowaty. *Zob.* Bibl. Warsz. z r. 1849 tom III, str. 204.

✳ *O ślepéj rybie z jaskini Mamutowéj.* (Z listu L. Agassiza do prof. B. Sillimana). Ślepa ryba z Mamutowéj jaskini była opisana najprzód r. 1842 w 3cim tomie (str. 187) Zoologii Nowego Yorku p. dra. Deekeys, pod nazw. *Amblyopsis spelaeus* i wątpliwie załączona do fam. sumowatych *(Siluridae)*, ponieważ z moim rodzajem *Cetopsis* odległe podobieństwo okazywała. Dokładniejsze opisanie ryby dał potém dr. Wyman w *American Journal of sc. and arts*, 1843. na str. 94.

W r. 1844 ogłosił dr. Tellkampf w Archiwum Müllera opisanie téjże ryby więcéj jeszcze obejmujące szczegółów, przy czém namienił i o wielu innych zwierzętach, które się w téj saméj jaskini znajdują, a z których najciekawszem jest czerw, *Astacus pellucidus* przez niego nazwany, i już przedtém z opisu p. Thompson, prezesa Tow. nat. w Belfast znajomy. Tak pan Thompson jako i dr. Tellkampf mówią o oczach u tego gatunku, jednakże twierdzenie ich spoczywa na błędzie. Wiele okazów badałem, i przekonałem się, że tam widać tylko szypułkę oka, lecz nie ma na końcu oczowych ścianek, jak u innych raków,

P. Thompson mówi daléj o szarańczy, bardzo blizkiéj gat. *Phalangopsis longipes*, która w całéj jaskini licznie się znajduje. Z pająków odkrył tam dr. Tellkampf dwa gatunki bezokie, białe, które *Phalangodes armata* i *Antrobia mammouthia* nazywa; potém muchy z rodz. *Anthomyja*, maleńką garnelę, *Triura cavernicola*, i dwa ślepe chrząszcze *Anophthalmus Tellkampfii* Erichs. i *Adelops hirtus*. Większą część tych zwierząt opisał potém całkowicie i w wizerunkach przedstawił Tellkampf w Archiwum Erichsona z r. 1844, na str. 318 i nast.

Wymoczki znalezione w jaskini są takie jak *Monas kolpoda*, *Monas socialis* i *Bodo intestinalis*. Ja znalazłem jeszcze nowy *Chilomonas*, który dr. Tellkampf *Ch. emarginata* nazywa, i inny blizki gatunku *Kolpoda cucullus*.

Deekey załączył, jak już powiedziałem, wątpliwie ślepą rybę do sumowatych. Dr. Tellkampf ogłosił ją jednak za zworze familii osobnéj. Także i dr. Storer w swoim w r. 1846 wydanym Przeglądzie ryb północno-amerykańskich (Porówn. *Memoires of the American Academy of arts and sc.*) podziela zdanie, że ryba ta tworzy familią osobną, którą *Hypsaeidae* nazywa. Z powodu, że ona żywy płód wydaje i ze względu na cechę w łuskach, jako téż na kształt i budowę głowy, uważam tę rybę raczéj za odstępne zworze karpiozębych (*Cyprinodontes*).

Zapytujesz mnie pan o zdanie we względzie pierwiastkowego stanu zwierząt w Mamutowéj jaskini. Jestto jedno z najważniejszych zadań historyi naturalnéj, i już przed kilku laty podałem do rozwiązania go metodę, któréj staranne rozwinięcie mogłoby doprowadzić do nader ciekawych wypadków, bo tym sposobem na zawsze rozwiązanémby być mogło pytanie: w jakim stanie dziś żyjące na ziemi zwierzęta pierwiastkowo stworzone były? Ale to dochodzenie wyciągałoby tyle trudu i czasu, że jest rzeczą nader wątpliwą czy się do uskutecznić. Należałoby najprzód gruntownie zbadać anatomią zwierząt znajdowanych w jaskiniach i w rozległy sposób porównać pod tym względem pokrewne gatunki, rozpoznać potém dokładnie embryologią jednych i drugich, wreszcie doświadczyć wyhodowania embryonów zwierząt jaskiniowych, w innych miejscach.

Jeżeli organizm zwierząt odsiężają potęgi fizyczne, możnaby tu było bardzo łatwo dojść tego. Ja sądzę, że ślepo zwierzęta jaskiń tylko póki są embryonami, ukażą organa widzenia w stanie w jakim je znajdujemy przy normalném rozwijaniu się zworz, do których należą, i że nawet wtedy, gdybyśmy dopuścili działania światłu w stopniu tak słabym, iż nie zdołałoby im szkodzić lecz było dostatecznem do rozwinienia oczu u pokrewnych widzących gatunków, młode gatunków jaskiniowych stałyby się zwolna ślepemi, gdy u innych organa widzenia należycieby się rozwinęły. Bo wszystko co wiem o geograficznem rozłożeniu zwierząt, przekonywa mnie że one były stworzone pod temi samemi okolicznościami, pod któremi żyją teraz wśród zakresu swojego geograficznego rozłożenia, i z teraźniejszą swoją znamionującą je budową. Wszakże to jest tylko wywód z prawd początkowych, ale gdyby kto doświadczeniami wprost czynionemi pytanie rozwiązał, na zawszeby zapewnił sobie wdzięczność umiejętności. Byłbyto piękny cel dla młodego amerykańskiego natury badacza, któryby postanowił całe swe życie i starania na rozwiązanie jedynego wielkiego zagadnienia poświęcić. (*T. 1851 nr. 280 z Sillim. Am. Journal of sc. & arts, Jan. 1851*).

* *O geograficznym rozkładzie ryb.* Następującemi trafnemi uwagami prof. Ludwik Agassiz swoje opisanie ryb Wyższego jeziora (Agassiz, on Lake Superior p. 246) zakończa: „To krytyczne zbadanie ryb Wyższego jeziora i innych wielkich jezior Kanady, było piérwszym krokiem do dojścia pierwiastkowych przyrodzonych stosunków pomiędzy temi rybami, a wodami przez nie zamieszkiwanemi. W takiéj rozległości porównywałem europejskie ryby wód słodkich z amerykańskiemi, że śmiało utrzymywać mogę, iż wszystkie bez wyjątku amerykańskie gatunki, są od europejskich odmienne, przy czém wszakże raz jeszcze ostrzedz muszę, iż to się wyłącznie do właściwych ryb słodkiéj wody ściąga.

Wiadomo mi dobrze, że łosoś, który zachodzi w rzeki północnéj i środkowéj Europy, znajduje się także w rzekach północno-wschodniéj Ameryki i wstępuje do rzék uchodzących do oceanu Atlantyckiego; ale ta ryba należy do arktycznych ryb morskich, które corocznie z wielu innemi na południe wędrują: te zaś gatunki są obudwu częściom świata wspólne. Przeciwnie te gatunki, które nigdy wody słodkiéj nie opuszczają, są w obudwu częściach świata zupełnie odmienne, i w każdéj znajdujemy pod różnemi szerokościami gatunki inne, chociaż jedne daleko większy geograficzny rozkład mają niż drugie.

Okazaliśmy np. że we wszystkich niższych jeziorach znajdują się zworza, które się nigdy nie dają spostrzedz w jeziorze Wyższém, ani daléj na północ, a większa część gatunków Jeziora Wyższego, są jemu samemu właściwe. Łososiowate tylko rozleglejszy mają rozkład, i jedne z nich są na całém rozpostarciu téj fauny, drugie mieszczą się tylko w bardzo ograniczonym jéj zakresie.

Jestto więc okoliczność w każdéj faunie zwyczajna, pod względem geograficznego rozkładu zwierząt, że niektóre pewnych familij gatunki znajdują się bez różnicy w rozległych zakresach, wpośród których wiele gatunków innych familij mają bardzo ograniczony zakres mieszkania.

Uważając wszakże przedmiot z najogólniejszego stanowiska, dojdziemy mimo te zboczenia do wniosku, że wszystkie ryby wód słodkich pomienionego zakresu, właściwe są téj tylko części świata, i w żadnéj innéj napotkać się nie dadzą.

Mają one podobniki swoje w innych częściach świata, nigdzie jednak zewnątrz granic amerykańskiego lądu nie znajdziemy ryb, któreby takie same jak w tym zakresie były. Minogi w powiecie jezior, mają w Europie niezmiernie podobne sobie, wszakże nie zupełnie takie same. Jesiotry tegoż powiatu nie takie są jak w Europie i Azyi. Sumy są również odmienne. Te same podobieństwa i różnice znajdujemy w okuniach, węgorzach, łososiach i karpiach. We wszystkich familiach całéj umiarkowanéj strefy, znajdą się w obudwu częściach świata, blizkie powinowactwa, które jednak nie do tychże samych należą gatunków; a obok tego znajdujemy zworza, które albo wyłącznie amerykańskiemu lądowi są właściwe, np. *Lepidosteus* i *Percopsis*, albo też należą do rodzajów które w obudwu częściach świata nie mają jednoczesnych wyobrazicieli a zatém mniéj lub więcéj różnią się od tych, których tak dokładne podobniki znajdujemy. Tak familia okuniowatych ma w Europie wiele rodzajów, które żadnych wyobrazicieli w Ameryce nie mają, a nawzajem w Ameryce jest wiele téj familii rodzajów, które w obudwu częściach świata mają wyobrazicieli, wszakże należących do gatunków odmiennych."

Z uwag tych przychodzi autor do wniosku, że ryby i wszystkie zwierzęta wód słodkich w wielkich jeziorach mieszkające, musiały być stworzone tam, gdzie żyją, i że rozsądek nie dozwala przyjmować, ażeby stworzonemi będąc w innéj części świata i z niéj przeniesionemi, wyginęły w pierwotném swojém siedlisku a rozmnożyły się w krainach odległych od niego. Gdziekolwiek dany był jaki gatunek, czy też zworze, musiał tam oraz znajdować się i zbieg warunków jego życiu przyjazny. Agassiz sądzi, że i liczba czyli stosunek każdego gatunku, należy do jego niezmiennych własności, tojest że tego, którego dziś jest wiele, było i od samego początku wiele, lub naodwrót; że więc np. te ryby które wielkiemi gromadami żyją, nie mogły być w pojedynczych parach stworzone, albo te które drugim służą na pokarm (pożerane) stworzone być musiały w innym stosunku niż te, które pokarm z nich mają (pożerające); te które wszędzie są w mnóstwie, musiały być od początku w takiéj liczbie, że zawsze miały się w stosunku normalnym do tych które żyją pojedynczo i ciągle w małéj liczbie znajdowane bywają; ponieważ, jak wiemy, harmonia numeryczna między zwierzętami, jest jedném z wielkich praw natury. Okoliczność, że gatunki w pewnych tylko granicach nawet tam się znajdują, gdzie dalszemu ich szerzeniu się nic na przeszkodzie nie staje, prowadzi znowu do wniosku, że te granice od początku były im wytknięte, a z tego naostatek wypadnie, że porządek w całém stworzeniu panujący, umyślony był i ustanowiony od samego początku i po wszystkie czasy utrzymywał się niezmienny, z wyjątkiem odsiężeń zpowodowanych przemysłem człowieka, który sobie pewne zwierzęta do użycia wybrał, tak jak pojedynczo tu i owdzie gatunki z ich pierwiastkowego siedliska sztucznie poprzenosił w inne *(T. 1850, nr. 182 z Edinb. new Philos. Journ. April July 1850).*

* Na posiedz. Akad um. w Montpellier, p. Marès czytał ciekawe postrzeżenia nad działaniem zimna na ryby. Mrozy w ostatnim tygodniu r. 1849 i w piérwszych piętnastu dniach r. 1850, zgubny wywarły wpływ na ryby słonych stawów nad brzegiem Śródziemnego morza. Od piérwszego tygodnia w styczniu, odrętwiałe ryby wypływały na wiérzch wody. Znaczną liczbę takich wybrano ze stawu Thau. Świebrzany (*Chrysophris aurata*), piérwsze padły ofiarą zimna i wynikły w stawach. Wilczany (*Labrax lupus*), także w niemałéj liczbie wyginęły, równie jak mułaki (*Mugil*). Przeciwnie węgorze, ukryte w szlamie, oparły się mrozom. Podobne skutki objawiły się już w r. 1829, w którym zimna wypleniły te stawy. Termometr ustawiony na jednéj ze wzgórzystości staw otaczających, okazywał w piérwszym tygodniu stycznia o godz. 8 z rana, 6° C. Pewna jest rzecz, iż to nie było minimum temperatury w tym okresie czasu. (*Ib. nr. 133* i *Revue et mag. de zoologie, 1850 nr. 2 p. 138*).

* Dr. Leydig z Wircburga pod d. 31 marca 1850 r. podał do dziennika *Tagsberichte* tymczasową wzmiankę o postrzeżonéj przez siebie odłomności w ustroju zwyczajnego jazgarza (*Acerina cernua* C.). Rybka ta odznacza się, jak wiadomo, licznemi dołkami na głowie. Wszystkie leżą w kierunku kanałów śluzowych i ztąd powstają, że górna czyli przednia koścista ściana śluzowego kanału, zawsze ma okrągławe otwory, przez które tylko zewnętrzna skóra, zagłębienie tworząc, przechodzi. Ściągając ostrożnie od tyłu ku przodowi skórę jazgarza np. ze szczęki dolnéj, ujrzéć można z pomocą lupy we czterech otworach do śluzowego kanału prowadzących, że od nerwu, który się wzdłuż dolnéj szczęki ciągnie, rozbiegające się na bok gałązki, wchodzą, jedna w każdy otwór, do śluzowego kanału, i że każda taka gałązka ku końcowi nieco się rozszerza, a nareszcie kończy się żółtawém, guzikowatém, około $^1/_4$ lin. wynoszącém ciałkiem. Dr. Leydig znalazł dotąd około 35 takich guzikowatych zakończeń nerwów w kanałach śluzowych, po każdéj stronie głowy i odpowiednio liczbie dołków tamże. Opisuje tymczasowo w krótkości tak rozgałęzienia pomienionych nerwów, jako i guziki je zakończające, dostrzegając wszystkiego mikroskopem; wszakże obiecuje na przyszłość opisanie obszerniejsze i objaśnienie wizerunkami tych, jak sądzi, nieznanych dotąd ciałek w organizacyi ryb kościstych. (*T. 1850 nr. 79*).

* P. Sundewall (w Akad. Sztokolm.) okazywał rybę niezwykłego wejrzenia, tojest złotego okunia, w piérwszym dniu Wielkiéj nocy przy Eskilstuna złapanego i darowanego krajowemu muzeum, gdzie dotąd się zachowuje. Trzymano go w sadzu; żywy jeszcze (do Sztokolmu) przybył, ale nazajutrz żyć przestał, zbyt utrzęsiony w czasie transportu. Ma $8^1/_2$ cali dług. prócz ogonowéj płetwy i jest nieco węższy od okuniów zwyczajnych, przez co zdaje się że ma płetwy większe niż zwyczajnie. Kolor żywéj ryby na całem ciele był wyraziście czerwono żółty, czyli nieco czerwieńszy jak u małego zwyczajnego karpia złotego, z niejakiemi śladami czarnych plam na grzbiecie. Koniec piérwszéj płetwy grzbietowéj był, jak zwykle, czarny; zresztą płetwy były czerwonawe, a płetwy brzuchowe czerwone jak u zwyczajnych okuni. Górna część okręgu

ocznego była blada i zdawała się nabrzmiałą. Po włożeniu w spirytus, kolor znacznie spłowiał, i powychodziły ciemne zwyczajne okuniom znamiona wzdłuż grzbietu, lubo niedoskonale. Podobny i téj samej wielkości okuń z jeziora Regnan w północnym końcu wschodniéj Gotlandyi, był już przed 10 laty do muzeum darowany. (*T. 1852 nr. 436 z Öfoergist etc. Arg. 8, 1850, p. 155*).

* Kupiec Motzfeldt w Grenlandyi, widział przy Holsteinsborg stado włóczników (*Xiphias gladius*) utrzymujące w obrotach grenlandzkiego wieloryba, którego otoczywszy wokoło, przesunęło się z nim od południa tuż przy łodziach. Niektóre z tych ryb, uchwyciły się zażarcie ogona i piersiowych płetw wieloryba, gdy inne przeskakiwały ponad oddechowym otworem jego, skoro się wzniósł nad powierzchnią morza, a inne znowu ciężkie razy z boku mu zadawały. Ciekawi na czém się ten bój skończy, ludzie popłynęli łodziami za stadem. Wieloryb zwrócił się w zatokę; tu wydarł się napastnikom i taki cios jednemu z nich krawędzią ogonowéj płetwy w samą głowę zadał, że uderzony włócznik bardzo wolno spadł na dno morskie, zapewne nieżywy. Wieloryb potém tak daleko zaszedł w zatokę, że głowa jego aż na ląd się wsunęła; w tém położeniu był zabity. Wszakże przed morsem zdaje się włócznik uciekać; widziano jak ostatni w walce z nim poległ. Przy Nouksuak w północnéj Grenlandyi, kilku Grenlandczyków powzięło zamiar na spoczywającego morsa uderzyć, gdy z drugiéj strony stado włóczników wpadło na niego. Gdy już bardzo blizko jego stanowiska byli, mors się zanurzył, poczém całe stado na wszystkie strony rozproszyć się miało. Grenlandczycy ujrzeli że największy z włóczników w niejakiéj odległości znowu się wynurzył, dźwigając przy swoim boku morsa, który w nim kły zatopił. (*T. 1850, nr. 17* z Eschrichta Postrz. nad półn. wielorybami Tom I).

* *O rybach łososiowatych*, p. Ludw. Agassiz (z jego dzieła o Wyższem jeziorze). Familia *Salmonidae*, w téj rozległości w jakiéj ją Cuvier uważał, stanowi zwierze na całéj powierzchni ziemi rozpostarte, rozciągające się zarówno do mórz jak i do wód słodkich, tak że przyrodzone jego stosunki do reszty stworzeń bardzo trudno oznaczyć. Gdy Jan Müller, na wskazanie księcia Canino, gruntowniéj zbadał anatomią tych ryb, i rozdzielił je na *Salmonidae*, *Characini* i *Scopelini*, natychmiast światło na tém polu zabłysło. *Salmonidae*, nie jak są u Cuviera, lecz w ścieśnieniu Müllera, należycie odznaczające się obecnością pozornéj skrzeli na wewnętrznéj powierzchni skrzelowéj pokrywy, obejmują ryby wyłącznie północnéj umiarkowanéj strefie właściwe, utrzymujące się w niezmierzonéj mnogości na całym okręgu polarnego morza, zkąd nierzytelnie w pewnych porach roku do rzék dla zniesienia ikry wpływają, prócz niektórych co stale w słodkiéj przebywają wodzie. Mamy więc tym sposobem w *Salmonidae* Müll. familią ryb prawdziwie północną, która choć i w cieplejszych ukazuje się okolicach, tam jednakże trzyma się tylko czystych i zimnych strumieni na górach, nieraz w wielkiéj nad powierzchnią morza wysokości i niedaleko linii śniegowéj, albo też w głębokich zimnych jeziorach mieszka. Że ta familia do zimnych

stworzona jest okolic, pokazuje się mianowicie ztąd, że wszystkie jéj gatunki odbywają tarcie w zimnéj porze roku, gdy woda rzék w których się to dzieje, jest blizką punktu marznienia. Zapłodki w jaju rosną bardzo powoli, blizko przez 2 miesiące, nim się wyklują, gdy tymczasem zapłodnione jaja ryb niektórych innych familij, na wiosnę i latem tarcie odbywających, wykluwają się w kilka dni po zniesieniu. Właściwe łososiowate ryby wylęgają się w takiéj porze roku, w któréj zwykle rzéki stawają, w któréj przeto maxymum temperatury na dnie wody, gdzie jaja i młode w żwirze leżą, 40° F. (3⅝ R.) nie przenosi.

Szczegóły te, równie jak i wszystko co o sposobie życia téj familii wiemy, jasno okazują, że żadna inna na całéj powierzchni ziemi nie żyje pod jednostajniejszemi warunkami, a jednakże gatunki jéj są bardzo rozliczne i we wszystkich krainach, w których się one znajdują, postrzegamy osobne. Tak w jeziorze Wyższém są gatunki, które się nie znajdują w rzéce Mackenzie i Saskaczawan, i odwrotnie w rzéce Kolumbii odmienne od tych, które ma Lena, Obi i Jenissej, gdy Europa przedstawia znowu swoje właściwe kształty.

Kto historyą naturalną z filozoficznego stanowiska uważa, z powyższych przytoczeń pojmie natychmiast dlaczego pstrągi i wełchunie (*Coregonus*), pomimo gatunkowe różnice, tak szeroko są rozpostarte po powierzchni ziemi. Przyczyną tego jest jednakowość fizycznych okoliczności, w jakich te ryby żyją, a do czego anatomiczna ich budowa i zmyślność tak osobliwie są zastosowane. Że muszą pływać pod górę i na dół w szybkich gór strumieniach, a nawet znaczne wodospady przeskakiwać, opatrzone są nader silnemi muszkułami. Ich ogon wielki jest i mięsisty, a siła jego zgromadza się w szerokiéj podstawie. Ich paszcza jest szeroka, szczęki mocne i kończatemi osadzone zębami, stawiącemi je w możności przytrzymywania skąpéj zdobyczy, która się im w tych zimnych wodach płynących trafia; a jakkolwiek uderzy nas doskonałe obustronne zgadzanie się budowy zwierząt północnych z warunkami fizycznemi je otaczającemi, nie możemy jednak zgodności téj za dzieło potęg fizycznych uznawać. Nie możemy powiedzieć że pstrągi dlatego tak podobne są między sobą, iż pod jednakowemi fizycznemi warunkami powstały: nie możemy utrzymywać, że dlatego jednakowy życia sposób mają iż do odmiennego nie podała się żadna okoliczność; nie możemy twierdzić, że dlatego ikrę zniosły w zimie a młode ich wylęgły się pod śniegiem i lodem, ponieważ w téj porze roku były najbezpieczniejsze przed nieprzyjaciołmi, ale myśląc głębiéj musimy wyznać, że ta jednakowość kształtu zachodzi w cudownie zdziałanéj budowie; są one pstrągami całą wspaniałości pełną organizacyą swoją, swoim sobie właściwym kręgosłupem, swoją pysznie zbudowaną głową, silnemi szczękami, ruchomemi oczami, grubą, tłustą skórą i jéj ozdobnemi łuskami, rozgałęzionemi płetw promieniami i całą ową zawikłaną, a jednak harmonijną budową która znamionuje zworze pstrągów.

Zmyślność pstrągów nie więcéj się da wytłumaczyć klimatem, jak zmyślność innych pod odmiennemi warunkami żyjących zwierząt. Ryby te są usposobione to czynić w porze roku odpowiedniéj ich organizacyi, co czynią inne zwierzęta w innych roku porach. Gdyby nie tak było, nie

zdołalibyśmy pojąć, dlaczego wszystkie inne ryby, które przez cały rok w tychże wodach bieżących żyją, nie w tych samych porach roku odbywają tarcie, a powinnyby nawet mieć i ukształcenie tego samego zworza. Czy w téj rozmaitości przy warunkach tych samych, nie mieści się raczéj przeważny dowód, że na zrządzenie ażeby się tak stosowało i tak zostało, działała przyczyna inna, która żyjącemu jestestwu podawała możność oparcia się równającemu wpływowi jednakowych potęg zewnętrznych, jak niemniéj ona i pewny stosunek pomiędzy temi jestestwami a temi potęgami ustanowiła?

Że działacze fizyczne nie wywierają wpływu ważniejszego na pstrągi niż na inne zwierzęta, okazuje się z téj okoliczności iż w małych i zupełnie jednakowéj natury jeziorach, znajdują się niekiedy dwa albo trzy gatunki, które w sposobie życia bardzo są między sobą odmienne: gdy np. jeden na czas tarła w rzeki zachodzi, drugi nigdy w płynącą wodę nie idzie, tylko się trze w jakiém spokojném miejscu przy brzegu jeziora. Jeden ugania się za zdobyczą, drugi czatuje na nią z zasadzk; jeden żywi się więcéj rybami, drugi więcéj owadami. Mamy więc tu gatunki z rozmaitym sposobem życia na miejscach, w których zewnętrzne potęgi zdają się módz mało działać; z drugiéj zaś strony w niezmiernie wielkich wodach, które powołują do nader rozmaitego sposobu życia, różne gatunki żyją obok siebie, a nie znać na nich widocznéj różnicy w zachowaniu się, jak tego stawi przykład Siscowet i pstrąg jeziorny wielkich północnych jezior Ameryki.

Jeżeli niedość jeszcze tych czynów i wywodów do przekonania czytelnika o prawdziwości moich mniemań, zwróciłbym uwagę jego na inną okoliczność ważną, którą nam familia łososiowatych przedstawia, tojest że dwa najwydatniejsze odsiężenia prawdziwego zworza pstrągów znajdują się wszędzie jednocześnie, i pod temiż samemi warunkami. Obydwa przedstawiają te same cechy ogólne kręgosłupa, czaszki, mózgu, kształtu paszczy, trzewiów, skrzel i t. d., ale wielkość paszczy jest bardzo odmienna i w jedném prawie zupełnie brakuje zębów. Temi dwoma skupieniami są welchunie (*Corregoni*) i prawdziwe pstrągi (*Salmones*).

Teraz się zapytam, w czém wpośród przyrodzonych geograficznych granic ryb łososiowatych, znajdować się mogą te potęgi, które spowodowały podobne różnice? Kiedy wszystkie łososiowate we względzie ogólnego zworza są sobie podobne, zewnętrzne działacze, które to podobieństwo sprawiły, musiały pewne znowu części uczynić tak odmiennemi, iż możnaby na nich niemal nowe zworza zasadzić. Jakżeby można było znaleźć jednocześnie na tych samych miejscach welchunie, (mające zupełnie ten sam sposób życia co pstrągi i równie jak one trące się w późnéj jesieni, tak że młode ich wylęgają się w zimie), a pstrągi prawdziwe (*Salmones*), gdyby najwyższa istota, która najprzód wszechświat stworzyła a potém zarządziła słoneczny układ, nie powoływała do życia w różnych po sobie idących epokach takich zwierząt, któreby stosownie do planu stwarzania, nadawały się do rozmaitych miejscowości i każdorazowych warunków, gdy naostatek człowieka na czele stworzeń postawiła? Rozważmy to dobrze, a coraz wybitniéj rozlegać się będzie po całym świecie stworzeń głos wyznania naszego, iż mądry i wszechmocny Stwór-

ca wszystkie rzeczy, które były, są i będą, do istnienia powołał i powoływać nie przestanie. (*T. 1850 nr. 182 z Edinb. new philos. Journal. April July 1850*).

✳ Henryk Rathke uważał węgorza w stanie daleko posuniętéj ciężarności, u którego jajeczniki ciągnące się zwyczajnie nakształt dwóch zkarbowanych wązkich tasiemek, przez całą długość jamy tułuwowéj, były nabrzękłe do szerokości 1 ½", a w fałdzistościach do 10‴ grub. Nieodłączone jeszcze jaja miały tylko 0,0048" w średnicy, skórkę cienką ale mocną i żółtek złożony z galarety o bardzo drobnych ziarkach, w któréj dosyć liczne (do 100) krążki ciekłéj tłustości widzieć się dawały. Osobnych plam zarodkowych nie można było w zarodkowych pęcherzykach dostrzedz. Zewnętrzny otwór tułowowéj jamy, który dla małości zwykle nie daje się widzieć, znacznie się rozszerzył, i sam wypełniony był częścią jajeczników. Byłyby niewątpliwie jaja oddzieliły się niedługo od jajeczników, gdyby zwierzę przy życiu zostało. Gdyby zaś to nastąpiło, według wszelkiego podobieństwa jaja, przy swéj drobności, przy nader znacznem rozszerzeniu zewnętrznego otworu tułowowego, i przy ciśnieniu którego musiały doświadczać ze strony nad miarę wytężonych ścian tułuwu, byłyby wnet na zewnątrz się wydostały. Wszakże żadna z przywiedzionych okoliczności nie upoważnia do wniosku albo sądu, że po odłączeniu się swojém od jajeczników, mogłyby jeszcze tak długo w tułuwowéj jamie zostawać, ażby z nich młode powychodziły. Sądzę więc (słowa autora) że powyższe spostrzeżenia mogłyby posłużyć na wsparcie mniemania, iż węgorz nie żywo rodzi, tylko jaja niesie. (1). (*T. 1850 nr. 231 z J. Müllers Archiv. 1850, III*).

✳ W. C. Williamson, *O mikroskopnéj budowie łusek i skórnych zębów u niektórych ryb szklistołuskich* (Ganoides) *i łakliwych* (Placoides *Ag.*). Autor, w ciągu swojéj rozprawy wspomina, że budowę i rozwijanie się rybich łusek już przed nim wielu badało, a mianowicie Leuwenhoek, Agassiz, Mandl i Owen. Piérwszy z pomienionych badaczów mniemał, że każda łuska składa się z wielu na sobie leżących blaszek, które się jedna po drugiéj nad ostatnią spodnią tworzyły. Mniemanie to, jakkolwiek ze znacznemi różnicami, odświeżył Agassiz, a mianowicie we względzie szklistołuskich, których łuski składają się z listków prawdziwie kostnéj substancyi i zwykle okryte są polewą, która ma podobieństwo do dentyny zębów rybich. P. Mandl zaprzeczył, ażeby łuski u szklistołuskich tworzyły się z blaszek osadzających się jedna na drugiéj, a także i prof. Owen nie uważa ich za wypadek układania się powolnego w warstwy.

Badania autora ściągają się najprzód do gatunków: *Lepidosteus osseus*, *Lepidotus semiserratus*, *L. Mantelli*, *L. fimbriatus*, *Seminotus rhombifer*, *Pholidotus Leachii*, *Ptycholepis bollensis*, *Beryx* sp. *Dapidius orbis* i *D. granulosus*, których wszystkich łuski zdają się być według jednego zworza ukształcone. Osobliwe odsiężenie tego zworza ukazuje *Palaeoniscus comptus* i *P. Beaumonti*, inne *Gyrodus* i *Aspidorhyn-*

(1) Porówn. Bibl. Warsz. 1845. II, str. 715.

chus acutirostris, a jeszcze zawikłańsze różnice zachodzą w łuskach jesiotra i gat. *Platysomus parvulus*.

Obszerniéj potém opisuje autor inną ciekawą budowę w rodzajach *Megalichthys*, *Holoptychius* i *Diplopterus*, u których tkanka kostna i powłoka łusek są nadzwyczajnie piękne i zawiłego składu. Daléj rozważa łuski gat. *Macropoma Mantelli* z formacyi kredowéj. U téj ryby pokrywa skrzel całkiem koścista, równie jak i tylna część każdéj łuski, osadzona jest gęsto zębami skórnemi. Jednakowoż ta część łuski która między pomienionemi zębami leży, nie koścista jest, tylko się składa z cieniutkich blaszek, żadnéj komórkowatości nie przedstawiających. Dęty trzew' który się wewnątrz u *Macropoma* znajduje, jestto walec z prawdziwie kostnéj tkanki, budowy osobliwéj blaszkowatéj, pełnéj komórek. Autor nie podziela mniemania jakoby to był żołądek, sądząc raczéj iż pomieniony walec sprawował tę samą usługę co powietrzowy pęcherz.

Zastanawia się potém nad budową i rozporządzeniem skórnych zębów u wyłownika (*Squalus canicula*). Zdają się one być takiemi jak u skrzelowéj pokrywy i u łusek w rodz. *Macropoma*. Podobneż zęby znaleziono przy skamieniałéj skórze gat. *Hybodus reticulatus* z liasu przy Lyme Regis. U téj kopalnéj ryby znajdowały się liczne ziarnka materyi kredowéj, rozproszone po kawałkach skóry miękkiéj pod zębami skórnemi leżących, i przedstawiały spółśrodkowo-blaszkowatą budowę. Autor opisuje odpowiednie tym skórne zęby u *Raja clavata*, tudzież te któremi uzbrojona jest paszcza zwyczajnéj piły i bardzo osobliwe międzyszczękowe kości w rodz. *Coelorhynchus*.

Z wybadania łusek u wyżéj pomienionych ryb, wyprowadza autor:

1^od^ Że tak nazwana polewa na rybich łuskach ma zawikłaną budowę, i że te łuski składają się z *ganoinu* i *kosminu* (od κοσμεῖν, zdobić). Ganoin jest przezroczysty i układający się w blaszki, ale zresztą nieprzedstawiający organicznéj budowy: kosmin zaś składają liczne porozgałęziane rureczki, w czém on jest podobny do dentyny prawdziwych zębów.

2re Że kosmin powłóczący kościsto łuski wielu ryb szklistołuskich, jak np. *Lepidotus semiserratus*, *Megalichthys Hibberti* i t. d, jest tą samą materyą z któréj się składają skórne zęby prawdziwych ryb łakliwych, jakoto wyłownika, cierniugi (*Spinax acanthias*), z różnicą, że w kosminie polka leżą na kościstych łuskach, a tu bez środkowania treści kościstéj, osadzone są w miękkie skóry. Z tego wynika, że różnica pomiędzy *Ganoides* a *Placoides* Ag. pod fizyologicznym względem ledwie się da usprawiedliwić, bo łuski wielu tak nazwanych szklistołuskich, np. *Dapidius orbis*, *Acipenser* etc. mało przedstawiają ganoinu i kosminu, albo i wcale go nie zawierają. Przeciwnie u wielu w oddziale *Placoides*, obiedwie te substancye są bardzo rozwinięte, i jest wyraźny szereg ogniw, ciągnący się przez zwyczajną cierniugę, zwyczajnego wyłownika, przez *Hybodus reticulatus*, *Macropoma Mantelli*, *Dapidius granulosus*, *Holoptychius*, *Diplopterus* i *Megalichthys*, w którym *Ganoides* mieszają się z *Placoides*.

3^cie^ Że łuski u szklistołuskich złożone są z kościstych blaszek w rozmaity sposób poodsiężanych, które osadzają się zwolna, szczególnie

na powierzchni dolnéj, nad albo pod sobą; ale, według okoliczności, bywają też przyłączone częścią lub całością i do powierzchni górnéj.

4te Że blaszki te albo listki, nie należą się wcale procesowi exkrecyjnemu lub też osadowi pochodzącemu z powierzchni wydzielającéj, jak utrzymuje p. Agassiz, ale tworzą się w skutek wapnienia spodnich błonek pełnéj naczyń przykostni; że zatém zjawiska budowy i wzrostu tych łusek u szklistołuskich, nadzwyczajnie się jednają do udowodnienia rzeczywistości w zdaniu prof. Sharpey o rośnieniu kości ludzkich; powolne bowiem tworzenie się kanałów Harvesa nader łatwo śledzić się tu daje od prostych błonek, jakie przedstawiają łuski u *Lepidosteus*, *Lepidotus* etc. przez *Aspidorhynchus*, *Acipenser*, *Holoptychius* i t. d., aż do najwyższego stopnia rozwinienia u *Megalichthys*.

5te Że badanie mikroskopnéj budowy przysadek skórnych u ryb, może się stać szacownym środkiem pomocniczym na odróżnienie gatunków bardzo pokrewnych, jak również i na rozeznanie pokrewieństw, a to wtedy nawet, gdy ułomki tylko pomienionych przysadek mamy; jak też znowu może ono łatwo i o błąd przyprawić, jeśli nie rozpatrzywszy należycie innych części ryb, klassyfikacyą ich zasadzimy na samém mikroskopném badaniu łusek: nie mogły się bowiem wszystkie części ciała w zgodności z niemi rozwinąć. (*T. 1850, nr. 207, z London, Edinburgh &. Dublin Philos. Mag. Suppl. Jan. 1850*).

* Kopalne zęby żarłaczów (*Squalus*), niegdyś *Glossopetrae* zwane, jakie się znajdują obficie i w niektórych Europy miejscowościach np. na wyspie Sycylii i Malcie, na Wołyniu pod Krzemieńcem, i t. d., zbierał starannie i porównywał w Ameryce dr. Robert Gibbes w Kolumbii, w połud. Karolinie, poodnosił je do rodzajów i gatunków téj familii, i wydał swą ważną pracę pod tyt. *Monograph of the fossil Squalidae of the United States, by R. W. Gibbes M. D. Philadelphia 1848*, z dołączeniem wizerunków każdéj różnicy w ukształceniu zęba (1). Z monografii téj dowiadujemy się, iż pomiędzy naturalistami amerykańskiemi, dr. Morton i dr. Harlan już przedtém o żarłaczach kopalnych pisali. Familia ryb żarłaczowatych, należy u Agassiza do piérwszego rzędu który on *Placoides* nazywa. Skóra na tych rybach jest niemierzytelnie pokryta lśniącemi tabliczkami, które częstokroć są wielkie, ale też nieraz mają kształt tylko drobnych guzików czyli krostek, jakie stanowią jaszczur (chagrin) żarłaczów i płaszczek. Z obudwu tych familij w stanie kopalnym znajdujemy tylko zęby i kręgi, wyjąwszy że niedawno Sir Philip Egerton, w drugorzędowéj górze na wyspie Wight, znalazł paszczę rodz. *Hybodus* przy któréj rozeznać się dawały chrząstkowate skrzydło i część przedniego wydrążenia w czaszce. Szczątki ryb żarłaczowatych, znajdują się tylko w drugo i trzeciorzędowych górutworach, a Agassiz uważa, że dziś żyjące zworza téj familii albo nie mają żadnych między kopalnemi wyobrazicieli, albo ograniczone tylko do trzeciorzędowych i krédowych górutworów; gdy tymczasem rodzaje, które w naszym okresie jakby odosobnione stoją,

(1) Wystawił autor przeszło 50 takich odmian kształtu, w więcéj niż 60 wizerunkach które Froriep zmniejszając, na jednę tablicę do swojego dziennika przeniósł. *A. W.*

np. *Mustelus* i *Cestracion*; zastąpione są nader licznemi rodzajami podobnemi, w całym szeregu górutworów drugorzędowych.

Pomimo odmienności jakie postrzegamy w kształcie zębów u żarłaczy, wszystkie jednakże mają istotną cechę budowy, tojest podstawę czyli kościsty korzeń, już tak już inaczéj ukształcony, zapuszczony w skórę, i wysterczoną w paszczę koronę, która jest okryta mniéj więcéj grubą warstwą polewy i przedstawia wiele odsiężeń cechujących rodzaje. Zęby te zrastają się tylko z okryciem szczęk, i są nader ruchome. Stoją zwykle rzędami, z których zawsze najpierwszy od przodu, zużywszy się wypada, a zastępuje go najbliższy, podczas gdy od tyłu tworzą się ciągle nowe rzędy zębów. Podstawa zęba jest szeroka i gruba, zaokrąglona i dęta albo brózdowana, ale nigdy stożkowata, ani też w kończatość przechodząca. Jest ona koścista, mniéj lub więcéj ścisła albo też dziurkowata i bez wewnętrznego wydrążenia. Korona przedstawia w rozmaitych rodzajach a nawet na rozmaitych miejscach téjże szczęki, różny kształt i wielkość. Z tych co są szydłowate i mniéj więcéj trójkątne i ściśnione, na przodzie szczęki stoją prostsze i ostrzejsze niżeli na tyle, gdzie stoją pochyło i są tępe. W szczęce górnéj nie są częstokroć zupełnie takie jak w dolnéj: w jednéj bywają prostsze i ostrzejsze niż w drugiéj. Jeżeli środkowe tenże mają kształt co boczne, są one zwykle mniejszemi i kończastszemi, a na zrośnieniu (sympłysis) tak jednéj jako i drugiéj szczęki, jest częstokroć jeden lub kilka odmiennie ukształconych drobnych zębów.

Zęby rozróżniają się jeszcze większą lub mniejszą piłkowatością brzegów i małemi ząbkami przydanemi z boków, czego wszakże u zębów młodych często brakuje i na czém nie można gatunkowych różnic opierać, lubo obecność tego, oznaczenie gatunków ułatwia. Prof. Agassiz postrzegał różnicę pomiędzy zębami w rodz. *Carcharias* a *Carcharodon*: tam jest stożkowata czczość w zębie, tu zaś ząb jest pełny; wszakże budowa mikroskopna w obudwu jest ta sama.

Prof. Agassiz zajmuje się teraz klassyfikacyą tak kopalnych jako i żyjących ryb żarłaczowatych, usiłując ją oprzéć na mikroskopném zbadaniu budowy zębów. Tymczasowo najtrafniéj będzie zasadzić ją na gładkości lub pokarbowaniu boków zęba, a to jak następuje:

Familia żarłaczowatych (Squalidae).

Zęby po brzegach karbowane.

Z rodz. *Carcharodon* Smith. opisuje autor 6 gatunków amerykańskich. Z rodz. ludojadów (*Carcharias* Cuv.) tylko jedyny (*C. tenuis*) i niecałkowicie. Z rodz. *Galeocerdo* Müll et Henle. 6 gatunków. Z rodz. *Hemipristis* Ag. jeden (*H. serra*). Z rodz *Glyphis* jeden (*G. subulata*). Z rodz. kusz (*Sphyrna* Rafin. *Zygaena* Cuv.) trzy. Z rodz. *Notidanus* Cuv. jeden (*N. primigenius* Ag.).

Zęby po brzegach gładkie.

Z rodz. chochleniów (*Lamna* Cuv.) gatunków 9, przyłączając niektóre i z *Odontaspis*. Z rodz. *Otodus* Ag. gat. 7. Z rodz. *Oxyrhina* Ag. gat. 9. (*T. 1850, nr. 67—71*).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1850.

109. Grammatyka polska rozbiorowa, ułożona podług zasad zdrowéj logiki, i naturalnéj, przez porównanie z innemi językami, krytycznie roztrząsanéj, budowy języka polskiego, ze szczegółowym wykładem praw ustalonéj pisowni, i odmian grammatycznych. Przez Alojzego Kalixta Kozłowskiego Jurowianina. Część pierwsza. Obejmująca naukę o Głoskach, tworzeniu Zgłosek, o Przygłosie wyrazowym i mownym; ogólną teorią źródłosłowu; i teorią ustalonéj pisowni polskiéj. Kosztem autora. 8ka. Kijów. 1850. Druk T. Glücksberga. Str. 241.

1851.

121. Dzieciobójca. Obrazek z wiejskiego żywota, przez Adama Pługa (Pietkiewicza). 8ka. Wilno. 1851. Druk J. Zawadzkiego. Str. 48. (Oddruk z Athenaeum.). Złp. 2. gr. 10.

122. F. Anna Nowa metoda praktyczna i łatwa nauczenia się w krótkim czasie języka niemieckiego (.) Według trzeciego wydania, z zastosowaniem do użytku młodzi polskiéj, przez Antoniego Tessarczyka. Kurs pierwszy. 8ka. Bochnia. 1851. Druk W. Pisza, nakład autora. Str. 92. Złp. 2 gr. 20.

123. Piosenki gminne ludu pińskiego. Zbierał i przekładał Romuald Zienkiewicz. (Z godłem):

O pieśni gminna! ty arko przymierza.....

8ka. Kowno. 1851. Druk M. Zymelowicza. Str. XVII i 424. Złp. 13 gr. 10.

124. Podróże Gulliwera w nieznajome kraje, przez Jonathana Swifta. Polskie wydanie ozdobione 450 drzeworytami przez J. J. Grandville, z przydaniem krótkiéj wiadomości o Swifcie z Walter Scotta przez J. N. Bobrowicza. Nowe tanie wydanie. 2 tomy. 8ka. Lipsk. 1851. Nakładem J. Baumgaertnera, druk J. G. Teubnera. Tom I str. LXII, i 271. II, 315. Złp. 16.

125. Rzecz o modrzewiach przez B. M. 12ka. Wilno. 1851. Druk M. Zymelowicza. Str. 24. Złp. 3.

126. Ziemianin, pismo poświęcone rolnictwu i przemysłowi. Z godłem:

Gdy się naród rzuci rojem
I dołoży silnéj ręki,
To nie darmo się i znoim:
Gumna, stogi się postroją,
I jest dosyć w potrzeb swoją,
I świat karmim chlebem swoim.

12 zeszytów. 8ka. Leszno. 1851. Nakład i druk Ernesta Günthera. Styc., Luty, Marzec i Kw. str 354. Maj, Czer, Lip. i Sierp. str. 372. Wrz., Paź., List. i Grud. str. 314. Złp. 40.

1852.

48. Bitwa o Chorążankę. Obrazek z XVIII wieku (z rękopismów Zygmunta Kaczkowskiego). 12ka. Kraków. 1852. Nakładem J. Czecha, w drukarni Czasu. Str. 50. Złp. 3 gr. 10.

49. Bruno. Romans. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk B. Nischkowskiego. Str. 110. Złp. 6 gr. 20.

50. Czarna wstążka. La Kaczucza. Opowiadania i powieści Włodzimierza Wolskiego. 16ka. Warszawa. 1852. Nakładem księgarni pod firmą Zawadzkiego i Węckiego, (druk J. Zawadzkiego w Wilnie). Str. 331.

51. Dr. E. J. Arnolda krótkie powiastki niemieckie do czytania, opowiadania, rozbierania i do tłumaczenia na język polski lub francuzki; z dołączeniem słowniczka niemiecko - polsko - francuzkiego. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. (Text całkiem niemiecki). Napisów kart 2, str. 190 i XXII. Złp. 5.

52. Jak człowiek powinien się modlić. Rzecz napisana przez ś. Piotra z Alkantary, z dodaniem stopniowania cnót, ułożonego przez ś. Bonawenturę. Przepolszczył jeden z Kapucynów. 8ka. Warszawa. 1852. Druk J. Tomaszewskiego. Str. 160.

53. Kazania na niedziele całego roku kościelnego wybrane z dzieł drukowanych i niedrukowanych znakomitych kaznodziejów nowszych. Wydał X. Franciszek Wróżewski. Za pozwoleniem zwierzchności duchownej. 2 tomy, 8ka. Wrocław. 1852. Nakładem Z. Schlettera, druk Grassa, Bartha i Spółki. Tom I, str. 223, II. 171. Złp. 22.

54. Krótki rys chemii, z dodaniem treściwego zastosowania jéj do rolnictwa; napisał Józef Bełza (z drzeworytami). 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Kart 4 i str. 370. Rejestru kart 3. Złp. 6 gr. 20.

55. Obrazki wiejskie przez Jana Kantego Gregorowicza. 4 tomy. 12ka. Warszawa. 1852. Nakład i druk S. Orgelbranda. Tom I str. 317, II 261, III, 228, IV, 393, i w każdym napisów kart 2. Złp. 26 gr. 20.

56. Ogień miłości Jezusa Chrystusa czyli dowody gorącéj ku nam miłości Zbawiciela, w dziele odkupienia naszego. Podług Xiędza Pinart. Przerobione z francuzkiego. Wydanie nowe poprawne, 8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Str. X i 502. (Z ryciną). Złp. 6 gr. 20.

57. Paladyn Czorcz. Powieść na gminnem podaniu oparta. Przez autora Bruna. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera. Druk B. Nischkowskiego. Str. 40. Złp. 3.

58. Topir-góra. Powieść wołyńska, wedle miejscowego podania. Przez autora Bruna. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Schlettera, druk B. Nischkowskiego. Str. 48. Złp. 3 gr. 10.

59. Śpiewy duchowne i inne poezye religijne z najznakomitszych francuzkich poetów wierszem przełożone przez Jana Klemensa Minasowicza Ar.(tystę) mal.(arza) b. U.(niwersytetu) Kr.(ólewskiego) W.(arszawskiego) U.(czuia) Wydz.(iału) Nauk i Sztuk Pięknych. 8ka. Warszawa. 1852. Druk J. Ungra. Str. 91 i rejestru karta 1. Złp. 3 gr. 10.

60. Źródło żywota czyli przewodnik do Sakramentów Świętych, zawierający w sobie nauki o Sakramentach i modlitwy stosowne. Sześć spo-

sobów słuchania mszy Ś. Trzy godziny adoracyi. Nabożeństwo kompletne na Boże Ciało. Odwiedziny Pana Jezusa utajonego w Sakramencie ołtarza, na każdy dzień tygodnia. Czterdziesto-godzinne nabożeństwo. Pieśni kościelne.

(Z godłem). Jam jest Alpha i Omega, początek i koniec. Ja pragnącemu dam darmo ze źródła wody żywej. Kto zwycięży, odziedziczy to, i będę jemu Bogiem, a on mi będzie synem. (Obj. XXI, 6, 7).

A kto pragnie, niech przyjdzie, niech bierze wodę żywota darmo. (Obj. XXII, 17).

12ka. Warszawa. 1852. Druk Ungra. Napisów kart 2, str. 771, rejestru kart 4. Złp. 10.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

J. Korzeniowski wykończył komedyą p. n.: *Wąs i peruka*, w trzech aktach (prozą), którą odczytał sam w zebraniu kole przyjaciół i artystów u siebie. Chwila wybrana, kiedy szał mody obłąkał wszystkie niemal umysły, kiedy dla połoru (jak mniemano), dla europejskiej cywilizacyi, wyzuwano się ochotnie z krajowego ubioru, aby w małpiarstwie cudzoziemskiem o pierwszeństwo się ubiegać. Sztuka ta należy bez żadnej wątpliwości do najlepszych utworów p. Korzeniowskiego; szczególniej drugi akt po mistrzowsku obmyślany i oddany. Cały dramat umiał autor bardzo szczęśliwie kolorytem właściwym, historycznym przyoblec, co mu więcej jeszcze dodaje uroku. Komedya ta jest przeznaczoną na ogłoszony konkurs we Lwowie, gdzie już przesłaną została.

— Nakładem i drukiem S. Orgelbranda wkrótce opuszczą prasę: 1) *Pisma rozmaite Dominika Szulca*, zawierające: O znaczeniu Prus dawnych, wydanie drugie poprawne; O wieku bałwochwalskim pieśni Bogarodzicy; O Tarnowie mazowieckim, i o nagrobku Bolesława. 2) Życie Fryderyka Wielkiego króla pruskiego, ozdobione rycinami. 3) Dzieje panowania Augusta II króla polskiego. 4) Złota książeczka, czyli powiastki moralne dla dzieci przez Fr. Hofmana, przełożone p. Teofila Nowosielskiego; po polsku i po niemiecku, z rycinami. 5) Obrazki z życia potocznego Ad. Am. Kosińskiego. 6) Siedm grzechów śmiertelnych przez E. Sue; Grzech VI: Skąpstwo czyli Millionery, w 2ch tomach.

— Dr. Teodor Tripplin wykończa obecnie dalszy ciąg swoich Wspomnień z podróży, które stanowić będą następne tomy 9, 10, 11, i 12. Z tej nowej pracy znanego tak chlubnie autora, pismo nasze wkrótce obszerne ustępy ogłosi.

— P. Sowiński autor dzieła: *O uczonych Polkach*, które oddawna zupełnie wyczerpane zostało z obiegu księgarskiego, rozszerzył o większą połowę pierwotną pracę i przygotował w zupełnem przerobieniu drugie wydanie p. n. *O pismach polskich autorek*. Dzieło to stanowiące tom spory, zamierza wkrótce ogłosić drukiem.

— Adam Pług (Pietkiewicz), znany chlubnie jako współpracownik *Athenaeum*, zamierza wydawać pismo zbiorowe p. n.: *Kwestarz*, i w tym celu zawezwał wszystkich piszących do udziału w téj zacnéj pracy.

— Professor Teodozy Sierociński ogłosił wyjście ważnego ze swojéj treści dziełka, p. n. *Pogląd historyczny i krytyczny na pisownię polską od r. 1808 aż do naszych czasów;* tudzież: *Ocena Pedagogiki praktycznéj* p. T. Sierocińskiego, i porównanie jéj z Pedagogiką filozoficzną wydaną przez B. T.

— *J. Jaroszewicz*, znany zaszczytnie autor *Obrazu Litwy*, wykończa obecnie drugie wydanie tego dzieła już wyczerpanego z handlu księgarskiego. Wydanie powtórne będzie w obszerniejszych ramach, bo o dwa razy większe od pierwszego.

— *Paulina Wilkońska* rozpoczęła w Poznaniu druk *Wiązanki literackiéj.*

— Dowiadujemy się z pewnego źródła, iż rękopism wielce poszukiwanego w ostatnich czasach *Żywota świętéj Kuneygundy przez Długosza*, stał się w r. 1851 własnością Zakładu naukowego Ossolińskich we Lwowie.

— Niedawno znalazł się we Lwowie bardzo ciekawy rękopism z XVII wieku polityczno-moralnéj treści, pod tytułem: *„Paradoxa koronne, publice et privatim, potrzebne szlachcicowi polskiemu, napisane 1603 roku"* Jestto zbiór 24 rozpraw obyczajowych, pełnych klassycznéj erudycyi, a osobliwie celujących wzorowym Zygmuntowskim językiem, który wraz z głębokim rozsądkiem treści, stawią ten zapomniany dotąd zabytek literacki w rzędzie najdatulejszych płodów złotego wieku piśmiennictwa naszego. Nazwisko autora niewiadome. Pożądaném ogłoszeniem tego zajmującego dziełka przysłuży się publiczności księgarz krakowski p. Józef Czech, w którego drukarni pierwsze arkusze paradoksów już się drukują.

— Ustęp dziejowy: *Zjazd w Koszycach, przyjście Jadwigi*, wykończył p. Karol Szajnocha, znany tak zaszczytnie na polu dziejowém historyk, i tę pracę Biblioteka Warszawska wkrótce w całości umieści.

— Rocznika C. K. Tow. gospodarczo-rolniczego krakowskiego zeszyt 2 i 3 wyszedł z druku.

— W r. 1852 nakładem B. M. Wolffa wyjdą następne dzieła: 1) *Hołowińskiego* (arcybiskupa) Pielgrzymka do Ziemi Świętéj, wydanie 2gie w 1 tomie. 2) S. G. *Podróż do Karpat*, w 1 tomie, w 8ce. 3) H. *Rzewuskiego Zamek krakowski*, wydanie 2gie. 2 tomy, 8ka. 4) *Mętlewicza* Kazania na niedziele i święta całego roku. 2 tomy. 5) *J. Bartoszewicza*, Obrazy historyczne XVIIgo i XVIIIgo wieku. 6) *Pamiętniki Jerlicza*, wydane przez K. Wł. Wojcickiego.— 7) Libelta: *Piękno natury* czyli estetyka, t. 1, 2.—8) Wereszczyńskiego biskupa kijowskiego, Kazania na nowo wydane staraniem arcybiskupa Hołowińskiego.— 9) Tripplina: Wspomnienia z podróży, 8 tomów. Wydanie 2gie poprawne i powiększone.— 10) Powieść J. Korzeniowskiego pod napisem: *Tadeusz bezimienny.* — Tegoż nakładem wkrótce ujrzymy *Fizykę popularną* w 1 tomie, ozdobioną 1000 rysunków w texcie.

— W numerach 48 i 49 z r. b. pisma czasowego, wychodzącego w Berlinie pod tyt.: *Magazin für die Literatur des Auslandes*, zamieszczo-

ne jest sprawozdanie z dzieła pani Felińskiéj: Dziennik pobytu w Berezowie, którego przekład na język niemiecki wkrótce ma wyjść z druku. Sprawozdanie to jest tłumaczone z Biblioteki Warszawskiéj z m. kwietnia r. z. z zatajeniem źródła.

— Nakładem J. Zawadzkiego w Wilnie wyjdą wkrótce zpod prasy drukarskiéj: poezye Wł. Syrokomli, i ostatni tomik Przekładów poetów polsko-łacińskich, tegoż.

— Nakładnictwo dzieł katolickich sposobi nowe zupełne wydanie wszystkich poezyj ś. p. Franciszka Żyglińskiego.

— Nakładem Józefa Czecha w Krakowie wyszły dotąd drukiem nieogłoszone Jana Pawła Woronicza *Homilie, nauki i przemowy*, z własnoręcznych rękopismów autora zebrane.

— W skutek odezwy kassyna obywatelskiego we Lwowie z dnia 25 stycznia r. b., sędziom przez wydział kassynowy do ocenienia sztuk dramatycznych wybranym, przełożono: z francuzkiego sztuk 7, z niemieckiego sztuk 4, z hiszpańskiego 1. Między temi pierwszeństwo otrzymała komedya w 5ciu aktach pp. Scribe i Legouvé, p. n.: *Powiastki królowéj Nawarry*, przełożona przez Wojciecha Smochowskiego, syna znanego artysty dramatycznego teatru lwowskiego.

— *Pamiętnik gospodarski*, wydawany tygodniowo przez p. St. *Przyłęckiego* we Lwowie, przeszedł pod redakcyą D. Bilińskiego, a *Przyjaciel dzieci*, tygodnik obyczajowo-naukowy, pod redakcyą *Hippolita Wilowskiego*; rozpoczął on czwarty rok swego biegu.

— Towarzystwo naukowe krakowskie połączone z uniwersytetem Jagiellońskim, zabrało się do wypracowania *słownika naukowéj terminologii*, któryby w każdéj gałęzi potrzebną wprowadził jednostajność. Podzieliło się towarzystwo w tym celu na sekcye, z których każda w odpowiednim sobie zawodzie, terminologią układa. Niektóre sekcye jak np. chemików, są już blizkie ukończenia swéj pracy. U nas w Warszawie, za wpływem redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, tutejsi chemicy i znawcy zajmują się gorliwie ułożeniem słownika chemicznego, i praca ta jest już tak daleko posunięta, że skutku wkrótce spodziewać się należy. Życzyć potrzeba, ażeby czynność ta, tak dla nauki ważna, mogła przyjść do wykonania za zniesieniem się uczonych wszystkich głównych miejsc, gdzie na polskiéj niwie w jednym zawodzie pracują.

— Professor Wincenty Pol ukończył *Geografią Ziemi Swiętej*, przeznaczoną głównie do użytku seminaryów, a jeszcze b. r. zpod prasy wyjść mającą.

— Józef *Łepkowski* odbywszy zeszłego lata naukową po okolicach podgórskich podróż, kończy teraz jéj opis, który wraz z dotyczącemi mappami i rycinami archeologicznemi, w Warszawie wydać zamierza. Nowa ta praca naszego młodego, a już tylą publikacyami znamienitego badacza, będzie miała tytuł: *Archeologiczny opis okręgu Krakowa i Sandeczczyzny*. Przeznaczona doń główna mappa starożytnicza, ma wskazywać wiek budynków, errekcyj, kierunek wałów, wykopaliska, zamki i t. p. 40 rycin oprócz mapp ozdobi i objaśni tę pracę. Oprócz tego ukończył p. Łepkowski w r. 1847 rozpoczęte *Starożytności krakowskie*. Miało ich wyjść 12 zeszytów, lecz burze polityczne i pożar Krakowa, który przygotowane do dal-

szych zeszytów ryciny i materyały pochłonął, zmusiły poprzestać na siedmiu, stanowiących teraz z 7miu dużemi rycinami, przedstawiających kilka znakomitych rzeźb, obrazów i grobowców kościelnych, jako też niektóre inne zabytki, skończoną i kompletną publikacyą.

— Jak już donieśliśmy, od Nowego Roku wychodzi w *Cieszynie*, pod redakcyą p. *Stalmacha*, co tydzień od 1 do 2 arkuszy: *Gwiazdka cieszyńska*, pismo dla nauki, umiejętności, przemysłu, i zabawy ludu wiejskiego. Odznacza się tak doborem artykułów, jak zarazem i poprawniejszym daleko więcéj językiem, niż wiele publikacyj literackich na Szlązku. Oprócz *Gwiazdki* zaczął p. Stalmach z rokiem bieżącym wydawać osobno polską gazetę polityczną dla ludu, wychodzącą w jednym dużym arkuszu raz na miesiąc, i ztąd *Miesięcznik* nazwaną, a zwyczajne wiadomości polityczne, w jasném, treściwém skróceniu zawierająca.

— Z drukarni *Czasu* wyszło dziełko p. n.: *O upuście krwi przy zapaleniu płuc*, z dołączeniem tablic statystyczno-lekarskich, przez dra Józefa *Dietl* professora uniwersytetu Jagiellońskiego; przełożyli z niemieckiego Paweł Grzywiński i Ulidowski.

— Znana Wincentego Pola gawęda: *Przygody Benedykta Winnickiego*, wyjdzie w Petersburgu nakładem księgarza B. M. Wolffa, w ozdobném illustrowaném wydaniu. Główną jednak zaletę tegoż wydania stanowić będzie druga część ulubionego poematu, którą autor późniejszemi czasy dopisał.

— W Poznaniu wychodzi w drugiém wydaniu znane u nas i poszukiwane, a wyczerpane zupełnie w handlu księgarskim dziełko *D. Chłapowskiego, O rolnictwie*.—Z drukarni Kamieńskiego i Spółki wyszła *Geografia ogólna*, ze szczególnym względem na Słowiańszczyznę i nasz kraj, w krótkości wyłożona przez St. Zawadzkiego. Książka ta, napisana językiem popularnym, zawierająca prócz ogólnych, bardzo wiele specyalnych wiadomości, szczególnie historycznych, odnoszących się do dawnych i teraźniejszych siedlisk słowiańskich, i do Polski, opatrzona przy końcu bogatym spisem nazwisk, za dykcyonarzyk geograficzny służyć mogących, stanie się niezawodnie powszechném dziełkiem podręcznem.

— Biblioteka Warszawska wspomniała już o zdolnym artyście malarzu Kornelu Szleglu: dopełniamy teraz te wiadomości. P. Szlegel obeznany kilkoletnim pobytem z naturą i arcydziełami Zachodu, znalazł pomyślną sposobność, uzupełnić skarbnicę wyobraźni przypatrzeniem się przyrodzie Wschodu, mianowicie téj jego okolicy, która jak wiadomo do najpiękniejszych na kuli ziemskiéj się liczy. Przybywszy do Jass z końcem listopada 1850 r., zabawił tam aż do połowy 1851 r. W lecie zwiedził góry Karpackie, i był na szczycie *Czahleu*, gdzie mu się podarzył przedmiot do obrazu, przedstawiającego górala pastucha na urwisku skały, na kobzie grającego. Z przodu dwie owce, z tyłu poza skałą koza, u stóp połonina, w głębi malowniczy Czahleu. Obraz ten nabył książę *Murusi*, lubownik malowideł, i utalentowany dyletant. W jego też posiadaniu jest studyum z natury: stary cygan z koszturem w ręku, naturalnéj wielkości. Najznaczniejszym atoli z wykończonych w tym czasie obrazów jest portret księżnéj w całéj figurze, naturalnéj wielkości, według myśli księcia, w ślubnym stroju, w kaplicy u ołtarza klęczącéj, w profilu. Bawiąc dłużéj w Mołdawii, polubił artysta

tę krainę. Podobała mu się ona dlatego głównie, ponieważ wiele rysów obyczajowych, wiele szczegółów malowniczych, które sobie malarz w starożytnéj wystawia Polsce, tam jeszcze w codziennéj rzeczywistości, w żywéj zachowało się praktyce. Wszakże niecierpliwość ujrzenia Carogrodu, nie dozwoliła przeciągać pobytu w Mołdawii. Wyjechał do Gniaczu. Ztamtąd popłynął p. Szlegel Czarném morzem do Konstantynopola. Ileżto cudownych widoków, ile uroczych wrażeń potło w tej podróży za każdym krokiem wyobraźnię artysty! Ze Stambułu przywiózł między innemi dwa portrety: jeden olejno malowany autora *Anny*, *Gawędy*, i *Powieści kozackich*, w fezie na głowie, mina turecka: drugi ciekawy sposobem rysowania, przedstawia osobą *Józefa Rudnickiego*, obiecującego *perpetuum mobile*. Zbliżająca się zima, spowodowała naszego podróżnika do opuszczenia Stambułu. Chcąc jeszcze przed porą burzliwą zwiedzić Ateny, udał się na Smyrnę i Syrę do Grecyi. Ztamtąd pełen najwznioślejszych wrażeń, jakiemi tylko czarująca natura i pamiątki klassycznéj przeszłości duszę zachwycić mogą, popłynął p. Szlegel po zwiedzeniu w drodze wysp Zante i Korfu do Tryestu, i zdawna znanéj sobie Wenecyi. W końcu r. 1851 wrócił do Lwowa. Oprócz wymienionych powyżéj portretów, widzieć można w pracowni jego, przywiezione z podróży mały obraz olejny, przedstawiający *kuźnię mołdawską w Jassach*. Pocztylion trzyma konia przemawiając do niego, aby go uspokoić; kowal dobiera podkowy i już rozmaite porozkładał narzędzia. Na płaskim dachu kuźni, piesek drażni napuszonego indyka, co zwraca uwagę innego jeźdźca. Za kuźnią dla kontrastu widać pałac czyli raczej dom, pałacową strukturą. Cyganka z dziećmi uzupełnia gruppę. Daléj obrazy: *Chłopi karczujący* dąb stary, znajdują pod nim starożytne zbroje szlacheckie. Podziw chłopów. Ton nieba i widnokręgu posępne jak sama przedmiotowość. *Zosia* karmiąca drób': kury, indyki, gołębie, zlatują się dokoła; na przodzie część ogrodu. Wpośród kapusty wspaniały słonecznik przy pełzającym ogórku. Wtyle budynek niby piekarnia. Daléj: *Górski pejzażyk* sanockiego lub samborskiego charakteru, ożywiony gruppą czynszowéj szlachty, zawracającéj pług z czterema wołami; wpośrodku skała, za którą okolica z widokiem rzeki, sadów, zagrody. Obok poprzednich: *Dwa wieczory staropolskie*: na jednym przy stoliku blizko kominka widać parę w podeszłym wieku: jejmość z jegomością, przy grze w maryasza. On gra z ochotą, dama więcéj z powinności, gdyż wespół ze swoją towarzyszką zajmuje się bardziéj młodym mężczyzną, który zpoza krzesła jegomości, przy objaśnianiu świécy, gasi ją; to obudza śmiéch kobiét. Wtyle stary sługa bezkarnie resztki wina pocieniku spija. *Drugi* obraz, *pendent*, równie oparty na efekcie światła. Jegomość w gawędzie z księdzem Bernardynem wydobywa zpod stołu jeszcze jednę butelkę wina. Kwestarz niebardzo przeszkadzając, bierze jedną ręką gospodarza domu za ramię, drugą zaś zażywa tabaki, filuternie mrużąc oczyma. Musi być późno, bo jejmość w najlepsze drzemie na kanapie; z czego para młodych korzystając, porozumiewa się za pomocą podanego sobie ukradkiem bileciku.

— Pomiędzy nowemi pracami malarzów lwowskich, zasługuje na niepospolitą uwagę obraz p. *Rajchana*, przedstawiający *rodzinę świętą*. Świetny talent tego skromnego, ale niezaprzeczenie najgłębiéj, najszczerzéj ze wszystkich malarzy lwowskich natchnionego artysty, wystąpił tu zpoza

chmury niewdzięcznych zatrudnień codziennego zarobku, w całym blasku swojéj wewnętrznéj wartości. *Rodzina święta* wyobrażona pod gołém niebem: Matka Boska siedzi, trzymając na kolanach dzieciątko Jezus; święty Józef z tyłu, wsparty o laskę; święty Jan przyklęka u nóg dzieciątka. Gruppa tak pięknie ułożona, że jako dzieło rzeźby, przedstawiałaby ze wszech stron równie malowniczy widok. Matka Boska, posępnego wyrazu twarzy znlewala oko dziwnie uroczym, im dłużej patrzysz, tém silniej działającym na ciebie wdziękiem. Uwięziony powabem tego anielskiego oblicza wzrok, doznaje wrażenia, jakie tylko kilka razy w życiu widok *Madon włoskich* ci sprawił; a przecież usta Madony p. Rajchana, jak się jedna ze znawczyń lwowskich wyraziła, do polskiéj mowy złożone. Matka Boska siedząc, siedzi na prawdę; ciało dzieciątka jest prawdziwém, żywém ciałem. Cały obraz pełen szlachetności, prostoty i wielkiego stylu.

— W muzycznym świecie lwowskim, uradowanym nadzieją założenia wielkiéj szkoły muzycznéj czyli konserwatoryum, słynie coraz głośniéj swemi kompozycyami na fortepian młody doktor praw. pan *Marceli Madejski*. Niektóre z jego kompozycyj, jak osobliwie *Kolenda*, *Le noël*, wydana w Wiedniu u Piotra Mechetti, należy do najpiękniejszych utworów muzyki krajowéj. Szkoda tylko, że pisma zagraniczne lepiéj znają i oceniają *Kolendę*, niż my sami. *Nowa Berlińska gazeta muzyczna* z r. 1851, w nr. 7 oddaje Kolendzie wielkie pochwały, podczas gdy w Warszawie imię jéj kompozytora prawie nieznane. Najnowszą kompozycyą p. Madejskiego są *„Pieśni polskie, ułożone w muzykę z towarzyszeniem fortepianu"* do słów Kornela Ujejskiego, Karola Szajnochy, Henryka Jabłońskiego, i M. B. Antoniewicza; wydanie księgarza lwowskiego Kallenbacha, druk lipski. Wszyscy chwalą melodyjność i dramatyczność tych pieśni.

— Podług wykazu przedmiotów naukowych wykładać się mających w uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie, w półroczu letniém roku $18^{51}/_{52}$: w wydziale *teologicznym* wykładają przedmioty professorowie dr. *Sosnowski*, dr. Penka w języku łacińskim; w polskim *katechetykę* i *wymowę kaznodziejską* dr. *Laurysiewicz*. W wydziale *prawnym* professorowie: dr. *Brzeziński*, dr. *Dunajewski*, dr. *Zielonacki*, dr. *Słotwiński*, dr. *Helcel*, dr. *Fierich*, dr. *Hammer*, dr. *Kuczyński*, dr. Burzyński w polskim, niemieckim i łacińskim języku. Dr. Z. Helcel dawny redaktor *Kwartalnika Naukowego*, wykłada w tym wydziale po polsku *prawo dawne prywatne polskie*, i *historyą prawa polskiego od czasu wolnéj elekcyi królów*. W wydziale *lekarskim* professorowie: dr. *Kozubowski*, dr. *Majer*, dr. *Dietl*, dr. *Skobel*, dr. *Sawiczewski*, dr. *Bierkowski*, dr. *Kwaśniewski*, dr. *Sławikowski*, dr. *Bryk*, dr. *Domański*. W wydziale *filozoficznym*, professorowie: dr. *Weisse*, dr. *Steczkowski*, dr. *Czerwiakowski*, prof. *Czyrniański*, dr. *Zejszner*, dr. *Kuczyński*, dr. *Bratanek*, dr. *Małecki*, prof. *Walewski*, dr. *Kremer*, (etykę i historyą filozofii wieków średnich), dr. *Muczkowski* (numizmatykę starożytną i polską), dr. *Wincenty Pol*, (geografią monarchii austryackiéj, geografią Ziemi Świętéj, geografią handlową powszechną i ćwiczenia z geografii fizycznéj), dr. *Karol Mecherzyński*, (Historyą literatury wieku Ludwika XIV we Francyi, historyą literatury polskiéj od reformy przez Konarskiego aż do nowszych czasów). Naukę języków wykładają nauczyciele: *języka niemieckiego* dr. *Otremba*; zasady języka fran-

cuzkiego i o pisarzach francuzkich wieku Ludwika XIVgo p. *Aubertin*; *historyą* literatury rossyjskiéj od Piotra W. do dzisiejszych czasów i język rossyjski p. *Hieronim Mecherzyński*.

Wszystkie przedmioty są wykładane już bezpłatnie, już za małą opłatą, z pewnemi wyjątkami. Gabinety: anatomiczny, mineralogiczny, chemiczny, fizyczny, obserwatoryum astronomiczne, w oznaczonych godzinach są otwarte i dla uczniów i dla publiczności. Biblioteka uniwersytecka każdego dnia otwarta dla czytających od 9téj do 1széj rano; dla zwiedzających, w każdym czasie wolnym od obowiązków urzędowych.

(*Wyjątek z listu*).

Jan Nepomucen Kamiński ogłosił nową pracę filozoficzną pod napisem: „*Dusza uważana jako myśl, słowo, i znak: psychologiczno-etymologiczne poszukiwanie*". Koszta nakładu zastąpił hr. Adam Zamojski. Czy ta hojność rzetelną publiczności i autorowi przysługę wyświadczyła, czy tylko bez gwałtownéj potrzeby, na nowo, niezbyt szczęśliwie szanownego Kamińskiego popisy na polu *etymologii* wywołała, o tém niech rozstrzygnie krytyka. Dla ogółu publiczności, a nawet dla literatury, nieskończenie ważniejszą rzeczą byłyby pamiętnikowe wspomnienia do historyi teatru lwowskiego, które tyloletni jego dyrektor i podtrzymywacz, następca Bogusławskiego, winien jest dziełu własnemu, winien jest swojéj i mistrza swego pamięci.

Około podniesienia podupadłéj od niejakiego czasu sceny lwowskiéj dzieją się skrzętne zabiegi. Naprzód obywatelskie *Kassyno* lwowskie zajęło się przysporzeniem scenie większéj ilości widzów, przez abonowanie lóż na rzecz własną, zapraszanie publiczności do abonamentu i t. p. Następnie wyszło z tegoż kassyna ogłoszenie dwóch premiów za najlepszą sztukę dramatyczną w języku polskim, tragedyą lub komedyą oryginalną i tłumaczoną. Wszakże i bez konkursu nie zbywało scenie na nowych utworach dramatycznych, jeśli nie mistrzowskich, o co zbyt trudno, tedy przynajmniéj ze wszech miar przedstawialnych. Lecz innego rodzaju przeszkody nie dozwoliły i nie dozwalają im okazać się przed publicznością. Największéj liczby sztuk nowych dostarczył *Adam Gorczyński*. Niedawno cały powieściopisarstwo oddany, rzucił się autor *Powieści Jadama* wyłącznie na pole dramatyczne. Po pierwszéj w tym zawodzie próbie, dramacie *Zbydowscy*, nastąpił szybką koleją szereg dramatów i komedyj: *Bajbuza*, *Anglik*, *Włoszka*, *Esterka*, i inne. Większa część tych sztuk domagała się u dyrekcyi teatralnéj wstępu na scenę lwowską; atoli dotąd oprócz przedstawionych przed kilką laty *Zbydowskich*, nie widział Lwów żadnéj ze sztuk p. Gorczyńskiego. Tymczasem w Krakowie mają one co trzeci wieczór bawić publiczność. Oprócz autora *Anglika*, podali jeszcze pp. Władysław *Anczyc* i *Mikołaj Bołoz Antoniewicz* dwie nowe sztuki do przyjęcia dyrekcyi. Pierwszy, autor tyle razy przedstawianéj, acz zresztą lichéj komedyi *Chłopi arystokraci*, przedłożył czteroaktowy, jak słychać bardzo zręcznie skreślony dramat *Jan III pod Żurawnem*. Ale tymczasem gdy licha komedya natychmiast przystęp znalazła, lepszy dramat dotychczas w aktach dyrekcyi leży. Podobnyż los spotkał także p. M. B. Antoniewicza, znanego z tłumaczenia Gutzkowa dramatu: *Uriel Akosta*. Ledwie

napisał nic wartą farsę *Szlachcic na wystawie londyńskiéj*, zaraz chwycono się jéj, jako arcypowabnego kąska benefisowego, i przestawiono sztukę, tym razem szczęśliwiéj niż *Chłopów arystokratów*, bo ku wiecznemu zapomnieniu. Także nowy utwor p. Antoniewicza, tragedya *Oświecimowie*, opiewająca niefortunną miłość Stanisława i Anny *Oświecimów*, nieprzedstawiony do teki autora wrócił. Przy tak niepomyślnych widokach dla nowych sztuk, nie bez korzyści może będzie interwencya premiów kassynowych w sprawach teatru lwowskiego.

— P. Józef Fr. Szumawsky ogłosił prospekt na *Słownik wszechsłowiański*, i próbki pracy swojéj ogłosił przy nim. Tenże pisarz wydał broszurę p. n.: „Jazyk Slovansky, cili myslenky o vseslovanském písemnim jazyce." Praga, 1851. 8ka, str. 48.

— W Pradze czeskiéj wyszedł w nowém wydaniu przekład polski znanego rękopisu królodworskiego Lucyana Siemieńskiego, z dodaniem podobizny oryginału pargaminowego. Tamże, pieśń z tegoż rękopismu *Sławoj, Ludjeć, a Zaboj* w przekładzie francuzkim wydano *p. n: Victoire de Zaboi*, przez p. Eichhoff, w 16ce, str. 15.

— P. Czelakowski wydał zajmujące nas dzieło: *Mudroslovi národu slovanského ve přislovich.* (Praga 1852).

— Przy czasopiśmie czeskiego muzeum na r. 1851, wychodzi z oddzielną paginacyą lekarska terminologia czeska.

— We Lwowie wydano: „C. K. uprzywilejowane towarzystwo zabezpieczenia *Azienda Assicuratrice* w Tryeście, założone na akcye w r. 1822 z własnym rękojemnym kapitałem zakładowym w ilości 2,000,000 złotych reńskich w monecie konwencyjnéj, z których trzydzieści od setków gotowizną złożono, niemniéj ze znacznym zapasem nagrodowym, i własnym funduszem zapasowym, daje zabezpieczającéj publiczności największą, jaka być może, rękojmię, prędkiego dopełnienia przyjętych na się obowiązków." 1851. 8ka. Str. 23.

— P. Władiwoj Tomka w Czasopiśmie czeskiego muzeum na r. 1851, ogłosił rozprawę p. n.: „Starania domu rakuzkiego o nabycie korony polskiéj w XVI stuleciu." Rzecz wielce ciekawa dla naszych dziejów. W jednym z następnych zeszytów naszego pisma ogłosimy przekład téj pracy.

— Pan J. M. Fritz r. b. wydał we Wrocławiu dziełko: „Elementarbuch zur praktischen Erlernung der polnischen Sprache," opracowane z gruntowną znajomością języka polskiego i niemieckiego. P. Fritz jest lektorem prywatnym przy uniwersytecie wrocławskim.

— W Moskwie umarł dnia 5 marca r. b. w saméj sile wieku, bo nie skończywszy lat 44 życia *Mikołaj Gogol*, znakomity pisarz i cenna ozdoba nowéj literatury rossyjskiéj. Mamy kilka przekładów z jego utworów.

Korrespondencya.

Na odebrane listy redakcya Biblioteki Warszawskiéj ma zaszczyt odpowiedzieć:

PP. *Henrykowi z Podola* i *Zygmuntowi Szabłowskiemu*, że nadesłanych poezyj i obrazku z życia ludu podolskiego umieścić w swojém piśmie nie może.

P. Cypryanowi *Gozdeckiemu*, że redakcya nie zajmuje się drukowaniem dzieł oddzielnych, i z gotowym rękopismem może się zgłosić do którego z pp. księgarzy.

P. *Fritz* z Wrocławia, iż do życzenia jego przychylić się nie może.

---

† W końcu r. 1851, w Wilnie, umarł w 52 r. życia Felix Rymkiewicz, wysłużony profesor b. uniwersytetu wileńskiego i akademii medycznéj.

† Ku końcowi r. z. umarł w sędziwym wieku, w powiecie mińskim, Jan Chodźko. Napisał powieść p. t. „Pan Wojski."

† Dnia 16 lutego r. b. we wsi Kunce koło Hajssyna na Podolu zmarł Józef Drzewiecki w 80 roku życia, autor ważnych pamiętników, których część była ogłoszona w Athenaeum.

† Dnia 4 lutego r. b. umarł w Wilnie Józef hr. Plater, przeżywszy lat 56. Ogłosił drukiem „Rocznik gospodarski" i „Czytelnią dla służących", oprócz wielu artykułów literacko-naukowych, w pismach zbiorowych, a mianowicie w Rubonie umieszczanych.

† W nocy z dnia 8 na 9 marca r. b. umarł w Żytomierzu, przeżywszy lat 69, Franciszek Miechowicz nauczyciel mechaniki i architektury w b. liceum wołyńskiém w Krzemieńcu, a następnie professor i dziekan fakultetu matematycznego w uniwersytecie kijowskim. Urodził się na Wołyniu r. 1783. Napisał: „Teoryą machin." Krzemieniec. 1827 r.

† W nocy z d. 6 na 7 kwietnia r. b. w Warszawie zmarł Antoni Muczkowski professor literatury łacińskiéj i greckiéj w Akademii duchownéj i adjunkt Archiwum Głównego. Urodził się w r. 1807 w Zawieprzycach.

Od redakcyi.

Jeszcze przy końcu r. z. redakcya ogłosiła tak przez gazety krajowe, jak i w poszytach swego pisma, iż przedpłata roczna na Bibliotekę Warszawską z przesyłką pocztową *w kopertach* wynosi *franco* rub. sr. 10; gdy jednakże wielu szanownych prenumeratorów nadesłało więcéj nad powyżéj wskazaną kwotę: przeto dla uniknienia kosztów, redakcya niniejszém ogłasza, iż wszelka nadpłata może być potrąconą przy odnawianiu prenumeraty na Bibl. Warsz. w roku przyszłym 1853, nadsyłając resztę należności wprost do redakcyi.

Również uprasza redakcya tych szanownych prenumeratorów, którzy mniéj nadesłali jak rub sr. 10, aby raczyli przypadającą jeszcze od nich należność w jak najkrótszym czasie uzupełnić.

Redakcya Biblioteki Warszawskiej.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Marzec, 1852.

Marzec 1852. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiem.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza jego szérokość geogr. 52°13′5″, długość w czasie 1ˢ. 14ᵐ. 45ˢ., 7 czyli w łuku 18°41′25,″5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 Godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god. w.	10 god. w.	dé-szczu	śnie-gu
1		735.28	737.20	739.30	739.84	+ 0°.2	+ 1°.1	— 0°.2	— 2°.7	95.0	śnieg pruszy	lek. pochm.	napół pog.	pochmurny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		1.4
2		738.37	740.61	742.56	745.27	— 3.6	— 3.9	— 3.3	— 5.7	97.5	pochmurny	pr. pogodny	śnieg	lek. pochm.	PdZ.	Z.	Z.	Z.		1.8
3		746.57	747.42	748.66	750.52	— 107.	— 3.3	— 1.7	— 5.7	89.0	pogodny	napół pog.	pochmurny	napół pog.	PdZ	Pd.	PdZ.	PnZ.		
4		753.47	755.82	758.77	762.64	— 6.6	— 2.9	— 2.2	— 6.4	92.7	pochmurny	pochmurny	napół pog.	lek. pochm.	PnZ.	PnZ.	Pn.	Pn.		
5		767.75	769.63	771.63	773 59	— 11.2	— 7.2	— 1.2	— 7.2	96.0	pogodny.	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.		
6	☽.	773.83	773.46	772.04	769.26	— 11.3	— 7.4	+ 0.3	— 4.6	91.5	pogod. sadź	pogodny	lek. zamgl.	pochmurny	PnW.	PdW.	Z.	Z.		
7		764.51	763.15	760.30	754 86	— 3.3	— 1.6	— 0.5	— 0.5	98.2	pochmurny	pochmurny	poch. d. z ś	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.		
8		751.76	752.09	752.21	751.52	+ 1.0	+ 3.6	+ 3.3	+ 1.5	78.8	pogodny	chm. miejs.	chm. podz.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
9		751.74	752.20	751.85	752 46	— 0.0	+ 1.2	+ 2.4	— 0.2	81.2	pochmurny	chm. podz.	chm. miejs.	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
10		753.14	753.44	753.25	753.08	— 2.1	— 2.3	— 0.6	— 2.3	84.3	pochmurny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
11		751.99	752.23	752.10	753.51	— 3.5	— 2.2	— 1.9	— 5.2	94.2	poch. śnieg	śnieg gęsty	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		1.0
12	☾.	753.18	751.40	749.31	751.69	— 7.1	— 3.6	— 1.6	— 0.9	96.5	pochmurny	śnieg gęsty	poch. śnieg	pogodny	Z.	Z.	PnW.	PnW.		1.8
13		756.10	757.80	758.91	760.17	— 10.6	— 6.7	— 4 5	— 8.3	84.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		
14		759.76	759.18	755.89	751.10	— 9.7	— 3.6	— 3.7	— 3.1	91.8	pochmurny	lek. pochm.	śnieg pruszy	śnieg	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		1.0
15		751.58	752.30	754.62	756.80	— 4.4	— 3 2	— 2 0	— 5.2	87.7	napół pog.	chm. podz.	napół pog.	pogodny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
16		756.97	756.87	754.13	752.66	— 10.5	— 3.6	— 0.2	— 0.9	88.7	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
17		752.71	754.04	754.84	756.21	— 1.2	— 0.1	+ 2.9	— 1.8	93.0	lek. pochm.	pr. pogodny	pochmurny	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
18		756.63	756.79	755.85	756.80	— 3.0	— 0.7	+ 2.2	— 1.6	91.3	pochmurny	pr. pogodny	pr. pogodny	pogodny	PnZ.	Z.	Z.	Z.		
19		756.18	757.53	758.07	759.02	— 1.8	+ 1.6	+ 3.1	— 0.7	87.2	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	W.	Pn.	Pn.		
20	☽.	760.45	761.86	761.90	762 21	— 1.0	+ 0.2	+ 1.7	— 0.2	94.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
21		763.18	763.91	763.19	763.46	— 0.6	+ 1.6	+ 3.3	— 0.9	86.7	pochmurny	chm. miejs.	pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	PnW.	PnW.		
22		762.70	762.55	760.21	759.16	— 2 7	+ 2.0	+ 6.0	+ 1.2	87.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnZ.	PnZ.	Z.	PnZ.		
23		756.93	756.18	752.20	748.37	— 2.1	+ 2.7	+ 6 6	+ 1.8	93.0	pog. szron	smugi	lek. zamgl.	pr. pogodny	Z.	PdZ.	Z	Pd.		
24		741.61	737.63	732 84	735.63	+ 0.8	+ 2.1	+ 4.6	— 1.3	98.0	śnieg pruszy	poch. dészc.	pochmurny	pr. pogodny	PdZ.	PdZ.	Z.	PnZ.	2.2	
25		737 24	737.56	738.10	737.15	— 3 5	— 1.6	— 1 2	— 2.6	88.5	chm. podz.	napół pog.	pr. pogodny	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	PdZ.		
26		736.56	737.35	739.65	741.06	— 5.6	— 1 2	— 2.2	— 5.0	89.0	pochmurny	pr. pochm.	pr. pogodny	lek. pochm.	PdZ.	Z.	Z.	PdZ.		2.2
27		740.47	743.34	745.28	746 74	— 3.1	— 2.7	+ 1.9	— 3.3	88.5	poch. śnieg	pr. pogod.	pr. pogodny	pogodny	Z.	Z.	PdZ.	Z.		
28	☽.	748.63	749.19	748 67	749.15	— 4.7	+ 1.7	+ 6.2	— 0.1	87.3	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pr pogodny	Pd.	PdW.	PdW.	PdW.		
29		748.75	749.38	749.52	749.46	— 2.1	+ 3.4	+ 8.5	+ 3.6	88.0	pogodny	pogodny	napół pog.	lek pochm.	PdW.	Pd.	Pd.	PdW.		
30		748.41	748 10	746.15	745.88	+ 1.5	+ 6.4	+ 14 9	+ 6.4	80.2	pr. pochm.	napół. pog.	pogodny	smugi	Pd.	Pd.	Pd.	Pd.		
31		744.69	744.27	743.33	743.76	+ 2.5	+ 11.5	+ 16.4	+ 9.6	74.8	pr. pochm.	pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	PdW.	Pd.	PdZ.	Pd.		
Śre.		752.295	752,729	752.430	752.678	— 3°.87	— 0° 60	+ 1°.84	— 1°.88	89.5									2.2	9 2

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	752.533	27	9.595
Najwyżéj dochodził — d. 6 o g. 6 r.	773.83	28	7.036
Najniżéj — — d. 24 o g. 4 w.	732.84	27	0.866

Dotąd ani razu w marcu barometr nic stał tak wysoko.

Średnia zmiana dzienna barometru	4.502		1.995
Największa zmiana dzienna barometru d. 23—24 o g. 4 w.	19.36		8.582
Średnia wysokość barometru jest wyższą o	3.734		1.656
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	748.799	27	7.939

Średnia temperatura Marca wynosi:	— 1°.13 C.	— 0°.902 R.
i ta jest niższą o	1.79 „	1.430 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	+ 0.66 „	+ 0.528 „
Największe ciepło dochodziło d. 31 o godz. 4 wiecz.	+ 16.4 „	+13.12 „
Największe zimno dochodziło d. 6 o godz. 6 rano.	— 11.3 „	— 9.04 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2 349 „	1.879 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 16—17 o g. 6 r.	9.3 „	7.44 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +13°.9 R. d. 31 po połud.
Minimum: — 9°.2 „ d. 6 i 14 rano.

Wody z deszczu spadło wysoko na 2,2 milim. czyli 0,97 lin. par., z śniegu 0.2 milim. czyli 4.08 lin. par.; razem spadło wody z deszczu i śniegu wysoko na 11.4 milim. czyli 5.05 lin. par.; ilość ta wody jest mniejszą o 26.9 lin. par. od ilości jaka u nas w marcu zwykle spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 89,5 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4.51 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, i ta jest większą o 0.03 od normalnéj.

Dni pogodnych było 5, napół pogodnych 13, pochmurnych 13.

Dni deszczu 3 (d. 2, 7, 24). Dni śniegu 11 (d. 1, 2, 7, 11, 12, 14, 16, 24, 25, 26, 27).— Dni gradu 2 (d. 17, 26).

Wichrów było 1 (Pn.). — Wiatrów mocnych 10 (5 Z., 4 PnZ., 1 Pn.).— Wiatr panujący: Północny i Zachodni.

Marzec r. b. był pogodny, zimny, w deszcz i śnieg nieobfity. w ogóle blizko o półtora stopnia R. zimniejszy jak zwykle; zimniejszy o pół stopnia od grudnia r. z., o 0.66 stop. R. od stycznia r. b.: a cieplejszy o 0.82 stop. R. od lutego r. b. Najcieplejsze dni były: d. 30, 31. Najzimniejsze d. 2, 3, 4, 5, 6, 12, 13, 14. Przyczyną tak nizkiego stanu temperatury były wiatry północne w tym miesiącu panujące. Pod względem ilości wody spad,ój z deszczu i śniegu miesiąc ten znacznie się różnił od lat innych, gdyż przeszło trzy razy mniéj wody spadło niż zwykle i wyjąwszy rok 1847 w żadnym z 26 lat poprzednich tak mało wody nie spadło jak w r. b., chociaż ilość wody ze śniegu jest większa od ilości wody z deszczu Zmiany barometru były znaczne i tym zwykle towarzyszyły wiatry mocne. Dnia 24 po południu barometr stał na 28 cali 7.04 lin. par. tak wysoko, jak w żadnym, z poprzednich lat.

D. 10 pierwszy raz słyszano skowronka.

D. 25 o godz. 9 wiecz. widziano *Zorzę Północną* koloru różowego; o godz. 9 min. 10 dwa słupy różowe posuwały się ku zachodowi w wysokości na 10°—15°.

PODRÓŻ Z SZKOCYI DO ANGLII.

PRZEZ

Dra T. Tripplina.

I.

Dwie są główne drogi dyliżansowe, prowadzące ze Szkocyi do Anglii: jedna ciągnie się wzdłuż brzegu wschodniego przez Berwick, druga zaś wzdłuż zachodniego przez Carlisle. Pomiędzy temi miastami leży pasmo pagórków zwane Chewiot, utrudniające wszelkie kommunikacye lądowe. Pasmo tedy Chewiotu odgranicza Szkocyą od Anglii prawie w ten sam sposób, w jaki góry Pyrenejskie przedzielają Francyą od Hiszpanii; dwa główne trakty, z jednéj strony przez Bayonnę i San-Sebastyan, z drugiéj zaś przez Perpignan i Geronę ciągną się i tam, po obu krańcach podnóża łańcucha granicznego.

Podróżni jadą najczęściéj przez Berwick ze Szkocyi do Anglii. Wybraliśmy drugą drogę; chcieliśmy bowiem zwiedzić Abbotsford i Carlisle, wabieni sławą poety i wspaniałéj bazyliki.

Przez pyszne pola pszeniczne Mid-Lothianu, urozmaicone willami i fabrykami, wioskami i błoniem, gajem i dąbrową, ciągnie nas szybki jak wiatr dyliżans kaledoński. Woźnica milczący w wprawnéj dłoni dzierży swe lejce, a rumaki na cienkich posuwistych nogach rżą z radości, i kłębami pary pryskają z szerokich różowych nozdrzy. I liczna osada dyliżansu milczy. Któż chętnie opuszcza miły Edymburg? Kto bez smutku w sercu żegna się z temi oświeconemi, a tak dobremi mieszkańcami północnych Aten? Wszystko jest względném na tém świecie:—nawet i smutek. Kto

go nie uczuje rozstając się z ukochanemi ludźmi, ten niech rozpacza, bo ten pewno dobrym nie jest człowiekiem, i w doznaniu próżni serca znajdzie dotkliwą karę za swój stoicyzm.

Toczą się i obracają szybkie koła naszego wozu, zawierającego w swém wnętrzu i na dachu ćwierć setni passażerów, różnego wieku i płci różnéj. Na mgły wlekące się obojętnie, gnuśnie po krańcach widnokręgu, przecież pada promyk słońca; pierzchają popielate wodniste dymy, rozjaśnia się widnokrąg; powoli, powoli, roje siedzib ludzkich wyrastają z pomroku: wszędzie życie, wszędzie myśl i czucie. Z dobroczynném światłem miłe ciepło rozlewa się w tę toczącą maszynę, i powołuje do życia i do udziału życia całą osadę dyliżansową. Ten się rusza, ów trzeźwi się tabaką, tamta poprawia loków, inna jeszcze zpod półotwartych źrenic examinuje towarzysza podróży, dzieci nie zażywając tabaki wszystkie kichają, łechtane w nos promykiem wschodzącego słońca; a ja, po raz może tysięczny w mém życiu dziwię się, że tu jestem pomiędzy tylu cudzoziemcami, tak daleko od mego kraju, i tęskne przesyłam westchnienia wam wszystkim, którzyście mnie znali dzieckiem, a zobaczycie dopiéro gdy młodość moja minie, i w jesieni wieku domagać się będziecie odbłysku zdaleka od was strawionéj młodości.

Szukam nie wiedząc że szukam współudziału. Pytam go u przyrody mnie otaczającéj; ach! niestety! ona wszędzie inną, więcéj urozmaiconą jak nasza. Pytam go w fizyognomiach mych bliźnich; ach! przecież gdzie są ludzie, tam i przyjaciela znajdziesz, byłebyś sam pałał potrzebą przyjaźni i wierzył w święte, bezinteresowne uczucia.

Wóz się toczy raźno i szybko po dolinach Mid-Lothianu; już jesteśmy na pograniczu hrabstwa, już się wije po zieloném błoniu rzeka Gala, już i miasto Galashiels zpoza wysokich drzew licznemi fabrykami, a drobnym wyziera kościołem. Bawełnie wzrost swój winno to miasto, którego starzy mieszkańcy jeszcze pamiętają jak było nędzną wioską. Pamiątek historycznych jeszcze w niém żadnych, prócz dymu, który z wysokiego komina od pół wieku kopci mury miasta. Bawełną żyje, dymem oddycha, a może od wątlejszéj jeszcze substancyi zginie. Ludném bo jest bardzo, ale patrzcie na te znędzniałe twarze młodzieńców, na te znękane pracą dzieci. Jak niepełne życie w tych ludziach, a ile cierpień ślady w owych posępnych oczach!

Trzeba nawet przyznać, że jest coś złośliwego, chytrze podstępnego w wyrazie twarzy wielu z tych wyrobników, uważających się instynktownie, a przecież słusznie za ofiary cywilizacyi! — „Oni spoglądają z zazdrością na wszystkich ludzi, a umierają obojętnie; zdaje się, że im nigdy promyk nadziei nie przyświeca," rzekł nam jakiś filantrop siedzący w Galashiels umyślnie dla przekonania się, jaki stopień ubóstwa znieść może wyrobnik, zanim z nędzy umrze.

—Prawdziwie, moi panowie, kto widział waszę ludność wyrobniczą, ten wam nie pozazdrości ani waszéj potęgi, ani rozumu, ani waszéj wolności. Jaki smutny z tych trzech wielkich żywiołów szczęścia robicie użytek, kiedy nędza tak licznéj klassy ludu musi być warunkiem waszego bytu, lub też koniecznym wynikiem waszego szczęścia — rzekłem do pana Hether.... i do filantropa, który się był przyplątał do nas dla złowienia zdań naszych, jak to często robią ciekawi, choć nie literaci.

Pan Hetherington tak zagadnięty, wytrzeszczył oczy zpod ciężkich, cokolwiek zaspanych powiek, pięści ścisnął i krzyknął: *Damn! and still we are, what we are* (a jednakże jesteśmy czém jesteśmy: panami morza i dzierżawcami ziemi!). Ale filantrop do żywego tknięty w swém uczuciu godności narodowéj, odrzekł z wielkiém zastanowieniem w sentencyonalnym tonie: „Patrz pan, każdy rad być dumnym ze wszystkiego, z czego tylko można być dumnym. Pan w téj chwili dumnym jesteś ze swéj szlachetnéj duszy, która mu tak piękne płodzi uczucia, ze swego rozumu, który mu tak logiczne nasuwa rozumowanie; a my Anglicy, choć ze ściśnioném patrzymy sercem na nędzę naszych bliźnich, któréj pomimo wszystkich ofiar nie umiemy usunąć odrazu: dumni jednak jesteśmy, że przy téj nędzy toczącéj znaczną część ludności, prawo jednakże jest szanowaném, porządek nienaruszony, szeroka droga do postępu utorowana, tak, że nędza ta nie wyzuwa owych ludzi ze względów winnych szczęśliwszym, że im nie wpaja ani wściekłéj myśli targnięcia się na majątek bliźniego, ani też niezwalczonego pociągu do samobójstwa. Owszem, zobaczysz pan coś, czego nigdy może i w żadnym nie widziałeś narodzie: zobaczysz pan średnią klassę ludu mało zamożną, ale posiadającą środki wystarczające na życie, nietylko niezazdroszczącą bogatym magnatom, ale owszem dumną z tych praw, których poszanowanie robi, że majątki tak ogromne ostać się mogą, obok tak okrutnéj nędzy proletaryatu, i oprzéć się mogą nawałnicy złych namiętno-

ści, wywołujących w innych krajach, gdzie szacunek dla prawa osłabiony, najokropniejsze burze i konwulsye. W towarzystwie tak sztucznem jak jest nasze, w porządku rzeczy tak czynnym, wszystkie najrozmaitsze stosunki i siły, dodatne i ujemne, wespół pracować muszą na tworzenie postępu, tojest celu i środka ogólnego życia. W postępie bowiem nowe objawiają się, dotychczas nieznane, lub nieużywane przynajmniéj środki i siły, wyrywające z nędzy, ubóstwa lub ciemnoty cząstkę dotychczas bolejącą, wtrącające może inne dotąd szczęśliwsze klassy w położenie mniéj świetne, jeśli nie umiały wywrzéć podostatkiem sił do utrzymania się przy bycie. A tak, choć bolejemy wszyscy nad losem człowieka nieumiejącego niczém inném służyć światu, jak kręceniem mechanicznego krążka, pomnieć jednakże na dwie ostateczności winniśmy: *na ogromne bogactwa sprowadzone dla całego państwa pracą rękodzielniczą;* powtóre, *na to, że prócz nieszczęśliwych, do żadnéj innéj łatwiejszéj, mniéj zdrowiu szkodzącéj pracy niezdolnych, niktby się téj pożytecznéj pracy oddać nie chciał.* A to na pochwałę i najnędzniejszego Anglika przytoczyć muszę, że on woli być powolną ofiarą pracy, aniżeli szybką ofiarą zbrodni, samobójstwa lub głodu; że woli używając swobody okupionéj wielką pracą, małym zarobkiem zadowalniać się, jak w domach roboczych przymusowemu oddawać się mozołowi."

Powiedziawszy ten *Speech*, nasz filantrop spojrzał na zegarek, kiwnął głową i wrócił do brudnych zaułków, gdzie mieszkają blade rodziny wyrobników. Tam gniazdo jego filozofii.

Kto to jest ten filantrop, rozumujący tak mądrze i zimno? Zdaje się prawie, że ma słuszność.

To młody Cobbett, wnuk starego, sławnego demagoga angielskiego Wilhelma Cobbett. Niewiele ma majątku; zdobył go wielkiemi wysileniami pracując w fabryce; ale codziennie wyszukuje ubogich i wydaje znaczne sumki na otarcie tych łez, jakie sam niegdyś wylewał w podobnym zawodzie.

Wnuk zaciętego demagoga, był przyjacielem ludu, ale nie demagogiem. Tak się idee przekształcają, ludzie wyrabiają, i coraz nowe siły umysłu i ducha w działanie wchodzą.

W blizkości Galashiels leżą pyszne zwaliska świetnego opactwa Melrose, daléj Jedburg i Dryburg, także powabne miejsca, rozpościerające się malowniczo po śmiejących dolinkach, opasanych czterema rzekami: Tweedą, Galą, Yarrowem, i Etrykiem. Miejsca te minąć musieliśmy, pozostawiając do lepszych czasów

nadzieję ich zwiedzenia; jednego jednakże dotychczas niewymienionego minąć nie byłem w stanie: przyciągała mnie doń wdzięczność za kilka lat strawionych w ciągłém zachwyceniu. Ledwie dwanaście lat liczyłem, kiedy po raz piérwszy dostał się w me ręce romans, p. t.: Guy Mannering. Ojciec mój pomny o me dobro nie pozwalał mi osłabiać sił duszy czytaniem romansów, i wkrótce spostrzegł, jak głęboki, trwały urok wywierał na mnie Walter Scott, nawet w tak niedoskonałém przepolszczeniu, jak jest Dmochowskiego. Dobry ojciec widząc mnie po całych godzinach marzącego o górach Szkocyi, o poczciwych, walecznych ludziach mieszkających pod jéj posępném a poważném niebem, nie walczył już z wrażliwością dziecka, lecz umyślił spożytkować ją na jego korzyść. — „Dobrze, możesz czytać romanse Walter Scotta, nie zawierają one nic, co duszę człowieka skalać potrafi; lecz abyś w sobie nie osłabił, nie zniewieścił ducha, czytaniem łatwéj, wyobraźnię łudzącéj literatury, czytaj Walter Scotta w języku oryginalnym. Przymuszony potykać się z trudnościami języka, nie rozpieścisz twych władz umysłowych, nie wpadniesz w błąd tych istot, które czytając wiele wykształcą w sobie do zbytniego stopnia wrażliwość duszy, a żadnéj nie zdobędą potęgi umysłu."

Tak mówił ojciec, i sprowadził wraz ze wszystkiemi już wyszłemi romansami szkockiego powieścio-pisarza, słownik angielsko-niemiecki; angielsko-polskiego wówczas jeszcze nie było.

Ciekawość, chciwość wiedzy przezwyciężyła wszystkie trudności. W kilka miesięcy za pomocą słownika i rad uczonego mego ojca, czytałem płynnie trudny, bogaty język Walter Scotta. Mogę powiedzieć, że Szkotów dzieje wcieliły się siłą krwi w me wzrastające serce. Może one zbudziły w niém tego ducha rycerskiego, który tylu nieszczęść i tylu zachwyceń dla mnie stał się źródłem, i dziś jeszcze, w czasach tak prozaicznych, pokutuje w méj duszy jak widmo dawno upłynionych wieków.

Mógłżem tedy minąć Abbotsford, wiejską siedzibę starego romanso-pisarza, rozczulającego utworami swemi miliony młodzieży wszystkich krajów, i nie złożyć hołdu szczerego cieniom męża, który siłą swego gieniuszu obudził tyle sympatyi dla swéj nieludnéj, a tak uroczéj ojczyzny?!

Jestem w Abbotsford. Z początku byłto tylko drobny folwark, kiedy go zakładał niezamożny, bogactw swych późniejszych nieprzewidujący bard szkocki. Później przybyły do małych pokoików większe sale, do dachów wieże, do murów strzelnice; aż

nareszcie w lat dwadzieścia kilka stanęła ulubiona poety siedziba taka, jaką jest jeszcze dzisiaj: najnieregularniejsza narośl, niby gotycko mieszanego stylu. Szczerze powiedziawszy, wiele smaku w téj budowli nie ma; zadużo pretensyi w owych drobnych rozmiarach: bawidełko, którém gotycka wyobraźnia antykwaryusza poety lubiła się pieścić. Z samych zbiorów, niegdyś bardzo szacownych, stary wieszcz straciwszy nie z własnéj winy swój majątek, zmuszonym był sprzedać najciekawsze przedmioty; później wszystko poszło w ręce wierzycieli, i dziś cała posiadłość do obcych przeszła ludzi.

I tu spotkaliśmy angielskiego turystę, oryginała kompletnego, jakiego już oddawna życzyłem sobie widzieć. Rudy, sztywny i cierpki jak dzikie jabłko; stąpał w nankinowych *inexpressibles* i w długim paltocie, w wodotrwałym kapeluszu, który zarazem służył mu za miednicę i wazę, z kołnierzykami podrzynającemi mu uszy, jak dwie piłki. Kieszenie miał zapełnione całym magazynem najrozliczniejszych sprzętów domowych: znajdowało się w nich krzesło kieszonkowe, stolik kieszonkowy wraz z album in folio; brzytwę miał w lorynetce, bussolę, puszkę z szuwaksem i barometr w lasce, fajkę i szczotkę od zębów w nożu; nakryty zaś był płaszczem, który w razie potrzeby można było zatknąć na laskę, i przemienić w deszczochron lub w namiot, a nawet w materac, nadąwszy powietrzem przedział pomiędzy podszewką a wierzchem zawarty. Tak wyposażony Anglik podróżował już od lat kilkunastu, najczęściéj piechotą po kontynencie, aż nareszcie wróciwszy do ojczyzny, przyszedł zwiedzić Abbotsford. Nie był zadowolony ze swych wycieczek, szukał wszędzie rozrywki, a znalazł tylko nudy. Nic a nic w świecie nie odpowiedziało jego oczekiwaniom: ani kościół św. Piotra, ani Alhambra, ani Mont-Blanc, ani wodospad Renu pod Szafuzą.

— Nie mogę sobie nawet wyobrazić, czemu ludzie do tego znów stopnia ubiegają się za przyjemnością oglądania siedziby wielkiego nieznajomego—rzecze do nas turysta siadłszy na swém składaném krześle i rozpiąwszy deszczochron na barometrze. —Walter Scott nie wyglądał na gentelmana, nic nie miał w sobie szlachetnego, okazałego lub dostojnego; owszem, fizyognomia jego tłusta, płaska, staro-szkocka, nos ogórkowaty, oczy małe, siwe, tchnęły gminnością. Ani też nawet mądrze nie wyglądał: usta miał ciężkie, obwisłe, *upon my word* bardzo głupie. Na ogromnych chodził nogach, kulejąc na jednę, a nieznośném mó-

wił narzeczem, akcentem czysto-chłopskim; przytém na domiar nieszczęścia tak miał nieudolne organa wokalizacyi, że go trudno było zrozumieć. Żadnego *r* nie mógł wymówić; zamiast *rock*, mówił *cock*: ubierał się zaś jak wieśniak w gruby surdut z wielkiemi, jak talary metalowemi guzikami. Takim go widziałem ze sto razy przed dwunastu laty w Edymburgu; anim się spodziewał że tu przyjdę umyślnie, by oglądać wiejską siedzibę dawnego pisarza kollegium notaryuszów edymburgskich. Ale darmo, przedsięwziąłem sobie podróżować przez całe lat 15, i jeszcze dwa lata będę się musiał włóczyć po świecie, dla dotrzymania sobie słowa.

Istotnie, obraz jaki tu skreślił nudny turysta o osobistości Walter-Scotta wiernym jest zupełnie. Tak czasem wielka zachodzi różnica pomiędzy wartością duszy, a ciała.

O małą milkę za Abbotsford, leży niewielkie wesołe miasteczko Selkirk, pamiętne w dziejach wojen Szkotów z Anglikami. Szewcy Selkirku słyną podziśdzień z dobroci swych wyrobów: wszyscy niemal obywatele tego miasteczka oddają się z zapałem temu użytecznemu rzemiosłu. Ztąd też zapewne pochodzi istniejący dotąd zwyczaj, że wszyscy nowi obywatele miasta, przed uzyskaniem dyplomu obywatelskiego, winni wyczyścić wiązeczkę szczeciny, którą potém do dyplomu przytwierdzają. Tylko Leopolda Koburgskiego, teraźniejszego króla Belgijczyków, miasto przyjmując w poczet swych obywateli, od tych uwolniło obowiązków.

Przebywamy hrabstwo Ronburg i stajemy na popasie w Kirk Yelholm, wiosce położonéj między górami i zawierającéj w sobie największą kolonią Cyganów, jaka w Szkocyi istnieje. Jest ich przeszło 150; z postępem oświaty, wiele przybrali zwyczajów europejskich, zachowali jednakże śniady kolor twarzy, mowę swą i zwyczaj koczowania i trudnienia się kradzieżą.

Już zdaleka widzimy srébrny strumyk wijący się pomiędzy pagórkami Teviotu. To rzeka Tweed, to granica Szkocyi, to owe pamiętne czyste wody, które spłukały potoki krwi bohaterskiéj z błoń szkockich. A tam daléj na zachód piętrzy się długi i gęsty szereg kopców okrągłych, gładkich i zielonych aż po same szczyty; jedne wznoszą głowy nad drugiemi, jak gdyby dzieci jednéj matki:—to pasmo Cheviotu, stanowiące suchą granicę pomiędzy dwoma królestwami, zostającemi dziś pod jedném berłem. Ten srébrny strumyk i te pagórki, były przez lat przeszło tysiąc

widownią krwawych walk i zaciętych zatargów. Dziś tu wszystko spokojne. Rzeczka obraca młyny, tartaki i walcownie, pagórki porosły bujną trawą, trzody się na nich paszą: wszystko tchnie szczęściem i pokojem, tryumfują błogie skutki pracy, i wszędzie zamiast dzikiéj trąby wojennéj, odzywa się tęskny odgłos pasterskiéj fujarki. I ztąd się rozchodzi na całą Szkocyą i na wielką część Anglii owa pyszna rasa owiec Cheviotu, któréj wełna tak miękka i biała, i to poprawne plemię wypędza zewsząd starodawną czarną i kudłatą rasę swych współbraci.

Tylko jedna jeszcze sterczy ruina: zwaliska zamku Armstrongów, sławnych *„border-depredators"* tojest rycerzy gwałtów pogranicznych. W środku XVI wieku król Jakób V kazał tu powiesić jednego z nich, wraz z całym orszakiem jego, za to, że wyklęty przez niego, śmiał przyjść złożyć mu swe hołdy. Wiele tu grobowych pomników, uwieczniających pamięć bohaterów, a pomiędzy niemi świetnieje wysoki na 100 stóp obelisk, wzniesiony pod *Langholm* na cześć generała Malcolm.

Pomiędzy rzekami Esk i Sask rozpościerało się niegdyś na pochyłości wielkie bagno torfowe, zwane *Solway Moss*. Bagno to zmiękczone i wzdęte deszczami, zerwało się z twardéj swéj podstawy d. 17 listopada 1771 r., i zalało błotnistą lawą 400 pól, wielkie mnóstwo wiosek, pogrążyło w swych odmętach wielu ludzi i nareszcie zaginęło w morzu.

Wjeżdżamy w ów labirynt okrągłych pagórków: raz się zamyka widnokrąg w ciasnych obrębach, drugi raz się otwiera, znów ścieśnia i znów znikają zapory. Drzewa coraz rzadsze, płaszczyzny wyzierają ku południowi, deszcz kropi coraz rzęsistszy. Żal mi ściska serce, bo już granice Szkocyi niedaleko, już dymy miasta Carlislu czarnemi kłębami pną się ku niebu.

Bądź mi tedy zdrowa Kaledonio, bądź zdrowa nazawsze! Gdziekolwiek będę, tęsknić za tobą nie przestanę, bo tyś mnie przyciągnęła twą sławą, oczarowała poezyą i twą pracą oświeciła!

Tobie Szkocyo winienem przekonanie, że praca, przemysł i handel nie są grobami poezyi i szlachetności, chyba w narodach, gdzie charakter jest słabszy jak namiętności, ruch większy jak czynność, lub też żądza wygód materyalnych żywszą, jak potrzeba pokoju duszy.

Żegnam cię Szkocyo wyrazami twego ulubionego barda Burnsa:

„Fare well to the Highlands high covered with snow;
Fare well to the straths and green valleys below,
Fare well to the forests and wildhanging woods,
Fare well to the torrents and loudpouring floods."

(Żegnam was góry napiętrzone śniegiem,
Żegnam was łąki, nadobne doliny,
Żegnam cię dziko rosochaty lesie,
Żegnam was potoki, szumiące kaskady).

II.

Good God be merciful on us! there we are again in our old matter of fact England! Dalibóg tak, a nieinaczéj, wykrzyknęła Mistris Hethr..... skorośmy przebyli mostek rzucony na Tweedę.

Ale warto dać przepolszczenie tego wykrzyknika: „*Good God be merciful on us*" znaczy: dobry Boże, zlituj się nad nami; *there we are again in our old England*: jesteśmy znów w naszéj staréj Anglii. Ale co znaczy *matter of fact*?—to epitet, który niełatwo w polskim oddać języku.

Arystokrata angielski mówiąc o kupcu, o przemysłowcu, o adwokacie angielskim, nazywa go z urąganiem *a matter of fact man*, i przez to chce powiedzieć, że to człowiek pilnujący li tylko swego interesu, sięgający nietylko swemi czynami, ale także swym rozumem, swém uczuciem najdaléj aż do granic zakreślonych mu powołaniem, dającém mu chléb i utrzymanie; przez to chce oznaczyć szczupły zakres, w którym się obraca jego honor i jego prawo do szlachetności, i tém się mści za wkraczanie przywileju bogactwa do przywilejów urodzenia.

Poeta, literat, uczuciowiec i uczony, nazywając Anglika *a matter of fact man* chce przez to wyrazić swą pogardę dla człowieka pozbawionego wyższych, szczytniejszych uczuć; uczuć wyrywających się poza położenie materyalne jednostki. Nie potępia on przez to wyrażenie honoru lub moralności swego rodaka, ale daje poznać, że jego dusza niezdolna wznieść się ani na chwilę ponad widnokrąg swych cielesnych oczu. I tém wyrażeniem mści się za swoję biedę, za swe upokorzenie, za nudy doświadczane w towarzystwie człowieka, oddanego duszą i ciałem zawodowi, doprowadzić mogącemu do bogactwa, do wziętości, nawet do poszanowania gminu.

Rzemieślnik, kupiec, przemysłowiec, adwokat nawet i lekarz angielski, mówiąc o sobie z dumą powié: *I am a matter of fact man*, i przez to chce powiedzieć: nie obawiaj się, ja celu mego nigdy ani na chwilę z oka nie spuszczę; ja całkiem i bezwzględnie memu powołaniu oddany, ani na chwilę na bezdroże sprowadzić się nie dam; mnie się możesz powierzyć, na mnie liczyć jak na Zawiszę.

Wiemy teraz co jest *a matter of fact man*, epitet powtarzany tak często w Anglii z pogardą, z urąganiem i dumą. To znaczy poprostu *być prozaicznym*, nie łudzić się ani poezyami, ani teoryami, ani dać się oczarować żadną rzeczą, któréj w rękę wziąć, powąchać, obejrzéć, obsłuchać i obsmakować nie można.

Pani Hethrington nazwała tedy swą ojczyznę prozaiczną Anglią i niebardzo się cieszyła z powrotu do niéj. Anglik nie jest hipokrytą, i niejeden z nich wyznaje najnaiwniéj w świecie, że go własna nie zachwyca ojczyzna, że przekłada pobyt za granicą nad bawienie we własnym kraju. Z tego jednakże nie wypływa, aby tacy Anglicy byli wyzuci z patryotyzmu; bynajmniéj—tylko oni inaczéj pojmują patryotyzm: mniéj się przywiązują do miejsca urodzenia, które niezawsze piękne i powabne, jak do narodowości angielskiéj, która wszędzie jest poważną. Nieraz mi się zdarzyło widzieć Anglików nielubiących własnego kraju, utrzymujących, że podróżami do tego stopnia otrząsnęli się z narodowych przesądów i uprzedzeń, iż stali się prawdziwemi kosmopolitami, tojest obywatelami świata. Ale doświadczenie nauczyło mnie nie ufać takim zaręczeniom.—Anglik nie pozbywa się nigdy dumy narodowéj, nie przestaje cenić wysoko swych współobywateli, chociażby ich prawdziwie nie kochał. Anglik ubogi, podróżujący dla oszczędności, za granicą czepiać się nie będzie bogatszych od siebie ziomków; ale skoro tylko zoczy w prawach ludzkości obrażonego, zaraz występuje śmiało i odważnie, i nie uważając na żadne niebezpieczeństwo, na żadne straty, nie da włosa ruszyć swemu rodakowi. Jedném słowem, Anglik nigdy nie przestaje być patryotą, chociażby zbieg okoliczności wyzuł go z téj przyrodzonéj miłości do swéj ziemi, na któréj inne ludy opierają cały swój patryotyzm.

Gdy idzie o poniesienie ofiar dla swéj ojczyzny nazawsze od niego pożegnanéj, wówczas budzi się w Angliku uczucie patryotyzmu na honorze oparte, w całéj swéj sile: wówczas odmówi sobie ulubionych wygód, a groszem ostatnim wspomoże roda-

ków. Tak mu honor nakazuje. Nigdy jeszcze Anglik w służbie zagranicznéj pozostający nie zezwolił podnieść broni przeciw własnéj ojczyznie; nigdy téż jeszcze nie zapomniał względów winnych sobie, jako cząstce téj wielkiéj rodziny, którą Anglią zowiemy. Tak tedy Anglik choć nie tęskni do swéj ojczyzny, kochać honor swego narodu nigdy nie przestanie; i lubo często narzeka na klimat swego kraju, na egoizm, na przesądy swych rodaków: ale w gruncie serca nie przypuści nawet, żeby Anglicy nie byli najgodniejszemi obywatelami świata, jedynie pojmującemi prawdziwe znaczenie wyrazu *honor*.

Jakże inaczéj Francuz pojmuje patryotyzm! On tęsknić do swéj krainy nie przestaje nigdy, chociażby obcemu panu, chociażby nieprzyjacielowi służył. Wyzuje się z całéj dumy narodowéj, talentem w własnéj ojczyznie zdobytym pozwoli szkodzić swym rodakom, ale cieszy się miłą nadzieją, że zdobywszy tém okrutném poświęceniem sposób do życia, powróci z kapitałem do swéj krainy, i tam jako dobry obywatel, przepędzi ostatnie lata swego żywota. Francuz nie przypuści nigdy, żeby istniał kraj tak piękny jak jego Francya, i dla miłości do ziemi poświęcić gotów względy winne jéj mieszkańcom, swym własnym ziomkom. Dla Anglika tedy ojczyzna istnieje nieraz abstrakcyjnie, w uosobnieniu; ojczyzny mu nie reprezentuje ani ziemia, ani rodacy, lecz raczéj duch honoru wyrobiony w kraju i przez rodaków. Tak pojęty patryotyzm nie nastręcza tkliwości Anglika żadnych żywiołów, a jednakże godność osobistą jego całkowicie pozostawia nietkniętą. Gardzi korzyściami spłynąć nań mogącemi z narodowości, ale pełni powinności, które mu ona nakłada. Można szanować Anglika, nawet gdy utrzymuje, że jest kosmopolitą.

Francuz zaś przywiązuje nieraz całą swą czułość patryotyczną, li tylko do kawałka ziemi, na którym się urodził. Puszcza się w świat, służy obcym, nienawistnym bogom, rozrzewnia się, płacze i pociesza nadzieją powrócenia na łono téj ojczyzny, któréj nieraz szkodził; ale do niéj powraca zdobywszy w dalekim świecie sposób utrzymania się uczciwie, i umiera przykładnym ojcem i gwardzistą narodowym nieskazitelnym, zadowolony ze swego żywota, przekonany, że najlepiéj dopełnił obowiązków syna ojczyzny.

Ale wróćmy do Anglii, którą tak naiwnym wykrzyknikiem powitała uczuciowa pani Hethrington. Żaden z Anglików, a siedziało ich niemało w naszym omnibusie, nie obruszył się słysząc córkę Albionu, witającą Albion słowami pogardy. Jeden

tylko, który dotychczas drzymał, otworzył oczy i spytał się niby nawiasem: *You are a sentimental Lady, is it not Madame?* (Pani jest sentymentalną niewiastą, czy nie tak?) tak, jak gdyby się był spytał: która godzina u pani? lub też: daleko ztąd do Carlisle? — Pani Hethrington odpowiedziała krającym jak brzytwa tonem: *So I am Sir! to be sure.* (Tak jest panie, upewniam pana).—*That's very well Madame.* (To bardzo dobrze, moja pani) dodał znów Anglik, zamknął powieki, ręce złożył i daléj sobie drzymał.

Z tego wszystkiego cośmy dotychczas o Anglii i o Anglikach powiedzieli wypada, że wysoko cenimy Anglików, pomimo dumy ich arystokracyi, pomimo prozaiczności mieszczaństwa, pomimo niedoli proletaryatu angielskiego. Wybitne jest jedno, drugie i trzecie, oczy rażące; a jednakże nie tak powszechne w jednéj, drugiéj i trzeciéj klassie narodu, żeby dostrzedz nie można licznych wyjątków, błyszczących jak gwiazdy na niebie, nad horyzontem Albionu. Poważam ten naród szczerze i wyznać się nie waham, żem mu wiele winien. Co w nim było dobrego i pięknego, to tak głębokie na mnie wywarło wrażenie, że go żadne w latach późniejszych doświadczane burze zatrzéć nie zdołały w méj pamięci. Jasność charakterów i zdań angielskich, wypiętnowała się w méj duszy wiarą jakąś niczém niezłamaną w pojęcia proste, zdrowe, i że tak powiem, absolutne. Mowa ich krótka, szorstka, ale w najsubtelniejszych odcieniach każdą myśl dokładnie oddająca, pomimowolnie jakoś na mój język wpłynęła. Słysząc Anglika wysłowiającego się z jemu tylko właściwą procyzyą, widząc Anglika gardzącego próżną, niewyraźną frazeologią, pożegnałem się raz nazawsze z ową niemiecką ostrożnością w mowie, i z ową niewiarą w absolutne pojęcia, któremi mowa pseudo-filozofów, okoleniem zobojętniona, ciągle uwzględniana możliwością jakichś wyjątków, lubi matwać się, maskować i utrudniać pojęcie najprostszéj rzeczy. Uwierzyłem w wartość mej idei, gdy ją posiadałem zdrowo i silnie wyobrażoną w méj myśli. Słowa znajdziesz na wyrażenie twéj idei, i bylebyś tylko miał śmiałość oddać ją bezokolicznie, pewnym jesteś że Anglik ją oceni, nawet wtenczas, gdy się z jego przekonaniem nie zgadza.

Wieczny też rozbrat wziąłem z francuzką chciwością mówienia o rzeczach, o których żadnego, lub niewyraźne tylko miałem wyobrażenie. Francuz puszcza język, tak jak niejeden myśliwy, puszcza charty, na chybił trafił: może się tam myśl jaka nawinie

lub też zając wytropi. Daléj tylko, daléj, haż go ba! Pola nie zabraknie, a ludzi złudzić się dających brzmieniem słów podostatkiem wszędzie. Bylebyś nie zaciął się językiem o zęby, znajdziesz zawsze sympatyzera, którego zdumiész, odurzysz twą wymową, który nasłuchawszy się do syta, a nie zrozumiawszy nic wcale, wykrzyknie z uniesieniem: „A to mi człowiek! A to rzeczy pojmuje! aż miło słuchać, niech go d..... biorą!"

Oh! nie tak z Anglikami. Anglika słowami nie odurzysz; z uwagą cię będzie słuchał, nawet gdy się niedokładnie wysłowiasz; ale gdy cię nic nie pojmie, wówczas jest pewnym, iż gadasz byle co, odwróci się od ciebie, i bądź zdrów: — nie zaczepi cię nigdy do pogadanki.

Za tę wiarę we własne zdanie szanuję ich, i za wiele innych przymiotów jeszcze.

Ale z tego nie wynika konieczność rozkochania się zapamiętale w Anglii, pomimo wszystkich izb, pomników, katedr, domów ubogich, szpitalów i zakładów; pomimo marynarki, *habeas corpus*, akademii i towarzystwa biblijnego. Nie! z tego wcale nic wynika, ażebym uważał Anglią za przewodniczkę takiego postępu, jaki ja sobie wyobrażam, że jedynie doprowadzić może ludzkość do szczęścia. Od Anglii, która tyle powinna czuć potrzebę wszechstronnego, a jednoczesnego postępu wszystkich władz życia i wszystkich klass narodu, może mam prawo domagać się wcale innych, świetniejszych wyników działalności ludzkiéj, jak dotychczas osiągnięte. Nim ją postawię na czele ludzkości i w zapomnieniu tego, co się może dzieje w mniejszych, mniéj potężnych krajach, nim jéj oddam berło pierwszeństwa; zapytać się zechcę Anglii: czemuż, o! potężny narodzie, kiedy tak szumnie głosisz tryumf pracy, członkowie twoi pracujący najwięcéj są najnieszczęśliwszemi, a najszczęśliwszemi niepracujący? A tak jest przecież. Krocie, krocie Anglików wlecze się po obszarze świata wytrzeszczając oczy na ludy, góry i morza; milion innych zabija czas i nudy grą, wyścigami i polowaniem; a tam, w zaułkach miast najpyszniejszych, w bezustannéj pracy, w ciągłym mozole, wiecznéj nędzy, giną i giną biedni wyrobnicy: ci sami, którzy płody potu, krwi i życia posyłają na ową wystawę, w któréj podziwieniu, wy wszyscy, co widzicie słońce na niebie, a mgły ujrzéć nie zdołacie na ziemi, zatracać zwykliście zdrowie sądu waszego. O! bądźcie sprawiedliwi! Chcieliżebyście okupić świetność wasze-

go kraju tylą łez potokami, tylą śmierci? Pewno nie! Wolicie sami tęsknić całe życie za lepszą połową waszéj istności, niedopuszczonéj do rozwoju, lub do objawu; ale nie chcielibyście być odpowiedzialnemi za tak okropną, serce rozdzierającą nędzę waszych bliźnich. A Anglik? Któż mu broni być trybunem swego ludu, gdy widok jego cierpień wzbudzi w nim politowanie i szlachetną żądzę ulżenia im? Niech się ą to stara, a będzie reprezentantem, niech daje, a będzie dobrodziejem. A jednak tylu turystów, tylu sportsmanów, pomiędzy owym najpiérwszym narodem ziemi! Nie! honor jeszcze nie jest ludzkością, a na honorze i oględności wznosi się ów postęp, którego podziwiamy na papierze statystyczne wyniki. Daleko jeszcze ztąd do ludzkości, daléj jeszcze do chrystyanizmu.—Bezwzględnemi jednak potępicielami arystokracyi angielskiéj nie jesteśmy. Część jéj, jak to już wprzódy wyrzekliśmy jest, że tak powiem kwintessencyą narodu, a całość jeszcze nieskończenie wyższe miejsce zajmuje od arystokracyi wielu narodów. Może nie ma i jednéj rodziny arystokratycznéj angielskiéj, któraby nie uważała za najświętszą powinność ponosić wszelkie ofiary dla dobra kraju, utrzymywać swe imię w poszanowaniu, doskonaleniem się w naukach, ośmielaniem literatów i artystów.

Kocham tedy i wielbię tych mężów stanu, którzy jednéj chwili życia swego nie stracili, którzy zdobywszy władzę spożytkowali ją na dobro ziomków. A takich miała i ma Anglia! Kocham i wielbię owych filantropów, którzy nie szczędzą mozołu i pieniędzy na wyszukanie biédnych i otarcie łez ubóstwu. Takich mnóstwo w Anglii. Kocham i wielbię owych literatów, którzy w świętym gniewie odkrywają rany społeczeństwa, i wszystkie swe siły zwracają na wymyślenie sposobów zagojenia takowych. Szanuję w mieszczaństwie, owéj osi społeczeństwa angielskiego, ten umysł praktyczny, nieporównaną rzeźwość, czynność, przenikliwość, sprowadzające tak wielkie zasoby dla kraju. Szczerze się lituję nad tą biédną klassą ludu, ginącą tysiącami w znojach i mozole, a nietracącą cierpliwości, nieporywającą się na prawa kraju i Boga; ale Anglii nie kocham, bom tam widział mych bliźnich umierających z głodu.

Że i Francya nie zasłużyła, jako przewodzicielka narodów, na bezwzględną sympatyą moję, o tém wiedzą moi czytelnicy i tego się wcale wypierać nie myślę. Tém mniéj może zasługuje, im

więcéj światu obiecywała, im więcéj w materyalizmie jednostkowym zagrzęzła.

Nie wiem, dlaczego tylko Anglia i Francya mają posiadać tajemnicę owéj machiny, na któréj, według wyobrażenia mędrców sądzących zdaleka, jeździć ma jak na lokomotywie *postęp!*

Milsze mi kraje, w których cywilizacya nie przeskrzydliła uczuć poczciwości.....

Ale otoż i Carlisle,—przerywamy nasze rozmyślania.

Jesteśmy więc w Carlisle, w starodawném Luguvallum, które już za Adryana było znaném światu. Zaledwie dwadzieścia kilka tysięcy ma mieszkańców, ale wiele w niém ruchu, handlu i przemysłu. Fabryki wyrobów bawełnianych szczególnie tu są liczne; znajdują się także i ludwisarnie. Carlisle za Rzymian było punktem militarnym bardzo ważnym; ztąd wychodził ów mur wysoki, którym Rzymianie zasłonić się chcieli od natarczywości Kaledończyków, a szczątki tego muru do dziś dnia tu istniejące i podróżnym ukazywane, głęboko do duszy przemawiają. Pod Dawidem I Carlisle należało do Szkotów; roku 1644 wzięli je i spalili parlamentarze, a w roku 1745 Jakobici. W starym, od pięciu wieków istniejącym zamku, Marya Stuart więzioną była w 1568 r. Napisy francuzkie wyrznięte dyamentem na gotyckich oknach, wielką tchnące smętnością, mają być wypisane ręką nieszczęsnéj królowéj.

Katedra biskupia w Carlisle ciekawym jest bardzo zabytkiem budowy saxońsko-gotyckiéj. Coś równie starożytnego, a tak dobrze utrzymanego i okazałego, może w całéj Anglii nie ma; kościół ten bowiem już w VII wieku ery chrześciańskiéj budować zaczęto.

W blizkości miasta, w stronie północnéj, znajduje się ów sławny pomnik druidyjski, przezwany *Long Meg and her daughters* (długa Meg i jéj córki). Jestto niezmierne koło, obstawione po obwodzie surowemi głazami ogromnéj wielkości, a góruje nad wszystkiemi długa *Meg*, głaz formy stoczkowéj, na 170 stóp wysoki.

Dyliżansem puszczamy się o 7méj godzinie wieczorem do Manchester, o 23 mil geograficznych od Carlisle odległego, i stajemy tam na drugi dzień rano o 8méj godzinie. Całą drogę w najlepsze przespaliśmy, tak był wygodnym dyliżans, pomimo szybkiego swego biegu.

Czy mam opisywać Manchester, ową na węglu i parze wypieczoną stolicę przemysłu angielskiego, która sto lat temu miała zaledwie 15,000 mieszkańców, a dziś ich liczy 300,000? Trudno rozwodzić się nad takim opisem; zresztą może on tylko ludzi specyalnych zajmować, a ci wiedzą doskonale, gdzie go mają szukać. Za méj bytności 327 machin parowych w ciągłym było ruchu w Manchester. Samych warsztatów tkackich, poruszanych mechaniką, było 35,000. W powietrzu tego miasta nie ustaje gwar, turkot, a gęsty dym węgla ziemnego bezustanną toczy walkę z mgłami, wlekącemi się po ulicach.

O milę od Manchester warto zwiedzić pyszne kollegium katolickie Stonyhurst.

W pięć kwadransy przybyliśmy z Manchester do Liverpool koleją żelazną. Dziewięć mil geogr. nie mniéj i nie więcéj z jednego miejsca do drugiego. Przed stuleciem Liwerpool liczył zaledwie 10,000 mieszkańców; dziś ich posiada 220,000. Swobodniéj się oddycha w Liwerpool, jak w Manchester, pomimo gorączkowego zajęcia, jakie się i tu maluje na twarzach wszystkich mieszkańców. Blizkość morza czyści powietrze, a zresztą w Liwerpool nie zapomniano jeszcze Boga i muzy, dla pary i Merkurego. Są i piękne świątynie, mianowicie kościół św. Piotra i Pawła; są i muzea nadzwyczaj bogate w najrzadsze przedmioty, jest i ogród botaniczny, są nareszcie szkoły, gimnazya i licea dosyć liczne. Pod całém prawie miastem rozciąga się tunel podziemny, długi na 6,000 stóp, wysoki na 24, a szeroki na 30. Okazałą jest budowa tego kosztownego dzieła.

Wracamy jeszcze do Manchester i ztąd jedziemy do Sheffield, także koleją żelazną. Już jesteśmy w Sheffield, ho tu wszystko niesłychanie prędko idzie, i mieszkamy nie w hotelu, tylko u pana Slivers, fabrykanta i blizkiego krewnego pana Hethrington.

Sheffield liczy 120,000 mieszkańców; przed stu laty liczył ich zaledwie 6,000. Niegdyś to miasto było fortecą, dziś słynie na cały świat swemi wyrobami żelaznemi, mianowicie brzytwami i nożami. W blizkości miasta kopie się wyborna ruda, a w innem miejscu doskonały węgiel kamienny: a tak wszystko sprzyja Sheffieldowi. Budynków okazałych prócz ogromnego szpitala, w którym porządek najprzykładniejszy, nie ma tu prawie wcale. 120 machin parowych, reprezentujących siłę 36,000 koni w ciągłym są ruchu; niezmierne kłęby dymu wznoszą się pod obłoki,

drży cały Sheffield od tętna tysiąca ogromnych młotów, spadających na rozżarzony metal. Rzeka Sheaf spotyka się w samém mieście z rzeką Don; kanałów ułatwiających kommunikacye, dróg i kolei mnóstwo, mało zaś kościołów na tak liczną ludność. Stan zdrowia wyrobników zadowalający, w porównaniu ze stanem zdrowia wyrobników w Manchester: żelazo mniéj sprowadza chorób jak zdradliwa bawełna, wkradająca się subtelnym pyłem w płuca.

Pan Slivers małą tylko w porównaniu innych miał fabrykę; machina o sile 120 koni wystarczała na jéj obracanie. A jednakże małą siłą, wielkie pan Slivers otrzymywał wyniki: wyrabiał u siebie pilniki z lanéj stali, słynne na całym świecie z twardości i taniości, przytém wynalazł sposób polerowania stali i żelaza w krótszym czasie i z mniejszém wysileniem, jak dotychczas. Tylko 20 najlepszych, najwierniejszych robotników przypuszczonych było do tajemnicy tego wynalazku; pan Slivers nam nawet nie pozwolił zwiedzić téj części swéj fabryki, tylko na dowód jéj doskonałości zabrał ile mieliśmy przy sobie kluczy, noży, wraz ze wszystkiemi memi narzędziami chirurgicznemi, i w godzinę potém zwrócił nam wszystkie nasze przedmioty gładkie i świecące się, jak zwierciadełka.

Inną jednakże maszynę, którą niedawno był wynalazł, raczył nam pokazać pan Slivers. Byłato maszyna wyrabiająca ostrza do scyzoryków i tak urządzona, że z jednéj strony wchodził w nią drut stalowy na zimno, a z drugiéj strony sypały się z niego wycięte ostrza najwyborniejszego gatunku. Na każdą minutę sześć takich ostrzy wyrabiała ta maszyna. Na funty i kamienie pan Slivers sprzedawał te wyroby, cały funt za 6 pensów, tojest groszy polskich 30. Zastanawiająca taniość! a jeszcze się bogacił p. Slivers tym przemysłem i kazał stawiać 12 maszyn więcéj.

Z Sheffield jedziemy dyliżansem przez Nottingham i Leicester do Oxfordu.

Położenie Nottinghamu miasta, a zarazem i hrabstwa 60,000 mieszkańców liczącego, bardzo jest malowniczém. Rozpościera się na wysokiéj opoce nad brzegiem rzeki Trent. Zamek książąt Newcastle góruje nad wszystkiemi budowlami uszykowanemi w piękne ulice. Mnóstwo jaskiń naturalnych i sztucznych w opoce. Główny rynek otoczony wysokiemi domami, które się na śmiałych wspierają filarach i pyszne tworzą kolumnady. Wiele tu zakładów dobroczynnych i naukowych, ale nie braknie także i fa-

bryk. Pomiędzy innemi słynie na cały świat fabryka pończoch bawełnianych i jedwabnych, fabryka koronek, fajansu i huta szklana.

Leicester dawne *Ratae Coritanorum*, które odegrało tak ważną rolę za heptarchii anglo-saskiéj i zawiera około swéj *via romana* mnóstwo zabytków starożytności, dziś jeszcze jest pięknem i świetném miastem, choć ma zaledwie 60,000 mieszkańców. Jakiś ton swobodny, naukowo-arystokratyczny w tém mieście, przypomniał mi luby Edymburg. Prawda, znalazłem tu niespodzianie dawnego znajomego, i radość z tego spotkania wszystkie osłodziła wrażenia zdobyte w tém miejscu. Nocą wyjeżdżamy do Oxfordu, odległego ztąd o mil geogr. 15. Stajemy w starodawnym grodzie nauk i sztuk pięknych, prawie równo ze świtem.

III.

Na okrągłym pagórku przy ujściu rzeki Charwel do Tamizy, wznosi się Oxford, wpośrodku zielonych błoni i łąk kwitnących. Całkiem gotyckie miasto najeżone wieżami i kopułami, pełne pałaców, których styl prosty i dostojny wzbudza poszanowanie, a którym zblizka przypatrzywszy się, nie można odmówić podziwienia. Miasto to niegdyś stołeczne. Król Karol I tutaj szukał schronienia podczas wojny domowéj. Wszechnica oxfordzka jedna z najdawniejszych w Europie, bo w XI wieku założona i niegdyś jedna z najsławniejszych w świecie, dziś jeszcze zdumiewa przepychem zakładów i budowli do niéj należących, ale od pewnego czasu przestaje zadziwiać swém światłem i przyciągać do swych piersi młodzież chciwą nauki. Niegdyś 3,000 uczniów do niéj uczęszczało; dziś, po upadku wiary w przywileje scholastyki, wszechnica oxfordzka zaledwie trzecią część téj liczby pielęgnuje. Dziś młodzież dąży do natychmiastowego zastosowania wyniku swego mozołu: specyalności więcéj się oddaje i nie pojmuje wolnego, a ciągłego wpływu nauk klassycznych na swe wykształcenie i szczęście. Zwolna, porwana prądem tego, co my nazywamy postępem, młodzież zapomni szlachetnych tradycyj starożytności, i specyalizując wszystko, może nowe wyrobi żywioły dla przyszłości, a może też zaniedbawszy starych, zagrzęznie w bezdenne trzęsawiska niedowiarstwa.

Oxford opuszczony. Tulą się do niego prawie tylko potomkowie mężów, którzy tu ufundowali bursy rodzinne, ich krewni, lub ich dependenci. Professorowie też nie widząc przed sobą owych ócz pałających żądzą nauki, zaniedbują się pomimowolnie w swych obowiązkach, bo nie czują się zagrzanemi owym świętym ogniem, który swe żywioły czerpie w nadziei bogatych plonów. Zresztą i oni po największéj części przywilejowi winni tę posadę. Być zwolennikiem kościoła anglikańskiego, torysem, krewnym, powinowatym, lub dependentem jakiego z dobrodziejów:—oto najważniejsze tytuły do osiągnięcia miejsca. Potém dopiéro idą tytuły uniwersyteckie, potém konduita, a nareszcie zdatność.

Uczniowie wszyscy chodzą w togach różnéj materyi i różnych kolorów: w togach czerwonych i czarnych, jedwabnych i wełnianych, w baretach haftowanych i niehaftowanych. Pięć tego rodzajów. Jak do stopnia uniwersyteckiego?—Nie! jak do gatunku urodzenia. W audytoryach także uniwersyteckich, których jest ze wszystkiém 13, osobne są miejsca dla uczniów należących do *nobility*, do *gentry*, do *commonalty* i t. d., słowem do pięciu klass towarzystwa, z których się składa naród angielski.

Kollegiów, tojest gmachów, w których mieszkają uczniowie i pobierają *repetytorya* jest 19. Noszą po największéj części nazwiska fundatorów, lub też hrabstw. W kollegium zwaném *All Souls college* mieszczą się prawie wyjątkowo synowie piérwszych rodzin angielskich. Dziwnie piękna jest kaplica gotycka do tego kollegium należąca, a nie ustępuje jéj ogród, księgozbiór i muzeum, w skład budynku wchodzące. Pod względem wygód, synowie monarchów nie wymagaliby więcéj..... Wiek młodzieńczy sam przez się już jest darem, którego żadnym innym zastąpić nie można: w nim znoszą się łatwo niedogodności życia, w nim trzeba się starać zdobyć owę szlachetną dumę, która wynika ze zwycięztwa zdobytego duchem nad cielesnością. Wszakże i monarchowie podzielali to zdanie i śmieli sprawdzać je na własnych dzieciach; czemuż arystokracya angielska nie chce go użyć dla swych synów? Może dlatego, żeby zawczasu wnarowić młode pokolenie w obyczaje i potrzeby, oddzielające je od nieszczęśliwszych, od biédniejszych, a zatém od niższych.

Prócz owych 19 kollegiów, po największéj części świetnie wyposażonych, znajdują się tutaj cztéry *halls* czyli budynki przeznaczone dla uczniów *wolnych*, tojest stołujących się w mieście.

Fakultetu lekarskiego nie ma właściwie w Oxfordzie, ale istnieje tu rada lekarska, upoważniona do dawania dyplomów doktorskich lekarzom, którzy pobierali nauki w innych fakultetach, lub też prywatnie przysposobili się. Teatr nawet anatomiczny nie istnieje w Oxfordzie.

Kanclerzem uniwersytetu zawsze bez wyjątku mianują pana jakiegoś dostojnego: ministra, generała, księcia, lorda i t. d.; wicekanclerzem jest uczony jaki, wybrany z grona professorów. Uniwersytet prócz tego posiada przywiléj mianowania swego własnego reprezentanta do izby niższéj.

Każdy *Civis Accademiae*, tojest uczeń wszechnicy, prócz jednych *commonerów* bursyjnych, mieszczan stypendystów, ma prawo głosowania.

A tak można powiedzieć bez omylenia się, że nie ma w świecie feodalniejszego zakładu naukowego, jak uniwersytet oxfordzki. Dziwić się potrzeba, że coś podobnego ostać się mogło aż do połowy XIX wieku; ale istotnie, gdy zważymy, że tyle innych starodawnych instytucyj angielskich winno swe istnienie jedynie tylko poszanowaniu, jakie u Anglika zdobywa prawo swą długotrwałością: przestaniemy patrzéć na wszechnicę oxfordzką, jako na widmo ubiegłych czasów.

Pod względem czysto naukowym uważając wszechnicę Oxfordu, wyznać musimy, że nowe zakłady naukowe Anglii, mianowicie nowy londyński uniwersytet, daleko większe zdobyły prawo do poszanowania. Oxford oddawna przestał przewodniczyć światu w dziedzinie nauk, i wszystkie bez wyjątku uniwersytety niemieckie wyprzedziły starodawną szkołę oxfordzką w naukowości. Puzeizm tu wcale nie służy za dowód przeciwnemu zdaniu; mogły się jego doktryny rozpowszechnić w idei wielu zwolenników, ale na stan religii lub naukowości w Oxfordzie żadnego jeszcze nie wywarł wpływu.

Pomiędzy księgozbiorami Oxfordu celuje biblioteka Bodlejska, założona i wyposażona przez Tomasza Bodley (1544—1612), szlachcica angielskiego i ambassadora królowéj Elżbiety. Dyplomata ten doświadczywszy niewdzięczności ze strony dworu, opuścił zawód publiczny i zajął się wyszukaniem najciekawszych ksiąg świata. Zgromadził do 80000 ksiąg i do 13000 rękopismów i zapisał ten szacowny zbiór, wraz ze swym majątkiem, uniwersytetowi oxfordzkiemu.

Hearn zgromadził kilka pism Bodlea pod tytułem: *Reliquiae Bodleyanae.* London, 1703. Dziś biblioteka Bodlejska, druga w Anglii, zawiera przeszło 200,000 ksiąg i 25000 rękopismów; pomiędzy temi wiele sanskrytskich, arabskich, perskich i trzy mexykańskie.

Biblioteka Radcliffa druga z rzędu w Oxfordzie, zawiera wszystkie dzieła, jakie w którymkolwiekbądź języku wyszły o prawie, sztuce lekarskiéj i historyi naturalnéj. Wielkiego podziwienia godną jest sala, w któréj się mieści ta biblioteka. Ogromna pokrywa ją kopuła. Ale przedewszystkiém zastanawia teatr Szeldona (Sheldonian Theatre), wzniesiony przez Wrena, sławnego architekta kościoła ś. Pawła w Londynie, na wzór teatru Marcella w Rzymie. Może mieścić w sobie 3000 osób i przeznaczonym jest na uroczystości, towarzyszące otwarciu kursów, rozdawaniu nagród, doktoryzacyom i t. d., jako też na reprezentacye sceniczne tragedyj i komedyj greckich i łacińskich, przedstawianych przez uczniów filologii.

Są i galerye obrazów, muzea, sala marmurowa Arundela. Ogród botaniczny, położony obok wspaniałego mostu kamiennego, rzuconego na Charwell, i obserwatoryum, ozdobą są wielką tego starodawnego miasta, w którém wszystko tchnie gotycką powagą. Trudno oprzéć się urokowi tych wysokich murów, wzniesionych wiernie w jednym stylu od lat blizko tysiąca, i łatwo tu zapomniałem gwaru miast fabrycznych, pokutującego w mych uszach.

Być doktorem oxfordzkim, wielki to zaszczyt, którym nie wzgardziły i ukoronowane głowy, odwiedzając starodawną stolicę nauk. Kilku teraz jeszcze żyjących monarchów kolegami są niejednego uczonego, pracującego w pocie czoła na swe utrzymanie.

W r. 1815, gdy monarchowie świętego przymierza zwiedzili Anglią wraz ze swemi zwycięzkiemi wodzami, ciekawość zaprowadziła ich do Oxfordu. Mianowano doktorem błogosławionéj pamięci Cesarza Alexandra, i ś. p. króla pruskiego Fryderyka Wilhelma, nareszcie i marszałka księcia Blücher. Gdy temu ostatniemu przyniesiono dyplom doktorski, niemało się zakłopotał stary wojak, nie wiedząc, że są doktorowie różnych nauk, i rzekł do kanclerza uniwersytetu: „Kiedy już pan chcesz koniecznie żebym był doktorem, mianujże mego szefa sztabu Szarnhorsta aptekarzem, bo inaczéj kuracye nie pójdą dobrze."

W tych naiwnych słowach stary wódz oddał sprawiedliwość swemu podwładnemu, któremu, jak historya głosi, niejedno winien był zwycięztwo. Anegdotę tę opowiadał mi archiwista uniwersytetu dr. Clarendon, starzec, który jeszcze w r. 1815 ten sam urząd przy uniwersytecie sprawował.

O dwie mile od Oxfordu leży powabne miasteczko Woodstock. Świetny pałac otoczony pysznym parkiem góruje nad tém miejscem, pamiętném w dziejach Anglii. Król Henryk IIgi wystawił go w r. 1165 dla swéj kochanki Rozamundy. Któż nie słyszał o pięknéj Rozamundzie Clifford bohaterce tylu tragedyj, oper i romansów? Nieszczęścia Rozamundy przeszły starożytnemi balladami od pokolenia do pokolenia, i wcieliły się w pamięć wszystkich Anglików, a Walter-Scott swą cudną powieścią obznajmił nas wszystkich z pięknościami i tajemniczym labiryntem Woodstocku. Henryk IIgi schronił tu swą kochankę przed zazdrością prawnéj żony Eleonory de Guyenne, ale zazdrość wzrok zaostrza, i rywalka padła pod razami obrażonéj królowéj. Do dziś dnia istnieją ślady podziemnych ganków, któremi Henryk wkradał się do swéj kochanki.

Dziś Woodstock mniéj poetyczny, trudni się przemysłem, mianowicie wyrabianiem sławnych rękawiczek.

I Blenheim leżący tuż pod Woodstockiem minąć nie sposób. Jestto pyszny zamek darowany walecznemu Marlborough, na cześć zwycięztwa przezeń odniesionego pod Blenheim nad Francuzami i Bawarczykami w roku 1704. W środku dziedzińca pałacowego wznosi się bronzowa statua zwycięzcy, na kolumnie 130 stóp wysokiéj. Dziś jeszcze zamek ten należy do książąt Marlborough i stanowi część ich majoratu. Ale rodzina Marlborough na majątku zupełnie podupadła; w długach siedzi po uszy i chętnieby swój majorat sprzedała, gdyby to było możebném. Żył jeszcze za méj bytności w Blenheim walecznego wodza ostatni potomek w linii prostéj; synów bowiem nie miał, tylko córek kilka. Najmłodszą i najpiękniejszą córkę wydał książę Marlborough za pana Barton majętnego piwowara w Oxfordzie, człowieka już niemłodego i dosyć gminnego obejścia się; ale pan Barton posagu nie wymagał, owszem, jeszcze swéj żonie bogaty zapis zrobił i tatce pożyczył cokolwiek pieniędzy. Własny *major domus* księcia oprowadzając nas po pysznym zamku, opowiadał następującą, dosyć oryginalną anegdotę: Ostatni potomek Malbruga nigdy się nie wsławił orężem, ale za to potężnie władał biczem. Namiętnie lu-

bił powozić końmi, i gdzie mu się tylko nawinęła sposobność, zaraz siadał na kozioł i daléj—wista ha!

Z wiekiem i wzrastającém osłabieniem głowy, która nigdy nie była mocną, namiętność powożenia przybrała charakter monomanii. Wtém żona księcia umiera. Na przepysznym karawanie, na którym wznosił się baldachin książęcą koroną wieńczony, leży trumna ze zmarłą księżną, toczy się ciężki wóz zaprzężony ośmią białemi końmi ku Oxford, gdzie jest grób rodziny Marlborough'ów. Wtém się zapomina książę postępujący w krepowym płaszczu za karawanem, wskakuje na jego kozioł, zacina konie i kłusem wiezie żonę do grobu familijnego.

* * *

Listopad nadszedł, deszcze spadły z katarakt niebieskich, i ze ściśnionem bolesnemi przeczuciami sercem, wracam koleją birminghamską w mury tak dla mnie złowróżbnego Londynu. Smutek mój coraz wzrastający, nie uszedł bystrego oka pani H...., ani też dobrego serca jéj męża.—„Doktorze! na Boga, tracisz odrazu cały twój humor: jedź z nami na dni kilka do Bromley, tam się w bliskości Londynu przyzwyczaisz do zniesienia jego atmosfery, i w towarzystwie przyjaciół zwalczysz ogarniający cię spleen" mówili moi dobrzy towarzysze podróży. Ja im odpowiedziałem:—„I tu w Londynie mam przyjaciół, może mnie bardzo potrzebujących; okrucieństwem byłoby, żebym przez Londyn przejechał i nie dowiedział się nawet o ich powodzeniu. Za tydzień najdaléj będę u was w Bromley, a teraz was żegnam z żalem w sercu i dziękuję za miłe chwile spędzone z wami!"

— Nie! nie! doktorze, bez strzemiennego nie puścimy cię; choć butelkę szampana wypić z nami musisz. Potrzebujesz szampana, wierzaj mi, okrucieństwem byłoby odmawiać sobie szampana. *upon my word* tego nie ścierpię!—krzyczał pan H., i wciągnął mnie do bufetu wspaniałego dworca na Euston Square.

Wystrzelił poczciwy korek epernajski, trysnął perłowy nektar. *Good friendship for ever!* Otucha jakaś wstępuje w me serce. Za godzinę państwo H. byli w drodze do Bromley, a ja znalazłem się znów w dawném mém mieszkaniu, przy ulicy Tottenham-Court-road, i szukam myśli i natchnienia przy kominku, na którym pali się w najlepsze węgiel kamienny.

Już na drugi dzień wszedłem w me bezpłatne obowiązki w *foreign dispensary*, gdyż te ułatwiały mi oddawanie usług kolegom, niemającym sobie za co kupić lekarstw; odnowiłem stosunki z areopagiem niemieckich uczonych, z redakcyą medycznéj

Timesy i z professorami uniwersytetu londyńskiego. Ze świeżemi siłami wziąłem się nie tracąc chwili do pracy, w żwawy ruch wprowadziłem maszyneryą umysłową, wszystko szło dobrze: pracy nie brakło, bo chęć do niéj wrzała w duszy.

Odwiedziłem i Abigail. Oczekiwała mnie oddawna mamka Emilii, bo znowu zapadła na oczy. „Przywróć mi pan wzrok mój, niech ją choć raz jeszcze oglądam, nim się z tym światem rozstaniemy. Nastąpi to niezadługo. Miss Emilia coraz ma się gorzéj, a ja dla niéj tylko żyję. Syn mój już sobie sam daje radę i jak będzie po wszystkiemu, wróci z panem W. do Indyj, —mówiła Indyanka.

Pan W. i jego córka mieli jeszcze miesiąc cały pozostać w Bath, gdzie powietrze łagodniejsze jak w Londynie.

I w Mile-end byłem. Kapitan duński z ciągle wzrastającym zapałem oddawał się kontrabandzie. Marcin jakoś niebardzo zadowolony ze zbliżającéj się zimy, obrastał wprawdzie w sierć, ale tracił dobry swój humor. Prawda, że mu kaganiec włożono, pazury obcięto, co się niekoniecznie zgadzało z jego wyobrażeniami o wolności osobistéj.

Ze dwa tygodnie minęło w tych zatrudnieniach, gdy jednego pięknego wieczora wpada do mnie pan Hethrington i krzycząc: „tak to dotrzymujesz słowa?" wdziewa na mnie paleto i mackintosz, wydobywa z szuflady frak z świątecznem ubraniem, sadza na karyolkę i na całą noc pędzi do Bromley. Trzy tylko mile geogr. do tego miejsca; doskonałe konie mego przyjaciela zawiozły mnie w półtoréj godziny. Przebieram się, do salonu wchodzę; siedzi w nim jak na tronie pani Hethrington, otoczona gronem dam i panów, świetnie przybrana, dumna i imponująca. Nie wiedziała że przybyłem, nie wiedziała nawet że mąż po mnie wyjechał. Chciał jéj zrobić miłą niespodziankę, bo jutro jéj urodziny. Długo myślał czémby jéj mógł największą zrobić przyjemność, aż nareszcie wpadł na myśl sprowadzenia jéj dawnego towarzysza podróży.

And now I see Mister Hethrington, you are a perfect gentleman, and I am proud of you. Be wellcome in our house, dear Doctor! many, many thank for your kindness. Buttet me introduce yourself to this honourable company (1).

(1) Teraz widzę panie H., że jesteś prawdziwym gentelmanem i dumną jestem z pana. Witaj nam pan w domu naszym; wiele, wiele dzięków za jego grzeczność. Lecz pozwól siebie przedstawić szanownemu towarzystwu.

I tu nastąpiły ceremonialne przedstawienia, trwające z dziesięć minut.

Gospodyni w najlepszym była humorze. Przebiegliśmy jeszcze raz wszystkie wypadki i wrażenia podróży wespół doświadczane. Towarzystwo było zachwycone. Nastąpiła kolacya, posiedzenie zakończyło się zwykłym sposobem angielskim: damy się ulotniły, a mężczyzni ciężko cięci posnęli, jeden na stole, drugi na kanapie. Byli i tacy, co pod stołem i kanapą szukali i znaleźli Morfeusza dary.

IV.

Nazajutrz raniuteńko wyprawiony był goniec do Londynu do *foreign dispensary*, z prośbą, żeby mnie kolega dr. Costello zastąpił w mych obowiązkach.

Zwiedzamy posiadłość pana H. Składa się z domu wiejskiego na przedmieściu, pięknego, wygodnego, w pośrodku sporego ogródka wystawionego, w którym mieszka rodzina; z folwarczku doń przytykającego, a cokolwiek daléj z jakiéjś długiéj, wązkiéj budowli, na któréj sterczy komin, wyziewający kłęby dymu. To fabryka pana Hethrington. Był bowiem fabrykantem, choć nie chwalił się z tém przedemną, bo jéjmość niebardzo lubi żeby o tém wspominano; ale był fabrykantem, to tam darmo, i zatrudniał się drukowaniem perkalów, półpłócienek, płócienek, nowym, przez niego wynalezionym sposobem. Istotnie przyznać muszę, że nic w podobnym rodzaju nie widziałem równie pięknego.

Tła nie drukowano dawnym sposobem prasami, lecz za pomocą szeregu walców metalowych, oklejonych jakąś substancyą drewnianą, na których rysunek był wyciętym. Do każdego koloru w skład desenia wchodzącego, jeden był walec obracający się wolno; tło przechodziło pomiędzy tym walcem kolorem właściwym zaprawionym, a pomiędzy drugim walcem obwodu miękkiego, przyciskającym go do farbującego walca. Tło wyszedłszy zpod walca kolorowego, wchodziło na inny walec ze środka ogrzany i także metalowy dla osuszenia farby; potém podchodziło pod trzeci walec wilgotny, zaprawiający tło chwytnikiem chemicznym koloru. Potém znów pod inny walec kolorowy, zaprawiony inną farbą w skład deseniu wchodzącą, podchodziły płócienka. Wszystkie walce obracały się wolnym, a matematycznie wyrachowanym biegiem. Gdyby jeden był szybszym lub większym od drugiego,

lub elastyczność tła większą w jednem miejscu jak w drugiém: natenczas rysunek następującego walca zamiast paść na swe miejsce, padłby bliżéj lub daléj, a tym sposobem chybiwszy tylko choćby na włos, deseń nie wydałby się czystym tylko zamazanym. Do każdego tedy walca farbującego, należał drugi osuszający farbę i prasujący, trzeci odwilżający i chwytnikiem chemicznym zaprawiający. Czasem dziesięć kolorów różnych wchodziło w skład malowidła; potrzeba zatém było 10 walców farbujących, 10 osuszających, 10 odwilżających; oprócz tego był jeden gummujący, jeden prasujący i wreszcie ostatni zwijający tło już skończone. Tego ostatniego walca przyrząd, był najtrudniejszém dziełem: bieg jego bowiem około osi, aby nie spowodować ciągle wzrastającego prężenia, musiał ciągle jednostajnie wolnieć, w miarę jak się tło około niego owijało. Ostatni walec zwijał tedy po sto łokci tła malowanego, a zwinąwszy je coraz wolniejszym biegiem, nożyce padały na tło, przecinały je, wałek sam spadał, i na nowy walec znowu się zwijało płócienko. Bieg machiny parowéj bardzo słabéj siły, pędzący całą mechanikę, regulowanym był jak zégar ogromném wahadłem, oznaczającém matematycznie na frakcyą tysiącznéj części minuty prędkość biegu we wszystkich walcach. Fabryka ta cała była jednym zegarem pędzonym parą, zamiast sprężyny lub ciężarów. Maszyna tak była urządzoną, że z dokładnością wiedziano, ile się tła drukuje w jednéj minucie. Drukowało się tego tła u pana H. półtrzecia łokcia na minutę, bo w minutę walec cały swój obrót robił, a obwodu miał właśnie półtrzecia łokcia. Fabryka szła 12 godzin na dobę, a zatém 1,800 łokci perkalu czy płótna drukowało się na 12 godzin. Wszystkie walce obracane były jedną osią stalową, długą na 120 stóp, do któréj przytwierdzone były koła zębate, dające jednostajny ruch wszystkim walcom. Niezmierna sala, w któréj odbywała się ta dziwnie piękna zegarkowa maszynerya, ogrzaną była zawsze jednostajnie; lękano się bowiem nawet, żeby różnica temperatury nie wpływała na objętość najściślej wyrachowaną metalów, w skład maszyny wchodzących.

Główny rysownik brał 30,000 złp. rocznie, za wykonywanie projektów; pięciu było rysowników przenoszących rysunki na walce i pobierających po 10,000 złp. rocznie; dziesięciu rytowników wyżłobujących walce i pobierających po 5,000 złp. rocznie: farbiarz główny brał 10,000 złp., toż samo maszynista główny; czterdziestu było pomocników biorących po 4,000 złp., a dwudziestu po 2,500 złp.; koszta materyałów farbiarskich, opału i in-

nych potrzeb, wynosiły 100,000, podatki drugie 100,000; jednem słowem do 500,000 złp. było rozchodu rocznego, licząc w to procent od kapitału włożonego w samo wystawienie fabryki. Ale tło wydrukowane nabywało o 45 groszy na łokciu większéj wartości wychodząc zpod prasy, odznaczało się przed wszystkiemi innemi, które dotychczas widziałem, żywością kolorytu, trwałością i poprawnością rysunku. Cudowne były te płócienka: jedne błyszczały najprzepyszniejszemi kwiatami, drugie ptakami, trzecie w arabeski, inne jeszcze w guście gotyckim wyobrażały budowle, jakie tylko najbujniejsza fantazya wymyśléć może. Obicia, sztory, firanki, pokrowce na meble, szlafroki, kurtyny, wszystkoś tu mógł obstalować, wybrać sobie, lub sam oznaczyć deseń i koloryt; wszystkie nowe mody i smaki mogłeś tu ujrzéć odgadnięte, wszystkie nowe pomysły natychmiast na 1,800 łokci wzdłuż i 3 łokcie wszérz jednego dnia urzeczywistnione. Ale téż wszystkie nauki tu znalazłeś zastosowane: zoologią, botanikę, architekturę, archeologią, chemią, fizykę, mechanikę i optykę. Wiele podobnych zakładów w Anglii, ale żaden może w tak małych rozmiarach nie zastosował dla użytku mody, dla wykwintności gustu, ogrom tak poważnéj wiedzy ludzkiéj. I w tém jest tryumf wiedzy, bo prace takowe uszczęśliwiają i uszlachetniają, podnoszą duszę i żywią ciało.

— Oh Anglicy! – rzekłem zachwycony do mego gospodarza — prawdziwie, macie z czego prawo być cokolwiek dumnemi; kiedy nam się najmniejsze ułamki czasu odbijają na tle tak żywemi kolorami, to pewno niezadługo wynajdziecie klucz do owéj zagadki, do *perpetuum mobile.*

— A niechże Bóg broni! ukamienowałbym Anglika, porywającego się na ten zuchwały, Anglo-bójczy wynalazek— odrzeknie pan Hethrington. — Nie pojmuję cię, jak to wynaléźć bieg nieżywiony żadną substancyą, żadną zgubą materyi?

— To nazywasz bezbożnym wynalazkiem, a toż przecie urzeczywistnienie najpiękniejszego snu filantropów. Jest w tém coś Boskiego, pożyczyć od natury cząstki jéj wiecznéj siły, uszczęśliwić ziemię, bez szkodzenia naturze. Dalibóg, nie ma myśli szczytniejszéj, bujniejszéj, a jednakże podobniejszéj do urzeczywistnienia: bo *perpetuum mobile,* tak jak kwadratura koła i aeronautyka jest zadaniem, które kiedyś niezawodnie rozwiązaném zostanie.

— Byleby nie za mego i mych przyjaciół życia — odpowié z tęskném westchnieniem pan H.

— Ale na Boga! czemuż się lękasz tego *perpetuum mobile*, jakby powietrza, głodu, wojny, kommunizmu?

— Lękam się go stokroć więcéj jak kommunizmu, republiki czerwonéj, braku apetytu i wszystkich djabłów piekła. Doktorze, zlituj się! czyś jeszcze nie spostrzegł, że cała Anglia na parze się trzyma i z węgla żyje? Nasze kopalnie węgla tysiąc razy więcéj warte od kopalń złota Mexyku, bo one są kopalnią chleba i życia. Wszystkie machiny parowe w trzech królestwach węglem kamiennym Anglii się ogrzewają, a wszystkie razem reprezentują siłę przeszło czterech milionów koni. Węgla kamiennego angielskiego wywozimy za granicę rok rocznie za przeszło 10 milionów funtów szterlingów, bo żaden węgiel kamienny Europy nie może rywalizować z naszym: tak jest palny i pełen substancyi; a węgiel ten żywi machiny stojące, bieżące i płynące. Rozwożeniem tego węgla, handlem jego i wydobywaniem żywi się przeszło milion osób, a ceną sprzedanego żyje kilka milionów ludzi:—tyle z niego zysku dla kraju wypływa. Teraz przypuścić wynalezienie obrotu wiecznego, teraz przypuścić możliwość ruchu bez pary, cieplika, a zwaliłeś z nóg całą Anglią: dziesięć milionów ludzi zostanie bez chleba, i nastaje rewolucya, jakiéj świat nie był jeszcze świadkiem! Oh! wierzaj mi doktorze, okropna to myśl dla Anglika wynalazek owego *perpetuum mobile*; myśl ta cięży nam na piersiach jak Alp jaki, ale nie radzi o tém mówimy, bo nas to okropnie zasmuca. I ja cię proszę, nie rozwijaj téj myśli przed naszemi gośćmi, bobyś im wszystkim apetyt popsuł; obiadek zaś będziemy mieli, przysięgam na honor, godny Lukullusa i księcia regenta: ostrygi, trufle, indyki, morskie ryby, niedźwiedzie, głuszce, *klaret*, *sherry* i jamaikę. Na Boga! tylko nic o tém szkaradném *perpetuum mobile*, które nam zwali z nóg Anglią, tak jak kula drewniana zwala *alle neyne*.

Tak rozumował pan Hethrington i zdaje mi się, że nieźle rozumował: Anglia stoi na swym węglu kamiennym geograficznie i socyalnie:—późniejsze wypadki mogą to okazać.

Po przekąsce dosyć żwawéj, korzystając z południowych godzin, pojechaliśmy zwiedzić z gospodarzem i jego żoną w sąsiedztwie leżący pałac biskupów Rochester. Wystawić go kazał z wielkim przepychem Henryk VIII, kiedy jeszcze był katolikiem, dla jednego z najzagorzalszych nieprzyjaciół reformacyi. Później odarto pałac z godeł katolickich, a pod panowaniem Maryi przezwanéj *bloody Mary* przywrócono je; pod

Jakóbem Ilgim zdjęto te godła jeszcze raz, poniszczono posągi i obrazy przedstawiające świętych i spalono bibliotekę. W architekturze nic szczególnego, ale porządek i wygody w środku, nic pozostawiają nic do życzenia: osobne są pokoje dla biskupa, osobne dla biskupowéj, inne jeszcze dla ich dzieci. Wszystko urządzone jak najlepiéj: nie zapomniano ani o gotowalni, ani o łazienkach.

Obiad tedy, obiad angielski z truflami, rakiem i niedźwiedziem, z sosikami indyjskiemi i toastami, z wykrochmalonemi gentelmanami i uczuciowemi ladyskami! Rozmowa toczy się naprzód widelcem, potém nieśmiało wargami i oczkami, nareszcie śmiało całą gębą. Ale nikt nie piśnie o węglu i o *perpetuum mobile*. Damy po obiedzie ulatniają się, *to pluck a rose*, aby zerwać różę, jak się wysławiają Angielki. Obrus się zdejmuje, pluton butelek maszeruje na stół, jawią się orzechy, migdały, figi i daktyle. Zaczyna się: *Old England's merry life*; każdy siada na dwóch stołkach, jak gdyby miał milę objętości. Kto dobrze i jędrnie mówi, ten ma głos; inni żują orzechy i wytrzeszczają oczy. Ja Torry, ty Whig, tamten Radical, ja nie chcę Cornlaws, ty chcesz Repealu. Tam znów pietysta: *Puzey for ever, Wesley be damned. You are a free trader*; pan na chartystę zakrawa *Sir!* Niech żyje królowa: *God save the Queen. Merry England for ever!* Ostatnia scena kończy się pod stołem. John! podaj poduszki. *Good night!*

Na drugi dzień rano otrzymuję bilecik następujący:

„Pan nas opuszcza, ale my nie opuszczamy pana. Dziś w Londynie grają Purytanów w włoskiéj operze. Grisi! Persiani! Rubini! Lablache! Tamburini! Mario! ach! jakie melodyjne, jakie dźwięczne nazwiska. Mamy zakupioną lożę. Nieprawdaż, pan nam będziesz towarzyszył? Oh! *be kinde nough*. Dobry Francis tak pana kocha. Jedziemy razem. Tylko żadnego *perpetuum mobile*. *Truly yours*." (Podpisano) *Heliodora*.

Ja odpowiedziałem zpod stołu:

If the sound of your devine name,
Did charme your ear, as it doe's mine,
You would no other's sound reclame,
To make obedient him, who is thine.
Oh! do not fear the dreadful word,
Of perpetuum mobile!
Do rather shreak the pleasing sport,
Of perpetuum stabile!

Te wiersze, podobno piérwsze jakie wymyśliłem w języku angielskim, napisałem uniesiony natchnieniem, i że tak powiem duszkiem. Nie wychodząc zpod mego namiotu, i po odejściu służącego widząc, że *Justice of peace*, tojest sędzia pokoju leży jak zabity pod kanapą, że major lekkich dragonów chrapi w najlepsze na fortepianie, że Sir James Bedford głowę swą dostojną, ma złożoną ciągle na dostojniejszym jeszcze brzuchu *Rewerend-Sira* Nightingal, wikarego parafii; pozwoliłem sobie pozostać w tém samém położeniu, i bawić się sennemi myślami bujającemi jak widemka w wzruszonéj listem Corynny wyobraźni. Długo to zatrudnienie nie trwało, bo trzeba było koniecznie ocknąć się i zjeść śniadanie, zastawione nad mym namiotem. Żadnéj nie przyjmowano wymówki, nie sposób było uchylić się od téj nowéj missyi.

— Wody! wody! — krzyczeli widząc co się święci sędzia, major, baronet i wikary;—wody! krzyczałem i ja, zbudzony z marzeń błogich. Czterech służących wypada z wiadrami i płynny kryształ leją na angielskie głowy.

Tak się bawią Anglicy. Gdy pracują, całkiem są oddani pracy: wszystkie siły wyprężone, wszystka uwaga zwrócona na przedmiot, na cel zatrudnienia; ale gdy się bawią, wówczas ustają wszelkie myśli do zatrudnień zwykłych życia należące, wówczas zapominają, że będzie jutro lub pojutrze, i w téj rozkoszy nowe zdobywają pomysły, nowe zasoby na życie; a gdy spią, spią lepiéj jak ich umarli królowie pod sklepieniem Westminsteru.

Jesteśmy w Londynie i siedzimy w loży najpiérwszego rzędu, w któréj (nawiasem powiedziawszy) każde miejsce kosztuje 2 funty szterlingów. Cztéry tysiące publiczności, wszyscy mężczyzni w czarnych frakach, w białych chustkach na szyi, nawet na galeryi i paradyzie. Królowa ze swym mężem i orszakiem siedzi w królewskiéj, pysznie ozdobionéj loży. Żadnego nigdzie munduru. Sykać i w ręce klaskać nie zakazywano. Policyi nie było widać, ale poszanowanie jakie wzbudzała przytomność ukochanéj monarchini, utrzymywało całą publiczność w granicach najprzykładniejszéj przystojności.

O samém przedstawieniu Purytanów nic nie powiem. Świetne to były czasy dla opery włoskiéj, a szczęsne dla wielbicieli muzyki, kiedy Rubini *najpiérwszy tenor świata* walczył o piérwszeństwo z miłym, świeżym śpiewem Julii Grisi. Potężny organ Tamburiniego i Lablasza towarzyszył téj cudownéj harmonii,

a młody, wykwitający talent Maria, obiecywał na przyszłość tyle rozkoszy.

Ale od tego czasu jakiś wicher nieprzyjazny padł na operę włoską Paryża i Londynu. Rubini zszedł ze sceny, Lablache i Tamburini zestarzeli się, Julia Grisi w częstych obowiązkach macierzyńskich świeżość głosu straciła, a Mario zawiódł nadzieje swych wielbicieli.

— Doktorze! jak ci się podoba nasze miasteczko? —spyta mnie pan Hethrington—ludności niewiele, zaledwie trzy tysiące kilkaset, ale ubóstwa prawie nie masz: milionowych panów przeszło 20, fabryki, rolnictwo, piękne położenie, dobrzy ludzie. Wygodne to miejsce dla lekarza, nieprawdaż? Bo i okoliczne wioski zatrudnienie dają.

— Widać, że to dobre miejsce dla lekarza, kiedy ich aż pięciu jest u was—odpowiedziałem.

— Ale jest miejsce na szóstego, i szósty może zakasować pięciu innych, bylebyś ty nim zechciał być. Zyskałeś sobie pan wójta, komendanta, księży, sędziego, mnie i kilku fabrykantów najznaczniejszych. Osiądź pomiędzy nami, będziesz miał szalone wzięcie; ja z moją familią i fabryką abonuję się na 100 funtów szterlingów rocznie, sir T. Bedford na tyleż dla siebie i swych włościan, sędzia pokoju na 20, inni fabrykanci pójdą za naszym przykładem. Zakupimy ci aptekę i pozostaniesz między nami aż do lepszych czasów.

— Doktor medycyny, mój dobry przyjacielu — odrzekłem panu H. — obowiązków aptekarza sprawiać nie może zarazem: uchybiłby swemu tytułowi i swemu ważnemu posłannictwu. To dobre dla waszych druggistów, niewierzących w naukę lekarską, tylko w sztukę zarobkowania.

— A to jednak konieczne, mój szanowny doktorze; gdybyś brał lekarstwa u druggistów, którzy zarazem są lekarzami, toby ci wytruli połowę pacyentów umyślnie, aby cię zgubić w opinii. Aptek, właściwie tak nazwanych, u nas nie ma; nie utrzymałaby się żadna. Będziesz sobie trzymał prowizora, i wszystko pójdzie jak po *oleum ricini*—rzecze znów pan Hethrington.

— Może, może że się później na to zgodzę; teraz jeszcze wytrwam w mém położeniu, w którém się daleko więcéj uczę, w którém daleko więcéj daję, niż cierpię i zarabiam. Nie śmiem opuścić mych kolegów tak biednych, zostawionych bez pomocy. Późniéj, może mnie owionie srogi wiatr egoizmu, może i ja legnę

pod ciężarem nędzy, wówczas zacznę pamiętać o sobie; teraz jeszcze wytrwam w mych uczuciach.

Tak rzekłem do pana H., a on spojrzawszy mi w oczy, zamyślił się, ręce mi ścisnął i nie nalegał więcéj.

— Za dni 17 urodziny mego męża; uwolnij się pan na dni kilka, będziemy mieli towarzystwo literackie— rzekła mistris Hethrington półgłosem, żegnając się ze mną.

Ja znów po krótkim przestanku wracam do prac mych literackich, tyle uroku dla mnie mających. Uczęszczam przytém do szpitalów, sprawuję me obowiązki w *foreign dispensary*, którego dyrektor biorąc 300 funt. szterl. rocznie, a zaledwie raz na tydzień w zakładzie się jawiący, wyznaczył mi przecież 6 funt. szt. miesięcznie na dorożki. Nękały mnie w krótkich dniach zimowych wizyty oddawane chorym cudzoziemcom, po najodleglejszych zaułkach Londynu rozsianym; ale wytrwać musiałem, bo pomiędzy cierpiącemi znajdowali się ludzie, których teraźniejszość nie uszanowała, a historya nie zapomni.

Ojciec Emilii pan W. wrócił nieco wprzód niż zamierzał do Londynu. Był u mnie, cały wieczór przesiedział ze mną, u mego skromnego *fire-side*.

— Moja biedna córka często, bardzo często o panu mówi. Ona pana nazywa swym narzeczonym w duchu, z naiwnością temu aniołowi tylko właściwą. Niech pana to skoligacenie z umierającą istotą nie przestrasza; krótkie jéj chwile, a długie przed tobą życie mój przyjacielu. Zakroiłeś sobie twemi daleko sięgającemi dążnościami mozolny, ale wielki zawód, i zdaje mi się, że go przebieżesz, bo jest coś nadzwyczajnego w twym całym ustroju, *coś*, co idei śmierci nie dopuszcza — rzecze patrząc w ognisko kominka pan W.—Możesz być u nas jutro, lub przynajmniéj pojutrze? Moję biedną Emilią znajdziesz bardzo zmienioną. Cera jéj niegdyś blada, potém tak kwitnąca, przybiera barwę jakąś woskową. Rysy niegdyś tak świetnie piękne, zaostrzają się, wyciągają; usta te pełne życia, koralowe, więdnieją na zębach. Boże! Boże! jaka okrutna zmiana! i ja tego wszystkiego muszę być świadkiem!

Biedny ojciec! twarz zasłonił rękami, konwulsya serca wstrząsnęła całém jego ciałem tak muszkularném, tak silném. Łzy przeciskały się pomiędzy palcami. Piérwszyto raz w życiu, i raz jedyny widziałem Anglika płaczącego, i płacz ten odbił się w méj duszy okropnym, przeszywającym bólem.

Cóż miałem robić w téj chwili? Pocieszać ojca, tracącego piąte i ostatnie dziecko, jakiemiś cytacyami religijnemi? Boże drogi! on już oddawna sposobił się na czekającą go, niechybną boleść, i wszystko przeczytał, co tylko ludzie gdziekolwiek i w jakimkolwiek języku napisali o śmierci i wieczności.

— Ciało musi wrócić do ziemi, zkąd wyszło nieskończenie drobnemi cząstkami, a dusza wróci w ręce Boga, zkąd wyszła całkiem, i odrazu żyć będzie wiecznie, bo Bóg dał ludziom pamięć: dobrym na rozkosz, a złym na umartwienie— rzekłem machinalnie, ale słowa te były tylko niewyraźném echem tego, co wówczas duch mój jasno poczuł.

Odwiedziłem pustelników w Chelsey. Dobrze zrobił pan W. że mnie na zmianę zaszłą w Emilii przygotował, że jéj oszczędził widoku wrażenia, jakieby niechybnie była na mnie sprawiła. Śmierć, nieubłagana śmierć już roztoczyła skrzydła nad tą głową anielską, już niemi przejęła blask życia.

Powitała mnie z serdecznością Emilia. Wiedziała, że mam przyjść i sama mówiła, że chwile liczy w tém oczekiwaniu. Życie musi jednak wielki miéć urok dla człowieka i świętą jakąś wartość, kiedy w pewności zbliżającéj się śmierci nie niknie, nie więdnieje przyjaźń dla żyjących.

Jeden pokój domku pana W. przeistoczono na kwiaciarnią. Wpośród lubych, woniejących córek Flory i kanarków bujających od krzewu do krzewu, ustawiono kanapkę, na któréj pracowała, czytała i spoczywała dzień cały Emilia. Wieczorem jednakże i nocą wątła lilia indyjska nie mogła znieść towarzystwa swych rówieniczek europejskich, bo kwiaty dniem wyziewają życie, a śmierć nocną porą. To tylko ten uczuje, w kim mało pozostaje sił żywotnych.

Musiałem opowiedziéć dzieje méj podróży po Szkocyi. Z natężoną uwagą słuchała Emilia. Tak się zajmowała tém opowiadaniem, tak szczegółowo mnie wypytywała, żem nieraz oczarowany wzbudzoną uwagą, uniesiony zapałem, zapomniał w jaką podróż wybiera się biédna Emilia, i że z téj podróży już nigdy do nas nie wróci.

— Claryssa Campbell tak piękna i dobra, tak odważnego serca i pełnego życia—rzeknie z westchnieniem gdym skończył, Emilia.—Ah! Boże! ona musi być szczęśliwą, i jak rzewnie powinna dziękować Ci Boże za tak wielkie jéj udzielone łaski!

Powiédz *my dear friend*, czy umié miss Claryssa cenić swoje szczęście?

— Mnie się istotnie zdaje, że go nie umié cenić—odrzekłem, żałując szczerze, że życie wychwalałem w obliczu niezawodnéj śmierci, bo nieraz napadają tę młodą, pełną życia osobę chwile jakiéjś smętności, jakiéjś melancholicznéj tkliwości. Widać, że niezawsze czuje się szczęśliwą, albo téż właśnie w tych chwilach życie to wywierające się zazwyczaj z takiém ciepłem na zewnątrz, skupia się czasem w sercu młodéj osoby, i ukazuje jéj wewnętrzne duchowe zasoby, przez nią zaniedbane.

— Ah! nie, doktorze—rzecze z żywością Emilia—nie obwiniaj twéj przyjaciołki, ona wskróś dobra. Nic nie zaniedbała w sobie wykształcić, i właśnie owe chwile malancholii są tego dowodem. Musisz wiedzieć przyjacielu, że miss Claryssę od maleńkiego dziecka zaręczono z lordem Glenelg jéj kuzynem. Znaliśmy go bardzo dobrze z Neapolu, gdzie był towarzyszem zabaw mego biednego brata Jerzego. Przyszły małżonek miss Claryssy to młodzieniec piękny, bogaty, dobry bardzo; ale mało ma polotu umysłowego, mało owéj natychmiastowości uczuć, które tak ceni młoda Campbell: *he is rather a matter of fact man.* Wié o tém dobrze gieniusz Hebryd. Wolałaby, żeby ów gołąb był orłem.

Tak się jeszcze szczerze i serdecznie zajmowała życiem znajomych owa dobra istota, którą niebo pożyczyło na czas tak krótki naszéj ziemi!

Nadszedł dzień urodzin pana Hethrington. Wyrywam się od zatrudnień, wyrywam się z odmętu myśli poważnych i smutnych, obcowaniem mém z domem pana W... wznieconych. Spieszę do Bromley oddać hołd przyjaźni.

Salon literacki! Z kobiét były tam: mistriss Wolcott-Radcliff, kojarząca w swém nazwisku sławę teścia J. Wolcotta, piszącego pod pseudonymem Piotra Pindara, i sławę swéj babki pani Radcliff, któréj w swoim czasie nadzwyczaj smakowane romanse na wszystkie języki zagraniczne zostały wytłumaczone. Sama także pisała owe tkliwe i ckliwe romansiki, wyszłe pod zasłoną nazwiska Julii Eurgreen, ale nie przechodzące nigdy za kanał Manszy.

Mistriss Throllope niezmordowana podróżniczka, już niemłoda; muza suchego temperamentu, bujnych myśli, nieustraszonéj odwagi i siekącéj impertynencyi. Właśnie czekała zimy, aby się nauczyć na zmarzłych stawach Hyde-Parku jeździć na łyżwach i potém płynąć do Norwegii dla zwiedzania cudów tego kraju,

Mocno pragnęła méj znajomości *indeed*; słyszała, żem zimę całą przepędził w uroczéj Skandynawii, że ją kocham entuzyastycznie. Ale się pokazało, że mniéj znam Norwegią niż pani Throllope, czekająca na zimę dla nauczenia się w Hyde-Parku objeżdżać łyżwami cuda Skandynawii i uroki Laponii. Daiibóg, ona lepiéj znała Norwegią niż ja; wszystkie o niéj książki przeczytała. Znała Norwegią jak filolog niemiecki Ateny, jak niejeden z nas zna Niemcy, w których podróżował dla Karlsbadu, Prysznitza lub rulety badeńskiéj.

Skromna, młoda miss Jane Burney, autorka pięknych powieści wyszłych p. t. *Evening lecture for my young sisters*, w milczeniu przysłuchiwała się dyssekującym rezonowaniom autorki podróży po Pyreneach i Kordyllierach. Na jéj miłéj twarzy malowały się pogoda i tkliwe czucie, które znamionują jéj utwory.

Jest i mistriss Lawrence, żona sławnego chirurga; uczona, która zbogaciła botanikę niejedném odkryciem. Właśnie zaręcza i zaklina się, że nie masz w naturze *agamów*, tojest bezpłciowych istot, że się dotąd mylili botanicy, dając ten upośledzający epitet biédnym grzybom i bedłkom, że ona sama, mistriss Lawrence, nie rozpacza i że spodziewa się przywrócić tym płodom natury zaprzeczony im zaszczyt.

— A gdzieżby pani nie wynalazła tych interesujących organów?—rzecze mistriss Throllope—w kamieniach nawet?

Zbladła mistriss Lawrence i rzekła półgłosem donośnym jak trąba jerychońska, a przeszywającym jak bagnet bayoński:

— Pani pisałaś podróże pod tytułem: *Pyrenee i za Pyreneami*, alebyś lepsze mogła napisać pod tytułem: *Krzaki i pod krzakami.*

Twarz pani Throllope stała się podobną do głowy głuszca, tak się karmazynem zalała. Widząc to major lekkich dragonów, wstaje z krzesła, dąży poważnym krokiem do mistriss Throllope i ofiaruje się z najzimniejszą krwią w świecie na sekundanta. Ale właśnie w téj chwili nowi goście przybywają; nagła przeszkoda kroki nieprzyjacielskie zawiesiła, gniéw stłumiła, ale u kobiéty nie zniknie on nigdy.

A mężczy literaci? Jest kapitan Alexander, co objechał kulę ziemską kilka razy naokoło, i przywiózł z sobą *tu w towarzystwie przytomnych*: małpę z Borneo, księcia kaffryjskiego z przylądka Dobréj-Nadziei, dwóch Budehudów z szpontami na półtora cala grubemi w wargach i patagońskiego olbrzyma, który

się w chwilach wolnych od zabaw salonowych pokazywać raczył na Smithfield (tojest na targowisku bydlęcém, na którém Anglicy czasem sprzedają swe żony), i to za skromną summę sześciu pensów. Kapitan Alexander istotnie nie jeździł na wieczory prowincyonalne literackie, gdzie był zawsze upragnionym, bez swéj menażeryi, i tysiąc ciekawych opowiadał szczegółów o swych, podróżach i dzikich towarzyszach wędrowcach. Wszystko co tylko uzdolnić może człowieka na podróżnika, wszystko to posiadał kapitan. Dzielny marynarz, uczony geograf, historyk i naturalista, rysownik, lekarz nawet i chirurg zręczny; przytém śmiały, wesoły, dowcipny: oto charakterystyka tego żeglarza, którego przygody zainteresowały świat cały.

Mało się udzielający reszcie towarzystwa, a w ciągłéj rozmowie z baronetem Bedford zatopiony, siedział jakiś jegomość z dumném, pogardliwém, źle dostojność, ale wcale dobrze wyemancypowaną pychę malującém obliczem. Do kogo należy ta fizyognomia, około któréj ust igra wyraźny orjentalny *gipses*, a igra pomimo i wbrew woli właściciela? My Polacy tak wprawne mamy oczy na wyśledzenie żywiołu hebrajskiego, jak wyżeł ma wprawny nos na wytropienie zwierzyny. Nawet w dziewiątém pokoleniu jedna kropla krwi starozakonnéj nam nie ujdzie, choćbyś ją nawet pasztetem sztrasburskim lub prezydentem zamaskował.

— *Who is that Jew?* (kto ten żyd?) — pytam tedy mego gospodarza.

— Na miłość Boga — odpowié pan H. oczywiście zakłopotany — wszakżeż to najdostojniejszy człowiek naszego towarzystwa, przynajmniéj tak utrzymuje pani Hethrington: to pan d'Israeli! Isaac d'Israeli! wielkiéj reputacyi autor!

— *Still a Jew* (jednak żyd); wszakżem to odgadł — rzekłem.

— Z czegóż pan odgadłeś?

— Z układu ust, z powiek wierzchnich cokolwiek ociężałych, z kręconego włosa, z wyemancypowanéj pychy, malującéj się w całym układzie, z podufałości chełpliwéj, z jaką stara się traktować osoby wyżéj od siebie stojące.

— Ale bogaty, ale uczony, ale modny (fashionable) i dobrze widziany u torysów. Wielkie to szczęście zdobyć przyjęciem jego rekomendowanego do méj fabryki.

Sławny autor Panowania Karola Igo, Sprzeczek autorskich, Konigsby'a, mało się udzielał naszemu towarzystwu; nie w swym

był żywiole, nie pachnęli mu fabrykanci. On wolał obcować z książętami i zawierać przyjaźń z milordami.

Jako talent literacki wysoko stoi w Anglii pan d'Israeli; niżéj cokolwiek jako mowca parlamentowy, ale zawsze poważne, winne talentowi swemu, swéj uczoności zajmuje miejsce. Nieraz go zbytni zapał torysowski zawiedzie poza wszystkie granice względności dla ludu angielskiego; ale to zwyczaj neofitów przekraczać granice dawnéj wiary. Nieraz mu się zdarzy kręcić prawdą w te lub owe strony, boć tego przecież nawyknienia odrazu pozbyć się nie można; ale pomimo tego kredyt jego wzrasta. Z przyjściem czystych torysów do steru rządu, pan d'Israeli niezawodnie zdobędzie tekę ministeryalną.

Pan Warren, autor *Now and than*, także obecny, należy do małéj liczby wszechstronnie uczonych, z utworami stałego lądu obznajmionych pisarzy. Miły to był, dostojnie wyglądający, już niemłody autor.

Było jeszcze kilku innych mniéj znanych literatów w salonie pani H.; np. William Bell współredaktor Prawdziwego Słońca (True Sun), jakiś doktor rodem Włoch, którego sobie nie przypominam nazwiska, a główny redaktor czasem dowcipnego, ale zawsze ordynarnego *Szelągowego satyrysty* (*Penny Satirist*).

Kilku literatów ze zbytniéj bojaźni, żeby nie powiedzieli głupstwa, nic nie mówili; kilku innych w nadziei, że im się nawinie przypadkiem coś mądrego, o wszystkiém mówili. Tak bywa i u nas w każdym salonie literackim.

Kilku literatów miało minę ludzi bardzo zgłodniałych: tak najczęściéj bywa i u nas w inne dni, wyjąwszy w niedzielę i poniedziałki.

— Mistriss Hethrington, *pray Madame*, kto jest ten młody gentleman tak przystojny, rozmawiający tyle z panną Jane Burney — pytam się gospodyni.

— To Charles Dickens, ten sam, który podobno pisze owe *Sketches of London* (londyńskie szkice) w Morning Chronicle. Zabawneto artykuły, ale nie wiemy z pewnością, czy z jego pióra wypływają. Ma mieć wiele dowcipu; nie znam go bliżéj. To literat dopiéro poczynający; takich się trzyma jeszcze zdaleka. Przedstawił mi go poczciwy Warren, ja go zaprosiłam, aby go ośmielić. Widzi pan, takich ludzi to się ośmiela na chybił trafił. Ale coś panu wpadł w oko?

— Istotnie, jego twarz tak otwarta, roztropna, rysy tak poprawne: piękny to typ angielskiéj szlachetnéj twarzy. To on pisze

owe Szkice londyńskie? Nadzwyczaj w nich wiele dowcipu, doprawdy!

— Tak, tak, te szkice londyńskie istotnie niezłe. Szkoda tylko tyle talentu zmarnowanego na opis gminnego, potocznego życia. Ale to wcale jeszcze rzecz niepewna, czy Dickens jest ich autorem; on się wypiera tych utworów: to skromność z zarozumiałością graniczącą, albo też jakieś dziwactwo charakteru. Jedno z dwojga, przyznasz pan. Mister Charles Dickens, (*soit dit entre nous*, ale to pod sekretem, nie chciałabym, żeby się to rozniosło, że takich ludzi do mego domu wpuszczam); mister Charles Dickens, mówię, nigdy nie był ani w uniwersytecie, ani w klassycznych szkołach. Proszę pana: co może wydać talent człowieka nieumiejącego ocenić pierwotworów starożytnych?

— Oh pani! może wydać wiele, wiele. Talent ogrzany iskrą gieniuszu, może wydać coś z kształtu i ducha nowego, piękniejszego jeszcze od pierwotworów starożytnych. A wasz Shakespeare, moja pani? Ale pan Dickens musi znać grecką literaturę, kiedy oto cytuje Sophoklesa, a właśnie cytuje pannie Jane Burney. Racz mnie pani przedstawić panu Dickens.

— Panie Hethrington! panie Hethrington! Francis! zawołała dumna Corinna Bromleyn, wyświadcz panu Dickens zaszczyt przedstawienia go doktorowi T...

Takie było moje zapoznanie się z piérwszym z dziś żyjących humorystycznych autorów Anglii. Ojczyzna jego, któréj dziś jest chlubą, nie znała go jeszcze przed niewielą laty; ale oko sympatyczne człowieka chylącego się jedynie przed talentem, odgadło w bystrym wzroku, w otwartém czole Dickensa wyraźne piętno gieniuszu.

I nie zawiodło mnie to oko. Dickens należy bez żadnego wątpienia do rzędu ludzi udarowanych zastanowiającemi, a napozór sprzecznemi darami. Śmiały jak lew, gdzie szło o walkę, a téj doświadczył niemało w swém awanturniczém życiu; skromnym był jak panienka wychowana w klasztorze, gdy szło o wiarę w swój własny talent. I dlatego te anonymy w Morning Chronicle, ten pseudonym *Boz*, pod którym krył młody, a już popularny autor swe nazwisko. Pięć lat pisał i bawił publiczność artykułami w gazetach; Pickwick-Club taką wziętość zyskał, że go tysiącami dziennie sprzedawano, na ulicach śpiewano, w teatrach grano, a jeszcze autor takich utworów chciał pozostać za kulisami, pasował się nieraz z biedą i niedowierzał swemu talentowi wtenczas, kiedy roje innych tysiączną część téj

popularności doświadczywszy, umieli piąć się po niéj do zaszczytów i bogactw. Poznałem Dickensa właśnie w chwili, gdy największego używał poklasku pod pseudonimem *Boz*, a jeszcze nie był zdecydowanym, czy nareszcie wystąpić na jaw, czy zedrzéć maskującą go kurtynę. Kochał, ubóstwiał szlachetnie urodzoną bogatą pannę, która późniéj została jego żoną a jéj nawet nie powiedział, że chwalony wszędzie *Boz* jest jéj ubóstwiaczem, Karolem Dickens. Tak mało znamy szczegółów biograficznych znamienitszych autorów Albionu w naszym kraju, do którego na nieszczęście tylko francuzkie ramoty z zagranicy dochodzą, że warto bliżéj obeznać się z osobistością Dickens'a, godnego ze wszech miar większego szacunku, jak autorowie owych utworów, któremi młodzież nasza ducha swego bałamuci i sił swych wiedzę zatraca.

Dickens urodził się w r. 1814 w Portsmouth. Ojciec jego ubogi urzędnik marynarki królewskiéj, nie mógł dać wychowania odpowiedniego wcześnie objawiającym się zdolnościom syna. Rząd angielski dopiéro od lat niewielu, i to bardzo słabemi zasiłkami ułatwia pobieranie nauk. Szkół bezpłatnych prócz niedzielnych nie ma jeszcze, a te są pod wszelkiemi względami niedzielne. Jednak nauczył się młody Dickens czytać, pisać, rachować i katechizmu, i już wcześnie zasmakował w literaturze, a szczególniéj w utworach naówczas nadzwyczajnie poszukiwanych Teodora Hook. Pisma Hook'a wywarły na wykwitający rozum Dickensa wpływ stanowczy. Jemuto, a nie innemu Anglia zawdzięcza tę nową ozdobę literatury swojéj. Mając lat zaledwie 13, młody Dickens wysłanym został do Londynu i otrzymał po długich staraniach miejsce kopiisty u sędziego spraw policyjnych. Tu w widoku ludzi najrozmaitszych klass towarzystwa, w widoku najtajniejszych sprężyn życia publicznego, Dickens czerpał koloryt do swych szkiców. Wiedziony jakimś niezwalczonym instynktem, młody kopiista przypatrywał się ludziom, ich obyczajom i ruchom; tak jak naturalista przypatruje się zwierzętom, astronom gwiazdom, a kupiec towarowi. W chwilach wolnych od zatrudnień, kopiista sądowy spisywał swe spostrzeżenia, i z nieporównaną prawdziwością, z bystrością wszelkie pojęcie przechodzącą, umiał oddać najsubtelniejsze charaktery, znamionujące różne klassy ludu, różne temperamenta i wszystkie osobliwości wynikające z rodzaju zatrudnienia. W owém wszechstronném, różnobarwném życiu angielskiém, tylko człowiek wielką obdarzony przenikliwością, mógł znaléźć wątek prawdy; ale co

więcéj jeszcze zastanawia w Dickensie, to owa naiwność, siebie sama nieznająca, z jaką wystawia rzeczy, na które inni tysiąc razy patrzyli, a które przez nikogo w swéj wartości nie były poznane. Szkice te ulotne, odczytywane kolegom biurowym, zajmowały ich bardzo. Ich oklaski ośmielały młodego człowieka do prac podobnych. Kilka lat w ten sposób strawił Dickens; potém ojciec mu umarł i zostawił synowi całego majątku 50 fu.nt sz. puścizny. Dickens pojął nareszcie właściwe powołanie, ale i w niedostateczności swego wychowania, uznał swą niezdolność władania sumiennie myślami i uczuciami ludu, dla którego chciał pisać. Oddał się tedy, nie mając prawie żadnych początków, nauce klassyków. Codziennie uczęszczał do biblioteki *muzeum brytańskiego*, zwalczył wszystkie niezmierne trudności bez professora i poradcy, i we dwa lata dokazał tego, co tysiące innych przy najwięcéj sprzyjających okolicznościach, przy pomocy szkół i kursów, nigdy dokazać nie mogą: posiadł język łaciński i grecki, przeczytał wszystkich klassyków, obznajmił się ze wszystkiemi naukami, mianowicie z historyą i jéj filozofią. Takiém wysileniem zadał kłamstwo licznym nieukom zasłaniającym się brakiem zakładów publicznych, zpod zarzutu najhaniebniejszego niedbalstwa. Teraz dopiéro mając lat 21 i wydawszy ostatni grosz swego majątku na swe wykształcenie, biédą dokuczającą nękany, starał się Dickens o płatną pracę i otrzymał miejsce reportera w Zwierciadle parlamentarskiém (*Parlamentary Mirror*), późniéj zaś został współredaktorem dziennika *Morning Chronicle*, i tam pracując przez lat pięć, wystąpił po raz piérwszy pod zasłoną bezimienności ze swemi Szkicami, malującemi w jaskrawych kolorach, z dowcipem nigdy niezrównanym, życie wszystkich, a mianowicie niższych klass stolicy. Poznano się wreszcie na wartości tego pisarza, choć go jeszcze z prawdziwego nazwiska nigdzie nie znano, bo Dickens jeszcze w dwudziestym szóstym roku życia swego, świadek niezmiernéj popularności jakiéj dostąpiły jego utwory, a znając niebezpieczeństwo zawodu literackiego i skutki jego przykrych zawodów z dziejów życia swego świetnego przewódzcy Teodora Hook, nie śmiał się jeszcze puścić na skrzydłach własnego nazwiska w tak dla niego ponętne, a dla innych zdradliwe obszary autorstwa. Wielbić należy tę jego skromność, mianowicie, gdy zważymy, jak płocho w innych krajach ludzie bez żadnéj [sankcyi naukowéj, niepędzeni żadném istotném powołaniem, nieośmielani żadnym poklaskiem, puszczają się dręczeni li tylko biédą lub

chciwością zysku w tak święty zawód literacki. „Do pewnego stopnia stać się można głośnym, zalewając papiér najnędzniejszemi utworami myśli; do pewnego nawet stopnia przy pomocy przyjaciół, względami osobistemi ujętych, można stać się popularnym w jakiém szczupłém kółku; ale to niedosyć dla człowieka serca, poświęcającego się trudnemu zawodowi przewódzcy umysłowego: on pragnąć powinien swym mozołem, swą ciężką pracą zdobyć sobie pewne grono szczerych wielbicieli, władać opinią publiczną jakiéjś cząstki narodu, oprzéć swój byt na istotnéj potrzebie publicznéj;" mówił Karol Dickens i siedm lat najświetniejszego powodzenia przeczekał, nim światu i swym najbliższym przyjaciołom wyjawił, że on jest autorem sławnych *Szkiców londyńskich* i rozrywanych wszędzie dziejów *Klubu Pickwiku*. On na tém skończył, od czego inni zaczynają: staraniem się o godność swego nazwiska; ale téż, gdy raz na scenę publiczną wystąpił zbrojny w swe imię i w sławę dawniéj zyskaną:—wówczas podobny do Minerwy zrodzonéj z głowy Jowisza, doświadczył u wszystkich klass narodu angielskiego entuzyastycznego spółczucia, i nie potrzebował się lękać o przyszłość swego zawodu. Pole, na którém się potykał gieniusz Dickensa, oddawna istniało, ale niém literaci piszący li tylko dla pieniędzy, pogardzili. „Gdzież w narodzie, w którym tylko bogaci książki kupują, pożądaną być może książka, wystawiająca typy najuboższéj klassy ludu?"—mówił tuzinkowy literat, a Dickens wiedziony już w młodzieńczym wieku instynktem swego gieniuszu, badał w biédnym surowym ludzie charakterystykę wrodzonych i nabytych uczuć człowieka, swemi utworami wykazał, ile rodzaj zatrudnienia może wpłynąć na uszlachetnienie lub poniżenie swego bliźniego, jednym pociągiem pióra umiał wystawić to, co inni wielkiemi tomami wydać nie są w stanie; i pomiędzy swemi wielkiemi zasługami liczy i tę największą, że najwyższe klassy dumnego narodu angielskiego przeświadczył o istności nieprzebranego źródła poezyi w najniższych warstwach społeczeństwa.

W stanie umysłowym i materyalnym, poprzedzającym jutrzenkę jego sławy, poznałem Karola Dickens, na wieczorze literackim pani Hethrington, i od téj chwili, nie przeczuwając nawet jego późniejszéj sławy, umiałem ocenić spotkania tego wartość.

(Dalszy ciąg nastąpi).

UWAGI

NAD WYKŁADEM P. MACIEJOWSKIEGO O POCHODZENIU LECHÓW.

Pan Szafarzyk zostawił przyszłym badaczom dochodzenie, czy między narodem nazwanym litewskim a staro-niemieckiemi nazwaniami *Litus*, *Letus*, nie zachodzi jakie powinowactwo. P. Maciejowski w dziele swojém: Pierwotne dzieje Polski i Litwy, usiłuje dowieść, iż nietylko pod temi nazwiskami ukrywają się Litwini, ale nadto, iż pod nazwiskiem *Lazzi*, którzy od niepamiętnych czasów z Niemcami i tak zwanemi Litami mieszkać mieli, ukrywają się Lachowie. To ostatnie założenie jest przedmiotem naszych uwag.

„Saksonowie, słowa są jego (1), w końcu drugiego snadź wieku przybywszy tu z za morza, połączyli się z załabańskiemi Polanami; wyższy stan ich obywateli Lachami zwanych do współnictwa rządu przyjęli, i jednę z Słowianami i tak późniéj nazwanemi Litwinami, składali rzeszę.” Jakoż, starożytne kroniki (2) przekonały go, iż ludzie, którzy od niepamiętnych czasów razem z Niemcami nad Łabą mieszkali, Lazzi zwani, stanowili stan wyższego obywatelstwa u Słowian tamecznych.

To, co pan Maciejowski w innych miejscach w tym przedmiocie utrzymuje, zdawałoby się przeciw głównemu założeniu walczyć.

„U Saksonów, mówi, dwa piérwsze stany składali zwycięzcy, a trzeci zwyciężeni, tojest *Lati*, *Lazzi*, których dlatego, że najpośledniejsze prawo obywatelstwa mieli, podwładnym ludem nazywano (3).”

(1) Str. 12. (2) W VIII, IX i następnych wiekach. (3) Str. 97.

Tak zatém Saksonowie zamiast połączyć się z załabańskiemi Polanami, zwyciężyli ich, a podwładnym uczyniwszy ludem, poddali pod swój rząd, nie zaś do wspólnictwa onego przypuścili. I ten stosunek Lazzów do zdobywczych Saksonów sam p. Maciejowski przyznaje.

„Prawo Saksonów, mówi, spisane w końcu XII wieku wyraźnie powiada: że pod wyrazem *Lüde*, rozumieją się ludzie we własności będący (niewolnicy), a Lazzi (Lati), że znaczą lud w poddaństwo obrócony, a zawojowany przez tych Saksonów, którzy, służąc niegdyś w wojsku Alexandra Wielkiego, przybyli do Turyngii, i lud ów tu mieszkający, ujarzmili“ (1).

Nowy dowód, iż się z ludem u którego byli *Liti*, *Lazzi*, nie połączyli, ani go do spólnictwa rządu przypuścili, lecz że go zwycięztwem w poddaństwo i niewolą obrócili.

Co p. Maciejowski w inném miejscu powiada, zdawałoby się potwierdzać ten wniosek.

„Polepszyła się z czasem dola Litów i Lazzów, przypuścili ich bowiem do obywatelstwa Saksonowie“ (2); zkądby wypadało, iż tego za przybyciem swojém do Germanii nie uczynili. Inaczéj się jednak rzecz miała, gdyż p. Maciejowski wyraźnie mówi:

„Zaraz za przybyciem, podzielili obywatelstwo na trzy klassy: t. j. Edelingi, Frylingi i Lazzi (Lachy).“

Sprzeczności te stawiliśmy obok siebie, dla wyprowadzenia z nich zupełnego dowodu, iż, według wykładu p Maciejowskiego, odróżnić należy *Lazzi* do wspólnictwa rządu przyjętych, którym razem z p. Szafarzykiem przeddziejowy początek naznaczać zdaje się, od tych późniejszych, których Saksonowie od praw obywatelskich usunęli, i takowe dopiéro późniéj znowu im udzielili.

Naucza bowiem p. Maciejowski, iż „Saksonowie szanowali obywatelskie prawa *Lazzów*, aż do czasu, w którym się bez nich obejść nie mogli. Wtedyto pognębieni Lazzi i Liti znikają z rządu saskich stanów, tułają się po Niemczech, przypominają w nazwiskach miejsc i osób dawne swe, które teraz utracili, znaczenie. Dopiéro późniéj, znowu występują nad Wisłą Lazzi, nazywają się *Lasi* czyli *Lachowie*, tworzą stan rycerski niemieckim obyczajem, czyli stanowią rodzaj szlachty, Polanom nieznanéj przedtém i t. d. (3).“

(1) Str. 69. (2) Str. 69. (3) Str. 39.

A w inném miejscu: „Długo *przedtém* doznawali piérwsi (Liti) upośledzenia od tych, którzy pod panowaniem Rzymian jednę z nimi dzielili dolę, długo potém doznawali ją drudzy Lazzi (1)."

Możnaby mniemać, iż p. Maciejowski, czując potrzebę objaśnienia téj sprzeczności, znaczną część roczników i kronik polskich i litewskich temu celowi poświęcił, i że to stało się powodem, iż Lachów na czynnych i biernych podzielił. Do tego podziału zapewne ściąga się następujące objaśnienie: „Ci Lesi, którzy własność posiadali, i należeli do publicznych obrad, mieli poszanowanie stanowemi będąc ludźmi; ci zaś, których zwyciężywszy Niemcy, obrócili w poddaństwo, lub których osadzili na udziałach, pod warunkiem czynienia służby wojskowéj, będąc prostemi tylko ludźmi, równać się z owemi nie mogli."

Tak rzecz wyjaśniwszy, powtarzamy twierdzenie p. Maciejowskiego: iż Saksonowie zastali już Lachów nad Łabą, a połączywszy się z załabańskiemi Polanami, tychże, jako wyższy stan obywatelstwa, do wspólnictwa rządu przyjęli. Zobaczymy teraz, jakim sposobem to przypuszczenie do wspólnictwa rządu nastąpiło.

„Sasów siły, mówi p. Maciejowski, polegały na stanach, które zaraz za przybyciem w te strony, rodzinnym swym niemiecko-lennym urządzili sposobem, podzieliwszy obywatelstwo na trzy klassy: na szlachtę czyli majątek ziemski posiadających, Sasów (Edelingi); na wolnego stanu ludzi saskiego rodu, majątku niemających, czyli na obywateli nieszlachtę (frylingi); na obywateli ziemskich (*jak mniemam*?) majątek posiadających, a z rodu saskiego niepochodzących (lazzi) (2).

Według naszego zdania, nie mogli Saksonowie zaraz za przybyciem swojém podzielić naród, rodzinnym swym niemiecko-lennym sposobem. Saksonowie w piérwszych wiekach zjawienia się swojego byli narodem nieokrzesanym, i jak nas p. Maciejowski naucza: „od Słowian polityczne przyjęli urządzenia i takowe do Brytanii (dokąd się wespół z nimi przesiedlili) zanieśli, od nich nazwiska przyjęli, przełożywszy je na swój język (3)." Zkądże naród, który pierwsze swoje ociosanie polityczne Słowianom był winien, wygrzebał nagle rodzinne niemiecko-lenne urządzenie? od którychże Niemców przybywszy z za morza przyjęli takowe? Dziś nie wątpią już nieuprzedzeni Niemcy, że dopiéro za zjawie-

(1) Str 69. (2) Str. 30. (3) Str. 29.

niem się Gotów, a szczególniéj Hunnów, zaczyna się właściwa historya narodów niemieckich. Jednakże przypuściwszy, mimo téj uwagi, twierdzenie p. Maciejowskiego, pozostanie rzeczą oczywistą: iż w niemiecko-lennych urządzeniach, nie mógł trzeci stan nosić nazwiska Lechów, tak jak piérwszy miał Edelingów, drugi Frylingów, bo tych nazwisk źródło znajduje się w niemieckim języku. Lazzi zaś ma znaczyć obywateli ziemskich z rodu saskiego niepochodzących, ale *Słowian*; gdyż, jak uczy p. Maciejowski, miano Lecha (1), „u różnych narodów używane, wsławiwszy się i historyczne uzyskawszy znaczenie u zachodnich Słowian, wystąpiło naprzód w Germanii, gdzie właściwy, i z pojęciem słowiańskiéj (bynajmniéj zaś niemieckiéj) narodowości zgodny miał wyraz tak w źródło-słowie, jako i w charakterze swoim." Jakoż nazwisko *Lech*, według p. Maciejowskiego i Szafarzyka, pochodzić ma od starosłowiańskiego *lecha*, skibę gruntu czyli rolą oznaczającego; gdyż, jak mówi p. Szafarzyk, na Baltyckiém Pomorzu mieszkający Słowianie, a odwiecznie trudniący się uprawą roli, mogli, w przedhistorycznych jeszcze czasach, obywateli majętnych t. j. własność ziemską posiadających, Lechami nazywać. W niemiecko-lennych urządzeniach zatém trzeci stan nie mógł nosić nazwiska Lechów. Skoro więc podzielili kraj według wymagań miejscowych, i wszystkich Słowian ziemską własność posiadających do trzeciego stanu policzywszy, z nazwania miejscowego, nazwali go stanem Lechów; jakże się po narodowemu trzeci stan nazywał?

Jeżeli Saksonowie polityczne urządzenia do Brytanii przenieśli, można ztamtąd stosownego w tym względzie zasięgnąć objaśnienia. U Anglo-Saksonów był podział stanów na Eorli, Ceorli i Devi. Wyrazy te mają źródło swoje w Sanskryckiém, a tém samém dowodzą, iż nazwy Edelingów, Frylingów i Lazzów są późniejsze. *Eor* (Ahor), zkąd fenicyjski i hebrajski *Or*, znaczy dzień lub światłość; więc Eorli oznaczali *światłych*, *jasnych*, lub *oświeconych*, a Ceorli mniéj jasnych. Devi pochodzi od sanskryckiego *Devas*, któryto wyraz, w ogólności, niebiańskie duchy oznaczał; późniéj szczególniéj do strąconych duchów był zastosowany, i dlatego u Persów *Diws* znaczyło złych, czarnych duchów. Słusznie téż p. Kraszewski tłumacząc staro-litewskie wyrazy *Devas*, *Divas*, mówi (2): „Wedle znaczenia, jakie ten wy-

(1) Str. 94. Roczniki i Kroniki pol. i litew. (2) Litwa, str. 112.

raz ma w mitologii Persów, postrzegamy, że szczególnie dodawano go do nazwania bóstw złośliwych." Trzeci zatém stan oznaczał u Anglo-Saksonów *Czerń*, t. j. ludzi najpośledniejszych, czyli niewolników.

Był zatém u Saksonów albo inny stan najpośledniejszy, który odpowiadał Anglo-Saksońskiemu *Devi*, albo, co jest prawdopodobniejsze, właściwi Saksonowie jako zwycięzcy, dzielili się tylko na szlachtę i wolnych (1), inne stany zaś wynikały z położenia miejscowego ujarzmionego kraju. Jeżeli przeto Lazzi byli nad Łabą wyższym stanem obywatelstwa, jeżeli ich Saksonowie do wspólnictwa rządów przyjęli: przeto nie mogli należeć jak do stanu Edelingów lub Frylingów; trzeci zaś stan niewolnych, nie mógł być zastosowanym do nazwiska wyższe obywatelstwo i udział w rządzie oznaczającego.

Oto jest piérwsza wątpliwość, która nam do zdania p. Maciejowskiego o pochodzeniu Lechów bezwarunkowo przychylić się nie dozwala.

Ci z Lechów, którzy do publicznych obrad należeli, i byli stanowemi ludźmi, nie mieli potrzeby opuszczać swoich własności i tułać się po Niemczech. Czynili to owi pognębieni Lazzi, którzy utraty praw swoich znieść nie mogli; ci to mieli nad Wisłą wystąpić pod nazwiskiem Lechów. Że zaś Lazzi przybywali od Sasów, najprzyzwoiciéj przeto w prawach saskich szukać ich pochodzenia. Nie pozostaje zatém, jak czerpać w tym względzie objaśnienia w księdze praw przez Ecke do Repkaw, pod nazwiskiem: Zwierciadło Saskie, spisanéj, jako jedyném dokładniejszém źródle, w którém takowe znajdują się. Wypiszemy więc z niéj artykuły, które o Lazzach lub Lassach wspominają.

Artykuł 2gi księgi 1széj wyszczególniając sądy duchowne, cywilne i stany, które przed niemi stawać są obowiązane, wylicza następujące: Baniti (od niemieckiego Bannerher) wolni co do osoby i majątku i ci *actu ipso*, byli radcami sądowemi, lub niemi być mogli. (Schöppenbaar freie Leute).

Właściciele ziemscy, do jakiéj daniny obowiązani (Pfleghaften), po rossyjsku *Obrazane*, *Propjietarii*.

Urodzeni do własności służebnéj (Lassen) *Proprietarii censuales*, *originarii*, *latini*.

(1) „Do unsere Eltern inn diese lande kommen sindt, do sein keine dienstleute unter ihnen gewesen, sondern sie sindt alle Frei gewest. Zobels: Sachsenspiegel 5 Glosso zum 42 Artikel.

Siedzący na cudzéj własności krajowi (Landsessen), *Pagani censuales*, i obcy, zapewne *Lüde*.

Oprócz wyżéj wyliczonych wspomina artykuł 16ty księgi 1széj o ludziach we własności będących (Eigen, Servus) i wyzwolonych (freigelassene, liberti). Artykuł zaś 44ty księgi 3ciéj mówi, iż Lasse, który straci prawo do swojéj własności, staje się poddanym, *deditítius* (Tagwerk).

Pod artykułem 55tym księgi 2giéj tak objaśnia glossator XVIgo wieku, *Zobel*, własność czynszową. W Saksonii, mówi, trzeba się do własności czynszowéj urodzić, a tacy właściciele nazywają się Lassen (originarii). Lasse nie może pozbyć swojéj własności bez woli pana. Są oni całe życie za wolnych poczytani, dopiéro po śmierci pan ma udział w ich pozostałości.

Niewolnemi więc byli: Lassen po zgonie, wyrobnicy czyli poddani, *Tagwercke*, *deditítii*, i we własności będący, *eigen*, *servi*. Wyzwoleńcy zaś używali tych samych praw co Landsessen v. Lüde, t. j. krajowi, lub obcy na cudzéj własności siedzący. Dokładnie przeto Anonym IX wieku przez p. Maciejowskiego zacytowany dzieli mieszkańców saskiego państwa na szlachtę, wolnych, wyzwoleńców i niewolników.

Zkąd się wzięli Lassen, nauczy nas artykuł 44ty księgi 3ciéj.

„Przodkowie nasi, którzy do tego kraju przybyli i Turyngów wypędzili, służyli niegdyś w wojsku Alexandra Wgo, który za ich pomocą całą Azyą podbił. Po jego śmierci nie śmieli osiąść w swoim kraju, z powodu ściągnionéj na siebie nienawiści; puścili się więc morzem na 300 statkach, z których tylko 54 ocalało; z tych na 24 przybyli przodkowie nasi do tego kraju, a że ich tylu nie było, iżby pola uprawiać mogli, a gdy i turyngskich panów powypędzali i pozabijali, pozostawili chłopów przy życiu i rolach na takiém samém prawie, jakiego dotąd używają Lassen. I ztąd pochodzą Lassen, a od tychże Lassen, którzy prawa swoje utracili, pochodzą wyrobnicy (Tagwercke) (1).

(1) Und do ihr so viel nicht was, das sie den acker bawen mochten, und do sie auch die Döringischen herren schlugen und vortrieben, liessen sie die Bawren sietzen ungeschlagen, und bestettigten ihn den acker zu solchen Rechten, als noch die Lassen haben. Und darvon kommen die Lassen her, und von den Lassen, die sich vorwirkten an ihren Rechten, seindt kommen die Tagwercken.

Et cum in numero essent pauci ita, quod agros culturae tradere commode non possent, fugatis et interfectis dominis Thuringorum, reliquam gentem,

Według wyrażonego brzmienia tego artykułu, Saksonowie nie Polanów, lecz Turyngów zwyciężywszy, nie wyższy stan ich obywateli, lecz chłopów przy życiu zostawili, a wyższy stan obywateli, to powypędzali, to pozabijali.

W księdze téj zatém nie ma żadnego śladu, iżby Lazzi albo kiedykolwiek byli wyższym stanem obywateli, albo kiedykolwiek do wspólności rządu przypuszczeni zostali.

Gdyby Lassen było narodowém wyższego stanu obywateli nazwiskiem, musiałby był Ecke v. Repkaw, który z treści praw znał ich pochodzenie, i który Zwierciadło Saskie naprzód na łaciński język przetłumaczył (1), zostawić to odznaczające dawnych, wyższego stanu krajowców do wspólności rządów przypuszczonych, nazwisko tak, jak z niemieckiego wyrazu uczynił *Baniti*; lecz on ich nazwał *originarii*, a dla oznaczenia ich stanu *Proprietarii Censuales*, *latini*, iż do czynszu byli obowiązani, nie wspomniawszy bynajmniéj o wyższém ich pochodzeniu, na któreby go było cudzoziemskie nazwanie koniecznie naprowadziło. Ale przeciwnie, po opowiedzeniu jak panowie turyngscy wypędzeni lub pozabijani zostali, nazywa pozostawionych do uprawy roli, *resztą ludu* (reliquam gentem), a dodaje, iż nadano im prawa, jakie dotychczas istnieją w stanie *Latinów*, co ma znaczyć, według niemieckiéj treści, Lassów.

Ci Turyngowie nie byli Słowianami, bo chociaż przytoczony artykuł nie wspomina o Polanach, inne jednak ustawy Zwierciadłem Saskiém objęte, wspominają o *Wenduch*, którém to nazwaniem Słowianów odznaczano; skoro więc wié o nich rzeczone prawo, byłoby zwyciężonych, lecz przy własności zostawionych *Lassen*, nie Turyngami, lecz Wenedami nazwało. Bo téż Saksonowie nietylko wówczas nie podbili Słowian, których Wenedami, albo raczéj Wenidami nazywano, ale przeciwnie. Poeta saski nadmieniając o Sorabach (Syrbach) (2), o których i p. Maciejow-

ut operaretur terra, vivere permiserunt, talia imponentes eis jura, quem admodum adhuc consistunt in conditionibus *latinorum*. Et ex his, qui juri derogabat suo, dedititiorum conditioni subiciebantur.

(1) Ecke nobilis de Repkaw: Jus Saxonum primitus ex prisca Saxonum lingua in tres libros Latino sermone conscripsit, deinde ad preces Domini Hoyeri Comitis a Falkenstein lingua Germanica, qua tunc Saxones utebantur, idem reddidit.—Vorrede zum Sachsenspiegel von Zobel, pag. VI.

Tém wskazujemy, zkąd się wzięło łacińskie tłumaczenie Zwierciadła Saskiego. Zobaczyć zdanie p. Maciejowskiego w Pierwot. Dziej. str. 171.

(2) Narusz. Hist. Pol. Tom I, str. 562 i 563.

ski twierdzi (1), iż są piérwszym ludem Słowian nadłabańskich, którzy pod osobną wystąpili nazwą, i że o nich już, jeżeli nie pod IV, to pod VI wiekiem Ubiusz Sekwester rzymski wierszopis wspomina; mówi „iż naród ten pustoszył orężnie, sąsiedztwo swoje Sasów ziemię, oraz Turyngów korzystnéj ziemi zabiérał płody, i że ich dopiéro Karol Wielki piérwszy zawojował (2).“ Najdawniéj więc znani Słowianie nie byli przez Saksonów ujarzmieni (3).

W takim stanie rzeczy, czémże wytłumaczyć, iż gdy Słowianie, sąsiedzi Saksonów i Turyngów, kraje obu narodów orężnie pustoszyli, zostawili pod ich jarzmem owe pobratymcze pokolenie, którego stan wyższych obywateli p. Maciejowski Lazzami a raczéj Lechami być mniema; czém się stało, iż pokolenie to, nie połączyło się z ziomkami, lub że znakomitsza część przynajmniéj ścierpiała, iż ją Saksonowie z praw obywatelskich odarli, w podwładności i upośledzeniu trzymali, zwłaszcza, gdy w czasie wojny którą Awarowie z królem Franków Sigebertem około roku 561 prowadzili, Syrbowie zawarowali sobie spokojne siedliska między rzekami Elbą i Salą (4), i pod Samosem Słowianie tyle w onych stronach dokazywali, a których dopiéro Karol W. w części zawojował. Zaiste, nie musieli Serbowie uważać ich za pokolenie słowiańskie. Tém niezbędniejszém jest zatém przytoczenie treści owych starożytnych kronik, które przekonały p. Maciejowskiego: iż ludzie, którzy od niepamiętnych czasów nad Łabą mieszkali, *Lazzi* zwani, stanowili stan wyższego obywatelstwa u Słowian tamecznych. Inaczéj słusznym byłby wniosek: iż Wendowie późniéj weszli do Zwierciadła Saskiego. Glossatorowie téż utrzymują, iż ustawy Zwierciadłem Saskiém objęte, Karol W. Saksonom udzielił, a to w Saksenburgu w Turyngii dnia 10 lutego, 810 roku, a siódmego swego nad niemi panowania; na co

(1) Pierwotne Dzieje, str. 37.

(2) Według p. Maciejowskiego, dostała im się nawet z obalonego Turyngów państwa, kraina między Łabą i Salą; str. 37.

(3) Słowianie osadziwszy się między Odrą, morzem Bałtyckiem i Łabą, nie byli poddani Niemcom. Dzieje znajdują ich tu w zupełnéj niepodległości pod sprawą własnych książąt, zajętych prowadzeniem okrutnych i wiele wieków trwających bojów z Niemcami. Szafarzyk: Słowiańskie starożyt. § 43, oddział 2.

Znajdujemy wprawdzie, przed Łabą, niektóre pokolenia słowiańskie pod władzą Franków i Sasów, ale już w VII wieku i to chwilowo, aż ich Karol Wielki w części zawojował.

(4) Ekkard str. 8, rozdział II: de rebus Francorum.

się większa część pisarzy niemieckich, wbrew tym zgadza, którzy utrzymują, iż prawo turyngskie już w wieku VI spisane zostało.

Wyznać podobno wypadnie, iż późniejsi Niemcy, dogadzając raczéj swym politycznym widokom, niż z powodu niewiadomości, nazwali Sorabów, podciągając ich pod miano ogólnego niegdyś zrzeszenia Wenedów, Turyngami północnemi, i tym sposobem podbicie Wendów odnosili do czasu, w którym od Franków, części północnéj Turyngii, jako nagrodę za udzieloną im w zburzeniu tego królestwa pomoc, otrzymali.

Ztąd i glossator Zobel, wbrew wyraźnéj treści, która o prawach Wendów oddzielnie mówi, nazywa północnych Turyngów Wendami; ale ta sama okoliczność, iż ci Turyngowie mieli osobny dyalekt niemiecki, którym Ecke v. Repkaw Zwierciadło Saskie przetłumaczył, dowodzi, iż nie byli pochodzenia wenidzkiego; bo Wendowie z taką trudnością zrzekali się swéj mowy, iż nią do dnia dzisiejszego jeszcze w niektórych saskich mówią okolicach. Jeżeli ich jednak miał za Wendów, czemuż *Lati* nie tłumaczy z ich języka, ale z rzymskiego prawa *de libertinis*; gdzie jedni, mówi, byli zupełnie wolni i stawali się obywatelami rzymskiemi, drudzy używali mniejszéj wolności i nazywali się *latini*, i *ztąd wielu chcą nazwisko Lati* od *Latini wywodzić*. I podobno znaczna zachodzi pomyłka w sposobie w jakim p. Maciejowski przetłumaczył następujące wiersze, w przedmowie do Zwierciadła Saskiego umieszczone „Spigel der Saxen sol diz buch syn genant, wende Saxen recht ist hir an bekant." Zwierciadłem Saskiém ma się nazywać ta księga, obejmująca słowiano-saskie prawo (1)." Bo naprzód: mało w niém mowy o Wenedach, powtóre, mówi o nich jak o podbitym narodzie, któremu nowe stosunki narzuca, a przeto z słowiańskich praw go wyzuwa; potrzecie: gdyby księga ta miała obejmować słowiano-saskie prawa, nazwanoby ją słowiano-saskiém zwierciadłem; poczwarte: w nowszéj edycyi Zobla stoi: „Ein Spiegel der Sachsen sol disz Buch sein genant; Darin der Sachsen Recht ist bekant." Tu nie ma mowy o Wenedach. Zkąd wnosimy, iż zamiast jednego wyrazu *Wende*, trzeba położyć dwa wyrazy *wen* i *de*, bo i do dziś dnia ludzie prości zamiast *wenn der*, wymawiają *wen de* (Saxen Recht etc.), któreto narzecze nazywają *Plattdeutsch*. A nawet drobniejszych nie pomijając postrzeżeń i co do pisowni: jeżeli wyraz *Saxen* jako naród oznaczający, ma wielką początkową literę, powinienby mieć takąż, z téj saméj przyczyny

(1) Str. 170 Pierwotne dzieje.

wyraz *wende*, gdy tymczasem z małą jest umieszczony. Że się takież same prawa między ludami słowiańskiemi rozeszły, nie szukalibyśmy z p. Maciejowskim przyczyny w tém: iż prawo to dużo słowiańskiego zawiéra, bo się wiele z tych ustaw i u pokoleń litewskich znajdowało, lecz w tém: iż z jednego najstarożytniejszego, i pokoleniom tym nieobcego źródła są czerpane; a gdy przez naród sąsiedni spisane zostały, zbiór ich, ułatwiając nauczenie się i zastosowanie takowych, chętnie przez inne ludy przyswojony został.

Te uwagi skłaniają nas do wniosku, iż *Lassen* nie pochodzi od słowiańskiego wyrazu; iż nie byli Słowianami Turyngowie *północni*, którym stosunek jaki pomiędzy Saksonami i pozostawionemi im przez zwycięzców, którzy ich przy życiu zachowali, własnościami zachodził, nazwisko Lassen zjednał (1). Do nich to trafniéj stosować można, co glossator XVIgo wieku o nazwisku ludzi we własności będących (eigen) przytacza. Tłumacząc, zkąd się wzięli, mówi: Starożytni cesarze urządzili w czasach wojny, iżby nie wszystkich jeńców zabijać, lecz zachowanych przy życiu obrócić do służby dożywotniéj; dlatego nazywają się *servi*, nie od *servire* służyć, ale od *servare* zachować, iż zostali przy życiu (2). To zostawienie przy życiu, które o wiele urządzenie cesarzów uprzedziło, a nadto zostawienie włościan przy posiadanych gruntach, tłumaczy, jak to już Hermann Müller utrzymywał (3) owe nazwanie *Zachowańcami*, Lassen, i przypomina stosunek jaki między mężem rycerskim obdarowanym ziemią, a nadawcą jéj zachodził, i nadawał piérwszemu nazwisko *Vassen*. Zostawieni przy życiu i gruntach czynszowych Turyngowie, przeistoczyli się z czasem z Saksonami w jedno ciało, a tak, późniéj Lassen, nie oznaczał już owych pierwiastkowych *Zachowańców*, ale raczéj pewien stan wolnych ludzi, który własności ziemskie pod oddzielnemi prawami posiadał. Dlatego téż gdy w oznaczonym czasie, co rok po dwunastu mężów z każdéj osady i z każdego stanu wybierano do rady ogólnéj, powoływano do niéj i owych właścicieli czynszowych (Proprietarios censuales). Ale to samo dowodzi, iż ci właściciele nie byli Lechami.

(1) Lassen sind die, welche unser Vorfahren frej liessen, da sie die Landt bezwungen. Zobel, Glossa des II Artikels.

(2) Glossa artykułu XVI.

(3) Solche ungeschlagene Besiegte scheinen alle Lassen, Latten, zu sein. Ihren Nahmen erkläre ich mir eben aus dem Aufgehen des Kampfes, aus dem Nachlassen im Kampfe.—Nota p. Maciejowskiego.

Zepchnięci z wyższego stanu, który im pozostawione, godność ich odznaczające nazwisko, ciągle przypominało, do używania poślednich praw; obróceni w zawisłości, gdyż Lassen nie mógł sprzedać własności bez zezwolenia pana, który po jego śmierci miał udział w pozostałości jego ruchomej: nie mogli mieć wspólnego interesu z stanami zwycięzkiemi, nietylko już co do bytu zewnętrznego i stosunków politycznych, ale co do bytu wewnętrznego. Takich praw ludzi nie można wzywać do rady w przedmiotach, które dla nich z samego stanu zawisłości i poniżenia, są obce, a z natury swojej im przyjaźniejsze zwycięzcom, tém uciążliwsze dla zwyciężonych.

Przeciwnie, owi niegdyś Zachowańce zostawieni na gruntach które uprawiali, nie utracili nic zapewne z dawniejszych praw, a może im nowi panowie, dla wzmocnienia wzajemnych stosunków, jeszcze korzystniejsze nadali. Musieli oni z wyższemi stanami mieć wspólny interes bronienia krajowych urządzeń, choćby z bronią w ręku, skoro w owych czasach, tak w zasadniczém pojęciu o obronie krajowéj od dzisiejszego różném, nietylko znaczną część siły zbrojnéj składali, (boby ich do tego Saksonowie, tak jak Awarowie Słowian zmuszać mogli); nietylko, że Saksonowie wiele nimi dokazywali, (bo mogło przyrodzone usposobienie czynić ich bitnemi); ale że, według p. Maciejowskiego, Karol Wielki biorąc od Saksonów zakładników, uznał potrzebę brania ich od Lassen, którzy najznaczniejszą część siły wojskowéj stanowili. Lecz ta mnogość, to wspomnienie kronikarzy, jak wielka ich liczba ginęła w bitwach, znów dowodzi, iż nie byli Lechami, bo dlaczegożby dziejopis Karola Wgo opisując bitwę, jaką tenże w roku 805 Czechom wydał, donosił, jako rzecz godną pamięci, iż w niéj Lech zginął (1). Lech zatém oznaczał męża wysokiéj godności.

Nie było też w polityce Karola Wgo, iżby dążył do zjednoczenia Saksonów z Słowianami, pomiędzy któremi nie zachodziły bynajmniéj, wówczas, stosunki zwycięzcy do zwyciężonego, ale przeciwnie, mimo chwilowych nieporozumień, stosunki pobratymstwa. „Przedzielali od Franków, mówi Naruszewicz, pokolenia nadmorskie Słowianów, Saksonowie, równe im pogaństwo, zgodne z nimi, przynajmniéj co do wolności i bałwochwalstwa, a Frankom nieprzyjazne dla chrześciaństwa i chęci panowania pod tym pozorem."

Jakiż powód mieliby byli Słowianie północni żywić nienawiść przeciw Frankom nieprzyjaciołom Saksonów, gdyby tych byli za cie-

(1) Eginhard.

miężców swoich uważali. Ale przeciwnie, łączyła ich z Saksonami potrzeba wspólnéj obrony; wiedzieli bowiem, iż Karol W. tylko po zgnębieniu Saksonów zdoła się do nich przebić, i równy im los zgotować, co też późniéj rzeczywiście nastąpiło. Saksonowie ze swojéj strony każdego nieprzyjaciela Franków uważali za swego sprzymierzeńca, tak dalece, iż kiedy nawet podbici służyli pod chorągwiami Karola Wgo, zmyślone tylko wodzom okazywali posłuszeństwo. Ztąd, chcąc Wilkom, których Naruszewicz mylnie za czysto słowiańskie uważa pokolenie, dać, jak mówi, dowody swojego z niemi tajemnego pobratymstwa, króla Obotrytów *Wizana*, który się z Frankami na nich łączył, zdradą zabili (1).

Kiedy więc było interesem Karola Wgo Słowianów wszelkiemi sposobami od łączenia się z Saksonami odrywać, niepodobna przypuszczać, iżby: żądając od Saksonów i Lassów, jako Słowian, zakładników, miał, wkładaniem na tychże solidarności w dotrzymaniu zawieranych z nim umów, jedność między niemi utwierdzać.

Tak więc, Zwierciadło Saskie wystawia nam Lazzów właściwie Lassów, początek w świetle, z którego żaden promień na wyjaśnienie pochodzenia Lechów padać nie zdaje się.

Lecz postępując za p. Maciejowskim zapędziliśmy się do czasów Karola Wielkiego, kiedy już znaczenie Lechów nad Wisłą chylić się zaczęło. Wróćmy się więc do owych Lechów, którzy od Saksonów do Polan nadwiślańskich przybywali „gdzie różnych ludów rządy różne zaprowadzały porządki, z których żaden nie przyjął się na długo, a tak w ciągłém niemowlęctwie była nad Wisłą organizacya kraju; emigrujący więc od Saksonów Lachowie znaleźli gotowe miejsce dla rozwinięcia swojéj organizacyi saskiéj i rozwinęli ją u nich, tudzież u braci ich Czechów (2)."

Uderzającą jest okoliczność, iż organizacya saska, która Lazzów czyli Lechów pognębiła i z wszelkiego znaczenia odarła, tak wielkie u nich znaléźć miała współczucie, iż ją u ziomków swoich zaprowadzić usiłowali; wypada przeto bliżéj roztrząsnąć o ile w czasie, który Lazzom do przybycia nad Wisłę oznaczają, zmiany w rządzie Polan im przypisywane, dziejowemi potwierdzone są pomnikami.

P. Maciejowski w pismach swoich wielokrotnie powtarza: iż Lachowie zaczęli od Saksonów przybywać do Polan w VIIym wieku ery chrześciańskiéj. W tym właśnie czasie Saksonowie podbili

(1) Hist. Nar. P. tom I, str. 297 i 298. Poeta Saxo w księd. III pod r. 795. Eginhard w życiu Karola Wielkiego. (2) Dzieje pierwotne str. 48.

Lazzów, jeżeli sami tak nie nazwali zachowanych przy życiu chłopów turyngskich (1).

Tymczasem, według p. Maciejowskiego (2), uciskali Awarowie w VItym wieku nadwiślańskich Polan, czego ma być śladem wyraz olbrzym (Avar), olbrzyma czyli ciemiężcę oznaczający. Nie przypuszczamy, iżby w owych czasach dała się była rozwijać organizacya saska. W piérwszéj połowie VIIgo wieku wybili się wprawdzie Słowianie zpod jarzma Awarów, lecz na czele ich nie stanął Lech, ale *Frank Samo*, urodzony w Senegago. Mazury byli w VItym wieku już tak dobrze uorganizowani, iż według p. Voigt z którym się wszyscy inni pisarze rzeczy litewskich w tym szczególe zgadzają, król ich podbił lud Ulmi-gerów (Prusaków), zmusił do dani w pewnéj liczbie dzieci, które corocznie zjeżdżając do podbitego kraju, wybierał. W Krakowskiém nie byli Polanie, lecz jeżeli nie Chrobatowie, to zawsze lud, który na czele swojém miał królów; Lechowie zatém nie mogli oznaczać tam takiéj dostojności, iżby naród miano Lechitów od nich przybrał. Pozostaje Gniezno. Ale władztwo to nie Lechowie, lecz Lech według podania założył. Czyż z wykładu p. Maciejowskiego ma wyniknąć, iż podanie to nie zasługuje na wiarę? Bynajmniéj. Niewątpliwą jest rzeczą, iż pierwiastkowo było więcéj Lechów, i że od nich powstało miano Lecha, a nie przeciwnie. Idzie o to, w jakiém ci Lechowie mają być pojmowani znaczeniu. Według pana Maciejowskiego (3): „od rzeki Łaby i Sali przywędrowawszy Lechowie do téj części kraju, który nad Wisłą i Notecią jeziorami i jeziorkami okolony będąc, Polską nazywał się pierwotnie, w niéj niemieckim zwyczajem, piérwszą monarchią czyli piérwsze założyli księztwo. Pokazuje się to z książęcych grodów, z których najznakomitszy pod górą dotąd się od Lecha zowiącą nad jeziorem Jeleń zbudowany zostawszy, knieżskim snadź, czyli knieżném, tojest knieza, ksiondza, krótko mówiąc, książęcia, mianował się miastem. Nie było to piérwsze Gniezno, o dawniejszém bowiem od owego Gniezna powtarzała odległa starożytność głucho obrzmiewając wieść, już za Długosza czasów prawie umilkłą, która prawiła o piérwszym kościele gnieźnieńskim na wyspie w środku jeziora Lednickiego (Letckiego, Łackiego) położonéj zbudowanym, zkąd następnie świątynia ta, do właściwego miała być przeniesiona Gniezna. Nie było też ostatniém drugie owo Gniezno, gdyż istniało trzecie, Kruszwicą in-

(1) W roku 531. (2) Str. 47.
(3) Rocz. i Kron. Pol. i Litew. str. 88 i 89.

czéj nazywane. Więcéj od tych Gniezn, nie dopatrzysz grodów, nazwisko to noszących w pierwotnéj, tojest między rzekami Wartą a Notecią leżącéj Polsce, czyli ważniejszych nad te nie dostrzeżesz grodów, którehy się mianowały Gnieznami. Co zapewne ztąd poszło, iż wielkopolskich, wyjąwszy innych Lechów czyli lechickich książąt, grody nie nazywały się Gnieznami, dlatego, ażeby je łatwiéj od siedziby wielkiego, iż się tak z Mateuszem wyrażę, kniazia odróżnić można było (1). O dwóch takowych, które w Małopolsce czyli (tak podówczas nazywającym się) kraju Wiślanym stały, mówi według wieści Boguchwała. Jeden zbudowany był na górze Tyniec przez mężnego Walcerza plemiennika Popielowego, drugi w mieście Wiślicy przez Wisława, który miał żonę z tegoż pochodzącą pokolenia, wystawiony istniał.“

Przytoczenie z Mateusza, iż Popiela prawem pierworodztwa królem obrano, nie zdaje się nam w niczém służyć do potwierdzenia panowania wielu Lechów pod naczelném władztwem gnieźnieńskiego, gdyż Popiela, prawem starszeństwa monarchą ogłoszono, zpomiędzy braci, ale nie zpomiędzy Lechów. Że Walcerz i Wisław. jeden plemiennik, drugi ożeniony z plemiennicą Popiela, posiadali jeden na Tyńcu, drugi na Wiślicy grody, dowodzi: iż książęta krwi panującéj mieli wyznaczone sobie udziały, lecz nie to, że byli Lechami, jakkolwiek ród swój od nich wyprowadzali. A lubo zupełnie na to zgadzamy się, iż od Lechów powstał Lech, trzymamy się jednak podania, które nie wspomina o naczelnym Lechu, któryby innym przewodniczył; lecz mówi o Lechu monarsze, który na miejscu dzisiejszego Gniezna, miasto stołeczne swojego państwa założył; trzymamy się go tém mocniéj, iż jak słusznie p. Maciejowski ostrzega: jest rzeczą pisarzo dziejów odgadywać podania, a nie pomiatać niemi; czém powodowany sam p. Maciejowski, lubo nie monarchę Lecha, to choć naczelnika Lechów w Gnieznie, osadza. Tak w tém przynajmniéj zgadza się z podaniem, iż Gniezno było siedliskiem naczelnéj władzy. Wypada zatém wytłumaczyć, czém się działo, iż ten z Lechów, który najwyższą ogarnął władzę, nie odznaczył dostojeństwa swojego inném od równéj stanowości swych współobywateli, czyli téż drużyny swojéj odróżniającém go imieniem? Dlaczego, gdy miano to, liczni nad Łubą posiadać mieli wyższego stanu obywatele, nad Wartą do niego tak wysokie przywiązano znaczenie, iż pierwiastkowo władcy, na od-

(1) Pompilium vero jure primogenilurae *regem omnium* statuit..... ejus filium *regem* suffecerint.

znaczenie najwyższéj dostojności, innego jak Lech nie używali nazwiska? iż, jak mówi Długosz, niém, jakby znamieniem szczególném zaszczycano wybrane do panowania osoby? (1). Mogliżby mu takie znaczenie nadać owi Lazzi, którzy po długiém upośledzeniu wyswobodziwszy się z poniżającego położenia przez służbę rycerską, i natuławszy się między Niemcami, mieli jako Lachowie przybyć nad Wisłę, celem saskiego uorganizowania tego kraju. Więc kiedy u Sasów do późnych lat, Lazzi, oznaczali ludzi wolnego wprawdzie, lecz zawsze pośledniego i zawisłego stanu; Polanie mieliby u siebie najwyższą dostojność tak poniżaném oznaczać mianem i takowe jeszcze takiém uszanowaniem otoczyć? Wreszcie, jeżeli Lechowie z przeznaczenia swojego trudnili się rycerstwem, czyż, zjawiwszy się nad Wisłą jako produkt, jak mówi p. Maciejowski (2), saskiéj rycerskości, mogli uważać posiadanie części gruntu za rzecz tak zaszczytną, iżby od tego miana wyprowadzoną, lecz już potyraną godność utrzymywać i nią szczycić się chcieli.

Nowa wątpliwość względem dokładności wykładu p. Maciejowskiego o pochodzeniu Lechów.

Ale główną podstawą tego wykładu jest, iż nazwisko Lech, powstało od *lechy*, oznaczającéj skibę gruntu; ztąd wywodzi p. Maciejowski, iż posiadający własność ziemską, stanowili wyższy stan obywateli, Lechami zwanych, a którym przeddziejowe nadaje istnienie. Dlatego też Saksonowie jeżeli nie wprzód, to już w początkach IIgo wieku ery chrześciańskiéj, Lechów, w Germanii zastali, i do wspólnictwa rządów przypuścili. Lecz mógłże na początku ery chrześciańskiéj znajdować się w Germanii stan obywateli, wyższość swoję z posiadania własności gruntowéj wyprowadzać mogący? Że między Germanami były narodki różnych pokoleń, o tém nie ma żadnéj wątpliwości; że między niemi były takie, u których niejakie podobieństwo z późniejszemi Słowianami upatrzyć można, i temu zaprzeczyć niepodobna; lecz równie niepodobna przypisywać im wówczas charakterystyczną słowiańskich obyczajów cechę—zamiłowanie rolnictwa. Przyznał w niejakim stopniu ten przymiot oddalonym od siebie Estyom Tacyt, gdy bawiąc jako prokonsul w Belgii, zbierał wiadomości o północnych narodach. Lecz powiedziawszy, iż oni bawią się około roli

(1) Crebro enim id nomen (Lech, Leszek) apud Polonos tunc temporis, habebatur, ut etiam quos in principatus dignitatem assumerent, illos quasi *quodam charactere*, *insignirent*. 1—63. (2) Str. 47.

pilniéj, niżeli to Germanowie czynić zwykli (1), potwierdził objawione w tylu miejscach zdanie, iż bliżsi niego, a więc lepiéj znani mu Germanowie, nie byli bynajmniéj rolniczym narodem, iż możniejsi niewolnikami obrabiali rolą, a i tak jeszcze dozór nad niemi poruczali niewiastom, starcom, lub najpodlejszym z rodziny (2). Nie można inny stan jak najniedołężniejszy przypuścić pod nazwiskiem *servus*, którego Tacyt względem nich używa, ani téż, z Naruszewiczem, nazywać kmieciami ludzi, z których wychodzili wyzwoleni, a ci nawet, według słów Tacyta, żadnego w narodzie znaczenia nie posiadali (3). I gmin porządnemu rolnictwu oddawać się nie mógł, gdyż, jak Cezar i Tacyt nauczają, role corocznie odmieniano, i sami rolnicy koleją, raz bronią, znowu rolą zajmować się musieli.

„Nie oddają się, mówi Cezar, Germanowie rolnictwu, żyją najwięcéj mlékiem, serem i mięsem, nikt nie ma rozgraniczonéj roli na własność, lecz starszyzna co rok wyznacza grunta rodom i rodzinom w społeczności żyjącym, gdzie i jak wiele jéj się zdaje, w następnym roku znowu w inne miejsce przechodzić *zmusza*. Wiele obyczaju tego przyczyn naznaczają: obawiają się, aby przywyknienie do uprawy roli, nie ostudziło zamiłowania do wojny; ażeby chęć rozprzestrzenienia swojéj własności, nie stała się podnietą do wypędzenia z niéj słabszych; żeby nie odwykano w zbyt wygodnych mieszkaniach od znoszenia zimna i upału; ażeby żądza bogactw, nie zrodziła niezgody i stronnictw; nareszcie, ażeby w karności utrzymywać gmin owym duchem słuszności, który mienie każdego z najznakomitszym, równa" (4). Najoczywistszy dowód, iż właśnie obszerniejsze ziemi posiadanie, które Lachów w rzędzie obywateli wyższego stanu stawiać miało, było duchowi Germanów przeciwne.

Opisując zaś Swewów, Cezar mówi: (5) „Nikt nie ma osobnego i odgraniczonego pola; ani dłużéj nad rok, na jedném miejscu dla uprawienia roli, zostawać niewolno." Tacyt dodaje: (6) iż pola kolejno obejmują, i chociaż role co rok zmieniają, pozostaje im jeszcze pola (7).

(1) Frumenta, caeterosque fructus patientius quam pro solita Germanorum inertia, laborant. Cap. 45.

(2) Delegata agrorum cura faeminis, senibus, et infirmissimo cuique ex familia. Cap. 15. (3) Libertis non multum supra servos sunt, raro aliquod momentum in domo, nunquam in civitate. Cap. 25. (4) Lib. VI. Cap. 22. (5) Lib. IV. Cap. I. (6) Agri pro numero cultorum ab universis per vices occupantur. Cap. 26. (7) Arva per annos mutant et superest ager. Tacit. Ger. cap. 26.

Tento właśnie zbytek pola i płodność jego, kładzie Tacyt za przyczynę: iż ani o zakładanie sadów, ani o zwilżenie ogrodów, ani o wytykanie pastwisk nie dbali, i jak to zwięźle maluje: *rozkazywali ziemi, aby im tylko zboże rodziła* (1). Taki sam sposób uprawiania roli, przypisuje Horacy Skitom i Getom (2).

To przechodzenie z miejsca na miejsce i uprawianie coraz innego, a nawet w innem miejscu pola; ta kolejna i ludzi i pól odmiana; ten sposób obrabiania roli, któréj skutek nie od uprawy, lecz raczéj od saméj płodności ziemi zależy, co Tacyt tak dobitnie wyraził, zastępując *uprawę, rozkazem*: wszystkie te okoliczności nie dozwalają przypuszczać, iżby Germani porządne prowadzili gospodarstwo, i jak p. Maciejowski wnosi (3), używali tak zwanego dziś kilkopolowego gospodarstwa. To też wszystkie z takiego przypuszczenia wyciągnięte wnioski, urządzenia, prawa i cała na podobnych domysłach wyprowadzona budowa towarzystwa germańskiego, na któréj ozdobienie tyle się niemieccy pisarze przesadzają, na bardzo wątłéj spoczywa posadzie.

Trudno zatém przypuścić, iżby przy tak nizkiém o rolnictwie, a tak wysokiém o rycerstwie między Germanami wyobrażeniu, mieszkali w najbliższych po erze chrześciańskiéj wiekach, między narodkami nadłabańskiemi takie, u którychby posiadanie *lechy* gruntu nadawało prawo do wyższego stanu w obywatelstwie.

Ostatnim powodem dla którego p. Maciejowski Lechów znad Łaby sprowadza, jest naprzód (4), iż tak polscy jak ruscy kronikarze, kładą ich siedliska w dzisiejszych północnych Niemczech, a mianowicie, Długosz około gór hercyńskich. Nestor zaś nad morzem Warazkiém czyli Baltyckiém, a dopiéro następnie w teraźniejszéj Polsce; powtóre, że nie mogli od południa lub wschodu posu-

(1) Nec enim cum ubertate et amplitudine soli labore contendunt, ut poma conserant, prata separent, hortos rigent, *sola terrae seges*, imperatur.

(2) Campestres melius Scythae,
Quorum plaustra vagas rite trahunt domos
Vivunt, et rigidi Getae;
Immetata quibus jugera liberas
Fruges et Cererem ferunt,
Nec cultura placet longior annua,
Defunctumque laboribus,
Aequali recreat sorte vicarius.
(Ode, in divites Avaros).

(3) Pierwotne Dzieje str. 208. (4) Pierwotne Dzieje str. 4 i 5.

wać się na zachód, lecz przeciwnie od zachodu na wschód i południe iść musieli; bo gdyby byli szli owym szlakiem, wtedy, idąc od gór Karpackich ku rzece Łabie, trafiliby byli na Niemców, a ci jako możniejsi, bo w bojach z Rzymianami toczonych doświadczeni, nie byliby im byli pozwolili osadowić się między sobą, rozszerzyć się i rozsieść szeroko.

Co do piérwszego, mówi Długosz, że Lech (nie Lechowie) przebył góry i lasy, które starożytném nazwiskiem Hercyńskie się nazywają (1). Ani potwierdzamy, ani przeczymy temu, gdyż, zdaniem naszém, przytoczenie to w niczém założenia nie popiera i dowodziłoby tylko, że Lech, któremu Gniezno początek swój winno, przybył z północnych Niemiec, lecz nie Lechowie; a nie ci od Lecha, ale przeciwnie on od Lechów zyskał nazwisko. Nestor jeżeli umieszcza Lechów nad morzem Baltyckiém, nie oznacza czasu w którym tam przybyli; a właśnie rzecz idzie o dowiedzenie, czy tam znajdowali się za okazaniem się Saksonów w Holsztyńskiém, czyli też dopiéro późniéj od południa lub wschodu, posunęli się na zachód.

Co do drugiego, iż to posuwanie się od południa lub wschodu na zachód nastąpić mogło, na to odpowiemy co p. Szafarzyk kilkakrotnie powtórzył (2), „że Słowianie musieli przenieść się nad Łabę w czasach, kiedy toczone z Rzymianami boje, znaczne ztamtąd hordy germańskie wyciągnęły, a wystąpienie narodów uralsko-czudzkich nad Wołgą i Donem, a mianowicie Spalów, Hunnów, Sabirów, Awarów, Bulgarów i innych, drogę im na wschód zaparło. Ztąd poszło, iż Słowianie rzucili się na Zachód i pokonawszy na prawym brzegu Odry wycieńczone wojnami rzymskiemi ludy germańskie, zdobyli na nich orężem tę starożytną ojczyznę Słowian.” Niepodobna nam jest oprzéć się dowodom jego wykazującym: iż Słowiaństwo nadłabskie uważać należy jako rozsiedlenie się Słowiaństwa nadwiślańskiego, dowodom, które równie pracowity jak uczony badacz z trzech źrodeł, t. j. z narzecza, z świadectw starożytnych pisarzy, o pochodzeniu i pokrewieństwie Słowian nadłabskich z innemi pokoleniami, i ze zgodności nazwisk narodowych i miejscowych czerpa. Z najwyższém przeto zadziwieniem czytaliśmy twierdzenie p. Maciejowskiego: iż p. Szafarzyk na migracyą Słowian ze wschodu

(1) Lech superatis montibus et saltibus qui nomine vetusta Herciniі vocantur. I. 8.

(2) § 18, oddział 4. § 25, oddział 2. § 43, oddział 2. § 44, oddz. 12.

na zachód w IIgim i IVtym wieku po Chrystusie, żadnych dowodów nie przywodzi (1).

Podobnie już przed p. Szafarzykiem utrzymywał Surowiecki w tych słowach (2): „Zachodnie strony pierwotnych siedlisk słowiańskich, wcześniéj jeszcze niż wschodnie wyludniały się z dawnych mieszkańców; począwszy od IIgo wieku, narody osiadłe między Wisłą i Elbą, wywędrowały w nieprzerwaném paśmie jedne po drugich ku granicom państwa rzymskiego. Od téj epoki do końca IVgo wieku, widzieliśmy Wandalów, Burgundów, Ligiów, Burgów, najbliższych mieszkańców Wisły już rozproszonych, to nad Dunajem, to nad Renem, aż do Gallii i Hiszpanii. Za nimi wyszli Herule, Rugianie, Turcylingi, Sciry, Longobardy, Saksony, tak dalece, że w Vtym wieku nie znajdujemy już w całéj téj przestrzeni, ani wzmianki, ani śladu dawnych narodów. O Semnonach Swewskich, których posady rozciągały się niegdyś od Elby aż do Warty, przez wszystkie przechody narodów, nie było już najmniejszego napomknienia; jest podobieństwo, że się wcześniéj ztąd usunęli ku głównym siedliskom bratnich Swewów i Hermandurów, około rzeki Menu. Z téj więc strony, mogli Słowianie już w IVtym wieku rozpościerać się za Wisłą i zajmować siedliska po Burgundach, Ligiach i Burgach, a przed końcem Vgo wieku pomknąć się aż do Sali, do dolnéj Elby i pomorza zachodniego Baltyku. Od tych stron i południowe kraje wkrótce się stały dla nich przystępne, i po osłabieniu Markomanów i Kwadów, jak się wyżéj dowiodło, od połowy Vgo wieku, ogarnięcie Morawii i Czech aż do granic Bawaryi i Frankonii, i do pokoleń osiadłych między Odrą i Elbą, nie mogło im być trudne."

Tym sposobem dwaj najznakomitsi badacze starożytności słowiańskich, przeważném zdaniem swojém usuwają przeszkody, jakie dla Słowian do przedarcia się od Dniepru do Elby, p. Maciejowski w męztwie Niemców upatruje.

Na tém kończymy nasze uwagi, uczynione nie z próżnych pobudek, ale w téj jedynie najszczerszéj chęci, aby w przedmiocie dla wyjaśnienia dziejów słowiańskich, *tyle ważnym*, wszelkie zachodzić mogące wątpliwości, zwycięzko usunięte zostały.

(1) Dzieje pierwotne, str. 404. (2) Sledz. pocz. narod. słow. str. 50.

WIEJSKIE ZARYSY.

PRZEZ

Jana Kantego Gregorowicza.

(Ciąg dalszy).

V.

Skutki.

Kto miłuje rzewnie, ten szaleje pewnie,
Kto miłuje powoli, tego głowa nie boli.
Przypowieści polskie *Salomona Rysińskiego.*

Kiedy Sierpień wyszedł z chałupy, już niebo całe zasłane było błyszczącemi gwiazdami. Księżyc bujał w wysokich obszarach, bladém światłem spoglądając na ziemię, a z zachodu wysuwające się pasmo, ciągle w téj porze roku świecącéj zorzy ku wschodowi, zdawało się łączyć z sobą dwie tak dalekie strony świata, i jakby namawiało ludzi do zgody, braterstwa i miłości.

Stary Sierpień jak tylko wyszedł na drogę przez wieś idącą, zaraz dosłyszał wrzawę zabawy karczemnéj. Przyspieszył więc kroku, wyraz nieukontentowania mignął mu na twarzy, i poszepnął sam do siebie:

— O ho! już pewnikiem Janek dowodzi w karczmie, kiedy ludzie tak szaleją. Ino żeby się Baśce znowu co w głowie nie przekręciło, bo to u młodego łatwo o to.—I już w milczeniu, z pewną powagą podpierając się kijem, szedł daléj samym środkiem drogi.

A w karczmie hasanka co się nazywa. Janek ciągle w tańcu przoduje, zaimprowizowany kwartet brzęczy i buczy dziwnym skła-

dem swych instrumentów, a piosnka po piosnce coraz nowsza, coraz więcéj ochocza wybiega nad tłum karczemny, wtorowana stukiem, pukiem i wesołym pokrzykiem tańczącéj drużyny.

Janek co przetańczy kilka razy, to przestanie, a w piosnce gada sercem i duszą do ulubionéj dziewoi. Basia słucha, czasem westchnie gdy sobie przypomni ojca, a jednak nie ma siły być powolną jego rozkazowi:—tak już ją otumanił ten czarownik Janek.

O! już dziś ostatni raz—myśli sobie Basia—potém ni razu już nawet nie spojrzę na Janka, kiedy się tatuś tak na niego uwzięli.—A Janek jakby słyszał myśli dziewczyny, zaśpiewał:

O! moja dziewczyno,
Bym cię miał nie dostać,
To już i na świecie
Nie mógłbym się ostać.

i—hu ha! daléj wkoło, daléj ostro i wesoło! Wtém drzwi się otworzyły i naprzód pokazała się ręka z kijem, a potém Wojciech Sierpień stanął w izbie karczemnéj.

— Niech będzie pochwalony.....—Nie dokończył reszty zwykłego wszystkich włościan pozdrowienia, bo między tłumem upatrując córki, wzrok jego padł na wirującą parę w szalonym oberku, w któréj niestety, poznał Janka i Basię. Jakby oczom nie dowierzał, postąpił cokolwiek bliżéj, zaczął przypatrywać się dokładniéj, a w miarę przekonywania się, iż obawy jego o Basię nie były płonne, twarz zaczęła się pokrywać takim wyrazem oburzenia, gniewu i niemal rozpaczy, że każdy mimowoli zwrócił wzrok na starca, który jeden zpomiędzy wszystkich okiem boleści poglądał po weselącéj się drużynie.

— Basiu, Basiu!—zaczęły wołać niektóre kobiéty—tatuś po ciebie przyszli.

Basia wyrwała się z objęć Janka, a poznawszy ojca, z oczami w dół spuszczonemi podeszła ku niemu. Stary Sierpień ciągle milczał, ani jednem słowem nie zdradzając wewnętrznéj burzy, co mu wrzała w duszy: bo i on umiał hamować uniesienie, i nie chciał z gniewu swego robić dziwowiska między ludźmi.

Stał, i okiem zgrozy wodził to po Basi, to po Janku, jakby zbierał myśli, jakby wybierał między niemi piérwszą ofiarę tłumionego oburzenia.

Basia znając dobrze ojca, a lękając się smutnych następstw tak dla siebie, jak i dla Janka, zaczęła Wojciecha całować po rękę, i obejmując w uścisku nogi, półgłosem szeptała:

— Mój tatusiu, już nigdy, nigdy na niego nie spojrzę, ino chodźcie do dom, bo tu tyla ludzi. Chodźcie, mój tatusiu.

Stary Sierpień na te słowa wyjaśnił cokolwiek oblicze, odetchnął ciężko, jakby mu kamień spadł z piersi, i nacisnąwszy czapkę na głowę, zabierał się do wyjścia; gdy Janek odurzony całodniową radością, wirem tańca i wypitemi kilku kieliszkami wódki, spokojne znalezienie się Sierpnia wytłumaczywszy na swoję korzyść, postąpił ku niemu, mówiąc:

— Zaczekajcieno Wojciechu, i jeżeli nie wzgardzicie moim poczęstunkiem, to się napijewa po kieliszku wódki.

Na te słowa tłumiony gniéw Wojciecha przełamał krępujące go zapory i podnosząc w górę rękę ze ściśniętą pięścią, głosem drżącym od gniewu, odrzekł:

— *Zasie*, *zasie* od mojéj córki, a wódką częstuj-*se* takich, jakeś sam; ty próżniaku, obieżyświecie.

I w Janku duma się odezwała; odgarniając więc spadające mu na twarz włosy, odrzekł z godnością:

— *Zasie* albo i nie *zasie*, bo ja tak dobry ze swemi rękami co pracuję niemi na kawałek chleba, jak i wy, choć macie *tyla* gruntu i.....

— Cicho ty ladaco — przerwał Sierpień uderzając nogą w podłogę, że aż szyby zabrzęczały w oknach, gdy Basia tuląc się do ojca, ciągle mu szeptała: — Mój tatusiu, mój drogi tatusiu, chodźcie do dom.

— Cicho ty *niceponiu* — mówił daléj Wojciech wyciągając przed siebie pięści z groźbą — bo żebym się nie bał Boga i nie szanował tych poczciwych ludzi, to jakbym cię *uchycił* w moje stare ręce, tobym w twoich chabach i jednego gnata zdrowego nie zostawił. Widzisz, zalotów mu się zachciało! Ty hultaju, ladaco, zmarnowałeś pracę ojcowską, teraz chcesz na cudzéj się dorabiać. Zasie, zasie ci od mojego dziecka; szukaj se do zalotów takiéj, jakeś sam, a nam w drogę nie właź: bo choć stare ręce, ale krzepkie i jeszcze poradzą takiemu walaczowi po cudzych śmieciach, że....

Mowa Wojciecha przerwaną została niespodziewanym postępkiem Janka. Stał biedaczysko, a nie wiedział, co się z nim dzieje: czy to, co widzi i słucha jest na jawie, czy we śnie — tyle mu się nienaturalną zdawała gwałtowna przemiana chwil doznanych radości na scenę boleści i smutku.

Po piérwszém odcięciu się na wzgardliwe odrzucenie poczęstunku, Janek spojrzał na Basię i zrozumiał całą jéj obawę malującą

się na twarzy. W milczeniu słuchał gwałtownych wyrazów Wojciecha, a oczami ciągle wodził po ukochanéj dziewoi; aż zobaczywszy ją zalewającą się łzami i wymawiającą głosem wzruszonym wpośród łkania: — Ach! Boże kochany! ach! cudowna Matko Boska Częstochowska ratuje mnie, ratuj! — podsunął się ku Wojciechowi, i obejmując mu nizko nogi, wyrzekł rzewnie:

— Bijcie mnie mój tatusiu, bijcie i zabijcie, już wam ani słóweczka nie rzekę, ino Basi dajcie pokój, bo ja wszystkiemu winowaty. Bijcie, bijcie, mój drogi tatusiu, bijcie!

Stary Sierpień opuścił ręce, zamilkł, twarz jakoś dziwnie mu się rozjaśniła. Popatrzył chwilkę na leżącego mu u nóg Janka, odsunął go lekko od siebie, zdawało się nawet, że chciał coś przemówić; ale tylko potrząsł ręką, i nacisnąwszy czapkę na głowę, wyszedł z izby, a za nim Basia, nie pożegnawszy obecnych zwykłém wyrażeniem: — zostańta z Bogiem.

Po wyjściu Wojciecha, gwarna rozmowa znowu rozpoczęła się w karczmie. Niektórzy z radą lub z pociechą przybliżyli się do Janka, ale ten ani słowa im nie odpowiadał: wsparł się plecami o kratowaną zagrodę oddzielającą szynkarza od izby, i zsunąwszy kapelusz na oczy tak, że mu prawie pół twarzy zasłonił, zdawał się być cały zatopiony we własném dumaniu.

— Dajcie półkwaterek wódki — zawołał Janek rzucając piątaka szynkarzowi — i *naprawcie* w kieliszek (1).

Nie zmieniając położenia, Janek wypił podaną sobie wódkę, cały wstrząsł się, jakby go zimno przeszło; i nucąc sobie naprzód pocichu, zaczął potém głośno śpiewać na rzewną, smętną nutę jednéj z tych pieśni, któréj słuchając, mimowoli serce napełnia się jakąś niewypowiedzianą tęsknotą i posyła myśli w minioną przeszłość, jakby tylko w niéj mieściło się szczęście człowieka.

Oj tam się pochmurało,
Kędy świtać miało;
Oj tak moje kochanie,
Z wiatrem poleciało.

Da z wiatrem poleciało,
Z wodą popłynęło,
O bodaj takie kochanie,
Na zawdy zginęło (2).

I śpiewając, szybkim krokiem wyszedł z karczmy.

(1) Czyli nalejcie.
(2) Pieśni ludu, K. Wł. Wojcickiego. Tom IIgi, str. 221.

— A już tego Sierpnia—odezwał się jeden z parobczaków nawdziéwając kamizelę—musiało jakieś złe przyprowadzić do karczmy; ino po próżnicy popsuł nam *kompaniją*.

— Ale i Janek strasznie dziwny—dołożył drugi.—Żeby kto mnie tak się naprzezywał, naodgrażał, to jakbym go złapał za ożydla..... (1).

— A do paciérza smarkaczu—przerwała jedna z kobiét występując na środek izby.—Czybyś się ty nie bał, żeby ci ręce poupadały, porywać się na siwą głowę, na takiego statecznego człeka.

— A to po co zaczypuje? po co przezywa? Mnie żeby nie wiem kto wlazł w drogę, czy żyd, czy szlachcic, czy chłop, to jakbym zamalował.....

— Albo to prawda? Ty dzieciuchu, nie obrażaj ot lepiéj Pana Boga.

— A juści, a juści, masz racyą Walek—potwierdziła młodzież—i żeby ino Janek był nie pokpił sprawy, a *chycił* się Sierpnia, a my mu dopomogli, no! tobyśwa dopiéro dali mu duchu.

— O! moje zuchy do klusek—odezwała się z przekąsem kobiéta—a od kaszy to ich i djabeł nie odstraszy. Fiu! fiu!

— Idźcie ot lepiéj spać, a nie wtykajcie nosa nie w swoje rzeczy.

— Zapewne—zapewne, potwierdzili drudzy—niepróżną widać macie głowę; idźcie, bo i wam może się co dostać.

— A wy dzieciuchy, wy fąfry—krzyknęła kobiéta ujmując w rękę mietlisko stojące w kącie—ja z wami tu zaraz krótko se pocznę, ja tu wnet nauczę was poszanowania dla starszych.

Młodzież ze śmiéchem zaczęła niby uciekać przed grożącą im miotłą, nie przestając drwinek i różnych przycinków, a wtém odezwał się jeden ze starszych gospodarzy:

— Cicho chłopaki, nie szalejta. Frankowa mają racyją co wam mówią, że niegodzi się na starszego rękę podnosić, bo to grzéch; a Janek, że tak ładno ze starym Sierpniem *se* począł, to mi aż świrczki w oczach stanęły. Poczciwy dzieciuch, zawdy jego cierpliwości Bóg mu bez nagrody nie zostawi. O! dobrato dusza musi być w takim człowieku, co umié tak uszanować starego.

— No, my téż nie ganiewa Jankowi—odezwała się młodzież—a jeżeli co mówiewa po przeciwności, to ino tak, aby się Frankowéj przeciwiać: bo przecież wiewa co to starość znaczy.

(1) Czyli klapy.

Gdy tak na podobnéj gawędzie upływa czas karczemnemu zebraniu, Janek już był daleko za wsią. Naprzód biegł prędkim krokiem, jakby chciał uciec od miejsca, w którém utracił wszystkie nadzieje, później cokolwiek zwolnił biegu, a gdy doszedł do wykutéj z kamienia figury, zwykle przez pobożnych na rozejściu się kilku dróg w różne strony stawianych; przystanął, uchylił pokornie kapelusza, zaczął poglądać w oblicze świętego, i ciężko westchnąwszy padł na kolana, odmawiając głośno wszystkie modlitwy, jakich go w domu rodzicielskim nauczono.

Lubo modlenie Janka zdawało się być prostém tylko odmawianiem wyrazów, w których myśl żadnego nie brała udziału, bo tak trzepał prędko i bez żadnéj napozór uwagi; spojrzawszy jednak na jego załzawione oczy w górę wzniesione, na pierś wzdymającą się pod częstemi westchnieniami: łacno dostrzegłeś, że tam i dusza i serce rwią się tylko do Pana nad Pany, lecz w prostocie i zbytku uczucia nie umieją promieniem słów przedrzéć się przez niebiosa i paść modlitwą u stóp Przedwiecznego.

Po małéj chwili, gdy już wygadał wszystkie umiane pacierze, nachylił głowę aż ku saméj ziemi i uderzając się w piersi, z coraz większém rozrzewnieniem mówił: „Boże! bądź miłościw grzesznéj duszy mojéj; Boże! zmiłuj się nademną; Boże! pociesz mnie téż, pociesz."

Przy ostatnich słowach łzy dotąd powstrzymywane trysnęły z oczu biednego Janka, łkając aż się zanosił prawie od płaczu i załamawszy ręce szeptał niewyraźnie: Ach Boże, Boże! na cóż mnie trzymasz na tym świecie..... Tyla ludzi zabiérasz do swojéj chwały, co po nich *ino* rozlega się po wsi, co tak ludzie płaczą, a po mnie jedna matusia inoby zapłakali, a niejeden możeby się i naśmiał. O! Boże, Boże, tyla zmartwienia..... tyla turbacyi..... Od czasu jak tatuś zamknęli oczy, to już sam nie wiém, co się ze mną dzieje.... Tak mi jakoś ciężko, tak mnie dusi *kajścić* wedle piersi i ściska, że inobym płakał i płakał. A ludziom wszystko *wadzi*, wszystko im nie na rękę; zapłaczę *se* albo posmutnieję, zaraz rzeką: ot głupi Janek płacze i smuci się nie wiedzieć czego; rozśmieszę ludzi jaką gadką albo się sam powesełę, jaźcić wszyscy: ot głupi Janek weseli się z biedy swojéj—i wszystko zawdy głupi i głupi. O! Boże, Boże, przecież ja ludziom niczém nie zawinił, nikomu*ta* w drogę nie wlazłem.....

Przy tych słowach Janek powstał z kolan, obtarł zroszone łzami oczy i wyraz dumy mignął na twarzy, bo mu Wojciech i Basia przyszli do myśli. Milcząc, jakąś chwilę stał tak zadumany, tylko

częstszemi westchnieniami i niespokojnym ruchem rąk, poprawiając to kapelusza, to odzienia, zdradzał wewnętrzne szamotanie się duszy z wypadkami bolesnéj rzeczywistości.

— Wojciech, o Wojciech — odezwał się znowu po małym przestanku — onito narobili wszystkiego, oni pragnący na majątek, na bogactwo, jakby *ino* w majątku uciecha była dla ludzi. Oj! głupi ludowina, głupi; ja choć ciężko pracuję, a wszystko aby ino kałdun napchać i grzbiet przykryć jakimta łachem, to mi nieraz tak ładno spojrzéć po świecie, tak mnie wszystko cieszy, że gdyby mi ludzie nie wiedzieć co dawali, to nigdy nie chciałbym przemienić się w innego człeka. Ot na ten przykład dzisiaj bez dzień cały, póki Wojciecha nieszczęście nie przyniosło do karczmy...—tu Janek ścisnął pięść jakby z gniewu; ale tylko chwilę trwało uniesienie, wkrótce ręka opadła i rzewnie mówił daléj — chociaż Wojciech są *przyczyńcą* do wszystkiego, chociaż nawydziwiał na mnie tyla, jakby na jakiego kryminalistę, jednak ja nie mogę miéć dla nich przeciwnego serca; niech biją i zabiją, mnie zawdy będzie w myśli, że oni są rodzicem Basi. Oj Basiu, moja Basiu!

I Janek usiadł na małym wzgórku pod figurą i zasłonił twarz rękoma.—Co ja winien, że już tak zagubiłem się w tobie: przecież ja se tego w głowie nie ułożyłem, ino tak ot przyszło nie wiedzieć zkąd. Jabym cię wszędy poznał, chociaż poomacku, choćby ludzi Bóg wié wiela było. Idzie ludowina do roboty, zdaleka wszyscy jednako wyglądają; ja ino spojrzę i cisnę okiem po polu, juścić wiém kaj się Basia podziewa: nikt nie dojrzy, a dla mnie nie ma *daleko-ści*. O! Basiu moja, Basiu, żebyś ty z kim innym miała miéć wesele, jaby się zatracił, jaby się utopił, albobym musiał leciéć *kaj* w świat daleko, żeby ino nie patrzéć na uciechę drugiego. O! Boże mój jedyny, ratujże mnie, ratuj.

Znowu nastąpiła chwila milczenia, a promień księżyca oświetlając całą postać Janka, zdawał się zaglądać w najtajniejsze zakątki duszy biedaka i pociągać ją ku temu, co mu kazał przyświecać ziemi i patrzéć na biedne robaki, których my ludźmi zowiemy, jak nieraz dla fraszki płaczą i z fraszki radują się i weselą.

Mała pauza milczenia uspokoiła cokolwiek Janka; wspierając więc głowę na ręku, mówił daléj:

— Dobrze że nikt nie słyszy mego gadania, boby znowu powiedział, że Janek głupi, gada do siebie nikiéj szalony; bo ja choć między ludźmi, kiedy na mnie tak padnie jak dzisiaj, i jednego słowa nie wyrzekę, to na osobności nie wiem kiedy mi się ma gęba zam-

knąć, a ludzie zaraz: głupi Janek i *juści*. O ho! gadalibyśta i wy tak, żeby ino wam tak wszystko we środku jak mnie kotłowało, nikiéj woda w garnku kiedy się gotuje: i woda skipieć musi i gęba wygadać. Aleta *fracha* o ludzi, co tam! Pan Bóg lepszy jak ludzie; ale Basia, Boże jedyny, co ja bez niéj pocznę? Co ludziom wadzi, że się my kochawa? Przecież ja nie pragnący ani jéj wiana, bo żeby nie ludzka gadka, toby mi ono i w głowie nie postało, nie przyspieszam także i wesela, bo choćbyśwa *zawdy* ona Baśką, a ja Jankiem zostali, to i cóż? jabym *bez* tydzień służbę moję robił, żeby ludzie gęby nie mieli czém wycierać, a w święto szedłbym do karczmy i skakalibyśwa jak dzisiaj. Ale cóż? ludzie wszystko psują, bo ludzie wszystkiego zazdroszczą i do wszystkiego się wetkną. Oj ludzie, ludzie! Już niech*ta* ze mną co chcą robią, niech mnie po wsi obnoszą, co ino ślina do gęby przyniesie, aby ino Baśki nie tykali i nie odwrócili jéj odemnie do kogo innego. Baśka zwyczajnie jak dziewucha: potulna i *miętkiego* serca; nie ma téj hardości, co my mawa, i jak zaczną kłaść jéj w głowę, a wszystko naprzeciw mnie.... O mój Boże! o moja Basiu! przecieć*ta* miéj ulitowanie nad Jankiem.—O! gdybyto ja miał wiela gruntu, swoję chałupę, o ho! i stary Sierpień inaczéjby na mnie patrzał; ale że ja biedny, że ino dziesięć zdrowych palców mam w garści, to nawet przyznać się nie chce, że z jednéj wsi pochodziewa. Oj Boże, Boże! oj Matko Boska cudowna Częstochowska zmiłuj się nademną.—Janek przy tych słowach złożył ręce jakby do modlitwy, nachylił głowy i w ukorzonéj tak postaci pozostał chwil kilka.

Niedługo znacznie już uspokojony, w milczeniu począł się przyglądać pięknemu krajobrazowi wokoło niego rozpostartemu, nad którym, w niebieskim przestworze nieba, unosił się poważnie księżyc i migotały miliony gwiazd i gwiazdeczek. Miejsce na którém siedział, zdawało się panować nad całą okolicą. Zdala czerniły się wioska za wioską, otoczone cieniem rzuconym na ziemię od drzew i budynków, a od starego zamczyska w Osolinie, sterczącego dziś tylko ruiną, ciągnął się rząd lip starych prostą drogą aż ku kościołowi w Gozlicach, niby duchy ojców naszych, co wyszedłszy ze wspaniałéj swéj siedziby suną się poważnie do świątyni Pańskiéj, aby błagać Pana nad Pany o pomyślność i szczęście dla dzisiejszych ich następców.

Cisza nocna, przerywana tylko dalekiém szczekaniem psów i rechotaniem po sadzawkach i bagnach ukrytych żab, wśród któréj promień księżyca niezasłaniany zazdrosną chmurą bujał swo-

bodnie po niwach i polach, zdradzając odbiciem swego światła małe strumyki kryjące się po łąkach między trawami: jakimsiś dziwnym urokiem okrywała cały obraz, który z prawéj strony za ramę miał ścianę niewielkiego lasku, a wprost i na lewo ciągnął się daleko jak tylko okiem zasięgnąć się dało.

Janek poglądał to po polu, to po niebie, a w głowie widać różne myśli mu się snuły, bo twarz raz pochmurniała i wtenczas wyciągał rękę przed siebie, jakby nią groził; czasem znowu dziwnie promieniła jakby rzewnością, smutkiem, czy nadzieją, i wówczas odgarniając spadające na czoło włosy wznosił oczy ku niebu, rękę przyciskał do piersi, z których się lekkie i tęskne wydobywało westchnienie.

— Mój Boże! — po długiém milczeniu odezwał się — co tu gwiazd na niebie, a wszystkie jak *ładno* świecą, nikiéj świece w kościele przy ołtarzu podczas nabożeństwa. Ale *kajta*: ani świec, ani ludzi tyla na świecie, co gwiazd na niebie, bo kaj ino człowiek się obróci, to wszędy gwiazdy i gwiazdy; a tu tyla widzę światu, a człeka ani jednego. Ludowina mówi, że to gwiazdy i *juści*; ale to nie gwiazdy, ino święci Pańscy i aniołowie tak oczami świecą, żeby ludziom było widno po nocy. Mój Boże! jak to kiedyś musiało być dobrze na świecie, kiedy tyla świętych było między ludźmi: bo teraz, to i jeden człek nie *patrzy* na świętego (1); wszyscy *ino* dla siebie, żeby okpić, oszukać. Oj! głupi ludowino, głupi, nibyto bogactwo człek zabierze z sobą na tamten świat.

Po małéj pauzie milczenia oglądając się wokoło siebie mówił daléj:

— Jak to po nocy dziwno wszystko wygląda! Żeby człek nie wiedział że to wsie i jak się która nazywa, że tam, o! stoi wiatrak, *hajnok* krzyż, tam drzewa: toby myślał, że jest na *smentarzu* w Obrazowie i patrzy się na groby i na różne krzyże i figury, coto ludzie krewniakom swoim postawili. O! mój Boże! tamto dopiéro będzie spokojność! Tam się człek ani zafrasuje, ani po głowie nie będą mu chodzić różne *cudeńka*; nie tak jak tu, co człowiek raz się rozśmieje, a dziesięć zapłacze. A jakto księżyc ładno świeci, nikiéj Basia, kiedy się śmieje, albo.... O! teraz strasznie brzydko wygląda, bo się ino mieni w czarnéj chmurze: nikiéj stary Sierpień, kiedy się mnie

(1) Wyrażenia *patrzeć na co*, lud wiejski używa zamiast wyglądać; np. patrzy na poczciwego człowieka, patrzy na złego i t. p., zamiast wygląda na poczciwego, na złego i t. p.

chciał *chycić* w karczmie do bicia. O Wojciechu, Wojciechu! coście wy do mnie upatrzyli? Oj! Basiu moja, Basiu, czy ty teraz płaczesz, czy się śmiejesz?..... a może ty nie dbasz o mnie.... może ja ci ani postaję w głowie?.... może inny..... może....

Jeszcze Janek jakiś czas podobnie majaczył, wymawiając urywane wyrazy, między któremi najczęściéj było słychać imię Basi i Wojciecha, aż nareszcie na znużone oczy zsunęły się powieki, głowę wsparł na ręku, i usnął. Wkrótce szary skowronek, jakby chciał pocieszyć i natchnąć nadzieją płaczące serce biédaka, odezwał się świegotaniem, witając jutrzenkę różującą wschodnią stronę horyzontu.

Gdy Janek dopiéro usypia, ptaszyny już rozbudzają się ze snu, i coraz gwarniejszém śpiewaniem napełniając powietrze, zdają się mówić: — biédny człowieku z całą dumą swego rozumu, patrz, jak my swobodne i wesołe, jak nam nieznaną jest boleść serca, pod brzemieniem któréj nieraz upadając bluźnierstwem kalasz usta, poddając się nikczemnéj rozpaczy.

Zostawiwszy Janka uśpionego pod figurą i całą świegocącą rzeszę, która na widok piérwszego rąbku wschodzącego słońca, wszystkiemi tonami zagrała pieśń powitania, my zaprowadzimy czytelnika do Jakóba Ziemby, aby go zapoznać bliżéj z ostatnią osobą naszego opowiadania, a bardzo wpływającą na całą przyszłość biédnego wieśniaka-poety.

Jaka zachodziła różnica w powierzchownéj postaci między Ziembą a Sierpniem, taka sama okazywała się i w moralném ich usposobieniu duszy i serca, stawiając drugiego w ogólnym ludzkim szacunku, a piérwszego jeżeli nie w głośnéj nienawiści, to przynajmniéj w pokątnych szemraniach na zdzierstwo i chciwość, które bardzo zręcznie umiał okrywać płaszczykiem udanéj pokory i nabożeństwa.

Jak Sierpień trzymał się zawsze prosto jak żołniérz na warcie, do czego przywykł w służbie wojskowéj, z głową dumnie podniesioną i każdemu śmiało patrzył w oczy, był przytém prędki i skory do gniewu, ale i łatwy do upamiętania; tak znowu Ziemba cichy, spokojny, łagodny, ze słowami miłości i pokoju na ustach, chodził zawsze nieco przygarbiony z wrośniętym wyrazem przyjacielskiego uśmiechu na twarzy, którym dzielnie umiał pomagać kłamanéj zwykle mowie.

Od młodego wieku sierota po biédnych rodzicach, których ludzie prawie z łaski pochowali, przechodząc przez różne koleje

praktycznego życia, w jakiém nędza szczególniéj w dziecinnym wieku dobrze mu się dała we znaki, zawczasu wyrobił w sobie poznanie, że biédnemu źle na świecie, i że tak i owak starać się trzeba wszelkiemi sposobami, aby zabiegami i oszczędnością, dorobić się jakiego grosza, i choć kiedyś wyjść na człowieka i zapewnić spokój na stare lata.

Stanąwszy raz w takiém stanowisku pojmowania, nie zboczył z niego potém już ani na włos jeden; a w miarę wieku i nabywanego doświadczenia, rozszerzał i środki, nie gardząc żadnym, który go doprowadzał do celu przez niego założonego.

Nabrawszy stosownych sił fizycznych, zawód swój rozpoczął od służby za parobka dworskiego w jednéj z wiosek niedaleko Świątnik położonéj; lecz wkrótce poznał, że ze służby nic nie zbuduje, że przyjdzie całe życie biédę klepać, jeżeli jakim szczególnym zbiegiem okoliczności nie wybrnie z nieszczęsnego kółka, w jakiém go los na świecie pomieścił. Bo chociaż oszczędnością posuniętą do najwyrachowańszego skąpstwa przez lat kilka uciułał ośm rubli w srébrze, a wkradaniem się w łaski dziedzica i ekonoma, donoszeniem najmniejszych przewinień swoich współtowarzyszy, zyskał pochwałę lub kieliszek wódki, tak z jednéj jak często i z drugiéj strony, chcącéj datkiem milczenie jego okupić; ale wszystko to nic nie znaczyło dla chciwego Jakóba, i jeszcze bardziéj podsycało wzbudzoną żądzę zbierania grosza. Dotąd wszystko szło jeszcze jako tako: zbierał, ciułał, oszczędzał, jednego nawet grosza nie wydając bezpotrzebnie, ale przynajmniéj bez krzywdy ludzkiéj, bez łez i przekleństw spadających na sumienie Jakóba, i możeby na całe życie został tylko skąpym a nie nikczemnym chciwcem i derusem, gdyby nie mała pewna okoliczność, która go stanowczo pogodziła z każdym środkiem piéniądz w zysku przynoszącym.

Przedewszystkiém trzeba wiedzieć, że Kuba, jak go wówczas nazywano, zajęty ciągłą myślą polepszenia swego losu, gdy był prostym tylko parobkiem, zamierzył pomału wyjść koniecznie na karbowego lub innego podrzędnego oficyalistę dworskiego, jako naturalnie większą pensyą uposażonego i mającego pod swoim zarządom cały zapas gumienny, z którego choć nie kradzieżą, ale mógł zbierać małe okruchy to dla siebie, to dla drugich, i w zamian ściągać małe datki, w szczególe chociaż niewiele, lecz w massie zawsze coś stanowiące. Kuba znał to dobrze, że grosz dokładany do grosza, jak nic złotówkę uformuje.

Dlatego też był tajnym szpiegiem swoich towarzyszy, i ciągłym donosicielem najmniejszych ich sprawek, często z komara robiąc wołu, żeby zyskać zaufanie pana. I udało mu się doskonale; dziedzic coraz więcéj go lubił, a Kuba tak zręcznie spełniał swoje tajemne obowiązki, nieraz dla pozoru prosząc o burę i ostre wyłajanie, że potulną minką umiał wszystkich oszukać, i jeżeli zupełnie nie, to przynajmniéj bardzo małe ściągnąć na siebie podejrzenie.

Gdzie jednak szło o własną korzyść, tam nie był takim skrupulatem: ciągnął zyski gdzie się tylko udało, a choć znalazł się jaki donosiciel, to Kuba zaparł się wszystkiego, zawczasu umiejąc zręcznie usunąć wszystkie pozory mogące go wydać: któżby więc nie uwierzył tak przychylnemu słudze? Kuba przy indagacyi rozpłakał się, pan go jeszcze za to poczęstował wódką, a oskarżyciel wykrzyczany, odchodził z kwitkiem narażając się przez długi czas na zemstę Jakóba, aż jakim datkiem lub poczęstunkiem ułagodził przecie rozzłoszczonego Cerbera.

Tak stały rzeczy; Kuba się tylko uśmiechał do czekającéj go przyszłości, gdy razu pewnego, jak sam powiadał, podkusiło go jakieś złe, i ujęty znacznym zyskiem, pożyczył jednemu z gospodarzy połowę z takim mozołem uzbieranego kapitału. Zrobiwszy ten interes na przednowku, miał być spłaconym zaraz z nowego, a w prowizyi dostać staje roli pod owies, któreby mu na czysto najmniéj ze trzydzieści kilka złotych uczyniło.

Za kilka miesięcy podwoić z nasypką pożyczony kapitał, śliczny interes; Kuba też wyliczył cztery ruble, a zabrawszy się ostro, zasiał, zaorał, co także pociągnęło za sobą znaczny wydatek; i dzień i noc tylko liczył i przemyśliwał, co robić będzie daléj z piéniędzmi, gdy te tak znacznie powiększone, wrócą znowu do jego kieszeni.

Ale człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi: bo gdy Kuba tak rośnie w nadzieję robienia piéniędzy i zawczasu oblicza złotówki i rubelki, jak z pożyczek podobnego rodzaju spadać będą do jego ręki: jak z parobka zostanie karbowym, a może i ekonomem chociaż nie piśmiennym, jak pokupuje krowy, konie, ożeni się, a do worka coraz więcéj będzie przybywać;—na raz jeden uderzył go cios, który chwilowo stał się prawie grobem wszystkich tak pięknie snutych planów.

Tym ciosem była śmierć wierzyciela; a że to był człowiek biédny, bo tylko biédny pod tak uciążliwemi warunkami może

przyjmować pożyczki, i że nic prawie po sobie nie zostawił, a co było, to poszło na chorobę i pogrzeb; zwrotu więc pożyczonych pieniędzy nie mógł się spodziewać, pokładając całą nadzieję jeszcze w owém staju owsa, które jeżeli nie zysk spodziewany, to przynajmniéj zapewniłoby powrót uskutecznionéj pożyczki.

Ale jak na złość wszystko się spiknęło na Kubę. Znalazło się zaraz mnóstwo ochotników na opustoszałą rolę, obsiéw staja owsa wypłynął na wiérzch, roli nie zostawiono przy wdowie jak tego sobie życzył, bo za staraniem ekonoma dano ją komu innemu. Rozsądny dziedzic chcąc chwilowo przynajmniéj ukarać chciwego procentowicza, oświadczył, iż czyja rola, tego i zasiéw na niéj, a skoro Kuba tajemnie uwikłał się w pożyczkę z nieboszczykiem, niech idzie do niego po odbiór, — mając zawsze zamiar zapłacić i zwrócić wyłożone wszystkie koszta, przez tak dotkliwie oszukanego spekulanta.

Kuba ledwo nie oszalał z rozpaczy, gdy się dowiedział o tak tragicznem rozwiązaniu interesu. On, co ciułał i zbierał przez lat kilka z takim mozołem, co budował przyszłe plany korzyści i zysków bez końca i końca, na raz jeden wszystko widzieć wniwecz obrócone: — to zdawało się dla niego gorszém być od saméj śmierci, gorszém od największego nieszczęścia, jakie może dotknąć kiedykolwiek człowieka.

W jednym dniu zbladł, schudł, zmizerniał, a z każdą chwilą większą pałał nienawiścią ku ekonomowi, jako głównemu, jak sądził, sprawcy swego nieszczęścia, którą drwinki i żarciki tegoż coraz bardziéj podsycały.

— A cóż kapitalisto, procentowiczu — mówił do niego ekonom — tęgi zrobiłeś interes; jeszcze ze dwa takie, to wyjdziesz na dziedzica. Chodź kapitalisto po obrok; kapitalisto, a wóz nasmarowany?—Kuba drżał z gniewu i zmartwienia, gdy ekonom ciągle mu podobnie docinał; zaciskał usta zgrzytając zębami, ale milczał, jedném słówkiem nie zdradzając wewnętrznéj zgryzoty, co mu jak nożem serce krajała.

Ekonom jednak nie zważał na to, i w miarę cierpliwości Kuby, podwajał dozy swoich żarcików; a że dopóty dzban wodę nosi, póki się ucho nie urwie, więc i tu się urwało, ale niestety! na skórze i tak już biédnego Kuby.

Na drugi dzień po ciężkiém zmartwieniu jakie go dotknęło, gdy pomimo rzewnych, płaczliwych i pokornych próśb do dzie-

dzica, ten mu stanowczo oświadczył, że nie jest obowiązany za nikogo płacić długi, a tém bardziéj za nieboszczyka, co mu i tak blizko sto złotych pozostał dłużny; że rolą powinien obsianą odebrać, bo taką dał do użytkowania, i kto nie na swojém sieje, nie może się i zbioru spodziewać; Kuba straciwszy wszelką nadzieję, pomimo odwoływania się do położonych zasług, nie domyślając się wcale, że to tylko dla ukarania go komedya była z nim odgrywaną:— stał w południe około stajni przy płocie, zły jak piekło, przeklinając w duszy i ekonoma, i dziedzica, i siebie samego, a nawet i nieboszczyka, który wszystkiego najpiérwszym stał się powodem.

Parobcy inni drzémali w stajni, bo to była chwila wypoczynku południowego, a on stojąc przy płocie, wzdychał, skrobał się po głowie, i szeptał pocichu przekleństwa na mniemanych winowajców.

— Żeby cię choroba utłukła — to było dla dziedzica.—Żebyś-*ta* jeszcze po śmierci latał het po polu, z memi tak krwawo zapracowanemi ośmioma rublami—to było dla nieboszczyka wierzyciela.—Żebym już na piękne zgłupiał, kiedy mnie raz tak złapało—tyle tylko życzył sobie wydzierając z głowy porządną garść włosów.—Żebyś się niczego nie dorobił - to najokropniejsze przekleństwo w mniemaniu Kuby było ofiarowane ekonomowi, który właśnie wtenczas, kiedy Jakób ostatni wyraz domawiał w myśli, stanął tuż przy nim, i spuszczając rękę na jego ramię z lekkością centnara ołowiu, odezwał się z szyderskim śmiechem:

— Cóżto kapitalisto tak medytujesz? czy myślisz o swoich rublach?

Jakób wrząc cały wewnętrznym gniewem, przytém uczuwszy chociaż żartobliwe, ale zawsze bardzo bolesne uderzenie w ramię, z niezwykłém ofuknięciem odpowiedział:

— A i cóż mnie pan bijesz? Cóżto niewolno mi stać, czy co?

— A cóżto sobie myślisz, ty łajdaku — odpowiedział już rozgniewany ekonom, kubek w kubek podobny do całéj ligi ekonomskiéj, któréj ubóstwo serca i głowy główną jest cechą—co ty sobie myślisz, ty gałganie, tak hardo mi odpowiadać?

— Nie gałganiaj pan nikogo—cały drżący ze ściśniętemi pięściami odpowiedział Kuba—ja nie pana gałgan, bo jak.....

W tém miejscu ekonom odwinął ręki i wyciął taki policzek nieprzygotowanemu na to Kubie, że ten pochylił się i padł

wznak na ziemię. Podniósł się jednak natychmiast i z całą wściekłością człowieka poświęconego na wszystko, złapał ekonoma za gardło, ten znów jego, i wymyślając, przeklinając się wzajemnie, co tylko któremu ślina do ust przyniosła, szamotali się usiłując koniecznie jeden drugiego przewrócić.

Na nieszczęście dla Kuby, wtenczas właśnie, kiedy ten zerwał się na ekonoma, o kilkanaście kroków znajdował się dziedzic; i gdy pomimo jego rozkazu i łajania bitwa nietylko nie ustawała, ale udało się nawet Jakóbowi przewrócić przeciwnika i okładać potém porządnemi szturchańcami: dziedzic rozgniewany, iż pod okiem jego mogło miéć miejsce takie zuchwalstwo, kazał zawołać ludzi, ściągnąć Kubę z ekonoma i potém na pamiętne wyliczyć batogowe napomnienie.

Rozkaz co do joty wypełniony został, a rozwścieczony ekonom, gdy udzielał przeznaczoną Kubie gratyfikacyą, wołał ciągle:

— Łotrze! zuchwalcze! będę póty bił, aż zabiję, a jak zabiję, to zapłacę i figę mi zrobią.

Plagi wprawdzie wkrótce się zgoiły, chociaż ich coś około pół kopy dochodziło, bo jak Kuba powiadał późniéj, że się mu w rachubie zmyliło, chociaż doskonale umiał rachować, i dlatego nie wié z pewnością, czy 28 czy 30 ich dostał; ale chęć zemszczenia się i dwa wyrazy: *zabiję* i *zapłacę*, na wieki utkwiły mu w pamięci.

— Ho ho!—mówił sobie późniéj, kiedy już na zimno mógł rozważać smutny ten wypadek—widać, że to nie głupia rzecz miéć dużo pieniędzy, kiedy i człeka zabić można, a potém się z tego opłacić. No, no!

I myśląc tak Kuba kręcił głową, wzdychał i przemyśliwał, jakby koniecznie zdobyć to, co tak wielowładném pokazuje się być na świecie, i mocy jego naprzód doświadczyć na ekonomie.

Trzeba bowiem wiedzieć, że Kuba chociaż napozór zdawał się bardzo łagodnym i potulnym, nadzwyczaj był jednak mściwego charakteru; i jeśli nigdy gniewem nie wybuchnął, to już jak rozgniewał się na kogo, to póty czekał, choćby rok i dwa, póty przemyśliwał, póty wrzał gniewem, dopóki nie oddał wet za wet, rozumié się z podwójnym procentem.

Można więc łatwo sobie wyobrazić, co się działo w sercu Kuby po wypadku, w którym i skóra i kieszeń tak boleśnie ucierpiały. Spojrzawszy na niego zdawało się, że to nie ten sam da-

wniejszy chłopak dosyć przyjemnego oblicza: tak cały spochmurniał, tak mu z oczu i twarzy żal, gniéw i zemsta wyglądały. Ale nie było rady, trzeba było wszystko zdjąć z twarzy i schować do kieszeni, bo batów niemało na świecie, a ekonom szczególnym był amatorem garbowania skóry chłopskiéj, tym tak przeważnie przekonywającym argumentem.

Od tego téż czasu stał się małomównym, a więcéj zagłębionym w sobie. Cały gniewem przejęty i ciągle prześladowany przez ekonoma nowym przydomkiem *ponurego wilka*, tylko myślał i przemyśliwał jak się naprzód zemścić, a potém jak wybrnąć ze służby parobkowéj i stanąć na gruncie lepszéj cokolwiek przyszłości.

Straciwszy nadzieję zostania oficyalistą dworskim, a zresztą zmierziwszy sobie stan, który mu tak się dał we znaki, naprzód obrócił myśl na bogate ożenienie, bez względu na osobę; do czego młodością i dosyć szykowną powierzchownością zdawał się miéć wszelkie prawo.

Piérwszy krok jego był do siostry Sierpnia, a dzisiejszéj Łazowéj, z którą już cokolwiek zapoznaliśmy się; ale tam nieprzyjęty ani przez rodziców, ani przez córkę, uderzył z zalotami do drugiéj i trzeciéj: lecz wszędzie jakoś mu się nie poszczęściło, wszędzie dostał odkosza.

Chociaż zmartwiony, ale niezrażony niepowodzeniem, nie przestał przebiegać myślą wszystkie wsi sąsiednie, wyszukując w nich posażnego dla siebie małżeństwa; aż razu pewnego ni ztąd ni zowąd, tam, gdzie się najmniéj spodziewał, znalazł to, czego tak gorąco pragnął.

W téj saméj wsi w któréj służył Kuba, znajdowała się już niemłoda wdowa, utrzymująca po mężu zagrodę, a choć dźwigała piąty skończony krzyżyk wieku, nie przestała jednak stroić się zalotnie, przeglądać w małém zwierciadełku pomarszczonéj, odrażającéj szpetnością swéj twarzy, co wszystko jasno mówiło, że wdówka myśli o mężu, i żeby rada uszczęśliwić jakiego śmiertelnika swoją piegowatą rączką, jakby dla harmonii okrytą liczną rodziną małych i dużych kurzajek. Ale babinka chociaż gorące miała serce, głowa jednak nie w ciemię bita; na zimno wszystko obliczała i pragnąc wyjść za mąż, oprócz młodości w przyszłym swym małżonku, bo to warunek był bez żadnego *ale*, pragnęła znaléźć człowieka ze statkiem i zabiegłością, któryby nie strwo-

nił posiadanego mienia, złożonego z kilku krów, owiec, trzody, pary koni i dosyć pękatego worka.

Swój swego zawsze znajdzie, i Kuba zdawał się babince odpowiadać wszystkim wymaganym warunkom. Niedługo jakimś wypadkiem zeszli się z sobą, pogadali, a gdy Kuba przekonał się, że w komorze są jeszcze i połcie słoniny, i kasza, i mąka, i zboża kilka beczek, a w worku trzysta złotych samemi rublami: aż podskoczył z radości, uśmiechnął się mile do swojéj przyszłéj i postanowiono wesele.

Najtwardszy był tylko do zgryzienia orzech, owo nieszczęśliwe zadarcie z ekonomem, a ztąd i niełaska dworu, bo nie wiedział czy przystaną na objęcie przez niego zagrody, czy będą chcieli mieć we wsi gospodarzem tego, który się tyle okazał zuchwałym względem oficyalisty, a co gorsza, względem samego pana.

A zagroda była piękna, dobrze sprawiona, dobrze obsiana: szkoda byłoby jéj porzucić, i dopiéro szukać po świecie nowéj dla siebie siedziby. Nie było więc co robić, trzeba było koniecznie dwór i ekonoma przeprosić, bo inaczéj kusa rada: zagrodaby przepadła, a kto wié, czyby i małżeństwo, którego się Kuba chwycił nogami i rękami, przyszło wówczas do skutku.

Jednéj więc niedzieli wypogodziwszy twarz, jak tylko mógł najlepiéj i ustroiwszy ją przyjaznym uśmiechem, z oczami spuszczonemi, bo w nich jednych czuł, że pozostał płomień nigdy nieugaszonego gniewu, i te mogłyby go wydać, poszedł najprzód do ekonoma, potém do dworu i udaną pokorą, potulną minką, cichym, rzewnym głosem, póty błagał, póty przepraszał, aż wszystkich przekabacił po swojéj myśli i otrzymał przyrzeczenie zdania na niego zagrody.

Wkrótce odbyło się wesele. Kuba rozparł się na nowém gospodarstwie, a chociaż śmiano się i szydzono z tak niestosownie zawartego małżeństwa, on drwił z tego, pracował, zbiérał i maski raz na twarz przybranéj już nie zmieniał: bo zadziérać z dworem niepodobna, gdy się ciągle jego względów potrzebuje, a zapomnieć urazy nie umiał.

Kłamane więc to wypogodzenie twarzy, ów uśmiéch przyjacielski, spuszczanie oczu, potulność i łagodność mowy i całego obejścia, pomału, z czasem wrosło mu w twarz, w mowę i w ruch całéj postaci, wyciskając niezatarte piętno fałszu, do jakiego i chciwością i zbiegiem okoliczności przymuszony prawie został.

Pieniądz robi pieniądz, a przemyślna głowa Kuby tak umiała obracać małym posażnym kapitalikiem, że rzadko upłynął miesiąc, aby jeden lub dwa ruble nie wpłynęły do worka.

Małżeństwo żyło przykładnie, zgodnie, bo oboje lubiąc nadzwyczaj grosiwo, nie mieli czasu na swary, gdy tylko jeden cel widzieli przed sobą. Babinka nie posiadała się z radości mając młodego i tak przemyślnego męża, a szanowny małżonek zwykłym swym wyrazem twarzy przymilając się połowicy, myślał w duchu: przecież tego co mamy nie zabierzesz z sobą do grobu.

I tak lat kilka upłynęło, Kuba zyskał przychylność dworu, podwoił mienie, wydoskonalił się jeszcze lepiéj w przybranéj roli świętoszka, i jeżeli nie z radością, to przynajmniéj nie z wielkim smutkiem owdowiał, stając się jedynym spadkobiercą pozostałego mienia, gdyż nieboszka była bezdzietną i bez żadnych bliższych krewnych.

Wkrótce jednak poznał Kuba, że źle bez gospodyni; że bez czujnego w domu oka niedaleko zajedzie, i że z braku dozoru, co dzień na nowe straty narażony zostaje. Postanowił więc powtórnie ożenić się, ale już stosowniéj jak piérwszą razą, i jeżeli nie z wianem, to przynajmniéj z jaką pracowitą, potulną dziewuchą.

Gdy tak namyśla się, gdzie trafić ze swoim wyborem, dowiedział się przypadkiem o młodéj wdowie także bezdzietnéj w Świątnikach mieszkającéj, mającéj cokolwiek i gruntu i własne oddzielne zabudowania, które w połowie należało drugiéj siostrze zapłacić. Kuba kręcił głową, rachował, mało mu się to wprawdzie cokolwiek zdawało, ale że wdówka jakoś mu wpadła w oczy, i pokalkulował, że dostawszy się między Świątniczan, wyborne na pożyczki będzie mógł z niemi robić interesa, że tam nie ma dziedzica ani ekonoma, którzyby mu znowu w drogę wléźć mogli, i że każdy jest właścicielem posiadanego gruntu; położywszy na czole znak krzyża śgo, gdyż od czasu piérwszego małżeństwa coraz stawał się nabożniejszym, poszedł do wdowy, pogadał z nią otwarcie, wywiedział się o wszystkich interesach, które znalazł w nienajlepszym stanie, i powiedziawszy sobie: „jakoś to będzie, abym tylko raz wlazł między tych gawronów Szpitalników", odbył zaloty, dał potém na zapowiedzi, i w kilka tygodni odbyło się wesele.

Tu dopiéro otworzyło się dla Kuby pole zysków, o jakich wprzódy nie marzył, ale zarazem i szkoła chciwości, zdzierstwa i hypokryzyi, w czém także dawniéj nie był tak wydoskonalony.

Naprzód potroszku, po dziesiątce, po złotówce, ćwiartką zboża, wynajmem koni do roli lub miasta, wypłacił siostrę żony z zajmowanych budowli.

Mając podostatkiem własnych porządków gospodarskich i inwentarza, posiadane pieniądze, których było blizko siedmset złotych, w połowie rozpożyczył między uboższych mieszkańców, biorąc od nich w zastaw grunta trzy i cztéry razy więcéj warte niż pożyczka wynosiła, a drugą mniejszą połowę trzymał w domu, aby na wszelki wypadek pomyślnego jakiego interesu, nie być nigdy bez funduszu.

Niedługo biedaki utraciwszy pożyczone pieniądze, znowu w prośby do Jakóba, bo gdzież mieli pójść, kiedy to, co posiadali, on trzymał w zastawie. Jakób wzdychając, ubolewając, czasem dołożył, gdy natrafił na jakiego upartego, ale częściéj tak umiał rzecz przełożyć, że coś dodawszy, stawał się zupełnym właścicielem zastawnego gruntu.

Ztąd po całém polu świątnickiém miał rozrzuconą własność: tu zagon, tam dwa, gdzieindziéj pół tylko; i chociaż na każdym z nich prawie ile zdziebeł rosło, tyle łez ludzkich znajdowało się, ale Kuba na to nie zważał, mówiąc sobie pocichu: „płaczcie, *ino* płaćcie, a o resztę fracha".

Głośno zaś tak się umiał ładnie tłumaczyć, a wszystko z przyjacielskim uśmiechem na twarzy i potulnym głosikiem, że każdego przekonał, iż skupując tym sposobem grunta, biednym nawet łaskę robił, sam nic nie zarabiając; nie mówiąc jednak, że sam niejednego prawie namówił do zaciągnięcia pożyczki, jak tylko dopatrzył w kim dużo skłonności do marnotrawstwa i hultajki.

Ponabywane w ten sposób kawałki gruntu tą samą drogą pomału łączył z sobą, przemieniał, odprzedawał, nabywał, lecz żadnego nie zrobiwszy kroku, aby na nim choć kilka złotych nie zarobić. Byłoto głównem zadaniem każdéj czynności Kuby, utrzymując słusznie, że z groszy formują się złotówki, a ze złotówek dukaty.

A z jaką zręcznością wszystko to dopełniał, jak umiał każdego odurzyć i przekonać, że jemu tylko stratę, a komuś prawdziwy zysk przynosi; to prawdziwie patrząc na jego obroty, niejeden z naszych spekulantów możeby się zawstydził, że go prosty chłop w przebiegłości i rozumie przewyższa.

Znał też to dobrze nasz Jakób Ziemba i nieraz układając nowe jakie plany, wzdychając, mówił sobie: o! żebym to ja jeszcze znał czarne na białém, i miał jaką taką *adukacyją*, no, to jużbym chyba pół świata zakupił.

Koniec końców, ni ztąd ni z owąd, po kilkunastu latach mozolnych zabiegów znalazł się Kuba przy posiadaniu pięknéj części ziemi, stawiającéj go między najbogatszemi wsi mieszkańcami. Wtenczas Kuba odetchnął, bo mając już własne zabudowanie, spory kawał ziemi i zawsze gotowiznę w domu, widział spełnione w znacznéj części marzenia, które od młodego wieku nigdy jego głowy nie opuszczały.

Zyskawszy dobry niezależny byt na świecie, nie przestał jednak zabiegów do powiększenia mienia dążących, bo żądzy ludzkiéj i chciwości nie ma granic na świecie, a u Kuby z wiekiem żądza zbiérania w zastraszający posuwała się sposób. Nie mógł pieniędzy dawać na grunta, pożyczał na zastawy, a zawsze z sowitym procentem, nieraz dwa razy przenoszącym kapitał.

Prowadzenie tego rodzaju spekulacyi na większą skalę, bo prawie całą jednę komorę miał zapchaną samemi fantami, zaczęło pomału otwiérać oczy ludziom na zdzierstwo Jakóba, które nader stawało się widoczném. Ale nasz spekulant umiał się ze wszystkiego wykręcić, i jeżeli nie wszystkich, to wielu z mieszkańców było takich, co w postępowaniu Jakóba nic nie widzieli zdrożnego.

Podzielenie takie opinii o jego uczciwości bolało go niezmiernie, a chociaż czuł, że ludzie źle o nim mówiąc mieli zupełną słuszność, powszechnym wszystkich derusów i lichwiarzy zwyczajem pragnął na gwałt uchodzić za poczciwego człowieka i posiadać we wsi ten szacunek, jaki się tylko cnocie i szlachetności należy.

Ale opinia nie zna rozkazu; codzień więcéj szemrano, a znany nam Wojciech Sierpień był mu solą w oku, bo każda jego pochwała kłuła go jak szydłem, niby powiadając: tyś nie taki jak Sierpień.

Wówczasto udało mu się skojarzyć małżeństwo między jedynym synem a córką Sierpnia, który należał do téj cząstki wsi mieszkańców, co naturalnie skutkiem dobrego bytu nie mając żadnych stosunków pieniężnych z Ziembą, nie czuli bólu biedniejszych szemrzących pokątnie, że derus, lichwiarz, że i z ołtarza by ściągnął, aby tylko wiedział, że trzy grosze zarobi.

Ale wkrótce przekonał się, że na spokrewnieniu z taką *familią* bardzo mało co zyskał, bo i szemrania nie ustawały biedniejszych, i bogatsi uważając go zawsze za obcego przybysza, kładli go daleko niżéj od siebie.

Martwił się tém wewnętrznie, ogień gniewu buchał mu w piersi na arystokratyczną część wioski, ale twarz nie przestawała się odziewać już od tak dawna kłamanym uśmiechem przyjaźni, i zwracać do każdego z wyrazem łagodności i dobroduszności.

Już Jakób prawie utracił nadzieję postawienia się na równi z Sierpniem i innemi gospodarzami, już nawet powiedział sobie jak w bajce lis do kiełbas: „kpię z was Szpitalniki, zawdybyśta tego, co ja, nie umieli dokazać," gdy przez śmierć syna i synowéj pozostawiających ośmioletniego wnuka, nowa mu w głowie myśl zabłysnęła, o któréj wprzódy ani pomyślał.

Utuliwszy się w żalu po stracie jedynego syna, którego kochał całém sercem czułego ojca, zabrał wnuka do siebie ze wszystkiém, co po rodzicach zostało, chociaż Sierpień podług przyjętego we wsi zwyczaju, wniosek córki chciał odebrać, i to był piérwszy zaród nieporozumienia między starcami. Sierpień kiwnął tylko ręką i wyrzekłszy: „Weź weź, derusie, ale niech ci moja praca kością w gardle stanie," nie sprzeciwiał się więcéj, i całe gospodarstwo młodych Ziembów wraz z wnukiem przeniosło się do starego.

Skutkiem tego zajścia o wiano synowéj, Ziemba zaczął się zastanawiać o czém wprzódy nie myślał, bo to należało do nieboszczyka syna, że Sierpień ma jeszcze własne dosyć znaczne mienie, że mając dwie córki, takowe w połowie spadnie na jego wnuka, a on, jako pieniężny, po śmierci Wojciecha, gdyż lichwiarze, derusy nigdy o tém nie myślą, że także są śmiertelni i że umrzéć muszą, zdoła drugą połowę znanemi mu tak dobrze sposobami pomału nabyć, a sam jako dziadek i opiekun wnuka, zajmie w posiadanie całą własność Wojciecha.

Gdy tak pomyślał, aż zadrżał z radości; poleciał do miasta, poradził się prawników, i gdy rada ich zgodziła się z ułożonym planem, o niczém już więcéj nie myślał, tylko o przyszłém przeniesieniu się do siedziby Wojciecha, o zakasowaniu nazwiska Sierpniów imieniem Ziembów, o przywdzianiu nawet modréj czapki na głowę, z taką powagą przez wszystkich Sierpniów no-

szonéj, a tém samém o zyskaniu pierwszeństwa przed wszystkiemi wsi mieszkańcami i ogólnego poważania, jakie bezrozumnie sądził, że nie do osoby, tylko do miejsca przez Wojciecha zajmowanego jest przywiązane.

Słowem zapatrywał się na świat i na rzeczy jak niektórzy nasi dorobkowicze, co z łez ludzkich zebrawszy krocie, myślą, że herbem, liberyą, tytułem, dobrami i innemi podobnemi cechami zewnętrznemi otumanią oczy ludzkie i staną na równi z temi, co prawém, szlachetném postępowaniem, użytecznością dla bliźnich, utrzymując pracą i zacnością przodków swoich zdobyte mienie i znaczenie, w ciągłym w opinii ludzkiéj zostają szacunku i poważaniu.

Ale jest Bóg, co zna najtajniejsze myśli i sprawy człowieka, i są ludzie, co dobrze patrzą i pozorami nie dadzą się ułudzić.

Jak tylko więc ułożył sobie plan przyszłego wyniesienia, o niczém już więcéj nie myślał, tylko o wyjściu Basi Sierpniowéj za mąż za takiego, któryby najwięcéj przedstawiał widoków odpowiednich jego tajnym zamiarom. Janek był właśnie takim, jakiego pragnął, bo raz za bezcen prawie nabywszy jego cząstkę, był niemal pewnym, że późniéj wszystko zrobi co tylko zamierzy, i dlatego postanowił go wspierać wszelkiemi siłami.

Tak rzeczy stały w chwili, gdy się rozpoczęło nasze opowiadanie; a jeżeli od czasu zajścia o wiano młodéj Ziembiny, oba starcy, Wojciech z Jakóbem, krzywo na siebie zaczęli poglądać: nie zrywali jednak zupełnie stosunków, do czego jako naczelnicy dwóch spokrewnionych rodzin czuli się być obowiązani. Ziemba pieścił wnuka jako jedynego spadkobiercę i nazwiska i mienia, z takim mozołem przez lat tyle zbieranego, często go przyprowadzając do dziadka, Wojciecha.

Sierpień zaś ciągle przemyśliwał, jak urządzić następstwo po sobie, żeby i Basi dobrze było na świecie, i żeby ojcowizna nie poszła na marność. Ziemba przebiegłym rozumem domyślił się tych tajnych myśli Wojciecha, i w piérwszém uniesieniu, czemu bardzo rzadko ulegał, widząc na szwank wystawione swoje dążenia, wymówił się, że pójdzie w prawo i sto złotych straci, a nie dopuści, aby się jakakolwiek krzywda miała stać wnukowi.

Późniéj słów tych żałował, bo Wojciecha uczynił baczniejszym na swoje obroty; ale się stało, słów nie było można cofnąć, i Ziemba choć pozornie schował jak kot pazury, zostawiając zdala siéć, żeby mu się zdobycz nie wymknęła.

Coraz więc krzywiéj starcy zaczęli na siebie poglądać, i chociaż Ziemba z największą serdecznością witał zawsze Wojciecha, pozornie przyjmującego to z wielką uprzejmością, czuli mimo to obadwa, że się nienawidzą, i że radby jeden drugiego w łyżce wody utopić.

Co się daléj stało, okażą nam przyszłe wypadki, a teraz przejdziem do siedziby Jakóba Ziemby i staniem oko w oko z człowiekiem, który niebardzo korzystnie czytelnikowi odmalowany został.

Aleć bo i wieśniacy także są ludźmi! Są między niemi źli i dobrzy, zbrodniarze i cnotliwi, marnotrawni i skąpi, szczerzy i fałszywi, samoluby i z poświęceniem, hipokryci i pobożni: słowem, kubek w kubek tacy jak my, z tą tylko różnicą, że jeżeli u nich brak wykształcenia i cywilizacyi, robi każdy czyn więcéj szorstki, nieokrzesany, nawet często rażący zbytnią prostotą, a tém samém cnotę nietyle okaźną, a złe więcéj odrażające:—ta sama znowu cywilizacya i wykształcenie, jak dłuto rzeźbiarza szarą bryłę marmuru, przyobleka w piękne kształty i stwarza arcydzieła, naznaczając piętnem swém każdy krok naszego życia, musi dobre w nadobniejszych formach przedstawiać a złe więcéj ułagodzone, przynajmniéj na pozór nietyle odstraszające.

Dlatego włościanin, pobudzony zemstą lub żądzą posiadania pieniędzy, podpali lub zabije: bo nie czując wędzideł cywilizacyi, idzie za piérwszym popędem pobudzonych namiętności; a że czyny takie, jako gwałtowne, przerażają nas swoją okropnością, wołamy na przestępcę:—oto zbrodniarz, dla pieniędzy zabił człowieka, a przez zemstę podpalił—i pakujemy go do kryminału, okrywając hańbą i kajdanami.

My w takich razach lepiéj sobie umiemy radzić. Wiedząc, że za podpalenie lub morderstwo czeka nas sroga odpowiedzialność, bierzem do pomocy: szkalowanie, obłudę, potwarz, wybiegi prawne, pieniactwo, okropną lichwę, bezlitośne korzystanie z sierót, z małoletnich, z głupoty i nieoględności ludzkiéj, i tym podobne wszystkie inne sposoby, i póty chodzimy, póty zabiegamy, aż tajonéj przez nas żądzy stanie się zadość. A świat choć trochę poszemrze, bo trudno, żeby przed nim co się ukryło, nieuderzony żadną gwałtownością, nie powié, że to zbrodniarz, nie zamknie w domu hańby, chociaż jak tam, tak i tu przestępcy jeden powód:—jeden cel mieli przed sobą i jedno dopięli, tylko nie jednemi drogami.

Czuł to dobrze Ziemba, jak dzielną bronią staje się w rękach złego człowieka rozum nabyty nauką, kiedy sobie nieraz myślał, że umiejąc czarne na białem i posiadając *adukacyją*, pół Świątnik pomałuby zakupił; ale Pan Bóg wié co robi, i Ziemba prosty chłop, został tylko derusem i lichwiarzem, gdy między nami stałby się może szatanem.

Przepraszając za to małe zboczenie, może już i tak znudzonego czytelnika, powrócimy teraz do wątku przerwanego opowiadania.

Zostawiliśmy Janka uśpionego pod figurą, gdy wschodzące słońce witane świegotaniem skrzydlatéj rzeszy, złotym promieniem zaczęło poglądać po ziemi i oświetlać cały krajobraz, który w nocném Janka majaczeniu zdawał się być cmentarzem, pełnym nagrobków i pomników żalu ludzkiego. Za jego pokazaniem się, fantastyczne kształty zniknęły, a cały obszar ziemi pokazał się pokryty niwami wykłoszonego zboża, zielonemi pasmami łąk, czarnemi rolami, do których ze wszystkich stron posuwały się pracowite woły z piszczącemi na kółkach pługami. Ziemia znowu życiem odetchnęła, ruch, wrzawa napełniły wioski i pola, z kominów wiły się słupy popielatego dymu, gromady bydła i trzody z rykiem pospieszały na paszę, za któremi przygarbiony pastuch palił z bata raz po raz, a słońce majestatycznie wznosząc się coraz wyżéj nad poziom, darzyło ciepłem i światłem zarówno bogatego i ubogiego, złego i dobrego, jakby przypominało odpowiedź Chrystusa na zrobione pytanie, czy za złe należy dobrem wypłacać.

To samo więc słońce co opromieniało uśpionego Janka, świeciło także i przed chałupą Ziemby, który z odkrytą głową siedząc na ławie pod ścianą, szemrał półgłosem pacierze, przesuwając paciorki rożańca. Obok niego leżał pies w kłębek skulony, strzyżeniem jednak uszy dając poznać, że pomimo tego pozornego uśpienia, zawsze czuwa nad mieniem swego pana; a cokolwiek daléj, kilkadziesiąt sztuk nadzwyczaj ruchliwego drobiu młodego, złożonego z kaczek, kur i gęsi, popychając się, tłocząc, często piszcząc, gdy jedno drugie dziobem stuknęło i mieniąc się różnobarwną krasą, pożerało z żarłocznością kilka garści ziemniaków, kaszy i ziarna pośledniego, które im ręką gospodyni na śniadanie rzucone zostały.

Cała zaś siedziba Ziemby, lubo zupełnie była podobną do innych zabudowań we wsi się znajdujących, przebijały w niéj jednak

małe oznaki jakiéjś dążności do odróżnienia się, które nie nadając owéj staréj powagi, jaka widną była w zagrodzie Sierpnia, jasno pokazywały i nową głowę i nowe ręce, co je pomyślały i wykonały.

Do jednego boku małéj pierwiastkowéj chałupki przybudowaną została komora, która naturalnie przedłużając front budynku, główne wejście dawniéj w samym środku znajdujące się, zostawiła teraz na boku, przedstawiając całość dosyć śmiesznie, jakby jéj czegoś brakowało, jakby ją ubrał w suknią, u któréj rękaw obcięto.

Na dwóch słupkach okrągło wyciosanych, wznosił się mały daszek wlepiony w dach chałupy, który osłaniając drzwi do sieni prowadzące, stanowił mały ganeczek widocznie z dworców szlachty naśladowany i wraz z komorą pobity gontem, dziwnie odbijał od reszty dachów, skromnie poczerniałą już słomą poszytych.

To samo przebijało i w innych budynkach, które w miarę rosnącéj potrzeby czyli pomnażania się mienia Ziemby, przeistaczano, powiększane i dostawiane były; a chociaż nie przedstawiały jednego całkowitego planu, jaki odrazu dopatrzéć się mogłeś w siedzibie Sierpnia, a tém samém owéj powagi staréj, co tak mile wpada w oko: dostatnią obszernością, całością i porządkiem, dobrze świadczyły i o zamożności, i o staranności gospodarskiéj właściciela.

W izbie słychać było krzątanie się staréj Ziembiny i córki Maryny, ogień już gorzał na kominie, a Jakób siedząc na ławce, zdawał się niczém nie być zajęty, tylko odmawianiem pacierzy, którym towarzyszyły nabożne westchnienia, wtorowane częstém uderzaniem się w piersi. Wtém pies zastrzygł uszami i zawarczał, Ziemba spojrzał po drodze tuż przy budynkach idącéj, i zaczął głośno śpiewać: —„U drzwi Twoich stoję Panie" — a zza chlewów i obory zasłaniających drogę, pokazała się znana nam już cokolwiek Frankowa, która wczorajszego wieczora zgromiwszy parobczaków w karczmie, goniła ich potém z miotliskiem po izbie.

Byłato kobiéta wielki gadateusz i wszystkowiedz całego ruchu wiejskiego; rada wszędzie ucha nadstawiała, i potém z tysiącem przemian i dodatków, roznosiła nowinki i ploteczki między kumoszki i sąsiadki. Ziemba z wiekiem nabrawszy znajomości serca ludzkiego, wiedział, jak ma kogo użyć do swoich widoków, i lękając się języka Frankowéj, wolał go obrócić na swoję ko-

rzyść, jak przeciwko sobie, i dlatego nieraz za jéj wstawieniem zrobił coś takiego, co mu żadnéj nie przynosiło korzyści, a czego dla kogo innego nigdyby był nie dopełniał. I dobrze mu się z tém działo. Frankowa jeżeli nie przekonała, to przegadała, zakrzyczała niekorzystne o Ziembie rozgadki, i tym sposobem wiele się przyczyniała do owego rozdwojenia opinii o chciwości i zdzierstwie Jakóba.

Jak tylko dostrzegła śpiewającego nabożnie Ziembę, nie chcąc mu przerywać, wyrzekłszy zwykłe powitanie:—„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus", chciała go ominąć; ale Jakób powitawszy z odpowiedzią—Na wieki wieków, amen—zagadł znaną mu i tak dobrze utalentowaną trajkotkę:

— A cóżto sąsiado tak wam pilno: czyż tylko z Boskiém słowem miniecie dzisiaj starego Ziembę?

— Ej! mój sąsiedzie, spieszy mi się do doma— odpowiedziała Frankowa, zakładając ręce za pas i zatrzymując się na drodze.— Widzicie zaspałam dziś trocha i musiałam krowiny aż na pole gnać do pastuchy, a w izbie ani ognia na kominie, ani żadnego oporządzenia. *Mój* pojechał w pole, a jak się jeszcze pobudzą małe robaki.....

— A cóżeście w nocy robili? Bo chociaż Boga chwalić teraz się nocą Bóg ludziom nie naprzykrza, ale zawdy po święcie człowiek jakoś lepiéj wypoczęty.

— To téż to właśnie mój sąsiedzie, że to po święcie. W powszedni dzień człowiek się nautyka i *tu i haw*, to potém ino przyłoży głowy do poduszki, to śpi nikiéj zarznięty, zbytki mu w głowie ani postoją; ale w święto roboty nikaj, jak się więc powróci z kościoła, drzymie się trocha, to się potém przykrzy, połazita człowiek po chałupach, a jak zobaczy, żeta jaki taki idzie do karczmy, juścić się człek skusi. W karczmie znowu gadu gadu, o tém, o owém, i ani się obejrzy, kiedy koguci na północek zapieją.

— A może do tego i granie jakie było w karczmie?

— Ba! jakżeżby to było bez grania? Ale chociaż granie nie jednego weseli, to i niejednemu dobrze dokuczy, że potém i zapłacze. Ot na ten przykład Paweł Karuś, coście mu na grunt pieniędzy pożyczyli.....

— To i cóż—zapytał Ziemba z udanym przestrachem—może już co do grosza przemarnował?

— Bogać-ta co lepszego zrobił: co nie przepił, to resztę zgubił, i zamiast kupić ziarna na chléb dla żony i dzieci, to poszło wszystko teraz z wiatrem.

— Mój Boże! co to za człowiek taki nieumiarkowany — odpowiedział Ziemba wznosząc oczy do góry i z boleścią załamując ręce. — A nie chciałem dać pieniędzy, Bóg świadkiem, że nie chciałem, bo myślę sobie: chociaż dam na korzec ziarna, to i cóż, przepije, a ludzie zaraz rzeką: „ot Ziemba zgubił Pawła i wydarł mu ostatni kawał gruntu".

— E, co tam ludzie, mój sąsiedzie — przerwała Frankowa wzdychając — ludziom nigdy nie dogodzi: i aby tylko człek miał czyste sumienie, to fracha na ludzkie gadki.

— To też *ino* to, moja sąsiado, całą wesołością człowieka, że sumienie czyste i że Bóg wszechmogący — i przy tych słowach Ziemba zdjął czapkę z głowy, podniósł oczy do góry i bijąc się w piersi, mówił daléj — i że Bóg wszechmogący sprawiedliwszy jak ludzie: bo przy Jego świętéj opiece niczegom Bogu dzięki nie pragnący, ni chleba, ni zdrowia.

— A ino, a ino, mój sąsiedzie; Bóg złemu nie daje, a choć da czasem, to ino na probę. — Tu się Ziemba skrzywił, jakby go coś ukłuło, a Frankowa mówiła daléj: — Ale zawdy mój sąsiedzie pokpiliście sprawy, i sami wraziliście się w ludzkie gadki.

— A to czémże, moja sąsiado — z potulną minką zapytał Ziemba.

— A to tém, mój sąsiedzie, że kiedyście wiedzieli, że Paweł taki już pijak okoliczny, że go znają po wszystkich prawie karczmach, to mu do garści grosza nie było dawać.

— Nie wiedziałem, Bóg moim świadkiem, że nie wiedziałem.

— Ino — mówiła daléj Frankowa nie zważając nic na uczynioną przerwę — ino było zawołać kobiety, dać jéj żeby kupiła ziarna, albo swego użyczyć z jakie pół korca, otl wszystko byłoby ładno: w domu żona z dziećmi nie marliby z głodu, Paweł musiałby pójść kaj do roboty, boby za co nie miał hultaić się, a z wasby ludzie nie wycierali pysków, jakta teraz będzie, zobaczycie.

— Ale moja sąsiado — odpowiedział Ziemba cokolwiek jąkając się, bo wszystko co miał mówić było wierutném kłamstwem — ale moja sąsiado, Bóg świadkiem, nie wiedziałem, że on taki ladaco. Niech mnie tak Najświętsza Panna i Wszyscy Święci mają w swéj opiece, jeżeli mi choć *bez* głowę to przeszło, co mi powiadacie.

O! Boże kochany, gdybym był wiedział, że się tak stanie, tobym wolał te dwadzieścia złotych wrzucić do studni, jak ich pożyczać Pawłowi; ale cóż, wy wiecie, że ja *miętkiego* serca—tu się aż zachłysnął, tak mu twardo słowa przez gardło przechodziły.—Jak też zaczął płakać i prosić, a wszystko daj i daj, tak myślę sobie: choćta ten kawałek gruntu wypłoniony i zapuszczony, bo-ta na nim ino ptakowie gospodarują, to jak wezmę pod swoję pracę i doprawię jak się patrzy, to i mnie się za pracę opłaci i jemu potém lepiéj się będzie rodzić, a teraz poratuję biedne sieroty pragnące kawałka chleba: boć kiedy mi Pan Bóg dał, to miło człekowi i dopomódz. A i dałem, ale ktoto mógł się spodziewać, żeby Paweł tak był niebojący się kary Boskiéj. żeby ino co wziął, niby dla dzieci, i zaraz potém rozhultaił. A przeciećta na Boskim sądzie człowieka się o wszystko będą pytać; i Bóg chociaż dobry, wszechmogący i sprawiedliwy, ale równo nic nie popuści człowiekowi, i trzeba będzie w piekle odpokutować za wszystkie grzechy, a w piekle nie będzie śmiechu, ino płacz, żal i zgrzytanie zębów. Oj! moja sąsiado!....

— O! Boże, Boże, o cudowna Matko Boska!—przerwała Frankowa z nabożném westchnieniem, co usłyszawszy Ziemba, widząc, że zrobił wrażenie jakiego pragnął, mówił daléj:

— O! moja sąsiado, żeby*ta* ludzie mieli zawdy wszystko tak na baczeniu, nie byłoby na świecie takiego hultajstwa, obmowiska, takiego marnowania, i ludzieby zawdy ludziom pomagali i wszystkim byłoby dobrze.....

— Oj! święte wasze słowa, oj Boże serdeczny! jak wy mówicie, to człekowi się zdaje, że w kościele słucha księdza, kiedy ludziom z papieru nauki czyta. O! Boże jedyny!

— Moja sąsiado — mówił Ziemba pokornie spuszczając oczy—gdzie mnie grzesznego człowieka przykładać do księdza, do takiéj duchownéj osoby. Ale choć człowiek grzeszny, choć ludzie Bóg wié nie co na niego wydziwiają, człowiek zważa *zawdy* na Boga, a nie na ludzi: bo Bóg wszechmogący wszędzie widzi i nic przed nim nie ma zakrytego; dlatego moja sąsiado ino proszę was po sąsiedzku, żebyście w sobie wszystko zachowali.

— No, mój sąsiedzie—odpowiedziała Frankowa drżąc prawie cała z radości, że jakiegoś sekretu stanie się powiernicą i który naturalnie pod sekretem z ust do ust przenoszony, wkrótce stanie się sekretem wszystkich wsi mieszkańców, o czém aż nadto był przekonany Ziemba, i dlatego o tajemnicę prosił—no

mój sąsiedzie, przecież wiecie, że ja nie żadna bajbuga, i mnie powiedzieć co, to tak, jakby kto w wodę wrzucił.

— To też wam tego nie zadaję, moja sąsiado—mówił daléj Ziemba spoglądając zukosa przenikliwie na zaciekawioną Frankowę, jakie na niéj ten wyraz *sekret* zrobił wrażenie—Bóg świadkiem, że wam tego nie zadaję; przecież wy macie dosyć gospodarstwa na głowie i pracy wedle wszystkiego, żebyście się mieli plotkami albo bajkami zabawiać:— to ino próżniaki tak umieją.

— A ino, a ino—przerwała potakując Frankowa. – Ot! wy to mądrze mówicie, aż miło słuchać, nie tak jak ludzie, co Bóg wié nie co na człowieka wydziwiają, że-ta plotki noszę po wsi, że mi język w gębie lata jak pytel w młynie, i Bóg już tam nie wié jakie różne inne wymysły. Oj tak, tak!

— To też moja sąsiado nie zważajcie na ludzi. Ludzie zwyczajnie jak psy we wsi, co jak jeden szczeknie, juścić wszystkie za nim *haru haru,* chociaż nie wiedzą po co się drą pyskami.

— Prawda, mój sąsiedzie, prawda. Ja wiem, że w uczciwości chodzę, to co tam; ale cożeście to mieli mi powiedzieć, coście prosili, żeby już we mnie zostało?

— A prawda, ino pamiętajcie moja sąsiado....

— No, no, nie zdradziłam was nigdy, to już i nie zdradzę. Nie bójcie się, jedno słowo z ust moich nie wyjdzie; przecież mnie znacie, że nie ma lepszéj odemnie do sekretu.

Ziemba ledwo nie parsknął ze śmiechu, bo właśnie wiedział, że wszystko jest przeciwnie; lecz dobrze znający czém sobie kogo kupić, przygryzł tylko wargi i odpowiedział:

— Oto moja sąsiado chciałem was prosić, żebyście szepnęli Pawłowéj, że mówiliście ze mną o niéj, i że ja się bardzo zafrasowałem jakeście mi rzekli, że Paweł utracił całe dwadzieścia złotych, co mu pożyczyłem; i dlatego niech przyjdzie do mnie, ale ona sama, to jéj odmierzę korzec żyta, aby przecież miała kawałek chleba dla dzieci na przednówku.

— Mój sąsiedzie, poczciwie se poczynacie—przerwała Frankowa — ale ja nie mogę pomiarkować, dlaczego takie rzeczy o jakieście mnie prosili, tak ściskać w sobie: boć przecie w tém nie ma nic złego, owszem.

— Moja sąsiado — mówił Ziemba tonem tak rzewnym, że zdawało się, iż tylko, tylko co mu łzy z oczu nie trysną— moja sąsiado, człek co robi, to nie robi dla ludzi, ino dla Boga, dla cu-

downéj Matki Boskiéj i dla wszystkich świętych, co w raju mieszkają; więc kiedy co zrobić dobrego, tobym nie rad, żeby między ludźmi chodziło, bo ludzie, mój Boże jedyny!....

— O! prawda, prawda—serdecznie wzdychając potwierdziła już naprzód Frankowa.

— Ludzie, mój Boże jedyny—mówił daléj Ziemba podnosząc oczy w górę i rzutem oka przelustrowawszy całą postać ciągle oszukiwanéj kobiety—zwyczajnie jak grzeszne stworzenie, wszystko miarkują po sobie i do siebie przykładają; jakby się więc dowiedzieli, że ja sam tak z dobrowolności dałem Pawłom korzec żyta, toby zaraz rzekli: ot! Ziembę ruszyło sumienie i dał Pawłowéj ziarna: ale ja moja sąsiadó nie dbam o to, bo się ino Boga wszechmocnego boję, żebyta na tamtym świecie, jak człowieka weźmie do swojéj chwały, nic na sumieniu nie ciężyło.

— Oj prawda, prawda moja sąsiado, wszystko sprawiedliwie mówicie. Bogaćta byłoby co innego z ludzką gadką, ino tak, jak powiadacie.

— To widzicie moja sąsiado, dlatego prosiłem was, żebyście w sobie to zachowali, co powiedziałem.

— O! mój sąsiedzie—z udaną powagą odpowiedziała Frankowa, pragnąc się już jak najprędzéj wygadać świerzbiącym swym językiem—o! nie zada mnie nikt takiéj rzeczy, bo ja wiem *kaj* co mówić, a *kaj* język trzymać za zębami.

— No, to się wié, moja sąsiado; dlatego téż ja tak z wami po szczerości mówię, nikiéj dziecko, bo i przed kim się człek użali na swoje między ludźmi pokrzywdzenie, jak nie przed poczciwemi sąsiadami.

— Oj prawda, prawda mój Jakóbie, ale na nic nie zważajcie, ludzie zawdy będą jednacy: czy im źle, czy dobrze człek świadczy, zawdy błotem go obrzucą. Wy w poczciwości chodzicie, a mówią żeście derus, chciwiec, że Boga w sercu nie macie, że z ołtarzabyście zdjęli, że....

— Patrzajcie—z przekąsem nieukontentowany cokolwiek Ziemba na tak długą litanią zdań sobie nieprzychylnych odpowiedział: —to wy dobrą widać macie pamięć, kiedy tak wszystko pamiętacie.

— Ba! nie mam pamiętać, kiedy człek *kaj* się obróci, to zawdy ino jedno i jedno o was gadają; ale....

— Doprawdy—przerwał z gniewem Ziemba, tak że mu aż wargi zadrżały; ale w chwilę już się uspokoił, i głosem słodziut-

kim mówił daléj, rzucając błyszczącemi oczami po Frankowéj, w których z całą potęgą gorzał gniéw wewnątrz niego skryty.— Moja sąsiado, wy znacie najlepiéj, czy ja czém ludziom zawinił? O! Boże kochany, mój Boże jedyny! Ale ludziom nikt gęby nie zawiąże: zawdy na białe rzeką że czarne. O mnie Bóg wié nie co po wsi obnoszą i o was także różne dziwności wygadują: żeście bajbuga, plotkarka, że wam ino latanie między kumoszkami w głowie, a nie praca, a nie gospodarstwo, że.....

— Albo to prawda—przerwała z wrzaskiem Frankowa.

— Ale prawda, prawda moja sąsiado—odpowiedział wzdychając niby z boleścią Ziemba—O! ludzie to strasznie bolące mają języki.

— Ja wiem że prawda, że tak mówią, ale czy to prawda, że ja bajbuga, że nie dbam o pracę, ino *o gadki* niepotrzebne?

— Ale moja sąsiado, ktoby tam wierzył takim obmowiskom? Niby ja was dopiéro od dziś znam.

— No, to widzicie, a kiedy wy mnie takich rzeczy nie zadajecie, to co mnie ma kto zadawać? Ja zaraz oblecę wszystkie chałupy i każdéj rzekę, że one plotkarki, obmównice, próżniaki, kiedy mnie zawdy tak noszą na swoich językach; że kiedy ja nikomu wody nawet nie zamącę, to niech mnie nie zaczepują, bo jak ja język rozpuszczę, to dopiéro zobaczycie, jak wam wszystkim przysolę i przypieprzę. A to dopiéro szkaradnice, latawice!

I w tém miejscu zwracając się twarzą ku wsi, jakby ją mogły inne kobiéty słyszéć, mówiła daléj przytupując nogą —Swędzą was moje śliczne gospodynie języki, to przyjedźta do mnie, połóżta ich na ziemi, to jak wam bótem przycisnę, to się wam zaraz niepotrzebnych gadek odechce; a mnie dajta pokój, bo ja muszę myśléć o pracy, a nie tak jak wy o próżniactwie, o wystawaniu na drodze albo na błoniu.

Ziemba podczas tego wybuchu gniewu, z radości, że mu się tak udaje coraz więcéj zyskiwać względy Frankowéj, a gniéw jéj podsycać na spokojnych wsi mieszkańców, uśmiechał się chytrze, oczami błyskał podnosząc je czasem na mówiącą i ręce zacierał jakby je zimno przejęło.

Przy ostatnich słowach, kiedy mówiła o wystawaniu na drodze lub błoniu, jakby sama co lepszego robiła, nie mógł już dłużéj wytrzymać i uśmiéchając się przerwał mówiącéj, przybiérając zaraz poważny wyraz twarzy:

— Dajcie pokój, moja sąsiado, nie gniewajcie się i nie psujcie sobie po próżnicy zdrowia. Ot na mnie się zapatrujcie: choć mnie ludzie Bóg wié nie jak obmówili, ja to wszystko zdaję na Boga, to i wy zdajcie, a *bez* dobre nigdy człek nie zginie.

— Oj! prawda, prawda!

— No, to widzicie: zawdy człek powinien iść swoją drogą, a ludzie swoją, i nic nie zważać, co ludzie wydziwiają. Pawłowie nieraz i mnie i was dobrze na wszystkie strony obracali.....

— Co nie mieli obracać! Onita tacy sami jak drudzy, *ino* cokolwiek potulniejsi.

— Tak, tak, moja sąsiado, a jednak ja se nieraz tak rzekłem w pomyśleniu: wziąłem grunt ich w zastawę, a chociaż dałem na niego pieniędzy, ale kiedy Bóg człowiekowi daje, toć na to, żeby czasem biednemu pomódz.

— A ino, a ino.

— Tak rzekę w sobie: choćbym oddał Pawłowi grunt, przecież ja i tak nie zginę, toby się może biedak jako podratował; ale cóż, jak mi znowu przyjdzie do głowy, że z gruntem miałby ino frasunek, bo ani zasiać, ani czém zaorać; to rzekę sobie: ma tak leżéć odłogiem i marnować się, to wolę sam zasiać, żeby nie obrażać Boga wszechmocnego i Najświętszą Pannę Maryą, że święta ziemia żadnego profitu człekowi nie przynosi. Przecież na to ludziom dana, żeby chléb rodziła, a kiedy człek źle wedle niéj chodzi, to grzéch, moja sąsiado, śmiertelny grzéch.

— A ino, a juści.

— I dlatego, widzicie, wolę Pawłom dać korzec ziarna na chléb, a sam rolą obsiać, jakbyta przezemnie miał kto w grzéch popadać.

— Sprawiedliwie mój Jakóbie mówicie, Bóg widzi, że sprawiedliwie. A jednak, ot na ten przykład, wczoraj w karczmie, kiedy-ta Wojciech tyla breweryi z Jankiem nadokazywał....

— No, a cóż to było takiego?—zapytał z nieudaną ciekawością Ziemba.

— To wy nic nie wiecie? Prawda, żeście nie byli, ale myślałam, że wam Maryna wszystko opowiedziała.

— Spałem już moja sąsiado, kiedy Maryna wróciła do doma, a wy wiécie, że ja się nie lubię wypytywać, co się-ta między ludźmi dzieje: jak samo wpadnie co w uszy, to i dobrze. Ale cóż to takiego zrobił Sierpień z Jankiem w karczmie? przecież to człowiek taki stateczny, taki ma o wszystkiém dobry układ w głowie,

a Janek zwyczajnie jak młody: i ja taki byłem *nimem* przecie przyszedł do rozumu, ale zawdy poczciwa w nim dusza.

— O! że poczciwa dusza, to nie ma gadania, bo widzicie..... i tu Frankowa szeroko i długo z naddatkami i różnemi uwagami opowiedziała całe wydarzenie w karczmie: jak Janek naprzód był wesoły, jak się ludzie śmieli, jak potém tylko z Baśką tańczył, a ona ino za nim oczami wodziła, jak przyszedł Sierpień i gdy łając i gromiąc chciał się chwycić Janka, jak ten począł mu ściskać nogi i prosić, żeby się nie gniewał na Baśkę, a jego bił jako przyczyńcę do wszystkiego, i jak nareszcie Wojciech odepchnął od siebie Janka i z Baśką płaczącą poszedł do domu. Opowiedziawszy wszystkie te wypadki, tak zakończyła:

— Szkoda, mój sąsiedzie, że was nie było, bobyście się mieli czemu napatrzéć; ale zawdy ludzie żałowali Janka i mówili, że choć se z Sierpniem ładno począł, zawdy nic z tego nie będzie, aby go miał przyjąć na zięcia, bo Sierpień wiela hardości ma w sobie i za byle kogo córki z domu nie wyda.

Ziemba z wielkiém zajęciem słuchał opowiadania mającego tak blizki stosunek z tajonym przez niego zamiarem wydania Basi za Janka. Gdy usłyszał traiczne rozwiązanie zalotów Janka, zmarszczył brwi, spojrzał ponuro na mówiącą, chcąc wybadać, czy wszystko tak było jak opowiadała, i po małéj chwili ułożył nowy plan postępowania, który był pewny, że mu się uda, jeżeli zręcznie zdoła użyć języka Frankowéj.

Spędziwszy więc z twarzy zmarszczki nieukontentowania i umiliwszy się jak tylko mógł wyrazem potulności i dobroduszności, odpowiedział:

— Moja sąsiado, a to poczciwa dusza w tym Janku. Mój Boże jedyny, za tyla wywodzenia, za tyla obmówiska ściskać jeszcze po nogach, o! moja sąsiado, to aż serce się ściska w człowieku — mówiąc to Ziemba, podniósł rękę do oczu, jakby łzy obcierał. — Mój Boże kochany, to poczciwy dzieciuch, kiedy tak siwą głowę umié szanować; ale cóż? ludzie nie zważają na to, i więcéj mają baczenia na majątek, jak na poczciwość, chociaż majątek jak woda: jak przypłynie, tak i odpłynie. Ale ja nie taki jak drudzy, i wiem pewnikiem, że Janek chociaż Bóg wié jak se począł z ojcowizną, że posłuszne chłopaczysko, i umié szanować stare lata, to jakby dostał kawałek chleba do garści, toby pracował i słuchał ludzi, gdyby mu dobrze kładli w uszy. Dlatego żeby sobie wyperswadował Baśkę, a chciał pójść w zaloty do mojéj

Maryny, Bóg widzi, żebym mu ją z chęcią oddał, chociaż Boga chwalić — i tu Ziemba dumnie podniósł głowę — przecież i dla mego dziecka nie uboższe dam wiano, jak Sierpień dla Basi, a jednak nie bałbym się, Bóg widzi, żebym się nie bał, inobym się cieszył, że mi Anioł Stróż i święci Pańscy dali takiego zięcia, coby człeka szanował, nikiéj syn rodzony.

— I wy to naprawdę mówicie? — zapytała zdziwiona Frankowa.

— Moja sąsiado — odpowiedział Ziemba wodząc wzrokiem koło siebie, czując bowiem spojrzenie Frankowéj, nie śmiał spojrzéć jéj w oczy, chociaż nadzwyczaj pragnął ujrzéć, jakie na niéj wrażenie zrobiła tak niespodziewana mowa — moja sąsiado, znacie to dobrze, że u mnie co w głowie, to w mowie. Ot i teraz człowiek się wygadał, co miał w pomyśleniu, a jakby kto podsłuchał, toby myślał, że mi już tak ciężko o zięcia, że go sam muszę sobie zmawiać. Przed wami to co innego, bo wiem, że macie przyjaźń dla starego Ziemby, to choć człek serce otworzy i wygada się z niepotrzebną rzeczą, to wszystko przy was zostanie.

— A ino, mój sąsiedzie, a ino — odpowiedziała Frankowa łykając ślinę i ledwo mogąc ustać z niecierpliwości, co takby rada biegnąć z językiem między sąsiadki. — Przecież mam swój rozum i wiem kaj co powiedzieć.

— Wiem, moja sąsiado, wiem, i dlatego tak z wami jestem po szczerości, jakbyta sam z sobą, i powiem tak wszystko, jak ten ot Bóg jedyny patrzy teraz na nas, że choćby Janek ani miał w pomyśleniu mojéj Maryny, to jakby gdzieindziéj wypadło mu wesele, tobym mu dał ze czterdzieści złotych, aby przecież wesprzéć poczciwego chłopaka, bo wiem, że teraz i grosika nie ma przy duszy. Nie wziąłbym od niego ani fantu, ani żadnego zastawu, boć u niego ino jedna się dusza w ciele kołacze; ale trudno, ratować ludzi trzeba, a Bóg jedyny za przyczynieniem się Wszystkich Świętych, wynagrodzi znowu innym sposobem człowiekowi. Tak moja sąsiado, od tego czasu jakeście mi powiedzieli, że wczoraj Janek tak se ładno z Sierpniem począł, pokochałem go nikiéj syna. Poczciwy dzieciuch..... niech mu Bóg przenajświętszy..... i Matka Boska dopomagają..... bo wart tego.

Koniec swojéj mowy Ziemba wymówił głosem rzewnym, jakby ze wzruszenia urywanym, i przy ostatnich słowach obcierając niby łzy w oczach, rzucił między palcami spojrzenie na Frankową, i aż się z radości prawie uśmiechnął, bo dobroduszna kobiéta

także się rozrzewniła, i w téj saméj chwili, kiedy Ziemba tak doskonale grał komedyą, ona fartuchem łzy obcierała.

— No, moja sąsiado — odezwał się znowu Ziemba już niby uspokojony, gdy kobiécisko naprawdę rozczulone, szeptało niewyraźnie — poczciwy Janek, poczciwy dzieciuch! — no, moja sąsiado—mówił daléj Ziemba — i mnie pilno do doma i wam się spieszy: idźcie z Bogiem, ino pamiętajcie zachować to wszystko w sobie, bo ludzie strasznie szerokie mają gęby, i niech to, coświa z sobą gadali, między nami ino zostanie.

— No, no, nie bójcie się mój sąsiedzie, nie zdradziłam was jeszcze nigdy, to i nie zdradzę—i Frankowa spiesznym krokiem pobiegła drogą przez wieś.

Nie zdradziłam i nie zdradzę — szeptał do siebie Ziemba, zobaczywszy oddalającą się Frankowę—Oj! głupia kobiéto, ktoby tobie wierzył? I do wieczora nie zejdzie, a w całéj wsi wszyscy będą wiedzieli, co jéj nakładłem w uszy. Ale dobrze, trajkocz, gadaj, bo to najlepsza twoja robota. Pawłowie wezmą korzec żyta, ludziom tém pyski utrę, potém im znowu co wetknę, i pomału grunt ich zakupię; a to spory kawał. Mają go zmarnować i w inne ręce ma się to dostać, to lepiéj w moje; ja nie utracę, i zawdy wszystko czego się człowiek dorobi, wyjdzie na pożytek ludzki; a kiedy kto głupi, to co ja temu winien. I ja mam córkę, mam wnuka, to trzeba myśléć, żeby ich wyprowadzić na ludzi. Ale Sierpień — mówił daléj po małym przestanku—to się spali ze złości jak się dowié wszystkiego, co ja tu o Janku mówiłem. To głupie chłopaczysko, żebym mu z Maryną całe Świątniki na wiano dawał, to onby Baśki nigdy nie odstąpił; ale dobrze, że to wszystko dojdzie do ucha Sierpnia; on taki głupi jak wszyscy, choć się niby ma za mądrego, i *bez* zazdrość i złość na mnie, umyślnie sprawi im wesele. O! niech sprawia choćby dziś jeszcze: Janek się nie odmieni, na zawdy taki pozostanie jaki jest dzisiaj, i Sierpnie nie będą więcéj piérwszeństwa we wsi nosić, boć i Ziemba także wart czegoś. Dam ci nieboraku Janku, co ci tak kochanie w głowie przekręciło, że aż ściskałeś za nogi głupiego Sierpnia, dam ci pieniędzy i na wesele, i potém na co będziesz chciał, bo ty wszystko zmarnujesz; a ma kto rozsiadać się w siedzibie Sierpnia, jak stary zamknie oczy, to wolę ja, bo ja zabiegliwy, nabożny, posty zachowuję, do światła w kościele nałożę, u spowiedzi bywam, karczmą ani wódką się nie zabawiam, nie obrażam Pana Boga przekleństwami jak drudzy; a że ciułam,

staram się, zabiegam, żebyta aby przysparzać, toć nie dziwota, boć człowiek musi pracować, a kiedy Pan Bóg daje i błogosławi, to Boga chwalić i ciągle jednako pracować. Przecież tak już na świecie jest, że się jedni bogacą, a drudzy ubożeją; i bogactwo Pan Bóg z nieba dla ludzi nie spuszcza, ino jak było między ludźmi, tak zawdy pozostało; ale kto mądry, to se umié radzić, a kto głupi, to w rękę dmucha. Oj! tak, tak, wié Pan Bóg co robi, i kiedy jedni się bogacą, to drudzy muszą ubożéć. Ot na ten przykład, żeby na mnie Pan Bóg co zesłał — w tém miejscu Ziemba aż zadrżał i szczerze westchnął — co nie dopuść Panie, i ja wyszedł na biédaka jak za młodych lat, toby się z mojéj krwawéj pracy, tyla lat z potem zbieranéj, inni znowu podorabiali. Oj! tak tak, na świecie już sam Bóg tak postanowił, żeby się człek starał i myślał o zbieraniu.

I Ziemba ukończywszy samotną tę rozmowę, wolnym krokiem doszedł do chałupy i cicho, nieznacznie, jak kot kiedy się na mysz czai, wsunął się do izby.

Tymczasem we dworku pana Józefa, gdzie Janek służył za parobka, rejwachu co nie miara.

Wszystko już ruszyło w pole, każdy się zajął przeznaczoną robotą, a Janka jak nie widać, tak nie widać. Każdy wiedział, bo cóż się na wsi może utaić, że był na odpuście, że potém hulał w karczmie; ale co się z nim daléj stało, nikt nie mógł na pewne objaśnić, bo i w domu nie nocował, i matka nic o nim nie wiedziała.

— Pewnie mu się robota uprzykrzyła—mówił rozgniewany pan Józef z obawy utracenia parobka w porze najwięcéj roboczéj—i prysnął w świat między ludzi, jak to zrobił Michałowi nie dobywszy nawet Nowego Roku. Bo to postrzelona pałka, jak półwaryata, chociaż doskonale umié udawać chorobę i mnie zwodzić. Poczekaj łotrze, zpod ziemi cię wydobędę, a nauczę rozumu: wyleci ci wszystko ze łba, poczekaj.

Ale wszystkie te groźby na słowach się tylko kończyły, bo Janka ani oko dopatrzéć: przepadł jak kamień w wodę wrzucony. Na południe dopiéro gdy fornalki i pługi z pola wróciły, ktoś doniósł panu Józefowi, że widziano Janka leżącego pod figurą, i że potém podniosłszy się, wolno drogą poszedł ku wsi. Niedługo stawiony został winowajca przed rozgniewanym panem.

— Co ty u Judasza dokazujesz?—krzyknął pan Józef do pokornie z gołą głową stojącego Janka—gdzie się ty wałęsasz?

Kiedy wszyscy myślą o robocie, to ty dopiéro o wysypianiu? Zaraz mi gadaj, dlaczego rano do koni nie przyszedłeś?

Janek w miejscu odpowiedzi obracając kapelusz w ręku, tylko się ukłonił w milczeniu.

— Słyszałeś — jednym zawsze tonem mówił daléj pan Józef — co to zapomniałeś mówić? Może cię język tak samo boli jak brzuch? Poczekaj łotrze! Zaraz mi się tłumacz, coś zrobił do południa. Słyszałeś?

Janek ciągle jedno zachowywał milczenie, tylko wzdychał, skubał wstążkę u kapelusza, ale pomimo krzyku i łajania, ani jednego słowa nie udzielił w odpowiedzi.

— Poczekaj łotrze, ja cię tu zaraz z niemowy zrobię wielkim gadułą, poczekaj. Hej!— mówił daléj pan Józef obracając się ku stajni— fornale, karbowy! pójdźcieno tu posłużyć w kumy, żywo. U mnie krzywdy żadnéj nie masz, zasługi ci zapłacę, ordynaryą wydam, to łotrze służ jak wypada na uczciwego człowieka, a nie, to ruszaj z Panem Bogiem; nie będziesz ty, to się inny znajdzie na twoje miejsce.

Janek widząc, że to nie przelewki, że z gniewem pana swego nie ma co żartować, a nie mogąc słowa przemówić, tak mu żal i pamięć sceny z Sierpniem, serce boleścią ściskały; czując, że ze skórą już strasznie krucho: rozpłakał się jak dziecko i łkając zasłonił twarz rękoma.

— O! i czegóż głupi płaczesz?—odezwał się jeden z przywołanych parobków — powiédz wszystko Wielmożnemu Panu, skłoń się, to-ta Wielmożny Pan wszystko ci przebaczy.

— A juścić, a juścić—potwierdzili inni—gadaj Janek, Wielmożny Pan przecież jak ojciec nad nami.

Ale Janek tylko płakał i płakał.

— Cóż u Judasza z tobą się dzieje?—odezwał się pan Józef, —czy ty zgłupiał, czy co; płacze jak baba.

— A czy ja wiem, Wielmożny Panie—odezwał się nareszcie Janek—czyta jakie na mnie nasłanie, czy co, czy mnie kto urzekł. Niech Wielmożny Pan bije, to się może jako we mnie odmieni, bo już ja biedny sierota nic z sobą nie poradzę.

Pan Józef chociaż prędki i impetyczny, ale byłto bardzo poczciwy człowiek i wyrozumiały na błędy ludzkie. Płacz i pokora Janka zaraz go chwyciły za serce, a gdy przywołani fornale wyjaśnili wypadki zabawy karczemnéj, i już tak dawne napróżne

zalecanki Janka do Basi; pan Józef zupełnie się udobruchał i po ukończeniu sprawozdania, rzekł:

— No, ruszajcie do swojéj roboty, a ty Janek nie bądź głupi, kochanie sobie wyperswaduj z głowy i koniec, bo cię do niczego dobrego nie doprowadzi. Ot i teraz o mało basiorów nie złapałeś. Dziewuch dosyć na świecie i ty padniesz na swoję; a teraz marsz do roboty i żeby mi tego nigdy więcéj nie bywało.

Janek na te słowa jeszcze lepiéj się rozpłakał i uścisnąwszy nogi poczciwego pana, zawsze jednak płacząc, poszedł do stajni.

— A to chłopaczysko widzę już na piękne zwaryował—odezwał się do siebie pan Józef, patrząc za oddalającym się w płaczu Jankiem.—No, no, nie wiedziałem, że i chłop z miłości zgłupiéć może; a to romansowy kawaler!

(Dalszy ciąg nastąpi).

WYJĄTKI

Z HISTORYI NAUK PRZYRODZONYCH

p. Jerzego Kiuwiera (Cuvier).

PRZEKŁADU

Gustawa Belkego i Alexandra Koremera (*).

Młody człowiek gruntowniéj poznając wartość nauk i umiejętności, wybiera z nich jednę, jakby towarzyszkę życia: tę umiłował szczególnie i dla téj poświęcić się pragnie.

Z nią się złączył w jedno ciało: on jéj, ona jest jego. Błogosławiona społeczność która sposobić umié członków swoich do téj szlachetnéj miłości. Kto nią goreje, staje się kapłanem nauki, do któréj ani powabny z katedry wykład, ani z rozległą uczonością księga nie zapalą tyle, co wierny obraz dziejów jéj postępu.

Żadna więc książka nie może się trafniéj i pożyteczniéj wybrać dla czytelnika młodego, nad historyą nauki którą on polubił. W tych dziełach łączy się ciekawość powieści z użytecznością teoryi. Tam czytający wypływa na morze wiadomości ludzkich i widzi jak na coraz dalszą rozległość téj przestrzeni bez granic, zapuszczali się przed nim umiejętni i śmiali żeglarze. Ludzie byli niemi: tém więc bezpieczniéj zwiedza co oni już odkryli, tém śmieléj uważa dokąd jeszcze przedostać się można.

(*) Zob. Bibl. Warsz. b. r. T. I, str. 198. — W wyjątkach niniejszych głoska (*T.*) odróżnia przypisy tłumaczów polskich, od objaśnień przy oryginale francuzkim należących się jego redaktorowi (*St. Agy*). *P. R.*

I powraca częstokroć panem dziedziny w nowych granicach, przynosząc z wyprawy chwałę imienia, które w dzieje wpisał, chwałę narodu, do którego należał.

Wszelki naród mało jeszcze zasłużony w historyi nauk i wynalazków, jeśli chce zasłużeńszym wyrównać, nie może łatwiéj i skuteczniéj usposobić do tego członków swoich, jak wspierając swą literaturę przekładami dziejów umiejętności. Nader życzliwa myśl w wyborze historyi nauk przyrodzonych przez Kiuwiera, przewodniczyła naszym tłumaczom tego dzieła. Nauki przyrodzone, które w tym wieku stały się podstawą wiadomości ludzkich, mało jeszcze u nas zwolenników mają. Potrzeba ich tworzyć, a to się da uskutecznić jedynie przyswajaniem literaturze klassycznych dzieł o tym przedmiocie. Klassyczném bez wątpienia jest dzieło Kiuwiera; tłumacze z całém użyciem zdolności swoich oddali się przepolszczeniu jego. Co tylko było godnego wspomnienia w postępie tych nauk u nas, najtroskliwiéj i najsumienniéj zebrali i dołączyli, przygotowując tym sposobem wydanie prawdziwie własne. Owoż przybywa nam pięciotomowe dzieło, nie na czas krótki, lecz na zawsze użyteczności i powabu pełne. Oby jak najrychléj znalazł się oświecony i prawego sposobu myślenia wydawca, któryby z tłumaczami przekonanie dzielił, że piérwszym prawdziwego powodzenia warunkiem jest trwałość.

Nie powiemy nic o zaletach stylowych przekładu, zostawując sąd w téj mierze czytelnikom następujących kilku wyjątków, które i sposób wykonania dzieła całego okażą.

A. W.

Dzieła Arystotelesa. — Jego historya zwierząt.

(Z tomu Igo rozdz. VI).

. . . . . .

Doszliśmy teraz do tych prac Arystotelesa, nad któremi więcéj szczegółowo zastanawiać się mamy; przystępujemy bowiem do jego dzieł odnoszących się do nauk przyrodzonych. Składają się one z 8^{miu} ksiąg o fizyce właściwéj, z 4^{ch} o niebie, jednéj meteorologicznéj, w któréj mówi także o mineralogii, jednéj o barwach, dwóch o rodzeniu się i psuciu ciał, czyli o rozkładaniu i odtwarzaniu się jestestw organicznych, dziesięciu o historyi

zwierząt, czterech o ich częściach, jednéj o narzędziach ruchu zwierząt, dwóch o ich płodzeniu się, i nareszcie z rozmaitych rozpraw o czuwaniu i śnie (1).

W różnych tych dziełach, Arystoteles téj saméj używa metody co w Poetyce, Etyce i Polityce: wszystkie zasady ogólne wyprowadza z postrzegania i porównywania szczegółowych faktów; nigdy prawidła nie stanowi *a priori*. Postępowanie takie wynika zresztą z jego teoryi o powstawaniu ogólnych pojęć, którym naznacza źródło całkiem ludzkie. Platon, jak widzieliśmy, rozbierając Tymona, przypuszcza, że idee ogólne mają byt samoistny, że są wrodzone człowiekowi, ponieważ dusza jego posiadała je w czasie gdy jeszcze z Bóstwem połączoną była, tak dalece, że wszystkie prawdy ogólne zdające się jéj być nowém odkryciem, są tylko przypomnieniami wiadomości które niegdyś posiadała.

(1) Ośm ksiąg fizyki Arystotelesa przełożonych przez Jana Argyropula professora we Florencyi, wydano w Krakowie u Hallera 1519 r. Księgę *de divinatione per somnium*, przełożył Józef Struś Poznańczyk i wydał w Krakowie u Szarfenberga 1529. *De juventa et senectute, vita et morte*, przełożył Marcin Kromer; wyszła zaś w Krakowie u Hieronima Wietora, jak się zdaje około 1532 r.

Wiele też wydano tam komentarzów i przypisów do dzieł Arystotelesa, ułożonych przez Jakóba Stapulensis (d' Etaples), Jana z Głogowa; Jodokusa Klichtowensza d^ra^ Sorbony i t. d. Przekład Problematów Arystotelesa winniśmy Janowi z Kobylina, a poźniéj w 1620 r. Kalixtowi Sakowiczowi. Politykę, Etykę i Ekonomikę tłumaczył Sebastyan Petrycy i wydał w Krakowie 1618 r. drukiem Macieja Jędrzejowczyka.

Pisali także u nas komentarze do dzieł Arystotelesa, prócz wielu bezimiennych: Michał z Paryża prof. Akad. krakowskiej, którego pisma wydał uczeń jego Jan ze Stobnicy; Jan Broscyusz, Samuel z Lublina (1627 r.), Adam Krasnodębski (1678 r.), Szymon Stanisław Makowski (1679 r.).

Wojciech Tylkowski wydał w Oliwie 1680—1682 dzieło pod tytułem: *Philosophia curiosa seu universa Aristotelis philosophia juxta communes sententias exposita etc.* 9 części w 6 tomach. Jestto komentarz do ksiąg Arystotelesowych o naturze rzeczy, sposobem katechizmu ułożony, zawierający całą filozofią teoryczną i praktyczną, mianowicie logikę, metafizykę, filozofią moralną, fizykę ogólną czyli o własnościach ciał; wiele wiadomości z historyi naturalnéj, z nauki lekarskiéj, tudzież różnych osobliwości przyrodzenia, między temi mnóstwo takich rzeczy jakie się w historyi naturalnéj Rzączyńskiego znajdują. Nakoniec gorliwemi czcicielami filozofii Arystotelesa byli i pisali o niéj: Adryan Miaskowski (1720 r.), Alexander Podlesiecki (1731 r.), Józef Rojewski (1750). *Ob. Hist. lit. p. Bentkowskiego* T. II; *Obr. hist. bibliograf. lit. i n. w Polsce* T. I. Encykl. pow. T. I. *(T).*

Z téj zasady wypada, że zmysły są zupełnie niepotrzebne do nabycia wiadomości, i należy je owszem zostawiać w spoczynku, dla łatwiejszego przywołania idej, które od Boga odebraliśmy. Arystoteles wręcz przeciwnie naucza. Nie przypuszcza on żadnych pojęć wrodzonych; przyznaje, że Bóstwo posiada wszystkie pojęcia ogólne, lecz człowiek nabywa ich jedynie na drodze abstrakcyi, tojest przez porównanie faktów szczegółowych, w celu dostrzeżenia co w sobie zawierają wspólnego lub różnego; a jako fakta nie mogą dobrać się do naszego rozumu, jak tylko za pośrednictwem zmysłów, to też sprawiedliwie wnosi, że jedyném źródłem poznania, są zmysły nasze czyli postrzeganie. Ta główna zasada Arystotelesa w logice, zastosowana w rozlicznych jego dziełach, nadaje jego filozofii piętno odrębne.

Ze wszystkich wymienionych pism Arystotelesa, piérwsze, traktujące o fizyce ogólnéj, jest najsłabsze i nie mogło téż być inaczéj; fizyka bardzo wolno postępuje, gdy się tylko nad takiemi faktami zastanawiamy, które się same nastręczają. Potrzeba je umiéć wywoływać według woli, powtarzać często ich zjawiania się, słowem trzeba robić doświadczenia, aby nauka mogła postępować szybko i pewnie. Otóż za czasów Arystotelesa robienie doświadczeń było prawie niepodobném; sztuki przemysłowe tak mało wydoskonalone były, że uczonemu żadnéj niemal pomocy nie dawały. Małą jeszcze wtedy liczbę spostrzeżeń posiadano, a tém samém nie można było wznieść się do abstrakcyj bardzo ogólnych. Niektóre przeto zasady Arystotelesa uznano za błędne lub niedokładne; lecz były one przynajmniéj oparte na postrzeganiu, i zawierały w sobie treść wszystkich znanych faktów. I tak np. wiedział, że ciała stałe i ciekłe spadały na ziemię, gdy im odjęto podporę, że ciała powietrzne czyli gazy, wznosiły się z dna wody na jéj powierzchnię, że promień zwracał się ku niebu, ztąd wniósł, że ziemia i woda mają dążność zstępowania, a powietrze i ogień wstępowania. Dzisiaj wiemy, że ten ruch w odwrotnym kierunku, od działania jednéj siły pochodzi; lecz odkrycie to winniśmy jedynie postrzeganiu nowych faktów. Wszelako fizycy dotąd się nie zgodzili, czy ogień ulega prawom ciążenia powszechnego, lub nie.

Uwaga którą zrobiliśmy co do opadania i wznoszenia się ciał, da się również zastosować do zasady, *że natura nie cierpi próżni*, którą tak wyrzucano Arystotelesowi. Oczywistą jest rzeczą, że i téj zasady nie wymyślił *a priori*, lecz że była wypad-

kiem uogólnienia faktu, którego wszystkich szczegółów jeszcze nie znano. Gdyby Arystoteles wiedział był, że woda nie wznosi się w pompach nad 32 stóp, a rtęć (merkuryusz) w próżni Toryczellego nad 28 cali; to bez wątpienia, porównywając ciężkość gatunkową tych dwóch cieczy, z wysokością do której się wznoszą w próżni, byłby odkrył, podobnie jak Toryczelli a dawniéj jeszcze Paskal, prawdziwą przyczynę tego zjawiska, które przypisywał wstrętowi do próżni, tojest ciężar powietrza. Zresztą, nim doświadczenie dowiodło mylności zasady Arystotelesowéj, równie było logicznem przypuszczać, że ciała mają dążność do zapełniania próżni, jak, że się przyciągają nawzajem, co dzisiaj utrzymujemy. Wniosek Arystotelesa nic w sobie przeciwnego rozumowi nie zawiera, mogło się to zdawać jedynie tym, którym się podobało tłumaczyć dosłownie wyrażenie przenośne: wszak i innych podobnych używamy bez oporu, ponieważ nam język dokładniejszych nie nastręcza.

Wyznać jednak należy, że Arystoteles zostawił nam wiele syntez daleko dokładniejszych w innych gałęziach historyi naturalnéj właściwéj, niż w fizyce. Jakoż w pismach jego o tym przedmiocie, najwięcéj prawd podziwiamy. Głównem z nich jest historya zwierząt, któréj czytać nie można bez zachwycenia. Rzeczywiście, pojąć trudno jak jeden człowiek mógł zebrać i porównać mnóstwo faktów szczegółowych, z których wyprowadził tak liczne prawidła ogólne, taką ilość aforyzmów, o których poprzednicy jego pojęcia nie mieli.

Historya zwierząt nie jestto właściwie zoologia, czyli zbiór opisów różnych ich gatunków, ale raczéj rodzaj anatomii powszechnéj, w któréj autor mówi w ogóle o prawach ustroju zwierzęcego, wskazuje jego podobieństwa i odmiany u różnych zwierząt, opierając się na rozbiorze porównawczym ich narzędzi, i ustanawia zasady najdoskonalszego uporządkowania.

W piérwszéj księdze opisuje części z których się ciało zwierzęce składa, nie podług gatunków szczególnych, ale podług gromad przyrodzonych. Praca tego rodzaju, widocznie musiała być wypadkiem głębokiéj znajomości szczegółów budowy zwierzęcéj. Ponieważ Arystoteles nie uznał za rzecz potrzebną utworzyć ściślejszego podziału zoologii, utrzymywali niektórzy, że dziełu jego niedostaje metody. Sposób widzenia tych co tak mniemali, bardzo musiał być płytkim. Początek księgi o któréj mówimy, jest oddzielony od reszty, i stanowi niejako wstęp.

Składa się prawie całkiem z prawideł ogólnych, przedstawionych bez dalszego rozwinięcia, pod postacią krótkich zdań, sposobem tak jasnym, że je każdy zrozumieć może i zastosować do znajomych sobie przedmiotów. Celem Arystotelesa, jak sam powiada, było, przez wystawienie wielkiéj ilości znakomitych wypadków, wzbudzić ciekawość do nauki przyrody. Podajemy tu niektóre z tych zdań, co jak już mówiliśmy, dowodzą spostrzeżenia i porównywania niezliczonéj ilości faktów szczegółowych.

1. Żadne zwierzę ziemskie, nie jest do ziemi przytwierdzone.

Zdanie to jest zupełnie sprawiedliwe. Zwierzokrzewy przytwierdzone do miejsc na których się rozwijają, nie są ziemskiemi, ale wodnemi zwierzętami.

2. Żadne zwierzę beznogie nie ma skrzydeł.

Spostrzeżenie to trafne, sprzeciwia się istnieniu smoków latających, o których tyle przed Arystotelesem i po nim rozprawiano, a które w saméj rzeczy są bajecznemi zwierzętami.

3. Wszystkie zwierzęta bez wyjątku, mają gębę i zmysł dotykania. Te dwa przymioty są istotnemi i koniecznemi warunkami zwierzęcéj przyrody.

Nic prawdziwszego nad to zdanie pomimo rozmaitości postaci i ustroju zwierząt.

4. Wszystkie owady skrzydlate, mające żądło w przedniéj części ciała, są dwuskrzydłe, jak np. bąk (*Tabanus*) i komar; te zaś których żądło umieszczone z tyłu, mają cztery skrzydła np. mrówka.

Ileżto trzeba było zebrać spostrzeżeń, aby wyrzec zdanie tak ogólne, a razem tak dokładne! Domyślać się należy, że ich twórca zbadał wszystkie niemal gatunki zwierząt; bo jakżeby mógł *a priori* ustanowić prawo, w ostatnim z przywiedzionych zdań wyrażone, kiedy dotąd nikt nie pojmuje powodu téj ustawy przyrodzonéj.

Po wstępie umieszcza Arystoteles klassyfikacyą zoologiczną, po któréj następnym wiekom mało co w tym względzie zostało do zrobienia. Działy główne i poddziały królestwa zwierzęcego, zadziwiają dokładnością i prawie wszystkie ostały się, pomimo późniejszego wzbogacenia nauki.

Dzieli on zwierzęta na dwie wielkie gromady: piérwsza obejmuje zwierzęta mające krew, a druga zwierzęta bez krwi. Jestto ten sam podział którego i my używamy, inaczéj go tylko wy-

rażając; w piérwszéj bowiem gromadzie, mieścimy zwierzęta o krwi czerwonéj, a w drugiéj o krwi białéj. Do piérwszéj należą: czworonożne, ptaki, węże, ryby i wieloryby. Chociaż zwierzęta obu ostatnich klass żyją w wodzie, i postać zewnętrzną mają z wielu względów sobie podobną, nie pomieszał ich jednak Arystoteles, jak się to zdarza i dzisiaj podróżnym nieznającym zoologii. Zna on równie dobrze jak my przyrodzenie (1) wielorybów, wié że mają krew ciepłą, że rodzą żywe potomstwo i karmią je mlekiem piersi swoich. Rozróżnia też czworonożne żywo rodzące od jajorodnych i dodaje, że te ostatnie, wielkie mają podobieństwo do węzów w budowie wewnętrznéj i układzie powłók.

Widzimy że gromady Arystotelesa są utworzone w sposób całkiem odpowiadający przyrodzie, i sam tylko ich rozkład mógłby być przedmiotem krytyki.

Zwierzęta bez krwi, czyli z naszego stanowiska, zwierzęta o krwi białéj, podzielone są na cztery klassy: mięczaków, skorupiaków, muszli i owadów. Podział ten chociaż nie jest bez zarzutu, utrzymywał się jednak aż do Linneusza, którego układ co do istoty rzeczy jest ten sam, dzieli bowiem dwie swoje klassy, muszli i owadów, piérwszą na mięczaki i muszle, a drugą na owady i skorupiaki.

Między mięczakami szczególniéj wymienia Arystoteles sepię, czernitwę (*Calmar*), ośmiornicę (*poulpe*) i żeglarka (*Argonaute*), a zwraca uwagę na to co do niedawna zaprzeczano, że ten ostatni nie jest przyrośnięty do swojéj skorupy, jak inne tego rzędu zwierzęta. Opisuje w krótkości wszystkie części ciała mięczaków i namienia nawet o ich mózgu.

Podziały Arystotelesa utworzone w klassach ze zwierząt o krwi białéj, jeszcze doskonalszemi są od podziałów głównych, chociaż i te godne są podziwienia. Jego podział owadów Linneusz zachował nietkniętym. Dzieli je Arystoteles na skrzydlate i bezskrzydłe; piérwsze rozdziela znowu według tego czy po dwa, czy po cztéry mają skrzydła, i czy te narzędzia są nagie lub też z twardemi pokrywami. Daléj tłumaczy co to jest rodzaj, czyli zebranie kilku gatunków w jednę gromadkę i stawia na przykład zwierzęta ssące kopytowe, do których należy koń, osieł i dziki muł syryjski (hemionus). Rodzaj konia w saméj rzeczy

(1) Wyrazem *przyroda*, zastępujemy cudzoziemski *natura* w znaczeniu najobszerniejszém; *przyrodzeniem*, nazywamy naturę szczegółu. (*T*).

jest jednym z najwyraźniejszych, który i my wybralibyśmy najchętniéj za przykład.

Po tych ogólnikach, Arystoteles zgłębia szczegóły zwierzęcego ustroju. W opisach swoich zaczyna od budowy ciała ludzkiego: od niéj bierze nazwanie różnych części, i do niéj też części przyrównywa. Najprzód, bada obszerniejsze okolice ciała i to wszystko, co zewnątrz widzieć można. Następnie zajmuje się częściami wewnętrznemi; lecz pod tym względem pojęcia jego już nietyle są dokładne. Wszelako dość dobrze zna ogólne rysy budowy, a nawet w niektórych szczegółach, lepsze robił postrzeżenia niż jego następcy. Zdaje się, że wiedział o przeznaczeniu trąbki Eustachiusza, zbijając bowiem zdanie Alkmeona, jakoby kozy uszami oddychały, powiada, że istnieje wprawdzie przewód z ucha do gardła, ale że ten nie służy do oddychania. Najprzód opisuje mózg; twierdzi, że on znajduje się u wszystkich zwierząt o krwi czerwonéj, a zpomiędzy zwierząt o krwi białéj, posiadają go jedne tylko mięczaki. To ostatnie twierdzenie zasługuje na szczególną uwagę, gdyż za naszych dopiéro czasów sprawdzoném zostało (1). Człowiek podług Arystotelesa, jest zwierzęciem mającém mózg stosunkowo największy. Opisuje on dość dobrze błony które go powlekają. Zna także niektóre nerwy udające się do oka i przejścia ich, które porami mózgu nazywa. Lecz nic nad to o nerwach nie wié, nie zna ich rozpostarcia się ani czynności; te nieodzowne pierwiastki ustroju, według niego, podobnie jak i poprzedników jego, są tylko ścięgnami, więzadłami, słowem częściami białemi. Prawdziwe przyrodzenie nerwów poznano dopiéro za Herofila, i Erazystrata wnuka jego i ucznia. Opisując żyły powiada, że wszystkie biorą początek z serca, do którego pnie główne wlewają krew swoję. Daleko pod tym względem wyższy jest od Hipokratesa, którego opis zdaje się być dziełem wyobraźni. Arystoteles odróżnia dokładnie żyłę główną od płucnéj. Opisuje także tętnicę główną (aortę), od początku aż do jéj rozdwojenia w niższéj części tułowia: nazywa ją żyłą nerwową czyli chrząstkową. Nie zna jednak przeznaczenia tego naczynia, choć je piérwszy od innych odróżnia.....

.....

.....

(1) Kluwier (Cuvier) utrzymuje jak Arystoteles, że mięczaki posiadają mózg; Ser (Serres) przeciwne zdanie objawia w swojéj anatomii porównawczéj mózgu. (*St. Aéy*).

Skończywszy ustęp o sierci, zastanawia się nad rogami i wyraża niektóre zdania ogólne, które późniejszemi spostrzeżeniami całkowicie zostały potwierdzone. Przytoczymy niektóre z nich.

Każde zwierzę o dwóch rogach ma kopyta rozdzielone, lecz zdania tego nie można naodwrót uważać; i tak wielbłąd chociaż ma racice, nie posiada przecież rogów.

Wszystkie zwierzęta dwurogie mające racice, a pozbawione zębów w górnéj szczęce, są przeżuwającemi i nawzajem.

Wszystkie przeżuwające łączą w sobie te trzy cechy: u jednych rogi są wydrążone czyli dęte, u drugich pełne; piérwsze są trwałe, drugie odpadają corocznie i znów wyrastają.

Równie dokładne spostrzeżenia robił co do zębów. Doskonale opisuje sposób ich odnawiania się u człowieka i u zwierząt; rozmaitość kształtu który przybierają podług rodzaju pokarmów używanych przez różne gatunki; u mięsożernych są ostre i kolczaste, u roślinożernych płaskie i nakarbowane. Niektóre zwierzęta mają zęby wystające z pyska czyli obronne, lecz przy takich zębach nigdy nie ma rogów. Zęby słoniowe u samic są małe i w dół obrócone, u samców większe i na końcu do góry zadarte. Spostrzeżenie to prawdziwém jest tylko co do azyatyckiego słonia, ale nie co do afrykańskiego; u tego bowiem zęby samca nie różnią się od zębów samicy. Nieznajomość téj ostatniéj okoliczności mogłaby służyć za dowód przeciwko pisarzom, którzy twierdzili, że Arystoteles towarzyszył Alexandrowi do Egiptu; bo gdyby zwiedził był ten kraj, trudnoby było przypuścić, iżby nie dostrzegł różnicy zachodzącéj w zębach słonia afrykańskiego i azyatyckiego. Byłby też zbadał hipopotama, którego ladajakie opisanie umieszcza po ustępie o zębach słonia. Tego zbliżenia dwóch różnych zwierząt nie pojmujemy, i dlatego wątpić należy, czy opis hipopotama jest dziełem Arystotelesa. Opis ten wyjęty z Herodota, może był napisany na marginesie dzieła Arystotelesowego przez którego z piérwszych jego posiadaczy, a późniéj przepisujący nieświadomy rzeczy, mógł zmieszać ten dopisek z tekstem. Często się takie wtręty zdarzają.....

.....

.....

.....

Historya przemysłu pszczół tak zajmująca i zawiła, była mu także znaną. Powiada że pszczoła królem zwana, zdaje się być samicą czyli matką, jak niektórzy za jego czasów utrzymywali.

Zauważył on dobrze, że jéj komórka jest większa od innych, i że ta uprzywilejowana istota, przyjmuje pożywniejszy i obfitszy pokarm; co dowodzi śledzenia bardzo uważnego gospodarstwa pszczół, i tém bardziéj zadziwia, że wówczas szkło nie było jeszcze tak rozpowszechnioném, żeby go mógł był użyć do nakrycia ula, co bardzo ułatwia podobnego rodzaju spostrzeżenia. Zastanawia się także nad gospodarstwem os, szerszeni, pszczół-mularek i trzmieli. Opisuje szczególniejszą pochwę w którą się odziewa gąsienica chróścika (*Phryganea*), i wspomina o pająkach noszących pod brzuchem kłębek jaj. Rozprawiając o zwierzętach doskonalszych od owadów, rozróżnia bardzo trafnie jaja pokryte twardą skorupą, jak np. krokodyle lub żółwie, od tych co mają powłokę giętką jak u wężów, i powiada, że chociaż te ostatnie wydają na świat żywy płód, mają jednak jaja; z tą tylką różnicą że zamiast wykluwania się zewnątrz ciała samicy, wewnątrz się otwiérają. Różne przejścia rozwoju jaja kurzego wysiadywanego, doskonale znał Arystoteles i opis ich, dzień po dniu podaje. Mówi że serce najpierwéj się pojawia, następnie żyły rozchodzące się do górnych i do dolnych części ciała, nareszcie błonka allantois, która wkrótce całe ciało płodu otula. Nie trzeba zapominać, że wszystkie te spostrzeżenia robione były gołém okiem, że zatém małe błędy które się dają spostrzedz, pochodzą od niedostatku szkieł powiększających, tak wielką dla nas będących pomocą. Mówiąc o jajach rybich, robi uwagę, że nie mają błony allantoidalnéj jak wszystkie zwierzęta skrzelami oddychające. Przypuszcza, że ryby podobnie jak owady dobrowolnie lęgnąć się mogą, i wspiéra to faktami, które sobie dzisiaj inaczéj tłumaczymy. I tak, przywodzi mnóstwo drobnych rybek pojawiających się nagle przy wybrzeżach, które zdają się być wylęgłe przez samo działanie ciepła i wilgoci. Grecy nazywają te rybki *aphya*, a miano to wyraża pojęcie które mieli o sposobie ich powstawania. Na wybrzeżach Prowancyi, zjawisko wspomniane przez Arystotelesa, często się wydarza, a mieszkańcy oznaczają te rybki nazwiskiem podobném do greckiego, tojest *nonnats*, wyrazem który się wywodzi z łacińskiego *non nati* (1). Wiémy dzisiaj, że to w jednéj prawie

(1) Φύω, *gigno, produco*, ἀ privativum Rzączyński, mówiąc o nich tak się wyraża: „*Aphya quasi non nata, nobis* mrzewka owlesek" (Auctarium). Systematycy użyli tego nazwiska do oznaczenia drobnych a tłumnie objawiających się rybek, jakoto *Gobius aphya* Lin. *Cyprinus aphya* Lin. ale starożytnych nazwa ściągała się najpewniéj do dzisiejszej *Atherina aphya*.

(T).

chwili zdarzające się wylęganie, pochodzi od ikry poprzednio w namule złożonéj, z któréj przy okolicznościach przyjaznych, jednocześnie rybki się wykluwają. To co nam o węgorzach mówi, nie jest zapewne zupełną prawdą, ależ nam samym, pomimo poszukiwań Spallanzaniego nad odradzaniem się tych ryb, wiele jeszcze zostaje do zbadania.

Arystoteles wykłada zmiany u zwierząt i ludzi od wieku pochodzące, i doskonałe przy téj zręczności matkom rady podaje. Następnie, zajmuje się obyczajami zwierząt, ich sposobem życia, instynktem; wyprowadza wpływ jaki na nie wywiéra sposób życia, okoliczności zewnętrzne, klimat, pory roku, środki w których życie pędzą różne gatunki, i wskazuje pokarmy najwięcéj im przydatne. Szczególniéj zajmującém jest to, co podaje o rybach, i wielceby pożyteczném było, gdyby nazwiska których używa, lepiéj nam znane były.

Mówi o wpływie pór roku na wędrówki ptaków, wymienia które z nich podróże odbywają, w jakiéj epoce je przedsiębiorą, w jaki ład szykują się w locie. Zajmuje się także wędrówkami ryb. Przywodzi, że z Czarnego morza ogromna ilość ryby przechodzi do Śródziemnego i wskazuje drogę onéj przez ciaśninę Carogrodzką aż do Archipelagu greckiego. Zdaje się, że robił swoje spostrzeżenia na brzegach Tracyi i w Carogrodzie. Wspomina że niektórym rybom w różnych porach, różne nadają nazwiska według stopnia rozwicia się: i tak np. ryba w Czarném morzu *cordylus* zwana, przybiéra na wiosnę miano *pelamidy*, a gdy dojdzie do Archipelagu, *tuńczykiem* się zowie. Przy téj zręczności wzmiankuje o rybach niepokazujących się w zimie i innych zwierzętach które, jak np. bobak czyli jego szczur pontyjski, ukazują się tylko w pewnych porach roku. Zna on nawet choroby ryb i pod tym względem daleko nas za sobą zostawił.

Zastanawiając się nad przemyślnością różnych zwierząt, opisuje podstęp którego używa żaboryb *(baudroie)* dla zwabienia drobnéj rybki potrzebnéj do swego utrzymania, tojest, że rozpuszcza swe wąsiki tak, iż się zdają być robaczkami. Wspomina téż o chytrym sposobie unikania wrogów swoich, którego używa sepia, zamącając wodę czarną cieczą z siebie wypuszczoną. Wzmiankuje jeszcze o silnych uderzeniach któremi trętwik się broni, gdy go ująć chcemy. Doszedłszy do owadów, zatrzymuje się nad niektóremi, mianowicie nad pająkami przyrządzającemi sobie z wielką zręcznością sieci dla łowienia muszek, których

krew wysysają. Potém przechodzi do ptaków, rozbiéra rozmaite sposoby budowania gniazd, naznacza gatunki które gniazd nie ścielą, i przytacza kukułkę znoszącą jaja w obce gniazdo. (1)....

.....

.....

Stan nauk przyrodzonych po śmierci Alexandra W.— Teofrast.— Ptolomeusze.

(*Z tegoż tomu rozd. VIII*).

Arystoteles nie samemi tylko pismami wzbogacił nauki; przyczynił on się również do ich wzrostu i rozpowszechnienia, wpływem wynikającym z wysokiego stanowiska towarzyskiego na jakiém się znajdował. Będąc nauczycielem Alexandra, wpoił weń smak do nauk przyrodzonych, i za jegoto zapewne radą, towarzyszyli temu młodemu zdobywcy w jego wyprawie uczeni, a w ich pracach i on sam brał udział. Gdyby nie ta przezorna troskliwość, podboje Alexandra nie więcéjby się były do postępu nauk przyrodzonych przyczyniły, jak wyprawa 10^{cio} tysięcy, i nie możnaby było zastąpić bajecznych podań Ktezyasza, opisami prawdziwych faktów, które zebrali uczeni mający wszelką łatwość należytego zgłębienia rzeczy. Między uczonemi towarzyszącemi Alexandrowi, odznaczał się *Kalistenes*, który jeszcze w Grecyi napisał dzieło o roślinach, i drugie o anatomii, a w tém ostatniém wnętrze oka daleko lepiéj jest opisane, niż u poprzedników jego.

(1) Gall utrzymuje że kukułka nie wysiaduje piskląt dlatego, że jéj brak wyniosłości na czaszce miłość macierzyńską oznaczającéj. Inni zaś twierdzą, że osobliwy kształt brzucha kukułki, tego szczególnego zjawiska jest przyczyną. (*St. Aży*).

Znakomity nasz badacz przyrody, hr. Konst. Tyzenhauz, trafniejsze od powyższych uczynił spostrzeżenie: mówi on, że długa przerwa między jednem a drugiém znoszeniem jaj kukułki, zdaje się być przyczyną konieczności składania ich w obce gniazda; pierwsze albowiem jaja zniesione w kwietniu, uległyby zepsuciu, niżby się ostatnie w lipcu zniesione wykluło; a obok tego robi uwagę, że kukułka pomiędzy owadożernemi ptakami jedynym jest przykładem wielomęztwa; wiadomo zaś, że same tylko ptaki w jednożeństwie żyjące w wysiadywaniu i karmieniu potomstwa kolejno się wyręczają; jakowa okoliczność już sama przez się tłumaczy dostatecznie macierzyńską obojętność kukułki. Ob. *Ornit. powszechna T. II, str. 168, 169 w przypisku.* (*T*).

Tragiczna śmierć tego badacza, nie dozwoliła żeby nas doszedł owoc spostrzeżeń jego na Wschodzie. Lecz domyślać się można, że aż do chwili, w któréj popadł w niełaskę, pisywał ciągle do Arystotelesa, będącego jego krewnym i mistrzem, i że tym sposobem poszukiwania jego nie były stracone dla nauk. Zresztą, zdobycia Alexandra mają zupełnie odrębną cechę. Większa część napadów o których dzieje wspominają, były sprawą tłumów nawpół dzikich, rzucających się na ludy ukształcone i zalewających je ciemnotą i barbarzyństwem. Wyprawa Alexandra przedstawia nam przeciwnie naród już wysoko wykształcony, niosący światło do krajów do których wkracza, a biorący nawzajem od zwyciężonych to, co posiadają pięknego i pożytecznego. W téjto wyprawie Grecy odkryli słonie, które wkrótce użytemi były z wielkiém powodzeniem w wojskach książąt Zachodu. Z téj samej wyprawy przywieźli pawie, których lśniące pióra tak podziwiali Grecy, że je pokazywano za opłatą. Ona również dostarczyła papug, których gatunek najpiérwéj poznany, nosi nazwisko przypominające czas ich wprowadzenia: mianują go naturaliści *papugą Alexandra*; przy upierzeniu zieloném ma on szyję szkarłatną, długi ogon żółtawo-zielony i jasno zielonkowate podbrzusze.

Państwo Alexandra rozciągało się od Adryatyku do rzeki Indus, a jednak badania naukowe za jego panowania czynione, obejmowały większy jeszcze obszar. Spuściwszy się Indusem rozkazał admirałowi swojemu Nearkowi płynąć daléj, i przydał mu za towarzysza filozofa Onezykrytesa. Flota przebywając morze nieznane Grekom w kierunku na zachód, przybiła do przystani Harmozya blizko ujścia zatoki Perskiéj. Po drodze często miała stosunki z mieszkańcami nadbrzeżnemi i w sprawozdaniu z téj podróży znajdują się opisy roślin i zwierząt ziemskich i wodnych spostrzeganych na miejscach do których przybijano. Jest tam wzmianka o drzewie bawełnianém i o pożytku, który Indyanie z jego puchu odnoszą używając go na odzież. Opisany także tygrys królewski czyli pręgowany i wieloryb, którego kości szczękowe służyły nadbrzeżnym mieszkańcom w budowli domostw.

Po przedwczesnéj śmierci Alexandra w roku 324 przed Chr. obszerne państwo jego podzielone było przez naczelników wojsk, którzy wydzierali sobie nawzajem różne jego części, i wielkie z tego powodu zamieszanie powstało. Lecz po zabiciu Perdykasa przez własnych żołnierzy, i gdy późniéj Antygon z synem swoim Dymitrem Poliorcetem pobici zostali w Frygii pod Ipsus, utwo-

rzyło się troje królestw, które zdawały się zapowiadać długą trwałość. Kassander panował w Macedonii, Seleukus w Syryi i krajach przyległych, Ptolomeusz w Egipcie. Piérwszy, jak się zdaje, sam jeden nie lubił nauk i umiejętności. Uciemiężał Ateny i zmniejszył w nich upodobanie do nauk. Dwaj inni królowie inaczéj postępowali, opiekowali się naukami, a nawet sami z pewném powodzeniem uprawiali je. Ptolomeusz syn nałożnicy Filipa, Arsynoi, a tém samém brat naturalny Alexandra, był naczelnikiem jego wojsk i napisał sprawozdanie o jego zaborach, podług którego Adrianus ułożył historyą Alexandra.

Ptolomeusz i Seleukus założyli każdy osobno księgozbiór na wzór mistrza swego Arystotelesa, a może nawet to robili w skutek rad jego dawniejszych. Przed Arystotelesem zbierali wprawdzie niektórzy księgi dla rozrywki swojéj, lecz nikt nie miał wyobrażenia o dzielnéj pomocy, którą zbiory ksiąg mogły być dla ćwiczących się w naukach, i jak dalece tém samém mogły przyczynić się do wzrostu tychże nauk. Arystoteles piérwszy zbierał księgi, żeby się ich mógł radzić według potrzeby. Cały jego księgozbiór, zapewne wielki, Ptolomeusz nabył od Neleusza i wcielił do biblioteki alexandryjskiéj.

Państwo Seleuka obszerniejszém było od tamtych dwóch, lecz wkrótce rozpadło się na części, z których powstały królestwa: Pontu, Kappadocyi, Pergamu, Baktryany i Bitynii.

Najmniejszém było królestwo Ptolomeusza, ale téż za to było najspokojniejszém, i wkrótce doszło do wysokiego stopnia pomyślności, w skutek tych samych przyczyn, które pod panowaniem dawnych dynastyj, Egipt kwitnącym uczyniły. Podbojami rozszerzyło się królestwo ku południowi, i było krajem najbogatszym, najwięcéj przemysłowym i ze wszystkich, które składały państwo Alexandra, najlepiéj urządzonym. Ptolomeusz założył swój księgozbiór w Alexandryi, któreto miasto chociaż dopiéro co powstające, zapowiadało już przyszłą wielkość swoję. Zgromadził tam z różnych stron uczonych, zapewnił im przyzwoite utrzymanie przy bibliotece, aby się mogli oddawać bez przeszkód uprawie nauk i filozofii. Zakład ten, *muzeum* zwany, cieszył się od samego początku dziwnie przyjaznemi okolicznościami, albowiem oprócz światłéj opieki założyciela swego i pomocy wypływającéj z księgozbioru, wielkie odnosił korzyści z geograficznego położenia swego. W krótkim czasie Alexandrya stała się ogniskiem całego handlu morza Śródziemnego, Arabii, Afryki środ-

kowéj, Persyi i Indyj; przybywali tam podróżni i sprowadzano płody najrozmaitsze ze wszystkich stron świata. Tym więc sposobem, uczeni muzeum mogli szybko rozszerzyć dziedzinę nauk. Nadmienić tu wypada, że postęp ten był dalszym ciągiem umiejętności greckiéj, nie zaś egipskiéj; uczeni bowiem których sprowadził Ptolomeusz, przybywali z Grecyi i przynosili z sobą wiadomości daleko wyższe od egipskich, które przez ucisk i domowe rozruchy, oddawna już zupełnie prawie zniszczone były.

Syn i następca Ptolomeusza Lagusa, *Ptolomeusz Filadelf*, rozpoczął w 285 r. przed Chr. czterdziestoletnie panowanie swoje i wspiérał nauki pełną światła szczodrobliwością. Nauczycielem jego był *Straton*, uczeń Arystotelesa, dla wielkiego zamiłowania w naukach przyrodzonych *fizykiem* zwany. Uczeń jego Filadelf naśladując mistrza z wielkim zapałem oddawał się téj nauce; będąc charakteru spokojnego i niewiele mając zdrowia, w nauce szukał wynagrodzenia rozkoszy, do których przyroda odmówiła mu zdolności. Straton ułożył księgę o rzeczywistych i bajecznych zwierzętach któréj nie posiadamy. Ptolomeuszowi Filadelfowi winniśmy piérwszy zbiór żywych zwierząt czyli *zwierzyniec*, który zarazem był najbogatszym ze wszystkich jakie kiedykolwiek istniały.

Ten monarcha, prócz tego, że rozporządzał niewyczerpanemi skarbami, wielką miał łatwość w sprowadzaniu rozmaitych zwierząt kuli ziemskiéj, z powodu szczęśliwego położenia stolicy swojéj. Handel Egiptu z wnętrzem Afryki ułatwiał otrzymywanie zwierząt tego kraju lądem lub po Nilu; zwierzęta Azyi mniejszéj i Europy przybywały morzem Śródziemném, a indyjskie Czerwoném. Szczegóły igrzyska, które wyprawiał na cześć swego brata, zapisane w historyi, mogą nam dać wyobrażenie o bogactwie jego zwierzyńca. Ptolomeusz Soter przechodził Indye w czasie wyprawy Alexandra, chciano więc przypomnieć to zdarzenie, wystawiając na tym obchodzie tryumf Bachusa. Grono towarzyszące bożkowi przedstawiało tak rzadką rozmaitość zwierząt, że wszyscy władcy Europy nie byliby w stanie dzisiaj coś podobnego uczynić. Widziano tam słonie, białe jelenie indyjskie, bawoły, strusie, Antylopy z gatunku Oryx zwanego, do wozów zaprzężone; były wielbłądy objuczone pachnidłami, kadzidłami i innemi kosztownemi płodami Wschodu, owce etyopskie, pantery, irbisy (*Felis uncia*), lamparty, nosorożce, dwadzieścia cztéry lwów naj-

większego wzrostu i niedźwiedzie białe. Długi czas dziwiono się, że te ostatnie mogły się znajdować na téj uroczystości; nie znając innych nad te, które wśród lodowatych mórz mieszkają; nie pojmowano jakim sposobem król Egiptu, mógł je z tamtych stron sprowadzić. Niedawnemi czasami Rüppel wyjaśnił tę trudność, nauczając nas, że niedźwiedzie białe znachodzą się na Libanie; z tychto zapewne gór, pochodziły Ptolomeuszowe.

Łatwo pojąć jak wielkiéj był wartości dla badaczów przyrody zwierzyniec tego władcy. Tém zaś był użyteczniejszym, że od dawnych czasów zwyczajem było w Egipcie hodować po świątyniach rozmaite zwierzęta których obyczaje badano za życia, a po śmierci balsamowano ich zwłoki. Nauka zatém już poniekąd rozwinięta, nowy wzrost brać mogła. To też Aleksandrya słynęła anatomami i zoologami znakomitemi, podczas przewagi filozofii perypatetycznéj.

Lecz teraz należy nam się wrócić do Aten i zastanowić nad rozwojem filozofii po śmierci Arystotelesa, która jak wspomnieliśmy, nastąpiła w roku 322, przed Chr., tojest w tym samym roku, w którym Demostenes zakończył życie, aby się uwolnić od prześladowań Antypatra. Już przedtém jarzmo Macedończyków przygniatało Grecyą; lecz po śmierci Arystotelesa i Demostenesa Ateny rzeczywiście poddały się królowi macedońskiemu. Zachowawszy jednak udzielność swoję i wewnętrzne urządzenie, co je stawiało w położeniu podobném poniekąd do niektórych miast Cesarstwa niemieckiego, posiadały zawsze szkoły kwitnące o tyle, o ile być mogło przy rozruchach. Temi szkołami były: *Akademia* w któréj panowały wyobrażenia Platonowe, *Liceum*, gdzie trzymano się metody Arystotelesa, i *Szkoła Portyku* w ręku sekty Cyników zostająca.

Najsławniejszym w szkole Liceum był *Teofrast*, o czternaście lat młodszy od Arystotelesa. Urodzony w Erezie na wyspie Lesbos, był jak powiadają, najprzód uczniem Platona, nim wstąpił do szkoły Arystotelesa, przyjaciela swojego i mistrza. Nazywał on się właściwie *Tyrtamem*, a miano Teofrasta, co znaczy *mówca boski*, nadane mu było przez założyciela Liceum dla jego wymowy, która zaiste wielką być musiała, kiedy mogła jak podają, zjednać mu dwa tysiące uczniów. Mówią, że gdy zapytywano Arystotelesa kogoby chciał naznaczyć po sobie przewodnikiem swéj szkoły, dał do zrozumienia, że przenosił Teofrasta; kazał sobie bowiem podać wina rodyjskiego i lezbijskiego i powiedział: że piérwsze

choć jest mocne, woli jednak drugie, bo słodsze i lepsze. Otoż Teofrast był Lezbijczykiem, a współzawodnik jego Menedem pochodził z Rodu.

Teofrast podobnie jak mistrz jego był prześladowanym; niejaki Sofokles, pod te czasy pretor, oskarżył go o bezbożność i dał powód do skazania go na wygnanie, wraz z innemi filozofami roku 306 przed Chr; lecz wkrótce Teofrast został przywołanym, a oskarżyciel jego wygnanym. Teofrast, naglony przez Ptolomeusza Lagusa żeby w Alexandryi osiadł, wolał zostać w Atenach dla przewodniczenia w Liceum. Wytworną uposażony wymową, słodki w obejściu, czystego żywota, dobroczynny i dbały o przyzwoitość, był przedmiotem miłości i uwielbienia współziomków swoich. To też gdy umarł, mając lat 85, a podług innych 107, wszystek lud ateński towarzyszył pogrzebowi jego. Przekazał dom przyjaciołom swoim z warunkiem, żeby go nigdy nie sprzedawali, a schadzali się w nim dla biesiady literackiéj lub filozoficznéj. Piérwszy to był przykład zapisu na cel naukowy, przez prywatnego człowieka uczynionego; naśladował on w tém o ile mógł Ptolomeusza Lagusa, jeszcze za jego życia. Zostawił także przyjaciołom swoim ogród, w którym był nagromadził znaczną ilość roślin zagranicznych i krajowych; lecz ponieważ szkło nie było jeszcze tyle upowszechnioném, żeby pomyślano użyć go do budowy cieplarni, to też roślin podzwrotnikowych mało tam było. Opisy Teofrasta przedstawiają niedostatki, które właśnie pochodzą z braku tego sposobu postrzegania ich z natury; jednak jego ogród botaniczny wielką był bez wątpienia pomocą dla nauki. Widzimy, że i ten zakład naukowy, najpiérwszy w swoim rodzaju, do szkoły Arystotelesa należy.

Oprócz księgi o *charakterach* którą naśladował La Bruyere (1), napisał Teofrast mnóstwo innych o roślinach, zwierzętach, kopalinach i t. d. Według Dyogenesa Laërcyusza, który nam zachował część ich napisów, liczba tych ksiąg dochodziła do dwóchset. Posiadamy najznakomitsze i niektóre z mniéj ważnych. Odznaczają się wszystkie metodą doskonałą, wielkim dowcipem, trafnością i niepospolitą wytwornością wyrażenia.

(1) Przekład tego dzieła La Bruyera dał nam hr. Franciszek Podoski w Warszawie u Dufoura 1787 r. in 8vo, tomów 2. Mamy także tłumaczenie *Charakterów* Teofrasta p. ks. Zacharyaszewicza, w dziele pod tytułem: *Krótki zbiór starożytnych moralistów*. W Lowiczu 1784 i 1787. (T.).

Ze wszystkich pism Teofrasta, które do nas doszły, najznakomitszém jest *Historya roślin*. Układ taki sam jak Historyi zwierząt Arystotelesa. Na wzór jego zaczyna od części roślin, które dzieli na korzeń, łodygę, gałęzie i gałązki. Robi uwagę, że różne te części nie u wszystkich roślin się znajdują, uwaga ta tém jest słuszniejszą, że umieszcza i to bardzo sprawiedliwie, trufle i grzyby pomiędzy roślinami. W każdéj części rozróżnia korę, drzewo i rdzeń. Opisuje części roślin powierzchowne jakoto: kwiat, szypułkę, liść i wąsy; mówi też o dębiankach, co się tworzą od zakłócia owadów. Następnie przechodzi do części wewnętrznych, do miąższu, nerwów, żył i soków.

Teofrast używa zawsze, naśladując Arystotelesa, pewnéj metody dla uporządkowania przedmiotów które rozbiera; lecz mu się to nie tak dobrze udaje jak mistrzowi jego. Przyczyną tego jest bez wątpienia, że zadanie jego trudniejszém było: cechy bowiem według których można rozdzielać rośliny na rozmaite gromady, nietyle wpadają w oczy, co piętno służące do podziału zwierząt; zasadza on swój podział roślin na samym tylko ich wzroście i zbitości. Tworzy tym sposobem cztéry wielkie gromady, których używano aż do odrodzenia się nauk; gromadami temi są: *drzewa*, *krzewy*, *podkrzewy* i *zioła*.

Zastanawia się nad rozmaitemi własnościami drzewa i rdzenia; opisuje różne kształty korzenia; rozróżnia kształt gałęzisty, wrzecionowaty, bulwiasty czyli guzowaty i przywodzi przykłady każdego z tych kształtów.

Stanowi zasadę ogólną, że korzenie roślin nie zapuszczają się nigdy daléj w ziemię jak do głębokości w któréj jeszcze ciepło słońca uczuwać się daje. Liście dzieli podług wielkości, kształtu i położenia. Dostrzega bardzo trafnie, że ich strona odwrotna daleko większą posiada zdolność wsysania od wierzchniéj. Wspomina o narzędziach owocowania, rozróżnia kwiaty nadowocowe i podowocowe i wylicza rozmaite gatunki nasion. Wspomina o rozmnażaniu się roślin za pomocą korzeni, rozłogów i odziomków. Porównywa rośliny dzikie z uprawianemi i dowodzi, że te ostatnie nie utworzyły się przez wyrodzenie dzikich; że naprzykład błędem jest, żeby żyto miało pochodzić od jęczmienia zmienionego przez uprawę, jak to niektórzy nieświadomi rzeczy dziś jeszcze utrzymują. Zastanawia się nad wpływem gleby i klimatu na urodzajność roślin i nad innemi okolicznościami podobny skutek wywierającemi; i tak tłumaczy kapryfikacyą, za pomocą któ-

réj otrzymujemy większą ilość owoców fig, a która zależy na tém, że się kładzie na drzewo małe owady (1), które zapuszczając się w kwiaty zapładniają jajniki (2). Mówi także jak się zapładnia palma daktylowa samicza, potrząsając nad nią gałązki palmy samczéj. Wspomina o palmach znajdujących się w krajach podzwrotnikowych, a pomiędzy niemi wyszczególnia palmę rosochatą, rosnącą w wyższym Egipcie. Daléj, gdzie rzecz idzie o drzewach leśnych, naucza, jak się rozradzają w oddalonych miejscach za pomocą wiatrów, nawodnień i t. p. Rozróżnia drzewa rosnące na górach, od mieszkających po dolinach; wiecznie zielone od roniących liście, i kiedy opadanie liścia następuje w różnych gatunkach. Wskazuje czas wstępowania soków, porę owocowania. Nareszcie prawi o względnéj szybkości rozwijania się każdéj rośliny. Pomiędzy opisanemi drzewami dostrzegamy mimozę czyli akacyę prawdziwą, daléj czułek (*Noli me tangere*; *Mimosa sensitiva*) odmienne od małego gatunku, który w naszych cieplarniach hodować zwykli. Poznajemy jeszcze kilka gatunków jakoto: cytrynowe drzewo, które nazywa jabłonią ciernistą Medyi; owoc téj rośliny, jak podaje, nie służy do jedzenia, lecz skórki jego używają dla zaprawienia przyjemną wonią sukni; daléj figę braminów, któréj gałęzie zwracają się do ziemi, tam przemieniają się w korzenie, z tych zaś znowu wyrastają gałęzie i t. d., następnie drzewo bananowe, o długich liściach naśladujących strusie pióra; nareszcie drzewo hebanowe i bawełniane. Ostatnie znane było od czasu wyprawy Alexandra, lecz do Grecyi go nie wprowadzono.

Mówi też o morskich roślinach i mieści gąbkę obok porostu, chociaż mu wiadomo, że ma niejakie podobieństwo do zwierząt. Opisując rośliny wód słodkich, namienia o papirusie tak pożytecznym podówczas, kiedy jeszcze pargaminu nie znano, o lotusie, rodzaju grzybienia bardzo pospolitego po kanałach egipskich.

Zastanawia się nad trwałością roślin i ich chorobami, nad wiekiem w którym je ścinać należy, nad owadami pożerającemi rośliny, i przy téj zręczności opisuje poczwarkę jelonka mieszkającą pod korą dębiny. Utrzymuje, że na wyspie Korsyce drzewa najwyższego dochodzą wzrostu.

(1) Sąto owady błonkoskrzydłe z rodzaju galasówki, *Cynips psenes* Lin. (*T*).

(2) Owady te nie mają własności zapładzania, lecz zanoszą mimowolnie pyłek kwiatowy (pollen) do zapłodnienia potrzebny. (*St. Aży*).

W szóstéj księdze swojéj historyi roślin, mówi o krzewach, podkrzewach i roślinach kwiatowych; w następnéj o roślinach warzywnych i niektórych polnych; w ósméj o zbożowych i groszkowych; spostrzegamy, że kukurudza już wtedy znaną była. W dziewiątéj, Teofrast wspomina o sokach co je z niektórych roślin otrzymujemy, jak np. mirrę, kadzidło, smołę, dziegieć, żywicę, gummę. Wzmiankuje też o niektórych przyprawach korzennych, szczególniéj o cynamonie, o roślinach lekarskich, np. o ciemierzycy, któréj za jego czasów daleko więcéj jak dziś używano.

Ta historya roślin jest niejako naśladowaniem historyi zwierząt Arystotelesa, lecz o wiele jest niższą od swego wzoru. Lubo Teofrast wiele miał rozumu i nauki, niedostawało mu jednak gieniuszu Arystotelesa. Napróżno szukamy w jego pismach tych pięknych i dokładnych zasad ogólnych, które podziwialiśmy w jego mistrzu. Podziały Teofrasta ustąpiły miejsca innym, mianowicie Linneusz wszystko niemal zatarł, gdy tymczasem Arystotelesowe prawie się wszystkie ostały.

Wszelako historya roślin nie jest bez zalet: zawiera ona wiadomości o czterystu blizko gatunkach, a liczba to niemała jak na piérwszą botanikę. Między temi gatunkami znajdujemy wielką ilość drzew leśnych, kilka owocowych, prawie wszystkie rośliny warzywne, zbożowe i niektóre rośliny indyjskie, które dopiéro w XV wieku odszukano na nowo.

. . . . . .

. . . . . .

Anatomia. Sylwiusz. — Wezaliusz i jego dzieła.

(*Z tomu II rozd. I.*

. . . . . .

. . . . . .

Sławniejszym od Etiena był professor *Jakób Diuboa* (Dubois) znany pod nazwiskiem *Sylwiusza*; był on jednym z piérwszych uczniów Gontiera, a tym sposobem, stał się nawzajem nauczycielem wielu uczniów swego mistrza. Słynął w Paryżu od 1531 roku. On piérwszy przełożył dzieła Hipokratesa i Galena z pierwotworów, nietylko co do anatomii, lecz co do całéj nauki lekarskiéj. Opowia-

dają, że miał czterechset słuchaczy, gdy tymczasem sławniejszy od niego Fernel piętnastu do dwudziestu tylko liczył. Został on professorem 1550 roku po śmierci Vidiusza o którym zaraz mówić będziemy. Do tego czasu prywatnie tylko nauczał. Księga jego *Isagogae in libros Hippocratis et Galeni*, jest komentarzem do starożytnych. On piérwszy nadał nazwiska muszkułom. Galen opisał wprawdzie muszkuły człowieka, lecz oznaczał je liczbami, np. piérwszy, drugi i t. d. muszkuł nogi lub ramienia, co bardzo utrudzało pamięć; Diuboa nadał każdemu osobne nazwisko. Oprócz tego, wiele zrobił odkryć. Piérwszy spostrzegł przedłużenie błony brzusznéj do moszen. Początku żyły głównéj szukał w sercu, kiedy jeszcze długi czas po nim szukano go w wątrobie. Wzmiankuje o zastawkach w żyłach, które późniéj dokładnie opisane przez Fabrycyusza ab Aquapendente, doprowadziły Harweya do odkrycia krążenia krwi. Zawsze jednak Sylwiusz piérwszy zrobił to ważne spostrzeżenie; a że nie zaraz przyniosło owoce, winni są temu następcy jego, którzy się niedość nad ważnością jego zastanawiali. Często się zdarza widzieć w umiejętnościach, że piérwsze odkrycie, które powinnoby w prostém następstwie dać początek drugiemu, zostaje w odosobnieniu do pewnego czasu, bo związek i następstwo, najprostsze na pozór gdy je już poznamy, długo dostrzeżonemi nie były. Opisał także Sylwiusz przyrostek robaczkowy kątnicy, i część wątroby zwaną dzisiaj zrazikiem Spigeliusza, chociaż ten anatom nastał dopiéro w 60 lat po Sylwiuszu. *Isagogae* nie były drukowane aż po śmierci 1555 roku. Zostawił on jeszcze inne dzieło pod napisem: *Librorum Galeni de ossibus Commentarium*; wyszło w r. 1561, tojest również po śmierci jego. W tym czasie zaczęto poszukiwać, czy Galen opisywał człowieka, czy zwierzęta. Galen nigdzie nie mówi, że opisywał człowieka, lecz, że w wielkiém był poważaniu u lekarzy, więc nie chciano przyznać, żeby tylko zwierzęta były przedmiotem jego badań. Wezaliusz piérwszy odważył się wystąpić z tém zdaniem wbrew wszystkich lekarzy Europy; Sylwiusz zaś, mistrz Wezaliusza, widząc go powstającego przeciw Galenowi, bronił Galena z dziwną żywością i gwałtownością Znajoma jest szorstkość owoczesnych rozpraw literackich; nie lepiéj się działo co do anatomii. Gburowatość Sylwiusza była niesłychaną. Był on bardzo cierpkim odludkiem. Mówią także że był niesłychanie skąpym, a ztąd powstał dwuwiérsz Buchanana, przyczepiony do bramy kościoła w dzień jego pogrzebu:

Sylvius hic situs est gratis qui nil dedit unquam,
Mortuus et gratis quod legis ista dolet.

(Tu spoczywa Sylwiusz, który darmo nic nigdy nie dał nikomu. Umarł, a że to czytasz darmo, i to go boli).

Najpiérwszym anatomem tego czasu, i że tak rzekę księciem wszystkich anatomów, był uczeń Gontiera i Sylwiusza *Jędrzéj Wezaliusz* urodzony 31 grudnia 1514 w Bruxeli. Ojciec jego był aptekarzem cesarza Maxymiliana. Przodków i wielu krewnych miał lekarzy, którzy przybrali nazwisko od rodzinnego miasta Wezel w Kliwii. Wezaliusz gruntowne pobierał nauki w Lowanium, gdzie oprócz humaniorów i filozofii uczył się języka greckiego. Potém udał się do Mąpelie, dla nauki lekarskiéj. Mąpelie w tym czasie słynęło jako siedziba medycyny arabskiéj, wydoskonalonéj znajomością pism lekarzy starożytnych. Przybył późniéj do Paryża, aby się jeszcze doskonalić w sztuce lekarskiéj pod Gontierem, który poniekąd był ziomkiem jego i wziął go na prosektora; uczył się także od Sylwiusza i Fernela, a mając lat 22, odkrył naczynia nasienne. Narażał się na wielkie niebezpieczeństwo, szukając trupów po cmentarzu, a nawet pod szubienicą (1). W roku 1536 wezwany został do Lowanium. Cesarz Karol V mianował go naczelnym lekarzem armii, podczas wojny którą prowadził z Franciszkiem Iszym w Pikardyi i Prowancyi. Wkrótce potém schronił się do Wenecyi i wydał w 1539 r. kilka tablic anatomicznych, a rzeczpospolita Wenecka wezwała go na professora do Padwy. W XVItym i na początku XVIIgo wieku, uniwersytet tego miasta, był najznakomitszą szkołą lekarską; ciągle jednym z najsławniejszych. Nauczał on tam od roku 1540—1549. Udał się najprzód do Bononii, następnie do Pizy, a w roku 1543 ogłosił piérwsze wydanie swojéj wielkiéj anatomii. A że w Bazylei najpiękniejsze były druki, więc tam Wezaliusz wydał dzieło swoje. Przedmowy napisanéj w roku 1542 nie zmienił. Drugie wydanie, w niczém prawie niezmienione, zrobił 1555 r. Wszystko więc, co się zawiera w téj księdze pięknego i wielkiego, jest dziełem młodzieńca dwudziestoośmioletniego. Tablice były rytowane we Włoszech na drzewie, z rysunków bardzo doskonałych. Wiek XVIsty najbogatszym był w artystów: we Włoszech żyli Tycyan, Rafael i wszyscy wielcy mistrzowie. Utrzymują, że tablice Wezaliusza rysowane były przez Tycyana, a jeżeli nie przez niego samego, to przynajmniéj przez jednego z najlepszych jego uczniów;

(1) Przepędzał dnie całe pośród trupów na cmentarzu Niewinnątek (des Innocens) który późniéj na rynek zamienionó, lub na wzgórzu Mąfoką. Byłto Bisza (Bichat) owoczesny. (*St. Ażу*).

wątpię bowiem, iżby i dziś znaleźć można piękniejsze tablice co do saméj sztuki rysowania: bywają może więcéj wykończone i wydoskonalone, lecz wyższych pod względem piękności i sztuki pewno nie znajdziemy. W miarę jak je wykończano we Włoszech, przysyłano mu je do Bazylei. Udał się do tegoż miasta dla ogłoszenia drugiego wydania. W czasie tego pobytu złożył szkielet i podarował go uniwersytetowi bazylejskiemu, gdzie przez długi czas był zachowywanym. Nie wiemy czy się tam jeszcze znajduje ów pomnik kursu anatomicznego, który wykładany był w tém mieście przez największego z anatomów. Że drugie wydanie z 1555 roku w niczém się nie różniło od piérwszego, pochodziło to ztąd, iż Wezaliusz zostawszy nadwornym lekarzem Karola Vgo, nie miał już czasu zajmować się anatomią. Towarzyszył cesarzowi do Hiszpanii, i tam się właśnie znajdował gdy wyszło dzieło Fallopiusza, w którém go ten krytykuje. Hiszpania tak wtedy nizko stała pod względem anatomii, że w całym Madrycie, nie mógł znaleźć trupiéj głowy i musiał z pamięci odpowiadać na zarzuty (1).

Zdarzył mu się w tym czasie bardzo nieszczęśliwy wypadek: rozbierał ciało szlachcica, którego leczył, dla przekonania się o przyczynie śmierci; lecz w chwili, gdy otworzył jamę piersiową, spostrzeżono, że serce jeszcze biło (2). Zgorszenie było okropne, prześladowano go jako lekarza co żywego rozbierał człowieka. Inkwizycya wmieszała się w tę sprawę. Darowano mu życie, lecz za pokutę rozkazano odbyć pielgrzymkę do Ziemi świętéj. Jakoż w saméj rzeczy udał się do Jerozolimy, zkąd go przyzwała nazad rzeczpospolita wenecka, chcąc mu napowrót powierzyć katedrę padewską, osieroconą po śmierci Fallopiusza w 1563 roku. Lecz w powrocie rozbił się z okrętem koło wyspy Zante, gdzie umarł z głodu mając lat pięćdziesiąt.

(1) To też sławni jego wydawcy Boerhaw i Albinus przyznają, że ta obrona nie jest godną jego; i tak się wyrażają: *Aulicis obnoxius totus obsequiis, haeret cerebro, vera negat, saepe minus proba asserit* i t. d.

(2) Można przypuścić, że jeden z widzów nachylony i oparty na trupie, mógł spowodować przypływ krwi żylnéj do przedsionków; niewyraźne drganie, lekki ruch falisty ztąd pochodzący, mogły być wzięte za znak życia i wywołać okrzyk przerażenia, który z radością powtórzyli nieprzyjaciele Wezala, ucieszeni że mieli sposobność zgubić go. Inkwizytorowie i mnisi hiszpańscy, chwycili się chciwie téj zręczności pozbycia się uczonego, co się naśmiewał z ich ciemnoty, stroju i obyczajów. Padł więc jak Sokrates ofiarą téj walki to utajonéj to otwartéj, którą apostołowie błędu i kłamstwa po wszystkie czasy toczyli z badaczami przyrody i prawdy. (*St. Aéy*).

Takim był koniec sławnego Wezaliusza. Prace nie zapełniły całego życia jego. Widzieliśmy, że w 28 roku wszystko już było skończone, gdy napisał swoję anatomią: *De humani corporis fabrica.* Podzielił ją na 7 ksiąg. W piérwszéj opisuje kości; wizerunki przyłączone, są doskonałe; co chwila zbija Galena. Niepodobną téż było rzeczą, robiąc spostrzeżenia bezpośrednio z natury i porównywając je z pismami sławnego lekarza pergamskiego, nie dostrzedz zaraz, że Galen nie opisywał kości ludzkich. Wezal dowodzi, że Galen opisując w szczęce kość nacinającą, jako część oddzielną, musiał miéć przed oczyma szczękę zwierząt: u człowieka bowiem, między korzeniem kła a drugim nacinającym zębem, nie ma szwu żadnego, nawet w płodzie, chybabyśmy mogli przypuścić, że się znajduje w stanie zarodkowym. Błąd również oczywisty znajdujemy co do kości krzyżowéj i mostkowéj. Opisy kości podniebieniowéj i sitowéj podane przez Wezala, nie są już tak dokładne jak poprzedzające; to téż te kości najtrudniejsze są do opisania. Odrzuca on błędne starożytnych mniemanie, jakoby śluz z mózgu do nosa zstępował, i okazuje, że między mózgiem a jamą nosową żadnego nie ma przewodu spółkującego, jednak to mylne mniemanie, długo się jeszcze utrzymywało. Druga księga mówi o muszkułach: są one tam lepiéj opisane niż u wszystkich jego następców, aż do Winslowa. Wizerunki ich bardzo są piękne, lecz drobne muszkuły krtani i twarzy źle opisuje, co ztąd pochodzi, że chociaż tak cierpko wymawiał Galenowi opisywanie ciała ludzkiego podług spostrzeżeń robionych na zwierzętach, jednak sam co do drobniejszych przedmiotów, zwierzętami się posługiwał. To szczególniéj widocznem jest w opisie miejsca (placenta), które oczywiście wziął z suki, i słusznie mu za to robią wyrzuty. W dziele swojém on piérwszy opisał wiązadła stosu pacierzowego.

Trzecia i czwarta księga poświęcone są naczyniom i nerwom. Tu mniéj już widzimy dokładności, nie umiał bowiem robić wtryskiwań, a jednak opisy te bardzo były szacowne w swoim czasie. W piątéj opisuje wnętrze brzucha: niektóre trzewia bierze ze zwierząt jak np. macicę i wątrobę, a sprawy ich lepiéj od poprzedników swoich opisuje. W szóstéj, mówi o piersiach, zastawkach sercowych i ich przeznaczeniu, co zdaje się powinnoby go było naprowadzić na odkrycie krążenia krwi. Widać tu znowu, że rozbiérał tylko zwierzęta, bo kość którą w sercu człowieka mieści, znajdujemy tylko u przeżuwających i u innych czworonożnych zwierząt. Położenie serca lepiéj oznacza mieszcząc je nie w pośrodku jak dawniéj czyniono, ale nieco z lewéj strony kości mostkowéj. Rysunki jego nie były

jednak robione podług człowieka. Siódma księga zawiera głowę i mózg: rozróżnia istotę mózgu korową od rdzeniastéj i rożek zstępujący komórki mózgowéj; odrzuca siatkę cudowną i przedłużenie komórki przedniéj w nerw powonienia. Dostrzegamy także, że znał sposób przywracania ruchu serca za pomocą nadymania płuc i kilka innych doświadczeń fizyologicznych, chociaż właściwie w dziele swojém nie mieści fizyologii. Dla piękności wizerunków dzieło to odrazu stało się klassycznem, a wytworność łaciny odpowiada poprawności rysunku.

Zawziętość z jaką wyrzucał błędy Galenowi, który od czasu Arabów był bożyszczem w sztuce lekarskiéj, ściągnęła nań nienawiść wszystkich lekarzy i anatomów tego czasu. Widzieliśmy z jaką zaciekłością powstał na niego dawny jego nauczyciel Sylwiusz; dla obrony swojéj napisał Wezaliusz książkę pod napisem *De radice chinae* (1) drukowaną w Wenecyi 1546. Broni się po prostu przywodząc wszystkie części ciała, które w człowieku inaczéj są zbudowane jak u zwierząt, i na każdéj dowodzi, że opis Galena odpowiada tylko zwierzętom. Ile razy opisuje części których skład jest taki sam u człowieka jak i u zwierząt, nie można dostrzedz podług czego opisywał Galen; lecz skoro tylko zachodzi między niémi różnica, zaraz się błąd staje widocznym. Przywiedliśmy jedynie dla przykładu samę kość szczękową, lecz możnaby bardzo wiele dodać podobnych uchybień. W dziele swojém Wezaliusz sam poprawia niektóre błędy. Lecz gwałtowność z jaką pisano przeciwko niemu, tak go zraziła do sporów literackich, że rzucił w ogień przygotowane zapiski swoje.

Fallopiusz następca jego w Padwie napisał dzieło: *Observationes Anatomicae*, w którem robi zarzuty Wezaliuszowi w sposób nieco odmienny od innych przeciwników, broniąc pod wielu względami zdań lekarzy starożytnych. Wezaliusz znajdujący się pod tę porę w Hiszpanii, odpowiedział mu w dziele pod napisem *Anatomicarum observationum Fallopii examen.* Ułożył je z pamięci, bo jak już wspominaliśmy, nie mógł w całém mieście znaléźć trupiéj głowy. Porównywa on w tém dziele opisy Galenowe z samemi przedmiotami i dowodzi ile możności, że Galen opisywał tylko zwierzęta. Wspomina w niém także o niektórych odkryciach anatomów swego czasu; naprzykład o kości *strzemieniowéj w uchu* przez Ingrassiusza znako-

(1) Tojest o korze Chiny, którą świéżo wyleczono Karola V, a poczytywano ją za korzeń. (*St. Aży*).

mitego wtedy anatoma spostrzeżonéj. Oba dzieła wspomniane na końcu, tojest *de radice chinae* i odpowiedź na spostrzeżenia anatomiczne Fallopa, zawierają obronę Wezaliusza od zarzutów lekarzy co się mienili orędownikami Galena. Pewną jednak jest rzeczą, że wielkie dzieło Wezaliusza jest początkiem całéj nowoczesnéj anatomii. Dzieła Fallopiusza i wszystkich jego następców oparte są na niém. Od niego poczyna się prawdziwa anatomia ludzka, którą wydoskonaliliśmy i jeszcze doskonalimy. Wszystko co poprzedziło, może być ciekawym przedmiotem dla historyi umiejętności: od wydania zaś Anatomii Wezaliusza łatwo już oznaczyć każde szczegółowe odkrycie i powiedzieć, co kto dodał do bogatego zbioru w jego dziele zgromadzonego i chronologicznie wykazać postępy umiejętności, aż do naszych czasów.

W następnym rozdziale zastanawiać się będziemy nad współczesnemi Wezala, i dojdziemy aż do odkrycia krążenia krwi na którém zamknie się historya szkoły włoskiéj. Harvey, chociaż był Anglikiem z rodu, pobiérał nauki głównie w Padwie, a co do wielkiego odkrycia jego, możnaby powiedzieć, że rozwinął tylko wyniki w nauce mistrza swego Fabrycyusza ab Aquapendente zawarte.

Palissy.

(Z tegoż tomu, rozd. IX).

. . . . . .

Bernard Palissy, współczesny niemal tych wszystkich autorów o których dotąd mówiliśmy, wprowadził do Francyi wiadomości mineralogiczne; był on nadto jedynym prawie w tym kraju człowiekiem co je posiadał. Urodził się w dyecezyi Aginneńskiéj (Agen) 1499 r., w bardzo ubogim stanie i nawet po łacinie nic nie umiał. Pierwiastkowo zajmował się miernictwem praktyczném, rysunkiem i malowaniem obrazów świętych; przebiegł, szukając sobie sposobu do życia, całą niemal Francyę. Udarowany umysłem chciwym wiadomości, gdzie tylko przybył, zajmował się badaniem płodów przyrody. Gdy mu się zdarzała zręczność, zabierał stosunki z aptekarzami i chemikami albo raczéj alchemikami. Nabył tym sposobem dość wiele wiadomości, które stosował mianowicie do wyrabiania fajansu i różnych szkliw czyli emalij; jakoż założył rękodzielnię podobnych wyrobów, które dotąd dość są poszukiwane, chociaż barwy onych

mało przedstawiają rozmaitości, a błękitna zbytnią nad innemi ma przewagę. Nazwał się wyrobnikiem naczyń glinianych i wynalazcą rustyków garncarskich. Książę Mąmoransy (Montmorency) pierwszym był jego opiekunem; użył go do wyrabiania bruku i posadzki fajansowéj, które zdobiły zamek Ekueński; jeszcze się resztki z niéj pozostały; inne wyjęto i umieszczono po zbiorach. Wyrabiał on dla króla Henryka IIgo i niektórych jego następców, wazy różnéj wielkości, półmiski i tym podobne naczynia, na których są wyobrażone szkliwem rozmaite rysunki, do tego zaś używał rozlicznych istot, przez długie poszukiwania mozolnie wynalezionych; wizerunki te dzisiaj jedynie dla smakowitości rysunku na uwagę zasługują. Palissy który w podróżach swoich ciągle się w rysunku ćwiczył, zdaje się miéć uczucie sztuki, a przywiązał się szczególniéj do pięknych utworów wielkich mistrzów XVI wieku, tak pod tym względem bogatego, jak żadna może inna epoka; zaiste, wielką to było zasługą, że garncarz z powołania, takie sobie wzory wybierał (1). Przyznano mu przywilej garncarza królewskiego, i pod tym tytułem mieszkał w Tiuleryach i prowadził daléj swoję rękodzielnię. Tym to sposobem uniknął rzezi śgo Bartłomieja, boć już w roku 1562 uwięziony został jako protestant. Laroszfukol i inni panowie, którzy sobie zamawiali u niego robotę, poradzili mu ukryć się w swojéj rękodzielni w Tiuleryach i tém go ocalili. Lecz w czasie oblężenia Paryża przez Henryka IVgo, tudzież za panowania szesnastu, znowu był prześladowany. Książę Mayen zaledwie zdołał ocalić mu życie, lecz nie mógł zapobiedz jego uwięzieniu w Bastylii (2), gdzie umarł 1589 r.

Palissy nie zajmował się wyłącznie sztuką garncarską; wykładał on także publicznie mineralogią (3), i na ten cel założył dość

(1) P. Lenoar (Lenoir) mniema, że Palissy malował według rysunków Rafaela okna zamku Ekuen, wyobrażające historyą Psychy; ogłosił on 45 rycin z tych okien przerysowanych, w VI tomie swego dzieła: *Musée des monumens français.* (*St. Aśy*).

(2) Henryk III (Walezyusz król polski) odwiedzając go w więzieniu, rzekł do niego: „mój poczciwcze, jeżeli się nie ugniesz pod względem twojéj religii, będę przymuszonym zostawić cię w ręku moich nieprzyjaciół." „Najjaśniejszy Panie" odpowiedział Palissy: „ci którzy cię przymuszają, nic na mnie nie wymogą; potrafię umrzeć." (*St. Aś.*).

(3) Tak był przekonanym o prawdziwości zdań swoich, że kazał przybić oznajmienie na ścianie swojéj szkoły, iż zwróci pieniądze każdemu coby mu ich mylności dowiódł. Wielu professorów w wielkiém znajdowałoby się niebezpieczeństwie, gdyby podobne obwieszczenie nad katedrą swoją przybić kazali. (*St. Aśy*).

znakomity zbiór mineralogiczny. W podróżach swoich zebrał wszystko co mu się osobliwém wydało i uporządkował. Ze spisu przedmiotów tego zbioru widzimy, że posiadał wiele ciekawych stalaktytów, kopalin, kruszców, markasytów (1), a nadewszystko liczne skamieniałości. Przywiązał on się mianowicie do tych kamieni postaciowych. Onto piérwszy lub przynajmniéj jeden z piérwszych utrzymywał, że muszle kopalne, które się znajdują po górach, są resztkami zwierząt morskich; dowodzi téż bardzo dowcipnie za pomocą nienaruszoności najdelikatniejszych nawet części owych konch tak kruchych, że nie mogły być tam zaniesione przez wody potopu lub nawodnienia, że żyły na tych samych miejscach, a tém samém, że morze spoczywało niegdyś na lądach gdzie je obecnie znajdujemy. Otóż widzimy początek, zarodek niejako, nowoczesnéj geologii. Zajmowano się wprawdzie przedtém, w różnych dziełach traktujących o kamieniach, jużto starożytnych, jużto średnich wieków lub późniejszych czasów, zagadnieniami fizycznemi, odnoszącemi się bądź do przyrody różnych skał, bądź do tworzenia się kryształów lub głazów; lecz ogólne zagadnienie o ułożeniu się ogromnych warstw części stałych kuli ziemskiéj, nigdy jeszcze rozwiązaném nie było: a zaczęto o tém myśléć wtedy dopiéro, gdy sobie zadawano pytanie, zkądby mogła pochodzić ta niezliczona ilość ciał organicznych, a nadewszystko miliardy muszel, znajdujących się w niektórych pokładach skorupy ziemskiéj. Niektórzy utrzymywali, że to było wypadkiem igraszki przyrody, wynikiem sił przyrodzonych, zboczeniem potęgi żywotnéj: Palissy wymiótł te błędy z dziedziny nauk. Jest on także jednym z ludzi, co największą przysługę rolnictwu uczynili, zalecając muszle tłuczone i margiel jako nawóz, czego się był nauczył w wędrówkach swoich po Santonii (Saintonge), gdzie tego rodzaju nawóz muszlowy w wielkiéj się obfitości znajduje. Dzieło w którém mówi o tém, nosi nazwę: *Récepte véritable par laquelle tous les hommes de la France peuvent apprendre à multiplier et augmenter leurs trésors*; wydane było w Roszelli 1563. Drugie dzieło pod napisem: *Discours admirables de la nature des eaux et fontaines, tant naturelles qu'artificielles, des pierres, des terres, du feu, des émaux, avec plusiers autres excellens secrets des choses naturelles*, również jest ważném. W 1580 ogłosił rozprawę o marglu; inne nareszcie prace jego, zebrane zostały w nowém wydaniu jego dzieł, ogłoszoném w 1777 roku staraniem Foża de Sę fą (Faujas de Saint-Fond).

(1) Markasyt jestto starczyk żelaza i miedzi. (*T*).

Palissy nie posiadał nauk klassycznych: był on samouczkiem, a jednak jak widzimy stał się jednym z najpożyteczniejszych ludzi swojego czasu, rozprzestrzeniając we Francyi zamiłowanie do mineralogii, przyczyniając się do postępu rolnictwa i wywołując po raz piérwszy pojęcia o przewrotach kuli ziemskiéj.

. . . . . .

. . . . . .

Fizyologia.

(*Z tomu III rozdz. XI*).

Niektórzy filozofowie wyprowadzają ideę życia z tożsamości bytu i działania; inni jak filozofowie przyrody, wyrazem życie, oznaczają wszystek ruch wszechświata. Przypuszczają oni życie powszechne, z którego każde jestestwo bierze początek i znów do niego wraca, gdy jako szczegół istnieć przestaje: i tak każdy z nas naprzykład jest zjawiskiem życia powszechnego, podobnie jak zjawiska wewnętrzne lub zewnętrzne ciała naszego, do naszego szczegółowego życia należą. Takim zaś sposobem, odnosząc życie nasze indywidualne do życia powszechnego nic nie orzekamy; jeżeli bowiem pojmujemy stosunek pojedynczych zjawisk ciała naszego z całością naszego jestestwa, a zechcemy daléj odnieść życie nasze indywidualne do powszechnego, otrzymujemy pojęcie oderwane, które nam nic nie objaśnia. Nie będziemy więc uważać życia jestestw jako zjawiska czyli objawienia życia powszechnego, lecz badać je będziemy w każdym gatunku albo raczéj w każdéj gromadzie w szczególności. Ograniczona w taki sposób fizyologia, przedstawia się nam z najciekawszéj strony. Badając ciało żyjące w stanie najbliższym swojego początku, o ile je zmysły nasze dostrzedz zdołają, widzimy, czy to u ssących, czy też u ptaków, kilka tylko atomów czyli cząsteczek nawpół płynnych przedstawiających wprawdzie kształt, lecz kształt odmienny od tego, który zwierzę kiedyś ma przedstawiać. W miarę wzrostu rozwijają się pierwiastkowe zarysy, kształt pierwotny staje się zawilszym, części mające wznieść się nad inne zaczynają kiełkować, że się tak wyrazimy, i od reszty odznaczać, nie tak jak w kopalinach gdzie od zewnątrz nasiadają. Cały dalszy ciąg wzrostu tym samym trybem, to jest od wewnątrz ku zewnętrz, już się odbywa, chociaż cząsteczki zewnętrzne innemi drogami do wnętrza ciała się dostają. Wprowa-

dzenie nowych cząstek zewnętrznych sprawia wydalenie tych co poprzednio w ciało wstąpiły, za pośrednictwem odchodów, wyziewów lub oddechów, a ruch ten ciągły, tak się przez pewien przeciąg czasu urządza, że ilość cząstek wprowadzonych, przewyższa stale ilość wydalonych; w tymto czasie zwierzę rozrasta się na wszystkie strony. Lecz wkrótce rozwój się zmniejsza lub w innym odbywa się kierunku; nowe cząsteczki wstępujące w ciało, służą już tylko do powiększenia gęstości części których objętość doszła miary swojéj. Nakoniec ustaje wszelki ruch i odtąd związek łączący między sobą różne części ciała rozrywa się, ginie, a cząsteczki ciała wracają pod panowanie powszechnych sił fizycznych. Kiśnienie, gnicie lub inny ruch podobny, rozdziela spojone przedtém siłą życia pierwiastki, z których każdy wraca do stanu z którego był wzięty; jedne stają się napowrót wodą, drugie w kształcie gazu ulatują w powietrze, inne nakoniec większéj spojności, szukają sobie miejsca, opadając ku ziemi i z nią się łącząc.

Tak się nam przedstawiają zjawiska życia w ogólności. Widzimy że życie jest ciągłym mniéj lub więcéj szybkim ruchem, lecz ruch ten musi się odbywać koniecznie w ciele żyjącém, inaczéj bowiem nie moglibyśmy pojąć tego ruchu. Za pojęciem życia, idzie więc koniecznie pojęcie ciała żyjącego; wszelako w ciele żyjącém ruch ten powszechny, sprawiający tyle różnych wydzieleń, tyle rozlicznych tworzący części, może nie dać początku zarodkowi nowego jestestwa: lecz to odnosi się do ważnego zagadnienia rodzenia, o którém później mówić będziemy. Obecnie zastanawiać się mamy nad samym tylko przedmiotem życia, tojest nad ciałem czyli tą machiną jestestwa żyjącego, w któréj się wszystkie ruchy żywotne odbywają, nad ich rozmaitością i zawiłością, tudzież nad siłami które je wywołują. Rozmaite o nich były zdania i te najprzód rozbiérać będziemy; przyczyny bowiem ruchu, najistotniejszą część fizyologii stanowią.

Widzieliśmy w dziejach fizyologii XVIIgo wieku, że szkoła na zasadach Kartezyusza oparta, pod przewodnictwem Sylwiusza Leboe, starała się zastosować prawdy chemiczne do zjawisk fizyologicznych, przypuszczała burzenie pochodzące z mieszania się cieczy, z których jedne kwaśnemi a drugie alkalicznemi być miały; z połączenia tych dwóch przeciwnych sobie cieczy, wyprowadzała ciepło zwierzęce, rozmaite wydzielania i t. d. Degraaf, Takeniusz i inni lekarze, przyjęli ten system, i usiłowali stosować go do nauki lekarskiéj; lecz poznano wkrótce, że się na samych urojonych opierał przypuszczeniach; dwaj mianowicie uczeni, badaniami swojemi nad sokami zwie-

rzęcemi i roślinnemi, przyczynili się do obalenia jego; byłto Bonius professor lipski i Boerhaw, którzy dowiedli, że nie ma ani kwasu, ani alkali, tam gdzie je Sylwiusz przypuszczał, i że dopiéro po śmierci, przez kiśnienie powstają. W XVIIItym wieku nauka Sylwiusza mało już liczyła stronników: wznowił ją jeden tylko Wiessan (Vieussens) professor w Mąpellie, o którym jeszcze w dziejach anatomii, mówiąc o budowie mózgu i układu nerwowego, wspomnieć nam wypadnie. Uczony ten w dziele: *Traité nouveau de la structure du coeur*, wydaném w Tuluzie 1715 r. wyprowadzał krążenie krwi od kiśnienia, sprawionego przez pierwiastek saletrzany krwi tętnicowéj i pierwiastek siarczysty właściwy krwi żylnéj.

Panującemi wówczas systematami były: lekarsko-matematyczny i psychiczny, w którym wszystkie sprawy ciała przypisywano duszy, tudzież system pobudliwości (excitabilité), który późniéj nazwano systematem drażliwości (irritabilité). Trzy te systemata jeden po drugim następowały; piérwszy wziął swój początek we Włoszech w szkole Borellego, a fizyologia Boerhawego kres mu położyła. Szkoła psychiczna, któréj piérwsze zarodki upatrzyć można w Archeuszu Van-Helmonta, powstała pod przewodnictwem Sztala, a zmieniwszy nieco postać, utworzyła system żywotny Soważa (Sauvages). Piérwsze początki systematu drażliwości znajdujemy w książce Glissona; podjęli tę myśl Fr. Hoffmann i Gorter, a najwięcéj ją rozwinął Haller, który zaniedbując zupełnie nerwy w częściach mięsnych umieszczone, zbyt jednostronnie zwrócił swą uwagę na samą tylko drażliwość włókna muszkularnego. Pracowali późniéj nad nim inni fizyologowie i dziś jeszcze u nas ma przewagę. Rozbierzemy teraz trzy te systemata więcéj szczegółowo, niż dotąd czyniliśmy.

Lekarze-matematycy usiłowali zastosować ogólne prawa mechaniki do zjawisk ciała zwierzęcego, i matematycznie ocenić siły sprawiające rozmaite ruchy. Założycielem téj szkoły był *Alfons Borelli*, uczeń Galileusza. W traktacie jego *De motu animalium*, zawierają się poszukiwania czynione nad siłami ruchu zwierzęcego. Przekonał on się, że przyroda obdarzyła muszkuły siłą o wiele przewyższającą ciężar mający być poruszonym, umieszczając je w sposób niekorzystny dla siły. Cała niemal książka jego zapełnioną jest dowodzeniem téj prawdy, nowéj podówczas, lecz dziś znanéj powszechnie. Sposób działania włókna muszkularnego, objaśnia burzeniem powstającém przez mieszanie się powietrza ze krwią w płucach, a burzenie to jest powodem obfitego krążenia cieczy we włóknach

mięsnych. Wyobrażał on sobie włókna jako łańcuch złożony z pęcherzyków, które nabrzmiewały i skracały się w czasie przypływu cieczy poruszonych owém burzeniem. Wydzielanie tłumaczy rozmiarem naczyń, lecz tu i zakwas przypuszcza, a tak oczywiście nauka jego w części jest mechaniczną, a w części chemiczną. Skoro tylko w ocenianiu sił muszkularnych oddala się od zasad drążka, przychodzi do wypadków nie dających się żadną miarą dowieść. I tak np. chcąc ocenić siłę serca, porównywa ciężar jego z ciężarem innego muszkułu, np. dwugłowego, będącego głównym zginaczem przedbarku: usiłuje wyliczyć, ile ten muszkuł potrzebuje siły do podniesienia danego ciężaru i wyprowadza rachunkiem siłę serca wyrównywającą ciężarowi 135,000 funtów. Rozumowanie takie nie jest dokładném, dwa bowiem muszkuły, podnoszące jednaki ciężar, różną mogą miéć siłę. Wszystkie zresztą ocenienia lekarsko-matematyczne, znacznéj ulegały zmianie, co już samo dowodzi, jak niedostatecznemi są środki do otrzymania rzetelnych wypadków w tego rodzaju poszukiwaniach. Borelli, który jak wspomnieliśmy, łączył system matematyczny z chemicznym, i z psychicznego także wziął niektóre rzeczy; i tak mówi między innemi, że ruch serca możnaby poczytywać za skutek woli i przywyknienia; to samo i o piersiach trzyma, które uważa jako zostające pod wpływem działania powietrza. Lecz porównanie tych dwóch ruchów wcale jest niewłaściwém, bo możemy wstrzymać dowolnie ruch klatki piersiowéj, na ruch zaś serca żadnego nie ma wpływu wola nasza (1). . . . . .
. . . . . .

(1) Twierdzenie to nadto jest ogólném, bo jak ruchy piersi do pewnego tylko kresu woli ulegają, potrzeba oddychania daléj już przezwycięża postanowienie woli, tak nawzajem wola nasza nie jest bez niejakiego wpływu na ruchy serca, które do pewnego stopnia zwolnić lub przyspieszyć według chęci możemy. (*T*).

HETMAN POLNY.

GAWĘDA STARO-ŻOŁNIERSKA.

„Bo gdy domą lwami okrutnemi będziecie, w potrzebie staniecie się jako na rzeź owcami."
P. Skarga.

I.

Poza pagórkiem, gdzie wioska stara,
Wojsko kwarciane czeka Tatara;
Bo jak ze szpiegów zrozumieć snadnie,
Hordzie w tych miejscach nocleg przypadnie.
—„Hej! gdy zawita dzicz hajdamacka,
Zpoza pagórka wypaść znienacka!
I broniąc nizkie strzechy wioskowe,
Krymskich bandytów pobić na głowę!"—
Tak już uradził plan całéj sprawy,
Wielmożny hetman polnéj buławy.

II.

Lecz zabezpieczon w stalowéj zbroi,
Niezawżdy rycerz Boga się boi.
Szlachta pancerna i ciurów tłuszcza,
Oto po wiosce zagon rozpuszcza:
Rabuje bratnie chaty, śpichlerze,
Robocze woły rznie na wieczerzę,
Znieważa krasne dziewy wieśniacze,
I jeszcze bije, gdy kto zapłacze.
Jeno się śmieje z płaczów i wrzawy,
Wielmożny hetman polnéj buławy.

III.

A wtem pod wioskę nocną zaciszą,
Naszli Tatarzy—i jęki słyszą;
—„Ej nie masz Boga jak Allah w niebie!"—
Po bisurmańsku rzekli do siebie.
—„Snadź tu już goszczą nasi Tatarzy,
Sulejman-Murza od przedniéj straży;
Niechże rabują, niech się ochocą,
Nam tu zajeżdżać nie ma już po co,
Dziś spalim zamek, gdzie wróg nasz krwawy,
Wielmożny hetman polnéj buławy!"

IV.

Na wiosce hula szlachta pancerna,
Na niebie gore łuna obszerna;
Hetman na niebo spojrzał z oddali:
—„Na koń rycerstwo! mój dwór się pali!"—
Lecz nim dobiegło rycerstwo hoże,
Wróg gospodarzył w hejmańskim dworze:
Zamek spalony, służba wyrznięta,
Żona gdzieś dźwiga tatarskie pęta;
Na zgliszczach domu modli się łzawy
Wielmożny hetman polnéj buławy.

D. 10 kwietnia, 1852 r. *Władysław Syrokomla.*

WIADOMOŚĆ O ŻYCIU I PISMACH

JANA KRASIŃSKIEGO.

PRZEZ

Stanisława Budzińskiego (*).

Zasłużonym był ojczyznie mężem Jan Krasiński. Nie miał on wszakże znakomitego udziału w sprawach rzeczypospolitéj; owszem udział jego był skromny i nieznaczny, a na pomięć następnych pokoleń bardziéj jako pisarz, niżeli jako mąż stanu zasłużył. Nieliczne szczegóły o jego życiu czasów naszych doszły. Szczegóły te wedle możności zebrawszy, podajemy wraz ze wzmianką o pismach po nim pozostałych.

Jan Krasiński syn Andrzeja sędziego ziemi ciechanowskiéj a następnie kasztelana, czwartego i najmłodszego z braci Franciszka biskupa krakowskiego i Katarzyny z Czernickich (1), urodził się r. 1550 w wigilią Wniebowzięcia Panny Maryi we wsi rodzinnéj Szczukach, w dawnéj ziemi ciechanowskiéj na Mazowszu położonéj (2). Wychowaniem jego od samego dzieciństwa (jak o tém sam w dedykacyi *Polski* Henrykowi wspomina) zajmował się stryj, Franciszek Krasiński. Następnie wysłanym był przez tegoż do Niemiec i Włoch, gdzie ćwicząc się w naukach wyzwolonych i językach obcych, młodość swoję strawił. Naprzód uczył się nauk wyzwolonych w Wiedniu w kolegium Jezuickiém u Bartłomieja Francuza, potém filozofii u Franciszka Ribeiry Hiszpana w Rzymie, w kolegium rzym-

(*) Z przygotowanego do druku rękopisu: Jana Krasińskiego *Polska*, oraz materyały do panowania Henryka Walezyusza. P. R.

(1) Okolski: Orbis Pol. III, 124.—Niesiecki ed. lwow. II, 695.

(2) Paprocki, Herby Rycer. Kraków. 1584, fol. 316.

skiém słuchał, a dla ukończenia nauk do Włoch do Bononii udał się (1); wówczas bowiem Włochy innym narodom w naukach i sztukach przodkowały (2). Następcy Juliusza II i Leona X, Medyceusze, dom Este, Gonzagów i książąt Sabaudyi hojnie wspiérali nauki i opiekowali się uczonemi. Uniwersytety włoskie stały się ogniskami oświaty, do których młodzież z różnych krajów Europy, a między temi i z Polski licznie na naukę przybywała: w Bononii i Padwie Polacy osobny naród stanowili (3). W Bononii autor nasz pod Sygoniuszem w naukach wyzwolonych ćwiczył się. Tu doszła go wiadomość o śmierci ostatniego z Jagiellonów po mieczu, a wkrótce potém o obiorze Henryka Walezyusza. Na kilka miesięcy przed tym ostatnim wypadkiem, rzeź Ś. Bartłomieja smutną Karola IX okryła sławą (4). Wezwanie na tron polski Henryka brata tak wsławionego króla, obudziło ciekawość Europy, będącéj jeszcze pod wrażeniem tragicznego wypadku: wszyscy zapragnęli bliżéj poznać Polskę i jéj byt społeczny. Wśród takiego usposobienia umysłów, młody, 23-letni Krasiński, ulegając prośbom Sygoniusza i niektórych szlachciców bonońskich, wziął się do napisania dziełka o Polsce. Młodzieńcem jeszcze będąc, i w Bononii w uniwersytecie bawiąc, już godności duchowne piastował (5); mylnie zatém podaje Janocki (6), że dopiéro po powrocie z Włoch stan duchowny sobie obrał. Był scholastykiem łęczyckim i kieleckim, kanonikiem łowickim, w końcu scholastykiem krakowskim, kanonikiem gnieźnieńskim i łuckim, i sekretarzem króla Stefana (7). Licznemi poselstwami dobrze rzeczypospolitéj się zasłużył. Paprocki w r. 1584 Herby Rycerstwa piszący, a zatém współczesny autorowi, niektóre z tych poselstw wylicza „*Ad Georgium Fridericum, Marchionem Brandeburgensem in Prussia ducem*, do Frankoniey, od Połocka do trybunału lubelskiego,

(1) Paprocki l. c.

(2) Dosyć tu wspomnieć nazwiska Sygoniusza, Tassa i Michała Anioła.

(3) Wiadomo, że studenci w średnich wiekach, chociaż składali jednę korporacyą, na czele któréj stał rektor uniwersytetu przez nich obrany, dzielili się prócz tego na narody, z których każdy miał swojego prokuratora czyli zwierzchnika również zpomiędzy nich wybieranego, swój tytuł (np. w uniwersytecie paryzkim: *honoranda natio Franciae, fidelissima Picardorum* i t. d.) i swego ś. patrona. Ten zwyczaj dzielenia na narody powstał w Grecyi za Konstancyusza cesarza, w połowie IV wieku po Chr.

(4) Henryk obrany 9 maja 1573 r., noc ś. Bartłomieja d. 24 sierpnia 1572 roku. (5) Zob. dedykacyą *Polski* Henrykowi Walezyuszowi.

(6) Nachricht von den raren polnischen Büchern. II, 18.

(7) Okolski l. c. Paprocki l. c. Starowolski *Monum. Sarmat. Cracov.* 1655, str. 26.

od Pskowa z wojska za rozkazaniem królewskiém jeździł"; a kończąc wzmiankę o nim, powiada: „W historyey potém więcéj spraw jego i zasług obaczysz". Okolski pisze, że byłto mąż w językach biegły, a przykładnego żywota (1). Poświęcając się naukom lubił zbierać księgi i tych piękny eukologiczny zbiór z kilkudziesiąt (nateraz już dosyć rzadkich) książek złożony, kościołowi w Krasnem darował (2). Zmarł w roku 1612, jak świadczy nagrobek u Starowolskiego przytoczony (3), a który tu w przekładzie podajemy:

„Janowi na Krasnem Krasińskiemu, kantorowi, kanonikowi krakowskiemu i gnieźnieńskiemu, sekretarzowi J. K. Mości, mężowi wielkich zdolności i znakomitéj wymowy, wielkie rokującemu nadzieje, w kościele Pańskim zasłużonemu, najukochańszemu bratu, Stanisław na Krasnem wojewoda płocki, starosta błoński, kamień ten położył. Zmarł r. P. 1612, dnia 13 mca kwietnia."

Oprócz dziełka *Polonia* (o którém niżéj), zostawił jeszcze następujące pisma:

I. Oratio ad Senatum et equites Polonos de electione Henrici Valesii, Poloniae regis. Bononiae, apud peregrinum Bonardum, 1573, 4to, str. 17. Broszurę tę Załuski biskup kijowski widział w Paryżu w bibliotece Czterech narodów (4).

II. Elogia et vitae Archiepiscoporum Gnesnensium. Rękopism własną ręką autora pięknie pisany. Żywoty arcybiskupów doprowadzone do Stanisława Karnkowskiego współczesnego autorowi. Do tego rękopismu dołączone były herby arcybiskupów kolorowane. Dzieło to znajdowało się w bibliotece Załuskich (5).

III. Comentarii belli Livonici atque ducis Moschoviae contra Livones,—jak o tém wzmiankuje Janocki (6); lecz dzieło to wcale nieznane, a Janocki dokładniejszéj nie daje wiadomości, nie można więc nic pewnego o niém powiedzieć.

IV. Elegia na śmierć Zygmunta Augusta po łacinie, znajdująca się na kurcie 49 w zbiorze poematów na zejście tego króla napisanych, wydanym w Neapolu 1572 r. (7).

(1) „Virum litteris, linguis, moribus ornatum." Orb. pol. III, 124, 125.
(2) Część tych dzieł pieczęcią Jana Krasińskiego opatrzonych, znajduje się w bibliotece ordynacyi hr. Krasińskich. (3) Monum. Sarmat. 26.
(4) Jak o tém wspomina Micler: *Histor. Pol. Script. Collectio magna* I, 429.
(5) Janocki: *Specimen Catalogi Cod. Mss. biblioth.* Załusc. 20.
(6) Nachricht..... I, 17.
(7) Niesiecki l. c. II, 695. Juszyński Dykcyonarz poetów polskich.

Pismo o Polsce, którego przekład przygotowaliśmy, wyszło pod następującym tytułem:

„Joannis Crassinii Polonia. Ad Sereniss. et Potentis. Henricum I Valesium, Dei Gratia utriusque Poloniae regem. Bononiae, apud peregrinum Bonardum, venia ab superioribus concessa". 1574. 12ko, str. 147. Najdokładniéj opisane jest u Janockiego (1). Tenże wspomina (2), że dzieło to w prywatnych bibliotekach wcale się nie znajduje, a w publicznych bardzo rzadko napotkać je można. Nawet we Włoszech, gdzie wyszło, w tak licznéj i bogatéj bibliotece Ottobońskiéj niegdyś pokazywano to dzieło jako wielką rzadkość. Ztąd wnosić należy, że w bardzo małéj liczbie egzemplarzy wydaném zostało. Blizko sto lat temu piszący Micler powiada (3), że Załuski biskup kijowski oprócz posiadanych przez siebie dwóch egzemplarzy (z których jeden bibliotece drezdeńskiéj darował, a drugi zaginął), widział w życiu swojém tylko trzy egzemplarze: w bibliotece Ottobońskiéj i Kazanateńskiéj w Rzymie, i w bibliotece familii Krasińskich w Nowéjwsi (4). Micler nie mogąc nigdzie dostać tego dzieła, przedrukował je w Iym tomie swego zbioru z rękopisu dostarczonego mu z biblioteki drezdeńskiéj.

Dzieło to dedykowane Henrykowi Walezyuszowi, jak przez niego przyjęte zostało, powiada Janocki (5), nigdzie nie mogłem wyczytać.

Niektórzy pisarze twierdzili, że Jan Krasiński nie był autorem tego dzieła, i przypisywali je Sygoniuszowi. Powodem do tego był współczesny Tuan, który w pamiętnikach swoich (6) wspomina, iż od Sygoniusza słyszał, jakoby ten był autorem *Polski*; ztąd w katalogu biblioteki Tuańskiéj I, 439 obok tytułu dzieła dopisano: „autorem jest Karol Sygoniusz."

Za Tuanem poszedł Pacciusz w *Theatrum anonymorum*, Decker i inni. Mylne to zupełnie i powierzchowne zdanie, albowiem wszyscy ci autorowie nie wyjmując Tuana, zdanie to ze słyszenia powtórzyli, a nawet tytułu dzieła nie widzieli, bo z Jana, Piotra zrobili. Najlepszym dowodem że Jan Krasiński jest tego dzieła autorem, są własne słowa jego w dedykacyi: „za nalegoniem Karola Sygoniusza nauczyciela mego, wziąłem się do napisania tego dzieła"; a mógłżeby

(1) Nachricht I, 16 i nast. (2) l. c. (3) l. c.

(4) Biblioteka ta kilkadziesiąt lat temu spaliła się.

(5) l. c. (6) Sui temporis historia ed. Colon. w tomie V pod r. 1573: „ab eo (Sigonio) tamen expressit Thuanus et libros de Senatu Romano sub Joannis Zarii Zamoscii nomine editos, ut et Poloniam Petri (Joannis) Crassinii a se scriptam esse."

Krasiński pracę swego mistrza, z którym w ciągłych stosunkach zażyłości pozostawał przywłaszczać, w témże samém mieście, gdzie mistrz mieszkał ogłaszać i królowi poświęcać? Dlaczegóż Sygoniusz nigdzie nie podaje się za autora téj książki? a i Tuan nadmienia (1). że Sygoniusz niechętnie przyznał się do autorstwa. Trudno przytém przypuścić, aby wówczas, kiedy zachodnia Europa Polaków za barbarzyński naród mając, w zupełnéj o ich ojczyznie pozostawała niewiadomości (2),—Sygoniusz, w starożytności rzymskiéj zamiłowany, mógł powziąć chęć poznania Polski, i co większa, życzeniu temu zadosyć uczynić; a gdyby i tak było, to niepodobna podać takiego dokładnego obrazu kraju, nie zwiedziwszy go i nie przepędziwszy w nim czas niejaki: tymczasem Sygoniusz nietylko że nie był w Polsce, ale podobno i za granicę Włoch nigdy nie wyjrzał (3). Wprawdzie wzywał go Stefan Batory do Polski; wezwaniu temu jednak Sygoniusz odmówił. Zresztą, dosyć jest kilka kart *Polski* przeczytać, aby się przekonać, że to Polak pisał: każdy ustęp tchnie duchem Polski szlacheckiéj, wszędzie odbijają się wyobrażenia narodowe owego czasu. Być może, że Sygoniusz dzieło przejrzał i styl poprawił, co wiedząc Tuan, Sygoniusza za autora poczytał. Wszakże i Zamojskiego *De Senatu Romano* Sygoniuszowi przypisywano, co przecież Muratori za pozbawione dowodu uważa. Taką była sława tego znakomitego humanisty, który w dopełnieniu traktatu *de Consolatione* zupełnie pod styl cyceroński podszyć się miał, że prawie każde godne uwagi dzieło mniéj znanego współczesnego autora jemu przypisywano. Zakończmy wzmiankę o tym sporze słowy Janockiego; „Spodziewamy, że cześć autora, jeżeli czas pozwoli, zupełnie mu będzie powróconą (4)."

(1) l. c. (2) Krasiński w dedykacyi dzieła swego wyraża się o tém w sposób następujący: „Gdy bowiem upragniony goniec przybył tu do nas z wieścią, że W. K. Mość dziwną zgodą wszystkich stanów Polski na godność króla wyniesiony został....; nietyle podziwiano wysokość zaszczytu, jak raczéj pilnie starano się dowiedzieć coby to był za kraj, który Bóg wzniosłym przymiotom W. K. M. przeznaczył. Albowiem zachodnie narody tak dla małych z nami stosunków, jako też znacznéj odległości, w sądzeniu o sprawach naszéj Rpltéj równéj niewiadomości, jak i dumy dają dowody. Gdym się o tém po przybyciu do Włoch przekonał, począłem myśleć, jakimby sposobem pożytkowi obcych narodów dogodzić....."

(3) Zob. jego życiorys w „Biographie Universelle" w tomie 42.

(4) Janocki l. c. Micler l. c. 428, 429, Bentkowski Hist. Lit. Pol. II, 630, 631. Maciejowski Piśmien. polskie. cz. II, 116 i nast.

De Thou, który obwinia autora o przywłaszczenie, sam sobie jego pracę przywłaszczył; albowiem to co mówi o Polsce w księdze LVI swoich pamiętników (1) jest prostém skróceniem *Polski* ze zmianą porządku, gdyż to, co autor o instytucyach Polski w rozd. 5 i następ. księgi I podaje, to Tuan na końcu kładzie. Po większéj części całe peryody prawie bez zmiany z *Polski* powypisywane; o czém łatwo można się przekonać, odczytawszy naprzód jakikolwiek rozdział *Polski*, a następnie odpowiadający mu ustęp w Tuanie. Dziwna, że na tę okoliczność Janocki, Micler i Bentkowski uwagi nie zwrócili.

Dzieło Krasińskiego napisane jest piękną i wytworną łaciną, gdzieniegdzie jednak znajdziesz barbaryzmy. Jestto pierwsza w tym rodzaju książka o Polsce; a zatém autor pisząc ją, ani wzoru, ani ułatwienia nie miał. Dziełko to przedstawia treściwy, ale jasny i wydatny obraz ówczesnéj Polski. Napisane dla cudzoziemców, zawiera ciekawe szczegóły, które uszły uwagi innych autorów dla Polski piszących. Nieraz napotkasz się z autorem czytając jego dzieło; uderzą cię te dobitne rysy szlachcica polskiego, kochającego swój kraj, zamiłowanego w instytucyach Rplitéj, gorliwego katolika użalającego się na nowości kacerskie, kapłana broniącego przywilejów duchowieństwa i kościoła, przemawiającego za uciśnionym ludem i karcącego posłów, że się do spraw kościoła mieszają. Kiedyś skończył, zdaje się, żeś już dobrą zrobił z autorem znajomość. Wszakże nie są to rysy osobiste, ale raczéj typowe: poznałeś nie indywiduum, lecz w ogóle całą uprzywilejowaną klassę, słowem poznałeś szlachcica polskiego, jakim był w wieku XVIIym.

Wiszniewski (2) dawszy dosyć treściwe o dziele wyobrażenie, tak autora z Kromerem porównywa: „W ogólności skład owoczesnego rządu lepiéj opisuje jak Kromer, który za to złe skutki jego lepiéj przepowiedzieć umié. Kromer mieszczanin, nagania swawolę panów i przewagę szlachty, do władzy królów wdzierającéj się; Krasiński szlachcic chwali, iż lud, t. j. mieszczanie i chłopi, od urzędów jest odsuniętym." Wiadomość o autorze temi słowy kończy: „I dziś jeszcze książka Krasińskiego z ciekawością i pożytkiem się czyta."

(1) Przedrukowane w zbiorze elzewirskim. Przystępując do opisu Polski powiada: „Wytłumaczymy naprzód pokrótce sprawy polskie, powiemy o prowincyach Polskę składających, o królach jakich miała" i t. d.; lecz nic nie wspomina, że to są wyjątki z *Polski*.

(2) Hist. Lit. Pol. VII, 530 nast.

OPISANIE WYKOPALISKA

odkrytego d. 9 kwietnia 1852 r. we wsi Kruchowie pod Trzemesznem, między Gnieznem a Kruszwicą.

Regulując ziemię w sadzie, na załączonym planie w miejscu lit. *a* kropkami oznaczoném, w głębokości 2 stóp natrafiono na rodzaj podłogi z gliny ubitéj i wypalonéj, mającéj 24 łokci długości a 20 szerokości, i pokrytéj węglami, popiołem i gwoździami bronzowemi. Zaczęto ją oczyszczać, i ku środkowi znaleziono lewka bronzowego, u którego jedna z tylnych nóg była stopiona i leżała tuż obok niego. Rysunek tu załączony, przedstawia lewka tego i formę nogi stopionéj. Lewek ten jest odlany z jednego rzutu z bronzu, wewnątrz pusty, z otworem na łbie czworograniastym, poruszającym się na zawiasce. Łeb jest psi, uszy kocie, szyja okryta lwią grzywą, ogon lwi. Trzy nogi pozostałe są opatrzone każda inną racicą: jedna tylna końską, druga z przodu słonia, trzecia bydlęcą. Noga prawa przednia umyślnie odlana krzywą, bo nie jest krótsza, i lewek na trzech mocno stoi; krzywość ta zdaje się przedstawiać jakieś godło. Żaden fundament z kamienia nie otaczał tego palonego z gliny klepiska, które zdaje się, że służyło za podłogę może jakiéj budowli ofiarniczéj z drzewa, która gdy zgorzała, spaliło się wszystko co w niéj było, z wyjątkiem tylko tego lewka z bronzu, który może przedstawiał jakie naczynie ofiarnicze. Za rękojeść służy mu jaszczurka, opierająca się przedniemi łapkami o łeb; zdaje się, iż tylnemi opierała się o część tylną lewka, bo na jaszczurce są ślady, że miała i tylno łapki. W pysku lewek ten trzyma rurkę, niby do wylewania. Długości ma cali 11, wysokości do końca łba cali 10; waga jego wynosi 6 funtów bez kil-

ku łutów. Kiedy podłogę oczyszczono i prócz lewka, gwoździ metalowych, mnóstwa zwęgleń i popiołu nic nie znaleziono, zaczęto kopać obok podłogi, i w miejscu kółkiem i lit. *b.* na planie oznaczoném, nadybano stos kamieni granitowych 9 łokci széroki. Zaraz pod drugim kamieniem od wiérzchu, znaleziono około 500 pieniążków srébrnych i miedzianych, które w wielu odmiennych typach przedstawiają z jednéj strony orła Jagiellońskiego, a z drugiéj koronę. Dwa tylko z tych pieniążków miały po obu stronach orła, a jeden miał orła z jednéj strony, a z drugiéj 3 listki do koniczyny podobne, z dwoma pączkami sterczącemi między środkowym listkiem, a bocznemi. Pieniążki te, zdaje się, iż właściciel położył w czasie jakiego zamieszania pod drugim od góry kamieniem, nie domyślając się, że pod kamieniami znajduje się odwieczny grób z urnami. P. Malczewski właściciel Kruchowa, w nadziei, że więcéj pieniążków takich i starszych odkryje, zaczął ostrożnie kamieni stos ten rozbierać, i w głębokości 9 stóp odkrył sklepienia z gliny ubite i wypalone, otoczone wokoło warstwą kamienia polnego 9 stóp szeroką, zupełnie tego przemiaru, co warstwa górna grób ten nakrywająca. Po otworzeniu grobowca tego, ukazały się w niém framużki sklepione, a każda z nich zawiérała urnę glinianą na bok położoną. W przedziale ostatnim była urna największa, nakryta pokrywą bronzową, zachowaną w Kruchowie, a mająca 8 cali przemiaru. W urnie téj w popiele znalazła się część lancy metalowéj, także w Kruchowie zachowanéj.

Na nieszczęście urny te, skoro je tylko powietrze owiało, porozsypywały się, i tylko z nich są kawałki. Z tych trzy tu składam: tojest z urny gdzie była dzida, i która mieściła w sobie popioły naczelnika, czego zdaje się dowodzić największa jéj objętość i pokrywa bronzowa; drugi ułamek w niezgrabne formy wyrabianéj urny; trzeci kawałek z urny najciekawszéj, bo w środku jakąś polewą szklaną powleczonéj.

Daléj odkrył p. Malczewski sklep kształtu eliptycznego (lit. *c*), zawalony od góry, mający ogromne fundamenta z kamienia polnego i cegły ogromnego rozmiaru, cymentem spajanych. Po oczyszczeniu gruzów znaleziono 2 urny spore i kilka płaczników dobrze zachowanych i pieniążek Jagielloński; co zdaje się dowodzić, że urny te w późniejszych czasach znalezione w grobie jakim, tam zostały złożone w tym czasie, kiedy i pieniążek ten był zgubiony.

Naostatek w miejscu na planie lit. *d* oznaczoném, w gruzach, odkryto rodzaj pieca, w którym z gliny wypalano różne herby rodzin polskich; znalazły się bowiem ułamki z temi herbami. Widziałem między innemi herb Wieniawa, Nałęcz, województwa sieradzkiego i wiele innych, wszystkie schludnie wyrobione. P. Malczewski okruchy te starannie z gruzów dobywa, celem poskładania tych herbów.

Żeby zaś dać wyobrażenie o piękności tego wyrobu, składam ułamek orła Jagiellońskiego. Uczeni nasi niech dadzą swe zdania, kiedy fabryka ta istniała, i do czegoby taka massa herbów służyła? Może to były ozdoby do murów, może też do pieców kalle. Prosiłem p. Malczewskiego, aby wstrzymał wszelkie dalsze poszukiwania, aż do chwili przybycia tam którego z naszych archeologów, pod którego przewództwem wykopaliska dalsze mogłyby doprowadzić do odkryć ważniejszych jeszcze jak te, któ- [illegible] ąd zrobiono. Obiecał to p. Malczewski uczynić.

Otóż wszystko, co Bibliotece Warszawskiéj udzielić mogę, upraszając, aby to raczyła ponieść do wiadomości naszych znawców.

Warszawa, dnia 6 maja 1852 roku. *K. L. W.*

Autor *Ksiąg Bibliograficznych* w liście swoim, takie rzuca myśli o tém odkryciu:

„Setne składam dzięki za piękny rysunek lewka: widać naczynie do wlewania i wylewania napoju. Owe klepisko 3calowe, pewnie za fundament domu nie służyło: było klepiskiem jakiéj izby drewnianéj budowy, która spłonęła, a z pogorzeliska nieoszacowany lewek ocalał. Jeśli w popiołach prócz gozdzi znachodzą się jakie żużle, sądziéby można, że inne podobne naczynia potopiły się. Co bądź jest lewek, choć nieco potwornéj postaci, pewnie umyślnéj, ale gładkiego odlewu. Czy na miejscu, czy jeszcze z rzymskiego *imperium* przyniesiony? czy jest na nim co wernixu? Niemcy powiedzą i dowiodą, że to ich robota.

Otóż spodem i grobowiec. Lewek pewnie służył do libacyi pogrobowéj, a klepisko, gozdzie i popioły na nim, może nie budowy, ale jakiéj pogrobowéj ceremonii pozostałość. Najdziwaczniejsza jest skład monet zarazem Piastów i Jagiellońskich. Razem?—To odkrycie niezmiernie ważne dla numizmatyki stać się może. Powtóre, jak tam trafiły przypadkiem późniejszym między kamienie pod klepiskiem? Więcby klepisko późniejsze było od

zachowanych przypadkiem, między poruszone kamienie, piéniędzy? Klepisko izby chałupy jakiéj? (1)

Bez wątpienia jest zbieg różnego czasu; szczęśliwy traf otwiera ciekawe wielu przeszłości rozważanie, nawodzi na pilną w okolicy całéj baczność, bo czyni nadzieję, że się co więcéj ukaże. Życzę, aby się najwięcéj znalazło na własnéj Malczeskiego ziemi, kiedy umié okruchy zeszłych wieków cenić. Na miejscu znajdą się, co zdołają objaśnić i wyciągnąć ztąd widoki, które zapełnią pozorną próżnię przeszłości zapadłéj rodu, który ma byt swój z własnym swym żywiołem."

(1) Zdaje się, iż sprawozdanie przesłane szanownemu autorowi *Ksiąg Bibliograficznych* nie dość jasno było napisane, kiedy on zrozumiał, że grobowiec był pod klepiskiem; gdy tymczasem grób ten nie pod klepiskiem, ale obok o kilka kroków znajdował się. *K. L. W.*



ZABYTKI ODKRYTE W OKOLICY GDAŃSKA
Fig. I. III. IV i V zmniejszone do ½ II. VI IX do ¼

LISTY ARCHEOLOGICZNE.

(Z ryciną).

I.

Kraków, d. 10 kwietnia, 1852 r.

Od pół wieku prawie, obudził się u nas zapał do badania przeszłości w najdrobniejszych jéj zabytkach; a dziś przyszliśmy już do tego, iż archeologia pozyskała u nas specyalnych dla siebie ludzi, i że dążenie do wyjaśniania i odszukiwania starożytności, staje się głównem prawie tłem piśmiennictwa. Kierunek ten nietylko u nas się wybitnie objawia, ale widzimy go we Francyi, a do drobiazgowości posunięty w Niemczech. Mniemam, że ruch ten w przeszłość skierowany, obudził się w Europie jako przeciwstawienie panującym w r. 1848 pojęciom. Niemcy i Francuzi mogli nam dostarczyć w téj sprawie już gotowych pojęć ogólnych o archeologii jako o nauce; mogliśmy wziąć od nich teoryą badań, skazówkę poszukiwań: przecież stało się, iż o swoich siłach, od śledzeń, że powiem poomacku, od opisów w których widać tylko poczciwą chęć poszanowania przeszłości, przychodzimy już do badań świadomych drogi i celu, do podróży archeologicznych, naukowych zbiorów, systematycznych dyplomataryuszów i umiejętnych badań w sprawie numizmatyki, grafiki i sfragistyki. Da Bóg bez podpierania się obcą kulą, i nie o szczudłach, staniemy bliżéj celu, i długoletnia droga praktyki doprowadzi nas do teoryi stawiającéj archeologią w rzędzie umiejętności. Dziś jednak, gdy się już skarb uskładał z wdowich groszów, gdy ciągle pojawiają się monografie, drobne odkrycia i owocne dla nauki szperania; gdy już uniwersytet nasz gromadzi zbiory, a całe grona uczonych biorą sobie za cel badanie i zachowanie szczątków przeszłości: dziś tedy potrzebne, konieczne jest skupianie wszechstronnych prac w jedno ognisko, niezbędną jest kronika, ów rachunek pracy,

owo obliczenie co zrobiono, a co jeszcze robić wypada. Ileżto drobnych prac na tém polu ukryło się w pismach czasowych, których wartość z dniem jednym się ukończyła; a nieraz wypada odszukiwać znów te drobne artykuliki z pyłu zapomnienia. Uniwersytet krakowski tworząc z grona swego wydział archeologiczny i wydając pismo badaniom starożytności poświęcone, podjął wprawdzie myśl skupiania naukowych rezultatów tego pola umiejętności; ale wątpimy, czyli usiłowanie mimo wysokich zalet pisma, sprosta tutaj celowi. Dziś, przy obudzonéj powszechnie chęci do badań przeszłości i przy tylu pracach w téj sprawie, staćby nas już może było na pismo archeologiczne, wychodzące peryodycznie w małych odstępach czasu; któreby jak w zwierciedle ukazywało stan odkryć i badań w każdéj chwili na całym obszarze kraju dokonanych. Wedle wykazów turyngsko-saskiego towarzystwa archeologów, Niemcy liczą dziś około 20 towarzystw archeologicznych, w których ma udział 5,000 członków, a 15 pism peryodycznych ogłasza rezultaty badań. Sąto prace, które dla nas niezupełnie obojętnemi być winny: w zbiorach niemieckich są pamiątki nasze, a niejedna ziemia dziś niemiecka ukrywa groby i pomniki słowiańskie, zabytki, które Niemcy oceniają nieraz fałszywie, lub z pominięciem względu na narodowość, do któréj te spuścizny przeszłości należą. Skupienie przynajmniéj wiadomości o tych odkryciach i badaniach tak swoich jak obcych, miał na myśli, prócz wyższych celów, uniwersytet krakowski; ależ, jak powiedzieliśmy, skutek jest wątpliwy. Wątpliwy w tym względzie, bo wszelka korporacya, téj jak uniwersytet natury, więcéj jest sposobna do badań poważnych obszernością rozpraw, niż posiada energii i uwagi skierowanéj na drobiazgi, które piórem kronikarskiém, jak soczewką skupiać w jedno ognisko wypada. Otóż kierowany chęcią zaradzenia téj konieczności, stawiam dziś redakcyi Biblioteki Warszawskiéj myśl, otwarcia w jéj kolumnach kroniki badań starożytności, pod tytułem: *Listy archeologiczne*, któreby przesyłane ze wszech stron, mogły jednoczyć usiłowania w téj gałęzi nauki i uwiadamiać badaczów o wzajemnych poszukiwaniach, odkryciach i pracach. Sam, ośmielam się otworzyć ten oddział korrespondencyi; sądząc, iż jeśli myśl ta trafia do przekonania moich kolegów, jest w porę i wywołana potrzebą, ujrzę niebawem dalsze w jéj rozwinięciu udzielenia, z innych stron kraju nadesłane, a tym sposobem zasłużone naszéj literaturze pismo: „Biblioteka Warszawska" zastąpi nam nateraz osobny dziennik

archeologiczny, i podejmie sprawę archeologii, jako specyalność dążącą do wielkich celów, tylu drobnemi pracami.

Grobowce pogańskie na Pomorzu gdańskiém. Począwszy już od Długosza, co z całą dobroduszności ą oburza się na Solinusa, że zamilczał o cudownem płodzeniu się garnków w polskiéj krainie, osobliwie w poznańskich okolicach Obornik, Szrema, Nochowa, Kozielsk i Pałuk (1); ileżto nie odkryto na ziemi słowiańskiéj pogańskich grobowisk? Niedawne dopiéro czasy, jak zabytki te troskliwie ochraniać i opisywać poczęto; a chłop dziś jeszcze tłucze co prędzéj popielnicę, pełen chciwych myśli, że przypadek odkrył przed nim zakopane skarby. Znaczną ilość tych wykopalin już starannie opisano, przechowano w gabinetach lub rysunkiem upowszechniono; przecież nawet autor „Ukrainy dawnéj i teraźniejszéj," i gorliwy badacz p. Eust. Tyszkiewicz, autor Dziejów Litwy p. T. Narbutt, a przed niemi Chodakowski, Keppen i inni, mało co powiedzieć nam umieli o systematach układu urn, o miejscowością lub religijnym obyczajem spowodowanych kształtach grobowisk, rysunku popielnic, celu zachowanych w grobie narzędzi, i o innych względach koniecznych do wyjaśnienia i zrozumienia pogrzebowych u Słowian obrządków. Myślę, iż możebném jest dojście do ciekawych rezultatów w téj sprawie, gdyby się znalazł kto, coby podjął pracę przerysowania znalezionych dotąd popielnic, grobów i naczyń w nich znajdowanych; opisania miejsc znalezienia, oznaczenia ich na mappie, a wreszcie ułożenia tych zabytków wedle kształtu ich rysunku, w pewien systemat odróżniający rodzaje i odmiany urn i grobów. Ta klassyfikacya, możeby zdołała zamgloną sprawę wyjaśnić (2). Mając przed sobą rozprawę dra E. Förstemanna z Gdańsko, i F. Wiggerta z Magdeburga, podam ich treść. W rozprawach tych podano wiadomość o zabytkach pogańskich, odkrytych na obszarze 75 mil □ w okolicach Neustadt, Gdańska i Karthausen.

(1) Wyd. Dobrom. str. 43.

(2) Prócz wspomnionych pism: Keppena, Chodakowskiego, T. Narbutta, E. Tyszkiewicza, M. Grabowskiego, wielce ciekawe w téj sprawie materyały, opisy i rysunki dostarczyć może pismo: *Przyjaciel ludu*, gdzie podano w rysunkach urny słowiańskie w berlińskim zbiorze starożytności przechowane (r. 5, n. 42), i opisy urn znalezionych w Sulau w Szlązku (r. 5, n. 46). W Kotowie w Poznańskiém pod Grodziskiem, znaleziono w 40 grobach przeszło 60 urn. Kształty tych popielnic podane w rysunku w Przyj.

Biorąc się w kierunku południowo-zachodnim od półwyspu Hela, o półtoréj mili od punktu, w którym półwysep ten styka się ze stałym lądem, w podobnéjże odległości od miasteczka Putzig w kierunku północno-zachodnim, a o 9 mil od Gdańska, leży szlachecka majętność Redziszów. W majętności téj położonéj w ogólności w polu równém, znajduje się wyniosłość rozszerzająca się od wschodu na zachód, a wznosząca się nad poziom naokoło niéj leżący, na 20 do 30 stóp, która zajmuje około pięciu magdeburskich morgów przestrzeni. Niegdyś leżała ona w ogromnym lesie dębowym, który, jak niesie podanie, tak był wysokim, iż nie można było dosięgnąć strzałem, siedzących na szczycie drzew dzikich gołębi; dzisiaj miejsce to zupełnie jest z drzew ogołocone. Cała południowa rozciągłość téj wyniosłości jest wielkiém, starodawném miejscem grobowców. Budowa tych wszystkich grobów jest jednaka. W głębokości trzech do cztérech stóp, leży wiele ciosowych kamieni. Na téj podstawie wznoszą się pionowo 4 ściany z podobnychże kamieni, schodzących się pod kątem prostym i tworzących w ten sposób kształt sześcianu. Zwierzchnią część stanowi niekoniecznie pojedyncza warstwa kamieni; bywa ona podwójna, potrójna, a nawet poczwórna. W grobowisku stoją dopiéro urny w ten sposób, że dotykają ścian tego sześcianu, i zestawione tak, żeby jak najmniéj miejsca próżnego między niemi zostawało. Aby silniéj stały, ustępy pomiędzy niemi są wypełnio-

Ludu (r. 7, t. I), z powodu swéj rozmaitości zasłużyć winny na szczegółowe badanie. Także w Krasnéj Górze w Lubuszu, Ciszkowie, Mikołajewce, Górze, Stajkowie, Sokołowie, Miłkowie i przyległych tym wsiom miejscach w Poznańskiém, mnóstwo tych zabytków szczęśliwie odkryto, (Przyj. Lud. r. 2, n. 40, r. 7, n. 23). Pod Gostyniem grobowiska (P. L. r. 8, n. 45). Popielnice z Gniezna (P. L. r. 9, n. 6). Uroczyska w Bojcynie (P. L. r. 9, n. 36, 37, 38, 39). Groby pogańskie w powiecie obornickim (P. L. r. 10, n. 15). Kopce i kurhany na Podolu (P. L. r. 11, n. 24). O grobach w powiecie szamotulskim (P. L. r. 13, n. 7). Mogiły w Galicyi (Pam. pow. nauk. krak. posz. V, str. 298). Za źródło tu jeszcze wymienić wypada pismo: Mrówka poznańska na r. 1821, i dzieło Fr. S. Bock: *Von den in Preussen befindlichen Grabhügeln* etc. Zakład Ossolińskich posiada zbiór popielnic; także zbiory ś. p. G. Pawlikowskiego mieszczą urny pod Szczawnicą znalezione. Muzeum archeologiczne przy uniw. krak. posiada popielnicę odkopaną we wsi Brzezin w Okr. krak. i znaczną liczbę tych zabytków nowo odkrytych we wsi Popówce (Okr. krak.). Przytoczyłem tu pobieżny wykaz źródeł z materyi o grobach pogańskich, ciekawych mogących dostarczyć szczegółów, w myśli, że ta notatka przydać się może komu, chcącemu wiadomości te w ład zebrać, i w postaci porządnego opisu przedłożyć.

ne piaskiem, również jak ich wnętrze, jeżeli popiołem lub kośćiami nie jest zasute. Wierzchnią część sześcianu stanowi znów jeden albo więcéj ciosowych kamieni. Przykrycie to otoczone jest pewną liczbą nieobrobionych kamieni, a na środku leży zwykle jeszcze jeden kamień, takiéj częstokroć wielkości, iż go trzech ludzi z trudnością poruszyć może. Kamień ten leży rzadko głębiéj nad jednę stopę pod powierzchnią ziemi, na któréj zresztą nie ma najmniejszego śladu, któryby się istnienia w tém miejscu grobów domyślać kazał. W jedénastu grobach, otworzonych w przeciągu pięciu dni, znalazło się razem urn 38. W jednym było ich 6, w dwóch po 5, w dwóch po 4, w trzech po 3, w dwóch po 2, a w jednym tylko jedna. Powiadają jednak, że w redziszowskich grobach liczba ich dochodziła do dziesięciu w jednym. Urny owe po największéj części wyrobione są z grubéj i mocno ze żwirem pomieszanéj glinki. Większa ich część jest koloru brunatnego, rzadsze są czarne, a czasami trafiają się w jednym grobie oba rodzaje. Czarne są z większą starannością wyrobione jak brunatne; bo nietylko, że od zewnątrz są lepiéj wygładzone i mają mocny połysk, ale znajdują się także na nich wcale dobre rysunki. Zresztą czarne, jeżeli się same znajdują, leżą zwykle głębiéj aniżeli brunatne, i mocniéj są kamieniami obłożone. Z tego powodu domyślać się można, iż one zamykają w sobie popioły możniejszych. Pod względem wielkości znaczna zachodzi między niemi różnica; albowiem gdy niektóre mają do 16tu cali wysokości, inne ledwie trzeciéj części téj wysokości dochodzą, a jedna z nich ledwie $2\frac{1}{4}$ cala wysoka. Od wielkości głównie zależy, czyli są urny do tego czasu w całości utrzymane, co ledwie o trzeciéj części powiedzieć można. Większe prawie wszystkie albo rozpadły się w czasie oczyszczania ich z ziemi, albo uległy zniszczeniu w czasie podnoszenia ich z grobu, w skutek własnego ciężaru. Chociaż przy całéj téj czynności zachowaną była wszelka ostrożność, bo urny starannie oczyszczano scyzorykami i probowano przy zapalonéj słomie osuszyć je i wzmocnić: przecież małą tylko ilość udało się utrzymać w całości; wszystkich jednakże kształt i rysunek obejrzano bacznie. Na te dwie rzeczy, t. j. kształt i rysunek, głównie też zwrócimy uwagę. Kształt urn nie podlegał stałemu prawidłu: niektórych średnica wynosiła nie więcéj jak połowę wysokości, niektórych przewyższała ją. Zwierzchni otwór, wyjąwszy najmniejszą urnę, miał trzy do sześciu cali średnicy. Nawet w je-

dnym grobie znajdujące się urny były różnego kształtu: jeden tylko grób mieścił w sobie 6 urn czarnych, zupełnie jednakowych (fig. I); większa część miała pokrywki, mniejsza, a mianowicie z szerszym otworem, była bez nich. Pokrywki te były różnego rodzaju: jedne miały powierzchnią poziomą, drugie formowały półkole; znajdowały się inne mające kształt ostrokręgu. U jednych urn szyja głęboko w pokrywkę wchodziła, u drugich obejmowała ją w sobie prawie zupełnie. Znaleziono także pokrywkę kształtu głębokiego talerza, którego środek wchodził w otwór urny. Jako szczególniejsza ozdoba, zasługuje tu na wzmiankę, że u jednéj urny znajdowały się trzy małe gruczołki, jeden obok drugiego; u większéj jednak części były w tém miejscu uszy całkowite.

U dwóch urn w dwóch różnych grobach były te uszy szczególnego kształtu; w każdéj z tych wyniosłości formujących uszy były dwie dziury, a przez każdą z tych był przeciągnięty pierścień, ozdobiony bursztynem i szklanemi perłami. Ostatni z tych dwóch pierścieni był w połączeniu na każdéj stronie urny z trzecim jeszcze pierścieniem, tak, że cała ta ozdoba, któréj jednakże nie można było uchronić od uszkodzenia, przedstawiała wcale dziwną figurę (fig. II).

Pierścienie te zupełnie jak gdyby w przekłutém uchu umieszczone, sąto kolczyki, jakich mnóstwo znaleziono w wielu okolicach Niemiec, zwłaszcza w tych, które po Xty, XIIsty i XIVsty wiek były siedliskiem pogańskich Słowian. Są te pierścienie wyrobione z bronzowego drutu, ozdobione jedną albo dwiema szklanemi perłami, po większéj części niebieskiemi, albo bursztynowemi, lub nawet glinianemi kulkami; drut jest po obu końcach śpiczasty i widać, że końce te po przeciągnięciu drutu przez ucho, dopiéro zagięte i połączone zostały. Przy podobnego rodzaju pierścieniach w okolicy Elby znajdowanych, drut rozszerza się w jednem miejscu zwykle w kształt wycinka kuli, tak, że na pozostającéj części pierścienia, najwięcéj jedna perła szklana pomieścić się może. Pierścienie tego kształtu znajdują się w wielkiéj ilości w Altmark, również w grobach pomiędzy Biederitz i Königsborn, o milę na wschód od Magdeburga; pomiędzy Möckern i Lütenitz o trzy mile na wschód od Magdeburga, i w niektórych innych miejscach w téj okolicy. Nie wiadomo, czyli gdzieindziéj urny z podobnemi pierścieniami znaleziono; tém ważniejsze jest więc odkrycie zrobione w Rodziszowie. Zresztą okoliczność ta, że przy jednéj urnie znajdowano dwie albo trzy

pary pierścieni, nie jest zadziwiająca, gdyż trafiają się nieraz urny, zawierające kości jednego tylko szkieletu, przy których jednakże wisi kilka par pierścieni. Chodzi tylko o to, czyli w każdém uchu znajduje się kilka pierścieni jeden obok drugiego, czy też liczba ich była tylko zbytku oznaką. Ztąd, że pod Redziszowem poznajdywano po kilka pierścieni w jednem i tém samém uchu, wnosić tylko można, że zwyczaj ten i u żyjących był w użyciu. Już albowiem Seneka wyszydza zwyczaj kobiét rzymskich, które uszy swoje zbytkownemi ozdobami przeciążać lubiły, czego im późniéj Alexander Severus osobną ustawą zabronił.

Niektóre urny znajdowano bez żadnego rysunku, na niektórych znów znaleziono rysunek wklęsły, jakby kończastém narzędziem wyrobiony, który często składał się tylko z pojedyńczych szeregów punktów, najczęściéj na pokrywce powyrzynanych. Punkta te tworzyły czasem na szyi urn dziwną jakąś mieszaninę, dziwnie w różne strony powycinanych linij (fig. III). Częstokroć były one lepiéj wykończone, zawsze jednak cechowała je prostota smaku i ubóstwo formy. Charakter rysunku był prawie wszędzie ten sam (fig. I, IV i V); znaleziono nawet w dwóch odmiennych grobach zupełnie jednakowy (fig. IV). Na liniach krzywych często zbywało im zupełnie. Tém więc godniejszą uwagi jest wiadomość o znalezieniu w Redziszowie urny z twarzą ludzką, któréj jednak jeszcze nie obejrzano.

Na szczególniejszy rozbiór zasługują znajdowane w urnach i obok nich metalowe przedmioty, prawie wszystkie wyrobione z mieszaniny miedzi i cyny, w któréj piérwsza znacznie przeważa. Oprócz powyżéj wspomnianych pierścieni w uszach urn, znaleziono jeszcze wiele innych ozdób, jak się zdaje głowy, również perłami nasadzonych. Znaleziono także pierścionek, na którym nie było pereł; również znaleziono igłę, co do kształtu zupełnie podobną do igły już pierwéj w Prusach znalezionéj, (fig. VI), która jednakże pod względem sztuki nizko stoi. Oprócz tego odszukano dwie bardzo do siebie podobne w kształcie cęgów ozdoby (fig. VII i VIII), jak się zdaje do spinania sukien używane. Przedmioty te były nieźle wyrobione, jednak zdaje się, że jeszcze wówczas nie znano sposobu lutowania metalów. Sądząc na jakim stopniu stały sztuki w tych okolicach, zwrócić trzeba uwagę na tę ważną okoliczność, że znajdowano tutaj, aczkolwiek w małéj liczbie, kawałki żelaznych pierścieni, i że nad urnami nie wznoszą się pagórki, co wszystko nie do zbyt dawnych czasów odnosić je każe.

Całe to grobowisko nie jest wcale świeżo odkryte, owszem od 50ciu już lat korzystają z niego sąsiedni wyrobnicy, używając kamieni do zatykania rur piecowych, a urn do przechowania nasion.

W dobrach szlacheckich Mały-Starzyn, graniczących z Rdziszowem, na południowéj stronie jednego pagórka, rozciąga się powszechny, wedle wszelkiego podobieństwa, cmentarz; ponieważ jednak do budowy tych grobów nie użyto ciosowych kamieni, przeto niemal wszystkie rozorane zostały. Przynajmniéj mimo najusilniejszych poszukiwań, oprócz licznych ułamków skorup, z bardzo grubéj gliny i bez żadnych rysunków, nie udało się panu Förstemann znaléźć więcéj nad jednę urnę w całości, osobno stojącą, a i ta za dotknięciem natychmiast się rozpadła. Zabudowanie w którém się mieściła, różniło się całkiem od wszystkich dotąd mu znanych: było kuliste, i składało się z kamieni wielkości pięści. Oprócz tych dwóch wspólnych cmentarzy, znajduje się tak w Rdziszowie jak i Małym Starzynie wiele pomniejszych, które się składają z pagórków sztucznie utworzonych, przez narzucenie wielkiéj massy kamieni, pod któremi znajdują się urny w mniejszéj wprawdzie ilości, ale staranniéj zachowane. Są one już oddawna znane, a może nawet tradycya o nich od pogańskich przechowała się czasów.

Obiedwie te majętności były niegdyś w posiadaniu oliwskiego klasztoru, a p. Förstemann wyczytawszy na przed dwoma wiekami rysowanym planie téj okolicy napis: *tumuli paganorum*, z łatwością odszukał wskazane miejsce, bo w saméj rzeczy znalazł na niém cztéry pagórki grobowe. W Małym Starzynie, w jednym takim pagórku znanym pod ogólną tutaj nazwą *mogiły*, gdzie dotąd poniewierają się licznych urn szczątki, znaleziono w półkole zgięty, na obu końcach przedziurawiony blaszany pas i metalową igłę. Nazwa miejsc *mogiła*, reflektuje cokolwiek p. Wiggerta, który obyczajem niemieckich uczonych, zabytki w okolicach Gdańska wykopane, niemieckiemi a czasem pruskiemi nazywa. Zważywszy jednak, że tylko Słowianie czczą tém mianem groby; zwraca się delikatnie znów do przywyczki, i podaje, iż podobném jest do prawdy, że Słowianie przybywszy na tę ziemię, cudze groby swoją nazwą ochrzcili (?!). W Parszkowie, wsi także z Rdziszowem graniczącéj, natrafiono na pagórek, w którym kamienie ogołocone z pokrywającéj je ziemi, zaległy jego powierzchnią w kształcie foremnego kręgu.

Wedle tego, cośmy wyżéj powiedzieli, zdaje się, że okolica ta jeszcze za czasów pogańskich była zabudowana i zamieszkana. Inny zupełnie obraz przedstawiać musiała daléj ku zachodowi leżąca kraina, gdyż w położonych wśród niéj dobrach hr. Krockow, nigdzie prawie na ślad grobowców pogańskich natrafić nie można, i zdaje się wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, że aż do czasów chrześciańskich, cały kraj rozciągający się od tego punktu, aż po granice dzisiejszéj Pomeranii, tojest aż po stary klasztor zakonnic i wspaniałe jezioro Żarnowickie, zajmowały pierwotne lasy i niedostępne bagna, które przystęp wszelkiéj oświaty tamowały. Odszukane późniéj przez p. Förstemann niedaleko miasteczka Putzig urny, wykopane w dwóch wsiach: Mechau i Oslanin, o milę od siebie odległych, bardzo były do siebie podobne; od redziszowskich zaś różniły się tém, że były w ogóle większe, że były niekształtnie i bez wszelkiego rysunku wyrobione z gliny, z grubym piaskiem zmieszanéj, i nareszcie, że kolor miały daleko jaśniejszy, białawy.

Dla podania dokładnego o ile możności wyobrażenia o tym przedmiocie, wspomnieć tu wypada o znanéj już zkądinąd rzeczy, tojest o trzech podziwienia godnych urnach, znajdujących się obecnie w muzeum starożytności w Berlinie, a wykopanych w bliskości wioski Klein-Katz (półtrzeciéj mili na północ od Gdańska), w roku 1836. Szyja tych urn przedstawia twarz ludzką, a pod nią znajdują się dziwnych kształtów postacie zwierząt, ludzi i planet. W grobie tym oprócz 9ciu urn, znajdowało się jeszcze wiele przedmiotów z bronzu.

Urny z wyobrażeniem twarzy ludzkiéj, są, jak się zdaje, właściwe tylko powyżéj opisanéj okolicy, gdyż jedynie w bliskości Tszczewa (Dirschau) znaleziono coś podobnego; a jedna z wykopanych tamże z twarzą ludzką urn, znajdująca się w muzeum wrocławskiém, ma w wypukłości usznéj małą dziurkę, przeznaczoną prawdopodobnie na pierścień. Oprócz tego znaleziono jeszcze w Kastel pod Moguncyą urnę z twarzą ludzką, o któréj robi wzmiankę Emele, w swoim opisie starożytności rzymskich i niemieckich; ta jednak nie ma wcale uszu.

Okolica Gdańska w większéj części nie posiada zupełnie pogańskich grobów. Wielka zbowiem część wiślanego niżu, która do gdańskiego obwodu należy, a zwłaszcza tak nazwany Mały Werder, położony między zachodniém ramieniem Wisły a Motławą, równie jak wielki maryenburski Werder, przed przybyciem

niemieckich rycerzy i ich wzrostem, tworzył nieprzebyty łańcuch bagien, który tamował wszelką uprawę. Najnowsze poszukiwania nie odkryły tutaj żadnych grobowisk; być jednak może, że się wynajdą później, gdyż wykopane pod wsią Steegen monety, świadczą o istnieniu osad w tych miejscach.

Na zachodniéj stronie Gdańska, pomiędzy wewnętrznemi a zewnętrznemi wałami, wznosi się potężnemi szańcami otoczony wzgórek, Hagelsberg zwany, godny uwagi tak ze względu na otaczające go dziś jeszcze bajeczne prawie obronne mury, jak również ze względu na podania, które o nim ze starych ksiąg do nas przemawiają. Góra ta zostaje w bezpośrednim związku z wielu innemi pagórkami, które się rozciągają wzdłuż sąsiedniego przedmieścia Szydlic (Schidlitz) i z których jeden w późniejszych już jak się zdaje czasach, *pogańską górą* (Heidenberg) nazwany został.

Już w XVIIym wieku znaleziono tutaj w jednéj urnie złote i srébrne monety, a pomiędzy niemi Ottońskie, i wedle wszelkiego podobieństwa arabskie, z napisami kufickiemi; co zresztą, jak wiadomo, w Prusach dosyć często się przytrafia. (Ob. Casp. Schützii rer. Prussicar. historia, ed. Zerbst 1592, p. 9, ed. Chytraei 1598 fol. 7, ed. Gedani 1769, fol. 18).

Około roku 1664 znaleziono na Hagelsbergu urnę, na któréj pokrywie osadzony był odlew wysoki blizko 4 $^1/_2$ cala, z cyny pomieszanéj z miedzią, wyobrażający płaczącą pannę ze znakomitego stanu. Szczegółowe opisanie téj jedynéj w swoim rodzaju, a zagubionéj jak się zdaje starożytności, znajduje się wraz z jéj rysunkiem w niedrukowanym dotąd zbiorze rozmaitych dokumentów, rozpraw i wiadomości, w dwóch księgach (Gdańsk 1748), w księdze piérwszéj str. 1 i 30. Podziwienia godną jest tutaj okoliczność, że statuetka ta, obiedwie ręce miała utrącone, i dopiéro w 93 lat później znaleziono jednę rękę (Ob. S. Bocka historyą naturalną wschodnich i zachodnich Prus, tom 2 (Dessau 1783) str. 581, gdzie autor wspomina o tym posążku jako o znajdującym się jeszcze w gdańskiéj miejskiéj bibliotece).

Jako rękojmią wiarogodności innego pod tym względem szczegółu, przytacza p. Förstemann C. F. Reuscha, który w r. 1722 wydał książkę: *de tumulis et urnis sepulchralibus in Prussia.* Wyciąg z tego dzieła przez samego wydawcę dokonany, nic nie pomijający, a nawet poprawniejszy jeszcze, znajduje się w niemieckim języku w książce: *Erläuterte Preussen*, w tomie III

i IV (Królewiec, 1726 i 28), i ztamtądto przytaczamy dosłownie co następuje:

„R. 1656, 5go lipca niedaleko Gdańska, po prawéj ręce przedmieścia Szedlitz, na górze Heyde-Berg zwanéj (może z powodu odprawianych tamże pogańskich obrzędów, jak to Kasper Schütz utrzymuje), można było widzieć 8 urn w należytym porządku ustawionych w podziemnym, kamiennym grobie. Zewnątrz widać tylko było troskliwie i starannie usypany pagórek, licznemi zarośnięty drzewami. Gdy w ziemi głęboko kopać zaczęto, znaleziono trumnę, zestawioną z połupanych czerwonych polnych kamieni, a w niéj ujrzano owe 8 urn, pełnych popiołu i nawpół spalonych kości, ustawionych w ten sposób, iż 3 największe składały rząd piérwszy, a 5 pozostałych stanowiło rząd drugi. Dwie z tych czerwonawych urn widzieć można w bibliotece gdańskiéj (1)".

To są jedyne na Hagelsbergu dokonane poszukiwania, a trudno spodziéwać się nowych, gdyż miejsce to dla względów fortyfikacyjnych nieprzystępne jest dla publiczności. W ogóle zdaje się, że bliższa Gdańska okolica nie jest tak dalece uboga w pogańskie groby. Nie mamy wprawdzie nowych odkryć w tym względzie, mamy jednak nadzieję, iż rzecz tę wyświecą lepiéj przyszłe poszukiwania, do których zachęciłby powinno założenie w Gdańsku muzeum dla przedmiotów sztuki, między któremi bez wątpienia i archeologiczne zabytki pomieszczenie znajdą.

Reusch w zacytowanéj powyżéj książce, wspomina jeszcze o dwóch pod Gdańskiem leżących grobowiskach. Słowa jego wiernie tutaj przytaczamy, z wypuszczeniem tylko miejsc nienależących do przedmiotu:

1) „W ogrodzie p. Abrahama Groddeck w bliskości Gdańska we wsi zwanéj Ohra, dziś jeszcze widzieć można pagór, który bez wątpienia zawiérać w sobie musi groby pogańskie, wnosząc z jego wierzchołka okrytego wielkiemi w okrąg ułożonemi kamieniami. Cały ten pagór od stóp aż do wierzchu drzewami jest zarośnięty.... Wiele osób miało już ochotę przetrząsnąć pagórek, ale właściciel stale się temu opiéra, mówiąc: *se nolle cineres et ossa defunctorum turbare.*

2) Na jednéj wyniosłości o milę od Gdańska odległéj, znaleziono 2 urny, z czarnéj i czerwonawéj ziemi, w takim samym

(1) Dzisiaj już urn tych biblioteka miejska nie posiada.

kamiennym grobie....Jedna z nich różni się od innych swoją wielkością i tém, że ma uszy bardzo ozdobne. Druga ozdobiona jest szczególnemi rysami, z których kształtu różne poczyniono wnioski (1).... Na szczególną uwagę zasługuje to, że w grobowcu tym znaleziono dzban piwa, u góry grubą skórą szczelnie zawiązany. Ludzie, którzy grób ten otwierali, wypili to piwo i zapewniają, że było czyste, wybornego smaku i nader mocne"...

Tyle z Reuscha. Dwie następujące wiadomości przytaczamy ze wspomnionéj już historyi naturalnéj Prus przez Bocka (tom 2, str. 573). Wedle niego w r. 1745, we wsi Gischkau (o $1\frac{1}{2}$ mili na południe od Gdańska) odkryto grób zbudowany z polnych kamieni, a w nim urny, z popiołem i kośćmi. Pod popiołem znaleziono pierścień z drutu, kilka rozbitych bursztynowych paciorków, kawałek paciorka niebieskiego szklanego, i trzy srébrne denary Domicyana i Adryana. Oprócz tego w bliskości Gischkau, w kilku wsiach poznajdywano urny, ale o tych nie można było powziąć bliższych wiadomości. W drugiém miejscu powiada Bock, że w tym samym roku „za Zielonym lasem pod Gdańskiem" znaleziono urnę i kilka kawałków bursztynu. Dzisiaj niepodobna oznaczyć miejsca, które ów las pokrywał.—Teraz rzucimy jeszcze okiem na zachodnią okolicę Gdańska, która po większéj części do obwodu karthauskiego należy. Cały pas kraju rozciągający się od Gdańska aż po miasteczko Karthaus i wielkie jezioro Radaunen, był może za czasów pogańskich najbardziéj zamieszkałą częścią Prus zachodnich. Albowiem powieści o grobowiskach tak są tutaj liczne, że otwierają niezmierne pole do nowych poszukiwań, z których codzień ciekawszych oczekujemy rezultatów. Tak np. wymaga sprawdzenia twierdzenie, jakoby w okolicy Karthauzu w pogańskich grobowcach znachodziły się monety. Szczególniéj wiele nowych odkryć obiecują dobra Lesen, położone na granicy gdańskiego i karthauskiego obwodu, w okolicy o 3 mile na wschód od Gdańska odległéj.

P. Förstemann ofiarował towarzystwu turyngsko-saskiemu szczególną ozdobę bronzową (fig. IX) i życzy sobie wiedzieć, czyli gdzie podobną znaleziono. Jedna część téj ozdoby (*a*) ma kształt cążków i jest zupełnie podobna do przedmiotów tego rodzaju znalezionych w Rodziszowie. Jednakże między obydwo-

(1) Z początku wzięto te ozdoby za pismo runiczne, ale po bliższém rozpatrzeniu, porzucono to mniemanie.

ma ramionami cążków przechodzi półkolista, z zaostrzoną zewnętrzną krawędzią bronzowa blacha (*b*), która za pomocą ruchomego pierścienia może być mocno w cążki ujęta. Oprócz tego cążki zostają w związku z innym pierścieniem (*c*), a ten znów z igłą na pół stopy długą (*d*). Całość zaleca się staranném wyrobieniem, a szczególniéj grubsza, zakrzywiona część igły. Ciekawy ten przedmiot, znaleziony został w grobie, zawierającym 9 urn, z pięknym po większéj części rysunkiem.

Dotąd mniemano powszechnie, że narzędzia te, znajdowane zarówno na północy jak i w wielu okolicach Niemiec, służyły do tego samego celu co *Volsellae* u Rzymian, tojest do wyrywania pojedynczych włosów. W Kopenhadze jednak, zrobiono inne pod tym względem objaśnienie. W Przewodniku naukowym o północnych starożytnościach (Kopenh. 1837, str. 52) nazwano narzędzia te pęsetami (Pincetten). „Zwykle bywają one z bronzu, rzadko z żelaza, niektóre opatrzone są zasuwką albo pierścieniem. Zostają one prawie zawsze w związku ze szydłem i małym nożem, zkąd poszło mniemanie, że to były narzędzia, w głębokiéj starożytności używane do szycia, kiedyto jeszcze odzienie składało się po większéj części ze skór, pozszywanych żyłami albo strunami. Domysł ten potwierdza jeszcze i to, że przedmiotów tych nie znajdowano nigdy, a przynajmniéj bardzo rzadko, obok zwyczajnych igieł do szycia". Pod tym względem robi p. Wiggert uwagę, że przy odkryciu pod Möckern, o którém już wspomnieliśmy, widział obok takich cążków długie, żelazne, o jedném uchu igły.

Sam pierścień ruchomy na owych cążkach wskazuje, że ich używano nietylko do przytrzymywania (np. strun), ale raczéj do utrzymania czegoś w ciągłém spojeniu. Gdy na zgromadzeniu towarzystwa turyngskiego przedstawiono nadesłane z Gdańska cążki (fig. IX), obudziły one wielkie zajęcie. Zaczém jeden z obecnych zrobił uwagę, iż widział jak Arabowie w Afryce używają podobnego przyrządu, tylko w kształcie pierścienia, do podtrzymywania wysoko na piersiach rogów zwierzchniego odzienia, co niezmiernie poruszenia ciała ułatwia. Kto inny znów uczynił następne uderzające porównanie. W wielu wsiach w Turyngii jest zwyczaj, że przy okazalszych ucztach, podają gościom srébrne, do będącego w mowie zupełnie podobne narzędzia, składające się z wielkiéj igły, z pierścienia i cążków z zasuwką; któreto narzędzia służą do utrzymania na piersiach serwety. W najnowszych nawet czasach można było widzieć po handlach galante-

ryjnych podobne sprzęty, tylko w mniejszych rozmiarach, do tegoż samego przeznaczone użytku.

Jeżeli się zgodzimy na to, iż narzędzia te podobne miały w starożytności przeznaczenie, i do przytrzymywania sukien, albo splotów na głowie były używane, to zachodzi nowa trudność, co do znaczenia półkulistéj blachy. Zewnętrzna jéj krawędź jest ostra, jakoby przeznaczona do krajania, i podobna jest do krzywych noży w Kopenhadze, o których jest mniemanie, że służyły do krajania skór i rzemieni, do czego bardzo zdają się być stosowne; tém bardziéj, że i dzisiejsi rymarze podobnych noży używają. Jeżeli jednak téj blaszce bronzowéj przyznamy znaczenie noża, to zachodzi znów pytanie, w jakim celu umieszczono ją wśród ramion cążków. Najprawdopodobniéj zdaje się, że przy wypełnianiu urny, weszła w to miejsce przypadkiem, a użycie jéj z użyciem cążków nie miało nic wspólnego. Przeciwnie możnaby tylko wtenczas twierdzić, gdyby gdzieś drugi egzemplarz podobnego narzędzia z takim samym składem części znaleziono.

Nareszcie wspomnieć tu wypada o 9ciu urnach, będących w posiadaniu towarzystwa badaczów natury w Gdańsku; przeszły one tam ze zbioru prywatnego, gdzie już znajdowały się w przeszłém stuleciu. Nieszczęściem, niewiadome jest miejsce ich znalezienia, przez co niezmiernie na wartości tracą; zdaje się jednak, że wszystkie z okolicy Gdańska pochodzą. Są one rozmaitéj wielkości, kształtu i koloru, tylko czarnéj nie ma ani jednéj między niemi; na niektórych widać niezgrabne rysunki. Najgodniejszą uwagi jest jedna, na któréj znajduje się pismo runiczne, jakiego dotąd nigdzie nie odkryto. Pożądaną byłoby rzeczą, gdyby się ktoś zajął odczytaniem tegoż napisu, a raczéj zbadaniem przez szczegółową korrespondencyą, czyli przypadkiem owo ujrzenie runów na urnie, nie jest owocem bujnéj imaginacyi badacza.

Baehr, joh. c., prof. an d. akad. d. kuenste zu dresden etc., die graeber der liven. Ein beitrag zur nordischen alterthums-kunde u. geschichte. Dresden, 1850. viii, 68 s. u. xxi stnfln. gr. 4to.

Wielki wylew Dźwiny pod Ascheraden, na wiosnę w r. 1837, odkrył znaczną liczbę starożytnych grobów; a tak liczne zabytki dawno ubiegłéj przeszłości na jaw wydobyte, zwróciły tak dalece na siebie uwagę rządu, iż szanowny professor Kruse w Dorpacie,

otrzymał polecenie do bliższego zbadania téj rzeczy. W skutek tego polecenia rozciągnął on poszukiwania swoje na całą Kurlandyą, Liwonią i wyspę Oesel, a rezultaty prac swoich złożył w wielkiéj księdze in folio, która ozdobiona wielu rycinami, wyszła w r. 1842, pod tytułem: *Necrolivonica, czyli starożytności liwońskie, estońskie i kurlandzkie.* W dziele tém, zarówno pracowitém jak i interesującém, nietylko zebrał, opisał i objaśnił wszystkie zabytki starożytności tych krajów, o których mógł powziąć wiadomość, ale dodał jeszcze uczone poszukiwania, pod względem dawniejszéj historyi téj pustéj okolicy. Z tych poszukiwań okazuje się, że najprzód Grecy, potém Rzymianie, a następnie Normanowie, za pomocą bezpośredniego handlu, przeważny wpływ na tamtejsze ludy wywierali. Książka p. Bährа jest pod pewnym względem polemiką krytyczną na dzieło p. Kruse. P. Bähr ogranicza swoje poszukiwania do grobów pod Aschеradеn, i stara się tylko dowieść, że groby te odnoszą się do peryodu żelaza, tojest do VIII —XII wieku, i że nie należą ani do słowiańskich Łotyszów, ani do germańskich Normanów, ale do fińskich Liwończyków, którzy wkrótce potém, w skutek niemieckich zaborów naciśnięci i ujarzmieni zostali. Do tego dołącza p. Bähr pogląd na historyą, stan i własności fińskich ludów, a w końcu przychodzi do tego rezultatu, że wyjąwszy monety, które handel naniósł w te okolice, wszystkie inne przedmioty, znalezione w owych grobach, były wyrobem krajowym, i świadczą nietyle o wpływie zachodniéj oświaty, jak raczéj o własnéj, azyatyckiéj pierwotnych fińskich ludów cywilizacyi.

Odczyty runów. W skutku rozprawki mojéj o czytaniu runów słowiańskich (Bibl. Warsz. r. 1851, sierp.), pisze mi nestor archeologów L. autor Bibliograficznych Ksiąg dwoje, iż mój rozbiór literatury runicznéj i powątpiewania, znalazł słusznemi i trafnemi. Co do napisu z kamienia wykopanego w Lublinie w 1847 r., którego przerys do owéj rozprawki załączyłem, sądzi L. iżby go może tak czytać wypadło, od prawéj biorąc głoski za ruskie: *tysiac. leto. gd. p. ilkyj*; niby tysiąc lat od gospoda przyjścia. Sam jednak śmieje się z swego odczytu.

Jak mię przekonał dokładny rysunek, napis na domu nr. 16 w Lublinie, który téż do rozprawki dołączyłem, tylko z powodu fantastycznego przerysu, podanego przez p. Sierpińskiego mógł być wzięty za pomnik runiczny; jestto bowiem arabska cyfra, oznaczająca rok 1525; między każdą liczbą jest znak oddziałowy.

W Siedmiogrodzie, w okolicy miasteczka Torda, znaleziono mały bronzowy posążek sfinxa, którego rysunek podał 11 nr. Dziennika lit. lwow. Napis otaczający podstawę figurki czytają wielorako; i tak: H. L. Bock z Hamburga czyta z lewéj ku prawéj po łacinie: *Nev spes Epejo item Jemy.* Thalson z Karlsburga wyczytał po grecku: *Chłosta niweczy radość złośliwą, surowa Temida kruszy chwiejne kajdany Aureliana.* Wreszcie po wielu jeszcze dowcipniejszych wyczytach, p. Leligdowicz ze Lwowa czyta: *Ćmato ćma ciebie zabiła.* Autor Ksiąg Bibliograficznych tak sądzi o tym zabytku: „Odczyt *ima ima* i t. d. jest lichy. ☥ nie może być *si*, bo jest *ti*; to jakaś greczyzna. Jedna głoska ?? coś małogreckim odpowiada; zdaje się, że za nic innego użytą być nie może jak za S E, i że się czyta: *ima imatih. ieres-imaj imaticzu v. imaczu: zgadnij zgaduło kapłanie arslana.*" L. nie wiedział o odczycie lwowskim, a do swego i sam ceny nie przypisuje; możnaż bowiem mieć jaką rękojmię odczytu, gdzie cały napis ma ledwie kilkanaście znaków, i zbywa mu na powtórzeniach, któreby autentyczności odczytu dowodziły. Cytując list L. przytoczymy jeszcze, co wreszcie donosi: „Jeden Flamand, a przeto niepomówiony o nieznajomość germańskiéj mowy, obznajmiony ze źródłowaniem sanskryckiém, drukuje w Bonn dziełko, gdzie nader dowodnie okazuje, iż mnogo wyrazów germańskich pochodzi z fińskiego." Co do kwestyi tego rodzaju, myślę, że dlatego germańskie podobne do fińskiego, a oba znów do innego jakiego języka, że wszystkie z jednego idą źródła i mają wiele wspólnego.

Paradoxa koronne publice i privatim potrzebne szlachcicowi polskiemu. Pod tym tytułem znaleziono we Lwowie rękopis, prześliczną polszczyzną pisany r. 1603, obejmujący prawdy moralne dla narodu, dziwnie, ponętnie i zajmująco napisane. Z okładek udało się redakcyi Dziennika lit. lwow. (nr. 12 t. r.) dojść nazwisk posiadaczy tego ważnego zabytku, autora jednak nie wykryto. Księgarz Czech zajął obecnie prasę swoję wydaniem téj nowéj gwiazdki z widnokręgu naszéj Zygmuntowskiéj literatury.

Towarzystwa opieki i wsparcia sztuk pięknych, (Kunstverein) zawiązały się jednocześnie w Krakowie i we Lwowie; czekają tylko zatwierdzenia władz.

monumenta poloniae historica: pod tym napisem wychodzić zaczną we Lwowie najstarsze pomniki dziejów naszych. Wedle programu ogłoszonego w Dzienniku lit. lwow., redakcyą wydawnictwa zajmują się pp. A. Batowski, A. Bielowski, S. Pilat, S.

Przyłęcki, K. Szajnocha, J. Szlachtowski, J. Wagilewicz, a piérwsze oddziały dzieła obejmą:

I. Spominki i roczniki polskie od czasów najdawniejszych aż do wieku XVI, wydane porównawczo, z podobiznami rękopismów.

II. Żywot ś. Wojciecha, napisany w wieku X przez Kanaparza, z różnicami rękopismu pargaminowego pisanego w Polsce w wieku XIV, i żywot tegoż świętego napisany przez ś. Brunona.

III. Kronikę Galla z przedmową obszerną i dokładnemi objaśnieniami, oraz ze szczególnym względem na zdarzenia opisane przez tego kronikarza jednobrzmiąco z polskiemi rocznikami, i na lokucye brane przez niego z najstarszego żywota ś. Gawła i z ksiąg pisanych przez mnichów sangalleńskich.

IV. Kronikę węgiersko-polską, porównaną według dwóch rękopismów, z ich podobiznami.

V. List Chasdaja ben Izaaka Sprota, pisany roku 958 do króla chazarskiego Józefa, i tegoż odpowiedź: oryginał hebrajski, z polskim obok przekładem.

VI. Spominki i roczniki dotyczące najdawniejszych dziejów Rusi i Litwy, z rękopismu nieznanego dotąd, w języku ruskim i polskim.

VII. Latopis Nestora: tekst oryginalny, z polskim obok przekładem i z objaśnieniami.

VIII. Kronikę Wołyńską: tekst oryginalny z polskim obok przekładem i z objaśnieniami.

IX. Lwa Kiszki biskupa włodzimirskiego ob. gr. dwóch kronik ruskich, obejmujących dzieje najdawniejsze aż po rok 1186, skrócony przekład polski, uskuteczniony w końcu XVII wieku lub w piérwszych latach XVIII.

X. Kronikarzy polskich szkoły Wincentego, mianowicie: *a) Mierzwy* kronikę z jéj dopełnieniem; *b) list Mateusza* biskupa krakowskiego do ś. Bernarda, pisany około r. 1150; *c) kronikę Mateusza i Wincentego*; *d) komentarz Jana Dobrówki* do tych kronik.

XI. Jana de Plana Karpini i Benedykta Polaka opis podróży do Tatarji roku 1246 odbytéj, z spółczesnego pargaminowego rękopismu.

XII. Żywot ś. Stanisława, napisany około połowy XIII wieku przez Wincentego z Kielc Dominikana, dotąd niedrukowany, a nawet nikomu nieznany; według dawnego pargaminowego rękopismu.

XIII. Ułamki kroniki Bogufały, według rękopismu Hodiejowskiego, i kronikę *Godysława* Paska z objaśnieniami.

XIV. Kronikę Jana z Czarnkowa, archidyakona gnieźnieńskiego, z objaśnieniami.

XV. Herbarz Długosza, z kilku rękopismów uzupełniony, z ich różnicami.

XVI. Roczniki przez Lwa Kiszkę, z rozmaitych dokumentów układane w języku polskim i t. d.

Ks. Barącz Dominikan wypracował i wydał obecnie we Lwowie monograficzny opis Żółkwi, pod napisem: PAMIĄTKI MIASTA ŻÓŁKWI. Pięknyto nabytek do szczegółowych opisów miast i miejsc znakomitszych Galicyi; obecnie posiadamy już z téj części kraju opisy, jak: Lwowa, Krakowa, Tarnowa, Jarosławia, Bochni, Wieliczki, Tatr, Szczawnic, Kalwaryi, i wiele drobniejszych po pismach czasowych.

HISTORYA ERREKCYI KOŚCIOŁÓW W WIELKOPOLSCE, przez J. Łukaszewicza, wyjdzie niezadługo w Poznaniu.

Professor uniw. krak. p. J. Muczkowski wydał w drukarni uniw. Długoszowe BANDERIA PRUTENORUM i HERBARZ nowo odkryty (Insignia seu Clenodia reg. pol.) W pięknie i krytycznie napisanéj przedmowie do Banderyów i Herbarza mówi p. Muczkowski o odpisach piérwszych z bibl. kap. katedr. gdzie się oryginał dochowuje i o rękopisie drugiego, znalezionym w bibl. im. Ossol. i w zbiorach ks. bisk. Łętowskiego. Wydanie Banderyów Vossberga i uwagi o niém p. Żebrawskiego (Bibl. Warsz. r. 1851, t. II str. 168), miał już pod ręką p. Muczkowski tworząc swoję edycyą; dlatego ciekawe poczynił w przypisach uwagi, porównywając wydania i rękopisy. Szkoda tylko, że publikacya ta straciła na popularności przez umieszczenie łacińskiego Długoszowego textu, gdy może dobrze było przełożyć rzecz na polskie.

Professor uniw. p. W. Pol ogłosił w Rocz. tow. nauk. rzecz o ZASŁUGACH DŁUGOSZA POD WZGLĘDEM GEOGRAFII; jestto tłumaczenie opisu kraju, który Długosz podał w I tomie, 1. księdze swojéj kroniki, poprzedzone ocenieniem téj pracy i wykazaniem stanowiska i wartości Długosza jako geografa. Ważne zadanie i pożyteczna praca p. Pola; ależ gdy geografią Długosza już mieliśmy tłumaczoną (Gustawa Bornemana, Leszno, 1840 r.), obecnie pod piórem zacnego professora zasługi Długosza w geografii dopiéro wtedyby należycie i dowodnie ocenionemi być mogły, gdyby rozebrano Długoszową księgę *de Beneficiis*, gdzie z taką drobiazgową dokładnością, prawie siły człowieka przechodzącą, mamy opisaną ogromną dyece-

zyą krakowską. *Liber beneficiorum* przechowuje się w kapitule katedr. krak., a tylko p. Muczkowskiemu winniśmy, że nas bliżéj obznajmił z tym rękopismem, opisawszy go bibliograficznie (Wiadomość o rękop. Długosza. Kraków. Druk. uniw. 1850, str. 73). Praca ta nieśmiertelnego Długosza zasługuje zapewne przed wszystkiém na wydanie, ale łatwo zda mi się odgadnąć, iż dlatego dotąd nie jest ogłoszoną i może nigdy wydania się nie doczeka, iż w sprawach spornych o majątki kościelne jest dokumentem mającym urzędową powagę, a zatém rodzajem archiwum, zkądby łatwo było wyszukać materyi do sporów. Radbym ujrzéć wydanym ten rękopis, choćby tém okazano, że się mylę w sądzeniu o jego losie.

J. Łepkowski.

KRONIKA LITERACKA.

Obrazki Wiejskie Jana Kantego Gregorowicza. 4 *tomy. Warszawa.* 1852. *Nakład i druk S. Orgelbranda.* 12*ka. Tom I, str.* 317. *Tom II, str.* 261. *Tom III, str.* 228. *Tom IV, str.* 393.

Znane są, choć tylko w bardzo małéj cząstce Obrazki Wiejskie p. Gregorowicza, umieszczone w naszém piśmie. To, co Biblioteka Warszawska ogłosiła, jest dopiéro wstępem niejako do tego obszernego dzieła w 4ch tomach, o którém zdać sprawę naszym czytelnikom zamierzamy (1).

Przedmiot to zaiste nowy, nieznany w naszéj literaturze, przedstawić życie domowe ludu w tak obszernych ramach, a w tak rozmaitych odcieniach. Zdania też różne już wydano; o ogłoszonéj w Bibliotece Warszawskiéj części, p. Kraszewski w listach swoich wypowiedział myśl swoję. Jeżeli chwalono rzecz, któréj zganić nie można, zarzucano zbytnią rozciągłość, gadatliwość w rozmowach. Znany, jeden z piérwszych naszych pisarzy wyrzekł zdanie, że obrazki p. Gregorowicza mają wierność *dagerotypu*, ale mają zarazem i *dagerotypu* wady; przez co chciał myśl wyrazić, że brak artystyczności w utworach p. Gregorowicza. Szanujemy każde zdanie, ale nie umiemy iść ślepo za cudzém. Obrazki p. Gregorowicza są zbyt ważnym utworem w obecnym czasie, ażebyśmy zbyli sąd o nich lekkim frazesem.

Odkąd zwrócono uwagę na literaturę niepiśmienną ludu naszego, odkąd zaczęto zbiérać pieśni, powieści i przysłowia ludowe, jako w bogatéj kopalni rodzinnych skarbów: wyrabiać się zaczęła myśl, że postaci chłopków naszych, niewiast wiejskich i krasnych dziewic, można użyć do utworów literackich; że te postaci świeże, dziarskie, żyjące prawdą a Bogiem, ożywią nasze obrazy, i dobrze, malowniczo odbiją wśród wyższego towarzystwa schorowanego i wybladłego. W. Bogusławski szczęśliwém natchnieniem wiedziony, wywiódł dziarskich Krakowiaków i gorali na scenę, piérwszy korzystając zręcznie z piosnek ludowych; Kraszewski przedstawił nam *Ulanę*, Bondarczuka, Jarynę, figury ludowe;

(1) Umieszczone powieści w Bibl. Warsz. zajmują tom Iszy Obrazków, i jeden rozdział tomu IIgo. *P. R.*

w utworach innych występują chwilowo to postaci: ale nie mieliśmy dotąd pisarza, któryby nam wiernie, z całą prawdą przedstawił lud we wszystkich niemal odcieniach życia domowego, aby dał nam jasno pojąć jego myśl i serce. To zadanie trudne zaprawdę, pan Gregorowicz wziął za cel główny w swoich obrazkach.

Kto zna zblizka lud nasz, ten wié dobrze, że nie jest rozmowny ani z *panem*, ani z jego tak zwanemi oficyalistami. Potrzeba go umiéć wciągnąć w rozmowę, trzeba ażeby ten, przed kim kmieć nasz myśl swą i serce otwiéra, zyskał sobie przychylność kmiotka; inaczéj półsłówkami będzie bąkał, lub zupełném milczeniem zbędzie.

Jakaż ci pozostała droga, ażebyś poznał myśl, ów chłopski rozum, i serce tyle umiejące czuć kmiecia?

Usłyszysz pieśń—to chwilka radości; powieść—to rys wyobraźni; przysłowie dosadne—to okruchy jego myśli: wszystko to szczupłe fragmenta żywota ludu. Ale zkąd weźmiesz farb do odmalowania w ramach rzeczywistéj prawdy tego życia chłopskiego, tego na miliony liczącego się roju pracowitych, co myślą po swojemu, rozumują po swojemu i czują po swojemu; co uparci, bo zamiłowani w tém, co im przeszłość zostawiła, zachowali nam najdroższe jéj pomniki, i rodowość swoję od napływu cudzego chroniąc troskliwie, wierną przechowali.

Ten cały rój milionowych rodzin rozsypanych na ogromnéj przestrzeni dawnéj Rplitéj, to plemię rolnicze, które z niemieszaną krwią w pokoleniach, z górą lat tysiąc na téj ziemi przeżyło, wyrobiło w sobie charakter pewny, myśl, pojęcie, rozum, któremi się silnie rysuje na tle naszego społeczeństwa. To poznać, zgłębić, ocenić, zadaniem być naszém winno. Powołany potemu pracownik musi przedewszystkiém długo żyć z ludem, zyskać jego ufność, pokochać go, aby bez uprzedzenia był spokojnym badaczem, a miłując prawdę, dla artyzmu nie fałszował postaci ludowych.

Trudno to i bardzo trudne, jak rzekliśmy, zadanie. Prosta myśl w szorstkich słowach, zamiłowanie sielan w długiéj pogawędce, owo drożenie się, półsłówka nieśmiałe, zanim na dobre zacznie rozmowę z tobą swobodną: przyznać musimy, że to niewdzięczne dla artystyczności pole, ale niestety, to są bardzo silne rysy do odznaczenia prawdziwie ludowych postaci. Nie zaprzeczamy bynajmniéj, aby prawdziwy artysta nie potrafił szczęśliwie te trudności talentem swoim przełamać; ale obawiać się musimy, żeby dla strony artystycznéj, prawdy nie poświęcił, i miasto prawdziwie dziarskich kmieci krakowskich, nie dał nam baletników z Wesela w Ojcowie. W obrazkach p. Gregorowicza jedni uważali niepospolity talent w prowadzeniu dyalogów, drudzy zbytnią ich rozciągłość za wadę poczytali. Ktokolwiek zna lud nasz bliżéj (powtarzamy raz jeszcze) ten wié, że ani on sam w życiu, ani żaden dostrzegacz w opisie lepiéj go nie scharakteryzuje jak w schwytanéj, lub podsłuchanéj rozmowie. W niéjto kmieć nasz w swobodnéj chwili, w pogadance ochoczéj czy w karczmie na uciesze, czy w chacie w czasie chrzcin, wesela, pogrzebów, wylewa swoję myśl, uczucie, ból i smutek. Pogadanka taka, to dopiéro zwierciadło, w którém cała jego charakterystyka odbija. Świat działania jego w szczupłych się szrankach zamyka: w tychto szrankach

stacza turnieje życia, opłacane krwawym znojem. Praca i ciężka praca to herb jego tarczowy w tém bojowisku czynu. Chcesz więc kmiecia z całą prawdą, z całą jéj ułudą malować, musisz milczące jego usta rozwiązać, a rozmowę jego wiernie stenografować. Tą téż drogą poszedł p. Gregorowicz, a o ile odpowiedział założeniu swemu—zobaczymy.

W trzech tomach Obrazków zawarł nasz autor całość, w któréj przedstawił nam jako działające główne figury pana dziedzica, pana rządcy z godną małżonką, Małgosi bohaterki obrazków, jéj kochanka Antka, starego ogrodnika Sakowskiego, i wiele innych jeszcze postaci mniejszéj działalności, ale należących do wypełnienia dobrze ram każdego obrazku. Treścią główną jest miłość Antka do skromnéj a krasnéj Małgosi, miłość, która przełamała wszystkie zawady, bo i nienawiść matki Antka, i pani rządczyni, a nawet upodobanie w pięknéj dziewoi młodego dziedzica.

W utworze swoim, jak widzim z prostéj treści, nie ubiegał się p. Gregorowicz, aby go przedstawić jako powieść; szło mu głównie, aby wiernie a z prawdą, postaci pochwycone w rzeczywistości, odmalować jak w zwierciadle. A wszystko to osnuł myślą tak zacną, szlachetną, że każdy przywięzuje się do tych postaci prostych, poczciwych. Trudne tu nasz autor miał zadanie: opisać miłostki dziedzica ku prostéj dziéwce wiejskiéj, których celem nie była żadna myśl wyższa, żadne szlachetne uczucie, umiejące wzbić się ponad względy i przesądy światowe. A przecież przyznać musimy, że opromienił p. Gregorowicz tak ułudnie krasotą wdzięku, naiwnością i prostotą Małgosię, że jéj postać tak przystrojoną widzimy, iż blask dziewiczości trzyma się silnie tego lica czerstwego, tych rąk narobionych, tego zgrabnego ubioru.

I ów młody panicz, ów dziedzic pod wpływem tego uroku, oczyścił myśl i serce z kału ziemskiego, uszlachetnić je potrafił, i sam dopomógł do związku małżeńskiego z ukochanym Antkiem. Z tym samym talentem maluje nam widoki przyrody i tych chat wieśniaczych: zpod jego pióra czujem tchnienie i woń sielskiéj zagrody, choć nic nie dodaje, bo maluje to tylko, na co patrzał, ale patrzał z uczuciem i rzewną myślą.

Dodajmy do tego wiernie schwytany język ludowy, tak oryginalny a tak malowniczy, który więcéj jeszcze tym postaciom i obrazkom dodaje uroku. Jakażto szlachetna postać ogrodnika Sakowskiego? ileż ta postać ma w sobie życia i prawdy w każdym ruchu, w każdém słowie. Cóż mówić o w przeciwieństwie stojących figurach zarozumiałego a oszusta pana rządcy, zjadliwéj jego małżonki, przebiegłéj Szczepanowéj, matki Antka, albo o wesołych a szczerych Sandomierzakach towarzyszach jego. Z jakąż prawdą mamy odrysowany jarmark gwarny, ten godowy dzień dla kmieci naszych.

Jako ustęp w téj opowieści, jest *Wieczór jesienny*; tu nowe postacie się jawią, które autor zręcznie jako niezbędny rys do swych obrazków w ciąg jeden wcielił. Miejscem działania jest karczma, chwila obierania kapusty na zapas zimowy. Wpośród niewiast (z których jedna bajkę ludową czyli klechdę opowiada) i dziewcząt, widzimy na zydelku siedzą-

cego szewca, łatającego bót pana Błażeja, który obok niego oczekiwał na robotę, z nogą bosą. Jestto ten pan Błażéj, znany w okolicy; trudni się uczeniem małych dzieci, strojeniem fortepianów, a gdzieniegdzie uczeniem muzyki. W tak szczupłych ramach, przy tak małym ruchu dramatycznym, p. Gregorowicz z prawdziwym talentem wywiązał się z zadania. Trzeba odczytać ten ustęp, aby uznać, jak śmiałemi pociągami pióra narysował silnie, wyrazisto te dwie postaci. Jestto zaprawdę Hogartowski obrazek.

Niewszędzie jednak był tak szczęśliwym p. G. Zamknąwszy całość co do głównych swoich bohaterów, Małgosi i Antka, w trzech tomach, dla uzupełnienia zarysów ludowych w IV tomie dodał dwa obrazki p. n.: *Okrężne* i *Wesele*: tu już więcéj przedstawia nam postaci wyższéj sfery społeczeństwa. Wyznać musimy, że jeżeli ze szczególnym talentem umié p. G. ludowe wizerunki nam dawać, talent jego maleje, kiedy do obrazków swoich nie sam lud wprowadza, a zaczyna je przepełniać surdutem czy frakiem. Zręcznie bardzo (wyjąwszy owych nieludowych postaci) tak okrężne, jak i obrząd weselny narysował p. G. i temi obrazkami silnie uwagę zajmuje.

Wydanie tych obrazków, jak już rzekliśmy, niemałe ma znaczenie w obecnym stanie literatury naszéj: bo nietylko że oznajomi wszystkich z mnóstwem postaci i charakterów ludowych, i téj klassy, jakkolwiek nie kmieci, ale najbliżéj ludu zostających, jak oficyalistów dworskich, których równie dosadnie a wybornie umié p. G. malować: ale daléj, nietylko w ponadwiślu da poznać, czém lud jest wśród naszego społeczeństwa, czém być może przy środkach polepszenia jego doli.

Ta myśl wyższa, ta szlachetna dążność jasno odbija w utworach p. G.; otwarcie wynurzamy mu tu za to naszę wdzięczność. Nie umiemy szyderstwem odstręczać młodych pracowników, których i tak szczupłe grono; nie umiemy usterki pochwałą okrywać lub przyklaskiwać złéj myśli, choćby jaśniejącéj talentem, albo niedołężnym utworom: ale każdemu co wstępuje w chlubny zawód literacki, bratnią podajem rękę, i cieszymy się, gdy talent jego chlubny znajduje odgłos w kraju naszym.

Dlatego i p. G. wytknęliśmy jego usterki, a do nich dodać musimy: małą wprawę we władaniu piórem, i brak dramatycznego ruchu w całości. Sąto niewiele znaczące skazy, w porównaniu z zaletami, które hojnie wynagradzają nam wszystkie drobne usterki.

Wydanie tych obrazków zawdzięczamy księgarzowi S. Orgelbrandowi, który ochotnie każdy utwór oryginalny, a rzeczywistą mający wartość, w ozdobném i troskliwém wydaniu ogłasza, czém się też odznaczają i pomienione Obrazki Wiejskie p. Gregorowicza.

Warszawa,
d. 18 kwietnia, 1852 r. *K. Wł. Wojcicki.*

O czwartém wydaniu Kroniki polskiéj Galla w XI tomie Pertza: *Monumenta Germaniae historica*, przez pp. Szlachtowskiego i Köpke.

W XI tomie wspaniałego zbioru kronik krytycznie wydanych przez *Pertza*, obok *czeskiéj kroniki Kozmasa*, wydaną też została po raz czwarty *Kronika polska Galla*, przez uczonego professora lwowskiego p. Jana *Szlachtowskiego*, z pomocą pana *Köpke* z Berlina (1). Chciała zapewne redakcya zbioru kronik niemieckich mieć obraz najdawniejszych stosunków z ościennym krajem, z obcego także stanowiska skreślony; podobnie jak w zbiorze naszych kronikarzy i *Dytmar* i *Nestor* miejsce znaleźćby powinni.

Jakkolwiekbądź, p. Szlachtowski przygotowuje jeszcze *piąte* wydanie, liczniejszemi przypisami i objaśnieniami wzbogacone, dla umieszczenia go w pięknym zbiorze kronik polskich przed-Długoszowych, które p. August Bielowski we Lwowie, pod tytułem: *Monumenta Poloniae historica*, ogłasza.

Do teraźniejszego wydania użył p. Szlachtowski nowo-odkrytego w bibliotece ordynatów Zamojskich, *trzeciego a najdawniejszego* rękopisu Galla, bo w połowie XIV wieku na pargaminie pisanego. Lubo prawie całkiem zgodny z *drugim* (*gnieźnieńskim* czyli *kłodawskim*), jednak już saméj starożytności powagą i poprawnością kalligraficzną celuje.

We wstępie, klassyczną łaciną pisanym, objaśnia p. Szlachtowski skąpe wiadomości, jakie autor kroniki sam o sobie podaje, i te, które w przytaczających jego kronikę, późniejszych kronikarzach i dziejopisach naszych znajdujemy. Dowodzi gruntownie własnemi słowami kronikarza: „że był cudzoziemcem (*Exul et peregrinus*) (2); mnichem uczonym, który wziął się do pisania nie dla wychwalania własnego kraju i własnéj rodziny, ale dla odniesienia jakiéj nagrody za swoję pracę, na miejsce w którém śluby zakonne złożył, (*ad locum professionis*); tudzież dla zachowania się od próżniactwa, i aby nie stracić zwyczaju dyktowania i nie darmo *jeść chleb polski*, (*et ne frustra panem Polonie manducarem*). Żył na dworze Bolesława IIIgo, najbardziéj do jego osoby zbliżony, zapewne nawet należący do liczby jego kapelanów, których w dedykacyi księgi IIIciéj, *najmilszą bracią* (*fratres carissimi*), nazywa (3). Dwie

(1) *Piérwsze* wydanie *Lengnicha*, z rękopisu *heilsberskiego* (czyli *szamotulskiego*), pod tytułem: *Vincentius Kadlubko et Martinus Gallus, Scriptores historiae Polonae antiquissimi. Gedani* 1749. *Drugie*, (z piérwszego przedrukowane), w III tomie zbioru *Mitzlera de Kolof. Varsaviae*, 1769. *Trzecie*, z rękopisu *gnieźnieńskiego* (czyli *kłodawskiego*), porównanego z *heilsberskim*, przez Jana Wincent. *Bandtkie*, pod tytułem: *Martini Galli Chronicon. Varsaviae*, 1824.

(2) Przez błąd drukarski *exul, apud vos et peregrinos*, (tak jak w wydaniu warszawskiém); kiedy w texcie kroniki (*Pertz.* XI, str. 463), czyta się: *exul apud vos, et peregrinus*.

(3) O jednym z kapelanów Bolesława IIIgo, *Leopardem* zwanym, który w klasztorze Benedyktynów w *Zwifaltenie*, w ziemi szwabskiéj, (niedaleko Ulm) życie zakończył, i tam wiele dzieł rzeźbiarskich wykonał, niektóre szczegóły podać zamierzamy w dziełku: *O śladach Bolesławów polskich po obcych krajach*.

piérwsze księgi napisał pomiędzy rokiem 1109 a 1110, ponieważ z liczby biskupów, którym je poświęca, *Maurus* został biskupem krakowskim r. 1109, a *Paweł* biskup kruszwicki r. 1110 umarł. Trzecią księgę po niejakim wypoczynku napisał *(aliquantisper quiescamus)* i doprowadził do kary wymierzonéj przez Bolesława, na brata Zbigniewa, czyniąc wzmiankę o pielgrzymce pokutnéj tegoż Bolesława *do św. Idziego i św. Stefana*, za życia Kolomana króla węgierskiego; a więc przed r. 1114 (w którym ten król umarł), dokonanéj (1).

Tak więc zdaje się niewątpliwém, iż autor kroniki naszéj był mnichem spółczesnym, cudzoziemcem, może kapelanem Bolesława IIIgo; ale jak się nazywał i z jakiego był narodu? Co do imienia, o tém żadnego śladu nie ma, ani w trzech znajomych dotąd rękopisach kroniki naszéj, ani w żadnym z późniejszych kronikarzy i dziejopisów. Dwa miejsca bowiem w Długoszu (2) *o zwycięztwie Karola W. nad Lechem, i śmierci tego księcia w bitwie*, jak o tém *Marcin Gall*, t. j. mieszkaniec Gallii, pisał: *(ita enim reperi Martinum Gallicum de eo scripsisse)* nie znajdują się w żadnym z rękopisów naszéj kroniki; odnosić się zatém muszą do nieznanego jakiego kronikarza, bo nawet w XIstu tomach zbioru Pertza, żadnego pod imieniem *Marcina* nie masz. lubo wzmianka o zwyciężonym i zabitym przez syna Karola W. Lechu, księciu czeskim, niejednokrotnie się powtarza (3).

Sprawiedliwie zatém odebrała nowsza krytyka historyczna imię *Marcina*, bez przyczyny nadane najdawniejszemu kronikarzowi naszemu, a któreby można nazwiskiem narodowości jego zastąpić, gdyby się ta krytycznie udowodnić dała.

Lengnich, piérwszy wydawca, świadczy, że na czele rękopisu heilsberskiego, (czyli szamotulskiego) pisanego w wieku XV, położony był nadpis: *Gallus hanc historiam scripsit, monachus ut opinor aliquis, ut ex prooemiis conijcere licet; qui Boleslai tertii tempore vixit (Gall* tę historyą napisał; mnich jakiś, sądzę, który żył za czasów Bolesława III, o ile dorozumiewać się można ze wstępu). Przy końcu rękopisu było: *Huc usque Gallus* (dopóty *Gall*).

Z późniejszych Kromer i Sarnicki nazywają naszego autora *Gallem*; Herburt w przedmowie do Kadłubka, *Gallem anonymem*; Paprocki cytuje go jako *anonyma*; Semler, w Dyssertacyach o starożytnościach pol-

(1) P. Szlachtowski rozumié tu klasztor ś. Idziego *Semichensis vel Sentigis*, w Węgrzech. fundacyi króla węgierskiego ś. Władysława r. 1095; co zdaje się podobném do prawdy, przez połączenie téj pielgrzymki z drugą, do grobu św. Stefana w Węgrzech, za życia Kolomana króla węgierskiego, który umarł w 1114 roku. Zwiedzając w 1851 r. starożytny kościół św. Idziego w *Saint-Gilles* w południowej Francyi, znalazłem archiwalne ślady pielgrzymki Bolesława III, jakoby tam odbytéj w r. 1128, o czem więcéj szczegółów znajdzie się w wyżéj wspomnianém dziełku: *Ślady Bolesławów polskich po obcych krajach.*

(2) *Wydanie lipskie.* Księga I, str. 36 i 65.

(3) *Einhardi Annales.* Pertz I, str 193. *Annales Tiliani* I, str. 224. *Annales Quedlinburgenses* V, str. 41. *Herimanni Augiensis chronicon* VII, str. 101. *Mariani Scotti Chronicon* VII, str. 549 *Ekkehardi Chronicon Universale* VIII, str. 169. *Sigeberti Chronica* VIII, str 336. *Annalista Saxo* VIII, str. 565. Także w *Leibnitza Accessiones Historicae* T. I, str. 131. *Chronographus Saxo*, Annus DCCCV.

skich, drukowanych w aktach *Societatis Jablonovianae* w Lipsku, tłumaczy nazwisko *Galla* na *Niemca zareńskiego*. Pan Szlachtowski mniema, że nasz mnich był *Włochem*, a to dla dwóch mianowicie poszlak: 1^od^ że używa dwa razy słowa *Vastandiones* i *Vastaldiones*, odpowiadającego longobardzkiemu urzędowi *Guastaldiones* (rządcy miast), a to słowo mnichowi polskiemu lub niemieckiemu nie byłoby znajome, 2re dlatego, że Niemców nie nazywa *Germani*, tylko *Alemanni*.

Co do pierwszego; *Ducange*, wyluszczając znaczenie słowa *Guastaldiones*, wzmiankuje, iż niektorzy uczeni wywodzą jego źródło ze *staro-saskiéj* mowy, i dodaje, że *Awarowie*, *Węgrzy*, *Anglicy* i *Frankowie* takich *Guastaldionów* u siebie mieli (1). Nie potrzebował zatém nasz autor być *Włochem*, aby o nich wiedzieć.

Co do drugiego: *Gall* lub *Frank*, a nawet *Belgijczyk*, podobnie jak *Włoch*, nazywałby Niemców *Alemanni*.

Po co zatém szukać innéj narodowości dla naszego kronikarza, jak tę, która mu tak dobrze z własnego dzieła przypada; którą przepisywacz z XV wieku, na tytule i przy zakończeniu rękopisu oznaczył; którą mu *Kromer*, *Sarnicki* i *Herburt* bez wahania nadają?

Zaraz po dedykacyi dzieła swojego biskupom polskim, umieszcza mnich kronikarz legendę wierszem, o cudownem narodzeniu Bolesława III, za przyczyną ś. Idziego. Najdokładniéj opisuje w niéj podróż posłów przez nieznane im dotąd kraje; jak *Gallią* przebyli, i do *Prowancyi* doszli; jak przez *Burgundyą* wrócili do Polski (2). A potém, gdy w saméj kronice narodzenie Bolesława III opowiada, przez usta *Franka* biskupa polskiego, tak opisuje miasto *Saint-Gilles*, gdzie grób ś. Idziego, *(S. Egidius, Saint-Gilles)* słynnym był podówczas celem pobożnych pielgrzymek: „Jest, powiada, pewien święty u krańców Gallii, ku południowi blizko Marsylii, gdzie Rodan w morze wpada, w ziemi prowanckiéj, a nazywa się *ś. Idzi*" (3).

Czyż nie naturalnie przypuścić, że opisywał dokładnie znajome sobie miejsce *Gall*, *a może* do tego i mieszkaniec Prowancyi, *może nawet* mnich Benedyktyn z *Saint-Gilles*, aniżeli Włoch albo Niemiec zareński?

Uczony autor *Wstępu Krytycznego do Dziejów Polski*, August Bielowski, nazywa naszego kronikarza *Gawłem*, a ten domysł swój, na następującém rozumowaniu opiera:

Bolesław III urodził się skutkiem modłów zaniesionych do Boga w *Saint-Gilles*, w Prowancyi. Zakon ten założony był (jak powiada Mabillon w *Annales S. Benedicti*) *ad honorem S. Galli* (na cześć ś. Galla) czyli po polsku *ś. Gawła* (4). Mnisi z *Saint-Gall* w Szwajcaryi byli kolonią tego zakonu. Dlatego i *Kronika szlązka* opisując poselstwo ojca Bolesławowego, pisze: *in Provincia ad abbatem et conventum sancti Galli* (5). Po narodzeniu syna, Władysław wywdzięczając się, spro-

(1) *Ducange*, *Glossarium latinitatis medii aevi*, pod słowem: *Guastaldio*.
(2) *Pertz* XI, str. 424. (3) *Pertz* XI, str. 443. (4) Nie mogłem znaleźć tego miejsca w *Annales Benedictini Mabillona*.
(5) *Stenzel*: Scriptores Rerum Silesiacarum I, str. 12; według mnie, przez błąd przepisywacza zamiast *Sancti Egidii*, lub przez złe tłumaczenie słowa *Saint-Gilles*.

wadził *zakonników ś. Gawła* do Krakowa, Kłodawy, Łęczycy, Krobi; ci nawzajem starali się zapewnić sobie wpływ na Bolesława, opisując jego czyny. Tak powstała *Kronika Galla*, napisana przez mnicha tego zakonu, zwanego *Gallem* nie dlatego, że z Francyi był rodem, ale dlatego, *że był zakonnikiem świętego Gawła, a nie jest też niepodobna, że i sam Gawłem nazywał się* (1).

Nie wiemy, czy to przypuszczenie wielu zwolenników znalazło; ale takie są przeciw niemu zarzuty:

1) Roku 673. *ś. Idzi (S. Egidius, Saint-Gilles)* rodem Ateńczyk, założył w dolinie flawijskiéj, *(in valle Flaviana)*, nad ujściem Rodanu do morza, klasztor pod regułą ś. Benedykta, i kościół pod wezwaniem *SS. Piotra i Pawła* (a nie ś. Gawła). A w roku 685 od papieża Benedykta II otrzymał bullę z przywilejem zależności bezpośredniéj od stolicy apostolskiéj (2).

2) *S. Gallus* (czyli *Gaweł*), rodem Irlandczyk, uczeń ś. Kolumbana, udał się z mistrzem swoim do Francyi, a potém sam jeden do Szwajcaryi, gdzie jako pustelnik umarł r. 640. Domki pustelnicze ś. Gawła i uczniów jego utworzyły klasztor, który trzymał się naprzód reguły ś. Kolumbana, a w VIII wieku dopiéro regułę ś. Benedykta przyjął. Wtenczas téż zajęli się mnisi Sangalleńscy naukami i założyli słynną podziśdzień bibliotekę. Ale oprócz spólności reguły ś. Benedykta, nie zachodziły żadne stosunki pomiędzy *Saint-Gilles* w Prowancyi, a *Saint-Gall* w Szwajcaryi; jak najlepiéj przekonywają *Roczniki sangalleńskie*, których kilka *Pertz* w I i II tomie zbioru swojego wydrukował, a gdzie żadnéj wzmianki ani o *Saint-Gilles*, ani o *Polsce* nie ma (3). Dlaczegoż więc miał książę Władysław, zawdzięczając dobrodziejstwo od *św. Idziego* doznane, do kościołów pod wezwaniem tego świętego stawianych, zakonników *ś. Gawła* (*Gawłami* zwanych) sprowadzać?

3) Narodzenie Bolesława IIIgo wymodlone w kościele *ś. Idziego* w Prowancyi, 1085 r., namnożyło tak w Polsce, jak w sąsiednich krajach węgierskim i czeskim fundacye kościołów pod wezwaniem *św. Idziego* (*S. Egidii*). Tak powstały w Polsce kościoły ś. Idziego w Krakowie, w Kłodawie, w Łęczycy, w Krobi, we Wrocławiu; tu z fundacyi hrabiego Piotra ze Skrzynna, który synowi własnemu dał téż imię *Idzi* (*Egidius*). Ale mniéj więcéj wszystkie były to kościoły świeckie (4).

(1) *Bielowskiego list do redaktora Biblioteki Warszawskiéj*, w zeszycie tego pisma na miesiąc kwiecień 1851 roku, str. 90. Porównać także *Wstęp krytyczny do Dziejów Polski* str. 33.

(2) Za bytności mojéj w *Saint-Gilles* miałem sposobność przejrzéć bogaty bullaryusz oryginalny tego kościoła, a poźniéj archiwa departamentalne w *Nismes* i w *Marsylii*, oraz wszelkie drukowane zbiory dotyczące się historyi tego miasta i samego opactwa.

(3) Pomimo *leoninów* na cześć ś. Gawła, i ś. Othmara układanych, które się w tych Rocznikach zachowały, nie mogę dostrzedz w nich nawet analogii stylowéj, z naszą *kroniką Galla*.

(4) Dowodzi tego najlepiéj nota pisarza rękopisu gnieźnieńskiego (czyli *kłodawskiego*) na str. 36. *Iste Wladislaus in honorem beati Egidij* (a nie *Galli*) *dotavit et fundavit ecclesiam parochialem in Clodawa; ecclesiam collegiatam in honorem beati Egidij in Cracovia; aliam collegiatam in Lancicia, parochialem in*

Z zakonników znano tylko podówczas w Polsce *białych Kamedułów*, z czasów jeszcze Bolesława Chrobrego, i *czarnych Benedyktynów* (*monachi nigri*) przez Kazimierza I sprowadzonych, a na miejsce których przybywali w drugiéj połowie XII *szare mnichy* (*monachi grisei*) Cystersi. W żadnych pomnikach historycznych nie napotykamy nazwy *Gawłów*.

Zdaje się zatém, że najwłaściwiéj będzie najdawniejszego kronikarza naszego mnicha, wprost *Gallem* (t. j. mieszkańcem Gallii) nazywać, jak go rękopis heilsberski (szamotulski) mianował; a za nim *Kromer*, *Sarnicki* i *Herburt* zwali. A więc i kronika jego, którą p. Szlachtowski w zbiorze Pertza, tylko *Chronicae Polonorum* nazwał; w zbiorze pomników dziejowych polskich, znaną już i popularną nazwą *Kroniki Galla* oznaczyć, odrzucając tylko urojony przydatek *Marcina*.

Czwarte wydanie *kroniki Galla*, przez pp. Szlachtowskiego i Köpke, w XI tomie zbioru Pertza wykonane zostało, jakeśmy już wyżéj powiedzieli, według najdawniejszego i najpoprawniejszego pargaminowego *rękopisu Zamojskiego*. Waryanty z dwóch innych rękopisów *heilsberskiego (szamotulskiego)* i *gnieźnieńskiego* (czyli raczéj *kłodawskiego)*, umieszczone są u spodu; text gdzieniegdzie uczenie poprawiony przez Pertza. Wydawcy dodali niektóre przypiski objaśniające; jak dla cudzoziemców mogą być dostateczne. W krajowém wydaniu mielibyśmy prawo wymagać więcéj, i dokładniejszych. Stosunki genealogiczne ruskie np. nie z Długosza, ale z kroniki Nestora i Wołyńskiéj należałoby objaśnić.

Wydanie to stanowi jednak zawsze prawdziwy pomnik, poświęcony początkowemu kronikarstwu naszemu; do poprawności krytycznéj textu przydając wspaniałość formatu, i ozdobę papieru, oraz podobizn z początków rękopisów *Zamojskiego* i *gnieźnieńskiego* (czyli *kłodawskiego)*.

Alexander Przezdziecki.

Crobya, et alias plures in honorem beati Egidij confessoris, ad cujus preces habuit filium. (Ob. *Wstęp krytyczny* str. 54). Wszystkie to były *parafialne* kościoły lub *kollegiaty*. Wprawdzie braciszek *Sandko z Czechelu*, w XV wieku pisał na pierwszéj karcie tegoż *rękopisu: ex dono fratris Santconis monasterio beati Egidii* (nigdy *Galli*) *Clodaviensi*. Ale też było *zakon kanoników laterańskich reguły ś. Augustyna*, których *Jagiełło* około roku 1430 pozwolił osadzić w Kłodawie, przy kościele ś. Idziego na prośbę *Pawła z Brudzewa*, kanonika i professora krakowskiego, a proboszcza kłodawskiego. (Ob. *Starożytną Polskę Balińskiego i Lipińskiego* T. I, str. 282). W *taxach opactw kancellaryi apostolskiéj* z XV wieku (których kilka przepisałem w bibliotece watykańskiéj i neapolitańskiéj, *Brancacciana*) znajduję także: *Egidii Clodaviensis. Ord. S. Aug. floren xl.* (Mss. 910 *Ottobon.* bibl. watyk. str. 186. Mss. *Brancaccian.* Sc. I. C. 12).

Monumenta regum Poloniae Cracoviensia. Petropoli. Editore B. M. Wolffio. 1852. Zeszyt I.

Oto prawdziwy podarek dla publiczności od młodego wydawcy w Petersburgu B. M. Wolffa. *Monumenta*, o których mamy rzec słów kilka, nabytek tak piękny pod względem sztuki, że śmiało stanowić może epokę w dziejach nowych i ważnych publikacyi: jestto zbiór dwudziestu czterech okazałych rycin przedstawiających nagrobki książąt i królów polskich w krakowskich świątyniach: katedralnéj, dominikańskiéj i franciszkańskiéj, rycin wykonanych niegdyś przez Stachowicza, pracowicie i świetnie przeniesionych na blachę przez Dietricha, a świeżo odbitych na olbrzymich arkuszach przez Lemercier'a w Paryżu. Rozpowszechniając to ukryte dotąd ważne dzieło krajowéj sztuki, ratują się od zapomnienia i te piękne stare obrysy sklepień, pomników i grobów królewskich w Krakowie, i zabytek pędzla Stachowicza i rylca Dietricha. Oto potrójna zasługa księgarza-nakładcy, przed obliczem lubowników sztuk pięknych.

Nie będziemy szczegółowie wymieniać co każda rycina w sobie zawiera, lubo mieliśmy zręczność widzieć je wszystkie przed rokiem, kiedy szły jeszcze do Paryża, kędy w zakładzie Lemercier'a miały otrzymać tę uroczą powierzchowność, w jakiéj dziś występują; nie przytaczamy treści rycin, bo prospekt dołączony do dzieła wybornie i dokładnie oznajamia z każdym szczegółem każdéj planszy. Rzućmy tylko okiem na piérwszy zeszyt złożony ze czterech rycin (dwa wnętrza i dwa sarkofagi) i przypatrzmy się tym prawdziwym arcydziełom pędzla i rylca.

Marzycielu przeszłości! co lubisz zapuszczać się myślą w stare wieki, i odtwarzać w wyobraźni wielkie historyczne oblicza; oto *wnętrze świątyni krakowskiéj* oddane z całą ułudą perspektywy, czarodziejsko oświecone wiązką promieni słońca, co się przez gotyckie okno wkrada do kościoła: podziwiaj to wnętrze zblizka, zadumaj się z oddali: oto z za tych filarów lada chwila wyjdzie w całéj świeżości postać którego z Bolesławów, Zygmuntów, oto processya uroczysta przesuwa się przez kościół. Cóż ci przeszkadza w téj oddalonéj figurze kapłana niosącego Chléb Żywota, poznać Bodzantę, albo Zbigniewa Oleśnickiego, albo Samuela Maciejowskiego, czy któregobądź z ulubionych przez cię postaci biskupów krakowskich? Któż ci przeszkadza w tych uroczystych parach kanoników krakowskich idących od piérwszego planu ku wielkiemu ołtarzowi szukać naszego historyka Długosza, albo drugiéj epoki dziejopisa Szymona Starowolskiego, albo tylu innych sławnych mężów, którzy tutaj stalla kanoniczne zajmowali? Kto ci powiedział, że wnet nie zagrzmi tutaj głos Skarbimierczyka lub Skargi? albo muzyka Mikołaja Gomołki? Zaiste, łatwo się zapomnieć, i jest się nad czém zadumać patrząc na ten obraz. Albo jak słodko dać się przenieść złudzeniu we wnętrze téj bogatéj i napodziw pięknéj *kaplicy Jagiellońskiéj*, która jest przedmiotem niemniéj świetnéj drugiéj ryciny. Wnętrze kaplicy znane już z innych dzieł o Krakowie, ale tam na skalę drobną, a więc nie oddają w całéj majesta-

tyczności w ogóle, całego wdzięku w szczegółach. Dla wyrażenia całego effektu téj cudnéj budowy, potrzeba rozmiarów wielkich, bystrego oka a biegłéj i sumiennéj ręki artysty, i właśnie te zalety połącza miedzioryt, który mamy przed oczami. Trzecia z kolei rycina przedstawia z pięciu rozmaitych stron sarkofag Konstancyi Austryjaczki żony Zygmunta III; czwarta zaś przenosi widza we wnętrze *sklepienia*, gdzie stoi trumna *bohatera Wiednia*, i osobno ze cztérech stron téż trumnę przedstawia. Tutaj nie wiemy czy więcéj podziwiać sztukę staroświecką w robocie samych trumien, czy sztukę nową w przeniesieniu na papiér najdrobniejszych szczegółów, zdobiących śmiertelne ostateczne mieszkanie ludzi nieśmiertelnych.

Czyż trzeba mówić, jak gorąco pragniemy wyjścia dalszego ciągu *Monumentów*? czyż trzeba wróżyć, że publiczność nasza wdzięczną będzie nakładcy za przysługę?—to rzeczy zbyteczne. Zostaje mu tylko złożyć dzięki, iż umiarkowaną ceną udostępnił ludziom niedostatnim nabycie téj pięknéj pamiątki. Oto zbiór przepysznych ogromnego formatu rycin, zbiór ze 24 arcy-sztuk złożony, kosztuje tylko rs. 12. Pół rubla przepyszna rycina mająca około półtora łokcia wysokości i łokieć podstawy, odbita na świetnym welinie, w jednéj z najpiérwszych paryzkich litografij, rycina arcydzieło wykonania! Czy zdarzy się drugi raz w życiu lubownikowi sztuki zręczność uczynić nabycie tak ważne i zarazem tak tanie?—wątpimy.

D. 10 kwietnia, 1852 r.

Władysław Syrokomla.

ROZMAITOŚCI.

O Towarzystwie historyczno-archeologicznem prowincyj rossyjskich nadbałtyckich (Gesellschaft für Geschichte und Alterthum'skunde der russischen Ostsee provinzen), *i wydawanych przez nie Wiadomościach.*

Pod tém nazwaniem zawiązało się w 1833 roku w Rydze towarzystwo uczone, którego cel i zatrudnienie sam tytuł dostatecznie wskazuje. Piérwsze hasło do tak pożytecznego przedsięwzięcia dał p. *Taubenheim*, dziś pastor luterski w Petersburgu; za jego sprawą utworzył się komitet z kilku miłośników dziejów ojczystych złożony, (do którego należał znany w uczonym świecie dyrektor szkół *Dr. Napierski*) (1), dla ułożenia ustawy towarzystwa, i ta za pośrodnictwem p. ministra oświecenia cesarstwa, 1 września 1834 r. otrzymała łaskawie Najwyższe zatwierdzenie.

Prezesem towarzystwa obrany był już pierwéj landrat baron *von Campenhausen*, a sekretarzem sam założyciel pastor *Taubenheim*. Przystąpiono potém do wyborów członków dyrekcyi i urzędników towarzystwa: kassyera, bibliotekarza, i dyrektora muzeum.

Wedle Najwyżéj zatwierdzonéj ustawy, celem towarzystwa jest *utrzymanie i rozpowszechnienie tego wszystkiego, co się do historyi i nauki starożytności prowincyj rossyjskich nadbałtyckich ściąga.*

Członkiem może zostać każdy mąż wykształcony, zwłaszcza z miłośników nauki, będącéj głównem zatrudnieniem towarzystwa. Każdy członek ma prawo przedstawić kandydatów na członków, którzy obierani są większością głosów przez balotowanie na następném ogólném doroczném posiedzeniu. Towarzystwo ma także prawo wybierania członków honorowych, na przedstawienie dyrekcyi. Późniéj, w roku 1837, na przedstawienie Dra Napierskiego, postanowiono przybierać sobie

(1) Jego *Index Corporis historico-diplomatici, Livoniae, Esthoniae, Curoniae.* 2 tomy in folio, *Riga* und *Dorpat* 1833—1835, jest nieodbicie potrzebném źródłowém dziełem dla naszéj historyi.

członków korrespondentów poza obrębem prowincyj, zpomiędzy uczonych pracujących w tymże samym zawodzie naukowym.

Towarzystwo postanowiło założyć:

a. Zbiory rozmaitych pomników, historyi i starożytności.

b. Wydawać dzieła naukowe.

Zbiory składają się z *biblioteki* i z *muzeum*. Piérwsza ma być zbiorem o ile być może zupełnym wszelkich druków i rękopisów ściągających się w najrozleglejszém znaczeniu do historyi, starożytności i literatury prowincyj nadbałtyckich, do ich mieszkańców w ogólności, a szczególnie do osób znakomitszych.

Muzeum dzieli się na części: *numizmatyczną*, *dyplomatyczną*, *epigraficzną*, (t. j. zawierającą *napisy* starożytne), *heraldyczną*, *graficzną* czyli *plastyczną* (obejmującą mappy, plany, szkice, rysunki, portrety i t. d.), *archeologiczną* i *genealogiczną*.

Biblioteka i muzeum przeznaczone są na użytek nietylko samych członków, ale i obcych pod pewnemi warunkami.

Towarzystwo zbiera się co miesiąc na posiedzenia, na których członkowie mają prawo wprowadzać gości; na nich też odczytane bywają nadesłane rozprawy, przy właściwych dyskussyach o przedmiotach wchodzących w obręb celów towarzystwa. Sekretarz odczytuje raport o czynnościach zeszłego miesiąca.

Publiczne doroczne posiedzenie miało miejsce z początku 25 czerwca, jako w dzień urodzin N. Pana; ale od r. 1844 przeniesione zostało na dzień 6 (18) grudnia, jako dzień imienin J. C. K. Mości.

W wigilią dnia tego odbywa się posiedzenie przygotowawcze dla wyborów dyrekcyi i urzędników (prawo przywiązane później i do posiedzeń miesięcznych); dla ściągania opłat od członków, złożenia rachunkowego sprawozdania z upłynionego roku, i narad nad stanem administracyjnym towarzystwa. Posiedzenie publiczne zagaja prezes mową, po któréj sekretarz odczytuje historyą towarzystwa w ciągu upłynionego roku, i nekrologi zmarłych członków. Potém odczytane bywają nadesłane rozprawy, a nakoniec nazwiska nowych członków.

Sessye administracyjne odbywają się w miarę potrzeby. Towarzystwo składało się początkowo z 5 członków honorowych, 76 założycieli i 38 członków zwyczajnych (1).

Dla obznajomienia liczniejszéj publiczności z pracami towarzystwa, umieszczane bywały sprawozdania o jego czynnościach w kilku pismach peryodycznych krajowych. Z 1837 rokiem towarzystwo rozpoczęło drukować własne peryodyczne pismo, pod tytułem: *Mittheilungen aus dem Gebiete der vaterländischen Geschichte*. (Wiadomości z obrębu dziejów ojczystych).

Trzy zeszyty wychodzą w nieoznaczonych terminach, i tom jeden stanowią. Sześć tomów od r. 1837 do 1851 przysłane mi uprzejmie

(1) Piérwszemi członkami honorowemi towarzystwa byli: p. minister oświecenia, prezes akademii nauk Rz. R. T. *Uwarow*, baron *Magnus von der Pahlen* wojenny gubernator rygski, i professor *Voigt* dyrektor tajnego archiwum królewieckiego, obrani 5 grudnia 1834 roku.

przez dra *Napierskiego*, jednego z najczynniejszych członków towarzystwa, dały powód do niniejszéj wzmianki *O Towarzystwie historycznem prowincyj nadbałtyckich*, mającém wiele spólnych z nami przedmiotów do badania, i o wydawanych przezeń *Wiadomościach*, w których niejeden artykuł nas obchodzący znaléźć można.

Zaraz w 1szym zeszycie 1go tomu (r. 1837, str. 60) umieszczona jest rozprawa dra *Napierskiego*: *O źródłach i dziełach posiłkowych dziejów inflanckich*, w któréj sprawiedliwe pochwały oddane są uczonemu i pracowitemu *Dogielowi* za tom V Dyplomataryusza, poświęcony aktom inflanckim.

W 3cim zeszycie I tomu (r. 1840, str. 450), członek korrespondent towarzystwa, R. St. *von Busse*, podał zajmującą *wiadomość o kopiach z dokumentów archiwum W. książęco-meklemburskiego w Szwerynie*, tyczących się dziejów inflanckich, a zdjętych tamże dla biblioteki *muzeum Rumiańcowa* w Petersburgu. Jeden z tych *tomów* in folio, zawiera pod nr. 9tym: Pismo *Władysława* księcia krakowskiego, datowane z *Krakowa* 27 czerwca 1315 r. z zaręczeniem, iż dotrzyma święcie zawartego przymierza z królami: duńskim *(Dacia)*, norwegskim i szwedzkim, oraz z książętami Rugii, Wendów i Meklemburga, przeciw margrabiom brandeburskim, zaręczając przytém, że i krewni jego książęta ruscy do przymierza tego przystąpią.

Jestto kopia legalizowana z drukowanego, *Westphalen*: *Monumenta Inedita Rerum Germanicarum praecipue Cimbricarum et Megalopolensium.* T. IV p. 957.

Dalszy ciąg tego artykułu w 1szym zeszycie T. II (r. 1840 str. 103), zawiera spis różnych aktów Zygmunta Augusta, między innemi *list korsarski (Kaperbrief)* dany przez tego króla 8 stycznia 1564 r. w Warszawie, kapitanowi okrętowemu *Gertt v. Oldenburck*; materyał do niemal bajecznéj dotąd historyi marynarki polskiéj.

W zeszycie I tomu II (r. 1840, str. 88): *Rzut oka na rękopisa tyczące się historyi inflanckiéj, przechowane w Petersburgu*; przez dra Napierskiego. Ważnym jest opis rękopisu pochodzącego z biblioteki Sapieżyńskiéj w Dereczynie, a zawierającego w oryginałach wiele bulli papiezkich od r. 1227, do rzeczy inflanckich, oraz przymierza królów polskich z mistrzami inflanckiemi: piérwszy Jagiełły i Witolda, z Pawłem Rusdorfem. Ciekawy ten rękopis znajduje się w Cesarskiéj publicznéj bibliotece.

W zeszycie 2gim tomu II (r. 1842, str. 385): biografia *Remberta Geilsheima* przez pana K. H. *von Busse*, z dodatkiem dokumentów oryginalnych, po większéj części z archiwum meklemburskiego (1). *Rembert Geilsheim* był jednym z posłów inflanckich wysłanych do Wilna pod koniec r. 1561, z paktami *Subjectionis* Zygmuntowi Augustowi. Mianowany sędzią ziemskim wendeńskim, znajdował się w ciągłych stosunkach z administratorem inflanckim, *Janem Chodkiewiczem*, i został po-

(1) Dopełnienie do téj biografii w zeszycie 2gim tomu IV, r. 1848, str. 340.

słem na sejm unii litewskiéj w *Lublinie* w 1569 r. Później posłował w 1575 r. w Wilnie, do panów rad litewskich. W czasie wojny inflanckiéj, przeszedł był *Rembert Geilsheim* do stronnictwa księcia *Magnusa* duńskiego, obranego królem inflanckim. W r. 1577 usprawiedliwa się z tego przed Stefanem Batorym; w piśmie pod tytułem: *Ad Ser. Poten. atque Illustr. Principem ac Dominum D. Stephanum D. G. Regem Poloniae etc. Apologia Reliquiarum Livoniae querulantiam, calamitates clades que a (hoste) ob neglectam ac iniquissimo odio male perfideque desertam ac seu proditam patriam acceptas Anno* 1577. Z kopii spółczesnéj przechowanéj w archiwum meklemburskiém w Szwerynie, znajduje się kopia legalizowana z 293 stronnic *in folio*, w *bibliotece muzeum Rumiańcowa* w Petersburgu. Pan *Busse* dodaje, iż nie wié czy znajdują się jeszcze gdzieindziéj odpisy tego pisma, np. w Warszawie?

W téj apologii nie szczędzi autor ostrych wymówek administratorowi inflanckiemu Chodkiewiczowi, i stan ówczesny kraju w żywych kolorach wystawia. Zdaje się, że odpowiedzią Stefana Batorego na tę apologią jest: *Responsum S. R. Majestatis* etc. drukowane w *Dogielu* T. V, str. 299.

W zeszycie 1szym T. III (r. 1843, str. 68): Inwentarz dokumentów tyczących się Inflant, wyjęty z inwentarza archiwum zamku krakowskiego z roku 1613; staraniem podpułkownika przy głównym sztabie w Warszawie hr. *von der Osten-Sacken.*

W zeszycie 1szym tomu III (r. 1843 str. 117): *Dwa dokumenta z r.* 1586 *do historyi książęcia Magnusa, króla inflanckiego*, t. j. list cara Teodora Iwanowicza do kardynała Radziwiłła, z podziękowaniem za uczciwe odesłanie z Rygi, *królowéj Maryi*, z domu księżniczki ruskiéj, a wdowy po *Magnusie*; oraz odpowiedź kardynała Radziwiłła na list cara. Oba pisma z archiwum państwa w Moskwie drukowane są w *Rocznikach moskiewskiego towarzystwa historycznego.* (R. 1837. T. VIII, str. 392—396).

W zeszycie 2gim T. III (r. 1844, str. 231): *Lew Sapieha* kanclerz i hetman w. litewski i wpływ jego na sprawy inflanckie, *przez pana K. H. von Busse*; obraz historyczny skreślony według *Kognowickiego* i dokumentów przez niego przytoczonych, oraz *Gejera historyi szwedzkiéj.*

W zeszycie 2gim tomu III (r. 1844, str. 309) znajduje się nader ciekawy list członka honorowego towarzystwa, dyrektora głównego archiwum moskiewskiego księcia Michała Oboleńskiego z d. 15 czerwca 1844, o aktach tyczących się Inflant, z archiwum niegdyś krakowskiego.

„W przypuszczeniu, że towarzystwo zechce mieć kopie z tych aktów, pospieszam donieść (pisze książę Oboleński), jak te akta z miejsca na miejsce wędrowały. Aż do roku 1765 zostawały one pod najściślejszym dozorem w zamku krakowskim; wtedy przeniesiono je do Warszawy. Po wzięciu Warszawy przez *Suworowa* w r. 1795, radca kancelaryjny *Paweł Diwow* miał sobie polecone, archiwum państwa rzeczypospolitéj polskiéj i bibliotekę Załuskich odebrać i do Petersburga odesłać. Tam złożone zostały przy gabinecie cesarskim. W r. 1796 dyrektor gabinetu Rz. T. Radca *Bazyli Popow* odebrał Najwyższe polecenie przejrzéć całe archiwum, i z książek biblioteki Załuskich utwo-

rzyć Cesarską bibliotekę publiczną. Utworzona na ten cel kommissya w r. 1798, za zezwoleniem Najwyższém, oddała akta tyczące się administracyi wewnętrznéj kraju, pod rozporządzenie Rządzącego Senatu; tam dostały się i dokumenta oryginalne tyczące się Inflant oraz Estonii i Kurlandyi. Papiery zaś dyplomatyczne i korrespondencye z dworami zagranicznemi, oddane zostały przez radcę kancelaryjnego *Sysojewa*, do kollegium spraw zagranicznych państwa. W r. 1805, za rozkazem Najwyższym utworzono w Cesarskiéj bibliotece publicznéj osobny oddział na rękopisma, do którego w r. 1808 i dokumenta inflanckie, z pod zawiadywania Rządzącego Senatu przeszły i dotychczas tam się znajdują. Raport pana *Olenina, o zarządzie Cesarskiéj biblioteki publicznéj*. od r. 1808—1812, drukowany w Petersburgu w r. 1813, wspomina o 890 dokumentach i bullach tyczących się Małorossyi, Litwy, Polski, Inflant i Kurlandyi."

Przy tym liście księcia Oboleńskiego załączony był *Wyciąg z inwentarza*, wedle którego w r. 1798 akta z archiwum królestwa polskiego, oddane zostały Rządzącemu Senatowi. Oryginał sam z 83 stronnic złożony, przechowuje się w archiwum Senatu w Petersburgu.—W tymże zeszycie, (str. 328) znajdują się znowu ciekawe akta do historyi inflanckiéj z lat 1582 i 1583, z rękopisu Cesarskiéj biblioteki w Petersburgu, pod tytułem: *Acta legationum aliorumque negociorum externorum anno Domini* 1582 *i* 1583, *Ill. et Mag. Joanne de Zamoście etc Cancellariatum regni gerente, in cancellaria regni tractatorum expeditorumque* (1).

Sąto listy księcia *Magnusa, króla Stefana* i namiestnika królewskiego w Inflantach, *Jerzego Radziwiłła* biskupa wileńskiego, pełne ciekawych, autentycznych szczegółów o sprawach inflanckich.

W *zeszycie* 1szym tomu IVgo (r. 1847, str. 57): *Losy inflanckich wychodźców z r.* 1601, *według spółczesnego opowiadania Konrada Bussau rewizora szwedzkiego w Inflantach, spisanego w Rydze* 1612 *roku.*

Skutkiem zwycięztwa *księcia Krzysztofa Radziwiłła* pod *Kokenhusen* w r. 1601, udali się stronnicy szwedzcy do państw cara Borysa Godunowa; szczegóły ich pobytu w tym kraju opisuje jeden z nich *Konrad Bussau.* Z rękopisu nowoodkrytego w Cesarskiéj Akademii Nauk, wydrukowane tu są niektóre wyjątki. Kommissya archeograficzna wydała je dopiéro w 1851 roku całkowicie w piérwszym tomie zbioru pod tytułem: *Rerum Rossicarum Scriptores Exteri;* gdzie pomiędzy rokiem 1601 a 1610tym wiele szczegółów ciekawych o Dymitrze i Polakach z nim trzymających znaléźć można.

W tymże zeszycie (str. 177): *Dwa listy administratora inflanckiego Jana Chodkiewicza, z r.* 1573 *do panów rad koronnych, o sprawach wojennych w Inflantach;* z oryginałów polskich, tłumaczone ze spółczesnego rękopisu Cesarskiéj biblioteki publicznéj w Petersburgu,

(1) Rękopis ten znajdował się w bibliotece klasztornéj w *Oliwie* pod Gdańskiem; ztamtąd (jak na tytule wyrażono) r. 1692 na polecenie króla Jana III Sobieskiego, zabrany i d› Warszawy sprowadzony. Znajdował się potém w bibliotece Załuskich. Ob. *Janockiego Specimen* i t. d. str. 40.

pod tytułem: *Acta Interregni post Sigismundi Augusti Regis Poloniae M. D. L. mortem, ad Henrici usque coronationem.*

W zeszycie 2 i 3cim tomu Vgo (r. 1850, str. 393): *Akta inflanckie niedrukowane dotąd z oryginałów Cesarskiéj biblioteki publicznéj w Petersburgu.* Pod nr. 4 Robina de Eltz mistrza inflanckiego list z 9 lipca 1387 roku *in campo Curtzen*, na zjeździe ze *Skirgiełłem* w. ks. litewskim *(cum domino Skirgailone supremo duce Lettovie)*; zapowiadający zawieszenie broni na rok, od przyszłego święta Bożego Narodzenia, z pozwoleniem na tenże sam czas wolnego handlu w Rydze kupcom pskowskim *(de Plescovia)* i wileńskim.

Nakoniec w 1szym i 2gim zeszycie ostatniego tomu VIgo (r. 1851, str. 1): *Ustalenie wyznania ewangelicko-luterskiego w Kurlandyi przez księcia Gotarda*, gdzie stosunki z Polską niejednokrotnie są dotknięte. I w tymże zeszycie (str. 311): *Przywiléj Zygmunta IIIgo z 1 grudnia 1601 z obozu ad Papendorff*, nadający wojewodzie wendeńskiemu Jerzemu *Farensbachowi*, na dziedzictwo dobra zabrane szlachcie inflanckiéj, która chwyciła się była stronnictwa szwedzkiego.

Zbytecznem byłoby po tém wyliczeniu rozszerzać się nad ważnością tego zbioru, i czynności Towarzystwa historyczno-archeologicznego prowincyj nadbałtyckich: każdy je łatwo uzna i oceni. O dwóch ważnych dziełach historycznych pod przewodnictwem Towarzystwa wydanych, *Scriptores Rerum Livonicarum* tomów 2, (przedruk rzadkich pomników dziejowych) i *Monumenta Livoniae antiquae* tomów 5, (po raz piérwszy z rękopisu wydane źródła), osobną wzmiankę uczynić wypadnie. W grudniu b. r. na pamiątkę jubileuszu założenia uniwersytetu dorpackiego, mają wydrukować przysłany im przezemnie, niewydany dotąd ważny dla historyi Inflant rękopis sławnego *Possewina*, pod tytułem: *Commentarius Livoniae*, który z biblioteki watykańskiéj przepisać dałem.

Alexander Przezdziecki.

Oddane przysługi i przyszłość telegrafów galwanicznych.

W drugiém wydaniu dzieła: „Traktat o telegrafii elektrycznéj", autor opat Moigno dołączył liczny zbiór ważniejszych przysług oddanych przez telegrafy galwaniczne. Przytoczymy wyciągi z niektórych ustępów tego dzieła, zalecających się ciekawością i dających sposobność ocenienia szybkości, z jaką mnożą się liczne zastosowania tego bogatego w przyszłość wynalazku.

Telegraf elektryczny jest pomysłem samodzielnym przez nic zastąpić się niedającym; wykonywa to, na co poczta zdobyć się nie może: wyprzedza posłane gołębie, bieży szybcéj jak wiatr, naigrawa się z czasu, zaciera granice przestrzeni. Tym sposobem zapełniając ogromną próżnię, staje się dobrodziejstwem prawdziwie opatrznem dla całéj ludzkości i tak obszernego zakresu, iż zapewne lat kilka jeszcze upłynie, nim wszechstronnie ocenioną zostanie jego ważność.

Ajent pocztowy nie wié ani o bolesnych, ani o radosnych nowinach, jakie przesyła lub roznosi; urzędnik stojący przy telegrafie galwanicznym zna wszelkie szczegóły uwiadomień. Zważywszy liczny szereg przedmiotów depeszy przesyłanych (w Anglii), dopiéro poznać można całe zaufanie, jakie publiczność pokłada w osobach użytych przy telegrafach elektrycznych. Jak podczas choroby do lekarza, tak w chwilach ważnych i nagłych publiczność ucieka się do biur telegraficznych. Czasem, mówi Walker, korrespondencye telegraficzne mają komiczną stronę, po większéj jednak części są nader przykre. I tak, ciągnie daléj wspomniany autor, polecono nam zamówić rybę i trumnę, obiad i lekarza, mamkę za miesiąc i ubranie do wyścigów, machinę przemysłową i łańcuch, duchownego i perukę adwokacką, sztandar królewski i koszyk wina i t. p. A ileżto przedmiotów zgubionych na kolejach żelaznych wynajdowaliśmy za pomocą telegrafów elektrycznych.

Aby lepiéj dać poznać liczne i pocieszające przysługi, jakie społeczność dziś już z telegrafów ciągnie, przywiedziemy tu kilka wypadków, nie zważając na porządek.

1) Gdy parochód Brytania przybył do Bostonu w styczniu 1847 r. z wiadomością o głodzie panującym w Anglii, Irlandyi i innych krajach Europy, i z licznemi obstalunkami zakupów zbożowych; dzierżawcy wnętrza prowincyi New-York uwiadomieni o tém za pomocą telegrafu elektrycznego, natychmiast wyruszyli ze zbożem, tak, że zaledwie statek przybył do portu w Bostonie, już wszystkie drogi Albany pokryte były niezliczonemi wozami, prowadzącemi obstalowane zboże. Dzięki więc telegrafom zboże w porcie złożone zostało w czasie krótszym od tego, jakiegoby potrzebowało przesłanie wiadomości o przybyciu paropływu do różnych stanów Unii.

2) Mowa tronowa królowéj angielskiéj przy otwarciu parlamentu, w 18 minutach przesłaną została o 120 mil ang. z Londynu do Norwick.

3) Na paropływach rozkazy z pomostu okrętowego do izby machin, udzielane bywają za pomocą rury głosowéj. Podobne ciągłe wyjące głosy i wykrzykniki, dla osób na statku będących są wielce nieprzyjemne; wpadnięto na szczęśliwy pomysł zastąpienia téj barbarzyńskiéj kommunikacyi przez telegraf elektryczny, co po raz piérwszy uskuteczniono na królewskim yachcie Albert i Wiktorya. Przyrząd składa się z dwóch dzwonków i dwóch tarczy noszących tylko te napisy: naprzód, w tył, z całą prędkością, z połową prędkości, powoli, stań. Przed wydaniem rozkazu, służbowy oficer daje znak maszyniście za pomocą dzwonka, i nawzajem oficer odbiera podobny znak jako dowód, że maszynista zwrócił baczność na telegraf; wówczas dający znak nastawia skazówkę na znak rozkazu, a druga tarcza telegrafu przy maszyniście będąca wskazuje natychmiast tenże sam znak. Nie ulega wątpliwości, że ten sposób wkrótce znajdzie powszechne zastosowanie.

4) Pewien dziennik amerykański przywodzi taki fakt: wczoraj przed południem mężczyzna wszedł do stacyi telegrafu w Buffalo i oznajmił chęć poradzenia się doktora mieszkającego w Lockport. Uwiadomiony o tém doktor stawił się przy telegrafie w Lockport. Mężczyzna z Buffallo opisał wszelkie symptomata choroby żony, a lekarz w zamian

wskazał lekarstwo do użycia. Poczém umówiono się, że jeżeli cierpienia nie ustąpią, druga porada będzie miała miejsce nazajutrz przy końcach drutu telegraficznego.

5) Gdy od dni 6 deszcz nie przestawał padać w Manchester, a rano dnia 6 nawet ulewa stała się silniejszą, kupcy miejscowi strwożeni, chcieli zbadać czy podobna pogoda ma miejsce i w innych przyległych okręgach rolniczych. Zbiegli się do biura telegraficznego, wysłali do różnych okolic stosowne zapytania i natychmiast otrzymali odpowiedź, że w Normanton czas piękny, Derby brzydka pogoda, York piękna pogoda, Leeds pięknie, w Nottingham nie ma deszczu, lecz czas zimny i ponury i t. d. Według tych doniesień przekonano się, że tak na wschód jako i na północ od Manchester w głównych okręgach rolniczych pogoda była piękna.

6) Prof. Espy znany ze swych poszukiwań nad teoryą uraganów, proponuje dla otrzymania ważniejszych wypadków brać w pomoc do podobnych badań telegrafy elektryczne. Według jego poprzednich śledzeń, uwiadomienia tą drogą przesyłane, na czas przybywałyby dla przedsięwzięcia ochronnych środków.

7) John Bull, który jak powszechnie wiemy nie cofa się przed żadnym nawet dość śmiesznym pomysłem, proponuje powiązać drutami kazalnice głównych kościołów Anglii, tak, iżby kazanie miane w Londynie przez sławnego kaznodzieję, mogło być natychmiast w całéj Anglii powtórzone.

8) Zamierzają w Londynie wszystkie koszary straży ogniowéj połączyć za pomocą telegrafów. Pożary przy téj pomocy łatwiéj możnaby opanowywać i przytłumiać w samych początkach.

9) Podczas zamieszek w Philadelfii w r. 1843, depesze zapieczętowane wysłano z tego miasta kuryerem do prezydenta Stanów Zjednoczonych. Za przybyciem kuryera do Baltimore, wyszła na jaw treść depeszy i jednocześnie gdy przygotowywano pociąg oddzielny dla odjazdu kuryera, telegraf elektryczny doniósł do Washingtonu treść nadsyłanéj wiadomości, uprzedził i kompanią drogi żelaznéj, aby wstrzymała odjazd wszystkich pociągów z Washingtonu dla oczyszczenia drogi i przyspieszenia w ten sposób przejazdu kuryera. Wszystko było zrozumiane i wykonane. Droga była zupełnie wolna, a prezydent z ministrami zebranemi na radzie, uwiadomiony już był o treści wiezionych depeszy, tak, iż za przybyciem kuryera gotową już była stosowna odpowiedź.

10) W styczniu 1844 r. popełniono zabójstwo w Salt-Hill i morderca udał się natychmiast do Slough, wziął miejsce do Londynu w pociągu, który miał odejść wieczorem. Policya uwiadomiona o zbrodni, ścigając winnego przybyła do Slough właśnie w chwili, gdy pociąg już dochodził do Londynu. Lecz telegraf działał. Natychmiast przesłano do Paddington następną depeszę: „Zabójstwo popełniono w Salt-Hill; podejrzanego widziano w Slough jak brał bilet do powozu piérwszéj klassy i t. d.“ W trzy minuty następną odebrano odpowiedź: „Pociąg tylko co przybył, osoba odpowiadająca wszystkim okolicznościom przesłanéj depeszy przez telegraf, wyszła ze wskazanego miejsca. Została przytrzymaną.“

11) Telegraf elektryczny wiele jest winien kolejom żelaznym; bez ich pomocy, ten wynalazek zapewne długoby jeszcze pozostał w stanie początkującego pomysłu. Kolejeto wskazały telegrafom utorowane drogi, na których dopiéro objawiła się cała ważność tego świetnego wynalazku. Lecz nawzajem, dziécię sowicie wywdzięczyło się swemu przybranemu ojcu. Spokojne słupki, milczące przewodniki, cynk, kwas siarczany, miedź, kość słoniowa, glina wypalona i gutta-percha, przyczyniają się dziś w znacznéj części do oszczędności na kolejach żelaznych. Aby się o tém przekonać, dość przejrzéć wykaz uwiadomień, dotyczących pociągów na drodze żelaznéj, przesyłanych telegrafem stojącym obok kolei żelaznéj. O wszystkiém, co tylko ma związek z biegiem pociągu, od chwili jego wyjścia, aż do przybycia na miejsce, sygnałuje telegraf i to w tak wyraźny dla umysłu sposób, jak gdybyśmy pociąg własnemi widzieli oczyma. Skoro pociągi się opóźniają, przyczyna tego natychmiast jest znaną; gdy je spotka nieszczęście, w téj prawie chwili biegną na pomoc; gdy potrzeba prędszéj jazdy, a jedna machina nie wystarcza, zaraz przygotowują pomocniczy parowóz; gdy się coś nadzwyczajnego przytrafi na linii, pociągi natychmiast zostają o tém uprzedzone, a więc zabezpieczone od wszelkiego niebezpieczeństwa i t. p. Na to wszystko wystarcza kilka zboczeń igły magnesowéj.

Pociągi oddzielne (extra-cugi), mogą rzeczywiście krążyć tylko po kolejach zaopatrzonych w telegrafy elektryczne. Rozumie się, że tu mowa o bardzo uczęszczanych drogach żelaznych, i że pod tą nazwą, pojmujemy pociągi wymagające zupełnie wolnéj drogi na całéj przebieganéj linii.

I w ogóle dana ilość pary na kolei połączonéj z telegrafem elektrycznym, wykonywaną bywa daleko mniejszym kosztem. W tym bowiem razie, mniéj wychodzi pary na bezużyteczne przebywanie linij. Bardzo jest wielka oszczędność, jaką z tego wynalazku otrzymuje zarząd drogi żelaznéj. Codziennie, a niekiedy kilka razy dziennie, stacye bardzo uczęszczanych kolei, żądają to powozów, to innych potrzeb, w jakie mogą je natychmiast zaopatrzyć przyległe stacye, uwiadomione telegrafem, t. j. za pomocą środka tańszego od wszelkich innych. Zresztą co ranek stacye telegrafem mogą do zarządu zdawać raporta o wszystkiém, co się w nich znajduje; ztąd rodzi się większe zaufanie publiczności, bo i administracya może natychmiast wydawać rozkazy stosowne, i wzajemnie, może każdéj chwili być zapytywaną o radę lub szczegół, dotyczący porządku służby. Najważniejszą jednak oszczędnością dla administracyi jest zmniejszenie liczby konduktorów.

Przywiedzione korzyści, poprzemy następnemi przykładami:

Pewien zakład dobroczynny w Londynie, urządził dla dzieci spacer i wypoczynek w Tumbrigde Wells; dzieci zajęły osobny tak wielki pociąg, że machina jedna nie mogłaby przejechać wzniesienia, znajdującego się przy Tumbrigde. Pomocnicza machina, zajętą była z przeciwległéj strony wzniesienia. W jednéj chwili telegraf przyzwał machinę z Tumbrigde-Wells i ta stanęła na wskazaném miejscu wprzódy, nim cały pociąg dojechał do oznaczonego punktu.

W dzień Nowego Roku 1850, telegraf uchronił od okropnego nieszczęścia, na którego wspomnienie umysł się wzdryga. Skutkiem silnego wstrząśnienia, maszynista wyrzuconym został z parowozu ciągnącego do Londynu pusty pociąg, lecz pociąg ten nie zatrzymał się w biegu. Natychmiast dano o tém znać do Londynu i innych pośrednich stacyj, oczyszczono zupełnie drogę i przygotowano parowóz do ścigania zbiegłego pociągu. Dyrektor wyjechał z machiną na linią, i stosownie manewrując, przepuścił pędzący pociąg, zwrócił się, dopędził go, i w biegu zatrzymał na dwie mile ang. przed Londynem. Machina bez konduktora przebyła dwanaście stacyj bez przypadku. Można rzec śmiało, że gdyby zarząd nie był wcześnie uwiadomionym o tém grożącém licznemi nieszczęściami wypadku, szkody powstałe, wyrównywałyby prawie kosztom budowy całéj linii telegraficznéj.

Na kilka miesięcy przedtém, machina przy podobnych okolicznościach wyszła z New-Cross do Londynu. Kompania Brighton nie mając jeszcze telegrafu, nie była w stanie uprzedzić o jéj zbliżaniu się; szczęściem jednak, miejsce do którego wchodziły pociągi w Londynie, było zupełnie wolne, machina wpadła z nadzwyczajną gwałtownością i wywróciła mur od biura bagażowego.

Telegraf elektryczny ma i tę ważną zaletę, że obudza i podnieca baczność osób użytych przy kolejach żelaznych. Nie mogą oni ani na chwilę zaniechać swych obowiązków, nie będąc natychmiast, że się tak wyrażę, schwytanemi na gorącym uczynku. Ztąd każde opóźnienie, każdy wypadek natychmiast jest donoszonym, przez co dla publiczności oczekującéj, oszczędza się tych długich chwil niespokojności i obawy.

Przytoczone dogodności i przysługi telegrafu elektrycznego przy drogach żelaznych, nie są wcale utopią; wszystko to już dziś w Anglii istnieje lub jest wprowadzoném. Kommissye wyznaczone do ocenienia użyteczności tego wynalazku, po zbadaniu przedmiotu zostały zachwycone wielkiemi skutkami tego genialnego pomysłu, i głośno oświadczyły, że koszta zakładowe telegrafów, tysiąckrotnie są wynagrodzone przez usługi różnego rodzaju, jakie wyświadcza czynny telegraf elektryczny, pod względem bezpieczeństwa, powiększenia ruchu handlowego, oszczędności w służbie i t. p.

Lecz na tém nie koniec: ogromną jest jeszcze przyszłość telegrafii elektrycznéj. Postępy jakie w ostatnich czasach uczynił ten wynalazek i podane projekta, najlepiéj dowodzą bogatéj jego przyszłości.

Niedawno (tojest przed kilką laty) wszyscy prawie zadowoleni byli zwykłemi telegrafami ze wskazówkami, i niewielu było przekonanych o możności nadania przyrządom telegraficznym większéj i stosowniejszéj do użycia doskonałości. Dziś posiadamy już telegrafy składające same i drukujące depesze. Usiłowania Siemens'a, Bretta, a szczególniéj Bain'a, wprowadziły ten wynalazek na nową drogę, po któréj dojść może do prawdziwéj doskonałości. Dotąd przesyłanie 20 znaków na minutę, było średnią prędkością; bo praktykowanemi dotychczas sposobami, niepodobna było zwiększać zbytecznie prędkości, dlatego, że wzrok ludzki odbierający znaki, pod względem szybkości ma swą własną granicę. Dziś drukarnia przy telegrafach elektrycznych usuwa tę granicę. „Łatwo, mó-

wi biegły w tym przedmiocie Breguet (w 1849 r.), pojąć machinę drukującą 100, 200, 500, a nawet 1,000 liter na minutę. Telegraf przesyłający 200 liter czyli średnio 40 wyrazów na minutę, daje ich 2,400 na godzinę; jestto prędkość tak wielka, a nawet i większa od pisania. Telegraf, co prześle 300 liter czyli 60 wyrazów, da 3,600 wyrazów na godzinę, a to już jest prędkość mowy ludzkiéj. Nic więc nie przeszkadza oczekiwać urządzeń, które depeszom telegraficznym nadadzą naprzód chyżość zwykłego pisania, a późniéj szybkość mowy."

Żyjemy w 1852 r., a już telegraf Bain'a urzeczywistnił tę nadzieję, podał środek kommunikowania w jednéj chwili na wszystkie punkta kuli ziemskiéj z szybkością mowy ludzkiéj.

Na zakończenie dodamy niektóre szczegóły, dotyczące świeżo zbudowanego lub zamierzonego olbrzymiego pomysłu telegrafów podmorskich. A naprzód co do telegrafu między Calais i Douvres.

Piérwszy pomysł należy się p. Wheatstone, który już w 1847 r. przygotował drogę do jego urzeczywistnienia, a w r. 1849 wykonał próbę z drutem rozciągniętym na przestrzeni 2 mil ang. po dnie kanału Brytańskiego. Jednak inżynierowi Jakóbowi Brett należy się sława urzeczywistnienia podmorskiego telegrafu. Dzięki stosunkom znakomitych osób, Brett uzyskał od prezydenta rzeczypospolitéj francuzkiéj wyłączny przywiléj na lat 10, do przesyłania korrespondencyj podmorskich między Francyą i Anglią.

W skutek tego zdołał zebrać kompanią angielsko-francuzką do złożenia potrzebnych funduszów na koszta budowy. W statucie kompanii znajduje się warunek, aby przesyłanie depeszy odbywało się za pomocą machiny drukującéj odrazu na papierze literami rzymskiemi, dokładnie czystemi; na taki właśnie przyrząd Brett wyrobił sobie przywiléj tak w Anglii, jako i we Francyi. Kapitał otrzymano z 5,000 akcyj po 25 fr. każda.

Drut gruby na $^1/_{10}$ cala powleczono warstwą z gutta-perchy; część jego (około 300 metrów) niezanurzająca się w morzu, dla zabezpieczenia od tarcia, zamkniętą została w rurze ołowianéj. Zarzucenie drutu odbyło się 28 sierpnia 1850 r. Największą trudność przedstawiało zagłębienie drutu w miejscu leżącém prawie na środku kanału. Jest tam bowiem głęboka podmorska dolina, ciągnąca się w kierunku długości kanału, i zamknięta przez dwie góry zwane przez Francuzów Colbart i Varue. Ogromna głębia środkująca między temi skałami, straszną jest dla marynarzy z przyczyny ruchomych piasków, i w niéj téż najwięcéj są wystawieni na utratę kotwic, sieci i t. p. Jednakże zdołano przezwyciężyć tę przeszkodę, złożono drut w głębokości zabezpieczającéj od kotwic okrętowych, przyrządów rybackich i potworów morskich. W kilka dni drut się zerwał; czego można się było spodziewać, zważywszy mały jego opór względnie do przeszkód, na jakie był wystawionym. Wkrótce założono drugi drut mający siłę zdolną do utrzymania ogromnego ciężaru kotwicy największego okrętu liniowego. Ten drut łączy do dziś dnia oba brzegi kanału La Manche. Jakiżto wielki widok tego morza, jednego z najstraszniejszych podczas wiatrów wiejących w epoce porównań, powol-

nego gieniuszowi ludzkiemu i spokojnie przesyłającego myśli i utrzymującego przyjacielskie stosunki dwóch narodów!

Lecz to był piérwszy krok; podano jeszcze śmielszy projekt połączenia Ameryki z Anglią przez ocean Atlantycki. Oto plan:

Mocny drut ma być rozciągnięty po dnie oceanu od brzegów Terre-Neuve, aż do zachodniego brzegu Irlandyi. Na podstawie stojącéj na silnych kotwicach, w odległości 500 mil angielskich od piérwszego kraju umieścić mają stacyą, przez co całkowita długość sprowadzi się do 1,600 mil angielskich. Pomimo głębokości oceanu, drut zamierzają przeciągnąć po dnie morskiém; gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa, głębokość nigdy nie przejdzie dwóch mil angielskich. Przypuszczają zaś istnienie podmorskich dolin głębokich na 10—12 mil ang., a 50—60 mil szerokich, można więc będzie przesunąć drut ponad temi wąwozami podwodnemi, zawieszając go w odległościach zostających między sobą o 2 mile, albo też bliżéj siebie, lecz tak, aby drut zawsze znajdował się tylko o 200 sążni pod powierzchnią morza. Co 100 mil wypadnie na morzu ustalić mały statek opatrzony flagą i kommunikujący z drutem, dlatego, aby łatwiéj można było podnieść drut w przypadku uszkodzenia, lub w zamiarze częściowego odnowienia. Zdaje się jednak, że drut leżący w takiéj głębokości będzie wolny od wszelkich uszkodzeń.

Według przybliżonych obliczeń, rozciągnięcie drutu zajmie rok czasu i kosztować będzie około 2,600,000 fr. Przypuszczając, że ten pomysł zostanie urzeczywistnionym i zastosowanym do innych mórz, jakoto: morza Śródziemnego, Sundu i t. p. wtedy np. Paryż za pomocą kanału La Manche będzie mógł korrespondować z Anglią, przez ocean z Ameryką, przez morze Śródziemne z Algierem i t. d.; a to daje nam dostateczne pojęcie o przyszłości, jaką ma jeszcze przed sobą telegraf elektryczny.

S. P.

Flora zakaukazka.

(Wyjątek z listu p. Józefa Heliodora Penczyńskiego profes. gimn. w Tyflis i członka Tow. agronom. kaukazkiego tamże).

Tyflis, d. $^{23}/_{11}$ *marca* 1852 *r.*

. . . . . „Tą razą posyłam Panu 50 roślin kaukazkich, zadeterminowanych podług Reichenbacha, Bibersteina i Ledebura.

1. Androsace villosa.
2. Anemone apennina.
3. Astragalus fabaceus.
4. Bifora radians (testiculata *Spr.*).
5. Centaurea dealbata.
6. — solstitialis.
7. Cerastium grandiflorum (argenteum *Biberst.*).
8. Convolvulus linearis.
9. — persicus.
10. Coronilla orientalis (iberica *Bib.*)
11. Crozophora tinctoria.
12. Cyclamen coum.
13. Cynanchum acutum.
14. Dictamnus albus.
15. Ephedra monostachya.

16. Erythraea centaurium flor. alb.
17. Glycyrrhiza glandulifera.
18. Helleborus viridis.
19. Iris caucasica.
20. — Güldenstaedtiana.
21. — iberica.
22. — reticulata.
23. Jurinea mollis.
24. Lathyrus roseus.
25. Linosyris vulgaris.
26. Linum tenuifolium.
27. Lonicera iberica.
28. Merendera caucasica.
29. Momordica elaterium (Ecbalium agreste *Reichb.*).
30. Orobus aurantius.
31. Peganum harmala.
32. Periploca graeca.
33. Phelypaea foliata (Anoplanthus Biberstеinii *Mey.*).
34. Plumbago europaea.
35. Primula acaulis.
36. Pyrethrum sericeum.
37. Rhagadiolus Koelpinia (Koelpinia linearis *Pall.*).
38. Rhamnus Pallasii.
39. Salvia glutinosa.
40. Scilla biflora.
41. Scutellaria orientalis.
42. Serratula quinquefoliata.
43. Sida abutilon (Abutilon Avicennae *Gaert.*).
44. Smilax excelsa.
45. Sophora alopecuroides.
46. Tamus communis.
47. Teucrium orientale.
48. Tragopyrum buxifolium.
49. Viscum oxycedri (Arceuthobium oxycedri *Biberst.*).
50. Xeranthemum annuum.

Jeżeli jaką roślinę znajdziesz Pan mylnie zadeterminowaną, bardzo proszę uwiadomić mnie o tém, gdyż mając szczupły bardzo ziołnik i biblioteczkę, trudno mi ściśle determinować. Dlatego też chciałbym mieć rośliny i innych krajów. Wszystkie rośliny które tylko mam i które uzbieram jeszcze, będę powoli przysyłał Panu, i jeżeli jakakolwiek roślina zainteresuje Go i zechciałbyś Pan mieć więcéj exemplarzy, a nawet nasiona, proszę mnie uwiadomić, a natychmiast postaram się zadość uczynić żądaniom Jego. Cebule i kartofle piękniejszych kaukazkich roślin wszystkie już powysadzałem, ale po odkwitnięciu przyślę Panu tegoroczne, bo są śliczne rośliny dziko tu rosnące! Tak np. *Iris iberica* i *I. reticulata*, *Anoplanthus Biebersteinii*, *Tragopyrum buxifolium*, mogą pójść w zawody, co się tyczy piękności, z roślinami nietylko ogrodowemi (w naszych stronach), ale nawet oranżeryjnemi. Z 50 roślin posłanych teraz, jest kilkanaście właściwych Azyi, kilka Kaukazowi wyłącznie, a reszta dziko rośnie i w południowéj Europie; jednakże posyłam i te ostatnie, bo dla botanika przyjemnie będzie rozpatrzyć i znajome mu rośliny, ale mieszkające w innym klimacie, w innéj zupełnie krainie. Tak np. tysiącznik (*Erythraea centaurium*) rośnie i w Polsce, i w Litwie, i w Rossyi, i na Kaukazie, ale dopiéro tu w Gruzyi piérwszy raz znalazłem tysiącznika albinosa, t. j. tysiącznika mającego wieniec biały zamiast różowego. Wiele bardzo roślin tu za Kaukazem i osobliwie rosnących w dolinach wązkich, zmieniają swe jaskrawe kolory na białe; tak np. ostróżka i fiołek, stopniowo nawet, od błękitnego przechodzi do koloru białego. Zdarza się dosyć często, że błękitne i białe kwiaty bywają na jednym exemplarzu. Wiele roślin kwitnie dwa razy na rok. Tak Merendera kaukazka kwitnie zawsze dwa razy na rok; akacya, tarń, głóg, i inne, tylko w suche i gorące lato kwitną na wiosnę i w jesieni. Merendera kaukazka jest właściwie zi-

mowit kaukazki, ale ją Biberstein, w swojéj *Flora tauro-caucasica*, nazwał Merendorą, dlatego że ma główki pyłkowe kręcące się (*versatiles*), a zimowit stałe, niekręcące się. Co się tyczy kwitnienia dwa razy na rok roślin za Kaukazem, jeszcze z pewnością nic nie mogę powiedzieć, bo dopiéro czwarte lato zajmuję się zbieraniem podobnych spostrzeżeń.

Zachęcasz mnie Pan do pisania w przedmiocie historyi naturalnéj dla Biblioteki Warszawskiéj. Będę się starał coś zajmującego napisać, chociaż jestem teraz zajęty: włożono bowiem na mnie uciążliwy obowiązek napisania elementarnych dziełek o chemii i mineralogii dla gimnazyów kaukazkiego naukowego okręgu."

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

HISTORYA NATURALNA.

Zoologia.

Sir John Graham Dalell (*Edinb. new philos. Journal, July - Oct. 1851.*) badając linienie czerwiów, do następujących postrzeżeń doszedł: 1^sze^ Czerwie odziéwa tęga, niezdolna do rozciągania się skorupka. 2re Ponieważ wewnątrz niéj zwierzę nie może rosnąć, musi ją przeto co pewny czas zrzucać, a otrzymywać natomiast przestronniejszą nową. 3^cie^ Czerwie zaczynają liniéć w bardzo młodym wieku i rosnąc powtarzają to w niemierzytelnych okresach czasu, a mianowicie tak, że po każdém wylinieniu zwierzę większe jest niż przed niém. 4te Nowa, większa skorupka tworzy się wewnątrz staréj, która, skoro tylko młoda dojrzeje, otwiéra się i wyjście zwierzęciu ułatwia. 5te Po utworzeniu się skorupki nowéj, zwierzę aż do następnego linienia wcale nie podrasta. 6te Nawet gdy stara skorupka lub zwierzę w jakikolwiek sposób uszkodzone albo skaleczone były, zawsze po wylinieniu tak nowa skorupka jako i zwierzę są całemi. 7me Samice podlegające sprawie rozpłodowéj, nie linieją; ich przeto płód do skorupy zewnątrz przyczepiony, nie ulega żadnemu uszkodzeniu. 8me Młode wielu czerwiów, jeśli niepodobne są rodzicom, otrzymują budowę symetryczną i stają się doskonałemi przez odbywanie stopniowych przemian *(T. 1852, nr. 458)*

* *Organ słuchu u czerwiów.* T. Huxley *(w Annals and mag. of nat. hist. April 1851 p. 304)* zastanawia się nad tym przedmiotem, mówiąc: „We względzie urządzenia i położenia organów słuchu u czerwiów, są jeszcze bardzo podzielone naturalistów mniemania. Autorowie dawniejsi, jakoto Fabrycyusz, Scarpa, Brandt, Treviranus, jednozgodnie nazywają organami słuchu pewne, wypełnione cieczą woreczki u podstawy różków drugiéj pary (wielkie różki). Do tego mniemania przyłącza się i p. Milne Edwards, opisując bardzo zawiły przyrząd bębenkowy w rodzaju *Maia* krótkoogoniastych raków. Większa część autorów przed nim przemilczają o woreczku, który w wielu rodzajach znajduje się

u podstawy różków piérwszéj pary (małe różki). Jednakowoż Rosenthal dokładny podaje opis tego organu u raka rzecznego i u homara (*Astacus fluviatilis* i *Astacus marinus*). Uważa on go za organ powonienia, mniemając że woreczek przy podstawie różków zewnętrznych jest organem słuchu.

Dr. Farre (*Philos. Transact.* 1843) gruntownie przekonywa, że rozumienie Rozentala odwrócić należy, t. j. woreczek piérwszych różków za organ słuchu, a drugich za organ powonienia uważać. Dr. Farre wątpi, ażeby krótkoogoniaste raki organ powonienia miały.

Siebold, w swojém sprawozdaniu o postępie anatomii zwierząt niekręgowych (1843—1844), przywodzi te mniemania, zdaje się jednak o prawdziwości ich wątpić. Nie więcéj im ufają Erichson i prof. Van der Hoeven.

To więc uznaném jest powszechnie, że u raków długoogoniastych, przy podstawie piérwszéj i drugiéj pary różków znajduje się worek napełniony cieczą, i że u krótkoogoniastych worek ten jest przynajmniéj przy drugiéj parze. Podług zdania większości, worek drugiéj pary jest organem słuchu, podług zaś Rozentala, worek piérwszéj pary jest organem powonienia. Z drugiéj strony, podług tłumaczenia Dra Farre, woreczek piérwszéj pary różków jest organem słuchu, woreczek drugiéj organem powonienia.

Jakożkolwiek budowa organu słyszenia w piérwszéj parze różków u długoogoniastych raków, nieco się różni od budowy tegoż organu u zwierząt bezkręgowych, pan Huxley jednak idzie za zdaniem Farrego, które że nie jest powszechnie przyjęte, usiłuje poprzéć je dowodami nowemi, i te które przytacza ma za oczywiste.

W małym przezroczystym czerwiu z oceanu Spokojnego, należącym do rodzaju ślimoraczków (*Palaemon*), podstawa piérwszéj pary rożków jest zgrubiała i na zewnętrznym boku opatrzona kolcem rzęsowatym, nieco podniesionym. Pomiędzy nim a podstawowym stawem, znajduje się maleńka szparka. Ta prowadzi do gruszkowatego wydrążenia w skórkowatym worku, leżącym w substancyi samego stawu. Koniec tego worka otoczony jest ziarnistą massą; na boku worka przeciwnym szparce znajduje się rzęd łukowatą linią ustawionych włosków z węzełkiem na końcu, stykających się z wielką jajowatą skalistą ucha częścią (skałką ucha, *otolithus*), i na niéj zdających się wyrastać.

Nerw różka idzie od wewnętrznego boku worka i dzieli się na gałęzie które się przy łukowatéj linii czyli szeregu włosków kończą. Worek ma około $^1/_{100}$ cala dług., a kość skalista ma $^1/_{220}$ w średnicy.

Niezaprzeczenie budowa ta jest bardzo podobna budowie słuchowego przyrządu u zwierząt miękliwych, a nawet u *Lucifer typus* jest zupełnie taka sama.

U tego osobliwego czerwia podstawowy staw piérwszéj czyli wewnętrznéj pary różków, jest daleko dłuższy od innych i przy swojéj podstawie nieco szérszy. W tém rozwiększeniu jego mieści się przezroczysty pęchérz, podający się nieco daléj od przodu, ale od zewnątrz z żadną szparą nie połączony. Ma on około $^1/_{000}$ cala średnicy i obejmuje kulistą skałkę ucha (*otolithus*) średnicy około $^1/_{1250}$ cala, w któréj ani drgający

ruch, ani obrót nie daje się dostrzegać. Widać przeto że *Lucifer* ma w tym organie przyrząd zupełnie podobny słuchowym woreczkom zwierząt miękliwych, kiedy u ślimoraczka postrzegamy bardzo ciekawe przejście od téj do zwyczajnéj czerwiom postaci organów słuchowych, jak je dr. Farre opisał. (*Id. 1851 nr. 363 z Bibl. univ. de Genève. Juin 1851 nr. 66.*)

* Dr. Duchassaing, w czasie pobytu swojego na Antyllach, uważał sposób życia wielu tamecznych czerwiów, a mianowicie lądowych krabów. Wyjmujemy z pisma jego o tym przedmiocie następujące wiadomości.

Tak nazywane na Antyllach lądowe albo białe kraby (*Cardisoma* Latr.), są wszystkożernemi; zjadają co tylko napadną. Zazwyczaj trzymają się w wilgotnym gruncie okolic które srożypląt (*Rhizophora*) przerasta, a tam żywią się głównie cukrowemi owocami siężyśni nagiennéj (*Annona palustris*), obficie w tych miejscach rosnącéj. Mają w szlamie swoje nory, do których je najmniejszy szelest zapędza. Na cmentarzach głęboko się wkopują ażeby dostać się do grobów i trupy pożerać. Na takich miejscach we wszystkich kierunkach zwierzęta te grunt przedziurawiają. Mimo to, *Cardisoma carnifex* jest ulubioną mieszkańców potrawą, i uważają ten gatunek za smaczniejszy niż *tourlourou*. Wszakże do jedzenia biorą się wyłącznie z bagien odległych od cmentarzy, sadzają się do naczyń i tuczą odpadkami z kuchni. Łowią się w takie łapki jak na szczury, przywiązując na zanętę kawałek owocu siężyśni, którego skoro dotknie krab, spadają za nim drzwiczki i jest złapany. Najlepiéj udaje się połów w porze deszczowéj, kiedy srożypląłowe bagna stoją pod wodą, a tysiące krabów wynosi się na miejsca wywyższone, w których bardzo łatwo nabrać ich można.

Kraby z rodz. *Uca* Latr. są również pospolite na Antyllach. Trzymają się one tych samych miejsc co i poprzedzające, i mają podobnyż sposób życia. Łowi się ich także mnogość w łapki: ale ich mięso przykrego jest smaku i tylko murzyni go używają.

Pątniki (*Gecarcinus*), które też fioletowemi krabami i *torlouroux* nazywają, nie jednym są gatunkiem. Pątnik boczny (*Gecarcinus lateralis*) jest najpospolitszy, i do niego właściwie nazwisko *tourlouroux* należy. Żyje on w suchych lasach niedaleko brzegu morskiego, i chowa się pod kamienie, pnie i w jamy. Czasem można go także, jak gatunki *Uca una* i *Cardisoma carnifex*, pod posadzką dolnych mieszkań znaléźć. Dobry jest tylko w porze niesienia jaj, gdy ma jajeczniki powypełniane. Jakoż w tę tylko porę stawią się nań zasadzki, a wtedy, bardzo łatwo zaopatrzyć się w niego można, bo tłumami z nór wyłazi.

Mniemaniem jest że *tourlouroux*, podobnie jak *Cardisoma carnifex*, czasem trucizną bywa; lecz że mięso tych zwierząt trudném jest do strawienia, a smakosze nieraz je do zbytku jedzą, może więc tylko lękać się należy o zepsucie żołądka, czego symptomata takiemi są czasem jak w niektórych otruciach. Mniemaniem jest, że *tourlouroux* nabywają własności trujących wtedy, gdy się objedzą owoców koniszału (*Hippomane mancinella*); przeciw temu wszakże jest to, że owoc koniszału nie w tych porach roku dojrzewa, w których się te raki jedzą, a te owoce

wtedy dopiéro spadają, gdy są dojrzałe. Wprawdzie może to być, że kraby zjadają rośliny które człowiekowi są szkodliwe, ale dr. Duchassaing przez 4 lata praktykując na Gwadelupie, nie miał ani jednego zdarzenia z otruciem przez kraby, gdy często się mu trafiały otrucia przez morskie ryby.

Przechyrniki (*Gelasimus*) zamieszkują najbagnistsze miejsca, gdzie się pod zgniły liść łatwo zagrzebać mogą. Te zwierzęta, skoro cokolwiek podejrzanego spostrzegą, cofają się tyłem z podniesionemi do góry kleszczami w jamę. Do utrzymania życia koniecznie im potrzeba wiele wilgoci: bo aby tylko podczas wielkich suszy zarośle srożyplątowe powysychały, prawie wszystkie mrą, a wtedy trupy ich gnijąc zarażają powietrze. Taka jest mnogość tych zwierząt, że bywają zakresy na 2—3 godzin długie, w których nora koło nory widzieć się daje.

Gatunek *Sesarma Pisonii* trzyma się przy korzeniach srożyplątu (*Rhizophora mangle*) i włazi aż na ostateczne rozgałęzienia tego drzewa, jak z drugiéj strony póty wkopuje się pomiędzy jego korzenie, póki na wodę nie natrafi. Żywi się owocami rościęży (*Avicennia*).

Upstrzony zmykacz (*Grapsus*) trzyma się samego pobrzeża morskiego na zalewanych skałach, gdzie ustawicznie na zdobycz czyha. Uczuja się może na ½ cala nad wodą, i niech mu ta jakąkolwiek zdobycz przyniesie, rzuca się na nią. Nogi ma osadzone sęczkami tak ostremi, że po najstromszych skałach szybko biegać może, tak iż z trudnościami tylko złapać się daje, tém bardziéj, że gdy mu już żaden inny wybieg nie pozostaje, do morza się rzuca. Linieje na skałach, a zaraz po wylinieniu jest mniéj żwawy, tak iż wtedy łatwiéj go złapać. Na miejscach w których zmykacze się utrzymują, całe pobrzeże okryte jest lśniącemi ich skorupami. *(Id. nr. 339 ex eod. Avril 1851).*

✱ Przekonał się podróżujący na korwecie Galatea J. Reinhardt, że familia *Bipeltata* czerwiów ustonogich w zwrotnikowych morzach, a mianowicie w indyjskiém i chińskiém, przedstawia taką mnogość indywiduów, a tak rozlicznych kształtów, że potrzeba nowe na ich pomieszczenie rodzaje tworzyć. Jedno z tych zworzowych postaci opisuje pod nazwiskiem *Phyllamphion*, ztąd tak je nazywając, że tworzy zajmujące ogniwo pomiędzy *Phyllosoma*, a *Amphion*. Jedyny, który poznał, gatunek, obszernie tu opisany, zowie *Ph. elegans*.

Rodzaj przedstawia jakby spłaszczonego *Amphiona*, którego głowowa tarcza przybrała cienkość papieru. Tarcza ta bowiem, jak i w rodz. *Amphion*, okrywa tu cały gorset, a nawet i na brzeg najpiérwszego pierścienia odwłokowego zachodzi, ale jest, jak w rodz. *Phyllosoma* nader cienką blaszką, daleko szerszą niżeli równie cienki gorset, z którym się tylko na pośrodkowéj linii cokolwiek zrasta. *Phyllamph. elegans* ma wielkości 23 milim. i jest tak przezroczysty jak *Phyllosoma*, nawet i ruchy odbywa tak powolne i ciężkie, jak gatunki tego rodzaju. P. Reinhardt znalazł trzy jego okazy w morzu Chińskiém, w odległości kilku mil od wyspy Luzon dnia 11 czerwca 1846. (*T. 1850 nr. 128*).

✱ *P. J. van Beneden, O rozwijaniu się i organizacyi zaoczlików* (Nicothoë). Piérwsi pp. Audouin i Milne Edwards opisali w r. 1826 zworzo tego rodzaju, należące do gatunków nazywanych odlomnemi

(anomal). Zwierzę wykluwa się z jaja ukształcone normalnie i opatrzone znakomitą zdolnością poruszania się z miejsca; potém udaje się w skrzelowe blaszki homara i tam przybiera nader szczególnie zmienioną postać, którą, ukryte pod skorupą nowego karmiciela swojego, zatrzymuje aż do końca życia. Przy téj przemianie organa zależnego życia (1), stają się uschłe (atrophiés), a na bokach powstają osobne wyrosty.

Van Beneden znalazł najprzód samca tego szczególnego zwierzątka *(Nicothoë astaci)*, ale dla drobności nie mógł zbadać jego przyrządu rodzenia. Przyrząd rodzenia u samicy rozwinięty jest nader silnie i leży obok worków do trawienia w bocznych przysadkach, zajmując ich podstawę, jako też i część ich długości. Jajecznik jest dosyć niemierzytelny, od przodu rozłupany widlasto, i osadzony wielu krótkiemi workami ślepemi. Jego mglista białość przebija przez ściany, i jest podwójny. Widać przed nim jajowód w kształcie długiego sznurka, który się ciągnie przy ślepym worku do trawienia i zbliża się ku sznurkowi na przeciwnym boku, a potém w tył zwrócony uchodzi w wypochwie. Nieraz całą jego długość wypełniają jaja. Z jajowodów przenoszą się jaja wprost do niezmiernie wielkich worków, z obu stron ciała, jakby wielkie przysadki boczne, leżących, kształtu owalnego.

Skoro młode zaoczliki wyklują się z jaj w tych workach, ściany worków pękają, a one z nadzwyczajną żwawością pływają dokoła. Niktby nie pomyślił, że ma przed sobą to samo zwierzątko, które potém na skrzelach homara gatunek roślinnego życia wiedzie. Jest ono całkiem podobne do oczlików *(Cyclops)*, z tą tylko różnicą, że ma pyszczek dziobowaty.

Jak w zupełnie wykształconym stanie, ma ono poza pyszczkiem trzy pary przysadek, a daléj ku tyłowi cztery pary, które tylko w wiosełkach przedstawiają mniejszą liczbę członków niż u dorosłego zwierzęcia, u którego pływalne nogi są o dwóch wiosełkach, a o trzech członkach, gdy tu w każdém wiosełku jeden tylko spostrzegamy członek.

Przez cięg tułaczego życia, zwierzę ma, jak oczliki, jedno tylko na środku leżące oko. Skoro się uczepiło do skrzel homara, oko jego dzieli się na dwa rozłączone. Zarazem ciało nabrzęka, a za trzecim pierścieniem tułuwu tworzy się na każdym boku ciała guz, w który się wciskają wnętrzności, wkrótce rozwijające się tak nadzwyczajnie, że nakoniec reszta ciała, które się nie powiększa, zdaje się być tylko przysadką tych guzów.

Zważyć potrzeba, że gdy homar linieje, wszystkie jego pasorzytne zaoczliki oddalają się od niego, przy wyleni zostając.

Niepodobna wchodzić tu z autorem w szczegóły embryogenii, objaśnione licznemi wizerunkami, których przedstawić nie możemy. Oto podawano przez niego zoologiczne cechy i powinowactwa.

Płcie mocno się różnią i wielkością i kształtem: Samiec nadzwyczaj mały, ośm razy mniejszy od samicy. Jestto rzecz godna uwagi, że

(1) *Vie de relation.* Tak nazywa Milne-Edwards (czyt. jego zoologią od § 179) życie zwierzęce, tojest uzdolniające jestestwo do dobrowolnego zmieniania miejsca, czego nie ma w życiu roślinném, jakie potém prowadzi to zwierzę, przyczepiwszy się stale do miejsca.

u wszystkich czerwiów pasorzytnie żyjących, tak wielką jest różnica wzrostu pomiędzy dwiema płciami.

Z początku, samiec kształtem dosyć jest podobny do samicy: trwa to podobieństwo dopóki pasorzytnego życia nie zacznie. Wszakże i wtedy można go rozpoznać po odwłoku, który zwykle w pionowym kierunku zadarty trzyma, czegośmy u młodéj samicy nigdy nie widzieli.

Ciało obudwu płci rozdzielone jest na głowę, tułuw i odwłok. Głowa jest wielka, kształtu tarczy. Na środku czoła ma oko. Z przodu ją zakończają przygięte na środku różki, które u samca mają mniéj stawów niż u samicy.

Za czterema nóg parami widać pod jednym z ostatnich pierścieni tułuwu krótką przysadkę, która, podług naszego zdania, wyobraża piątą nóg parę, i odwłok przechodzi we dwie szczecinki, przy których podstawie znajdują się krótsze.

U samicy pomiędzy tułuwem a odwłokiem, znajdują się szczególniejsze skrzydłowate przysadki. Ma ona dwa nieprzygięte różki, o dziesięciu stawach, trzy pary nóżek do żucia, i cztery pary nóg dwuwiosłowych, które się trzema zakończają członkami. Dwoje czerwonych oczu leżą tuż przy linii pośrodkowéj. Dwa szerokie krótkie worki jajowe, których całkowita długość 3 milim. wynosi, są tego samego co ciało koloru.

Znajdują się pod blaszkami skrzel u homara, równie na prawéj jak i na lewéj stronie. Rzadko kiedy homar wolny jest od tych pasorzytów, czyto gdy świeży wydobyty będzie z morza, czy osłabiony w sadzach.

Zaoczlik rakowy (Nicothoë astaci Aud. et Miln. Edw.)

Samica. Ciało złożone z głowy, tułuwu i odwłoka, na bokach dwie skrzydłowate przysadki; dwa dziesięciostawne nieprzegięte różki; trzy pary nóżek do żucia; pięć par nóg, z których piérwsze cztery pary dwuwiosłowe, a wszystkie włoskami okryte; dwoje oczu, dwa bardzo wielkie worki jajowe; ciało i jaja różowego koloru. Dług. 4 milim.

Samiec. Ciało podzielone na niemierzytelne pierścienie; dwa przegięte różki; odwłok zakrzywiony pionowo; pięć par nóg włoskami okrytych.

Uważając zwierzę tylko w stanie zupełnego rozwinięcia, możnaby powiedzieć, że zaoczliki z rodzajami *Ergasile* i *Bomolochе* składają jedno zupełnie naturalne skupienie; ale im przyznamy oddzielność zworza rozciągając wzgląd do stadyów ich rozwoju.

Tak postrzeżenie autora w skróceniu przedstawić można: samiec jest daleko mniejszy od samicy, nie ma on żadnych przysadek bocznych i prowadzi żywot tułaczy.

Dwie skrzydełkowate przysadki na bokach, nadają samicy osobliwe wejrzenie.

Pyszczkiem jest ryjek kończący się pierścieniem, na którym z prawéj i lewéj strony umocowany jest kolec. Jest para różków i dwoje oczu. Poza pyszczkiem dają się przedewszystkiém widzieć trzy pary organów ruchomych, kształtu kleszczy i haków, nóżki do żucia (szczękonogi); potém cztery pary dwuwiosłowych, szczecinkami okrytych i trzy-

stawowych przysadek: nogi. Za temi jeszcze jednéj pary nóg szczęty leżą.

Kanał pokarmowy jest zupełny: wielkie dwie kiszki ślepe rozciągają się w bocznych przysadkach ukazując ruch perystaltyczny.

W tychże przysadkach leży i jajecznik. Zewnątrz widać dwa worki jajowe długości przysadek.

Na zapłodku dają się zrazu widzieć od przodu dwie przysadki, stające się potém różkami; objawiają się następnie cztery sęczki pod odwłokiem, z których wyrastają nogi.

Zrazu jedno tylko na pośrodkowéj linii daje się postrzegać oko; ale zwierzę dorosłe ma ich dwoje, oddalonych od siebie.

Pokąd młode zaoczliki żyją tułaczo, wiele mają podobieństwa do oczlików. Za przyczepieniem się do skrzel homara zaczynają się ukazywać im boczne przysadki przy czwartym tułuwowym pierścieniu; a kiedy zwierzę zupełnie się wykształci, przysadki te zdają się być całém stworzeniem.

W bliskości homara ustawicznie pływają młode zaoczliki. (*T. 1851, nr. 346* i tabl. wiz. z *Annales des sc. nat. Juin 1850*).

* P. Sebastyan Fischer (w *Bull. de la Societé des naturalistes de Moscou, 1849 nr. III)*, opisuje i wizerunkami objaśnia nowy gatunek rozwielitki, który *Daphnia aurita* nazwał, łącząc z tém postrzeżenia swoje nad znanym dawniéj *Daphnia laticornis* Jurine. Jego rozwielitka uszata, tak budową jako i sposobem życia przystępuje najbliżéj do gat. *Daphnia mucronata* Autor. Jak ona pływa zawsze na grzbiecie i trzyma się blizko powierzchni wody. Ruchy jéj są szybkie i żwawe, ale często też nieporuszona na jedném zatrzymuje się miejscu. Z równą jak tamta szybkością spada na dno wody. Obiera sobie na pobyt takie wody stojące, w których kawały drzewa i kory gniją. Uważana gołém okiem przedstawia ten kształt, który ma *Daphnia mucronata*, tylko jest nieco większa i dłuższa od niéj, a łatwo odróżnić się daje po szaro-brunatnym kolorze, gdy tamta dla nieuzbrojonego oka wydaje się czarniawą lub zupełnie czarną. Wielkość jéj wynosi $^1/_3$ do $^1/_2$ lin. paryzkiéj; samiec o $^1/_3$ do $^1/_2$ jest mniejszy. *Daphnia mucronata* jest tylko $^1/_4$ do $^1/_3$ lin. par. długa. Znalazłem rozwielitkę uszatą w miesiącu sierpniu, w obwodzie sergiewskim przy Peterhofie.

Uważana przez mikroskop, jest przezroczysta, ma skorupkę bezfarbną albo lekko czerwonawo-żółtą, ciało, skrzelowe i pływalne nogi i wargę czerwonawą, kanał pokarmowy jasno-zielony, a w niém pokarm ciemniéj zielony, niekiedy także piérwszy czerwonawy lub brunatny, drugi brunatny, oko i przyoczko czarne.

Uważana z boku ma kształt podłużnie czworokątny, głowotułuw wysoki, od skorupki na ciele wyraźném zagłębieniem oddzielony.

Górny jéj brzeg spada ukośnie i nieco się zakola ku przodowi i pod spód, przedni mocno jest zaokrąglony, i przy nim leży przednia strona oka. Zaraz pod nim zaczyna się długi, silny dziobek, którego kończatość osłoniona jest dolną przednią częścią skorupy na ciele, mianowicie u zwierząt młodszych. Brzeg skorupy jest kanciasty, u młodszych zwierząt idzie prawie prosto, u starszych, gdy młode się rozwijają, lekko wy-

pukły, z tylnym kątem zaokrąglonym. Tylny brzeg skorupki lekkiém zagięciem spada ku tyłowi prawie pionowo, i od dołu z wystającym rogiem brzegu spodniego, tworzy znaczną, jednak nieco tępą kończatość.

Brzeg spodni idzie prawie prosto, tylko od przodu nieco jest wypuszczony, i tworzy blizko dziobka tępy wyskok. Nie widać na nim żadnych włosków; mniemam wszakże iż się znajdują, a dlatego tylko nie dają się dostrzedz, że prosto do wewnątrz są zwrócone; ponieważ na okazach które niejaki czas nieżywe w wodzie leżały, postrzegałem delikatne szczecinki wzdłuż całego brzegu spodniego, ukośnie od przodu ku tyłowi i od góry do dołu osadzone. Przedni brzeg idzie zrazu krzywo, potém zlekka falowato od dołu do góry i ukośnie od przodu ku tyłowi w górę. Od kanciastości grzbietowéj skorupa nieco się rozszerza ku spodowi i na zewnątrz, a najsklepistsza jest w swojéj $^1/_3$ górnéj, potém jednak znowu się nieznacznie ściska, tak, że spodnie obudwu skorup brzegi nie odstają znacznie od siebie. Mianowicie w górnéj i środkowéj części swojéj skorupka odkryta jest drobnemi, niemierzytelnie rozłożonemi wyniosłościami czyli guzikami, ale bez śladu kraciastości.

W głowotułuwie daje się widzieć dosyć wielkie, wyraźnemi soczewkami opatrzone oko, ganglion tułuwowy i oftalmiczny, przyoczko, żołądek z jego ślepemi przysadkami, i rożek.

Dwa są na każdym boku muszkuły oczne, biorące początek na boku głowotułuwu niebardzo daleko nad okiem, a oddalając się od siebie pod ostrym kątem, przyczepiają się do górnego brzegu oka. Ganglion głowowy prawie ma kształt podłużnego czworoboka, a górna i przednia jego część, lekkiém tylko odcienieniem odłączona, ciągnie się jako ganglion oftalmiczny, który się bezpośrednio do górnéj tylnéj części oka przyłącza, tak, że wychodzące z niego nerwy oczne wcale się widzieć nie dają. Od przedniéj części właściwego ganglionu tułuwowego, ciągnie się jeden albo dwa mocne nerwy do oka, urządzenie, którego nie ma u innych rozwielitek. Przyoczko wiąże się z dolną przednią częścią ganglionu głowowego, i jest niemierzytelną czarną, dosyć wielką plamą barwidła. Rożek jest stożkowaty, gruby, na dolnym końcu nitkami czucia opatrzony, ponad dziobkiem i nieco za nim leżący, a przeto także w części skorupką ciała zakryty. Żołądek i kiszka ślepa takie są jak i u innych rozwielitek. Na górnym boku głowotułuwu dają się widzieć trzy zakręcone linie, oznaczające wiązki muszkułów, które do nóg pływalnych idą. Oprócz tego, prawie półkolista, głęboko wyryta linia, ciągnie się od przedniéj części głowotułuwu przez oko i prawie przez największą część dzioba.

Pływalne nogi wytykające się pomiędzy głowotułuwem a skorupą ciała, nie przedstawiają nic szczególnego; gałęzie ich, opatrzone są niepierzastemi dwustawowemi szczecinkami; tylko drugi staw gałęzi górnéj ma dosyć wielki kolec.

Wewnątrz właściwéj skorupy ciała, daje się postrzegać serce, kanał kiszkowy, żuwaczki, warga, nogi oddychalne, ogon ze swemi haczykami, i jajeczniki.

Trzy piérwsze z tych części, są zupełnie takie jak u innych rozwielitek; na końcu ciała leżą dwa tępe zaokrąglone sęczki (languettes); ogon uzbrojony jest dwoma miernéj wielkości szponami, a w niewielkiéj odle-

głości od nich, podwójnym szeregiem 5—6 drobnych, nieco zakrzywionych kolców; na złamaniu jego, leżą dwie dosyć długie niepierzaste szczeciny ogonowe. Budowa nóg oddychalnych jest zupełnie taka jak u *Daphnia mucronata*. Jajeczniki leżą na bokach ciała, blizko kiszkowego kanału i nieco pod nim; są białawo szare, podczas tworzenia się siodełka (1), brunatno czarniawą massą wypełnione. Liczba młodych w macicy, które są koloru różowego z błękitnym grzbietem i licznemi, prawie cynobrowo-czerwonemi ziareczkami, wynosi 1—4.

Przy tworzeniu się siodełka, skorupka podnosi się z tyłu głowotułuwowego zagłębienia w znaczny sęczek; zawarte w siodełku jaje ma czarniawo-brunatny kolor; ciemniejszy wkoło okrąg, jest żółto-czerwonawy albo żółto-brunatny; drugi, bardziéj na zewnątrz położony, jest szaro-białawy, a w przedniéj części wielu drobnemi, nakształt komórek wyniosłościami okryty.

Uważana z góry postać rozwielitki uszatéj, jest podłużnie owalna; widać od przodu górujące oko, a za nią dosyć wielką do ucha podobną kończatość; głowotułuw jest szeroki, z boków zaokrąglony i okrywający podstawę nóg pływalnych, na których daje się także spostrzegać mały przydatek, ze dwóch kończatych szczecinek złożony. Ślepe przysadki żołądka nader widocznie występują.

Samiec rozwielitki uszatéj, odznacza się osobnym kształtem. Jest on blizko tak wysoki jak długi; głowotułuw ma bardzo wywyższony, ale wązki; spodnią kończatość tylnego brzegu skorupy tępą. Przednia część jego oka jest nadzwyczaj górującą i odłączoną od reszty głowotułuwu. Dziobek tępszy jest niż u samicy i nieokryty skorupą ciała; rożek nieco dłuższy od samiczego, ale także stożkowatego kształtu. Jądrowniki leżą z obudwu stron kiszkowego kanału; są szaro-białawego koloru, napełnione mnogością drobnych, nieco ciemniejszych ziarek (spermatozoidy?). Szpony ogonowe wielkie i długie, a stojące za niemi kolce (po trzy z każdej strony) krótkie i tępe.

Z podobnemi szczegółami opisuje potem autor i na wizerunku przedstawia inną rozwielitkę, podług jego uznania zgadzającą się w cechach istotnych z gat. *Daphnia laticornis* Jurine, lecz któréj warunkowo dodaje nazwisko *D. serricaudata*, na przypadek okazania się że nie jest ta, którą Jurine uważał. Autor kładzie znak wątpliwości przy synonimach *Daphnia laticornis* Mil. Edw. (*Hist. nat. des Crust. T. III, p. 384*) i *Lynceus laticornis* Desmar. (*Consid. gén. sur la classe des Crust. p. 377*), tojest wątpi ażeby ci dwaj autorowie pod przytoczonemi nazwiskami opisali ten sam gatunek, który Jurine *Monoculus laticornis* nazywa i na wizerunku (*Hist. nat. des Monocles p. 151 pl. 15, fig. 6, 7*) wystawia. (*T. 1850 nr. 70* i tabl. wiz.)

* P. Emil Blanchard przedstawił Akad. um. paryzkiéj pod d. 28 stycz. (1850) wypadek nowych postrzeżeń nad przyrządem krążenia i oddychania u pająkowatych mrowiów (*Arachnides*), któremi wszędzie potwierdzał postrzeżenia dawniejszych badaczów. Według niego krew

(1) Siodełko (*Sella*) u autora jest zapewne to, co *ephippium* u Müllera, w opisie gat. *Daphnia pennata*. *A. W.*

dostaje się ciągle w organa oddychania, tojest ich substancyą przenika. To wcedzanie się płynu dzieje się niekiedy za pośrednictwem właściwych naczyń, niekiedy zaś tylko częściowo przez naczynia, a zresztą bezpośrednio przez ogólną jamistość, otaczającą narzędzia oddychania. P. Blanchard, mocniéj jeszcze niż przedtém utwierdzony jest w przekonaniu, że pomiędzy przyrządem krążenia a przyrządem oddychania zachodzi wewnętrzny związek; i że jeden całkowicie zależny jest od drugiego; że w téj mierze nie ma jak sądzono, wyjątków, lecz że u wszystkich tych zwierząt najzupełniejsze okazuje się tożsamość. (*Id. nr. 61 z L' Institut, 1850*).

* John Blackwall dochodził własności jadu niektórych mrowiów, i w sprawozdaniu o tém (Roczn. Tow. Linn. Lond.) wspomniawszy o bajecznych podaniach co do ukąszenia tarantuli i fałesznika o 13 plamach (*Latrodectes 13guttatus*), rozjaśnia mniemanie dzisiejszych arachnologów, że owady skaleczone żérowemi kleszczami pająków, prawie w mgnieniu oka umierają. Szczegóły doświadczeń które przedsiębrał w téj mierze latem 1846, rozdziela czworako: uważał bowiem działanie jadu pająków na człowieka, na pająki, na owady i na nieżywe przedmioty. Co do piérwszego, użył krzyżaka (*Epeira diadema*) i najzupełniéj przekonał się że ukąszenie tego w Anglii największego pająka, nawet podczas najmocniejszych upałów i gdy zwierzę w najsroższym jest gniewie, nie sprawuje nic niebezpiecznego, i że ból niém zrządzony ledwie znaczniejszy jest od prostego zadarcia skóry na ciele. Co do drugiego, wystawił na doświadczenie samca i samicę z gat. *Tegenaria civilis*, dwie samice sześciookiego czyhaka (*Segestria senoculata*), dwukrotnie samicę od *Ciniflo atrox* z samicą krzeczka *Lycosa agretica*, samicę krzyżaka i gat. *Caelotes saxatilis*, nakoniec samicę krzyżaka, która w najwyższym stopniu zapalczywości sama siebie kąsała. Znaczne mechaniczne skaleczenia, mówi p. Blackwall, czyby je taki bój bratni, czy inne przyczyny zrządziły, stają się dla pająka śmiertelnemi, ale bynajmniéj z doświadczeń jego nie wynika, że ciecz wypływająca przez otwór w kleszczach do kąsania, ma własności odbierania pająkom życia, gdy w świeżą ranę wejdzie.

Z wielokrotnie powtarzanych doświadczeń na owadach które kąsały krzyżak, sześciooki czyhak, *Tegenaria civilis* i *Agelena labyrinthica*, wcale się nie okazało, ażeby owady prędzéj umierały, gdy ukąszeniem pająka, niż gdy jakim innym sposobem są skaleczone. Bez wątpienia śmierć następuje śpieszniéj gdy pająk ciągle owad trzyma, ale to widocznie ztąd pochodzi, że pająk wysysa mu soki, na które jest tak chciwy.

W próbach które p. Blackwall z nieżywemi przedmiotami przedsiębrał, okazało się, że gdy rozgniewany pająk lakmusowy papiér ukąsił i zwilgocił go cieczą z kleszczów do kąsania wypływającą, papiér zawsze się zczerwienił, z czego wynika że ta jego sekrecya jest kwaśną. Ciecz która z pyszczka wypływa, równie jak i ta która się w żołądku mieści, tudzież sącząca się ze skaleczeń ciała albo nóg pająka, w działaniu na nią odczynników chemicznych, okazała się alkaliczną, gdy zbrunatniony nią papiér kurkumowy odzyskał kolor pierwotny działaniem cieczy z kleszczów do kąsania, a to w sposób iż kwasowość tak nazwanego jadu i alkaliczność innych, wyżéj pomienionych soków, najzupełniéj udowodnioną została.

P. Blackwall na końcu swojéj pracy zakłada nazwisko *falces* dla narzędzi któremi pająki zdobycz uchwycają i mordują: ponieważ nazwisko *mandibulae* (żuwaczki) nie może służyć organowi, który, jak p. W. S. Mac Leay dowodnie okazał, nie należy do przyrządu pyszczkowego, a przez Latreilla podane nazwisko *chelicera*, każe przypuszczać analogią ich z różkami owadów, od których i budową i funkcyą tak mocno się różnią. Wspomina także iż w gatunkach najrozmaitszych rodzajów, znajdował wargę (*labrum*) w nizkim rozwinienia stanie i że ona swoją podstawą na górnéj płaszczyźnie podniebienia jest umocowaną; że jednak jéj wolny i zwykle okrągły albo cokolwiek śpiczasty koniec, może się nieco podnosić, spadać, rozszerzyć, wciągać i tu i owdzie poruszać. Przywodzi daléj, że prof. Owen, u pająków z rodz. *Mygale* odkrył szczęt wargi. Ale jest oczywistym błędem nazywać *żuwaczkami* organa, które nad wargą początek biorą a przeto nie w pyszczku leżą, i autor nie waha się mniemać, że przyszłe badania na zasadzie anatomii oparte, okażą naostatek, iż żuwaczki u mrowiów z podniebieniem są zrosłe. (*T. 1850, nr. 9 z Annals & mag. of nat. hist. nr. XXII, Oct. 1849*).

* P. Roth czytał w Akad. Mnichow. d. 11 stycz. (1851) wypracowanie swoje o pająkach kopalnych, w łupku litograficznym znalezionych. Namienił że piérwszy hrabia Münster w kamieniach z Solenhofer znalazł reszty kosarzów (*Phalangium*), którym nazwisko *Phalangites priscus* nadał. W zbiorach mnichowskich znajduje się prócz tego inny okaz, nazwiskiem *Phalangites multipes* oznaczony. Ten, i szereg innych w posiadaniu dra Fischer zostających, podały autorowi sposobność szczegółowego zbadania tych paleontologicznych szczątków. Uznał w nich zworze nowego pokrewieństwa w którém stanowi jeden tylko rodzaj z dwoma gatunkami, należący do fam. pająkowatych, oddz. ptasznikowatych (*Mygalidae*). Nadaje mu nazwisko *Palpipes* (*P. priscus* i *P. cursor*). (*T. 1851, nr. 319 z L'Institut nr. 905*).

* W czasopiśmie duńskiém *Kröyers Naturhistorisk Tidsskrift*, nowa ser. T. II od str. 617, opisuje obszernie J. C. Schiödte nowego indyjskiego pająka uderzających kolorów i znacznéj wielkości, który lubo niezaprzeczenie należy do mrowiów ze czterema płucami, wszakże na końcu odwłoka nie okazuje najmniejszego śladu przędzących brodawek. Powierzchnia jego ciała jest bez jedwabistego pokrycia; potężny głowotułuw dźwiga od spodu długie i silne nogi dosyć gęsto cierniami okryte, tyle na nim wielkiemi biodrami miejsca zabierające, że jedynie mała na środku przestrzeń zostaje. Kształt i położenie oczu zupełnie odstępują od zworza do któregoby z wejrzenia to zwierzę odnosić można. Dwie ich pary są wielkie i poprzecznie owalne; otaczają one podstawę i boki półkulistéj wzniosłości prawie zamkniętym okręgiem, gdy cztéry inne, z których dwa przednie są bardzo małe, leżą na wierzchołku wzniosłości, ułożone w czworobok. Skóra na odwłoku, stosunkowo małym, jest pargaminowata, delikatnie pomarszczona, z tęgiemi włoskami, a wzdłuż powierzchni górnéj odwłoka, zbroją go pozestawiane z sobą rogowe tarcze.

To nowe ogniwo w łańcuchu który mrowie składają, porównywa autor z dotąd poznanemi, już przędzącemi (*Theridion, Linyphia, Tetragnatha, Nephila, Epeora*), już polującemi (*Lycosa, Myrmecia, Eresus*,

Salticus, *Atypus*, *Mygale*), i z tego porównania wyprowadza wniosek, iż jego nowy gatunek obrotnym jest i silnym łowcem. Widzi w nim najwięcéj podobieństwa z ptasznikami (*Mygale*), gdy znowu ze względu na rodzaj pokrycia, na uzbrojenie nóg cierniami, na zupełny brak klapek przy żuwaczkach, na wielkie rozwinienie bioder i kształt ich pary ostatniéj, na kształt i położenie oczu, na tarcze na odwłoku, a szczególnie też na brak narzędzi do przędzenia, widzi w nim wyraźne spowinowacenie z nieprzędzącemi mrowiami, a mianowicie niedźwiadkami i kosarzami, ze spawkami (*Phrynus*), nadewszystko zaś z temi ostatniemi.

Nowoodkryte na wschodnioindyjskiéj wyspie Pinang zwierzę, którego samca nie zna, nazywa *Liphistius desultor*,, tak rodzaju jako i gatunku dyagnozy troskliwie w łacińskim języku skreślając, i domieszczając przy opisie wizerunek okazu. (*T. 1850 nr. 221* i tabl. wiz.).

* Szacowną znacznéj rozciągłości pracę dra Modesta Kittery obejmuje nr. IVty Bulletynów ces. Tow. nat. moskiewskiego z r. 1848. Są to badania anatomiczne dwóch gatunków sołpugi, *Galeodes araneoides* i *Galeodes intrepida*, wypełniające wiele szczerb, które przedstawia anatomia pająków. Autor zaczyna od ogólnego opisania obudwu gatunków, z których ostatni, mający podawaną Hiszpanią za ojczyznę, prof. Wagner z Kazanu, znalazł także w stepach kirgizkich, niedaleko góry Iuderskiéj. Gatunek ten przeto uważać należało za znany, lubo w opisaniu jego przez Lucasa (*Hist. nat. des Crust. et Arachn. p. 447*) wiele jest niedokładności, które autor w następujący sposób prostuje: Piérwsza para nóg ma tylko 5 (nie 6), trzecia i czwarta tylko 4 (nie 7) członków. Kształt ciała jest elliptyczny (nie walcowaty), a to ciało ma 10 (nie 6) pierścieni. Nie wspomina także Lucas o narzędziach oddychania w odwłoku.

Organizacya tych dwóch gatunków jest, podług autora, tak jednakowa, że wszystkie szczegóły anatomii ściągają się do obudwu zarazem. Opisuje p. Kittary najprzód ogólne zwierzchnie pokrycia (cały skielet), następnie układ muszkularny (bardzo szczegółowo), daléj układ krążenia (znalazł tylko serce i naczynie grzbietowe): narzędzia karmienia się, a nareszcie czucia czyli nerwowy układ. Autor nie uważa sołpug za zwierzęta jadowite, ponieważ nie znalazł w nich żadnego jadowitego przyrządu, a te wielkie kleszcze któremi sołpuga zdobycz chwyta, wyobrażające jakby niedorosłe kleszcze niedźwiadka, uzbrojone są igłami czyli zębami bez wewnętrznych kanałów.

Tę ważną dla umiejętności pracę, objaśniają w potrzebnych szczegółach dokładne wizerunki. (*T. 1850, nr. 108, 110, 123 wiz.*).

* Do pokrewieństwa roztoczowatych (*Acartens*) należący rodzaj *Hypopus*, według spostrzeżeń prof. Dujardins w Rennes, jest tylko stopniem rozwinienia się mrowiów z rodz. *Gamasus*. U *Hypopus* nie ma ani pyszczka, ani żołądka, a jeśli te zwierzęta gdzie osiadły, to tylko na to, ażeby sprzyjające dalszemu rozwijaniu się swojemu okoliczności znaleźć. Są to więc gąsienice, lecz które, podobnie poczwarkom owadów, żadnego pożywienia z zewnątrz nie biorą. Tylko *Gamasus*, zwierzę doskonałe, może jeść i rosnąć. (*T. eod. nr. 67 z L'Institut 6 Fevr. 1850*).

A. W.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1852.

61. Andrzej Chenier. Powieść historyczna z czasów rewolucyi francuzkiéj (1792—1794), przez Mery. Przekład J. I. Kraszewskiego. Z przydaniem wiadomości o życiu Andrzeja Chenier. 8ka. Wilno. 1852. Nakład i druk J. Zawadzkiego. Kart 2 i str. 348. Złp. 12.

62. Anna z Nadbrzeża. Powieść. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Zygmunta Schlettera, druk C. H. Storcha i Spółki. Str. 120. Złp. 10.

63. Doręczuik muzyczny. Treściwe przedstawienie muzyki dzisiejszéj, ze szczególném baczeniem na miejscowe potrzeby, przykładami w nutach do objaśnienia niektórych szczegółów niezbędnemi i słownikiem wyrazów muzycznych. Przez Józefa Sikorskiego. 8ka. Warszawa. 1852. Nakład autora, druk S. Orgelbranda. Napisów i rejestru kart 4, str. XII i 305. Złp. 15.

64. Gadu-gadu. Powieści z papierów pośmiertnych autora Listów z zagranicy. (St. Witwickiego). 8ka. Lipsk. 1852. Nakład Wolfganga Gerharda, druk F. A. Brokhausa. str. 212. Złp. 10.

65. Juliusza S... Powieści poetyczne. Żmija — Hugo — Mnich. 16ka. Lipsk. 1852. Druk F. A. Brokhausa, nakład Wolfganga Gerharda. str. 117. Złp. 6 gr. 20.

66. Lucyana Siemi(e)nskiego powieści. 12ka. Petersburg. 1852. Nakładem B. M. Wolffa, druk E. Wejmara. Kart napis. 2 i str. 214. Złp. 6 gr. 20.

67. Nowe powiastki i gawędy przez autora Szwedów w Polsce. Swatanie Zaporożca. — Mogiła. — Sahajdaczny. — Wyprawa na Carogród. — Konstanty Horodeński. — Orlik i Orleńko. 12ka. Petersburg. 1852. Nakładem B. M. Wolffa, druk C. Wienhöbera. Kart napisowych 2 i str. 174.

68. Trzy dni z życia kokietki. Powieść przerobiona z A. Bronikowskiego. 8ka. Wrocław. 1852. Nakład Z. Schlettera, druk Nischkowskiego. Str. 62.

69. Wieczory jesienne. Powiastki moralne dla młodzieży przez Tomasza z Kent. I Cztery powiastki przez autorkę Wiązania Helenki. 16ka. Wrocław. (Bez roku. 1852?) Nakład Z. Schlettera, druk H. Richtera. Str. IV, i 228. Złp. 8.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Nakładem wydawnictwa dzieł katolickich, w drukarni J. Czecha w Krakowie, wkrótce wyjdą: *Poezye Franciszka Żyglińskiego.* Wydanie to, oprócz przedruku znanych już poezyi, mieścić będzie wiele nowych, dotąd jeszcze drukiem nieogłoszonych utworów, tego pełnego talentu poety.

— W drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego ukończono druk dzieła: *Matematyka elementarna*, przez Jana Kantego Steczkowskiego professora matematyki elementarnéj przy tymże uniwersytecie.

— Znana autorka pani Goczałkowska, wydaje pismo edukacyjne dla młodych panien, p. n.: *Wianki*,

— We Lwowie wyszła rozprawa: „O nomenklaturze chemicznéj", wyjątek z najnowszego dzieła Regnaulta, przetłumaczył I. P. M. Duniecki, i do nomenklatury chemicznéj zastosował.

— Kajetan Jabłoński wydał *Krajobrys polski*, ułożony przez I. H. arkusz jeden z mappą.

— *Rocznika archeologicznego* wyszedł z drukarni uniwersytetu Jagiellońskiego zeszyt drugi; zawiera rozprawy o zburzonym *ratuszu krakowskim*, przez Karola Kremera, i o pomniku *Pakosława* z XIIIgo wieku, przez prof. Z. Helcla, ze stosownemi rycinami.

— Drukarnia *Czecha* ogłosiła nadzwyczaj ważne dzieło pod względem rzeczy i stylu: *Paradoxa koronne*, poprzedzone pięknym objaśniającym wstępem Augusta Bielowskiego. Pióro znakomite, współczesne Jana Kochanowskiego.—Wkrótce rozpocznie druk trzytomowego dzieła p. n.: *Katalog biskupów, prałatów i kanoników krakowskich* przez księdza biskupa Łętowskiego. Praca ta podjęta z wielką sumiennością badań, a ze źródeł mniéj znanych, może być uważaną za celny przyczynek do dziejów przeszłości naszéj.

— We Lwowie wkrótce rozpocznie się druk tomu IVgo *Wiadomości historyczno-krytycznych Ossolińskiego*, obejmujący żywoty: Hozyusza, Tomickiego, Niemojowskiego, Dantyszka i t. d. Ważne to dzieło uzupełni badania Ossolińskiego, które tyle rzuciły światła na dzieje literatury naszéj.

— Nakładem Zygmunta Schlettera w Wrocławiu, ukaże się wkrótce: Kurs wymowy i poezyi, dla użytku płci żeńskiéj. w 2ch tomach.

(Ze Lwowa).

.....Z przyjemnością donieść możemy, że duchowieństwo tutejsze, które od lat kilku żadnego prawie śladu literackiéj czynności nie wydało, teraz tém gorliwiéj do powetowania straty czasu zabiera się. Jeden z uczonych jego członków, ks. Baracz, autor wydanych niedawno *Pamiątek Żółkwi*, pracuje nad historyą Ormian w dawnéj Polsce, do któréj znaczne zgromadził materyały. Inni pracownicy duchowni zamyślają wydawać czasopismo kościelne, moralno-archeologicznéj treści, zawierające rozprawy teologiczne, moralne, opisy świątyń Pańskich i znajdujących się w nich pomników starożytnych, dokumenta i daty errekcyjne, i tym podobne nauczające wiadomości —Świeckie dziennikarstwo tutejsze krzewi się coraz bujniéj. Po zjawieniu się z Nowym Rokiem *Dziennika literackiego*, w którego twardém piórze i ciężkiéj treści niełatwo zasmakować, okazały się dwa nowe pisma. Piérwszém jest ogłoszony przed trzema miesiącami *Telegraf*, pisemko humorystyczne, wychodzące w dwóch półarkuszkach na tydzień, redagowane przez p. *Goczałkowskiego*, męża literatki tutejszéj pani Julii Goczałkowskiéj, redaktorki drugiego pisma nowego, pod nazwą *Wianki*, treści moralno-belletrystycznéj, z dodatkiem opisu i modelów mód najnowszych, wydawanego co dwa tygodnie w połączeniu z pisemkiem dla dzieci, pod napisem *Bławatek*. Obadwa nowe pisma, *Telegraf* i *Wianki*, są bardzo dobrze u publiczności widziane. Osobliwie *Telegraf*, odpowiadający swoją lekką, od wszelkiéj pedanteryi i naukowości wolną, tylko bawić pragnącą treścią powszechnemu usposobieniu tutejszych klass czytających, w coraz większą wzmaga się wziętość. Otrząśnięto się już z przesądu, jakoby najświatlejsi ludzie nie mogli czasem upodobać sobie w roli rozśmieszania niewinnym sposobem żądnych rozśmieszenia serc ludzkich, zwłaszcza jeżeli z tém szlachetna dążność moralnéj ich poprawy w parze idzie. Z prawdziwą tedy radością, jako niepośledniéj znamię postępu zastarzałych wyobrażeń, postrzegamy, iż piérwsze miejsce w szeregu spółpracowników naszego humorystycznego pisemka zajmuje jeden z najuczeńszych mężów stolicy naszéj, biograf Piotra Skargi, obecny kurator jedynego w swoim rodzaju instytutu naukowego zakładu Ossolińskich, hr. Maurycy Dzieduszycki. Dowcipne jego trawestye sonetów Mickiewicza, satyryczne monografie Bzików i Bzikowców, szczerze wszystkich rozweseliły. Przykład Śniadeckich jako spółpracowników wileńskiego niegdyś *Brukowca*, może zasłonić go przeciw wszelkim uwagom pedanteryi.

Z pojedynczych publikacyj słyszymy tylko o zamyślaném wydaniu wszystkich pism ś. p. Dominika *Magnuszewskiego*. Oprócz dzieł znanych, ma wydanie to objąć wszystkie mniéj znane artykuły wierszem i prozą, rozrzucone po różnych czasopismach, tudzież mnogie utwory, częścią zupełnie ukończone, częścią tylko w fragmentach przechowane, znajdujące się w obfitym zbiorze rękopismów, pozostałych po tym nieodżałowanéj pamięci poecie narodowym. Podobnegoż wreszcie na świat wydania oczekują jeszcze pisma ś. p. Józefa hr. Borkowskiego, Stanisława Starzyńskiego, Szymańskiego; owszem samego założyciela zakładu, nieśmiertelnego J. M. Ossolińskiego. *Z.*

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

Kwiecień, 1852.

Kwiecień 1852. Dostrzeżenia w Obserwatoryum Astronomicznem Warszawskiém.

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1ᵍ· 14ᵐ· 45ˢ·, 7 względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca.	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god. rano	10 god. rano	4 god. wiec.	10 god. wiec.	6 god. rano	10 god. rano.	4 god. wiec.	10 god. wiec.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz. wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god r.	10 god r.	4 god. w.	10 god. w.	ulé-szczu	śnie-gu
1		744.45	745.48	744 91	746 36	+ 2°.8	+11°.5	+17°.6	+11°.2	75.5	pogodny	pogodny	chm. podz.	lek. poch. d.	Pd.	Pd	PdZ.	Pd.		
2		749.78	752.08	753 47	755.12	+ 3.5	+ 4 2	+ 5.0	+ 3 7	89.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.		
3		755.63	756 19	756.35	757 67	+ 2.8	+ 4.4	+ 6.9	+ 4 2	84.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	napół pog.	Pn.	Pn.	Pn.	PnW.		
4	☽.	759.43	760.22	759.58	760.74	+ 1.9	+ 8.2	+ 12.4	+ 5.4	72.2	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	W.	PnW.		
5		760.62	760 86	758.87	759.11	+ 1.3	+ 7.5	+ 13.3	+ 7.1	70.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	W.		
6		758 46	758.47	755.73	754.36	+ 3.6	+ 9.7	+ 15.3	+ 7.3	65.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	W.	PdW.	PdW.	Pd.		
7		752.41	751.70	749.45	748 46	+ 4.3	+ 12.1	+ 17.4	+ 10.6	65.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pd.	Pd.	Z.	Z.		
8		746.37	746.56	745.32	744.62	+ 8.1	+ 11.9	+ 11.5	+ 6.5	67.3	napół. pog.	lek. pochm.	pogodny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		
9		747.17	748.70	750.03	752.15	— 0.7	+ 1.1	+ 3.4	— 1.9	78.5	poch. śnieg	pochmurny	poch. śnieg	pr. pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	PnZ.		
10		752.15	752.30	750.11	751.02	— 2.6	+ 1.0	+ 4.7	+ 1.8	78.2	pogodny	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
11	☾.	751.59	752.09	752 06	752.41	— 1.2	+ 0.7	+ 4.2	+ 1.9	82.5	napół pog.	pr. pogodny	lek pochm.	pochmurny	Pn	PnW.	Pn.	Pn.		
12		751.57	753.77	755.23	757.15	+ 2.2	+ 2.4	+ 4.2	— 1.3	70.3	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	PnZ.	Pn	PnW.	PnW.		
13		757.67	756.69	752.87	751.56	— 1.8	+ 2.3	+ 5.6	+ 4.6	79 7	pogodny	pogodny	pochmurny	poch. deszc	PnZ.	Z.	Z.	PnZ.		
14		755.93	756.81	756.08	754.23	— 1.9	— 1.0	+ 2.4	— 0.7	66.3	pochmurny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	Pn.	PnW.	Pn.		
15		751.55	750.13	747.30	748.95	— 2.0	— 0.9	— 1.2	— 4.3	92.2	pochmurny	śnieg	pochmurny	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		1 8
16		750.13	750 08	749.33	749.42	— 6.4	— 3.3	— 1.3	— 3.9	88.0	pogodny	napół pog.	lek. pochm.	śnieg pruszy	Pn.	Pn.	PnZ.	PnZ.		
17		748.44	748.85	747.75	747.68	— 5 5	— 1.9	— 1.2	— 5.3	87.8	pogodny	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	Pn.	PnZ.	PdZ.	PdZ.		1.9
18	☽.	746.45	746.67	746.21	747.09	— 4 0	+ 2.0	+ 1.7	— 1.5	84.7	pr. pogod.	lek. pochm.	poch. śnieg	pr. pochm.	PdZ.	Pd.	Z.	PnW.		1.6
19		747.47	747.85	747.68	748.80	— 2.1	+ 2.9	+ 4.7	— 0.4	72.0	pogodny	napół pog.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	W.	W.		
20		750.33	751.35	752.58	753 82	— 0.3	+ 3.3	+ 2.7	+ 0.8	90.0	pochmurny	śnieg	poch. śnieg	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Pn.		3.2
21		755.30	756.22	755.98	757.20	+ 0.2	+ 1.9	+ 4.7	+ 0.8	81.5	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		
22		757.57	757.62	756.90	757.01	— 0 9	+ 3.6	+ 5.8	+ 1.4	65.0	pogodny	chm. podz.	pr. pochm.	pr. pogodny	PnW.	PnW.	Pn.	Pn.		
23		756.36	755.60	752.45	750.46	— 0.0	+ 3.0	+ 6 6	+ 3.8	61.0	pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	pochmurny	Pn.	Pn.	PnW.	PnW.		
24		745.97	745.74	746 24	746.79	+ 0.2	+ 1.3	+ 1.7	+ 2.7	96.0	snieg	poch. śnieg	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		5.2
25		748 52	749.42	749.86	750.60	+ 0.6	+ 4.4	+ 8 3	+ 2.1	62.0	pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Pn.	PnW.	Pn.	PnW.		
26	☽.	749.70	749.30	748.06	748 37	+ 0.1	+ 5 6	+ 9 8	+ 6.0	65 8	pogodny	pr. pogodny	pr. pochm.	pochmurny	PnZ.	Z.	Z.	Pn.		
27		751.05	752 13	752.30	753 28	— 0.1	+ 3.1	+ 6.6	+ 1.9	59 5	pogodny	pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		
28		754.03	754 46	754 17	754.45	+ 1.7	+ 6.1	+ 6.5	+ 2 3	52.0	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pogodny	PnW.	Pn.	Pn.	Pn.		
29		754.39	754 24	752.41	751.86	+ 0.9	+ 5 6	+ 9.6	+ 2.4	54.0	pogodny	pogodny	lek. pochm.	smugi	PnZ.	PnZ.	PnW.	PdW.		
30		750.05	748.82	746.24	743.55	+ 1.3	+ 9.2	+ 12 3	+ 7.1	53 3	pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
Śre.		752.038	752,347	751.517	751.810	+ 0°.20	+ 4° 06	+ 6°.70	+ 2°.54	73.6										13 7

	mm.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	751.928	27	9.326
Najwyżéj dochodził — d. 5 o g. 10 r.	760.86	28	1.287
Najniżéj — — d. 30 o g. 10 w.	743.55	27	5.614
Średnia zmiana dzienna barometru	3.296		1.461
Największa zmiana dzienna barometru d. 23—24 o g. 6 r.	10.39		4.606
Średnia wysokość barometru jest wyższą o	0.695		0.308
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	751.233	27	9.018
Średnia temperatura Kwietnia wynosi:	+ 3°.375 C.		+ 2°.700 R.
i ta jest niższą o	4.252 „		3.402 „
od stanu normalnego z 26 lat poprzedzających	+ 7.627 „		+ 6.102 „
Największe ciepło dochodziło d. 1 o godz. 4 wiecz.	+ 17.6 „		+14.08 „
Największe zimno dochodziło d. 16 o godz. 6 rano.	— 6.4 „		— 5.12 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.242 „		1.7935 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 1—2 o g. 4 w.	12.6 „		10.08 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +14°.7 R. d. 1 po połud.
Minimum: — 5°.7 „ d. 16 rano.

Ilość wody spadłéj z śniegu wynosi 13,7 milim. czyli 6,07 lin. par., ilość ta wody jest mniejszą o 10 70 lin. par. od ilości jaka zwykle u nas w kwietniu spada.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna wynosi: 73,6 biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną, albo co do ciężaru 4.86 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza, wilgotność ta jest prawie równą normalnéj.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 8, pochmurnych 13.
Dni deszczu 5 (d. 1, 13, 20, 24, 30).
— śniegu 8 (d. 9, 15, 16, 17, 18, 20, 21, 24).
— gradu 1 (d. 21).
Wichrów było 1 (PnW.).
Wiatrów mocnych 8 (4 Pn., 3 PnW., 1 PnZ.).
Wiatr panujący: Północny.

Kwiecień r. b. był pogodny, suchy i bardzo zimny, średnia jego temperatura jest o 3,4 stop. R. niższa od normalnéj. Wyjąwszy pięć dni 1, 4, 5, 6, 7 które były ciepłe, inne dni osobliwie w porankach od d. 9 były zimne. Najcieplejsze dni były: 1, 4, 5, 6, 7, 30; najzimniejsze d. 14, 15, 16, 17, 18. Przez trzy dni 15, 16, 17, termometr utrzymywał się ciągle niżéj zera, co się o téj porze w 26 upłynionych latach u nas nie zdarzyło; wiatry północne i północno-wschodnie były przyczyną tak zimnego stanu powietrza. Deszcze rzadko i w małéj ilości padły, natomiast śniegi były częste i obfite, tak iż ilość wody z śniegu jest o 2.8 lin. par. większa od téj jaka w tym miesiącu spada.

D. 6, 26, 27 widziano plamy na słońcu.
D. 23 o godz. 9 wiecz. powstał wicher PnW.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1852.

Materyały historyczne.

Stron.

Szabin Giraj i Kozacy. Przez *Seweryna Gołębiowskiego*..... 1

Annibal z Kapui nuncyusz papiezki w Polsce, i listy jego w czasie bezkrólewia po Stefanie Batorym, do Rzymu pisane. Przez *Alexandra Przezdzieckiego*..... 87

O najdawniejszych prawach litewskich upatrzonych przez p. Maciejowskiego w dyplomatach z XIII wieku, Rydze i Inflantom służących. Przez *Józefa Jaroszewicza*..... 94

Instytut Śgo Kazimierza w Warszawie, opisał *Dr. Jan Kulesza*..... 265

Kongres w Niemirowie 1737 r. Przez *Tymoteusza Lipińskiego*..... 326

Dopełnienie artykułu: O najdawniejszych prawach litewskich, upatrzonych przez p. Maciejowskiego w dyplomatach z XIII wieku, Rydze i Inflantom służących. Przez *J. Jaroszewicza*..... 349

Uwagi nad wykładem p. Maciejowskiego o pochodzeniu Lechów..... 422

O towarzystwie historyczno-archeologicznem prowincyj rossyjskich nadbałtyckich, i wydawanych przez nie Wiadomościach, przez *Alexandra Przezdzieckiego*..... 553

Biografia.

Joachim Jerlicz i latopisiec albo kroniczka jego od r. 1620 do 1673. Przez *K. Wł. Wojcickiego*..... 189

Wiadomość o życiu i pismach Jana Krasińskiego, przez *Stanisława Budzińskiego*..... 513

Archeologia.

Stron.

Opisanie wykopaliska odkrytego dnia 9 kwietnia 1852 r. we wsi Kruchowie pod Trzemesznem, między Gnieznem a Kruszwicą, przez *K. L. Wolickiego.* (Z ryciną)..... 519
Listy archeologiczne, *Józefa Łepkowskiego.* (Z ryciną)..... 523

Prawo.

O stosunku hypoteki gubernialnéj do okręgowéj, przez *Augusta Heylmana.* 131
O prawnych zasadach rachunku bieżącego, przez *Felixa Zielińskiego*..... 311

Opisy i podróże.

Wycieczka archeologiczna w niektóre strony gubernii radomskiéj, odbyta w miesiącu wrześniu r. z. przez *F. Max. Sobieszczańskiego.* (Z mappą i dwoma drzeworytami. Dokończenie)..... 28
Podhale i północna pochyłość Tatrów, czyli Tatry polskie, przez *Ludwika Zejsznera.* (Dokończenie)..... 116
Wspomnienia z Hiszpanii z r. 1848. Wyjątek z podróży *Tomasza Bartmańskiego.*..... 287
Podróż ze Szkocyi do Anglii, przez dra *T. Tripplina*..... 381

Literatura.

O powieściach arabskich, skreślił *Kazimierz Puchała*..... 69
O poezyi i poetach ludowych we Francyi, Niemczech i Szkocyi..... 157

Powieści.

Wiejskie zarysy, przez *Jana Kantego Gregorowicza.* III. Powrót. IV. Zabawa w karczmie. V. Skutki. (Ciąg dalszy)..... 205, 441

Poezya.

Hetman polny. Gawęda staro żołnierska, przez *Władysława Syrokomlę*..... 511

Rozbiory.

Piu kopy kazok, napysau Spirydyon Ostaszewski, *dla wesoloho mira.* 8ka. Wilno. 1850. Przez *Wł. W.*..... 141
Pisma Jakóba Sobieskiego w języku polskim..... 154
Peremyszlanin na rik 1852..... 155
Starożytnicze wiadomości o Krakowie. Zbiór pism i pamiętników tyczących się opisowéj i dziejowéj przeszłości, oraz zwyczajów téj dawnéj stolicy kraju; z dodatkiem różnych szczegółów Polaków za-

Stron.

jąć mogących. Z dawnych rękopiśmiennych źródeł zebrał Ambroży Grabowski. Kraków. 1852. Przez *Juliana Bartoszewicza*..... 332
Jcografia w obrazach i powieściach moralnych, ozdobiona 8 rycinami. Warszawa. 1852. Przez *S. P.*..... 341
Kilka słów o krytyce powieściowéj w Warszawie; rzecz napisana z powodu dwóch recenzyj o Panu Zygmuncie w Hiszpanii, powieści Dra T. Tripplina. Przez *W D. z P.*..... 342
Obrazki wiejskie Jana K. Gregorowicza, 4 tomy. Warszawa. 1852. Przez *K. Wł. Wojcickiego*..... 542
O czwartém wydaniu Kroniki polskiéj Galla w XI tomie Pertza: *Monumenta Germaniae historica*, przez pp. Szlachtowskiego i Köpke. Przez *Alexandra Przezdzieckiego*..... 546
Monumenta regum Poloniae Cracoviensia. Petropoli. 1852. Zeszyt I. Przez *Władysława Syrokomlę*..... 551

Nauki przyrodzone.

Wyjątki z Historyi nauk przyrodzonych p. Jerzego Kiuwiera (Cuvier), przekładu *Gustawa Belkego* i *Alexandra Kremera*..... 479
Oddane przysługi i przyszłość telegrafów galwanicznych, przez *S. Przystańskiego*..... 558
Flora zakaukazka. (Wyjątek z listu p. *Heliodora Penczyńskiego* profes. w Tyflisie)..... 564
Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
Chemia, przez *J. B...ę*..... 164, 352
Historya naturalna: Zoologia, przez *A. W.*..... 167, 354, 567

Korrespondencya.

Do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj od *Józefa Wydżgi*..... 350
Kronika bibliograficzna..... 182, 366, 579
Doniesienia literackie..... 183, 368, 579
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum warszawskiem:
za miesiąc luty r. b..... 185
— — marzec r. b..... 377
— — kwiecień r. b..... 581